ELLICOTT CITY, MARYLAND

PISMA ŚWIĘTEJ TERESY.

PISMA

ŚWIĘTEJ TERESY

Z HISZPAŃSKIEGO

PRZEŁOŻYŁ

Biskup Henryk Piotr Kossowski.

TOM PIERWSZY.

Z portretem Świętej.

WARSZAWA.
Nakładem „Przeglądu Katolickiego,“
ulica Nowy Świat № 35.

1898.

KSIĘGA

ZMIŁOWAŃ PAŃSKICH

CZYLI

ŻYCIE ŚWIĘTEJ TERESY

NAPISANE PRZEZ NIĄ SAMĄ.

Franciscan Fathers, Mount Carmel
ELLICOTT CITY, MARYLAND

WARSZAWA.
w Drukarni Franciszka Czerwińskiego.
ulica Nowy Świat № 36.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Октября 1897 года.

IMPRIMATUR.

Varsaviae die 13 Aprilis 1897 anno.

† Vincentius.

APPROBATUR.

Varsaviae die 9/21 Junii 1897 anno.

Judex Surrogatus, Praelatus Metropolitanus

J. Borzewski.

pro Secretario

Sigis. Mścichowski.

№ 2648.

ОДОБРЕНО.

Варшава 9/21 Іюня 1897 года.

Судья Суррогатъ Варшав. Рим.-Кат. Духов. Конс.

Прелатъ Митроп. Капитула

Ю. Боржевскій.

за Секретаря

Кс. С. Мсциховскій.

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/pismaswietejtere0000vari

Święta Teresa.

PRZEDMOWA.

Wydanie w przekładzie na język rodzimy, a tem samem oddanie w ręce każdego kto je czytać zechce, dzieła takiego rodzaju, jakiem są pisma św. Teresy, może komu, ze względu na wybitnie, rzec można wyłącznie mistyczny ich charakter, i na przeciętny poziom duchowy naszego ogółu, do takich wyżyn rzadko się wznoszący, wydać się przedsięwzięciem bezpożytecznem, albo i zgoła niewczesnem. W rzeczy samej, jak życiem swojem bohaterska odnowicielka Karmelu i miłości Bożej męczenniczka daleko wychodzi po za miarę zwykłej cnoty albo i doskonałości chrześciańskiej, tak i w pismach swoich sięga najwyższych szczytów i najgłębszych tajemnic duchowego obcowania z Bogiem, do których łaska Ducha Świętego rzadkie tylko wybrane dusze powoływać zwykła. Myliłby się jednak bardzo, ktoby z tego wnosił, że tylko takie dusze bezpiecznie i z pożytkiem mogą czytać natchnione pisma seraficznej Świętej awilańskiej; że przed pospolitym ogółem wiernych należy je raczej ukrywać i chować pod korcem,

aby snać kto niebaczny z czytania ich, miasto korzyści, nie odniósł szkody na duszy, i przez fałszywe tych wysokich rzeczy rozumienie, z drogi prawdziwej pobożności nie zabłądził na manowce chorobliwej egzaltacyi.

Inny zupełnie sąd wydała w tej mierze, już trzy wieki temu, nieomylna powaga Kościoła. Kościół już od trzech wieków co roku, w dzień św. Teresy, modli się we Mszy świętej i prosi Boga w imieniu wszystkich wiernych, abyśmy wszyscy *„niebieskiej nauki jej* pokarmem się żywili [1])". W Lekcyach historycznych Brewiarza na tenże dzień sławi ją, iż „wiele napisała ksiąg mądrości nadziemskiej pełnych, z których serca wiernych dzielną biorą pobudkę do pożądania ojczyzny niebieskiej [2])"; a w Bulli kanonizacyjnej, przez usta Grzegorza XV, Papieża, takie o niej wydaje uroczyste świadectwo: „...Wzwyż nad wszystkie te Boskiej szczodrobliwości swojej dobrodziejstwa, któremi Wszechmogący tę umiłowaną oblubienicę swoję jakby drogiemi klejnotami przyozdobić raczył, innemi jeszcze łaskami i darami hojnie ją ubogacił: napełnił ją duchem rozumienia, aby nie tylko dobrych uczynków przykłady w Kościele Bożym pozostawiła, ale i niebieskiej mądrości zdrojami go zrosiła, wydając pisma o teologii mistycznej traktujące, i inne wysoką pobożnością tchnące, z których serca wiernych przeobfity owoc odnoszą, i do pożądania ojczyzny niebieskiej skutecznie się pobudzają" [3]).

---

[1]) ... *Ita coelestis ejus doctrinae pabulo nutriamur.* Miss. Rom. Or. in festo S. Theresiae.

[2]) *Multa coelestis sapientiae documenta conscripsit, quibus fidelium mentes ad supernae patriae desiderium maxime excitantur.* Brev. Rom. in festo S. Theresiae, Lectio V.

[3]) *Praeter haec omnia divinae beneficentiae munera, quibus hanc dilectam suam quasi pretiosis monilibus decoratam esse voluit Omnipotens, aliis etiam gratiis et donis abunde eam locupletavit: adimplevit enim eam spiritu intelligentiae, ut non solum bonorum operum in Ecclesia Dei exempla relinque-*

W obec tego orzeczenia najwyższej na świecie, i w tej mierze jedynie kompetentnej powagi, katolik każdy wie z góry, co ma trzymać o pismach św. Teresy, i co w nich znajdzie; ma z góry niewątpliwe upewnienie, że każdy, czy uczony czy prostaczek, czy najwyżej duchowy czy zaledwo pierwsze kroki na drodze życia wewnętrznego stawiający, znajdzie w nich, jeżli jedno jest człowiekiem dobrej woli, naukę czystą, wprost z nieba płynącą, zdrowy pokarm i obfity owoc dla duszy, dzielną i skuteczną do miłości Boga i rzeczy wiecznych pobudkę. Łaski nadzwyczajne, cudowne widzenia, i objawienia, i zachwycenia, choć pełno o nich w tych pismach, tak jak pełnem ich było całe życie Świętej, nie stanowią przecie rzeczywistej ksiąg jej osnowy. Uwielbia w nich z wdzięcznością hojność i potęgę Boskiego Dawcy, ale mówi o nich niechętnie, posłuszeństwem tylko zmuszona, i w opowiadaniu ich troskliwie osłania, umniejsza, ukrywa wszystko, cokolwiek w nich uwydatnia i podnosi własną jej zasługę. Gruntem i osnową, treścią i duchem wszystkich pism jej są te dwie rzeczy, na których polega wszelka doskonałość i świętość, i wszelka cnota chrześciańska: Pokora i Miłość. Pokora duszy czystej, żadnym nigdy ciężkim grzechem nie zmazanej, a przecie w jasnem uznaniu nicestwa swego, w obec majestatu Boga, im bliżej poznaje nieskończoną świętość i piękność Jego, tem głębiej w proch się korzącej, i każdą najlżejszą skazę mimowolnej niedoskonałości za nieznośną przeciw Niemu niewdzięczność i winę sobie poczytującej, i we łzach serdecznej skruchy, i w nieugaszonej żądzy pokuty i cierpienia obmywającej: azatem i łask nadzwyczajnych nie tylko nie pragnącej, ale i mimo woli jej

---

ret, sed et illam coelestis sapientiae imbribus irrigaret, editis de mystica theologia aliisque etiam multa pietate refertis libellis; ex quibus fidelium mentes uberrimos fructus percipiunt, et ad supernae patriae desiderium maxime excitantur.

przemocą na nie spływające, w uczuciu niegodności swojej odepchnąć od siebie usiłującej; a nadewszystko, wszelkie ich objawy, z dziecięcą szczerością i uległością, z bohaterskiem posłuszeństwem pod sąd Kościoła oddającej, choć przedstawiciele jego, duchowni jej przewodnicy, skutkiem błędnego dróg nad nią Bożych rozumienia, przez długie lata ciągną ją siłą w kierunku najgłębszemu jej przekonaniu i uznaniu wewnętrznemu wprost przeciwnym, i gwałt niewypowiedzianie bolesny sumieniu jej zadają. A na tle tej głębokością swoją zdumiewającej, rzewnością swoją obojętne nawet serca przenikającej pokory, jaka miłość! Prawdziwy *amor benevolentiae:* miłość czysta, wspaniała, bezinteresowna, bez żadnego względu na siebie i własną korzyść swoję, w Boskiej tylko piękności Umiłowanego się kochająca, i w Nim całą istnością swoją się pogrążająca, i chwały Jego jedynie we wszystkiem szukająca; najsroższe, długoletnie na ciele i na duszy męczarnie, najdotkliwsze przeciwieństwa i prześladowania, z męztwem niewzruszonem, z radością owszem, dla miłości Jego znosząca; najtrudniejsze, niepodobne po ludzku dzieła, skoro w nich poznała wolę Jego, bez wahania podejmująca, i z żelazną, żadnemi przeszkodami niezrażoną wytrwałością do końca doprowadzająca; a wśród tego wiru prac, i walk, i ofiar dla Niego podjętych, do Niego tylko, do oglądania i posiadania Jego tęskniąca, i póki musi żyć na tem wygnaniu z Nim rozłączona, w poświęceniu siebie, w cierpieniu dla Niego, jedyną tęsknoty swojej ochłodę znajdująca. Wreszcie, co może najdziwniejsza, w tych jękach serca do Boga stęsknionego, w tych zapałach i zachwytach duszy strzałą miłości Bożej zranionej, nigdzie najlżejszego tonu fałszywego, nigdzie najmniejszego śladu przesady czy egzaltacyi: wszędzie trzeźwa miara i rozsądek, wszędzie prawda zdrowa i jasna, wszędzie spokojna i przejrzysta, dziecięca prawie szczerość i prostota. Najtrudniejsze zagadnienia życia wewnętrz-

nego, najgłębsze tajemnice cudów łaski Bożej, których roztrząsaniu wielcy teologowie długoletnie, nie zawsze z pomyślnym skutkiem, poświęcali badania i uczone dialektyczne wywody, złożone w grubych księgach, samą już uczonością swoją dla ogółu zamkniętych, ta natchniona, jak ją ktoś trafnie nazwał, „popularyzatorka teologii mistycznej,“ bez żadnego przyboru naukowego, bez żadnych teologicznych, których się nigdy nie uczyła, dystynkcyi i wniosków, w zwykłej potocznej mowie, w wyrazach pospolitych, ale zawsze trafnych, i z dziwną precyzią myśl jej uplastyczniających, i temu co powiedzieć chce, ściśle dorównywających, lub gdy jej wyrazów na wypowiedzenie tych rzeczy przewyższających nie starczy, za pomocą porównań, wprost z codziennego życia wziętych, a głębokością prostoty swojej przypowieści ewangeliczne przypominających, z taką przekonywającą siłą i prawdą, a zarazem tak żywem, i barwnem i wdzięku pełnem piórem, w sposób każdemu przystępny i zrozumiały objaśnia, że nie mówiąc już o nieprzepartem, jaki na duszy czytającego wywiera wrażeniu, sam już umysł, choćby tylko z wprost ziemskiego, piśmienniczego stanowiska, z prawdziwą roskoszą lubuje się w tych perłach istnie klasycznego jej stylu.

Nie sądzimy więc by niniejsza praca była rzeczą bezpożytecną albo niewczesną. Sądzimy owszem, że wydając ten jakikolwiek przekład nasz, w pewnej choć skromnej mierze przysługę oddajemy rodzimej społeczności naszej, zapełniając nim dość rażącą lukę w piśmiennictwie ojczystem, które, podobno jedyne wśród piśmiennictw całego cywilizowanego świata, prócz bardzo niedostatecznego i bardzo archaicznego tłómaczenia O. Nuceryna [1]), nie posiada dotąd przekładu tych zło-

[1]) „Księgi duchowne świętej Matki Teresy od Pana Jezusa, fundatorki karmelitanek i karmelitów Bosych, z włoskiego na polskie, częścią przez W.

tych ksiąg, nad które, według świadectwa hiszpańskiego ich wydawcy, nie masz w ojczystym kraju Świętej książki więcej rozpowszechnionej i czytanej, i które, zaledwo w dwadzieścia lat po śmierci jej, już się po wszystkim świecie katolickim znajdowały w rękach, nie tylko licznego jej duchownego, w odrodzonym przez nią Karmelu potomstwa, ale wiernych wszelkiego stanu, na wszystkie niemal europejskie języki przełożone. Tuszymy sobie również, że jak w świętych, ile ich jeszcze jest na ziemi naszej, przybytkach Karmelu dziewicze dusze Bogu poślubione mile powitają ofiarowane im w ojczystym języku dzieła serafickiej Matki swojej, i rade będą posiadały ten drogi skarb swój w rodzimej choć ubogiej oprawie, tak i wśród świata, niejedna dusza dobrej woli, mając za pomocą tego przekładu ułatwiony przystęp do tych zdrojów prawdziwej mądrości i świętości chrześciańskiej, z pism św. Teresy tryskających, zaczerpnie z nich światło i pokrzepienie, i bezpieczny kierunek, i skuteczną zachętę, nie do niepowołanego, i niemądrze a zgubnie samozwańczego porywania i wspinania się ku rzeczom wyższym nad się, ale do spokojnego a statecznego postępowania, i coraz wyższego, ile sił i łaski starczy, wstępowania temi jasnemi i prostemi, na bojaźni Bożej i miłości Bożej opartemi drogami prawdziwej pobożności, których św. Teresa, i w życiu i w pismach swoich, jest i po wszystkie czasy będzie niezrównanym wzorem i mistrzynią.

Niniejszy tom pierwszy, za którym, jeśli Bóg pozwoli, w możliwie krótkich przerwach nastąpią dalsze, zawiera w sobie Życie św. Teresy, napisane przez nią samą, czyli, jak ją zwała samaż święta autorka, „*Księgę zmiłowań* albo *wielmożności*

X. Sebastiana Nucerina, kościoła katedralnego krakowskiego kaznodzieję, częścią przez Ojców tegoż zakonu przełożone, na dwa tomy rozdzielone. W Krakowie, w drukarni Balcera Smieszkowica, J. K. M. Typ. Roku Pańskiego 1664.“ Dwa tomy in folio.

Bożych.“ Dwukrotnie pisała tę księgę: raz w roku 1561, z rozkazu spowiednika swego, uczonego i świętobliwego O. Ubanez, dominikanina; drugi raz, obszerniej i z dodaniem opisu fundacyi pierwszego nowej reformy klasztoru św. Józefa w Awili, na żądanie drugiego spowiednika, słynnego O. Garcia de Toledo. Drugą tę redakcyę, jak sama o tem nadmienia we wstępie do swej księgi *Fundacyi*, rozpoczęła w końcu roku 1562 i w roku 1565, lub w początku 1566, dokończyła, dodawszy z porady O. Soto, inkwizytora, podział na rozdziały, którego w pierwszej redakcyi nie było. Oryginał tego drugiego *Życia*, cały ręką Świętej pisany, przechowuje się w Eskurialu, w skarbcu Relikwii; pierwsze zaginęło. W porządku chronologicznym, księga *Życia* pierwsze zajmuje miejsce między pismami św. Teresy; co do wewnętrznej wartości, jest to prawdziwe arcydzieło, najwięcej też czytane i najpowszechniej znane.

Uzbroić ten przekład nasz w pełny rynsztunek krytycznego, według metody naukowej aparatu, nie było naszym zamiarem; aniby możność nasza na to nie starczyła, aniby to nie odpowiadało skromniejszemu, jaki sobie założyliśmy, celowi. Trzymaliśmy się tekstu oryginalnego według uznanego za najlepsze, ściśle naukowego, na pracowitem porównaniu tekstów, z zaznaczeniem wszystkich wariantów, wydania X. De la Fuente [1]); używaliśmy do pomocy klasycznego, choć miejscami, zdaniem naszem, zbyt francuskiego, to jest dowolnego tłómaczenia X. Marcellego Bouix'a [2]), z którego także po większej

---

[1]) „Escritos de Santa Teresa, anadidos e ilustrados por Don Vincente de la Fuente, Catedratico de disciplina eclesiastica en la Universidad de Madrid. Madrid, M. Rivadeneyra editor 1880.“ 2 tomy 8-o maj. Stanowi tom 53 i 54 zbiorowego wydawnictwa: „Biblioteca de autores espanoles, desde la formacion del lenguaje hasta nuestros dias.“

[2]) „Oeuvres de Sainte Térèse, traduites sur le manuscrit original, avec, commentaire historique, par le P. Marcel Bouix, de la Compagnie de Jésus Paris, Jacques Lecoffre“. 6 tomów 18-o. Do r. 1867 jedenaście wydań.

części wzięliśmy, gdzie tego była potrzeba, wyborne jego przypiski i objaśnienia historyczne. Staraliśmy się wedle możności uchronić pracę naszę od znanego, zbyt często niestety zasłużonego piętna: „traduttore, traditore,“ i tekst oryginalny oddać dosłownie, o ile na to tacytowska koncyzia jego i duch naszego języka pozwalały. Myśli świętej autorki, śmiemy tuszyć sobie, nigdzie nie zdradziliśmy: żeśmy nie zdołali w przekładzie naszym zachować uroczego wdzięku i samorodnej wonnej świeżości niezrównanego jej stylu, niech Ona to nam w swej chwale niebieskiej przebaczyć raczy, i przyczyną swoją to sprawi, by nieudolność tłómacza nie wyszła na szkodę czytelnika.

Włocławek, w dzień św. Maurycego Męcz.
22 Września 1896 r.

H. P. B.

ŻYCIE

Świętej Matki Teresy od Jezusa [1])

i niektóre z łask od Boga jej użyczonych,

opisane przez nią samą,

z rozkazu swego spowiednika, do którego, przesyłając mu je, tak pisze:

Chciałabym aby, jako mi dano rozkaz i szeroką swobodę opisania sposobu modlitwy i łask, jakich mi Pan użyczył, tak było mi dozwolono jasno i jaknajdokładniej opowiedzieć wielkie grzechy moje i życie niecnotliwe. Byłoby to wielką dla mnie pociechą; ale zgodzić się na to nie chciano, owszem mocno mię w tym względzie ścieśniono; i dla tego, ktokolwiek będzie czytał ten opis życia mego, proszę go na miłość Boga, by miał to na pamięci, że ono tak było grzeszne [2]), iż między Świętymi, ilu ich się nawróciło do Boga, żadnego nie znalazłam, którego przykład mógłby mi dodać otuchy. Bo widzę że żaden z nich, od chwili jak Pan go powołał, nigdy Go już potem nie obrażał: ja zaś nie tylko żem się wracała do rzeczy gorszych, ale jeszcze jakby rozmyślnie starałam się opór stawiać łaskom, jakie mi czynił Jego Boski Majestat, ponieważ widziałam że one obowiązują mię do służenia Mu doskonalej, a przytem rozumiałam, że nie zdołam w najmniejszej cząstce uiścić się Jemu z tego co Mu jestem

---

[1]) Ob. na końcu książki, Dodatek I. *O rodzeństwie św. Teresy.*

[2]) Ob. Dodatek II. *O „grzechach" św. Teresy.*

winna. Niech będzie błogosławiony na wieki za to, że tak długo mię czekał: Jego też z całego serca mego błagam, aby mi dał łaskę, iżbym z wszelką jasnością i prawdą dopełniła tego opowiadania, które mi przykazali spowiednicy moi (i samże Pan, wiem o tem, od dawna go żąda, tylko że nie śmiałam): a iżby ono było na cześć i chwałę Jego, ci zaś którzy mną kierują, aby odtąd, lepiej mię poznawszy, wspierali nieudolność moję, bym umiała choć w części, z tego co Mu winnam, oddać służbę Panu, którego niechaj chwali wszystko stworzenie na wieki. Amen.

ROZDZIAŁ I.

Opowiada, jak Pan w dzieciństwie jej począł ją pobudzać do życia cnotliwego, i jaką ku temu pomocą są cnotliwi rodzice.

To samo już, że z łaski Pana, miałam rodziców cnotliwych i bogobojnych, mogło mię, gdyby nie wielka niegodziwość moja, uczynić dobrą. Ojciec mój kochał się w czytaniu dobrych książek, zaczem i trzymał w domu księgi pisane w języku kastylskim, aby je dzieci jego czytały. Pobożne te czytania, jak również i troskliwość, z jaką matka przyuczała nas do modlitwy i do czci Najświętszej Panny i niektórych Świętych, poczęły mię pobudzać do miłości Bożej, gdy miałam, zdaje mi się, sześć czy siedm lat wieku. Utwierdzał mię przykład rodziców, w których nigdy dla niczego nie widziałam szacunku i upodobania, jedno dla cnoty. Mieli jej wiele. Ojciec mój był mężem wielkiego miłosierdzia dla ubogich, i litości dla chorych, a także i dla sług; tak dalece, że nigdy nie mógł się zdobyć na trzymanie u siebie niewolników, dla wielkiego, jakie miał nad nimi politowania; a gdy pewnego razu przebywała u niego niewolnica jednego z braci jego, obchodził się z nią jak z nami, własnemi dziećmi swemi, i mówił że widok tej istoty pozbawionej wolności sprawuje mu żal nieznośny. Był również bardzo prawdomownym; nikt nigdy nie słyszał go przysięgającego się albo mówiącego źle o drugich.

Słowem, był to człowiek w najwyższy sposób uczciwy i prawy. Matka moja także wielkie miała cnoty; całe życie jej zeszło w ciężkich niemocach. Skromności była niezrównanej; choć niepospolitą odznaczała się urodą, nigdy nie było znać, w jej zachowaniu się, by do niej jakąbądź wagę przywiązywała, i choć zaledwo trzydzieści i trzy lata miała, gdy umarła, tak się ubierała, jak gdyby była osobą podeszłego wieku. Dziwnie była słodką w obejściu, a rozumu bystrego. Wiele utrapień wycierpiała przez wszystek czas życia swego; umarła śmiercią święcie chrześcijańską. Było nas trzy siostry i dziewięciu braci; wszyscy oni, z łaskawości Boga, wstępowali w cnotliwe ślady rodziców, oprócz mnie jednej, choć byłam ulubioną córką ojca mego; i pierwej niż poczęłam obrażać Boga, był zdaje mi się, niejaki powód do tej szczególnej dla mnie miłości, bo żal mi się robi, gdy wspomnę na dobre skłonności, jakiemi mię Pan był obdarzył, a jak zły.—Jemu to samemu wiadomo!—czyniłam z nich użytek; tem bardziej że rodzeństwo moje w niczem mi nie było przeszkodą do służenia Bogu.

Z jednym z braci moich, najwięcej zbliżonym do mnie wiekiem [1]), czytywaliśmy razem żywoty Świętych. Jego kochałam najbardziej: choć i do wszystkich drugich wielkie miałam przywiązanie, i oni do mnie. Czytając o mękach, jakie Święci wycierpieli dla Boga, myślałam sobie, że tanim kosztem kupili sobie szczęście dostania się do nieba i cieszenia się z Bogiem; zaczem wielką zapalałam się żądzą poniesienia śmierci podobnej, nie iżbym dla Boga tak wielką miłość czuła, ale iż

[1]) Był to brat jej, Rodryk de Cepeda, urodzony tegoż samego dnia, ale o cztery lata wcześniej, co św. Teresa. Łaska, jak widać z opisu Świętej, nierównie silniej łączyła te dwie dusze, niż samo pokrewieństwo wedle ciała. Rodryk, jak drudzy bracia jego, poświęcił się zawodowi wojennemu. Odjeżdżając do Ameryki, ukochaną siostrę swoję, w dowód szczególnego do niej przywiązania, ustanowił spadkobierczynią całego majątku swego. Służył w wojskach królewskich w Ameryce południowej, okazując się wszędy zarówno walecznym wodzem jak i mężnym w obronie wiary swojej chrześcijaninem. Poległ śmiercią bohaterską, z orężem w ręku, w bitwie nad Rio-de-la-Plata. Św. Teresa zawsze go poczytywała za męczennika, ponieważ zginął w walce za sprawę religii katolickiej.

pragnęłam taką krótką drogą nabyć sobie one wielkie dobra, które Święci posiadają w niebie. Wspólnie więc z tym bratem moim naradzaliśmy się, jakimbyśmy sposobem ten cel osiągnąć mogli. Umawialiśmy się, że pójdziemy, żebrząc po drodze dla miłości Bożej, do kraju Maurów, aby tam ucięli nam głowę; i zdaje mi się że odwagę do tego, choć w tak młodym wieku, Pan nam dawał dostateczną, gdybyśmy tylko tam dostać się mogli; ale główną w oczach naszych przeszkodą było to żeśmy mieli rodziców [1]). Mocno nas przerażało w czytaniach naszych to słowo, że męka, tak samo jak i chwała, trwa wiecznie, zdarzało się nieraz że długo o tem z sobą rozmawialiśmy, i z lubością powtarzaliśmy po wiele razy: Na wieki, na wieki, na wieki! Takiem przez długie chwile powtarzaniem tego jednego słowa, podobało się Panu wrazić w dziecinny umysł mój poznanie drogi prawdy. Widząc tedy, że niepodobna nam puszczać się w kraje dalekie, kędyby nas ubito dla Boga, postanowiliśmy zostać pustelnikami, i w ogrodzie, który był przy domu naszym, próbowaliśmy, jak umieliśmy, budować pustelnie, kładąc kamyki jeden na drugim, które zaraz nam się rozsypywały, i tak żadną miarą nie mogliśmy trafić na sposób uskutecznienia naszego zamiaru. Dziś jeszcze pobożnego doznaję wzruszenia na wspomnienie, jako Bóg tak wcześnie mi dawał

---

[1]) Święta zręcznie tu zarzuca zasłonę na święcie dziecinny wybryk swój, gdy mając zaledwie siedm lat, z małym bratem swoim nie tylko tworzyła zamiar wyprawy po męczeństwo, ale i w rzeczy samej przystąpiła do wykonania go, we dwoje z Rodrykiem opuszczając potajemnie dom rodzicielski, dla dostania się między Maurów, i przelania tam krwi swojej za Chrystusa. Już bohaterskie pacholęta, miłością Bożą upojone, były przekroczyły most na rzece Adaja, i ubiegły jakie ćwierć mili na drodze wiodącej z Awili do Salamanki, zagrzewając się wzajemnie rozmową o szczęściu śmierci męczeńskiej, gdy jeden z ich wujów spotkał je na drodze, i do matki, zniknięciem ich stroskanej, odprowadził. Na miejscu tego przytrzymania świętych zbiegów, pobożność wiernych wzniosła skromny pomnik: krzyż kamienny, pod sklepieniem na czterech słupach opartem. Miejsce to,—rzecz znacząca!—leży i krzyż ten stoi wprost naprzeciwko onego klasztoru Wcielenia, gdzie Bóg oblubienicy swojej inne, wyższego rodzaju gotował męczeństwo; gdzie, nie mieczem niewiernych, ale ognistą włócznią z ręki anielskiej przeszyte, serce jej miało wycierpieć trzydziestoletnie wspaniałe konanie z miłości.

to, co z własnej winy mojej straciłam. Dawałam jałmużnę ile mogłam, choć mało mogłam. Szukałam samotności na odmówienie moich nabożeństw, których miałam wiele, w szczególności różańca, któremu matka moja była bardzo oddana, i nas uczyła pobożnie go odmawiać. Bawiąc się z drugiemi dziewczynkami, bardzo lubiłam budować klasztorki, jak gdybyśmy były mniszkami, i zdaje mi się że pragnęłam zostać zakonnicą, choć nie tak gorąco tego pragnęłam jak tamtych dwu rzeczy, o których wyżej mówiłam.

Gdy matka moja umarła, miałam o ile pamiętam, dwanaście lat lub mało co mniej [1]). Rozumiejąc już poniekąd wielkość straty mojej, poszłam w utrapieniu mojem przed obraz [2]) Matki Boskiej, i rzewnie płacząc błagałam Ją, aby mi była matką. Prośba ta, choć z dziecinną prostotą uczyniona, nie była, zdaje mi się, daremną: bo ile razy w jakiejbądź potrzebie poleciłam siebie tej Pannie wszechwładnej, zawsze w sposób widoczny doznałam Jej pomocy, aż w końcu i nawróciła mię do siebie. Smuci mię teraz i boli myśl i wspomnienie o tem, co było powodem iż nie wytrwałam w tych dobrych pożądaniach, jakie miałam z początku. O Panie mój, kiedy, jak widzę, postanowiłeś mię zbawić, niechże z łaski Boskiego Majestatu twego tak się stanie, i tyle mi ku temu łask użyczaj, ile mi ich przedtem użyczałeś. Czy nie byłoby dobrze w oczach twoich,—nie dla mojej korzyści tak pytam, jedno dla chwały twojej,—gdyby czystym był pozostał, a nie tak szpetnie się zmazał przybytek, w którym tak ustawicznie mieszkać miałeś? Wstyd mię i żal, Panie, wspomnieć o tem, bo wiem że cała w tem wina moja; bo z twej strony, wyznaję.

---

[1]) Było to zatem w końcu r. 1526, lub na początku 1527.

[2]) Obraz ten, czyli raczej posąg, umieszczony był w kościołku pod wezwaniem Matki Boskiej Miłosierdzia, należącym i przylegającym do przytułku dla ubogich i pielgrzymów. Kościołek ten, jak tyle innych w Hiszpanii dawnej wiary zabytków, dziś leży w gruzach, ale posąg Najświętszej Panny, przed którym św. Teresa w osieroceniu swojem oddawała się w macierzyńską opiekę Matki Miłosierdzia, i przez Nią została przyjętą za córkę, przeniesiony do jednego z kościołów w Awili, dotąd jest przedmiotem czci i nabożeństwa wiernych.

niczego nie zaniechałeś, abym od pierwszego dzieciństwa mego cała była twoją. Ani na rodziców moich, choćbym chciała, skarzyć się nie mogę, bo nie widziałam w nich nic jedno wszelką dobroć, i troskliwe o dobro moje staranie. Gdy zatem, wychodząc z wieku dziecinnego, zaczęłam się poznawać na wdziękach przyrodzonych, których mi Pan był użyczył, a były one, jak powiadają, wielkie, miasto należnej za nie wdzięczności i dziękczynienia, poczęłam ich używać wyłącznie na obrazę Jego, jak to zaraz opowiem.

ROZDZIAŁ II.

Opisuje, jako poczęła tracić pierwszą pobożność swoję; i jako wiele na tem zależy, by człowiek w młodym wieku miał obcowanie z dobrymi tylko i cnotliwymi.

Bardzo mi, jak sądzę, poczęła szkodzić jedna rzecz, o której teraz powiem. Nieraz mi to na myśl przychodzi, jak to źle, gdy rodzice nie starają się o to, by dzieci ich zawsze miały przed oczyma same tylko przykłady i podniety do wszelkich cnót; bo lubo matka moja tak była pobożna, jak powiedziałam wyżej, ja przecie, przychodząc do lat rozumu, nie wiele przejmowałam się, albo nic prawie, tem co było w niej dobrego, a ze złego, com w niej upatrzyła, wielką szkodę odniosłam. Lubiła bardzo czytać historye rycerskie; dla niej była to rozrywka nieszkodliwa, ja jej na złe używałam: ona dla tego czytania nie zaniedbywała obowiązków swoich, źle tylko, że nam takie rzeczy czytać pozwalała; zapewne, jak sama dla siebie szukała w tem czytaniu sposobu oderwania myśli od wielkich cierpień, jakie jej dolegały, tak i dzieci chciała niem zająć, aby nie bawiły się innemi rzeczami, któreby je zepsuć mogły. Ojciec mój bardzo był temu przeciwny, zaczem musieliśmy skrywać się przed nim, aby nas nie obaczył. Powoli czytanie to stawało się dla mnie nałogiem; mała ta usterka matki, z której sobie przykład brałam, studziła dobre pożądanie moje, i była mi powodem do przewinień coraz większych. Nie widziałam w tem nic złego, że marnowałam wiele godzin

we dnie i w nocy na takiem czczem zajęciu, i to jeszcze pokryjomu przed ojcem. Do tego stopnia pochłaniała mię żądza tej przyjemności, że gdy skończywszy jednę książkę, nie miałam pod ręką nowej, uspokoić się nie mogłam od zmartwienia. Poczęłam się stroić, chciałam się podobać i dobrze się wydać, pilne czyniąc staranie o utrzymanie rąk i trefienie włosów, o pachnidła i wszelkiego rodzaju próżności, na jakie się zdobyć mogłam, a było ich wiele, bo w tych rzeczach byłam bardzo ciekawa i przemyślna. Nie miałam w tem złego zamiaru; nie chciałam by kto przezemnie Boga obrażał. Przez wiele lat trwało wemnie to wygórowane upodobanie w przesadnej wykwintności, i innych takich rzeczach, w których wówczas nie widziałam najmniejszego grzechu; teraz widzę, ile w tem musiało być złego. Bywało u nas kilku moich braci stryjecznych; bo inni młodzi ludzie nie mieli wstępu do domu ojca mego, który w tym punkcie bardzo był ostrożny. Oby i względem tych podobną był ostrożność zachował! bo widzę teraz, jaka to rzecz niebezpieczna, w wieku, w którym cnoty zawiązywać się mają i wyrabiać, mieć obcowanie z takimi, którzy nie poznali się jeszcze na marności świata, ale raczej do oddawania się jej pobudzają. Byliśmy prawie równego wieku, oni jednak byli starsi odemnie. Zawsze byliśmy razem: wielkie mieli do mnie przywiązanie; i ja też, dla zrobienia im przyjemności, utrzymywałam z nimi rozmowę o wszystkiem, o czem oni mówić lubili, słuchając z zajęciem co mi opowiadali o upodobaniach i dzieciństwach swoich, nie koniecznie dobrych: w czem to było dla mnie najgorszego, że dusza moja wówczas poznała się z tem, co się stało przyczyną wszystkiego jej nieszczęścia. Gdyby mnie pytano o radę, radziłabym rodzicom pilne mieć baczenie na to, jakiego rodzaju ludzie obcują z dziećmi ich, póki są w wieku młodym; bo z tego źródła wielkie wyniknąć mogą szkody, gdyż natura człowieka więcej do złego jest skłonna niż do dobrego.

Doświadczyłam tego na sobie. Miałam siostrę, znacznie starszą odemnie [1]), niepospolicie cnotliwą i rzadkiej dobroci

[1]) Była to siostra jej przyrodnia, Marya de Cepeda, z pierwszego małżeństwa ojca św. Teresy. Ob. Dodatek I.

serca; od niej jednak nic nie wzięłam, a za to przyswoiłam sobie wszystko złe, jakiego mię przykładem swoim uczyła jedna krewna nasza, która często u nas bywała. Była to osoba tak lekkich obyczajów, że matka moja, — snać przeczuwając, jak ciężką szkodę wyrządzi mi jej towarzystwo, — starała się na wszelki sposób zapobiedz jej w domu naszym bywaniu; ale ona tyle umiała wynajdywać okazyi do odwiedzania nas, że trudno było odmówić jej wstępu. Z nią tedy ulubione było moje towarzystwo, i rozmowa, bo mi dostarczała wszelkich zabaw i rozrywek, których pragnęłam, owszem i do nich mię pociągała, i opowiadała mi o swoich zebraniach i próżnościach. W czasie tego mojego z nią przestawania,—miałam naonczas lat czternaście, czy może nieco więcej, — gdy ona taką zenną, jak mówiłam, przyjaźń utrzymywała, i o swoich sprawach mi opowiadała, nie zdaje mi się bym obraziła Boga grzechem śmiertelnym, albo utraciła bojaźń Bożą, choć więcej się bałam utraty dobrej sławy: ta bojaźń była siłą i obroną moją, żem czci nie postradała, i żadna rzecz na świecie, tak sądzę, nie byłaby zdołała zachwiać mojego w tym względzie postanowienia, ani żadna przyjaźń świecka skłonić mię do złego. Bodajbym była miała podobne męztwo ku chronieniu się tego, co się sprzeciwia czci Boskiej, jakie mi dawało przyrodzone usposobienie moje ku wystrzeganiu się utraty tego, na czem zdawało mi się że zasadza się cześć wedle świata: a nie zważałam na to, że jednak na inny sposób, i wielorakim sposobem ją traciłam. W marnem tej czci pożądaniu nie znałam miary; ale środków ku zachowaniu się niezmazaną nie używałam żadnych, i tego tylko z wielką pilnością się strzegłam, bym nie doszła do ostatecznego upadku. Ojciec mój i siostry bardzo nieradzi byli tej przyjaźni mojej, i nieraz mi ją wymawiali; ale ponieważ wstępu do domu tamtej zabronić nie mogli, daremne były ich starania i czuwanie nadenną, bo do wszystkiego złego przebiegłość miałam wielką. Z przerażeniem nieraz myślę o tem, jaką szkodę może wyrządzić złe towarzystwo; ledwobym temu dała wiarę, gdybym nie była nauczona własnem doświadczeniem; szczególnie w młodym wieku szkoda musi być tem większa. Pragnęłabym by wszyscy rodzice, przykładem moim ostrzeżeni,

pilne na to mieli baczenie. W rzeczy samej, towarzystwo onej krewnej taką wemnie sprawiło zmianę na gorsze, że z przyrodzonych dobrych skłonności i szlachetności duszy nie pozostało mi prawie ani śladu, a za to ona, i druga jej towarzyszka, równie lekkiemu życiu oddana, jakoby wpoiły we mnie płoche usposobienie swoje. Jasny to dla mnie dowód, jaki niezmierny pożytek przynosi towarzystwo dobre; pewna jestem tego, że gdybym w owym młodym wieku była miała obcowanie z ludźmi cnotliwymi, sama też byłabym się niezachwianie utwierdziła w cnocie; bo gdybym wówczas była miała kogo, ktoby mię uczył bać się Boga, dusza moja byłaby ztąd nabrała siły, aby nie upadła. Lecz gdy tej bojaźni świętej całkiem wemnie nie stało, pozostała mi tylko bojźń obrażenia honoru, która mię w każdym postępku ścigała i dręczyła. Mimo to jednak, gdy miałam nadzieję, że nikt się o tem nie dowie, nieraz ważyłam się na rzeczy i honorowi, i Bogu przeciwne.

Takie były, jak mi się zdaje, powody pierwszych wykroczeń moich; wina zapewne nie była tych, z któremi przestawałam, jedno moja; bo potem do złego dość mi było własnej złości mojej; a przytem miewałam służące, w których znajdowałam ochotną pomoc do wszelkich grzesznych zachceń moich; gdyby która z nich była mię ostrzegła, może byłabym jej usłuchała; ale własny interes je zaślepiał, jak mnie niedobre skłonności moje. Nigdy jednak nie miałam pociągu do jawnego grzechu, bo wszelką nieuczciwością z natury się brzydziłam: lubiłam tylko zabawy towarzyskie; zawsze jednak była to okazya do grzechu, i pozostając w niej mogłam w końcu uledz niebezpieczeństwu, i ściągnąć niesławę na ojca i rodzeństwo. Bóg mię z tego niebezpieczeństwa wybawił, i sposób w jaki to uczynił jasno okazuje, iż sam, wbrew woli mojej, chciał zapobiedz temu, bym nie zgubiła siebie ostatecznie; lubo sprawki moje nie mogły się tak utaić, by nie rzuciły jakiego cienia na sławę moję, i ojca mego nie zaniepokoiły. Ztąd też, nie upłynęło, zdaje mi się, i trzech miesięcy od czasu jak zaczęłam się oddawać tym próżnościom, gdy mię umieszczono w klasztorze miejscowym [1]), w którym się wychowywały panienki

[1]) Był to klasztor Augustyniauek, pod wezwaniem Matki Boskiej La-

jednego zemną stanu i wieku, tylko nie tak zepsute co do obyczajów, jak ja. Stało się to tak po cichu, że ja jedna tylko i jeden krewny mój wiedzieliśmy o zamierzonem przemieszczeniu mojem; bo niechcąc zwracać uwagi świata na tę zmianę, aby się komu nie wydała dziwną, czekano odpowiedniej sposobności, którą rychło nastręczyło zamęzcie mojej siostry, gdyż po wyjściu jej z domu rodzicielskiego, moje w nim, samej bez matki, pozostawanie nie byłoby właściwem. Ojciec mój tak niezmiernie mię kochał, i ja tak umiałam skrywać się przed nim, że o nic złego nie mógł mię podejrzywać, rozstał się więc zemną jaknajczulej. Co do drugich, tak krótki był czas wybryków moich, że choć coś tam może posłyszeli, żaden przecie nie mógł nic powiedzieć na pewno; bo z taką trwogą troszcząc się o dobrą sławę, wszelkich przykładałam starań, aby sprawy moje pozostały w ukryciu, nie pomnąc na to, że ukryć się nie mogą przed Tym, który wszystko widzi. O Boże mój, ileż to nieszczęsnych skutków wynika z tego na świecie, że ludzie nie troszczą się o tę wszystko widzącą wszędyobecność twoję, i sądzą że może utaić się jakibądź uczynek spełniony przeciw Tobie! Z pewnością, wiele oszczędzilibyśmy sobie zgryzot, gdybyśmy chcieli zrozumieć, że nie o to nam chodzić powinno byśmy się ustrzegli oka ludzkiego, ale o to, byśmy się strzegli tego co obraża Ciebie.

Przez pierwszy tydzień ciężkim mi był, nie tyle pobyt w klasztorze, ile raczej dręcząca mię obawa, że wiedzą tam o mojem płochem sprawowaniu się; bo już mi się ono było sprzykrzyło, i obraziwszy Boga, nie mogłam się obronić wielkiej bojaźni gniewu Jego, i starałam się jaknajprędzej wyspowiadać się. Byłam więc zrazu niespokojna, ale po ośmiu dniach,

---

skawej, założony w r. 1508 czy 1509 na szczątkach dawnego meczetu. Za czasów św. Teresy było w nim do czterdziestu zakonnic. Św. Tomasz z Willanowy był jakiś czas ojcem duchownym tego zgromadzenia, i w przyległym kościele miewał kazania *(Ariz, Historia de Avila,* p. 51; *Torellus, saec. Augustinian.).* W klasztorze tym, dotąd istniejącym, stoi jeszcze przy kracie zakonnej konfessionał, u którego św. Teresa, będąc tu na pensyi, się spowiadała. W kościele wisi obraz przedstawiający Świętą, pobierającą lekcyę od nauczycielki swojej, Maryi Briceno.

i w krótszym nawet czasie, zdaje mi się, nierównie szczęśliwszą czułam siebie w klasztorze, niż przedtem w domu ojca mego. Wszyscy też byli zemnie kontenci; bo miałam tę łaskę od Boga, że gdziekolwiek byłam, umiałam podobać się wszystkim i wszędzie byłam bardzo lubioną. Jakkolwiek stanowczą wówczas miałam odrazę do życia zakonnego, z przyjemnością jednak patrzałam na tyle dobrych zakonnic, bo te które były w naszym klasztorze, wielką się odznaczały obyczajnością, i pobożnością, i czystością życia. Z tem wszystkiem jednak szatan nie przestawał mię kusić, używając do tego dawnych znajomych moich ze świata, którzy mię poselstwami i listami nagabywali. Lecz pokuszenia te, gdy im drogę do mnie zagrodzono, prędko ustały, i dusza moja powoli zaczęła na nowo się wdrażać do dawnej, dziecinnych lat moich pobożności. Zrozumiałam wówczas, jak wielką łaskę Bóg czyni człowiekowi, gdy go otacza towarzystwem ludzi dobrych. Boski Majestat Jego, rzecby można, z niestrudzoną troskliwością obmyślał sposoby, jakby mię nawrócić do siebie. Bądź błogosławiony, Panie, żeś tak długo mię znosił, Amen! To jedno może do pewnego stopnia mogłoby być niejakiem dla mnie uniewinnieniem, gdybym nie była tyle nagrzeszyła, że towarzyskie one stosunki i zabawy moje były z rodzaju tych, które drogą zamęzcia mogą doprowadzić do uczciwego rozwiązania; spowiednicy też, i inne osoby pobożne, których się radziłam, upewniali mię, że w tych postępkach moich, po większej części przynajmniej, nie było obrazy Boskiej.

Sypiała z nami, wychowanicami świeckiemi, jedna zakonnica [1]), za której sprawą jak sądzę, Pan w dobroci swojej, począł mię oświecać, jak to zaraz opowiem.

[1]) Wspomniana wyżej siostra Marya de Briceno.

ROZDZIAŁ III.

Jako wpływ dobrego otoczenia przyczynił się do wzbudzenia w niej na nowo żądz pobożnych, i w jaki sposób Pan począł dawać jej niejakie oświecenie, ku poznaniu błędu swego.

Powoli zaczynając smakować w dobrej i świętej rozmowie tej zakonnicy [1]), z lubością słuchałam jej, tak pięknie mówiącej o Bogu, bo była to osoba i wysoce świętobliwa, i dziwnie światła i roztropna. Zdaje mi się zresztą, że nigdy, w żadnej porze życia mego, nie przykrzyło mi się słuchać rozmowy o Bogu. Poczęła mi opowiadać, jak przyszła do postanowienia wstąpienia do zakonu, za samem tylko przeczytaniem tego wyroku Ewangelii, iż wielu jest wezwanych, ale mało wybranych. Mówiła mi o nagrodzie, jaką Pan zgotował tym, którzy wszystko opuszczą dla Niego. Codzienne z tą świętobliwą osobą obcowanie powoli rugowało wemnie grzeszne nawyknienia, dzięki złemu, w jakiem przedtem żyłam, towarzystwu zaciągnione; poczęło kierować znowu myśl moję ku rzeczom wiecznym, i umniejszać powoli odrazę do życia zakonnego, którą wówczas miałam bardzo silną. Ile razy widziałam którą z tych pobożnych dusz płaczącą na modlitwie albo spełniającą jaki uczynek cnotliwy, zazdrościłam jej tego szczęścia, bo moje serce wówczas takie było twarde, że mogłam przeczytać całą historyę Męki Pańskiej, nie uroniwszy ani jednej łzy, choć bardzo się tą nieczułością moją martwiłam. Pozostawałam w tym klasztorze półtora roku, i wielką ten czas sprawił wemnie odmianę na lepsze; poczęłam odmawiać długie modlitwy ustne, usilnie polecając siebie modlitwom wszystkich, aby Bóg raczył mi wskazać, w jakim stanie chce abym Mu służyła; w głębi serca jednak nie chciało mi się być zakonnicą, i pragnęłam aby nie spodobało się Bogu do tego stanu mię powołać, choć również bałam się zamęzcia. Pod koniec jednak mojego tam pobytu, więcej już się skłaniałam do powołania zakonnego, ale nie w tym klasztorze, bo niektóre ćwiczenia

[1]) Maryi de Briceno.

pobożne, o których dowiedziałam się że tam się zachowują, wydawały mi się przesadnie surowemi; niektóre też z młodszych zakonnic utwierdzały mię w tem zdaniu; gdyby wszystkie były jednej myśli, łatwiej byłabym błąd mój zrozumiała. Miałam nad to serdeczną przyjaciółkę [1]), która służyła Bogu w innym klasztorze; zaczem, gdybym miała być zakonnicą, nie chciałam nią zostać jedno tam, gdzie ona przebywała. Więcej miałam na myśli marną pociechę własną i skłonność przyrodzonych uczuć, niż istotne dobro duszy mojej. Dobre te myśli wstąpienia do zakonu przychodziły mi chwilami, i potem znowu znikały: a na postanowienie zdobyć się nie mogłam.

Lubo sama w onym czasie poniekąd się troszczyłam o pożytek mój duchowy, Pan jednak w swej najłaskawszej o duszę moję troskliwości, skuteczniejszego użył sposobu ku skłonieniu mnie do tego stanu, który był dla mnie najlepszym. Zesłał na mnie ciężką chorobę, z powodu której zmuszoną byłam powrócić do domu ojca mego. Gdym przyszła do zdrowia, zawieziono mię na wieś do siostry mojej [2]), z którą pragnęłam się obaczyć; kochała mię niezmiernie, i gdyby to od niej było zależało, nigdybym już nie była z nią się rozstała; mąż jej także bardzo mię lubił, a przynajmniej wszelką życzliwość mi okazywał. Jest to także wielka łaska, którą zawdzięczam Panu, że wszędzie znajdowałam taką miłość u ludzi, a ja Mu przecie za to tak nędznie służyłam, jak sama nędzna jestem. Po drodze naszej mieszkał brat mego ojca [3]), mąż niepospolicie mądry i cnotliwy; po śmierci żony, Pan tak skutecznie do siebie go pociągnął, iż w późnym już wieku opuścił wszystko co miał i wstąpił do klasztoru, gdzie i umarł tak piękną śmiercią, że teraz pewno, jak słusznie mniemać mogę, cieszy się posiadaniem Boga. Na żądanie jego, zatrzymałam się u niego kilka

---

[1]) Była to Joanna Suarez, od r. 1533, według Bollandystów, karmelitka w klasztorze Wcielenia w Awili.

[2]) Maryi de Cepeda, poślubionej Guzmanowi de Barrientos; miejsce jej zamieszkania zwało się Castellanos de Canda.

[3]) Piotr Sanchez de Cepeda; mieszkał w miasteczku Hortigosa, o cztery mile od Awili.

dni. Ulubionem zajęciem jego było czytanie dobrych książek w narzeczu kastylskiem; rozmowa jego najczęściej była o Bogu i o marności świata. Kazał mi czytać przy sobie z tych książek; nie bardzo mię bawiło to czytanie, okazywałam jednak wielkie z niego zadowolnienie; bo w chęci dogodzenia drugim, choćby z przykrością dla siebie, nie znałam miary; i tak, co w drugich byłoby cnotą, wemnie było nagannym zapędem, bo często w usłużności mojej daleko wykraczałam z granic roztropności. O Boże wielki! jakiemiż to skrytemi drogami najłaskawszy Majestat twój sposobił mię powoli do tego stanu, w którym chciałeś, abym Ci służyła, i w brew woli mojej zmuszał mię, abym sobie gwałt zadała! Bądź za to błogosławiony na wieki, Amen. Lubo kilka dni tylko u stryja mego bawiłam, dzięki przecie silnemu wrażeniu, jakiego tam w sercu doznałam od czytania i słuchania słowa Bożego, dzięki również wpływowi, jaki wywierało na mnie bliskie z tak świętobliwym człowiekiem obcowanie, zaczęłam coraz jaśniej rozumieć prawdy, niegdyś w dziecinnych latach poznane, jako wszystko jest niczem, jak marnym jest ten świat, i jak prędko przemija; strach mię ogarniał na myśl, że śmierć, gdyby wówczas na mnie przyszła, zastałaby mię na drodze wiodącej do piekła; i lubo wola moja jeszcze nie mogła się zdobyć na to, by się skłoniła do stanu zakonnego, już przecie uznawałam że jest to stan najlepszy i najbezpieczniejszy, i tak powoli dojrzewało wemnie postanowienie zmuszenia siebie do obrania go.

W tej walce wewnętrznej przebyłam trzy miesiące, pokonywając opór woli mojej tą zwłaszcza uwagą, że utrapienia i cierpienia życia zakonnego nie mogą być większemi od mąk czyścowych, a ja z pewnością zasłużyłam na piekło; że zatem nie wielka to z mojej strony ofiara, żyć tu jakby w czyścu, a potem pójść prosto do nieba, jak tego nadewszystko pragnęłam; z czego wnoszę, że ten mój pociąg do powołania zakonnego pochodził raczej z niewolniczej bojaźni, niż z miłości. Poddawał mi szatan myśli, że nie zdołam wytrzymać surowości życia zakonnego, będąc tak miękko wychowaną; ale broniłam się od tej pokusy pamięcią na męki, jakie ucierpiał Chrystus Pan, więc nie wielka to rzecz, że ja nieco ucierpię dla Niego.

Że On sam w ponoszeniu trudów dla miłości Jego podjętych mię wspomoże, o tem, choć myślić byłam powinna, nie pamiętam, czy wówczas myślałam. Przeszłam w tym czasie chwile ciężkiego nagabania. Przytem i febry mocno mi dolegały, bo zawsze byłam słabego zdrowia. To jedno mi sił dodawało, że po dawnemu kochałam się w dobrych książkach: czytałam Listy świętego Hieronima, które tak mię na duchu umocniły, że zdobyłam się na oznajmienie postanowienia mego ojcu, co dla mnie równało się niejako samemuż przywdzianiu habitu: bo tak byłam niezłomna w dotrzymaniu słowa, że raz wymówionego za nicbym, zdaje mi się, nie cofnęła. Lecz ojciec tak mocno mię kochał, że w żaden sposób nie mogłam go skłonić do zgodzenia się na postanowienie moje: również bezskutecznemi pozostały przedstawienia drugich, których prosiłam by się za mną do niego wstawili. Tyle zaledwo zdołaliśmy wymódz na nim, że po śmierci jego wolno mi będzie uczynić co zechcę. Lecz ja, nie dowierzając samej sobie, i bojąc się słabości woli mojej, bym się snać nie zachwiała w postanowieniu, nie uważałam by taka zwłoka była dla mnie z pożytkiem, i przeto inną drogą postarałam się dojść do celu, jak niżej opowiem.

ROZDZIAŁ IV.

Jako Pan jej dopomógł do odniesienia ostatecznego zwycięztwa nad sobą, i do przywdziania habitu; i jako z Boskiej woli swojej począł zsyłać na nią wiele różnych niemocy.

W czasie gdym się z temi myślami i z tym zamiarem nosiła, skłoniłam jednego z braci moich [1]) do zostania zakon-

[1]) Antoniego de Ahumada. Według O. Franciszka od Św. Maryi, autora *Historyi powszechnej Karmelitów Bosych*, Antoni wstąpił do klasztoru dominikańskiego św. Tomasza w Awili, gdzie rychło dostąpił pożądanej za swoje poświęcenie się nagrody: Bóg go powołał do siebie, nim jeszcze skończył nowicyat. Inni jednak, dodaje tenże poważny kronikarz, twierdzą, że Antoni został hieronimitą.

nikiem, stawiając mu przed oczy marność tego świata. Umówiliśmy się zatem że pewnego dnia [1]) wcześnie z rana wyjdziemy razem z domu, i pójdziemy do tego klasztoru, w którym przebywała ona przyjaciółka moja, którą, jak powiedziałam wyżej, serdecznie kochałam; chociaż w tem ostatecznem postanowieniu mojem tak już byłam niezachwianie utwierdzona, że równie chętnie byłabym poszła do każdego innego klasztoru, jeżlibym uznała, że lepiej w nim będę mogła służyć Bogu, albo jeżliby ojciec tego chciał: bo jedynie już miałam na celu zbawienie duszy mojej, a o spokój i przyjemność własną zgoła nie dbałam. Żywo mi stoi w pamięci, co się wemnie działo, gdym opuszczała dom ojca: takiego, prawdę mówię, doznałam wówczas rozdarcia wewnętrznego, że nie sądzę by w godzinę śmierci mogło być sroższe: zdawało mi się że wszystkie kości rozluźniają się wemnie i ze stawów swoich wychodzą; bo iżem nie miała miłości Bożej, któraby stłumiła przywiązanie do ojca i do rodzeństwa, rozstanie z nimi tak ciężką wemnie wzbudzało walkę wewnętrzną, iż gdyby Pan nie był mię wspomógł, wbrew lepszemu uznaniu memu nie stałoby mi siły do uczynienia tego kroku; ale On dodał mi męztwa do zwyciężenia samej siebie, i dzięki Jemu, przywiodłam zamiar mój do skutku. W chwili przywdziania habitu, Pan zaraz dał mi uczuć, jak jest łaskawym dla tych, którzy gwałt zadają samym sobie dla służenia Mu: lecz gwałtu tego i walki wewnętrznej nikt wemnie nie poznał: wszyscy widzieli tylko wolę radośnie ochotną. Tak wielkie w tejże chwili dał mi uradowanie wewnętrzne z tego że jestem w zakonie, iż nigdy ono aż dotąd wemnie nie ustało. Oschłość, jaką przedtem cierpiała dusza moja, przemienił mi Bóg w najsłodsze uczucie miłości swojej; wszystkie obowiązki

[1]) Dzień ten pamiętny w życiu św. Teresy przypadał 2 Listopada 1533. Miała wówczas 18 lat i sześć miesięcy wieku. Po roku nowicyatu, uczyniła uroczystą professię zakonną, 3 listopada 1534. Zgromadzenie do którego wstąpiła, był to, jak wyżej wspomniano, klasztor Wcielenia, położony za murami miasta w Awili, zakonu Matki Boskiej z Góry Karmelu. Św. Teresa przeżyła w nim prawie połowę życia swego. Wstąpiwszy r. 1533, pozostawała tam 29 lat prostą zakonnicą, aż do r. 1562. Później po dokonanej już reformie, jeszcze przez trzy lata, 1571—1574, rządziła tym klasztorem jako przeorysza.

i ćwiczenia zakonne roskosz mi sprawiały; i doprawdy, nieraz gdy zamiatałam podłogi klasztorne w tych samych godzinach, które przedtem trawiłam na świeckich zabawach i strojach, na myśl że już jestem wyzwolona od tych próżności, czułam w sobie nowe jakieś wesele i sama sobie się dziwiłam, nie mogąc sobie zdać sprawy, zkąd to pochodzi. Gdy na to wspomnę, nie masz, cokolwiekby mię spotkać mogło, rzeczy tak ciężkiej, którejbym bez wahania nie podjęła. Wiem bowiem o tem z wielokrotnego doświadczenia, że gdy na samym wstępie zdobędę się na postanowienie uczynienia jakiej rzeczy dla miłości Boga samego,—choć nieraz Bóg, dla większej zasługi naszej, dopuszcza, że dusza, nim rękę przyłoży do dzieła, czuje niejaki strach, ale im większy ten strach, tem większą i tem słodszą, gdy go przezwycięży, dusza potem otrzymuje nagrodę: — Boski Majestat Jego jeszcze w tem życiu odpłaca mi za to w sposób, którego słodkość ten tylko znać może, kto jej sam skosztuje. O tem, powtarzam, wiem z własnego doświadczenia, nabytego w niejednem bardzo trudnem zdarzeniu: przetoż, gdybym miała komu dawać radę, nigdy nie radziłabym, gdy mu po wiele razy przychodzi jakie dobre natchnienie, zaniechać go przez bojaźń, i w czyn go nie zamienić: co szczerze i z czystej miłości podejmie dla Boga samego, to niech się nie lęka, by nie miało się poszczęścić, bo Bóg mocen jest wszystko uczynić: niech będzie błogosławiony na wieki, Amen.

Dość, o najwyższe Dobro moje i odpocznienie serca mego dość było tych łask, które mi dotąd uczyniłeś, żeś mię z wielkiego miłosierdzia i wielmożności twojej przez tyle błędnych dróg pociągnął do stanu tak bezpiecznego, i do domu w którym mieszka wiele służebnic twoich, abym za ich przykładem mogła postępy czynić i pomnażać się w służbie twojej. Już więc nie wiem co dalej powiem, gdy wspomnę na sposób, w jaki się odbyła professia moja, i jako wielkiem sercem i z radością uczyniłam ją, i na zaślubiny jakie z Tobą zawarłam: o tem bez łez mówić nie mogę, a powinnyby to być łzy krwawe, i serce powinnoby mi się krajać, i żadnego żalu nie byłoby nadto, iż potem wszystkiem jeszcze Ciebie obrażałam. Widzę teraz, że słusznie wzbraniałam się od tak wielkiej go-

dności, kiedy tak jej na złe użyć miałam. Ale Ty, Panie, lat blisko dwadzieścia chciałeś znosić odemnie takie nadużywanie tej łaski twojej, chciałeś tak długo cierpieć krzywdę twoję, abym ja w końcu lepszą się stała! Zdawałoby się, Boże mój, że składając u stóp ołtarza śluby zakonne, to tylko Ci obiecywałam, że nie dotrzymam w niczem tego, co Ci obiecywałam. Zapewne że wówczas nie miałam takiego zamiaru; ale gdy patrzę na takie potem uczynki moje, sama już niewiem, jaki był wówczas zamiar mój. Chyba na to tylko potrzebne były te niewierności moje, aby się jaśniej okazało, kto Ty jesteś, Oblubieńcze mój, a kto ja; bo doprawdy, gorżkość żalu za wielkie winy moje w słodkość i radość mi się przemienia na myśl, iż przez nie się objawia mnóstwo miłosierdzia twego. Bo i na kim, Panie, może ono w tak wspaniałym okazywać się blasku, jak okazało się nademną, którąm złemi uczynkami mojemi tak zaćmiła te wielkie łaski, które poczynałeś mi czynić? Nieszczęsna ja! jakkolwiekbym się chciała tłómaczyć, Boże Stworzycielu mój, nie masz dla mnie żadnej wymówki, i wina cała moja! Bo gdybym Ci choć w cząstce najmniejszej była się odwdzięczała za miłość, jaką mi poczynałeś okazywać, nie byłabym mogła nikomu oddać miłości mojej, jedno Tobie samemu, i miłość twoja byłaby mię całą naprawiła; ale iżem nie warta była takiego szczęścia dostąpić, niech teraz miłosierdzie twoje, Panie, pokryje nędzę moję.

Pomimo wielkiego, jakie w duszy miałam, rozradowania, zmiana sposobu życia i pożywienia szkodliwie wpłynęła na zdrowie moje. Niemoce moje coraz bardziej się wzmagały; cierpiałam tak gwałtowne bóle serca, że widok ich przerażał patrzących; przyłączyły się do tego różne inne choroby; tak przeszedł mi cały pierwszy rok w bardzo złym stanie zdrowia, choć w ciągu tego czasu nie wiele, zdaje mi się, Boga obrażałam. Cierpienia moje były tak wielkie, że prawie ciągle byłam bliską omdlenia, a nieraz i całkiem odchodziłam od zmysłów; co widząc mój ojciec, wszelkich szukał i używał sposobów dla uzdrowienia mnie; a ponieważ lekarze miejscowi nic mi nie pomagali, więc postarał się o przewiezienie mnie na inne miejsce, używające wielkiej sławy jako miejsce lecznicze na

wszelkie choroby, gdzie zatem upewniano że i ja wyzdrowieję. Towarzyszyła mi ona przyjaciółka moja, o której wyżej mówiłam, należąca do tegoż klasztoru, i licząca się do starszych. W klasztorze, w którym zostałam zakonnicą, nie ślubowano klauzury. Pozostawałam w onem miejscu blisko rok cały; przez trzy miesiące w tym czasie cierpiałam męki niewypowiedziane od leków, które mi zadawano tak gwałtowne, że niewiem jak je zdołałam wytrzymać; ostatecznie też, chociaż odważnie je znosiłam, organizm mój nie wytrzymał ich, jak w dalszym ciągu opowiem. Leczenie miało się rozpocząć z nastaniem wiosny, a wyjazd mój z klasztoru nastąpił jeszcze w początku zimy; cały ten czas spędziłam w domu siostry mojej [1]), o której mówiłam wyżej; wieś jej była niedaleko od miejsca [2]), na które się miałam udać; wolałam więc u niej doczekać kwietnia, nie narażając się na niepotrzebne jazdy tam i na powrót. W przejeździe, stryj mój, który jak mówiłam mieszkał po drodze, darował mi książkę, pod tytułem: *Trzecie abecadło* [3]), traktującą o sposobie modlitwy wewnętrznej czyli rozmyślania. Lubo w tym pierwszym roku dużo byłam czytała dobrych książek,—innych już nigdy czytać nie chciałam, pomnąc na to, jaką z nich szkodę odniosłam,—nie wiedziałam jednak jeszcze, jak się zachowywać na modlitwie, i jakich używać sposobów dla skupienia się w duchu; bardzo więc ucieszyłam się z tej książki; i postanowiłam trzymać się z wszystkich sił moich drogi w niej wskazanej; a iż Pan już przedtem był mi użyczył daru łez, i czytanie duchowne było dla mnie roskoszą, więc poczęłam w pewnych godzinach oddawać się samotności, i spowiadać się szczegółowo, i postępować we wszystkiem tą drogą, biorąc sobie

---

[1]) Marya de Cepeda.

[2]) Miejsce to zwało się Becedas albo Bezadas. Wyjazd św. Teresy z klasztoru Wcielenia, w towarzystwie świętobliwej jej przyjaciółki, Joanny Suarez, nastąpił w listopadzie r. 1535. Do kwietnia 1536 bawiła w Castellanos de la Canada, w domu siostry swej, Maryi de Cepeda, potem udała się do Becedas.

[3]) Autorem tego niepospolitego dziełka duchownego był O. Franciszek de Osuna, z zakonu Braci Mniejszych. Ob. o nim: *N. Antonio, Biblioth. Hispan. novae.*

oną książkę za przewodnika i nauczyciela; bo nie miałam innego nauczyciela, spowiednika mówię, któryby mię rozumiał, choć go szukałam, przez całe dwadzieścia lat od czasu, który tu opisuję, co mi wielką szkodę wyrządziło, tak iż po wiele razy cofałam się wstecz, i omało że całkiem nie zginęłam; spowiednik dobry byłby mi conajmniej dopomógł do uchronienia się okazii obrazy Boskiej, w jakich zostawałam.

W tych pierwszych zawiązkach duchownego życia mego, Boski Mistrz tak wielkie począł mi czynić łaski, że w końcu mojego w onej samotności pobytu, który trwał około dziewięciu miesięcy, — choć nie tak zachowywałam się wolną od obrazy Boskiej jak mi to książka moja przepisywała, ale na to nie zważałam; takie w najmniejszych rzeczach czuwanie nad sobą wydawało mi się prawie niepodobnem; wystrzegałam się grzechu śmiertelnego, a bodajbym choć to zawsze była czyniła; o grzechy powszednie mało się troszczyłam, i to mię gubiło;—w onym czasie więc począł Pan tak mię na tej drodze hojnością darów swoich obsypywać, iż mi użyczał łaski modlitwy odpocznienia, i niekiedy nawet podnosił mię aż do modlitwy zjednoczenia, lubo nie rozumiałam jeszcze ani jednej ani drugiej, i wysokiej ceny ich nie znałam, a zrozumienie ich wielkim, jak sądzę, byłoby dla mnie pożytkiem. Prawda że chwile tego zjednoczenia były tak krótkie, iż nie wiem czy trwały dłużej nad jedno Zdrowaś Marya; ale skutki pozostawiały po sobie tak wielkie, że choć nie miałam wówczas jeszcze i dwudziestu lat, zdawało mi się że wszystek świat trzymam zdeptany pod nogami, i litowałam się, pamiętam, nad tymi którzy mu służą, chociażby w rzeczach godziwych. Starałam się, o ile to było w mojej możności, przedstawiać sobie obecnego we mnie Jezusa Chrystusa, Pana naszego i wszystko dobro nasze; i ten był mój sposób modlitwy. Rozważając jaki szczegół życia Jego, wyobrażałam sobie, jakoby się spełniał we wnętrzu duszy mojej; ale najwięcej smakowałam w czytaniu dobrych książek, co było głównem dla mnie posileniem duchownem; bo daru rozmyślania rozumem Bóg mi nie użyczył, ani przedstawiania sobie rzeczy duchownych za pomocą wyobraźni, którą mam tak ciężką, że nawet człowieczeństwa Pana Jezusa, choć Go w myśli i w sercu

miałam obecnego, wyobrazić sobie, jakkolwiek się starałam, nigdy nie potrafiłam. Lubo przy tej niezdolności do rozmyślania rozumem, dusza, jeśli wytrwa, prędzej dochodzi do kontemplacyi, jest to jednak droga bardzo mozolna i trudna; bo gdy woli brak przedmiotu, którymby się zajęła, i na którymby, jako obecnym, miłość spoczęła, dusza pozostaje jakby bez podpory i bezczynna, osamotnienie i oschłość bardzo jej dolegają i myśli obce ciężką walkę z nią toczą. Duszom tak usposobionym większej potrzeba czystości sumienia, niż takim, które umieją działać rozumem; te ostatnie bowiem, rozmyślając nad marnością świata, i nad tem co człowiek winien Bogu, i jako wiele Bóg za niego ucierpiał, i jako on za to niedołężnie Bogu służy, i jakie nagrody Bóg oddaje tym którzy Go miłują, odnoszą z tego wszystkiego naukę, którą się bronić mogą od obcych myśli, i od okazyi i niebezpieczeństw; lecz komu niedostaje takiej ze strony rozumu pomocy, ten więcej narażony na one myśli i niebezpieczeństwa, i potrzeba mu pilnie oddawać się czytaniu, skoro sam z siebie żadnej przeciwko onymże obrony zaczerpnąć nie zdoła. Jest to droga tak trudna i męcząca, że gdyby przewodnik duchowny nastawał na taką duszę, aby zaniechała czytania – które postępującemu tą drogą bardzo jest pomocnem do skupienia ducha, owszem i niezbędnie potrzebnem, chociażby zresztą czytał nie wiele, i tyle tylko ile potrzeba na zastąpienie modlitwy wewnętrznej, do której nie jest zdolnym;—gdyby więc, mówię, takiej duszy kazano bez tej pomocy długo zostawać na modlitwie, twierdzę że niepodobna, by długo wytrzymywała ten przymus, i jeśliby dłużej pod nim zostawała, zdrowie jej na tem ucierpi; bo jest to, powtarzam, trud i walka nad siły.

Było to, jak teraz widzę, szczególnem zrządzeniem łaskawości Pańskiej, że nie znalazłam nikogo, ktoby mną kierował: bo gdyby mi się był trafił taki przewodnik, któryby mi zabraniał czytania, a zmuszał mię do samej tylko modlitwy myślnej, żadną miarą, zdaje mi się, nie byłabym wytrzymała tych udręczeń wewnętrznych i dojmujących oschłości, które cierpiałam przez ośmnaście lat, skutkiem onej, jak mówiłam, niemożności rozmyślania rozumem. Przez cały ten czas, nigdy, z wyjątkiem

dziękczynienia po Komunii, nie umiałam przystąpić do modlitwy bez książki, sama myśl zaczęcia modlitwy bez mojej książki przy sobie, tak mnie do głębi duszy przerażała, jak gdybym sama jedna miała wyjść na spotkanie całej gromady czyhających na mnie nieprzyjaciół. Mając pod ręką tę pomoc, która mi była jakoby towarzystwem i pokrzepieniem do odpierania pokus nastających na mnie myśli złych, uspokajałam się ogólności wtedy były rzadkim wyjątkiem, ale zawsze to mówiłam, ile razy brakło mi książki, bo zaraz wtedy trwożyła się dusza moja, i myśli moje się gubiły, dopócze za pomocą książki powoli je znowu skupiałam, i duszę jakby pomału do modlitwy pociągałam. Często dość mi było na to samego jej otworzenia książki, w innych razach czytałam krócej lub dłużej, wedle miary łaski, jakiej mi Pan użyczał. Zdawało mi się w tych pierwszych początkach, o których tu mówię, że byłabym miała książki i trzymała się samotności, żadne niebezpieczeństwo nie zdoła pozbawić mię tak wielkiego dobra, a zapewne takiby było przy łasce Boskiej, gdybym była miała przewodnika czy kogobądź, któryby mię uczył chronić się zawczasu okazyi, albo rychło mię z nich wyprowadzał, gdybym w nie wpadła. I gdyby czart wówczas otwarcie mię napastował i kusił, żadną miarą, zdaje mi się, nie byłabym się zgodziła na grzech śmiertelny. Ale podejścia jego były tak chytre, a ja tak niedobra, że wszystkie moje postanowienia na nic się nie przydały, choć prawdą, w dni, które spodobało się Bogu, bardzo wiele mi pomogły, dając mi siłę do znoszenia straszliwych, jakie cierpiałam, niemocy z taką wielką cierpliwością, jakiej mi Boski Majestat Jego użyczał. Częstokroć, na wspomnienie onych czasów, zdumiewałam się nad taką wielką dobrocią Boga, i dusza wewnątrz radowała się na widok niezmiernej hojności i miłosierdzia Jego. niech będzie błogosławiony za wszystko, bo widziałam jasno, że nigdy żadnej dobrej żądzy mojej nie pozostawił, jeszcze w tem życiu, bez nagrody. Jakkolwiek nędzne i niedoskonałe były uczynki moje, Pan bezprzestannie naprawiał je i doskonalszemi czynił, i wartości im dodawał, a złe uczynki i grzechy moje natychmiast pokrywał. W samychże nawet oczach tych którzy na nie patrzą, Boska łaskawość Jego dopuszcza, że

znikają, jakby ich nie widzieli, i w pamięci ich się zacierają. Zasłaniając winy moje, jakoby je pozłaca i porywa blaskiem cnoty, którą On sam sprawuje wemnie, i niejako zmusza mię wbrew mojemu sprzeciwianiu się, abym ją posiadała. Wracając teraz do tego co mi kazano, nasamprzód świadczę się, że gdybym miała po szczególe opowiadać, w jaki sposób Pan w tych pierwszych czasach kierował mną i rządził, nie potrafiłabym: większego, niż ja go mam, potrzebaby na to rozumu, aby należycie zaznaczyć i uwydatnić, i nieocenione łaski, jakie Mu w tym czasie zawdzięczam, i moję niewdzięczność i złość, iż wszystko to mogło mi wyjść z pamięci. Niech będzie błogosławiony na wieki za tę cierpliwość, z jaką tak długo mię znosił. Amen.

— - —

ROZDZIAŁ V.

Opisuje w dalszym ciągu wielkie niemoce, jakie miała do zniesienia, i cierpliwość z jaką Pan jej dał je przetrwać, i jako Pan umie złe obracać w dobre, jak się to okazało w pewnem zdarzeniu, które z nią zaszło w miejscu, kędy dla leczenia się przebywała.

Opowiadając wyżej, jak przebyłam rok nowicyatu, zapomniałam nadmienić o wielkich udręczeniach, jakie miewałam z powodu rzeczy, w istocie mało ważnych: często mię strofowano o winy, do których się nie poczuwałam: przyjmowałam te upomnienia z wielką przykrością, i z bardzo niedoskonałem usposobieniem, lubo przy górującem nad wszystkiem rozradowaniu, jakiem mnie napełniała ta myśl, że jestem zakonnicą, wszystko to odważnie znosiłam. Widząc że lubię chronić się na samotność, i ujrzawszy mię nieraz płaczącą nad grzechami mojemi, towarzyszki moje sądziły że jestem niezadowolniona, i głośno się z tym domysłem swoim odzywały. Ja do wszelkich ćwiczeń zakonnych ochotną miałam wolę, ale trudno mi było znieść najmniejszą oznakę pogardy czy lekceważenia, a rada byłam gdy mi okazywano szacunek. Wszystko co czyniłam, starałam się czynić z wdziękiem i wytwornością, i jeszcze to

wszystko za cnotę sobie poczytywałam, lubo to żadną nie może być dla mnie wymówką; bo bardzo dobrze o tem wiedziałam, że we wszystkiem szukam własnego zadowolenia swego, więc niewiadomość moja, z jaką brałam za cnotę to, co było tylko dogadzaniem sobie, nie zwalnia mnie od winy. Zdaniem niektórych, klasztor nasz nie odznaczał się wielką doskonałością, a ja niecnotliwa, co widziałam zdrożnego, tego się chwytałam, a co było dobrego, pomijałam. Była tam wówczas jedna zakonnica, złożona ciężką bardzo i bolesną niemocą; skutkiem obstrukcyi, poczyniły się jej były otwory w żołądku, któremi wychodziło cokolwiek przyjmowała; w krótkim też czasie z tej choroby umarła. Wszystkie wzdrygały się przerażone, na widok tego okropnego cierpienia; wemnie tylko cierpliwość chorej wielką zazdrość wzbudzała. Prosiłam Boga, aby jeżli raczy użyczyć mi podobnej cierpliwości, zesłał na mnie wszelkie, jakie Mu się spodoba, choroby. Nie było, zdaje mi się, tak wielkiej, którejbym się lękała: bo takie było wemnie pożądanie dóbr niebieskich, iż bez wahania gotowa byłam na wszelkie cierpienia dla osiągnięcia ich. Sama się dziwię takiej wówczas gotowości mojej; bo nie miałam jeszcze, zdaje mi się, tej wielkiej miłości Boga, jakiej, jeżli się nie mylę, nabyłam, od czasu jak zaczęłam oddawać się modlitwie wewnętrznej: było to tylko pewne oświecenie wewnętrzne, w którem poznawałam niewartą zachodu marność wszystkiego tego, co przemija, a nieskończoną cenę tych dóbr, które przez zrzeczenie się onych rzeczy ziemskich nabyć można, bo są to dobra wieczne. Pan w łaskawości swojej wysłuchał prośby mojej, i nim jeszcze drugi rok upłynął, popadłam w stan taki, iż lubo cierpienie moje innego było rodzaju niż choroba onej zakonnicy, o której wyżej mówiłam, sądzę przecie że nie było ono mniej bolesnem i dojmującem; cierpienie to trwało trzy lata, jak zaraz opowiem.

Gdy przyszedł czas leczenia, którego oczekiwałam mieszkając, jak mówiłam, na wsi u siostry mojej, ojciec mój, wraz z siostrą, i oną zakonnicą przyjaciółką moją, która z wielkiej swej dla mnie miłości towarzyszyła mi od wyjazdu z klasztoru, z troskliwem o wygodę moję w drodze staraniem, przewieźli

mię na miejsce kuracyi. Tu szatan począł trwożyć i nękać duszę moję ale Bóg to w wielkie dobro obrócił. W miejscu, gdzie przebywałam dla leczenia się, mieszkał piewien duchowny, mąż bardzo dobrego rodu i bystrego rozumu: miał i naukę, choć nie wielką. Zaczęłam się spowiadać u niego, bo zawsze miałam pociąg do ludzi z nauką, choć niemałą duszy mojej szkodę wyrządzili spowiednicy niedouczeni, ale prawdziwie uczonych, jakich pragnęłam, nie miałam. Przekonałam się o tem z własnego doświadczenia, że spowiednikowi, jeśli jedno jest kapłanem cnotliwym i świętobliwych obyczajów, lepiej jest nie mieć żadnej nauki niż mieć niedostateczną; bo wówczas ani on nie będzie dowierzał sobie, bez poradzenia się takich, którzy mają rzetelną naukę, ani też ja na nim z ufnością zupełną polegać nie będę; spowiednik na prawdę uczony nigdy mnie w błąd nie wprowadził. I tamci bez wątpienia nie mieli zgoła zamiaru oszukiwać mię, tylko że nie umieli lepiej; ja zaś sądziłam, że posiadają naukę potrzebną, i że jedynym obowiązkiem moim, wierzyć im, tem bardziej że rady i decyzye ich były luźne, i szeroką mi pozostawiały swobodę; gdyby mię byli ścieśniali, pewno przy niecnotliwem usposobieniu mojem, byłabym sobie poszukała innych. Co było grzechem powszednim, w tem upewniali mię że żadnego niema grzechu. Co było bardzo ciężkim grzechem śmiertelnym, to mi podawali za powszedni. Tak wielką ztąd szkodę odniosłam, że powinnam, zdaje mi się, wspomnieć tu o tem, dla przestrogi drugich, aby ich podobne nieszczęście nie spotkało: bo co do mnie, jasno to widzę, że przed Bogiem żadną mi to nie może być wymówką: dość tego że rzeczy, na które mi pozwalano, z natury swojej były niedobre, to samo już powinno było od nich mię powstrzymać. Snać za grzechy moje Bóg to dopuścił, że oni błądzili i mnie w błąd wprowadzali, a ja w błąd wprowadzałam wiele drugich, powtarzając im to, com od tamtych słyszała. Trwałam w tem zaślepieniu, zdaje mi się, przeszło siedmnaście lat, aż dopiero jeden Ojciec Dominikanin, wielki teolog [1]), po czę-

[1]) Uczony i świątobliwy O. Wincenty Baron: poznamy go bliżej w dalszym ciągu, bo Święta nieraz o nim mówić będzie.

ści wywiódł mię z błędu, a w końcu Ojcowie z Towarzystwa Jezusowego oświecili mię do reszty, i mocno przerazili mię, ukazując mi przewrotność onych fałszywych zasad, jak to w swojem miejscu opowiem. Gdy tedy zacząłam się spowiadać u onego duchownego, o którym wspomniałam, on nadzwyczajnie mię polubił: wówczas bowiem, w porównaniu z tem co było później, mało co miałam do wyznania na spowiedzi, nawet od czasu jak zostałam zakonnicą. Miłość jego dla mnie nie była grzeszna, ale przez zbytnią czułość swoję mogła się stać niedobrą. Z tego co mu mówiłam, rozumiał dobrze, że nigdy, za nic na świecie, nie zgodziłabym się obrazić Boga w rzeczy ważnej: on też z swojej strony podobne mi dawał co do siebie zapewnienie: zatem częste mieliśmy z sobą rozmowy. Pomimo wszelkich niedoskonałości moich, mając duszę przeniknioną słodkiem uczuciem obecności Boga, w niczem tak nie smakowałam, jak w rozmowie o rzeczach Bożych: zapał mój, zwłaszcza że tak jeszcze byłam młodą, zdumiewał go i zawstydzał: aż wreszcie, pod wpływem wielkiej swej dla mnie przychylności, wyznał mi nieszczęsny stan duszy swojej: grzech jego był nie mały: od blisko siedmiu lat żył w stanie zatracenia, utrzymując występnie miłosny stosunek z kobietą, w tenże miejscu zamieszkałą, a przytem sprawował Mszę świętą. Rzecz była głośna, z wielkim uszczerbkiem czci i sławy jego: nikt jednak nie śmiał wymawiać mu to w oczy. Mnie szczerze było żal jego, bo lubiłam go bardzo, i w wielkiej lekkomyślności i ślepocie mojej, za cnotę to sobie poczytywałam, że okażę się jemu wdzięczną, i wierną mu pozostanę za jego dla mnie przyjaźń i życzliwość. Przeklęta taka wierność, która się posuwa aż do sprzeniewierzenia się prawu Bożemu! Jest to przewrotny obyczaj świata, na którego wspomnienie wszystko się we mnie przewraca: boć wszystko, cokolwiek ludzie nam uczynią dobrego, Bogu to zawdzięczamy, a my za cnotę sobie poczytujemy, nie zrywać przyjaźni ludzkiej, chociażby była z obrazą Boga! O ślepoto świata! Jakieby to było szczęście dla mnie, Panie, i jakie uczczenie Ciebie, gdybym była się okazała najniewdzięczniejszą względem wszystkiego świata, bylebym tylko w niczem nie zaniechała należnej Tobie wdzięczności! lecz dla grze-

chów moich stało się przeciwnie. Starałam się zasięgnąć bliższych wiadomości od domowników jego, przez których też dokładnie się dowiedziałam o szczegółach upadku jego: przekonałam się że biedny nie tyle był winien, ile się wydawać mogło: nieszczęsna owa kobieta była wymogła na nim, aby dla miłości jej nosił na szyi jakiś bałwanek miedziany, do którego była przywiązała czary, i nie było człowieka któryby zdołał go skłonić do porzucenia tej bezecnej pamiątki. Ja stanowczo nie wierzę by było prawdą to, co opowiadają o podobnych czarach: ale mówię tu na co sama patrzałam, dla przestrogi drugich, aby się strzegli kobiet które się na takie drogi puszczają; niech będą pewni, że która raz utraci wstyd przed Bogiem, i tę skromność dziewiczą, do której sama już płeć niewieścia więcej ją obowiązuje niż mężczyznę, takiej w niczem już zaufać nie można: bo dla osiągnienia celu swego, i dla zaspokojenia tej żądzy, którą szatan w niej roznieca, nie masz tej niegodziwości, na którąby się taka kobieta nie ważyła. Co do mnie, choć tak byłam niecnotliwą, tego rodzaju winy nigdy się nie dopuściłam: nigdy nie miałam zamiaru czynić co złego, nigdy nie starałam się, choć mogłam, zmusić czyjąś wolę, aby się do mnie skłoniła, bo Pan mię od takiego grzechu uchował: gdyby mię był pozostawił samej sobie, byłabym i w tem zgrzeszyła, jak grzeszyłam w innych rzeczach, bo na mnie w niczem polegać nie można. Gdym się dowiedziała o tem wszystkiem, poczęłam mu okazywać większą jeszcze przychylność; zamiar mój był dobry, ale uczynek zły; bo dla dobrego celu, chociażby był najlepszym, nie godziło mi się uczynić najmniejszego złego. Mówiłam mu najczęściej o Bogu, co snać dobry wpływ na nim wywarło, lubo głównie, jak sądzę, wielkie jego do mnie przywiązanie taką słowom moim dawało skuteczność: bo chcąc mi zrobić przyjemność, zdobył się w końcu na oddanie mi bałwanka swego, który natychmiast kazałam wrzucić do rzeki. Jak tylko go się pozbył, zaraz mu, jakby się ze snu przebudził, stanęły na oczy wszystkie nieprawości, jakie w ciągu tych lat był popełnił, i wspomnieniem ich przerażony, i żałując występnego życia swego, stopniowo począł coraz bardziej brzydzić się onym grzesznym stosunkiem. Bez wątpienia Najświętsza Panna skutecz-

nie go przyczyną swoją wspomogła, bo wielkie miał nabożeństwo do Jej Poczęcia, i dzień onemuż poświęcony z wielką uroczystością obchodził. W końcu zupełnie porzucił wspólniczkę swoję i nieustanne dzięki czynił Bogu, że go raczył oświecić. Okrągło w rok od dnia, którego po raz pierwszy go widziałam, umarł. Już się był całkowicie nawrócił do służenia Bogu; bo w onem wielkiem przywiązaniu, jakie miał do mnie, nigdy nie widziałam nic złego, chociaż mogłoby było być czystszem: zawsze jednak nasuwało mi ono okazye, w których gdybym się nie była mocno trzymała w obecności Boskiej, ciężko obrazić Go mogłam. Miałam wówczas, jak mówiłam, niewzruszone postanowienie, nie uczynić nic takiego, w czembym widziała grzech śmiertelny; i to właśnie, że on widział takie wemnie postanowienie, jeszcze bardziej go, zdaje mi się, w przywiązaniu do mnie utwierdzało. Bo każdy mężczyzna, sądzę, zawsze będzie wyżej cenił kobietę, w której widzi skłonność do cnoty; i podobnież kobieta, to przywiązanie i wpływ jakie pragnie mieć u męża, tą drogą najprędzej pozyszcze, jak o tem później jeszcze mówić będę. Co do onego kapłana, mam to za pewne, że jest na drodze zbawienia. Umarł bardzo pobożnie, z zupełnem oderwaniem się od onej okazyi. Snać wolą Pańską było aby przez takie pośrednictwo został zbawiony.

Pozostałam w onem miejscu trzy miesiące, cierpiąc najsroższe boleści, bo kuracya o wiele była za gwałtowna na siły moje: po dwóch miesiącach, dzięki tym lekom, życie już prawie zemnie uchodziło; cierpienia sercowe, z których miano mię tam wyleczyć, wzmogły się znacznie, sprawiając mi ból coraz bardziej dojmujący: często miałam takie uczucie, jakby mię kto ostremi kłami za nie chwytał, tak iż obawiano się bym z bólu nie odeszła od siebie. Obok wielkiego upadku sił,—bo skutkiem ciągłych nudności nic nie mogłam jeść i tylko płyny przyjmowałam, — przy nieustającej gorączce i zupełnem wycieńczeniu, dzięki środkom przeczyszczającym, które mi przez cały miesiąc codzień zadawano, tak miałam wnętrzności spalone, że nerwy wemnie kurczyć się poczęły, z takim bólem nieznośnym, iż wednie i w nocy nie miałam odpoczynku, i smutek wielki mię nękał. Z takim to z onej kuracyi pożytkiem ojciec zabrał mię

na powrót do domu, gdzie znowu lekarze stan mój badali, ale wszyscy o mnie zwątpili, oznajmując, że w dodatku do wszystkich tych cierpień jeszcze mam suchoty. Mało mię to obchodziło: to jedno tylko czułam, że cierpię, bo od stóp do głowy bóle mię nękały ustawiczne; cierpienia nerwów, jak przyznawali samiż lekarze, sprawują ból nieznośny, a wemnie wszystkie się kurczyły; prawdziwie więc srogie, gdybym tylko z własnej winy nie była utraciła zasługi jego, cierpiałam męczeństwo. W męce tej przeżyłam nie dłużej nad trzy miesiące: choć i tak zdawało się rzeczą niepodobną, by kto mógł wytrzymać tyle cierpień na raz. Sama dzisiaj nad tem się zdumiewam, i za szczególną łaskę od Pana to sobie poczytuję, że taką mi dał w tej potrzebie cierpliwość, bo rzecz widoczna, że była to łaska Jego. Wiele mi do niej było pomocnem to, że niedawno przedtem czytałam historyę Joba, w księdze *Moraliów* św. Grzegorza, którem to czytaniem snać Pan sam chciał mię zawczasu przygotować, abym zdołała to wszystko znieść z takiem zgodzeniem się na wolę Jego; również i modlitwa wewnętrzna, której wówczas zaczynałam się oddawać, siły mi do cierpienia przymnażała. Wszystka rozmowa moja była z Bogiem tylko. Ustawicznie miałam na myśli i powtarzałam sobie te słowa Joba [1]): „Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki Bożej, złego czemubyśmy przyjmować nie mieli?“ i to widać ducha mi dodawało.

Nadeszło święto Matki Boskiej sierpniowej [2]) (Wniebowzięcia); od kwietnia już aż do tego czasu trwały katusze moje, choć ostatnie trzy miesiące silniej cierpiałam niż z początku. Objawiłam gorące pragnienie wyspowiadania się, bo zawsze byłam ochotną do częstej spowiedzi. Sądzono że żądanie moje pochodzi z bojaźni śmierci, zaczem ojciec mój, chcąc mi oszczędzić trwogi, nie pozwolił. O niebaczna miłości ciała i krwi! kiedy nawet taki prawy katolik i człowiek tak światły, jakim był mój ojciec,—bo światłym był bardzo, i nie przez niewiadomość zbłądził w tym razie,— oprzeć się jej nie umiał; a jakże wielką szkodę mógł mi przez to wyrządzić. Tejże nocy wpadłam

[1]) Job. 2, 10.—[2]) R. 1536; święta miała wówczas 21 lat.

w paroksyzm, skutkiem którego cztery dni bez mała leżałam całkiem bez czucia; i w tym stanie dali mi Sakrament Ostatniego Pomazania; każdej godziny, lada chwila raczej, sądzono że skonam; bezprzestannie mówiono mi do ucha *Wierzę w Boga*, jak gdybym mogła co słyszyć albo rozumieć. Chwilami tak mię już mieli za umarłą, że potem, gdym przyszła do siebie, oczy miałam pełne wosku, którym na mnie, świecąc mi w twarz, nakapali. Ojciec mój gorzko żałował, że nie pozwolił mi się wyspowiadać; jakież gorące zanosił za mną wołania i modlitwy do Boga! Niech będzie błogosławiony Pan, iż raczył go wysłuchać! bo gdy już od półtora dnia otwarty był grób dla mnie w klasztorze moim, gdzie czekano ciała mego, a w klasztorze męzkim, za miastem, zakonnicy już byli odprawili za mnie żałobne nabożeństwo, spodobało się Panu bym przyszła do siebie. Natychmiast prosiłam o spowiedź. Przyjęłam Komunię, płacząc rzewnemi łzami; lecz łzy te, zdaje mi się, nie płynęły z samego tylko uczucia żalu i skruchy, iżem obraziła Boga, ale i z ufności w dobroć Jego, iż mocen jest zbawić mię, chociażby błąd w który mię wprowadzili tamci mówiąc mi, że nie są grzechem śmiertelnym pewne rzeczy, które potem niewątpliwie poznałam że są, nie był dla mnie dostateczną wymówką. Pomimo że cierpiałam boleści nie do wytrzymania, skutkiem czego i przytomność miałam niezupełną, spowiedź jednak, zdaje mi się, odbyłam dokładną z wszystkiego, w czem mi się zdawało że obraziłam Boga; bo prócz innych łask i tę mi dał Pan w Boskiej dobroci swojej, że odkąd zaczęłam przystępować do Stołu Pańskiego, nigdy nie opuściłam na spowiedzi niczego, w czem uznawałam grzech, choćby tylko powszedni, żebym go nie wyznała. Z tem wszystkiem jednak mam to niewątpliwe przekonanie, że źle byłoby ze zbawieniem mojem, gdybym wówczas była umarła, z jednej strony dla błędnego kierunku nieoświeconych spowiedników, a z drugiej, dla niewierności moich, i dla wielu innych przyczyn. Prawdę mówię, i tak jest, że gdy wspomnę na oną chwilę życia mego, i jako Pan wówczas prawie mię wskrzesił z martwych, cała jestem przerażona, i jakoby dreszcz trwogi mię przenika. Snać należało tobie, duszo moja, w bacznej mieć pamięci to niebezpieczeństwo, z którego

Pan cię wybawił, aby, kiedy miłość nie zdołała cię powstrzymać od obrażania Go na nowo, przynajmniej powstrzymała cię bojaźń; boć i potem tysiąc razy mógł cię zabrać z tego świata, w stanie jeszcze groźniejszym. Pewno nie przesadzam gdy mówię, tysiąc razy; choć mię za to strofować będzie ten, który mi kazał powściągać się w opowiadaniu grzechów moich; i tak wychodzą one tu bardzo upiększone. Proszę go dla miłości Boga, by nic nie wykreślał z tego co piszę o winach moich, bo tem jaśniej przez nie objawia się wielmożność Boga, i długomyślność, z jaką znosi taką duszę jak moja. Niech będzie błogosławiony na wieki! błagam Boskiego Majestatu Jego, niech mię raczej w proch zetrze, niżbym kiedy przestała coraz więcej Go miłować.

ROZDZIAŁ VI.

Jako wielką łaskawość swoję Pan nad nią okazał, dając jej zgodzenie się z wolą Jego w tak wielkich cierpieniach. Jako obrała sobie chwalebnego świętego Józefa za pośrednika i orędownika, i jak wielką korzyść z tego nabożeństwa odniosła.

Po tych czterech dniach paroksyzmu, takie mi pozostały nieznośne boleści, że Panu samemu wiadomo, ile od nich cierpiałam. Język sama sobie pokaleczyłam na strzępy; gardło, od długiego nieprzyjmowania żadnego pokarmu, i od wielkiego zniemożenia które mię dławiło, tak miałam zaschłe, że kropli wody przełknąć nie mogłam. Cała byłam jakby rozbita, z niewypowiedzianym zawrotem w głowie; katusze onych dni do takiego mnie stanu były przywiodły, że wszystko ciało miałam skurczone, i leżałam zwinięta w kłębek, nie mogąc ruszyć ani ramieniem, ani ręką, ani nogą, ani głową, cała bezwładna, cudzą tylko siłą poruszana, jakby umarła: w jednym tylko palcu prawej ręki ile pamiętam, miałam jeszcze władzę. Otaczający nie widzieli jak przystąpić do mnie, bo tak byłam zbolała na całem ciele, że najmniejszego dotknięcia znieść nie mogłam: w prześcieradle tylko, trzymając je za cztery końce, podnosili mię. Trwało

to aż do niedzieli Kwietniej. To jedno mię pokrzepiało, że gdy nikt mnie nie ruszał, bóle częstokroć ustawały. Każda, najmniejsza ulga już mi się wydawała wyzdrowieniem, bo bałam się by mi w końcu nie zabrakło cierpliwości. Wielka też była radość moja, gdy wreszcie uczułam się wolną od tak dojmujących i nieustannych boleści; lubo i potem jeszcze niewypowiedzianie cierpiałam na nie, za każdym powrotem ostrych dreszczów, bardzo silnej podwójnej febry czwartaczki, która mi była pozostała. Wraz z tem jakiemkolwiek polepszeniem, tak wielkie uczułam pragnienie powrotu do klasztoru, że na prośby moje zaniesiono mię tam taką, jaką byłam. Którą tedy czekano umarłą, powitano jeszcze duszę w sobie mającą, ale z ciałem gorzej niż umarłem; aż przykro było patrzyć na nie, tak niesłychanie wycieńczone, że wyrazić trudno; pozostały z niego same tylko kości. W takim stanie, jak już mówiłam, zostawałam przeszło ośm miesięcy, ale sparaliżowanie, ze stopniowem polepszeniem, trwało blizko trzy lata. Gdym już mogła pełzać na czworakach, z radością dziękowałam Bogu. Wszystkie te cierpienia zniosłam z wielkiem poddaniem się woli Bożej, a nawet, z wyjątkiem pierwszych, i z weselem; bo wszystkie późniejsze wydawały mi się jakby niczem w porównaniu z temi boleściami i mękami, które cierpiałam z początku; byłam w zupełnej zgodzie z wolą Bożą, chociażby mię w takim stanie pozostawił na zawsze. Jedynym zdaje mi się, powodem, dla którego pragnęłam wyzdrowieć, była chęć oddawania się na samotności modlitwie wewnętrznej, w sposób jaki mi był ukazany, bo w infirmeryi nie miałam do tego możności. Spowiadałam się bardzo często, mówiłam prawie ustawicznie o Bogu; siostry wszystkie były tem zbudowane, i zdumiewały się nad cierpliwością, jakiej Pan mi użyczał, bo rzeczywiście, gdyby nie to, że pochodziły z ręki Jego Majestatu, zdawałoby się rzeczą niepodobną, z takiem weselem znosić tak wielkie cierpienia. Wielkiem była dla mnie dobrodziejstwem łaska której mi Bóg użyczył, dając mi ducha modlitwy wewnętrznej; przez nią uczułam, na czem zasadza się miłość Jego, i w krótkim czasie ujrzałam rodzące się we mnie te nowe cnoty, które zaraz wymienię, choć jeszcze słabe, skoro

nie zdołały utrzymać mnie na drodze sprawiedliwości: Nie mówiłam źle o nikim, choćby w rzeczy najmniejszej, ale raczej miałam we zwyczaju tłómaczyć każdego, kogo przy mnie obmawiano, mając zawsze na pamięci tę zasadę, że nie powinnam ani z przyjemnością słuchać, ani sama mówić tego o drugich, czego nie chciałabym by mówiono o mnie: trzymałam się jak najmocniej tego prawidła, ile razy zdarzyła się do tego okazya, lubo nie z taką doskonałością, bym niekiedy, w nagłem jakiem zdarzeniu, nie uchybiła w czemkolwiek; ale zwykły mój sposób postępowania był taki; siostry także towarzyszki moje i osoby, z któremi przestawałam, tak zdołałam nakłonić, iż również ten obyczaj przyjęły. Ztąd poczęto mówić o mnie, że gdzie ja jestem, tam każdy ma plecy bezpieczne, i takąż samą od obmowy obronę miał bliźni u wszystkich, z któremi żyłam w przyjaźni, albo miałam pokrewieństwo, albo którzy nauk moich słuchali: lubo w innych rzeczach wiem dobrze, że zdam Bogu liczbę ze złego przykładu, jaki im dawałam. Błagam Boskiego Majestatu Jego, aby mi raczył odpuścić, bo w wielu razach byłam drugim przyczyną do złego, jakkolwiek intencya moja nie była nigdy tak niegodziwą, jakim się potem uczynek okazał. Pozostało mi dawne moje zamiłowanie do samotności: lubiłam zastanawiać się nad rzeczami Bożemi i rozmawiać o Bogu, i ile razy znalazłam sposobność do takiej rozmowy, większe z niej miałam zadowolnienie i pociechę, niż z wszystkiej wytworności, czyli prawdziwiej mówiąc, jałowości rozmów światowych. Do Komunii i do spowiedzi bardzo często przystępowałam i gorąco do nich przystępować pragnęłam: z rozkoszą czytałam dobre książki: najgłębszą miałam skruchę, ile razy zdarzyło mi się w czem obrazić Boga; nieraz, pamiętam, bałam się przystąpić do rozmyślania, wiedząc że na niem uczuję niewypowiedziany ból za to żem Go obraziła, i lękając się tego uczucia, jakby najcięższego karania. Ból ten w późniejszym czasie jeszcze bardziej się wzmagał, i do takiego stopnia dochodził, że nie wiem do czegobym przyrównać mogła mękę, jakiej od niego doznawałam. Nigdy jednak, ani w najmniejszej cząstce, ból ten nie pochodził z bojaźni; ale w obec tych łask, jakich mi Pan użyczał na modlitwie, widząc jako wiele Mu

winnam, a jako źle Mu się wywdzięczam, znieść tego nie mogłam, i gorżko sobie wymawiałam te rzewne łzy, jakie nad przewinieniami mojemi wylewałam, kiedy jednak małą w sobie widziałam poprawę, i ani postanowienia, ani żadna usilność moja, ani pokuty, jakie w takich zdarzeniach sobie zadawałam, nie zdołały mnie powstrzymać od nowych upadków; łzy te wydawały mi się obłudnemi, i wina znowu po nich popełniona tem większą mi się przedstawiała, że widziałam dobrze, jak wielką łaskę Pan mi czyni, dając mi taki dar łez i taką wielką skruchę. Starałam się wyspowiadać jak najprędzej, i czyniłam z mojej strony, zdaje mi się, co mogłam, aby łaskę u Boga odzyskać. Wszystkiego złego ta była przyczyna, że nie wyrywałam go z korzeniem, że nie porzucałam okazyi, a także i to, że od spowiedników małą pomoc miałam; bo gdyby mię ostrzegli o niebezpieczeństwie w jakiem zostawałam, i o obowiązku zaniechania onych stosunków ze światem, bez wątpienia, jak sądzę, byłabym się poprawiła, bo żadną miarą nie byłabym tego zniosła, bym miała choćby jeden dzień świadomie żyć w jasno poznanym grzechu śmiertelnym. Wszystkie te oznaki rosnącej we mnie bojaźni Bożej przyszły mi z modlitwą wewnętrzną; a największą z nich i najszczęśliwszą była ta, że miałam bojaźń jakoby pochłoniętą w miłości, bo myśl o karze zupełnie mi się nie nasuwała. Przez cały czas tej ciężkiej choroby mojej, pilnie czuwałam nad sumieniem mojem, o ile chodziło o uchronienie się grzechów śmiertelnych. Żal się Boże! pragnęłam zdrowia, abym lepiej mogła służyć Panu, a ono właśnie stało się przyczyną wszystkiej szkody, jaką poniosłam na duszy. Widząc siebie sparaliżowaną w tak młodym wieku, i skazaną na bezwładność, do której mię przywiedli lekarze ziemscy, postanowiłam uciec się do lekarzy niebieskich, aby oni mię uzdrowili, bo gorąco pragnęłam zdrowia, jakkolwiek z weselem znosiłam chorobę, owszem i nieraz miewałam tę myśl, że gdybym zdrową będąc miała zasłużyć sobie na potępienie, lepiej mi pozostać chorą; ale zawsze mi się zdawało, że w zdrowiu daleko lepiej będę mogła służyć Bogu. Tak to sami siebie łudzimy, nie chcąc zdać się całkowicie na wszelkie zrządzenia Pana, który lepiej wie co nam pożyteczno.

Poczęłam tedy odprawiać na tę intencyę różne nabożeństwa, dając na Msze święte, i odmawiając modlitwy autentycznie aprobowane; bo innych nabożeństw nigdy nie lubiłam, jak je odprawiają niektórzy, zwłaszcza niewiasty, z różnemi ceremoniami: ja takich wymysłów nie cierpiałam, choć one w nich miały nabożne upodobanie swoje, aż później się okazało że to rzeczy niedobre i trącące zabobonem. Obrałam sobie za orędownika i patrona chwalebnego świętego Józefa, usilnie jemu się polecając; jakoż i widocznie doznałam, że jak w tej potrzebie, tak i w innych pilniejszych jeszcze, w których chodziło o cześć moję i o zatracenie duszy, ojciec ten mój i patron wybawił mię, i więcej mi dobrego uczynił niż sama prosić umiałam. Nie pamiętam bym kiedybądź, aż do tej chwili, prosiła go o jaką rzecz, którejby mi uczynić zaniechał. Jest to rzecz zdumiewająca, jak wielkie rzeczy Bóg mi uczynił za przyczyną tego błogosławionego Świętego, z ilu niebezpieczeństw na ciele i na duszy mię wybawił. Drugim Świętym Pan, rzec można, dał łaskę wspomagania nas w tej lub owej potrzebie, temu chwalebnemu Świętemu, jak o tem wiem z własnego doświadczenia, dał władzę wspomagania we wszystkich; chciał przez to nas upewnić, że jako był Jemu poddany na ziemi, — bo będąc opiekunem i mniemanym ojcem jego, święty Józef miał prawo mu rozkazywać, — tak i w niebie czyni wszystko, o cokolwiek on Go prosi. Przekonali się o tem i drudzy niektórzy, którym poradziłam aby się jemu polecili, i sami na sobie tegoż doświadczali; i coraz więcej jest takich którzy go czczą i wzywają, doznając na sobie tej prawdy. Starałam się obchodzić święto jego z wszelką, na jaką się zdobyć mogłam, uroczystością, ale było w tem więcej próżności niż ducha. Chciałam by wszystko było pięknie i wytwornie, choć z dobrą intencyą; ale w tem było złe, że gdy Pan mi dawał łaskę uczynienia czego dobrego, dobre to było pełne niedoskonałości i uchybień; a do złego, do próżności, do wytworności z wielką się zręcznością i pilnością przykładałam; niech mi Pan raczy odpuścić. Pragnęłabym wszystkich pociągnąć do pobożnej czci tego chwalebnego Świętego, wiedząc z długoletniego doświadczenia, jak wielkie dobra on jest mocen wyjednać nam u Boga. Nigdy

jeszcze nie spotkałam nikogo, ktoby prawdziwe miał do niego nabożeństwo, i szczególną mu służbę oddawał, a nie czynił coraz większych postępów w cnocie; bo on w sposób dziwnie skuteczny wspomaga każdą duszę, która się mu poleca. Od wielu lat już, o ile pamiętam, co roku w dzień święta jego proszę go o jaką łaskę, i zawsze ją otrzymuję; a jeśli prośba moja jest w czem niewłaściwa, on ją zawsze sprostuje dla większego dobra mego. Gdybym miała upoważnienie do pisania o czem innem, niż co mi pisać kazano, ochotnie rozszerzyłabym się tu, opisując z wszystkiemi szczegółami łaski, przez tego chwalebnego Świętego mnie i innym uczynione; lecz nie chcąc uczynić więcej nad to co mi kazano, wielu rzeczy pobieżnie tylko dotykam i krócej opisuję, niżbym chciała, a znowu nad innemi dłużej się rozwodzę niż potrzeba; słowem, w tem, jak we wszystkiem dobrem, brak mi należnego rozsądku. Proszę tylko dla miłości Boga każdego, ktoby mi nie wierzył, niech spróbuje, a z własnego doświadczenia przekona się, jak dobra i pożyteczna to rzecz, polecać się temu chwalebnemu Patryarsze i czcić go nabożeństwem. Szczególnie dusze oddane modlitwie wewnętrznej powinnyby go ustawicznie wzywać, z ufnością i z miłością; nie rozumiem jak można pomyślić o Królowej Anielskiej, i o tych latach które przeżyła z Dzieciątkiem Jezus, a nie dziękować zarazem świętemu Józefowi za poświęcenie, z jakiem wówczas Ich oboje opieką swoją otaczał. Kto nie znalazł jeszcze mistrza, któryby go nauczył modlitwy wewnętrznej, niech sobie tego chwalebnego Świętego weźmie za mistrza i przewodnika, a pod wodzą jego nie zbłądzi. Obym tylko ja nie zbłądziła, że się ważyłam mówić o nim! bo choć głośno się oświadczam z moją dla niego czcią i nabożeństwem, wszakże w służbie jemu należnej i w naśladowaniu przykładu jego zawsze chromałam [1]). On, wedle łaskawej wiel-

[1]) Nie najmniejsza to zasługa i chwała św. Teresy, i nie ostatni ze znaków opatrznościowego jej w Kościele posłannictwa, że ona pierwsza, albo przynajmniej ona głównie przyczyniła się do uświetnienia i rozpowszechnienia tej czci, jaką Kościół Katolicki i wszyscy wierni otaczają chwalebnego Oblubieńca Najświętszej Panny Maryi i Opiekuna wcielonego Syna Bożego, św.

możności swojej sprawił to, że podniosłam się z łoża boleści, i znowu chodzić mogłam, uzdrowiona z paraliżu mego; ja, wedle nędzy i niewierności mojej, łaski tej na złe użyłam.

Ktoby temu dał wiarę, że po tylu łaskach Bożych, tak prędko znowu upaść miałam, pomimo że Boski Majestat Jego poczynał mię darzyć cnotami, które same przez się pobudzały mię do służenia Jemu, pomimo że na krótko przedtem widziałam siebie jakoby już umarłą i w tak wielkiem niebezpieczeństwie potępienia, pomimo że Pan tylko co był mię wskrzesił

Józefa Patryarchę. „Ona była", mówi O. Patrignani (*Nabożeństwo do ś. Józefa*, ks. I, r. 11) „gwiazdą, jedną z najświetniejszych i jednym z najwspanialszych klejnotów w koronie św. Józefa. Ona była wybrana od Boga, aby po wszystkim świecie cześć tego Świętego rozszerzyła, i jakoby ostatnią rękę do tego wielkiego dzieła przyłożyła". Za jej staraniem pierwszy powstał w świecie chrześcijańskim kościół poświęcony św. Józefowi. Przedtem, jak wykazują Bollandyści, były przy niektórych kościołach jak w Rzymie i w Awinionie, kaplice pod wezwaniem Świętego, ale świątyni na cześć jego wzniesionej nie masz śladu, aż do zbudowania kościoła św. Józefa w Awili, który był kolebką Karmelu zreformowanego." Z siedmnastu klasztorów, po tym pierwszym założonych przez św. Teresę, pięć tylko jest, nie noszących tytułu św. Józefa; ale szczególną cześć jego Święta zaprowadzała we wszystkich, każdy oddając pod szczególną opiekę jego, i bramę każdego zdobiąc posągiem tego chwalebnego patrona i opiekuna swego. Nadto, jak to stwierdzają akta instrukcyi do sprawy jej kanonizacyi, nad każdym umieszczała własnoręcznie wyobrażenie Najświętszej Panny i św. Józefa, uchodzących z Dzieciątkiem do Egiptu, z tym podpisem: *Pauperem vitam geримus, sed multa bona habebimus, si timuerimus Deum.* — „Ubogi żywot wiedziemy, ale wiele dóbr mieć będziemy, jeżeli się boimy Boga" (Tob. 4, 23). Wszystkie też pisma jej tchną tą gorącą i głęboką czcią dla św. Józefa, i serdeczną, dziecięcą prostotą, z jaką ją wyraża, mimowoli pociągają do niej duszę czytelnika. „Nad wszystkich Świętych, których słusznie czcicie jako opiekunów waszych,— tak upomina duchowne córki swoje, szczególne miejcie nabożeństwo do św. Józefa, który tak wielką ma władzę u Boga" (*Przestrogi*, LXV). Wszystek też zakon jej, wiernie, jako drogą spuściznę przechował ducha jej żarliwej o chwałę św. Józefa gorliwości. Nowy, zreformowany Karmel, w szerzeniu czci jego co najmniej dorównał dawnemu, któremu Benedykt XIV oddaje to świadectwo, iż „on, według zgodnego zdania uczonych, przyniósł ze Wschodu na Zachód chwalebny obyczaj czczenia św. Józefa jak najuroczystszem nabożeństwem" (*De Beatif. et Canoniz.*, l. IV. p. II, XX, n. 17). Pod koniec XVII w. w samym tylko Karmelu było przeszło 150 kościołów pod wezwaniem św. Józefa.

na duszy i na ciele, ku zdumieniu tych którzy mię już mieli za umarłą, a teraz widzieli mię żywą? Czem to się dzieje, Panie mój, że potrzeba nam żyć na tej ziemi życiem tylu niebezpieczeństwy zasłanem? W chwili gdy to piszę, zdaje mi się że z łaski i miłosierdzia twego mogłabym powiedzieć ze świętym Pawłem, choć nie tak doskonałem sercem jak on, że żyję, już nie ja, ale Ty, Stworzycielu mój, żyjesz we mnie, jako już od kilku lat, o ile pojąć zdołam, trzymasz mię ręką twoją, i widzę w sobie pożądania i postanowienia, czynem także w ciągu tych lat wielokrotnie stwierdzone, nie uczynienia nigdy niczego, choćby w rzeczy najmniejszej, coby było przeciwnem woli twojej, lubo zapewne w wielu rzeczach obrażam Majestat twój nieświadomie: i nie masz, zdaje mi się takiej rzeczy, którejbym, gdy mi się sposobność do niej nadarzy, dla miłości twojej sercem bardzo ochotnem podjąć się wahała, i w niejednem zdarzeniu Ty mię wspomogłeś, abym rzecz podjętą szczęśliwie wykonać zdołała. Nie kocham świata, ani żadnej rzeczy która jego jest, i nic mię, mniemam, ucieszyć nie może, jedno co od Ciebie i z Ciebie jest, a wszystko inne za krzyż ciężki sobie poczytuję. Być może że się mylę, i że nie masz we mnie tego co mówię, ale Ty widzisz, Panie mój, że o ile rozumiem siebie, nie kłamię. Lękam się jednak, i nie bez słusznego powodu, bym nie była znowu opuszczona od Ciebie: bo wiem dobrze, jak niedaleko sięga męztwo moje, i jak mała jest we mnie cnota, jeżlibyś Ty, Panie, ustawicznie mi jej nie dodawał, i nie wspierał mię, abym od Ciebie nie odbiegła: i daj Boże, bym już teraz nie była opuszczona od Ciebie, by wszystko to, co tu mówię o sobie dobrego, nie było złudzeniem. Nie rozumiem, jak możemy kochać to życie, tak ze wszech miar niepewne! Zdawało mi się już rzeczą zgoła niepodobną, bym kiedy jeszcze tak daleko odeszła od Ciebie; ale tyle razy Ciebie opuściwszy, nie mogę nie lękać się o siebie: bo skoro tylko na chwilę odstąpiłeś odemnie, tejże chwili całym ciężarem moim upadłam na ziemię. Bądź błogosławiony na wieki, że choć ja opuszczałam Ciebie, Ty nigdy mnie nie opuściłeś tak zupełnie, bym nie powstała znowu z upadku, bo Ty za każdym razem podałeś mi rękę; tylko że ja nieraz

przyjąć jej nie chciałam, ani usłuchać głosu twego, gdy mię po wiele razy wołałeś, jako zaraz opowiem.

ROZDZIAŁ VII.

Jakiemi drogami postradała stopniowo łaski od Pana jej użyczone, i zeszła na tryb życia bardzo niedoskonały; jakie szkodliwe następstwa pociąga za sobą dla klasztorów żeńskich brak ścisłej klauzury.

Zsuwając się tedy z rozrywki w rozrywkę, i z próżności w próżność, i z okazyi w okazyę, tak się stopniowo w tę okazyę uplątałam, i do takiego, od tych próżności, dusza moja doszła rozproszenia, że już i wstyd mię było, tak poufnie przyjacielskiem obcowaniem, jakiem jest modlitwa wewnętrzna, wznosić się jeszcze do Boga; do czego przyczyniło się i to, że w miarę jak rosły grzechy moje, ubywało mi smaku i upodobania do ćwiczenia się w cnocie. Widziałam-ci jasno, Panie mój, że dla tego mię opuszczają one rozkosze duchowne, że ja opuszczałam Ciebie. Była to najstraszniejsza zdrada, jaką mógł mię podejść duch ciemności, że pod pozorem pokory nie śmiałam już odbywać modliwy wewnętrznej, widząc siebie tak grzeszną; zdawało mi się, że lepiej iść drogą zwyczajną, jakiej się trzyma wielu drugich, i poprzestać na odmawianiu przepisanych modlitw ustnych, kiedy niecnotliwem życiem mojem należę do rzędu najgorszych, niż porywać się na modlitwę wewnętrzną i tak bliskie z Bogiem obcowanie, mnie, zasługującej na towarzystwo z czartami, i oszukującej tylko ludzi. Bo w zewnętrznem postępowaniu mojem zachowywałam wszelkie pozory cnoty; ani też domu, w którym żyłam, nie można winić o to, że korzystne o mnie miał mniemanie, bo sama, zręczną układnością moją byłam temu winna, że dobrze o mnie trzymano, udając, choć nie umyślnie, pobożną. Nieświadomie, mówię, i nieumyślnie, bo co się tyczy obłudy i próżnej chełpliwości, nie pamiętam, dzięki Bogu, bym Go kiedy świadomie w tem obraziła; owszem, za pierwszem zaraz poruszeniem próżności, skoro je w sobie spostrzegłam, z taką usilnością z niem

walczyłam, że diabeł odchodził pobity na głowę, a ja pozostawałam z zasługą odniesionego zwycięztwa; jakoż w tym punkcie nigdy mnie bardzo natarczywie nie kusił. Może, gdyby Bóg mu był dozwolił tak silnie w tem, jak to czynił w innych rzeczach, nastawać na mnie, byłabym i w tem upadła; ale Boska łaskawość Jego dotąd mię od tego grzechu chroniła, za co niech będzie błogosławiony na wieki! Przeciwnie, bardzo mi to ciężyło, że drudzy dobre o mnie mieli mniemanie, boć znałam dobrze skrytości duszy mojej. Że nie miano mnie za tak niecnotliwą, jaką byłam, pochodziło to ztąd, że mimo młody wiek mój, i wśród tylu okazyi, widzieli mię chroniącą się często na samotność, na długie modlitwy i czytania duchowne; że rada rozmawiałam o Bogu; że lubiłam umieszczać, gdzie tylko mogłam, wyobrażenia Boskiego Zbawiciela; że utrzymywałam kapliczkę, ubierając ją w ozdoby zdolne pobudzić do pobożności; że nie mówiłam źle o nikim, i inne rzeczy tym podobne, mające pozór cnoty; a ja w próżności mojej umiałam zręcznie i udatnie chodzić około takich rzeczy, które na świecie zwykły mieć powodzenie. Skutkiem tego zostawiano mi takąż, i większą jeszcze, jak najstarszym siostrom, swobodę, i z zupełnem bezpieczeństwem na mnie polegano. I w rzeczy samej, samowolnie pozwalać sobie na cokolwiekbądź, czynić cokolwiekbądź bez upoważnienia, wdawać się w pokryjome, przez szpary, przez ściany, w ciemności nocnej rozmowy, i to jeszcze w klasztorze, są to rzeczy, których nigdy, zdaje mi się, nie zdołałabym się dopuścić, i nigdy podobnych wykroczeń się nie dopuściłam, bo Pan mię trzymał za rękę. Zdawało mi się,—bo w wielu razach rozważnie i statecznie umiałam się zapatrywać na rzeczy,—że niestatkiem moim wystawiać na szwank dobrą sławę tylu sióstr dobrych i cnotliwych, byłoby to z mojej strony bardzo złym i nieuczciwym uczynkiem; jak gdyby dobremi były inne uczynki których się dopuszczałam! chociaż złość ich nie była tak rozmyślną, jakąby była ta o której mówię, zawsze jednak były one bardzo złe.

Z tego względu, wielką mi to, jak sądzę, szkodę wyrządziło, że klasztor, do którego wstąpiłam, nie miał klauzury; swoboda, której drugie, dobre i cnotliwe, mogły ze spokojnem

sumieniem używać, bo nie składając ślubu na klauzurę, do niczego więcej nie były zobowiązane, mnie, złą i niecnotliwą, z pewnością byłaby zawiodła do piekła, gdyby Pan szczególną łaską swoją, i tylą skutecznych sposobów i pomocy, nie był mię od tego niebezpieczeństwa wybawił. Jest to więc, zdaniem mojem, niebezpieczeństwo bardzo groźne, gdy w klasztorze żeńskim swobodne się zachowują stosunki ze światem. Taki klasztor, dla dusz skłonnych do życia luźnego, raczej jest, jak sądzę, drogą do piekła, niż skutecznem, na ułomność ludzką, lekarstwem. Nie mam tu bynajmniej na myśli klasztoru mojego, bo jest w nim tyle dusz bardzo szczerą wolą i doskonałem sercem Panu służących, że Boski Majestat Jego nie może, wedle wielkiej dobroci swojej, nie otaczać ich łaską swoją; nie należy też ten klasztor do rzędu domów zbytnie dla świata przystępnych, i reguła zakonna ściśle w nim jest przestrzeganą; ale mówię tu o innych klasztorach, o których wiem i na które sama patrzałam. Żal mi bardzo, wyznaję, dusz które do takich klasztorów popadły; potrzeba im, nie raz ani dwa, ale nieustannie, szczególnych łask i natchnień od Pana, aby mogły być zbawione w takiem otoczeniu, w którem zaszczyty i zabawy światowe w takiem są poważaniu, i tak mało jest zrozumienia obowiązków zakonnych, że daj Boże aby nie poczytywały tego za cnotę co jest grzechem, jak to ja tyle razy czyniłam; a oświecenie ich, aby poznały błąd swój, jest rzeczą tak niełatwą, że Pan sam tylko mocen jest pokonać tę trudność wszechwładną ręką swoją. Gdyby rodzice usłuchali rady mojej, nie zgodziliby się nigdy na oddanie córki swojej do takiego klasztoru, jeśli już nie ze względu na jej zbawienie, któremu tam większe zagraża niebezpieczeństwo niż na świecie, tedy choć ze względu na własny honor swój; niechby ją raczej wydali za mąż, choćby za człowieka niższego stanu, niżby ją mieli umieścić w podobnym klasztorze, chyba że wyjątkowe w niej widzą skłonności cnotliwe, a dałby Bóg, by i te ją uchowały od złego; albo niech ją trzymają w domu. Jeśliby chciała źle się prowadzić, w domu rodzicielskim nie na długo z tem się ukryje; tam przeciwnie, złe długo może się chować w ukryciu, aż w końcu Pan sam je na jaw wyprowadzi: a wtedy

szkoda i niesława nie na tę jednę tylko spada, ale na całe zgromadzenie. Nieraz, co prawda, biedne te zbłąkane same temu nie są winne; zastają drogę utorowaną, i idą nią. Niejedna z nich prawdziwie jest godna pożałowania; chciała porzucić świat, przyszła z tą myślą, że będzie służyła Panu, że będzie odgrodzona od niebezpieczeństw świata, a tu, miasto jednego który opuściła, zastaje jakby dziesięcioro światów na nią sprzysiężonych, i nie wie jak się od nich obronić, i gdzie szukać ratunku. Młodość, i zmysłowość, i szatan pobudzają je i pociągają do naśladowania pewnych rzeczy, które są wprost ze świata, zapatrując się na drugie, które je rzekomo uważają za dobre. Biedne te dusze podobne są poniekąd do nieszczęsnych heretyków, którzy dobrowolnie zaślepiają siebie, i wmawiają w ludzi, że dobre są te nauki, których się trzymają, i że wierzą w prawdziwość ich, choć w istocie nie wierzą, bo mają w sobie sędziego, który im mówi, że to co za prawdę podają, jest nieprawdą i złem. O, jakież to wielkie, jakież to straszne nieszczęście dla zakonnika, — czy zakonnicy, bo stosuje się to zarówno do zakonów żeńskich jak i do męzkich, — żyć w klasztorze, w którym się nie zachowuje reguła zakonna! gdzie w jednymże domu dwie są różne drogi, jedna cnoty i karności zakonnej, a druga luźności i braku ducha zakonnego, i obie zarówno mają zwolenników swoich! Źle mówię, zarówno; bo dla grzechów naszych, więcej jest uczęszczana droga przestrona i mniej doskonała, i jako za nią jest większość, tak też, którzy nią chodzą, większego doznają poparcia i względów. Tamta zaś droga prawdziwego życia zakonnego w takiem jest opuszczeniu, iż zakonnik albo zakonnica, chcący naprawdę i bez podziału trzymać się powołania swego, więcej mają powodu lękać się samychże własnych domowników swoich, niż wszystkiego wojska czartów; i większej im potrzeba ostrożności i powściągliwości w rozmowie o Bogu i o przyjaźni w jakiej z Nim żyć pragną, niż gdyby chcieli mówić o innych przyjaźniach i miłościach, jakie szatan zawiązuje w takich klasztorach. Cóż potem dziwnego, że tyle jest zgorszeń w Kościele, kiedy ciż sami którzyby powinni być zwierciadłem i wzorem, aby wszyscy z nich brali przykład cnoty, w takiem trzymają

zaćmieniu oną gorliwość i świętość, jaką duch dawnych ojców pozostawił w zakonach? Oby Pan w Boskiej łaskawości swojej raczył zaradzić temu złemu, jako widzi że tego potrzeba. Amen.

Poczęłam więc wdawać się w te rozmowy (z odwiedzinami z miasta), bo widząc, że to zwyczaj przyjęty, nie sądziłam bym odniosła z nich taką szkodę i roztargnienie na duszy, jaką potem przekonałam się że podobne towarzystwa sprawują: zdawało mi się, że obyczaj tak powszechny w wielu klasztorach, dopuszczających tego rodzaju odwiedziny, nie będzie dla mnie szkodliwszym niż dla drugich, pobożnych przytem, jak widziałam, i cnotliwych; a nie brałam tego na uwagę, że one są dużo lepsze odemnie, że zatem co dla mnie było niebezpieczeństwem, to dla nich mogło być nie takiem, lubo i dla nich nie sądzę by takie rozmowy były całkiem bez niebezpieczeństwa, choćby tylko czasu marnie straconego. Pewnego dnia, gdym rozmawiała z jedną osobą, w samym początku mojej z nią znajomości, spodobało się Panu dać mi zrozumieć, jak niestosowne są dla mnie takie przyjaźni, i ostrzedz mię, i użyczyć mi światła na oświecenie tak wielkiej ślepoty mojej. Ukazał mi się Chrystus Pan [1]), stając przedemną z bardzo surowem obliczem, i oznajmując mi przez to, jako te świeckie rozmowy moje Go zasmucają; widziałam Go oczyma duszy, jaśniej, niżbym Go widzieć mogła oczyma cielesnemi, i widok ten tak wyryty pozostał w pamięci mojej, że dziś jeszcze, po upływie więcej niż dwudziestu i sześciu lat, zdaje mi się że mam Go przed sobą obecnym. Pozostałam mocno przestraszona i strwożona, i już więcej nie chciałam się widzieć z tą osobą, z którą przedtem tak przestawałam. Bardzo mi w tem zdarzeniu źle posłużyło, że nie wiedziałam o tem, iż można widzieć rzeczy inaczej, niż samemi tylko oczyma ciała; a czart utwierdzał mię w tej niewiadomości i wmawiał we mnie że to rzecz niepodobna, że mi się przywidziało, że może to była ułuda szatańska i inne tym podobne matactwa. Lubo więc zawsze miałam to uczucie, że było to widzenie od Boga, a nie złudzenie, wszakże

---

[1]) Było to w r. 1537; Święta miała naówczas dwadzieścia i dwa lata.

ponieważ rzecz nie przypadała mi do gustu, starałam się zadać kłamstwo samej sobie, i uczucie ono zagłuszyć; zaczem też, ponieważ nie śmiałam nikomu wspomnieć o widzeniu mojem, gdy potem zaczęły się znowu wielkie na mnie nalegania, i upewnienia, że widywanie się z taką osobą nie ma w sobie nic złego, że cześć moja nic na tem nie ucierpi, owszem tylko zyskać może, wróciłam znowu do tegoż stosunku, i inne jeszcze w innych czasach zawiązywałam; bo przez długie lata oddawałam się tym zgubnym rozrywkom, i póki ich używałam, nie wydawały mi się takiem złem, jakiem były w istocie, lubo bywały jednak chwile, w których jasno widziałam że nic w nich nie masz dobrego. Ale żadna nie sprawiła mi takiego w duszy nieładu i roztargnienia, jak ta o której mówię, bo wielkie do niej miałam przywiązanie.

Innym razem [1]), gdy byłam w towarzystwie tejże osoby, ujrzałyśmy, i drugie które tam były z nami, podobnież widziały, podchodzące ku nam cóś w rodzaju wielkiej ropuchy, tylko bez porównania szybsze w ruchach, niż zwykła ropucha. W miejscu w którem to widziałyśmy, nie mogłam pojąć, zkąd mógł się wziąć w biały dzień płaz taki, i nigdy tam nic podobnego nie było. Wrażenie, jakie ztąd odniosłam, nie było, zdaje mi się, bez tajemnicy, i nigdy mi nie wyszło z pamięci. O Boże wielki! z jakąż troskliwością i miłościwą łaskawością bezustannie, na wszelki sposób, mię ostrzegałeś, a jakże mało ja skorzystałam z tych ostrzeżeń twoich!

Była w naszym klasztorze jedna zakonnica, krewna moja, już podeszła w leciech, wielka służebnica Boża, posiadająca w wysokim stopniu ducha zakonnego. Ona także nieraz mię ostrzegała; a ja nie tylko jej nie słuchałam, ale i przykrzyłam sobie jej upomnieniami; zdawało mi się że bierze zgorszenie z rzeczy, nie mających w sobie nic gorszącego. Wspominam o tem, aby każdy widział jaka była złość moja, i jak wielka nademną dobroć Pana, i jak bardzo zasłużyłam na piekło taką niezmierną niewdzięcznością moją; jak również i w tym celu,

[1]) I tę drugą przestrogę z nieba otrzymała Święta w tymże r. 1537.

aby, jeśli to pismo moje z woli Pana i na chwałę Jego będzie kiedy ogłoszone, zakonnice, które to czytać będą, miały ze mnie przestrogę, i unikały podobnych rozrywek, jak je na miłość Pana naszego o to proszę. Daj Boże aby te słowa moje wywiodły z błędu którą z tych, które sama w błąd wprowadziłam, mówiąc im że w tych rozmowach nic nie masz złego, i ubezpieczając je w tak wielkiem niebezpieczeństwie, skutkiem zaślepienia w którem sama zostawałam, bo rozmyślnie ich oszukiwać nie chciałam, i choć złym przykładem, jaki im dawałam, tyla złego, jak mówię, stałam się przyczyną, nie myślałam przecie bym co tak bardzo złego czyniła.

W pierwszych onych czasach choroby mojej, choć nie umiałam jeszcze sama kierować sobą, żywo pragnęłam pomagać drugim do postępu w życiu duchownem; zwyczajna to pokusa u poczynających, lubo mnie szczęśliwie w tem się powiodło. Gorąco kochając mego ojca, życzyłam mu tego dobra które, zdawało mi się, sama już posiadałam w odprawianiu rozmyślania, bo w przekonaniu mojem, nie może człowiek w tem życiu znaleźć większego dobra, nad to które daje modlitwa wewnętrzna; nieznacznie więc i wszelkiemi, na jakie się zdobyć mogłam sposobami, starałam się nakłonić go do tego świętego ćwiczenia; dałam mu w tym celu książki odpowiednie. On zaś będąc, jak mówiłam, człowiekiem wielce cnotliwym, tak ochotnie przystał na prośby moje, i w ciągu pięciu czy sześciu lat, o ile dziś mogę sobie przypomnieć, takie w tem pobożnem ćwiczeniu uczynił postępy, iż z radością za niego dziękowałam Panu, i niezmierną z tego miałam pociechę. Pomimo wielkich, jakie z różnych stron miał, utrapień i frasunków, wszystko to znosił z niezachwianem zdaniem się na wolę Bożą. Często mię odwiedzał, bo największą dla niego pociechą była rozmowa o rzeczach Bożych. Gdym potem doszła do takiego rozstroju wewnętrznego i modlitwy wewnętrznej zaniechała [1]), widząc że on tej zmiany we mnie się nie domyśla, nie mogłam tego przenieść na sobie, bym go z tego błędnego o mnie mniemania

[1]) W r. 1541 mając wówczas 26 lat.

nie wywiodła; bo rok cały, i dłużej [1]) żyłam wówczas bez rozmyślania, przez wielką, jak mi się zdawało, pokorę; a była to, jak później opowiem, największa z wszystkich pokus, jakie w życiu mojem miałam, bo zmierzała wprost do zatracenia mego; wprawdzie i przy modlitwie wewnętrznej nie byłam bez grzechu, ale jeśli którego dnia obraziłam Boga, nazajutrz, za jej pomocą, tem pilniej przykładałam się znowu do skupienia wewnętrznego, i tem baczniej unikałam okazyi. Gdy więc on święty człowiek przychodził z takiem mylnem o mnie przekonaniem, sądząc że tak samo jak przedtem z Bogiem rozmawiam, sumienie mię gryzło, że go zostawiam w tym błędzie; wyznałam mu zatem prawdę, że już nie odprawiam rozmyślania; głównej wszakże przyczyny nie powiedziałam mu. Jako jedyną przeszkodę wymieniłam tylko słabości moje, co po części było i prawdą; bo chociaż wyzdrowiałam z onej największej choroby, zawsze jednak do tej chwili cierpiałam i cierpię na bardzo dotkliwe niemoce; wprawdzie mniej one są od niejakiego czasu gwałtowne, ale zawsze trwają i w rozmaity sposób mię trapią. Mianowicie, codzień przez dwadzieścia lat miewałam torsye z rana, tak iż nieraz się trafiało, że do południa i dalej nic w usta wziąć nie mogłam, czasem jeszcze i później; teraz, od czasu jak częściej przystępuję do Komunii, przychodzą one wieczorem, przed położeniem się, ale z daleko większem dla mnie umęczeniem, bo muszę je sama wywoływać za pomocą piórka czy innym tego rodzaju sposobem, gdyż jeśli tego zaniecham, daleko większe jeszcze męki cierpię. Nie masz, zdaje mi się, chwili, bym nie miała różnych boleści, niekiedy bardzo ciężkich, szczególnie w sercu, chociaż ten ostatni ból, który przedtem trwał ustawicznie, teraz więcej przychodzi przerwami; ostry on paraliż, i inne przypadłości febryczne, na które tak często cierpiałam, od ośmiu lat opuściły mię. Wszystkie te cierpienia tak mało sobie ważę, że nieraz z nich się weselę, na myśl, że znosząc je, choć w czemkolwiek Panu służę. Mój ojciec więc uwierzył mi, że ta jest istotna przyczyna (dla któ-

[1]) Około półtora roku, jak Święta mówi w rozdz. XIX.

rej opuściłam rozmyślanie); on nigdy nie rozmijał się z prawdą, zatem i mnie, zgodnie z tą prawością charakteru jego, nie należało prawdy ukrywać. Powiedziałam mu jeszcze, aby tem łatwiej uwierzył, — bo widziałam dobrze że to mnie nie uniewinnia, — że ledwo mi sił starczy do uczestniczenia w chórze. Ale słabość moja, na którą się powoływałam, bynajmniej nie była dostatecznym powodem do porzucenia modlitwy wewnętrznej; bo nie potrzeba do niej sił fizycznych, tylko miłości i nawyknienia; Bóg zawsze do niej daje sposób i możność, jeśli tylko chcemy. Zawsze, mówię: bo choć niekiedy choroba lub inne przeszkody nie pozostawiają długiego czasu na samotność, przecie i w takiem położeniu nie zabraknie chwil wolnych do swobodnej z Bogiem rozmowy: tem bardziej, że dla duszy miłującej Go prawdziwa w chorobie i wśród takich przeszkód modlitwa wewnętrzna zasadza się na ofiarowaniu Bogu tego co cierpi, na wspominaniu, dla kogo to cierpi, na zgadzaniu się z wolą Jego, na niezliczonych innych aktach tego rodzaju, do których nastręcza się jej sposobność: tym sposobem dusza w czynie okazuje miłość: do tego nie potrzeba gwałtownego wysiłku, ani nie konieczny tu czas samotności, jakby bez tego nie mogła być modlitwa. Przyłożywszy tylko nieco pilności, wielkie dobra pozyskać możemy w takich chwilach, kiedy Pan przez różne cierpienia odbiera nam czas swobodny do modlitwy wewnętrznej: i ja też te dobra zyskiwałam sobie, póki miałam dobre sumienie. Ale ojciec, dzięki dobremu, jakie miał o mnie, mniemaniu, i wielkiej jego dla mnie miłości, uwierzył mi na słowo, i jeszcze żałował mię; lecz ponieważ już był doszedł do tak wysokiego stopnia modlitwy wewnętrznej, odtąd już nie tyle zemną przebywał, tylko przyszedłszy na chwilę i obaczywszy się ze mną, zaraz odchodził, mówiąc że dłuższa rozmowa byłaby stratą czasu: ja, tracąc go na różnych próżnościach, mało się o tę stratę troszczyłam. Nie samemu tylko ojcu mojemu, ale i kilku innym osobom przyczyniłam się do umiłowania modlitwy wewnętrznej, choć sama żyłam w onych próżnościach; widząc w nich pociąg do modlitwy, nauczyłam je, jak odprawiać rozmyślanie, i dopomagałam im, i dawałam im książki; bo jak już mówiłam, pra-

gnienie to, by drudzy wiernie Panu służyli, było i trwało we mnie od czasu jak byłam zaczęła oddawać się modlitwie wewnętrznej. Sama nie służąc Panu tak jak rozumiałam że Mu służyć należy, chciałam by tym sposobem nie zmarnowało się to, co w Boskiej łaskawości swojej był mi dał poznać, by zatem drudzy służyli Mu za mnie. Mówię to, aby kto będzie to czytał, mógł się przekonać, jak wielkie było moje zaślepienie: sama pracowałam sobie na zatracenie, a drugim dopomagałam do zbawienia.

W tym czasie [1]) ojciec mój zapadł na chorobę, z której umarł: chorował tylko kilka dni. Byłam przy nim cały ten czas i pielęgnowałam go, choć sama chora, nie tyle jeszcze na ciele ile na duszy, w tylu próżnościach pogrążonej, lubo nie w taki sposób, bym, o ile znam siebie i rozumiem, przez wszystek ten czas najgorzej, jak mówiłam, zmarnowany, była w grzechu śmiertelnym; bo gdybym takowy w sobie spostrzegła, żadną miarą nie byłabym go ścierpiała [2]). Wielkie w czasie choroby ojca przebyłam udręczenia; sądzę że wówczas choć w części odwdzięczyłam mu się za to, co przy mnie w chorobach moich wycierpiał. Choć mocno cierpiąca, gwałt sobie zadawałam, i lubo z śmiercią jego traciłam wszystką osłodę i pociechę życia, jaką on zawsze był dla mnie, zdobyłam się na tyle męztwa, by nie okazać bólu mego i spokój zachować aż do chwili skonania jego; mogło się zdawać że nic zgoła nie czuję, a tymczasem serce mi się krajało, gdym patrzała na gasnące powoli życie jego, bo bardzo go kochałam. Było czego dziękować Panu za tę piękną śmierć, jaką umierał: z jakiem weselem za zysk sobie poczytywał rozwiązanie swoje, jakie rady i upomnienia nam dawał po przyjęciu Ostatniego Pomazania, z jaką usilnością obowiązywał nas, byśmy go polecali Bogu i miłosierdzia błagali dla duszy jego, byśmy wiernie Jemu służyli,

---

[1]) W roku 1541, dwudziestym i szóstym życia Świętej.

[2]) Święta tu mimowoli sama się zdradza, i daje nam miarę, jak rozumieć to co w tylu innych miejscach mówi o grzechach swoich: jaśniej i wyraźniej, niż w powyższych słowach, nie mogła poświadczyć o sobie, iż nigdy nie popełniła grzechu śmiertelnego.

pomnąc na to, że wszystko na tym świecie przemija; i ze łzami oskarżał się i wyrażał wielki żal swój, iż Jemu nie służył, i że pragnąłby być, to jest, żeby za życia był został zakonnikiem najsurowszej, jaka być może reguły. Mam to za rzecz najpewniejszą, że na pięć dni naprzód Pan objawił mu dzień śmierci jego; bo przedtem, choć miał się źle, o śmierci nie myślał; potem zaś, mimo znacznego polepszenia, o którem go i lekarze upewniali, on do tych nadziei żadnej wagi nie przywiązywał, a tylko myślał o duszy swojej, aby z nią był w porządku. Głównem cierpieniem jego był bardzo silny ból w plecach, który go nigdy nie opuszczał; ból ten tak mu nieraz ostro dolegał, że aż z nóg go zbijał i dech mu zapierał. Wiedząc jak wielkie ma nabożeństwo do Chrystusa Pana krzyż noszącego, poddałam mu tę myśl, że Pan w Boskiej łaskawości swojej chce mu dać niejaki udział w tem, co w onej męce wycierpiał. Myśl ta taką go napełniła pociechą, że odtąd już nie pamiętam bym usłyszała z ust jego najlżejszą skargę. Przez trzy dni leżał zupełnie bez zmysłów, ale w dzień śmierci Pan taką mu jasną przytomność przywrócił, że wszyscy byliśmy zdziwieni; i taką przytomność zachował aż do chwili, gdy w połowie *Credo*, sam je odmawiając, ducha oddał. Twarz jego po śmierci miała wyraz anielski; i w rzeczy samej, według mnie, z pewnego względu aniołem był, pięknością duszy swojej i świętością usposobienia, w jakiem życia dokonał. Nie wiem na co mówię to wszystko, chyba na tem cięższe obwinienie grzesznego życia mego, pomimo że patrzałam na taką śmierć, i byłam świadkiem takiego życia, iż dla dorównania choć w części takiemu ojcu, powinnabym była się poprawić. Spowiednik jego, dominikanin, mąż bardzo uczony [1]) mówił, że nie wątpi o tem że ojciec mój poszedł do nieba; od kilku lat spowiadał go, i z uwielbieniem świadczył o czystości sumienia jego. Tenże sam ojciec dominikanin, kapłan wysoce cnotliwy i bogobojny, mnie także bardzo był pomocnym; wyspowiadałam się przed nim, a on z wielką troskliwością zajął się duszą moją, wiodąc

[1]) O. Wincenty Baron, o którym była wzmianka wyżej, rozdz. V.

ją ku dobremu, i otwierając mi oczy na niebezpieczeństwo w jakiem zostawałam. Kazał mi przystępować do Komunii co dwa tygodnie. W miarę jak powoli coraz więcej przed nim się otwierałam, wyznałam mu także usposobienie moje co do modlitwy wewnętrznej. Zalecił mi bym jej nie opuszczała, gdyż żadną miarą być nie może, bym z niej nie odniosła pożytku. Zaczęłam więc na nowo jej się oddawać, i od tego czasu nigdy więcej nie zaniechałam jej, lubo przytem okazyi onych nie porzucałam. Żyłam skutkiem tego w wielkiem udręczeniu, bo na rozmyślaniu jaśniej poznawałam przewinienia moje. Z jednej strony Bóg mię wzywał, z drugiej, ja szłam za światem. Rzeczy Boże sprawiały mi wszystkie wielką pociechę; rzeczy światowe trzymały mię na uwięzi. Chciałam snać pogodzić z sobą dwie rzeczy tak jedna drugiej przeciwne, życie duchowne z pociechami i upodobaniami, i rozrywkami zmysłowemi. Cierpiałam zatem na rozmyślaniu wielkie rozdarcie wewnętrzne, bo duch we mnie nie był panem, jedno niewolnikiem; nie mogłam zamknąć się w samej sobie, na czem zasadzał się cały mój sposób modlitwy wewnętrznej, bym zarazem nie zamknęła z sobą wszelkiego rodzaju myśli próżnych. Żyłam w taki sposób wiele lat, i dotąd się dziwię jak mogłam tak długo wytrzymać, i nie porzucić jednego albo drugiego. Ale wiem dobrze, że porzucić rozmyślanie nie było w mojej mocy, bo trzymał mię w mocy swojej Ten który mię umiłował, chcąc przez modlitwę wewnętrzną większemi jeszcze łaskami mię obdarzyć.

O Boże wielki! jakżebym zdołała opowiedzieć wszystkie okazye do złego, jakie w ciągu tych lat Ty odemnie oddalałeś, gdy ja wciąż na nowo do nich powracałam, i wszystkie niebezpieczeństwa, grożące mi ostateczną utratą dobrej sławy mojej, z których mię wybawiłeś! Ja uczynkami memi wciąż zdradzałam siebie, jaką jestem, a Pan wciąż zasłonę rzucał na złości moje, objawiając za to jaką maluczką cnotę moję, jeśli jaka we mnie była, i zwiększając ją w oczach wszystkich, tak iż zawsze w wielkiem mieli mię poważaniu; bo choć nieraz wychodziły na jaw nędze moje, oni przecie nie dawali im wiary, widząc we mnie inne rzeczy, które im się wydawały dobremi. Snać Ten, który wszystko wie i widzi, widział że tak było po-

trzeba, aby te, które później miałam namówić do służby Jego, niejaką wiarę we mnie pokładać mogły: i w Boskiej wspaniałomyślności swojej nie zważał na wielkie grzechy moje, jedno na gorące, jakie nieraz miewałam pragnienie służenia Jemu, i na żal mój i smutek, iż nie miałam w sobie siły dostatecznej do spełnienia czynem tego pragnienia mego.

O Panie duszy mojej! jak zdołam godnie wysławiać wszystkie łaski, jakiemi w ciągu tych lat mię obsypywałeś? Jako w samejże chwili gdym Ciebie najciężej obrażała, Ty nagle wzbudzając we mnie żal najgłębszy, czyniłeś mię sposobną do zasmakowania łask i pociech twoich! Prawdziwie, Królu mój, najdelikatniejszego i najsroższego zarazem użyłeś sposobu na ukaranie mnie, wiedząc, Ty Boski Znawco serca mego, co mię może najmocniej zaboleć. Za grzechy moje karałeś mię niewypowiedzianemi pociechami twemi. Nie sądzę bym mówiąc to, nie była spełna przy rozumie; choć może i dobrze byłoby, gdyby mi rozum ustawał w tej chwili, gdy znów mi stają na myśli niewdzięczność i złości moje. Taka jest natura moja, że otrzymywać łaski w samejże chwili popełnienia ciężkich przewinień, było to rzeczą dla mnie boleśniejszą niż wszelkie karanie: jedna taka łaska, mówię to z zupełną pewnością, więcej mię na proch ścierała, i zawstydzała i bolała, niż jakiebądź choroby albo cały stek wszelkich boleści; bo na takie kary widziałam żem zasłużyła, i zdawało mi się że choć w części wypłacam się niemi z grzechów moich; choć na spłacenie ich w zupełności, wedle całej wielkości ich, mało byłoby wszelkiego najsroższego cierpienia; ale wciąż nowe łaski otrzymywać, tak źle się odwdzięczając za otrzymane, jest to dla mnie, i jak sądzę, dla każdego kto ma niejakie poznanie i miłość Boga, męka w rodzaju swoim straszliwa; serce prawe i szlachetne łatwo to zrozumie. Z tego to źródła płynęły łzy moje, i z tego powodu w ciągłem byłam udręczeniu, czując z jednej strony słodkość pociech Bożych, a z drugiej, znając siebie taką, iż lada chwila znowu upadnę; choć wówczas, to jest w chwili wylania przed Bogiem, postanowienia i pragnienia szczere miałam i mocne. Wielkie to nieszczęście dla duszy, być pozostawioną samej sobie wśród tylu niebezpieczeństw; gdybym była miała przed kim

się otworzyć z tem wszystkiem, i u kogo znaleźć pomoc ku powstrzymaniu się od nowych upadków, sądzę że dla samego wstydu byłabym go słuchała, choć nie wstydziłam się Boga.

Z tego powodu radziłabym każdemu, kto się oddaje modlitwie wewnętrznej, aby zwłaszcza z początku, starał się o przyjaźń i towarzystwo z takimi, którzy podobnież ćwiczą się w rozmyślaniu: jest to rzecz w najwyższym stopniu pożyteczna, choćby tylko dla tego, że wtedy jeden drugiego modlitwą swoją wspomaga; tem bardziej, że z takiego połączenia wiele innych wynika korzyści. Jeśli w stosunkach i zabiegach czysto ziemskich, choć niezbyt chwalebnych i nie najlepszych, ludzie szukają sobie przyjaciół dla zobopólnej uciechy, dla zdwojenia sobie smaku marnych onych przyjemności, przez wzajemne o nich rozmowy; nie rozumiem doprawdy, dla czegoby temu, kto szczerze zaczyna służyć Bogu i miłować Go, nie miało być wolno mieć powiernika lub kilku dobranych przyjaciół, i zwierzać im się z temi, bądź pociechami, bądź trudnościami, jakich niechybnie doznawać musi każdy kto się oddaje modlitwie wewnętrznej. Jeśli prawdziwie pragnie i szuka złączenia się z Bogiem przez miłość, niech się nie lęka taki, by mówiąc z przyjacielem o tych wewnętrznych przejściach swoich, nie uległ próżnej chwale; może mu niekiedy przyjść pokusa albo pierwsze poruszenie próżnej chełpliwości, ale je zwycięży i będzie miał zasługę; zaczem, z taką intencyą prowadząc one rozmowy, sądzę że i sam z nich odniesie pożytek, i pożytek przyniesie tym którzy go słuchają, i wyniesie z nich większe światło wewnętrzne, tak ku własnemu rozumieniu rzeczy jak i ku oświeceniu przyjaciół. Ktoby w takich rozmowach powodował się próżną chwałą, ten również będzie się nią unosił, słuchając, naprzykład, pobożnie Mszy świętej, gdy ludzie nań patrzą, albo spełniając inne obowiązki, które każdy spełniać musi, jeżeli chce żyć po chrześcijańsku, a których opuszczać nie wolno, chociażby miała się do nich przyplątać pokusa próżności. Słowem, tak niezmiernie ważną są te rozmowy duchowne pomocą dla dusz jeszcze nie utwierdzonych w cnocie, a wystawionych na tyle przeciwieństw i fałszywych przyjaciół, pociągających je do złego, że słów mi nie staje na dostateczne zalecenie ich. Jest w tem snać

podstęp diabelski, dla sprawy jego w każdym razie bardzo pożyteczny, że dusze, prawdziwie pragnące pomnażać się w miłości Boga i pełnić wolę Jego, tak trzymają w ukryciu te pobożne pragnienia swoje; gdy przeciwnie ludzi oddanych światu tenże diabeł pobudza do głośnego objawiania sromotnych żądz swoich, co już tak weszło w zwyczaj na świecie, że jakoby za chlubę poczytują sobie sprosne występki swoje, i jawnie się przechwalają ze zniewag, jakie przez nie wyrządzają Bogu.

Nie wiem, może mówię nie do rzeczy; jeśli tak, niech Wasza Przewielebność to wykreśli; jeśli zaś nie, tedy wspomóż, błagam cię Ojcze, prostactwo moje, mocniej i szerzej dopowiadając to, czegom należycie powiedzieć nie umiała; bo sprawy służby Bożej tak słabo dzisiaj się prowadzą, że tym którzy Panu służą, potrzeba wzajemnie się wspierać, aby naprzód postąpić mogli. Puszczać się na próżności i uciechy świata, to się powszechnie uznaje za rzecz dobrą, i takim którzy tą drogą idą, mało kto się dziwi; ale gdy kto postanowi oddać się Bogu, takie zewsząd na niego podnosi się szemranie, iż potrzeba mu szukać sobie towarzyszów, aby zdołał się obronić, póki się na duchu do tyla nie umocni, by już nie zważał na żadne cierpienia; inaczej ciężkie będzie miał udręczenia. Ten jest, jak sądzę, powód, dla którego niektórzy Święci chronili się na puszczę. Nadto (oprócz tej siły i obrony, jaką nam przynosi zwierzanie się przed przyjacielem duchownym), jest to także znak pokory, nie ufać samemu sobie, ale raczej spodziewać się pomocy od Boga za pośrednictwem drugich, u których rady szukamy; i miłość także rośnie przez wzajemne udzielanie się, i innych wiele pożytków z tego źródła płynie, o których nie ważyłabym się mówić, gdyby nie to, że z własnego długoletniego doświadczenia sama je i niezmierną wagę ich poznałam. Prawda, że nie masz na całym świecie stworzenia tak niedołężnego i grzesznego, jak ja; ale sądzę że i najdzielniejsza dusza nic na tem nie straci, jeśli się upokorzy, i nie dowierzając sile swojej, usłucha rady doświadczonej. Co do mnie, wyznaję i upewniam, że gdyby nie to, że Pan mi objawił tę prawdę, i dał mi sposobność do ustawicznego niemal towarzystwa z takimi, którzy modlitwę wewnętrzną mieli we zwyczaju, byłabym w końcu

wciąż na przemiany to powstając, to znowu upadając, prosto wpadła do piekła; bo do upadania wielu miałam przyjaciół i pomocników, ale do powstania tak byłam opuszczona i samej sobie zostawiona, że dzisiaj dziwię się, jakim sposobem nie pozostałam upadłą na zawsze, i wysławiam miłosierdzie Boga, który sam jeden mnie nie opuścił i rękę mi podał. Niech będzie błogosławiony na wieki wieczne. Amen.

ROZDZIAŁ VIII.

Jak szczęśliwie jej to posłużyło, i od zatracenia duszy ją ustrzegło, że nie porzuciła ostatecznie modlitwy wewnętrznej. Jak skutecznem modlitwa ta jest lekarstwem na naprawienie wszelkich szkód duchownych. Jako wszystkim bez wyjątku zaleca się rozmyślanie. Tak wielkim ono jest zyskiem, że choćby kto znowu go zaniechał, to samo już, że przez jakiś czas używał tego wielkiego dobra, wielkiem dla niego j e s t dobrem.

Nie bez powodu tak długo się zatrzymałam nad tym okresem życia mego. Nikomu, dobrze to widzę, nie sprawi przyjemności poznanie z tego opisu stworzenia tak nędznego; i bez wątpienia, chciałabym by obrzydzenie do mnie powzięli ci, którzy to czytać będą, widząc duszę tak upornie niewdzięczną względem Tego, który jej tyle łask uczynił, i radabym miała pozwolenie opowiedzenia, ile razy w tym czasie przeniewierzyłam się Bogu, skutkiem tego że nie chciałam się oprzeć na tym mocnym filarze, którym jest modlitwa wewnętrzna. Nurzałam się przez blisko dwadzieścia lat w tem morzu burzliwem, wciąż upadając, i podnosząc się, i to słabo tylko, i potem znowu upadając, wiodąc życie tak poziome i dalekie od doskonałości, że grzechy powszednie prawie za nic sobie miałam, a śmiertelnych, choć się wystrzegałam, ale nie tak jak należało, bo nie unikałam niebezpieczeństw. Takie życie, rzec mogę, należy do najsmutniejszych jakie sobie można przedsta-

wić, bo ani się Bogiem nie cieszyłam, ani nie miałam zadowolnienia ze świata. Gdym używała przyjemności świeckich, wspomnienie na to, co winna jestem Bogu, sprawiało mi udręczenie; gdym była na samotności z Bogiem, przywiązania światowe rozstrajały mię: jest to wojna tak ciężka, że nie rozumiem jak mogłam ją wytrzymać choćby jeden miesiąc, a cóż dopiero przez tyle lat. Z tem wszystkiem jasno widzę, jak wielkie w tem miłosierdzie Pan uczynił zemną, że mimo takich stosunków moich ze światem, miałam przecie śmiałość oddawania się modlitwie wewnętrznej. Śmiałość, mówię: bo nie wiem czy jest jaka rzecz, do której potrzeba większej, niż ją okazuje ten, kto zdradę wyrządza Królowi, i wie o tem że zdrada jego Królowi jest wiadomą, a przecie ciągle pozostaje w obecności jego. Bo lubo wszyscy i każdej chwili jesteśmy przed oblicznością Bożą, sądzę jednak że na rozmyślaniu dusza w szczególny sposób jest Jemu obecną, gdyż widzi wówczas i czuje, że Bóg patrzy na nią, gdy przeciwnie drugim całe dni mogą upływać bez wspomnienia na to, że oko Boskie bezprzestannie na nich spoczywa. Prawda, że w ciągu tych lat były takie miesiące, może nawet i rok cały, kiedy wystrzegałam się wszelkiego grzechu, i żarliwie oddawałam się modlitwie wewnętrznej, i pewne czyniłam usilne starania aby w niczem Pana nie obrazić: ponieważ we wszystkiem, co tu piszę, ściśle trzymam się prawdy, dla tego i o tem nie mogę nie wspomnieć. Ale tych dobrych dni słabe mi pozostało wspomnienie: snać mało ich było, a za to wiele grzesznych. Rzadki jednak był dzień, bym nie spędzała długich godzin na rozmyślaniu, chyba że byłam bardzo chora, albo bardzo zajęta. W czasach cięższej choroby bliżej bywałam złączona z Bogiem: starałam się i w otaczających mnie podobne wzbudzać uczucia, i błagałam o to Pana, i często z nimi rozmawiałam o Bogu. Z wyjątkiem więc tego jednego roku, o którym mówiłam, na dwadzieścia i ośm lat odkąd zaczęłam odbywać rozmyślanie, ośmnaście ich spędziłam w tej walce i w tej rozterce wewnętrznej duszy rozdzielonej między Bogiem a światem. W dalszych latach, o których mi teraz mówić pozostaje, przyczyna wojny była inna, choć wojna sama nie mniej pozostała twardą. Wszakże myśl ta, że o ile rozumiem, służę Bogu,

i jasne poznanie marności tego, co jest na świecie, były mi obfitą w tych walkach osłodą, jak to dalej opowiem.

Wszystko, com dotąd tak szeroko opowiedziała, do tego zmierza, naprzód, aby, jak już mówiłam, jasno się okazało miłosierdzie Boskie i niewdzięczność moja; a powtóre, aby każdy zrozumiał, jak wielkim i nieoszacowanym skarbem Bóg obdarza duszę, gdy ją skłania do ochotnego oddawania się modlitwie wewnętrznej, chociażby zkądinąd nie była tak usposobioną, jak tego potrzeba; i jako, jeśli w niej wytrwa, wbrew wszelkim grzechom, i pokusom, i upadkom, o jakie szatan w niezliczony sposób przyprawić ją może, Pan w końcu, mam to za rzecz pewną, przywiedzie ją do portu zbawienia, jak i mnie, o ile teraz śmiem ufać, przywieść raczył; obym tylko, o co błagam Boskiej łaskawości Jego, sama się znowu nie naraziła na zgubę! O pożytkach i dobrach duchownych zapewnionych temu, kto się ćwiczy w modlitwie, to jest w modlitwie wewnętrznej, posiadamy wiele ksiąg znakomitych pisanych przez ludzi świętobliwych i uczonych, za co niech będzie chwała Bogu; ale choćby ksiąg tych nie było, ja, choć pokora moja nie wielka, nie tak przecie jestem zarozumiałą, bym o takich rzeczach mówić się ważyła.

To tylko mogę powiedzieć, o czem wiem z własnego doświadczenia. Kto raz zaczął ćwiczyć się w modlitwie wewnętrznej, jakkolwiekby liczne i wielkie były wady i usterki jego, niech jej nie porzuca, bo rozmyślanie właśnie jest środkiem, za pomocą którego może się poprawić, a bez niego poprawa będzie o wiele trudniejszą. I niechaj nie poddaje się tej pokusie diabelskiej, jak ja nią skusić się dałam, by opuszczał modlitwę wewnętrzną rzekomo przez pokorę; niechaj wierzy Temu, którego słowo omylić nie może, iż jeśli naprawdę żałujemy za grzechy nasze i mamy postanowienie nie obrażać Go więcej, On przywraca nam dawną przyjaźń swoję, i nanowo daje nam łaski, które przedtem dawał, a nieraz i dużo większe, jeśli kto gorącością skruchy swojej na to zasłuży. Kto zaś jeszcze nie zaczął, tego proszę na miłość Zbawiciela, niech siebie tak wielkiego dobra nie pozbawia. Nie masz tu czego się lękać, dość tylko chcieć; bo chociażby nie czynił wielkich postępów, choć-

by się nie zdobył na tę wielką usilność i męstwo, jakich potrzeba aby dojść do doskonałości, i zasłużyć na te szczególne łaski i pociechy, jakie Bóg daje doskonałym, tyle przecie conajmniej będzie miał w zysku, że powoli pozna drogę wiodącą do nieba; a jeśli wytrwa, wtedy już najlepszą o nim mam nadzieję w miłosierdziu Boga, którego nikt jeszcze nie obrał sobie za przyjaciela, by On mu za to nie odpłacił. Bo modlitwa wewnętrzna, nie jest to, zdaniem mojem, nic innego, jedno poufne i przyjacielskie z Bogiem obcowanie, i wylana, po wiele razy powtarzana rozmowa z Tym, który wiemy że nas miłuje. Prawda że ty może jeszcze Go nie miłujesz; bo w istocie, do prawdziwej miłości i do trwałej przyjaźni potrzeba aby z obu stron równe było usposobienie i warunki; ze strony Pana wiemy że nic może tu niedostawać niczego; ale my, z naszej strony, mamy naturę skażoną, zmysłową, niewdzięczną; nie potrafisz zatem zdobyć się na doskonałą miłość Boga, przy tak nierównych warunkach; z tem wszystkiem jednak, pomnąc jak wiele tobie zależy na przyjaźni Boga, i jak wielce On ciebie miłuje, zadawaj gwałt samemu sobie i znoś tę ciężkość, jaką ci sprawuje dłuższe obcowanie z Tym, który tak jest różny od ciebie.

O dobroci nieskończona Boga mojego! wszak w tem co powiedziałam, widzę jakby na oczy wierny obraz twojego postępowania zemną, i mojego zachowania się względem Ciebie! O rozkoszy Aniołów! gdy na ten obraz patrzę, radabym cała rozpłynęła się w miłości! Prawdziwie więc Ty znosisz tego, który znieść tego nie może, byś Ty mieszkał z nim! O jakiż to dobry przyjaciel z Ciebie, Panie mój, jakże go obsypujesz darami miłości twojej, i znosisz go, i czekasz, czy w końcu nie podźwignie się do wysokości twojej, a tymczasem tak cierpliwie znosisz niskość jego! Zaliczasz mu w zasługę, Panie mój, krótką chwilę, którą poświęci miłości twojej, i za jeden moment skruchy puszczasz w niepamięć to czem Ciebie obraził. Jasno to poznałam na samej sobie, Stworzycielu mój, i nie rozumiem dla czego cały świat nie stara się o złączenie się z Tobą taką ścisłą, poufną przyjaźnią. Źli, usposobieniem swojem tak różni od Ciebie, powinniby się łączyć z Tobą, abyś Ty ich uczynił

dobrymi; niech się zgodzą tylko, byś Ty był z nimi choć dwie godziny dziennie, jakkolwiek oni nie umieją być z Tobą, jedno wśród tysiącznych roztargnień, trosk i myśli światowych, jak ja to czyniłam. Za ten gwałt, jaki sobie zadają, dla dobrowolnego, wbrew roztargnieniom, pozostawania w tak szczęśliwem z Tobą towarzystwie, — bo w początkach, a nieraz i później, nic więcej na rozmyślaniu uczynić nie zdołają, — Ty, Panie, łaskawie na nich spoglądasz, i wzajemnie jakoby gwałt zadajesz czartom, krócąc ich na tych zapaśników twoich napaści, i z każdym dniem bardziej siłę ich przeciwko nim umniejszając, a tym przeciwnie sił dodając, aby zwycięstwo odnieśli. Zaprawdę, Ty nie zabijesz, Żywocie wszelkiego życia, żadnego kto Tobie zaufa, i pragnie Ciebie mieć przyjacielem, ale i samegoż ciała życie w nich pokrzepiasz, dodając im zdrowia, i zdrowie dajesz duszy.

Nie rozumiem czego się lękają ci, którzy boją się przystąpić do modlitwy wewnętrznej, nie wiem co w niej widzą strasznego. Dobrze wie diabeł co robi, gdy takie strachy w nas wzbudza, chcąc przez to prawdziwą szkodę nam wyrządzić, i widmami swemi odstraszając nas od rozmyślania, byśmy nie pomnieli, czem obraziliśmy Boga, i jako wiele Jemu winniśmy, i o tem że jest piekło, i że jest chwała niebieska, i jako wielkie prace i boleści poniósł dla nas Zbawiciel. O tem było całe rozmyślanie moje, i takiem pozostało przez wszystek czas, który zostawałam w onych niebezpieczeństwach; w te prawdy zagłębiałam się myślą, gdy mogłam; lecz bardzo często, przez kilka lat, więcej byłam zajęta pragnieniem, by prędzej skończyła się godzina przeznaczona na rozmyślanie, i nadsłuchiwaniem, rychło zegar wybije, niż dobremi i pobożnemi myślami; i nieraz ochotniej byłabym podjęła nie wiem jak surową pokutę, którąby mi naznaczono, niż to że miałam skupić się w duchu dla odprawienia modlitwy wewnętrznej. Rzecz pewna, że taka była niepowstrzymana siła z jaką diabeł, czy też zła natura moja, odciągały mię od rozmyślania, i taka mną ciężkość owładała w chwili przestąpienia progu kaplicy, że potrzeba mi było wezwać na pomoc wszystką odwagę moję,—którą powiadają że mam niemałą, i Bóg mi ją dał dużo większą nad

zwykłą siłę kobiecą, jak się to w różnych zdarzeniach okazało, tylko że na złe jej użyłam,— nim zdołałam przezwyciężyć siebie, aż w końcu i Pan przychodził mi w pomoc. Lecz taką przebywszy walkę i taki sobie gwałt zadawszy, większego potem doznawałam pokoju i pociech, niż w innych rzadkich zdarzeniach, kiedy mię własna skłonność pociągała do modlitwy. Jeśli więc takie nędzne stworzenie, jakiem ja jestem, Pan tak długo znosił, i jak się okazało widocznie, wszystkie rany duszy mojej za pomocą rozmyślania uleczył, któż jeszcze, jakkolwiekby był grzesznym, może mieć słuszny powód do obawy? Jakkolwiekby wielką była złość jego, nie dorówna ona mojej, w której tyle lat trwałam, po tylu łaskach od Pana mi użyczonych. I któż jeszcze może Mu nie ufać, kiedy ze mną okazał taką długomyślność, za to jedynie, że pragnęłam i szukałam spokojnego miejsca i czasu, aby On przystęp miał do mnie, i to jeszcze tak często bez gorącości serca, jedynie przez wielką usilność gwałtu jaki sobie zadawałam, albo jaki Pan sam mi zadawał? Jeśli więc tym nawet którzy Bogu nie służą, którzy owszem i obrażają Go, modlitwa wewnętrzna tak bardzo przystoi, i tak im jest potrzebną, i nikt nigdy, jeśli chce być szczerym, nie powie, by odniósł jaką szkodę z odbywania jej, ale raczej będzie musiał przyznać, że wielką odniósł szkodę, nie odprawiając jej: czemużby, pytam, ci którzy służą Bogu, i pragną Mu służyć, mieli ją porzucać? Tego żadną miarą zrozumieć nie mogę; chyba że sami chcą jeszcze bardziej gorzkiemi uczynić sobie gorycze tego życia, i zamknąć Bogu drzwi serca swego, aby go nie mógł napełnić pociechą. Doprawdy, żal mi tych, którzy tak własnym kosztem Bogu służą! Bo którzy oddają się modlitwie wewnętrznej, tym Pan sam koszta płaci, gdyż za trochę pracy i trapienia siebie, napawa ich słodkościami, przy których łatwo znoszą wszelkie utrapienia. O tych słodkościach które Pan daje tym, którzy statecznie trwają na modlitwie, będzie jeszcze mowa obszernie, tu więc o nich nie mówię. To tylko powiem: do tych łask tak wielkich, które mnie uczynił, drogą i bramą jest rozmyślanie; zamknąwszy te drzwi, nie wiem jakim sposobem może kto je otrzymać; bo jakkolwiek pragnie Pan wniść do duszy, i mieć z nią roskosz swoję, i ją napełnić

roskoszą, nie ma którędy, bo chce ją mieć samą, i czystą, i przyjścia Jego pożądającą. Jeśli więc kładziemy Mu wszelkiego rodzaju przeszkody, i nic nie czynimy dla usunięcia ich, jakże On może przyjść do nas, i jak możemy żądać by nam tak wielkich łask użyczał?

Aby się jaśniej okazało miłosierdzie Jego, i jaką niezmierną korzyść z tego odniosłam, żem nie opuściła rozmyślania i czytania, wspomnę tu,—bo wiele na tem zależy aby każdy to zrozumiał,—jakie szturmy szatan przypuszcza do duszy aby ją w sieci swoje zapędzić, i jakich cudownych sposobów Pan w miłosierdziu swojem używa, aby ją do siebie nawrócić; niechby drudzy z przykładu mego nauczyli się wystrzegać się niebezpieczeństw, których ja się nie ustrzegłam. A przedewszystkiem, na miłość Pana naszego, i przez tę wielką miłość, z jaką On bezprzestannie stara się pociągnąć nas do siebie, proszę, niech się chronią okazyi; bo skoro w nie się wdadzą, niema już nic na czemby polegać mogli, w obec tak wielkiej siły nieprzyjaciół napastujących nas, a przy takiej słabej z naszej strony obronie. Chciałabym posiadać większą, niż ją mam, wymowę, abym umiała jasno przedstawić niewolę, w jakiej wonczas jęczała dusza moja; czułam ją dobrze, a nie mogłam dojść, skąd ona pochodzi, i trudno mi było uwierzyć na prawdę, by rzeczy, których mi spowiednicy nie poczytywali za wielką winę, były istotnie takim grzechem, jak to w gruncie duszy uznawałam że są. Jeden z nich, gdym mu przedstawiała ten skrupuł mój, powiedział mi, że chociażbym była wyniesiona do najwyższego stopnia kontemplacyi, stosunki takie i okazye nicby w sobie nie miały dla mnie zdrożnego. Było to już w ostatnim czasie, kiedy z łaski Boga trzymałam się z daleka od większych niebezpieczeństw, ale okazyi nie całkiem jeszcze się chroniłam. Widząc we mnie dobre chęci i pilne oddawanie się modlitwie wewnętrznej, sądzili że czynię wielkie rzeczy; ale ja w głębi duszy rozumiałam, że to co czynię, nie odpowiada wielkości obowiązków moich względem Tego, któremu tyle byłam winną; dziś jeszcze litość mię bierze nad duszą moją, na wspomnienie ile wówczas wycierpiała, żadnej prawie znikąd nie mając pomocy, wyjąwszy od Boga, a mając dozwoloną sobie wszelką

swobodę do rozrywek i przyjemności, jak ją upewniali, godziwych. Nie małe też czułam udręczenia, słuchając kazań; lubiłam niezmiernie je słuchać, i jeśli kaznodzieja pełen był ducha Bożego, i z zapałem mówił i z namaszczeniem, mimowoli, sama nie wiedząc skąd to pochodzi, szczególną czułam miłość do niego; nigdy prawie nie zdarzyło się, by jakiekolwiek kazanie wydało mi się tak słabem, iżbym go nie słuchała z przyjemnością, chociażby drudzy, słuchając go, ganili kaznodzieję, że nie mówi dobrze; jeśli zaś kazanie było dobre, niewypowiedzianą z niego roskosz miałam. Rozmawiać o Bogu, albo słuchać mówiących o Nim, nigdy, rzec mogę, mi się nie przykrzyło, mianowicie od czasu jak zaczęłam oddawać się modlitwie wewnętrznej. Z jednej strony więc kazania wielką były dla mnie pociechą, ale z drugiej, były dla mnie udręczeniem, bo z nich poznawałam, że o wiele nie byłam taką, jakąbym być powinna. Błagałam-ci Pana, aby mi przyszedł w pomoc; ale modlitwie mojej, jak teraz rozumiem, musiało tego niedostawać, że nie pokładałam całej ufności mojej w Boskiej dobroci i mocy Jego, a nie zrzekałam się całkowicie wszelkiego polegania na samej sobie. Szukałam lekarstwa, czyniłam starania, ale snać nie rozumiałam tego, że wszystka pilność nasza nie na wiele się przyda, dopóki, odrzuciwszy bezwarunkowo wszelką ufność w samych sobie, nie położymy jej w Bogu. Pragnęłam żyć, bo dobrze to rozumiałam, że nie żyłam, tylko raczej szamotałam się w cieniu śmierci, i nie było ktoby mi dał życie: a Ten który mógł mi je dać, słusznie odmawiał mi swojej pomocy, za to, że tyle razy już był mię nawrócił do siebie, a ja Go znowu opuszczałam.

ROZDZIAŁ IX.

Jakiemi drogami Pan począł budzić duszę jej, i użyczać jej światła w tak wielkich ciemnościach, utwierdzając zarazem siły jej, aby Go już więcej nie obrażała.

W takiem żyjąc znękaniu, choć dusza moja pragnęła odpocznienia, nie dawały go jej znaleźć złe nałogi moje, w których ciągle trwałam. Pewnego dnia [1]) zdarzyło mi się, że wszedłszy do kaplicy domowej, ujrzałam obraz, sprowadzony na jakąś uroczystość, mającą się obchodzić w klasztorze, i tam złożony na przechowanie. Obraz ten przedstawiał Chrystusa, całego okrytego ranami, a taki był pobożny, że na widok jego dusza moja wstrzęsła się do głębi, oglądając Pana w takim stanie, bo obraz ten żywo przedstawiał, co Chrystus Pan dla nas ucierpiał. Tak wielki ogarnął mię żal, na myśl, jak źle odwdzięczyłam się za te rany, że zdawało mi się że serce we mnie pęka, i rzucając się przed nim na kolana, z wielkiem wylaniem łez błagałam Pana, by mię już raz przecie umocnił, abym go nie obrażała.

Miałam wielkie nabożeństwo do chwalebnej świętej Magdaleny, i często rozmyślałam o jej nawróceniu, szczególnie po przyjęciu Komunii; wtedy, mając tę pewność że Pan jest obecny we wnętrzu mojem, rzucałam się do nóg Jego, i zdawało mi się że łzy moje nie będą wzgardzone; nie wiem sama co w tych chwilach mówiłam, ale zbytnią łaskę mi czynił Ten, który mi pozwalał takie łzy dla miłości Jego wylewać, kiedy ja tak prędko znowu puszczałam w niepamięć uczucie, z którego one wypływały; polecałam się zatem tej chwalebnej Świętej, aby ona mi wyjednała przebaczenie.

---

[1]) Cudowne dwie łaski, o których Święta mówi w tym rozdziale, zostały jej użyczone, według Bollandystów, w r. 1555; miała wówczas lat czterdzieści. Łaski te były początkiem jej nawrócenia, czyli raczej zupełnego jej zjednoczenia się z Bogiem. Od tego czasu św. Teresa nigdy ani na chwilę, aż do ostatniego tchnienia nie przestała postępować wielkim krokiem na drodze świętości.

Lecz w tem ostatniem zdarzeniu przed tym obrazem, o którym mówiłam, zdaje mi się że skuteczniej niż kiedybądź mię wspomogła, bom już wszelkiego ufania w samej sobie zupełnie się pozbyła, i wszystką ufność moję położyłam w Bogu. Powiedziałam Mu wówczas, zdaje mi się, że nie wstanę od modlitwy, póki On nie uczyni tego, o co Go błagałam. Wierzę z wszelką pewnością, że wówczas zostałam wysłuchaną, bo od onej chwili poczęłam coraz bardziej się poprawiać.

Nie umiejąc rozmyślać rozumem takiego trzymałam się sposobu modlitwy, starałam się przedstawić sobie Chrystusa w duszy mojej, i najlepiej, zdaje mi się, z tem mi się powodziło w rozważaniu tych tajemnic, w których Go oglądałam więcej samego. Zdawało mi się, że będąc samotny i strapiony, i jakoby pomocy potrzebujący, łatwiej mię powinien przypuścić do siebie. Takich dziecinnych myśli miewałam wiele, szczególnie też bardzo się lubowałam w rozważaniu modlitwy Jego w Ogrójcu, i rada Mu w niej towarzyszyłam. Rozmyślałam o pocie i smutku onym, który tam ucierpiał, radabym była gdybym była mogła, otarła Mu on pot tak bolesny, nigdy jednak, pamiętam, nie śmiałam się na to odważyć, bo stało mi w oczach tyle tak ciężkich grzechów moich. Tak pozostawałam tam z konającym Zbawicielem jak mogłam najdłużej, o ile pozwalały na to obce myśli moje i roztargnienia, bo zawsze miewałam ich wiele, na udręczenie moje. Przez wiele lat, każdej niemal nocy, przed zaśnięciem, polecając Bogu duszę moję na spoczynek nocny, zawsze zastanawiałam się chwilę nad tą tajemnicą modlitwy w Ogrójcu, pierwej nawet jeszcze nim zostałam zakonnicą, bo mi powiedziano że do tego rozmyślania przywiązane są liczne odpusty; i sądzę że wielką z tego korzyść odniosła dusza moja, zaczynając tym sposobem odbywać modlitwę wewnętrzną, nim jeszcze dowiedziała się na czem się ta modlitwa zasadza, i dzięki długoletniemu nawyknieniu, tak mi ta pobożna praktyka weszła w zwyczaj, że nigdy, jak przeżegnania się przed zaśnięciem, jej nie opuściłam.

Wracając do tego udręczenia, które jak wspomniałam, sprawiały mi myśli obce, sposób ten modlitwy wewnętrznej, bez rozumowania umysłem, ma to do siebie, że dusza musi to

dużo zyskać, albo dużo tracić: traci pożytek rozważania rozumem; ale jeśli czyni postępy, są to postępy wielkie, bo postępuje w miłości. Lecz nim dojdzie do tego, dużo się napracuje, chyba że Pan zechce w bardzo krótkim czasie dać jej osiągnąć modlitwę odpocznienia, jak to czyni niektórym, i sama znam takie. Duszom postępującym tą drogą pożyteczno jest używać książki, dla prędszego skupienia się w duchu. Mnie również do tego dopomagał widok pól, wody, kwiatów; w tych rzeczach znajdowałam pamięć na Stworzyciela, one, mówię, pobudzały mię i do skupienia ducha mi pomagały, i za księgę mi służyły, w której wyczytywałam niewdzięczność moję i grzechy. Do rzeczy niebieskich, do wszelkich w ogóle rzeczy wysokich, tak gruby miałam umysł, iż nigdy a nigdy nie zdołałam przedstawić ich sobie za pomocą wyobraźni, dopóki Pan sam mi ich w inny sposób nie nkazał.

Tak mało miałam zdolności do przedstawiania sobie rzeczy samym rozumem, że czego nie widziałam na oczy, tego żadną miarą nie umiałam uprzytomnić sobie w wyobraźni, jak to umie wielu innych, którzy tworzą sobie obrazy w myśli, i tym sposobem ułatwiają sobie skupienie się w duchu. Ja nie byłam zdolna myślić o Chrystusie, jedno jak o człowieku; ale i tak, nigdy nie zdołałam przedstawić Go sobie w myśli, jakkolwiek wiele czytałam o piękności Jego, i widziałam wyobrażeń Jego; jedno tak jak ślepy albo w ciemnościach pogrążony, który choć rozmawia z drugą osobą, i czuje obecność jej, bo wie z pewnością że jest tam przy nim, więc czuje, powiadam, i wierzy że ona jest obecną, ale jej nie widzi. Tak było zemną, ile razy myślałam o Boskim Zbawicielu. Z tego też powodu tak się kochałam w obrazach świętych. O jakże są nieszczęsni ci, którzy z własnej winy takiego wielkiego dobra siebie pozbawiają! Jasny to dowód, że nie kochają Pana, bo gdyby go kochali, cieszyliby się na widok wyobrażenia Jego, tak jak i w stosunkach ludzkich każdy rad ogląda podobiznę tego, kogo miłuje.

W tym czasie dano mi do czytania Wyznania świętego Augustyna; snać Pan sam tak zrządził, bo ja się o tę książkę nie starałam, ani jej nigdy przedtem na oczy nie widziałam.

Wielki mam pociąg i miłość do ś. Augustyna, naprzód już dla tego, że klasztor, w którym przebywałam świecką będąc, należał do zakonu jego, a powtóre także dla tego, że był przedtem grzesznikiem; bo z takich Świętych, których Pan z życia grzesznego do siebie nawrócił, wielką brałam dla siebie pociechę, tusząc sobie, że w nich znajdę pomoc skuteczniejszą, i że Pan, jako im odpuścił, tak może odpuścić i mnie; to jedno tylko, jak już mówiłam, w nich mię pognębiało, że ich Pan raz tylko do siebie powołał, poczem oni już nie wracali do grzechu, a ja tyle już otrzymałam tych wezwań Bożych, ale zawsze na próżno; i to mię udręczało. Lecz pomnąc na miłość, jaką On wciąż mi okazywał, znów nabierałam otuchy; bo o miłosierdziu Jego nigdy nie zwątpiłam, o sobie często.

O Boże wielki! jakże mię przeraża ten upór, w którym trwała dusza moja, przy tylu pomocach z nieba! Strach mię bierze na wspomnienie, jak mało miałam mocy nad sobą, jak czułam siebie skrępowaną i bezsilną do mężnego postanowienia oddania się Bogu bez podziału. Gdym zaczęła czytać Wyznania, zdawało mi się, że widzę w nich własny obraz mój; zaczem i poczęłam gorąco polecać siebie temu chwalebnemu Świętemu. Doszedłszy do miejsca, gdzie Święty opowiada nawrócenie swoje, i jako usłyszał on głos w ogrodzie [1]), wyraźnie miałam w sercu to uczucie, że Bóg tymże głosem woła i mnie; długi czas pozostałam cała tonąc we łzach, z wielką w głębi duszy gorzkością żalu i strapienia. O Boże! jakże srogo cierpi dusza, gdy utraci tę wolność, jaka jej była dana, i jaką powinna była zachować na to, aby była panią samej siebie! jakie musi znosić udręczenia! Sama sobie dziś się dziwię, jak mogłam żyć w takiej męce! Niech będzie chwała Bogu, iż darował mi życie, abym powstała ze śmierci, nad wszelką śmierć śmiertelniejszej; dusza moja, tak czułam, wielkich dostąpiła sił od Boskiego Majestatu Jego; czułam, że snać wysłuchał wołanie moje, i ulitował się nad tak wielkiem łez moich wylaniem.

Od tego czasu począł rość we mnie pociąg do dłuższego pozostawania z Bogiem, i pilność w uchylaniu się od okazyi,

---

[1]) *Wyznania*, ks. VIII, rozdz. 11, 12.

bo za usunięciem ich, dusza od razu zwracała się do miłości Jego. Rozumiałam-ci dobrze i czułam, jak mi się zdaje, że Go miłuję, ale nie rozumiałam jeszcze, jak powinna byłam rozumieć, na czem się zasadza prawdziwa miłość Boga. Zaledwo jeszcze, rzec mogę, zaczynałam się zdobywać na chęć i wolę służenia Mu, kiedy Boska łaskawość Jego już poczęła mię na nowo obsypywać darami swemi. Mogłoby doprawdy się zdawać, że czego inni z wielką pracą starają się dostąpić, to Pan jakoby się dopraszał u mnie, bym zechciała przyjąć z rąk Jego, mianowicie słodkości i łaski duchowne, których mi już w tych ostatnich latach użyczał. Bym sama Go błagała o te łaski, albo o tkliwe uczucia pobożne, na to nigdy się nie ośmieliłam; o to tylko Go prosiłam, by mi dał łaski nie obrażania Go więcej, i by mi odpuścił ciężkie grzechy moje. Widząc całą ich wielkość, łask szczególnych i pociech duchownych nigdybym świadomie i rozmyślnie ani pragnąć nie śmiała; już to poczytywałam sobie za zbytnią łaskawość, i było to w istocie wielkie miłosierdzie Jego nademną, że raczył mię cierpieć przed obliczem swojem, że owszem sam pociągał mię do obecności swojej, bo widziałam to jasno, że samabym nie przyszła, gdyby On tego we mnie nie sprawił. Raz tylko jeden w życiu pamiętam że prosiłam Go o pociechy wewnętrzne, w chwili wielkiej oschłości duchownej; ale gdym się spostrzegła co robię, tak się tej prośby mojej zawstydziłam, że sam żal mój i upokorzenie z tego, że tak mało jestem pokorną, sprawił we mnie to, o co byłam się prosić ważyła. Wiedziałam-ci dobrze, że wolno prosić o takie rzeczy; ale zdawało mi się, że podobna prośba takim tylko przystoi, którzy się należycie przysposobią, starając się z wszystkich sił swoich o to, na czem polega prawdziwa pobożność, to jest, by nie obrażać Boga, i wolę mieć gotową i ochotną do wszystkiego co dobre. One łzy moje wydawały mi się prostą tylko tkliwością kobiecą, nie mającą w sobie żadnej siły ani skuteczności, skoro nie osięgałam przez nie tego czego pragnęłam. Z tem wszystkiem jednak sądzę że miałam z nich pożytek; bo jak mówiłam, szczególnie od czasu onych dwu zdarzeń, w których je z taką skruchą i z takim bólem serca wylewałam, zaczęłam więcej oddawać

się modlitwie, i uchylać się od rzeczy przynoszących mi szkodę; chociaż i wówczas jeszcze nie całkiem je porzuciłam, jedno że Bóg, jak mówiłam, dopomagał mi do zupełnego od nich oderwania się. Za tem jakiemkolwiek z mojej strony przygotowaniem, którego Boska dobroć Jego jedynie po mnie czekała, poczęły się mnożyć łaski duchowne, w sposób, jaki zaraz opiszę. Była to dobroć nadzwyczajna; bo takich łask Pan nie zwykł użyczać, jedno tym, którzy już nabyli doskonałej czystości sumienia.

ROZDZIAŁ X.

Zaczyna opisywać łaski, jakie Pan jej czynił na modlitwie; jak i w czem możemy sami sobie dopomagać do otrzymania podobnych darów; jako wiele zależy na tem, byśmy rozumieli łaski, jakie Pan nam czyni. Nakoniec prosi tego, któremu to pismo posyła, by od tego miejsca zacząwszy, to co napisze pozostało tajemnicą, skoro według danego jej rozkazu, tak szczegółowo opowiada łaski od Pana jej uczynione.

Kilkakrotnie, jak mówiłam [1]), miewałam, choć to bardzo prędko przemijało, początki tego, co teraz opowiem. Gdym na modlitwie, jak powiedziałam wyżej [2]), stawiała siebie tuż przy Chrystusie, i przedstawiała Go sobie mieszkającego we wnętrzu mojem, nieraz także w czasie czytania, zdarzało mi się, że znienacka przenikało mię takie żywe uczucie obecności Bożej, że żadną miarą nie mogłam wątpić o tem, że On jest we mnie, albo ja cała pogrążona w Nim. Nie było to rodzajem widzenia; było to coś innego,—zowią to, zdaje mi się teologią mistyczną, — coś, co takie sprawuje zawieszenie duszy, iż cała jakoby wychodzi z siebie. Wola w tym stanie kocha; pamięć zdaje się jakby zatracona; rozum, ile mi się zdaje, nie myśli, ale się nie

[1]) Ob. wyż. rozdz. IV. — [2]) Ob. wyż. rozdz. IV i IX.

gubi [1]), tylko, jak mówię, nie działa [2]), jakoby przerażony wielkością tych rzeczy, które ogląda, bo Bóg chce aby rozumiał, że z tego, co mu w tej chwili ukazuje Boski Jego Majestat, nic a nic nie rozumie.

Przedtem, jakoby wstęp do tej łaski nadzwyczajnej, miałam prawie ustawicznie rzewne uczucia pobożne; łaski tej, o ile mnie się zdaje, możemy w pewnej mierze i do pewnego stopnia własnem staraniem dostąpić; jest to pociecha, ani całkiem zmysłowa, ani też czysto duchowna, ale cała jest darem Bożym. Możemy jednak, zdaje mi się, skutecznie sobie do osiągnięcia jej dopomódz, zastanawiając się nad niskością naszą, i nad niewdzięcznością naszą względem Boga, za tyle dobrodziejstw które nam uczynił; rozważając mękę Zbawiciela i tyle ciężkich boleści Jego, i wszystko życie Jego, tak pełne cierpienia; zapatrując się z lubością na wspaniałość dzieł Pańskich, na wielkość nieskończoną majestatu Jego, i jako nas umiłował, i wiele innych rzeczy, które każdemu, kto szczerze pragnie postąpić w dobrem, co chwila same się nasuwają, chociażby nie bardzo na nie był uważnym. Jeśli więc do takiego rozważania przyłączy się nieco miłości, wtedy dusza się raduje i serce się rozrzewnia, i łzy płyną; czasem sami jakby siłą z siebie je dobywamy, czasem znowu Pan, rzekłbyś, własną ręką źródło ich otwiera, tak iż powstrzymać go ani oprzeć się nie zdołamy. Tak to hojnie, za tę trochę usilności naszej, Bóg, rzekłbyś, nam płaci darem tak wielkim, jakim jest pociecha, przenikająca duszę wśród tych łez jej, gdy wie i widzi, że płacze dla Pana tak wielkiego; i nie dziw, bo ma tu słuszny i przewyższający po-

---

[1]) W zachwyceniu.

[2]) „Powiada że rozum nie działa, bo jak mówiła, nie przechodzi rozumowaniem od jednej rzeczy do drugiej, ani nie wyprowadza wniosków, ponieważ wszystką uwagę jego pochłania wielkość tego dobra, które mu się przedstawia; w rzeczy samej jednak prawdziwie działa, bo zapatruje się na to co mu się przedstawia, i poznaje że nie zdoła zrozumieć tej rzeczy jaka jest. Kiedy więc mówi: „nie działa", to znaczy, że nie rozumuje, ale zatrzymuje się jakby przerażony wielkością tego co poznaje, to jest tej rzeczy którą widzi: nie iżby ją poznawał wyraźnie, ale tylko że widzi, iż jest tak wielką sama w sobie, że nie zdoła jej poznać w zupełności." Przypisek Świętej.

wód do serdecznej pociechy; tą pociechą się raduje, w niej słodko odpoczywa.

Nasuwa mi się tu porównanie, trafne, jak sądzę. Rozkosze te duchowne na modlitwie snać podobne są poniekąd do rozkoszy wybranych w niebie, którzy choć tam nie oglądają nic więcej nad to, co Pan, wedle zasługi każdego, chce aby oglądali, każdy z nich przecie, widząc jak małe są zasługi jego, rad jest i szczęśliwy z miejsca, jakie otrzymał; stąd taka jest niezmierzona różność stopni rozkoszy niebieskich, bez porównania większa od różnicy jaka tu na ziemi zachodzi między jedną pociechą duchowną a drugą, lubo i tu rozmaitość stopni jest bardzo wielka. Tak i duszy poczynającej, gdy Bóg jej użyczy tej łaski, prawdziwie już zdaje się, że nie masz nic czegoby jeszcze pragnąć miała, i poczytuje się za przeobficie zapłaconą za wszystką pracę i służbę swoję; i bez wątpienia, ma słuszność; bo jedna taka łza, poniekąd, jak mówiłam, usilnem staraniem naszem wywołana,—chociaż bez Boga daremną byłaby wszelka usilność nasza,—żadną, jak sądzę, najcięższą pracą tego życia nie może być godnie okupiona, tak wielką jest jej wartość, i tak wielki zysk nam przynosi. Bo jakiż może być większy zysk, nad taką pociechę, dającą duszy niejakie świadectwo, iż jest przyjemną Bogu? Przetoż, kto tej łaski dostąpi, niech za nią wielbi Boga ile zdoła, niech zna siebie wielce dłużnym Boskiej dobroci Jego; snać już Pan chce go mieć domownikiem swoim, i przeznacza go do królestwa swego, byleby nie cofał się wstecz.

Niechaj się nie uwodzi pewną fałszywą pokorą, o której tu mówić zamierzam, a która na tem się zasadza, gdy kto przez rzekomą pokorę nie uznaje w sobie darów, jakich Pan mu użycza. Zrozumiejmy to dobrze, i nigdy o tem nie zapominajmy, że Bóg nam daje łaski swoje bez żadnej zasługi naszej, że zatem naszą powinnością jest, dziękować za nie Boskiemu Majestatowi Jego; bo jeśli nie znamy i nie rozumiemy tego co od Niego otrzymujemy, nie zdołamy też pobudzić siebie do miłości Jego; i rzecz pewna, że im jaśniej dusza uznaje, jak przez łaskę Boską jest bogatą, znając przytem, jak sama z siebie jest ubogą, tem wyżej postąpi w cnocie, tem głębiej się utwierdzi

w pokorze prawdziwej. W przeciwnym razie, gdy przez oną fałszywą pokorę wyobraża sobie że nie jest sposobną do posiadania wielkich łask, i skoro Pan pocznie jej takowych udzielać, lęka się tylko i drży, by nie zgrzeszyła próżnem upodobaniem w samej sobie, dusza taka pozbawia siebie wszelkiej otuchy i dzielności do dobrego. Wierzmy mocno, że Ten który nam daje dary swoje, da także łaskę, abyśmy umieli poznać poduszczenie czarta, jeśliby z powodu tych darów począł nas kusić próżną chwałą, że da i moc, abyśmy pokusie sprzeciwić się mogli, jeśli tylko w szczerości serca chodzimy przed Bogiem, i Jemu pragniemy się spodobać, a nie ludziom. Rzecz to bardzo jasna, że im większe kto nam wyświadczył dobrodziejstwa, tem więcej też, pomnąc na te dobrodziejstwa jego, miłować go będziemy. Jeśli więc słuszna jest rzecz, i wielka zasługa, pamiętać zawsze na to, że od Boga mamy byt i istność naszę, że On nas stworzył z niczego, i zachowuje nas, i wszystkie dobrodziejstwa męki i śmierci swojej zgotował, i pogotowiu trzymał dla każdego z nas dziś żyjących, na długo przedtem niż go stworzył: czemużby mnie nie miało się godzić, bym uznawała to, i jasno widziała, i ustawicznie rozpamiętywała, jako niegdyś podobałam sobie w rozmowach próżnych, a jako teraz Pan mi dał tę łaskę, że o niczem mówić nie lubię i nie chcę, jedno o Nim? Oto klejnot drogi, który, gdy wspomnimy że On go dał, i że jest w posiadaniu naszem, pobudza i zniewala do miłości, i ten jest wszystek szczęśliwy owoc modlitwy wewnętrznej, opartej na pokorze. Cóż dopiero będzie, gdy dusza ujrzy w swem władaniu inne klejnoty jeszcze droższe, takie jak je już otrzymał niejeden sługa Boży, łaskę naprzykład wzgardy świata, owszem i wzgardy siebie samego? Rzecz jasna, że tem bardziej wówczas musi uznawać siebie dłużną Panu, i obowiązaną do służby Jego, pomnąc że sama z siebie nic z tego wszystkiego nie miała, i wielbiąc hojność Pana, że duszy tak ubogiej, i grzesznej, i ogołoconej z wszelkiej zasługi, jaką jest dusza moja, której dość było, i aż nadto, onej pierwszej perełki, raczył użyczyć tyle innych jeszcze droższych łask, i większemi obsypać mię bogactwami, niżbym sama pragnąć mogła. Potrzeba nam zdobywać się na nowe siły do

służby Bożej, i nie okazać się niewdzięcznymi: bo z tym warunkiem Pan daje nam łaski swoje, i jeślibyśmy nie czynili dobrego użytku z tego skarbu i z tego wysokiego stanu, do którego nas podnosi, On je nam znowu odbierze, i w większem daleko ubóstwie nas pozostawi, niż byliśmy przedtem, a perły swoje da takiemu, który je wierniej uszanuje, i pożytek z nich uczyni i sobie i drugim. Lecz jakże mógłby czynić taki pożytek i hojnie użyczać drugim, ktoby nie wiedział o tem, że jest bogatym? Przy takiej naturze, jaką jest nasza, niepodobna, zdaje mi się, by kto zdobył się na serce i odwagę do rzeczy wielkich, jeśli nie ma wewnętrznego przeświadczenia, iż jest w łasce u Boga; bo tak jesteśmy nędzni i tak skłonni do rzeczy tej ziemi, że trudno by zdołał obrzydzić sobie wszystkie dobra doczesne i wielkiem sercem od nich się oderwać, kto nie jest sobie świadomym tego, że posiada już niejaki zadatek dóbr wiecznych. Przez te dary swoje Pan przywraca nam siłę i męztwo, które my przez grzechy nasze straciliśmy. Trudno, tem bardziej, by szczerze pragnął być za nic mianym i wzgardzonym od wszystkich, i nabył wszystkich onych wielkich cnót, któremi jaśnieją doskonali, kto prócz wiary żywej, nie czuje w sobie niejakiego zadatku tej miłości, jaką Bóg go miłuje. Bo takie jest martwe dla rzeczy nadziemskich przyrodzenie nasze, że tylko do tego się garniemy, co widzimy na oczy; i dla tego właśnie one łaski i dary Boże, gdy je uznajemy w sobie, i widzimy, budzą wiarę naszę i nowej dodają jej dzielności. Może być że, jako jestem zła i grzeszna, sądzę o tych rzeczach według siebie; mogą być inni, którym do spełnienia uczynków wysoce doskonałych, niczego więcej nie potrzeba, jedno samej prawdy wiary; ja w nędzy mojej, potrzebowałam wszystkich onych pomocy.

Oni nam to sami najlepiej powiedzą: co do mnie, opisuję tu tylko co było zemną, jak mi kazano: a jeśli piszę co niedorzeczy, ten któremu to posyłam, podrze pisanie moje, bo lepiej odemnie potrafi poznać, co jest złego. Jego też, i wszystkich spowiedników moich, — jako spowiednikiem moim jest i ten, do którego idzie to pisanie, — na miłość Zbawiciela błagam o to jedno: cokolwiek dotąd powiedziałam o niecnotliwem życiu

mojem i o grzechach moich, to niech ogłoszą: dzisiaj zaraz daję im na to pozwolenie; wszystko to niech ogłoszą, jeśli chcą, natychmiast, jeszcze za życia mego, bym snać nie oszukiwała ludzi, aby myśleli że jest we mnie co dobrego; prawdziwie i z wszelką pewnością, o ile znam i rozumiem dzisiaj sama siebie, upewniam ich, że ogłoszenie to wielką mi sprawi pociechę. Ale co do tego, o czem teraz dalej mam mówić, pozwolenie nie daje się; i jeśliby ten opis komu pokazać mieli, nie chcę by wyjawili, kto jest ta w której takie rzeczy się działy, ani kto to napisał; dla tego też nie wymienię tu nigdzie nazwiska mojego, ani niczyjego, ale wedle wszystkiej możności mojej postaram się tak pisać, iżbym nie została poznaną; i o to proszę na miłość Boga. Zatwierdzenie mężów tak uczonych i poważnych dostatecznie zaleci, cokolwiek w tym opisie moim, jeśli Pan mi da łaskę ku temu, mogę powiedzieć dobrego; jeśli tu znajdzie się co zalecenia godnego, będzie to Jego sprawa, a nie moja, bo ja nie mam żadnej nauki, ani zalety życia cnotliwego, ani żadnej od nikogo, uczonego czy kogobądź, do pisania tego pomocy; nikt też, oprócz tych którzy kazali mi pisać, a których obecnie nie masz tu, nie wie o tem że piszę; a przytem mogę tylko pisać w chwilach, że tak rzekę, kradzionych, bo mię to odrywa od przędzenia, a dom w którym mieszkam, ubogi jest, i zajęcia różnego mi nie brak. Gdyby jeszcze Pan dodał mi większej zdolności i lepszej pamięci, za pomocą których mogłabym przynajmniej korzystać z rzeczy dawniej czytanych lub słyszanych; ale zdolność moja prawie żadna, a pamięć bardzo słaba. Jeśli więc z tem wszystkiem zdarzy mi się powiedzieć co dobrego, sam Pan to sprawi wedle woli swojej, mając w tem na celu jaki dobry skutek; co zaś będzie złego, to będzie własna moja sprawa, i Wasza Miłość to wykreśli. Jakkolwiekbądź, wymienienie nazwiska mego ani w jednym ani w drugim razie żadnego nie może przynieść pożytku: póki żyję, wyjawianie to równałoby się głoszeniu zalet moich, a rzecz jasna, że nikogo nie należy chwalić za życia; tem bardziej jeszcze po śmierci mojej nie masz powodu mówić o mnie, chybaby na to tylko, aby to co w pisaniu mojem może być dobrego, straciło wszelką powagę,

i niktby mu wiary nie dawał, widząc że pisała to osoba tak nędzna i niecnotliwa. W nadziei że Wasza Miłość, i drudzy którzy mają to czytać, uczynicie to, o co proszę na miłość Zbawiciela, piszę swobodnie; inaczej miałabym wielki skrupuł, wyjąwszy gdy przychodzi mi pisać o grzechach moich, bo co do tego, żadna mię wątpliwość nie krępuje; co do reszty zaś, dość tego że jestem kobietą, aby mi na samo to wspomnienie skrzydła opadły, a tem bardziej, że nietylko kobietą, ale i niecnotliwą. Wszystko więc co tu nie należy do prostego opisu życia mego, niech to Wasza Miłość zachowa u siebie, skoro z takiem naleganiem żądałeś odemnie niejakiego objaśnienia łask, jakie mi Bóg czyni na modlitwie, azali ono okaże się zgodnem z prawdami świętej naszej wiary katolickiej; gdyby nie, Wasza Miłość natychmiast to spali, na co z góry się zgadzam i poddaję się; powiem więc, co się dzieje we mnie: jeśli są to rzeczy zgodne z wiarą, może Miłość Wasza odniesiesz z nich jaki pożytek; jeśli nie, więc nie omieszkasz wywieść z błędu duszę moję, by snać diabeł nie skorzystał z tego, z czego ja spodziewałam się odnieść korzyść dla siebie; bo zawsze, jak wiadomo Panu memu, i jak o tem później jeszcze wspomnę, szukałam i pragnęłam znaleźć takich, którzyby mię oświecić mogli.

Jakkolwiek pragnę jasno wyrazić to, co wiem o tych przejściach wewnętrznych na modlitwie, słowa moje wydadzą się przecie bardzo ciemnemi tym, którzy nie mają doświadczenia w tych rzeczach. Wskażę tu niektóre trudności, które, zdaniem mojem, stoją na przeszkodzie do postępu na tej drodze, i inne, mogące się na niej trafić niebezpieczeństwa, jak mi je Pan dał poznać z własnego doświadczenia; potem, przez wiele lat, zasięgałam w tej mierze zdania ludzi głęboko uczonych i życia duchownego świadomych; wszyscy oni uznali, że mimo tylu fałszywych kroków i niewierności moich na tej drodze, Pan łaskawy, w ciągu tych dwudziestu i siedmiu lat tylko, odkąd zaczęłam odprawiać rozmyślanie, takiego mi użyczył doświadczenia, jakie inni zaledwo osiągnęli w trzydzieści i siedem, albo czterdzieści siedm lat, przy niezmiennej, przez tak długie lata, stałości w pokucie i cnocie. Niech będzie błogosławiony za wszystko, i niech mną rozporządza do służby

swojej, wedle Boskiej woli i dobroci swojej; bo dobrze wiadomo Panu memu, że w tem objawieniu łask, jakie mi uczynił, nic innego nie mam na celu, jedno przymnożenie Mu chwały i uwielbienia wedle maluczkiej miary mojej, ukazując, jako spodobało Mu się takie plugawe i cuchnące śmietnisko zamienić w ogród, takiem wdzięcznem kwieciem woniejący. Niech mię Boska dobroć Jego uchroni od tego nieszczęścia, bym je kiedy jeszcze z winy mojej wyplenić miała, i stać się znowu taką, jaką przedtem byłam. O to, błagam na miłość Boską, niech prosi za mną Miłość Wasza; bo lepiej i jaśniej wiesz czegom warta, niż mi to pozwoliłeś tu wypowiedzieć.

ROZDZIAŁ XI.

Ukazuje, czyja w tem wina, że dusza nie dochodzi od samego początku do doskonałej miłości Boga. — Poczyna, za pomocą porównania, które przywodzi, objaśniać cztery stopnie modlitwy wewnętrznej. Tu naprzód mówi o pierwszym z tych stopni. Jaki z niego wielki pożytek dla poczynających, i dla tych, którzy nie doznają pociech na modlitwie.

Wszczynając teraz mowę od tych, którzy poczynają czynić siebie niewolnikami miłości,—bo zdaniem mojem, postanowienie naśladowania, tą drogą modlitwy wewnętrznej, Tego, który nas tak umiłował, nie jest niczem innem, jedno oddaniem siebie w błogosławioną niewolę miłości: — jest to godność tak wielka, że na samo jej wspomnienie niewypowiedzianej doznaję radości; bo jeśli tylko w tym początkowym stanie zachowujemy się tak jak należy, od razu bojaźń niewolnicza musi ustąpić precz. O Panie duszy mojej, jedyne dobro moje! Czemu nie spodobało się Tobie tak zrządzić, by dusza, skoro się zdobędzie na postanowienie miłowania Ciebie, i gotowa uczynić wszystko co jest w jej mocy, ogołacając się z wszystkiego dla lepszego napełnienia się miłością twoją, od razu zdołała się wznieść do doskonałej miłości, i posiadaniem jej się cieszyć? Źle mówię; raczej powinnam powiedzieć i żalić się: dla czego my sami nie chcemy, — bo nasza jedynie to wina, — cieszyć się

od razu taką wysoką godnością, kiedy osiągnąwszy posiadanie tej prawdziwej miłości Boga, osiągamy zarazem wszystkie dobra, których ona jest źródłem, i wszystkie je za sobą sprowadza? Tak się drożymy, tak się ociągamy z oddaniem się Bogu bez podziału; zaczem też, ponieważ Bóg nie chce byśmy używali tak wysokiego szczęścia, nie zapłaciwszy za nie wysokiej ceny, zawsze nam niedostaje należnego przysposobienia do osiągnięcia go. Wiem-ci dobrze, że nie masz na tej ziemi żadnej rzeczy tak kosztownej i drogiej, by mogła starczyć na okupienie tak wielkiego dobra; lecz gdybyśmy czynili co jest w naszej mocy, nie przywiązując się do żadnej rzeczy ziemskiej, a starając się o to, by wszystko nasze pożądanie i obcowanie było w niebie, nie masz, sądzę, wątpliwości, że bardzo rychło otrzymalibyśmy ono dobro, tak bez odkładania i bez podziału czyniąc siebie gotowymi do przyjęcia go, jak tego nie jeden Święty przykładem swoim nas uczy. Lecz my, łudząc siebie żeśmy Bogu oddali wszystko, w rzeczy samej ofiarujemy Mu tylko dochód i owoc, a grunt i własność zatrzymujemy sobie. Obieramy sobie dobrowolne ubóstwo, co w istocie wielką jest zasługą; ale nieraz na nowo oddajemy się troskom i zachodom, aby nam nie zabrakło, nie tylko rzeczy potrzebnych, ale i zbytecznych, i ubiegamy się o przyjaciół, którzyby nam tych rzeczy dostarczali, i z obawy niedostatku, na większe narażamy się kłopoty, a może i niebezpieczeństwa, niż te, dla uniknienia których zrzekliśmy się posiadania dóbr naszych. Podobnież zdaje nam się, że samem już poświęceniem siebie powołaniu zakonnemu, i wstąpieniem na drogę życia duchownego i dążenia do doskonałości, zrzekliśmy się czczej sławy i honoru światowego; lecz zaledwo kto w czemkolwiek dotknie tego naszego honoru, już nie pamiętamy na to, żeśmy go oddali Bogu, i chcemy go odebrać napowrót, i wynosić się, i niejako wyrwać go z rąk tego, któregośmy, zdawało się, dobrowolnie i raz na zawsze Panem czci naszej obrali. Tak samo czynimy we wszystkiem.

Szczególniejszy to sposób, doprawdy, nabywania miłości Bożej! chcielibyśmy mieć ją od razu, i pełnemi rękami, jak to mówią, ją czerpać, i zachowując w sercu ziemskie przywiąza-

nia, nie usiłując przywieść do skutku dobrych chęci naszych, i ostatecznie podnieść wyżej nad ziemię pragnienia nasze, chcielibyśmy przytem używać w pełni wszelkich pociech duchownych. To chyba nie uchodzi, i jedno nie zgadza się z drugiem. Tak więc, dla tego że my nie zdobywamy się na oddanie się Bogu odrazu i całkowicie, Bóg też nie od razu i nie całkowicie użycza nam tego skarbu swego; obyż przynajmniej w Boskiej łaskawości swojej użyczał nam go po kropelce, chociażby żądał wzamian od nas wszelkich, jakie mogą być na świecie, najcięższych prac i trudów! Bardzo wielkie zaiste, miłosierdzie czyni Bóg temu, komu da łaskę i męztwo i skuteczne postanowienie dążenia ze wszystkich sił swoich do osiągnięcia tego dobra; takiemu, jeśli wytrwa, Bóg, który nie odmawia siebie nikomu, stopniowo coraz większego będzie dodawał serca i odwagi, aż w końcu wzbije się do tego zwycięztwa. Odwagi, mówię: bo wielkie i niezliczone są trudności, jakie czart stawia poczynającemu, aby nie wstąpił na tę drogę modlitwy wewnętrznej; gdyż wie dobrze nieprzyjaciel zbawienia, jaką z tego szkodę odniesie, a iż nie tylko tę jednę duszę utraci, ale i wiele innych przez nią. Kto bowiem od początku swego życia duchownego usiłuje przy łasce Bożej wstąpić aż na szczyt doskonałości, ten, sądzę nigdy nie wnidzie do nieba sam jeden; zawsze przykładem i wpływem swoim pociągnie za sobą wielu; Bóg, jako dzielnemu wodzowi, dodaje mu towarzyszów, aby z nim i za nim szli. Dla tego więc, jak mówię, diabeł takie poczynającemu kładzie w drogę trudności i niebezpieczeństwa, iż nie małej potrzeba odwagi, aby się nie cofnąć wstecz, a daleko bardziej jeszcze, wielkiej łaski od Boga.

Kiedy już mówię tu o pierwszych początkach tych dusz, stanowczą mających wolę dążenia do tego dobra, i zwycięskiego dokonania przedsięwzięcia swego, — o tem co wyżej zaczęłam mówić, o teologii mistycznej, jak ją, zdaje mi się, nazywają, powiem obszerniej w dalszym ciągu:—trzeba wiedzieć, że praca najtrudniejsza wszystka się znajduje właśnie w tych początkach; tutaj dusza czuje całe brzemię pracy; a Pan dodaje tylko siły do zniesienia go, gdy przeciwnie na dalszych stopniach modlitwy przeważa pociecha i wesele; lubo jednak,

i na początku, i w środku, i przy końcu tej drogi, wszyscy zarówno noszą krzyże swoje, jakkolwiek różne; bo jako drogą krzyża szedł Chrystus, tak i tym, którzy Go naśladują, tąż drogą iść potrzeba, jeśli nie chcą zabłądzić. Błogosławione to cierpienia, które już tu w tem życiu tak przewyższającą nagrodą się opłacają! Zmuszona tu jestem użyć porównań, jakkolwiek chciałabym ich uniknąć, i dla tego że jestem kobietą, i dla tego że pragnę pisać po prostu co mi kazano; ale ta mowa duchowna tak jest trudną do wyrażenia, gdy kto, tak jak ja, żadnej nie ma nauki, że potrzeba mi z konieczności szukać jakiego na to sposobu. Rzadko kiedy zapewne porównanie moje okaże się trafnem; będziesz wtedy Wasza Miłość miała z niego rozrywkę, uśmiechając się na takie niedołęstwo moje. Oto więc porównanie, które zdaje mi się gdzieś kiedyś czytałam czy słyszałam, ale mając złą pamięć, nie wiem już gdzie i z jakiej okazyi; dość że na teraz wydaje mi się odpowiedniem do objaśnienia myśli mojej. Poczynający w życiu duchownem i w modlitwie wewnętrznej, niech sobie przedstawi, że przystępuje do założenia ogrodu rozkoszy, przyjemnego Panu, na gruncie mocno jałowym i chwastami zarosłym. Sam Boski Pan naprzód własną ręką wyplenia z niego złe zielska i wonnemi ziołami go zasadza. Ten pierwszy początek, tak przedstawiamy sobie, już uczyniony jest, skoro tylko dusza stanowczą wolą skłoniła się do modlitwy wewnętrznej i już zaczęła jej się oddawać. Do nas zatem należy, byśmy jako dobrzy ogrodnicy mieli staranie o tych młodych roślinach, aby rosły, i pilnie je podlewali, aby nie uschły, dopóki się nie rozwiną i kwiatów nie wydadzą, któreby słodką wonią swoją rozweselały serce Pana naszego, tak iżby często nawiedzał ten ogród swój, i nim się lubował, i wśród tego kwiecia cnót wszelkich rad odpoczywał.

Obaczmyż teraz, w jaki ma być sposób podlewanie, abyśmy zrozumieli co tu czynić powinniśmy, i ile nas to pracy będzie kosztowało, i jak długo tak nam pracować potrzeba, i czy zysk przewyższy nakład pracy. Czworaki, zdaje mi się, może być sposób podlewania: albo ciągnąc wodę ze studni, co jest pracą bardzo uciążliwą; albo za pomocą „noryi“ [1]), czy

[1]) Przyrząd hydrauliczny, używany powszechnie w Hiszpanii i Francyi południowej.

wodociągu, dobywając wodę przez obracanie koła, jak to sama nieraz próbowałam; — tu praca mniejsza jest od poprzedniej i więcej dostaje się wody; albo sprowadzając wodę z rzeki czy ze strumienia, i ten jest sposób o wiele lepszy, bo i ziemia obficiej się wodą nasyca, i nie potrzeba tak częstego podlewania, i ogrodnik daleko mniejszą ma pracę; albo wreszcie za pomocą deszczu obfitego; wtedy Pan sam, bez żadnej pracy naszej podlewa, i ten sposób bez żadnego porównania przewyższa wszystkie poprzednio wymienione. Stosując teraz do założenia mego te cztery sposoby nawodniania potrzebnego do utrzymania ogrodu, który bez wody zwiądłby i zmarniał, sądzę że za pomocą tego porównania zdołam w pewnej mierze objaśnić cztery stopnie modlitwy wewnetrznej, na których Pan w dobroci swojej różnemi czasy duszę moję stawiał. Bodajbym z łaski Jego w taki sposób umiała to wypowiedzieć, iżby było na pożytek jednemu z tych, którzy mi kazali to napisać, a którego Pan przez cztery miesiące o wiele dalej naprzód zaprowadził, niż ja zaszłam w siedmnaście lat; lepiej odemnie przysposobił siebie, zaczem teraz bez żadnej pracy swojej, ma swój ogród podlewany wszystkiemi czterema onemi wodami; a choć ostatnia udziela mu się jeszcze kroplami tylko, wszakże tak szybkie są postępy jego, że niezadługo, przy pomocy Pańskiej cały się w niej zanurzy; niechże się śmieje zemnie, jeśli mój sposób mówienia o tych rzeczach wyda mu się niedorzecznym: zgadzam się na to i rada z tego będę.

O poczynających w modlitwie wewnętrznej można powiedzieć, że są podobni do ludzi, ciągnących wodę ze studni, co jak mówiłam, wielkie im sprawujc utrudzenie. Potrzeba im biedzić się ze zmysłami swemi, aby je trzymać w skupieniu, co, ponieważ zwykły błąkać się samopas, jest pracą nielada. Potrzeba im przyuczać się powoli do umartwienia przyrodzonej chęci widzenia i słyszenia wszystkiego, a w godzinach modlitwy rzeczywiście już powściągać się od widzenia i słyszenia rzeczy zewnętrznych, usuwając się na samotność, i samotnie rozpamiętywając przeszłe życie swoje. Wszyscy wprawdzie, ostatni zarówno jak i pierwsi, powinni się często oddawać temu rozpamiętywaniu, ale różna jest dla różnych miara czasu

i usilności do tego potrzebnej, jak to niżej objaśnię. Poczynający zwykli dręczyć się tem, że nie potrafią rozpoznać, czy mają istotnie żal za grzechy swoje, chociaż z pewnością go mają, skoro mają postanowienie służenia Bogu na prawdę. Powinni usilnie przykładać się do rozmyślania o życiu Chrystusa Pana, a rozmyślanie to jest także utrudzeniem dla umysłu. Do tego wszystkiego sami dojść możemy, rozumie się, przy pomocy łaski Bożej, bo bez niej, jak wiadomo, nie zdołamy ani pomyśleć nic dobrego. W taki sposób poczynamy ciągnąć wodę ze studni; i dałby Bóg aby się znalazła; ale choć jej kiedy zabraknie, nie będzie to przynajmniej z winy naszej, skoro idziemy czerpać ją, i czynimy co możemy, aby te kwiaty nasze były podlane. A Bóg tak jest dobry, że choć nieraz, z przyczyn Boskiemu Majestatowi Jego wiadomych, — może właśnie dla tem większego postępu naszego, — dopuszcza by studnia okazała się suchą, wszakże jeśli jedno my czynimy co do nas, jako dobrych ogrodników należy, i bez wody zachowa kwiatom życie, i cnotom da pomnożenie. Przez wodę rozumiem tu łzy, albo w braku łez, wewnętrzne uczucia i rozrzewnienia pobożne.

Cóż tedy pocznie taki, który przez długie dni widzi w sobie samą tylko oschłość i niesmak, i znękanie, i taką bezskuteczność pracy swojej w chodzeniu do studni i szukaniu wody, że gdyby nie pomniał na to, iż tak pracując, przyjemność czyni i posługę oddaje Panu ogrodu, gdyby go nie powstrzymywała obawa postradania tego wszystkiego, co już wysłużył, i nadzieja że przecie nie pozostanie bez pożytku ten trud nużący, jaki ponosi, tyle razy spuszczając ceber do studni, i zawsze go wyciągając bez wody: gotówby porzucić wszystko? I nieraz mu się zdarzy, że od zmęczenia już i rąk podnieść nie zdoła, ani się zdobyć na żadną myśl pobożną; bo przez to ciągnienie wody ze studni ma się tu rozumieć działanie i praca rozumu. Cóż więc pytam, pocznie ogrodnik w takiej niedoli swojej? Niech się pociesza, niech się weseli, niech sobie to poczytuje za łaskę największą, że dano mu jest pracować w ogrodzie tak wielkiego Monarchy, i że wie, iż tak pracując, podoba się Jemu, i że w tem ma na celu, nie własne zadowol-

nienie swoje, jedno zadowolnienie Jego; niech Go wysławia ustawicznie, iż taką mu ufność okazuje, widząc jako, choć Pan mu żadnej nie daje zapłaty, on przecie z taką pilnością chodzi około pracy przez Niego mu zleconej; niech Mu dopomaga w noszeniu krzyża swego, pomnąc na to, że On całe życie swoje dźwigał brzemię krzyża; niechaj nie tu na ziemi szuka chwały królowania z Nim, a modlitwy niechaj nigdy za nic nie opuszcza, ale raczej wciąż się utwierdza w mocnem postanowieniu, że chociażby ta oschłość miała trwać całe życie, on nie dopuści Chrystusowi upaść pod krzyżem. Przyjdzie czas że otrzyma zapłatę za wszystko; niech się nie lęka, by miała być stracona praca jego; dobremu Panu służy, i oczy Jego na nim spoczywają. Jakiekolwiekby go napastowały złe myśli, niech się niemi nie trwoży; wszak i św. Hieronimowi diabeł także pokusy nasuwał na puszczy. Mają swoję cenę te udręczenia; przechodziłam ja przez nie długie lata, i jeśli kiedy wśród tej ciągłej oschłości udało mi się jednę kropelkę zaczerpnąć z owej studni błogosławionej, wydawało mi się to szczególną łaską od Boga. Są to, wiem dobrze, cierpienia bardzo dojmujące, i większej, zdaniem mojem, potrzeba odwagi do zniesienia ich, niż do innych wielu utrapień, jakie są na świecie; ale jasno o tem się przekonałam, że Bóg nie zostawia ich bez nagrody, nawet i w tem życiu jeszcze; bo rzecz pewna, że jedna z tych godzin rozkosznego uczucia Boskiej słodkości Jego, których mi potem Pan użyczał, wydała mi się przeobfitem wynagrodzeniem za wszystkie udręczenia, jakie przez długi czas wycierpiałam, chcąc wytrwać na modlitwie. Snać dla tego Pan, częstokroć na początku, nieraz i przy końcu tej drogi modlitwy wewnętrznej, dopuszcza na miłośników swoich te męki duchowe, i inne jakie się nasunąć mogą pokusy, aby ich doświadczył, aby się okazało, czy będą mogli pić kielich Jego, i pomagać Mu nosić krzyż, pierwiej nim złoży w nich wielkie one skarby swoje. Dla dobra naszego, nie wątpmy o tem, Boska łaskawość Jego taką nas chce drogą prowadzić, abyśmy dobrze zrozumieli że jesteśmy niczem; bo taka jest wysokość i wielkość tych łask, których nam potem użycza, iż potrzeba nam, pierwej nim ich użyczy, poznać z własnego doświadczenia nędze nasze, by nas snadź nie spotkało to, co spotkało Lucyfera.

Cóż jest, o Panie mój, w tych drogach i zrządzeniach twoich, coby nie zmierzało do większego dobra takiej duszy, którą widzisz że już jest twoją, że oddaje się w ręce twoje, aby szła za tobą kędykolwiek pójdziesz, i aż do śmierci krzyżowej, z mocno postanowionym umysłem i wolą, dopomagania Ci w noszeniu krzyża, i nie pozostawienia Ciebie z nim samego? Jeśli cię Pan widzi w takiem usposobieniu i postanowieniu, zaprawdę, nie masz się czego lękać, duszo duchowna, nie masz czego się smucić, gdy już stoisz na tak wysokim stopniu, jakim jest pożądanie obcowania z Bogiem samym, i porzucenia dla miłości Jego uciech światowych: tego dokazawszy, dokazałaś już co było najtrudniejszego; wysławiaj za to Boską wielmożność Jego, i zdaj się z ufnością na dobroć Jego, bo nigdy on jeszcze nie zrobił zawodu przyjaciołom swoim. Nie dopuszczaj do siebie ani na chwilę takiej myśli: dla czego tamtemu po niewielu dniach daje łaskę uczuć pobożnych, a mnie jej nie daje po tylu latach? Wierzajmy, wszystko to jest dla naszego dobra; niech nas wiedzie Boska wola Jego którędy zechce, nie jesteśmy już swoi, ale Jego. Dość tej wielkiej łaski którą nam czyni, że chce byśmy chcieli pracować w ogrodzie Jego, i zostawać przy nim, Boskim Panu jego, bo On z pewnością jest z nami; jeśli Mu się podoba by rosły te zioła i kwiaty, jednym przez podlewanie wodą, którą ciągną ze studni, a drugim bez wody, co mnie do tego? Czyń, Panie, cokolwiek zechcesz; niech tylko ja Ciebie nie obrażam, niech się nie marnują we mnie kwiaty cnót, jeśli mi jakiej, z samej tylko dobroci twojej, użyczyłeś. Cierpieć chcę, Panie, bo Ty cierpiałeś; niech się spełni nademną na wszelki sposób wola Twoja; a nie dopuszczaj tego, Boże wielki, by rzecz tak droga jaką jest miłość twoja, dostała się najemnikom, którzy służą Tobie tylko dla pociech twoich.

Zważmy to dobrze, a wiem co mówię, bom sama tego na sobie doświadczyła: gdy dusza wstąpi na tę drogę modlitwy wewnętrznej, i odważnie nią idzie, gdy zdobędzie się na to, by już nie troszczyła się zbytnie o pociechy i uczucia pobożne, ani się zbytnie cieszyła, gdy Pan je da, ani się zbytnie smuciła, gdy ich zabraknie, wtedy dusza taka już uszła wielką część

drogi; choć może nieraz się potknie, niech się nie lęka by dla tego cofała się wstecz; budowa, którą wznosi, na mocnym opiera się fundamencie. Tak jest, miłość Boża nie zasadza się na rozpływaniu się we łzach, ani na onych pociechach i rozrzewnieniach, których po większej części pragniemy, i cieszymy się gdy je mamy, ale na tem byśmy służyli Mu w sprawiedliwości i sercem mężnem, i z pokorą; w pociechach zaś duchownych, zdaniem mojem, bierzemy tylko, a nic z siebie nie dajemy. Dla kobieciny, jaką ja jestem, słabej i małego ducha, może jeszcze tego potrzeba, by Bóg ją pokrzepiał słodkością darów swoich, jak to obecnie czyni mnie, abym mogła znieść niejakie utrapienia, które z Boskiej woli Jego na mnie przychodzą. Ale by słudzy Boży, mężowie poważni, uczeni i rozumni, tak się frasowali o to, że Bóg im nie daje pociech duchownych, jest to rzecz dla mnie tak ckliwa, że i słyszeć o tem nie mogę. Nie mówię by ich nie mieli przyjmować, gdy im Bóg ich użyczy; owszem, niech je sobie wówczas wysoko cenią, skoro Bóg snać uznaje, że im w tej chwili przyniosą pożytek; ale gdy są pozbawieni tych pociech, niechaj się tem nie dręczą; niech powiedzą sobie, że skoro Bóg ich odmawia, więc widać nie są im potrzebne, i niech umieją panować nad sobą, i cierpliwie przetrwać czas posuchy. Niechaj mi wierzą, któram widziała to sama i doświadczyła, małoduszność taka jest rzeczą zdrożną, jest przeszkodą w dążeniu do doskonałości, bo krępuje swobodę ducha i odbiera siłę do mężnych przedsięwzięć.

Co tu mówię, nie tyczy się to samych tylko poczynających, chociaż i dla nich tak mocno na to nalegam, bo wiele na tem zależy, by od samego początku przystępowali do dzieła z taką swobodą ducha i z takiem mężnem postanowieniem; ale mówię to i dla drugich, jakich jest wielu, którzy choć dawno zaczęli, nigdy do tego dojść nie mogą, by doszli do końca. Główna tego małego postępu przyczyna, jak sądzę, jest w tem, że nie chwycili się krzyża od samego początku; stąd, gdy na modlitwie nie udaje im się działać rozumem, znieść tego nie mogą, i dręczą się, i zdaje im się że nic nie robią; a może właśnie wówczas, choć sami o tem nie wiedzą, wola ma pożywny dla siebie pokarm, i nowych sił nabiera. Bądźmy pewni,

że Bóg nie zważa na to niedołęztwo umysłu naszego, i że takie rzeczy, choć nam się wydają być winą, w Jego oczach żadnej winy nie mają; lepiej niż my sami zna Boski Pan nasz nędzę i przyrodzoną niskość naszę; wie o tem, że ta dusza szczerze już pragnie, choć nie zawsze potrafi, myślić o Nim i kochać Go. Tego jedynie usposobienia i postanowienia żąda od nas łaska Jego. Smutki zaś one, któremi się trapimy, na nic się nie przydadzą, jedno na większe zaniepokojenie duszy; i jeśli przedtem jednę godzinę była niesposobną rozmyślać, potem, skutkiem tego niepokoju, niesposobność jej w czwórnasób się zwiększy. Bo bardzo często,—o czem z wielokrotnego doświadczenia się przekonałam, i wiem że tak jest, bo patrzałam na to, i zastanawiałam się nad tem, i później osób duchownych o to się radziłam;—bardzo często, mówię, ta niesposobność pochodzi z niedyspozycyi fizycznej; bo taką jest nędza nasza, że ten więzień, ta biedna dusza nasza podziela z ciałem niedomagania jego; częstokroć zmienność pogody albo zaburzenia humorów tak na nią wpływają, że bez żadnej winy swojej nie może uczynić tego czego chce, ale cierpieć musi na wszelki sposób; a gdy w takich chwilach przymuszać ją do modlitwy, złe tem bardziej się wzmaga, i tem dłużej trwa. Potrzeba tu roztropności, aby umieć rozpoznać takie pory, i nie dręczyć biednej na próżno; niech taka dusza zrozumie że jest chorą; niechaj w takiem będąc zniemożeniu, jeśli potrzeba, i przez kilka dni, inną sobie obierze godzinę modlitwy. Niech znosi jak potrafi ten czas wygnania; bo dla duszy kochającej Boga jest to gorzka niedola, widzieć siebie skazaną na takie nędzne życie, i nie módz czynić tego, coby uczynić chciała, dzięki takiemu uprzykrzonemu gospodarzowi swemu, jakim jest to ciało. Roztropności, mówię, tu potrzeba; bo nieraz i diabeł może być sprawcą tych niesposobności. Nie należy zatem, ani opuszczać zaraz modlitwy, ile razy nachodzą natarczywe roztargnienia albo odmęt wewnętrzny, ani też upornie dręczyć duszę i zmuszać ją do tego czego nie może. Są inne zajęcia zewnętrzne, jak uczynki miłosierne, albo czytanie, do których na ten czas uciekać się można, choć nieraz i na takie rzeczy dusza zdobyć się nie potrafi; niechże wówczas dla miłości Boga pofolguje i posłuży ciału, aby ono

za to w wielu innych razach służyło duszy; niech użyje świętej jakiej rozrywki, w pobożnej rozmowie, w przechadzce na wolnem powietrzu, albo cokolwiek spowiednik poradzi innego. W tem wszystkiem wielce pomocnem jest doświadczenie, które nas uczy, co w danym razie będzie nam pożyteczno; i w tem wszystkiem, w jakimkolwiek stanie duszy i usposobieniu, można służyć i służy się Bogu. Jarzmo Jego jest wdzięczne: nie trzeba więc, — wiele na tem zależy byśmy o tem pamiętali, — ciągnąć duszy, jak to mówią, za włosy, ale raczej prowadzić ją trzeba z cichością i pobłażaniem, aby ochotniej szła naprzód. Powtarzam więc raz jeszcze tę przestrogę, i nie zaszkodzi powtarzać ją jak najczęściej: kto zaczął przykładać się do modlitwy wewnętrznej, niech się o to nie frasuje ani się smuci, gdy dozna na niej oschłości, i niepokoju, i roztargnienia myśli; jeśli pragnie nabyć swobody ducha, i nie żyć w ciągłem udręczeniu, niech nasamprzód nie lęka się krzyża: wówczas przekona się, jak słodko i skutecznie Pan dopomaga do noszenia go, i jakie zadowolnienie uczuje w sobie, i jak wszystko będzie mu się obracało w duchowny pożytek. Z tego wszystkiego jasny wniosek, że gdy studnia sucha, nie jest w naszej mocy wodę do niej sprowadzić; ale prawda i to, że nie powinniśmy zaniedbywać należnej baczności, abyśmy, gdy się woda ukaże, gotowi byli ją czerpać, bo tego wówczas Bóg od nas żąda, aby przy takiej pracy naszej cnoty w nas pomnożył.

ROZDZIAŁ XII.

Objaśnia dalej ten pierwszy stopień modlitwy. Jak daleko możemy w niej postąpić sami, przy pomocy Bożej. Jaką szkodę dusza wyrządza sobie, gdy chce własną usilnością piąć się do rzeczy nadprzyrodzonych i nadzwyczajnych, nim Pan sam, jeśli zechce, do takiego stanu ją podniesie.

W tem, co w poprzedzającym rozdziale starałam się objaśnić, — choć zbaczałam przytem do różnych innych rzeczy, bo

wzmianka o nich wydawała mi się bardzo potrzebną,—głównie miałam na celu wykazać, jak daleko zdołamy sami postąpić w modlitwie wewnętrznej, i jako na tym pierwszym jej stopniu możemy w pewnej mierze własną pracą zdobywać się na uczucia pobożne i pociechy duchowne. Rozważanie bowiem i zgłębianie myślą tego, co ucierpiał dla nas Boski Zbawiciel, pobudza nas do bolesnego w mękach Jego współczucia, a boleść ta i łzy które z niej się rodzą, słodkie są i pociechę niosą do duszy. Podobnież rozmyślanie o chwale, której się spodziewamy, i o miłości jaką nas Pan umiłował, i o zmartwychwstaniu Jego, wzbudza w nas wesele, które nie jest ani całkiem duchownem ani też całkiem zmysłowem, ale jest weselem cnotliwem, i tak samo jak boleść i żałość nad męką Pańską, ma swoję zasługę. Tegoż rodzaju są wszystkie inne przedmioty, które wzbudzają w nas pociechy duchowne, nabyte po części za pomocą rozumu i rozmyślania, chociaż nie zdołamy ich nabyć i na nie zasłużyć, jedno gdy Bóg da.

Dusza, której Bóg z tego stopnia modlitwy nie podniósł na wyższy, najlepiej zrobi, gdy zaniecha wszelkiego starania o wzniesienie się nań własną usilnością swoją: jest to przestroga bardzo ważna, bo z takiego wspinania się nie będzie pożytku, tylko szkoda. Może dusza w tym stanie, i powinna, zdobywać się na akty jaknajgorętsze, ku utwierdzeniu w sobie gotowości i odwagi do podejmowania wielkich rzeczy dla Boga, ku pomnożeniu w sobie miłości Bożej, ku pobudzeniu siebie do postępu w cnotach, jako jest wskazano w książce pod tytułem: „Sposób służenia Bogu“ [1]), bardzo dobrej i odpowiedniej właśnie dla tych, którzy stanęli na tym pierwszym stopniu modlitwy, gdzie przeważa działanie rozumu. Może stawiać siebie w obecności Chrystusa, jakby Go widziała na oczy, i przyuczać się powoli do coraz gorętszego rozmiłowania się w świętem człowieczeństwie Jego, i trzymać się ustawicznie towarzystwa Jego, i z Nim rozmawiać, i prosić Go o pomoc w potrzebach swoich, i skarżyć się Jemu w utrapieniach swoich, i cieszyć

[1]) *Arte para servir a Dios*, por Fray Alonso da Madrid: Alcala 1526; drugie wydanie: Toledo, 1571.

się z Nim w pociechach swoich, by snać dla tych pociech o Nim nie zapomniała; a w tych swoich z Nim rozmowach, niech się nie sadzi na sztucznie ułożone modlitwy, ale w prostych słowach niech Mu mówi co czuje, czego pragnie, co potrzebuje. Jest to doskonały sposób do wysokiego, w krótkim czasie, postępu, i kto usilnie się stara o to, aby zawsze pozostawał w tem najdroższem towarzystwie, i korzystał z niego ile zdoła, i na prawdę umiłował tego Pana, któremu tyle zawdzięczamy, ten zdaniem mojem daleko już postąpił. Do tego, jak już mówiłam, nie potrzeba zgoła frasować się o brak uczuć pobożnych, ale raczej należy dziękować Panu, iż utrzymuje w nas święte pragnienie podobania się Jemu, jakkolwiek uczynki nasze słabo temu pragnieniu odpowiadają. Ten sposób trzymania się stale w obecności i w towarzystwie Chrystusa Pana, pożyteczny jest w każdym stanie i stopniu modlitwy wewnętrznej: jest środkiem niezawodnym do postępu dla tych, którzy zostają na stopniu pierwszym, i łatwe otwiera przejście na drugi stopień modlitwy, a na stopniach wyższych bezpieczną daje obronę od grożących tam poduszczeń i ułud szatańskich.

Tyle więc możemy osiągnąć własną pracą naszą; ktoby chciał sięgnąć wyżej i na własnych skrzydłach wznieść się duchem do używania słodkości i smaków duchownych, które mu nie są dane, ten jak mnie się zdaje, utraci i jedno i drugie. Słodkości tych żadną usilnością swoją nie osięgnie, bo są to rzeczy nadprzyrodzone; zaczem, gdy z drugiej strony rozum w swem działaniu ustanie, dusza pozostaje opustoszała i na zupełną posuchę wydana. Budowa ta duchowna cała się wspiera na pokorze; im bliżej dusza przystąpi do Boga, tem wyżej ta cnota pokory rość w niej powinna, w przeciwnym razie wszystko budowanie rozsypie się w gruzy. Chcieć zaś o własnej sile wynosić się wyżej, jest to, zdawałoby się, rodzaj pychy; tem bardziej gdy Bóg i tak już dosyć nas, i nad miarę, wywyższa, dopuszczając nam, takim jakimi jesteśmy, przystępować do Niego. Nie ma się jednak to, co tu mówię, rozumieć o wznoszeniu się myślą i rozważaniem do wysokości niebieskich, i do Boga, i do wielmożności królestwa Jego, i nieskończonej mądrości Jego; jakkolwiek sama nigdy się na taki

polot ducha nie zdobyłam,—bo i zdolności do tego nie miałam, i nadto, znając siebie tak niecnotliwą, już to za niemałą zuchwałość sobie poczytywałam, że śmiałam sięgać myślą do rzeczy ziemskich i widomych, choć Bóg w miłosierdziu swojem dawał mi łaskę do zrozumienia prawdy w nich zawartej, tem bardziej więc nie ważyłabym się porywać do rozważania tych rzeczy które są wysoko w niebie:— dla drugich przecie rozważania te mogą być pożyteczne, szczególnie jeśli mają naukę, bo nauka, zdaniem mojem, wielkiem do tego ćwiczenia jest skarbem, jeśli idzie w parze z pokorą. Przekonałam się o tem temi dniami na przykładzie kilku mężów uczonych, którzy niedawno zacząwszy, w krótkim czasie bardzo daleko postąpili: i to wielkie we mnie wzbudza pragnienie, aby jak najwięcej ludzi z nauką stawało się duchownymi, jak o tem jeszcze niżej mówić będę.

To co powiadam, że dusza nie powinna piąć się wyżej, dopóki Bóg jej nie podniesie, jest to sposób mówienia duchowny; rozumie to, kto ma w tych rzeczach niejakie doświadczenie; ktoby po tem, co powiedziałam, nie rozumiał, temu ja rzeczy jaśniej wytłómaczyć nie potrafię. W teologii mistycznej, o której zaczęłam mówić wyżej, ustaje działanie rozumu, bo Bóg sam je zawiesza, jak to później jeszcze objaśnię dokładniej, o ile potrafię, i o ile Pan raczy mi ku temu użyczyć łaski swojej. Dla tego właśnie mówię, że nie powinniśmy się porywać na to, ani myśleć o tem, byśmy sami zdołali sprawić w sobie takie zawieszenie działania rozumu; powinniśmy przeciwnie nie przerywać działania jego, i rozumowaniem pomagać sobie do rozmyślania: inaczej pozostaniemy tępi i zimni, i ani jednego ani drugiego nie dokażemy: rozmyślanie się zmarnuje, a bogomyślności nie będzie. Gdy Pan zawiesza rozum i zatrzymuje działanie jego, daje mu też zarazem czem się zająć i nad czem się zdumiewać, zaczem bez rozumowania więcej zrozumie w przeciągu jednego Wierzę, niż my wszelką pilnością i usilnością naszą zdołalibyśmy zrozumieć przez wiele lat. Ale chcieć samemu tak zająć władze duszy i zatrzymać przyrodzone ich działanie, to dzieciństwo i nierozum; i jest w tem, powtarzam, pewien brak pokory, nieświadomy zapewne i bez

winy, ale nie bez przykrego zawodu: praca będzie daremna, a w duszy pozostanie pewne niemiłe uczucie, jak gdy kto zapędzi się do skoku, a ktoś go z tyłu przytrzyma, zaczem, choć wszystkie siły swoje wytężył, skutku, którego tym zapędem swoim zamierzał, osiągnąć nie może. W tym marnym takiej usilności pożytku, każdy kto zechce dobrze się przypatrzyć, pozna on maleńki brak pokory, o którym mówiłam; bo wysoka ta cnota tę ma przedziwną własność, że żaden czyn, któremu ona towarzyszy, nie pozostawia w duszy niesmaku. Zdaje mi się, że wytłómaczyłam rzecz zrozumiale, choć może tylko zrozumiale dla siebie; niechaj Pan raczy doświadczeniem oświecić oczy tych, którzy to czytać będą; jakkolwiekby ono było niewielkie, przy pomocy jego zaraz zrozumieją.

Przez wiele lat tak było zemną, że choć wiele czytałam książek duchownych, nic z nich nie rozumiałam; potem znowu przez długi czas, choć Bóg mi już dał zrozumienie, nie umiałam znaleźć ani słowa na wytłómaczenie tych rzeczy drugim, co nie mało mię kosztowało udręczenia. Ale gdy się spodoba Boskiemu Majestatowi Jego, w jednej chwili nauczy wszystkiego, w sposób taki, że mię przeraża zdumieniem. To jedno powiem tu z całą szczerością i prawdą: pomimo tylu rozmów z mistrzami życia duchownego, którzy starali się wytłómaczyć mi łaski, jakich Pan mi użyczał, abym je wyrazić i w słowa ująć mogła, rzecz pewna że nic a nic nie rozumiałam, taka była tępość moja: gdy zaś spodobało się Panu, jako On w Boskiej łaskawości swojej sam zawsze był mistrzem moim,—niech będzie błogosławiony za wszystko, bo wyznanie to, choć najprawdziwsze, wielkiem jest dla mnie zawstydzeniem,—abym Jemu samemu wszystko zawdzięczała: choć nie starałam się o to ani prosiłam,—bo tych rzeczy, w których ciekawość byłaby cnotą i zasługą, wcale nie byłam ciekawą, gdy przeciwnie innych rzeczy i próżności chciwie pragnęłam się dowiedzieć: Bóg w jednej chwili dał mi zupełnie jasne tych łask swoich zrozumienie, i wszelką łatwość w wypowiedzeniu ich ku wielkiemu zdumieniu spowiedników moich, a większemu jeszcze zdumieniu mojemu, bo lepiej niż oni znam niepojętność moję. Takiej łaski dostąpiwszy, a dostąpiłam jej niedawno temu, nie troszczę

się już o dowiedzenie się tego, czego Pan sam mnie nie nauczy, z wyjątkiem tylko tych rzeczy, które się tyczą sumienia mego.

Raz jeszcze powtarzam, bo jest to przestroga bardzo ważna, nie wspinajmy się na wysokości duchowe, jeśli Pan sam nas nie podnosi; a gdy On podnosi, czuć to od razu. Dla kobiet zwłaszcza takie zrywanie się jest rzeczą niebezpieczną, bo łatwo szatan może im podsunąć jakie ułudy swoje. Wszakże mam to za rzecz najpewniejszą, że nie dopuści Pan złemu duchowi szkodzić takiej duszy, która w duchu pokory usiłuje zbliżyć się do Niego; przeciwnie, czem szatan chciał podejść ją i zgubić, z tego ona większy zysk i korzyść odniesie. Rozszerzyłam się tak długo nad tym pierwszym stopniem modlitwy, bo jest to stopień najzwyczajniejszy, i bo odnośne do niego przestrogi moje bardzo wielkiej są wagi. Inni bez wątpienia daleko lepiej o tem pisali; to też wyznaję, z wielką nieśmiałością i zawstydzeniem odważyłam się na to pisanie; choć nie z takiem jeszcze zawstydzeniem, jakiebym czuć powinna. Niech będzie Pan błogosławiony za wszystko, iż takiej niegodnej, jaką ja jestem, pozwala i każe mówić o tych rzeczach swoich, tak wielkich i wysokich.

ROZDZIAŁ XIII.

Jeszcze o tym pierwszym stopniu modlitwy. Ostrzega o pewnych pokusach, jakie zły duch zwykł naprowadzać, i podaje rady, jak się w tych pokusach zachowywać. Ważność tego przedmiotu.

Zdało mi się rzeczą pożyteczną, wspomnieć tu o niektórych pokusach, które, jak się przekonałam, wydarzają się poczynającym, i sama też takowe miewałam, a zarazem podać niektóre rady w rzeczach, zdaniem mojem, do życia duchownego należących i potrzebnych. Naprzód tedy potrzeba w początkach starać się o to, byśmy chodzili przed Bogiem z weselem i swobodą wewnętrzną. Są bowiem tacy, którzy, gdy choć na chwilę

zapomną czuwania nad sobą, już wszystką pobożność swoję mają za straconą. Dobrze jest, bez wątpienia, żyć w bojaźni i niedowierzaniu sobie samemu, byśmy, przez zbytnią ufność w sobie, nie wystawiali się żadną miarą na okazye, w których zwykliśmy obrażać Boga. Jest to bojaźń bardzo potrzebna, dopóki dusza nie utwierdzi się niezachwianie w cnocie. I nie wiele jest dusz, któreby tak mocno zdołały się utwierdzić, iżby im się godziło, w okazyach, przypadających do ich wrodzonych skłonności, zaniechać należnego czuwania nad sobą. W każdym czasie, dopóki żyjemy, dobrze jest, choćby tylko dla miłości pokory, znać i uznawać nędzę naszego przyrodzenia. Ale są także, jak mówiłam, różne rzeczy, w których wolno nam, w chwilach większego zniemożenia wewnętrznego, szukać sobie rozrywki, aby tym sposobem siły swoje odświeżywszy, raźniej potem wrócić do modlitwy. We wszystkiem potrzeba miary i roztropności. Potrzeba tu także wielkiej ufności; bo nie byłoby nam pożyteczno obniżać i ścieśniać pragnienia nasze, ale raczej mamy polegać na Bogu i wierzyć, że czyniąc co jest w naszej mocy, choć nie zaraz ale powoli, możemy przy łasce Jego dojść do takiejże doskonałości, jaką osiągnęło wielu świętych; bo i oni, gdyby się nie byli zdobywali na święte pragnienia, i stopniowo ich w czyn nie zamieniali, nie byliby się wznieśli do stanu tak wysokiego. Bóg chce byśmy mieli serce odważne, i dusze mężne miłuje, jeśli tylko chodzą przed Nim w pokorze, w niczem nie polegając na samych sobie; nie widziałam też nigdy takiej duszy wspaniałomyślnej, żeby pozostawała w tyle na tej drodze, jak również nie widziałam duszy bojaźliwej, jakkolwiekby małoduszność swoję pokrywała mianem pokory, by i po wielu latach tak daleko postąpiła, jak tamte w krótkim bardzo czasie postępują. Jest to rzecz zdumiewająca, jak wiele znaczy na tej drodze odwaga, ochotnie zdobywająca się na wielkie rzeczy; i chociaż rychło takiej duszy sił zabraknie do dłuższego lotu, i jak młoda ptaszyna, której jeszcze skrzydła nie urosły, musi znużona zatrzymać się i odpocząć, wszakże już tym krótkim wzlotem swoim daleką przestrzeń zmierzyła.

Często dawniej zastanawiałam się nad tem słowem świętego Pawła, że „wszystko możemy w Bogu“ [1]); bo z siebie samej, jasno to rozumiałam, nic nie mogę. Wielki z tych słów odniosłam pożytek, jak również i z tego co mówi św. Augustyn: „Daj, Panie, co rozkazujesz, a rozkaż co chcesz“ [2]). Często także zastanawiałam się nad tem, jako Piotr święty nic na tem nie stracił, że rzucił się w morze, choć go potem strach ogarnął. Pierwsze te postanowienia niezmiernie wielką mają wagę; lubo początkującym należy starać się o niejakie powściąganie szlachetnych swych zapędów, i zdawać się na roztropność i uznanie przewodnika duchownego; tylko niech uważają, by nie obrali sobie takiego, któryby ich uczył postępować żółwim krokiem, albo poprzestawał na przyuczaniu duszy do samego tylko polowania na drobne jaszczurki.

W tem wszystkiem niechaj zawsze przoduje pokora, abyśmy rozumieli i pomnieli, że odwaga ona do mężnych przedsięwzięć nie z naszej siły się rodzi. Ale potrzeba tu byśmy poznać umieli, jaką ma być ta pokora; bo wielu duszom, mniemam, oddanym modlitwie wewnętrznej, diabeł szkodę wyrządza, i przeszkadza im do wyższego postępu, poddając im fałszywe o pokorze rozumienie, i wmawiając w nie, że pragnąć wielkich rzeczy, i usiłować naśladować świętych, i pożądać męczeństwa, wszystko to tylko pycha. Zaraz nam szepcze do ucha i dowodzi, że wielkie sprawy świętych nam grzesznikom podziwiać należy, ale nie porywać się do naśladowania ich. Zgadzam się na to; tylko że potrzeba nam także rozróżniać, co w tych sprawach świętych jest do podziwienia tylko, a co do naśladowania. Nie byłoby, na przykład, rzeczą właściwą, gdyby osoba słaba i schorzała chciała sobie zadawać ustawiczne posty i surowe umartwienia, albo gdyby poszła na puszczę, gdzieby nie mogła spać, ani znaleźć sobie pożywienia, lub inne tym podobne cierpiałaby dolegliwości.

Ale tego spodziewać się nam wolno i powinniśmy, że usilną pracą, przy łasce Bożej, możemy dojść do tego, byśmy szcze-

---

[1]) „Wszystko mogę w Tym, który mię umacnia“. Filip. 4, 13.

[2]) *Wyznania*, ks. X, r. 29.

rze i całkowicie światem wzgardzili, i nie dbali o cześć i sławę ludzką, i nie mieli przywiązania do dóbr doczesnych. Taka jest ciasność serc naszych, że gdy tylko spróbujemy choć nieco zaniedbać ciała, a większe mieć staranie o duszy, już nam się zdaje, jakoby ziemia z pod nóg nam się usuwała. Zaraz nam przychodzi na myśl, że sowite zaopatrzenie potrzeb doczesnych jest owszem pomocą do skupienia ducha, ponieważ troska o takie rzeczy psuje spokój potrzebny na modlitwie. Co do mnie, właśnie to mię smuci, że tak mało mamy ufności w Bogu, a tak dużo miłości własnej, by troska taka mogła nas niepokoić. Tak jest niestety, że dzięki małemu, jaki w nas jest, postępowi w życiu duchownem, lada fraszka takie nam sprawuje strapienie, jakiego inni doznają w rzeczach istotnie wielkich i ważnych; i przytem jeszcze w mniemaniu naszem poczytujemy siebie za ludzi duchownych. Taka duchowność, nie jest to, zdaniem mojem, nic innego, jedno chęć pogodzenia ciała z duszą, tak iżby tu na ziemi nie pozbywać się przyjemności doczesnych, a potem w niebie cieszyć się Bogiem; i będzie tak, jeśli chodzimy w sprawiedliwości i usilnie się przykładamy do nabycia cnót; ale kto na drodze doskonałości takie, jak ci o których mówię, na długość kurzej stopy, kroki stawia, ten nigdy nie dojdzie do wolności ducha. Taki sposób postępowania, może być, jak sądzę, bardzo dobry dla ludzi żyjących w stanie małżeńskim; ci dosyć czynią, gdy odpowiadają powołaniu swemu, które nie wymaga wysokiej doskonałości. Ale duszom do wyższego stanu wezwanym żadną miarą nie życzę takiego sposobu życia i postępu duchownego, i nikt tego we mnie nie wmówi, by to był sposób dobry; znam go z własnego doświadczenia, i byłabym na zawsze przy nim pozostała, gdyby mię Pan w dobroci swojej nie był nauczył inszej, krótszej drogi.

Jakkolwiek, co się tyczy świętych pożądań, zawsze je miałam wielkie, wszakże, jak już mówiłam, chciało mi się pogodzić dwie rzeczy sprzeczne, oddawać się modlitwie wewnętrznej, a zarazem żyć wedle upodobania mego. Gdybym była miała kogo, coby mię był pobudzał do śmielszego polotu, byłabym się sądzę przyłożyła do wykonania onych pragnień moich uczynkiem; ale snać dla grzechów naszych tak rzadcy, tak pra-

wie na palcach zliczyć się dający są przewodnicy duchowni, którzyby w tym punkcie nie zachowywali się ze zbytnią powściągliwością! i ta jest, sądzę, główna przyczyna, dla której tylu poczynających nie czyni szybkich do wysokiej doskonałości postępów; bo Pan i pomoc Jego nigdy nam nie zrobią zawodu, i nie z Jego strony jest wina; wina jest nasza, żeśmy tacy nędzni i niewierni łasce Jego.

Możemy również naśladować Świętych, zachowując za ich przykładem samotność, i milczenie, i wiele innych cnót; nie umorzą nam one tego zdrajcy domowego, tego ciała, które z taką usilnością domaga się folgi i wczasów dla siebie, aby bezsilną uczynić duszę; szatan także w znacznej mierze przyczynia się do zwiększenia przyrodzonej miękkości jego. Skoro tylko ujrzy w nas jaki ślad obawy o zdrowie, dość mu tego aby wmówił w nas, że wszystka ta praca duchowna w końcu zabije nas, albo conajmniej zdrowie nasze podkopie; z samych nawet łez, gdy płaczemy na modlitwie, tworzy nam niepokój i obawę, że możemy od nich oślepnąć. Przechodziłam przez to, więc wiem. Ale pytam, jaki może być szczęśliwszy i pożądańszy użytek najlepszego wzroku i najczerstwiejszego zdrowia, nad ten, gdy Bóg dozwoli stracić i jedno i drugie dla takiej świętej sprawy? Będąc tak schorzałą, zawsze byłam jakby związana i do niczego niezdatna, dopóki nie zdobyłam się na postanowienie, nietroszczenia się o ciało ani o zdrowie; chociaż i teraz mało co robię dobrego. Ale odkąd z łaski Boga zrozumiałam ten podstęp szatana, odtąd, ile razy straszył mię utratą zdrowia, odpowiadałam mu: mniejsza o to, że umrę; albo gdy radził odpocząć, mówiłam: nie potrzeba mi odpoczynku, jedno krzyża: jasno poznałam, że w bardzo wielu zdarzeniach, choć w rzeczy samej mocno jestem schorzała, była to tylko pokusa czartowska albo własna miękość moja; bo od czasu jak przestałam tak zważać na siebie i pieścić się, o wiele jestem zdrowszą. Jest to więc bardzo ważna przestroga dla poczynających, aby przystępując do modlitwy, myśl trzymali podniesioną wysoko, i nie dali panować nad sobą trwogom wyobraźni. Niech mi w tem wierzą, bo wiem o tem z własnego doświadczenia. Niech sobie zemnie wezmą przestrogę, aby z tego wyznania win moich był dla nich pożytek.

Jest druga pokusa w początkujących bardzo zwyczajna, mianowicie chęć pociągnienia wszystkich na drogę życia wysoko duchownego, skoro tylko sami zakosztują uspokojenia wewnętrznego i pożytku, jakie z niego się rodzą. Chęć ta nie jest złą, ale sposób wykonania jej może być niedobrym, jeśli się tego nie czyni z wielką roztropnością i oględnością, by się snać nie zdawało że chcemy uczyć drugich; bo aby kto mógł w tym kierunku działać z pożytkiem, potrzeba na to by posiadał cnoty bardzo gruntowne; inaczej, miasto pożytku, będzie pokusą dla drugich. Tak stało się zemną, i przekonałam się o tem, gdym, jak powiedziałam wyżej, starała się skłonić towarzyszki moje do modlitwy wewnętrznej; bo słysząc z jednej strony pełne zapału słowa, w jakich im zachwalałam wielkie pożytki, z rozmyślania płynące, a widząc z drugiej strony, jak oddając się temu świętemu ćwiczeniu, byłam przecie ubogą w cnoty, dziwowały się temu, i brały zemnie niejakie zgorszenie; i bardzo słusznie; bo, jak mi to potem same mówiły, nie mogły tego zrozumieć, jak jedno da się pogodzić z drugiem; a ponieważ im się zdawało, że jest we mnie nieco dobrego, więc brały sobie zemnie powód do niepoczytywania sobie za złe rzeczy istotnie złych, widząc że ja nieraz je czynię. Tak to szatan widać korzysta z samychże cnót naszych, jeśli jakie mamy, aby niemi upoważnić, o ile zdoła, złe do którego zmierza; jakkolwiekby złe to było nieznacznem, gdy przyjmie się w zgromadzeniu, tem samem musi nabrać większych rozmiarów, i niemałą szkodę wyrządzi; tem większa więc szkoda działa się przezemnie, bo złe które ja czyniłam, było bardzo wielkie. Ztąd też, przez wiele lat, trzy tylko dusze odniosły pożytek z rozmów moich; a przeciwnie, gdy Pan dodał mi większej siły do postępu w cnotach, w przeciągu dwóch czy trzech lat wiele ich skorzystało przezemnie, jak później opowiem. Nadto jeszcze, z tej gorliwości o uświęcenie drugich wynika druga ta wielka szkoda, że dusza na niej więcej traci niż pożytku odnosi; główna i największa troska poczynającego powinna być o to, by miał pilne baczenie na własną duszę swoję, i tak żył oddany własnym sprawom swoim, jak gdyby, prócz Boga i niego, nikogo więcej nie było na świecie; tego, mówię, w początkach

życia duchownego najwięcej duszy potrzeba, i z tego największy dla niej pożytek.

Inna znowu pokusa, ukrywająca się, jak i wszystkie drugie, pod pozorem cnotliwej gorliwości,— i dla tego bardzo potrzeba umieć się poznać na niej i jej się wystrzegać,— pochodzi z przykrości, jaką nam sprawują grzechy i uchybienia drugich. Diabeł wmawia w nas, że przykrość ta rodzi się w nas z czystego jedynie pragnienia, by nie było obrazy Boskiej, i że jedynie dla chwały Boga znieść nie możemy widoku grzechu, i chcielibyśmy natychmiast powstrzymać go i naprawić. Taki ztąd niepokój wewnętrzny, że trudno już o swobodę i zebranie ducha, potrzebne do modlitwy; a najgorsza to, że sobie wyobrażamy, że takie niezdrowe miotanie się jest cnotą, i doskonałością, i wielką o chwałę Bożą gorliwością. Nie mówię tu o żalu i smutku, jakiego doznajemy na widok grzechów jawnych, gdyby się zakradły i w zwyczaj weszły w jakiem zgromadzeniu, albo krzywd wyrządzanych Kościołowi przez one herezye, dzięki którym w oczach naszych tyle dusz ginie; taki żal jest bardzo dobry, i tem samem że dobry, nie sprawuje w duszy niepokoju ani zamięszania. Bezpieczniej wszakże dla duszy oddającej się modlitwie wewnętrznej, nie troszczyć się o nic i o nikogo, a tylko mieć baczenie na siebie i na własne sprawy swoje, i starać się o to, aby spodobała się Bogu. Jest to sposób nad wszelkie inne roztropny i pożyteczny; i gdybym tu miała opowiadać na co sama patrzałam, i wyliczać wszystkie błędy jakie się w oczach moich przytrafiały takim, którzy nie trzymali się tej drogi, dufając tylko w dobrą intencyę swoję, snać nigdybym nie skończyła. Starajmy się więc zawsze patrzyć na cnoty i zalety, jakie spostrzeżemy w drugich, a niedostatki ich pokrywać pamięcią na wielkie grzechy nasze. Sposób ten, choćbyśmy nie umieli odrazu stosować go z całą doskonałością, powoli doprowadzi nas do nabycia jednej wielkiej cnoty, tej mianowicie, byśmy wszystkich poczytywali za lepszych od siebie; początkiem jej jest właśnie to zapatrywanie się na zalety bliźniego, a zamykanie oczu na niedostatki jego: z tego początku rozwinie się w nas stopniowo ona cnota, przy pomocy łaski Bożej,— bo ta potrzebna jest do wszystkiego, i bez niej dare-

mne są usiłowania nasze,—i przy błagalnej do Boga modlitwie o użyczenie nam tej cnoty: bo Bóg nikomu łaski swojej nie odmawia, kto o nią prosi i czyni co może.

Następującą radę niech wezmą na uwagę ci, którzy dużo pracują rozumem, wyprowadzając z każdej rzeczy wiele dalszych wniosków i wiele nowych myśli; bo dla tych którzy, jak ja, nie umieją rozumować, nie masz innej rady, jedno by czekały cierpliwie, aż Pan im użyczy światła i da umysłowi ich zajęcie, skoro sami z siebie tak są nieudolni, iż rozum jest dla nich przeszkodą raczej, niż pomocą. Zwracając się zatem do tych, którzy rozumują, radzę im, niechaj na tę pracę rozumu nie poświęcają wyłącznie całego czasu modlitwy. Sposób ten rozmyślania ma bezwątpienia wielką swoję zasługę; lecz oni, znajdując w nim smak i upodobanie, chcieliby nigdy od tej pracy nie świętować, ani ją przerwać jaką chwilą odpoczynku. Każda chwila, w której dadzą odpocząć rozumowi, zdaje im się czasem straconym; ja przeciwnie sądzę, że taka strata wielkim jest zyskiem. Niech raczej, jak mówiłam, postawią siebie w obecności Chrystusa Pana, i bez natężania rozumu, cieszą się Nim i z Nim rozmawiają, nie siląc się na rozumowania i dowodzenia, ale przedstawiając Mu potrzeby swoje, i z pokorą uznając dobroć Jego, iż raczy nas cierpieć w obecności swojej, kiedy tyle miałby powodów do odrzucenia nas od siebie. Przedmioty tych duchownych z Panem rozmów niech będą rozmaite, dziś taki, jutro inny, aby dusza nie sprzykrzyła sobie, jednej wciąż potrawy pożywając. Są to potrawy bardzo wyborne i pożywne; skoro smak się przyzwyczai do nich, przynoszą one wielkie posilenie na żywot duszy, i niezliczone korzyści.

Chcę tu bliżej myśl moję objaśnić, bo rzecz cała ta o modlitwie wewnętrznej jest trudną, i bez nauczyciela niełatwo ją zrozumieć; dla tego też, lubo radabym wyrażać się krótko, i lubo dla męża rozumnego, jakim jest ten, który mi kazał napisać tę rzecz o modlitwie, dość byłoby kilku ogólnych napomknień, wszakże, przy mojej tępości, niepodobna mi w krótkich słowach jasno i zrozumiale mówić o rzeczy tak ważnej, i należycie ją wyłożyć. Po tem wszystkiem co sama z tego powodu wycierpiałam, żal mi tych dusz które zaczynają drogę modlitwy we-

wnętrznej za pomocą samych tylko książek, bo niesłychana jest różnica między tem czego można dowiedzieć się z książki, a tem, czego później nauczy własne doświadczenie. Wracając tedy do tego, o czem zaczęłam mówić, przypuśćmy, że mamy rozważać który ustęp Męki Pańskiej, na przykład Zbawiciela przy słupie biczowania: rozum więc niechaj zgłębia przyczyny, dla których Boski Jego Majestat takie wycierpiał niewypowiedziane boleści i męki w onem opuszczeniu swojem, i innych wiele uwag, które umysł, jeśli jest rozwinięty i myślący, z łatwością z tej tajemnicy wyprowadzić może. Ten sposób modlitwy wewnętrznej, od którego wszyscy, uczeni i nieuczeni, zaczynać powinni, i z nim dalej postępować, i jego trzymać się aż do końca: jest to droga doskonała i wielce bezpieczna, dopóki Panu nie spodoba się podnieść kogo do wyższych stanów nadprzyrodzonych. Wszyscy, mówię, mają się trzymać tego sposobu rozmyślania, lubo przedmiot rozmyślania dla różnych może być różny. Jest wiele dusz, którym inne materye więcej pożytku przynoszą, niż rozważanie męki Pańskiej; bo jako w niebie mieszkania jest wiele, tak też wiele jest dróg do niego wiodących. Niektórzy skutecznie pobudzają siebie do postępu w doskonałości, przedstawiając sobie jakoby byli już w piekle; inni, których myśl o piekle zbytnie przeraża, z większym pożytkiem przenoszą się myślą do nieba: innym znowu łatwiej przychodzi rozmyślać o śmierci; inni jeszcze tak czułego są serca, że wytrzymać nie zdołają ciągłego rozpamiętywania Męki Pańskiej; za to radują się i postępy czynią w cnocie, zapatrując się na potęgę i wielmożność Boga w stworzeniach, i miłość Jego ku nam, objawiającą się we wszystkich sprawach Jego; jest to także dziwnie słodki i pożyteczny sposób modlitwy, byleby przy nim nie zaniedbywać częstego zwrotu do żywota i męki Zbawiciela, tego żywego źródła, z którego wypłynęło i wciąż wypływa dla nas wszystko dobro.

Poczynającemu potrzeba wskazówek i rady, aby widział, co jemu skuteczniej dopomaga do wyższego postępu. Do tego znowu bardzo potrzeba, aby miał duchownego przewodnika, jeśli to przewodnik doświadczony; bo jeśli nie, może on ciężko pobłądzić, i prowadzić duszę bez zrozumienia jej, i jej samej

nie dać zrozumieć samej siebie; gdyż pomna na wielką zasługę posłuszeństwa, dusza taka nie ośmieli się przekroczyć granic, zakreślonych jej rozkazem przewodnika. Znałam ja takie dusze srodze udręczone i znękane, dzięki jedynie temu, że ten który je prowadził, nie miał doświadczenia. Prawdziwie litość mię brała nad niemi; jedna z nich zwłaszcza nie wiedziała już co z sobą począć. Nie mając zrozumienia rzeczy duchownych, przewodnicy tacy dręczą i duszę i ciało, i postęp krępują. Znałam jednę, którą spowiednik już od ośmiu lat trzymał na uwięzi, nie pozwalając jej wyjść z pracy nad poznaniem samej siebie; a Pan tymczasem już ją był podniósł do modlitwy odpocznienia, zaczem biedna srogie cierpiała męki wewnętrzne. Zapewne że tej pracy nad poznaniem siebie nigdy nie należy opuszczać, i nie masz takiej duszy, choćby już była olbrzymem w życiu duchownem, któraby nie miała potrzeby, i to często, stawać się na powrót dzieciątkiem i wracać do mleka niemowląt. Jest to przestroga, o której nigdy nie należy zapominać, zaczem i ja tu może nieraz jeszcze ją powtórzę, dla niezmiernej ważności jej; bo nie masz tak wysokiego stanu modlitwy, z któregoby nie potrzeba częstokroć wracać znowu do początków. Pamięć na grzechy swoje i na własną nicość swoję, jest to chleb, z którym wszelkie, choćby najwykwintniejsze potrawy na tej uczcie modlitwy wewnętrznej pożywać się powinny; bez tego chleba niepodobna żyć. Ale w pożywaniu jego należy zachowywać miarę; bo gdy dusza czuje się już całkiem oddaną Bogu, i jasno to rozumie że sama z siebie nic nie ma dobrego, i z zawstydzeniem staje przed obliczem tak wielkiego Króla, i widzi jak mało Mu oddaje za to mnóstwo dobrodziejstw jakie Mu zawdzięcza: jakaż wówczas potrzeba, by jeszcze traciła czas na ciągłem i wyłącznem powtarzaniu tych pierwszych początków? czemużby nie miała raczej sięgnąć wyżej do tych lepszych rzeczy, które Pan jej zastawia, a które odrzucać byłoby rzeczą nierozsądną i niestosowną, boć Boska Mądrość Jego lepiej wie od nas, jakiego nam pokarmu potrzeba.

Bardzo więc wiele zależy na wyborze przewodnika roztropnego, to jest takiego, któryby i rozum miał wytrawny, i doświadczenie; jeśli przytem jeszcze będzie miał naukę, tem

lepiej. Lecz w braku takiego, któryby łączył w sobie te trzy warunki, głównie o to chodzi, by posiadał pierwsze dwa; bo uczonych można i zkądinąd znaleźć, i rady ich zasięgnąć w razie potrzeby. Uczony nie znający się na modlitwie wewnętrznej, mało, śmiem twierdzić, pomoże poczynającym. Nie znaczy to jednak, by ci nie mieli radzić się uczonych, bo duchowość, nie budująca się na prawdzie, lepiej byłoby by wcale nie wszczynała modlitwy wewnętrznej. Wielki to skarb, nauka: ona nam nieukom drogę ukazuje i oświeca nas; pod jej kierunkiem, w świetle prawd Pisma świętego, czynimy to, cośmy czynić powinni. Od czczych, bez myśli, dewocyj zachowaj nas, Boże. Chciałabym to jaśniej jeszcze wytłómaczyć, bo snać poruszam za wiele rzeczy na raz: zawsze miałam tę wadę, jak już mówiłam, że nie potrafię wyrazić myśli mojej, jedno za pomocą wielu słów. Weźmy naprzykład zakonnicę, która zaczyna oddawać się modlitwie wewnętrznej, a dostała się pod kierunek spowiednika, nie mającego zrozumienia rzeczy duchownych; otóż spowiednik taki, gdy mu się tak przywidzi, będzie jej dowodził, że powinna słuchać jego raczej niż przełożonego swego, i bez żadnej złej myśli, w przekonaniu owszem, że dobrze czyni, będzie przytem obstawał, bo nie będąc zakonnikiem, i nie mając pojęcia o życiu i obowiązkach zakonnych, sądzi że tak być powinno. Niewieście zamężnej znowu, jeśli ją ma pod swoim kierunkiem, w czasie kiedy powinna zajmować się domem, poradzi jako rzecz lepszą, poświęcić czas ten na modlitwę, nie zważając na to że mąż będzie się gniewał; i tak w niczem i nigdy nie umie urządzić czasu i zajęć w sposób zgodny z prawdą; sam nie mając światła, nie może go dać i drugim, choćby chciał. Jakkolwiek do kierownictwa dusz nauka nie jest nieodzownie potrzebną, zawsze jednak byłam i będę tego zdania, że każdy chrześcijanin powinienby się starać o to, by w duchownych potrzebach swoich znalazł sobie przewodnika o ile możności gruntownie oświeconego, a im głębszą ten przewodnik będzie posiadał naukę, tem będzie lepszym. Którzy zaś idą drogą modlitwy wewnętrznej, ci jeszcze większą mają potrzebę takiego światłego przewodnictwa, i tem bardziej światłego, im wyżej sami już postąpili w życiu ducho-

wnem. Myliłby się, ktoby sądził, że uczeni, nie znający się na modlitwie wewnętrznej, nie zdadzą się dla tych, którzy się tej modlitwie oddają. Ja radziłam się wielu uczonych, zwłaszcza w tych ostatnich latach, kiedy miałam większą potrzebę zasięgania ich rady, i zawsze lubiłam ludzi naukowo wykształconych, i rada do ich światła się uciekałam. Zapewne że niektórzy z nich nie mają doświadczenia w rzeczach duchownych, ale żaden z nich nie jest tym rzeczom przeciwny, ani całkiem w nich nieświadomy, bo w Piśmie świętem, które znają i zgłębiają, zawsze znajdują prawdziwe znaki ducha dobrego. Mam to przekonanie, że duszy bogomyślnej, jeśli się radzi ludzi uczonych, nigdy zły duch nie oszuka ułudami swemi, chybaby sama chciała oszukiwać siebie; bo nauki pokornej i cnotliwej, diabeł, jak sądzę, szczególnie się boi, wiedząc że przez nią będą odkryte zdrady jego, i na szkodę jego się obrócą.

Wszystko to mówię dla tego, że niejednemu się zdaje, jakoby uczeni nie byli zdatni do prowadzenia dusz bogomyślnych, jeśli sami nie chodzą drogami życia wewnętrznego. Przewodnik, jak już mówiłam, potrzeba by był człowiekiem duchownym; ale jeśli przytem nie ma nauki, wielka ztąd szkoda urość może. Zawsze więc znoszenie się z ludźmi uczonymi, jeśli jeno są cnotliwi, wielce będzie pomocnem; jakkolwiek nie mają ducha wewnętrznego, nam przecie przyniosą pożytek, i Bóg im wskaże, czego nauczać mają, owszem nawet, dla dobra i postępu naszego, sprawi, to że sami staną się duchownymi: nie mówię tego bez podstawy, ale z własnego doświadczenia; mnie samej to się zdarzyło z więcej niż dwoma. Na ogół mówiąc, dusza, gotowa poddać się całkowicie pod posłuszeństwo jednego wyłącznie przewodnika, wielki popełnia błąd, jeśli się nie stara o to, aby go miała takiego, jak go powyżej opisałam; tem bardziej, jeśli to dusza żyjąca w zakonie, gdyż w takim razie powinna być posłuszną przełożonemu swemu, któremu może, jak to się zdarza, będzie zbywało na wszystkich trzech wyżej wspomnianych warunkach, a to samo już będzie dla niej dość ciężkim krzyżem, by miała jeszcze z własnej woli poddawać rozum swój człowiekowi nierozumnemu; ja przynajmniej nigdy nie zdołałam przenieść tego na sobie, i nie sądzę by mógł być

z tego jaki pożytek. Jeśli to zaś dusza żyjąca na świecie, niechaj dziękuje Bogu, że wolno jej wybierać, komu chce być posłuszną, i niechaj nie pozbawia siebie tej świętej wolności; niech raczej pozostaje bez spowiednika, póki nie znajdzie takiego, a niezawodnie Pan sam go jej nastręczy, byleby tylko z pokorą jaknajgłębszą na Nim polegała, i szczerze pragnęła znaleźć czego jej potrzeba. Co do mnie, z głębi duszy wysławiam Boga; i niewiasty w ogóle, i ci którzy nie mają nauki, wszyscy bezprzestannie składać Mu powinniśmy dzięki nieskończone, iż z łaski Jego są mężowie, którzy tak wielką pracą doszli do posiadania tej prawdy, której my nieuki nie znamy. Z przerażeniem nieraz myślę o tych trudach, z jakiemi uczeni, szczególnie zakonnicy, zdobyli te wiadomości, które teraz bez żadnego trudu, dość tylko że zapytam, mnie służą na pożytek. I mieliżby być ludzie, którzyby nie dbali o skorzystanie z takiego skarbu? nie daj Boże! Oprócz tego ogromu nieustannej pracy naukowej, widzę ich poddanych jarzmu umartwień zakonnych, które nie są małe, surowych pokut, i lichej strawy, i posłuszeństwa przełożonym, — na co gdy wspomnę, nieraz, wyznaję szczerze, wielki wstyd mię ogarnia, — przytem pościel twarda, sen krótki, wszędy i każdej chwili trud zaprzania siebie, wszędy i każdej chwili krzyż; wielką więc, zdaniem mojem popełniłby niewdzięczność, ktoby z własnej winy pozbawiał siebie dobra, z tak wielkim trudem przez nich nabytego. A my, którzy żyjemy wolni od tych brzemion, i jak to mówią, do gotowego stołu zasiadamy, i wszelkiej używamy swobody, my może nieraz jeszcze w duchu się wynosimy nad tych robotników, tak twardo pracujących, dla tego jedynie, że trochę więcej czasu poświęcamy na modlitwę! Bądź błogosławiony, Panie, żeś mnie stworzył, tak nieudolną i niepożyteczną; lecz bardziej jeszcze i goręcej wysławiam Cię za to, iż tylu wzbudzasz wielkich mężów, aby oni nas wzbudzali. Powinnaby ustawiczną być modlitwa nasza za tymi, którzy dają nam światło. Co byłoby z nami, gdybyśmy ich nie mieli, wśród takich nawałności, jakie się dziś srożą nad Kościołem? Że znaleźli się między nimi niektórzy źli, tem bardziej za to jaśnieje chwała dobrych. Niechaj ich Pan ręką swoją utwierdza, i wspiera ich, aby oni wspierali nas. Amen.

Daleko odeszłam od rzeczy, o której byłam zaczęła mówić, ale wszystko to nie będzie od rzeczy, i posłuży ku pożytkowi zaczynających, i na taką wysoką drogę wstępujących, aby nie zmylili drogi, i na prawdziwą trafili. Wracając teraz do tego, o czem wyżej mówiłam, to jest do rozmyślania o Chrystusie Panu przywiązanym do słupa: dobrze jest, bez wątpienia, jakiś czas zastanawiać się nad tem rozumem, i roztrząsać mękę, jaką Pan tam ucierpiał, i za co ją ucierpiał, i kto jest Ten, który tak cierpiał, i z jaką miłością cierpiał; lecz nie należy ciągle i wyłącznie się wysilać na wynajdywanie tych punktów; lepiej spokojnie stanąć przy boku cierpiącego Pana, uspokoiwszy rozum, albo tak go, kto może, zajmując, by spoglądał na Tego, który nań spogląda, i towarzyszył Mu, i prośby swoje przed Nim wynurzał, i z głębokiem upokorzeniem cieszył się obecnością Jego, pomnąc przytem na niskość swoję, iż nie jest godzien tak z Nim i przy Nim zostawać. Kto zdoła takiemi przejąć się myślami i uczuciami, choćby to było od razu, z samego początku modlitwy, ten doskonale odprawi rozmyślanie, i taki sposób modlitwy wielką duszy korzyść przynosi: mojej przynajmniej ją przyniósł. Nie wiem czy zdołałam jasno się wyrazić; Wasza Miłość osądzi; daj Boże bym zdołała zawsze Jemu się spodobać. Amen.

ROZDZIAŁ XIV.

Przystępuje do objaśnienia drugiego stopnia modlitwy, na którym Pan daje już duszy kosztować niejakich słodkości. Opisuje bliżej te pociechy, aby się okazało, że są to już rzeczy nadprzyrodzone, o czem należy pamiętać.

Wyłożywszy już, z jakim trudem podlewa się ten ogród, gdy rękoma trzeba ciągnąć wodę ze studni, mówmy teraz o drugim sposobie dobywania wody, jaki Pan ogrodu ustanowił, aby ogrodnik, za pomocą sztucznego przyrządu i kanału, mógł z mniejszą pracą sprowadzać większą ilość wody, i odpocząć niekiedy, nie ciągle się trudząc. Ten to sposób, w zasto-

sowaniu do modlitwy tak zwanej odpocznienia, chcę teraz objaśnić. Tu dusza zaczyna się skupiać w sobie, tu już styka się z rzeczą nadprzyrodzoną, bo żadną miarą nie zdoła sama osiągnąć tak wielkiego dobra, jakkolwiekby najusilniej o to się starała. Wprawdzie i tu, zdawałoby się, jakąś chwilę miała utrudzenie, obracając koło dla naprowadzenia wody do kanału, to jest, pracowała rozumem; ale woda tu wyżej stoi, a zatem i praca z nią nierównie mniejsza, niż gdy ją trzeba ciągnąć ze studni; wyżej stoi woda, mówię, i bliżej poziomu: to znaczy, że łaska tu jaśniej się objawia duszy. Innemi słowy, jest to wewnętrzne zebranie władz duszy, dla słodszego i z większym smakiem używania, w takiem skupieniu, roskoszy im zgotowanej; ale nie jest to ani zachwycenie, ani uśpienie duchowne. Sama tylko wola tu działa, i sama nie wiedząc w jaki sposób zostaje pojmaną, zezwala tylko na to, aby Bóg ją wziął w niewolę, bo dobrze to czuje, że staje się niewolnicą Tego, którego miłuje. O Jezu, o Panie mój! jakże nam tu okazuje się potęga miłości twojej: bo ona to tak trzyma uwięzioną miłość naszę, że nie pozostawia jej w tym stanie wolności miłowania czegobądź innego, jedno Ciebie samego.

Drugie dwie władze, rozum i pamięć, wspierają wolę, aby coraz bardziej stawała się zdolną używania tak wielkiego dobra. Niekiedy jednak zdarza się przeciwnie, że gdy wola tak złączona jest z Bogiem, tamte mocno jej przeszkadzają; lecz wola wtedy niech nie zważa na nie, i trwa niezmącona w używaniu swej roskoszy i w spokoju. Bo gdyby chciała je zebrać, rozproszyłaby tylko i one, i samą siebie. Władze one podobne są wtedy do gołębic, które nie poprzestając na ziarnie, jakie im, bez żadnej dla nich pracy, zasypuje gospodarz, odlatują, szukając sobie żeru gdzieindziej, a nie znalazłszy, znów się wracają do gołębnika; tak podobnież rozum i pamięć odchodzą i przychodzą, patrząc czy nie użyczy im wola z tych roskoszy których używa. Jeśli Pan raczy im rzucić nieco tego niebieskiego pokarmu, zatrzymują się; jeśli nie, znowu odlatują i znowu szukają; chcą woli pomagać, i zdaje im się że pomagają, ale często dzieje się przeciwnie, że próbując przedstawić jej tę roskosz, której używa, pamięć i wyobraźnia tylko jej szkodzą

i zawadzają. Potrzeba zatem by wola zachowywała się względem nich w sposób jaki wskażę niżej. Wszystko to, w całym przeciągu tego rodzaju modlitwy, połączone jest z niezmiernie wielką pociechą, a z tak małą pracą, że rozmyślanie, choćby się dłużej przeciągnęło, zgoła nie nuży; bo rozum tu działa tylko z przerwami, a przecie czerpie dużo większą ilość wody, niż kiedy ją ciągnął ze studni. Łzy, których Pan tu użycza, wielką pociechę sprawują; czujesz że płyną, a nie potrzebujesz na nie się silić.

Ta woda nieopisanych dóbr i łask, jaką Pan tutaj daje, bez porównania większy sprawuje wzrost cnót, niż poprzedni rodzaj modlitwy. Dusza tu już wznosi się powoli nad poziom nędzy swojej, i dostępuje już niejakiego smaku roskoszy chwały wiecznej. Ta właśnie łaska snać przyczynia się głównie do szybszego wzrostu duszy, czyniąc ją bliższą samejże istotnej i prawdziwej Cnoty, z której wszelkie cnoty pochodzą, to jest Boga. Bóg zaczyna udzielać siebie tej duszy, i chce aby czuła, w jaki sposób jej się udziela. Zaledwo dojdzie do tego stanu, tejże chwili poczyna tracić wszelkie pożądanie rzeczy doczesnych; i nie wielka w tem jej zasługa, bo widzi jasno, że jedna chwila nawet tego niebieskiego wesela nie może się znaleźć na tej ziemi, i że nie masz bogactw, ani potęgi, ani dostojeństw, ani roskoszy, któreby zdołały, choćby na jedno mgnienie oka, dać jej to zadowolnienie, jedynie prawdziwe, zadowolnienie takie, iż posiadając je, jasno to widzimy, że ono jedno zdolne jest nas zadowolnić; bo w rzeczach ziemskich chyba cudem tylko zdarzy się kiedy znaleźć to zadowolnienie; nigdy w nich, obok strony dodatniej, obok tego co cieszy, nie brak i strony ujemnej. Tu zaś, w tem weselu duchownem, wszystko jest dodatnie, wszystko samą tylko pociechą; strona ujemna potem dopiero następuje, gdy dusza czuje, że wesele ono skończyło się, i nie może go napowrót przywołać, ani nie ma sposobu odzyskania go: bo choćby człowiek wyniszczał siebie pokutą, modlitwą i wszelkiego rodzaju umartwieniem, mało mu to pomoże, jeśli Pan sam nie raczy mu wesela onego przywrócić. Chce Bóg, wedle wielmożności swojej, by dusza ta zrozumiała, iż Boską obecnością swoją jest tuż blisko przy niej, że zatem już nie ma

potrzeby słać do Niego posłów, ale sama z Nim samym może rozmawiać, ani do tej rozmowy nie potrzebuje podnosić głosu, bo On jest tak blisko, że za samem poruszeniem ust, słyszy ją i rozumie.

Mowa ta może wydać się dziwną; boć wiemy przecie, że Bóg zawsze nas słyszy, i zawsze jest z nami. Tak jest, bez wątpienia; ale tu Boski Pan i Król nasz chce, byśmy sami to rozumieli, że On nas rozumie, i jaki skutek sprawuje Boska obecność Jego, i jako chce i zaczyna w szczególny sposób działać w tej duszy, przez to niewypowiedziane zadowolnienie wewnętrzne i zewnętrzne, jakiego jej użycza, dając jej tem samem, jak mówiłam, zrozumienie ogromnej różnicy, jaka zachodzi między tą roskoszą i zadowolnieniem a roskoszami i pociechami tego świata; tym sposobem Pan, rzekłbyś, zapełnia próżnię, którą przez grzech uczyniliśmy w duszy naszej. Dusza zanurza się jakoby w samej głębi tego zadowolnienia, a nie wie zkąd i jaką drogą ono jej przyszło, nieraz i nie wie, co począć i o co prosić. Zdaje jej się, że wszystko znalazła, czego pragnąć mogła, a nie wie co znalazła; ja też sama nie wiem, jak to wytłómaczyć. Potrzebaby mi tu w niejednej rzeczy posiadać odpowiednią naukę; należałoby tu objaśnić, co to jest pomoc czyli łaska ogólna, a co pomoc szczególna, bo wielu jest, którzy tego nie rozumieją; i jako w tym rodzaju modlitwy Pan objawia swą pomoc szczególną, i chce aby ją dusza tu, jak to mówią, jakby na oczy widziała; i wiele innych rzeczy tym podobnych, w których ja może pobłądzę. Lecz o to spokojna jestem, wiedząc, że to, co piszę, będzie przejrzane przez takich, którzy potrafią się poznać na błędzie; kiedy więc w takie ręce dostanie się to pismo moje, mogę być bez obawy, iż co w niem i co do nauki i co do ducha może być złego, będzie dostrzeżone i wymazane. Chciałabym zatem dać tu wyjaśnienie tych słodkości duchownych; bo są to pierwsze początki, i w chwili gdy Pan poczyna użyczać jej tych łask, dusza ich nie rozumie, i nie wie, co z sobą począć. Jeśli Bóg ją prowadzi drogą bojaźni, jak uczynił zemną, wielkie to dla niej utrapienie, gdy nie ma nikogo, ktoby ją zrozumiał; jeśli zaś znajdzie opisanie i jakby odmalowanie tego co doświadcza,

niemała to dla niej pociecha i pokrzepienie: jasno wtedy widzi stan swój i bezpiecznie wstępuje na drogę, którą Bóg jej otwiera. Nadto i pomoc wielką ma z tego, gdy się dowie, co ma czynić w danym stanie wewnętrznym, i na danym stopniu modlitwy, aby z niego należny pożytek osiągnęła; ja bowiem i dużo przecierpiałam, i dużo czasu straciłam przez to, że nie wiedziałam jak się mam zachować, zaczem i bardzo mi żal takich dusz, które, gdy staną na tym drugim stopniu, zostają same i opuszczone. Czytałam-ci wiele książek duchownych, ale nawet gdy znajdą się w nich ustępy odnośne do danego stanu duszy, książki te nie wiele wyjaśnią; a choćby nawet obszernie o tem mówiły, dusza, jeśli nie jest dobrze wyćwiczona własnem doświadczeniem, z trudnością z tego, co czyta, zrozumie samą siebie.

Gorąco pragnęłabym, by Pan raczył mi dopomódz do opisania skutków, jakie sprawują w duszy te pierwsze łaski i początki rzeczy nadprzyrodzonych, aby z tych skutków dusza mogła poznać, czy i o ile to, co się w niej dzieje, pochodzi z ducha Bożego. Poznać, mówię, o tyle, o ile takie rzeczy w tem życiu mogą być poznane. Dla tego też dobrze jest, w tych rzeczach zachowywać się zawsze z bojaźnią i oględnością; bo jakkolwiek te łaski pochodzą od Boga, może przecie niekiedy i zły duch przemieniać się w anioła światłości, i dusza, jeśli nie jest dobrze wyćwiczona, może podstępu nie spostrzedz; mało mówię — dobrze wyćwiczona, bo do jasnego rozeznania tych rzeczy potrzeba już stać wysoko na najwyższym stopniu modlitwy. Do takiej pracy mało jest pomocną krótkość czasu, jaki na nią poświęcać mogę; chyba więc Pan sam w Boskiej dobroci swojej raczy mię zastąpić; potrzeba mi z całem zgromadzeniem uczestniczyć we wspólnych ćwiczeniach zakonnych; mam prócz tego wiele innego zajęcia, mieszkając tu w domu, który się dopiero zakłada, jak się to okaże z dalszego opowiadania mego. Bardzo mi więc brak do tego pisania należnego spokoju, i mogę pisać tylko urywkami; a pragnęłabym tego spokoju, bo wtedy, gdy Pan użyczy ducha, i łatwo i lepiej się pisze; jak gdyby się miało wzór przed oczyma, którego się trzymając, praca sama się składa. Lecz gdy tego ducha nie

staje, równie trudno mówić tym językiem duchownym, jak gdyby się miało mówić po arabsku, chociażby po wielu już latach strawionych na modlitwie bogomyślnej. Ztąd też wielką, zdaje mi się, z tego mam pomoc, gdy w czasie pisania właśnie sama jestem w tym rodzaju modlitwy, o którym piszę; wówczas bowiem jasno widzę, że nie ja to mówię, ani mowy mojej w myśli nie układam, tak iż potem sama nie wiem, jakim sposobem zdołałam to powiedzieć; to mi się zdarza bardzo często.

Wróćmyż teraz do naszego ogrodu czy sadu, i obaczmy, jak tam one drzewa zaczynają napełniać się sokiem żywotnym, aby wydały z siebie kwiecie, i potem owoc przyniosły; jak i kwiaty różne, gwoździki i fijołki, rozwijają się i woń swoję wydają. Lubię to porównanie, bo często, w początkach duchownego życia mego, — chociaż, daj Boże by choć teraz był we mnie początek służenia Jemu prawdziwie; więc lepiej powiem: w początkach życia mego, jak je teraz dalej opisuję, — z roskoszą przedstawiałam sobie, że dusza moja jest ogrodem, i że Pan w nim się przechadza. Błagałam Go, by mnożył dobrą woń tych kwiatuszków cnót, które zdawało się, zaczynały kiełkować, i jakoby objawiały chęć odrośnięcia od ziemi; aby dla chwały swojej raczył je hodować, bo niczego w tem nie pragnęłam dla siebie; aby wedle woli swojej wycinał które zechce, boć wiedziałam, że na ich miejsce zasadzi lepsze. Mówię: wycinał; bo przychodzą czasy na duszę, kiedy piękności tego ogrodu nie pozostaje, rzekłbyś, ani śladu: wszystko jakoby zwiędło i uschło, znikąd, zdawałoby się, nie masz wody na odświeżenie ogrodu, nigdy, zdawałoby się, nie było w tej duszy ani zawiązku cnoty. Jest to czas wielkiego strapienia; Pan sam go dopuszcza i chce aby biedny ogrodnik wszystką pracę swoję około utrzymania i podlewania ogrodu uważał jakby za straconą. Wtedy to na prawdę pora pielenia, i wyrywania z korzeniem zielska złego, jakie pozostało, aż do najmniejszego zdziebełka; to jest upokorzenia się i uznania, że żadna pilność nasza nie starczy, jeśli Bóg nam odejmie wodę łaski swojej, i zrozumienia, że jesteśmy niczem, i mniej niż niczem. Taką pracą dusza nabywa głębokiej pokory, zaczem i ogród na nowo się zazieleni, i znów w nim kwiaty zakwitną.

O Panie mój i Dobro moje! nie mogę wspomnieć o tem bez łez i serdecznej pociechy duszy mojej, iż tak chcesz i raczysz, Ty, Panie, mieszkać z nami, i istotnie mieszkasz w Najświętszym Sakramencie, jako z wszelką prawdą wierzyć nam wolno, bo tak jest, i z zupełną prawdą możemy robić ono słodkie porównanie; możemy, chybabyśmy sami z własnej winy naszej tego szczęścia się pozbawili, możemy cieszyć się towarzystwem twojem, i Ty sam mieszkanie i odpocznienie twoje czynisz z nami, jako nas sam upewniasz, iż „roskoszą twoją jest mieszkać z synmi człowieczymi“. O Panie mój! jak to być może? Ile razy słyszałam to słowo, zawsze było ono dla mnie niewypowiedzianą pociechą, nawet w czasie największej niewierności mojej. Czy to być może, Panie, by znalazła się taka dusza, któraby takiego dostąpiwszy zaszczytu, i takie otrzymawszy od Ciebie łaski i dary, i wiedząc, że Ty raczysz mieszkać z nią i roskosz dla siebie znajdywać w tem z nią mieszkaniu: jeszcze miała serce obrażać Ciebie po tylu tak wysokich łaskach, i tak wielkich dowodach miłości twojej, jasno stwierdzanej uczynkiem? Tak jest, znalazła się taka dusza, i nie raz, ale wiele razy Cię obrażała, i tą duszą jestem ja. Daj, Panie, w dobroci twojej, bym ja jedna tylko taką była niewdzięcznicą, by nikogo więcej nie było, prócz mnie, któryby takiej złości się dopuścił, i taką nieznośną przeciw Tobie niewdzięcznością grzeszył. Chociaż i z tej niewdzięczności nieskończona dobroć twoja już wywiodła nieco dobrego, i im większe było złe, tem wspanialej jaśnieje wielkie dobro miłosierdzia twego. O, jakże słuszny mam powód wysławiać je na wieki! Niechaj tak będzie, błagam Cię, Boże mój; niech je wysławiam bez końca, kiedy Tobie się spodobało uczynić je nademną tak niesłychanie wielkie, iż zdumiewają się nad niem ci, którzy je widzą, i ja sama na wspomnienie jego odchodzę od siebie, abym lepiej wtedy mogła chwalić Ciebie. Bo pozostając w sobie, bez Ciebie, Panie, nic uczynić nie mogłabym, jednobym znowu ten ogród wypleniała z kwiatów jego, i nędzna ta i nieużyta rola moja znowu się, jak przedtem, zamieniła w śmietnisko. Nie dopuszczaj tego, Panie, nie daj by zginęła ta dusza, którą tak wielkim nakładem męki Twojej odkupiłeś, którą i potem jeszcze tyle razy nanowo wybawiłeś, i z paszczy okrutnego smoka wyrwałeś.

Wybacz mi Wasza Miłość, że odstępuję od rzeczy, i nie dziwuj się temu, że mówię do rzeczy mojej; bo to, o czem piszę, jakoby porywa duszę moję, i nieraz trudno jej powstrzymać się w tym niepokonanym popędzie do wysławiania Boga, gdy w ciągu pisania stają jej na oczy te wielkie rzeczy, jakie zawdzięcza Jemu. Wasza Miłość, mam nadzieję, nie weźmiesz mi tego za złe; bo oboje, zdaje mi się, możemy śpiewać jednąż pieśń dziękczynną, choć w różny sposób, gdyż daleko więcej ja winna jestem Bogu, bo więcej mi odpuścił, jako Waszej Miłości wiadomo.

ROZDZIAŁ XV.

Dalszy ciąg o tem samem. Niektóre wskazówki co do sposobu zachowania się na tej modlitwie odpocznienia. Jako wiele jest dusz, które dochodzą do tego stopnia modlitwy, ale mało takich, któreby postąpiły wyżej. Ważność i pożyteczność rzeczy w tym rozdziale dotkniętych.

Wróćmy teraz do założenia naszego. Modlitwa ta odpocznienia i skupienia żywe sprawuje w duszy uczucie zadowolnienia i pokoju, którym ją przenika, z zupełnem zaspokojeniem i uciszeniem władz duchownych, i dziwnie słodką roskoszą. Nie znając rzeczy wyższych, których jeszcze nie dostąpiła, wyobraża sobie dusza, że nic już nie pozostało, czegoby jeszcze pragnąć miała, i rada powiedziałaby z św. Piotrem: „Uczyńmy tu przybytki“. Nie śmie poruszyć się, ani miejsca zmienić, by snać, jak jej się zdaje, to szczęście z rąk jej się nie wymknęło: chciałaby nieraz i oddech powstrzymać. Nie wie o tem nieboga, że jak z samej siebie nic uczynić nie potrafi, czemby to szczęście na siebie sprowadziła, tak bardziej jeszcze nie zdoła go zatrzymać dłużej nad czas wolą Pana postanowiony. Władze duszy, jak już mówiłam, na tym stopniu skupienia i odpocznienia nie ustają; ale dusza tak jest rozradowana w Bogu, że jakkolwiekby drugie dwie władze błąkały się po rzeczach obcych, wola przecie, dopóki ten stan trwa, pozostaje złączona

z Bogiem, zaczem i nie traci pokoju swego i ciszy wewnętrznej, owszem powoli i rozum, i pamięć do skupienia się w sobie pociąga. Choć nie jest tu jeszcze całkiem pochłonięta w Bogu, tak przecie, sama nie wiedząc jakim sposobem, jest Nim zajęta, że tamte dwie, jakkolwiekby o to się starały, nie zdołają jej wydrzeć wewnętrznego jej zadowolnienia i wesela; sama zaś dziwnie, bez żadnego wysilenia, pracuje i dopomaga sobie, aby nie zagasła ta iskierka miłości, którą Bóg w niej rozniecił.

Niechaj Pan w dobroci swojej raczy mi użyczyć łaski, abym umiała dobrze to wytłómaczyć; bo wiele jest dusz, które dochodzą do tego stanu, a mało ich, któreby postąpiły dalej. Czyja w tem wina, nie wiem. Z pewnością nie Bóg temu winien; bo skoro Boski Majestat Jego czyni duszy tę łaskę, że ją do tego stopnia wynosi, nie sądzę, by zaniechał uczynić jej łask o wiele większych, gdyby z jej strony nie było przeszkody. Wiele więc na tem zależy, by dusza, która doszła do tego stopnia, dobrze zrozumiała wysokie dostojeństwo, do którego została wyniesioną, i wielką łaskę, jaką Pan jej uczynił, i jako słusznie nie powinna już być z tej ziemi, kiedy Bóg w dobroci swojej już ją przybliżył jakoby do nieba, bylcby sama z winy swojej nie pozostała w tyle. A byłaby prawdziwie nieszczęsna, gdyby cofnęła się wstecz: byłby to, sądzę, początek coraz głębszego zsuwania się w przepaść, tak jak ja się do niej zsuwałam, gdyby mię miłosierdzie Pańskie nie było nawróciło; bo najczęściej, mniemam, przyczyną tego cofania się będą winy ciężkie, i niepodobna by kto takie wielkie dobro porzucił, jeśli go wielkie jakie złe zupełną nie razi ślepotą. Przetoż na miłość Boską proszę tych dusz, którym nieskończona dobroć Boga tak wielkiej łaski użyczyła, wynosząc je do stanu tak wysokiego: niechaj znają siebie, i wysoko o sobie trzymają, z świętą i pokorną dumą, aby nie znęciła ich pokusa wrócenia do garnków egipskich. A gdyby przez ułomność, i dzięki złym skłonnościom swoim, i nędznej, skażonej naturze swojej upaść miały, jak ja upadłam, niech zawsze mają przed oczyma to dobro, które postradały, i tego się lękają, i w tej bojaźni najsłuszniejszej żyją, że jeżeli nie powrócą do modlitwy wewnętrznej, pójdą ze złego w gorsze. Bo to dopiero nazywam prawdziwym upadkiem, gdy

kto, upadłszy, ze wstydem odwraca się od tej drogi, na której przedtem tak wielkiego dobra dostąpił. Nie mówię, by te dusze, tak wysoko łaską Boską podniesione, które tu mam na myśli, nigdy już Boga obrazić nie miały, i nigdy nie upadły; wprawdzie kto zaczął dostępować takich łask, słusznieby powinien z wszelką pilnością wystrzegać się grzechu: ale wielka jest nędza nasza. To jedno więc tylko takiej duszy radzę i najusilniej zalecam: niechaj, chociażby upadła, nie opuszcza rozmyślania; na rozmyślaniu znajdzie światło ku poznaniu winy swojej, i otrzyma od Pana łaskę skruchy, i męztwo do powstania; jeśliby zaś porzuciła modlitwę wewnętrzną, na wielkie, upewniam ją, i niechaj mi wierzy, niebezpieczeństwo się narazi. Niewiem, czy dobrze rozumiem, co mówię, bo jak już powiedziałam, sądzę o rzeczy z tego tylko, co sama doświadczyłam na sobie.

Modlitwa ta odpocznienia, jest to iskierka, którą Pan puszcza do duszy, wzniecając w niej pierwszy początek prawdziwej miłości swojej, i przez pociechy któremi ją napełnia, chce aby dochodziła do poznania, co to jest ta miłość. Odpocznienie to, skupienie to, iskierka ta, wielkie sprawują skutki, jeśli pochodzą od Ducha Bożego, jeśli ta słodkość, której dusza doznaje, nie jest sprawą ducha złego, albo też owocem własnej usilności naszej. Chociaż, kto ma doświadczenie, niepodobna by nie przekonał się zaraz, że takiego daru Bożego nie nabywa się żadną usilnością własną; tylko że natura nasza tak jest chciwa smaków duchownych, iż wszelkich używa sposobów, aby ich mogła zakosztować; lecz rychło zapał jej stygnie i dusza pozostaje zimna, bo jakkolwiek usiłuje rozniecić ten ogień, przy którym pragnie się zagrzać i słodkości onej użyć, wszystka usilność jej przeciwnym kończy się skutkiem, jak gdyby wodą ogień zalewała. Lecz gdy Bóg ją puści do duszy, iskierka ta, choćby była najmniejsza, wielkie sprawuje poruszenie; i jeśli jej jeno człowiek z własnej winy nie zagasi, od niej wszczyna się on ogromny, płomieniem buchający ogień najgorętszej miłości Bożej, którym, jako w swojem miejscu powiem, z łaski Jego pałają dusze doskonałe. Iskierka ta jest to znak, jest to zadatek, którym Bóg oznajmia duszy, iż do wielkich rzeczy ją powołuje, jeśli ona uczyni siebie sposobną do przyjęcia ich;

jest to wielki dar, nierównie większy niż zdołam wyrazić. I dla tego, jak mówiłam, wielki mię żal przenika, że znam wiele dusz, które do tego punktu dochodzą, a takich, któreby dalej postąpiły, jakby postąpić powinny, tak jest mało, że wstyd o tem i wspomnieć. Nie mówię na ogół, by ich było mało, owszem, musi ich być wiele, i snać dla nich Bóg jeszcze nas znosi; mówię tylko, co sama widziałam. Takie dusze niewierne usilnie chciałabym ostrzedz, niechaj patrzą aby nie zagrzebały talentu, bo snać Bóg je chce wybrać dla pożytku wielu drugich, szczególnie w tych czasach, kiedy potrzeba mężnych przyjaciół Bożych, dla podtrzymania słabych; a ci, którzy doznają w sobie tej łaski, za przyjaciół słusznie mają siebie poczytywać; niechże umieją za to Przyjacielowi się wywdzięczać, jak tego na świecie nawet wymaga prawo dobrej i wiernej przyjaźni; w przeciwnym razie, jak mówiłam, niech drżą i lękają się ciężkiej szkody, jaką za niewierność swoję poniosą, a dałby Bóg, by ją sami tylko ponieśli.

Co do sposobu, w jaki dusza zachowywać się powinna w chwilach tego odpocznienia, niczego tu więcej nie potrzeba, jeno cichości i nierobienia hałasu. Hałasem zowię silenie się rozumu na wynalezienie myśli i słów wielu, dla dziękczynienia Bogu za to dobrodziejstwo, i nagromadzanie w pamięci grzechów i przewinień swoich, dla uznania, że się na taką łaskę nie zasłużyło. Wszystko to miota się w głębi duszy, i rozum rzeczy przedstawia, i pamięć wspomnieniem ich dręczy; co do mnie, dwie te władze nieraz mię nękają, i chociaż słabą mam pamięć, nie zdołam w takich chwilach ją opanować. Niechże wtedy wola spokojnie i roztropnie pamięta na to, że z Bogiem się nie traktuje gwałtem i szamotaniem się; że wszystkie te niepokoje rozumu i pamięci, są to jakoby grube szczapy drwa, które dorzucane bez uwagi i miary, ognia nie rozpalą, ale iskierkę oną zagaszą; niechaj z pokorą to uznając, mówi: Panie, co ja tu mogę? Jaki stosunek może być między niewolnicą a Panem, między ziemią a niebem? albo inne tym podobne słowa, jakie jej poda miłość; niech mocno polega na tem przeświadczeniu, że to co mówi jest prawdą, a niech nie zważa na rozum, i uprzykrzone natręctwo jego. Chociażby chciała po-

dzielić się z nim pociechą swoją, aby go utrzymać w skupieniu, — bo bardzo często to bywa, że gdy wola cieszy się tem zjednoczeniem swojem i odpocznieniem w Bogu, rozum w tymże czasie błąka się w największem rozproszeniu, — usiłowanie jej będzie daremnem, i niczego nie dokaże: lepiej więc że go zostawi sobie samemu, nie goniąc za nim ani go naprózno do siebie pociągając, a spokojnie używać będzie roskoszy swojej, skupiając się w sobie jako mądra pszczółka: bo gdyby żadna nie wchodziła do ulu, ale wszystkieby latały dokoła, aby jedna drugą zaganiały do pszczelnika, snać z takiej ich roboty nie byłoby miodu.

Zaniedbanie tej przestrogi przyprawiłoby duszę o wielką stratę, zwłaszcza jeśli rozum jest bystry i ma łatwość w układaniu słów i wynajdywaniu argumentów: w czem skoro mu się nieco powiedzie, już wyobraża sobie że wielkich rzeczy dokazał. W istocie zaś jedyne tu zadanie rozumu na tem się zasadza, by rozumiał jasno i uznał, że nie masz żadnego powodu ani argumentu, któryby mógł skłonić Boga do uczynienia nam tej tak wielkiej łaski, jedno sama tylko dobroć Jego. Zaczem czując Go tak blisko, mamy błagać Boskiego Majestatu Jego o łaski nam potrzebne, i modlić się za Kościół i za tych, którzy się polecili modlitwom naszym, i za dusze w czyścu cierpiące, a wszystko to nie szmerem słów, ale gorącem w sercu pożądaniem wysłuchania. Taka modlitwa dużo znaczy, i więcej się nią otrzymuje, niż wszelkiemi wywodami rozumu. Niechaj wola wzbudza w sobie odpowiednie pobudki, które samże widok takiego jej postępu jej poda, ku coraz silniejszemu rozżarzeniu w sobie tej miłości, którą pała: niechaj czyni akty miłości i wielkich postanowień dla wywdzięczenia się Temu, któremu tyle jest winna: ale wszystko to, jak mówiłam, bez hałasu, nie dopuszczając rozumowi miotać się i uganiać za wysokiemi myślami. Więcej tu pomoże kilka źdźbełek słomy,—chociaż to co z siebie uczynić i dać możemy, mniej jeszcze znaczy niż słoma,—z pokorą dorzuconych, i skuteczniej się przyczyni do rozniecenia ognia, niż cały stos drew uczonych, jak nam się zdaje argumentów, które w ciągu jednego *Credo* do szczętu go zatłumią. Przestroga ta przyda się uczonym, którzy mi kazali

to pisać, wszyscy oni, z łaski i dobroci Boga, doszli do tego stopnia modlitwy: ale może nieraz te drogie chwile obcowania z Bogiem schodzą im na stosowaniu miejsc Pisma świętego. Zapewne że nauka, i przedtem i potem, wielce im będzie pożyteczną, ale w tych chwilach modlitwy, nie bardzo jej, mniemam, potrzeba, i chyba tylko przyda się na ostudzenie woli; bo tu, bez żadnej pomocy naukowej, umysł tak widzi siebie bliskim światłości, że zewsząd go jasność jej ogarnia; ja sama, choć taką jestem jaką jestem, jakby w inszą wtedy przemieniam się istotę. Nieraz, w rzeczy samej to mi się zdarza, że choć czytając modlitwy, zwłaszcza Psalmy, po łacinie, zwykle nic prawie nie rozumiem, przecie gdy jestem w tym stanie modlitwy odpocznienia, nie tylko samo brzmienie wiersza rozumiem, jak gdyby był napisany po hiszpańsku, ale i sens w słowach ukryty z roskoszą pojmuję. Co innego, jeśli oni uczeni mają nauczać, albo słowo Boże opowiadać; wówczas dobrze czynią, gdy biorą sobie na pomoc ten wielki skarb, którym jest Pismo święte, dla wspomożenia takich, jak ja, biednych nieuków; bo wielką jest rzeczą taka miłość, dla pożytku dusz się poświęcająca, a szczerze i jedynie dla Boga pracująca.

Tak więc, w tych chwilach odpocznienia, niech dają duszy spoczywać w Bogu, spoczynku swoim, a książki i naukę niech na bok odłożą. Przyjdzie czas, że będą mogli jej użyć na chwałę Pana, i w takiej ją bądą mieli cenie, iż na żadne skarby tego świata nie zgodziliby się na zaniechanie tej pracy, którą około nabycia jej położyli, i taką teraz mają z niej skuteczną pomoc do tego, czego jedynie pragną, do służenia Boskiemu Panu swemu. Ale w obliczu Mądrości nieskończonej więcej, niech raczą mi wierzyć, znaczy trochę ćwiczenia się w pokorze, i jeden akt tej cnoty, niż wszystka nauka tego świata. Tu nie chodzi o uczone wywody, jedno o to, byśmy w szczerości serca uznali siebie, czem jesteśmy, i z prostotą stawali przed Bogiem, który chce, aby dusza stawała się maluczką, — jako w obliczu Jego prawdziwie jest, — i uniżyła się przed Majestatem Jego, który dla nas tak się uniża, cierpiąc nas w obecności swojej, mimo wszystką niegodność naszę. Będzieć i rozum się szamotał, zdobywając się na jaknajpięk-

niejsze słowa dziękczynienia; ale wola, spokojem swoim i pokorą swoją, nie śmiejąc z celnikiem i oczu wznieść do nieba, lepsze i godniejsze składa dzięki, niżby to rozum, choćby z wyczerpaniem wszystkiej swej retoryki, uczynić zdołał. Nakoniec, nie należy tu całkiem zaniechać modlitwy wewnętrznej, albo niekiedy i ustnej, jeśli dusza zechce i może; bo gdy uspokojenie jest wielkie, trudno jej wówczas mówić, chyba z niezmiernem wysileniem.

Łatwo, zdaje mi się, poznać, czy słodkość, którą w danej chwili czujemy, jest sprawą ducha Bożego, czy też tylko skutkiem własnego naszego starania, gdy za pierwszem uczuć pobożnych, jakie Bóg daje, doznaniem, chcemy, jak mówiłam, wznieść się o własnych siłach do onego odpocznienia woli; wówczas słodkość ta żadnego skutku nie sprawia, prędko przemija i oschłość po sobie pozostawia. Jeśli zaś zły duch te słodkie uczucia sprawuje, dusza wyćwiczona od razu, sądzę, na tem się pozna: pociecha taka pozostawia po sobie niepokój, i mało pokory, i jeszcze mniej gotowości do skutków, które sprawuje duch Boży; w umyśle nie pozostawia światła, ani utwierdzenia w prawdzie. Mało tu albo żadnej szkody duch nie wyrządzi, jeśli dusza pociechę i słodkość, jaką w tej chwili czuje, zwraca do Boga i w Nim zakłada wszystkie pragnienia i myśli swoje; nic tu zatem diabeł nie może wygrać, owszem nawet z samejże tej pociechy, którą chce oszukać duszę, z dopuszczenia Bożego wielką szkodę odniesie; bo pociecha ta będzie pobudzała duszę, przekonaną że ma ją od Boga, do częstego powracania na modlitwę, aby jej jeszcze używać mogła. Jeśli więc dusza jest pokorna, i nie powodująca się ciekawością, ani chciwa roskoszy, chociażby duchownych, ale miłująca krzyż, mało będzie zważała na słodkości, jakie jej podsuwa zły duch; czego nie mogłaby uczynić, jeśli słodkość ta jest z ducha Bożego, albo raczej musiałaby ją w bardzo wysokiej mieć cenie. Czart też, ze zdradzieckiemi ułudami swemi, ponieważ wszystek jest kłamcą, gdy widzi że dusza w pociechach i roskoszach swych na modlitwie się upokarza, — a o to pilnie starać się powinna, by we wszystkiem co się odnosi do modlitwy, a zwłaszcza w słodkościach duchownych, stawała się coraz pokorniejszą:— rychło

da jej pokój, i więcej do niej nie wróci, widząc że na tem przegrywa. Z tego to powodu, i z wielu innych, mówiąc o pierwszym stopniu modlitwy i pierwszym sposobie podlewania, ostrzegałam, jak niezmiernie wiele na tem zależy, by dusza, wstępując na drogę modlitwy wewnętrznej, od samego zaraz początku oderwała się sercem od wszelkiego rodzaju przyjemności własnych i wstąpiła w szranki z tem jedynie postanowieniem, że chce Chrystusowi Panu pomagać w noszeniu krzyża Jego, jako mężny i wierny rycerz, który bez żołdu chce służyć królowi swemu, pewnym będąc, że go nagroda nie minie. Tak walczmy i pracujmy, oczy trzymając utkwione w ono prawdziwe i wieczne królestwo, które sobie zdobyć postanowiliśmy.

Jest to bodziec nad wyraz skuteczny, ta ciągła pamięć na zgotowane nam królestwo: zwłaszcza w początkach; bo później tak jasno się widzi, jak krótko trwa wszystko na tym świecie, jak wszystkie rzeczy ziemskie są niczem, jak mało znaczą i uwagi niegodne są wszelkie pociechy na tem wygnaniu, że chcąc wytrzymać to życie, raczej potrzeba unikać pamięci o tem wszystkiem, niż umyślnie sobie tę powszechną znikomość przypominać. Duszom wyższym jednak wzgląd ten może się wydać za niskim, i tak jest w istocie; bo które wyżej postąpiły w doskonałości, te poczytywałyby sobie za zniewagę i wstydziłyby się samych siebie, gdyby dopuściły tę myśl, że dla tego opuszczają dobra tego świata, że dobra te prędko się kończą, bo choćby mogły trwać wiecznie, z radością porzuciłyby je dla Boga; z tem większą radością, imby były doskonalsze, z tem większą radością imby trwanie ich było dłuższe. W takich duszach miłość już wysoko urosła, i miłość sama działa; lecz dla poczynających wzgląd on na znikomość rzeczy doczesnych wielkie ma znaczenie; niech nim nie gardzą, jako za niskim i niegodnym duszy Boga miłującej, bo korzyść z niego niezmierna, i dla tego z taką usilnością go zalecam. Nawet takim, które już wysoko postąpiły w bogomyślności, wzgląd ten i pamięć na rzeczy ostateczne nieraz jest potrzebny, gdy Bóg ich doświadcza, i jakoby je opuszcza. Bo, jak już mówiłam, i dobrze jest o tem pamiętać, w tem naszem życiu na ziemi, dusza nie w taki sposób rośnie jak ciało, choć słusznie mówimy

że rośnie, bo tak jest; ale dziecko gdy raz urośnie, i ciało jego się rozwinie i męskiego wzrostu nabierze, już się potem nie zmniejsza i nie wraca do wzrostu ciała dziecięcego. Dusza przeciwnie, choć wysoko urośnie, z woli i dopuszczenia Pańskiego znowu maleje: przekonałam się o tem na samej sobie, bo na innych tego sprawdzić nie mogłam. Snać chce Bóg tym sposobem upokorzyć nas, dla większego dobra naszego, i abyśmy nigdy nie zaniechali czuwania nad sobą, póki żyjemy na tem wygnaniu; bo im wyżej kto stoi, tem więcej obawiać się o siebie powinien, tem mniej ufać samemu sobie. I na takich nawet, którzy tak już całkowicie oddali wolę swoję w ręce woli Pańskiej, iż gotowi są raczej wydać się na męki, niż dopuścić się jednej niedoskonałości, i raczej tysiąc śmierci ponieść, niż popełnić grzech: i na takich, mówię, przychodzą chwile, że dla uchronienia się niebezpieczeństwa obrazy Boskiej, dla ustrzeżenia się grzechu, dla obronienia się od nastających na nich pokus i prześladowań, potrzeba im uciekać się do pierwszej zbroi poczynających, i na nowo rozważać, że wszystko się kończy, że jest niebo i piekło, i inne prawdy tym podobne.

Wracając jeszcze do podstępów złego ducha, i do słodkości, któremi dusze oszukuje, walny sposób oswobodzenia się od tych jego poduszczeń na tem, powtarzam, się zasadza, byśmy wstępując w zawód życia duchownego i modlitwy wewnętrznej, od samego początku mężne mieli postanowienie chodzenia drogą krzyża, i pociech nie pragnęli. Pan sam wskazuje nam tę drogę doskonałości, gdy mówi: Bierz krzyż twój i naśladuj mnie. On jest Wzorem naszym, i kto jedynie dla spodobania się Jemu słucha rad Jego, ten nie ma czego się lękać. Tą drogą idąc, po wyraźnym, jaki z nich odnosi pożytku, jasno pozna, że słodkości, których doświadcza, nie są z ducha złego; chociażby potem znowu upadł, jeden zawsze pozostanie znak, świadczący mu, że nie czart ale Pan był w duszy jego, ten mianowicie, że zaraz się podniesie. Ale są inne jeszcze znaki, które tu wymienię.

Kiedy Duch Boży sprawuje w nas te pociechy, nie masz potrzeby szukać daleko i silić się na znalezienie powodów do upokorzenia i zawstydzenia siebie: Pan sam tu wnosi do duszy

i uczy jej pokory prawdziwej, w inny i nierównie doskonalszy sposób, niż tego zdołają dokazać maluczkie myśli i rozważania nasze, które są niczem w obec tego światła, którem Pan tu duszę oświeca, i takie w niej sprawuje zawstydzenie, że się dusza przed Nim jakoby w niwecz obraca. Żadna oczywistość nie dorówna temu jasnemu poznaniu, jakie Pan tu nam daje, abyśmy widzieli, że sami z siebie nic dobrego nie mamy; i im większe dusza łaski otrzymała, tem jaśniejszem jeszcze staje się w niej to poznanie. Wzbudza nadto duch Boży gorące pragnienie postępowania coraz dalej w modlitwie wewnętrznej, i mocne postanowienie nie porzucenia jej nigdy, wbrew wszelkim trudnościom i ciężkościom, jakieby się w niej mogły napotkać, i ochotną gotowość woli na wszelką z siebie ofiarę. Wlewa do duszy bezpieczne, choć z pokorą i bojaźnią połączone ufanie o swem zbawieniu, i tem samem wyrzuca z niej bojaźń niewolniczą, a sprawuje za to coraz wyżej rosnące pomnożenie bojaźni synowskiej. Czuje dusza rodzącą się w niej czystą, bez żadnego względu na własny interes, miłość Boga, i z pożądaniem wygląda czasów samotności, aby lepiej mogła cieszyć się tym skarbem, tą miłością swoją. Słowem, że na tem skończę, aby się zbytnie nie przedłużać, słodkość ta jest dla niej początkiem wszystkiego dobra, jest to pora dochodzenia kwiatów duchownego ogrodu, i jakoby niczego im już nie brak, aby się z całą pełnością wdzięku i woni swojej rozwinęły. I dusza to wszystko jasno widzi i czuje; i żadną miarą w tej szczęśliwej chwili nie zdoła wątpić o tem, że Bóg jest z nią, aż gdy znowu spojrzy na siebie, i ujrzy niedostatki i niedoskonałości swoje; wtedy wszystkiego się boi, i dobra jest i pożyteczna ta bojaźń. Chociaż są dusze, w których mocna otucha, iż Bóg w tych pociechach jest z niemi, większy skutek sprawuje niż wszelkie bojaźnie, jakieby na nie przyjść mogły; są dusze z przyrodzenia do miłości i wdzięczności skłonne: takie mocniej do Boga pociąga pamięć na łaskę, jaką jej uczynił, niż przedstawienie sobie, choćby najżywsze, wszystkich mąk piekielnych; tak przynajmniej jest ze mną, choć taka jestem grzeszna.

Ponieważ o znakach ducha dobrego mam mówić jeszcze w dalszym ciągu, tu, ze względu na nieudolność moję, i na wielką trudność, jaką mam w jasnem wyłożeniu takich rzeczy, więcej nic o nich nie powiem. Mam w Bogu nadzieję, że przy pomocy łaski Jego jakkolwiek sprostam zadaniu mojemu: bo obok doświadczenia, które mię dużo nauczyło, wiem o tych rzeczach z nauk niektórych ludzi bardzo uczonych, a przytem i wysoce świątobliwych, którym słusznie można dać wiarę: zaczem i dusze, które Bóg w dobroci swojej do tego stopnia podniesie, unikną tych udręczeń, przez które ja przechodziłam.

ROZDZIAŁ XVI.

Przystępuje do trzeciego stopnia modlitwy, i rozwija tu rzeczy bardzo wysokie, wykazując czego dokazać może dusza, doszedłszy do tego stopnia, i jakie skutki sprawują te dziwnie wielkie łaski Pańskie. Jak wysoko rozważanie tych rzeczy powinno podnosić ducha ku wychwalaniu Pana i jaką pociechą napełniać dusze, które już tych łask dostąpiły.

Mówmy już teraz o trzecim sposobie podlewania ogrodu, za pomocą wody sprowadzonej ze strumienia lub ze źródła Ten sposób podlewania odbywa się z daleko mniejszą pracą, choć sprowadzanie wody zawsze połączone jest z niejakim trudem. Pan w taki sposób raczy tu wspomagać ogrodnika, iż niejako sam bierze na siebie urząd jego, i sam wszystko robi za niego. Jest to niejakie uśpienie władz duszy, które choć tu nie całkiem ustają i gubią się w Bogu, tracą przecie świadomość działania swego. Smak duchowny, i słodkość, i roskosz są tu bez porównania większe, niż na stopniu poprzednim: wody łaski zalewają duszę po brzegi, tak iż nie może już ani postąpić naprzód, ani drogi wstecz nie widzi, tylko jedno ma pragnienie, cieszenia się tą chwałą niezrównaną: podobne, rzekłbyś, do człowieka konającego, z gromnicą w ręku czekającego śmierci, której pragnie, i której za chwilę doczeka. Dusza w tem konaniu swojem używa roskoszy, przewyższającej

wszelki wyraz; nie jest to, rzec można, nic innego, jedno jakoby zupełna śmierć dla wszystkich rzeczy tego świata, a roskoszne odpocznienie w Bogu. Nie umiem znaleźć innych wyrazów na wypowiedzenie tego, ani potrafię inaczej tego objaśnić; dusza w tym stanie nie wie sama co czynić; nie wie czy mówi czy milczy, czy śmieje się czy płacze. Jest to chwalebny nierozum, jest to niebieskie szaleństwo, z którego się czerpie mądrość prawdziwa; jest to dla duszy stan niewypowiedzianie słodkiej uciechy. Szczerze, wyznaję, iż od pięciu lat, ile pamiętam, może i od sześciu, Pan mi dawał w obfitości, i po wiele razy, ten rodzaj modlitwy, ale anim go rozumiała, anibym zdołała wyrazić; dla tego też miałam postanowienie, gdy w opowiadaniu mojem do tego punktu dojdę, krótko tylko o tem wspomnieć, albo i zupełnie zamilczeć. Widziałam-ci dobrze, że nie jest to całkowite zjednoczenie i pochłonienie w Bogu wszystkich władz duszy; widziałam także bardzo jasno, że zjednoczenie tu jest większem, niż w poprzednim rodzaju modlitwy; ale na czem się zasadza ta różnica, tego, wyznaję, zrozumieć, ani określić nie mogłam. Snać przez zasługę tej pokory, którą Wasza Miłość okazałeś, szukając sobie pomocy u takiego, jakiem jest moje, prostactwa. Pan, dzisiaj po Komunii, dał mi łaskę tej modlitwy, i jakoby w niej mię zamknął, iż dalej postąpić nie mogłam, i podał mi myśl tych porównań, i nauczył mię, jak to wypowiedzieć, i co tutaj dusza czynić powinna: tak iż zdumiałam i przeraziłam się bardzo, tak od razu, w jednej chwili wszystko rozumiejąc. Wiele razy przedtem byłam w tym stanie jakby odejścia od rozumu i upojenia w tej miłości, a nigdy nie mogłam dojść, jak to się dzieje. Rozumiałam dobrze, że działa tu sam Bóg, ale zrozumieć nie mogłam, jak działa; bo ściśle mówiąc, władze duszy są tu niemal całkiem z Bogiem złączone, ale nie tak w Nim pochłonięte, iżby już nie działały. Teraz to zrozumiałam i niezmierną z tego mam pociechę. Niech będzie błogosławiony Pan, iż tak mię uradować raczył.

Władze duszy są tu całkowicie i wyłącznie zajęte Bogiem i do niczego innego nie są zdolne. Żadna jakoby nie śmie się ruszyć, ani żadnej sami nie zdołamy od Boga oderwać, chyba-

byśmy rozmyślnie i usilnie starali się sprawić im roztargnienie, choć i tego, zdaje mi się, w tym stanie nie potrafilibyśmy z zupełnym skutkiem dokazać. Słowa tu płyną obficie na wysławianie Pana, ale bez porządku i związku, chyba Pan sam go uczyni; rozum przynajmniej na nic tu się nie przyda; dusza chciałaby wielkim głosem wołać i chwalić Boga, i jakoby nie może się mieścić w samej sobie, roskosznem miotana zachwyceniem. Już tu, już otwierają się kwiaty, i poczynają wonność swą wydawać. Chciałaby dusza by wszyscy ją widzieli, i oglądali tę chwałę jej, i pomagali jej wielbić i chwalić Boga; chciałaby wszystkim udzielić swego wesela, bo sama tak wielkiego unieść nie zdoła; podobna, rzec można, do onej niewiasty w Ewangelii, która, znalazłszy zgubiony grosz swój, czuła konieczną potrzebę zwołać, i zwołała sąsiadki swoje, aby się z nią radowały. Takie, sądzę, były uczucia królewskiego proroka Dawida, gdy w zachwyceniu przedziwnego ducha swego grał i śpiewał na arfie uwielbienie Boga. Wielkie mam nabożeństwo do tego chwalebnego króla, i chciałabym żeby je wszyscy, mieli, wszyscy szczególnie, którzy jak ja, ciężko obrazili Boga.

O Boże! co się dzieje w tej duszy, gdy takie rzeczy z nią się dzieją! Radaby cała przemienić się w języki, dla wychwalania Pana. Mówi Mu tysiąc świętych niedorzeczności, które przecie zawsze są do rzeczy, bo zawsze trafiają w cel, podobając się Temu, który tak ją do siebie przygarnia. Znam osobę [1]), której, choć nie jest poetką, zdarza się od razu, bez namysłu, układać strofy pełne uczucia, dobrze wyrażające jej cierpienie; nie był to utwór jej umysłu, jedno dla lepszego cieszenia się tą chwałą, którą jej przynosiło roskoszne ono cierpienie, wyśpiewywała nad niem żale swoje Bogu swemu. Chciałaby żeby jej ciało i dusza rozpadły się na dwoje, aby się jawnie w nich ukazała wszystkim ta radość i wesele, jakich z tem cierpieniem

[1]) Osoba o której Święta tu mówi, jest ona sama. Żal wielki, że z tych natchnionych jej poezyi nie prawie do nas nie doszło, oprócz kilku krótkich urywków, i wspaniałej onej Glossy zaczynającej się od tych słów: *Que muero porque no muero*, — umieram z tego, że nie umieram.

swojem doznaje. Jakieby w onczas mogły stanąć przed nią męki, którychby z roskoszą nie poniosła dla Pana swego? Jasno w onczas widzi, iż męczennicy jakoby nic nie czynili z siebie, wytrzymując męki swoje, bo męstwo, z jakiem je wycierpieli, z innego, dobrze to rozumie, źródła pochodziło. Ale za to, co się w niej dzieje, gdy z tego upojenia potrzeba jej znowu wytrzeźwieć, aby jeszcze żyć na świecie, i znowu wrócić do trosk i zachodów jego? Bo zdaje mi się, że nie przesadziłam w moim opisie, i że nic nie powiedziałam, coby nie pozostawało daleko w tyle za rzeczywistością tej roskoszy, którą Pan raczy niekiedy jeszcze w tem wygnaniu duszę napełniać. Bądź błogosławiony, Panie, na wieki, i niech Cię wysławia na wieki wszystko stworzenie. Raczże teraz, o Królu mój, sprawić to o co Cię błagam, i kiedy z łaski i miłosierdzia Twego w chwili gdy to piszę, jeszcze nie wróciłam z tego świętego niebieskiego szaleństwa, którem mię tak wielkiej łaski niegodną, bez żadnych zasług moich uszczęśliwiasz, spraw, proszę, niech wszyscy z którymi mam przestawać, tak samo szaleją z miłości twojej, lub, jeśli to być nie może, niech ja już z nikim nie mam potrzeby przestawać; albo mię tak, Panie, odłącz od tego świata, bym już o żadną rzecz, która na nim jest, nie dbała, albo zabierz mię z niego. Nie może już, Boże mój, ta służebnica twoja znieść tej męki, jaką cierpi widząc się pozbawioną Ciebie; a jeśli jeszcze ma żyć, nie chce w tem życiu żadnego odpocznienia, i Ty go jej, Panie, nie dawaj. Pragnęłaby ta dusza już być wyzwoloną z więzów swoich; jedzenie ją zabija, sen ją udręcza; widzi że czas życia jej schodzi na zaspokojeniu ziemskich potrzeb swoich, a że nic jej zaspokoić nie zdoła oprócz Ciebie; i tak żyje jakoby przeciw naturze, bo już nie chciałaby żyć w sobie, jedno w Tobie. O prawdziwy mój Panie i chwało moja, jakże lekki, a zarazem jak niewypowiedzianie ciężki krzyż trzymasz w pogotowiu dla tych, których do tego stanu wyniesiesz! lekki, bo słodki; a zarazem ciężki, bo bywają chwile, że żadna cierpliwość nie zdoła go wytrzymać; a przecie nigdyby nie chciała ujrzeć się wolną od niego, chyba na to, aby się już ujrzeć z Tobą i u Ciebie. Gdy zaś wspomni, że nic jeszcze nie uczyniła dla Ciebie, i że póki żyje może

Tobie służyć, pragnęłaby brzemienia o wiele jeszcze cięższego, i chciałaby nigdy, aż do końca świata nie umrzeć. Za nic ma wszelki trud i cierpienia swoje, jeśli jeno kosztem jego może Tobie oddać najmniejszą usługę. Sama nie wie, czego pragnąć ma, ale to dobrze wie, że niczego nie pragnie, oprócz Ciebie.

O mój synu! — bo taka jest pokora tego, do którego i z rozkazu którego to piszę, że chce bym ja go synem nazywała, — niech dla ciebie samego będą te rzeczy, w którychbyś widział że wychodzą z granic; bo niemasz rozsądku, któryby mię zdołał w nich utrzymać, kiedy Pan sam z nich i z siebie samej mię wyprowadza. Takie mam uczucie, od chwili tej, dziś rano, Komunii mojej, jakobym nie ja to mówiła, co mówię; zdaje mi się jakbym przez sen widziała, co widzę, i chciałabym widzieć w koło siebie samych tylko chorych na tę samą chorobę, którą ja w tej chwili jestem dotknięta. Błagam Miłości Waszej, bądźmy wszyscy szaleni dla miłości Tego, który dla nas dopuścił aby Go miano za szalonego. Mówisz Wasza Miłość że mię kochasz, więc okaż mi tę miłość twoję, czyniąc siebie sposobnym, aby i tobie Bóg tej łaski użyczył. Bo bardzo mało widzę takich, którzyby nie powodowali się zbytnim rozsądkiem w tem, coby ich mogło doskonalszymi uczynić. Być może, że ja w tem więcej grzeszę niż wszyscy; gdyby tak było, nie pozwalaj na to Wasza Miłość, ojcze mój, bo jesteś spowiednikiem moim, któremu duszę moję powierzyłam; wyprowadź mię z błędu, mówiąc mi prawdę bez ogródki, tem bardziej że ta szczerość i śmiałość w mówieniu prawdy tak dzisiaj u nas jest rzadką.

Taką zmowę chciałabym byśmy uczynili między sobą, my pięcioro, którzy dziś wzajemnie miłujemy siebie w Chrystusie: aby, jako drudzy w tym czasie schodzili się potajemnie, czyniąc zmowy przeciw Panu, i knując niegodziwości i herezye [1]), tak byśmy starali się od czasu do czasu schodzić się, aby się

---

[1]) Wzmianka ta odnosi się zapewne do odkrytych na parę lat przedtem, r. 1559, w niedaleko od Awili odległem Walladolidzie heretyckich schadzek nocnych niejakiego doktora Cazalla i adeptów jego, w liczbie których było nawet w tę nieczystą sprawę wplątanych kilka zakonnic miejscowego klasztoru.

wzajemnie jedni drugich ostrzegać i upominać, i jedni drugim ukazywać, w czembyśmy mogli się poprawić, i lepiej służyć Bogu; bo nie masz nikogo, ktoby tak dobrze znał sam siebie, jak go znają ci którzy nań patrzą, jeśli jedno czynią to z miłości i szczerą o postęp jego troskliwością. Zbieralibyśmy się, mówię, potajemnie, bo ta otwartość w mowie już teraz nie jest w użyciu. Sami nawet kaznodzieje tak układają kazania swoje, aby snać kogo nie obrazili; zapewne dobrą w tem mają intencyę, i rzecz sama może być dobrą; ale i to prawda, że po takiem kazaniu mało kto się poprawia. Bo czemuż to nie widać grzeszników, gromadami, w skutek usłyszanego kazania, jawne grzechy swoje porzucających? Wiesz Wasza Miłość, co myślę? myślę że to dla tego, że ci którzy im przepowiadają słowo Boże, są nadto roztropni. Nie pochłania w nich tej roztropności ludzkiej, jak pochłaniał w Apostołach, wielki ogień miłości Bożej, i dla tego ten płomień ich mało grzeje; nie mówię by miłość Boża miała być w nich tak wielką, jak była w Apostołach, ale chciałabym by była większą niż ją widzę. Czy mam powiedzieć, co słowu ich taką dawało skuteczność? To, że już mieli w obrzydzeniu to życie, i mało sobie poczytywali sławę świecką; że gdy chodziło o wyznanie prawdy i obronę jej dla chwały Bożej, zarówno im było wszystko stracić czy wszystko zyskać; bo kto na prawdę wszystek poświęcił siebie Bogu, ten z równą gotowością znosi czy jedno czy drugie. Nie mówię bym ja była taką, ale chciałabym być. O jaka to wspaniała wolność, za niewolę sobie poczytywać życie wedle świata i stosowanie się do praw i zwyczajów jego! dla osiągnięcia tej wolności od Pana, żadna ofiara nie powinna wydawać się trudną; bo któryż niewolnik nie gotów poświęcić wszystko, aby się wyzwolił z niewoli, i mógł powrócić do ojczyzny? Gdy więc ta jest droga prawdziwa, idźmy nią, nie zatrzymując się do ostatniej chwili życia; bo nigdy nie dojdziemy do posiadania tego wielkiego skarbu, który nas czeka na końcu jej, aż gdy się skończy to życie. Niechaj nam Pan użyczy ku temu łaski swojej. Podrzyj Wasza Miłość, co tu napisałam, jeśli to uznasz za dobre, i przyjmij to pisanie jako list dla Ciebie wyłącznie przeznaczony, i wybacz mi zbytnią śmiałość moję.

ROZDZIAŁ XVII.

Jeszcze o tym trzecim stopniu modlitwy, i o skutkach jakie sprawuje. Jaką tu przeszkodę czynią rozum i pamięć.

Dosyć już powiedziałam o tym sposobie modlitwy, i co dusza w nim czynić powinna, czyli ściślej mówiąc, co Pan w niej czyni, bo On sam tu bierze na siebie czynność ogrodnika, aby ona odpoczywała i używała. Tego tylko żąda, by wola z ochotnem zgodzeniem się przyjęła te łaski, któremi się cieszy, i by całkowicie ofiarowała siebie na wszystko, cokolwiek w niej uczynić zechce Mądrość prawdziwa. Potrzeba jej do tego ducha mężnego; bo roskosz, której doznaje, tak jest wielka, że chwilami, zdaje się, mało do tego brakuje, by dusza wyszła z ciała. O, jakażby to była śmierć szczęśliwa! Potrzeba tu, jak mówię Waszej Miłości, zdać się całkowicie w ręce Boga: chce Pan duszę porwać do nieba? niech idzie; chce ją ściągnąć do piekła? i tam pójdzie bez wahania, bo i tam zabierze z sobą skarb swój; chce położyć koniec jej życiu? tegoż i ona chce; chce by żyła jeszcze tysiąc lat? i na to się zgadza: niech Pan nią rozporządza, jak rzeczą własną; już ta dusza nie jest swoją, oddana jest cała Panu, na Niego niech zda w zupełności wszelką troskę o siebie. Dusza, mówię, wyniesiona na tak wysoki stopień modlitwy, — bo gdy Bóg jej użyczy tej łaski, może ona to wszystko, i wiele więcej jeszcze, gdyż ten jest właśnie skutek tej łaski, — dusza więc, czyniąc to wszystko, czuje że czyni to bez żadnego wysilenia rozumu; rozum tylko stoi, rzekłbyś, i patrzy zdumiony, jak przedziwnie Pan tu sam spełnia czynność ogrodnika, a jemu bez żadnej pracy daje tylko się lubować wdziękiem kwiatów, poczynających wydawać woń swoję. Bo za jednem, choćby najkrótszem ogrodu tego nawiedzeniem, Pan, takim będąc ogrodnikiem, i sam będąc Stwórcą tej wody, wylewa ją bez miary; i czego biedna dusza wszelką pracą swoją i dwudziestoletniem może wytężeniem rozumu nie zdołała zgromadzić, to Boski ten ogrodnik sprawuje w jednej chwili, i daje wzrost i dojrzałość owocom, tak iż dusza może już żyć z tego

ogrodu swego, jak i Pan tego chce. Ale jeszcze jej nie pozwala rozdawać tych owoców, dopóki sama od pożywania tego pokarmu nie zmocni się i nie zmężnieje, aby snać nie rozszafowała ich bez żadnego dla siebie pożytku, i dając drugim, a nic w zamian nie biorąc, i swoim kosztem karmiąc i żywiąc drugich, w końcu może sama nie została z niczem i z głodu nie umarła. Dla mężów tak rozumnych, którzy mię czytać będą, to co mówię, dostatecznie będzie zrozumiałem, i potrafią oni to zastosować lepiej. niżbym ja, męcząc się napróżno, zdołała wypowiedzieć.

Po tym rodzaju modlitwy, cnoty nadal pozostają o wiele dzielniejszemi, niż na stopniu poprzednim modlitwy odpocznienia; bo dusza tutaj widzi siebie całkiem przemienioną, i sama nie wie jak, poczyna zdobywać się na wielkie rzeczy, upojona wonią, którą te kwiaty jej z siebie wydają. Pan kazał im się otworzyć i tak wonieć, aby ona przekonała się i uwierzyła, że istotnie takie cnoty posiada, lubo jasno przytem widzi to i rozumie, że sama nie była ich zdolną, i przez długie lata własną pracą nie mogła nabyć tego, co w tej maluczkiej chwili Boski ogrodnik w niej sprawił. Zaczem też pozostaje tu w głębi duszy pokora nierównie większa i głębsza, niż przedtem; bo widzi oczywiście, że sama tu nic zgoła nie zrobiła, tylko że zgodziła się na to, aby Pan jej łaskę uczynił, i wolę jej usposobił do przyjęcia jej.

Sposób ten modlitwy, zdaniem mojem, jest bardzo oczywistem zjednoczeniem całej duszy z Bogiem; wszakże i każdej z władz jej poosobno Pan, zdaje się, pozwala by każda na swój sposób poznała te wielkie rzeczy, jakie On tu czyni. i niemi się radowała. Zdarza się nieraz, i często, że w tem zjednoczeniu, — abyś Wasza Miłość przekonał się że to być może, i rozumiał to, gdy ci się co podobnego od Pana przytrafi; ja przynajmniej mocno się nad tem zdumiałam, i dla tego mówię tu o tem; — zdarza się więc, mówię, że w tem zjednoczeniu dusza czuje, że wola jest uwięziona i cieszy się Bogiem; wszakże wola tylko sama zostaje w głębokiem uspokojeniu, gdy przytem rozum i pamięć taką zachowują swobodę, iż mogą zajmować się interesami i oddawać się uczynkom miłosiernym. Jakkolwiekby

się zdawać mogło, że stan ten w niczem się nie różni od modlitwy odpocznienia, o której wyżej mówiłam, jest przecie między niemi różnica: tam dusza nie śmie robić najmniejszego poruszenia, ciesząc się jedynie onym świętym spoczynkiem, jak Marya; tu, w tym rodzaju modlitwy, może zarazem spełniać posługowanie Marty. Tak więc działa i żyje jakoby jednocześnie i życiem bogomyślnem i życiem czynnem; może się oddawać uczynkom miłosiernym, i zajęciom stanowi jej odpowiednim, i czytać; lubo jednak nie całkiem jest panią władz swoich, i czuje to dobrze, że lepsza część jej jest gdzieindziej. Jest to jak gdybyśmy rozmawiali z jednym, a z drugiej strony mówiłby do nas kto drugi, zaczem ani tego, ani tamtego nie słuchamy z zupełną uwagą. Dusza czuje bardzo wyraźnie, że jest podzielona, i wielkie z tego ma zadowolnienie i pociechę, bo jest to doskonałe przygotowanie do zakosztowania tej słodkości i głębokiego odpocznienia, któremi się cieszyć będzie, gdy przyjdzie czas samotności czy swobody od zajęć zewnętrznych. Możnaby ją w tym stanie porównać z człowiekiem, który najadłszy się i pierwszy głód zaspokoiwszy, nie czuje już potrzeby jedzenia, i po zwykłą strawę nie sięgnie; ale gdyby postawiono przed nim jaką wykwintną potrawę, nie tak jeszcze czułby się najedzonym, by do niej z przyjemnością nie zasiadł; tak i tej duszy nie nasyci, ani powabu dla niej nie ma żadna uciecha tego świata, bo ma w sobie inną pociechę, która lepiej głód jej zaspakaja; cieszyć się coraz więcej Bogiem, pragnąć coraz pełniejszego zaspokojenia jedynego pragnienia swego, coraz wyższej w obcowaniu z Nim używać roskoszy, to jest, czego ona chce i pożąda.

Jest inszy jeszcze rodzaj zjednoczenia, który choć i w nim zjednoczenie nie jest zupełne i doskonałe, przewyższa jednak ten, o którym tylko co mówiłam, ale nie jest tak wysoki, jak ten który opisałam na początku, mówiąc o tej trzeciej wodzie. Wielką to będzie dla Waszej Miłości pociechą, gdy otrzymawszy od Pana wszystkie te trzy rodzaje, jak może już je otrzymałeś, znajdziesz je tu opisane, i obaczysz, na czem one się zasadzają. Otrzymać jaki dar od Pana, to pierwsza łaska: a druga jest, gdy ten, kto go otrzymał, zrozumie, jaka to łaska i ja-

kie jej własności; nakoniec, umieć ten dar słowy wyrazić, i wytłómaczyć na czem się zasadza, to trzecia jeszcze, odrębna łaska. Zdawałoby się wprawdzie, że dość pierwszej z tych trzech łask, aby dusza mogła, bez zamięszania i trwogi, mężnie iść naprzód drogą Pańską, odrzucając z pod nóg swoich wszystkie rzeczy tego świata; wszakże i zrozumienie tej łaski wielką jest łaską i wielkim pożytkiem; i kto ją otrzymał, słusznie za nią winien dzięki czynić Panu: kto zaś jej nie posiada, tem bardziej powinien wielbić Boską łaskawość Jego, iż raczył użyczyć jej komu innemu, jeszcze żyjącemu, aby ten, póki żyje, uczył nas i oświecał. Otóż ten sposób zjednoczenia, o którym mówić mam, zdarza się często, — szczególnie mnie, której Bóg tego rodzaju łaski po wiele razy użycza. Bóg tu porywa wolę, a także, jak mnie się zdaje, i rozum; bo ten tu nie rozumuje, tylko wszystek jest zajęty Bogiem i Nim się cieszy, jako gdy kto patrzy na cudowne jakie widowisko, i tyle widzi rzeczy zachwycających, że nie wie w którą stronę naprzód patrzyć; jedna wspaniałość zasłania mu w oczach drugą, i żadnej nie zdoła dokładnie rozróżnić.

Pamięć pozostaje swobodną, a snać także i wyobraźnia. Ta, pozostawiona sobie, żal się Boże jaką wojnę wydaje woli i rozumowi, i jaki usiłuje odmęt w nich sprawić. Mnie ona męczy niesłychanie, i nienawidzę jej, i nieraz błagam Pana, by odebrał mi ją raczej w tych chwilach, niżby mi miała takie zamięszanie czynić. Innemi razy wołam: Kiedyż już, o Boże, dusza moja będzie cała zebrana w wysławianiu Ciebie, kiedyż wolna będzie od tych roztargnień, które ją szarpią, i opanować ich nie może? Jasno tu okazuje się szkoda, jaką wyrządził nam grzech, iż w taką niewolę podbił wolę naszę, że nie może, jakby chciała, ciągle być zajętą Bogiem. Mnie, wyznaję, nieraz się to zdarza, — i nie dalej jak dziś wycierpiałam taką walkę, i dobrze ją mam w pamięci, — że dusza ustaje od pożądania znalezienia się tam, gdzie część jej lepsza i większa przebywa, a niepodobna jej tego osiągnąć, bo pamięć i wyobraźnia taką jej wydają wojnę, że rady sobie z niemi dać niemoże. Wszakże, w braku współdziałania drugich dwu władz, rozumu i woli, bezsilne są, i nie zdołają zrobić nic złego: mogą trapić duszę

i niepokoić, i aż nadto to czynią: ale złego, powtarzam, nic jej uczynić nie mogą, brak im do tego siły i stałości: bo iż rozum żadnego zgoła nie bierze udziału w tem, co mu przedstawiają, więc na niczem się zatrzymać nie mogą, i ustawicznie od jednego przedmiotu odbiegają do drugiego: podobne, rzec można, do onych ciem nocnych, niespokojnych i uprzykrzonych, wciąż latają z miejsca na miejsce. Porównanie to, zdaniem mojem, jak najdokładniej przypada do rzeczy: tak samo zupełnie jak one ćmy, i te niespokojne widziadła wyobraźni i pamięci, choć zupełnie nieszkodliwe, uprzykrzają się przecie i dokuczają temu, kogo opadną. Na tę dolegliwość nie wiem czy jest lekarstwo; gdyby mi Pan jakie ukazać raczył, ochotniebym go użyła, bo często, jak mówiłam, wielkie z tego powodu mam utrapienie. Jasno się tu objawia i nędza nasza, i wielka moc Boga; bo gdy ta władza wyobraźni, pozostawiona na swobodzie, tak nam szkodzi i dolega, drugie dwie, zjednczone z Boską wielmożnością Jego, głębokiem uciszeniem i pokojem nas krzepią.

Jedyne lekarstwo, jakie znalazłam po wieloletniem umęczeniu, jest to, które wyżej wymieniłam, mówiąc o modlitwie odpocznienia: nie zważać na wyobraźnię i wybryki jej, jak się nie zważa na szalonego, i pozostawić ją z szaleństwem jej, któremu Bóg sam tylko mocen jest koniec położyć; ostatecznie zawsze ona jest i pozostaje niewolnicą tylko. Znośmyż ją cierpliwie, jak znosił Jakób Lię; bo wielką łaskę Pan nam czyni, że cieszymy się posiadaniem Racheli. Wyobraźnia, mówię, pozostaje niewolnicą, bo ostatecznie, jakkolwiekby się miotała, nie zdoła pociągnąć za sobą drugich dwu władz: gdy przeciwnie te bez żadnego trudu przywołują ją do siebie. Niekiedy spodoba się Bogu użalić się nad nią, i takiem jej błąkaniem i szamotaniem się, i dopuści jej zapłonąć ogniem tej Boskiej pochodni, w którym tamte dwie już jakoby w popiół się obróciły, i złożyły niejako przyrodzoną istność swoję, w taki sposób nadprzyrodzony ciesząc się posiadaniem onych dóbr nieocenionych.

We wszystkich tych różnych sposobach, które wymieniłam, opisując tę wodę ze źródła płynącą, tak wielkie jest uwielbienie i odpocznienie duszy, że bardzo wyraźnie i ciało uczestniczy w tem weselu jej i roskoszy; skutek ten, mówię, objawia się bardzo wyraźnie; cnoty zaś taki tu biorą wzrost i pomnożenie, jak mówiłam wyżej. Snać spodobało się Bogu przez tak liche narzędzie objawić, z wszelką jaka może być w tem życiu jasnością, te różne stany, do których, o ile rozumiem, dusza na tym stopniu modlitwy bywa podniesioną. Niech Wasza Miłość naradzi się o tem z jakim mężem duchownym, a uczonym, któryby z własnego doświadczenia znał ten stan zjednoczenia z Bogiem. Jeśli on uzna że dobrze napisałam, wierz Wasza Miłość, że Bóg ci to oznajmił, i dziękuj gorąco Boskiej łaskawości Jego; bo jak mówiłam, będzie to w swoim czasie wielką dla Waszej Miłości pociechą, że będziesz rozumiał, czem i jaką jest ta łaska w samej sobie. A chociażby, dając ci już cieszyć się tym darem, nie dał ci jeszcze Bóg łaski zrozumienia go, wszakże, mając już tę pierwszą łaskę, przy rozumie i nauce swojej zrozumiesz go Wasza Miłość z tego, co tu napisano. Niechaj Pan będzie błogosławiony za wszystko, po wszystkie wieki wieków. Amen.

ROZDZIAŁ XVIII.

O czwartym stopniu modlitwy. Wysoka godność duszy, do tego stanu podniesionej. Jak dzielna stąd zachęta dla dusz, oddających się modlitwie wewnętrznej, aby usiłowały wznieść się na ten stopień tak wysoki, skoro na tej ziemi osiągniętym być może, nie z własnej wprawdzie zasługi, ale z łaski i dobroci Pańskiej. Przedmiot to bardzo ważny i pilnej uwagi godny.

Niechaj Pan raczy mię nauczyć słów odpowiednich, abym zdołała powiedzieć nieco o czwartej wodzie i czwartym sposobie podlewania ogrodu. Bardzo mi tu potrzebna łaska Jego, więcej jeszcze niż do objaśnienia poprzedniego stopnia. Tam bowiem, w modliwie zjednoczenia, dusza czuje, że nie całkiem

jest umarła, lubo tak ją zwać możemy, bo już umarła światu. Wszakże, jak mówiłam, tyle jeszcze ma władzy nad sobą i przytomności, że wie iż jeszcze jest na świecie, i czuje swoje na tem wygnaniu osierocenie, i jeszcze posługuje się rzeczami zewnętrznemi na wyrażenie tego co czuje, przynajmniej przez znaki. We wszystkich poprzedzających sposobach modlitwy, o których mówiłam, ogrodnik zawsze ma pewną pracę i trud; lubo w tym, o którym mówiłam na ostatku, to jest w modlitwie zjednoczenia, praca ta połączona jest z taką chwałą i pociechą, że dusza radaby pozostać w niej na zawsze; nie pracę więc tu czuje, jedno roskosz. Lecz tu żadnego już nie masz czucia, jedno używanie, chociaż bez zrozumienia tego, czego się używa; pojmuje dusza i rozumie, że używa tu dobra, w którem zawarte są wszelkie dobra, ale dobra tego nie pojmuje. Wszystkie zmysły tak są zajęte tą roskoszą, że żaden już nie ma swobody ani możności zajęcia się czem innem, wewnętrznem czy zewnętrznem. W poprzednich stanach pozostawała im jeszcze władza, jak mówiłam, okazania jakim znakiem tego wielkiego wesela, jakiego doznają; tutaj dusza bez porównania większe ma wesele, a daleko mniej jest zdolną objawić to na zewnątrz; bo i ciało i dusza pozbawione są władzy udzielenia drugim tej roskoszy swojej. Wszelkie zajęcie się zewnętrzne byłoby dla niej w tej chwili przeszkodą wielką i męką, i zakłóceniem pokoju, którym się cieszy; więcej powiem: w tem zupełnem zjednoczeniu wszystkich władz z Bogiem, dusza, póki jest w tym stanie, nie może, chociażby chciała, zająć się niczem innem, a jeśli może, nie jest to już zjednoczenie. Jaka jest istota i jaki sposób tego, jak zwykle je zowią, zjednoczenia, tego wytłómaczyć nie umiem. W teologii mistycznej to objaśniają, ja ani wyrazów nawet, w tej nauce używanych, nie zdołałabym wszystkich wymienić; nie mam żadnego pojęcia o tem, co to jest umysł, ani jaka jest różnica między nim a duszą albo duchem; wszystko to mnie się przedstawia jako jedno i toż samo. Prawda, że dusza niekiedy wychodzi z samej siebie, nakształt ognia, który płonąc, wypuszcza z siebie płomień; niekiedy też siła tego ognia gwałtownie się wzmaga, i płomień bucha wysoko po nad ogień; ale i wtedy płomień ten nie ró-

żni się od ognia, tylko zawsze jest tym samym płomieniem, który jest w ogniu. Wasze Miłości, jako ludzie uczeni, to zrozumiecie, bo ja nic więcej nie potrafię powiedzieć.

To jedno tylko chcę tu objaśnić, co czuje dusza, gdy jest w tym stanie Boskiego zjednoczenia. Zjednoczenie, jak każdemu wiadomo, jest to zejście się dwu rzeczy przedtem rozdzielonych, tak że z dwojga stają się jedno. O Panie mój, jakże wielka jest dobroć twoja! Bądź błogosławiony na wieki; niech Cię chwalą, Boże mój, wszystkie stworzenia, iżeś tak nas umiłował, że z wszelką prawdą możemy mówić o tem obcowaniu, jakie Ty nawet na tem wygnaniu miewasz z duszami; nawet z temi, które są cnotliwe i sprawiedliwe, takie obcowanie twoje wielką jest hojnością i wspaniałomyślnością, hojnością, jednem słowem, godną Ciebie, Panie mój, który, gdy dajesz, dajesz po Bożemu. O szczodrobliwości nieskończona, jakże wspaniałe są sprawy twoje! Zdumiewa się nad niemi ktokolwiek nie zanurzył rozumu swego w sprawach tej ziemi, widząc i uznając, że te prawdy tak przewyższają pojęcie jego, jak gdyby zgoła nie miał rozumu. Lecz, co większa jeszcze, czemu takie królewskie łaski czynisz nawet duszom, które Cię tak ciężko obrażały? Doprawdy, gdy nad tem się zastanawiam, rozum mi ustaje i dalej postąpić nie mogę. Bo i gdzieżbym postąpiła, kiedy każdy krok mój byłby krokiem wstecz, kiedy za takie wielkie łaski nie wiem jakbym Ci miała dziękować? Czasem szukam sobie ulgi, mówiąc niedorzeczności. Nieraz, gdy już przeminą te łaski, albo w chwili gdy Pan zaczyna je na mnie wylewać, — bo w ciągu ich, i dopóki jestem pod władzą ich, niezdolna jestem nic uczynić, — zdarza się, że mówię: Panie, uważaj co robisz, nie puszczaj w zapomnienie tylu wielkich grzechów moich, i kiedy już chciałeś zapomnieć o nich, aby mi je odpuścić, pomnij przynajmniej na nie, błagam Ciebie, aby powściągnąć zbytnią hojność łask twoich. Nie zlewaj, Stwórco mój, tak drogiego płynu do naczynia tak kruchego, boć tyle razy już widziałeś, że go zawsze uronię. Nie składaj takiego skarbu tam, gdzie jeszcze nie jest tak, jakby powinno, umorzone żądze pociech tego życia, które go marnie zmarnuje. Jak możesz obronę tego miasta i klucze tej twierdzy powierzać w ręce ta-

kiego niewalecznego dowódzcy, który za pierwszem podstąpieniem nieprzyjaciela wpuści go w bramę? Nie bądź, o Króla przedwieczny, takim zapamiętałym miłośnikiem, byś miał wydawać na poniewierkę takie kosztowne klejnoty. A prawdziwie, rzecby można, dajesz, Panie, powód do lekceważenia ich, kiedy je oddajesz w moc stworzenia tak niecnotliwego, tak niskiego, tak słabego i nędznego, tak nic nie wartego, które chociażby przy łasce twojej,—a takiej jak ja, nie małej zaiste łaski potrzeba, — usiłowało nie stracić ich, nie jest przecie zdolne udzielić ich komubądź, aby był z nich pożytek: słowem, powierzasz te perły twoje kobiecie, i to jeszcze nie cnotliwej, ale grzesznej. Jakoby nie zakrywasz tylko talenta twoje, kładąc je w ziemię tak zanieczyszczoną, ale je zakopujesz. Nie masz zwyczaju, Panie, takie wielkie rzeczy, takie łaski niesłychane czynić, jedno na to, aby dusza niemi zaszczycona obróciła je na pożytek wielu. Ty wiesz, Boże mój, że wszystką siłą woli mojej i serca mego błagam Cię, jako już nieraz błagałam, i to sobie za prawdziwe dobro poczytuję, byś odjął odemnie to największe dobro, jakie może być na tej ziemi, dał je takim, którzy z niego lepszy uczynią użytek, na pomnożenie chwały twojej. Takie i tym podobne rzeczy zdarzało mi się mówić po wiele razy. Później dopiero widziałam jaki był w tem nierozum mój i brak pokory; boć Pan sam dobrze wie, czego potrzeba, i zna duszę moję, iż nie ma w sobie siły do zapracowania sobie na zbawienie, gdyby jej w Boskiej łaskawości swojej tak wielkiemi łaskami nie umacniał.

Pragnę teraz objaśnić, jakie skutki i łaski pozostawia po sobie to Boskie zjednoczenie, i co może, albo czy może choć w części dusza uczynić co z samej siebie, dla dostąpienia stanu tak wysokiego. Przychodzi to podniesienie ducha, czy zjednoczenie, wraz z miłością niebieską; bo zdaniem mojem, różne jest zjednoczenie od podniesienia, które się zdarza w temże zjednoczeniu. Kto nie zna tych rzeczy z doświadczenia, temu się może wydawać, że tak nie jest; ale w mojem przekonaniu, choć przyznaję, że te dwie rzeczy są jedno, różny przecie jest sposób, w który Pan w nich działa, i w tem podniesieniu czyli locie ducha nierównie większe i skuteczniejsze sprawuje oder-

wanie się duszy od stworzeń. Po tym skutku jej jasno poznałam, że jest to łaska oddzielna, choć w zasadzie, powtarzam, może to być toż samo, albo takiem się zdawać; tak i mały ogień zarówno jest ogniem, jak i wielki; a przecie widoczna jest między niemi różnica. W małym ogniu, długiego potrzeba czasu, nim wrzucony do niego choćby niewielki kawałek żelaza się rozpali; ale w ogniu wielkim, żelazo, choćby bryła jego była dużo większa, bardzo rychło straci jakoby istność swoję, i na pozór samo w ogień się przemieni. Podobna różnica zachodzi, zdaniem mojem, między tym dwojakim rodzajem łaski Pańskiej. Komu kiedy dano było dostąpić zachwycenia, ten łatwo to zrozumie; kto sam tego nie doświadczył, temu się wyda że mówię od rzeczy, i bardzo być może że tak jest. Bo żeby mówiła od rzeczy taka jak ja, gdy waży się mówić o takiej rzeczy, i próbuje choć w części objaśnić to, o czem zdaje się niepodobieństwem powiedzieć choć pierwsze słowo, — niby w tem nie było dziwnego.

Ale mam tę wiarę i ufność, że mi Pan dopomoże: boć wiadomo Boskiej wielmożności Jego, że prócz spełnienia obowiązku posłuszeństwa, inszego w tem pisaniu mojem zamiaru nie mam, jedno ten, że pragnę dusze pociągnąć na przynętę tak wysokiego dobra. Niczego tu nie powiem, czegobym po wiele razy nie była na sobie doświadczyła; a przytem, wyznaję, gdym zaczynała pisać o tej czwartej wodzie, zdawało mi się to zadaniem równie trudnem i niepodobnem, jak gdybym miała mówić po grecku; porzuciłam więc pisanie moje i poszłam do Komunii. Błogosławiony Pan, który tak łaską swoją oświeca ciemnych i nieuków! Błogosławiona cnoto posłuszeństwa! ty wszystko możesz. Bóg oświecił mi rozum, to wyraźnemi słowami, to stawiając mi przed oczy, co i jak mam powiedzieć; snać i tu, tak samo jak to uczynił w objaśnieniu poprzednich stopni modlitwy, sam w Boskiej łaskawości swojej chce powiedzieć to czego ja nie potrafię i nie umiem. Mówię szczerze i prawdziwie, jak jest; zaczem, cokolwiek tu będzie dobrego, będzie to własna nauka Jego; co zaś okaże się złego, będzie to, rzecz jasna, płodem tego morza nędzy, jakiem jestem ja. Mimo to jednak, gdyby były dusze, jak pewno jest ich wiele,

któreby dostąpiły tegoż stopnia modlitwy, którego łaskę Pan tej nędznej darował, i byłaby między niemi taka, któraby, niepewna czy idzie dobrą drogą, chciała w tych rzeczach zasięgnąć rady mojej: pewna tego jestem, i upewniam, że Pan w tej potrzebie przyszedłby w pomoc służebnicy swojej, aby jasno i bez błędu wypowiedziała prawdę Jego.

Mówmyż teraz o tej wodzie, która zstępuje z nieba, dla polania i nasycenia całego ogrodu. Gdyby Pan nigdy, ile razy jej potrzeba, nie zaniechał dawać tej wody, któż tego nie widzi, jakiego odpoczynku używałby wówczas ogrodnik? Gdyby nigdy nie było zimy, tylko czas zawsze letni i umiarkowany, i nigdyby w ogrodzie nie ustawały kwiaty i owoce, któż tego nie widzi, jakaby to była dla niego roskosz i pociecha? Lecz póki tu żyjemy, są to rzeczy niepodobne. Potrzeba tu ciągłej baczności, aby gdy jednej wody zabraknie, postarać się o drugą. Ona woda z nieba częstokroć przychodzi w chwili, kiedy ogrodnik najmniej się jej spodziewa. W początkach wprawdzie przychodzi prawie zawsze po długiej modlitwie wewnętrznej; powoli, ze szczebla na szczebel każe Pan podlatywać tej ptaszynie, aż wreszcie zabiera ją do gniazda, aby odpoczęła; widząc, jako przez długi czas podlatywała, rozumem i wolą i wszystkiemi siłami swemi szukając Boga i starając się Mu spodobać, raczy jej za to dać nagrodę, jeszcze w tem życiu; i o, jaka to wielka nagroda, której jedna chwila starczy na powetowanie wszelkich prac i trudów, jakie dusza ponieść mogła!

Gdy tak jeszcze szuka Boga swego, dusza nagle, z niewypowiedzianą najsłodszą roskoszą czuje, że cała ustaje, w pewnym rodzaju omdlenia; stopniowo oddech jej się zatrzymuje, i wszystka władza w ciele, tak iż i ręki podnieść nie zdoła, chyba z wielką trudnością; oczy jej mimowolnie się zamykają, i choćby je trzymała otwarte, nic niemi nie widzi; choć weźmie książkę do ręki, nie zdoła wymówić ani litery, ani nawet dobrze jej rozpoznać: widzi że ma przed sobą jakieś pismo, ale iż rozum odmawia jej pomocy, nic nie zdoła wyczytać, choćby chciała. Podobnież słyszy, ale nie rozumie tego co słyszy. Słowem, zmysły żadnej jej nie oddają posługi, owszem, są raczej dla niej przeszkodą, iż nie może ich całkiem

uchylić, jakby chciała, dla swobodnego używania wewnętrznej roskoszy swojej. Naprożno próbowałaby mówić, bo nie zdoła złożyć jednego słowa, a choćby zdołała, nie miałaby siły wymówienia go. Wszystka władza zewnętrzna ustaje, a tem bardziej za to wzmaga się wewnętrzna siła duszy, zaczem i lepiej może się cieszyć uwielbieniem swojem. Przytem i zewnętrznie czuje wielką roskosz, która się bardzo widocznie objawia: Nigdy też ten rodzaj modlitwy, jakkolwiekby się przedłużał, nie szkodzi zdrowiu; mnie przynajmniej nigdy nie zaszkodził, i ile razy Pan uczynił mi tę łaskę, nawet w czasach gdy miałam się najgorzej, nie pamiętam bym kiedy po niej czuła się więcej cierpiącą, a nie doznała raczej znacznego polepszenia. Bo i jakże mogłoby złe następstwa sprowadzić tak wielkie dobro? Łaska ta tak widocznie i na zewnątrz skutki swoje objawia, iż niepodobna wątpić o zbawiennem i na ciało działaniu jej: choć do czasu, pod wpływem roskoszy duchownej, odbiera mu władzę, ale mu ją potem bardziej zmocnioną pozostawia.

Prawda że w początkach ten rodzaj modlitwy tak krótko trwa, — tak przynajmniej było ze mną, — że te znaki jej zewnętrzne, i sprawione przez nią zawieszenie zmysłów, nie tak się wyraźnie objawiają, tem samem że tak prędko przechodzą; ale po hojności łask, jakie w duszy pozostawia, łatwo poznać, że wielka musiała być jasność tego słońca, które w niej świeciło, kiedy tak się cała od niego rozpłynęła. Zważmy zresztą, że i najdłuższy termin zostawania duszy w tym stanie zawieszenia wszystkich władz, zawsze, ile mnie wiadomo, bardzo jest krótki: jeśli potrwa pół godziny, to już bardzo dużo; u mnie, jak mi się zdaje, nigdy on nie trwał tak długo. Trudno wprawdzie czuć i zmierzyć, jak długo to trwa, kiedy się wcale nie czuje; ale to pewna, że za każdem takiem ogólnem zawieszeniem władz, po niedługiej bardzo chwili jedna czy druga władza powraca do siebie. Wola jedna utrzymuje nieprzerwany wątek zjednoczenia; ale drugie dwie władze rychło poczynają znowu naprzykrzać się, wola wtedy, trwając w uspokojeniu swojem, na nowo je zawiesza, i tak znowu jakąś chwilę pozostają w zawieszeniu, a potem znowu odżywają. W takich od-

mianach może upłynąć, i nieraz upływa, kilka godzin modlitwy, bo raz zacząwszy upajać się onem Boskiem winem, i smaku jego zakosztowawszy, dwie te władze z łatwością tracą wciąż na nowo własne działanie swoje, dla używania bez porównania większej, niż same z siebie znaleźć mogą, szczęśliwości; i tak przyłączają się do woli, i wspólnie z nią się weselą. Ale to zupełne ich zawieszenie, bez żadnego ku rzeczom obcym zboczenia wyobraźni, — która także, o ile rozumiem, wraz z pamięcią i rozumem ulega tym chwilowym zachwyceniom,— jest to, powtarzam, tylko krótka chwila; chociaż i wracając do siebie, władze te nie tak całkowicie odzyskują przyrodzone swe działanie, by nie mogły godzinami całemi pozostawać jakby odurzone, a Bóg od czasu do czasu znowu je do siebie porywa.

Przejdźmy teraz do wewnętrznej treści tego, co dusza tu czuje; ale to niech powie Ten, który sam wie; bo są to rzeczy, których człowiek nie zdoła pojąć, a tem bardziej wypowiedzieć. Gdy odszedłszy od Komunii świętej, i z tegoż samego stanu modlitwy, który tu opisuję, zabierałam się do tego pisania, i zastanawiałam się nad tem, co dusza w tym stanie czyni, Pan rzekł do mnie te słowa: „Cała się wyzuwa z samej siebie, córko, aby głębiej pogrążyła się we mnie; już nie ona żyje, jedno ja w niej; a iż nie może pojąć tego co rozumie, więc jest to rozumienie bez rozumienia.“ Kto doświadczył, rozumie to poniekąd, bo jaśniej to się wyrazić nie da, tak są ukryte te rzeczy, które się dzieją w tem wewnętrznem zjednoczeniu. To tylko mogłabym dodać: Dusza tu jasno widzi, że jest złączona z Bogiem, i taką tego ma pewność, że żadną miarą nie może nie wierzyć że tak jest. Ustają tu wszystkie władze i tak są w zawieszeniu, że w żaden sposób, jak mówiłam, nie czuć ich działania. Jeśli na chwilę przedtem rozmyślała o jakim przedmiocie, przedmiot ten tak się zaciera w jej pamięci, jak gdyby nigdy o nim nie słyszała; jeśli była przy czytaniu, tego co czytała już nie pamięta, ani się nad tem zastanowić nie zdoła; tak samo niepodobna jej modlić się usty. Słowem, ta ćma uprzykrzona, to jest pamięć, ma tu skrzydła spalone i już latać nie może. Wola snać cała zajęta miłością, ale nie rozumie jakim sposobem miłuje; rozum, jeśli rozumie, nie rozumie

jakim sposobem rozumie, a przynajmniej nic pojąć nie zdoła z tego co rozumie; mnie się zdaje, że nie rozumie, bo jak mówiłam, sam siebie nie rozumie; ja tego zrozumieć nie potrafię. W pierwszych początkach taka była niewiadomość moja, że nie wiedziałam o tem, że Bóg jest obecny we wszystkich stworzeniach; gdy więc na tej modlitwie czułam Go tak obecnym w duszy mojej, zdawało mi się to rzeczą niemożliwą; a jednak niepodobna mi było nie wierzyć, że jest we mnie, tak żywo czułam i tak jasno, zdawało mi się, widziałam obecność Jego. Ludzie nieoświeceni mówili mi, że jest obecnym tylko przez łaskę, ale ja temu nie mogłam dać wiary, bo jak mówię, zdawało mi się, że Go widzę rzeczywiście obecnego; wielkie więc z tego powodu miałam utrapienie. Później dopiero uczony i wielki teolog z zakonu chwalebnego patryarchy świętego Dominika wyzwolił mię od tej wątpliwości, i nauczył mię, że Bóg rzeczywiście jest w nas obecny, i w jaki sposób nam siebie udziela, co bardzo mię pocieszyło.

Zważmy teraz, i dobrze to zrozumiejmy, że ta woda niebieska, ta najwyższa łaska Pańska, zawsze pozostawia w duszy niezmierzone korzyści duchowne, jak to zaraz objaśnię. .

ROZDZIAŁ XIX.

O tem samem ciąg dalszy. Jakie skutki sprawuje w duszy ten stopień modlitwy. Duszom wyniesionym na ten stopień usilnie się zaleca, aby nigdy, chociażby po otrzymaniu tej łaski zdarzyło im się upaść, nie zniechęcały się i modlitwy nie porzucały. Jakie szkody wynikają z takiego zniechęcenia się. Przestroga to ważna i wielka w niej dla ułomnych i grzesznych pociecha.

Po tej modlitwie i tem zjednoczeniu pozostaje w duszy niewypowiedziana rzewność, tak iż radaby się cała rozpłynęła, nie z bólu, ale od łez dziwnie roskosznych i słodkich; spostrzega, że cała jest niemi zalana, choć nie czuła i nie wie kiedy i jak je wylała; widzi tylko z wielką pociechą, że ta woda,

uśmierzając zapał ognia w niej płonącego, zarazem go podsyca; może to komu wyda się arabszczyzną, ale tak jest. Zdarzyło mi się kilka razy, że w chwili tej modlitwy tak byłam odeszła od siebie, iż nie wiedziałam, czy ta chwała, którą czułam siebie ogarnioną, była rzeczywistością czy też snem tylko; ale gdym ujrzała się zalaną łzami, które bez żadnego bólu, ale tak ulewnie i szybko płynęły, iż zdawać się mogło, że nie oczy moje je wypuszczały, jedno on obłok niebieski, poznałam, że nie był to sen. Było to w początkach, kiedy jeszcze te zachwycenia szybko przemijały.

Łaska ta pozostawia w duszy taką wspaniałość serca i męstwo, że gdyby jej ciało dla miłości Boga poszarpano na szmaty, wielkie miałaby z tego wesele. Tu się rodzą bohaterskie obietnice i postanowienia, i gorącość żądz świętych; tu dusza poczyna brzydzić się światem, i jasno widzieć marność jego. Nierównie tu większy jej postęp, nierównie wyższe podniesienie się, niż na poprzednich stopniach modlitwy. Pokora także jest głębsza: bo jasno widzi, że do otrzymania takiej przewyższającej i wspaniałej łaski, w niczem się własnem staraniem nie przyłożyła, że nic uczynić nie mogła ani dla sprowadzenia jej na siebie, ani dla zatrzymania jej. Widzi jasno zupełną niegodność swoję: jak w komnacie, pełnym blaskiem słońca oświeconej, żadna się pajęczyna nie ukryje, tak ona w tej jasności, która ją zalewa, widzi nędzę swoję. Próżne upodobanie w sobie tak jest dalekiem od niej, że prawie nie pojmuje, jakby mogło do niej znaleźć przystęp, bo już ma naoczne przekonanie, jak mało, jak nic z siebie nie może, kiedy tu prawie że nawet zezwolenia nie było z jej strony, ale jakoby poniewolnie zamknięto drzwi do niej wszystkim zmysłom, aby mogła lepiej cieszyć się Panem. Pozostaje z Nim sam na sam; cóż innego ma czynić, jedno miłować Go? Nie widzi, ani nie słyszy, chybaby gwałtu użyła: mała w tem jej zasługa. Potem, w jasnem świetle prawdy staje jej przed oczyma przeszłe życie jej, i wielkie nad nią miłosierdzie Boże, i rozum tu już nie potrzebuje polować na dowody i argumenta, bo ma zostawioną sobie ubitą już i przyprawioną do jedzenia zwierzynę, to jest rzecz od razu gotową do zrozumienia. Widzi sama

z siebie, że zasługuje na piekło, a że za karę dają jej chwałę; rozpływa się w uwielbieniach Boga, jak i ja w tej chwili chciałabym się tak rozpłynąć. Błogosławiony bądź, Panie mój, iż z takiej mętnej kałuży czynisz wodę tak czystą, aby była podana na stół twój! Bądź błogosławiony, o roskoszy Aniołów, iż raczysz tak wywyższać robaka tak podłego!

Błogie te skutki pozostają w duszy przez niejaki czas. Teraz już jasno rozumiejąc, że owoce te, w jej ogrodzie zrodzone, nie są z niej, może zacząć i drugim z nich udzielać, bez ubytku dla siebie. Poczyna zewnętrznemi znakami objawiać, iż chowa w sobie skarby niebieskie; powstaje w niej pragnienie, by i drudzy w nich mieli udział, i błaga Boga, aby nie ona sama była bogatą. Poczyna nieść pożytek duchowny bliźnim, prawie sama o tem nie wiedząc, i nic z siebie nie czyniąc; lecz oni sami go odnoszą, bo już one kwiaty tak słodką wonność wydają, iż nią pociągnieni pragną zbliżyć się do nich. Widzą duszę zbogaconą cnotami, i ponętny widok tych pięknych jej owoców wzbudza w nich żądzę wspólnego z nią pożywania. Jeśli to ziemia głęboko zorana cierpieniem, prześladowaniem, potwarzą, chorobą, — bo bez tego podobno rzadko która dostanie się na tę wysokość; — jeśli jest dobrze spulchniona zupełnem oderwaniem się od względu na samę siebie, woda tak ją na wskróś nasyci, iż prawie nigdy nie wyschnie. Ale jeśli to ziemia jeszcze lgnąca do ziemi, i tak zarosła cierniami, jaką ja byłam z początku, i jeszcze nie oderwana od okazyi, ani tak wdzięczna Panu, jak za tak wielką łaskę należy: ziemię taką na nowo nawiedzi posucha; i jeśli wtedy ogrodnik się opuści, i jeśli Pan, z czystej dobroci swojej, nie raczy jeszcze spuścić deszczu, wówczas ogród można mieć za stracony. Mnie się to kilka razy zdarzyło, i doprawdy, truchleję jeszcze na samo o takiem nieszczęściu wspomnienie; i gdyby nie to, że sama przez to przeszłam, trudnoby mi dać wiarę. Piszę to dla pocieszenia dusz słabych, takich jak moja, aby nigdy nie rozpaczały, i nigdy nie traciły ufności w wielką moc i łaskawość Boską. Chociażby po takiem wywyższeniu, jakiem jest wstąpienie z łaski Pańskiej na ten stopień modlitwy, jeszcze upadły, niechaj nie tracą ducha, jeśli nie chcą zginąć zupełnie.

Łzy to wszystko naprawią: jedna woda sprowadza drugą. Jedną z głównych przyczyn, które mię ośmielają do spełnienia, choć taką jestem, tego co mi kazano, i do pisania o takich rzeczach, jest to nadzieja, że zdając sprawę z niecnotliwego życia mego, i z łask jakie mi uczynił Pan, choć ja Mu nie służyłam, jedno obrażałam Go, duszom mnie podobnym dodam przykładem moim odwagi i ufności; i zaiste, pragnęłabym by tu słowa moje tak wielką miały powagę, iżby nie mogły mi nie uwierzyć; błagam Pana, niech raczy w Boskiej łaskawości swojej to sprawić. Powiadam więc: ktokolwiek zaczął oddawać się modlitwie wewnętrznej, niech się nie zniechęca, mówiąc sobie: Jeśli mimo modlitwy wewnętrznej znów popadam w grzechy moje, dalsze oddawanie się temu świętemu ćwiczeniu jeszcze zwiększy winę moję. Przyznaję że tak byłoby, jeśliby kto porzucił rozmyślanie i nie chciał się poprawić z grzechów swoich; ale kto go nie porzuci, niech będzie pewny, że ono go podźwignie i przywiedzie do portu światłości. Ciężkie mi w tym punkcie diabeł wzniecił nagabanie: tak we mnie wmówił, że grzeszę brakiem pokory, gdy tak niecnotliwą będąc, trzymam się jednak rozmyślania, i taką z tego powodu cierpiałam walkę wewnętrzną, że w końcu, jak już mówiłam, przez półtora roku, albo conajmniej przez rok, bo czy trwało to jeszcze pół roku dłużej, dobrze tego nie pamiętam, zaprzestałam tego świętego ćwiczenia; co nie byłoby dla mnie, i nie było w istocie nic innego, jedno że sama siebie wtrącałam do piekła, nie potrzebując już czartów, żeby mię do niego ciągnęli. O Boże wielki, jakież to było zaślepienie! I jak chytrze zły duch zmierza do celu swego, gdy w ten punkt z taką siłą uderza! Wie on zdrajca, że dusza, która wytrwale trzyma się modlitwy wewnętrznej, dla niego jest stracona, i że wszelkie upadki, do których taką duszę przywiedzie, z łaski Boga tem skuteczniejszą stają się dla niej pobudką i pomocą do gorętszego na potem w służbie Jego zapału.

O mój Jezu! jaki to widok, patrzeć na taką duszę, która, wstąpiwszy na tę wysokość, upadła w grzech, a Ty w miłosierdziu swojem znowu podasz jej rękę i z upadku ją podniesiesz! Jakże jasno poznaje mnóstwo wielmożności i zmiłowania

twego, a głębokość nędzy swojej! Tu prawdziwie kraje się od żalu, tem głębszego, im lepiej widzi nieskończone doskonałości twoje; tu zawstydzona uznaniem niewdzięczności swojej, nie śmie oczu podnieść do Ciebie, aż znowu, w uznaniu nieskończonej nad nią dobroci twojej, podnosi je, aby z oblicza twego wyczytać, jak wiele Ci jest winną; tu ze zdwojoną pobożnością ucieka się do Królowej niebieskiej, aby Cię przyczyną swoją przebłagała; tu wzywa Świętych, tych zwłaszcza, którzy po otrzymanem już od Ciebie wezwaniu, upadli, z ufnością polecając się ich do Ciebie orędownictwu; tu wszystko cokolwiek jej dajesz, uznaje za niepojęty zbytek hojności twojej, bo zna siebie niegodną tego, że jeszcze ziemia ją nosi: przybieganie do Sakramentów, wiara żywa, która w niej pozostała, aby widziała jakby naocznie dzielność nadprzyrodzoną, jaką Bóg w nie włożył, i błogosławienie Ciebie, iżeś nam zostawił takie lekarstwo, taki balsam na rany nasze, który nie tylko je goi, ale i śladu po nich nie zostawia. Zdumienie ją ogarnia na widok takich cudów miłosierdzia twego. I któżby się, Panie duszy mojej, nie zdumiał nad takiem wielkiem miłosierdziem, nad takim nadmiarem łaski, za takie sprosne i ohydne przeniewierstwo? Nie wiem, jak mi się serce nie kraje, gdy to piszę, po tylu niewiernościach moich. Czyżby te nędzne łzy, które tu przed Tobą z łaski Twojej wylewam; które, ile ze mnie jest, są tylko wodą z nieczystej studni czerpaną, miały być dostatecznem dla Ciebie zadośćuczynieniem za tyle zdrad, które Tobie wyrządziłam, wciąż czyniąc źle, i jakby umyślnie psując te łaski, które Ty mi dawałeś. O Panie, Ty sam spraw, aby przed Tobą wartość miały, oczyść tę wodę tak mętną, choćby dla tego tylko, bym nie była drugim pokusą, — jako sama z tego powodu ją miałam, — do sądów zuchwałych, by patrząc na mnie, nie mówili, jak ja sama sobie mówiłam: Czemu, Panie, pomijasz tyle dusz prawdziwie świętych, które zawsze Ci służyły, i dla Ciebie pracowały, i wychowane w zakonie, duchem też zakonnym żyły, nie tak jak ja, która z imienia tylko byłam zakonnicą: a przecie, jak widzę jasno, nie użyczasz im tych łask, jakie mnie uczyniłeś? Dobrze teraz rozumiem, o Dobro moje, dla czego tak czynisz: tamtym, duszom mężnym,

ochotnie Tobie służącym bez względu na zapłatę, obchodząc się z nimi jako z walecznymi i bezinteresownymi rycerzami, zachowujesz ich nagrodę, aby ją całą osiągnęły w niebie; mnie słabą i nieudolną wspierasz temi doczesnemi słodkościami, widząc że nędza moja takiej podpory potrzebuje. Ale mimo to, wiadomo Tobie, Panie, jako często wołałam do Ciebie, uniewinniając tych, którzy przeciwko mnie szemrali, bo zdawało mi się, że aż nadto słuszny do tego powód miały. Było to wówczas, kiedy już mię w dobroci twojej powstrzymywałeś, Panie, abym Cię już tak ciężko nie obrażała, i kiedy ja już zaczynałam uchylać się od wszystkiego, co czułam, że może się Tobie niepodobać; a Ty, zaledwo na tę lepszą drogę wstąpiłam, zaraz począłeś, Panie, otwierać twej służebnicy skarby twoje. Snać tego tylko czekałeś, bym miała dobrą wolę i gotowość do przyjęcia ich, tak prędko potem zacząłeś, nie tylko użyczać mi tych skarbów, ale i jawnem uczynić, że mi ich użyczasz.

Gdy więc te łaski twoje wemnie stały się wiadomemi, poczęto wysokiego nabierać rozumienia o tej, o której przecie nie było wiadomo wszystkim, jak jest złą i nędzną, choć ta nędza jej dość wyraźnie się przebijała. Zarazem jednak poczęły się szemrania i prześladowania, mojem zdaniem, bardzo słuszne; dla tego też do nikogo za to nie miałam urazy, ale owszem błagałam Ciebie, byś raczył mieć na względzie powody, które ich do takich o mnie sądów skłaniały. Mówiono na mnie, że chcę uchodzić za świętą; zarzucano mi, że wymyślam nowości, kiedy mnie wówczas daleko jeszcze było do tego, bym choć regułę moję w zupełności zachowywała, albo bym dorównała tym bardzo dobrym i świętym zakonnicom, które miałyśmy w domu, i nigdy, pewna tego jestem, im nie dorównam, jeśli Ty, Panie, sam tego w dobroci swojej nie sprawisz; ale raczej na to tylko się zdałam, by psuć co było dobrego, a zaprowadzać obyczaje wcale nie dobre; przynajmniej czyniłam co było w mocy mojej, aby je zaprowadzić, a do złego moc miałam nie małą. Słusznie więc i bez żadnej winy, tak o mnie źle sądzono. Nie były to, mówię, same tylko złe zakonnice, ale i osoby postronne; z Twojego dopuszczenia Panie, tak się stało, abym usłyszała od nich prawdy, do których się przedtem nie poczuwałam.

Pewnego razu, będąc, jak niekiedy mi się zdarzało, pod wrażeniem tej pokusy, odmawiałam Godziny kanoniczne. Doszedłszy do tego wiersza Psalmu: „Sprawiedliwyś jest Panie, i prawy sąd twój, poczęłam nad tem rozmyślać, jak wielka to prawda. Bo co do tego, nigdy szatan nie miał mocy kuszenia mię, iżbym kiedy wątpiła o tem, iż w Tobie, Panie, jest zupełność wszelkiego dobra, albo o jakiejbądź innej prawdzie wiary: przeciwnie, im która tajemnica dalej odstępuje od porządku przyrodzonego, tem mocniej w nią wierzyłam, tem głębszą dla niej miałam cześć i nabożeństwo; wszystkie te wspaniałe rzeczy, które uczyniłeś, zawierały się dla mnie w tej jednej prawdzie, że jesteś wszechmogący: o tych rzeczach, powtarzam, nigdy nie wątpiłam. Gdym tedy wówczas rozmyślała nad tem, jak się to godzi ze sprawiedliwością twoją, że mając, jak mówiłam, tych wiernych służebnic twoich, dopuszczasz jednak by zostawały bez tych pociech i łask, które mnie tak niewiernej dawałeś: Ty, Panie, odpowiedziałeś mi: — „Służ ty mnie, a o drugich nie troszcz się.“ Pierwsze to były słowa, które usłyszałam od Ciebie, i pierwszy raz słyszałam Ciebie do mnie mówiącego: zaczem i bardzo przeraziłam się. Mając później objaśnić sposób, w jaki te słowa od Boga słyszyć się dają, i inne rzeczy podobne, tutaj o nich nie mówię, bo odeszłabym od założenia mego; a i tak już, zdaje mi się, bardzo od niego odstąpiłam. Sama prawie nie wiem na czem stanęłam. Musisz Wasza Miłość uzbroić się w cierpliwość, i wybaczyć mi te przerwy nieuniknione; bo gdy widzę tę długomyślność, z jaką Bóg mię znosił, i kiedy teraz widzę siebie w takim stanie, nie dziw że tracę wątek, i nie wiem już co mówię, i o czem mówić mam.

Daj Boże, by zawsze takie tylko były moje zboczenia! Niech tego nie dopuszcza Boski Majestat Jego, bym kiedybądź miała władzę stania Mu się w najmniejszej rzeczy przeciwną; niech raczej w tejże chwili na proch mię zetrze! Na objawienie wielkiego miłosierdzia Jego, dość już tego, że nie raz, ale po wiele razy odpuścił mi tak wielką niewdzięczność moję. Świętemu Piotrowi odpuścił raz, a mnie tyle razy; słusznie też mógł mię kusić szatan, bym nie ważyła się pragnąć ścisłej przyjaźni

z Tym, z którym w tak jawnej żyłam nieprzyjaźni. O! jakież to było zaślepienie moje! A gdzież mogłam znaleźć ratunek i lekarstwo, Panie, jedno u Ciebie? Jakiż to nierozum, uciekać od światła, aby potem co krok potykać się w ciemności! Jakąż to pokorę, tak zuchwale pyszną, wynalazł we mnie szatan, bym zaprzestała opierać się na tym filarze, na tej łasce modlitwy wewnętrznej, która jedna mogła podtrzymać mię, i uchronić od tak ciężkiego upadku! Dziś jeszcze na to wspomnienie żegnam się przerażona, i nie sądzę, bym kiedy w życiu mojem przebyła tak groźne niebezpieczeństwo, jak wonczas gdy zły duch zwodził mię tym zdradzieckim, pod pozorem pokory, wynalazkiem swoim. Podsuwał mi takie myśli: Jakże to stworzenie tak niecnotliwe, pomimo tylu łask mu użyczonych, śmie porywać się na modlitwę bogomyślną? Dość tobie odmawiać modlitwy obowiązkowe, pospołu z drugiemi; i kiedy tego nawet nie czynisz dobrze, zkąd tobie ta śmiałość, że chcesz czynić coś więcej? Czyż nie jest to brak uszanowania, i lekceważenie łask Boskich? — Dobrzeć było mieć myśli takie, i uznawać niegodność swoję; ale zamienienie ich w czyn przez porzucenie modlitwy, było złem największem. Bądź błogosławiony, Panie, że tak mię z tego złego uleczyłeś! Taki sam, zdaje mi się, był początek pokusy, którą diabeł zgubił Judasza; tylko że ze mną zdrajca nie śmiał poczynać sobie tak otwarcie; ale powoli i skrycie byłby i ze mną doszedł do tego, czego dokazał z Judaszem. Niechaj, na miłość Boga, dobrze to zważą wszyscy, ilu ich się oddaje modlitwie wewnętrznej. Niech wiedzą, że w czasie kiedy jej zaniedbywałam, życie moje było bez porównania gorsze niż przedtem i niech z tego wnoszą, jakie to dobre lekarstwo podawał mi szatan, i jaki pożyteczny rodzaj pokory, który sprawował we mnie tylko dojmujący niepokój! Po i jakże dusza moja miała znaleźć pokój? Oddalała się nieszczęsna od Tego, który sam był jej odpocznieniem, wciąż mając przed oczyma otrzymane od Niego dary i łaski, a czując przytem całą ckliwość pociech tego świata. Dziwuję się samej sobie, jak mogłam to wytrzymać. Utrzymywała mię zapewne nadzieja pomyślnej odmiany; bo nigdy, — o ile teraz pamiętać mogę, po upływie, zdaje się, więcej niż dwu[illegible] istu

i jednego roku, — nie miałam myśli porzucenia modlitwy wewnętrznej na zawsze; trwałam owszem zawsze w postanowieniu wrócenia do niej, tylko czekałam ażbym miała duszę zupełnie czystą od grzechu. O, jakże błędną szłam drogą, uwodząc się tą nadzieją! Aż do dnia sądnego byłby mię szatan nią łudził, aby potem od trybunału Pańskiego pociągnął mię do piekła. Bo jeśli przedtem, pilnując modlitwy i czytania, i czerpiąc z nich światło do poznania prawdy, i grzesznej drogi, którą szłam, i łzami memi po wiele razy naprzykrzając się Panu, tak przecie byłam niecnotliwa i zwyciężyć siebie nie umiałam: czegoż dopiero, odstąpiwszy od rozmyślania, oddając się przytem rozrywkom, w których wiele miałam okazyj do złego, a mało pomocy do dobrego, — czyli raczej, śmiem twierdzić, pomocy żadnej, chyba taką tylko, która mi pomagała do grzechu, — czego mówię, mogłam się spodziewać, jedno tego co mię istotnie, jak wyżej opowiedziałam, spotkało? Wielką, mniemam, ma zasługę przed Bogiem, on brat z zakonu św. Dominika [1]), wielki uczony i teolog, który mię z tego snu przebudził. On to, jak zdaje mi się już mówiłam, kazał mi przystępować do Komunii co dwa tygodnie; odtąd złe zaczęło się umniejszać; zaczęłam głębiej wchodzić w siebie, choć jeszcze przytem nie przestawałam obrażać Pana. Lecz będąc już na dobrej drodze, choć drobne kroki stawiając, to upadając, to znowu się podnosząc, zawsze jednak szłam; a kto nie zatrzymuje się w drodze i stale postępuje naprzód, ten w końcu, choćby powoli, dojdzie do kresu. Zejść z dobrej drogi, nie jest to według mnie nic innego, jedno zaniechać modlitwy. Bóg, w nieskończonem miłosierdziu swojem, niech nas od tego uchowa.

Z tego się okazuje, i niechaj każdy, na miłość Boga, dobrze to zważy, że wszelka dusza, chociażby już stanęła na tym stopniu, i wielkie łaski na modlitwie od Boga otrzymywała, może jeszcze upaść; a więc niechaj nie ufa samej sobie, i niechaj żadną miarą nie naraża się na okazye. Jest to przestroga bardzo ważna i wszelkiego zastanowienia godna; bo zdrada, jaką tu potem szatan może podejść duszę, w tem właśnie się

[1]) Wspomniany już wyżej, r. IV i VII, O. Wincenty Baron.

ukrywa, że jakkolwiek łaska jej użyczona prawdziwie jest od Boga, on przecie zdrajca samąż tę łaskę, o ile zdoła, do celów swoich wyzyskać usiłuje, i łatwo tym podstępem swoim może oszukać dusze, jeszcze nie utwierdzone w cnocie, i w umartwieniu, i w wyrzeczeniu się samych siebie, a zatem, jakkolwiekby gorące miały żądze i mężne czyniły postanowienia, nie posiadające jeszcze tej mocy ducha, jakiej potrzeba, aby się, jak to w dalszym ciągu objaśnię, bezpiecznie wystawiać mogły na okazye i niebezpieczeństwa. Jest to bardzo wysoka nauka, nie moja, ale podana od Boga, który właśnie dla tej ważności jej tego chciał, aby ją znały takie nawet ciemne głowy, jak moja. Chociażby więc, powtarzam, dusza już była w tym wysokim stanie, niechaj nie ufa sobie, niech się samowolnie nie zrywa do walki, dość będzie jeśli potrafi się obronić. Do tej obrony potrzeba jej będzie użyć wszystkiej zbroi swojej, a tej siły, by zdołała sama wszczynać walkę z czartami, i kłaść ich pod nogi swoje, jaką mają ci, którzy doszli do stanu, o którym później mówić będę, ona jeszcze nie posiada. To jest sidło na które zły duch łowi duszę: dusza ta, widząc siebie tak blizko złączoną z Bogiem, widząc różnicę dóbr niebieskich od tych dóbr ziemskich, widząc miłość jaką Pan jej wyświadcza, z miłości tej bierze sobie powód do ufności i bezpiecznej pewności, iż nigdy nie wypadnie z tej szczęśliwości, którą obecnie się cieszy. Zdaje jej się, że jasno już stoi przed nią nagroda wiekuista, że zatem niepodobna, by mogła kiedy jeszcze tę szczęśliwość, której smak już w tem życiu tak słodko i roskosznie odczuwa, porzucić dla rzeczy tak niskiej i szpetnej, jaką jest lubość i roskosz ziemska; pod zasłoną tej ufności, diabeł jej wykrada z serca niskie rozumienie, jakie powinna mieć o samej sobie; zaczem, jak mówiłam, zaczyna siebie wystawiać na niebezpieczeństwa, i choć w dobrej myśli i z czystej gorliwości, szafować bez miary owocami ogrodu swego, w tem przekonaniu że o siebie już nie ma czego się obawiać. Nie czyni tego przez pychę; dobrze to rozumie, że sama z siebie nic nie może, tylko taką ma wielką ufność w Bogu, ale bez należnej roztropności, nie pomnąc na to, że ptaszynie jeszcze pierze nie porosło; może wychylić się z gniazda, i Bóg sam ją z niego

podnosi, ale jeszcze nie ma skrzydeł do latania, bo cnoty jej jeszcze nie są mocno ugruntowane, i doświadczenia jej brak, aby umiała poznać się na niebezpieczeństwach, i wiedziała jaką szkodę jej wyrządza ufanie w samej sobie.

I dla mnie ta zbytnia ufność w sobie była przyczyną ruiny. Bardzo więc w tym stanie, jak i w każdym innym, potrzeba przewodnika i zasięgania rady osób duchownych. Ale i Pan, w Boskiej łaskawości swojej, takiej duszy, którą już wyniósł do tego stanu, nie przestanie, mocno w to wierzę, obdarzać łaskami swemi, i nie dopuści jej [illegible] chybaby ona całkiem Go opuściła. Wszakże, jeśliby upa[illegible], niech patrzy, na miłość Pana Jezusa, niech patrzy, aby nie dała się oszukać kusicielowi, który ją będzie namawiał do porzucenia modlitwy wewnętrznej, jak mię oszukał pozorem onym fałszywej pokory, o czem choć już wyżej mówiłam, radabym po wiele razy to powtarzać. Niech ufa w dobroć Boga, która jest większa niż wszystkie złości, jakich możemy się dopuścić, i nie pomni na niewdzięczność naszę, jak tylko my, uznawszy winę naszę, pragniemy wrócić do łaski i przyjaźni Jego; ani pomni na łaski których nam użyczał, aby nas karał za złe użycie ich; ale raczej łaski te skłaniają Go do tem skorszego odpuszczenia nam, jako dawnym domownikom swoim, którzy, jak mówi się pospolicie, jedli chleba ze stołu Jego. Niech pomni ta dusza na słowa Jego, niech się przypatrzy temu miłosierdziu, jakie okazał nademną, której prędzej sprzykrzyło się obrażać Go, niż Jego łaskawości sprzykrzyło się odpuszczać mi. Nigdy ręka Jego nie ustaje w dawaniu, nigdy nie mogą się wyczerpać zdroje miłosierdzia Jego. Nie ustawajmyż i my w przyjmowaniu darów Jego. Niech będzie błogosławiony na wieki. Amen, i niech Go chwali wszystko stworzenie Jego.

ROZDZIAŁ XX.

O zachwyceniu. Czem się różni od zjednoczenia. Co to jest zachwycenie. Nieco o pożytkach, jakie dusza odnosi, gdy Pan raczy ją podnieść do tego stanu. Jakie skutki sprawuje zachwycenie.

Chciałabym teraz, jeśli przy pomocy Boskiej potrafię, objaśnić różnicę zachodzącą między zjednoczeniem a zachwyceniem, czyli, jak je jeszcze zowią, podniesieniem czyli wzlotem ducha, albo ekstazą, bo wszystkie te różne nazwy jednoż oznaczają. Stan ten o wiele przewyższa zjednoczenie: sprawuje skutki nierównie znaczniejsze, i ma nadto inne jeszcze, własne swoje działania. Zjednoczenie, i w początku swoim, i w środku, i na końcu, działa, rzec można, tylko wewnętrznie; ten drugi stan zaś, w różnych kształtach i stopniach swoich, ponieważ jest porządku wyższego, działa nietylko wewnętrznie ale i zewnętrznie. Niechaj Pan sam raczy to objaśnić, jak objaśnił rzeczy poprzednie; bo gdyby Boska Jego łaskawość nie była mię nauczyła sposobu dania o tych rzeczach niejakiego pojęcia, ja z pewnością nie potrafiłabym.

Zważmyż tedy, że ta czwarta woda, o której na ostatku mówiłam, płynie tak obficie, że gdyby nie to, że ta ziemia nie zdołałaby znieść takiej szczęśliwości, moglibyśmy sądzić, że już tu, na tem wygnaniu, jest w pośrodku nas on wielki obłok Boskiej wielmożności, z którego ta woda wynika. Gdy więc za tak wielkie dobro oddajemy Mu wszystką wdzięczność, na jaką się zdobyć zdołamy, i czynem z niem wedle możności naszej współdziałamy, Pan jakoby natychmiast przyciąga duszę do siebie, podobnie jak chmury ściągają mgły i wyziewy tej ziemi, i całą ją od ziemi podnosi, i w obłoku chwały swojej porywa ją z sobą aż do nieba, i poczyna jej objawiać wspaniałości królestwa, które jej przygotował. Nie wiem, czy to porównanie jest trafne, ale to wiem prawdziwie, że rzecz w taki sposób się odbywa.

W tych zachwyceniach dusza jakoby już nie żyje w ciele; czuje owszem bardzo wyraźnie stopniowe stygnienie ciepła przyrodzonego, chociaż niewypowiedzianej doznaje z tego słod-

kości i roskoszy. Tu już niema sposobu oprzeć się, jak to jeszcze jest możebnem w zjednoczeniu, gdzie stojąc jeszcze na gruncie własnym, prawie zawsze, choć z trudnością i wysileniem, możemy się sprzeciwić pociągowi Bożemu. Tu przeciwnie, najczęściej żadnego nie masz sposobu; często, bez żadnej uprzedniej myśli ni przygotowania, z nienacka przychodzi na cię pęd tak szybki a silny, że widzisz i czujesz jak on obłok, albo on orzeł wspaniały wzbija się wzgórę, i ciebie na skrzydłach swoich porywa. Widzisz, mówię, i czujesz się porwanym, a nie wiesz dokąd; dla tego też porwanie to, jakkolwiek roskoszne, z początku przeraża przyrodzoną ułomność naszę, i potrzeba tu, więcej niż na tamtych stopniach, o których przedtem mówiłam, duszy odważnej i mężnej, aby była gotowa na wszystko, cokolwiekby przyjść miało, gotowa oddać się w ręce Boga, i iść kędykolwiek zechce cię ponieść; bo choćbyś nie chciał, będziesz poniesiony z siłą niepowstrzymaną. Ja, bojąc się w tem jakiego złudzenia czy zdrady, bardzo często, czy to na osobności, czy zwłaszcza gdy mi się to zdarzało w obecności drugich, chciałam się oprzeć i z wszystkich sił moich się opierałam. Czasem, z wielkiem wycieńczeniem sił, udało mi się niejaki opór stawić; byłam potem cała złamana, jakby po walce z olbrzymem ogromnym; czasem znowu, i częściej, opór wszelki był daremny; dusza wznosiła się w górę, prawie zawsze i głowa szła za nią, nie dając się żadną miarą zatrzymać, czasem i całe ciało, tak iż już nie dotykało ziemi. To jednak zdarzało się rzadko. Raz mi się to przytrafiło, gdyśmy wszystkie były zgromadzone w chórze, i w chwili gdy już klękałam dla przyjęcia Komunii; niezmierne z tego powodu miałam zmartwienie, rozumiejąc to dobrze, że rzecz tak nadzwyczajna musi zaraz nabrać wielkiego rozgłosu; dla tego też przykazałam zakonnicom, — bo stało się to niedawno temu, już od czasu jak sprawuję urząd przeoryszy, — aby nikomu o tem nie mówiły. W inszych razach jednak, mianowicie raz, gdy w główne nasze święto zakonne [1]) kilka pań wysokiego rodu było na kazaniu, choć za pierwszą poznaką, że Pan zno-

[1]) W uroczystość św. Józefa.

wu chce uczynić ze mną toż samo, rzuciłam się krzyżem na ziemię, i siostry przybiegły do mnie, usiłując mię przytrzymać, obecni przecie spostrzegli, co się ze mną dzieje. Gorąco zatem poczęłam błagać Pana, aby raczył już nie użyczać mi takich łask, które się na zewnątrz objawiają; bo już byłam znużoną tą ciągłą uwagą na siebie, do której one mię zmuszały, a łaski tej nie mógł mi Pan użyczyć, by tem samem nie wyszła na jaw. Zdaje mi się, że w łaskawości swojej raczył mię wysłuchać, bo od tego czasu nigdy już to mi się nie zdarzyło; prawda że to jeszcze niedawno temu.

Prawdę mówię, że ile razy chciałam tym zachwyceniom opór stawić, czułam zawsze pod nogami siłę jakąś, podnoszącą mię, tak potężną, że nie wiem z czem ją porównać: działała ona z nierównie większą gwałtownością, niż się to zdarzyć może w najsilniejszych nawet poruszeniach duchownych; zostawałam potem jakby złamana, bo jest to walka straszna, a w końcu, w obec woli Pańskiej, daremna; nie masz siły przeciw sile Jego.

Niekiedy znowu Pan raczy poprzestać na tem, że nam da uczuć, iż chce nam użyczyć tej łaski, a przyjęcie jej pozostawia nam do woli; jeśli wówczas opieramy jej się przez pokorę, sprawuje ona też same skutki, jak gdybyśmy się na nią rzeczywiście zgodzili. A są to skutki wielkie. Pierwszy jest ten, że objawia się nam tu wszechwładna moc Pańska, i jako nie jest w możności naszej, nietylko duszę, ale i ciało, gdy taka jest Boska wola Jego, utrzymać w naszem władaniu, i jako wbrew wszelkim oporom naszym, nie jesteśmy panami siebie, ale uznać musimy, iż jest nad nami Pan wyższy, że z Jego ręki te łaski pochodzą, że sami z siebie nic tu zgoła nie możemy: a wszystko to głęboką przenika pokorą. Z początku, wyznaję, strach miałam bardzo wielki; bo i któżby się nie przeraził, czując że ciało jego podnosi się od ziemi? Choć podnosi je dusza, i roskosz przytem czuje wielką, o ile nie stawiamy oporu, nie odchodzi przecie od zmysłów; ja przynajmniej do tyla zachowywałam przytomność, że czułam iż jestem podnoszoną. Tak się tu objawia Majestat Tego, który mocen jest takie rzeczy czynić, iż z przerażenia włosy się jeżą na głowie,

i duszę głęboko przenika bojaźń obrażenia Boga tak wielkiego. Ale bojaźń ta obleka się w miłość najgorętszą, jeszcze bardziej tu się potęgującą na widok tej miłości nieskończonej, z jaką Bóg do tego stopnia zniża się do takiego robaka zgniłego, iż nie dość Mu tak potężnie podnosić do siebie duszę, ale jakoby pociąga do siebie i ciało to śmiertelne, ten sprosny muł, tylu grzechami zmazany.

Drugim skutkiem, jaki pozostawia po sobie zachwycenie, jest oderwanie się tak dziwne, iż brak mi wyrazów na określenie jego. Mogę tylko, zdaje mi się, zaznaczyć różnicę jego od tego oderwania się, jakie sprawują łaski czysto duchowne: jest ono tu większe; tam zupełne to oderwanie się od wszelkich rzeczy stworzonych jest tylko w duchu i w sercu; tu Pan jakoby żąda, aby i ciało czynny w niem udział miało; powstaje z tego nowy rodzaj zniechęcenia do rzeczy tej ziemi, skutkiem którego życie to doczesne jeszcze cięższem i przykrzejszem się wydaje.

Z tego potem rodzi się cierpienie wewnętrzne, jakiego sami ani przywołać do siebie, ani, gdy przyjdzie, oddalić nie zdołamy. Chciałabym bardzo określić dokładnie to bolesne cierpienie, ale snać nie potrafię; powiem więc choć tyle ile potrafię. Nasamprzód winnam zaznaczyć, że ten stan niewypowiedzianego cierpienia jest moim stanem obecnym, o wiele późniejszym od wszystkich widzeń i objawień, o których jeszcze mam mówić, a zatem i od tego czasu, kiedy stale już przestrzegając modlitwy wewnętrznej, tyle na niej od Pana otrzymywałam łask i pociech duchownych. I teraz wprawdzie Pan niekiedy mi ich użycza; najczęściej jednak, i niemal ustawicznie, doznaję tego cierpienia, które teraz opisać zamierzam. Cierpienie to bywa większe albo mniejsze; tu chcę mówić o większem. Jakkolwiek z wielkim bólem były połączone te gwałtowne porywy, które, jak o tem powiem w dalszym ciągu, na mnie przychodziły, gdy podobało się Panu zsyłać mi zachwycenia, nie sądzę przecie bym bardzo przesadzała, gdy powiem, że ból on nie mniej się różni od tego cierpienia, o którem tu mówię, niż rzecz grubo cielesna od rzeczy wysoko duchowej. Bo on ból, jak mi się zdaje, choć go czuje dusza, czuje

go pospołu z ciałem, oboje w nim rzec można uczestniczą, i nie masz tu tego zupełnego i ostatecznego opuszczenia, jakie towarzyszy temu drugiemu cierpieniu. Wywołanie tego cierpienia jak już mówiłam, nie od nas zależy często przychodzi ono znagła i niespodziane, powstaje w duszy sama nie wie zkąd i jak żądza jakaś nieopisana i w mgnieniu oka całą duszę przenika zaczem pod wpływem tej żądzy dusza tak poczyna tęsknić i boleć, iż wznosi się wysoko nad samą siebie, i nad wszystkie rzeczy stworzone, wtedy Bóg ją przenosi w puszczę tak głęboką i takie od wszystkich stworzeń opuszczone, że chociażby chciała i silła się nie znalazłaby żadnego, któreby jej towarzystwa dotrzymało, ale i sama też niczyjego towarzystwa nie pragnie, chciałaby tylko umrzeć w tem osamotnieniu. Choć do niej mówią, choćby sama, czyniąc sobie wszelki możliwy gwałt, usiłowała przemówić, mało to pomoże, bo duch jej, cokolwiekby czyniła nie opuszcza onej samotności. A Bóg, choć wówczas zdaje jej się że jest bardzo daleko, nieraz przecie objawia jej wielmożności swoje w sposób zgoła nadzwyczajny i przewyższający wszelkie pojęcie nasze tem bardziej nie masz słów na wypowiedzenie tych rzeczy, i nikt, jak sądzę nie uwierzy ani zrozumie tego, jedno kto sam doświadczył. Wysokie te objawienia nie mają na celu pocieszenia duszy, ale ukazanie jej jak słusznie smuci się z oddalenia swego od tego Dobra, które zawiera w sobie wszelkie dobra.

Od tych widzeń i objawień coraz bardziej rośnie w duszy gorącość żądzy jej i gorzkie uczucie tej zupełnej samotności swojej która sprawuje jej ból tak wytworny i przenikliwy, że dosłownie, zdaje mi się, może wśród tej puszczy, która ją otacza, zastosować do siebie tę skargę królewskiego Proroka, — który snać, pisząc te słowa, w takiejże samej znajdował się samotności, tylko że jako Święty, musiał ją z łaski Pana czuć w sposób nierównie jeszcze dotkliwszy: „Vigilavi, et factus sum sicut passer solitarius in tecto“ [1]). Wiersz ten, w takich chwilach żywo mi staje na myśli, jakobym widziała w sobie wszystko, co się w nim wyraża; i jest to dla mnie pociechą gdy

[1]) „Czuwałem, i stałem się jako wróbel samotny na dachu“. Ps. 101, 8.

widzę, że i inni doznawali w sobie dojmującego bólu tego zupełnego osamotnienia, tem bardziej że tacy Święci. Rzeczywiście, w tym stanie dusza, rzekłbyś, już nie mieszka w samej sobie, jedno na dachu czyli na szczycie własnej istności swojej, wysoko ponad wszystkiem stworzeniem; owszem, wyżej jeszcze, rzekłabym, mieszka, jeszcze ponad samymże szczytem wnętrza swego.

Czasem znowu dusza czuje siebie jakby pogrążona w ostatecznem ubóstwie i ogołoceniu, i mówi do siebie, i pyta samej siebie: „Gdzież jest Bóg twój?“ [1]). Nadmienię przytem, że pierwej, odmawiając je po łacinie, nie rozumiałam dobrze znaczenia tych wierszy; gdy więc potem w onem objawieniu je zrozumiałam, ucieszyłam się bardzo, widząc, że Pan sam przywodził mi je na pamięć, bez żadnego z mojej strony przyłożenia się. Nieraz także wspominałam na to, co mówi św. Paweł, iż jest „ukrzyżowany światu“ [2]). Nie mówię, by te słowa do mnie się mogły stosować, owszem, widzę dobrze że jest przeciwnie; ale sądzę że w takim stanie jest dusza, gdy ani z nieba nie przychodzi jej żadna pociecha, i jeszcze nie jest w niebie, ani od ziemi żadnej pociechy nie żąda, i sercem już nie jest na ziemi, i tak zawieszona jest jakby na krzyżu między niebem a ziemią, i cierpi bez żadnej ani ztąd ani zowąd pomocy. Bo to co jej przychodzi z nieba, — to jest, jak mówiłam, poznanie Boga tak przedziwne, że przewyższa o wiele wszelkie możliwe żądze nasze, — jest dla niej tem większą męką, tak w niej podniecając żądzę posiadania Go, że nieraz z wielkiego bólu odchodzi od zmysłów, chociaż ten skutek krótko trwa. Ból ten, rzecby można, równa się przedśmiertnemu konaniu; tylko że z tem konaniem idzie w parze tak wielkie uszczęśliwienie, że nie wiem z czembym mogła je porównać. Jest to męczeństwo srogie zarazem i roskoszne. Cokolwiek może się przedstawić duszy z pociech ziemskich, choćby i takie rzeczy, które przedtem zwykły były wydawać jej się najprzyjemniejszemi, wszystko to teraz ckliwość jej sprawia, wszystko to, rzekłbyś, natychmiast zrzuca. Czuje to dobrze, że niczego nie chce, jedno

[1]) Ps. 41, 8. — [2]) Gal. 6, 14.

Boga swego; nie miłuje w Nim tej czy drugiej poszczególnie doskonałości Jego, ale chce Go całego, a nie wie tego, czego chce. Nie wie, mówię, bo wyobraźnia niczego jej tu nie przedstawia; a przytem, jak mi się zdaje, przez znaczną część czasu, jaki zostaje w tym stanie, władze pozostają bezczynne; jak w zjednoczeniu i w zachwyceniu radość używania, tak tu trzyma je w zawieszeniu ból cierpienia.

O Jezu! ktoby zdołał dokładnie to opisać, jakbym chciała opisać Waszej Miłości, choćby tylko dla tego, byś mi wytłómaczył, co to jest, bo jest to stan, w którym dusza moja teraz ciągle pozostaje. Najczęściej, jak tylko się ujrzy wolną od zajęć, przychodzą na nią te uciski śmiertelne, a ona drży z początku na przyjście ich, bo wie że od nich nie umrze; lecz gdy już znajdzie się w tym stanie konania, chciałaby cierpić je, jak długo starczy jej życia. Jest to wszakże ból tak niezmiernie srogi, że ledwo człowiek zdoła go znieść; nieraz też puls prawie zupełnie mi ustaje, jak mówią te z pomiędzy sióstr, które zwykle wtedy mną się zajmują, i już się lepiej znają na tych objawach; i kości ze stawów wychodzą, i ręce tak drętwieją, iż nieraz ich złożyć nie mogę; i nazajutrz jeszcze taki mi ból pozostaje w nerwach i w całem ciele, jak gdybym wszystkie członki miała rozbite i stargane. Nieraz myślę, że jeśli dalej tak pójdzie, zakończy się to z woli i łaski Pańskiej zakończeniem życia; bo jest to męka tak wielka, że dosyć jej na zadanie śmierci, tylko że ja takiej łaski nie jestem godna. Jedyną w tym stanie żądzą moją jest to, bym mogła umrzeć; nie pomnę wówczas ani na czyściec, ani na wielkie grzechy moje, za które należałoby mi się piekło; wszystko to znika mi w pamięci, przed onem wielkiem pragnieniem oglądania Boga; i puszcza ona i samotność milszą się wydaje duszy i pożądańszą, niż wszelkie towarzystwa na świecie. To jedno mogłoby jej dać niejaką pociechę, gdyby miała możność zwierzenia się takiej duszy, którąby sama przez tę mękę przechodziła; ale widzi, że jakkolwiekby się chciała pożalić, nikogo snać nie znajdzie, ktoby jej uwierzył.

Z tego powodu innego znowu nieraz rodzaju mękę cierpi. Czasem ból jej do tego stopnia się wzmaga, że nie chciałaby

już, jak przedtem, samotności, nie chciałaby również towarzystwa; chciałaby tylko mieć kogo, komuby się poskarżyć mogła. Podobna jest wonczas do skazańca, który już ma stryczek na szyi, i już się dusi, a chciałby zachwycić powietrza. Pragnienie to towarzystwa jest, jak sądzę, skutkiem ułomności naszej: bo iż ta męka grozi śmiercią, — a że tak jest istotnie, o tem sama świadczyć mogę, gdyż nieraz byłam zagrożona tem niebezpieczeństwem, w onych strasznych niemocach i przejściach, o których wyżej mówiłam, i śmiało, zdaje mi się, mogę twierdzić, że jest to niebezpieczeństwo równie wielkie i śmiertelne, jak wszelka najgroźniejsza choroba: — przetoż przyrodzony wstręt duszy do rozłączenia się z ciałem sprawuje to, że prosi o ratunek, aby jak on skazaniec, odetchnąć mogła i zachwycić powietrza, i w rozmowie, i w poskarżeniu się, i w rozerwaniu myśli, szuka sposobu ocalenia życia swego; w czem wręcz się sprzeciwia pragnieniu ducha, czyli wyższej części duszy, która owszem nie chce wyzwolenia z tej męki.

Nie wiem czy wyrażam się trafnie, albo czy umiałam oddać to co mam na myśli; ale zdaje mi się na pewno, że taki a nie inny bywa przebieg rzeczy. Osądź teraz sam Wasza Miłość, jakiego pokoju mogę używać w tem życiu, kiedy ten który miałam na modlitwie i samotności, i w pociechach jakich mi Pan tam użyczał, teraz najczęściej obraca mi się w tę właśnie mękę; ale ta męka tak jest słodka, i dusza tak rozumie jej cenę, że przenosi ją nad wszelkie słodkości, jakich przedtem używała. Droga ta wydaje jej się bezpieczniejszą, bo jest to droga krzyża, i szczęście, jakie się w niej znajduje, bardzo wysoką, zdaniem mojem, ma cenę, bo ciało w niem żadnego nie ma udziału; ciało uczestniczy tylko w cierpieniu, a dusza, choć nie sama cierpi, sama przecie tylko cieszy się roskoszą i weselem, jakie jej to cierpienie sprawuje. Nie wiem jak to być może, ale wiem że tak jest; i nie zamieniłabym tej łaski, którą Pan tu mi czyni, — bo z ręki Jego ona pochodzi, i żadną miarą, jak już mówiłam, sama jej sobie nabyć nie mogłam, gdyż jest to łaska jawnie nadprzyrodzona, — na wszelkie inne, o których jeszcze mówić będę; nie na wszystkie razem, mówię, ale na żadną z nich, wziętą poosobno. I proszę pamiętać, że

te porywy i zachwycenia przyszły, jak mówię, po łaskach od Pana mi uczynionych, jakie przedtem opisałam, i po wszystkiem co dalej jeszcze opiszę w tej księdze, i że ten jest stan, w którym Pan mię trzyma obecnie.

Ponieważ z początku byłam przerażona tą nieznaną mi jeszcze łaską, — jak to i w ogóle bywa ze mną za każdą łaską, której Pan mi użyczy, aż w dalszym jej ciągu Boska łaskawość Jego mię uspokoi, — Pan rzekł do mnie bym się nie bała, ale w większej cenie miała tę łaskę, nad wszelkie inne, które mi już był uczynił; że w tem cierpieniu dusza się oczyszcza, i obrabia się i przepala jak złoto w ogniu, aby łatwiej na niej się przyjął i piękniej wystąpił szmelc Boskich darów Jego, i że tem cierpieniem oczyszcza się z tego, za coby miała cierpieć w czyścu. Czułam to dobrze, jak wielka to łaska, ale powyższe słowa Pańskie dużo większej dodały mi pewności, i spowiednik także upewnia mię, że jest to sprawa Boża. W rzeczy samej, choć bałam się tej łaski, z uwagi na wielką niegodziwość moję, nigdybym nie zdołała uwierzyć, by to była sprawa złego; bałam się tylko niesłychanej wielkości tej łaski, pomnąc jak mało na nią zasłużyłam. Niech będzie błogosławiony Pan, za taką niepojętą dobroć swoję, Amen. Widzę, żem odstąpiła od założenia mego, bo zaczęłam była mówić o zachwyceniach, a to, co tu opisałam, jest czemś więcej niż zachwyceniem; dla tego też takie po sobie skutki pozostawia.

Wracając teraz do zachwyceń, wymienię tu zwykłe objawy i skutki ich. Naprzód, ciało moje w tym stanie często stawało się tak lekkiem, jak gdyby zgoła było straciło przyrodzoną ciężkość swoję, dochodziło to nieraz do takiego stopnia że prawie już nie czułam, by nogi moje dotykały ziemi. Dalej, dopóki trwa zachwycenie, ciało pozostaje jakby martwe, niezdolne najczęściej do najmniejszego ruchu, i w jakim stanie pochwyci je zachwycenie, w takim pozostaje do końca, czy stojące czy siedzące, czy z rękoma otwartemi czy skurczonemi. Czucie i przytomność rzadko kiedy zanikają, choć kilka razy zdarzyło mi się żem je całkiem straciła; ale stan zwyczajny jest ten, że w zmysłach powstaje pewien odmęt i zamięszanie, i mimo zupełną bezwładność do ruchów zewnętrznych,

czuje się jednak i słyszy, tylko jakby szmer zdaleka dochodzący. W chwilach przecie kiedy zachwycenie dochodzi do szczytu, to jest, kiedy władze gubią się w zupełnem zjednoczeniu z Bogiem, nic się już, jak mi się zdaje, nie widzi, ani słyszy, ani rozumie, ale jak wyżej powiedziałam, mówiąc o modlitwie zjednoczenia, to całkowite przemienienie duszy w Bogu krótko trwa; wszakże, dopóki trwa, żadna z władz nie ma świadomości samej siebie, ani nie wie co się tam dzieje. Snać tak być powinno, byśmy, póki żyjemy na niemi, nie rozumieli tajemnic niebieskich, i nie byli zdolnymi zrozumienia ich: Bóg przynajmniej nie chce nam dać tego zrozumienia. Doświadczyłam tego na samej sobie.

Zapyta mię tu może Wasza Miłość, jakim sposobem zachwycenie przedłuża się nieraz całemi godzinami? Co do mnie, tak się to najczęściej dzieje: podobnie jak mówiłam wyżej o zjednoczeniu, zachwycenie nie trwa bezustannie, dusza cieszy się niem tylko przerwami: chwilami cała zanurza się w Panu, czyli właściwiej mówiąc, Pan ją zanurza w sobie, i tak ją trzyma krótki czas, a potem samą już tylko wolę zatrzymuje przy sobie. Drugie dwie władze tymczasem w ciągłym są ruchu, podobne do wskazówki na kompasie, która się nigdy nie zatrzymuje, ale Słońce sprawiedliwości, gdy zechce, każe im stanąć. To zachwycenie wszystkich władz, jak mówię, trwa krótką chwilę, ale skutkiem wielkiej siły, z jaką duch został porwany i podniesiony, wola, jakkolwiek tamte dwie władze znowu zaczynają się szamotać, pozostaje zanurzona w Bogu, i jako pani wszechwładna sprawuje działanie swoje w ciele; bo jakkolwiek niespokojne one dwie władze, z nieprzyjaciół jej najmniejsze, choć zakłócić jej pokój, nie zakłócą go przecie zmysły: sama je trzyma w zawieszeniu, bo tak się podoba Panu. Zaczem po większej części oczy pozostają zamknięte, choćbyśmy ich nie zamykali umyślnie; a jeśli kiedy otworzą się, nie rozróżniają przecie, jak już mówiłam, ani spostrzegają tego co widzą. Ciało w tym stanie nie zgoła samo z siebie działać nie może; ztąd też, gdy drugie dwie władze znów się z wolą połączą, mniejszą z niem trudność mają. Niechaj więc, komu Pan użyczy tej łaski, nie trapi się tem, gdy ujrzy ciało swoje tak godzinami

całemi spętane, a rozum i pamięć co chwila roztargnione. W rzeczy samej te roztargnienia ich zwykle na tem się zasadzają, że całe są jakby napojone zapałem do wysławiania Pana, albo że usiłują pojąć i zrozumieć co się w nich stało; choć i do tego nie mają dostatecznej przytomności, bo są jakoby człowiek, co po długiem spaniu i snach całonocnych nie całkiem jeszcze zdołał się przebudzić.

Rozwodzę się tak szeroko nad tym przedmiotem, bo wiem że są obecnie, i tu na miejscu [1]), dusze, którym Pan te łaski czyni. Jeśli zaś ci, którzy niemi kierują, nie przechodzili sami przez te stany, a zwłaszcza jeśli nie mają nauki, mogą wyobrażać sobie, że osoba w zachwyceniu koniecznie powinna być jakby martwa; żal się Boże, co taka dusza ma do cierpienia od spowiednika swego, jeśli ten jej i stanu jej nie rozumie, jak o tem później mówić będę. Być może, że sama nie wiem co mówię; Wasza Miłość osądzi, czy choć w części trafnie się wyrażam, bo Pan ci dał doświadczyć tych rzeczy; lubo doświadczając ich jeszcze od niedawnego czasu, być może że nie przypatrzyłeś się im jeszcze tak dokładnie, jak ja.

Długo też potem, wbrew wszelkiemu z sobą mocowaniu się, brak mi w ciele sił do swobodnego poruszania się: dusza je wszystkie z sobą zabrała. Często znowu, schorzałe przedtem i dojmującemi nękane boleściami, ciało z zachwycenia wychodzi zdrowe i sposobniejsze do pracy, i tak objawia się i na niem wielkość daru, jaki otrzymała dusza; bo jak już mówiłam, tak się nieraz podoba Panu, aby jako już jest posłusznem na rozkazy duszy, tak też wspólnie z nią szczęściem jej się cieszyło. Za powrotem duszy do siebie zdarza się, jeśli zachwycenie było wielkie, że władze jej jeszcze dzień, lub dwa, albo i trzy, tak pozostają zatopione albo jakoby upojone, jak gdyby jeszcze przytomności nie miały.

Tu zaczyna się ciężkość i męka dla duszy, że musi znowu wrócić do życia. Już ptaszyna urosła, i pierwszy meszek z niej opadł; już jej skrzydła urosły do wysokiego wzlotu. Tu już całą rozwija i wysoko zatyka chorągiew Chrystusową: tu

[1]) To jest w klasztorze w Awili.

ELLICOTT CITY, MARYLAND

on chorąży, przełożony nad twierdzą, wstępuje czy podniesiony jest na najwyższą wieżę, i tam rozwija sztandar w obronie sprawy Bożej. Ztamtąd spogląda na tych, którzy są w dole, jako ten który stanął na bezpiecznem miejscu, i już się nie boi niebezpieczeństw, owszem raczej ich pragnie, iż ma sobie daną od Boga jakoby niezawodną pewność zwycięztwa. Widzi z tej wysokości, jak mało cenić się powinny wszystkie rzeczy ziemskie, i jako wszystkie są niczem. Kto stoi wysoko, daleko widzi i szeroki ogarnia okiem widokrąg. Już nie chce chcieć czego innego, ani mieć innej woli, jedno tę, by czynił wolę Pańską; i o to Go błaga, i w ręce Jego składa klucze woli swojej. Oto więc ogrodnik zarazem chorążym i obrońcą twierdzy: niczego już czynić nie chce, jedno wolę Pana; nie chce już być panem siebie, ani niczego, ani najmniejszego owocu z ogrodu tego; ale cokolwiek w nim jest dobrego, wszystko to oddaje Panu, aby On tem szafował wedle upodobania swego; niczego nie chce mieć własnego, jedno by wszystkiem Pan rozrządzał na chwałę swoję i według woli swojej. Wszystko to prawdziwie i rzeczywiście tak jest, i tak się dzieje, jeśli zachwycenie jest prawdziwe: prawdziwie i rzeczywiście pozostają po niem w duszy opisane tu skutki i pożytki; gdyby ich nie było, mocną miałabym wątpliwość, czy to zachwycenie od Boga; raczej obawiałabym się, czy to nie pochwycenie od czarta i „wścieklizna“ ona, o której mówi święty Wincenty (Ferreriusz) [1]). Co do mnie, wiem z własnego doświadczenia i jakoby na oczy to widziałam, że po jednej godzinie, i mniej, takiego zachwycenia, dusza pozostaje panią wyższą nad wszystko stworzenie, i tak swobodną i wolną, że nie poznaje samej siebie. Widzi dobrze, że to nie z niej samej, ani wie jak jej przyszło takie wielkie dobro; ale to wie i jasno widzi, że każde takie

---

[1]) „Et scias pro certo, quod major pars raptuum, imo *rabierum* nuntiorum Antichristi venit per istum modum: — miej za rzecz pewną, że wszelkie zachwycenia, czyli raczej rozwścieczenia posłów Antychrysta, po większej części w taki sposób powstają“.—S. Vinc. Ferr. *Tract. Vitae spirit.* c. XII. — Ś. Teresa używa tu gry słów własnego utworu dla dobitniejszego oddania myśli Świętego, którego przytacza, z wyrazu *arrobamiento*, zachwycenie, tworzy nieistniejący w mowie hiszpańskiej wyraz *rabiamento*, wścieklizna.

nawiedzenie Pańskie taką niegarnioną korzyść na nią sprowadza. Nikt temu nie da wiary, kto sam przez to nie przeszedł; nie wierzą też biednej duszy, którą przedtem widzieli tak grzeszną, a teraz, tak prędko, zrywa się ona do rzeczy boskich; bo nagle i od razu taka w niej stała się zmiana, że jej już nie dość służyć Bogu miernie, i w rzeczach zwyczajnych, ale chce dla Niego czynić rzeczy, jak zdoła największe. Poczytują jej to za pokusę i szaleństwo. Gdyby chcieli zrozumieć, że wszystko to nie od niej pochodzi, jedno od Pana, któremu już oddała klucze woli swojej, ustałoby ich zdziwienie. Jestem mocno przekonana, że dusza, gdy dojdzie do tego stanu, nie już nie mówi ani czyni z samej siebie, ale o wszystkiem co uczynić ma, on Król najwyższy ma pieczę. O Boże! jakże tu jasny widzimy wykład tych słów Psalmisty, i jaki słuszny powód miał Królewski Prorok gdy prosił Boga, i bo dyby wszyscy za nim tak prosili, o skrzydła gołębicy [1]. Jasno tu widać ten wzlot z ducha poczęty, którym dusza, dążąc do Boga, wznosi się nad wszystko stworzenie, a nasamprzód nad samą siebie, ale jest to wzlot słodki, wzlot roskoszny, wzlot cichy.

Jakież to panowanie ma w ręku swojem dusza, którą Pan na tę wysokość podniesie, skąd widzi przed sobą wszystkie rzeczy stworzone, a żadna jej już nadłić nie może! Jakże się wstydzi tego czasu, w którym się do nich przywiązywała! Jakże się dziwi zaślepieniu swemu! Jak lituje się nad tymi, którzy jeszcze tą ślepotą są zarażeni, zwłaszcza jeśli to dusze oddające się modlitwie bogomyślnej i otrzymujące dary i pociechy od Boga! Chciałaby wołać na nie w głos, aby je ostrzedz, że są w błędzie nieraz też tak czyni, za co potem spadają jej na głowę tysięczne prześladowania. Poczytują jej to za brak pokory, obwiniają ją ze chce uczyć tych, od którychby się sama uczyć powinna, zwłaszcza jeśli to kobieta. I słusznie ją tu potępiają, bo nie widzą ani nie znają tego zachwytu Bożego, który ją porywa, iż nieraz oprzeć mu się nie zdoła, i niepodobna jej nie ostrzedz i nie wywodzić z błędu tych, którym

[1] Ps. 54, 6.

dobrze życzy, i chciałaby ich widzieć wyzwolonych z ciemnicy tego życia, bo życie zmysłowe niczem innem nie jest jedno ciemnicą, i taką ono jej się przedstawia, zwłaszcza że sama przedtem w niej leżała spętana.

Żałuje tego czasu, kiedy dbała o punkt honoru, i tego błędu jakim się uwodziła, poczytując za honor to, co świat zowie honorem; teraz widzi że jest to ogromne kłamstwo, i że wszyscy w niem się obracamy. Rozumie teraz, że prawdziwy honor nie zasadza się na kłamstwie, jedno na prawdzie, poczytując za cóś to, co jest czemś, a za nic to, co jest niczem; a niczem jest, i mniej niż niczem, wszystko cokolwiek się kończy, i co się nie podoba Bogu. Śmieje się sama z siebie, że był czas, kiedy przywiązywała jaką wagę do pieniędzy, i pożądania ich; lubo w tym punkcie sądzę, i tak jest, że nigdy nie dopuściła się winy; dość było tej winy, że im przyznawała niejaką cenę. Gdyby za pieniądze można kupić to dobro, które teraz widzę w sobie, wysokobym je poważała; ale widzę, że dobra tego nabywa się wyrzeczeniem się wszystkiego.

Jakież to rzeczy kupujemy sobie za te pieniądze, których pożądamy? Czy to rzeczy mające wartość? Czy to rzeczy trwałe? I po co tych rzeczy pragniemy? Zadowolnienia w nich szukamy, ale jakże ono posępne i jak drogo kosztuje! Częstokroć za pieniądze kupujemy sobie piekło, i nabawiamy się za nie ognia nieugaszonego i karania bez końca. O, gdyby wszyscy zechcieli uznać, że to tylko błoto na nic nieprzydatne, jakażby zgoda i jaki pokój zapanowały na świecie, jakie życie bez troski! Jaką życzliwość i przyjaźń nieśliby wszyscy jeden drugiemu, gdyby znikły z oblicza ziemi te zabiegi o honor i pieniądze! Sądzę, że to jedno byłoby skutecznem lekarstwem na wszystko złe na świecie.

Widzi dusza w Bogu żyjąca, jako wielkie jest zaślepienie w roskoszach, jakich niemi nabywa się już w tem życiu cierpień i udręczeń. Jaki niepokój! jaki niesmak! jakie trudzenie się na próżno! A w samej sobie, gdy w tej światłości Bożej przegląda wnętrze swoje, dusza widzi nietylko pajęczyny wielkich przewinień, ale i każdy, choćby najdrobniejszy pyłek; bo słońce świeci w niej bardzo jasno; i jakkolwiekby ta dusza

pracowała nad udoskonaleniem siebie, skoro to słońce na prawdę ją ogarnie, widzi w sobie same męty. Podobnie jak woda w naczyniu, póki słońce jej nie dosięga, zdaje się zupełnie czysta i jasna; ale skoro na nią padnie promień słoneczny, pokazuje się, że w niej pełno pływa żyjątek. Porównanie to dosłownie przypada do rzeczy: przedtem, nim dusza dostąpi tych zachwyceń, zdaje jej się, że czuwa i stara się, aby nie obraziła Boga, i że wedle sił swoich czyni co może; lecz gdy dojdzie do tej światłości, którą oświeca ją ono Słońce sprawiedliwości, i otwiera jej oczy, tyle widzi w sobie mętów, iż radaby napowrót oczy zamknąć. Bo jeszcze nie jest tak nieodrodnem orlęciem onego orła wspaniałego, iżby zdołała patrzyć okiem niezmrużonem w to słońce; ale siebie, skoro na chwilę oczy otworzy, widzi całą zamuloną. Przychodzą jej wówczas na pamięć te słowa Psalmu: Kto będzie sprawiedliwym w obliczu twojem? [1]) Gdy spojrzy na to Boskie słońce, jasność jego olśniewa ją; gdy spojrzy na siebie, muł przesłania jej oczy, i ślepnie biedna gołębica. Owszem, bardzo często jej się to zdarza, że pozostaje tak zupełnie oślepiona, pochłonięta, przerażona, zapamiętała, w obec tych wielmożności, które ogląda. Tu nabywa prawdziwej pokory, tak iż zupełnie już dla niej obojętną jest rzeczą, mówić dobrze o samej sobie, albo słyszyć drugich ją chwalących. Pan ogrodu, nie ona, szafuje owocami ogrodu; do jej ręku nic z nich nie przylgnie; cokolwiek ma dobrego, wszystko to odsyła do Pana; jeśli kiedy mówi o sobie, czyni to dla chwały Jego. Wie, że w tym ogrodzie nic nie masz, coby do niej należało; i choćby chciała, nie może o tem nie wiedzieć, bo jawnie, na własne oczy to widzi; i cokolwiekby czyniła, i choćby się opierała. Bóg jakby przemocą zamyka jej oczy na rzeczy tego świata, aby miała je otwarte dla ujrzenia i poznania prawdy.

[1]) Ps. 142, 2.

ROZDZIAŁ XXI.

Jeszcze o tym ostatnim stopniu modlitwy, dalszy ciąg i zakończenie. Cierpienia duszy, na ten stopień wyniesionej, a zmuszonej wrócić znowu do życia na świecie. Jakiem światłem Pan ją oświeca ku poznaniu obłudnych ponęt świata.

Kończąc co zaczęłam mówić o tym przedmiocie, dodam jeszcze, że zgodzenie się duszy nie jest tu potrzebne. Zgodziła się z góry na wszystko; wie że dobrowolnie oddała się w ręce Pana, i że Go oszukać nie może, bo On wie wszystko. Nie jest to taki stosunek, jaki bywa na tym świecie, gdzie wszystko życie pełne jest fałszu i obłudy: sądzisz żeś już pozyskał sobie czyją życzliwość, jak on sam ci się z nią oświadcza, aż niebawem przekonywasz się, że wszystko to było kłamstwem. Trudno doprawdy żyć wśród takich szalbierstw i matactw, zwłaszcza jeśli jeszcze przyplącze się do tego choć w najmniejszej części własny interes. Błogosławiona ta dusza, którą Pan porywa do siebie, aby poznała prawdę! O, jakiż to byłby szczęśliwy stan dla królów! Jakże o wiele pożyteczniej byłoby im, starać się o dojście do niego, niż myśleć o nowych zdobyczach i rozszerzeniu panowania swego! Jaką sprawiedliwością i dobrym rządem cieszyłoby się królestwo! Iluby nieszczęściom się zapobiegło, ile już klęsk tacy królowie byliby oszczędzili światu! Na tym szczycie stanąwszy, już się człowiek nie lęka, i życie i cześć postradać dla miłości Boga. Jakie to wielkie błogosławieństwo, gdy tak złączony jest z Bogiem ten, który więcej niż wszyscy poddani jego obowiązany jest mieć na celu chwałę Pańską, ponieważ winien królewski przykład dawać tym, którzy podlegają rozkazom jego! Za jedno w najmniejszym punkcie rozszerzenie wiary, za jedno choć w części jakiej oświecenie heretyków, gotówby tysiąc razy królestwo swoje utracić; i słusznie: bo z większym niezrównanie, niż taka strata, zyskiem nabyłby za to królestwa, które nie ma końca, którego szczęśliwości gdy choć jednę kroplę dusza zakosztuje, wszystkie

rzeczy tego świata jej brzydną. Cóż dopiero będzie, gdy cała się zanurzy w tych zdrojach błogosławionych? O Panie, gdybyś mi był użyczył takiej mądrości i siły, bym umiała głosem wielkim oznajmiać wszystkim te rzeczy, chociażby mi nie uwierzyli, tak jak nie wierzą wielu innym, którzy inaczej i lepiej niż ja wyrazić to umieją, mnie przynajmniej i gorącej żądzy mojej stałoby się zadość. Życie samo, zdaje mi się, oddałabym w ofierze, gdybym mogła choć jednę z tych prawd podać ludziom do zrozumienia. Nie wiem wprawdzie, cobym uczyniła, gdyby przyszło do tego, bo ufać sobie nie mogę; wszakże, choć taką jestem, tak wielki czuję w sobie zapał do wypowiedzenia tego tym, którzy mi pisać kazali, że od gwałtowności jego prawie życie we mnie ustaje. Nic więcej uczynić nie zdołając, do Ciebie, Panie, się zwracam, prosząc o pomoc i ratunek na to wszystko. Ty wiesz, Panie, że ochotnem sercem wyrzekłabym się tych łask, które mi uczyniłeś, — bylebym pozostała w stanie łaski twojej i Ciebie nie obrażała, — a ustąpiłabym ich królom; bo wiem że niepodobna, by wówczas pozwalali na wiele rzeczy, na które teraz pozwalają, i by za otrzymaniem takich łask, największe dobra na nich nie spłynęły. O Boże mój! daj im zrozumienie obowiązków swoich, i co Tobie są winni, kiedy tak ich wywyższyłeś, iż nie tylko za życia chcesz aby wyobrażali na tej ziemi wielmożność twoję, ale i śmierć niejednego z nich, jak słyszałam, znakami z nieba wsławiłeś, o czem nie mogę wspomnieć bez pobożnego wzruszenia; snać oznajmiasz im tym sposobem, Królu mój, jak dalece powinni Cię naśladować w życiu swojem, kiedy samąż śmierć ich podobnemi poniekąd zaznaczasz znakami z nieba, jakie się działy, gdyś Ty umierał. Wielka może śmiałość moja, że się poważam takie rzeczy mówić; jeśli Wasza Miłość tak sądzisz, podrzyj com napisała; ale bądź tego pewnym, że gdybym mogła stanąć im na oczy i gdybym mogła się spodziewać że mię usłuchają, więcej jeszcze i śmielej mówiłabym do nich; bo bardzo gorąco Bogu ich polecam, i pragnęłabym aby Bóg mię wysłuchał, chociażby kosztem ofiary życia mego, co byłoby małą stratą wzamian za zysk wielki; i tak często wielka mię ogarnia tęsknota do śmierci. Bo i komuż nie przykrzyłoby się

to życie, gdy widzi na oczy te wielkie zmamienia i ułudy, w jakie tu chodzimy uwikłami, i tę ciężką ślepotę, która nam oczy zasłania?

Dusza, gdy stanie na tej wysokości, nie tylko pragnie wielkie rzeczy czynić dla Boga, ale i siły nabywa z Boskiej łaskawości Jego, aby pragnienia swoje do skutku przywieść mogła. Nie masz rzeczy którejby, skoro uzna w niej sposób usłużenia Bogu, od razu się nie chwyciła; a przecie, wszystko to czyniąc, w przekonaniu swojem nic nie czyni, bo jak mówiłam, jasno to widzi, że prócz jednego spodobania się Bogu, wszystko inne jest niczem. Co najboleśniejsza, to że takim stworzeniom niepożytecznym, jakiem ja jestem, nie nadarzają się podobne sposobności do uczynienia czegoś dla chwały i upodobania Bożego. Zlituj się nademną, Boże mój! niech przecie kiedy przyjdzie ten czas, bym zdołała Ci spłacić choć jaki grosz z tego wielkiego długu, który Ci jestem winna. Sam zrządź, o Panie, jak zechcesz, i podaj sposób, aby Ci w czemkolwiek usłużyć mogła ta służebnica twoja. Byłyć takie, podobnie jak ja, niewiasty, a działały dla miłości twojej czyny bohaterskie; ja nic więcej nie umiem, tylko mówić, i dla tego nie chcesz, Boże mój, użyć mnie do czynu; wszystka służba moja kończy się na słowach i pragnieniach; a i do nich nie mam śmiałości i swobody, bo może nie umiałabym żadnego z nich wykonać. Umocnij Ty duszę moję, i uczyń ją naprzód sposobną, o Dobro nad wszelkie dobra, o Jezu mój! a potem rychło zrządź sposoby, jakobym mogła co uczynić dla Ciebie, bym już nie cierpiała tej ciągłej męki, że tyle biorę, a nic w zamian nie oddaję. Cokolwiekby mię kosztować miało, nie dopuszczaj bym dalej tak stała przed Tobą z rękami próżnemi, boć taka będzie zapłata, jakie były uczynki. Oto masz życie moje, oto masz cześć moję, oto masz wolę moję: wszystko Tobie oddałam, Twoja jestem, rozporządzaj mną wedle woli twojej. Znam-ci dobrze, Panie mój, nieudolność moję; z Tobą złączona, podniesiona na tę wysoką wieżę, z której widzi się prawdę, wszystko zdołam uczynić, póki Ty ze mną jesteś; lecz jeślibyś mię, choć na chwilę tylko opuścił, pójdę znowu tą drogą, którą szłam, drogą wiodącą do piekła.

O, co się dzieje w duszy, gdy z tego szczytu, na którym siebie widzi postawioną, musi znowu wrócić do powszednich spraw i rozmów ludzkich, być świadkiem i widzem niepocieszonej komedyi tego życia, tracić czas na zaspakajanie potrzeb ciała, na jedzenie, na spanie! Wszystko to jej cięży, radaby uciekła od wszystkiego, a widzi siebie okutą w kajdany i zatrzymaną w więzieniu; czuje wtedy naprawdę niewolę, w jakiej nas trzyma ciało, i nędzę tego życia. Rozumie, jak słusznie Paweł święty błagał Boga o wyzwolenie z tej niewoli; woła z Apostołem i prosi Boga, aby ją wybawił z ciała tej śmierci [1]); lubo to sprzykrzenie sobie życia i nędz jego powstaje, jak nieraz mówiłam, już i na poprzednich stopniach modlitwy, tu przecie nabiera ono takiej siły i gwałtowności, iż dusza, rzekłbyś, rada wyskoczyłaby z ciała, dla zdobycia sobie tej wolności, na którą jeszcze jej nie puszczają. Żyje jakby zaprzedana w niewolę na ziemi obcej; a co najwięcej ją boli, to że mało znajduje takich, którzyby z nią cierpieli nad tem wygnaniem, i pragnęli wyzwolenia; przeciwnie, prawie wszyscy kochają to życie, i pragną żyć jak najdłużej. O, gdybyśmy umieli nie przywiązywać się do niczego, i nie pokładać zadowolnienia swego w rzeczach ziemskich, jak mocno wówczas bolelibyśmy nad tem oddaleniem od Boga, w jakiem tu żyjemy, jak skutecznie pożądanie wesela i życia prawdziwego uśmierzałoby w nas strach śmierci! Nieraz się nad tem zastanawiam: jeśli ja, taka nędzna, przy tak oziębłej miłości mojej, przy tak niepewnej, gdyż nań nie zasłużyłam uczynkiem, nadziei onego prawdziwego wesela w wieczności, przecie dzięki temu światłu, którego Pan mi użyczył, tak mocno częstokroć cierpię nad tem, że jeszcze zatrzymana jestem na tem wygnaniu; cóż dopiero czuć muszą i jak boleć Święci? Co musiało się dziać w duszy ś. Pawła, i Magdaleny, i innych im podobnych, w których tak potężnie płonął on ogień miłości Bożej? Musiało to być jedno nieustające męczeństwo. Jedyną, zdaje mi się, rzeczą, która mi przynosi niejaką ulgę i ochłodę, jest obcowanie z duszami, w których podobnież znajdę pragnienia; pragnienia, mó-

[1]) Rzym. 7, 24.

wię, objawiające się w uczynkach; w uczynkach, powtarzam: bo są i takie, którym się zdaje, że są oderwane od wszystkiego, i za takie się podają, i w rzeczy samej takiemiby być powinny, jak tego wymaga stan ich, i długie lata, które niejednej z nich już upłynęły, odkąd pierwsze zrobiła kroki na drodze doskonałości: ale dusza na tym stopniu, o którym tu mówię, z Bogiem złączona, od razu i zdaleka poznaje, które z nich to doskonałe wyrzeczenie się wszystkiego mają tylko na ustach i w słowach, a które słowa swoje już stwierdziły uczynkiem, bo dobrze widzi słaby postęp tamtych, a wielkie postępy tych drugich; kto ma doświadczenie w tych rzeczach, jasno to widzi, i z łatwością rozpozna.

Mówiłam o skutkach, jakie sprawują zachwycenia, jeśli są z ducha Bożego. Skutki te wprawdzie mogą być większe albo mniejsze. Mniejsze bywają w początkach: bo choć i wówczas skutki te są rzeczywiste i też same, ale iż jeszcze nie są stwierdzone uczynkiem, dusza ich jeszcze w sobie nie doświadcza, i sama o tem nie wie, że je posiada. Doskonałość rośnie stopniowo: nim dusza dojdzie do zupełnej czystości wewnętrznej, i zatrze wszelkie ślady pajęczyn, które ją szpeciły, musi koniecznie upłynąć nieco czasu; a w miarę jak rośnie w niej miłość i pokora, coraz też większą woń te kwiaty cnót jej i dla niej i dla drugich wydają. Ale prawda i to, że jednem już zachwyceniem Pan takie może w duszy zdziałać skutki, iż mało już z jej strony pozostanie do uczynienia, aby osiągnęła doskonałość; bo tej hojności łask, jakie Pan tu wylewa na dusze, nikt nie zrozumie ani uwierzy, kto tego sam nie doświadczył; są to rzeczy, których, zdaniem mojem, żadną, choćby największą pilnością naszą, osiągnąć nie zdołamy. Nie mówię by dusza, przy pomocy łaski Boskiej i własnej długoletniej usilności, idąc coraz wyżej stopniami wskazanemi przez tych, którzy pisali o modlitwie wewnętrznej, o początkach i dalszych postępach jej, nie mogła, choć z trudem wielkim, dojść do doskonałości i wysokiego oderwania się od rzeczy tego świata: ale nie tak w krótkim czasie, i tak bez żadnego naszego przyczynienia się, jak to Pan czyni tutaj, stanowczo i ostatecznie odrywając duszę od ziemi, i dając jej panowanie nad wszystkiem

co na niej jest, chociażby, — co wiele znaczy, i więcej nad to już powiedzieć nie zdołam, — chociażby, mówię, w tej duszy nie było większej zasługi, niż było w mojej, a moja zasługa była prawie żadna. Dla czego tak czyni Boski Majestat Jego? dla tego że tak chce, i jako chce, tak czyni, i chociażby dusza nie była przysposobiona, On ją przysposobi, aby zdołała przyjąć te skarby, które jej dać postanowił. Tak więc nie zawsze daje te skarby sposobem nagrody tym, którzy na nie zasłużyli, pilnie uprawiając swój ogród: chociaż, kto dobrze chodzi około tej roboty, i szczerze stara się oderwać się od rzeczy ziemskich, temu Pan, rzecz pewna, nie omieszka tych darów swoich użyczyć; ale niekiedy, jak mówiłam, podoba się woli Jego okazać wielmożność swoję nad ziemią choćby najgorszą, i uczynić ją sposobną do wszystkiego dobrego, tak iż staje się już, rzekłbyś, jakoby niezdolną wrócić się jeszcze do grzechów, któremi przedtem Boga obrażała.

Umysł w tym stanie tak ma sposobny i nawykły do rozumienia tego, co samą jest prawdą, że wszystko inne wydaje jej się fraszką dziecinną. Nieraz śmieje się w sobie, gdy widzi ludzi poważnych, żyjących w zakonie, oddanych modlitwie wewnętrznej, a przecie przywiązujących jeszcze wielką wagę do punktów honoru, które ona już zdeptała nogami. Wymaga tego, mówią, rozsądek, i powaga ich stanowiska, aby na niem mogli działać z pożytkiem: a ona wie o tem z wszelką pewnością, że gdyby zechcieli tę powagę stanowiska swego dla miłości Bożej na bok odłożyć, więcejby zdziałali pożytku w jeden dzień, niż go z tą powagą swoją zdziałają w dziesięć lat.

Dusza w tym stanie żyje w ustawicznych cierpieniach, i ciągle nosi krzyż, ale ciągle też dziwne czyni postępy; gdy tym, którzy na nią patrzą, zdaje się, że już doszła do szczytu doskonałości, ona po krótkim czasie stanie jeszcze wyżej, bo Bóg wciąż coraz większych łask jej użycza. Bóg jest duszą jej; On wziął ją w swoję pieczę, On i przyświeca jej; ciągle jakoby stoi przy boku jej, strzegąc jej, aby Go nie obraziła, przymnażając jej łaski i pobudzając ją aby Mu służyła. Gdy dusza moja dostąpiła tego szczęścia, że Bóg jej tę tak wielką łaskę uczynił, w tejże chwili ustały duchowne niedomagania moje;

Bóg dodał mi siły do powstania z nich; znalezienie się w okazyach lub towarzystwach, które mi dawniej czyniły roztargnienie, tak już na mnie żadnego nie wywierało wpływu, jak gdyby dla mnie zgoła nie istniały; owszem, co przedtem mi szkodziło, to teraz stało mi się pomocą ku dobremu; wszystko mi służyło za pobudkę i środek do lepszego poznania Boga, i miłowania Go, i uznania, ile Mu jestem winna, i żalu serdecznego za przeszłe życie moje. Rozumiałam dobrze, że wszystko to nie pochodziło ze mnie, ani nie było własnym moim nabytkiem i własnego starania mego owocem, bo nawet i czasu jeszcze na to nie miałam; Bóg, sam z siebie i z samej tylko łaskawości swojej, dał mi taką siłę. I od pierwszej chwili, jak Pan zaczął mi użyczać tej łaski zachwyceń, aż dotąd, siła ta wciąż się we mnie wzmagała, i dobroć Jego trzymała mię za rękę, abym się nie cofnęła wstecz: i zdaje mi się, i tak jest, że nic jakoby nie czynię sama z siebie, jedno widzę jasno, że Pan jest który wszystko we mnie działa. Stąd też sądzę, że dusza, gdy dostąpi tych łask od Pana, jeśli jedno trwa w pokorze i w bojaźni, i w tem niezmiennem przekonaniu, że On sam wszystko w nas sprawuje, a my jakoby nic: — że, mówię, taka dusza, może bezpiecznie znaleźć się w jakiembądź towarzystwie, choćby najbardziej światowem i niepobożnem, a nic jej ono nie zaszkodzi, ani w niczem nie zachwieje; owszem raczej, jak mówiłam, będzie jej pomocnem, i nowego jej doda bodźca do wyższego postępu. Są to już dusze mocne, wybrane od Pana dla pożytku drugich; lecz moc ta, powtarzam, nie z nich samych pochodzi: raz podniósłszy duszę do tego stanu, Pan jej stopniowo coraz głębsze odkrywa tajemnice. Tu w tych zachwyceniach udzielają się duszy objawienia prawd Boskich, i łaski szczególne i widzenia; a wszystko to służy jej ku głębszemu utwierdzeniu się w pokorze i nabraniu coraz większej siły, aby umiała za nic mieć te rzeczy doczesne, a coraz jaśniej poznawać wielkość nagrody, którą Pan trzyma pogotowiu dla tych, którzy Mu służą. Niechże w Boskiej łaskawości swojej raczy to sprawić, aby ta hojność niesłychana, jaką okazał nade mną nędzną grzesznicą, była w czemkolwiek na pożytek

drugim: aby którzy to czytać będą, zdobywali się na siłę i męstwo potrzebne do ochotnego porzucenia wszystkiego dla Boga. Kiedy tak wspaniałe Boska wielmożność Jego płaci tym, którzy Mu służą, iż w tem życiu nawet jasno już widzą zysk i zapłatę im zgotowane, cóż dopiero będzie w życiu przyszłem?

ROZDZIAŁ XXII.

Jako bezpieczną dla duszy bogomyślnej drogą jest: nie zrywać się samej do rzeczy wysokich, aż Pan ją do nich podniesie. Jako środkiem do najwyższej bogomyślności ma być człowieczeństwo Chrystusa Pana. Jakiemu błędowi w tym względzie dawniej podlegała. Ważność i pożyteczność nauk w tym rozdziale zawartych.

O jednej jeszcze rzeczy chcę tu wspomnieć, zdaniem mojem, ważnej; może to, co powiem, jeśli Wasza Miłość uznasz to za dobre, posłuży komu w razie potrzeby za przestrogę. W niektórych książkach, traktujących o modlitwie wewnętrznej, czytałam takie zdanie, że lubo dusza nie zdoła wznieść się z samej siebie do tego stanu bogomyślności, gdyż jest to sprawa całkiem nadprzyrodzona, którą Pan sam w niej sprawuje: wszakże po wielu latach, przeszedłszy drogę oczyszczającą, i postąpiwszy oświecającą, — dla czego tę drogę zowią oświecającą, tego dobrze nie rozumiem; sądzę że jest to droga tych którzy już wyżej postąpili, — dusza ta, mówią, może potem już sama sobie dopomagać, odrywając się w duchu od wszystkich rzeczy stworzonych, a wznosząc się z pokorą do Stworzyciela. Zaczem usilnie zalecają jej oddalanie od siebie wszelkich wyobrażeń zmysłowych, a wznoszenie się do duchowej kontemplacyi Bóstwa; bo, mówią, wszelkie zmysłowe wyobrażenie, chociażby nawet samegoż człowieczeństwa Chrystusowego, tym, którzy już tak daleko postąpili, sprawia skrępowanie i przeszkodę do doskonałej bogomyślności. Na potwierdzenie tego zdania swego, przywodzą słowa, które mówił Zbawiciel do Apostołów, gdy wstępując do nieba, zapowiadał im przyjście

Ducha Świętego [1]). Mnie jednak się zdaje, że gdyby Apostołowie byli wówczas mieli taką wiarę, jaką mieli później, gdy zstąpił na nich Duch Święty, że Chrystus Pan jest Bogiem zarazem i człowiekiem, widok człowieczeństwa Jego nie byłby żadną dla nich przeszkodą; stąd też Zbawiciel słów tych nie rzekł do Matki swojej, choć Ona Go miłowała więcej niż wszyscy drudzy. Ponieważ więc, zdaniem tych pisarzy, sprawie tej, jako zgoła duchownej, wszelka jakabądź rzecz cielesna może tylko czynić zamięszanie i przeszkodę, przeto dowodzą, że dusza powinna starać się o to jedynie, aby czuła siebie ze wszech stron jakby w zagrodzie zamkniętą wszędyobecnością Bożą, i całkiem w Nim pogrążoną. Nauka ta poniekąd zdaje mi się dobrą i słuszną; ale żebyśmy mieli dla tego całkiem uchylać się od Chrystusa, i Boskie ciało Jego zaliczać do rzędu ludzkich nędz naszych i jakiegobądź innego stworzenia, to uważam za żądanie nieznośne. Daj Boże bym umiała jasno myśl moję wyrazić. Nie myślę tym pisarzom wprost zaprzeczać; są to mężowie uczeni i duchowni, i wiedzą co mówią; Bóg też różnemi drogami i sposobami prowadzi dusze. Ja tutaj, w dalsze pytania się nie wdając, chcę tylko powiedzieć jak prowadził moję, i w jakiem się znalazłam niebezpieczeństwie, gdy chciałam zastosować się do tej nauki, jak ją w onych książkach wyczytałam. Kto raz doszedłszy do zjednoczenia, dalej już nie postępuje, to jest do zachwyceń, i widzeń, i innych tego rodzaju łask, jakie Bóg duszom czyni, ten, łatwo wierzę, że naukę w onych książkach podaną będzie uważał za najlepszą, jak i ja za taką ją uważałam; ale gdybym była w tem przekonaniu pozostała, sądzę że nigdy nie byłabym doszła do tego stanu, w jakim dzisiaj jestem: bo przekonanie to, zdaniem mojem, jest błędnem. Może być że sama jestem w błędzie, wszakże opowiem co ze mną było.

Nie mając przewodnika, czytałam te książki, w nadziei, że powoli z nich nieco światła zaczerpnę; aż później dopiero zrozumiałam, że gdyby Pan sam nie był mię oświecił, mało co

---

[1]) „Pożyteczno wam abym ja odszedł; bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was". Jan. 16, 7.

byłabym z tego czytania się nauczyła; bo to, co z książek zrozumiałam, było niczem, póki Pan w Boskiej łaskawości swojej nie dał mi zrozumieć z własnego doświadczenia; przedtem, odbywając rozmyślanie według przepisów podanych w książkach, sama nie wiedziałam co czynię. Gdym już doszła do niejakich początków modlitwy nadprzyrodzonej, to jest modlitwy odpocznienia, starałam się oddalać od siebie wszelkie wyobrażenia rzeczy podpadających pod zmysły; wszakże duszą się wznosić do bogomyślności nie śmiałam: będąc zawsze tak grzeszną, uważałam, że byłoby to zuchwalstwem. Zdawało mi się jednak, że czuję obecność Boską, i w istocie tak było, i starałam się trwać w skupieniu i zjednoczeniu z Bogiem. Jest to bardzo słodki rodzaj modlitwy, i gdy Bóg raczy do niej dopomódz, dusza na niej doznaje wielkiej roskoszy; a iż pożytek i smak jej wyraźnie i jakby widocznie czuć się daje, więc ciesząc się nią, nie tylko nie czułam żadnej potrzeby zwrócenia się do świętego człowieczeństwa, ale owszem wspomnienie na nie prawdziwą mi się wydawało do modlitwy przeszkodą. O Panie duszy mojej i dobro moje, Jezu Chryste ukrzyżowany! nigdy nie mogę wspomnieć na to bez serdecznego żalu, że takie miałam o Tobie pojęcie; zdaje mi się, że wielkiej przez to zdrady przeciw Tobie się dopuściłam, choć przez nieświadomość. Całe życie moje takie miałam wielkie do Chrystusa Pana nabożeństwo; bo to, o czem mówię, przyszło mi dopiero pod koniec, to jest na krótko przed czasem, gdy Pan zaczął mi użyczać onej łaski zachwyceń i widzeń. Nie długo więc trwałam w tem błędnem mniemaniu, i tak zawsze wracałam do zwyczaju mego lubowania się w Panu, zwłaszcza ile razy przystępowałam do Komunii. Radabym była miała zawsze przed oczyma wizerunek jego i wyobrażenie, bo w duszy nie umiałam tak głęboko zachowywać je wyryte, jakbym była chciała. Czy to rzecz podobna, Panie mój, żeby we mnie choćby na chwilę postała ta myśl, byś Ty mógł mi być przeszkodą do większego dobra? Zkądże mi przyszły wszystkie dobra, jedno od Ciebie? Nie chcę przypuszczać, by w tem była wina moja, bo bardzo mię to boli; była to z pewnością nieświadomość; zaczem też raczyłeś w dobroci twojej zaradzić jej, dając mi

doradców, którzy mię z tego błędu wywiedli, i potem sam tyle razy mi się ukazując, jak niżej opowiem, abym jaśniej jeszcze zrozumiała, jak wielki to błąd, i abym ostrzegła o tem wielu innych, których i ostrzegłam, i abym teraz tutaj to zapisała. Jestem przekonana, że ta a nie inna jest przyczyna, dla czego tyle dusz, choć dostąpiły modlitwy zjednoczenia, dalej nie postępuje, i nie zdoła się wznieść do zupełnej swobody ducha.

Dwa są, zdaje mi się, powody, na których mogę oprzeć to przekonanie moje; może to, co powiem, będzie rzeczą małej wagi, ale będzie to rzecz, której na samej sobie doświadczyłam, bo dusza moja bardzo źle się miała, póki jej Pan światła nie użyczył; wszystkie jej pociechy były chwilowe tylko i przerywane; poczem, gdy przeszły, już dusza moja w cierpieniach i pokusach swoich nie czuła przy sobie tego towarzystwa Boskiego Mistrza, którem później dano jej było się cieszyć. Pierwszy tedy mój powód jest ten, że w takiem uchylaniu się od świętego człowieczeństwa Chrystusowego jest pewien maleńki brak pokory, choć tak głęboko zaczajony i ukryty, że trudno go spostrzedz. Bo któż, — chybaby tak był pyszny i nędzny, jaką ja wówczas byłam, — chociażby całe życie się przemęczył w wszelkich, jakie tylko pomyśleć się dadzą, pokutach, i umartwieniach ducha, i prześladowaniach, nie poczytywałby sobie tego za skarb najdroższy i sowitą za wszystkie cierpienia swoje zapłatę, gdyby mu Pan pozwolił z Janem św. stanąć pod krzyżem? Nie wiem w czyjej głowie mogłaby pomieścić się myśl, by takiej łaski nie byłoby dosyć, chyba w mojej tylko, która też we wszystkiem i na wszelki sposób, miasto zysku, który osiągnąć miałam, szkodę tylko ponosiłam. Jeśli zaś skutkiem przyrodzonego usposobienia, czy słabości, nie każdy i nie zawsze może rozmyślać o Męce Pańskiej, z powodu bolesnego, jakie to rozmyślanie sprawuje mu wstrząśnienia, któż mu broni trzymać się przy boku Pana zmartwychwstałego, kiedy Go posiadamy tak blisko nas w Sakramencie, gdzie mieszka już uwielbiony, gdzie już Go nie oglądamy umęczonego, z ciałem poszarpanem na szmaty, krwią zbroczonego, znużonego drogami, prześladowanego przez tych, którym same tylko świadczył dobrodziejstwa, od uczniów niewiernych opu-

szczonego? Bez wątpienia, są dusze niezdolne wytrzymać ciągłą pamięć tych wielkich męk, jakie On wycierpiał. Lecz oto tu Go masz wolnego od męki, pełnego chwały, dodającego męstwa jednym, pobudzającego drugich, przed swojem wstąpieniem do nieba. Masz Go tu w Najświętszym Sakramencie, jako się uczynił towarzyszem naszym, nie mogąc, rzekłbyś, przenieść tego na sobie, by na jednę chwilę od nas się oddalił. Jakże więc ja mogłam to przenieść na sobie, bym się oddalała od Ciebie, Panie mój, sądząc że tym sposobem lepiej potrafię Ci służyć? Gdym Ciebie obrażała, jeszcze Ciebie nie znałam; ale już poznawszy Cię, jak mogłam sądzić, że tą drogą idąc, bliżej dojdę do Ciebie? O, jakże złą drogą szłam Panie! czyli raczej szłam, rzec mogę, bez drogi, aż gdy Ty nawróciłeś mię na drogę prawdziwą, ujrzawszy Ciebie przy mnie, wraz z Tobą wszystko dobro ujrzałam. Odtąd już, jakiekolwiek przyszło na mnie utrapienie, dość mi było spojrzeć na Ciebie, jako stałeś przed sędziami niesprawiedliwymi. aby je ochotnie wycierpieć. Kto ma przy boku swoim takiego dobrego przyjaciela, takiego dobrego wodza, który pierwszy wystawił siebie na męki, ten wszystko zdoła wytrzymać. On wspiera, i ducha dodaje, i nigdy nie zawiedzie, On przyjaciel prawdziwy. Jasno to widzę, i później jeszcze tego doznałam, że nie inaczej służba nasza może spodobać się Bogu, i nie inaczej Bóg postanowił użyczać nam wielkich łask, jedno przez ręce tego najświętszego Człowieczeństwa, w którem, jak sam to oznajmia w Boskiej Wielmożności swojej, dobrze sobie upodobał. Po niezliczone razy przekonałam się o tem z własnego doświadczenia, i z własnych ust Pańskich to słyszałam. Poznałam jasno, że przez tę bramę potrzeba nam wchodzić, jeśli chcemy aby Boski Majestat Jego objawił nam wielkie tajemnice swoje.

Niechże więc Wasza Miłość nie szuka innej drogi, chociażbyś już stanął na szczycie bogomyślności: tą drogą idzie się bezpiecznie. On sam jest, On Pan nasz, przez którego wszystkie dobra nam przychodzą; On sam cię nauczy; na Jego życie się zapatruj, ten jest wzór najlepszy. Czegoż jeszcze może nam niedostawać, gdy mamy przy boku takiego wiernego przyjaciela, który nas nie opuści w pracach i utrapieniach naszych,

jak to czynią przyjaciele światowi? Błogosławiony, kto prawdziwie Go miłuje, i zawsze Go ma przy sobie. Wspomnijmy na chwalebnego Pawła świętego, z którego ust nigdy, rzekłbyś, nie schodziło Imię Jezus, tak je miał głęboko zapisane w sercu. Od czasu jak zrozumiałam tę prawdę, pilnie rozważałam życie wielu Świętych, wysoce bogomyślnych, a żaden z nich nie szedł inszą drogą; tak św. Franciszek, noszący na sobie znaki pięciu ran Chrystusowych; tak św. Antoni, rozmiłowany w Dzieciątku Jezus; tak św. Bernard, lubujący się w rozważaniu Człowieczeństwa świętego; tak św. Katarzyna Seneńska, i wielu innych, których Wasza Miłość lepiej znasz ode mnie. Zapewne że ono odwracanie wyobraźni od wszelkiego dobra zmysłom przystępnego musi być rzeczą dobrą, skoro mężowie tak wysoce duchowni je zalecają; ale do tego, zdaniem mojem, potrzeba duszy bardzo już wysoko posuniętej w doskonałości; bo dopóki kto do tego szczytu nie dojdzie, rzecz jasna, że potrzeba mu szukać Stworzyciela za pomocą stworzeń. Wszystko to zależy od stopnia i rodzaju łaski, jaką Pan daje każdej duszy poosobno, i w to nie wchodzę. To jedno tylko chciałam wykazać, że najświętsze Człowieczeństwo Chrystusowe nie powinno się żadną miarą poczytywać za przeszkodę do bogomyślności; dla należnego wytłómaczenia tej prawdy pragnęłabym umieć wyrazić się jak najjaśniej.

Gdy Bogu się spodoba zawiesić wszystkie władze duszy, jak to czyni na wyłożonych wyżej stopniach modlitwy, wtedy rzecz jasna, że obecność tego świętego Człowieczeństwa, choćbyśmy nie chcieli, od nas się usuwa. W takim razie nie masz w tem nic złego, i owszem: szczęśliwa taka utrata, skutkiem której tem roskoszniej cieszymy sią tem, cośmy na pozór stracili; bo wówczas dusza cała przykłada się do miłowania Tego, którego rozum mozolnie poznać usiłował, i miłuje to czego nie zrozumiała, i cieszy się tem, czemby tak doskonale cieszyć się nie mogła, gdyby nie była poniosła tej straty, z której, jak mówiłam, większy tylko dla niej zysk wynika. Ale byśmy sami, rozmyślnie i samowolnie chcieli oswoić się z takiem opuszczeniem, i nie starali się z wszystkich sił naszych, zawsze,— a dałby Bóg by to mogło być zawsze, — mieć obecnem przed

oczyma duszy to przenajświętsze Człowieczeństwo, to, mówię, nie jest, zdaniem mojem, rzeczą dobrą; byłoby to, że użyję pospolitego wyrażenia, zawieszeniem duszy w powietrzu, bo nie miałaby wówczas na czem się oprzeć, jakkolwiekby jej się zdawało, że jest wysoko duchowną i pełną Boga. Niezmiernie wiele na tem zależy, byśmy, póki żyjemy w tem ludzkiem ciele, mieli przed oczyma Chrystusa Pana w ludzkiej postaci Jego; i ten jest właśnie drugi z dwóch powodów, o których mówiłam na początku. Pierwszym, jak już objaśniłam, jest pewien brak pokory, że dusza chce się wznieść wysoko, pierwej niż Pan ją sam podniesie, i nie chce poprzestać na rozmyślaniu o rzeczy tak drogiej, jaką jest święte Człowieczeństwo, i chce być Maryą, choć jeszcze nie pracowała z Martą. Gdy Pan zechce aby nią była, chociażby zaraz od pierwszego dnia, nie masz obawy; ale nie dobrze, gdy sami siebie zapraszamy, jak o tem, zdaje mi się, na innem miejscu mówiłam. Ten mały brak pokory, ten pyłek na pozór nic nie znaczący, wielką przecie szkodę wyrządza duszy, pragnącej postąpić w kontemplacyi.

Wracając teraz do drugiego punktu, nie jesteśmy aniołami, mamy ciało; chcieć zrobić z siebie anioła, póki się jest na tej ziemi, — zwłaszcza kto tak głęboko zagrzęzły w ziemi, jaką ja byłam, — jest to nierozum. W zwyczajnym porządku rzeczy myśl potrzebuje czegoś, na czemby się oprzeć mogła: choć zdarza się, że dusza wyjdzie z siebie, albo nieraz tak będzie pełna Boga, iż nie potrzeba jej już żadnej rzeczy stworzonej, aby się w sobie skupić mogła. Ale są to zawsze wyjątki tylko; a gdy przyjdą zachody spraw ziemskich, i prześladowania, i utrapienia, gdy dusza już nie może mieć takiego, jakim pierwej się cieszyła, pokoju, gdy nastanie czas oschłości: wtedy czuje się, jak dobrym Przyjacielem jest Chrystus; widzimy Go jako człowieka, obłożonego, jak i my, krewkościami i cierpieniami, i dotrzymuje nam towarzystwa; i kto raz do tego przywyknie, łatwo Go znajdzie przy sobie; lubo bywają także takie chwile, że ani na jedno, ani na drugie zdobyć się nie można. Dla tego dobrze jest, jak mówiłam, nie okazywać się pohopnymi do szukania pociech duchownych; niech będzie co ma być, a trzymać się mocno krzyża, jest to rzecz wielka. Boski ten

Pan nasz pozostawał pozbawiony wszelkiej pociechy, opuścili Go i samego pozostawili najbliżsi w cierpieniach Jego; my Go nie opuszczajmy. Do wzniesienia się wyżej ręka Jego lepiej nam pomoże niż wszystka usilność nasza; zaczem i sam się uchyli, gdy będzie widział, że pora ku temu, i że Pan, jak mówiłam, chce duszę podnieść nad samą siebie.

Z wielkiem upodobaniem Bóg spogląda na duszę, która z pokorą bierze sobie Syna Jego za pośrednika, i tak Go mocno miłuje, iż nawet gdy spodoba się Boskiemu Majestatowi Jego podnieść ją do wyższej kontemplacyi, uznaje się tego niegodną i z Piotrem świętym mówi: Wynijdź odemnie, Panie, bo człowiek grzeszny jestem [1]). Tego ja sama na sobie doświadczyłam: w taki sposób Bóg prowadził duszę moję. Insi, jak mówiłam, może pójdą inszą, krótszą drogą. Ale to zrozumiałam, i to wiem, że cała ta budowa modlitwy wewnętrznej wspiera się na pokorze, i że im głębiej dusza uniży się na modlitwie, tem wyżej Bóg ją podnosi. Nie pamiętam bym którąkolwiek z tych zgoła nadzwyczajnych łask, o których w dalszym ciągu mówić będę, inaczej i w innej chwili otrzymała, niż w chwili, gdym jakoby w niwecz się przed Nim obracała na widok wielkiej nędzy mojej; i Pan także, dopomagając mi do lepszego poznania samej siebie, raczył mi odkrywać rzeczy, jakichbym sama domyślić się nie zdołała. Jestem przekonana, że ile razy dusza chce uczynić co z samej siebie dla utrzymania się w tej modlitwie zjednoczenia, zawsze ta robota jej, chociażby na razie zdawało się, że osiągnęła skutek pomyślny, w krótkim czasie, jak dom bez fundamentu, upadnie; i wielką mam o taką duszę obawę, że nigdy nie dojdzie do onego prawdziwego ubóstwa duchem, które na tem polega, by porzuciwszy już pociechy ziemskie, duchownych także pociech na modlitwie nie szukała, ale wszystką pociechę swoję zasadzała na cierpieniu, dla miłości Tego, który w nieustannych żył cierpieniach, i spokój umiała zachować w krzyżach i oschłościach, i jakkolwiekby one ją bolały, nie dopuszczała przecie do siebie tego niepokoju i udręczenia, w jakie popadają pewne dusze, którym, gdy nie mogą

[1]) Łuk. 5, 8.

ciągle pracować rozumem, i ciągle doznawać uczuć pobożnych, już się zdaje, że wszystko stracone, jak gdyby człowiek własną pracą mógł kiedy zasłużyć na takie wielkie dobro. Nie mówię by nie miały starać się o nie, i nie trzymać się z wielką pilnością w obecności Bożej; ale gdy przyjdą na nie takie chwile, że nie zdołają wydobyć z siebie ani jednej dobrej myśli, niech się tem nie zamartwiają; słudzy niepożyteczni jesteśmy, cóż dziwnego, że nic uczynić nie możemy? Dałby Bóg, byśmy dobrze zrozumieli tę prawdę, i stawali się na podobieństwo onych ośląt, które obracają koło u onej studni, o której mówiłam, i choć mają oczy zawiązane i nie wiedzą co czynią, więcej przecie wyciągną wody, niżby ogrodnik, najpilniej pracując, wyciągnąć zdołał. Potrzeba nam ze swobodą ducha postępować tą drogą, oddawszy się w ręce Boga. Jeśli się spodoba Boskiemu Majestatowi Jego wynieść nas do rzędu dworzan i powierników swoich, ochotną wolą wstąpmy na tę wysokość; jeśli nie, służmy mu w posługach najniższych, i nie siadajmy niepowołani na pierwszych miejscach, jak już kilka razy mówiłam. Bóg ma większe o nas staranie, niż my sami o siebie, i wie, do czego każdy jest zdolny. Na co jeszcze się przyda, chcieć rządzić samym sobą, temu kto już całą wolę swoję oddał Bogu? Poleganie na samym sobie tu, zdaniem mojem, daleko bardziej jeszcze nie jest w miejscu, niż na pierwszym stopniu modlitwy, i nierównie też większą szkodę wyrządza, bo tu chodzi o dobra zgoła nadprzyrodzone. Kto ma głos brzydki, jakkolwiekby się silił i w śpiewie ćwiczył, nie uczyni go pięknym; komu Bóg zechciał dać piękny, ten go ma, nim jeszcze dwie nuty zaśpiewa. Prośmy więc Boga, aby nam użyczał łask swoich, tylko z duszą całkiem zdaną na wolę Jego, ale i pełną ufności w Boską wielmożność i hojność Jego. Kiedy nam wolno siedzieć u nóg Chrystusowych, patrzmyż byśmy od nich nie odeszli; trwajmy przy nich, jak kto umie i może, naśladujmy przykładu Magdaleny. Gdy dusza się zmocni i zmężnieje, Bóg sam zawiedzie ją na puszczę.

Niechże więc Wasza Miłość, póki nie znajdziesz kogo więcej odemnie doświadczonego i tych rzeczy świadomego, tej zasady się trzyma. Jeśli która dusza, poczynająca smakować

w bogomyślności, powie ci, że większy czuje w sobie postęp i większą hojność pociechy duchownej, gdy sama własną pracą do tego sobie dopomaga, nie wierz jej. O jakże jawnie Bóg, gdy zechce, przychodzi z okazaniem mocy swojej, bez tych środeczków ludzkich! jak potężnie, cokolwiekbyśmy czynili, porywa ducha, nakształt olbrzyma porywającego słomkę, i nie masz sposobu oprzeć się! Gdyby Bóg chciał, żeby ropucha latała, czy czekałby ażby sama do lotu się wzbiła? któżby przypuścił taką myśl niedorzeczną? A mnie się zdaje, że duch nasz sam z siebie bardziej jeszcze jest niesposobny i ociężały do wzniesienia się wzgórę, niż ropucha do latania, jeśli go Bóg nie podniesie; bo obarczony jest ziemią i niezliczonemi przeszkodami, i choćby chciał latać, sama chęć mało mu pomoże; zapewne, że z przyrodzenia swego o wiele przewyższa ropuchę, ale ugrzązłszy w błocie, z własnej winy postradał przyrodzoną wyższość swoję. Tem więc zakończę: ile razy wspomnimy na Chrystusa, pomnijmy i na tę miłość, z jaką tak wielkich łask nam użyczył, i jak wielką miłość okazał nam Ojciec, dając nam taką rękojmię tej miłości, jaką nas miłuje; bo miłość przyzywa miłości. I choćbyśmy dopiero zaczynali, jakkolwiekbyśmy byli jeszcze niecnotliwi, starajmy się przecie zawsze tę miłość mieć przed oczyma, i pobudzać siebie do miłości; bo gdy raz Pan nam uczyni tę łaskę, że nam miłość ta do serca się wdroży, wszystko już potem będzie nam łatwem, i zdziałamy dużo w krótkim czasie i bez trudu. Niechaj nam w Boskiej łaskawości swojej raczy użyczyć tego skarbu, bo wie jak bardzo nam jest potrzebnym; błagajmy Go o to, przez tę miłość, jaką nas umiłował i przez tego Boskiego Syna Jego, który nam miłość swoję tak wielką ofiarą samego siebie okazał. Amen.

Jedno jeszcze pytanie chciałabym tu zadać Waszej Miłości. Czem się to dzieje, że dusza, gdy Pan pocznie jej czynić łaski tak wysokie, jaką jest wzniesienie do doskonałej kontemplacyi, nie staje się od razu całkowicie doskonałą, jakby to słusznie być powinno? Słusznie, mówię, i tak jest bez wątpienia: bo kto tak wielką łaskę otrzymał, jużby się nie powinien oglądać za pociechami tej ziemi. Czem się to dzieje, że w miarę jak mnożą się zachwycenia, i jak dusza coraz więcej przywyka do otrzy-

mywania tych łask, skutki ich stopniowo coraz wyższe się okazują, i że w miarę jak rosną te skutki, dusza także rośnie coraz wyżej w oderwaniu się od wszystkiego, kiedy Pan w jednej chwili tak ją mógłby uczynić doskonale świętą, jak ją powoli i z czasem uświęca tym stopniowym postępem w doskonałości i cnotach? Na to pytanie chciałabym odpowiedzi, bo tego nie rozumiem. To tylko wiem dobrze, że wielka jest różnica między siłą i umocnieniem, jakie pozostaje w duszy z początku, kiedy łaska ta trwa nie dłużej niż jedno mgnienie oka, tak iż prawie jej nie czuć, a tylko skutki, jakie po sobie, pozostawia, o przejściu jej świadczą,—a tą mocą i męstwem jakiem Bóg duszę napełnia, gdy taż łaska dłużej i szerzej w niej się rozwija. Pochodzi to może, jak nieraz mi się zdaje, stąd, że nawiedzenie łaski nie zastaje duszy od razu i całkiem gotowej, aż dopiero Pan powoli ją urobi, i do stanowczego ją przywiedzie postanowienia, i doda jej siły męskiej, aby bez podziału wszystko porzuciła i zdeptała nogami, jak to w jednej chwili sprawił w Magdalenie. W drugich toż samo sprawuje wedle miary swobody, jaką Mu same pozostawiają, aby w nich Boska moc i łaskawość Jego działać mogła. Tak nam trudno uwierzyć w to, że za wszystko, co dla Niego uczynimy, Bóg już i w tem życiu stokroć tyle oddaje.

Przychodzi mi tu na myśl takie porównanie: Chociaż to co się podaje doskonalszym, i to co się podaje poczynającym, jest zupełnie toż samo, jest to jednak jakby jedzenie, z którego pożywa wielu. Którzy skosztują go tylko potroszę, tym tylko na chwilę smak przyjemny po niem pozostaje; którzy go pożywają więcej, tym ono służy do utrzymania życia; ale którzy najedzą się do sytości, tym ono życia i siły przymnaża. Tak i tego Boskiego pokarmu może dusza tyle razy pożywać, i tak się tym chlebem żywota nasycić, iż żadna już insza potrawa jej nie będzie smakowała, bo widzi, jak ta jedna na zdrowie jej służy; i tak już smak jej przywyknie do tej słodkości, iż wolałaby raczej umrzeć, niż zmuszoną być do pożywania jeszcze inszej strawy, którąby tylko zepsuła jej ten dobry smak, jaki jej po onem roskosznem jedzeniu pozostał. Tak samo, że innego jeszcze użyję porównania, towarzystwo osoby świętobliwej nie

tak nas w jeden dzień i od jednej rozmowy do dobrego pobudzi, jak tego dokazać może dłuższe, przez wiele dni, z nią obcowanie, aż w końcu, jeśli to nasze z nią przebywanie znacznie się przedłuży, możemy, przy pomocy łaski Bożej, stać się podobnie jak ona świętymi. Ostatecznie, wszystko tu zależy od woli i upodobania Pańskiego, i komu On zechce tej łaski użyczyć; ale wiele też znaczy dobra wola tego, któremu ta łaska już poczyna się udzielać, aby zdobył się na postanowienia, i cenił sobie dar Boży wedle wartości jego.

Pan także, zdawałoby się, doświadcza tych który Go miłują, to tego to drugiego, objawiając im siebie, jakim jest, przez takie przewyższające roskosze, zdolne ożywić w nich, jeśliby ustawała, wiarę w tę szczęśliwość, którą im zachowuje, i mówiąc im:—Obacz, to tylko jedna kropla z tego ogromnego morza wszelkiego dobra; przez co im okazuje, iż nie masz nic, czegoby nie uczynił dla tych, których miłuje. A gdy widzi, że oni gotowi przyjąć Go i łaski Jego, tejże chwili daje, i daje siebie samego. Kto Jego miłuje, tego i On miłuje; i o, jaki to Miłośnik, i jaki dobry Przyjaciel! O Panie duszy mojej, kto znajdzie słowa dostateczne na wypowiedzenie, jak wiele dajesz tym, którzy w tobie ufność swą położą, i jak wiele tracą ci, którzy choć doszli do tego stanu, jeszcze polegają na samych sobie! Nie dopuszczaj, Panie, by ze mną tak było; tem bardziej, że ta wielka łaska twoja większą jeszcze jest tem, że ją czynisz mnie, tak niegodnej, że raczysz przybywać na mieszkanie do takiej nędznej gospody, jaką jest dusza moja. Bądź błogosławiony po wszystkie czasy, i na wieki!

Błagam powtórnie Waszej Miłości, jeślibyś w tych rzeczach, które tu napisałam o modlitwie wewnętrznej, chciał się znieść z osobami duchownemi, niechże to będą osoby prawdziwie duchowne; bo jeśliby to byli ludzie znający tylko jednę drogę, albo tacy którzy zatrzymali się na pół drogi, nie potrafią tego należycie osądzić. Są także dusze, które, iż Bóg je od razu stawia na drogach bardzo wysokich, sądzą, że wszyscy mogą iść z pożytkiem temiż drogami, i rozum ustalić bez pomocy rzeczy zmysłom przystępnych, a oni przeciwnie tyleby tylko na tem zyskali, że mieliby duszę suchą jak drewno. I są

znowu takie, które ledwo że zakosztują nieco modliwy odpocznienia, zaraz sobie wyobrażają, że tyle już uzyskawszy, potrafią uzyskać i więcej, i o własnej sile wznieść się na stopnie najwyższe; skutkiem czego, jak mówiłam, miasto postępu, cofają się wstecz. W tem wszystkiem więc potrzeba doświadczenia i roztropnej miary. Niechaj Pan raczy nam ich użyczyć w łaskawości swojej.

ROZDZIAŁ XXIII [1]).

Wraca do przerwanego opowiadania życia swego. Jako poczęła czynić postępy w doskonałości, i za pomocą jakich środków. Jak bardzo potrzeba przełożonym, kierującym duszami oddanemi modlitwie wewnętrznej, znać sposób obchodzenia się z niemi w pierwszych początkach. Jaki pożytek odniosła z tego, że znalazła umiejętnego dla duszy swej przewodnika.

Chcę teraz podjąć na nowo opowiadanie życia mego, od tego miejsca, na którem je przerwałam, zatrzymawszy się może dłużej niż należało, nad rzeczami, potrzebnemi jednak do lepszego zrozumienia tego, co dalej nastąpi. Odtąd zaczyna się insza, nowa księga, to jest insze nowe życie. Życie dotąd opisane, było to życie moje, życie którem ja żyłam; od początku tych stanów modlitwy które opisałam, zaczyna się życie, którem, rzec mogę, Bóg żył we mnie; bo bez Niego, jasno to widzę, niepodobna było bym mogła w tak krótkim czasie wyzwolić się z tylu złych obyczajów i nałogów moich. Chwała niech będzie Panu, iż mię wybawił odemnie. Jak tylko zaczęłam

---

[1]) Rozpoczynający się tu dalszy ciąg opisu życia Świętej, przerwanego na końcu rozdziału IX, obejmuje czas dziesięcioletni, od 40-go do 50-go roku życia jej, czyli od r. 1555 do r. 1565, dochodzi zatem do czwartego roku od założenia klasztoru św. Józefa w Awili. W tym to klasztorze, kolebce zreformowanego Karmelu, Święta w latach 1563, 1564 i 1565, jak to wykazują Bollandyści, pisała ten drugi opis życia swego. Laski jednak nadzwyczajne, jakiemi Bóg w ciągu tych dziesięciu lat ją obdarzył, widzimy po części już opisane w poprzedzających rozdziałach, traktujących o różnych stopniach modlitwy.

chronić się okazyi i więcej oddawać się modlitwie wewnętrznej, Pan też począł łask onych mi użyczać; rzekłbyś czekał tylko i z upragnieniem wyglądał tej chwili, kiedy ja je przyjąć zechcę. Począł w Boskiej łaskawości swojej dawać mi prawie ciągle modlitwę odpocznienia, a często i modlitwę zjednoczenia, dość długo trwającą. Ponieważ właśnie w onym czasie zdarzyło się było kilka omamień i zdrad diabelskich, w które się dały były uwikłać niebaczne niewiasty, ja też poczęłam się bać o siebie, czując w sobie onę wielką, często niepowstrzymaną roskosz i słodkość. Prawda że z drugiej strony miałam niezachwianą pewność, szczególnie w czasie modlitwy, że pociechy te pochodzą od Boga; widziałam też w sobie znaczny po nich postęp w dobrem, i rosnącą siłę do cnoty. Ale za najmniejszem zwolnieniem wyniesionego z modlitwy skupienia, znów wracały obawy moje i przypuszczenia, że to sprawa diabelska, jakoby zły duch, wmawiając we mnie że te słodkości są rzeczą dobrą, i pod ich wpływem trzymając rozum mój w zawieszeniu, chciał takim podstępem odwrócić mię od rozmyślania, abym już nie była zdolną rozważać Mękę Pańską, ani rozpamiętywać rozumem, co w błędnem naonczas pojęciu mojem wydawało mi się największą, i żadną pociechą bogomyślności niepowetowaną szkodą duchowną. Lecz była to chwila, w której Pan w Boskiej łaskawości swojej już postanowił mię oświecić, abym Go więcej nie obrażała, i poznała już, jak wiele Mu jestem winna. Dzięki tej łasce Jego obawy moje do tego stopnia się wzmogły, że uznałam nieodzowną potrzebę poradzenia się ludzi, w życiu duchownem doświadczonych, i pilnie zaczęłam poszukiwać takich, a nawet już wiedziałam, gdziebym ich znaleźć mogła. W mieście naszem byli się osiedlili Ojcowie Towarzystwa Jezusowego [1]); choć żadnego z nich nie znałam, z tego przecie co wiedziałam o świętobliwem ich życiu i o ich sposobie mo-

[1]) Dom Towarzystwa Jezusowego w Awili, pod wezwaniem św. Idziego powstał był w r. 1555. Pierwszymi założycielami jego byli posłani w tym celu przez św. Franciszka Borgiasza, naonczas komisarza Towarzystwa na Hiszpanię, OO. Jan de Padranos i Ferdynand Alwarez del Aguila, którzy oba, jak obaczymy, słuchali spowiedzi naszej Świętej.

dlit wy wewnętrznej, wielki do nich pociąg miałam; ale nie czułam siebie godną rozmawiać z nimi, ani dość silną na duchu, aby się oddać pod ich kierunek, bo tego najwięcej się bałam; wchodzić z nimi w stosunki, będąc taką jaką byłam, zdawało mi się rzeczą trudną.

Tak upłynął jeszcze czas jakiś, aż wreszcie po wielu walkach wewnętrznych i trwogach zdobyłam się na postanowienie zasięgnięcia rady jakiego męża duchownego, aby mię nauczył, co mam sądzić o tym sposobie modlitwy, którego się trzymałam, i oświecił mię jeśli jestem w błędzie, mając przytem mocne postanowienie uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, aby się uchronić obrazy Boskiej; bo właśnie ten brak siły i gotowości na wszystko, który do chwili tego postanowienia w sobie czułam, tak mi odwagę odbierał. O Boże wielki, jakież to było srogie omamienie, że chcąc być dobrą, unikałam dobrego! Snać w tym punkcie diabeł największe kładzie przeszkody duszom poczynającym wstępować na drogę cnoty, bo wie dobrze o tem, że pierwszem i głównem dla nich lekarstwem i pomocą jest otworzenie się przed doświadczonym przyjacielem Boga; tak wnoszę z tego, czego doznałam na sobie, iż tak długo nie mogłam siebie przezwyciężyć, i wciąż odkładałam od dnia do dnia, nim się wreszcie na ten krok zdobyłam. Czekałam ażbym się pierwej poprawiła, tak samo jak wówczas, gdym była zaniechała rozmyślania, a poprawa ta możeby nigdy nie była nastąpiła; bo skutkiem nałogowego trwania w małych zdrożnościach, tak już byłam głęboko upadła, że nie umiałam nawet poznać by w nich było co złego, i potrzeba mi było obcej pomocy i podania mi ręki, abym powstać mogła. Błogosławiony niech będzie Pan, iż pierwszą ręką podaną mi ku podźwignieniu mnie nareszcie, była ręka Jego! Widząc, że trwoga moja wciąż rośnie, w miarę coraz wyższych postępów moich w modlitwie wewnętrznej, poczęłam się domyślać, że jest w tem coś albo bardzo dobrego albo bardzo złego; widziałam bowiem dobrze, że to, co we mnie się działo, są to rzeczy nadprzyrodzone, od woli mojej niezależne: czasem, gdy przychodziły, nie mogłam im się oprzeć, czasem znowu, choć chciałam, nie mogłam ich przywołać. Powiedziałam więc sobie, że nie

masz tu innego dla mnie sposobu, jedno starać się o zachowanie czystego sumienia, i chronić się wszelkiej okazyi do grzechu choćby powszedniego: wtedy, jeśli one pociechy są od Ducha Bożego, jasny będzie zysk mój; a chociażby były sprawą ducha złego, przy takiem z mojej strony staraniu o spodobanie się Panu i chronieniu się obrazy Jego, nie wiele on zdoła mi zaszkodzić, owszem sam na tem przegra. Uczyniwszy takie postanowienie i ustawicznie błagając Pana o pomoc, starałam się spełniać com sobie była obiecała; ale po kilku dniach przekonałam się, że dusza moja nie ma w sobie dość siły, aby mogła sama jedna wznieść się do takiej doskonałości; lgnęła jeszcze do niektórych rzeczy, które choć same z siebie nie były bardzo złe, dość jednak było i tego na zepsucie całej roboty mojej.

Wskazano mi jednego uczonego kapłana [1]), mieszkającego tu w mieście, który z łaski Pana poczynał słynąć między ludźmi z cnót i życia budującego. Postarałam się o widzenie się z nim, za pośrednictwem pewnego pana, bardzo świętobliwego człowieka, zamieszkałego także tu w miejscu. Jest to człowiek

---

[1]) Był to mistrz Gaspar Daza. Gorliwy ten sługa Boży zawiązał był stowarzyszenie kilku czy kilkunastu podobnegoż ducha kapłanów, z którym, wspólnie poświęcał się pracy około zbawienia dusz, niosąc pomoc i duchowną i materyalną wszystkim potrzebującym, tak w samej Awili jak i w całej dyecezyi. Gdy w r. 1558 O. Baltazar Alvarez, stały później i główny spowiednik św. Teresy, nastał do miejscowego kolegium jezuitów, Daza, poznawszy się rychło na wyjątkowych zaletach tego uczonego i świętego zakonnika, oddał się wraz z całą swą gromadką apostolską pod kierunek jego: i później też, gdy O. Alwarez przeniesiony został na urząd rektora kollegium w Medina del Campo, co roku tam się udawał do niego na kilkodniowe rekollekcye, dla zagrzania się, jak mówił, przy ogniu płonącym w słowach świętego przewodnika swego. Św. Teresa w wielkiem go, aż do końca życia miała poważaniu i on też całą duszą oddany był Świętej. Jemu dano było odprawić pierwszą Mszę świętą w klasztorze św. Józefa w Awili, i do nowego kościoła wprowadzić Przenajświętszy Sakrament, d. 24 sierpnia 1562, w dzień św. Bartłomieja Apostoła, który był także dniem urodzin odrodzonego Karmelu. Później na uczczenie pamięci św. Teresy, założył jednę z sześciu kaplic, jakie posiada kościół św. Józefa w Awili, pod wezwaniem Narodzenia N. P. Maryi. Umarł w dziesięć lat po św. Teresie, d. 24 listopada 1592. Pochowany w założonej przezeń kaplicy, gdzie również spoczęły przy nim matka jego i siostra.

żonaty, ale życia tak przykładnego i cnotliwego, tak oddany modlitwie i uczynkom miłosiernym, że najsłuszniej słynie u wszystkich jako wzór dobroci i doskonałości, która też jasno się odbija w całej postawie jego. Wiele on wielu duszom uczynił dobrego, bo takie ku temu posiada zdolności, że jakkolwiekby zdawać się mogło, że stan jego małżeński powinienby mu stawać w tem na przeszkodzie, on przecie, jakby wyższą siłą znaglony, nie może nie pracować niemi ciągle na pożytek drugich. Wiele ma rozumu; bardzo uprzejmy jest dla wszystkich: rozmowa z nim nie ciężka, przeciwnie tak słodka i wdzięku pełna, a przytem tak prawa i świętobliwa, że wszyscy, którzy z nim obcują, największą w niej znajdują przyjemność; a we wszystkiem co czyni, jedynie ma na celu większy pożytek duszy tych, z którymi ma do czynienia, i jedyne, rzekłbyś, szczęście swoje na tem zakłada, by służył wszystkim i każdemu w czem tylko może, i wszystkich, ile zdoła, uszczęśliwił. I dla mnie, rzec mogę, błogosławiony i święty ten człowiek, roztropnem ze mną postępowaniem swojem, stał się początkiem zbawienia. Zdumiewam się nad jego pokorą, jaką zwłaszcza względem mnie okazał, on, co już blizko od czterdziestu lat, o ile wiem, — może dwa albo trzy lata mniej niż czterdzieści, — oddany jest modlitwie, i wiedzie życie pod każdym względem doskonałe, o ile mu stan jego na to pozwala. Za żonę także ma tak pobożną i miłości świętej pełną służebnicę Bożą [1]), że ona z pewnością nie będzie mu przeszkodą do zbawienia; jest to jednem słowem żona godna takiego męża, i jaką Bóg sam wybrał aby była towarzyszką tego, którego przejrzał, iż będzie Mu tak wiernym i gorliwym sługą [2]). Kilku miał krewnych skoligaco-

[1]) Zwała się Mancia Davila. [2]) Pan ten, którego cnotom św. Teresa w powyższym ustępie tak wysokie i wymowne świadectwo oddaje, zwał się Franciszek de Salcedo. Za przykładem Gaspra Daza, z którym go ścisła przyjaźń łączyła, on także w r. 1558 oddał się pod kierunek O. Baltazara Alwarez, i pod wodzą takiego mistrza większe jeszcze niż przedtem począł czynić postępy ku coraz wyższej doskonałości. Choć był żonaty, przez dwadzieścia lat słuchał kursów teologii u OO. Dominikanów w Awili. Stąd też, po śmierci żony, mógł zaraz, bez dalszych przygotowań, poświęcić się na wyłączną służbę Bożą w stanie duchownym. Wyświęcony na kapłana w r. 1570, został spo-

nych z krewnymi moimi; z jednym zwłaszcza, ożenionym z cioteczną siostrą moją, również bardzo cnotliwym sługą Bożym, w bliskich żył stosunkach. Przez niego więc — bo łączyła ich obu ścisła przyjaźń — uprosiłam onego tak gorliwego kapłana, o którym wyżej wspomniałam, aby zechciał do mnie przyjść i ze mną pomówić; przyczem miałam zamiar przed nim się wyspowiadać i obrać go sobie za przewodnika. Gdy tedy przyszedł i wszczął ze mną rozmowę, ja z zawstydzeniem wielkiem, iż mam przed sobą męża tak świętobliwego, zdałam mu sprawę ze stanu duszy mojej, i o tem co się dzieje ze mną na modlitwie. Spowiadać mię nie chciał, wymawiając się zatrudnieniami swemi, których w istocie miał wiele; ale sądząc, że jestem odważną i silną, jakąbym rzeczywiście powinna była być, i jak się słusznie tego mógł po mnie spodziewać, widząc mnie podniesioną na tak wysoki stopień modlitwy; ze świętą stanowczością począł domagać się odemnie takiej doskonałej wierności Bogu, iżbym Go nigdy w najmniejszej rzeczy nie obrażała. W obec tej stanowczości jego, naglącej mię do porzucenia natychmiast małych usterków, do wyrzeczenia się których, tak od razu i tak zupełnie, nie dostawało mi, jak mówiłam, siły i odwagi, zasmuciłam się, widząc, że on tak traktuje sprawy duszy mojej, jakoby chciał w jednej chwili ją przerobić, kiedy ja przeciwnie czułam, że potrzeba jej na to daleko dłuższego około niej starania. Zrozumiałam ostatecznie, że środki, jakie mi podawał, nie były odpowiedniem dla mnie lekarstwem; były to środki właściwe dla dusz doskonalszych; ja zaś, lubo pod względem użyczonych mi łask Boskich stałam wysoko, cnót przecie i ducha umartwienia zaledwo pierwsze miałam początki. Rzecz pewna, że gdyby mi przyszło na jego radach i przewo-

---

wiednikiem i kapelanem klasztoru św. Józefa w Awili. Z św. Teresą łączyła go zawsze najściślejsza przyjaźń. Bardzo jej był pomocnym w dalszych jej fundacyach, i sam jej najczęściej towarzyszył w podróżach jej, w tym celu podejmowanych. Dokonał świętobliwego żywota swego d. 15 września 1580, zapisując karmelitkom znaczną część majątku swego, na znak szczególnej swojej dla nich przychylności. Jeszcze za życia zbudował przy klasztorze św. Józefa kaplicę, pod wezwaniem św. Pawła Apostoła. W niej też, jak to było życzeniem jego, został pochowany.

dnictwie poprzestać, dusza moja nigdyby nie była się podzwignęła, bo samo już to udręczenie, że nie czynię, ani jak mi się zdawało, uczynić nie mogę tego co on mi zalecał, mogło mi odjąć nadzieję, i popchnąć mię do porzucenia wszystkiego. Nieraz temu się dziwię, jak to się stało, że kapłan ten, mający szczególną łaskę do pociągania dusz do Boga, nie miał światła do zrozumienia duszy mojej, i nie mógł się podjąć kierunku jej; wszystko to snadź Bóg sam zrządził dla większego dobra mojego, abym się poznała i weszła w stosunki z luźmi tak świętobliwymi, jakimi są Ojcowie Towarzystwa Jezusowego.

Od onego dnia umówiliśmy się z onym świętobliwym panem, znajomym moim, że będzie mię od czasu do czasu odwiedzał. Tu się okazała wielka pokora jego, że nie wzdragał się wchodzić w stosunki z taką niecnotliwą istotą, jaką ja byłam. Począł tedy odwiedzać mię i dodawać mi odwagi, mówiąc, że daremnie wyobrażałabym sobie, bym zdołała w jeden dzień oderwać się od wszystkiego, że Bóg sam powoli to sprawi, że i on także przez kilka lat podlegał małym usterkom, i długo nie mógł zwyciężyć siebie, aby je porzucił. O pokoro! jakże wielkie dobra przynosisz temu, kto cię posiada, i tym którym dano jest do niego się zbliżyć! W pokorze swojej i dla pocieszenia mnie, święty ten — bo słusznie, jak sądzę, tem mianem zwać go mogę, — wyznawał mi rzeczy, które jemu wydawały się usterkami, i w moim stanie i powołaniu rzeczywiście byłyby wielkiemi, ale ze względu na stan jego, żadnej w sobie nie miały winy ani niedoskonałości. Nie bez przyczyny rozszerzam się nad temi drobnemi sposobami, jakich ze mną używał mój przyjaciel; są to na pozór drobnostki, a przecie tak skutecznie pomagają one do postępu duszy poczynającej, i tak ją sposobią do wzlotu, choć jej jeszcze, jak to mówią, skrzydła nie urosły, że niktby temu nie dał wiary, kto sam nie doświadczył. A ponieważ Wasza Miłość, jak ufam w Bogu, powołany jesteś do uświęcenia wielu dusz, dla tego tu się świadczę, że wszystko uzdrowienie moje temu zawdzięczam, że miałam lekarza, który umiał mię leczyć, i z pokorą i z miłością ze mną się obchodzić, i z cierpliwością mię znosić, choć nie zaraz we wszystkiem się poprawiałam. Postępował ze mną rostropnie, powoli mię

wiodąc ku rzeczom lepszym, i podając mi sposoby, jak zwyciężać diabła. Tak go pokochałam, że każdy dzień odwiedzin jego, choć takich dni było nie wiele, największe mi sprawiał uspokojenie. Jeśli kiedy opóźniało się przyjście jego, wielkiem to bywało dla mnie zmartwieniem: zaraz sobie myślałam, że dla tego nie przychodzi, że nie chce już widzieć takiego niecnotliwego stworzenia.

Gdym odkryła przed nim tyle tak wielkich niedoskonałości moich, —były to może i grzechy, lubo od czasu jak zaczęłam przed nim się otwierać, w wielu rzeczach już byłam się poprawiła, — gdy przytem wspomniałam mu o łaskach jakich Bóg mi użyczał, on odpowiedział mi, że jedno nie zgadza się z drugiem, że takie łaski dają się duszom wysoko już posuniętym w doskonałości i umartwionym, że przeto nie może nie lękać się o mnie; w niektórych rzeczach zdawało mu się, że jest sprawa ducha złego, choć stanowczo tego nie twierdził; zawsze jednak radził mi, bym dobrze zastanowiwszy się, zebrała w myśli wszystko co wiem i rozumiem o tych moich przejściach na modlitwie, i dokładnie mu wszystko opowiedziała. Nowe tu wszczęło się dla mnie utrapienie, bo jasno określić, co się dzieje ze mną na modlitwie, wówczas jeszcze żadną miarą nie umiałam; teraz dopiero, niedawno temu, Bóg mi dał tę łaskę, że rozumiem na czem się zasadzają te przejścia, i potrafię je wypowiedzieć. Nie mogąc więc spełnić tego zalecenia jego, a przytem będąc w trwodze o siebie, wielkie miałam z tego strapienie i zalewałam się łzami. Byłam pewna tego, że pragnę podobać się Bogu; nie mogło mi się pomieścić w głowie, by to, czego doznaję, było złudą czartowską; ale bałam się czy Bóg snać dla wielkich grzechów moich nie zaślepił mię, abym nie poznała prawdy. Poczęłam szukać w książkach, czy nie znajdę w nich opisanego mojego rodzaju modlitwy; jakoż natrafiłam na jednę, noszącą tytuł: „Wstępowanie na górę [1])“, gdzie w rozdziale o zjednoczeniu duszy z Bogiem, znalazłam

[1]) Książka ta, według Ribery, nosi tytuł: „Droga na górę Syon“; autorem jej, jak wnoszą niektórzy, był Brat Bernardyn de Laredo zakonu Braci Mniejszych, wymieniony u Wadinga pod rokiem 1433.

wskazane też znaki, jakie widzę w sobie, mianowicie ustanie wszelkiej myśli własnej; bo na to właśnie, zdając sprawę o sobie poradnikowi mojemu, głównie nalegałam, że będąc w tym stanie modlitwy zgoła myśleć nie mogę. Zakreśliłam to miejsce i oddałam mu książkę, aby wspólnie z onym świętym kapłanem i sługą Bożym, o którym mówiłam, przeczytali ten ustęp i powiedzieli mi potem co mam uczynić: że gotowa jestem, jeśli oni tak osądzą, całkiem zaniechać modlitwy wewnętrznej, bo jeśliby mi miała tylko narażać się na takie niebezpieczeństwo, i jeśli po blisko dwudziestu latach, co się oddaję rozmyślaniu, innej z niego nie osiągnęłam korzyści, jedno omamienie od ducha złego, toć lepiej go się wyrzec zupełnie; lubo, prawdę mówiąc, to zrzeczenie się twardą byłoby dla mnie ofiarą, bo już byłam tego doświadczyła, w co się obraca dusza moja, gdy zaniecha modlitwy wewnętrznej. Tak więc, czy w tę stronę patrząc, czy w drugą, samo tylko widziałam udręczenie, podobna do człowieka, który rzucony na środek rzeki, kędykolwiek się zwróci, z każdej strony większem widzi się zagrożonym niebezpieczeństwem, i już prawie tonie. Jest to bardzo wielkie udręczenie, i wiele takich przecierpiałam, jak niżej opowiem; bo choć to na pozór zdaje się rzeczą małoważną, może jednak ta wiadomość komu się przydać, bo pozna z niej, w jaki sposób doświadcza się ducha.

Wielkie, powtarzam, bywa z tego powodu udręczenie; wielkiej też potrzeba oględności w obchodzeniu się z tymi, którzy je cierpią, zwłaszcza jeśli to kobiety; bo skutkiem słabości naszej, ciężką mógłby takiej wyrządzić szkodę, ktoby jej wręcz oświadczył, że to co się w niej dzieje jest sprawą ducha złego. Potrzeba tu pilnie i gruntownie zbadać wszystko, i oddalić taką duszę od niebezpieczeństw, jakie jej grozić mogą i zalecić jej usilnie, aby milczała, i z swojej strony też, jak należy, dochować jej tajemnicy. Mówię to nauczona własnem doświadczeniem; bo dużo wycierpiałam z tego powodu, że tacy, którym się zwierzałam z przejść moich na modlitwie, nie dotrzymali mi sekretu, radząc się tego i owego, rzekomo dla dobra mojego; a tylko mi szkodę wyrządzili, i wielką, rozgłaszając rzeczy, które powinny były pozostać w najgłębszej taje-

mnicy, bo nie są to rzeczy, o których by wypadało wiedzieć wszystkim; a przytem jeszcze ściągnęli na mnie pozór, jakobym sama je rozgłaszała. Nie było w tem, wierzę, winy ich, tylko Pan to dopuścił, abym ja miała co cierpieć. Nie mówię by wyjawiali to, co im wyznawałam na spowiedzi; ale ponieważ charakter i urząd ich był mi powodem do zdawania im sprawy z trwóg moich, aby mię oświecili, zdawało mi się, że i o tem powinni byli milczeć, tembardziej że ja, z zupełną ufnością przed nimi się otwierając, nie śmiałam nigdy cokolwiekbądź zataić. Takie więc jest zdanie moje, że w prowadzeniu kobiet należy zachowywać wielką rostropność, dodając im odwagi i czekając chwili, kiedy Pan sam przyjdzie im w pomoc, jako uczynił mnie. Gdyby nie szczególna łaska Jego, te strachy, których mi napędzano, przy bojaźliwem i lękliwem usposobieniu mojem, i przy cierpieniu sercowem, któremu podlegam, mogły mieć dla mnie skutki bardzo groźne, i sama sobie się dziwię, że mi gorzej nie zaszkodziły.

Gdy więc oddałam, jak mówiłam, onę książkę, wraz z dokładnym, o ile mogłam, opisem życia i grzechów moich, nie sposobem spowiedzi, ponieważ był to człowiek świecki, ale zawsze z tym zamiarem, by dobrze poznał całą nędzę moję, oba oni słudzy Boży z wielką miłością i życzliwością przystąpili do wspólnej między sobą narady, co mnie czynić należy. Ja tymczasem polecałam siebie modlitwom wielu dusz pobożnych, i sama ustawicznie się modląc, z wielką trwogą oczekiwałam odpowiedzi. Nareszcie, po kilku dniach, przyszedł do mnie on przyjaciel mój, bardzo zmartwiony, i oświadczył mi, że zdaniem ich obu, jest to najprawdopodobniej sprawa złego ducha. Dodał, że powinnam znieść się z którym z Ojców Towarzystwa Jezusowego, że każdy z nich, skoro go wezwę, powołując się na potrzebę duchowną, przyjdzie; że powinnam odbyć przed nim spowiedź z całego życia, i zdać mu sprawę ze wszystkich przejść moich, i z całego usposobienia mego, starając się przedstawić mu wszystko jaknajjaśniej; że każdy z tych Ojców wielkie ma doświadczenie w rzeczach duchownych, a Bóg, mocą Sakramentu Pokuty, jeszcze mu światła przymnoży; że wreszcie powinnam słuchać go, nie odstępując w niczem od tego, co mi

zaleci, bo bez przewodnika, któryby mną kierował, wielkie mi grozi niebezpieczeństwo. Odpowiedź ta tak mię przeraziła i zgnębiła, że nie wiedziałam co począć, i zalewałam się łzami. Gdy tedy tak klęczałam w kaplicy domowej, ciężko strapiona i pytając siebie, co teraz ze mną będzie, otworzyłam książkę, którą snać Bóg sam podał mi do ręki, i wyczytałam z niej te słowa św. Pawła, że wierny jest Bóg i nigdy tym, którzy go miłują, nie dopuści uledz zdradzie diabelskiej [1]. Słowa te niezmierną mi przyniosły pociechę. Zabrałam się do przygotowania mej spowiedzi generalnej, spisując wszystko, złe i dobre, kreśląc jak umiałam i zdołałam najjaśniej obraz całego życia mego, niczego nie opuszczając, co tylko wiedziałam i pamiętałam. Pamiętam dziś jeszcze jaki uczułam srogi ból i smutek, gdy przeglądając potem to com była spisała, tyle tam widziałam złego, a prawie nic dobrego. Trapiło mię i to, że obaczą mię w domu rozmawiającą z takimi świętymi ludźmi, jakimi są Ojcowie Towarzystwa Jezusowego, strach mię także ogarniał na wspomnienie niecnotliwych nałogów moich, i na myśl, że już teraz będę musiała je porzucić, i wyrzec się próżnych zabaw moich, czego gdybym nie uczyniła, jeszcze gorzej potem będzie ze mną. Uprosiłam więc zakrystyankę i fortyankę aby nikomu o tem nie mówiły; ale mi to nie pomogło, bo w chwili gdy mię zawołano do furty, znalazła się tam właśnie inna zakonnica, i rozgłosiła rzecz po całym klasztorze. Ileż to przeszkód i strachów szatan wznieca tym, którzy pragną zbliżyć się do Boga!

Gdym już otworzyła całą duszę moję przed onym sługą Bożym [2] — a był nim prawdziwie, i mężem dobrej rady — on

---

[1] Wierny jest Bóg który nie dopuści kusić was nad to co możecie. I Kor. 10, 13.

[2] Był to O. Jan Padranos. Choć wówczas stosunkowo jeszcze młody, posiadał on przecie tę mądrość wytrawnego i doświadczonego mistrza duchownego, którą Święta słusznie w nim wychwala. Ojciec ten, jak świadczy Ribera w Życiu św. Teresy i Kardynał Cienfuegos z Towarzystwa Jezusowego, w Żywocie św. Franciszka Borgiasza, kazał jej odprawić ćwiczenia duchowne według metody św. Ignacego. Święta zaś, jak to widzimy z powyższych słów jej, dla przedstawienia mu dokładnego obrazu wewnętrznych przejść swoich, spisała dla niego pierwszy zarys niniejszego Życia swego. O. Jan de

jako wysoce biegły w rzeczach duchownych, objaśnił mię co do stanu duszy mojej i bardzo mię podniósł na duchu. Oznajmił mi, że to co się we mnie dzieje, najwyraźniej jest z Ducha Bożego; ale że powinnam zacząć na nowo uczyć się modlitwy wewnętrznej, bo moja dotąd nie była oparta na mocnym fundamencie, i jeszcze nie rozumiem dobrze umartwienia, co tak dalece było prawdą, że do tego czasu bodaj czy znałam tę cnotę choć z nazwy. Dodał, że nigdy pod żadnym warunkiem nie powinnam opuszczać modlitwy bogomyślnej, ale raczej z wszystkiej siły mojej do niej się mam przykładać, kiedy Bóg takich mi nadzwyczajnych łask na niej użycza. Co możesz wiedzieć, mówił, czy Pan nie postanowił przez ciebie wiele innych dusz przywieść do życia cnotliwo i zegbawienia? Wiele innych jeszcze rzeczy powiedział mi, jakby duchem proroczym przepowiadając to, co Pan później uczynił ze mną. Ostrzegł mię w końcu, że wielką byłaby wina moja, gdybym nie odpowiadała tym łaskom, które Pan mi czyni. W tem wszystkiem co mi mówił, zdawało mi się, że słyszę głos samegoż Ducha Ś. na uzdrowienie duszy mojej, tak słowa jego głęboko do niej wnikały. Wielkie czułam zawstydzenie, ale zarazem także czułam, że ten mąż Boży, sposobem w jaki mię prowadzi, zupełną jakoby sprawuje we mnie odmianę. O jako to wielka rzecz, zrozumieć duszę! Zalecił mi, bym codzień odprawiała rozmyślanie o którym ustępie Męki Pańskiej, i starała się korzyść z niego osiągnąć, bym myślała tylko o Człowieczeństwie Zbawiciela, a onym wewnętrznym skupieniom i słodkościom opierała się wedle możności i miejsca im nie dawała, póki mi nie powie inaczej. Pozostawił mię pocieszoną i umocnioną: Pan jako mnie przyszedł w pomoc, tak i jego wspomógł, aby zrozumiał stan mojej duszy, i jak nią ma kierować. Uczyniłam mocne postanowienie, że w niczem nie odstąpię od tego co mi zalecił, i do tego czasu wierną pozostałam postanowieniu memu. Chwała niech będzie Panu, że dał mi łaskę abym była po-

---

Padranos całe życie swoje poświęcał duchownemu kierownictwu dusz. Umarł śmiercią świętobliwą w Walladolidzie, które przez długie lata było widownią gorliwych prac jego.

słuszną, choć nie doskonale, spowiednikom moim, i że spowiednikami moimi byli prawie zawsze ci błogosławieni mężowie z Towarzystwa Jezusowego, chociaż, powtarzam, posłuszeństwo moje dla nich nie było doskonałe. Odtąd już widoczna poprawa zaczęła się w duszy mojej, jak to zaraz opowiem.

ROZDZIAŁ XXIV.

O tem samem dalszy ciąg. Jakie postępy czyniła dusza jej, odkąd się poddała posłuszeństwu. Jako daremnie opierała się łaskom Bożym, i jako Pan zsyłał jej łaski coraz większe.

Dusza moja po onej spowiedzi pozostała tak podatną i miękką, iż nie było, zdaje mi się, rzeczy tak trudnej, na którąbym nie była gotowa. Znaczna też w wielu rzeczach poczęła się we mnie odmiana, jakkolwiek spowiednik do niej mnie nie naglił, owszem, jakoby do tych rzeczy mało wagi przywiązywał; i to tem mocniej mię pobudzało, że mię tak prowadził drogą miłości Bożej, pozostawiając mi niejako wolność, i nie nagląc, ażby miłość sama przynagliła mię. Przetrwałam tak około dwóch miesięcy, usiłując, ile tylko było w mojej mocy, opierać się pociechom i łaskom Bożym. Na zewnątrz, odmiana jaka była zaszła we mnie, okazywała się widocznie; bo już mi Pan zaczynał dodawać odwagi do zdobywania się na pewne rzeczy, które tym co mię przedtem znali, i samymże nawet moim towarzyszkom klasztornym wydawały się skrajnie przesadnemi; i poniekąd miały słuszność, bo w porównaniu z dawniejszem postępowaniem mojem były to istotnie rzeczy skrajne i przesadne; ale w porównaniu z tem do czego obowiązywał mię habit mój i professya, pozostawały one daleko za kresem powinności. Z tego zaś mego opierania się słodkościom i pociechom Bożym tę korzyść odniosłam, że Pan sam dał mi naukę jakiej potrzebowałam. Przedtem wyobrażałam sobie, że chcąc otrzymać pociechy na modlitwie, potrzeba jaknajgłębszego odosobnienia się, zaczem i ledwo śmiałam zrobić naj-

mniejsze poruszenie: teraz przekonałam się, jak mało na tem zależy; bo właśnie gdy najbardziej starałam się rozerwać uwagę, Pan tem bardziej zalewał mię oną słodkością i chwałą, jakoby zewsząd mię ogarniającą, tak iż, kędykolwiekbym próbowała uciec, wszędy mi, że tak powiem, drogę zastępowała; mówię szczerze, jak było. Ja sprzeciwiałam się z usilnością, dochodzącą aż do zniemożenia. Ale większa była usilność Pańska w udzielaniu mi łask swoich, i więcej niż zwykle, w ciągu tych dwóch miesięcy objawiał się we mnie, abym lepiej zrozumiała, że nie jest w mocy mojej oprzeć się Jemu. Poczęła się we mnie wzmagać na nowo miłość świętego Człowieczeństwa: poczęła się i utwierdzać modlitwa moja, jako budowa na mocnym fundamencie oparta; poczęłam także więcej przykładać się do pokuty, której byłam zaniechała z powodu niemocy moich. Mąż on święty, który mię spowiadał, powiedział mi, że niektóre sposoby pokuty nie mogą mi zaszkodzić, i że może właśnie dla tego Bóg zsyła na mnie tyle chorób, że ja nie czynię pokuty, zaczem On sam mi ją w taki sposób zadaje. Przepisał mi niektóre umartwienia, które mi wcale nie przypadały do smaku. Wszystko jednak spełniałam, mając to przekonanie, że Pan sam tak mi każe, a jemu użycza łaski, aby takie mi dawał rozkazy, a ja abym słuchała. Już dusza moja odczuwała każdą, choćby w rzeczy najmniejszej, obrazę Boga, tak dalece, że jeśli kiedy, na przykład, zdarzyło mi się mieć w posiadaniu mojem jaką rzecz niepotrzebną, nie mogłam żadną miarą skupić się w sobie, póki się jej nie pozbyłam. Usilnie błagałam Pana, by mię trzymał w ręku swojem, i nie dopuszczał tego, bym dostąpiwszy szczęścia zostawania pod kierunkiem sług Jego, miała się cofnąć wstecz; zdawało mi się, że byłoby to wielką z mojej strony niegodziwością, gdyby powaga ich miała przezemnie ucierpieć w oczach ludzkich.

W tym czasie przybył do naszego miasta Franciszek, niegdyś książe Gandyi [1]), który na kilka lat przedtem wszystko

[1]) Św. Franciszek Borgia, w r. 1554 mianowany przez św. Ignacego komisarzem generalnym Towarzystwa Jezusowego na Hiszpanię i Indye, był

był opuścił, i wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Spowiednik mój, i on pan o którym mówiłam, skłonili go do odwiedzenia mnie, abym mogła z nim pomówić i zdała mu sprawę z mojej modlitwy wewnętrznej, znając wysoką świętobliwość jego, i wiedząc jak wielkiemi łaskami i darami duchownemi Bóg go obsypuje, odpłacając mu już i w tem życiu, za to że wiele dla Niego opuścił. Gdy więc wysłuchał wyznania mego, upewnił mię, że to, co we mnie się dzieje, jest z Ducha Bożego, i że zdaniem jego, nie dobrze byłoby dłużej jeszcze tym łaskom się opierać. chociaż dobrze zrobiłam, że dotąd przez posłuszeństwo im się sprzeciwiałam; lecz teraz już zawsze mam zaczynać rozmyślanie od której tajemnicy Męki Pańskiej, i jeśliby potem Pan zachwycił mię w duchu, bylebym sama się o to nie starała, już nie mam się opierać, jedno poddać się działaniu Boskiej mocy Jego. Tą radą swoją i takiem podanem mi lekarstwem okazał, jak daleki i wysoki był własny jego postęp w bogomyślności; bo w tych rzeczach wiele znaczy doświadczenie. Powtórzył mi raz jeszcze, że byłoby błędem, gdybym jeszcze chciała się opierać. Wielką z tej rozmowy miałam pociechę, i on pobożny przyjaciel mój także; niezmiernie rad był z zapewnienia, że przejścia moje są od Boga, i po dawnemu niósł mi pomoc i radę w czem tylko mógł, a mógł wiele.

Około tegoż czasu, spowiednik mój [1]) został przeniesiony z tego miejsca na drugie, co bardzo żywo odczułam, bo zdawało mi się, że bez niego znów się wrócę do dawnych grzechów moich, i że nie będzie mi podobna znaleźć drugiego takiego. Dusza moja czuła się jakby na puszczy, bardzo strapiona i strwożona; nie wiedziałam, co z sobą począć. Jedna z krewnych moich wystarała się o pozwolenie zabrania mnie do domu swego; a ja, skoro się u niej znalazłam, natychmiast

---

w Awili wiosną r. 1557, wracając z klasztoru hieronimitańskiego św. Justa w Estremadurze, gdzie nawiedzał cesarza Karola V, który po swojej abdykacyi z cesarstwa, dopełnionej w Brukselli r 1556, do tego klasztoru był się schronił, chcąc w samotności przygotować się na śmierć. Prócz opisanego tu spotkania, św. Teresa miała z nim później jeszcze drugie, jak o tem wspomina w liście do O. Rodryka Alvareza. Patrz *Tom I list 19.*

[1]) O. Jan de Padranos.

poczęłam się starać o drugiego spowiednika z tegoż Towarzystwa Jezusowego [1]). Łaskawem zrządzeniem Bożem zdarzyło mi się zawrzeć przyjaźń z jedną panią, wdową, osobą wysokiego rodu i bardzo pobożną [2]), która częste miewała stosun-

---

[1]) Święta w tym jednym wierszu zamyka zdarzenia całego roku, 42-go życia swego, o czem należy pamiętać, nie chcąc stracić wątku opowiadania jej, w tem miejscu trochę nazbyt zwięzłego. Św. Franciszek Borgia był w Awili wiosną r. 1557; zaraz po nim wyjechał stamtąd O. Jan Padranos; O. Baltazar Alwarez zaś, o którym Święta bez żadnego przejścia wspomina w następującem zaraz zdaniu, dopiero w r. 1558 otrzymał kapłaństwo. Między jednem więc a drugiem upłynął cały rok czasu. Widoczna stąd, że drugim spowiednikiem, jakiego Święta po wyjeździe O. Padranos sobie obrała, nie mógł być O. Baltazar Alwarez, jakby to z pobieżnego jej opowiadania wnosić można. Spowiednikiem jej w tym czasie, przynajmniej zwyczajnym, — bo i do innych Ojców tegoż Kollegium, jak się zdaje, od czasu do czasu się udawała, — był O. Ferdynand Alwarez, który i później także, gdy już zostawała pod dyrekcyą O. Baltazara, niekiedy ją, w zastępstwie tegoż, spowiadał. (Ob. niżej, r. XXIX).

[2]) Tą przyjaciółką św. Teresy, odtąd w dziejach Karmelu wsławioną, była Guiomar de Ulloa, pochodząca z jednego z najznakomitszych i najpobożniejszych rodów miasta Toro. Ojciec jej, Piotr de Ulloa, gubernator tego miasta, wcześnie ją odumarł; pobożna matka, Aldoncya de Guzman z Awili, troskliwe jej dała, gruntownie chrześcijańskie wychowanie. W pierwszej jeszcze młodości wydana za Franciszka de Sobralejo z Awili, podobnie jak matka, po krótkiem z nim pożyciu, męża straciła. Nie od razu jednak przedwczesna ta strata zdołała oderwać serce młodej wdowy od przywiązania do rzeczy znikomych, i podnieść je do pożądania dóbr wiecznych. „Posiadając, mówi o niej O. Ludwik de Ponte (*Żywot O. Baltazara Alwarez*, rozd. IX), wszelkie zalety, jakie popłacają u świata, rada była pokazywać się na nim i błyszczeć. Dopiero O. Baltazar Alwarez otworzył jej oczy, i ukazał jej marność wszelkich dóbr znikomych. Pod wodzą tego męża Bożego, prawa jej dusza rychło się zdobyła na porzucenie próżności i zbytków i zabaw tego świata, i cała siebie Panu na służbę oddała. Wzgardziwszy okazałością i pychą ziemską, zwinęła świetny dwór swój, nieodzowną tylko liczbę sług zatrzymując, i poczęła wieść życie skromne i ukryte, całkiem oddane modlitwie i uczynkom miłosiernym. Tą drogą dostąpiła niektórych wielkich łask od Pana, którego taki jest obyczaj, że czcią otacza tych, którzy dla miłości Jego wzgardzą samych siebie, i pociechy niebieskie daje tym, którzy dla miłości Jego wyrzekną się pociech ziemskich.“ Poznawszy i pokochawszy św. Teresę, namówiła ją zaraz do obrania sobie O. Baltazara Alwarez za spowiednika; przez nią później Święta poznała i św. Piotra z Alkantary. Niewzruszona przyjaźń i jedność ducha, od pierwszej chwili poznania aż do śmierci, łączyła tę niewiastę wy-

ki z Ojcami. Namówiła mię abym się udała do jej spowiednika [1]) zamieszkałam na kilka dni w jej domu, który był tuż blizko klasztoru Jezuitów. Ucieszyłam się niezmiernie z tej możności widywania ich często, sam już widok świętego ich życia mocno na mnie działał z wielkim dla duszy mojej pożytkiem.

Drugi ten Ojciec począł mię wieść do wyższej doskonałości. Mówił mi, że niczego nie powinnam zaniechać, co pełno uczynić mogę dla spodobania się Bogu w zupełności. Postępował jednak ze mną z wielką oględnością i łagodnością, bo jeszcze dusza moja nie miała potrzebnego męstwa, była przeciwnie jeszcze bardzo miękka, zwłaszcza gdy chodziło o porzucenie pewnych przyjaźni, w których choć nie było obrazy Boskiej, było jednak dużo ludzkiego przywiązania, i zdawało mi się, że zrywać je byłoby niewdzięcznością. Tak też wymawiałam się spowiednikowi, kiedy nie masz w tem obrazy Boskiej, mówiłam, czemuż więc miałabym okazywać się niewdzięczną? On na to zalecił mi, abym przez kilka dni tę sprawę polecała Bogu i odmawiała hymn *Veni Creator*, prosząc o światło ku poznaniu, co w tym razie będzie doskonalszego. Gdy więc pewnego dnia po długiem rozmyślaniu i błagalnej do Pana

---

braną z świętą odnowicielką Karmelu. Obaczymy niżej, z jaką gorliwością i poświęceniem siebie wspierała ją w rozpoczętem dziele reformy. Skoro stanął wreszcie klasztor św. Józefa w Awili, natychmiast postanowiła zamknąć się w nim z świętą przyjaciółką swoją, i zaliczyć się do rzędu jej córek; z jej ręki przyjęła habit zakonny, pragnąc aż do śmierci pozostać w tem błogiem schronieniu, które zwała, i słusznie, małym rajem na ziemi. Z bohaterskiem męstwem poddała się wszystkim surowościom reguły zreformowanej; nie siły jej nie dopisały, i ciężko zapadłszy na zdrowiu, zmuszoną była wystąpić z klasztoru. Wszakże ciałem tylko z nim się rozłączyła: serce jej pozostało w Karmelu. Utracone poniewolnie szczęście wspólnego z ulubieńcami Pańskiemi i seraficzną ich matką pożycia powetowała sobie pociecha istnie macierzyńskiej o doczesne ich potrzeby troskliwości, i aż do ostatniej chwili życia prawdziwą była dla nich Opatrznością. Szczególnie też w zakładaniu dalszych klasztorów dzielną i skuteczną była św. Teresie pomocą, przez co rzeczywiście stała się uczestniczką i wspólniczką wszystkich zasług jej i wszystkiego dobra, jakie dotąd zdziałało w Kościele, i aż do końca świata działać będzie wielkie dzieło podjęte i wykonane przez świętą odnowicielkę Karmelu.

[1]) O. Baltazara Alwarez.

modlitwie, aby mi dopomógł czynić wolę Jego we wszystkiem, zaczęłam on hymn, w ciągu odmawiania onegoż przyszło na mnie zachwycenie tak nagłe, że prawie całkiem odeszłam od siebie; nie mogłam żadnej o tem mieć wątpliwości, bo rzecz była jawna. Był to pierwszy raz, że mi Pan użyczał tej łaski zachwycenia. Usłyszałam te słowa: „Nie chcę już, byś obcowała z ludźmi, jedno z aniołami“. Wielki mię strach ogarnął, tak z powodu silnego wstrząśnienia, jakie w duszy mojej sprawiło zachwycenie, jak i dla tego, że słowa one brzmiały gdzieś w najdalszej głębi ducha mego. Byłam więc przestraszona, do czego zapewne przyczyniła się także nowość rzeczy, przedtem mi nieznanej; ale z drugiej strony uczułam i wielką pociechę, która i potem, gdym ochłonęła z przerażenia mego, we mnie pozostała.

Słowa one Boskie najzupełniej we mnie się sprawdziły, bo od onego czasu nigdy już nie zdołałam powziąć przyjaźni ani znajdować przyjemności, ani szczególną łączyć się miłością, jedno z takimi, w których widziałam miłość Boga nad wszystko, i ochotną do służby Jego gotowość. Nie potrafię inaczej, ani zważam na to, czy to krewni lub dawni przyjaciele: z wyjątkiem dusz oddanych bogomyślności, przestawanie z kimbądź innym jest dla mnie krzyżem uciążliwym; tak mnie się przynajmniej zdaje, owszem sądzę, że bez żadnej wątpliwości mogę twierdzić że tak jest. Od onego dnia takiego nabrałam męstwa do opuszczenia wszystkiego dla Boga, jak Jemu spodobało się w tej jednej chwili,—bo dłużej to, zdaje mi się, nie trwało,— służebnicę swoję w inszego człowieka przemienić. Już teraz nie było potrzeba przynaglać mię rozkazem. Przedtem spowiednik mój, widząc mię tak mocno uwikłaną w one przywiązania, nie śmiał kazać mi stanowczo bym się ich wyrzekła; snać czekał, ażby Pan sam to zdziałał, jako i uczynił; bo ja już nie spodziewałam się, bym zdołała z tych więzów się wyzwolić. Tak ciężką mi była ta walka, że już myślałam jej zaniechać, pocieszając się tem, że nie chodzi tu o rzecz zdrożną. Pan sam potargał więzy moje i dał mi męstwo do wykonania tej ofiary. Wyznałam to wszystko spowiednikowi mojemu, i wyrzekłam się wszystkiego według zalecenia jego; tym zaś, z któremi przed-

tem w tak czułej żyłam przyjaźni, przykład mój i odwaga, z jaką się od nich oderwałam, wielką stały się zachętą i pomocą ku dobremu. Niech będzie Bóg błogosławiony na wieki, iż w jednej chwili uczynił mi to wyzwolenie, którego ja wszystką przez wiele lat pracą moją, wywalczyć na sobie nie mogłam, choć nieraz tak usilnie z sobą walczyłam, że zdrowie moje mocno na tem cierpiało. Gdy zaś raczył to sprawić we mnie Ten, który możny jest i prawdziwy Pan wszystkiego stworzenia, bez najmniejszej już trudności ani przykrości ofiarę tę spełniłam.

ROZDZIAŁ XXV.

Jakim sposobem dusza może rozumieć słowa, które Bóg do niej mówi niesłyszalnie. O niektórych złudach, jakie się pod pozorem tej mowy wewnętrznej zdarzyć mogą. Po czem je poznać.

Nie będzie, jak sądzę, od rzeczy, że bliżej objaśnię sposób i rodzaj tej mowy, którą Bóg czyni do duszy, i czego dusza pod jej wpływem doznaje, abyś Wasza Miłość to zrozumiał; bo od onego dnia, w którym Pan, jak mówiłam, pierwszy raz użyczył mi tej łaski, bardzo często aż do tego czasu ją otrzymuję, jak się to okaże z dalszego ciągu opowiadania mego. Są to słowa zupełnie wyraźne, ale uszyma ciała ich nie słychać, a przecie rozumie się je bez porównania jaśniej, niż gdyby się je słyszało, i uchylić się od rozumienia ich, jakkolwiekby się kto opierał, usilność daremna. Tu na ziemi, gdy nie chcemy słyszeć słowa ludzkiego, możemy zatkać sobie uszy, albo w inną stronę uwagę naszę skierować, i tak słyszeć tylko brzmienie słów, ale znaczenia ich nie rozumieć. Lecz od tej mowy, którą Bóg podaje do duszy, nie masz sposobu się obronić: słowa tej mowy, choćby nam były niemiłe, zmuszają nas do słuchania, i rozum, czy chce czy nie chce, musi uważać na to i rozumieć, co Bóg chce abyśmy usłyszeli i zrozumieli. Przez to On, który wszystko może, daje nam uczuć, że czego chce,

to musi się spełnić, i objawia się prawdziwym i wszechwładnym Panem naszym. Wiem o tem z własnego, wielokrotnego doświadczenia: przez dwa lata [1]), bojąc się bardzo by nie było w tem ułudy diabelskiej, opierałam się tej mowie wewnętrznej, i teraz jeszcze niekiedy próbuję się opierać, ale napróżno.

Chciałabym wykazać złudzenia i błędy, jakie się tu zdarzyć mogą; chociaż kto już dobrze w tych rzeczach doświadczony, sądzę, że rzadko kiedy im ulegnie, albo i nigdy; ale potrzeba na to dużego doświadczenia. Chciałabym również zaznaczyć różnicę, jaka zachodzi między mową ducha dobrego a mową ducha złego, albo jeszcze mową, jaką sam rozum, co zdarzyć się może, w sobie wytwarza, i w duchu sam mówi do siebie; nie wiem czy to ostatnie być może, ale dotąd zdawało mi się że tak. Kiedy Bóg mówi, wiem o tem z doświadczenia w wielu zdarzeniach nabytego, że to co mówi, niezawodnie się spełni: wiele rzeczy, zapowiedzianych mi na dwa, trzy lata naprzód, bez pochyby się sprawdziło, i dotąd ani jedna taka zapowiedź nie okazała się mylną. Są inne jeszcze znaki, po których jasno się poznaje ducha Bożego, jak o tem powiem niżej.

Może kto, jak sądzę, w chwili gdy żarliwie i z wielkiem pożądaniem jaką sprawę Bogu poleca, wyobrazić sobie, że słyszy wewnętrznie coś jakby odpowiedź, że to o co prosi, stanie się lub nie; jest to rzecz bardzo możliwa. Ale kto kiedy słyszał w sobie on drugi rodzaj mowy tej, która jest od Boga, ten jasno jedno od drugiego rozróżni, bo różnica jest wielka. Jeśli jest to mowa, którą rozum tworzy z siebie, jakkolwiekby to czynił subtelnie, zawsze będzie czuł, że to on sam coś w sobie układa, i sam mówi. Co innego jest, układać samemu mowę, a co innego słuchać mowy drugiego: tu zaś rozum widzi, że nie słucha, jedno że sam działa. Prócz tego, słowa te, które rozum sam tworzy, mają w sobie coś jakby głuchego i zawiłego; brak im tej jasności jaką posiadają tamte; ztąd też jest w mocy naszej, od tych słów własnego rozumu odwrócić uwagę, tak jak kto mówi, może zamilknąć: ale na oną mowę Boga

[1]) Było to, według Bollandystów, między rokiem 1557 a 1559, w 42-m i 43-cim roku życia Świętej.

w duszy nie masz sposobu nie zważać. Nakoniec, jest jeden jeszcze znak, najpewniejszy z wszystkich: mowa własnego umysłu nie sprawuje skutków: mowa ona przeciwnie, którą mówi Pan, jest słowem zarazem i czynem; i chociażby słowa Jego nie zmierzały wprost do wzbudzenia w nas pobożności i miłości, jedno do karcenia nas za uchybienia nasze, od razu przecie zmieniają nasze usposobienie wewnętrzne, i czynią duszę zdolną i ochotną do wszystkiego, i miękką i podatną, i światło, i wesele, i pokój jej przynoszą; i jeśli dusza była w oschłości, nękana zamięszaniem wewnętrznem i niepokojem, wszystko to jakby za obróceniem ręki nie tylko od niej odpada, ale i w słodkość i roskosz wewnętrzną jej się zamienia: snać chce Pan, aby po tem poznała wielmożność Jego, a iż słowa Jego są czynami. Taka więc, zdaniem mojem, zachodzi tu, ni mniej ni więcej, różnica, jaka jest między mówieniem a słuchaniem. Bo, jak już powiedziałam wyżej, kiedy sama mówię, zbieram i układam rozumem to, co mam powiedzieć: ale kiedy kto inny mówi do mnie, żadnej tu pracy nie mam, tylko słucham. Tamta mowa rozumu jest jakoby czemś nie dającem się ściśle określić, jakby marzeniem człowieka na wpół śpiącego, ta druga, Boża mowa przeciwnie, ma głos tak wyraźny, że słuchający nie straci z niej ani jednej zgłoski. Nieraz bywa tak, że mowa ta daje się słyszeć w chwili, kiedy dusza w takim jest wewnętrznym odmęcie, i rozum ma tak roztargniony, że nie zdoła się zdobyć ani na jednę myśl porządną, a jednak, od pierwszego słowa tej mowy, jak już wspomniałam, cała się zmienia, i takie w sobie znajduje gotowe, przez on głos Boży jej podane wysokie prawdy i tajemnice, jakichby sama, przy największem nawet skupieniu, dojść nie potrafiła: tem bardziej jeszcze, jeśli to się dzieje w czasie zachwycenia, gdy władze duszy zostają w zawieszeniu: jakżeby wówczas mogła przyjść sama z siebie do zrozumienia takich rzeczy, które i przedtem nigdy jej w myśli nie postały? albo jak mogłyby jej przyjść na myśl w zachwyceniu, kiedy pamięć jakoby zgoła nie działa, a wyobraźnia jest, rzecby można, zbita z tropu?

Jednę tu jeszcze zrobię uwagę: widzenia, jakie dusza mieć, albo słowa wewnętrzne, jakie słyszeć może, nigdy, jak mnie

się zdaje, nie przychodzą w czasie gdy dusza, w samemże zachwyceniu, złączona jest z Bogiem; w tym czasie bowiem, — jak to już podobno objaśniłam wyżej, mówiąc o drugim sposobie podlewania ogrodu [1]), — wszystkie władze duszy całkiem się gubią w Bogu, i w takim stanie nie zdaje mi się, by cokolwiekbądź widzieć albo słyszeć, albo rozumieć mogła. Cała jest wtedy w mocy większego, i w tym czasie, który zresztą trwa bardzo krótko, Pan, jak mnie się widzi, nie pozostawia jej żadnej, do niczego, wolności. Ale i po przejściu tej krótkiej chwili, dusza pozostaje jeszcze w zachwyceniu, i wtedy to dzieje się to, o czem mówię; władze wówczas już nie są zgubione w Bogu, lubo i teraz prawie nic nie działają; są jakoby pochłonięte i niezdolne do pracowania myślą.

Tyle jest różnych sposobów do rozpoznania różnicy między mową wewnętrzną, pochodzącą od Boga, a taką która skąd inąd pochodzi, że choć kto może raz w tym względzie się omylić, omyłka ta przecie nie powtórzy się często; owszem, twierdzę bez wahania, że dusza należnie wyćwiczona a roztropna, jasno i z wszelką łatwością pozna tę różnicę. Pominąwszy inne znaki, ułatwiające to rozpoznanie, wspomnę tu tylko następujące. Słowa pochodzące z nas samych nie sprawują skutku, i dusza ich nie przyjmuje: słowa pochodzące od Boga przyjąć musi, choćby nie chciała. Tamtym dusza nie daje wiary; wydają jej się one raczej jakby próżne rojenia umysłu, i tyle na nie zważa, ileby zważała na bredzenie człowieka w malignie. Ta druga mowa przeciwnie, takie na nas robi wrażenie, jak gdybyśmy słyszeli mówiącą do nas osobę bardzo świętą i uczoną, i poważną, i dającą nam wszelką pewność, że kłamać nie może; a i to porównanie jeszcze bardzo jest niskie; bo słowa te nieraz taki mają w sobie majestat, że nie zważając nawet od kogo one pochodzą, niepodobna nie zadrżeć, jeśli są to słowa nagany i karcenia, niepodobna nie rozpłynąć się z miłości, jeśli są to słowa łaskawości i dobroci. Nadto, jak już mówiłam, słowa te objawiają nam rzeczy, które nam nigdy w myśli nie postały, i w jednej chwili wypowiadają tyle tak głębo-

[1]) Ob. wyż. rozdz. XX, str. 158.

kich i wspaniałych wyroków, iż na samo zebranie i ułożenie ich rozumem nie małegoby czasu potrzeba: w obec tego, sądzę, niepodobna nie uznać, że nie jest to sprawa naszego utworu, jedno sprawa Boska. Nie mam więc potrzeby dłużej się nad tem zatrzymywać; ktokolwiek ma doświadczenie, ten, zdaniem mojem, dziwnym tylko trafem mógłby w tym punkcie uledz złudzeniu, chybaby sam rozmyślnie łudzić się chciał.

Zdarzyło mi się nieraz, że powstawała we mnie wątpliwość, czy mam wierzyć temu co mi było powiedziano, czy nie było to proste przywidzenie, — to jest później dopiero, gdy głos on przeminął, bo póki go słyszysz, wątpić niepodobna: — a przecie, nieraz po długim czasie, to co słyszałam, spełniło się. Bo Pan tak mówi, że słowa Jego pozostają w pamięci, i niepodobna ich zapomnieć; gdy przeciwnie, słowa pochodzące z własnego umysłu naszego, są jakoby pierwszem poruszeniem myśli które przemija i idzie w zapomnienie. Słowo Boga jest trwałe i rzeczywiste jak czyn: choć z upływem czasu może się zatrzeć do pewnego stopnia pamięć o niem, ale nigdy tak zupełnie, by całkiem wyszło z pamięci, chyba że upłynie czas bardzo długi, albo że to były słowa łaskawości czy nauki; ale słów proroczych, sądzę, że nigdy się nie zapomina; mnie przynajmniej nigdy się to nie zdarzyło, choć pamięć mam słabą. Powtarzam raz jeszcze: różnica między słowem Bożem a słowem ludzkiem poznaje się z łatwością; i zdaje mi się rzeczą niepodobną by dusza, — chybaby, co nie daj Boże, tak była przewrotną, iżby chciała rozmyślnie udawać, i twierdziła że słyszy, kiedy tak nie jest, — nie widziała jasno i nie czuła tego, kiedy sama sobie mowę wewnętrzną układa, i sama mówi do siebie; zwłaszcza jeśli choć raz słyszała mowę Ducha Bożego; bo jeśli nie słyszała, całe życie może pozostawać w złudzeniu, i wyobrażać sobie, że Bóg do niej mówi. Przyznaję jednak, że co do mnie, złudzenia takiego nie pojmuję. Bo albo dusza ta pragnie słyszeć one mowy, albo nie. Jeśli, jak przypuszczam, nie pragnie tego, jeśli zatem, jak w takim razie być powinno, dręczy się gdy co usłyszy, i wolałaby nigdy nic nie słyszeć, z powodu tych udręczeń i trwóg, i innych wielu rzeczy tym podobnych, pragnąc raczej mieć spokój na modlitwie: jakże więc, gdy mi-

mo to kiedy sama do siebie przemówi, może jeszcze łudzić się i nie widzieć tego, że to własna jej mowa, skoro tyle musiała miejsca i czasu pozostawić rozumowi, na zebranie i ułożenie myśli do niej potrzebnych? Boć czasu na utworzenie takiej mowy potrzeba. Co innego, mowa Boża: tu w jednej chwili otrzymujemy oświecenie i naukę, i w mgnieniu oka poznajemy rzeczy, na których ułożenie rozumowi snać miesiąca czasu ledwoby starczyło, i taka nieraz wspaniałość ich i głębokość, że w obec nich samże rozum i duszę całą przerażenie ogarnia. Jest to szczera prawda; i ktokolwiek pozna te rzeczy z własnego doświadczenia, ten przekona się, że co do słowa tak jest, jak powiedziałam. Chwała bądź Panu, że potrafiłam to wszystko określić. Na zakończenie tych uwag co do mowy własnego umysłu, dodam jeszcze ten znak: mowę tę możemy usłyszeć ile razy zechcemy, i będąc na rozmyślaniu zawsze możemy sobie wyobrazić, że kto mówi do nas. Inaczej rzecz się ma z mową Bożą: mogę dniami całemi czekać i pragnąć usłyszenia jej, i nic nie usłyszę; przeciwnie, w danej chwili, choćbym nie chciała, muszę, jak już mówiłam, ją słyszyć. Ktoby chciał twierdzić, na oszukanie świata, że słyszy słowa od Boga, kiedy słyszy tylko własną mowę swoję, tego, sądzę, małoby kosztowało dodać, że słyszy te słowa uszyma ciała. Ja też, szczerze wyznaję, nigdy przedtem nie przypuszczałam, by mógł być inny sposób widzenia i słyszenia, i poznawania, jedno za pomocą zmysłów, dopóki mię własne doświadczenie nie przekonało, że byłam w błędzie; ale doświadczenie to okupiłam nielada cierpieniem.

Mowa wewnętrzna, pochodząca od złego ducha, nie tylko nie sprawuje żadnych dobrych skutków, ale przeciwnie pozostawia po sobie złe. Zdarzyło mi się to nie więcej niż dwa albo trzy razy, i natychmiast miałam ostrzeżenie od Pana, że to sprawa diabelska. Oprócz wielkiej oschłości, jaką w niej ta mowa nieprzyjaciela pozostawia, powstaje w duszy pewien niepokój, podobny do onego, jakiego często doświadczałam w wielkich, jakie Pan na mnie dopuszczał, pokusach i różnego rodzaju utrapieniach wewnętrznych; jest to męka duchowna, której dziś jeszcze nieraz doznaję, jak o tem powiem w swojem miej-

scu. Niepokój ten niewiadomo skąd pochodzi: czuje się tylko, że dusza opór stawia, i trwoży się i smuci, sama nie wie czego: bo w onych słowach ducha ciemności na pozór nic nie masz złego, przeciwnie, wydają się dobremi. Trwoga ta i smutek, jak sądzę, pochodzą z tajemniczego, jakie duch na sobie czuje, zetknięcia z drugim duchem. Smak duchowny i pociechy, jakie on wzbudza, bardzo, zdaniem mojem, się różnią od tego, czego doświadcza dusza, słysząc słowa Boga. Może on niemi takich tylko oszukać, którzy nigdy nie kosztowali prawdziwych pociech Bożych, tego, mówię, prawdziwego wesela duchownego, które jest słodkie zarazem i mocne, i duszę do dna przenikające, i lubości pełne, a spokojne. Bo one marne pobożnostki, rozpływające się we łzach i czułych uniesieniach, które za pierwszym najlżejszym powiewem prześladowania nikną i więdną nakształt kwiatków niedoszłych, nie zasługują, zdaniem mojem, na miano pobożności i prawdziwej w Bogu pociechy. Są to zapewne dobre zawiązki i pobożne duszy poczynającej usposobienia, ale do rozróżnienia tych skutków ducha dobrego czy ducha złego, takie początki nie wystarczą. Dobrze więc będzie, w tych rzeczach postępować zawsze z wielką oględnością: bo dusze takie, któreby na drodze modlitwy wewnętrznej nie dalej jeszcze postąpiły od tych pierwszych łask i pociech, łatwo, gdyby im przyszły widzenia i objawienia, mogłyby uledz oszukaniu. Ja tych ostatnich dwu łask nigdy nie miewałam, aż do czasu, kiedy Bóg z czystej dobroci swojej użyczył mi modlitwy zjednoczenia; z wyjątkiem tylko onego pierwszego widzenia, o którem mówiłam wyżej [1]), gdy już wiele lat temu ukazał mi się Chrystus Pan; bodajbym wówczas z Boskiej łaskawości Jego była zrozumiała, jak zrozumiałam później dopiero, że było to prawdziwe widzenie; niemałą byłabym z tego korzyść odniosła.

Mowa i działanie złego ducha nie sprawuje w duszy pociechy ani pokoju, przeciwnie, pozostawia w niej wielki niesmak i strwożenie. Mam to za rzecz pewną, że diabeł nigdy nie zdoła, ani mu Bóg nie pozwoli oszukać duszy, nie ufającej w niczem samej sobie, a mocno utwierdzonej w wierze, gotowej tysiąc

[1]) Ob. wyż. rozdz. VII.

razy umrzeć za każdy artykuł wiary; która zatem, tak kochając wiarę, i biorąc za to od Boga coraz nowe wiary żywej i mocnej wlanie i pomnożenie, pilnie tego przestrzega, aby we wszystkiem postępowała zgodnie z tem, czego uczy Kościół, i pyta, i szuka rady u tych, którzy ją w tem oświecić mogą; która, słowem, tak niezachwianie jest w tych prawdach usadowiona, iż żadne jakiebądź objawienia, i chociażby niebo ujrzała nad sobą otwarte, nie zdołają jej odwieść od jednego najmniejszego punktu nauki Kościoła. Jeśliby kiedy spostrzegła w sobie jakie zawahanie się co do którego artykułu wiary, jeśliby jej przyszła myśl taka: kiedy Bóg mi to mówi, a więc może to być tak samo prawdą jak to co objawiał świętym: taka wątpliwość w wierze i taka myśl, choć się dusza przy nich nie zatrzyma, — bo dobrowolne przy nich zatrzymanie się, każdy widzi że byłoby już wielkiem złem, — będzie oczywiście początkiem pokusy diabelskiej, wzniecającym w niej pierwsze do złego poruszenie. Choć i te pierwsze poruszenia rzadko kiedy, jak sądzę, poczuje w sobie dusza tak mocno utwierdzona w wierze, jak to Bóg zwykł sprawować w tych, którym tych łask użycza, i stąd taką w sobie siłę czująca, iż gotowaby, rzekłbyś, zdławić i rozszarpać wszystkich czartów w obronie jednej najmniejszej z prawd, jakie Kościół podaje. Jeśli więc dusza nie widzi w sobie takiego męstwa wiary, i jeśli uczucia pobożne i widzenia, jakie miewa, męstwa tego w niej nie sprawują, takim uczuciom i widzeniom, ostrzegam, niechaj nie dowierza. Chociażby nie od razu uczuła szkodę z nich wynikającą, powoli jednak szkoda może stać się wielką; bo o ile ja widzę i wiem z doświadczenia, sposób przekonania się, czy dana rzecz lub mowa jest od Boga, polega na sprawdzeniu, czy ona się zgadza z Pismem Świętem; bo gdyby w czemkolwiek od niego odstępowała, bez porównania silniejsze, rzec mogę, miałabym przekonanie, że jest to sprawa diabelska, niż dzisiaj jestem przekonana, choć przekonana jestem najmocniej, że to co w sobie słyszę, jest mową Bożą. Tu już nie potrzeba mi szukać dalszych znaków, dla poznania, jakiego ducha to sprawa; bo ten jeden znak tak jasno mię przekonywa, iż jest to sprawa ducha złego, że chociażby cały świat mię upewniał, iż jest to

sprawa Boża, nie uwierzyłabym. Nie brak jednak i innych znaków: kiedy zły duch mówi do duszy, wszystko co w niej jest dobrego, kryje się, rzekłbyś i uchodzi; ogarnia ją niesmak i zamięszanie wewnętrzne, żadnej nie czuje w sobie siły do czynów cnotliwych; bo choć kusiciel wzbudza w niej na pozór dobre pożądania, pożądania te pozostają bez skutku: pozostawia w niej rzekomo pokorę, ale fałszywą, niespokojną, pozbawioną wszelkiej słodkości. Ktokolwiek doświadczył na sobie skutków ducha dobrego, ten sądzę, zrozumie co mówię. Z tem wszystkiem jednak diabeł chytry jest, i na wiele różnych sposobów może nam czynić zasadzki; nigdy więc nie mamy tu takiego bezpieczeństwa, by nie było bezpieczniej bać się, i mieć się zawsze na baczności, i obrać sobie stałego przewodnika, takiego mianowicie, któryby posiadał naukę, i niczego przed nim nie ukrywać; przy zachowaniu tych ostrożności, żadna już szkoda spotkać nas nie może.

Ja miałam szkody, i wielkie, od niektórych, zbytnią w tych rzeczach bojaźnią się powodujących, mianowicie w jednem zdarzeniu, które tu opowiem. Pewnego razu zebrało się kilku mistrzów duchownych, do których wielkie miałam zaufanie, jak i zasługiwali na to; bo chociaż wówczas już spowiadałam się tylko u jednego, wszakże nieraz, z polecenia spowiednika otwierałam się i przed tymi drugimi, którzy zatem radzili między sobą o potrzebach moich, bo w wielkiej swej dla mnie przychylności, obawiali się czy nie podlegam jakiemu oszukaniu. I ja też w bardzo wielkiej byłam o to obawie, choć tylko po za czasem modlitwy, bo na modlitwie, Pan, użyczając mi jakiej łaski, zaraz mię uspakajał. Było, zdaje mi się, zebranych pięciu czy sześciu, sami bardzo gorliwi słudzy Boży. Po naradzie, spowiednik mój oznajmił mi, że wszyscy zgodnie osądzili, iż wewnętrzne przejścia moje są sprawą ducha złego; że powinnam mniej często przystępować do Komunii, i starać się o rozrywki, i unikać samotności. Ja i tak już, jak mówiłam, byłam niezmiernie bojaźliwa; przyczyniało się do tego i cierpienie moje sercowe, tak iż często w biały dzień bałam się pozostawać sama w pokoju. Widząc tedy mężów tak znakomitych

twierdzących rzecz, której ja uwierzyć nie mogłam, wielki bardzo miałam niepokój w sumieniu, bo zdawało mi się, że to brak pokory z mojej strony; byli to wszyscy bez wyjątku ludzie niezrównanie cnotliwsi ode mnie, a przytem uczeni: jakże więc mogłam im nie wierzyć? Walczyłam z sobą z wszystkiej siły mojej, aby się zdobyć na wiarę; stawiałam sobie przed oczy niecnotliwe życie moje, mówiłam sobie, że wyrok ich z niem się zgadza, że co oni mówią, musi być prawdą. W tem strapieniu mojem, pewnego dnia wyszłam z kościoła [1]) i schroniłam się do samotnej kaplicy [2]). Od wielu dni już pozbawiałam się Komunii, pozbawiałam się i samotności, która była całą pociechą moją: nie mając przytem ani jednej duszy, z którąbym mogła przestawać, bo wszyscy byli przeciwko mnie. Jedni snać wyśmiewali się ze mnie, uśmiechając się litośnie, gdy im o tych rzeczach mówiłam, jak gdybym bredziła nie do rzeczy; drudzy ostrzegali spowiednika, aby się ze mną miał na baczności; inni jeszcze wprost mi mówili, że oczywiście diabel mię opętał; jeden tylko spowiednik mój, choć także,—dla wypróbowania mnie, jak się później dowiedziałam, — zdawał się podzielać ich zdanie [3]), zawsze jednak mię pocieszał, i mówił mi, że chociażby to była sprawa diabelska, nic mi to przecie nie może zaszkodzić, skoro nie obrażam Boga; że wszystko to przejdzie, bylebym usilnie prosiła Boga. Sam też bardzo się modlił za mną, i wraz z nim wszystkie dusze, które spowiadał, i innych wielu; a wszystkie te modlitwy moje, i wszystkich, ilu ich znałam, sług Bożych, do tego zmierzały, aby Bóg w łaskawości swojej raczył mię na inszą drogę wprowadzić. Trwało to, zdaje mi się, ze dwa lata, że tak ustawicznie o to jedno Pana prosiłam.

---

[1]) Był to, jak twierdzi Ribera, kościół OO. Jezuitów.

[2]) We własnym Świętej klasztorze.

[3]) Toż samo stwierdzają Ribera w „Życiu św. Teresy“, i O. Ludwik Du Pont w „Życiu O. Baltazara Alwarez“. Oba zgodnie świadczą, iż dla wypróbowania i umartwienia świętej swej penitentki, O. Baltazar nieraz umyślnie jej mówił, że słowa które w sobie słyszy, bardzo mogą pochodzić od ducha złego.

Nic jednak nie mogło mię pocieszyć w strapieniu mojem, na wspomnienie o tem, żeby diabeł tyle razy miał mówić do mnie. Bo i teraz, choć już nie miewałam moich godzin samomości na modlitwie, Pan wśród towarzystwa i rozmowy z drugimi sprawował we mnie zebranie wewnętrzne, i wbrew mojemu opieraniu się, mówił do mnie co Mu się powieszczeć podobało, a ja, choć nie chciałam, musiałam słuchać. Gdym tedy, jak mówiłam, zostawała sama w kaplicy, nie mając nikogo, komubym się zwierzyć mogła, niezdolna ani do modlitwy ani do czytania, strapiona i znękana, przerażona strachem, na myśl, że jestem igraszką zdrady diabelskiej, strwożona do głębi duszy i ogarniająca się pod ciężarem smutku, sama już nie wiedziałam, co z sobą począć. Nieraz, i po wiele razy znajdowałam się w podobnem strapieniu; ale nigdy ono, zdaje mi się, nie dochodziło do takiej skrajnej ostateczności, jak wonczas. Pozostawałam tak cztery czy pięć godzin, żadnej, ani z nieba ani od ziemi, nie mając pociechy, jakoby opuszczona od Pana w cierpieniu mojem i pod grozą ścigającego mię widma tysiącznych niebezpieczeństw. O Panie mój, jakże wówczas okazałeś, żeś Ty sam przyjaciel prawdziwy, a możny, iż mocen jesteś uczynić cokolwiek zechcesz, i nigdy nie przestajesz miłować tych, którzy Ciebie miłują! Niechaj Cię chwali wszystko stworzenie, wszechwładny Panie świata! O, ktoby mi dał głos i siłę, bym mogła na cały świat ogłosić, jak wiernym Ty jesteś przyjaciołom Twoim! Wszystko zawodzi: Ty, Panie wszech rzeczy, nigdy nie zawodzisz. A cierpienia, które dopuszczasz na tych, którzy Cię miłują, jakże są maluczkie i krótkie! Z jakąż, o Panie mój, delikatnością, z jakim wdziękiem, z jaką słodkością, umiesz Ty z nimi się obchodzić! O, ktoby nigdy się nie był zatrzymał na żadnej innej miłości, a od początku i zawsze miłował tylko Ciebie samego! Snać na to tylko dotkliwemi próbami doświadczasz miłujących Ciebie, aby w nadmiarze strapienia objawił się większy jeszcze nadmiar miłości twojej. O Boże mój! ktoby mi dał rozum i naukę, i słowa nowe, abym umiała wysławiać dzieła twoje, tak jak je dusza moja pojmuje! Wszystkiego tego mi brak, i nieudolność moja zawodzi chęci moje, lecz jeśli jedno Ty, Panie mój, mnie nie opuścisz,

ja Tobie zawodu nie zrobię. Niech powstają przeciwko mnie wszyscy uczeni, niech mię prześladuje wszystko stworzenie, niech mię nękają czarci, bylebyś Ty nie wypuścił mnie z ręki twojej, niczego się nie lękam: bo już doznałam tego, i wiem z własnego doświadczenia, z jakim zyskiem Ty z utrapienia wywodzisz tych, którzy w Tobie samym ufność swą pokładają. Bo gdym tak była pogrążona w onem tak wielkiem strapieniu mojem, choć było to w czasie, gdy żadnych jeszcze widzeń nie miewałam, usłyszałam w sobie słowa mówiącego do mnie, i dość było tych słów na rozpędzenie smutku mego i przywrócenie mi zupełnego spokoju: — „Nie bój się córko. Jam jest, i nie opuszczę ciebie; nie lękaj się."

Sądzę, że w tym stanie, w jakim się na chwilę przedtem znajdowałam, żadne najpoważniejsze, całemi godzinami, namowy i przedstawienia nie byłyby zdołały przywrócić mi spokoju; a oto od tych jednych słów takie w sobie uczułam uspokojenie, taką siłę, taką odwagę, takie bezpieczeństwo, taką pogodę i jasność wewnętrzną, że w jednej chwili dusza moja jakoby w inną się przemieniła, i gotowabym była bodaj całemu światu czoło stawić o to, że słowa, które słyszałam, były od Boga. O, jakiż dobry Bóg! O, jaki dobry Pan, i jaki możny! Nie tylko radę daje, ale i lekarstwo. Słowa Jego są czynem. Od tych słów, o Boże wielki! jakże się utwierdza wiara, jak się pomnaża miłość! Często, upewniam, stawała mi na myśli ona nawałność wielka, którą Pan jednem słowem uśmierzył, i rozkazał wiatrom i morzu, i stało się uciszenie wielkie [1]). Tak i ja mówiłam sobie: Kto jest Ten, iż tak wszystkie władze duszy mojej są Mu posłuszne, który w jednej chwili, wśród takich ciemności daje światłość, i zmiękcza serce, zdawało się, kamienne, i łzy słodkie wywodzi ze źródła, oddawna, zdawało się, wyschłego? Kto jest Ten, który takie we mnie wzbudza pożądania? Kto jest Ten, który taką mię odwagą napełnia? Zatem myślałam sobie: Czegoż jeszcze się lękam? Co robię? Pragnę służyć temu Panu, niczego więcej nie żądam, jedno bym się Jemu spodobała; nie chcę innego zadowolnienia, pociechy i do-

[1]) Mar. 4, 39.

bra, jedno spełnienia woli Jego: bo tego, zdaje mi się, zupełnie byłam pewna, mogę to twierdzić bez wahania. A jeśli Pan ten jest potężny i możny, jako widzę że jest, jako wiem że jest, i jeśli złe duchy są niewolnikami Jego, jako nie masz wątpienia że są, bo tak uczy wiara: cóż więc oni mogą mi zrobić złego, skoro jestem służebnicą tego Pana i Króla najwyższego? Czemuż więc miałoby mi zabraknąć odwagi do walki chociażby z całem piekłem? Brałam do ręki krzyż, i snać rzeczywiście Bóg mi dodawał odwagi, bo tak w jednej chwili czułam się odmienioną, iż nie byłabym się ulękła wyzwać ich wszystkich na rękę, tak byłam pewna, że tym krzyżem z łatwością ich zwyciężę: — Pódźcie teraz wszyscy, ilu was jest; jestem służebnicą Pańską, obaczymy co mi potraficie zrobić.

Od tego czasu, twierdzę to bez wahania, oni raczej bali się mnie; ja byłam zupełnie spokojna, nic zgoła się nie lękając całego ich wojska, i wszystkie strachy jakie przedtem, aż do onej chwili miewałam, znikły bez śladu. Nieraz potem widziałam ich na oczy, jak niżej opowiem; ale nic mnie ich widok nie straszył, raczej oni, zdawało mi się, drżeli przede mną. Taką odtąd, z szczególnego daru Tego, który jest Panem wszystkich, nad nimi władzę zachowałam, że tyle dbam o nich, co o brzęczenie muchy. Są to, zdaniem mojem, ostatni tchórze: skoro poczują, że masz ich za nic, tracą odwagę i siła ich opuszcza. Mężni są ci wrogowie nasi tylko z takimi, którzy uciekają od walki, i tego tylko napastują, kogo widzą, że sam się im poddaje; sług Bożych mogą, gdy Bóg im pozwoli, kusić i dręczyć, ale Bóg te pokusy i udręczenia na to tylko dopuszcza, aby były na większy pożytek tych, którzy są Jego. Dałby Pan w Boskiej łaskawości swojej, byśmy umieli bać się tylko tego, czego rzeczywiście bać się powinniśmy, byśmy zrozumieli tę prawdę niezawodną, że jeden grzech powszedni większą nam szkodę wyrządzić może, niż wszystkie razem potęgi piekielne. Jeśli czarci strachem nas przerażają, to dla tego tylko, że sami sobie do strachu powód dajemy naszem przywiązaniem do honorów, do majętności, do roskoszy; wtedy oni, sprzymierzając się z nami, którzy sami sobie stajemy się nieprzyjaciołmi, kochając się w tem, i pożądając tego, czembyśmy się

ja Tobie zawodu nie zrobię. Niech powstają przeciwko mnie wszyscy uczeni, niech mię prześladuje wszystko stworzenie, niech mię nękają czarci, bylebyś Ty nie wypuścił mnie z ręki twojej, niczego się nie lękam: bo już doznałam tego, i wiem z własnego doświadczenia, z jakim zyskiem Ty z utrapienia wywodzisz tych, którzy w Tobie samym ufność swą pokładają. Bo gdym tak była pogrążona w onem tak wielkiem strapieniu mojem, choć było to w czasie, gdy żadnych jeszcze widzeń nie miewałam, usłyszałam w sobie słowa mówiącego do mnie, i dość było tych słów na rozpędzenie smutku mego i przywrócenie mi zupełnego spokoju: — „Nie bój się córko. Jam jest, i nie opuszczę ciebie; nie lękaj się.“

Sądzę, że w tym stanie, w jakim się na chwilę przedtem znajdowałam, żadne najpoważniejsze, całemi godzinami, namowy i przedstawienia nie byłyby zdołały przywrócić mi spokoju; a oto od tych jednych słów takie w sobie uczułam uspokojenie, taką siłę, taką odwagę, takie bezpieczeństwo, taką pogodę i jasność wewnętrzną, że w jednej chwili dusza moja jakoby w inną się przemieniła, i gotowabym była bodaj całemu światu czoło stawić o to, że słowa, które słyszałam, były od Boga. O, jakiż dobry Bóg! O, jaki dobry Pan, i jaki możny! Nie tylko radę daje, ale i lekarstwo. Słowa Jego są czynem. Od tych słów, o Boże wielki! jakże się utwierdza wiara, jak się pomnaża miłość! Często, upewniam, stawała mi na myśli ona nawałność wielka, którą Pan jednem słowem uśmierzył, i rozkazał wiatrom i morzu, i stało się uciszenie wielkie [1]). Tak i ja mówiłam sobie: Kto jest Ten, iż tak wszystkie władze duszy mojej są Mu posłuszne, który w jednej chwili, wśród takich ciemności daje światłość, i zmiękcza serce, zdawało się, kamienne, i łzy słodkie wywodzi ze źródła, oddawna, zdawało się, wyschłego? Kto jest Ten, który takie we mnie wzbudza pożądania? Kto jest Ten, który taką mię odwagą napełnia? Zatem myślałam sobie: Czegoż jeszcze się lękam? Co robię? Pragnę służyć temu Panu, niczego więcej nie żądam, jedno bym się Jemu spodobała; nie chcę innego zadowolnienia, pociechy i do-

[1]) Mar. 4, 39.

bra, jedno spełnienia woli Jego: bo tego, zdaje mi się, zupełnie byłam pewna, mogę to twierdzić bez wahania. A jeśli Pan ten jest potężny i możny, jako widzę że jest, jako wiem że jest, i jeśli złe duchy są niewolnikami Jego, jako nie masz wątpienia że są, bo tak uczy wiara: cóż więc oni mogą mi zrobić złego, skoro jestem służebnicą tego Pana i Króla najwyższego? Czemuż więc miałoby mi zabraknąć odwagi do walki chociażby z całem piekłem? Brałam do ręki krzyż, i snać rzeczywiście Bóg mi dodawał odwagi, bo tak w jednej chwili czułam się odmienioną, iż nie byłabym się ulękła wyzwać ich wszystkich na rękę, tak byłam pewna, że tym krzyżem z łatwością ich zwyciężę: — Pódźcie teraz wszyscy, ilu was jest; jestem służebnicą Pańską, obaczymy co mi potraficie zrobić.

Od tego czasu, twierdzę to bez wahania, oni raczej bali się mnie; ja byłam zupełnie spokojna, nic zgoła się nie lękając całego ich wojska, i wszystkie strachy jakie przedtem, aż do onej chwili miewałam, znikły bez śladu. Nieraz potem widziałam ich na oczy, jak niżej opowiem; ale nic mnie ich widok nie straszył, raczej oni, zdawało mi się, drżeli przede mną. Taką odtąd, z szczególnego daru Tego, który jest Panem wszystkich, nad nimi władzę zachowałam, że tyle dbam o nich, co o brzęczenie muchy. Są to, zdaniem mojem, ostatni tchórze: skoro poczują, że masz ich za nic, tracą odwagę i siła ich opuszcza. Mężni są ci wrogowie nasi tylko z takimi, którzy uciekają od walki, i tego tylko napastują, kogo widzą, że sam się im poddaje; sług Bożych mogą, gdy Bóg im pozwoli, kusić i dręczyć, ale Bóg te pokusy i udręczenia na to tylko dopuszcza, aby były na większy pożytek tych, którzy są Jego. Dałby Pan w Boskiej łaskawości swojej, byśmy umieli bać się tylko tego, czego rzeczywiście bać się powinniśmy, byśmy zrozumieli tę prawdę niezawodną, że jeden grzech powszedni większą nam szkodę wyrządzić może, niż wszystkie razem potęgi piekielne. Jeśli czarci strachem nas przerażają, to dla tego tylko, że sami sobie do strachu powód dajemy naszem przywiązaniem do honorów, do majętności, do roskoszy; wtedy oni, sprzymierzając się z nami, którzy sami sobie stajemy się nieprzyjaciołmi, kochając się w tem, i pożądając tego, czembyśmy się

ciężyło, bo widzą siebie daleko od Tego, który sam jest prawdziwem ich odpocznieniem. Po takich znakach, jak mówiłam, poznaje się jasno, że miłość jest, nie udana, ale prawdziwa.

Pewnego razu, gdy z powodu jednej sprawy, o której w swojem miejscu opowiem [1]), wielki cierpiałam ucisk i szemranie, nie tylko ze strony miasta, w którem mieszkam [2]), ale i od samegoż zakonu mego, i mając wiele powodów do niepokoju, ciężko byłam strapiona, Pan rzekł do mnie: — „Czego się lękasz? Czy nie wiesz że jestem wszechmogący? Ja dotrzymam, com ci obiecał“; jakoż i później tak się stało. Po tych słowach natychmiast takie w sobie uczułam męstwo, że nie tylko w tej sprawie, o którą wówczas chodziło, najmniejszego już nie miałam wahania, ale i gotowa byłam, zdaje mi się, choćby mię to więcej jeszcze utrapień kosztować miało, dalsze jeszcze i nowe dzieła dla służby Jego przedsięwziąć, i z nową odwagą ofiarowałam się na wszelkie dla Niego cierpienia. Podobne słowa słyszałam od Pana tak często, że i zliczyć nie zdołam, ile razy to się powtórzyło. Często także Pan upominał mię i gromił, mianowicie gdym poddawała się jakim niedoskonałościom; słowa Jego wówczas taką mają siłę i grozę, że zdolne są duszę w proch zetrzeć; ale zarazem niosą one i poprawę, bo jak już mówiłam, wraz z radą i upomnieniem, Pan podaje i lekarstwo. Czasem znowu przywodzi mi na pamięć przeszłe grzechy moje, zwłaszcza gdy chce mi użyczyć jakiej szczególnej łaski; dusza wówczas ma to uczucie, jak gdyby już naprawdę stała przed trybunałem strasznego Sądu, i prawda z taką jasnością staje jej przed oczyma, że zawstydzona i przerażona, nie wie gdzie się podziać. Nieraz także Pan objawił mi niebezpieczeństwa, grożące mnie albo drugim, i wiele innych rzeczy przepowiedział mi na trzy albo cztery lata naprzód, i wszystkie się sprawdziły, niektóre z nich będę mogła wymienić. Tyle zatem mam znaków, upewniających mię, iż mowy, które w sobie słyszę, pochodzą od Boga, że niepodobna, zdaje mi się, bym tego nie widziała.

---

[1]) Przy fundacyi klasztoru św. Józefa w Awila.

[2]) Awili.

Wszakże nad wszystkie te znaki, jedna jest droga najbezpieczniejsza, — i tej się trzymam, i bez niej nie miałabym spokoju, i nie dobrze byłoby, gdybyśmy bez niej go mieli, my zwłaszcza, niewiasty, nie posiadające dostatecznej nauki, tem bardziej, że droga ta nikomu zaszkodzić nie może, a pożytki z niej wielkie. Pan sam ją wskazał, po wiele razy zalecając mi, bym nie zaniechała nigdy otwierać całą duszę moję przed spowiednikiem, mającym światło i naukę, i mówić mu o łaskach, jakie Pan mi czyni, i słuchać go. Miałam spowiednika, który mię na wszelki sposób umartwiał [1]: nieraz ciężkie mi zadawał utrapienia i dojmujący w duszy ból mi sprawiał, z czego wielkie miewałam niepokoje, a przecie on właśnie najwięcej zdaje mi się, przyczynił się do postępu duszy mojej. Choć kochałam go bardzo, nieraz jednak przychodziła mi pokusa opuścić go, bo zdawało mi się, że walki wewnętrzne, jakie we mnie wzniecał, przeszkadzają mi do modlitwy. Otóż, ile razy ulegając tej pokusie, takie uczyniłam postanowienie, tejże chwili słyszałam głos zabraniający mi, bym tego nie czyniła, i gromiący mię w sposób nierównie boleśniejszy, niż wszystko, com od spowiednika cierpiała. Zdarzało się, że prawie już ustawałam pod ta-

[1]) Baltazar Alwarez, jak opowiada o nim Wielebny Ludwik Du Pont, z niezbłaganą stałością umartwiał Teresę we wszystkiem, tłumiąc w niej i powściągając każdy najlżejszy objaw popędów przyrodzonych, i stopniowo umarzając w tej duszy bohaterskiej wszelkie poruszenia natury, aby żyła tylko nadprzyrodzonem życiem łaski. Pewnego razu, gdy był chwilowo wyjechał z Awili, Teresa ciężkiem strapieniem wewnętrznem udręczona, napisała do niego, błagając o bezzwłoczną odpowiedź. Jakoż Ojciec odpowiedział natychmiast, ale na kopercie dopisał: „Otworzysz to za miesiąc". Święta bez szemrania przyjęła to gorzkie umartwienie. Z odwagą prawdziwie nadprzyrodzoną wiodąc duszę swej penitentki do zupełnego umorzenia samej siebie, nie wahał się mąż Boży wystawiać ją na próby najboleśniejsze. W czasie gdy wszyscy prawie, prócz niego, objawienia jej poczytywali za sprawę ducha złego, nie dość, że jak Święta o tem wspomina w rozdziale poprzedzającym, umyślnie, dla doświadczenia jej, kilkakrotnie jej mówił, że słowa jakie w słobie słyszy, mogą pochodzić od czarta, ale nad to jeszcze miał odwagę, przez dwadzieścia dni z rzędu pozbawiać ją Komunii świętej. I ten kielich najdotkliwszy Święta przyjęła z zupełnem poddaniem się, i wówczas to, w nagrodę za takie bohaterskie posłuszeństwo swoje, usłyszała z ust Pana te słowa: „Nie bój się, córko; jam jest, i nie opuszczę ciebie; nie lękaj się".

kim podwójnym uciskiem: z jednej strony męczarnia, z drugiej ostra nagana i zgromienie: ale tego mi było potrzeba, dla skruszenia niepokornej jeszcze woli mojej. Pewnego razu rzekł mi Pan, że nie mam prawdziwego posłuszeństwa, jeśli nie jestem gotowa cierpieć; niech stawię sobie przed oczy, co On ucierpiał, a wszystko mi się stanie łatwem.

Przedtem kiedyś, inny spowiednik, u którego spowiadałam się z początku, dawał mi radę, bym mając już pewność, że te rzeczy są z ducha dobrego, milczała o nich, i nikomu o nich nie mówiła, ponieważ lepiej takie rzeczy trzymać w ukryciu. Rada nie wydawała mi się złą, zwłaszcza że ile razy przychodziło mi wyznawać te łaski przed spowiednikiem, tak głęboko nad tem cierpiałam, i takie czułam zawstydzenie, że nierównie łatwiej byłoby mi wyznawać grzechy ciężkie; szczególnie też, jeśli to były łaski jakie wielkie i nadzwyczajne: zdawało mi się że nie uwierzą, że wyśmieją mię; widziałam w tem jakby brak poszanowania dla cudownych spraw Bożych, i tak żywo czułam to wszystko, że byłabym wolała milczeć. Ale byłam w błędzie, jak wówczas zaraz usłyszałam głos Pański, mówiący mi, że bardzo źle mi doradzał on spowiednik, że nigdy niczego zgoła nie powinnam ukrywać przed duchownym przewodnikiem moim, ponieważ na tej szczerości polega bezpieczeństwo moje, a czyniąc przeciwnie, nieraz mogłabym uledz złudzeniu i zbłądzić.

Ile razy zdarzyło się, że Pan mi dał jaki rozkaz na modlitwie, a spowiednik potem przykazał mi rzecz przeciwną, Pan zawsze zalecał mi, bym słuchała spowiednika; ale zarazem Boską mocą swoją odmieniał umysł jego, że potem sam kazał czynić toż samo, czego Pan żądał odemnie. Innego razu, gdy zabrano nam różne książki w języku kastylijskim, i zakazano je czytać, z czego wielką przykrość miałam, bo niektóre z tych książek rada czytywałam, a pisanych po łacinie, nie znając tego języka, czytać nie mogłam, Pan rzekł do mnie:—„Nie martw się, Ja tobie dam księgę żywą.“ Nie mogłam zrozumieć, coby znaczyły te słowa, bo jeszcze wówczas widzeń nie miałam [1]):

[1]) Widzenia, o których mówi w rozdziałach następnych, Święta za-

ale wkrótce, w kilka dni potem, dobrze je zrozumiałam; bo tyle znalazłam przedmiotu do rozmyślania i do zatapiania się w tem, co w obec oglądałam, i z taką miłością Pan zajął się mną, w różny sposób mię nauczając, że książek już rzadko kiedy albo wcale nie potrzebowałam. On sam w Boskiej łaskawości swojej był mi księgą prawdziwą, w której widziałam zapisane prawdy Jego. Błogosławiona taka księga, z której pozostaje w duszy poznanie, co czytać, co czynić powinna, tak głęboko wyryte, iż tego co poznała, zapomnieć nie może!

Któżby, widząc Pana okrytego ranami, smutkiem znękanego, prześladowania cierpiącego, nie pragnął uczestnictwa w tych cierpieniach Jego, nie umiłował, nie pożądał krzyża Jego? Kto, ujrzawszy promyczek jeden tej chwały, którą On zgotował tym, którzy Mu służą, nie uzna, że niczem jest wszystko, cokolwiek uczynić albo ucierpieć może, mając nadzieję takiej nagrody? Kto, mając przed oczyma męki potępionych, nie poczyta, w porównaniu z niemi, za roskosz wszelkie bóle i męki tego życia, i nie uczuje ile winien jest Panu, który go tyle razy wybawił od tego miejsca rozpaczy wiecznej? Są to rzeczy, o których za łaską Boską później jeszcze będzie mowa; na teraz więc wracam do dalszego opisu życia mego. Bodajbym była umiała jasno wyłómaczyć te rzeczy, o których tu mówiłam; kto ma w nich doświadczenie, ten, sądzę, mię zrozumie, i uzna, że umiałam się wyrazić z niejaką dokładnością; komu tego doświadczenia nie dostaje, temu nie będę się dziwiła, jeśli to wszystko poczyta za brednie. To jedno już dostatecznie go wytłómaczy, że ja to pisałam, i takiego sądu jego o mnie i o mojej robocie ja pewno nie wezmę mu za złe. O to tylko Pana proszę, bym z łaski Jego zdołała we wszystkiem wypełnić wolę Jego. Amen.

---

częła otrzymywać dopiero w r. 1559; trwały one od 1559 do 1561, od 44-go do 46-go roku życia jej.

ROZDZIAŁ XXVII.

O innym jescze sposobie, jakim Pan naucza duszę, i drogą cudownie przedziwną, nie mówiąc, wolę jej swoję objawia. O wielkiej łasce duchowego, bez pomocy wyobraźni, widzenia, jaką otrzymała od Pana. Rozdział to bardzo ważny.

Wracam więc do opowiadania życia mego. Byłam, jak powiedziałam wyżej, w ciężkiem strapieniu i udręczeniu, i usilne za mną zanoszono modły, aby Pan raczył mię zwrócić na inszą, bezpieczniejszą drogę, ponieważ ta, którą szłam, tak bardzo, jak utrzymywano, była wątpliwą i podejrzaną. Przyznam szczerze, że jakkolwiek i ja o to błagałam Pana, i jakkolwiek chciałam wzbudzić w sobie pragnienie inszej drogi, widząc jednak wyraźny postęp duszy mojej, nie mogłam żadną miarą zdobyć się na to, chyba chwilowo tylko, to jest w chwilach większego udręczenia pod wpływem tego, co mi wciąż powtarzano, i obaw jakie we mnie wzniecano; zawsze jednak, kiedy tak kazano, modliłam się o to, czego pragnąć nie mogłam. Widziałam zupełną w sobie odmianę, czułam niewątpliwie że stałam się lepszą; nic też innego w tym ucisku czynić nie mogłam, jedno że oddawałam się w ręce Boga, iż On wie czego mi potrzeba, i prosiłam Go, aby we wszystkiem czynił ze mną według woli swojej. Widziałam, że tą drogą zbliżam się do nieba, kiedy przedtem szłam prosto do piekła; jakże więc miałam pragnąć innej drogi; jak miałam uwierzyć, że diabeł to wszystko we mnie sprawuje? choć starałam się z wszystkich sił moich zmusić siebie do tego pragnienia i tej wiary, nie mogłam, było to nad siły moje. Wszystkie sprawy moje, wszelkie jakieby mogły być dobre uczynki moje, na tę intencyę ofiarowałam. Świętych, do których szczególne miałam nabożeństwo, wzywałam aby mię wyzwolili z mocy ducha złego. Odprawiałam nowenny, polecałam siebie św. Hilarionowi, i św. Michałowi Archaniołowi, do którego z tej okoliczności gorętsze jeszcze niż przedtem powzięłam nabożeństwo; i wielu innym Świętym się naprzykrzałam, aby się za mną do Boskiego Ma-

jestatu wstawiali, i wreszcie mi to wyjednali, by Pan objawił prawdę. Nakoniec, po dwu latach takiej mojej ustawicznej. i wielu innych za mną modlitwy, aby Pan, jak mówiłam, albo na inszą drogę mię wprowadził, albo też jawną uczynił prawdę, — bo one mowy jego we mnie wciąż trwały, i bardzo często się powtarzały, — zdarzyło mi się co teraz opowiem.

W dzień chwalebnego św. Piotra, będąc na modlitwie. ujrzałam tuż przy mnie, czyli raczej uczułam,—bo oczyma ciała ani oczyma duszy nic nie widziałam,—uczułam więc, tak mi się zdawało, tuż przy mnie obecnego Chrystusa Pana, i wyraźną. jakby naoczną miałam pewność, że to On do mnie mówi. Nie mając jeszcze najmniejszego pojęcia, by taki rodzaj widzenia był rzeczą możliwą. zrazu przelękłam się bardzo, i płakać tylko mogłam; ale skoro Pan rzekł do mnie jedno tylko słowo uspokojenia, zaraz mi, jak zawsze, spokój wrócił, i czułam w sercu pociechę, bez najmniejszej trwogi. Zdawało mi się, że ciągle mam przy boku Pana Jezusa, choć nie widziałam postaci Jego, bo widzenie to nie było w wyobraźni; ale czułam bardzo wyraźnie, że On wciąż stoi przy mnie, z prawej strony, i że widzi wszystko co robię, i za najmniejszem w sobie skupieniem się. chyba że jakie zupełne roztargnienie odwróciło na chwilę uwagę moję, nie mogłam nie czuć w sobie zupełnie jasnej świadomości, że On jest przy mnie.

Udałam się natychmiast do spowiednika mego, dla uczynienia mu, choć z wielką przykrością, wyznania. Zapytał mię, w jakiej postaci Go widzę. Odpowiedziałam, że Go wcale nie widzę. Zkądże więc wiesz, zapytał znowu, że jest to Chrystus Pan? Odpowiedziałam, że nie wiem skąd i jakim sposobem, ale że nie mogę nie mieć świadomości, iż On jest przy mnie; że widzę jasno i czuję obecność Jego; że skupienie duszy na modlitwie odpocznienia mam nierównie większe i zgoła nieprzerwane; słowem, że z tej obecności Pańskiej widocznie i oczywiście doznaję skutków zupełnie różnych od tych, jakich zwykle doświadczam. Uciekałam się do różnych porównań, usiłując za ich pomocą jaśniej się wytłómaczyć; ale tego rodzaju widzenia z pewnością żadne, jak sądzę, podobieństwo dokładnie nie objaśni. Jest to bowiem sposób widzenia z rodzaju najwyż-

szych, jak się o tem później dowiedziałam od pewnego męża świętego i wysoce duchownego, to jest od Brata Piotra z Alkantary, o którym niżej obszerniejszą uczynię wzmiankę, i od innych także znakomitych uczonych i teologów; jest to, mówili mi, rodzaj widzenia, do którego zły duch trudniejszy, niż do wszelkich innych, ma przystęp. Nie dziw zatem, że do wypowiedzenia rzeczy tak wysokich, nam niewiastom mało oświeconym nie dostaje wyrazów; uczeni lepiej to objaśnią. Jeśli więc, jak mówię, nie widzę Go ani oczyma ciała, ani oczyma duszy, bo nie jest to widzenie za pomocą wyobraźni, jakimże sposobem wiem, i z większą, niż gdybym Go widziała oczywistością pewna jestem Jego przy mnie obecności? Mogłabym na to odpowiedzieć porównaniem z osobą siedzącą w ciemności, albo ślepą, i przeto nie widzącą tego, kto przy niej jest; ale to porównanie nie bardzo przypadałoby do rzeczy; jest w niem niejakie podobieństwo, ale nie wielkie; bo osoba ona, choć nic nie widzi, może przecie przekonać się o obecności tego, kto przy niej jest, za pomocą zmysłów, słysząc go mówiącego, albo poruszającego się, albo dotykając go. Tu nie masz tego wszystkiego; nie masz tu żadnej ciemności; Zbawiciel tu oznajmia siebie duszy poznaniem jaśniejszem niż słońce. Nie mówię by widziała słońce albo jasność; jest tu tylko światłość, która, choć niewidoma, oświeca umysł, aby dusza cieszyła się tak wielkiem dobrem. Z widzenia tego wypływają bardzo wielkie korzyści.

Nie jest to takie uczucie obecności Bożej, jakiego częstokroć doświadczają ci szczególnie, którzy dostąpili daru modlitwy zjednoczenia i odpocznienia; gdy zaledwo przystąpiwszy do modlitwy, jakoby od razu znajdujemy Tego, z kim chcemy rozmawiać, i mamy świadomość tego, że On nas słyszy, czując w sobie wewnętrzne skutki łask Jego, i uczucia duchowne wielkiej miłości, i żywej wiary, i mężnych postanowień, i słodkiego rozrzewnienia. Jest to wielka łaska od Boga, i kto jej dostąpił, niech ją ma w wysokiej cenie; ale jakkolwiek bardzo wysoki jest ten rodzaj modlitwy, nie jest to widzenie; czujesz w niej obecność Bożą po skutkach, jakie w duszy sprawuje, i za pomocą tych skutków Boski Majestat Jego daje nam świadomość,

iż jest przy nas: tu przeciwnie, dusza jasno widzi, że stoi przy boku jej Jezus Chrystus, Syn Dziewicy. W tamtym rodzaju modlitwy staje się duszy świadomą pewna w niej skuteczność i działanie Bóstwa: tutaj, oprócz tego działania, widzi nadto, że i najświętsze Człowieczeństwo jej towarzyszy, i łaskami swemi darzyć ją raczy. Gdy tedy zapytał mię spowiednik, kto mi to powiedział, że jest to Jezus Chrystus, odrzekłam: — On sam mi to mówi, i po wiele razy; lecz pierwej nim mi to powiedział, wyraziło się już w umyśle moim, że to On; przed tem zaś wyrażeniem w umyśle, On toż samo mi mówił, a ja Go nie widziałam. Gdybym była ślepa, albo siedziała w ciemności, a ktoś, kogo nigdy nie widziałam, ale tylko o nim słyszałam, przyszedł do mnie i powiedział mi, że on jest tym, o którym słyszałam, musiałabym mu uwierzyć: wszakże nie mogłabym z taką pewnością twierdzić, że jest to taż sama osoba, jak gdybym ją była widziała. Tu przeciwnie; bo choć nie ukazuje się w sposób widomy, Pan wraża obecność swoję tak jasnem poznaniem, iż nie masz sposobu wątpić o niej. Wrażenie to z woli Jego pozostaje tak głęboko wyryte w umyśle, iż w obec niego wątpliwość nie mniej jest niepodobną, niż w obec naocznego świadectwa zmysłów, owszem i więcej: bo w tem, co na oczy widzimy, może nam niekiedy pozostawać wątpliwość, czy nam się nie przywidziało; tu przeciwnie, choć może na chwilę powstać wątpliwość, z drugiej strony przecie tkwi w duszy niezachwiana pewność, iż powątpiewanie to nie ma żadnej podstawy.

Toż samo się tyczy i drugiego sposobu, w jaki Bóg naucza duszę i mówi do niej bez mowy, jak o tem jeszcze pozostaje mi nadmienić. Jest to mowa tak zgoła niebieska, że tu na ziemi, jakkolwiekbyśmy usiłowali ją opisać, pojąć ją bardzo trudno, jeśli Pan sam nie da zrozumienia jej przez doświadczenie. Wraża Pan do najgłębszego wnętrza duszy to, co chce aby zrozumiała, i tam przedstawia jej rzecz bez żadnego zewnętrznego kształtu wyobrażeń albo słów, tak samo zupełnie, jak to czyni w onem widzeniu, o którem mówiłam. Zważmy dobrze ten sposób działania Boga, za pomocą którego dusza przychodzi do zrozumienia tego, co On chce aby zrozumiała, czy to pra-

wdy wysokie, czy głębokie tajemnice; w ten sposób najczęściej, gdy spodoba się Boskiej łaskawości Jego dać mi jakie widzenie i znaczenie jego mi objaśnić, przywodzi mię do zrozumienia tego, co mi chce przedstawić. Tu, zdaniem mojem, złemu duchowi najtrudniej się wmięszać, z następujących przyczyn, które jeśli nie są słuszne, ja chyba bardzo się mylę. Sposób ten widzenia i mowy tak jest zgoła duchowy, iż żadnego przy nim jak sądzę, nie masz we władzach duszy ani w zmysłach poruszenia, którego diabeł mógłby się uczepić i cokolwiekbądź z niego dla siebie wyciągnąć. Wprawdzie zupełne to zawieszenie wszelkiego własnego działania nie zawsze się zdarza, i krótko trwa; w innych czasach ani władze nie bywają zawieszone, ani zmysły zachwycone, ale owszem zachowują całą działalność swoję; nie zawsze więc, owszem rzadko kiedy, całkowite to i ogólne zachwycenie towarzyszy kotemplacyi; ale gdy jej towarzyszy, wtedy, twierdzę, my sami nic już nie działamy; wszystko co w nas się dzieje, jest, rzec można, własnem i wyłącznem działaniem Pana [1]). Prawda tu wnika do duszy na podobieństwo pokarmu, któryby niespodzianie napełnił wnętrzności nasze, choć go nie pożywaliśmy, ani wiemy jakim sposobem tam się dostał, tylko to wiemy i czujemy, że jest w nas. Z tą wszakże różnicą, że w takiem dziwnem, jak je tu dla objaśnienia rzeczy przypuszczamy, nakarmieniu, nie widzielibyśmy przecie ani jakiego rodzaju to pokarm, ani kto go nam dał; tu przeciwnie, wiem i jedno i drugie: wiem że prawda wnikła do duszy mojej, i że ta prawda pochodzi od Boga; tego tylko nie wiem, jakim sposobem mię nią przeniknął, bo tego nie widziałam, ani pojąć tego nie zdołam, ani też nigdy nie powstało we mnie najmniejsze takiej łaski pragnienie, ani nawet pojęcia nie miałam, by taka łaska była rzeczą możliwą.

W wewnętrznej onej mowie, o której było wyżej [2]), Bóg zniewala umysł, aby uważał, choćby nie chciał, i słuchał co do niego się mówi; daje duszy jakoby drugi słuch, aby tę mowę słyszała, i zmusza ją niejako do słuchania, nie dopuszczając jej odwrócić uwagi od tego co słyszy: podobnie mniej więcej,

---

[1]) Por. wyżej, r. XX i r. XXV. — [2]) W r. XXV.

jakby kto mając dobry słuch, gdyby do niego z blizka i głośno mówiono, nie pozwalając mu zatkać sobie uszu, rad nierad musiałby słuchać. Ostatecznie jednak i ten zawsze coś czyni, bo przykłada uwagę, aby słuchać co mu mówią: tu zaś i tego niema, bo nawet od tej trochy nieodzownego w innym czasie własnego przyczynienia się, jakiem jest samoż słuchanie, dusza tutaj jest zwolniona: zastaje tu ucztę gotową już i zastawioną, i nic tu innego nie ma do czynienia, jedno używać: jak gdyby człowiek ciemny i nieokrzesany, który się nigdy nie uczył, ani nawet nie starał się nigdy o naukę czytania, ani do żadnej zgoła pracy umysłowej się nie przykładał, nagle znalazł w sobie wszystką wiedzę całkowicie pojętą i przetrawioną, sam nie wiedząc jak i skąd ona mu przyszła, kiedy przedtem nigdy nie pracował, ani się starał choćby o nauczenie się abecadła. Ostatnie to porównanie daje mi niejakie objaśnienie tego daru niebieskiego: przezeń dusza w jednej chwili widzi siebie w posiadaniu wszelkiej mądrości i wiedzy; tajemnica Trójcy Przenajświętszej i wiele innych prawd najwyższych tak jej się stają jasnemi, iż nie masz teologa, z którymby się nie ważyła podjąć spór w obronie tych Boskich wielmożności. Sama zaś zostaje przenikniona świętem przerażeniem; jedna taka łaska zdolna jest całą ją przemienić, i sprawić w niej to, że niczego już nie może miłować, jedno Tego, który, bez żadnej pracy i trudzenia się z jej strony, czyni ją sposobną do posiadania tak wielkich dóbr, i objawia jej tajemnice swoje, i z taką łaskawością i miłością z nią rozmawia, jakiej żadne słowa nie opiszą. Niektóre z tych łask tak są zadziwiające, iż sama niepojęta wielkość ich wzbudza niejakie podejrzenie, zwłaszcza gdy udzielają się tej która tak mało na nie zasłużyła, i potrzeba tu bardzo żywej wiary, aby im dać wiarę. Dla tego też zamierzam niektóre tylko opisać z tych łask, które Pan mi uczynił, chyba że kazanoby mi inaczej; wspomnę tylko o niektórych widzeniach, z których opisania może być niejaki pożytek, bądź dla oświecenia drugich, którymby Pan podobnych łask użyczył, aby się ich nie przelękli, poczytując je za rzeczy niepodobne, jak to było ze mną; bądź też dla objaśnienia dróg i sposobów, jakiemi Pan

mię prowadził, co właśnie stanowi główny przedmiot i cel, dla którego mi pisać kazano.

Wracając tedy do onego sposobu mowy wewnętrznej i duchowego jej rozumienia, sądzę że na to Pan raczy używać tego sposobu, aby dusza powzięła niejaką wiadomość o tem, co się dzieje w niebie. Jako w niebie wybrani bez mowy rozumieją siebie, — chociaż, by taki mógł być rodzaj mowy i porozumiewania się, zgoła o tem nie wiedziałam, aż Pan w dobroci swojej raczył mię o tem przekonać naocznie, i ukazał mi to w zachwyceniu: - tak i tu już w tem wygnaniu ziemskiem, Bóg i dusza rozumieją się między sobą, tem samem tylko, że Boski Majestat Jego chce, by dusza Go rozumiała, i tak, bez żadnego przyboru słów, rozmawiają z sobą ci dwoje, jak przyjaciel z przyjacielem, i wzajemną sobie miłość swoję okazują. Wszak i tu na ziemi, dwoje ludzi mocno miłujących jeden drugiego, a odpowiednią obdarzonych pojętnością, potrafi, rzec można, bez żadnych znaków, samem tylko spojrzeniem porozumiewać się między sobą. Takie pewno muszą być i one rozmowy niebieskie, lubo tu widzieć, ani pojąć nie zdołamy, w jaki sposób tam, oka nie spuszczając z siebie, wzajemnie patrzy w siebie onych dwoje miłośników, na podobieństwo tego, co w Pieśni oblubieniec mówi do oblubienicy [1]), co właśnie, jak zdaje mi się słyszałam, ma się rozumieć o tem obcowaniu w niebie.

O dziwna łaskawości twoja, Boże, iż tak pozwalasz patrzyć na siebie oczom, które na tyle rzeczy złych patrzały, jak te oczy duszy mojej! Niech już ten widok twój, Panie, utwierdzi je na zawsze, aby nigdy więcej nie patrzały na rzeczy niskie, i w niczem już sobie nie podobały, jedno w Tobie samym! O niewdzięczności ludzka! czyż nigdy się nie opamiętasz, że nawet takich niewypowiedzianych łask uznać i ocenić nie umiesz? To, co o nich tu mówię, wiem z własnego doświadczenia, że jest prawdą; i to także wiem i świadczę, że wszystko, cokolwiekby można o nich powiedzieć największego, będzie zaledwie małą

[1]) „Zraniłaś serce moje, siostro moja oblubienico.., jednem okiem twojem.“ Pieśń, 4, 9.

cząstką tego, co Ty, Panie, czynisz duszy, gdy ją na tę wysokość takiego z Tobą obcowania wyniesiesz. O dusze, ile was jest, które już zaczęłyście oddawać się modlitwie wewnętrznej, o duszo wszelka, która masz wiarę prawdziwą, jakiego dobra już i w tem życiu, — nie mówiąc już o tem, co zyskacie na żywot bez końca, możecie szukać i pragnąć, któreby mogło iść w porównanie z najmniejszem z tych dóbr takiego z Bogiem obcowania? Przypatrzcie się, i obaczcie tę nieskończoną hojność Boga, iż ktokolwiek dla Niego opuści wszystko, temu on bez pochyby oddaje siebie samego! Nie masz u Niego względu na osobę ludzką: miłość Jego rozciąga się do wszystkich; żadnego On z tej miłości swojej nie wyłącza, jakkolwiekby był niecnotliwym i grzesznym, kiedy ze mną nawet tak uczynił, i do tak wysokiego stanu mię wyniósł. Przypatrzcie się i obaczcie, że to, co tu mówię, nie jest ani zarysem nawet tego, cobym powiedzieć mogła: tyle tylko mówię, ile koniecznie potrzeba do określenia tego rodzaju widzenia, i tej łaski, którą Pan czyni duszy: ale nie mówię, i wypowiedzieć nie mogę tego, co dusza czuje, gdy Pan odkrywa przed nią tajemnice i wielmożności swoje: jest to roskosz tak przewyższająca wszelkie roskosze, jakie umysł ludzki na tej ziemi pojąć zdoła, iż dusza, która jej zakosztowała, słusznie się brzydzi uciechami tego życia, które wszystkie razem zebrane jednem są błotem. Wzdryga się ze wstrętem na samą myśl równania ich, chociażby miała używać ich bez końca, z temi roskoszami, któremi Pan ją napawa; a przecie roskosze te są tylko jedną kroplą z tej wielkiej i bystrej rzeki wesela bez miary, która nas czeka w wieczności.

Wstyd to dla nas prawdziwy, i ja pierwsza wstydzę się samej siebie, i gdyby mogło być zawstydzenie w niebie, słusznie i więcej niż kto bądź miałabym tam czego się rumienić. Jakiem prawem śmiemy żądać dla siebie takich dóbr niewypowiedzianych, i roskoszy, i chwały na wieki, samym tylko kosztem Pana Jezusa? Jeżeli nie mamy odwagi pomagać Mu w noszeniu krzyża z Cyrenejczykiem, czy przynajmniej nie zapłaczemy nad Nim z córkami Jerozolimskiemi? Jak to? bawiąc się i wszelkich przyjemności używając, chcemy dojść do posiadania tego wesela, które On takim nakładem krwi swojej dla nas

nabył? To być nie może. I uganiając się za marną czcią u ludzi, myślimy, że Mu powetujemy takie zelżywości, jakie On ucierpiał, abyśmy na wieki królowali? To nie ma sensu. Błądzisz, błądzisz ktokolwiek idziesz tą drogą; nigdy nią nie dojdziesz do celu. Podnieś głos twój, Wielebny Ojcze, ogłaszaj te prawdy, kiedy mnie Bóg nie dał władzy ku temu. Bodajbym sama przynajmniej zawsze na nie pamiętała! ale tak późno usłuchałam głosu Bożego, tak późno zrozumiałam go, jak o tem świadczy to pisanie moje, że wielki mię wstyd mówić o tych rzeczach, i wolę raczej milczeć. To jedno tylko tu wspomnę, co nieraz rozważam, myśląc o szczęśliwości błogosławionych w niebie: — oby Bóg raczył taką mię wieść drogą, iżbym i ja dojść mogła do tego kresu, i tej szczęśliwości używać! — Jaka to będzie, prócz wspólnej wszystkim ulotnej, poszczególna dla każdego, przygodna chwała, jakie wesele błogosławionych, gdy dostąpiwszy tej szczęśliwości, ujrzą i wiecznie wspominać będą, jako od chwili nawrócenia swego, choć może niejeden późno zaczął, niczego nie opuścili, co jedno dla Boga uczynić mogli, i niczego nie zaniechali, aby Mu, każdy wedle miary sił i stanu swego, który mniej, który więcej, ale każdy z całego przemożenia swego, wszystko, na wszelki sposób, i samych siebie oddali w ofierze? Jak bogatym okaże się, kto wszystkie bogactwa porzucił dla Chrystusa! Jak wysoko uczczonym będzie, kto dla miłości Jego wszelką czcią ziemską wzgardził, i podobał sobie w głębokiem poniżeniu! Jak mądrym będzie znaleziony, kto cieszył się, gdy go poczytywano za szalonego i głupca, kiedy samą Mądrość przedwieczną tem zelżywem mianem obrzucano! Lecz jakże mało, snać dla grzechów naszych, dzisiaj jest takich! Tak jest! znikł między nami, rzecby można, i wyczerpał się rodzaj tych, których ludzie mieli za szaleńców, patrząc na czyny ich bohaterskie, godne prawdziwych miłośników Chrystusa! O świecie, świecie! jakże fałszywy twój honor zyskuje na tem, że mało jest takich, którzyby cię znali! Snać wyobrażamy sobie, że lepiej służymy Bogu, gdy nas ludzie chwalą jako roztropnych i umiarkowanych; i wnosząc z tego, jak ta roztropność i to umiarkowanie powszechnie dziś panuje między nami, takie w rzeczy samej musi być przekonanie nasze.

Zdaje nam się, że byłoby to złem zbudowaniem dla ludzi, gdybyśmy w postawie naszej nie zachowywali pozorów przyzwoitości światowej, i nie utrzymywali godności stanu i stanowiska swego. Dziś nawet zakonnik, czy duchowny, czy mniszka, uważaliby to za nowość i za dawanie zgorszenia małuczkim, gdyby mieli chodzić w wytartym, łatanym habicie; boją się nawet oddawać życiu skupionemu i modlitwie bogomyślnej, tak dalece świat na nich wpływ swój wywiera, tak dalece poszły w zapomnienie święte sprawy doskonałości chrześcijańskiej, i wielkie one ogniste uniesienia i zapały świętych. Większa stąd, zdaniem mojem, szkoda, i więcej to się przyczynia do tych klęsk i nieszczęść, które w tych czasach na nas przychodzą, niż rzekome ono zgorszenie, jakieby miał dawać zakonnik, gdyby uczynkiem głosił ludziom tę wzgardę świata, której ich uczy słowem i kazaniem. Z takich zgorszeń Pan wyprowadza wielkie pożytki, i chociażby niektórzy się gorszyli, drudzy za to kruszyliby się. Bodajby nam było dano oglądać takich sług Bożych, którzyby choć w zarysie przedstawiali nam wyobrażenie tej świętości, jaką okazali na sobie Chrystus Pan i Apostołowie Jego! Dziś więcej niż kiedybądź, takich nam potrzeba.

O, jakiegoż skarbu Bóg nas świeżo pozbawił, zabierając do chwały swojej błogosławionego brata Piotra z Alkantary! Świat, powiadają, nie jest dziś już zdolnym do tak wysokiej doskonałości. Dziś i zdrowia są słabsze, i czasy się zmieniły. Ten przecie mąż święty żył za naszych czasów, a duchem był potężny, jak święci dawnych czasów, i dla tego trzymał świat pod nogami. I chociaż nie wszyscy zdolni są tak ogołocić się z wszystkiego, jak ten sługa Boży, i taką ostrą, jak on czynić pokutę, wszakże, jak na innych miejscach mówiłam, wiele jest inszych sposobów ćwiczenia się we wzgardzie świata, i Pan sam uczy ich każdego, w kim tylko znajdzie serce odważne. Jakże wielkie musiał je dać Bóg w łaskawości swojej temu Świętemu, o którym mówię, iż zdołał czterdzieści i siedm lat, jak wszystkim wiadomo, wytrwać w tak surowej pokucie! Chcę tu przytoczyć niektóre szczegóły tej pokuty, najzupełniej, jak o tem wiem z pewnością, prawdziwe. Sam mi je opowiadał,

i drugiej jeszcze osobie, której chętnie się zwierzał; ja zaś te zwierzenia się jego zawdzięczam życzliwej jego dla mnie miłości, którą Pan w nim wzbudził z wielkiej dobroci swojej, aby w czasie ciężkiej potrzeby, o której już mówiłam, i jeszcze mówić będę, był obrońcą moim i odwagi mi dodawał. Przez czterdzieści lat, mówił mi, o ile dobrze liczbę pamiętam, żadnej nocy, czy też we dnie, nie spał dłużej nad półtorej godziny; z wszystkich umartwień, jakie sobie zadawał, najtrudniej mu było w początkach sen zwyciężyć; w tym celu ustawicznie się trzymał w postawie albo klęczącej albo stojącej. Tego snu tak krótkiego używał siedzący, z głową opartą na kołku wbitym w ścianie. Położyć się, choćby był chciał, nie mógł, bo cela jego, jak wiadomo, nie miała więcej nad półpiątej stopy długości. Przez wszystkie te lata, choć w najsilniejszy upał słoneczny, choć w deszcz ulewny, nigdy nie nakrywał głowy kapturem; nigdy nie nosił obuwia; za całe ubranie służył mu gruby habit szerściowy, i to jak najciaśniejszy, wdziany na samo ciało, i płaszczyk z takiejże materyi. W najtęższe mrozy zdejmował go, i drzwi i okienko celi trzymał otwarte, aż po niejakim czasie znowu wkładał płaszcz i drzwi zamykał; i ten był, mówił mi, jego sposób zagrzania się, i dogodzenia ciału zziębniętemu lepszem od zimna zabezpieczeniem. Wstrzymywać się po trzy dni od wszelkiego pokarmu, było u niego rzeczą bardzo zwyczajną; gdym mu z tego powodu objawiła moje zdziwienie, upewniał mię, że to rzecz wcale nietrudna, trzeba się tylko przyzwyczaić. Czasem, jak słyszałam od jednego z towarzyszów jego, zdarzało mu się cały tydzień pozostawać bez jedzenia. Bywało to zapewne w czasie modlitwy, na której miewał wielkie zachwycenia i zapały miłości Bożej, czego sama raz byłam świadkiem. Ubóstwo posuwał do ostatnich granic; umartwienia od młodych lat tak ściśle przestrzegał, że raz naprzykład, jak mi powiadał, przez trzy lata przebywając w jednym klasztorze zakonu swego, żadnego z braci nie znał z twarzy, tylko z głosu, bo nigdy oczu nie podnosił, i do miejsc wyznaczonych na zebrania zakonne nie mógł trafić, jedno idąc za drugimi. Podobneż umartwienie wzroku zachowywał i w drodze. Na niewiastę przez długie lata nigdy nie spojrzał, aż w koń-

co do zupełnej w tym względzie doszedł obojętności i jak mnie mówił, wszystko mu jedno było, widzieć niewiastę czy nie widzieć; prawda że w czasie kiedy go poznałam, był już bardzo podeszły w leciech, i ciało jego tak wycieńczone i wysuszone, jak gdyby, miasto ciała i kości, złożone było z suchych gałęzi. Przy całej jednak tej świętości swojej i surowości życia bardzo był uprzejmy i ludzki dla drugich; sam z siebie mało mówił, chyba zapytany, ale gdy mówił, trafny sąd o rzeczach i uczynne miły dowcip jego nadawały słowom jego wdzięk niezrównany. Wiele innych rzeczy jeszcze miałabym do powiedzenia o nim, i nadałyby powiedziała, ale się boję, co Wasze Miłość powiesz na to, że wdając się w takie opowiadanie odchodzę od przedmiotu, i w tem, co napisałam, nie byłam bez tej obawy. Dodam więc tylko na zakończenie, że jak żył tak i umarł nauczając i upominając braci. Czując już koniec blisko, zmówił Psalm *Laetatus sum in his quae dicta sunt mihi*, [1] i padłszy na kolana, umarł [2].

Spodobało się Panu w dobroci Jego, by zmarły po zejściu swojem jeszcze bardziej był mi pomocnym, niż był za życia. W wielu zdarzeniach wspomógł mię radą swoją. Widziałam go po wiele razy, jaśniejącego chwałą. Pierwszy raz gdy mi się ukazał, rzekł do mnie te słowa: „O błogosławiona pokuto, którą sobie na taką zapłatę zasłużyłem!“ Wiele innych jeszcze rzeczy od niego słyszałam. Na rok przed śmiercią ukazał mi się, choć nieobecny, i miałam objawienie, że niezadługo umrze, o czem go uprzedziłam w miejscu gdzie się znajdował, o kilka mil stąd odległem. W chwili konania swego ukazał mi się i rzekł do mnie: „Już idę na odpoczynek“. Nie przywiązywałam wiary do tego objawienia, ale wspomniałam o niem kilku znajomym, aż oto w tydzień potem przyszła wiadomość, że umarł, czyli raczej począł żyć na wieki. Ten więc jest kres, do którego przywiodło go surowe życie jego: chwała tak wielka i nie-

[1] „Weseliłem się z tego co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego“. Ps. 121, 1.

[2] D. 18 października 1562, w 64-m roku życia swego. Ob. *Acta SS.* t. LIV.

ogarniona; daleko więcej, rzec mogę, cieszę się nim, gdy teraz żyje w niebie, niż gdy żył na tej ziemi. Pan objawił mi pewnego dnia, że ktokolwiek będzie Go prosił o cobądź w imię tego sługi Jego, będzie wysłuchany. Ja też wiele rzeczy polecałam jemu, aby o nie prosił Pana, i wszystkie się spełniły. Niech będzie błogosławiony na wieki. Amen.

Ale na co ta długa mowa, jakoby mająca dopiero pobudzić Waszę Miłość do wzgardzenia wszystkiem, co przemija, jak gdybyś jeszcze nie wiedział o tem, że wszystkie rzeczy tego świata są znikomością i niczem, i nie miał już postanowienia oderwania się od wszystkiego, i postanowienia tego nie wypełnił już czynem. Ale takie widząc powszechne na świecie skażenie, napisałam to dla ulżenia sobie; bo chociaż z tego, że ja to mówię, nie będzie innego pożytku, jedno to, że się trudzę tem pisaniem, wszakże to dla mnie jest ulgą i pociechą, że wszystko co tu powiedziałam, świadczy przeciwko mnie. Niech mi Pan odpuścić raczy, co w tem przeciw Niemu zawiniłam, i Wasza Miłość także mi daruj, że na próżno cię nudzę. Zdawałoby się prawie, że każę tobie pokutować za grzechy moje.

ROZDZIAŁ XXVIII.

O nowych nadzwyczajnych łaskach, jakie Pan jej uczynił, i jako po raz pierwszy widomie się jej objawił. Co to jest widzenie przez wyobraźnię, i jakie wielkie skutki i znaki widzenie to po sobie zostawia, jeśli jest od Boga. Są to rzeczy bardzo ważne i pilnej uwagi godne.

Wracam do rzeczy przerwanej. Widzenie ono, czyli raczej jasna świadomość obecności stojącego przy boku moim Zbawiciela, trwało ustawicznie przez kilka dni. Wielkie z niego odniosłam pokrzepienie duszy; nie wyszłam przez cały ten czas z modlitwy wewnętrznej, starając się wszystkie czynności moje tak spełniać, iżby ten Boski świadek, którego jasno widziałam na mnie patrzącego, nie miał z nich niezadowolenia. Chwilami, ponieważ wciąż to we mnie wmawiano, miewałam

obawy, czy nie podlegam złudzeniu; ale obawy te prędko przemijały, bo zawsze Pan sam mię uspokajał. Pewnego dnia, gdy byłam na modlitwie, spodobało się Panu ukazać mi widomie same tylko ręce swoje, a był to widok tak zachwycający, że nie mam słów na opisanie go. Ogarnął mię zrazu strach wielki, jak tego zawsze doświadczam z początku, ile razy Pan mi użyczy jakiej nowej łaski nadprzyrodzonej. W kilka dni później ujrzałam Boskie Jego oblicze, które mię pięknością swoją jakoby całą w sobie pochłonęło. Nie mogłam z początku zrozumieć, dla czego Pan mi się ukazywał tak częściami, kiedy potem miał mi uczynić łaskę ujrzenia całej Jego postaci; później dopiero zrozumiałam, że czynił to w Boskiej łaskawości swojej ze względu na przyrodzoną niedołężność moję; bo nędzne takie i grzeszne stworzenie, jakiem ja jestem, tak wielkiej chwały od razu by nie zniosło, i dla tego Pan miłosierny, znając tę nędzę moję, w taki sposób stopniowo mię przygotowywał. Niech będzie za to błogosławiony na wieki.

Może się wyda Waszej Miłości, że nie potrzeba było na to wielkiego z mojej strony wysilenia, aby patrzyć na ręce i na oblicze tak zachwycająco piękne. Ale piękność ciał uwielbionych tak jest przewyższająca, i blask nadprzyrodzonej chwały ich tak olśniewający, że widok ich wprawia w zachwyt i osłupienie; stąd też widzenie ono taką mię przeniknęło bojaźnią, że cała byłam wstrząśnięta i przerażona; choć później upewnienie się, że się nie łudzę, takie we mnie sprawiło uspokojenie, i takie błogie z widzenia tego uczułam w sobie skutki, że strach wszelki rychło ustąpił.

W dzień świętego Pawła, podczas gdy byłam na Mszy świętej, ukazało mi się w zupełności najświętsze Człowieczeństwo, tak jak je przedstawiają na obrazach zmartwychwstałe, pełne niewypowiedzianego wdzięku i majestatu. Na usilny rozkaz Waszej Miłości opisałam ci to widzenie w osobnym liście, choć nie bez wielkiej trudności i przykrości to uczyniłam, bo są to rzeczy, o których chcąc mówić, czuje się aż do unicestwienia całą niemoc swoję. Opowiedziałam jednak rzecz jak umiałam najlepiej, i nie mam już potrzeby powtarzania tu opisu mego. To tylko powiem, że chociażby w niebie nie było

inszej roskoszy dla oczu, niż widok tej wielkiej piękności ciał uwielbionych, a zwłaszcza Człowieczeństwa Pana naszego Jezusa Chrystusa, to jedno już byłoby niewypowiedzianą chwałą i szczęśliwością; jeśli już tu na ziemi, gdzie Majestat Jego objawia nam się tylko w mierze odpowiedniej słabemu przemożeniu nędzy naszej, widok ten tak zachwyca i uszczęśliwia, cóż dopiero będzie tam, gdzie dusza w zupełności cieszy się oglądaniem takiej piękności i wielmożności? Widzenia tego, choć dzieje się za pomocą wyobraźni, ani żadnego innego, nigdy nie widziałam oczyma ciała, tylko zawsze oczyma duszy. Według nauki uczonych, którzy lepiej się na tem znają niż ja, widzenie poprzednio opisane jest wyższego rodzaju niż to ostatnie, a to ostatnie jest o wiele doskonalszem od tego, które się widzi oczyma ciała. Zmysłowe to widzenie, tak uczą, należy do rzędu najniższych, i najwięcej jest wystawione na niebezpieczeństwo ułud diabelskich. Wówczas trudno mi było to zrozumieć, owszem raczej pragnęłam, skoro już daną mi została ta łaska, by mi przychodziła w sposób dla oczu cielesnych widomy, aby mi spowiednik nie mówił, że mi się przywidziało. I mnie też to się zdarzało, gdy widzenie takie minęło, — i to zaraz w też tropy, — że cała rzecz wydawała mi się złudzeniem i przywidzeniem, i trapiłam się myślą, że mowiąc o tem spowiednikowi, może go oszukałam. Był to nowy powód do płaczu, i znowu szłam do niego, i wyznawałam mu obawę moję. On mię pytał, czy rzecz przedstawiała się mnie tak jak ją wyznałam, czy też miałam zamiar oszukać go? Odpowiadałam mu szczerze, jak było: że nie zdaje mi się bym kłamała, ani zamiaru nie miałam kłamać, ani za nic w świecie nie zgodziłabym się mówić co innego, niż co myślę. I on też wiedział o tem dobrze, i przeto starał się uspokoić mię. Z drugiej strony, chodzenie do niego z takiemi rzeczami tak mi było ciężkiem i przykrem, że nie pojmuję, jakim sposobem diabeł zdołał wbić mi do głowy przypuszczenie, że może je zmyślam, abym potem sama siebie tą myślą udręczała.

Ale Pan z taką Boską natarczywością wciąż na nowo tę łaskę mi dawał, i tak jasno prawdziwość jej mi ukazywał, że wątpliwość ona, czy się nie łudzę, rychło mię opuściła; zaczem

dopiero spostrzegłam i dowodnie się przekonałam, jaki był nierozum mój. Bo chociażbym całe lata wysilała wyobraźnię, na zmyślenie i przedstawienie sobie takiej piękności, nigdybym tego dokazać nie zdołała ani nie umiała: piękność ta, choćby samą tylko jasnością i blaskiem swoim, przewyższa wszystko, cokolwiek człowiek na tej ziemi zdoła sobie wyobrazić. Nie jest to blask taki, któryby raził oko: jest to dziwnie wdzięczna białość, z jasnością dokoła rozlaną, która niewypowiedzianą roskosz oku sprawuje, a nie męczy go, ale słodką je oświeca światłością, aby mogło widzieć oną tak Boską piękność. Jest to światło tak różne od tego światła ziemskiego, że w porównaniu z jasnością i świetnością, z jaką się ono oku przedstawia, jasność słońca wydaje się ciemną, i jużby się nie chciało na nie patrzeć.

Taka jest między tem dwojakiem światłem różnica, jakaby zachodziła między wodą przejrzyście czystą, płynącą po dnie kryształowem, i odbijającą na sobie promienie słońca, a wodą całkiem mętną, gęstemi mgłami pokrytą, i gruntem błotnistym bieżącą. Nie żeby tu w istocie było słońce, albo światłość ta Boska podobną była do światłości słońca; ale ostatecznie tamta przedstawia się duszy jako światłość istotna i przyrodzona, a ta druga raczej jako rzecz sztuczna. Jest to światłość która nie zna nocy; zawsze jest światłością i nic jej zaćmić nie zdoła. Jest to nakoniec światłość taka, że i najbystrzejszy rozum ludzki, choćby całe życie nad tem pracował, nie potrafi jej sobie przedstawić jaką jest; a tak nagle i z prędka Bóg ją ukazuje, że gdyby na ujrzenie jej potrzeba było człowiekowi otworzyć oczy, nie miałby czasu na otworzenie ich. Ale oczy otwarte czy zamknięte nic tu nie znaczą; gdy Pan chce byśmy tę światłość jego widzieli, widzimy ją, choćbyśmy nie chcieli. Nic tu nie pomoże żadne odwracanie uwagi, żadna siła potędze tego światła się nie oprze, żadna baczność, żadne staranie nie powstrzyma jej. O tem wiem dobrze z własnego doświadczenia mego, jak się z tego, co jeszcze powiem, okaże.

Na teraz chciałabym tu objaśnić, w jaki sposób Pan ukazuje się w tych widzeniach. Nie mówię, bym chciała wytłómaczyć, w jaki sposób to może być, by ta światłość Boża tak sil-

nie przeniknęła zmysł wewnętrzny, i w umyśle wyryło się tak jasne wyobrażenie Boga, iż prawdziwie czujemy Jego przy nas obecność: to jest rzeczą uczonych. Jak się to dzieje, tego nie spodobało się Panu dać mi zrozumieć. Taka jestem ciemna, i tak tępego pojęcia, że mimo wszelkich, jakie mi w tej rzeczy dawano objaśnień, nie doszłam do tego bym to „jak" zrozumiała. Rzecz pewna, że choć Waszej Miłości się zdaje, że mam rozum bystry, ja tej bystrości nie posiadam: rozum mój taki, że jak o tem w wielu zdarzeniach się przekonałam, tyle tylko rozumie, ile mu, jak to mówią, łopatą włożą do głowy. Nieraz spowiednik mój zdumiewał się nad ignorancyą moją; nigdy też nie próbował wytłómaczyć mi, jakim sposobem Bóg uczynił to lub owo, albo jak to lub owo mogło się stać: ani też ja wytłómaczenia tego nie pragnęłam, i nie pytałam o to, chociaż, jak mówiłam, od wielu lat dano mi było przestawać z dobrymi teologami i uczonymi. Czy dana rzecz jest grzechem, czy nie, o to ich pytałam; co do reszty, nie potrzeba mi było inszej wiadomości nad tę, że Bóg uczynił to wszystko, i rozumiałam to dobrze, że nie mam czego zaciekać się w cudownych sprawach Jego, a tylko chwalić Go za wszystkie; owszem nawet, tajemnice trudne i niezgłębione większą we mnie pobożność wzbudzają, i tem większą, im są trudniejsze.

Powiem więc tylko, co widziałam i czego sama doznałam; w jaki sposób Pan to uczynił, to Wasza Miłość lepiej wytłómaczysz, i objaśnisz cokolwiekby było ciemnego, i czegobym ja nie potrafiła należycie wyrazić. W niektórych razach zdawało mi się, że to, co widzę, jest tylko wyobrażeniem; w innych, i częściej, widziałam że to nie wyobrażenie tylko, ale Chrystus sam; zależało to od stopnia jasności, w jakiej raczył mi się ukazywać. Nieraz, gdy jasność jest mniej silna, widzenie jest niewyraźne, i przedstawia się jako obraz, ale obraz nie taki, jakiemi bywają wizerunki ręką ludzką malowane, chociażby najdoskonalsze, jakich widziałam dosyć. Niedorzecznością byłoby szukać między tym dwojakim rodzajem wyobrażeń, jakiegobądź podobieństwa; taka jest, ni mniej ni więcej, między niemi różnica, jak człowiek żywy różni się od wizerunku swego; chociażby wizerunek był najpodobniejszy, nigdy przecie

nie odtworzy on tak pierwowzoru swego, by nie było widać od razu, że to tylko martwe malowanie; nie mam potrzeby dłużej się nad tem rozwodzić, bo porównanie to najdokładniej oddaje myśl moję i dosłownie odpowiada rzeczywistości. Nie mówię jednak, by było to prostem tylko porównaniem, bo żadne porównanie nie może w zupełności dorównać prawdzie, a to, co mówię, jest samąż prawdą, to jest że tak, ni mniej ni więcej, różni się to wyobrażenie Boga Wcielonego od wizerunków, ręką ludzką uczynionych, jak różnym jest człowiek żywy od podobizny jego, malowanej na płótnie. Tu jeśli jest wyobrażenie, jest to wyobrażenie żyjącego, nie jest to martwa podobizna człowieka, ale jest to Jezus Chrystus żywy, okazujący się człowiekiem zarazem i Bogiem, nie jakim był leżąc w grobie, ale jakim wyszedł z grobu po Zmartwychwstaniu swojem. Niekiedy przychodzi z taką wielmożnością, iż niepodobna wątpić że to On, Pan sam we własnej Osobie; zdarza się to szczególnie po Komunii, kiedy już wiara sama upewnia nas o Jego w nas obecności. Wówczas tak się okazuje Panem tej swojej gospody, że dusza jakoby przed Nim niszczeje i cała się czuje pochłoniętą w Chrystusie. O Jezu mój! kto zdoła wypowiedzieć ten blask majestatu, w jakim się w takiej chwili objawiasz? Jakże, w obec tej wielmożności, z jaką się jej ukazujesz, rozumie to dusza, że Ty sam jesteś Panem nieba i ziemi, i że choćbyś tysiące i mnóstwo niezliczone nowych światów i nowych niebios stworzył, wszystka ta ogromna dzierżawa byłaby przecie niczem dla takiego Pana, jakim Ty jesteś.

Tu także jasno się widzi, jaka jest niemoc wszystkich czartów w porównaniu z wszechmogącą potęgą Twoją, i jako kto Tobie wiernie służy, mocen jest całe piekło zdeptać nogami. Tu widzi się, jak słuszny powód do przestrachu mieli czarci, gdy Ty zstąpiłeś do otchłani, jak słusznie mogli wówczas życzyć sobie tysiąca nowych piekieł głębszych niż piekło, aby się w nich skryć mogli przed takim ogromnym majestatem Twoim, który tu raczysz ukazywać duszy, aby poznała, jak jesteś wielki i jaka jest potęga najświętszego, złączonego z Bóstwem Człowieczeństwa twego. Tu łatwo jej przedstawić sobie, co to będzie w dzień sądu, gdy jawnie przed wszystkim światem

ukaże się majestat tego Króla, i srogość gniewu Jego przeciwko złym. Tu uczy się prawdziwej pokory, przenikniona widokiem nędzy swojej, w obec tego majestatu tak jawnej, że już jej nie widzieć nie może. Tu przejmuje się zawstydzeniem i prawdziwym żalem za grzechy swoje, i dla tego samego, że Ty, Panie, tak łaskawym jej się okazujesz, i taką jej miłość objawiasz, nie wie gdzie się podziać przed Tobą, i cała siebie wyniszcza. Twierdzę bez wahania, że gdy Pan w taki sposób raczy odkryć przed duszą niejaką część wielmożności swojej i majestatu, niepodobna by jakabądź siła śmiertelnego człowieka wytrzymała brzemię tego widzenia, gdyby Pan sam nie raczył przyjść jej w pomoc w sposób zgoła nadprzyrodzony, przenosząc duszę w stan zachwycenia i ekstazy, w którym widok tego widzenia zatraca się w roskoszy używania. Prawda, że pamięć tego nadmiernego brzemienia chwały potem się w duszy zaciera; ale on majestat i ona piękność Pańska tak w niej pozostają wyryte, że zapomnieć o nich nie może, chyba gdy spodoba się Panu doświadczyć ją próbą, o której w dalszym ciągu mówić będę, gdzie dusza taką cierpi straszną oschłość i opuszczenie wewnętrzne, że o wszystkiem, rzekłbyś nawet o Bogu, zapomina. Dusza po tem widzeniu pozostaje przemieniona, i ustawicznie jakby nasiąknięta Bogiem; zaczyna niejako w nowy sposób kochać Boga, żywą, w bardzo wysokim, jak mnie się widzi, stopniu, miłością; a lubo poprzedni on rodzaj widzenia, w którem, jak mówiłam, Bóg objawia się duszy bez widomego wyobrażenia, jest wyższym, wszakże ten drugi więcej odpowiada ułomności naszej, ile że pozostawiając wyryty w wyobraźni obraz tej Boskiej obecności, skutecznie ułatwia duszy zachowanie pamięci na tak wielką łaskę, i stateczne w rozpamiętywaniu jej skupienie myśli. To też oba te rodzaje widzenia prawie zawsze idą z sobą w parze, i tak jedno z drugiem się łączy, że w widzeniu przez wyobraźnię oglądamy oczyma duszy dostojność, i piękność i chwałę najświętszego Człowieczeństwa, a w tamtem widzeniu, o którem mówiłam, umysłowem, Onże nam się objawia jako Bóg, jako jest potężny, i wszystko może, i wszystko rozrządza, i wszystkiem włada, i wszystko miłością swoją napełnia.

Ten rodzaj widzenia bardzo wysoko ważyć sobie powinniśmy; nie grozi w niem, zdaniem mojem, żadne niebezpieczeństwo, bo ze skutków, jakie ono sprawuje, rzecz widoczna, że zły duch żadnej tu nie ma siły. Trzy czy cztery razy, o ile pamiętam, chciał mi on w ten sposób ukazać tegoż Pana, za pomocą mamiących widziadeł; postać cielesną potrafi przybrać, ale nie zdoła podrobić tej chwały, jaką jaśnieje Boskie Człowieczeństwo, gdy raczy się ukazać. Tworzy on widziadła swoje, chcąc niemi zatrzeć skutki prawdziwego widzenia, jakie dusza miała; ale ta odpycha od siebie te mary, i pod natarczywością ich trwoży się, i czuje w sobie niesmak i niepokój, i traci uczucia pobożne i słodkości wewnętrzne, jakiemi przedtem się cieszyła, i staje się niezdolną do modlitwy. To, jak mówię, zdarzyło mi się w początkach trzy albo cztery razy. Widziadła te szatańskie tak są rzeczą z gruntu różną od widzeń Bożych, że każdy kto doszedł choćby tylko do modlitwy odpocznienia, z łatwością, jak sądzę, to rozpozna za pomocą tego, co wyżej powiedziano jest o skutkach mowy wewnętrznej [1]. Jest to rzecz bardzo widoczna, i nie sądzę, by dusza mogła tu być od złego ducha oszukaną, — chybaby sama chciała dać się oszukać, — jeśli jedno z pokorą i prostotą postępuje. Ktokolwiek raz doznał prawdziwego widzenia Bożego, ten natychmiast jakby dotykalnie uczuje fałsz widziadła szatańskiego: choć i zły duch na wstępie sprawia w duszy niejakie smaki i słodkości duchowne, ona przecie czuje od razu, że to nie takie słodkości, jakie towarzyszą widzeniom Bożym, i ze wstrętem je odrzuca; nie widzi w nich żadnego znaku czystej i świętej miłości; tym sposobem zły duch sam siebie zdradza, i od razu się wydaje, kto pod temi pięknemi pozorami siedzi ukryty; tak iż kto ma w tych rzeczach jakiekolwiek doświadczenie, temu czart nic złego zrobić nie może.

Podobnież, żeby to widzenie Człowieczeństwa Chrystusowego mogło być prostem tylko wytworem wyobraźni, jest to rzecz bezwarunkowo niepodobna. Nie masz tu najmniejszej podstawy przyrodzonej: sama już piękność i białość jednej

[1]) W r. XXV.

tylko ręki uwielbionego Człowieczeństwa przewyższa wszelką wyobraźnię naszę. A potem, jakiż sposób, w jednej chwili przedstawić sobie, jakby obecne, takie rzeczy, które nigdy nie były w pamięci, ani w myśli naszej, których wyobraźnia i po najdłuższej pracy nie zdołałaby pojąć, bo jak mówiłam, przewyższają nieporównanie wszystko, cokolwiek na tej ziemi zrozumieć możemy. Jest to bez wątpienia czyste niepodobieństwo. Ale chociażby nawet wyobraźnia mogła tu czego dokazać, nieby to nie pomogło, jak o tem jasno nas przekona następująca druga uwaga. Gdyby widzenie takie tworzyło się rozumem, pominąwszy, że nie sprawowałoby tych wielkich skutków, jakie sprawuje widzenie od Boga, ani w ogóle żadnych skutków nadprzyrodzonych, dusza, miasto pożytku, miałaby tylko szkodę; byłaby podobną do człowieka, któryby chciał zasnąć, a poniewolnie leżał rozbudzony, bo sen nie przychodzi; pragnąłby bardzo snu, bo czuje jego potrzebę, czy to dla wielkiego znużenia, czy dla tego że głowa go boli, stara się jak może, go przywołać, i chwilami zdaje mu się że zasypia; ale nie jest to sen prawdziwy, nie pokrzepi go, i głowa od takiego snu nie odpocznie, owszem nieraz większe jeszcze po nim czuje zniemożenie. Tak byłoby w pewnej mierze i z tem widzeniem, gdyby było prostym wytworem wyobraźni: dusza pozostawałaby po niem czcza i próżna, miasto pokrzepienia i siły, odnosiłaby z niego tylko znużenie i niesmak; gdy przeciwnie, widzenie prawdziwe, wyrazić niepodobna, jakiemi ją skarbami zbogaca, i ciału nawet zdrowia i siły przysparza.

Tę racyę, i inne, przywodziłam w odpowiedzi na zarzuty, jakie mi czyniono bardzo często, utrzymując, że jest to sprawa diabelska, że zły duch mię oszukuje i mami; broniłam się także, jak mogłam, za pomocą porównań, które Pan mi na myśl nasuwał; ale wszystko to było nadaremno. Bo iż w porównaniu z ludźmi wysoce świętobliwymi, z którymi żyłam w tem miejscu, ja byłam ostatnią grzesznicą, a Bóg nie tą drogą ich prowadził, tem samem więc oni bali się o mnie, że błądzę i podlegam złudzeniom czartowskim; i tak, snać za grzechy moje, te o mnie obawy i podejrzenia z ust do ust się rozchodziły,

raz taka się we mnie stała odmiana.

Spowiednik mój [1], bardzo świątobliwy zakonnik z Towarzystwa Jezusowego, takie same dawał w obronie mojej odpowiedzi, jak się o tem później dowiedziałam. Był to kapłan wysokiej roztropności i najgłębszej pokory, ale właśnie ta pokora jego zaprowadziła na mnie ciężkie utrapienia, bo jakkolwiek w niezwykłym stopniu oddany był modlitwie, i naukę posiadał, w sądzie swoim o mnie nie dowierzał samemu sobie, tem bardziej, że Pan go tą drogą nie prowadził. Natrudził się on nie mało z mojego powodu. Ostrzegano go, jak słyszałam,

[1] O. Baltazar Alwarez.

by miał się ze mną na baczności, by snać, przywiązując jakąbądź wiarę do tych rzeczy, które mu wyznawałam, nie dał się diabłu wyprowadzić w pole; przytaczano mu różne przykłady na stwierdzenie tych przestróg. Wszystko to wielkiem dla mnie było udręczeniem. Obawiałam się, że w końcu nie będę miała przed kim się spowiadać, że wszyscy usuną się odemnie, jak od zapowietrzonej; płakałam bez przestanku. Prawdziwa to była Opatrzność Pańska, że ten Ojciec raczył cierpliwie mię znosić, i nie odmawiać mi spowiedzi; bo też tak wielki i żarliwy był to sługa Boży, że dla miłości Boga gotów był znosić wszystko. Zalecał mi więc, bym się strzegła obrazy Boskiej, bym nie odstępowała w niczem od wskazówek i przepisów jego, i nie lękała się tego, by on mię opuścił; na wszelki sposób i w każdej potrzebie dodawał mi odwagi i uspakajał mię. Szczególnie nalegał na to, bym niczego przed nim nie ukrywała, i tak też czyniłam. Upewniał mię, że bylebym była wierną temu zaleceniu, nie mam czego się obawiać; że wówczas rzeczy te, chociażby były sprawą diabelską, nic mi nie zaszkodzą; że owszem Pan na pożytek mój obróci tę szkodę, którąby zły duch chciał wyrządzić duszy mojej. W taki sposób pracował ile mógł nad wewnętrznem udoskonaleniem mojem. Ja, w takiej ciągle żyjąc obawie, posłuszną mu byłam we wszystkiem, choć niedoskonale. Przez trzy lata i więcej co mię spowiadał wśród tych ciągłych utrapień, dużo miał za mnie do zniesienia; gdyż w wielkich, jakie wówczas cierpiałam, prześladowaniach, będąc z dopuszczenia Pańskiego posądzaną i potępianą w wielu rzeczach, w których po większej części nie było nic złego, wszystko to składano na niego i jego za mnie obwiniano, choć żadnej nie miał winy. Gdyby nie to, że był to mąż tak święty, i że Pan mu odwagi dodawał, żadną miarą nie byłby zdołał wytrzymać tego wszystkiego, co miał do cierpienia; bo z jednej strony potrzeba mu było odpowiadać tym, którym się zdawało że jestem na złej drodze, a zapewnieniom jego, że się mylą, wierzyć nie chcieli; a z drugiej strony musiał mnie uspokajać i uśmierzać obawy moje, i gdy obawy te we mnie się wzmagały, tem bardziej znowu trudzić się i pracować, dla dodania mi otuchy; za każdem bowiem widzeniem

i za każdą nową łaską, dopuszczał Pan na mnie wielkie strachy, które mię po zniknieniu widzenia dręczyły. Wszystko to pochodziło stąd, że byłam i jestem tak wielką grzesznicą. On mię pocieszał z wielkiem współczuciem, i gdyby był miał więcej wiary w siebie samego, nie byłabym tyle i tak długo cierpiała, bo w tem wszystkiem Bóg mu dawał poznawać całą prawdę, i samże Najświętszy Sakrament, jak tego pewna jestem, był mu światłością ku poznaniu jej [1]).

Inni słudzy Boży, nie chcący wierzyć bym była na drodze bezpiecznej, długie o tych rzeczach toczyli ze mną rozmowy. A był między nimi jeden bardzo mi drogi, bo dusza moja nieskończenie wiele mu zawdzięczała; był to człowiek bardzo świętobliwy, gorąco pragnął postępu mojego w doskonałości, i prosił za mną Boga, aby mię oświecić raczył; tem większą więc boleść miałam, widząc że on mnie nie rozumie. Mówiłam

---

[1]) O. Baltazar Alvarez, jak świadczy o nim życiopisarz jego, Wiel. Ludwik De Ponte (*Żywot O. Balt. Alvarez*, r. VI), istnym był aniołem przy ołtarzu; święta jego powaga, skupienie i zapał ducha w sprawowaniu Najświętszej Ofiary w zachwyt wprawiały i czcią przenikały obecnych. Niekiedy, zapewne ile razy przeczuwał nowe łaski nadzwyczajne, mające nań spłynąć od Pana, chronił się ze Mszą świętą do jakiej samotnej kaplicy. Tam, nie krępowany obecnością świadków nań patrzących, sam na sam z Bogiem, twarzą w twarz rozmawiając z obecnym na ołtarzu Jezusem, swobodnie i bez przeszkody wylewał przed Nim wszystką duszę swoję, i nadziemskim płonąc zapałem, długie nieraz chwile, wedle miary łaski hojnie nań spływającej, pozostawał w tem niewypowiedzianem z Panem zastępów obcowaniu. Tu składał na ołtarzu wszelkie smutki, i pokusy, i próby, i trudności swoje, z serdeczną prostotą i ufnością chroniąc się do ran i do serca spoczywającego na nim Boskiego Pana swego; a Pan, jakoby wywdzięczając się za miłość i ufność jego, dawał mu wielkie oświecenia wewnętrzne, potokami pociech swoich zalewał go, uczył go co czynić ma, mocą z wysokości do walk i cierpień go uzbrajał. Święte te sługi Bożego z Panem swoim rozmowy i obcowanie nie mogły pozostać tajemnicą. W całej Kastylii głośno o nim mówiono, że w czasie Najświęszej Ofiary aniołowie stróżowie przynosili mu od Boga natchnienia i objawienia o duchownych potrzebach dusz, któremi kierował. W tej myśli i Święta w powyższym ustępie mówi, że Najświętszy Sakrament był mu światłością ku poznaniu wszelkiej prawdy, że mianowicie co do niej, zadziwiająco jasne i dokładne, jakie posiadał, stanu duszy jej, i rodzaju użyczanych jej od Boga łask nadzwyczajnych zrozumienie, miało swe źródło w nadprzyrodzonem oświeceniu, którego mu Bóg przy ołtarzu, bądź wprost bądź za posługiwaniem anielskiem udzielał.

z nimi po prostu i otwarcie, a oni słowa moje brali w innem znaczeniu, niż to, co chciałam przez nie powiedzieć; i tak szczerość mowy mojej wydawała im się brakiem pokory; za najmniejszem uchybieniem jakie we mnie spostrzegli, a mogli ich spostrzedz wiele, zaraz mię potępiali we wszystkiem. Pytali mię o to i owo; odpowiadałam w dobrej wierze, bez oglądania się na dobranie wyrazów, a oni z tego zaraz wyprowadzali wniosek, że chcę ich uczyć, że mam siebie za uczoną. Wszystko to w też tropy donosili spowiednikowi memu, w dobrym bez wątpienia zamiarze, i mając na celu poprawę moję; a spowiednik ostro mię za to strofował. Utrapienia te, z różnych stron na mnie spadające, trwały bardzo długo; ale dzięki łaskom, jakie mi czynił Pan, ochotnie je znosiłam.

Opowiadam te szczegóły, aby się z nich okazało, jakie udręczenia cierpi dusza, gdy na tej drodze duchownej nie ma przewodnika doświadczonego. Gdyby nie wielkie łaski, któremi darzył mię Pan, nie wiem coby się było ze mną stało. Cierpiałam trwogi i udręczenia, zdolne odebrać mi rozum; nieraz znajdowałam się w takiej ostateczności, że już nie wiedziałam co począć, tylko oczy wznosiłam do Pana, błagając ratunku. Przeciwieństwa takie, wyrządzane przez ludzi cnotliwych takiej jak ja, grzesznej, słabej, a do tego bojaźliwej kobiecinie, może się w opowiadaniu mojem wydawać drobnostką; ale ja, choć przeszłam w życiu mojem przez bardzo ciężkie utrapienia, to poczytuję za jedno z najcięższych. Daj Boże, abym przez nie była oddała jakąkolwiek chwałę Boskiemu Majestatowi Jego, tak jak pewna jestem tego, że mieli ją na celu, i większego tylko dobra mojego pragnęli ci, którzy mię potępiali i za zmamioną od złego ducha podawali.

ROZDZIAŁ XXIX.

O tem samem, ciąg dalszy. Opisuje inne jeszcze wielkie łaski, jakie jej uczynił Pan, i co jej w Boskiej łaskawości swojej mówił, dla uspokojenia jej, i aby wiedziała, jak odpowiadać tym, którzy jej byli przeciwni.

Daleko odeszłam od założenia mego. Zaczęłam była przytaczać dowody przekonywające, że ono widzenie Człowieczeństwa Zbawiciela nie może być tworem wyobraźni. Bo i jakże wyobraźnia, choćby wszelkiej dokładała usilności, zdołałaby nam przedstawić Człowieczeństwo Chrystusowe, i utworzyć obraz niezrównanej piękności jego? Nie małego czasu potrzebaby jej na to, by mogła dojść do wyobrażenia jakiegokolwiek, choćby dalekiego podobieństwa. Może wprawdzie do pewnego stopnia stawić nam przed oczy to święte Człowieczeństwo, i wpatrywać się w nie przez pewien czas, i przedstawiać sobie postać i świetność jego, i stopniowo uwydatniać sobie to wyobrażenie, i w pamięć je wbijać: tego jej nikt nie zaprzecza, bo wszystko to może zdziałać samą przyrodzoną siłą rozumu. Lecz tego widzenia, o którem tu mówimy, żadna siła wyobraźni nie wywoła; widzenie to nie zależy od woli naszej, jedno od Pana samego, który się ukazuje kiedy chce, i jak chce, i tyle ile chce; nie jest w mocy naszej, jakkolwiekbyśmy się starali, ująć co, albo dodać, albo sposób dowolnie naznaczyć, ani widzieć, kiedy chcemy, albo zaniechać patrzania, kiedy nie chcemy; a skoro się pokusimy bliżej zbadać jaki szczegół, zaraz całe widzenie znika. Przez półtrzecia roku Pan bardzo często użyczał mi tej łaski. Od trzech lat przeszło odjął mi ją, iż nie tak ciągle już miewam to widzenie, ale zastąpił mi ją inszym, jeszcze wyższym darem, o którym niżej mówić będę. Gdy mówił do mnie, wpatrywałam się w tę wspaniałą piękność Jego, i w te Boskie, wdziękiem niewypowiedzianym jaśniejące usta, z których szły słowa Jego słodkości pełne, niekiedy i surową powagą groźne. Gorąco pragnęłam dopatrzeć koloru oczu Jego i kształtu ich, abym je opisać mogła; ale nigdy tej łaski nie dostąpiłam, owszem, gdy więcej o to się starałam, całe widzenie zupełnie znikało mi z oczu. Nieraz jednak widziałam, jak

patrzał na mnie z najczulszą miłością; ale taka jest potęga tego spojrzenia, że dusza go znieść nie zdoła, i w wysokie wpada zachwycenie, w którem, ciesząc się całkowitem Jego posiadaniem, traci z oczu on widok roskoszny.

Nic tu więc nie zależy od naszego chcenia czy niechcenia; widocznie nic innego Pan tu od nas nie żąda, jedno pokory i uznania niegodności naszej, i brania tego, co nam daje, i dziękczynienia Temu, który daje. To się tyczy wszystkich, wszelkiego rodzaju widzeń, bez żadnego wyjątku; bo my tu zgoła nic nie możemy; tyle, ni mniej, ni więcej, widzimy, ile Panu spodoba się nam ukazać; żadne staranie, żadna usilność nasza niczego tu nie przyczyni, ani niczemu nie przeszkodzi. Chce Pan byśmy jasno i oczywiście widzieli, że nie jest to sprawa nasza, jedno Boskiej łaskawości i mocy Jego; tym sposobem skutecznie zagradza nam drogę do unoszenia się pychą, owszem, wszelki powód nam daje do pokory i świętej bojaźni, ostrzegając nas, iż jako nie pozostawił do woli i mocy naszej, byśmy widzieli co i kiedy chcemy, tak też mocen jest odjąć nam, nietylko widzenia, ale i samąż łaskę, i pozostawić nas w zatraceniu naszem: abyśmy zawsze z bojaźnią i drżeniem sprawowali zbawienie nasze, dopóki żyjemy na tem wygnaniu.

Prawie zawsze ukazywał mi się Pan takim, jakim zmartwychwstał; takim widywałam Go także, gdy objawiał się w Hostyi. Niekiedy, dla zmocnienia mnie, gdy byłam w strapieniu, ukazywał mi rany swoje; czasem, ale rzadko, widziałam Go na krzyżu, i w Ogrójcu, i w cierniowej koronie; kilka razy także, zawsze, jak mówiłam, dla pokrzepienia mnie w potrzebach moich, albo dla pociechy innych dusz, stawał przedemną obarczony krzyżem; ale w każdem z tych widzeń zawsze był w ciele uwielbionem. Ciężkie zniewagi i utrapienia przebyłam, ciężkie też strachy i prześladowania, za wyznawanie tych rzeczy. Niektórzy tak byli pewni, iż jestem opętana od złego ducha, że chcieli mnie egzorcyzować. Wszystko to jeszcze nie bardzo sobie brałam do serca; ale bardzo mi ciężko było, gdy widziałam, że spowiednicy boją się słuchać mię spowiedzi, albo gdy dowiedziałam się, że cóś im mają donieść na mnie. Z tem wszystkiem jednak, nigdy nie zdołałam żałować tego, że ogląą-

dałam one widzenia niebieskie, i ani jednego z nich nie byłabym oddała za wszystkie skarby i roskosze świata. Zawsze je poczytywałam sobie za wielką łaskę i ceniłam je jako skarb nieoszacowany; i Pan też sam wiele razy w tem mię upewniał. Czułam w sobie wciąż rosnącą najgorętszą miłość ku Niemu; szłam do Niego poskarzyć się na wszystkie one utrapienia, i zawsze wstawałam od modlitwy pocieszona i na nowo posilona. Z tymi jednak, którzy mi byli przeciwni, nie śmiałam się spierać; widziałam że to tylko pogorszy sprawę, i że każde moje odezwanie się będzie się poczytywało u nich za brak pokory. Mówiłam zatem o tych rzeczach tylko ze spowiednikiem moim, który mię zawsze pocieszał, gdy widział mię w takiem strapieniu.

Gdy zaś widzenia powtarzały się coraz częściej, jeden z nich, który przedtem miał pieczę o duszy mojej, a u którego i później spowiadałam się od czasu do czasu, gdy Ojciec minister [1]) miał jaką przeszkodę, stanowczo mi oznajmił, że jest to oczywiście zmamienie czartowskie. Zaczem przykazał mi, że skoro nie mam sposobu zapobieżenia tym napaściom złego ducha, mam, ile razy pokaże mi się nowe widzenie, przeżegnać się, i pokazać mu figę; zapewniał mię przytem, że w taki sposób przywitany, diabeł więcej nie przyjdzie; niech zatem będę dobrej myśli, bo Bóg mię obroni i od tych pokus wyzwoli. Rozkaz ten niezmierną mi sprawił przykrość; tem samem bowiem że byłam, i nie mogłam nie być przekonaną, że widzenia te są od Boga, spełnienie takiego rozkazu było dla mnie prawdziwą okropnością; ani też, jak już mówiłam, nie mogłam żadną miarą zdobyć się na to, bym pragnęła oddalenia tych widzeń. Ostatecznie jednak, czyniłam jak mi było przykazano. Gorąco błagałam Boga, by nie dopuścił, abym była od czarta kuszoną, jak to zawsze, i z rzewnemi łzami czyniłam. Polecałam się świętym Piotrowi i Pawłowi, których Pan sam, gdy w dzień ich święta

---

[1]) O. Baltazar Alvarez był przez siedm lat ministrem, to jest wice-przełożonym kollegium św. Idziego; w rzeczy samej jednak większą część tego czasu sam rządy domu sprawował, bo dwaj za niego przełożeni krótko na miejscu pozostawali: O. Dyonizy Vasqez półtora roku, a O. Gaspar de Salazar dziewięć miesięcy tylko.

pierwszy raz mi się ukazał, dał mi za obrońców, i oznajmił mi, że oni będą mię strzegli, abym nie była oszukaną; jakoż bardzo często widywałam ich najwyraźniej przy boku moim, z lewej strony; choć nie było to widzenie w wyobraźni, tylko umysłowe. Ztąd też czciłam tych dwóch Świętych, jako szczególnych i najdroższych mi orędowników moich.

Najsroższą ciężkość sprawiało mi ono pokazywanie figi za każdem zjawieniem się Pana: bo gdy Go widziałam obecnego, raczej byłabym dała się porąbać na sztuki, niżbym potrafiła uwierzyć że to zły duch. Był to więc dla mnie bardzo bolesny i wstrętny rodzaj pokuty. Dla oszczędzenia sobie ciągłego żegnania się, brałam krzyż i trzymałam go w ręku prawie ustawicznie; mniej ustawiczną byłam w pokazywaniu figi, bo mi to nazbyt było przeciwnem. Przypominałam sobie zelżywości, jakie Żydzi Panu czynili, i błagałam Go o odpuszczenie mi zniewagi, jaką ja Mu wyrządzam, gdyż czynię to przez posłuszeństwo i na rozkaz namiestnika Jego, aby zatem mnie nie winił o to, że spełniam polecenie tych, których On sam postanowił ministrami w Kościele swoim. A On mi odpowiadał, bym się o to nie troszczyła: że dobrze robię iż słucham, a On to sprawi, że się prawda jawnie okaże. Ale gdy nad to jeszcze zabronili mi rozmyślania, okazał się o to zagniewanym, i kazał mi powiedzieć im, że to już tyrania i okrucieństwo; przytem wskazał mi dowody, któremi miałam ich przekonać, że nie jest to sprawa złego ducha; niektóre z nich niżej wymienię.

Pewnego dnia, gdy trzymałam w ręku krzyż mój, przywiązany do różańca, On go wziął w ręce swoje; a gdy mi go oddał, ujrzałam go cudownie zmienionym: składał się z czterech dużych kamieni, bez porównania droższych niż brylanty; bo i niepodobne wszelkie porównanie między nadprzyrodzonym blaskiem onych kamieni, a świetnością jakichbądź najdroższych klejnotów, które można widzieć tu na ziemi; najpiękniejsze brylanty bledną przy nich i wydają się jakby podrobione. Na tych kamieniach było dziwnie pięknie wyryte wyobrażenie pięciu ran Zbawiciela. Zapowiedział mi Pan, że odtąd zawsze tak je widzieć będę, i spełniła się obietnica Jego: od onego dnia nie widziałam już drzewa, z którego ten krzyż był uczyniony,

jedno one drogie kamienie; ale nikt inny ich nie widział, oprócz mnie [1]).

Od chwili jak mi dano on rozkaz robienia takich prób i sprzeciwiania się widzeniom, łaski poczęły na mnie spływać z coraz większą obfitością. Choć starałam się na wszelki sposób uwagę rozerwać, wciąż byłam zajęta Bogiem, i we śnie nawet, rzec mogę, nie wychodziłam z modlitwy bogomyślnej; w niej miłość moja coraz wyżej rosła, w niej wylewałam skargi moje przed Panem na ten gwałt nieznośny, który mi zadawano; nie było w mojej mocy, jakkolwiek chciałam i usilnie się starałam, uchylić się od wciąż przytomnej mi obecności Jego. Mimo to byłam posłuszną o ile mogłam, ale w tym punkcie mało co, albo nic nie mogłam. I Pan też nigdy mię nie zwalniał od tego rozkazu; ale zalecajac mi bym się do niego stosowała, z drugiej strony uspokajał mię, i uczył mię, jak i teraz to czyni, co miałam mówić tamtym, i ubezpieczał mię racyami tak przekonywającemi, że wszelkie trwogi moje przed niemi znikały.

Wkrótce potem począł Pan, jako mi był obiecał, jawniejszemi znakami okazywać, że to On, a nie zły duch, wemnie działa, mnożąc wemnie tak żarliwą miłość Bożą, że sama nie rozumiałam, skąd ona powstała: był to dar zgoła nadprzyrodzony, a nie skutek jakiejkolwiek własnej usilności mojej. Widziałam siebie umierającą z pragnienia oglądania Boga, a nie wiedziałam gdzie szukać tego życia, jak chyba w śmierci. Powstawały we mnie wielkie zapały tej miłości, w których choć

---

[1]) „Joanna de Ahumada, siostra świętej Teresy, pisze Ribera (*Żywot św. Teresy*, Ks. I. r. XI),“ usilnie a zręcznie, jakoby nic nie wiedząc o cudownych własnościach jego, póty nalegała na świętą siostrę swoję o darowanie jej tego krzyża, póki ta, ulegając w końcu jej natarczywości, nie spełniła prośby jej. Uszczęśliwiona z posiadania takiego skarbu, Joanna zabrała go z sobą do Alby, gdzie z największą czcią go przechowywała. Niejednokrotnie raczyła dzielić się ze mną szczęściem swojem, pokazując mi ten cudowny krucyfix, złożony z czterech dość sporych kawałków hebanu. Pewna pani, mieszkająca w Albie, Magdalena de Toledo, zupełnie ślepa, kiedyś po śmierci św. Teresy, odwiedzając Joannę de Ahumada, wzięła w ręce drogą tę relikwię, przyłożyła do oczu, i w tejże chwili wzrok odzyskała“.

nie były tak gwałtowne i nie tak wysokiej ceny, jak te, o których na innem miejscu mówiłam, nie wiedziałam przecie co z sobą począć; żadna rzecz nie mogła zaspokoić żądzy mojej; sama w sobie jakoby nie mogłam się zmieścić, i prawdziwie takie miałam uczucie, jak gdyby mi kto duszę wydzierał. O Boski fortelu Pana mego! jakże misternego podejścia używałeś, Panie, z nędzną niewolnicą swoją! Ukrywałeś się przedemną, a zarazem przyciskałeś mię miłością swoją, zadając mi rodzaj śmierci tak roskosznej, że nigdyby dusza z niej ożyć nie chciała. Jaka jest siła tych potężnych zapałów, tego nikt nie zrozumie, kto ich sam nie doświadczył. Nie mają one nic wspólnego z onemi niespokojnemi wzruszeniami serca, ani z onemi, zmysłowo pobożnemi uczuciami, które jak to często się zdarza, gwałtownie dobywają się na wierzch, jak gdyby ducha zdławić chciały. Jest to bardzo niskiego rzędu rodzaj modlitwy; należy wystrzegać się tych nieporządnych uniesień, starając się spokojnie powściągnąć je w sobie, i w sposób łagodny uciszyć duszę, tak jak się robi z małem dzieckiem, gdy czasem tak się zanosi od płaczu, że zdawałoby się lada chwila się udusi: dać mu się napić, a wnet on płacz niepomierny ustanie. Podobnież i tu rozum powinien trzymać na wodzy te zapędy, by snać folgując im, nie dał wybujać naturze: niechaj pilne ma na nie baczenie, bo słuszna zachodzi obawa, że może w nich być wiele niedoskonałości, może i znaczna przymieszka zmysłowego lubowania się; niech utulą to dziecko cukierkiem i pieszczotą, słodko i łagodnie skłaniając duszę do miłości, a nie przemocą i jak to mówią, kułakiem w kark. Niechaj dusza uczy się skupiać w sobie miłość swoję, aby nie była jak woda w garnku zbyt mocno kipiąca, przelewająca się i pryskająca na wszystkie strony, bo za dużo drwa do ognia nałożono; niech ujmuje drwa, niech miarkuje przyczyny, to jest myśli i uczucia, z których wybuchł on płomień gwałtowny, niech stara się zalać go łzami, ale cichemi i słodkiemi, a nie siłą dobywanemi, jakiemi zwykle bywają łzy, z tych nieposkromionych uczuć się rodzące, a nie małą szkodę czyniące. Nieraz w początkach takie łzy miewałam, i zawsze mi po nich zostawał taki odmęt w głowie i takie znużenie ducha, że nazajutrz cały dzień, czasem

i dłużej niezdolną byłam wrócić do modlitwy wewnętrznej. Dla tego mówię, że w początkach zwłaszcza wielkiej potrzeba rostropności i miary, aby praca szła cicho i łagodnie, aby duch przyuczał się działać wewnętrznie, a wylewania się na zewnątrz bardzo się wystrzegał.

Zupełnie innego rodzaju niż one wzruszenia pobożne, są te zapały, o których tu mówię. Nie my tu drwa podkładamy; raczej, że tak się wyrażę, ogień już gotów i nanieconv, a nas z nienacka do niego wrzucają, aby nas płomień objął i pochłonął. Nie własną ręką dusza tu zadaje sobie tę ranę, która tak ją boli, iż rozłączona jest z Panem; ranę tę zadaje jej grot, inszą ręką w nią skierowany, i przeszywający raz wraz jej wnętrzności i serce, iż od bólu tego sama już nie wie, co jej jest i czego chce. Czuje to dobrze, że Boga jej trzeba, że ostrze grotu snać napuszczone było sokiem cudownego jakiego zioła, iżby dla miłości Pana swego obrzydła samej sobie, ochotnie gotowa życie swoje dla Niego poświęcić. Żadne usta, chociażby najwymowniejsze, nie zdołają wypowiedzieć sposobu, w jaki Bóg tę ranę duszy zadaje, ani tego bólu, jakiego dusza tak zraniona doznaje, i srogością jego ściśniona, odchodzi od siebie; ale jest to zarazem ból tak słodki, iż nie masz w tem życiu roskoszy, którąby się z tą słodkością jego równać mogła, i dusza, jak już mówiłam, radaby ciągle na tę ranę umierać.

Taki ból idący w parze z taką chwałą, wprawiał mię w zdumienie: nie mogłam pojąć, jak to być może. O jakiż to widok, jaka to tajemnica, taka dusza zraniona! Prawdziwie, mówię, w duchownem, przewyższającem znaczeniu zraniono, strzałą taką przedziwną, z nieba w serce jej godzącą! Widzi jasno, że nie ona to sprawiła, by ta miłość do niej przyszła, że źródłem jej jest ona miłość nieskończona, którą Pan ją miłuje, że z tego Boskiego ogniska nagle na nią spadła jedna iskierka i takim ją całą ogniem zapaliła. O jakże często, gdy jestem w tym stanie, przychodzą mi na myśl te słowa Dawida: „Jako jeleń pragnie do źródeł wodnych“; dosłowny to, zdaje mi się, wyraz tego co w sobie doznaję. Gdy siła tego zapału opuszcza nieco z gwałtowności swojej, dusza snać znajduje niejakie uśmierzenie bólu, w użyciu umartwienia i pokuty, albo przynajmniej szuka sobie

ulgi tą drogą, bo sama nie wie co począć; ale i najsroższego, aż do krwi, biczowania tak zgoła nie czuje, jak gdyby ciało miała już martwe. Szuka dróg i sposobów, jakby mogła co ucierpić dla miłości Boga; ale pierwszy on ból tak jest wielki, iż nie wiem, jaka katusza cielesna zdołałaby go umorzyć: na takie wysokie nadprzyrodzone cierpienie, nie masz na tej ziemi lekarstwa! wszelkie środki ziemskie za niskie są, aby go mogły dosięgnąć. To jedno tylko ból duszy nieco uśmierza, i niejaką jej ulgę przynosi, gdy modlitwą zwróci się do Boga i błaga Go o lekarstwo na swoje cierpienie, a innego nie widzi żadnego, jedno śmierć, bo wie, że przez nią tylko dostąpi zupełnego posiadania dobra swego. Niekiedy ból do takiej gwałtowności się wzmaga, że już i modlitwa, i wszelka jakabądź czynność staje się niemożliwą; wszystko ciało kurczowo się ściąga, ręce i nogi tracą wszelką władzę, stojący już ustać nie może, i pada jak martwy; oddech nawet ustaje, i z piersi tylko dobywają się jęki, słabe na pozór, bo głos zamiera, ale wewnętrznie bardzo silne, od bólu, który się niemi objawia.

W tym stanie będąc, z łaski Pana miałam kilka razy takie widzenie: widziałam anioła, stojącego tuż przy mnie, z lewego boku, w postaci cielesnej. W taki sposób nigdy nie widuję aniołów, chyba bardzo rzadkim wyjątkiem. Choć często mi się ukazują, nigdy przecie nie widzę ich inaczej, jedno owym pierwszym rodzajem widzenia, o którym mówiłam, to jest widzeniem zgoła wewnętrznem, umysłowem. W tem widzeniu jednak tak się spodobało Panu, że anioł mi się zjawił w postaci widomej. Nie był wysokiego wzrostu, mały raczej, a bardzo piękny; z twarzy jego, niebieskim zapałem płonącej, znać było, że należy do najwyższego rzędu aniołów, całkiem jakoby w ogień przemienionych. Musiał być z rzędu tych, których zowią cherubinami, bo nazwiska swego żaden mi nie wymienia. Ale to widzę jasno, że taka jest w niebie różnica między jednymi aniołami a drugimi, i tymi znowu a innymi, że jej i wyrazić nie zdołam. Ujrzałam w ręku tego anioła długą włócznię złotą, a grot jej żelazny u samego końca był jakoby z ognia. Tą włócznią, zdało mi się, kilkoma nawrotami serce mi przebijał, zagłębiając ją aż do wnętrzności; za każdem wy-

ciągnieniem włóczni, miałam to uczucie, jakby wraz z nią wnętrzności mi wyciągał; tak mię pozostawił całą gorejącą wielkim zapałem miłości Bożej. Tak wielki był ból tego przebicia, że wyrywał mi z piersi one jęki, o których wyżej wspomniałam; ale taką zarazem przewyższającą wszelki wyraz słodkość sprawuje mi to niewypowiedziane męczeństwo, że najmniejszego nie czuję w sobie pragnienia, by ono się skończyło, i w niczem inszem dusza moja nie znajduje zadowolnienia, jedno w Bogu samym. Nie jest to ból cielesny, ale duchowny, chociaż i ciało niejaki, owszem nawet znaczny ma w nim udział; ale taka mu towarzyszy słodka, między duszą a Bogiem wymiana oznak miłości, że jej opisać nie zdołam, tylko Boga proszę, aby w dobroci swojej dał zakosztować jej każdemu, ktoby mnie nie wierzył [1]).

Ile razy miałam to widzenie, chodziłam cały dzień jakby nieprzytomna; nie chciało mi się na nic patrzyć, ani z nikim mówić, a tylko lubować się męką moją, którą poczytywałam sobie za chwałę większą nad wszystko, cokolwiek może być chwały i wielkości w całem stworzeniu. Zdarzyły mi się kilka razy te widzenia w czasie, gdy podobało się Panu zesłać na mnie takie wielkie i niepowstrzymane zachwycenia, że nawet będąc między ludźmi, nie mogłam im się oprzeć, skutkiem czego, z wielką przykrością moją, poczęły one dochodzić do wiado-

---

[1]) Łaskę tę nadzwyczajną otrzymała Święta w 45-m roku życia swego, gdy jeszcze mieszkała w klasztorze Wcielenia w Awili. Bóg później na cały Kościół wsławił to cudowne zranienie oblubienicy swojej, gdy w początku XVIII wieku Papież Benedykt XIII (d. 25 maja 1726), na prośbę hiszpańskiej i włoskiej kongregacyi zreformowanego Karmelu, ustanowił osobne święto, i wszystkim zakonnikom i zakonnicom reformy karmelitańskiej dozwolił osobnego officyum na cześć *Przeszycia serca św. Teresy.* Z początku officyum to miało tylko własną oracyę, i lekcye; później jednak tenże Papież zatwierdził całkowite na to święto officyum i Mszę. Święto to obchodzi się i officyum jego odmawia się również w Karmelu dawnej obserwancyi, a w Hiszpanii jest ono świętem ogólnie kościelnem. Nad to jeszcze Benedykt XIV, w swem Brewe *Dominici gregis* z 8 sierpnia 1744, na wieczne czasy nadał odpust zupełny wszystkim wiernym, w to święto *Przeszycia*, obchodzone 27 sierpnia, od pierwszych nieszporów aż do zachodu słońca następnego dnia, nawiedzającym którybądź kościół karmelicki.

mości wszystkich. Od czasu jak miewam te zachwycenia, nie tyle już doświadczam tego bólu, ile raczej onego drugiego, o którym mówiłam wyżej, nie pamiętam już w którym rozdziale [1]), a który w wielu rzeczach bardzo się różni od tego, i wyższą ma wartość. Ten zaś ból, o którym w tym rozdziale była mowa, teraz krótko trwa; zaledwo się zacznie, a już Pan porywa duszę, i przenosi ją w stan zachwycenia, zaczem już czasu i miejsca nie staje na ból i cierpienie, bo zaraz następuje roskosz używania. Chwała bądź Jemu na wieki, iż takie wielkie łaski czyni istocie, tak źle odpowiadającej nieskończonym dobrodziejstwom Jego!

ROZDZIAŁ XXX.

Podejmuje na nowo przerwane opowiadanie życia swego. Jako Pan zaradził w znacznej części jej utrapieniom, sprowadzając do miejsca zamieszkania jej świętego męża, brata Piotra z Alkantary, z zakonu chwalebnego św. Franciszka. O wielkich pokusach i udręczeniach wewnętrznych, jakich w tym czasie doznawała.

Jakkolwiek widziałam, że mało na co, albo na nic nie zdadzą się wszystkie moje usiłowania i starania o zapobieżenie tym moim tak gorącym zapałom, nie bez obawy jednak ulegałam im. Nie mogłam tego zrozumieć, jakim sposobem cierpienie może iść w parze z zadowolnieniem. Że przy cierpieniu fizycznem może być bardzo dobre zadowolnienie duchowne, o tem wiedziałam; ale takie niezmierne cierpienie duchowne, w połączeniu z taką nieopisaną słodkością i weselem, to mi się nie mieściło w głowie. Nie zaprzestawałam jednak nakazanej mi usilności w sprzeciwianiu się widzeniom; ale próżne były moje starania, tylko męczyły mię nieraz aż do zniemożenia. Uzbrajałam się w krzyż, chcąc się nim bronić od Tego, który przez krzyż stał się nam wszystkim zbawieniem i obroną. Widziałam że nikt mnie nie rozumie; ale choć było mi to zupeł-

---

[1]) W r XX.

nie jasnem, nie śmiałam przecie z tem się odzywać przed nikim, z wyjątkiem jednego tylko spowiednika mego: bo mówić to drugim, byłoby mi poczytanem, i tym razem słusznie, za rzeczywisty brak pokory.

Spodobało się Panu w tym czasie zaradzić po części, a później i zupełnie, utrapieniom moim, sprowadzając w to miejsce błogosławionego brata Piotra z Alkantary, o którym wyżej już wspomniałam, przytaczając niektóre szczegóły o umartwieniach jego [1]). Między innemi jeszcze, dowiedziałam się od takich, którzy na pewno o tem wiedzieć mogli, że przez dwadzieścia lat nosił w miejsce włosienicy pancerz blaszany, nigdy go nie zdejmując. Napisał w narzeczu kastylijskiem książeczki o modlitwie, powszechnie dzisiaj używane, bo ułożone przez tak doświadczonego mistrza modlitwy wewnętrznej, bardzo są pożyteczne dla każdego kto się temu świętemu ćwiczeniu oddaje. Zachowywał w całej surowości pierwotną regułę błogosławionego świętego Franciszka, pełniąc na dto takie nadzwyczajne uczynki pokutne, jak je wyżej opisałam. Wdowa ona, godna służebnica Boża i przyjaciółka moja [2]), o której na innem miejscu mówiłam, dowiedziawszy się o przybyciu do miasta tak wielkiego męża, chciała koniecznie bym się z nim obaczyła. Wiedziała w jakiej jestem potrzebie, bo była świadkiem utrapień moich, i wielką mi w nich niosła pociechę. Pełna żywej wiary, nie mogła nie być przekonaną, że to co wszyscy przypisywali we mnie duchowi złemu, jest sprawą ducha Bożego. Przy bardzo zdrowym sądzie o rzeczach, była dziwnie powściągliwą w mowie i umiała dochować sekretu; a jako w ogóle Pan użyczał jej wielu łask na modlitwie, tak i co do moich przejść wewnętrznych spodobało się Boskiej łaskawości Jego oświecić ją, i dać jej zrozumienie tego, czego zrozumieć nie mogli uczeni Spowiednicy moi pozwalali mi znosić się z nią i szukać sobie u niej ulgi w niektórych zdarzeniach, bo ze wszech miar przypadała mi do serca. Jej też niekiedy dostawał się udział w łaskach, jakie mi uczynił Pan, gdyż nieraz otrzymywałam od Niego, dla udzielenia jej, przestrogi i wskazówki,

[1]) Na końcu r. XXVII. [2]) Guiomar de Ulloa.

dla kierunku duszy jej wielce pożyteczne. Gdy tedy dowiedziała się o przybyciu Piotra z Alkantary, dla ułatwienia mi bliższych z nim stosunków, nie uprzedzając mię, wyjednała dla mnie u prowincyała mego pozwolenie przeniesienia się na tydzień do domu jej. U niej więc, jak również kilka razy w kościele, miałam długie z tym mężem świętym rozmowy, za oną pierwszą jego w mieście naszem bytnością; ale i później jeszcze w różnych czasach dano mi było często z nim się znosić. Miałam zawsze ten zwyczaj, że przed tymi, którym powierzam duszę moję, otwieram się z wszelką szczerością i jasnością; wszelkie nawet pierwsze poruszenia moje chciałabym żeby im były wiadome, a z rzeczy wątpliwych albo podejrzanych tak się oskarzam, jak gdybym była pewna winy popełnionej. I tu więc, z największą na jaką mię stać było jasnością, wyznałam temu słudze Bożemu cały w krótkości przebieg życia mego, i sposób mój zachowania się na modlitwie, słowem, bez żadnych omówień i niczego nie tając, odkryłam przed nim całą duszę moję. Od razu prawie uczułam, że mię rozumie przez doświadczenie własne, i tego właśnie najwięcej mi było potrzeba; bo wówczas jeszcze nie miałam tej łaski, której Bóg później mi użyczył, bym potrafiła rozumieć, jak teraz rozumiem, i wyraźnie opisać łaski, jakiemi mię Boska dobroć Jego obdarza, i potrzeba mi było takiego, któryby sam na sobie tych przejść doświadczył, aby mię w zupełności zrozumiał, i mógł mi objaśnić, co o nich mam trzymać.

Oświecił mię takiem światłem, jakiego nigdy przedtem nie miałam. Do onej chwili, widzenia jakie miewałam, zwłaszcza one zgoła wewnętrzne i umysłowe, ale i te drugie w wyobraźni, które oglądałam oczyma duszy, były dla mnie rzeczą niepojętą; nie mogłam żadną miarą zrozumieć możliwości takich objawień; zdawało mi się, że tylko te, które się przedstawiają oczom ciała, mogą się poczytywać za prawdziwe widzenia, a takich nie miewałam. Dopiero ten mąż święty zupełnie mię oświecił, i wszystko mi wytłómaczył; upewnił mię, że nie mam czego się bać, ale raczej winnam dziękować Bogu; że widzenia moje tak niezawodnie są sprawą ducha Bożego, iż po artykułach wiary, nie masz prawdy pewniejszej, i w którąbym mocniej

wierzyć mogła. Bardzo był ze mnie pocieszony, wielką mi łaskawość i przychylność okazywał, i odtąd zawsze miał pieczę o mnie, i zwierzał mi się z wielu rzeczy i wewnętrznych spraw swoich. Wielką znajdował przyjemność w tem duchownem obcowaniu, widząc we mnie takie stanowcze i gorące, jak mi je dawał Pan, pragnienia i taką odwagę do podjęcia podobnych rzeczy, jakie on już czynem wypełniał. Bo kogo Pan do tego wysokiego stanu podniesie, dla tego nie masz większej przyjemności i pociechy nad tę, gdy spotka się z drugą duszą, w którejby widział początki takichże łask, jakie sam otrzymał od Boga. We mnie naówczas chyba mało co więcej było nad pierwsze ich początki: dałby Bóg, abym i dzisiaj choć tyle ich posiadała. Serdecznie ubolewał nad strapieniem mojem; mówił mi, że jednem z największych cierpień, jakie mogą być na tej ziemi, jest właśnie to co ja cierpię, to jest przeciwieństwo od ludzi cnotliwych; zapowiedział mi, że jeszcze wiele utrapień mię czeka, gdyż będąc w ciągłej potrzebie pomocy duchownej, nie mam w tem mieście nikogo, ktoby mię rozumiał. Obiecał jednak, że pomówi o mnie ze spowiednikiem moim, a także z jednym z tych którzy najwięcej mię dręczyli, to jest z onym panem, przyjacielem moim, o którym w swojem miejscu mówiłam, a który właśnie dlatego, że był mi bardzo życzliwym, najsroższą mi wojnę wydawał, bo mając duszę pobożną ale bojaźliwą, nie mógł temu dać wiary, bym mogła być podniesioną do stanu tak wysokiego, kiedy przedtem znał mię tak niecnotliwą. Jakoż, dotrzymując swej obietnicy, mąż święty miał rozmowę z obydwoma, skutecznemi dowodami przekonywając ich, że obawy ich nie mają słusznej zasady, i że powinni już dać mi pokój. Spowiednik mój nie bardzo tego potrzebował, aby go jeszcze przekonywano; nie tak on pan, którego nawet taka powaga nie zdołała całkiem uspokoić, ale tyle przynajmniej dokazała, że już nie tak bardzo mię straszył.

Umówiliśmy się, że będę do niego pisywała, i donosiła mu co się dalej ze mną wydarzy, i że usilnie będziemy siebie wzajemnie polecali Bogu; bo taka była jego pokora, że przywiązywał jakąkolwiek wartość do modlitw takiego nędznego, jakiem ja jestem, stworzenia, co mię mocno zawstydzało. Rozsta-

łam się z nim niezmiernie zadowolniona i pocieszona, zwłaszcza tem upewnieniem jego, bym bezpiecznie dalej oddawała się modlitwie, i nie wątpiła o tem, że to co się dzieje we mnie, od Boga pochodzi; w razie zaś jakiej wątpliwości, radził mi bym ją dla większego upewnienia siebie wyznała spowiednikowi, a potem była spokojną. Z tem wszystkiem jednak, ponieważ Pan prowadził mię drogą bojaźni, nie mogłam się zdobyć na to zupełne i niezachwiane uspokojenie, tak samo jak, gdy mi mówiono że diabeł mię zwodzi, nie mogłam temu dać wiary, i na prawdę podzielać strachy straszących mię. Tak więc ani ci, którzy wzniecali wemnie obawy, ani ci, którzy mię do ufności pobudzali, nie mogli dokazać tego, bym zdołała większą słowom ich dawać wiarę, niż jaką Pan dawał do duszy mojej. Lubo zatem on mąż święty uspokoił mię i pocieszył, nie tylejednak mu uwierzyłam, bym już zupełnie była bez bojaźni, zwłaszcza gdy Pan dopuszczał na mnie pewne udręczenia wewnętrzne, o których zaraz mówić będę. Na ogół wszakże, powtarzam, wielką ten święty sługa Boży pozostawił we mnie pociechę i uspokojenie. Nieustanne czyniłam dzięki Bogu, i chwalebnemu Ojcu mojemu, świętemu Józefowi, bo on to, jak byłam przekonana, sprowadził do nas tego męża świętego, jako generalnego komisarza kustodii [1]) tutejszej, pod jego wezwaniem zostającej. Jemu i Najświętszej Pannie Maryi zawsze się gorąco polecałam.

Zdarzało mi się nieraz, i teraz jeszcze, choć rzadziej, się zdarza tak srogie cierpieć w duszy udręczenia, w połączeniu z tak wielkiemi boleściami i tak srogiemi mękami w ciele, że nie wiem co z sobą począć. Same bóle fizyczne, choć bardzo ciężkie, jakich w innych czasach doświadczałam, gdy nie było przy nich tych ucisków wewnętrznych, bardzo ochotnie i z weselem ducha znosiłam; ale gdy oboje cierpienia razem się zeszły, była to męka taka, że mię prawie do ostateczności przyprowadzała.

Wszystkie łaski, jakie mi kiedybądź uczynił Pan, zacie-

[1]) Kustodyą w zakonach franciszkańskich zowie się kompleks domów, nie dość liczny, by mógł tworzyć prowincyę.

rały się wonczas w mej pamięci; pozostawało mi tylko mgliste wspomnienie, jakby snu przebytego, które tylko przymnażało udręczenia. Rozum tak miałam zaciemniony, że wpadałam w niezliczone wątpliwości i obawy: zdawało mi się, że onych przejść i widzeń moich nie umiałam zrozumieć; może się tylko łudziłam; dość tego, że sama się oszukałam, bym miała jeszcze oszukiwać uczciwych ludzi; taką wydawałam się samej sobie złą i przewrotną, że wszystkie nieszczęścia i klęski, jakie kiedy przyszły na ludzi, i wszystkie herezye, jakie kiedy na świecie powstały, przedstawiały mi się jako naturalny skutek grzechów moich. Była to pokora fałszywa i czartowski wynalazek na zatrwożenie duszy mojej, i popchnięcie jej, jeśliby popchnąć się dała, do rozpaczy. Nie mówię tego na domysł, ale z długiego doświadczenia własnego; bo teraz, gdy widzi, żem się poznała na tej zdradzie jego, już mię szatan nie tak często dręczy w ten sposób, jak to przedtem czynił. Że ta rzekoma pokora jest sprawą złego ducha, to jasno widać z całego przebiegu jej: zaczyna się od niepokoju i zamięszania wewnętrznego, i przez cały czas trwania swego trzyma duszę w nieustannym odmęcie, i sprawuje w niej ciemności i gnębiący smutek, i oschłość i niesmak do modlitwy i do wszelkich uczynków dobrych: dusza pod jej naciskiem, rzekłbyś, się dusi, i ciało jakby skrępowane i do niczego niezdolne. Prawdziwa pokora przeciwnie, choć jasno stawia przed oczy duszy nędzę jej, i nad nią boleje, i złości swoje, tak samo jak tamta, w najciemniejszych barwach sobie maluje, i prawdziwiej, niż tamta je czuje, nie prowadzi przecie za sobą zamięszania wewnętrznego, ani niesmaku, ani ciemności, ani oschłości, ale owszem, całkiem na odwrót, przynosi duszy wesele, i pokój, i słodkość, i światło. Jest w niej ból, ale ból ten z drugiej strony duszę pociesza, gdy widzi, jak wielką łaskę Bóg jej czyni, sprawując w niej ten ból, i jak wielki z niego pożytek. Głęboki żal ją kruszy, iż obraziła Boga, ale z drugiej strony serce jej się rozszerza na wspomnienie o miłosierdziu Jego; jasno widzi siebie, jaką jest, i wstydzi się samej siebie, a zarazem wysławia łaskawość Boga, iż tak długo ją znosił. W tamtej rzekomej pokorze, którą sprawuje zły duch, nie masz dla duszy światła do niczego dobrego: Boga przedstawia jej

groźnego, tępiącego wszystko ogniem i krwią; stawia jej przed oczy samą tylko sprawiedliwość, a chociaż dusza i wówczas wierzy, że jest i miłosierdzie, bo tej władzy diabeł nie ma, by jej odebrał wiarę, ale sposób w jaki je widzi, nie zdoła jej pocieszyć; przeciwnie, samaż wielkość tego miłosierdzia, im jaśniej je poznaje, tem bardziej jeszcze ją udręcza, bo tem jaśniej w świetle jego widzi, jak wiele winna jest Bogu.

Ten wynalazek diabelski jest jednym z najsubtelniejszych i najskrytszych, a dla duszy najboleśniejszych podstępów, jakich kiedy od złego ducha doznałam. Mówię też o nim dla przestrogi Waszej Miłości, abyś, jeźliby nieprzyjaciel z tej strony cię kusił, miał niejakie światło ku poznaniu go, jeśli jeszcze pozostawi ci umysł swobodny, abyś go poznać zdołał. Bo nie sądź, Ojcze, by nauka i wiedza tu na wiele się przydały; ja chociaż zgoła jej nie posiadam, przecie skoro otrząsłam się z tej pokusy, zrozumiałam, że jest to czcza mara. Zrozumiałam, że stało się to z woli i dopuszczenia Pana, że pozwolił diabłu kusić mię, jak dopuścił mu kusić Joba, lubo, jako nędzną i grzeszną, nie pozwolił by mię kusił z taką, jak Joba, srogością.

Raz, pamiętam, zdarzyło mi się to w dzień przed pierwszemi nieszporami Bożego Ciała; jest to uroczystość, do której szczególne mam nabożeństwo, choć nie tak gorące jakby należało. Tym razem trwało to tylko do dnia samego święta; ale w innych czasach, napaści te trwają cały tydzień, i dwa, i trzy tygodnie, albo może jeszcze i dłużej; szczególnie też zdarzało mi się to w Wielkim Tygodniu i w tygodniu Męki Pańskiej, kiedy właśnie z największą roskoszą zwykłam oddawać się modlitwie wewnętrznej. Nagle zły duch opanowuje rozum myślami nieraz tak błahemi, że w innym czasie śmiałabym się z nich, i trzyma go jakby omotany we wszelkie błazeństwa jakie zechce mu poddać, i duszę tak spętaną, iż nie jest panią siebie, ani zdolną pomyśleć cokolwiekbądź dobrego; przedstawia jej same tylko fraszki i niedorzeczności, bez sensu ni związku, ni przypiął, jak to mówią, ni przyłatał, a które nawałem swoim tak plączą i jakoby dławią duszę, iż wydobyć się z nich nie może. Nieraz, przyznaję, takie miałam uczucie, jak gdyby

czarci bawili się duszą moją jak piłką, rzucając nią i odrzucając tam i sam, a żadnego nie zostawiając jej wyjścia, którędyby się z rąk ich wyrwała. Trudno wyrazić, jakie dusza w tym stanie męki cierpi; szuka na wszystkie strony ratunku, a Bóg nie dopuszcza by go znalazła. Jedna tylko jej pozostaje świadomość wolnej woli swojej, ale i ta nie jasna, jak gdyby miała oczy przysłonione; podobna wówczas do człowieka, który w ciemności nocnej idąc drogą niebezpieczną, cały jednak z niej wyszedł, dla tego że często chodził nią za dnia, i pamięta gdzie są miejsca trudniejsze, i gdzie stąpić nogą, aby przepaść ominąć; tak i dusza w tym stanie omija przepaść obrazy Boskiej, nie tyle świadomem siebie zastanowieniem się, do którego wówczas mało jest sposobna, ile raczej jakby instynktownie i skutkiem nabytego już cnotliwego nałogu wystrzegania się grzechu; nie mówiąc już o tem, co główna i najważniejsza, że Pan ją trzyma i strzeże.

Wiara w takich chwilach, podobnie jak i drugie cnoty, martwa jest i uśpiona, choć nie całkiem zagasła; dusza wierzy zawsze w to, czego uczy Kościół, ale jakoby usty tylko; a z drugiej strony czuje się wewnątrz ściśnioną i odrętwiałą, tak iż znajomość Boga i rzeczy Bożych dochodzi do niej tylko jakby jakieś dźwięki dalekie. Miłość podobnież tak w niej jest oziębła, że gdy jej mówią o Bogu, słucha wprawdzie i wierzy, że tak jest, bo tak Kościół naucza, ale tego, co przedtem sama czuła dla Boga, zgoła nie pamięta. Pójść na modlitwę albo schronić się na samotność, większego tylko dodaje jej ucisku; bo wszędy nosi z sobą i czuje w sobie prawdziwie nieznośne udręczenie, a przyczyny jego dojść nie może. Jest to, jak sądzę, słaby ale wierny obraz piekła; i tak jest w istocie: Pan sam raczył mi to objawić w widzeniu. Dusza czuje w sobie ogień, który ją pożera, a nie wie kto i skąd go naniósł, ani jak się schronić od niego, ani jak go ugasić. Jeśli dla ulżenia sobie weźmie książkę do ręki, tak nic jej nie rozumie, jakby czytać nie umiała. Raz, pamiętam, otworzyłam żywot któregoś Świętego, próbując czy mi nie trafi do serca, i czy nie odniosę jakiej pociechy z opisu cierpień sługi Bożego: otóż czterema czy pięcioma nawrotami odczytując kilka zaledwie wierszy,

mniej jeszcze rozumiałam w końcu, niż zrozumiałam z początku, choć książka pisana była w języku hiszpańskim, i ostatecznie musiałam ją położyć. Zdarzyło mi się to po wiele razy, ale ten raz szczególnie utkwił mi w pamięci.

Gorzej jeszcze próbować szukania sobie ulgi w rozmowie z drugimi; bo diabeł takie w tobie nieci uczucia niechęci, i kwasu i goryczy, że zda się chciałbyś wszystkich zjeść; i nic na to poradzić nie zdołasz, jedno że przykładając wszelkiej usilności, ledwo powściągniesz wybuchy tej niechęci, czyli raczej Pan sam, gdy jesteś w tym stanie, trzyma cię ręką swoją, abyś nie powiedział, albo uczynił czego, co byłoby z ujmą dla bliźniego i z obrazą Boga. Co do spowiedzi zaś, powiem szczerze, jaka mię najczęściej spotykała na niej pociecha; ci którzy mię wówczas spowiadali, i dotąd spowiadają, są to bez wątpienia ludzie bardzo świętobliwi; mimo to jednak, gdym do nich przychodziła, słyszałam od nich słowa i strofowania tak ostre, że sami potem, gdym im to przypominała, sobie się dziwowali, tłómacząc się, że nie było w ich mocy, inaczej do mnie mówić; że jakkolwiek mocno sobie postanawiali na przyszły raz powstrzymać się od tego łajania, i widząc mię w takich męczarniach na duszy i na ciele, litowali się nademną i chcieli mię pocieszyć i przyjąć z dobrocią, przecie, gdy przychodziło do rzeczy, mimowoli i niespostrzeżenie znowu wpadali w ten sam sposób obchodzenia się ze mną. Nie były to słowa złe w tem znaczeniu, by obrażały Boga; ale były to niezawodnie słowa najtwardsze i najprzykrzejsze, jakie można usłyszeć od spowiednika; chcieli zapewne zadać mi zbawienne umartwienie, i ja też w innym czasie gotowa byłabym znieść je z weselem; ale wówczas wszystko było dla mnie męką. Nieraz nachodziła mię myśl, że istotnie ich oszukuję; wtedy szłam do nich, i ostrzegałam ich zupełnie na seryo, by się mieli ze mną na baczności, bo bardzo być może, że ich w błąd wprowadzam. Czułam-ci dobrze, że umyślnie i świadomie nigdybym tego nie uczyniła, ani za nic nie zgodziła się na kłamstwo; ale wszystkiego się bałam. Jeden z nich, widząc wyraźnie że to tylko pokusa, powiedział mi kiedyś, bym o to była spokojna, że

choćbym ja chciała oszukiwać, on się oszukać nie da. Bardzo mię to zapewnienie jego pocieszyło.

Czasem, zwyczajnie nawet, lubo nie zawsze, po przyjęciu Komunii, albo i w samej już chwili przystąpienia do niej, nagłej doznawałam ulgi, i tak zdrową się czułam na ciele i na duszy, że wydziwić się takiej zmianie nie mogłam. Snać za wnijściem tego Boskiego słońca, pierzchały wszystkie ciemności duszy mojej, i jasno mi się ukazywała marność tych strachów i udręczeń, w jakich przedtem zostawałam. Innemi razy, jak już mówiłam [1]), od jednego słowa takiego, jak: „Nie smuć się“, albo „Nie bój się“, usłyszanego z ust Pana, z towarzyszącem mu widzeniem, albo i bez widzenia, zupełny spokój i pogoda wracały do duszy mojej, jak gdybym nigdy nic nie była cierpiała. Wówczas roskoszowałam w Bogu; żaliłam się Jemu, że pozwala na to, bym takie męki cierpiała; ale cierpienia te sowicie mi się opłacały, bo prawie zawsze następowała po nich wielka hojność łask. Widocznie, jak sądzę, dusza w tych cierpieniach się oczyszcza, jak złoto w ogniu, wychodzi z nich więcej uduchowniona, i jakoby już uwielbiona, to jest zdolniejsza oglądać Boga w samej sobie; i wszelkie utrapienia, choć zdawałoby się nieznośne, już dla niej są drobnostką, i pragnie na nowo, i więcej jeszcze ich ucierpieć, jeśli ma z nich być większa chwała Panu. I jakkolwiekby wielkie na nią przyszły uciski i prześladowania, jeśli jedno je znosi bez obrazy Boga, radując się owszem że je cierpi dla Niego, wszystko w tem większy zysk jej się obraca; tylko że ja nie tak je znoszę, jak je znosić należy, jedno bardzo niedoskonale.

Są znowu czasy, kiedy doznaję innego rodzaju cierpienia: zdaje mi się, że straciłam wszelką możność zdobycia się na jakąkolwiek myśl dobrą albo dobre pożądanie; czuję się na ciele i na duszy niepożyteczną do niczego i ociężałą; w takich jednak chwilach nie miewam tamtych, o których wyżej mówiłam, pokus i niepokojów, tylko pewien, niewiadomo skąd, niesmak ogólny, w którym dusza miejsca sobie znaleźć nie może. Sta-

---

[1]) W rozdziale XXV.

rałam się wówczas, prawie gwałt sobie zadając, zajmować się jakiemibądź dobremi uczynkami zewnętrznemi; ale jasno widziałam w tym stanie, jaka jest niemoc i nieudolność duszy, gdy łaska się od niej ukryje. Nie bardzo jednak nad nim cierpiałam, bo widok takiej nędzy i niskości mojej poniekąd mi przyjemność sprawował.

Czasem jeszcze zdarza mi się, że nawet na samotności nie jestem zdolna uważnie i statecznie myśli zatrzymać, ani na Bogu, ani na jakiejbądź rzeczy dobrej, ani rozmyślania odprawić jak należy; ale tu, zdaje mi się, przyczyna takiej niezdolności mojej jest mi wiadoma. Rozumiem, że co mi tu przeszkadza, to wyobraźnia i rozum; bo wola dobra, zdaje mi się, jest, i do wszystkiego dobrego gotowa; ale ten rozum taki jest zapamiętały, że miota się i rzuca nakształt furyata, którego nikt nie potrafi poskromić; nie jest w mocy mojej utrzymać go, by cicho siedział choć na długość jednego Credo. Czasem śmieję się z niego, i dla lepszego poznania nędzy mojej, puszczam go na wolę jego, i patrzę za nim, co też będzie dokazywał. I dzięki Bogu, nigdy się nie zwróci do rzeczy złych, tylko błąka się po obojętnych, co wypadnie uczynić tu, albo tam, albo ondzie. Wówczas widzę na oczy, jaką niezmiernie wielką łaskę czyni mi Pan, gdy tego waryata trzyma na uwięzi, i przenosi mię w stan doskonałej kontemplacyi; myślę też sobie, coby powiedzieli o mnie ci, którzy mię mają za dobrą, gdyby mogli zajrzeć we mnie, i ujrzeli mię w takim obłędzie. Żal mi serdecznie biednej duszy, zmuszonej żyć w takiem złem towarzystwie. Pragnęłabym widzieć ją na wolności, i nieraz tak się modlę: „Kiedyż, o Boże mój, dojdę do tego, bym widziała całą duszę moję zajętą jedynie wysławianiem Ciebie, by wszystkie jej władze cieszyły się Tobą? Nie dopuszczaj Panie, bym dłużej jeszcze żyła tak rozerwana, jakby na sztuki, i każda sztuka tak się, rzekłabym, rozchodziła w inną stronę“. Tego cierpienia doznaję bardzo często; nieraz, rozumiem to dobrze, i złe zdrowie moje bardzo się do tego przyczynia. Gorzko tu mi się przypomina szkoda, jaką nam wyrządził grzech pierworodny, bo z tego źródła snać pochodzi ona niesposobność na-

sza do cieszenia się całą duszą takiem dobrem nieskończonem: ale u mnie pochodzi ona bez wątpienia i z własnych grzechów moich: gdybym nie była tyle nagrzeszyła, miałabym snać więcej statku w dobrem.

Oto jeszcze jedno strapienie moje, i nie najmniejsze. Naczytawszy się wielu książek, traktujących o modlitwie wewnętrznej, i rozumiejąc, zdawało mi się, wszystko co w nich czytałam, sądząc nadto, że przy łaskach jakich mi użyczył Pan, już ich nie potrzebuję, zaniechałam tego czytania, czytając już tylko żywoty Świętych, których przykłady, gdy znajduję siebie tak daleką od tej doskonałości, z jaką oni służyli Bogu, pobudzają mię, zdaje mi się, do dobrego i ducha mi dodają. Otóż wydawało mi się to wielkim brakiem pokory, bym będąc taką, jaką się być znam, miała uważać siebie za wyniesioną na tak wysoki stopień modlitwy, a nie mogąc jednak zataić przed sobą, że tak jest, wielkie stąd utrapienie miałam, aż dopiero ludzie uczeni, a szczególnie błogosławiony brat Piotr z Alkantary, nauczyli mię, że się o to frasować nie powinnam. Dobrze to widzę, że służyć Bogu naprawdę jeszcze nie zaczęłam, chociaż on w Boskiej hojności swojej obsypuje mię łaskami, jakie zwykł dawać tylko najlepszym: widzę, że jestem chodzącą niedoskonałością, i nic nie mam prócz dobrych pożądań, i prócz tego że Go miłuję, bo w tym względzie przyznać muszę, że Pan użyczył mi łaski tyle, iż mogę Mu choć w czem małem usłużyć. Mam pewną świadomość tego, że Go miłuję, ale uczynki moje nie cieszą mnie, i zasmuca mię to mnóstwo niedoskonałości, jakie widzę w sobie. Czasem znowu opada mię, szczerze mówię, jakieś ogłupienie duszy: zdaje mi się, że nic nie robię, ani dobrze, ani źle, tylko ciągnę za tłumem, jak to mówią, bez pracy ni płacy: że nic mnie nie obchodzi, ani życie, ani śmierć, ani przyjemność, ani przykrość, — słowem, że jestem jak drewno bez czucia. Dusza moja w tym stanie wydaje mi się jakby osiołek na paszy: żyje i rośnie, bo mu dają jeść, ale sam tego jakoby nie czuje: tak i dusza w tym stanie nie może bez wątpienia być bez paszy wielkich łask Boskich, skoro życie, choć żyje tak nędznie, jej nie cięży, i spokojnie je znosi: ale żadnych nie czuje w sobie poruszeń ani skutków, po któ-

rych mogłaby poznać, co się w niej dzieje. Albo, że użyję drugiego porównania, które mi w tej chwili na myśl przychodzi, dusza w takim stanie, bez jasnej świadomości siebie łaską żyjąca i postępująca, podobna jest do okrętu płynącego na morzu, przy łagodnym i pomyślnym wietrze: dużo taki okręt drogi zrobi, a jednak ledwo czuć, że się naprzód porusza.

Nie tak w drugich onych stanach wewnętrznych, o których mówiłam [1]); tu skutki łaski bywają tak potężne, że dusza jakoby tejże chwili widzi postęp swój; natychmiast poczynają w niej kipić święte żądze, i nigdy jej i największych rzeczy nie dosyć; to mają do siebie one wielkie zapały miłości, o których było wyżej, gdy Bóg ich raczy duszy użyczyć. Jest ona wówczas nakształt onych źródełek, które nieraz widziałam tryskające, a które bez przestanku dobywając się z pod ziemi, wraz z wodą i piasek w górę podrzucają. Porównanie to, zdaniem mojem, żywcem maluje to, co się dzieje w duszy, do tego wysokiego stanu podniesionej; bezprzestannie kipi w niej miłość, bezprzestannie rwie się do czynu; nie może wytrzymać bezczynnego zamknięcia w sobie, podobnie jak woda onego źródła nie może, rzekłbyś, wytrzymać pod ziemią, ale ją, siłą się dobywając, podrzuca. Pod ciśnieniem tej miłości, która ją porywa, dusza taka prawie nigdy nie daje sobie pokoju, i zmieścić się w sobie nie może. Sama napojona z tego źródła miłości, z którego pije do woli, pragnęłaby aby z niego pili i drudzy, i pomagali jej chwalić Boga. O ileż razy przychodzi mi tu na myśl ona woda żywa, o której Pan mówił do Samarytanki! jakże kocham ten ustęp Ewangelii! owszem, jeszcze dzieckiem będąc, choć nie rozumiałam wówczas, tak jak dziś rozumiem, głębokiego jej znaczenia, błagałam Pana po wiele razy, aby mi dał tej wody, i później też wszędzie, gdziekolwiek przebywałam, miałam przy sobie obraz, przedstawiający tę tajemnicę, i pod nią wypisane te słowa Samarytanki do siedzącego przy studni Zbawiciela: „*Domine, da mihi hanc aquam*, — Panie, daj mi tej wody“.

---

[1]) W rozdziale poprzedzającym.

Chociaż miłość ta podobna jest również do wielkiego ognia, któremu, aby nie zagasł, potrzeba wciąż nowego pożywienia. Dusza taka radaby, cokolwiekby ją kosztować miało, zewsząd nanosić drwa, aby ten ogień nie ustał. Co do mnie, poprzestałabym na tem, bym mogła do niego dorzucać choć słomy, i często też nie mam nic lepszego; czasem śmieję się z tego ubóstwa mego, czasem gorzko nad niem boleję. Popęd wewnętrzny nagli mię, bym w czemkolwiek przysłużyła się Panu, a kiedy mię nie stać na więcej, ubieram obrazy w zieleń i kwiaty, zamiatam i sprzątam w kaplicy i inne tym podobne spełniam posługi, tak małe i niskie, że mnie aż wstyd. Choć zadam sobie jaką pokutę, taka to mała rzecz, że i wspomnieć o niej nie warto, i gdyby nie to, że Pan przyznaje wartość niejaką dobrej woli, rzecz sama, dobrze to widzę, żadnej nie ma wartości, i sama pierwsza z siebie się śmieję. Nie małe to cierpienie dla duszy, której Bóg w dobroci swojej tego ognia miłości swojej hojnie udzieli, gdy nie staje jej potem siły ciała, aby mogła co uczynić dla Niego. Boleść to bardzo wielka: umiera z obawy, by ten piękny ogień nie zgasł, a nie ma siły na to, aby mogła drew nanieść do niego, i płomień jego utrzymać! wówczas, sądzę, sama w sobie gore, i na popiół się spala, i we łzach się rozpływa, i w ogniu własnym niszczeje: jest to sroga męka, choć jest zarazem i słodka.

Ma doprawdy za co nieskończone dzięki czynić Bogu ta dusza, której Pan, wyniósłszy ją do tego stanu, daje siły odpowiednie do czynienia pokuty, albo zdolności, i naukę, i swobodę do przepowiadania słowa Bożego, do słuchania spowiedzi, do pociągania dusz do miłości i służby Bożej. Nie wie ona zaiste i nie rozumie, jaki to skarb nieoceniony posiada, jeśli sama nie doznała i nie zakosztowała, co to znaczy i jak to boli, wciąż otrzymywać niezliczone łaski od Pana, a nic nie módz uczynić dla służby Jego. Niech będzie błogosławiony za wszystko, i niechaj Mu wieczną chwałę oddają aniołowie. Amen.

Nie wiem, Ojcze, czy to dobrze, że tyle tu opowiadam drobnych szczegółów. Ale ponieważ Wasza Miłość znowu mi przysłałeś polecenie, bym się nie lękała zbytniego rozszerzania się, i niczego nie opuszczała, więc jasno i szczerze spisuję wszy-

stko co pamiętam. Nie bez tego, że i tak wiele rzeczy pominę; bo do zupełnej dokładności potrzebaby napsuć dużo czasu, którego, jak mówiłam, mam tak mało, a może jeszcze z tej straty czasu nie byłoby żadnego pożytku.

ROZDZIAŁ XXXI.

O różnych pokusach zewnętrznych i widziadłach, któremi nękał ją szatan. Kilka uwag bardzo pożytecznych dla dusz, drogą doskonałości postępujących.

Opisawszy już różne pokusy i trwogi wewnętrzne i ukryte, jakie mi wzniecał szatan, wspomnę teraz o innych, jawnych prawie i publicznych, które niewątpliwie były także sprawą jego. Pewnego razu, w kaplicy, ukazał mi się, stojąc tuż przy mnie z lewej strony, w postaci wstrętnie szkaradnej. Mówił do mnie, więc szczególnie przypatrzyłam się ustom jego, które miały wyraz straszliwy. Z ciała jego buchało cóś jakby wielki płomień, całkiem jasny, niczem nie przyćmiony. Rzekł do mnie głosem przeraźliwym, że chociaż wyrwałam się z rąk jego, on mię swego czasu na powrót dostanie w moc swoję. Mocno przestraszona, przeżegnałam się, jak umiałam; zaczem on znikł, ale po chwili znowu powrócił; powtórzyło się to dwa razy. Wtedy, nie wiedząc już co począć, wodą święconą, którą miałam pod ręką, pokropiłam w stronę jego, a on po raz trzeci znikł, i więcej już się nie pokazał. Innym razem przez całe pięć godzin męczył mię takiemi straszliwemi bólami i udręczeniami wewnętrznemi i zewnętrznemi, że zdawało mi się że nie wytrzymam. Siostry przy tem obecne, stały przerażone i bezradne, i ja też niewiedziałam, jak i czem się ratować. Mam zwyczaj, w chwilach gdy mię nachodzą dojmujące boleści i trudne do wytrzymania cierpienia fizyczne, czynić jak zdołam akty wewnętrzne, i błagać Pana aby mi dał cierpliwość, a potem, jeśli to ma być na chwałę Jego, pozostawił mię w tem cierpieniu choćby aż do końca świata. Tak samo więc i tym razem, w takiem ofia-

rowaniu się na wolę Bożą szukałam sobie ratunku na one tak srogie boleści, nie aby odeszły odemnie, ale abym je mogła wytrzymać. W tedy spodobało się Panu ukazać mi, że cierpienia moje są sprawą czarta; ujrzałam przy boku moim coś nakształt ohydnego murzynka, rozpaczliwie zgrzytającego zębami, iż miasto spodziewanego zysku, musi odejść ze stratą. Widząc to, zaśmiałam się, i już się nie bałam. Ale siostry, które były przy mnie, nie mogły przyjść do siebie, niezdolne nic wymyślić na zaradzenie tej strasznej męce mojej, bo z taką zajadłością nieprzyjaciel pastwił się nademną, że mimowoli i nieświadomie całem ciałem, i rękoma, i głową tłukłam się o ścianę; a gorsze jeszcze było udręczenie wewnętrzne, nic dające mi ani chwili spokoju. O wodę święconą nie śmiałam prosić, nie chcąc ich przestraszać, gdyby się stąd domyśliły, z kim mam do czynienia.

Z wielokrotnego doświadczenia przekonałam się, że na bezpowrotne odpędzenie czartów, nie masz skuteczniejszego sposobu nad wodę święconą; przed znakiem krzyża także uciekają, ale znową wracają.[1]). Snać więc wielka jest dzielność wody święconej; co do mnie, szczególną i bardzo żywą czuję w głębi duszy pociechę, ile razy jej użyję. Najczęściej, szczerze mówię, czuję od niej jakieś odnowienie wewnętrzne, którego opisać nie zdołam, połączone z taką lubością duchowną, że cała dusza moja bierze z niej pokrzepienie. Nie jest to żadne przywidzenie, ani rzecz, któraby raz tylko mi się zdarzyła; doznałam tego bardzo często, i za każdym razem z pilną uwagą nad tem się zastanawiałam. Jest to tak, przypuśćmy, jak gdy kto mocno zgrzany i spragniony, wypije szklankę zimnej wody, i w całem ciele czuje przyjemne ztąd orzeźwienie. Zastanawiam się tu nieraz nad tym charakterem wielkości, jaki nosi na sobie wszystko cokolwiek Kościół postanowił, i raduję się w du-

---

[1]) Nie mówi tego Święta, jak tu słusznie zaznacza Ribera, sposobem ogólnego twierdzenia, jakoby mniejszą była przeciw czartom skuteczność znaku krzyża, niż wody święconej, co nie zgadzałoby się z prawdą, bo w innych razach może się zdarzyć, i zdarza się przeciwnie; mówi tu tylko o sobie, wedle własnego doświadczenia swego (*Życie Św. Teresy*, ks. IV. r. IX).

chu, gdy wspomnę na tę potężną skuteczność słów jego, jak i tu, wymówione nad wodą, taką w niej cudowną sprawujące odmianę, i taką dziwną różnicę między wodą święconą, a wodą zwyczajną. Gdy więc one męki moje nie ustawały, rzekłam w końcu do sióstr, że gdyby się zemnie nie śmiały prosiłabym o wodę święconą. Przyniosły mi jej, pokropiły mię, i nie to nie pomogło; wzięłam sama wody święconej, pokropiłam w stronę, gdzie stał nieprzyjaciel, i w jednej chwili poszedł sobie, i wszystek ból, jakby ręką odjął, mię opuścił, pozostawiając mi tylko stłuczenie w całem ciele, jak gdyby mię kijami zbito. Pożyteczną bardzo z tego zdarzenia odniosłam naukę: bo jeśli czart może, gdy mu Pan pozwoli, tak się pastwić nad duszą i ciałem, do których nic nie ma, z jakąż dopiero zajadłością będzie męczył tych, którzy się w moc jego oddadzą? Dodało to nowej mocy pragnieniu i postanowieniu memu uwolnienia siebie od takiego ohydnego towarzystwa. Innym razem, niedawno temu, przytrafiło mi się to samo, tylko że byłam sama, i napaść nie tak długo trwała. Wzięłam wody święconej, i on natychmiast uciekł, a w chwilę potem, siostry,—były to dwie zakonnice bardzo wiarogodne, które za nic w świecie nie popełniłyby kłamstwa,—wchodząc do mnie, poczuły swąd szkaradny, jakby siarki. Ja tego nie czułam; ale jak one mówiły, swąd ten trwał tak długo, że niepodobna było się omylić. Innym razem znowu, gdy byłam w chórze, uczułam w sobie nagle silny początek zachwycenia; wyszłam więc, aby drugie nie spostrzegły; usłyszały jednak wszystkie silne stukanie i łomot w pobliżu miejsca, na które byłam się schroniła; ja także tuż blisko przy mnie słyszałam zgiełk, jakby kilku na raz głośno mówiących, i cóś między sobą knujących, słów jednak nie rozumiałam, i żadnego strachu nie czułam, bo tak byłam pogrążona w modlitwie, że na nic nie zważałam. Napaści takie ponawiały się za każdym razem, ile razy Pan użyczył mi tej łaski, że mogłam radą czy namową w czemkolwiek dopomódz której duszy ku dobremu. Mogę poręczyć między innemi jedno zdarzenie, które tu opowiem; mam na to wielu świadków, w szczególności samegoż obecnego spowiednika mego; widział on naoczny dowód tego zdarzenia w liście, który mu pokazałam,

nie wymieniając mu osoby, od której ten list pochodził, ale osoba ta dobrze mu była znaną.

Pewien kapłan, od półtrzecia roku żyjący w grzechu śmiertelnym, z rodzaju najszpetniejszych, o jakich kiedykolwiek słyszałam, przez cały ten czas ani się z niego spowiadając, ani się poprawiając, a przy tem Mszę świętą sprawując, zgłosił się do mnie, szukając ratunku dla duszy swojej. Wyznał mi, że z innych grzechów swoich się oskarża na spowiedzi, ale ten głowny przemilcza, bojąc się i wstydząc przyznać się do rzeczy tak niegodziwej; że choć gorąco pragnie wydobyć się z tej przepaści, ale siły mu brak. Wielka mię nad nim litość zdjęła, i wielki żal i smutek z takiej strasznej obrazy Boskiej. Obiecałam mu, że będę się modliła za nim i drugich, lepszych ode mnie, poproszę o modlitwy; w tym celu zaraz przez niego napisałam do pewnej osoby, której on, jak mię upewnił, z łatwością będzie mógł list mój wręczyć. I oto za pierwszą jaką odbył spowiedzią, Pan Bóg raczył mu dać łaskę zwyciężenia wstydu i wyznania tego grzechu. I uczynił nad tą duszą miłosierdzie ze względu na gorące modlitwy tylu dusz świętych, którym byłam go poleciła. I ja też, choć nędzna, z wielką usilnością, ile było w mej mocy, za nim się wstawiałam. Doniósł mi, że czuje zupełną w sobie odmianę na lepsze, że już od wielu dni nie popełnia więcej tego grzechu, ale że pokusa do niego taką mu mękę sprawuje, jak gdyby był w piekle; błagał zatem, bym nie ustawała polecać go Bogu. Poleciłam go na nowo siostrom moim, których gorące modlitwy musiały wyjednać u Boga tę łaskę, bo bardzo sobie były wzięły do serca smutny stan duszy tego nieszczęśliwego, którego zresztą zupełnie nie znały i nikt by się nie był mógł domyślić, kto jest ten, którego losem tak żywo się zajmuję. Poczęłam błagać Pana, by oddalił od niego te pokusy i udręczenia, i na mnie raczej dopuścił zaciekłość tych czartów, którzy jego nękają, byle tym w niczem nie obrażała Boskiego Majestatu Jego. Przyjął Pan moją ofiarę, bo zaraz potem przez cały miesiąc wycierpiałam najcięższe katusze; wówczas to właśnie przyszły na mnie te dwie napaści, o których wyżej mówiłam. Z łaski i miłosierdzia Pańskiego, opuściły jego one pokusy, jak mi

o tem doniesiono, skoro mu dałam znać o tem, co ja wycierpiałam przez ten miesiąc. Dusza jego nowej siły nabrała, i nadal całkiem wolnym pozostał od onego grzechu, za co też nie przestawał dzięki czynić Bogu i mnie także, jak gdyby w tem była jakakolwiek moja zasługa; chyba że wiara jego we mnie, i przekonanie, że Pan szczególnemi łaskami swemi mię darzy, były mu pobudką i pomocą do dobrego. Powiadał, że w chwilach, gdy pokusy silniej nań nacierają, bierze i odczytuje listy moje; i zaraz pokusa ustępuje; zdumiewał się bardzo nad tem, jako ja wiele ucierpiałam, i jako on został uwolniony od udręczeń swoich. I ja też nad tem się zdumiewałam; i gdyby było potrzeba jeszcze długie lata takie cierpienia ponosić, ochotniebym je poniosła dla oswobodzenia tej duszy. Niech będzie Pan błogosławiony za wszystko! Widać z tego przykładu, jak możną jest modlitwa tych, którzy wiernie służą Panu; bo pewna jestem, że siostry one takie zmiłowanie Pańskie modlitwą swoją wyjednały; tylko, ponieważ ja o nią je prosiłam, czarci snać dla tego większy gniew do mnie mieli, a Pan dla grzechów moich pozwolił im mię dręczyć.

W tymże czasie, jednej nocy zdawało mi się już, że mię uduszą; ale gdy ich mocno pokropiono wodą święconą, ujrzałam ich całe mnóstwo takim pędem uciekających, jak gdyby ich kto z góry na dół strącał. Tyle razy powtarzają się takie na mnie napaści i udręczenia od tych duchów przeklętych, że na próżno męczyłabym Waszę Miłość i samą siebie, gdybym chciała to wszystko opowiadać; tem bardziej, że najmniejszego już strachu przed nimi nie czuję, widząc że i ruszyć się nie mogę, jeśli Pan nie pozwoli. Ale to co powiedziałam, niech będzie każdemu prawemu słudze Bożemu nauką, jak słusznie gardzić może i powinien temi marnemi strachami, które czarci mu nasuwają przed oczy, aby go przerazić; niech wie o tem, że ile razy z taką pogardą ich pomija, tyle razy ujmuje im siły, i większego nad nimi nabiera panowania. Zawsze z tego odniesie jaki wielki pożytek. Dużo możnaby o tem mówić, ale nie chcąc zbytnie się rozszerzać, na tej wzmiance poprzestaję. Powiem tylko jeszcze, co mnie się raz zdarzyło w wigilię Dnia Zadusznego.

Modliłam się w kaplicy, i skończywszy nokturn, odma-

wiałam niektóre bardzo pobożne modlitwy, które mamy zamieszczone na końcu naszego brewiarza; w tem ukazał się on, i usiadł mi na książce, nie dając mi dokończyć modlitwy: przeżegnałam się, i poszedł sobie. Zaczęłam na nowo modlitwy, a wnet i on na nowo się zjawił; powtórzyło się to ze trzy razy, i nie mogłam z nim dojść do końca, póki go nie pokropiłam wodą święconą. W tejże chwili ujrzałam kilka dusz, wychodzących z czyśca; zapewne już mało im niedostawało do końca pokuty, i domyśliłam się że on złośnik, nie dając mi dokończyć mojej za niemi modlitwy, chciał tym sposobem przeszkodzić rychłemu ich wyzwoleniu. Rzadko kiedy widziałam go w postaci widomej; ale bardzo często zjawiał mi się bez postaci, sposobem wewnętrznego, czysto umysłowego widzenia, jak je wyżej w swojem miejscu opisałam, w którem wyraźnie się poznaje czyjąś przy nas obecność, ale kształtu żadnego się nie widzi. W taki sposób miałam jedno widzenie, które tu opowiem, bo zadziwiło mię bardzo. W niedzielę Trójcy Świętej, znajdując się w chórze pewnego klasztoru, i wpadłszy tam w zachwycenie, ujrzałam wielkie potykanie się czartów z aniołami. Nie mogłam na razie zrozumieć, coby miało znaczyć to widzenie; zrozumiałam je, gdy w parę tygodni później wszczął się w pewnem miejscu wielki spór między osobami oddanemi modlitwie wewnętrznej, a drugiemi, przeciwnemi temu świętemu ćwiczeniu. Spór ten trwał długo i dużo narobił niepokoju i szkody domowi, w którym się toczył. Innym razem ujrzałam całe wojsko tych duchów nieczystych, obstępujące mię dokoła; ale cóś jakby wielka jasność całą mię otaczało, i przystępu do mnie im broniło; zrozumiałam z tego, że Bóg mię przed nimi zasłania obroną swoją, i nie dopuszcza im dotrzeć do mnie w taki sposób, by mię do obrazy Jego popchnęli. Wiele razy potem doświadczyłam na sobie i naocznie się przekonałam o prawdziwości tego widzenia. Ztąd też jasno widzę całą niemoc ich, i zgoła ich się nie boję; bo skoro trzymam z Bogiem, żadnej przeciw mnie siły nie mają; silni są tylko przeciw tym duszom zajęczym, które same, bez walki im się poddają; na takich oni wywierają całą potęgę swoję.

Wśród tych pokus, o których mówiłam, zdawało mi się

nieraz, że wszystkie próżności i słabości przeszłych lat moich wracają we mnie do życia; bardzo miałam wówczas czego polecać się Bogu. Zaraz mię ogarniała trwoga, że skoro takie myśli jeszcze we mnie powstają, snać więc wszystko, co we mnie się dzieje, musi być sprawą diabelską, bo kto tyle i tak wielkich łask otrzymuje od Boga, w tym, zdawało mi się, ani pierwsze nawet poruszenie złej myśli odzywać się nie powinno; prawdziwą z tego powodu mękę cierpiałam, aż dopiero spowiednik mię uspokoił. Nie mniejsze też nieraz miałam, i dotąd miewam udręczenie z oznak wysokiego o mnie mniemania i z pochwał, jakie mię spotykają, ze strony zwłaszcza osób wysoko położonych; dużo się z tego powodu nacierpiałam, i dotąd cierpię. Staje mi zaraz przed oczyma żywot Chrystusa Pana i Świętych, i widząc, że te hołdy i pochwały stawiają mię w kierunku odwrotnym od tej drogi wzgardy i zelżywości, którą oni chodzili, drżę o siebie, i nie śmiem oczu podnieść ze wstydu, i radabym skryć się, aby nikt mnie nie widział. Przeciwnie, gdy cierpię prześladowanie, choć z jednej strony, wedle ciała i zmysłów, cierpię i smucę się, ale dusza weseli się, i czuje wyższość swoję, jakby królowa w królestwie swojem, mająca wszystko pod nogami swemi i nad wszystkiem władnąca; nie wiem jak to być może, by dwa uczucia tak przeciwne mogły iść z sobą w parze; ale tak jest. Inne jeszcze nieraz i całemi dniami miewałam udręczenie: zdawało mi się, że było to uczucie cnotliwe i dowód pokory, ale teraz jasno widzę, że była to pokusa, jak mię o tem jeden Ojciec dominikanin, wielki teolog, dowodnie przekonał. Na samą myśl, że te łaski, których mi użyczał Pan, mogą dojść do wiadomości publicznej, niewypowiedziane uczuwałam w głębi duszy udręczenie i trwogę. Obawa ta nieraz do tego stopnia mię nękała, że byłabym wolała dać się żywcem pogrzebać, niż tak być wystawioną na widok publiczny. Zwłaszcza też, gdy Pan począł na mnie zsyłać one wielkie zebrania duszy czyli zachwycenia, którym nawet w towarzystwie drugich nie zdołałam się oprzeć, takie za każdym razem czułam zawstydzenie, że radabym była schować się pod ziemię, i nikomu już nie pokazać się na oczy.

Pewnego razu, gdym się mocniej jeszcze niż zwykle tra-

piła tą myślą, Pan rzekł do mnie: — „Czego się boisz? Jedno z dwojga tylko może z tego wyniknąć: albo ciebie będą szkalować, albo będą chwalić Mnie“. — Dając mi do zrozumienia, że którzy uwierzą w prawdziwość onych łask nadzwyczajnych, oddadzą za to chwałę Jemu, a którzy nie uwierzą, będą mię obwiniali bez przyczyny: czy w tym razie, czy w tamtym, zawsze to będzie zysk dla mnie; a więc nie mam czego się dręczyć. Słowa te zupełnie mię uspokoiły, i dziś jeszcze, gdy na nie wspomnę, wielką mam z nich pociechę. Nim jednak doszłam do tego uspokojenia, pokusa ona tak się we mnie wzmagała, że już zamyślałam wynieść się z tego miejsca, i z posagiem moim przejść do drugiego klasztoru tegoż zakonu, o którym słyszałam, że reguła w nim nierównie ściślej, niż w tym moim się zachowuje, i wiele nadzwyczajnych przestrzega się surowości; położony był nadto w miejscowości bardzo oddalonej, a więc byłabym w miejscu, gdzieby nikt mnie nie znał, co szczególnie mi się uśmiechało. Ale spowiednik mój za nic nie chciał mnie puścić. Obawy te moje zupełnie mi odbierały swobodę ducha; aż później dopiero zrozumiałam, i Pan sam nauczył mię tej prawdy, że pokora, sprawująca w duszy taki niepokój, nie może być dobrą i rzetelną pokorą. Gdybym była prawdziwie pokorną, to jest niezachwianie przekonaną, że we mnie nic nie masz dobrego, coby nie było od Boga, więc, jako nigdy mi nie było przykro słyszeć pochwały o drugich, ale owszem rada jestem i weselę się z tego, że Bóg w nich moc łaski swojej objawia, tak również nie powinnoby mi to było robić żadnej przykrości, że we mnie objawiają się cudowne sprawy Jego.

Wpadłam znowu w drugą ostateczność: poczęłam błagać Boga, i osobne na ten cel modlitwy do Niego zanosiłam, aby każdemu ktoby upatrywał we mnie co dobrego, raczył objawić grzechy moje, i tym sposobem objaśnić go, jak dalece niegodną jestem tych łask, które Boska dobroć Jego mi czyni; takie objawienie niegodności mojej było zawsze najgorętszem mem pożądaniem. Spowiednik zakazał mi dalej o to się modlić; ale ja do niedawna jeszcze miałam ten zwyczaj, że gdy kto mi okazywał jakie korzystne i wysokie o mnie mniemanie, ubo-

cznie, albo jak się dało, mówiłam mu o grzechach moich, i to mi ulgę przynosiło; ale i o to dużo mi strachu i szkrupułów napędzono. Wszystko to, jak teraz widzę, nie było skutkiem pokory, jedno rzeczywistej pokusy. Zdawało mi się, że oszukuję wszystkich, — jakoż rzeczywiście oszukuje siebie, ktokolwiek sądzi, że jest we mnie co dobrego, — chociaż nigdy nie chciałam, ani nie zamierzałam oszukać nikogo; jedno że Pan snać sam to dopuszcza, z powodów Jemu wiadomych. Nawet spowiednikom moim nigdybym nie mówiła o tych łaskach i objawieniach, gdyby mnie konieczność do tego nie znaglała; miałabym wielki szkrupuł, wyjawiać takie rzeczy bez potrzeby. Wszystkie te drobne strachy, i frasunki, i rzekome objawy pokory były, jak teraz rozumiem, tylko niedoskonałością i dowodem braku umartwienia wewnętrznego; bo dusza, która oddała się w ręce Boga, tyleż się troszczy o to, co o niej mówią dobrego, ile o to, co mówią złego, tak jasno i głęboko to rozumie, jak i Pan na to raczy jej dawać łaskę, aby to rozumiała, że niczego nie ma z samej siebie. Niechże z zupełną ufnością na Nim polega: On jej dał te łaski, On je, gdy zechce, objawi; On wie, co i dla czego co robi: tylko, w ślad za tem objawieniem, niech będzie gotowa na prześladowanie, bo to rzecz pewna, że w tych czasach naszych żadnego nie minie, o kim z woli i dopuszczenia Pańskiego świat się dowie, że Bóg mu podobnych łask użycza; na jednę taką duszę tysiąc oczu patrzy, gdy na tysiąc dusz innego pokroju ani jedno oko nie spojrzy. Prawda że w obec tego i pokora ma słuszny powód do obawy; i ja tak bałam się, ale nie przez pokorę, jedno przez małoduszność. Dusza, którą Bóg tak wystawi na widok całego świata, powinna być gotową na to, że będzie męczennicą świata; bo chociażby ona z własnej woli nie chciała umrzeć światu, świat sam i bez niej ją umorzy.

Mojem zdaniem, świat ma bądź co bądź jednę, tę jedyną zaletę, że nie znosi najmniejszych niedostatków w ludziach oddanych życiu cnotliwemu, i natarczywością sądów i szemrań swoich zmusza ich do tego, aby się stawali doskonalszymi. Większej, śmiem twierdzić, potrzeba odwagi niedoskonałemu jeszcze do wstąpienia na drogę doskonałości i wytrwania na

niej, niż do wydania siebie na prędko kończące się męczeństwo. Bo doskonałości nie osiąga się w krótkim czasie, chyba komu Pan szczególnym wyjątkiem zechce użyczyć tej łaski; ludzie światowi zaś, skoro ujrzą kogo rozpoczynającego drogę doskonałości, żądają od niego aby od razu był doskonałym: na tysiąc mil zdaleka dopatrzą w nim małego uchybienia, które w nim może być cnotą; ale iż w nich toż samo uchybienie pochodzi ze źródła grzesznego, więc sądząc o bliźnim według siebie, natychmiast go potępiają. Według nich, człowiek dążący do doskonałości nie powinienby już ani jeść, ani spać, ani mu, jak to mówią, i dyszeć nie wolno. Im wyżej świat trzyma o takiej duszy, tem bardziej o tem zapomina, że i ona jeszcze żyje w ciele, i jakkolwiekby była doskonała, przecie, póki żyje na tej ziemi, podległa jest nędzom jej, chociażby najdzielniej trzymała je pod nogami swemi. Dla tego, mówię, potrzeba tu odwagi; bo biedna dusza jeszcze i chodzić nie zaczęła, a już żądają od niej by latała; jeszcze nie pokonała namiętności swoich, a już chcą by i w najtrudniejszych walkach okazała się tak niewzruszoną, jak to czytają o Świętych, utwierdzonych w łasce. Jest czego chwalić Pana, patrząc na to, co takie dusze w tych walkach wycierpią; ale jest także czego się smucić z głębi serca, gdy tyle pomiędzy niemi cofa się wstecz, bo nie mają biedne siły dostatecznej do wytrwania w walce. Tak pewno i moja dusza byłaby się cofnęła i upadła na duchu, gdyby nie miłosierdzie Pana, który sam z swojej strony wszystko za nią uczynił; i dopóki w dobroci swojej nie uczynił tego wszystkiego, hojnością łask swoich nędzę moję bogacąc, całe życie moje, jak Wasza Miłość dobrze to widzisz, nie było niczem innem, jedno nieustającym szeregiem następujących po sobie naprzemiany upadków i powstawań. Pragnęłabym bardzo umieć to wypowiedzieć, bo wiele dusz, jak sądzę, błądzi w tym względzie, zrywając się do lotu, kiedy Bóg jeszcze nie dał im skrzydeł. Użyłam już, zdaje mi się, gdzieś wyżej tego podobieństwa; ale powtarzam je tu, jako oddające dokładnie myśl moję, dla przestrogi i pociechy tych biednych dusz, bezpożytecznie się dręczących. Przystępują one do służby Bożej z gorącemi pragnieniami, i żarliwością wielką, i szczerem postanowieniem

postępowania w doskonałości; niejedna z nich dla miłości Boga porzuciła wszystko, co posiadała na świecie: aż oto widzą w drugich, wyżej wyćwiczonych w doskonałości, nabyte już z łaski Boga wysokie cnoty bohaterskie, których one, czują to dobrze, nie zdołają dosięgnąć; nad to, w książkach traktujących o modlitwie wewnętrznej i o kontemplacyi, czytają rady i przepisy, co im czynić należy, aby się wzniosły na tę wysokość, a one na rzeczy tak trudne tak od razu zdobyć się nie mogą: więc na widok tych trudności, i swojej w obec nich nieudolności, trapią się, i smutkowi się poddają, i na duchu upadają. Piękne to, bez wątpienia i pożądane rzeczy, i do wyższej doskonałości potrzebne, co nam zalecają one książki duchowne: obojętnymi być na sądy ludzkie, owszem więcej się cieszyć, gdy mówią o nas źle, niż gdy nas chwalą; za nic sobie poczytywać cześć i honor świecki; oderwać się od krewnych i bliskich, tak dalece, byśmy, jeśli nie są to ludzie pobożni i bogomyślni, nie tylko nie szukali, ale raczej unikali ich towarzystwa, i wiele innych rzeczy podobnych. Ale wszystko to, jak sądzę, należy do rzędu cnót nadprzyrodzonych, przeciwnych skłonności naszej przyrodzonej, i Bóg sam tylko mocen jest nam ich użyczyć. Niechże więc nie dręczą się tem, że od razu tak wysoko wznieść się nie zdołają; niech ufają w Panu, iż z łaski Jego modląc się i czyniąc, co z nich jest, dojdą do tego, by to co dziś mają w pożądaniu, posiadły i w uczynku. Przy słabem i nieudolnem naszem przyrodzeniu, koniecznie potrzeba nam tego, byśmy wielką ufność mieli, i nigdy odwagi nie tracili, ale wciąż pokrzepiali się tą otuchą, że pracując i walcząc ile zdołamy, dojdziemy w końcu do zwycięstwa. Mając dość doświadczenia w tym względzie, dodam tu jeszcze jednę uwagę, dla przestrogi i pożytku dusz, dążących do wyższego uświęcenia siebie. Nie łudźmy się, jakkolwiekby nam się tak zdawało, byśmy już posiadali daną cnotę, dopóki nie będzie przeciwnością doświadczona. Nigdy nie dowierzajmy samym sobie, nigdy nie ustawajmy w czuwaniu i baczności na siebie, dopóki żyjemy; bo rychło lgną do nas różne pokusy, jeśli nie mamy, jak mówię, danej nam już w zupełności łaski od Boga, ku zupełnemu poznaniu się na nicestwie wszystkich rzeczy tego świata, a i z tą

zupełną łaską, nigdy się nie żyje na tej ziemi bez wielu niebezpieczeństw. Miała, naprzykład, jeszcze kilka lat temu zdawało mi się, że nie tylko mam serce oderwane od przywiązania do krewnych, ale że i samo z nimi przestawanie mi ciężkie, i w rzeczy samej, rozmowa z nimi była dla mnie uprzykrzeniem. Aż mi zaszła taka okoliczność, że w ważnej bardzo sprawie wypadło mi koniecznie spędzić jakiś czas u jednej z sióstr moich, zamężnej, którą dawniej bardzo serdecznie kochałam. Prawda, że rozmowa z nią mi nie szła, bo chociaż lepsza jest odemnie, ale jako zamężna, i w innym, niż ja, stanie żyjąca, nie mogła zawsze mówić ze mną o tych rzeczach, które mnie wyłącznie zajmują, z tego też powodu, ile możności, pozostawałam sama; mimo to jednak spostrzegłam, że troski jej żywiej mię obchodzą, niż gdyby była dla mnie obcą, i że poniekąd niemi się frasowałam. Przekonałam się tedy, że nie doszłam jeszcze do takiej swobody ducha, jak sobie tuszyłam, i że jeszcze mi potrzeba chronić się okazyi, aby ta cnota zupełnego wyrzeczenia się, której Pan założył we mnie początki, mogła się rozwijać i pomnażać, i o to też odtąd z łaski Jego zawsze się starałam.

Gdy Pan poczyna użyczać nam jakiej cnoty, koniecznie potrzeba pilnie mieć o nią staranie, i żadną miarą nie wystawiać się na niebezpieczeństwo utracenia jej. Sprawdza się to, jak w każdej innej rzeczy, tak też mianowicie w tem, co się tyczy czci ludzkiej i honoru światowego. Bo wierzaj mi Wasza Miłość, nie wszyscy, którzy się mają za zupełnie oderwanych od świata, są w rzeczy samej takimi. Potrzeba tu ciągłej i nieustannej baczności na siebie. Ktokolwiek czuje w sobie, najmniejsze przywiązanie do chluby ludzkiej, a chce przytem dążyć do doskonałości, niechaj będzie pewnym, że na krok naprzód nie postąpi, póki nie potarga tego pęta. Jest to łańcuch, którego żaden pilnik nie przepiłuje, tylko Bóg sam, przy modlitwie naszej, i wielkiej naszej usilności. Jest to, zdaniem mojem, niewola, pociągająca za sobą przerażające następstwa i szkody. Widzę ludzi, tak świętemi, tak świetnemi czynami jaśniejących, że powszechne wzbudzają podziwienie. Boże wielki! czemu taka dusza lgnie jeszcze do ziemi? czemu nie wzbiła się jeszcze na sam szczyt doskonałości? jak to być może?

Co ją jeszcze zatrzymuje, kiedy już tak wielkie rzeczy czyni dla Boga? Ach, zatrzymuje ją jakiś punkt honoru! I najgorsze to, że sama sobie tego przyznać nie chce, albo, jak nieraz bywa, diabeł w nią wmawia, że o ten punkt honoru z obowiązku swego dbać powinna. Niechaj mi wierzy, na miłość Pana naszego, niechaj wierzy tej nędznej mrówce, której Pan to mówić każe, robak ten, jeśli go nie zgładzi, choć nie zniszczy jej do szczętu całego drzewa, bo są na niem owoce innych cnót, ale będą to owoce robaczywe. Nie będzie zdrowe drzewo jej, nie będzie się rozwijało, i drugim jeszcze wkoło niego drzewom rozwijać się nie dopuści; owoc dobrego przykładu, który na niem się rodzi, uszkodzony jest i rychło się zepsuje.

Powtarzam to po wiele razy: jakkolwiekby małe było to przywiązanie do chluby, jest ono zawsze jakby fałszywy ton w organach, który całą grę rozstraja. W każdym stanie wyrządza ono wielkie szkody duszom, ale na tej drodze do doskonałości jest ono prawdziwie jadem śmiertelnym. Dążysz, jak mówisz, do doskonałego zjednoczenia się z Bogiem, świadczysz się, że chcesz wypełniać rady i wstępować w ślady Chrystusa, obarczonego zelżywościami i oszczerstwy fałszywych świadków, a chcesz przytem nienaruszony zachować honor twój i znaczenie u ludzi? Niepodobna byś doszedł do celu, bo przeciwną od Chrystusa drogą idziesz. Na to aby Pan przyszedł do duszy i z sobą ją zjednoczył, potrzeba by mężnie usiłowała stać się Jemu podobną, gotowa w wielu rzeczach, za przykładem Jego, zrobić z siebie ofiarę i zrzec się prawa swego. Powiesz może: nie mam w czembym taką do ofiary z siebie gotowość okazał, żadna mi się ku temu nie nastręcza sposobność? Ale ja sądzę, że kto ma mocną wolę i postanowienie naśladowania pokory Zbawiciela swego, temu Pan nie dopuści, by został pozbawiony możności dostąpienia tak wielkiej zasługi; tyle mu Opatrzność Boska zrządzi i nastręczy okoliczności i sposobności ku nabyciu tej cnoty, że więcej ich mieć będzie niżby sam chciał. Dość tylko rękę przyłożyć do dzieła. Na dowód tego, wspomnę tu nieco o maluczkich i wspomnienia nie wartych umartwieniach i upokorzeniach, jakie sobie zadawałam w pierwszych początkach moich: były to, jak mówiłam, słomki i plewy, któremi,

nie mając nic lepszego, starałam się podtrzymywać ogień. A jednak Pan niemi nie wzgardził, bo On przyjmuje wszystko. Niech będzie błogosławiony na wieki!

Między innemi niedostatkami, miałam i ten, że w odprawianiu pacierzy kościelnych mało byłam biegła, i bardzo niedokładnie znałam przepisy, co należy robić w chórze, i jak się zachowywać; a to wprost tylko przez opieszałość i zajmowanie się rzeczami niepotrzebnemi. Były tam drugie nowicyuszki, które mię mogły nauczyć; ale bywało, że nie chciałam ich zapytać, aby nie wydać się z nieumiejętnością moją; zaraz mi, jak to zwykle bywa, stawała na myśli wymówka, że powinnam im dawać dobry przykład, a niewiadomość moja dałaby im zgorszenie. Ale gdy Pan nieco mi oczy otworzył, zaczęłam robić inaczej; za najmniejszą wątpliwością w takich nawet rzeczach, które umiałam, zwracałam się do najmłodszych, prosząc o objaśnienie; nie straciłam na tem ani honoru ani znaczenia; owszem, od tego czasu Pan raczył, jak mi się zdaje, dać mi lepszą pamięć. Śpiewałam źle, nie wyuczywszy się wpierw jaknajdokładniej tego, co było mi polecone; mocno nad tem cierpiałam, nie z powodu omyłki popełnionej przed Panem, co byłoby cnotą, ale ze wstydu przed zgromadzonemi w chórze siostrami, które fałszywy śpiew mój słyszały, i pod wpływem tego wstydu, wprost z próżności pochodzącego, tak bywałam zmięszana, że śpiewałam jeszcze o wiele gorzej niżbym była umiała. Potem postanowiłam sobie, że ile razy nie będę zupełnie dokładnie umiała tego, co mam śpiewać, przyznam się po prostu że nie umiem. Z początku było mi to przykro, potem robiło mi przyjemność; i oto, jak tylko zaczęłam nie troszczyć się o to, że kto spostrzeże moję nieumiejętność, i zrzekłam się tego brzydkiego punktu honoru, który zasadzałam na tem, że umiem śpiewać i śpiewam dobrze, jak każdy go zasadza na tem, czego mu się chce, samejże umiejętności mi przybyło, i rzeczywiście śpiewałam lepiej. Na takich to małych walkach z sobą i zwycięstwach w bagatelach nic nie znaczących,—które jednak wcale nie są niczem, tylko ja snać jestem gorzej niż niczem, kiedy mi z taką trudnością przychodziły,—wola powoli się zaprawia i zmacnia, takim drobnostkom, gdy są uczynione dla Niego, Pan wielkie-

go dodaje znaczenia i wagi, i dobrej woli dopomaga do czynienia rzeczy większych. Jeszcze jeden przykład takich małych upokorzeń. Widząc, że wszystkie siostry robią postępy w pokorze, tylko ja nie, —bo zawsze byłam do niczego,—obmyśliłam sobie taki sposób, że codzień, po wyjściu siostr z chóru, ja płaszcze ich wszystkie zbierałam i składałam. Miłą mi była myśl, że tym sposobem jakąś oddaję przysługę tym aniołom, które tam chwałę Bogu śpiewały. Aż pewnego dnia, nie wiem jakim sposobem, one to spostrzegły, co wielkie mi sprawiło zawstydzenie, bo nie stało mi cnoty na tyle, bym ochotnie z taką rzeczą wydała się przed wszystkiemi; nie było to pewno przez pokorę, ale raczej z obawy, by się zemnie za dzieciństwo moje nie śmiano.

O Panie mój, jaki to wstyd dla mnie, widzieć siebie winną tylu niegodziwości, a przytem powiadać o sobie takie maluczkie uczynki cnotliwe, istne ziarnka piasku, a i tych jeszcze nie umiałam podnosić z ziemi dla miłości twojej, jedno całkiem pokryte pyłem i błotem niezliczonych nędz moich! Jeszcze z pod tych piasków nie tryska woda łaski twojej, aby je obmyła i wzgórę do Ciebie podniosła. O mój Stworzycielu, bodajbym, gdy tu opowiadam te wielkie łaski, jakie otrzymałam od Ciebie, mogła w zamian za nie, wśród tylu niewierności moich, wymienić choć jeden uczynek, jakąkolwiek wartość mający! Nie wiem, Panie mój, jak mi od żalu serce nie pęka, i jak ci, którzy to czytać będą, zdołają obronić się uczuciu wstrętu i obrzydzenia do mnie, gdy ujrzą, jak odpłaciwszy Ci się tak źle za takie niesłychane łaski twoje, nie wstydzę się potem opowiadać takie nędzne przysługi, jakoby zasługi moje! Wstyd mię samej siebie, Panie! Ale gdy nie mam nic lepszego, cobym o sobie powiedziała, dla tego opowiadam te liche początki moje, aby ci, którzy czynią rzeczy większe, dobrą mieli nadzieję, iż Pan, jako snać raczył policzyć mi w zasługę nawet te nędzne pierwsze próby moje, tak tem wspanialszą przyzna zasługę lepszym niż moje cnotom ich i czynom. A mnie, niech w Boskiej dobroci swojej raczy użyczyć tej łaski, bym z pierwszych początków kiedyś przecie postąpiła wyżej! Amen.

ROZDZIAŁ XXXII.

Jako Pan raczył ją przenieść w duchu na miejsce w piekle, na które grzechami swojemi była zasłużyła. Krótki opis tego, co się tam oczom jej przedstawiło. Wszczyna opowiadanie, w jaki sposób założony zastał klasztor świętego Józefa, w którym obecnie przebywa.

Długi już czas był upłynął, odkąd byłam otrzymała od Pana wiele z tych łask, o których mówiłam, i inne jeszcze bardzo wielkie, gdy jednego dnia, w czasie modlitwy, znalazłam się cała, z duszą i z ciałem, w jednej chwili, sama nie wiem jak, w duchu przeniesioną do piekła. Zrozumiałam, że Pan chce mi ukazać miejsce, które czarci mieli dla mnie zgotowane, i na które byłam zasłużyła za grzechy moje. Trwało to bardzo krótko; ale choćbym jeszcze wiele lat żyć miała, niepodobna, zdaje mi się, by mi ta chwila wyszła kiedy z pamięci. Wejście przedstawiło mi się nakształt długiej i wązkiej uliczki, albo raczej nakształt bardzo nisko sklepionego, ciemnego i ciasnego lochu. Na spodzie rozpościerało się błoto wstrętnie plugawe, wydające z siebie woń zaraźliwą, i pełne gadów jadowitych. Na końcu tego wejścia wznosiła się ściana, z zagłębieniem w środku, podobnem do szafy ściennej; w tę ciasnotę ujrzałam się nagle wtłoczoną. Wszystkie okropności, które wchodząc widziałam, choć opis mój ani zdaleka im nie dorównywa, były jeszcze roskoszą w porównaniu z tem, co uczułam w tem zamknięciu.

Była to męka, o której daremnie kusiłabym się dać dokładne pojęcie: żadne słowa najsilniejsze nie wypowiedzą, żaden rozum nie ogarnie całej grozy jej. Czułam w duszy mojej ogień, na określenie którego, jakim jest i jak na duszę działa, nie staje mi ani wyrazów ani pojęcia, a przytem w ciele cierpiałam boleści nie do zniesienia. Bardzo ciężkie w mem życiu przebywałam cierpienia, zdaniem lekarzy, najcięższe jakie człowiek przebyć może; wszystkie nerwy miałam pokurczone i długi czas leżałam zupełnie bezwładna; wiele różnych wszelkiego rodzaju bolów cierpiałam, a także, jak mówiłam wyżej, katusze zada-

wane mi od czartów: ale wszystko to jest niczem w porównaniu z męką, jakiej tam doznałam, spotęgowaną jeszcze do nieskończoności tą jasną i niewątpliwą świadomością, że jest to męka wieczna, i że nigdy się nie skończy. Lecz wszystka ta okropna męka ciała niczem jest znowu w porównaniu z męką duszy: jest to takie konanie, i taki ucisk, i takie jakby duszenie się, i takie dojmujące strapienie, i takie gorzkie rozpaczliwe znękanie, że nie wiem, jakiemi słowy to wszystko określić; choćbym to nazwała nieustającem śmiertelnem konaniem, małoby jeszcze tej nazwy; bo w konaniu śmiertelnem siła większego duszę od ciała odrywa, tu zaś dusza sama chciałaby się wyrwać z siebie, i sama siebie rozdziera. Słowem, nie mam wyrazu na oznaczenie, jak niewypowiedzianie ta męka duszy, ten ogień wewnętrzny i ta nękająca ją rozpacz, przewyższa wszelkie inne, choć tak okropne katusze i boleści. Nie widziałam ręki, która mi te katusze zadawała, ale czułam że się palę, że jestem jakby targana i sieczona na sztuki; tak jest, powtarzam: ten ogień wewnętrzny i ta rozpacz duszy, ta jest męka nad wszelkie męki najsroższa. Nie masz pociechy, ani nadziei pociechy w tem okropnem, wonią zarażliwą przesiąkłem więzieniu; nie masz gdzie usiąść; ani gdzie się położyć w tem ciasnem jakby ucho igielne zagłębieniu ściany, do którego byłam wtłoczona; i sameż te ściany, straszliwe na wejrzenie, ciężarem swoim przygniatają i dławią. Nie masz tam światła, wszędy dokoła ciemności nieprzeniknione. A jednak,—nie rozumiem jak to być może, ale tak jest,—choć nie masz światła, oko przecie widzi wszystko, cokolwiek może być przykrego ku widzeniu i przerażającego dla wzroku. Nie było wolą Pańską, bym wówczas dokładnie ujrzała całe piekło. Później miałam widzenie innych rzeczy strasznych, i poszczególnych kar za pewne grzechy; na wejrzenie, rzeczy te wydały mi się nierównie okropniejszemi, jeszcze od poprzednio widzianych; ale nie doznając tych mąk na samej sobie, mniej byłam niemi przerażoną niż w onem pierwszem widzeniu, w którem spodobało się Panu, bym prawdziwie uczuła w duchu nie tylko smutek wewnętrzny i rozpacz duszy potępionej, ale i te katusze i męki zewnętrzne, jak gdybym je w ciele cierpiała. Nie wiem, jak to wszystko się

działo, ale dobrze zrozumiałam, że była to wielka łaska, i że Pan chciał bym ujrzała na oczy, z jakiej przepaści wybawiło mię miłosierdzie Jego; bo cokolwiek kiedy słyszałam, albo na modlitwie sama rozważałam o mękach piekielnych,—choć rzadko nad tym przedmiotem się zastanawiałam, bo droga bojaźni mało jest dla duszy mojej pomocną,—i co czytałem kiedy o różnych katuszach, jakie czarci zadają potępionym, wszystko to jest niczem w obec tej męki na którą patrzałam, i której sama w duchu doświadczyłam; jest to zupełnie co innego: jednem słowem, jest między tem a tamtem taka różnica, jak między malowidłem a rzeczywistością, i zgorzeć w tym ogniu ziemskim jest to bagatela, w porównaniu z onym ogniem, który pali w wieczności. Byłam tak przerażona tem widzeniem, owszem i dziś, choć od tego czasu upłynęło już sześć lat, tak jestem, szczerze mówię, niem przerażona, że w tej chwili, gdy o tem piszę, zdaje mi się że ze strachu krew się ścina w żyłach moich; i we wszelkich, jakie mię od tego czasu spotkały, utrapieniach i boleściach, nie pamiętam by choć na chwilę wyszła mi z pamięci ta myśl, że wszystko cokolwiekby mi przyszło ucierpieć w tem życiu, jest niczem; owszem, po części jestem tego zdania, że skarżymy się bez powodu. Widzenie to, powtarzam, było jedną z największych łask, jakie Pan mi uczynił; dopomogło mi ono najskuteczniej, i do pozbycia się bojaźni utrapień i przeciwieństw tego życia, i do odważnego, wedle sił moich znoszenia ich, z nieustającem dziękczynieniem Panu, który, jak dziś mogę ufać, wybawił mię od cierpień tak straszliwych, a wiecznych.

Od onego dnia, powtarzam, wszystko mi się zdaje łatwem, w porównaniu choćby z jedną chwilą tylko takiej męki, jaką tam wówczas wycierpiałam. Dziwię się samej sobie, jak to być mogło, że czytając tyle razy w książkach opisy, dające choć niejakie pojęcie o mękach piekielnych, przecie mąk tych się nie bałam, i nie ważyłam ich sobie wedle straszliwej grozy ich. Gdzie miałam rozum? jak mogłam choć na chwilę spokojnie oddawać się przyjemnościom, które mię ku takiemu okropnemu miejscu ciągnęły? O Boże mój, bądź błogosławiony na wieki! Jakże jawnie tu okazałeś, że nieskończenie więcej Ty miłowa-

łeś mnie, niż ja samą siebie! Ile razy wyprowadzałeś mię z tej ponurej ciemnicy, a ja znowu, wbrew woli twojej, Panie, do niej wracałam!

Z tego źródła także poczęła się we mnie ta boleść niewypowiedziana, jakiej doznaję na widok tylu dusz, idących na potępienie, szczególnie między tymi lutrami, tem nieszczęśliwszymi, że przez Chrzest byli członkami Kościoła; i te zapały i żarliwe żądze poświęcenia siebie dla zbawienia dusz, bo czuję to w sobie z pewnością niewątpliwą, że dla wybawienia choć jednej od takich strasznych męk, tysiąc razy ochotnie ofiarowałabym się na śmierć. Gdy widzimy, tak myślę sobie, kogo nam drogiego, dręczonego wielkiem jakiem strapieniem, albo bólem, snać samo uczucie przyrodzone skłania nas do szczerego z nim współczucia, i ból jego, zwłaszcza jeśli wielki, boli nas, jakby nasz własny. Jakież więc dopiero współczucie i żałość budzić w nas powinien widok duszy cierpiącej wiecznie mękę nad mękami? Kto zdoła taki widok wytrzymać? czyje serce mogłoby patrzeć nań obojętnie? I jeśli tak żywo czujemy cierpienia doczesne, choć wiemy, że kres ich niedaleki, że najdalej z życiem się kończą, cóż powiemy na cierpienie takie, które nie ma kresu ani końca, i jak możemy żyć spokojnie, widząc takie mnóstwo dusz, które na każdy dzień wpadają w ręce czartów, i idą na zatracenie?

Nie mniejsze też pamięć na te straszne męki budzi we mnie pragnienie, byśmy wszyscy w sprawie tak niesłychanie ważnej, na niczem mniejszem nie poprzestawali niż to, co jedno z naszej strony zdołamy uczynić; niczego nie zaniedbujmy, cokolwiek od nas zależy, abyśmy się spodobali Bogu, i ustawicznie błagajmy Go, aby nam raczył użyczać ku temu pomocy łaski swojej. Nie jest to zaiste sprawa, którąby się godziło lekceważyć: jasno to widzę, gdy wspomnę na własne życie moje. Jakkolwiek bardzo byłam niecnotliwa, przecie z niejaką pilnością starałam się służyć Bogu; wystrzegałam się pewnych rzeczy, których ludzie na świecie lekkiem sercem się dopuszczają, jak gdyby nic w nich nie było złego; z wielką cierpliwością znosiłam z łaski Boga wiele ciężkich niemocy; nie byłam skłonną do szemrania ani do obmowy; nie potrafiłabym, zdaje mi się,

życzyć komubądź co złego: nie pożądałam cudzego dobra, zazdrość, nie pamiętam, by kiedy postała w sercu mojem, w takim stopniu przynajmniej, by była z ciężką obrazą Pana: miałam może tę lub ową cnotę, i w ogóle, mimo wszystką nędzę moję, nigdy nie spuszczałam z oka bojaźni Bożej; a z tem wszystkiem widziałam na oczy miejsce, które już czarci mieli dla mnie gotowe, i prawdę mówiąc, wedle wielkości grzechów moich zasłużyłam na nie, i na cięższe jeszcze karanie. Bądź co bądź, była to męka okropna, i dla tego, powtarzam, jest to rzecz niebezpieczna, w takiej sprawie poprzestawać na byle czem, a jeszcze straszniejsza, na każdym kroku wpadać w grzechy śmiertelne, i przytem spokojnie żyć, i w takiem życiu zadowolnienie dla siebie znajdować. Niechże dusza taka zdobędzie się dla miłości Bożej na porzucenie, póki czas, złych nałogów swoich i okazyi do grzechu, a Pan jej dopomoże, jako dopomógł mnie. Raczże o Panie, trzymać mię w ręku twojem, bym nie upadła na nowo w dawne grzechy moje: ukazałeś mi, dokąd mię one prowadziły, broń że mię od takiego nieszczęścia, wedle nieskończonej dobroci twojej. Amen.

Po onem widzeniu, i innych wielkich tajemnicach, jakie Pan w Boskiej łaskawości swojej objawić mi raczył, o chwale zgotowanej dobrym, o karaniu jakie czeka złych, nosiłam się ciągle z myślą i z pragnieniem znalezienia sobie sposobu i nowego rodzaju życia, abym pokutą uchroniła się onego strasznego nieszczęścia, i jakąkolwiek zebrała zasługę ku pozyskaniu onej niewypowiedzianej szczęśliwości. Pragnęłam uciec od ludzi i dojść do zupełnego odłączenia się od świata. Duch mój nie miał ani chwili spoczynku; ale nie był to niepokój dręczący, jedno przeciwnie bardzo słodki; widocznie Bóg sam go sprawował, i nowego duszy mojej dodawał zapału, ku przetrawieniu tego mocnego pokarmu, który mi w onych widzeniach dał do pożywania. Zastanawiając się więc, cobym mogła uczynić dla Boga, przyszłam do uznania, że nasamprzód potrzeba mi jak najwierniej odpowiedzieć powołaniu, którem najświętsza wola Jego wezwała mię do zakonu, i z jaknajwiększą, o ile zemam, doskonałością zachowywać regułę zakonną. Lubo w klasztorze, w którym przebywałam, wiele było godnych służebnic

Bożych, i gorliwie w nim Bogu służono, wszakże skutkiem różnych naglących potrzeb, zakonnice często opuszczały mury klasztorne, choć zawsze w takie tylko miejsca się udając, gdzie mogły przebywać z wszelką uczciwością i pobożnością zakonną. Nadto, klasztor ten nie był założony wedle pierwotnej ścisłości reguły; zachowywano w nim, jak i w całym zakonie, regułę złagodzoną na mocy Bulli papiezkiej. Były tam inne jeszcze niedogodności; dom był duży i wygodny, i cały sposób życia w nim wydawał mi się zbyt przyjemnym dla zmysłów i miękim. Największą jednak dla mnie niedogodnością było ono wychodzenie za mury klasztorne, tem bardziej, że ja często byłam na nie narażona, dzięki niektórym osobom, które podobały sobie w towarzystwie mojem, a którym przełożeni niczego odmówić nie mogli, zaczem ulegając ich natarczywości, kazali mi do nich wychodzić. W takim stanie rzeczy, nie wiele mogłam przebywać w klasztorze; zapewne i diabeł przyczyniał się do tych częstych nieobecności moich, dla przeszkodzenia wielkiemu pożytkowi, jaki, zostając w domu, niejednej siostrze przynosiłam, powtarzając im nauki i objaśnienia, jakich mnie udzielali moi przewodnicy duchowni. Wtem, jednego razu, pewna osoba [1]), rozmawiając ze mną i kilku innemi, odezwała się z wnioskiem, że gdybyśmy chciały wieść życie zakonne na sposób Franciszkanek Bosych, nie byłoby rzeczą niepodobną założyć nam klasztor. Ja, pragnąc tego oddawna, poczęłam bliżej roztrząsać rzecz z oną przyjaciółką moją, wdową [2]), o której mówiłam wyżej, a która także pragnienie moje podzielała. Za-

---

[1]) Była to młodziutka, zaledwo 17-letnia siostrzenica i wychowanica św. Teresy, Marya de Ocampo, później Marya od św. Jana Chrzciciela, jak się zwała w Karmelu. Drugie osoby na tem zebraniu obecne, o których wspomina Święta, były to: Eleonora de Cepeda, siostra poprzedniej, także wychowana przez świętą ciotkę swoję; Ines i Anna de Tapia, siostry cioteczne Świętej; wreszcie Izabela od św. Pawła i Joanna Suarez. Wszystkie one, wierne pierwszej myśli, w onej rozmowie powziętej, weszły do odnowionego przez Świętą Karmelu, i wysokim postępem w doskonałości wsławiły pierwsze początki jego.

[2]) Guiomara de Ulloa, o której nieraz jeszcze wspomni w dalszym ciągu opowiadania swego. Ob. r. XXIV, na końcu, w przypisku.

brała się zaraz do układania planów, jakby nam zapewnić środki potrzebne; środki te, jak dzisiaj widzę, nie daleko sięgały, ale wówczas, w zapale naszym, nie widziałyśmy wielkich trudności. Z drugiej strony jednak, wielkie moje przywiązanie do domu naszego, bardzo mi przypadającego do gustu, i do celi mojej, jakby umyślnie dla mnie zbudowanej, jeszcze mię wstrzymywało; ostatecznie postanowiłyśmy gorąco tę sprawę polecać Bogu.

Pewnego dnia, zaraz po Komunii, Pan przykazał mi stanowczo, abym starała się z wszystkich sił moich o założenie tego klasztoru, i sprawy tej nie zaniedbywała: że będzie w nim kwitła żarliwa służba Jego; że ma być pod wezwaniem świętego Józefa: że on będzie nas strzegł u jednych drzwi, a Najświętsza Panna u drugich. On zaś, Chrystus Pan, będzie mieszkał w pośrodku nas: że będzie to gwiazda, która wielkim blaskiem zajaśnieje: że choć zakony ostygły w pierwszej żarliwości swojej, myliłabym się jednak, gdybym sądziła, że On mało z nich ma służby i chwały: i cóżby było ze światem, gdyby zabrakło na nim dusz, życiu zakonnemu poświęconych? Że mam powtórzyć spowiednikowi [1]) ten rozkaz Jego, i że On go prosi, aby mu nie był przeciwnym, i mnie nie przeszkadzał. Widzenie to tak mię przeniknęło do głębi duszy, i taka była siła słów tych, które Pan do mnie mówił, iż niepodobna mi było wątpić, że to On. Doznałam jednak na te słowa bardzo wielkiej przykrości, przewidując po części niemałe niepokoje i utrapienia, na jakie mię podobne przedsięwzięcie wystawi: tem bardziej, że, jak mówiłam, było mi bardzo dobrze w tym domu, i choć przedtem myślałam i mówiłam o podjęciu tej sprawy, nie miałam jednak stanowczej woli do niej, ani pewności, by mogła przyjść do skutku. Tu, z jednej strony mając rozkaz, zdawało się, naglący, a z drugiej, widząc grożące mi trudności, w przykrem zostawałam zawieszeniu, nie wiedząc, co począć. Ale Pan tyle razy powtarzał mi tęż mowę, tyle mi ukazywał jasnych i przekonywających powodów do podjęcia tej sprawy, tak mi wyraźnie oznajmiał, że taka jest wola Jego, iż

[1]) O. Baltazarowi Alvarez.

nie śmiejąc dłużej się ociągać, powiedziałam w końcu spowiednikowi, co mi było kazano, i zdałam mu sprawę na piśmie z całego tego przejścia. On nie śmiał odwodzić mię stanowczo od tego zamiaru, ale widząc jawną, według przyrodzonego rozsądku trudność albo i niepodobieństwo jego, z uwagi na małe, czy prawie żadne środki przyjaciółki mojej, która go miała wykonać, polecił mi przedstawić rzecz całą prowincyałowi naszemu, i postąpić tak, jak on postanowi. Nie spełniłam tego polecenia osobiście, ponieważ nigdy nie wyznawałam przed prowincyałem tych widzeń moich i łask nadzwyczajnych, ale mówiła z nim za mnie ona pani, która chciała ten klasztor założyć. Prowincyał [1]), mąż bardzo dbały o pomnożenie życia prawdziwie zakonnego, ochotnie na wszystko się zgodził, obiecał wszelkie, jakiegoby było potrzeba, ze swojej strony poparcie, i przyrzekł, że uzna ten nowy dom i pod swoje rządy go przyjmie; układał się z nią o fundusz potrzebny, i o liczbę mających się przyjąć zakonnic, która, jak tego żądałyśmy z wielu różnych powodów, nigdy nie miała być wyższą nad trzynaście. Przedtem jeszcze, nim wszczęłyśmy sprawę z prowincyałem, napisałyśmy o wszystkiem do świętego brata Piotra z Alkantary, który pochwalił nasz zamiar, i zachęcając nas do wytrwania w nim, przysłał nam swoje, co do sposobu wykonania jego, rady i wskazówki [2]). Lecz zaledwie rzecz stała

---

[1]) O. Anioł de Salazar, prowincyał na Kastylię.

[2]) Jeden z listów św. Piotra z Alkantary do św. Teresy, jak go przytacza Ribera, taki miał adres: „Prześwietnej i pobożnej pani, Donnie Teresie de Ahumada, w Awili, którą Pan nasz niech uczyni świętą". W tymże czasie, Święta zasięgała także rady jednego z największych Świętych, jakimi się szczyci zakon Dominikański, św. Ludwika Bertranda. Był on wówczas mistrzem nowicyuszów w Walencyi. Po dłuższem, przez trzy czy cztery miesiące, poleceniu tej ważnej sprawy Bogu, tak wreszcie Świętej na jej zapytanie odpowiedział: „Matko Tereso, list twój otrzymałem, a że sprawa, w której żądasz rady mojej, tak wielkiej jest dla służby Pana naszego wagi, chciałem pierwej polecić Mu ją w ubogich modlitwach moich i we mszy świętej; z tego powodu opóźniłem się z odpowiedzią. Teraz mówię ci w imię tegoż Pana: uzbrój się w męstwo ku wykonaniu tak wielkiego przedsięwzięcia, w którem On cię wspomoże i łaską swoją otoczy, i upewniam cię w imieniu Jego, że nim upłynie piędziesiąt lat, zakon twój będzie jednym z najświetniejszych

się wiadomą w mieście, zaraz podniosło się na nas trudne do opisania w kilku słowach prześladowanie, zewsząd dochodziły nas szyderstwa i wyśmiewania; na mnie mówiono, że snać oszalałam, kiedy chcę porzucić klasztor, w którym jest mi tak dobrze; ale szczególnie nad przyjaciółką moją znęcano się, aż trudno jej było znieść takie zawzięte prześladowanie. Ja nie wiedziałam co począć; poniekąd zdawało mi się, że mają słuszność. Gdy w takiem znękaniu uciekając się do modlitwy, polecałam się Panu, Pan w Boskiej łaskawości swojej raczył mię pocieszyć i dodać mi odwagi. Rzekł mi, że „poznam to, jak wiele ucierpieli święci, założyciele zakonów; że dużo większe jeszcze, i takie, jakich ani przedstawić sobie nie zdołam, czekają mię prześladowania; ale niech się o to nie frasuję". Dodał jeszcze kilka słów dla przyjaciółki mojej, które gdy jej powtórzyłam, tejże chwili, rzecz godna podziwienia, uczułyśmy się obie pocieszone po wszystkiem cośmy wycierpiały, i gotowe odważnie stawić czoło wszystkim przeciwnikom naszym. A trzeba przyznać, że nam ich nie brakło, bo w całem mieście, nawet między ludźmi oddanymi bogomyślności, nie było wówczas prawie nikogo, ktoby na nas nie powstawał, i zamiaru naszego nie poczytywał za ostatni nierozum.

Takie zewsząd podniosły się krzyki, takie w samymże klasztorze moim powstało zamięszanie, że prowincyałowi wydało się rzeczą trudną podejmować walkę z wszystkimi; zmienił zdanie, i nie chciał już uznać zamierzonej fundacyi. Wymawiał się, że dochody nie są zabezpieczone, że są niedostateczne, że głos powszechny zbyt stanowczo nas potępia. I w tem wszystkiem wszelką na pozór miał słuszność. Słowem, cofnął obietnicę swoję, i o nowym domu nie chciał już słyszeć. W chwili więc, gdy nam się zdawało, żeśmy już przebyły pierwsze trudności, taki nas zawód spotkał; wystąpienie prowin-

---

w Kościele Bożym. Niechaj Bóg ma cię w świętej swej pieczy.—W Walencyi.—Brat Ludwik Bertrand.'— Sprawdzenie się tej przepowiedni, jak mówią Bollandyści w Życiu św. Ludwika Bertranda, w procesie kanonizacyjnym zostało uznane za dowód autentyczny ducha proroczego, użyczonego temu Świętemu od Boga.

cyała przeciwko nam z tego względu szczególnie było mi przykrem, że mając jego zgodzenie się, tem samem byłabym wytłómaczona przed wszystkimi. A z przyjaciółką moją do tego aż doszło, że jej na spowiedzi odmawiano rozgrzeszenia, póki zamiaru swego nie porzuci, i nie naprawi, tak jej mówiono, zgorszenia.

Udała się do wielkiego teologa, żarliwego sługi Bożego, z zakonu św. Dominika [1]). Było to jeszcze przedtem, nim prowincyał nas opuścił, ale i wtedy już w całem mieście nie mieliśmy nikogo, ktoby chciał wspomódz nas radą, a wszyscy zarzucali nam, że tylko własną głową się rządzimy. Gorąco więc pragnąc rady i poparcia tego męża, bo był to najuczeńszy teolog, nie tylko w tem mieście, ale niemal i w całym swoim zakonie, pani ta zdała mu dokładną sprawę z wszyst-

---

[1]) Był to O. Piotr Ybanez, jedna z ozdób tego zakonu, który tylu wydał Kościołowi wielkich ludzi, uczonych i świętych. O. Ybanez z chlubą wykładał teologię, i całe życie umiał godzić głęboką pracę naukową z wysoką świętością życia. Posiadamy po nim znakomity, w języku kastyliańskim, traktat *O rozróżnianiu duchów*. Jakób Echard, w swej *Bibliotece pisarzy zakonu św. Dominika* wspaniały kreśli wizerunek tego niepospolitego teologa, który Bollandyści zamieścili w swem Życiu św. Teresy. O. Ybanez pierwszy miał szczęśliwą myśl znaglenia św. Teresy do napisania historyi życia swego. Pierwsze to Życie, zaczęte w klasztorze Wcielenia w Awili, a dokończone w czerwcu r. 1562 w Tolecie, u Ludwiki de la Cerda, siostry księcia Medina Coeli, już nie istnieje, ale szczęściem mamy je całe, co do treści, powtórzone w drugim, obszerniejszym opisie życia swego, które św. Teresa, z rozkazu drugiego, również sławnego dominikanina O. Garcia de Toledo, już po założeniu klasztoru św. Józefa w Awili, w latach 1563, 1565, 1566 spisała Rękopis tego drugiego Życia przechowuje się w Eskurialu, w Madrycie; na nim opiera się i niniejsze wydanie. Rzecz pewna że O. Ybanez, i w kierunku jej duszy i w zaprowadzeniu roformy w Karmelu, wielkie oddał św. Teresie usługi; ale również rzecz niezaprzeczona, że i on nawzajem, przedziwne postępy swoje w życiu duchownem swojemu z nią obcowaniu i pobudzającej sile jej przykładu zawdzięczał. Będąc mistrzem św. Teresy, był zarazem jej uczniem, i w szkole jej w krótkim czasie do najwyższej wzniósł się świętości. Bóg, jakoby wywdzięczając mu się za wszystko, co uczynił dla świętej reformatorki Karmelu, hojnie wylewał na tę duszę wybraną najprzedniejsze, nadzwyczajne dary i łaski swoje. Niektóre z tych łask Święta wymienia na różnych miejscach tego Życia swego; mianowicie też w rozdziale XXXVIII rzewny skreśla obraz pięknej śmierci tego świętobliwego męża Bożego.

kiego, wymieniając i wysokość funduszu, jaki na ten cel z majątku swego przeznacza. Ja mu wyłożyłam cały nasz zamiar, i niektóre z powodów, jakie nas do niego skłoniły; nie wspomniałam ani słowem o żadnych objawieniach, wymieniając tylko czysto naturalne pobudki, jakie nami powodują, bo chciałam, aby i zdanie jego na takich tylko racyach było oparte. W odpowiedzi, zażądał od nas tydzień czasu do namysłu, zapytując przytem, czy jesteśmy gotowe zastosować się we wszystkiem do decyzyi jego. Odpowiedziałam, że tak; ale mimo tej obietnicy mojej, zdaje mi się, że szczerej, miałam w duszy zupełną pewność i przekonanie, że decyzya będzie przychylną. Przyjaciółka moja żywszą miała wiarę odemnie: jakakolwiek zapadłaby decyzya, ona nigdy nie byłaby się zgodziła na odstąpienie od zamiaru. Ja przeciwnie, — lubo, jak powiedziałam, zaniechanie zamiaru naszego zdawało mi się rzeczą niepodobną, — wszakże w prawdę danego mi objawienia o tyle tylko wierzyłam, o ileby ono nie okazało się przeciwnem wyrokom Pisma Świętego, albo przykazaniom Kościoła, które nas bezwarunkowo obowiązują. Stąd też, jakkolwiek byłam przekonana, że objawienie to prawdziwie jest od Boga, gdyby jednak on mąż uczony oznajmił mi, iż nie możemy uczynić tego, co zamierzamy, bez obrazy Boskiej, i że tak czyniąc, działałybyśmy przeciw własnemu sumieniu, sądzę, że bez wahania byłabym porzuciła ten zamiar, i postarała się o spełnienie innym sposobem woli Bożej. Mnie jednak Pan nie podawał innego sposobu, jedno ten. Mówił mi potem on sługa Boży, że zrazu stanowcze miał postanowienie, całą powagą swego na nas wpływu odwieść nas od naszego przedsięwzięcia, które, tak samo jak wszystkim, wydawało mu się szaleństwem; że niezależnie od wiadomego mu powszechnego w całem mieście przeciw nam oburzenia, jeszcze jakiś pan możny, dowiedziawszy się, żeśmy się do niego udały, posyłał do niego z ostrzeżeniem, by uważał co robi, i żadnego nam nie dawał poparcia; aż dopiero, gdy zaczął głębiej zastanawiać się nad tem, jaką ma nam dać odpowiedź, gdy dokładniej rozważył naturę sprawy, i naszą w tem przedsięwzięciu intencyę, i zamierzone przez nas zaprowadzenie ścisłej reguły zakonnej w mającym powstać nowym klasztorze,

uczuł i uznał, że fundacya ta będzie przyjemną Bogu, i że żadną miarą nie należy jej zaniechać. Tak też odpowiedział nam, że powinnyśmy bez wahania przystąpić do dzieła; wskazał sposoby i drogi, jakby je najlepiej wykonać; a co do uposażenia, choć ono niedostateczne, trzebaż przecie liczyć na Opatrzność Boską. Upewnił nas w końcu, że ktoby się sprzeciwiał naszemu przedsięwzięciu, będzie jego miał przeciwnikiem, i że gotów jest odpowiadać za nas wszystkim; jakoż od tego czasu zawsze nas popierał, jak o tem niżej jeszcze opowiem. Rozmowa ta bardzo nas pocieszyła, jak również i to, że z pomiędzy osób pobożnych, które nam zrazu były przeciwne, niektóre złagodniały, i poczęły nam czynnie świadczyć życzliwość; takim między innymi okazał się dla nas i on pan świętobliwy, o którym w swojem miejscu była mowa [1]); zrozumiał on pobożnem sercem swojem, że taki klasztor, jaki założyć pragnęłyśmy, cały na bogomyślności oparty, otwiera drogę do wysokiej doskonałości, i jakkolwiek w wykonaniu tego zamiaru widział wielkie, prawie bez wyjścia, trudności, nie taił się przecie z przekonaniem swojem, że może to być przedsięwzięcie natchnione od Boga. Snać Pan sam taką w nim przychylność dla nas wzbudził, jak również i w onym pobożnym kapłanie, którego, jak o tem było wyżej, z początku się radziłam [2]): i on także bardzo życzliwie sprawę naszę popierał. Kapłan ten był wzorem cnót wszelkich dla całego miasta; widocznie Bóg go tam postawił dla ratunku i zbawienia wielu dusz. W takim stanie rzeczy, wciąż wspierane modlitwami wielu, przystąpiłyśmy do zakupienia domu; w dobrem był położeniu, choć mały; ale o to się nie frasowałam, ufna w obietnicę Pana, który mi powiedział, bym tylko umieściła się, jak się da, a potem obaczę, co On Boską mocą swoją uczyni. Obaczyłam też, i jakie rzeczy przedziwne! Nie frasowałam się również o dochody; bo choć widziałam ich szczupłość i niedostateczność, miałam przecie mocną wiarę, że Pan innemi sposobami zaradzi ubóstwu naszemu, i nie opuści nas.

---

[1]) Franciszek de Salcedo. [2]) Magister Gaspar Daza.

ROZDZIAŁ XXXIII.

O założeniu klasztoru św. Józefa, ciąg dalszy. Jako jej kazano usunąć się od tej sprawy, i jak długo trwało to usunięcie. Różne, jakie w tym czasie miała utrapienia, i jako ją Pan w nich pocieszał.

Tak więc sprawa nasza była na dobrej drodze, i tak bliska ukończenia, że już nazajutrz miały być spisane umowy, gdy niespodzianie nasz Ojciec Prowincyał, jak wspomniałam wyżej, zmienił zdanie. Stało się to, sądzę, szczególnem zrządzeniem Bożem, jak tego i dalszy przebieg rzeczy był dowodem. Pan, tylu modlitwami ubłagany, sam wziął w ręce to dzieło, aby się stało doskonalszem, i w inszy sposób przyszło do skutku. Skutkiem odmowy prowincyała, spowiednik mój natychmiast zabronił mi zajmować się dalej tą sprawą, a Bóg wie, jak wielkie przykrości i utrapienia kosztowało mię doprowadzenie jej do tego stopnia, na którym się w tej chwili znajdowała. Zakaz ten, i moje skutkiem onegoż zaniechanie przedsięwzięcia, stwierdzało niejako sądy nieprzychylnych, że były to tylko mrzonki kobiece; na mnie szczególnie wzmogły się szemrania, choć wszystko com dotąd była uczyniła, było z polecenia prowincyała. W klasztorze wszystkie na mnie krzywo patrzały, za chęć moją założenia klasztoru ściślejszego; siostry poczytywały to sobie za obelgę; wszak i tu, mówiły, równie dobrze mogę służyć Bogu, mając przed oczyma przykłady drugich, lepszych niż ja; snać żadnego nie mam przywiązania do domu, inaczej byłabym wolała dla niego wystarać się o fundusz obiecany, niż wynosić go gdzieindziej. Jedne odgrażały się, że mię zamkną do karceru, drugie, ale takich było nie wiele, odzywały się choć słabo w obronie mojej. Ja czułam dobrze, że z niejednego względu mają słuszność; próbowałam niekiedy tłómaczyć się, ale nie mogąc wyjawić rzeczy głównej, to jest rozkazu, jaki miałam od Pana, widziałam w końcu, że niema co robić, i milczałam. Zresztą Pan użyczał mi tej bardzo wielkiej łaski, że wszystkie te przeciwieństwa najmniejszego mi nie sprawiały niepokoju, ale wszystko to, a szczególnie poniewolne zaniechanie zamiaru mego, z taką znosiłam łatwością, i z takiem zadowolnieniem we-

wnętrznem, jakby mię to nic nie kosztowało. Nikt temu nie chciał dać wiary, sameż nawet osoby bogomyślne, które ze mną przestawały, były przekonane, że muszę być bardzo zawstydzoną i zmartwioną; owszem nawet i spowiednik mój nie mógł tego pojąć. Mnie zaś zdawało się, że skoro uczyniłam wszystko, co było w mojej możności, on rozkaz Pański do niczego więcej mnie nie obowiązuje, i spokojnie pozostawałam na dawnem miejscu, bo było mi tam dobrze i przyjemnie. Nigdy jednak ani na chwilę nie zdołałam rozstać się z tem mocnem przekonaniem, że choć ja żadnego na to nie mam sposobu, przecie to, co Pan kazał, stanie się; nie widziałam kiedy i jak, ale byłam zupełnie pewna, że się stanie.

Inna rzecz za to bardzo głęboko w tym czasie mię dotknęła, mianowicie list, jaki otrzymałam od spowiednika mego, a w którym tenże takie mi czynił wyrzuty, jak gdybym ja w czemkolwiek była się sprzeciwiła woli jego. Taka widać była wola Pańska, by i z tej strony, dla mnie najboleśniejszej, nie ominęło mnie cierpienie; bo wśród tego mnóstwa prześladowań, zdawało mi się, że przynajmniej od spowiednika mogę się spodziewać pociechy. Pisał mi więc, że chyba już musiałam się przekonać, że wszystko to, czego się dobijałam, było tylko mrzonką: niechże więc już teraz się poprawię, i z niczem się nie wyrywam, ani już więcej o tem nie wspominam, boć widzę jakie z tego urosło zgorszenie, i inne rzeczy tym podobne, jakby umyślnie dobierane dla zrobienia przykrości. List ten zmartwił mię więcej, niż wszystkie inne przykrości razem wzięte; lękałam się, czy snać rzeczywiście z mojego powodu i z winy mojej Bóg nie został obrażony; i jeśli te widzenia moje były złudzeniem, tedyć, tak myślałam sobie, i wszystka modlitwa moja wewnętrzna jest czczą tylko marą, i ja sama najsrożej oszukaną i najnędzniejszą istotą. Obawy te i trwogi tak mię nękały, iż wszystka byłam wewnątrz zmięszana i w najgłębszym smutku pogrążona. Ale Pan, jako nigdy we wszystkich tych utrapieniach, jak je dotąd opisałam, mnie nie opuścił, i po wiele razy, o czem tu nie ma potrzeby mówić, pocieszał mię i umacniał, tak i w tem zdarzeniu przybył mi na ratunek, i rzekł do mnie „bym się nie dręczyła: że nie tylko nie obraziłam Go

w tej sprawie, ale owszem bardzo się przysłużyłam Jemu; że mam czynić według zalecenia spowiednika, i milczeć na teraz, aż przyjdzie czas podjęcia sprawy na nowo.“ Słowa te takim mię napełniły pokojem i weselem, iż całe ciężące nademną prześladowanie wydało mi się niczem.

W tem przejściu nauczył mię Pan, jakie to szczęście nieocenione, ponosić utrapienie i prześladowanie dla Niego. Takie, prócz wielu innych korzyści, widziałam w sobie od tego czasu pomnożenie miłości Bożej, że na ten widok sama nad sobą się zdumiewałam, z tego to źródła powstaje we mnie ta nieugaszona, którą odtąd czuję w sobie, żądza cierpienia [1]). A drudzy tymczasem wyobrażali sobie, że jestem bardzo zawstydzona i zmartwiona niedojściem do skutku zamiarów moich; i taką w istocie byłabym, gdyby Pan w tej ostateczności nie był mię darzył takiemi niesłychanemi łaskami. Wówczas poczęły na mnie przychodzić one wielkie zapały miłości Bożej, o których mówiłam, i zachwycenia; ale je trzymałam w ukryciu, i nikomu nie mówiłam o tych niebieskich zyskach moich. On świętobliwy Ojciec dominikanin [2]) trwał, tak samo jak ja, w niezachwianem przekonaniu, że rzecz się zrobi; a ponieważ ja już w to wdawać się nie chciałam, aby nie być nieposłuszną spowiednikowi memu, więc on sam z przyjaciółką moją prowadził dalej rokowania, i pisali o tem oboje do Rzymu, i plany swoje przedstawiali. Ale i diabeł nie próżnował; snać za sprawą jego dowiedziano się czegoś o objawieniu, jakie miałam otrzymać w tej sprawie; wiadomość ta przechodziła z ust do ust, aż wreszcie przybiegano do mnie z wielkiem przerażeniem i ostrzegano mię, że czasy są złe, że kto wie, czy nie będę miała jakiej sprawy, czy mię nie pociągną przed trybunał inkwizycyi. Mnie to ostrzeżenie wydało się zabawnem, i szczerze z niego się uśmiałam: bo w tej materyi nigdy nie miałam najmniejszej obawy, i byłam pewna siebie, że w rzeczach wiary nikt mi nic nie zarzuci, że za każdą prawdę zapisaną w Piśmie Świętem, za każdy artykuł wiary, owszem za każdą najmniejszą cere-

[1]) „Cierpieć albo umrzeć.“ te słowa, jak powszechnie wiadomo, były jakoby godłem życia jej. [2]) O. Piotra Ybanez.

monię kościelną, tysiąc razy gotowa jestem śmierć ponieść. Odpowiedziałam zatem, że mogą być o to spokojni; że bardzo źle byłoby z duszą moją, gdyby w niej było cokolwiekbądź, za cobym się miała bać Inkwizycyi; że gdybym podejrzywała w sobie choć ślad czego podobnego, samabym się stawiła na badanie przed sądem; gdyby mię zaś fałszywie oskarżono, Pan mocen jest wybawić mię, i prześladowanie obrócić mi w pożytek. Udałam się znowu w tej potrzebie do mojego Ojca Dominikanina, męża, jak mówiłam, tak uczonego, że spokojnie polegać mogłam na zdaniu jego; wówczas już powiedziałam mu szczegółowo i ile zdołałam najjaśniej o widzeniach moich, i moim sposobie modlitwy, i o wielkich łaskach, jakie mi czynił Pan, usilnie go prosząc, aby dobrze to wszystko rozważył, i objaśnił mię, czy jest w tem cokolwiekbądź niezgodnego z Pismem świętem, i powiedział mi zdanie swoje o całym moim stanie wewnętrznym. Odpowiedź jego uspokoiła mię bardzo, a i on sam, zdaje mi się, z tej rozmowy odniósł pożytek duchowny; bo choć i przedtem już wiódł życie w wysokim stopniu cnotliwe, przecie od onego czasu począł o wiele więcej poświęcać się modlitwie wewnętrznej, i pragnąc mieć więcej swobody do oddawania się temu świętemu ćwiczeniu, usunął się do innego, bardzo samotnie położonego klasztoru swego zakonu, gdzie zostawał przeszło dwa lata, póki go, z wielką przykrością jego, posłuszeństwo nie powołało stamtąd na inne stanowisko, bo jako zakonnik ze wszech miar znakomity, potrzebny był zakonowi swemu. Dla mnie jego usunięcie się dotkliwą było stratą, ale go nie wstrzymywałam, widząc jak wielki z samotności swojej odniesie pożytek, bo gdym się bardzo trapiła z powodu odejścia jego, Pan rzekł do mnie: „Pociesz się, i nie martw się, idzie on pod dobrą wodzą.“ W rzeczy samej, wyszedł stamtąd z takim postępem w doskonałości i tak wysoko uduchowniony, że jak mi mówił za powrotem, wszystkoby oddał za te dwa lata samotności. I ja też mogłam powiedzieć toż samo; bo gdy przedtem uspakajał mię i pocieszał tylko światłem nauki swojej, teraz tem skuteczniej toczynił wysokiem, jakiego był nabył, doświadczeniem w rzeczach nadprzyrodzonych i w drogach życia duchownego. W samą porę Bóg go napowrót przyprowadził do nas,

w chwili, kiedy pomoc jego była nam potrzebną do założenia klasztoru naszego, gdy już z woli Najwyższego miał stanąć.

Pięć czy sześć miesięcy trwało to nakazane mi milczenie; przez cały ten czas trzymałam się zdaleka od tej sprawy, i ani słowem o niej nie wspominałam; Pan też w tym czasie ani razu nie ponowił mi swoich co do niej rozkazów. Dla czego tak zamilkł, tego zrozumieć nie mogłam; mimo to jednak ani na chwilę nie rozstałam się z myślą, że bądź co bądź, rzecz się zrobi. Pod koniec tego czasu, w miejsce rektora, który dotąd sprawował rządu kollegium jezuickiego w naszem mieście [1]), Bóg w dobroci swojej przysłał drugiego [2]), męża wysoko duchowego, pełnego rozumu i męstwa, i gruntownie uczonego. Przybył on dla mnie w sam czas, bo w wielkiej wtedy byłam potrzebie. Spowiednik mój, będąc zależnym od rektora, i ściśle trzymając się tej cnotliwej zasady, niezmiernie przestrzeganej w towarzystwie Jezusowem, że żaden nie uczyni kroku ważniejszego, bez zgody i pozwolenia zwierzchnika, choć dobrze rozumiał ducha mego i pragnął coraz wyższego postępu mego, nie śmiał przecie stanowczo rozstrzygać w pewnych razach, do czego i miał słuszne swoje powody. A tymczasem duch mój rwał się naprzód z coraz silniejszym zapałem, i bardzo cierpiał na takiem skrępowaniu, choć mimo to wszystko, nigdy w niczem nie odstępowałam od rozkazu spowiednika.

Któregoś dnia, gdy bardzo byłam zasmucona, widząc czy sądząc, że spowiednik mi nie wierzy, Pan rzekł do mnie: „Nie smuć się; niezadługo ta bieda się skończy.“ Słowa te bardzo mię ucieszyły, bo zrozumiałam je tak, jakobym niezadługo miała umrzeć, o czem nie mogłam wspomnieć bez wielkiego rozradowania wewnętrznego. Wkrótce jednak przekonałam się jasno, że obietnica Pańska odnosiła się do nastania rektora, o którym mówiłam; bo istotnie, wraz z przybyciem jego, zmieniły się okoliczności, które były powodem biedy mojej. Nowy rektor nie krępował już Ojca ministra, spowiednika mego; za-

---

[1]) O. Dionizy Vasquez, który tylko półtóra roku był na czele kollegium św. Idziego. [2]) O. Gaspar de Salazar, o którym Święta w dalszym ciągu nieraz jeszcze wspomina.

lecał mu owszem, by mię pocieszał, upewniając go, że nie ma czego się obawiać, by zatem już nie prowadził mnie taką ciasną drogą, a pozostawiał swobodę działania duchowi Pańskiemu; bo rzeczywiście, przy tych wielkich zapałach i uniesieniach, jakiem miewała, duszy mojej, pod onym dawnym uciskiem nieraz jakoby tchu brakło. Rektor ten przyszedł mię odwiedzić; miałam mu, według zalecenia spowiednika, otworzyć duszę moję z wszelką swobodą i jasnością. Zwykle czułam wielki wstręt do takich zwierzeń postronnych, ale tym razem było inaczej: w chwili gdym przystępowała do konfessyonału, doznałam w głębi duszy nieopisanego jakiegoś uczucia, jakiego ani przedtem ani potem nie pamiętam, bym kiedy dla kogobądź innego doświadczyła. Żadnemi słowy, ani nawet w przybliżeniu i przez porównania, nie potrafię objaśnić, jak to było. Tyle tylko mogę powiedzieć, że było to jakieś rozradowanie ducha, i jasne w duszy przeświadczenie, że ta dusza mię zrozumie, że jest między nami zgodność ducha: ale jak ono powstało, tego, powtarzam, nie pojmuję. Gdybym była przedtem z nim rozmawiała, albo gdyby kto przedtem był mię korzystnie o nim uprzedził, ona radość moja i pewność, że będę zrozumianą, mniej byłaby dziwną; ale nigdy do tego czasu nie byłam z nim zamieniła jednego słowa, ani on ze mną: nigdy też nic nie byłam o nim słyszała. Przekonałam się potem dowodnie, że mnie duch mój nie mylił, bo wielką pod każdym względem, z moich z nim stosunków, na duszy korzyść odniosłam. Jego sposób prowadzenia doskonale przypada do usposobienia dusz, którym Pan już dał wysoko postąpić w doskonałości; takie on nie prowadzi krokiem, ale je nagli do biegu. Doskonale umie pobudzać duszę do umartwienia i oderwania się od świata; do tego widocznie, prócz wielu innych łask, ma on szczególny dar od Pana. Od pierwszej chwili mojego z nim zetknięcia się, poznałam ten sposób jego; poznałam, że jest to dusza czysta i święta, posiadająca w wysokim stopniu dar rozeznawania duchów. Wielką mi kierunek jego przyniósł pociechę. Wkrótce po mojem z tym mężem Bożym zapoznaniu się, Pan począł znowu mię naglić o podjęcie na nowo sprawy założenia klasztoru. Podał mi wiele różnych powodów i szczegółów, i kazał mi po-

wtórzyć je O. Rektorowi i spowiednikowi mojemu, aby mi przeszkód nie stawiali. Niektóre z tych szczegółów tak na nich podziałały, że bali się ich nie uwzględnić, szczególnie rektor, który pilnie badając cały przebieg sprawy, nigdy nie wątpił o tem, że zamiar nasz jest z ducha Bożego. Ostatecznie obadwaj, zważywszy wszystkie powody, nie śmieli odważyć się na dłuższy opór; zaczem spowiednik mój dał mi na nowo pozwolenie przykładania się do zamierzonej sprawy wedle wszystkiej możności mojej.

Widziałam dobrze, na jakie trudności się narażam, będąc prawie sama jedna, i środki posiadając bardzo szczupłe. Postanowiliśmy prowadzić rzecz w jaknajwiększym sekrecie. W tym celu uprosiłam jednę z sióstr moich [1]), nie mieszkającą w mieście, aby ona kupiła dom upatrzony, i urządziła go jakby dla siebie; pieniądze na to kupno Pan zesłał dziwnemi drogami, o których długo byłoby tu mówić [2]). W tem wszystkiem pilną miałam baczność, bym nic nie uczyniła przeciw posłuszeństwu; ale przełożonym nic nie mówiłam, wiedząc dobrze, że gdyby oni się dowiedzieli, wszystko byłoby stracone, jak za pierwszym razem, i gorzej jeszcze. Z wystaraniem się o pieniądze, z wynalezieniem domu, z umówieniem się o cenę, z urządzeniem jego, niezliczone miałam kłopoty, często sama jedna; bo przyjaciółka moja, choć robiła co mogła, ale mało mogła, tak mało, że było to jakby nic: tyle tylko, że wszystko robiło się w jej imieniu i za jej pośrednictwem, ale cały ciężar kłopotów spadał na mnie, a ciężył mi tak, że dziś się dziwię, jak to wytrzymałam. Nieraz w strapieniu mojem mówiłam Panu: Panie, czemu mi każesz brać na siebie rzeczy, prawie że niepodobne? jestem słabą kobietą, i gdybym przynajmniej

---

[1]) Joannę de Ahumada, poślubioną Janowi de Ovalle Godinez. Ob. o niej Dodatek I.

[2]) Była to summa znaczna, którą brat jej, Wawrzyniec de Cepeda, nic nie wiedząc o zamierzonej fundacyi przysłał był świętej Teresie z Peruwii w r. 1561. Za powrotem do Hiszpanii inne jeszcze hojne posługi jej oddawał. O wysokiej pobożności i świętobliwości Wawrzyńca de Cepeda, i żony jego, i dzieci, a szczególnie o najmłodszej, najukochańszej córce duchownej św. Teresy i przeczystej perle Karmelu, anielsko dziewiczej Teresicie od Jezusa, ob. na końcu, Dodatek I.

miała swobodę! ale skrępowana z tylu stron, bez pieniędzy, bez sposobu dostania ich, ani na Brewe, ani na żadne inne potrzeby, cóż ja, Panie, mogę zrobić?

Raz, gdy byłam w skrajnej potrzebie, nie mając za co nająć koniecznych robotników, i rady już sobie nie wiedząc, ukazał mi się św. Józef, prawdziwy mój ojciec i możny opiekun, i upewnił mię, że pieniędzy mi nie zabraknie, że mogę bez obawy zawrzeć umowę, co i uczyniłam, nie mając szeląga w kieszeni, a Pan zaradził potrzebie w sposób taki, że zdumiewali się wszyscy, którzy się o tem dowiedzieli. Dom wydawał mi się mały, tak mały, że niepodobna zdawało się urządzić w nim klasztor; chciałam dokupić drugi, przytykający do niego, który choć również niewielki, mógłby przecie służyć za kościół; ale nie miałam za co, ani sposobu żadnego skąd dostać potrzebnych pieniędzy, i nie wiedziałam co począć. Aż jednego dnia, po Komunii, Pan rzekł do mnie: — „*Już ci raz powiedziałem, byś się umieściła, jak możesz.*“ Potem, jakby z oburzeniem, dodał: — „*O chciwości rodzaju ludzkiego! więc i ziemi boisz się, że ci zabraknie? Ileż razy Ja spałem pod gołem niebem, nie mając kędy się schronić!*“ Przerażona tym wyrzutem, i czując całą słuszność jego, pobiegłam do onego domku, wymierzyłam go i przekonałam się że zmieści się w nim klasztor przyzwoity, choć mały; zaczem, nie troszcząc się już o nabycie drugiego domu, kazałam oporządzić ten, z grubszego i bez żadnych wymysłów, aby tylko w nim żyć można bez szkody dla zdrowia, co i zawsze przy zakładaniu naszych klasztorów zachowywać się powinno.

W dzień świętej Klary [1]), w chwili gdy szłam do Komunii, ukazała mi się Święta, przedziwną pięknością jaśniejąca, i rzekła mi, bym uzbroiła się w męstwo, i dalej prowadziła dzieło rozpoczęte, a ona mi dopomoże. Powzięłam odtąd wielkie nabożeństwo do tej Świętej, a obietnica jej w zupełności się sprawdziła; bo klasztor zakonnic jej reguły, położony w pobliżu naszego, wspomaga nas, zaopatrując nas w pierwsze potrzeby do życia; a co ważniejsza, tak mi dopomogła do spełnie-

[1]) 12 sierpnia 1561.

nia się głównego pragnienia mego, że toż ubóstwo, jakie ona zaprowadziła w domach swoich, zachowuje się i w naszym; i my także żyjemy z jałmużny. Nie mało mię to kosztowało zachodu, nim ten punkt reguły naszej został nieodwołalnie zatwierdzony powagą Ojca Świętego [1]), tak, iż nigdy już naruszonym być nie może, i nigdy klasztory nasze nie będą miały stałych dochodów. I tę wielką jeszcze łaskę czyni nam Pan, snać także za przyczyną tej najmilszej Świętej, że choć nikogo o nic nie prosimy, najłaskawsza Opatrzność Jego dostarcza nam hojnie wszystkiego, czego potrzeba. Niech będzie błogosławiony za wszystko. Amen.

W trzy dni potem, w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, gdy modląc się w kościele, należącym do klasztoru zakonu chwalebnego św. Dominika [2]), wspominałam sobie na mnóstwo grzechów i szczegółów niecnotliwego życia mego, z których przed laty w tym kościele się spowiadałam, przypadło na mnie zachwycenie tak wielkie, że prawie odeszłam od siebie. Nie mogąc się utrzymać na klęczkach, usiadłam; nie byłam nawet zdolną widzieć podniesienia Hostyi i słuchać Mszy świętej, o co później miałam niejaki niepokój w sumieniu. W tym stanie, wydało mi się, że widzę, jak mię ubierają w szatę dziwnie białą i jasną; z początku nie widziałam, kto mię ubiera; potem dopiero ujrzałam przy boku moim, z prawej strony Pannę Najświętszą, a z lewej Opiekuna mego, ś. Józefa; oni to we dwoje tak mię ubierali; a jednocześnie było mi dano do zrozumienia, że już jestem oczyszczona z grzechów moich. A gdy już byłam ubraną, niewypowiedziane czując w sobie uwielbienie i roskosz, Najświętsza Panna wzięła mię za ręce i rzekła mi, że „bardzo jest rada z mojego nabożeństwa do chwalebnego Jej Oblubieńca; że mam być pewną, iż zamierzony przezemnie klasztor przyjdzie do skutku; że będzie w nim gorliwa służba Panu i Im obojgu; że choć kierunek, któremu się poddaję, nie przypada mi do smaku, mam przecie być spokojną o to, że pierwsza gorliwość w tym nowym domu nigdy nie

[1]) Piusa IV, w Breve z 5 grudnia 1562. [2]) W kościele św. Tomasza w Awili; r. 1561.

ostygnie, bo Oni go opieką swoją otoczą, jak i Syn Jej już nam obiecał, że będzie z nami mieszkał; na znak zaś i zadatek sprawdzenia się tej obietnicy Jego, daje mi ten oto klejnot.“ Wtedy wydało mi się, że zawiesza mi na szyi dziwnie piękny naszyjnik złoty, ze zwieszającym się pod nim krzyżem wartości nieoszacowanej. Było to złoto i kamienie drogie tak różne od wszelkich klejnotów ziemskich, że żadnego nie masz między niemi porównania, i piękność ich przewyższa wszelkie wyobrażenie ludzkie. Takaż była i szata ona: żaden umysł nie przedstawi sobie wytworności materyi, z jakiej była utkana, a w obec białości jaką Pan ją ozdobił, wszelkie świetności tej ziemi wydają się, że tak powiem, jakby zamazane sadzą. Rysów Najświętszej Panny nie zdołałam rozróżnić dokładnie, ale cały kształt Jej oblicza był zachwycająco piękny; odziana była także w szatę białą, niewypowiedzianego blasku i jasności, nie olśniewającej jednak, ale dziwnie oko rozweselającej. Nie tak jasno widziałam chwalebnego św. Józefa; czułam jednak obecność jego, ale sposobem takiego widzenia, o jakiem w swojem miejscu mówiłam, to jest czysto umysłowego, bez udziału wyobraźni. Najświętsza Panna wydawała mi się młodziutką. Po chwili takiego ze mną przebywania, które napełniło duszę moję uszczęśliwieniem i weselem, jakich nigdy jeszcze nie byłam doznała, i chciałabym by nigdy we mnie nie ustały, wydało mi się, że widzę Ich wstępujących do nieba, z wielkim orszakiem aniołów. Wielkie po odejściu Ich czułam osamotnienie, ale zarazem także taką pociechę, i podniesienie ducha, i skupienie w Bogu, i rozrzewnienie, że przez dłuższy czas pozostawałam pod tem wrażeniem, niezdolna poruszyć się z miejsca, ani słowa przemówić, jak gdybym była odeszła od siebie. Pozostał mi po tem widzeniu wielki zapał do całkowitego wyniszczenia się dla Boga, i taki był cały przebieg jego, i takie we mnie skutki sprawił, że nigdy, jakkolwiek starałam się o to, nie mogłam się zdobyć na najmniejszą wątpliwość, by ono nie było od Boga. Szczególnie też wielką pociechę i uspokojenie przyniosły mi słowa Najświętszej Panny, o nowym jaki miałam obrać kierunku obediencyi; istotnie, nie przypadał mi on do smaku, bo z trudnością mi przychodzi usunąć się z pod posłuszeństwa

naszego zakonu. Ale Pan mi oznajmił, że nie należy poddawać nowy klasztor pod obediencyę jego, raczył mi nawet wytłómaczyć, dla czego to żadną miarą nie wypada [1]). Kazał mi posłać z tem do Rzymu, pewną drogą, którą sam mi wskazał, obiecując, że za sprawą Jego przyjdzie stamtąd odpowiedź przychylna. Tak się też stało, i skoro uczyniliśmy według rozkazu Pańskiego, wszystko się ułożyło jak najpomyślniej; inaczej snać nigdybyśmy nie były z tą sprawą doszły do końca. Z dalszego przebiegu rzeczy okazało się, jak wiele zależało na tem, byśmy się oddały pod władzę biskupa [2]). Ale wówczas jeszcze go nie znałam, i nie wiedziałam jakim się dla nas okaże zwierzchnikiem; lecz z łaski i zrządzenia Pańskiego, okazał się tak łaskawym i dla nas życzliwym, jak tego było potrzeba, aby dom nasz się ostał wśród srogiego przeciwieństwa, ktore się, jak to dalej opowiem, nań podniosło, i aby mógł dojść do tego stanu, w jakim się dziś znajduje. Niech będzie Pan błogosławiony, iż wszystko do takiego szczęśliwego końca doprowadzić raczył. Amen.

---

[1]) Zrazu, jak się to okazuje z listu jej do Rodriguez'a de Moya, św. Teresa chciała oddać swój klasztor pod posłuszeństwo Towarzystwa Jezusowego (Ob. na końcu, Dodatek). Przekonawszy się potem, że Konstytucye św. Ignacego niepokonaną stawiają temu zamiarowi przeszkodę, postanowiła, jak pisze w tymże liście, że córki jej duchowne będą miały przynajmniej zapewnioną na zawsze swobodę wzywania Ojców Towarzystwa do wszelkich posług, jakie im według ustawy świętego fundatora, zakonnicom oddawać wolno. „Prawdziwie dzięki czynię Panu, tak pisze, że z wszystkich zakonów nasz największą ma swobodę znoszenia się z Ojcami Towarzystwa; tej swobody nikt nam dziś nie odbiera, i nigdy nikt nie odbierze".

[2]) Biskupem Awili był wówczas Don Alvaro de Mendoza, hrabia Ribadavia, późniejszy biskup Palencyi. Św. Teresa często o nim wspomina, oddając mu największe pochwały. Mamy kilka jej listów do tego biskupa. Był on, i do końca pozostał tak przychylnie usposobionym dla reformy Karmelu, że i po śmierci chciał spocząć przy klasztorze św. Józefa w Awili. Grób z marmurowym posągiem jego dotąd stoi w kościele klasztornym, przy wielkim ołtarzu, ze strony Epistoły, naprzeciwko chóru zakonnego.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Jako zmuszoną została rozkazem prowincyała, opuścić miasto, i udać się do pewnej osoby bardzo wysokiego rodu, dla pocieszenia jej w smutku, w jakim zostawała. Co tam się wydarzyło, i jako wielką łaskę Pan jej uczynił, używając jej za narzędzie do pobudzenia pewnego znakomitego kapłana ku gorliwszej służbie Jego, z czego sama potem miała pomoc i obronę od niego. Są tu rzeczy bardzo godne uwagi.

Jakkolwiek z największą pilnością starałam się trzymać rzecz w sekrecie, zachody jednak i roboty nasze około przedsięwziętej sprawy nie mogły się odbywać tak potajemnie, by wiadomość o nich nie doszła do uszu tego i owego; jedni wierzyli tym słuchom, drugim rzecz wydawała się niepodobną do prawdy. Ja bardzo się bałam, że prowincyał, jeśli za powrotem co o tem posłyszy, zakaże mi dalej zajmować się tą sprawą, zaczem od razu wszystkoby się przerwało. Oto w jaki sposób Pan zapobiegł temu niebezpieczeństwu. Zdarzyło się, że w jednem wielkiem mieście, odległem stąd przeszło dwadzieścia mil, pewna pani [1]) świeżo była straciła męża, i tak niepocieszona

[1]) Była to Ludwika de la Cerda, siostra księcia Medina Coeli, wdowa po Don Arias'ie de Pardo, jednym z największych panów kastyliańskich. Św. Teresa przybyła do niej pierwszych dni stycznia 1562, i przeszło pół roku w jej domu bawiąc, prawdziwym była dla niej w jej żałobie aniołem pocieszycielem. Przez sześć miesięcy ciesząc się dzień po dniu obecnością i rozmową jej, wylewając przed nią duszę swoję, słuchając tych słów płomiennych, które z serca jej, ogniem niebieskim płonącego, się dobywały, widząc ją nieraz, na samotnej w oratorium domowem modlitwie, zachwyconą w Bogu, blaskiem nadziemskiej piękności jaśniejącą, szlachetna wdowa, łaską takiego ze Świętą obcowania zaszczycona, rychło w niem znalazła, nie tylko smutku swego ukojenie, ale i wyższe duszy oświecenie, i poznawszy marność rzeczy znikomych, Boga samego i miłość Jego, jako jedyne na ziemi i w niebie dobro swoje, za cel życia sobie obrała. Za przykładem jej ulegając cichemu ale nieprzepartemu wpływowi i apostolstwu Świętej, wszystek dom jej jakby w kościół i wszelkich cnót chrześciańskich przybytek się przemienił. Innego jeszcze szczęścia za sprawą św. Teresy dostąpiła: na prośbę Świętej przybył do Toletu, i kilka dni w domu Ludwiki przebywał św. Piotr z Alkantary; i tak, rzadkim na tej ziemi przywilejem, dano było tej pobożnej pani, dwoje na raz

była po śmierci jego, że od zbytniego smutku zaczęła szwankować na zdrowiu. Pani ona dowiedziała się o tej lichej grzesznicy; Pan to zrządził, że jej opowiadano różne rzeczy na pochwałę moję, dla szczęśliwych skutków, jakie miały z tego wyniknąć. Znała ona dobrze naszego prowincyała, i będąc osobą bardzo wysoko położoną, wielkie u niego miała znaczenie. Wiedząc tedy, że jestem w takim klasztorze, z którego wychodzić wolno, i obiecując sobie, że ja ją zdołam pocieszyć, tak gorące, z natchnienia Pańskiego, powzięła pragnienie obaczenia się ze mną, że nie mogąc mu się oprzeć, natychmiast postanowiła na wszelki sposób sprowadzić mię do siebie, i w tym celu napisała do prowincyała, który w onej chwili bawił gdzieś daleko. Skutkiem tego, prowincyał przysłał mi rozkaz, w imię świętego posłuszeństwa, zalecając mi, bym natychmiast z drugą towarzyszką na to miejsce się udała. Rozkaz ten otrzymałam w nocy Narodzenia Pańskiego. Byłam nim nieco poruszona, mając z tego wielką przykrość, że dla korzystnego, jakie o mnie mają mniemania, tak się o mnie starają i z tak daleka mię sprowadzają, czego ja, znając wielką nędzę moję, nie cierpię. Usilnie polecałam się Bogu, aż nagle, w czasie modlitwy, porwały mię wielkie zachwycenia, które trwały prawie przez cały czas Jutrzni. Pan przemówił do mnie, i rzekł mi te słowa: „Jedź, córko, i nie zważaj na zdania drugich, bo mało który poradziłby ci z należnem zastanowieniem. Choć w drodze tej będziesz miała utrapienia, ale będzie z nich chwała Bogu. Dla sprawy klasztoru potrzeba byś się oddaliła stąd, póki nie nadejdzie Brewe; bo diabeł wielki uknuł spisek na przyjazd prowincyała; ale się nie bój niczego, będę i tam pomocnikiem twoim.“ Słowa te bardzo mię pokrzepiły i pocieszyły. Powiedziałam o tem rektorowi [1]), który uznał, że żadną miarą nie powinnam uchylać się od tej podróży. Drudzy przeciwnie byli zdania, że to

---

Świętych, i takich Świętych, u siebie posiadać. Lukwika de la Cerda pozostała aż do śmierci wierną, pełną czci i miłości najgorętszej, św. Teresy przyjaciółką i wielbicielką, czego między innemi dała jej dowód, zakładając w należącem do niej mieście Malogon'ie klasztor Najświętszej Panny z Karmelu.

[1]) O. Gasparowi de Salazar, rektorowi domu św. Idziego.

niepodobna, że jest w tem zasadzka diabelska na moję szkodę, że powinnam jeszcze napisać do prowincyała.

Usłuchałam rektora, i polegając na tem, co mi Pan powiedział na modlitwie, wyruszyłam w drogę bez strachu [1]), ale z wielkiem zawstydzeniem, na myśl, z jakiego tytułu tam mię wzywają, i jakie fałszywe tworzą sobie o mnie wyobrażenie. Z tego też powodu z większą jeszcze natarczywością błagałam Pana, aby mnie nie opuszczał. Wielką to było dla mnie pociechą, że w mieście, do którego się udawałam, znajdę dom Towarzystwa Jezusowego; zaczem tuszyłam sobie, że i tam, tak samo jak tu, poddając się zaleceniom Ojców, będę choć do pewnego stopnia bezpieczną. Z łaski Boga, obecność moja tak wielką tej pani przyniosła pociechę, że prawie od razu znacznie się poprawiła na zdrowiu, i z każdym dniem więcej się czuła uspokojoną. Szybka ta zmiana tem bardziej była w niej uderzającą, że jak mówiłam, smutek niepomierny był ją przywiódł do stanu bardzo groźnego; snać Pan raczył to sprawić przez wzgląd na modlitwy wielu dobrych dusz, moich znajomych, które Go o pomyślny dla mnie skutek prosiły. Była to osoba bardzo bogobojna, i tak cnotliwa, że wiarą i pobożnością swoją dopełniała tego, czego mnie nie dostawało. Pokochała mię bardzo, i ja też nie mniej ją kochałam za jej dobroć dla mnie; mimo to jednak pobyt mój u niej był niemal ustawicznym dla mnie krzyżem; wykwintne około mnie usługi i starania sprawiały mi mękę, a wysoki, jaki mi okazywano szacunek, strachem mię przejmował. Dusza moja tak się czuła tem wszystkiem skrępowana, że nie śmiałam ani na chwilę spuścić jej z oka. Ale i Pan także łaskawe miał oko na mnie, i w czasie mojego tam pobytu nadzwyczajnych łask mi użyczał; dawały mi one taką swobodę ducha, i taką mię przejmowały wzgardą dla wszystkich tych wielkości, na które tam patrzałam, iż im okazalszemi przedstawiały się na oko, tem jaśniej widziałam marność ich i nicość; zaczem też codzień się spotykając z paniami tak wielkiemi, iż służyć im mogło być dla mnie zaszczytem, tak przecie swobodnie z niemi się zachowywałam, jak gdybym była

[1]) Towaszyszył jej w tej drodze szwagier jej, Jan de Ovalle.

im równą. Wyciągałam z tego dla siebie wielki pożytek duchowny, i nie wahałam się w szczerości serca mówić tej pani, co myślę. Widziałam, że i ona jest kobietą, tak samo jak ja ułomnościom i namiętnościom podległą; widziałam, jak mało pożądania godnemi są wszelkie pańskie splendory, i jako, im który stoi wyżej, tem większe ma frasunki i troski, jak sama już troska o utrzymanie godności stanu swego, odbiera im spokój życia. Jedzą nie w porę i bez ładu, bo wszystko powinno się stosować do stanowiska, a nie do własnej wygody; w wyborze potraw muszą często kierować się wymaganiami stanu swego raczej, niż upodobaniem swojem i gustem. Szczerze wyznaję, chęć zostania wielką panią z gruntu mi obrzydła, i na samo o tem wspomnienie mówię sobie: Boże uchowaj!

Winnam jednak dodać, że lubo ta pani jest jedną z pierwszych w królestwie, nie sądzę przecie, by znalazło się ich wiele, któreby taką jak ona odznaczały się pokorą i prostotą. Tem bardziej też żal mi było jej, i dotąd ją żałuję, widząc, jako często zmuszoną jest zachowywać się, nie według własnej skłonności, ale według wymagań pańskiej godności swojej. Ze służbą i dworem swoim, jakkolwiek ludzi ma dobrych, musi wciąż mieć się na baczności i liczyć się z każdem słowem: nie wolno jej mówić z jednym więcej niż z drugim, inaczej ten, który dozna większej łaskawości, będzie źle widziany u wszystkich. Jest to takie skrępowanie, że choć świat zawsze kłamie, chyba mało kłamstw jego równa się temu, gdy panami nazywa tych niewolników, zależnych w tyle niezliczonych sposobów od otoczenia swego i podległych służebnościom stanowiska swego. Z łaski Boga, w czasie pobytu mego u tej pani, domownicy jej znaczne robili postępy w pobożności [1]), lubo mnie i z tej

[1]) Wraz z przybyciem św. Teresy, powiada Ribera (*Życie*, ks. I r. XVI), dom Ludwiki de la Cerda zupełnie się odmienił. Wszyscy domownicy poczęli spowiadać się u Ojców Towarzystwa Jezusowego, często przystępować do Stołu Pańskiego i hojne dawać jałmużny. Dla św. Teresy mieli cześć najgłębszą, radując się widokiem jej świętości. Nieraz, folgując świętej ciekawości, pragnąc przekonać się naocznie o łaskach nadzwyczajnych, o których słyszeli, że Bóg użycza jej na modlitwie, skradając się uchylali drzwi od oratoryum, gdzie Święta codzień całe godziny trawiła na rozmyślaniu i tam z uwiel-

strony nie zbywało na przykrościach, skutkiem zazdrości, jaką powzięły do mnie niektóre z otoczenia pani domu, niechętnem okiem patrząc na wielką przychylność, jaką ona mi okazywała. Sądziły zapewne, że szukałam w tem jakiej korzyści dla siebie. Dla tego widać Pan dopuszczał, by mię spotykały przykrości z takich i innych jeszcze powodów, abym nie uwięzła w wygodach i przyjemnościach, jakiemi zkądinąd byłam otoczona, i abym z łaski Jego wyszła z wszystkich tych pokus bez szkody, owszem z pożytkiem dla duszy.

W tymże czasie zdarzyło się, że przybył do tegoż miasta pewien zakonnik, mąż bardzo znakomity, z którym przed laty

---

bieniem widzieli ją pogrążoną w zachwyceniu, otoczoną jasnością nadziemską i jakby w anioła przemienioną. Ale większą jeszcze czcią i uwielbieniem przenikał ich widok pokory i spokojnej prostoty, z jaką Święta potem wychodząc z oratorium, z nimi się zachowywała, starając się na wszelki sposób ukryć przed oczyma ich łaski nadzwyczajne, użyczone jej na onych z Bogiem rozmowach. Największą jednak między domownikami Lukwiki de la Cerda z obecności św. Teresy korzyść odniosła wychowanica tej pani, Marya de Salazar. Czysta i pobożna jej dusza, mając przed oczyma taki wysoki przykład świętości, poznała niebawem nicość rzeczy tego świata, i postanowiła bez podziału oddać się Bogu. Odbyła spowiedź z całego życia i poczęła się oddawać samotności i modlitwie. Nosiła już w sobie pierwszy zawiązek powołania do życia zakonnego, i sześciomiesięczne obcowanie ze Świętą prawdziwym, rzec można, było dla niej nowicjatem. Nie od razu jednak dostąpiła upragnionego szczęścia zostania oblubienicą Chrystusową. Dopiero w sześć lat potem, r. 1568, gdy św. Teresa bawiła przejazdem w Tolecie, udając się do Malagon'u na otworzenie założonego tam przez Ludwikę klasztoru, uzyskała pozwolenie na wykonanie świętego postanowienia swego, i wspaniałe komnaty pałacu książęcego zamieniła na ubogą celkę klasztorną, przybierając w Karmelu imię Maryi od św. Józefa. Bóg do wielkich rzeczy ją przeznaczał, i uczynił ją jednym z najmocniejszych filarów i najpiękniejszych ozdób rodzącego się nowego Karmelu. W szkole seraficznej matki i mistrzyni swojej wyćwiczona, sama potem stała się wielu duszom mistrzynią i wodzem do świętości. Duch Karmelu, który zaczerpnęła u źródła, jakoby w niej z brzegów wylewał, zaczem i powierzone jej kierunkowi klasztory Sewilski i Lizboński, przedstawiały wierny obraz i podobieństwo klasztoru św. Józefa w Awili. Św. Teresa całe życie nieograniczonem darzyła ją zaufaniem, kochała ją jako najlepszą, daną jej od Boga w tem wygnaniu przyjaciółkę, i nieprzerwane aż do śmierci utrzymywała z nią listowne stosunki. Z listów tych najlepiej można się przekonać, jak wielka to była służebnica Boża. (Ob. Bolland. *Acta S. Teresiae*).

miewałam była w różnych czasach rozmowy duchowne [1]). Będąc pewnego dnia na Mszy świętej w kościele zakonu jego, położonym w pobliżu domu, w którym mieszkałam, uczułam nagle wielką chęć dowiedzenia się o obecnem usposobieniu duszy jego, bo zawsze pragnęłam widzieć go doskonałym sługą Bożym. Wstałam więc, chcąc podejść do niego i prosić go o chwilę rozmowy: lecz zaraz potem, zwłaszcza że już byłam w skupieniu bogomyślnem, przyszła mi myśl, że będzie to próżna strata czasu, że mięszam się w nie swoje rzeczy, i na powrót usiadłam. Powtórzyło się to, o ile pamiętam, dwa czy trzy razy; w końcu jednak dobry anioł wziął przewagę nad złym, i na wezwanie moje, zakonnik on przyszedł do konfessyonału na rozmowę ze mną. Nie widziawszy się już od wielu lat, zaczęliśmy od wypytywania się wzajemnie o przejścia nasze w tym czasie. Powiedziałam mu naprzód o sobie, jako życie moje przez te lata było pełne cierpień wewnętrznych. On począł nastawać bardzo, bym mu opowiedziała, jakie to były cierpienia. Odpowiedziałam mu, że są to rzeczy o których nikt wiedzieć nie powinien, i że ich wyjawić nie mogę. On odparł na to, że skoro wyznałam tę tajemnicę moję onemu Ojcu dominikanowi, o którym było wyżej [2]), więc nie mam już powodu przed nim się ukrywać, bo tamten, będąc wielkim przyjacielem jego, na pierwsze zapytanie powie mu o wszystkiem.

---

[1]) Był to według życiopisarzy Świętej, O. Wincenty Baron. „Dwóch uczonych Ojców zakonu św. Dominika, Piotra Ybanez i Wincentego Baron, Święta skłoniła do oddawania się modlitwie wewnętrznej, mianowicie też tego drugiego, któremu doniosła pewne słowa, jakie Pan jej dla niego powiedział, i usilnie się za nim modliła, jak o tem sama mówi w r. XXXIV Życia swego." (Ribera, *Życie św. Teresy*, ks. IV, r. XI). „W tymże czasie przybył do Toletu O. Wincenty Baron, dominikanin, mąż wysoce poważany, z którym Święta kilkakrotnie w różnych czasach styczność miała, (Y epes, *Życie św. Teresy*, ks. II, r. VI). Usilnością swoich za nim modlitw, jak to sama w dalszym ciągu opowiada, wypraszając dla O. Wincentego Baron nadzwyczajne łaski od Pana, św. Teresa wspaniale, na sposób świętych, wywdzięczyła się temu Ojcu za znaczne usługi, jakie tenże w początkach jej życia duchownego oddał i jej samej, i ojcu jej, którego był spowiednikiem, i na śmierć go dysponował. (Ob. wyżej, r. VI i VII).

[2]) O. Piotrowi Ybanez.

Prawdę mówiąc, nie było w mocy jego zaniechać nalegań swoich, tak jak nie było w mojej odmówić mu żądanego wyznania. Jakkolwiek zwykle doznawałam wielkiej przykrości i zawstydzenia, ile razy zmuszoną byłam mówić o tych rzeczach, z nim przecie, tak samo jak przedtem z rektorem [1]), nie sprawiło mi to żadnej trudności, owszem raczej wielką mi pociechę przyniosło. Wyznałam mu wszystko pod sekretem spowiedzi. Zawsze trzymałam wysoko o rozumie jego, ale w tym razie wydał mi się rozumniejszym i światlejszym niż kiedybądź. Podziwiałam wysokie zdolności jego, i sposobność jego do znakomitego postępu w doskonałości, skoroby się bez podziału oddał Bogu. Bo mam to już od wielu lat, że skoro spotkam kogo, coby zaletami swemi do serca mi przypadał, zaraz pragnęłabym widzieć go całkowicie poświęconego Bogu, i z taką siłą to pragnienie na mnie nalega, że nieraz prawie odchodzę od siebie. Pragnę bez wątpienia, by wszyscy wiernie służyli Bogu; ale gdy chodzi o takich, dla których szczególną mam miłość i szacunek, pożądanie to staje się niepowstrzymanie gwałtownem, i z wielką natarczywością błagam Pana za nimi. Tak samo było i z tym zakonnikiem, o którym mówię. Prosił mię, bym go bardzo polecała Bogu, i nie potrzebował mi tego mówić, bo takie miałam dla niego serce, że niepodobnaby mi było uczynić inaczej. Poszłam na miejsce, gdzie zwykle oddawałam się samotnej modlitwie, zaczęłam przedstawiać Panu prośbę moję, i w bogomyślnem zebraniu ducha mówić do Niego, jak to często mi się zdarza, jakby nieprzytomna, i sama nie wiedząc co mówię. Bo w takich chwilach sama tylko miłość mówi, i dusza w takiem jest zachwyceniu, że nie zważa już na nieskończoną niskość swoję, w obec ogromnego majestatu Boga; wie, że Bóg ją miłuje, i tę pewność mając, zapomina o sobie, i czując się cała w Nim pogrążoną, i jakoby stanowiącą z Nim jedność nierozdzielną, gada od rzeczy. Pamiętam, że wówczas, po długich z rzewnemi łzami błaganiach, aby pociągnął tę duszę do całkowitej, bez podziału, służby swojej,

[1]) O. Gasparem de Salazar (ob. wyż. r. XXXIII).

— bo choć byłam pewna, że jest to dusza dobra, ale na tem nie poprzestając, chciałam ją widzieć doskonałą, — w końcu powiedziałam Panu: — Panie, nie powinieneś mi odmówić tej łaski, wszak widzisz, że będzie to dobry nabytek, i że on bardzo nam się zda na przyjaciela!

O dobroci, o nieskończona łaskawości Boga! że On, taki wielki Majestat, znosi to, by takie, jak ja, nędzne stworzenie, z taką zuchwałą poufałością do Niego mówiło! że nie zważa na słowa, choć niestosowne i niedorzeczne, jedno na dobrą wolę i na wielką żądzę, z której te słowa płyną! Niech będzie błogosławiony na wieki wieczne! Tegoż samego dnia wieczorem, w godzinach, które trawiłam na rozmyślaniu, ogarnęło mię nagle, pmiętam, gnębiące strapienie, na myśl, czy też ja jestem w przyjaźni z Bogiem, i że nie mogę wiedzieć na pewno, czy jestem w stanie łaski, czy nie? nie iżbym pragnęła tej wiadomości przez próżną ciekawość, ale że wolałabym umrzeć, niż żyć w niepewności, czy nie jestem umarłą; bo nad wszelką śmierć straszniejszą była dla mnie ta myśl, że może czem obraziłam Boga. Okrutny na tę myśl smutek mię dręczył; cała płonąca miłością i rozpływając się we łzach, błagałam Pana, by takiego nieszczęścia na mnie nie dopuścił. Wtedy usłyszałam te słowa: — „Możesz się pocieszyć i ufać, że jesteś w stanie łaski; bo taka wielka miłość Boga, i takie łaski, jakich Bóg ci użycza, i takie uczucia, jakie w duszy twojej wzbudza, nie mogą iść w parze z grzechem śmiertelnym, ani się udzielać duszy, leżącej w stanie grzechu.“

Co do łaski, o którą błagałam Pana dla tego zakonnika, miałam zupełną ufność, że ją otrzymam. Pan powiedział mi dla niego kilka słów, z poleceniem bym mu je powtórzyła. Sprawiło mi to wielką przykrość, bo nie wiedziałam, jak to zrobić, i jak już mówiłam, nie masz nic, coby mi z taką trudnością przychodziło, jak wyjawianie podobnych rzeczy osobie trzeciej, zwłaszcza jeszcze gdy nie wiem, jak ona to przyjmie, i czy nie będzie się śmiała ze mnie. Wielkie więc z powodu tego poselstwa miałam udręczenie; ale w końcu, widząc jasno, że Bóg tego chce, przyrzekłam Mu, że nie zaniecham spełnić Jego rozkazu; tylko, że wstydząc się spełnić to ustnie, spisałam

słowa, poruczone mi dla tego zakonnika, i tak mu je oddałam. Skutek, jaki one w nim sprawiły, dowiódł jawnie, że pochodziły od Boga: postanowił oddać się na prawdę bogomyślności i życiu wewnętrznemu, choć nie uczynił tego zaraz. Pan, chcąc go mieć dla siebie, używał mnie za narzędzie do oznajmiania mu pewnych prawd, które, choć ja o tem nie wiedziałam, tak dokładnie odpowiadały najgłębszym potrzebom jego duszy, że prawie niemi był przerażony: snać Pan i wewnętrznie usposabiał go tak, by wierzył, że te słowa od Niego pochodzą. Ja z swojej strony, mimo całą nędzę moję, nieustannie błagałam Pana, aby go całkiem do Siebie nawrócił, i dał mu obrzydzić sobie wszelkie dobra i uciechy tego życia. Jakoż i w zupełności wysłuchał prośbę moję, za co niech będzie błogosławiony na wieki! Teraz, ile razy zdarzy mi się z tym Ojcem rozmawiać, słowa jego wprawiają mię jakby w zachwycenie; tyle Pan w tak krótkim czasie nadzwyczajnych łask w nim namnożył. że gdybym nie była naocznym świadkiem zadziwiających jego postępów, nie łatwo byłoby mi dać temu wiarę. Patrząc na ustawiczne jego pogrążenie w Bogu, rzekłbyś, że całkiem już umarły jest dla wszystkich rzeczy tej ziemi. Niech Bóg łaskawy raczy go wspierać wszechmocną ręką swoją: bo jeśli dalej będzie czynił takie postępy, czego słusznie można się po nim spodziewać, bo gruntownie jest utwierdzony w znajomości samego siebie, będzie to jeden z najznakomitszych sług Bożych, ku wielkiemu pożytkowi wielu dusz, dzięki wielkiemu, jakiego w tak krótkim czasie nabył, zrozumieniu i doświadczeniu dróg życia duchownego. Są to dary Boże, i Bóg je daje, kiedy chce i jak chce, nie zważając ani na długość czasu, ani na wielkość uprzednich zasług. Nie mówię, by długoletnie zasługi nie mogły się w znacznej mierze do tego przyczynić; ale rzecz pewna, że częstokroć Pan i po dwudziestu latach nie użyczy jednemu tak wysokiego stopnia kontemplacyi, na jaki wyniesie drugiego w jeden rok; dla czego tak czyni, to Jemu samemu wiadomo. I w tem właśnie jest błąd, że sądzimy, iż z czasem zdołamy przyjść do zrozumienia tych rzeczy, których nikt żadną miarą nie zrozumie inaczej, jedno doświadczeniem, i stąd jak mówiłam, wielu się myli i chce sądzić o rzeczach duchownych, nie

posiadając ich. Nie znaczy to jednak, by uczony teolog, choć sam temi wysokiemi drogami nie chodzi, nie mógł kierować duszą życiu bogomyślnemu oddaną, byleby objawy tego życia, zewnętrzne czy wewnętrzne, o ile należą do porządku przyrodzonego, sądził wedle światła zdrowego rozumu, a co do objawów nadprzyrodzonych, trzymał się Pisma Świętego. Na tem niech poprzestaje, i co po za ten zakres wychodzi, niech sobie nad tem głowy nie suszy, i niech sobie nie wyobraża, że potrafi zrozumieć, czego nie rozumie, i niechaj ducha nie gasi i dusz takich nie gnębi; mają one nad sobą, co do tych rzeczy, Pana większego niż on, który niemi kieruje, i nie chodzą one bez wodza. Niech się temu nie dziwi, jakoby to były rzeczy niepodobne,—wszystko jest podobna u Pana,—ale niech się zdobywa na wiarę, i niech się upokarza i uzna, że w tej wysokiej umiejętności Pan mocen jest dać, i nieraz może daje więcej światła ubogiej jakiej starej kobiecinie, niż jemu z całą nauką jego. Taką pokorą więcej pożytku przyniesie duszom i samemu sobie, niż mieniąc siebie bogomyślnym, i za takiego chcąc uchodzić, kiedy nim nie jest. Bo przeciwnie, jeśli nie mając doświadczenia, nie będzie miał za to przynajmniej głębokiej pokory, by rozumiał że tego nie rozumie, i że to czego nie rozumie, nie jest przecie dla tego niemożliwem, mało, powtarzam, na tem wygra, i jeszcze mniej na tem wygrają dusze, któremi kieruje. Mając zaś pokorę, niech będzie spokojny; nie dopuści Pan tego, aby zbłądził, ani by w błąd wprowadzał drugich.

Ojciec, o którym mówię, własnem doświadczeniem z daru Pana, doznawszy wielu z tych rzeczy, starał się także, będąc bardzo uczonym, zgłębić je naukowo, o ile zgłębione być mogą. Czego sam nie doświadczył, o to pyta doświadczeńszych. Dopomaga mu do tego i dar wielkiej i żywej wiary, jaki otrzymał od Pana. Wielkie tym sposobem zrobił postępy, i do wyższego postępu wiele dusz przywiódł, między innemi i moję; bo widząc wielkie utrapienia, jakie mię czekały, i mając powołać do siebie niektórych z pomiędzy tych, którzy mną kierowali, Pan w Boskiej łaskawości swojej obmyślał mi w taki sposób innych pomocników, którzyby mię w ciężkościach moich wspierali, i dużo mi uczynili dobrego. Tak go Pan jakby z gruntu od-

mienił, że sam siebie, rzecby można, nie poznaje. Uzdrowił go z dawnych niemocy jego, i nowych mu dodał sił do umartwień i ćwiczeń pokutnych, którym przedtem oddawać się nie mógł; napełnił go odwagą i męztwem do wszelkich dobrych uczynków; słowem, z tego wszystkiego, i z wielu innych rzeczy, które pomijam, jasno się okazuje, jak wysokiem i zgoła nadzwyczajnem powołaniem Pan go zaszczycił. Niech będzie za to błogosławiony na wieki! Wszystek ten niezrównany postęp swój w świętości zawdzięcza on, pewna tego jestem, łaskom, jakie mu Pan uczynił na modlitwie; są to łaski rzeczywiste, a nie pozorne tylko, jak się to okazuje z różnych prób, jakiemi już spodobało się Panu go doświadczyć, a z których on wyszedł zwycięzko i dał dowód, że rozumie całą prawdę i całą wielkość zasługi, jakiej człowiek dostępuje, gdy cierpi prześladowanie. Mocną pokładam nadzieję w wielmożności Pańskiej, że mąż ten wielkie sprowadzi błogosławieństwa na niejednego z braci swoich w zakonie, i na zakon swój cały, jak to po części już widać. Miałam wielkie widzenia, w których Pan powiedział mi niektóre rzeczy o nim, i o Ojcu rektorze Jezuitów [1]), o którym wyżej była mowa, jak również o dwóch jeszcze drugich Ojcach zakonu św. Dominika, a mianowicie o jednym z nich, na którym, to co przedtem o nim byłam słyszała w widzeniu, Pan już w rzeczy samej okazał, jawną czyniąc wysoką świętobliwość jego. Najwięcej jednak objawień miałam o tym, o którym teraz mówię i jedno z nich tu opowiem. Raz, będąc z nim w rozmownicy, duszą i w duchu ujrzałam duszę jego takim ogniem miłości Bożej płonącą, że prawie na ten widok odchodziłam od siebie, uwielbiając wielmożność Boga, iż w tak krótkim czasie do tak wysokiego stanu podniósł tę duszę. Wielkie czułam zawstydzenie na myśl, z jaką pokorą on mię słuchał, gdym mu dawała niektóre objaśnienia co do modlitwy bogomyślnej, a jak mało we mnie pokory, że śmiem tak poufale rozmawiać z takim świętym sługą Bożym; chyba dla tego tylko Pan mi, jak ufam, tę zuchwałość moję przebaczył, że tak gorąco pragnęłam jaknajwyższego uświęcenia tego sługi Jego. Rozmowa z nim tak

[1]) O. Gasparze de Salazar.

potężnie na mnie działała, że czułam jakby nowy ogień od niej zapalał się w duszy mojej, i nowe pożądanie zrobienia wreszcie początku w służeniu Bogu na prawdę.

O mój Jezu, jakże potężną jest dusza, miłością twoją płonąca! Jakże wysoko taką duszę cenić powinniśmy i błagać Pana, aby nam ją długo w tem życiu zostawił. Ktokolwiek tymże ogniem płonie, takich dusz towarzystwa trzymaćby się powinien, i nigdy, o ile to w jego możności, z niemi się nie rozłączać. Wielkie to szczęście dla zranionego miłością Bożą, gdy spotka drugiego, takąż ranę w sercu swem noszącego. Wielka to dla niego pociecha, gdy widzi że nie jest sam; dzielnie się pobudzają jeden drugiego do cierpienia, a zatem i do mnożenia zasług swoich. Wzajemnie siebie wspierają tacy waleczni szermierze, gotowi tysiąc razy narazić się na śmierć dla miłości Boga, i pragnący sposobności poniesienia dlań życia swego w ofierze; podobni do żołnierzy, którzy żądni zbogacić się łupami na nieprzyjacielu zdobytemi, pragną wojny i cieszą się na nią, bo wiedzą że nie inaczej, jedno na wojnie, cel swój osiągnąć mogą. Walczyć i cierpić, to żołnierz taki poczytuje sobie za własny swój zawód i rzemiosło. O jakaż to łaska wielka i nieoceniona, komu Pan użyczy światła ku zrozumieniu, jak wielki to zysk, cierpić dla Niego! Ale tego zysku nie zrozumie, aż gdy opuści wszystko; bo kto przywiązuje się jeszcze do jakiej rzeczy stworzonej, ten dowodzi tem samem, że rzecz ta ma jeszcze wartość w oczach jego; a skoro ma wartość w oczach jego, więc być nie może, by się z nią rozstał bez żalu, a żal taki jest niedoskonałością, która podkopuje i rujnuje całą budowę życia duchownego. Jasne bowiem następstwo, że kto się przywiązuje do rzeczy marnych, wraz z niemi marnieje; a jakaż może być większa marność, i większe zaślepienie, i większa dla duszy niedola, nad to, gdy poczytuje za coś wielkiego to, co jest niczem! Wracając do tego, o czem zaczęłam wyżej, niewypowiedzianą radość miałam, patrząc na tę duszę, i na te skarby, które Pan do niej wlał, i w łaskawości swojej jasno mi w niej ukazywał, i czując jak wielką łaskę mnie uczynił, że raczył mię do tego użyć za narzędzie, mimo całą niegodność moję; i więcej nierównie cieszyłam się z tych łask, jakiemi wi-

działam jaśniejącą tę duszę, i więcej je za swoje własne poczytywałam, niż gdybym je sama była otrzymała, i z głębi duszy dzięki czyniłam Panu, iż tak spełniał pragnienia moje, i modlitw moich wysłuchał, wzbudzając sobie, jak Go zawsze o to błagałam, takich zdolnych i dzielnych ku szerzeniu chwały Jego robotników. Nie mogąc dłużej znieść takiego nadmiaru radości, dusza moja wyszła z siebie, i gubiąc się w Bogu, więcej, niż zgubiła, znalazła: ustały w niej własne rozważania i myśli, ustała nawet ona Boska mowa wewnętrzna, którą Duch Święty jakoby osobiście do niej przemawiał; wpadłam w wielkie zachwycenie, w którem prawie zupełnie, choć tylko na krótko, odeszłam od zmysłów. Ujrzałam Chrystusa Pana w niewypowiedzianej chwale i wielmożności; objawił mi wielkie zadowolnienie swoje z onej naszej rozmowy, upewniając mię przytem i jasno w widzeniu mi ukazując, jako gdziekolwiek dwaj albo trzej tak z sobą rozmawiają, tam On jest w pośrodku ich, i jako wielką chwałę Mu oddaje, ktokolwiek w rozmowie o Nim roskosz dla siebie znajduje.

Innego razu, gdy byłam daleko od miejsca pobytu tego Ojca, ujrzałam duszę jego, wznoszącą się w wielkiej chwale na ręku aniołów. Zrozumiałam z tego widzenia, że dusza jego wysokie czyni postępy w świętości; i tak było w istocie. Jakiś człowiek, któremu on był wyświadczył wielkie dobrodziejstwa, i sławę jego obronił, i duszę jego od zatracenia uchował, podniósł przeciw niemu fałszywe, grożące czci jego świadectwo: on zniósł to, nie tylko cierpliwie, ale i z weselem; i wiele innych jeszcze prześladowań podobnież wycierpiał, i wielu niepospolitych rzeczy na chwałę Bożą dokonał. Na teraz, sądzę, dość będzie tych szczegółów; inne, wiadome Waszej Miłości, później, jesli takie będzie zdanie twoje, można będzie jeszcze na chwałę Pana przytoczyć. Przepowiednie, o których już mówiłam, lub jeszcze mówić będę, tyczące się założenia naszego domu, i innych rzeczy, wszystkie się spełniły. Niektóre rzeczy na trzy lata naprzód, inne na czas dłuższy lub krótszy przed spełnieniem, zapowiadał mi Pan; o każdej takiej przepowiedni mówiłam spowiednikowi mojemu [1]) i tej wdowie, przyjaciółce

[1]) O. Baltazarowi Alvarez.

mojej [1]), z którą jak mówiłam, wolno mi było o takich rzeczach rozmawiać; ona, jak później się dowiedziałam, powtarzała to drugim, i wszyscy oni wiedzą, że nie kłamię, i nie daj Boże, bym kiedy w czemkolwiekbądź, a tem bardziej w rzeczach tak ważnych, mówiła co innego, jedno samą i całą prawdę.

W tym czasie umarł nagle jeden z szwagrów moich, nie mając możności wyspowiadania się przed śmiercią. W ciężkiem z tego powodu strapieniu mojem, otrzymałam na modlitwie objawienie, że i siostra moja [2]) podobnież umrze, bym zatém pojechała do niej, i pomogła jej do przygotowania się na śmierć. Spowiednik, gdy mu o tem powiedziałam, nie chciał mnie puścić, aż gdy toż zalecenie kilka razy się powtórzyło, kazał mi wreszcie jechać, upewniając, że jeszcze nie ma nic straconego. Przybywszy do niej na wieś, gdzie mieszkała, nic jej o objawieniu mojem nie wspomniałam, ale starałam się wedle możności mojej oświecić ją we wszystkiem, czego stan duszy jej wymagał; namawiałam ją do częstej spowiedzi, i do pilnego we wszystkiem, czuwania nad sobą. Była ta osoba bardzo cnotliwa, i chętnie usłuchała rad moich. Żyła tak jeszcze cztery czy pięć lat, w wielkiej czystości sumienia: potem umarła, w chwili gdy nikogo przy niej nie było, bez spowiedzi. Szczęście, że dzięki zwyczajowi swemu przystępowania często do Sakramentów świętych, była się wyspowiadała na tydzień, czy mało co więcej, przed śmiercią, co było wielką dla mnie pociechą, gdy się dowiedziałam że tak umarła. W Czyścu była bardzo krótko. Nie cały jeszcze tydzień był upłynął od śmierci jej, gdy po Komunii Pan mi się ukazał, i raczył mi dać widzenie, jako sam duszę jej wprowadzał na miejsce chwały wiecznej. Przez wszystkie te lata, od dnia onego objawienia aż do chwili jej śmierci, wciąż miałam na pamięci to, co mi było o niej przepowiedziano, równie jak i przyjaciółka moja, która dowiedziawszy się o jej skonaniu, przybiegła do mnie cała przerażona, iż przepowiednia tak dosłownie się spełniła [3]). Chwała bądź Bogu na wieki, iż takie ma starania o duszach, aby nie zginęły!

[1]) Guiomarze de Ulloa. [2]) Marya de Cepeda, poślubiona Don Marcinowi Guzman. [3]) Barriento. o którego nagłej śmierci Święta tu wspomina. Ob. na końcu, Dodatek I.

ROZDZIAŁ XXXV.

Dalszy ciąg o założeniu klasztoru chwalebnego Ojca naszego, świętego Józefa. Jakiemi drogami Pan zrządził i doprowadził do tego, aby w tym klasztorze zachowywało się święte ubóstwo. Z jakiego powodu opuściła oną panią, u której zostawała. Różne inne zdarzenia.

W czasie pobytu mojego u tej pani, u której bawiłam przeszło pół roku, Pan tak urządził, że dowiedziała się o mnie pewna świętobliwa służebnica Boża, należąca do naszego zakonu. Mieszkała o przeszło siedmdziesiąt mil od tego miejsca; ale przechodząc w tym czasie nie daleko, w powrocie z dalszej podróży, umyślnie zboczyła z drogi, dla obaczenia się ze mną. Jej także, jak się okazało, w tym samym roku i w tymże samym miesiącu co i mnie, natchnął był Pan myśl założenia drugiego klasztoru naszego zakonu; zaczem pragnąc przywieść myśl tę do skutku, sprzedała wszystko co miała, i piechotą i boso poszła do Rzymu, dla uzyskania potrzebnego na zamierzoną fundacyę upoważnienia. Była to niewiasta, w wysokim stopniu oddana pokucie i modlitwie; Pan wielkiemi łaskami ją obsypywał; Najświętsza Panna jej się ukazała, zalecając jej wykonanie tego zamiaru; tak wysoko pod każdym względem przewyższała mię w służbie Bożej, że wstyd mię było pokazać się przed nią [1]).

---

[1]) Była to Matka Marya od Jezusa, pochodząca ze znacznego rodu, zamieszkałego w Grenadzie. Wcześnie owdowiawszy, wstąpiła do nowicyatu w klasztorze Karmelitek, w temże mieście. W czasie nowicyatu, miała kilkakrotnie widzenia, oznajmujące jej rozkaz od Boga, założenia zreformowanego klasztoru zakonu swego. Przez bawiącego wówczas w Granadzie O. Gaspara de Salazar, tego samego, któremu, gdy był rektorem kollegium w Awili, św. Teresa w Życiu swojem (r. XXXIII) tak wysokie pochwały oddaje, w zamiarze swoim utwierdzona, wystąpiła z nowicyatu i udała się do Rzymu. Uzyskawszy tam upoważnienie i błogosławieństwo papiezkie, po onem w Tolecie widzeniu się z św. Teresą, które Święta powyżej opisuje, podążyła do Madrytu, uciekając się pod opiekę nuncyusza w trudnościach, z jakiemi fundacya jej na miejscu się spotykała, a które w końcu szczęśliwie pokonała, dzięki zwłaszcza życzliwemu i możnemu poparciu Eleonory de Mascarenhas, byłej ochmistrzyni Filipa II. Pobożna ta pani darowała jej na ten cel dom, z przyległym

Pokazała mi upoważnienia, jakie otrzymała w Rzymie, i w przeciągu pięciu dni jej ze mną pobytu, ułożyłyśmy między sobą wszystkie szczegóły i sposoby urządzenia tych naszych klasztorów. Ona dopiero mi powiedziała, o czem przedtem nie wiedziałam, że reguła nasza, nim nastąpiło jej zwolnienie, zabraniała posiadania jakiejbądź własności; sama też nie miałam jeszcze tej myśli, by nasza nowa fundacya nie posiadała żadnych dochodów; przez zapewnienie onych, chciałam zabezpieczyć ją od troski o konieczne potrzeby, a nie zwracałam uwagi na gorsze i niezliczone troski, jakie pociąga za sobą wszelki majątek własny. Błogosławiona ta niewiasta, choć nawet czytać nie umiała, od Pana takie miała oświecenie i naukę, że jasno rozumiała ten punkt zasadniczy naszych konstytucyi, o którym ja, tyle razy je czytając, nic nie wiedziałam. Skoro nań zwróciła moję uwagę, zrozumiałam i ja; obawiałam się tylko, że na zaprowadzenie jego się nie zgodzą, że nazwą to szaleństwem: a z drugiej strony wstrzymywała mię ta myśl, że gdy obstając za nim przeprowadzę go, drugie skutkiem tego będą cierpiały przezemnie. Gdybym była sama, nie wahałabym się ani na chwilę; owszem, myśl sama zachowywania rad Chrystusowych była dla mnie roskoszą, i oddawna już, z łaski Boga, kochałam ubóstwo i gorąco go pragnęłam.

Co do siebie więc nie miałam wątpliwości, że żyć w ubóstwie jest rzeczą doskonalszą, i nieraz byłabym pragnęła, gdy-

---

doń kościołem, który posiadała w Alcala de Henarez, i tam, 23 lipca 1563, w rok po założeniu klasztoru św. Józefa w Awili, powstał nowy klasztor Matki Maryi od Jezusa. Z powodu bardzo pięknego obrazu Matki Boskiej, znajdującego się w tym kościele, zakonnice tego klasztoru zwały się u ludu Karmelitkami Bosemi *od Obrazu*. Klasztor ten odznaczał się niezrównaną wiernością w zachowywaniu reguły, jak to w następującym rozdziale samaż św. Teresa o nim poświadcza. W r. 1567 Święta spędziła w nim kilka dni, i mocniej jeszcze go utwierdziła w tym wspaniałym, własnym Karmelowi duchu wyrzeczenia się siebie, który się aż do naszych czasów w nim przechował. Matka Marya od Jezusa siedmnaście lat rządziła założonym przez nią klasztorem, przyświecając duchownym córkom swoim przykładem najgłębszej pokory, ducha ubóstwa, i modlitwy, i umartwienia, i miłosierdzia dla ubogich, i zupełnego zdania się na rządy Opatrzności. (Ob. *Historia ogólna Karmelitów Bosych*, ks. II. r. XXIV). Umarła tamże jak święta, r. 1580.

by stan zdrowia mego na to pozwalał, chodzić po żebraninie dla miłości Bożej, i nie mieć ani domu ani żadnej rzeczy własnej. Ale obawiałam się, że jeśli drugim Pan nie użyczy łaski podobnych pragnień, ubóstwo będzie im powodem do ciągłego niezadowolnienia, że owszem, może w nich sprawić niejakie rozluźnienie ducha zakonnego; znałam bowiem klasztory ubogie, a nie żyjące w wielkiej ścisłości zakonnej, tylko że nie zwracałam uwagi na to, że właśnie ten brak ścisłości był przyczyną ich ubóstwa, a nie ubóstwo przyczyną braku ścisłości, bo rozluźnienie bogactwa nie przyczynia, a przeciwnie, kto wiernie i bez podziału Bogu służy, tego Bóg nigdy nie opuści. Słowem, miałam wiarę słabą, i dla tego się wahałam; tamta święta służebnica Boża bez wahania trzymała się tego, co doskonalsze, bo miała wiarę mocną. Zasięgałam i w tej kwestyi, jak zawsze to czynić zwykłam, zdania różnych, ale wśród tylu doradców żadnego prawie nie znalazłam, któryby podzielał mój sposób widzenia, ani spowiednik, ani uczeni teologowie, do których się udawałam; tak mię zarzucali racyami swojemi, że nie wiedziałam co począć, bo ostatecznie, wiedząc czego żąda reguła, i widząc co jest rzeczą doskonalszą, nie miałam serca zgodzić się na klasztor z dochodami. Chwilami zdawało mi się, że już jestem argumentami ich przekonana; ale skoro wróciłam do modlitwy, i spojrzałam na Chrystusa na krzyżu, ubogiego i nagiego, nie mogłam przenieść na sobie tej myśli, bym ja miała być bogatą, i błagałam Go ze łzami, aby tak wszystko zrządził, iżbym się ujrzała ubogą na podobieństwo Jego. Tyle w posiadania dochodów znajdowałam niedogodności, tyle w niem widziałam powodów do niepokoju, albo i do rozproszenia ducha, że wciąż tylko spierałam się o to z uczonymi. Napisałam także do onego Ojca Dominikanina, który nam był tak życzliwym [1]). Przysłał mi dwa arkusze zapisane argumentami teologicznemi, na dowód że nie powinnam uczynić tego co zamierzam, zapewniając mię przytem, że jest to kwestya którą zbadał do gruntu. Odpowiedziałam mu, że nie myślę powoływać się na teologię, abym za jej pomocą miała nie iść za

[1]) O. Piotra Ybanez.

powołaniem mojem, i nie dotrzymać uczynionego ślubu ubóstwa, i nie wypełniać, jak zdołam najdoskonalej, rad Chrystusowych, by zatem w tym razie raczył mię oszczędzić z nauką swoją. Ile razy znalazłam kogo, coby podzielał zdanie moje, wielką to, przyznaję, było dla mnie pociechą. Pani ta, u której bawiłam, mocno popierała zamiar mój; inni zrazu i w pierwszej chwili pochwalali go, ale potem, bliżej się zastanowiwszy, tyle przeciw niemu wynajdywali zarzutów, że ostatecznie znowu nalegali na mnie, abym go porzuciła. Takim odpowiadałam, że kiedy tak prędko zmieniają zdanie, ja już wolę trzymać się pierwszego.

W tym czasie, z łaski Pana, przybył do nas święty brat Piotr z Alkantary, listownie wezwany przezemnie na żądanie tej pani, która go jeszcze nie znała, a poznać pragnęła. Jako prawdziwy miłośnik ubóstwa, i od wielu lat święcie onemuż oddany, i dobrze świadomy skarbów w niem ukrytych, wielki ten sługa Boży stanowczo oświadczył się za mną, owszem rozkazał mi, bym żadną miarą nie zaniechała zamiaru mego, ale raczej ze wszystkich sił moich starała się przywieść go do skutku. Takie mając poparcie, i taką radę, nad którą nie mogłabym znaleźć lepszej, bo pochodzącą od doradcy, dobrze znającego się na rzeczy i długiem doświadczeniem nauczonego, na niej postanowiłam poprzestać, i nikogo więcej o zdanie nie pytać.

Pewnego dnia, gdym gorąco polecała Bogu tę sprawę, Pan rzekł do mnie: — „Żadną miarą nie cofaj się od zamiaru założenia klasztoru ubogiego. Jest to wola Ojca i moja, Ja cię wspomogę.“ Słyszałam te słowa w chwili wielkiego zachwycenia, i takie z nich wielkie skutki w sobie uczułam, że ani na chwilę wątpić o tem nie mogłam, iż pochodziły one od Boga. Innym razem znowu powiedział mi te słowa: „—W dochodach jest zamięszanie.“ Dodał do tego inne jeszcze słowa na pochwałę ubóstwa, i dał mi zapewnienie, że kto Jemu służy, temu nie zabraknie czego potrzeba do życia. Ja też, co do mnie, tego braku nigdy się nie lękałam. Odmienił także Pan serce mojego teologa, to jest onego Ojca Dominikanina, iż odwołał to, co przedtem tak mi zalecał, bym nie zakładała klasztoru bez dochodów. Dowiedziawszy się o tem, i mając za so-

bą tak poważne zdania, zupełnie już byłam szczęśliwa, i postanowiwszy żyć z jałmużny dla miłości Bożej, tak się czułam bogatą, jak gdybym posiadała wszystkie skarby świata.

W tymże czasie, prowincyał mój zdjął ze mnie rozkaz i obediencyę, nakazującą mi zostawać w domu tej pani, pozostawiając mi jednak do woli, czy odjechać zaraz, jeżeli chcę, czy też zatrzymać się tam jeszcze jakiś czas, jeśli tak wolę. Właśnie wówczas w klasztorze moim miały się odbywać wybory, i doniesiono mi stamtąd, że niektóre siostry zamyślają włożyć na mnie ciężar przełożeństwa. Sama już myśl o tem takiem była dla mnie udręczeniem, że jakkolwiek nie masz tak srogiego męczeństwa, któregobym nie była ochotnie gotowa ponieść dla miłości Bożej, przecie na podjęcie tego brzemienia czułam, że żadną miarą zdobyć się nie potrafię. Pominąwszy nawet niezmierną trudność kierowania tak licznem zgromadzeniem, i niezwalczony wstręt mój do wszelkich przełożeństw i urzędów, od których też zawsze się uchylałam, widziałam w tem głównie dla sumienia mego groźne bardzo niebezpieczeństwo. Dziękowałam więc Bogu, że mnie tam na ten czas nie będzie, i napisałam do sióstr dla mnie przyjaznych, prosząc by na mnie nie głosowały.

Gdy tak cieszyłam się, że nie jestem w tej wrzawie, Pan rzekł do mnie: „Nie wzbraniaj się jechać. Pragniesz krzyża, tam on czeka ciebie, i dobry. Nie uchylaj się od niego. Jedź odważnie, i zaraz; Ja będę pomocnikiem twoim“. Rozkaz ten bardzo mię zasmucił; nie mogłam się powstrzymać od płaczu; byłam pewna, że krzyż mi zapowiedziany, będzie to przełożeństwo, a ja w żaden sposób nie mogłam wyrobić w sobie przekonania, by to było z dobrem duszy mojej, i nie miałam serca temu się poddać. Spowiednik, gdym mu całą rzecz przedstawiła, kazał mi jechać jaknajprędzej, gdyż widocznie, mówił, będzie to rzecz doskonalsza, dodał jednak, że ponieważ dość będzie, gdy zdążę na wybory, mogę, ze względu na wielkie upały, zatrzymać się jeszcze kilka dni, aby mi podróż nie zaszkodziła. Ale Pan inne miał zamiary, i tak zrządził, że trzeba było bez odkładania się poddać. Uczułam nagle nieopisany niepokój w duszy, odbierający mi zupełnie możność skupienia

się na modlitwie; wciąż mi stało na myśli, że przeniewierzam się rozkazowi Pańskiemu; że wolę zostawać gdzie mi przyjemnie i wygodnie, niż wystawić się na cierpienie, na które On mi iść każe; że cała moja służba Boża kończy się na słowach; i kiedy wiem, że tam jadąc, uczynię rzecz doskonalszą, czemuż więc się ociągam? mam od tego umrzeć, to umrę; a przy tych myślach, nieznośny ucisk na duszy, i zupełne odjęcie wszelkiego smaku w modlitwie. Doszłam w końcu do takiego stanu, że i spowiednik, widząc udręczenie moje, i tak samo jak ja, natchnieniem Bożem wiedziony, kazał mi już jechać bez odkładania. Udałam się więc do pani domu, błagając by raczyła mnie puścić. Ona tak żywo odczuła to żądanie moje, że była to nowa męka; tem trudniej było jej rozstać się ze mną, że przyjazd mój wiele ją był kosztował zachodu, nim wreszcie, po wielu naleganiach uzyskała nieodzowne nań zgodzenie się prowincyała.

Widząc tak głęboką boleść jej, obawiałam się, że będzie się sprzeciwiała odjazdowi mojemu, ale że była to osoba bardzo bogobojna, więc gdy prócz wielu innych powodów wymieniłam jej ten, że chodzi tu o rzecz ważną, do służby i chwały Pańskiej się odnoszącą, gdy nad to dałam jej nadzieję, że będę mogła znowu ją odwiedzić, w końcu, choć z wielką trudnością, zgodziła się. Co do mnie, nie czułam podobnej trudności, bo skoro rozumiałam, że to co czynię, jest rzeczą doskonalszą, i że czyniąc ją służę Bogu, zadowolnienie, jakie czułam z tego, że mogę zadowolnić Jego, uśmierzało we mnie boleść rozstania się z oną panią, odjazdem moim tak zasmuconą, jak również z wieloma innymi, którym dużo zawdzięczałam, mianowicie z Ojcem jezuitą, spowiednikiem moim, z którym mi było bardzo dobrze. Im żywiej czułam wielkość pociech, których się dla miłości Pana zrzekałam, tem większe z utraty ich miałam wesele. Nie mogłam pojąć, czem to się dzieje, widziałam w sobie wyraźnie dwie rzeczy tak sprzeczne: cierpienie w duszy, a lubość, i wesele, i radość z tego cierpienia. Całkiem już byłam pocieszona i spokojna, znów mogłam po dawnemu całe godziny zostawać na bogomyślnej modlitwie. Wiedziałam, że po to jadę, aby dostać się w ogień, bo tak mi Pan był przepowiedział, że

jadę po to, aby nosić wielki krzyż, — choć wyobrażenia nie miałam, by się okazał tak wielkim, jak go potem doznałam,—a mimo to jechałam z ochotnem weselem, i przykrzyło mi się, że nie mogę zaraz rzucić się w ten bój, skoro taka jest wola Pańska, bym go podjęła; taką to siłę, i dzielność zsyłał na mnie Pan w Boskiej wielmożności swojej i napełniał nią niemoc moję.

Nie mogłam, powiadam, pojąć jak to być może; ale objaśniałam sobie tę tajemnicę takiem porównaniem: Gdybym miała klejnot jaki kosztowny, albo inną jaką rzecz bardzo mi miłą, a dowiedziałabym się jakimbądź sposobem, że ktoś, kogo kocham, więcej niż samą siebie, i więcej dbam o zadowolnienie jego niż o własną moję przyjemność, pragnie ten klejnot czy tę rzecz posiadać: z przyjemnością, dla miłości jego, pozbyłabym się tej rzeczy, która mi taką przyjemność sprawowała, aby jemu zrobić przyjemność; i przyjemność ta zrobienia mu przyjemności, przewyższając własną przyjemność moję, zatarłaby we mnie nieprzyjemność obywania się bez tego klejnotu czy tej rzeczy mi drogiej, i postradania przyjemności, jaką z niej miałam. Tak i w tem zdarzeniu, choć chciałam się smucić na myśl, że odjeżdżam od osób, które tak bardzo bolały nad swem rozstaniem się ze mną, co samo już, przy wdzięcznem, jakie z natury mam sercu, byłoby mi w innym czasie dostatecznym powodem do wielkiego żalu i cierpienia, teraz, choć chciałam, powtarzam, smucić się nie mogłam. Wiele też, jak się przekonałam na miejscu, na tem zależało, bym ani o dzień dłużej nie zwlekała, bo chodziło o sprawę tego kochanego domu, która, gdybym wówczas jeszcze była się zatrzymała, nie wiem jakby była mogła zakończyć się pomyślnie.

O najłaskawsza wielmożności Boga! nieraz zdumiewam się na samo wspomnienie tej szczególnej pomocy, jaką dobroć Jego raczyła mię wspierać, aby stanęło to ustronie Boże,— bo takiem, mocno wierzę, ono jest, — ten przybytek, w którym Boska miłość Jego z roskoszą przebywa, jako sam raz na modlitwie raczył mi to objawić, mówiąc do mnie te słowa: — „Córko, ten dom jest dla mnie rajem roskoszy". Jakoż sam widocznie wybrał te dusze, które do niego pociągnął, a w których zgromadzeniu żyjąc, wielkie, wielkie mam zawstydzenie.

Nie byłabym nigdy śmiała się spodziewać, że ich znajdę tyle, a tak doskonałych i ochotnie sposobnych do tego rodzaju życia, w takiej ciasności i ubóstwie, i ustawicznej modlitwie; a one z takiem weselem i z takiem uszczęśliwieniem to jarzmo święte noszą, że każda z nich uważa siebie za niegodną tej łaski, która ją w takie miejsce przywiodła; niektóre z nich zwłaszcza, które Pan powołał z wielkich marności i okazałości światowych, gdzie według pojęć świata mogły żyć szczęśliwe; a takiem je tu Pan w dwójnasób szczęściem obdarzył, iż jasno widzą i uznają, iż za jedno, co opuściły, otrzymały stokroć tyle, i słów i serca im nie starczy na dziękczynienie Boskiej hojności Jego. Inne, które już były dobre, gdy przyszły, uczynił jeszcze lepszemi. Młodym dziewczątkom daje męstwo i zrozumienie, aby poznały, jako już i na tej ziemi nie masz większego spokoju i szczęścia nad takie życie w zupełnem odłączeniu od rzeczy tego świata, tak iż tego szczęścia dostąpiwszy, niczego już więcej, prócz nieba, pragnąć nie zdołają. Starszym i słabowitym dodaje sił, i dotąd zawsze dodawał, tak, iż na równi z drugiemi znoszą bez szkody wszelkie nasze surowości i umartwienia.

O Panie mój, jakże jawnie okazuje się, żeś Ty jest wszechmogący! Próżna rzecz, szukać racyi na to, czego Ty chcesz; bo wyżej nad wszelką racyę i wszelki rozum przyrodzony, Ty, cokolwiek chcesz, czynisz tak możliwem, iż jasno stąd poznać, że dość tylko kochać Cię na prawdę, i dla miłości Twojej opuścić wszystko, aby nam, za cudowną sprawą twoją, wszystko było łatwem. Prawdziwie mówi Król Psalmista, że pozorną tylko jest praca w pełnieniu przykazania twego [1]); ja, Panie, pracy w niem nie widzę, ani rozumiem tego, jak może komu być ciasną droga, która prowadzi do Ciebie. W moich oczach, jest to królewska droga, a nie wązka ścieżka: droga taka, że ktokolwiek na prawdę wstąpi na nią, ten idzie po niej bezpiecznie. Nie masz na niej wertepów bezdrożnych, ani kamieni obrażenia, okazyi, mówię, do grzechu. Ścieżką, niebezpieczną ścieżką, i prawdziwie wązką drogą ja zowię tę, która z jednej

[1]) Ps. 93, 20. Qui *fingis* laborem in praecepto.

strony wiedzie ponad głęboką, spadzistą przepaścią, a z drugiej strony ciągnie się samym brzegiem stromego urwiska; idący nią niebaczny, nim się spostrzeże, stoczy się w dół z tej czy z drugiej strony i marnie się rozbije. Kto Ciebie prawdziwie miłuje, Dobro moje najwyższe, ten idzie bezpiecznie szeroką, królewską drogą, daleką od urwisk i przepaści. Ledwo się na chwilę zachwieje, a Ty już, Panie, przy nim jesteś, i rękę mu podajesz; i jeśli jedno Ciebie miłuje, a nie rzeczy tego świata, żaden upadek, ani nawet wiele upadków, nie będą mu na zgubę, bo idzie niziną pokory. Nie pojmuję, czego ludzie tak się boją wstąpić na drogę doskonałości. Oby Pan, wedle Boskiego miłosierdzia swego, dał nam wszystkim zrozumieć, jak niepewną jest droga wśród tylu jawnych niebezpieczeństw, grożących temu, kto idzie za tłumem, a jako prawdziwe bezpieczeństwo ten tylko znajdzie, kto wyprzedzając pospólstwo żyjących tylko dla ziemi, dąży naprzód drogą Bożą. Miejmy oczy utkwione w Nim, i nie obawiajmy się, by miało ukryć się przed nami to słońce sprawiedliwości, i pozostawić nas na drodze w ciemnościach: nie opuści On nas, i nie da nam zginąć, chybabyśmy pierwsi opuścili Jego. Tylu ich jest, którzy nie boją się wchodzić między lwy drapieżne, gotowe każdej chwili rozszarpać ich, to jest między uciechy, i gody, i honory, i inne tego rodzaju, jak świat je zowie, roskosze; a tu, gdy chodzi o życie cnotliwe, zmamieni przez diabła, boją się lada myszy! Niestety, i ja byłam jedną z nich! Po tysiąc razy zdumiewam się nad takiem zaślepieniem mojem; po dziesięć tysięcy razy chciałabym się rozpłynąć we łzach żalu i skruchy; chciałabym wielkim głosem na wszystek świat ogłosić ślepotę i złość moję, aby ci ślepi, przykładem moim ostrzeżeni, otworzyli oczy i przejrzeli. Niech je im otworzy Ten, który sam w dobroci swojej mocen jest ślepych oświecić, a niech nie dopuszcza tego, bym ja kiedy jeszcze na nowo oślepła. Amen.

ROZDZIAŁ XXXVI.

O tem samem, dokończenie. Jak wreszcie sprawa podjęta doszła do skutku, i stanął ten klasztor chwalebnego świętego Józefa. Jak wielkie przeciwieństwa i prześladowania podniosły się przeciw siostrom, za przywdzianiem habitu. Jakie cierpienia niezmierne i pokusy przebyła sama, i jako z tego wszystkiego Pan ją zwycięzko wyprowadził, na cześć i chwałę swoję.

Opuściwszy ono miasto, wracałam na miejsce moje z wielkiem weselem ducha, z całego serca i z ochotną wolą gotowa na wszystko, cokolwiek się Panu spodoba na mnie dopuścić. Ledwo wróciłam do domu, tegoż samego wieczoru nadeszło pozwolenie na fundacyę naszego klasztoru i Brewe rzymskie [1]). Mocno byłam zdumiona tym dziwnym zbiegiem rzeczy; wszyscy też, którym wiadomo było, w jaki naglący sposób Pan był mię skłonił do powrotu, nie mniej odemnie się zdumiewali, przekonawszy się, jak koniecznie przyjazd mój był potrzebnym, i jak w pomyślnej chwili Pan mię do domu sprowadził. Zastałam bowiem i biskupa, i świętego brata Piotra z Alkantary, i drugiego pana bardzo pobożnego [2]), który gościł u siebie tego męża świętego, bo dom jego dla sług Bożych zawsze stał otworem, dając im schronienie i opiekę. Oba oni podjęli starania u biskupa o przyjęcie nowego klasztoru pod władzę i opiekę jego; nie mała to była łaska, ze względu na zupełne ubóstwo fundacyi, nie mającej posiadać żadnych dochodów; ale

---

[1]) Brewe fundacyjne, datowane z d. 6 lutego 1562, roku trzeciego panowania Piusa IV, wydane było na imię Guiomar'y de Ulloa i matki jej, Aldoncyi de Guzman. Zawierało ono upoważnienie do założenia w Awili, w samem mieście lub w pobliżu, i pod władzą Biskupa miejscowego, klasztoru żeńskiego zakonu Góry Karmelu, według pierwotnej, ścisłej reguły; przyznawało zakonnicom tego klasztoru wszelkie prawa i przywileje, przysługujące drugim domom tegoż zakonu; zabraniało komubądź obcemu wtrącać się do nich i niepokoić je; wreszcie wykonanie tych rozporządzeń poruczało przeorowi niezależnego od żadnej dyecezyi klasztoru Magacele, naczelnemu kapelanowi kościoła Toletańskiego i archidiakonowi kościoła Segowia'ńskiego (Ob. *Historia ogólna Karmelitów Bosych*, ks. II. r. XVII).

[2]) Franciszka de Salcedo.

biskup tak był przychylnie usposobiony dla dusz, pragnących i gotowych bez podziału służyć Panu, że i nam od razu wielką okazał życzliwość, i odtąd zawsze klasztor nasz łaską i opieką swoją otaczał. Wszystko to, i uzyskanie aprobaty biskupiej dla naszej fundacyi, i zapewnienie jej poparcia i pomocy od różnych osób, przez niego przychylnie dla nas usposobionych, było, rzec mogę, dziełem tego świętego starca. Gdybym nie była przyjechała na tę pomyślną chwilę, nie wiem, powtarzam, jak to wszystko byłoby przyszło do skutku; bo mąż ten święty krótko bawił w mieście, nie cały tydzień, o ile pamiętam, i do tego jeszcze wciąż był słaby, a bardzo niezadługo potem Pan go zabrał do siebie [1]). Na to tylko, mogłoby się zdawać, Pan w Boskiej łaskawości swojej o tyle jeszcze przedłużył mu życie, ażeby doprowadził do końca tę sprawę; bo już od dawna, od dwóch lat przeszło, jeśli się nie mylę, stan zdrowia jego bardzo był groźny.

Wszystko to się robiło w wielkim sekrecie, bo inaczej nicby się nie było zrobiło, dzięki bardzo nieprzychylnemu dla nas, jak się następnie okazało, usposobieniu miasta. Zrządzeniem Boskiem, zachorował w tym czasie jeden z powinowatych moich [2]); żona jego była nieobecną, skutkiem czego chory w takiem zostawał opuszczeniu, że pozwolono mi przenieść się do niego i pielęgnować go. Ta nieobecność moja w klasztorze pokryła kroki i zachody moje około sprawy naszej, i nikt w domu o nich się nie dowiedział; ta i owa wprawdzie czegoś się domyślała, ale podejrzeniom tym nie dawano wiary. Rzecz dziwna! chory mój tak długo tylko chorował, ile było potrzeba do załatwienia sprawy; a skoro było potrzeba aby już był zdrów, to jest kiedy mnie było potrzeba być już wolną od posługi przy nim, a jemu dom opuścić i dla nas opróżnić, Pan natychmiast mu zdrowie przywrócił, tak iż sam nie mógł się wydziwić tak nagłemu wyzdrowieniu swemu. Trudu i zachodu w tym czasie użyłam nie mało: musiałam jednocześnie i chorego doglądać, i biegać od jednego do drugiego, dla wyrobie-

---

[1]) 18 października 1562. [2]) Jan de Ovalle, mąż Joanny de Ahumada. Ob. na końcu Dodatek I.

nia aprobaty, i robotników pilnować i naglić, aby prędzej kończyli urządzenie domu i przerobienie go na klasztor, bo w chwili przyjazdu mego wiele jeszcze brakowało do końca. Przyjaciółka moja nie była ze mną; zdawało nam się, że lepiej by nie była na miejscu, aby obecność jej przy tych robotach nie zwróciła na nie uwagi nieprzychylnych; a czułam, że wszystko zależy na jak największym pośpiechu, z wielu różnych względów, a szczególnie dla tego, że każdej chwili bałam się, by mnie nie wezwano na powrót do klasztoru. Tak wielkie z tem wszystkiem miałam utrapienia, że już myślałam, że to jest on krzyż, zapowiedziany mi od Pana; choć jednak zdawał mi się małym, w porównaniu z tym wielkim, jakiego po słowach Pańskich się spodziewałam.

Gdy wreszcie już wszystko było gotowe, w sam dzień św. Bartłomieja, z łaski i miłosierdzia Pańskiego, kilka wstępujących przywdziało habit [1]). Najświętszy Sakrament został do kościołka naszego wprowadzony, i klasztor ten nasz, pod wezwaniem najchwalebniejszego Ojca naszego, świętego Józefa, prawomocnie i z wszelkiemi upoważnieniami władzy kościelnej został ustanowiony, roku tysiącznego pięćsetnego sześćdziesiątego i drugiego. Włożenia habitów ja dopełniłam, w obecności dwu sióstr z tamtego domu naszego, chwilowo pozostających

---

[1]) Było ich cztery: Antonina de Henao, krewna św. Teresy, która wstępując do Karmelu, otrzymała imię Antoniny od Świętego Ducha; Marya de Paz, w zakonie Marya od Krzyża; Urszula de Revilla, która i w klasztorze zachowała dane jej na Chrzcie imię Urszuli od Świętych, i Marya z Awili, w zakonie Marya od św. Józefa; wszystkie cztery dusze wybrane i mężne, które zapałem miłości Bożej i wysoką świętością życia swego w zakonie, okazały się godnemi wyboru, jaki z nich uczyniła święta założycielka, aby, jak powiada „przykładem swoim założyły jakoby fundament, na którymby się zbudowało to życie wysokiej doskonałości i modlitwy, które sobie za cel zakładałyśmy.“ W tymże czasie i Święta zamieniła rodowe nazwisko swoje na to piękne imię Teresy od Jezusa, pod którem miał ją znać i wzywać wszystek Kościół Katolicki. Odtąd to zrzeczenie się nazwy rodowej, umarzające ostatnie ślady i wspomnienia życia świeckiego, przyjęło się w Karmelu jako prawo niezmiennie podziśdzień się zachowujące Magister Gaspar Daza, w nagrodę za swoję dla świętej założycielki życzliwość, w onym dniu odrodzenia się Karmelu, dostąpił tego szczęścia i zaszczytu, że na mocy delegacyi biskupiej dano mu było,

poza murami klasztoru. Dom, w którym urządziłyśmy nasz klasztor, kupiony był, jak mówiłam, dla lepszego ukrycia rzeczy, na imię powinowatego mojego; w nim on mieszkał w czasie choroby swojej, i ja, za upoważnieniem, mieszkałam przy nim. W tem wszystkiem jednak, nie chcąc ani w punkcie najmniejszym rozminąć się z posłuszeństwem, kroku jednego nie zrobiłam, nie zasięgnąwszy pierwej zdania uczonych teologów, i w całej tej sprawie polegałam na ich zapewnieniu, że zamierzona fundacya wielki przyniesie pożytek całemu zakonowi, że zatem, choć zmuszona jestem działać potajemnie i ukrywać się przed moimi przełożonymi, mogę przecie bezpiecznie robić co do mnie należy dla uskutecznienia jej. Gdyby mi byli powiedzieli, że jest w tym zamiarze moim choćby najmniejsza niedoskonałość, nie raz, ale tysiąc razy byłabym się wyrzekła mego klasztoru. Zdaje mi się, że mogę tak twierdzić z wszelką pewnością: bo jakkolwiek pragnęłam założenia tego klasztoru dla zupełnego odłączenia się od świata, i odpowiedzenia, jakbym zdołała najdoskonalej, i pod ściślejszą klauzurą, powołaniu memu, zawsze jednak pragnęłam go z tem zastrzeżeniem, że gdybym się przekonała, iż z większą chwałą Bożą byłoby wyrzec się go zupełnie, wyrzekłabym się natychmiast, jak to w innem

---

w nowym kościele św. Józefa Awilańskim pierwszą zanieść Ofiarę Mszy świętej i Najświętszy Sakrament wprowadzić, a po Mszy świętej dopełnić obrzędu obłóczyn onych czterech nowicyuszek. Dwie siostry z klasztoru Wcielenia, o których obecności na tym akcie radosnym Święta wspomina, były to wymienione już wyżej (r. XXXII) siostry jej cioteczne, Agnieszka i Anna de Tapia; oprócz nich, uczestniczyli jeszcze w onym uroczystym obrzędzie Gonzalez de Aranda, Julian z Awili, Franciszek de Salcedo, i Jan de Ovalle z żoną, Joanną de Ahumada. Guiomar de Ulloa, z konieczności, jak widzieliśmy wyżej, nieobecna, sercem tylko w tym wielkim dniu dzieliła radość świętej swej przyjaciółki; święty zaś Piotr z Alkantary, Piotr Ybanez, i Baltazar Alvarez, jakoby z urzędu świadkowie w imieniu trzech zakonów, franciszkańskiego, dominikańskiego i Jezusowego, i wierni, jak widzieliśmy, a dzielni Świętej w dokonaniu jej dzieła pomocnicy, z rozradowaniem duszy zanosili Bogu, każdy w swoim klasztorze, Ofiarę dziękczynienia, iż wreszcie na niepożytych podwalinach stanął ten Karmel, o którym Pan był przepowiedział świętej oblubienicy swojej, że będzie „jasną gwiazdą, która blask swój na wszystek świat rozszerzy.“

zdarzeniu uczyniłam z zupełnym spokojem i swobodą ducha. Teraz już czułam w sobie jakby zadatek jaki chwały i radości niebieskiej, gdy widziałam Pana w Najświętszym Sakramencie w pośród nas mieszkającego, i te cztery sieroty, ubogie, ale wielkie służebnice Boże, którym, przyjąwszy je bez posagu, wstęp do tego świętego schronienia otworzyłam. Bo tego od początku chciałam i to głównie miałam na myśli, by pierwsze zwłaszcza do tego domu wstępujące, takiego ducha były, iżby przykładem swoim założyły jakoby fundament, na którymby się zbudowało to życie wysokiej doskonałości i modlitwy, które sobie za cel zakładałyśmy, i aby przez nie dokonało się dzieło takie, jakiem rozumiałam dobrze że dom ten być powinien, na większą chwałę Pańską, na godne uczczenie świętego szkaplerza chwalebnej Matki Jego. To było, powtarzam, najgorętsze pragnienie moje, i dla tego radość miałam, widząc tak szczęśliwe spełnienia jego początki. I to także wielką było dla mnie pociechą, że zdołałam wykonać to, co Pan szczególnie był mi zalecił, że wzniosłam w tem mieście kościół pod wezwaniem chwalebnego Ojca mojego, świętego Józefa, jakiego tu przedtem nie było. Nie iżbym sądziła, bym sama w tej sprawie cokolwiekbądź zrobiła; tej myśli nigdy nie miałam i nie mam: wiem-ci że wszystko czyni Pan; co w tej sprawie było mojego, to miało w sobie tyle niedoskonałości, że raczej, widzę to dobrze, jest tu czego mię obwiniać, niż za co mi dziękować. Ale wielką przecie z tego radość miałam, że Boska łaskawość Pana mojego raczyła mię, choć tak grzeszną, użyć za narzędzie do tak wielkiej sprawy; i tak się tem czułam uszczęśliwioną, że w wielkiem zachwyceniu modlitwy jakoby od siebie odeszłam.

Gdy już wszystko się skończyło, w trzy czy cztery godziny po dopełnieniu obrzędu, diabeł wydał mi walkę wewnętrzną, jak ją tu opowiem. Nasunął mi na myśl, czy nie było to grzechem, co ja zrobiłam; czy nie zgrzeszyłam przeciw posłuszeństwu, podejmując tę fundacyę, bez zgodzenia się i rozkazu prowincyała, który dobrze czułam że mógł się obrazić tem, że oddałam klasztor pod władzę biskupa, nie uprzedziwszy jego; choć z drugiej strony, skoro sam odmówił uznania naszej fundacyi, nie powinienby, zdawało mi się, gniewać się o to, tem

bardziej że ja, co do siebie, nie zmieniałam obediencyi; a czy te, które tu żyć mają, będą zadowolnione z takiej ciasnoty i z tak ścisłej klauzury? czy nie zabraknie im chleba i pierwszych potrzeb do życia? czy to nie szaleństwo z mojej strony, że wdałam się w taką sprawę, kiedy mogłam spokojnie żyć w moim klasztorze? Tylokrotne wyraźne rozkazy, jakie miałam od Pana, tyle zdań przychylnych i zachęt ze strony ludzi poważnych i uczonych, których rady zasięgałam, i tyle na ten cel, nieustannych prawie przez dwa lata przeszło, modlitw dusz pobożnych: wszystko to w onej chwili tak mi wyszło z pamięci, jak gdyby nigdy nie istniało; pamiętałam tylko, że ja tak chciałam, i że tak mi się zdawało dobrze. Wszystkie cnoty, i samaż nawet wiara, w zupełnem zostawały we mnie zawieszeniu; nie miałam siły zdobyć się na żaden akt miłości czy nadziei, na odparcie tylu ciosów, jakiemi nacierał na mnie nieprzyjaciel. Jakże chcesz, szeptał mi jeszcze kusiciel, taka schorzała mieszkać w takiej ciasnocie? zkąd weźmiesz siły na taką surową pokutę? na co było ci porzucać tamten dom, taki obszerny i wygodny, gdzie ci było tak dobrze, gdzie tyle miałaś dusz przyjaznych ci i życzliwych? a te, z któremi tutaj masz żyć, kto wie czy będzie ci znośnem ich towarzystwo? Widocznie porwałaś się na rzecz nad siły twoje, a teraz tylko rozpacz cię czeka. Snać diabeł sam do tego cię namówił, abyś straciła pokój i swobodę ducha, i w tej rozterce wewnętrznej stała się niezdolną do modlitwy, i zatraciła duszę twoję. Takie i tym podobne podszepty diabelskie nawałem mi się cisnęły do głowy, tak iż nie było w możności mojej myślić o niczem innem: a przytem w duszy smutek, i odmęt, i ciemności takie, że nie ma wyrazów na opisanie ich. Widząc siebie w takim stanie, poszłam nawiedzić Najświętszy Sakrament, chociaż i tam modlić się nie mogłam. Był to taki ucisk wewnętrzny, że śmiało go mogę porównać z konaniem śmiertelnem. Mówić o tem i zwierzyć się z męką moją nikomu nie śmiałam, bo jeszcze nie miałyśmy wyznaczonego dla nas spowiednika.

O Boże wielki, jakaż to nędza tego życia! Nie masz w niem trwałej pociechy, wszystko podlega odmianie. Przed chwilą jeszcze takie czułam uszczęśliwienie, że nie oddałabym go za ża-

dne pociechy tej ziemi, a teraz toż samo, co było przyczyną mojej radości, zamieniło się w taką mękę, iż nie wiedziałam co z sobą począć. O, gdybyśmy chcieli z należną uwagą zastanowić się nad odmianami i przygodami tego życia, snać każdy nauczyłby się z własnego doświadczenia mało sobie ważyć wszelkie te, czy pociechy czy smutki doczesne. Śmiem twierdzić, że była to jedna z najboleśniejszych chwil, jakie przebyłam w mem życiu; duch mój, rzec mogę, przeczuwał wszystkie cierpienia, jakie mię jeszcze czekały, lubo żadne z nich nie dorównywałoby temu, które wówczas czułam, gdyby ono dłużej było potrwało. Ale Pan nie dopuścił tego, by zbytnie się przedłużyło cierpienie biednej służebnicy Jego, i jako nigdy w żadnem utrapieniu mojem nie zostawił mnie samej, tak i w tem przybył mi na ratunek: promieniem światłości swojej oświecił mię i dał mi ujrzeć prawdę: iż całe to nagabanie było sprawą złego ducha, który mię takiemi mamidłami swemi chciał przerazić. Wtedy, zbierając w myśli wielkie one postanowienia moje służenia Panu, i żądze cierpienia dla Niego, powiedziałam sobie, że chcąc, te postanowienia wykonać, nie powinnam szukać dla siebie spokoju: że ile poniosę trudu i mozołu, tyle też będę miała zasługi, i wszelkie cierpienia i strapienia wewnętrzne, gdy je przetrwam dla służby Bożej, posłużą mi za czyściec. Słowem, czegożbym miała się lękać? wszak pragnęłam krzyża: czemuż go więc nie przyjąć kiedy się nastręcza taki dobry, kiedy. im mocniej sprzeciwia się naturze, tem większy z niego zysk? jakże więc miałoby mi zabraknąć odwagi do służenia Temu, któremu tyle jestem winna? Takiemi i tym podobnemi myślami dodawszy sobie ducha, i wielki sobie gwałt zadając, złożyłam przed Najświętszym Sakramentem przyrzeczenie, iż uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby otrzymać pozwolenie przeniesienia się do tego domu, i że, skoro będę mogła to uczynić z bezpiecznem sumieniem, ślubem się zobowiążę do klauzury. Zaledwom wymówiła te słowa, tejże chwili diabeł uszedł, pozostawiając mię w spokoju i zadowolnieniu wewnętrznem, które odtąd nigdy już mnie nie opuściły. Wszelkie surowości, jakie się zachowują w tym domu, klauzura, praktyki pokutne i wszelkie inne umartwienia, mają

dla mnie słodkość niewypowiedzianą, i prawdziwie mi się wydają lekkiemi. Takie tu niezmierne czuję uszczęśliwienie, że nieraz zapytuję siebie, gdzie na całym świecie mogłabym była obrać sobie roskoszniejszy rodzaj życia. Nie wiem; czy to skutkiem tego wewnętrznego zadowolnienia zdrowie teraz mam lepsze niż kiedybądź, czy też Pan ze względu na to, że potrzeba i słuszność tego wymaga, bym się nie wyróżniała od drugich, raczy to sprawiać na pociechę moję, że mogę, choć z trudnością znosić na równi z wszystkiemi wszelkie zachowujące się u nas umartwienia: dość, że wszyscy, którym wiadome są z dawnych czasów ciągłe niemoce moje, nie mogą się wydziwić, skąd na to siły biorę. Chwała bądź Jemu, który wszystko to sprawuje, i którego mocą niemoc nasza wszystko może!

Choć walką przebytą silnie zmęczona, śmiałam się przecie z diabła, skoro jasno się przekonałam, że była to jego sprawa. Na to snać Pan dopuścił na mnie to przejście, abym z niego poznała, jak wielką mi w tem łaskę uczynił, i od jakiej mię męki uchował, że od czasu jak jestem w zakonie, a jestem w nim od dwudziestu i ośmiu lat, nigdy ani na chwilę nie doznałam na sobie, co to znaczy, niezadowolnienie z powołania swego, i na to także, abym za dostrzeżeniem w której z sióstr moich podobnej pokusy, nie gorszyła się z niej, ale umiała nad nią się ulitować i pocieszyć ją. Gdy już ta burza minęła, sądziłam, że będę mogła nieco się posilić i pójść na spoczynek, czego bardzo potrzebowałam, bo całą noc prawie oka nie byłam zmrużyła, i kilka nocy poprzednich także zeszło mi na różnych kłopotach i frasunkach, i we dnie również mocno byłam strudzona przy rozmaitej robocie. Ale mi odpocząć nie dano. Skoro się rozeszła wieść o tem, co u nas się stało, wielkie, i w całem mieście i w klasztorze naszym powstało wrzenie, i jak już wyżej wspomniałam, słuszne poniekąd były ku temu powody. Natychmiast, przełożona przysłała mi rozkaz, bym się tejże chwili stawiła w klasztorze. Ja też, skoro mię doszło to poselstwo, bez zwłoki pożegnałam siostry moje, mocno zasmucone, i poszłam. Wiedziałam dobrze, że czekają mię nielada utrapienia; ale rzecz była już zrobiona, więc mało się troszczyłam o resztę. Pomodliłam się, wzywając Pana na pomoc, i błagając Ojca mojego

świętego Józefa, by mię przywiódł na powrót do domu swego, i ofiarując jemu wszystko, co będę miała do zniesienia, uradowana bardzo, że mi się nadarza sposobność ucierpienia w czemkolwiek dla Pana i dla służby Jego. Byłam pewna, że skoro się zjawię, będę wrzucona do karceru, z czego, przyznaję, byłabym bardzo rada, nie potrzebując w takim razie mówić z nikim, i mogąc odpocząć nieco na samotności, jak tego wielką czułam potrzebę, po takiem z interesami z ludźmi strudzeniu się. Przełożona wszakże, gdym przyszła i zdała jej sprawę o sobie, nieco złagodniała; ale zgromadzenie całe wezwało prowincyała, pozostawiając sprawę do rozeznania jego. Gdy przyszedł prowincyał, zostałam pozwana na sąd, z wielkiem rozradowaniem wewnętrznem, iż dano mi jest ucierpić nieco dla miłości Pana, skoro czułam, że w tej sprawie nic nie zawiniłam przeciw Boskiemu Majestatowi Jego, ani przeciw zakonowi, któremu owszem tak byłam oddana, że ochotnie i śmierć poniosłabym dla niego, i o wzrost jego ze wszystkich sił moich się starałam, i niczego goręcej nie pragnęłam nad to, by zakwitł znowu w całej swej pierwotnej doskonałości. Wspominałam sobie na sąd, któremu poddał się Pan Jezus, i czułam dobrze, jak w obec niego ten mój sąd jest niczem. Uczyniłam moję kulpę, jak gdybym w istocie była bardzo winną, bo i taką się wydawałam tym, którzy nie znali powodów i całego sposobu postępowania mego. Prowincyał dał mi surowe napomnienie, choć nie tak surowe jak na nie zasługiwał rzekomy występek mój, i jak tego spodziewać się mogłam po ciężkich, jakie doń zaniesiono na mnie oskarżeniach. Ja nie powiedziałam ani słowa na uniewinnienie siebie, bo takie z góry miałam postanowienie; prosiłam go tylko o przebaczenie, i o pokutę, i żeby nie gniewał się na mnie.

W niektórych rzeczach widziałam jasno, że obwiniają mię niesłusznie, na przykład, że zrobiłam to wszystko przez próżność, dla pokazania się i rozgłosu, i tym podobne rzeczy. Ale w innych za to punktach nie mogłam nie uznać słuszności czynionych mi zarzutów, mianowicie: że jestem gorsza od drugich; że kiedy nie umiałam zachowywać wiernie reguły w tym klasztorze, gdzie ona w tak wielkiem jest poszanowaniu, jakże teraz śmiem przechodzić do drugiego domu, pod regułę surowszą?

że daję zgorszenie ludowi, że zaprowadzam nowości. Wszystko to nie sprawowało mi najmniejszego zmięszania ani żalu, chociaż starałam się zachować postawę skruszoną, aby się nie zdawało, że słowa ich lekceważę. Nakoniec prowincyał kazał mi wytłómaczyć się przed zgromadzeniem z postępowania mego; musiałam więc usłuchać, i mając w duszy spokój zupełny, przy pomocy Pańskiej w taki sposób zdałam sprawę z wszystkiego, że ani prowincyał ani siostry zgromadzone nie znaleźli za co mię potępiać. Później jeszcze na osobności tłomaczyłam się przed nim dokładniej, i tak go zadowolniły objaśnienia moje, że obiecał mi, iż da mi pozwolenie przejścia do nowego klasztoru, skoro tylko miasto się uspokoi, bo w onej chwili wzburzenie w całem mieście było wielkie, jak zaraz opowiem.

Trzeciego czy czwartego dnia po tych wypadkach, naczelnik i kilku radnych miasta, tudzież kilku członków kapituły, zebrali się na radę, i zgodnie uchwalili, że nowy klasztor pod żadnym warunkiem nie może być cierpiany; że widoczna grozi z niego szkoda miastu; że trzeba usunąć Najświętszy Sakrament, i istnieniu nowej fundacyi na wszelki sposób koniec położyć. Zwołali następnie wszystkie zakony, po dwóch teologów z każdego, aby każdy wypowiedział zdanie swoje. Jedni milczeli, drudzy nas potępiali, potem wszyscy uchwalili, że klasztor powinien być bezzwłocznie zburzony. Jeden tylko teolog z zakonu świętego Dominika [1]), choć także nam był przeciwny, nie samemu założeniu klasztoru wprawdzie, ale pozostawieniu go bez dochodów,—wystąpił w obronie naszej. Przedstawiał, że

---

[1]) Był to O. Dominik Banez, jeden z najsłynniejszych teologów wieku swego. Urodził się w Medina del Campo; bardzo młodym jeszcze, r. 1544, wstąpił w Salmantyce do zakonu św. Dominika. Przez blisko piędziesiąt lat z świetnem powodzeniem i rozgłosem wykładał teologię. Pozostawił po sobie kilka uczonych dzieł, między któremi Komentarz jego do św. Tomasza, w sześciu tomach in folio, słusznie największej sławy używa. Od czasu założenia klasztoru św. Józefa w Awili, św. Teresa stale z nim utrzymywała przyjazne stosunki; w ciągu ośmioletniego pobytu jego w Awili, jego sobie obrała za spowiednika. Z jego rozkazu napisała swą *Drogę do doskonałości*. Mamy też kilka listów jej, pisanych do O. Baneza, i wiele innych, w których mu najwyższe oddaje pochwały. Banez umarł r. 1604, mając 77 lat. (Ob. Bolland., *Acta s. Teresiae*, p. 629).

nie jest to rzecz, którąby godziło się tak od razu potępiać i niszczyć: że potrzeba tu dojrzalszego zastanowienia, że nic nie nagli, że zresztą sprawa ta należy do sądu biskupa. Temi i tym podobnemi przedstawieniami znacznie uspokoił umysły wzburzone: w pierwszej chwili taka była powszechna zapamiętałość, że prawdziwie dziwić się można, jakim sposobem nie wykonali natychmiast swojego na zgubę naszej fundacyi zamiaru. W końcu stało się to, co się stać miało, i co się Panu podobało; przeciw woli Jego, niczego nie mogli dokazać przeciwnicy nasi. Zapewne, że w tem, co czynili, nie było z ich strony obrazy Boskiej, bo zdawało im się, że powody mają słuszne i chwalebne, powodowali się gorliwością; ale ja przez nich dużo wycierpiałam, i wraz ze mną wszyscy ci, którzy mi sprzyjali, choć ich było niewielu, a którzy dotkliwe z tego powodu mieli do zniesienia prześladowanie. Tak wielkie było wrzenie w pospólstwie, że o niczem innem nie mówiono, jedno o nas: a wszyscy potępiali mię, i nachodzili prowincyała i przełożone moje, abym była ukarana. To, co na mnie mówiono, tak mało mię obchodziło, jak gdyby nic nie mówiono, owszem, raczej, zdaje mi się, cieszyłam się z tej niesławy mojej. Bałam się tylko o dom, żeby nie został zburzony, i nad tem bardzo cierpiałam, jak nie mniej i nad tem, że ci, którzy mię popierali, tak są przez pospolstwo szarpani i takie z mojego powodu przechodzą utrapienia. Gdybym była miała nieco żywej wiary, nie byłoby mi to wszystko zakłóciło pokoju wewnętrznego; ale dość małego uchybienia przeciw jednej cnocie, aby tem samem i drugie osłabły i jakby posnęły. Byłam więc w wielkim smutku przez te dwa dni, w które się odbywały one zgromadzenia publiczne: aż oto, w tem strapieniu mojem usłyszałam Pana, mówiącego do mnie te słowa: — „Czego się lękasz? czy nie wiesz, że jestem wszechmogący?“ przyczem dał mi zapewnienie, że dom nie będzie zburzony. Wielkie stąd było pocieszenie moje.

Miasto wytoczyło sprawę, z przedstawieniem swojem, przed Radę królewską. Skutkiem tego, przyszedł stamtąd rozkaz zarządzenia ścisłego badania, co i jak się stało. Wszczął się wielki proces. Miasto wysłało przedstawicieli swoich do dworu; i nasz klasztor powinienby był wysłać swoich, ale nie miałam za co,

i nie wiedziałam co począć. Pan zaradził potrzebie. Prowincyał nie zabraniał mi zajmować się tą sprawą: jako mąż pobożny i sprzyjający wszystkiemu co dobre, choć nie popierał jej, nie chciał jej przecie przeszkadzać, a że zwlekał z upoważnieniem mnie do przeniesienia się do nowego domu, nie było to przez niechęć, jedno dla tego, że chciał doczekać, aż się wszystko uspokoi i ułoży. Tymczasem tamte służebnice Boże pozostawały same [1]), i więcej modlitwami swemi przyczyniały się do pomyślnego obrotu rzeczy, niż ja wszystkiemi rokowaniami mojemi; choć one mię dużo zachodu kosztowały. Chwilami zdawało się, że wszystko przepadło; raz mianowicie, w nieobecność prowincyała, i na dzień przed przyjazdem jego, przeorysza zakazała mi wszelkich dalszych starań, co znaczyło, porzucić wszystko. Zaniosłam wtedy instancyę do Boga, i powiedziałam Mu:—Panie, dom to nie mój, dla Ciebie założony jest; teraz więc, kiedy niema komu oń się starać, Ty, Panie, rób. Po tej modlitwie, tak mi było spokojnie i wesoło na sercu, jak gdybym cały świat miała na usługi moje do pilnowania tej sprawy, i pewna byłam pomyślnego jej skutku.

Pewien kapłan [2]), wielki sługa Boży, gorliwy poplecznik wszystkiego co ma związek z doskonałością chrześcijańską, który i przedtem zawsze mię popierał, udał się na dwór, dla doglądania sprawy naszej, i wiele sobie z tem pracy zadawał. Podobnież i on świętobliwy pan, o którym już kilkakrotnie mówiłam [3]), bardzo żywo zajmował się naszą sprawą i na wszelki sposób jej bronił, nie zważając na wielkie, jakie z tego powodu musiał znosić kłopoty i prześladowania; zawsze i we wszystkiem miałam w nim prawdziwego ojca, i dotąd mam. Taką w tych rzecznikach naszych Pan wzbudzał o tę sprawę gorli-

[1]) Dzięki jednak magistrowi Gasparowi Daza, któremu Biskup był pieczę o nich polecił, w duchownych potrzebach swoich nie cierpiały niedostatku. Odprawiał im codzień Mszę świętą, Sakramenta administrował, nauki do nich miewał. Odbywały regularnie kapituły według przyjętego porządku, i umartwienia regułą przepisane wiernie zachowywały. W chórze tymczasowo odmawiały Małe Officyum Najświętszej Panny, czekając na przybycie św. Teresy, która miała ich nauczyć odmawiania Wielkiego Officyum z Brewiarza.

[2]) Gonzalez de Aranda. [3]) Franciszek de Salcedo.

wość, że każdy ją poczytywał sobie jakby za własną, jakby w niej chodziło o własne ich życie lub honor; w istocie zaś o nic innego im nie chodziło, jedno o to, że w obronie tej sprawy widzieli obronę służby i chwały Pańskiej. Podobnież i tego kapłana, o którym było wyżej [1]), a który także był jednym z tych co nam sprzyjali, Pan Bóg bardzo widocznie wspierał w tem, co czynił na naszę obronę. Biskup był go posłał od siebie na jedno wielkie zgromadzenie, na którem radzono o naszym klasztorze; był tam sam jeden przeciw wszystkim, a jednak, za pomocą pewnych fortelów, których użył w mowie swojej, zdołał ich w końcu na chwilę ułagodzić, i tym sposobem, choć ani on ani nikt nie byłby wówczas potrafił na długo uśmierzyć tej zapamiętałości, z jaką wciąż na nowo, jak to mówią, na zabój domagali się zburzenia klasztoru, przynajmniej zyskało się na czasie. Był to ten sam sługa Boży, który dawał siostrom habity i wprowadził do nas Najświętszy Sakrament, za co niemałe wycierpiał prześladowanie. Wojna ta trwała blisko pół roku; wszystkie utrapienia, przez jakie w tym czasie się przeszło, po szczególe opowiadać, byłoby za długo.

Dziwowałam się w sobie tej zawziętości, z jaką diabeł tak wszystkie siły swoje wytężał przeciwko garstce słabych kobiecin, i jakim sposobem cały ogół mógł przyjść do wniosku, że dwanaście zakonnic z przeoryszą, bo nigdy ich niema być więcej,—mówię to do tych, którzy się temu postanowieniu sprzeciwiali,—i to tak surowe i ukryte życie wiodących, mogą całemu miastu grozić tak wielką szkodą. Czy dla nich w tem szkoda czy zysk, to już własna ich sprawa; ale żeby przynosiły szkodę miastu, na to, zdawałoby się trudno wynaleźć dowód rozsądny; a oni jednak tyle ich wynaleźli, że z dobrem sumieniem taką nam wojnę wytaczali. W końcu jednak zrobili ustępstwo: zgadzali się na ustanowienie i dalsze istnienie klasztoru, ale pod warunkiem, że będzie miał dochody. Ja tak już byłam znękana tą ciągłą targaniną, a więcej jeszcze widokiem przykrości, jakie z tego powodu ponosili rzecznicy nasi, że dla ich pokoju raczej niż dla mojego, zdawało mi się, że nie będzie

[1]) Gaspara Daza.

w tem nic złego, gdy tymczasowo, póki się to wzburzenie nie uspokoi, przyjmiemy dochody, a po niejakim czasie, upatrzywszy porę właściwą, ich się pozbędziemy. Chwilami nawet, będąc tak nędzną i niedoskonałą, wmawiałam w siebie, że taką snać musi być wola Pana, skoro bez tego nie można dojść do pomyślnego końca; zaczem już skłaniałam się do przyjęcia tego warunku. Lecz w wilią dnia, którego rzecz miała się ostatecznie omówić i ugoda już przygotowana, przez obie strony być przyjętą, gdy wieczorem byłam na modlitwie, Pan rzekł do mnie te słowa: — „Nie czyń tego, córko; bo gdy raz zgodzicie się na posiadanie dochodów, potem już wam nie pozwolą od tego się cofnąć.“ Dodał przytem jeszcze niektóre inne przestrogi.

Tegoż samego wieczoru ukazał mi się święty brat Piotr z Alkantary, który już nie żył. Przed śmiercią jeszcze [1]), dowiedziawszy się o wielkich przeciwieństwach i prześladowaniach, jakie znosimy, napisał był do mnie, że cieszy go to bardzo, iż nowa fundacya takie napotyka trudności i przeszkody; że jest to znak, iż Pan będzie miał z tego klasztoru bardzo wielką chwałę, skoro diabeł tak zawzięcie stara się wstrzymać założenie jego; tylko bym żadną miarą nie zgodziła się na posiadanie dochodów; przestrogę tę dwa czy trzy razy jeszcze w tymże liście powtarzał, upewniając mię, że jeśli jedno tego dotrzymam, wszystko się skończy pomyślnie. Po śmierci byłam go już widziała dwa razy, jaśniejącego chwałą niewypowiedzianą. Widok jego nie miał dla mnie nic przerażającego, przeciwnie, wielką mię napełnił radością, bo obadwa razy ukazywał mi się w ciele uwielbionem, otoczony jasnością niebieską, od której mnie samej dziwnie jasno się robiło w duszy. Za pierwszem swojem ukazaniem się, pamiętam jako między innemi, opisując mi wielką szczęśliwość swoję, rzekł te słowa: — „O błogosławiona pokuto, za którą takiej chwały dostąpiłem!“ Mówiłam już o tem, zdaje mi się, na innem miejscu, więc tu powtarzać nie będę; to tylko powiem, że tym trzecim razem ukazał mi się z twarzą surową, i tylko te słowa mi powiedział: — „Patrzaj, byś nie przyjmowała dochodów; czemu nie chcesz usłuchać rady mojej?“ co po-

[1]) t. j. na krótko przed 18 października 1562, dniem śmierci jego.

wiedziawszy, tejże chwili znikł. Mocno mię to widzenie przeraziło, i zaraz nazajutrz opowiedziałam wszystko temu pobożnemu panu [1]), —bo do niego zawsze naprzód się udawałam, gdyż najżywiej ze wszystkich nami się zajmował, — dodając, że pod żadnym warunkiem nie powinniśmy zgodzić się na dochody, niech raczej proces dalej się toczy. On silniejsze w tym punkcie miał postanowienie niż ja, i bardzo się z tego, co mu powiedziałam, ucieszył; później też przyznał mi, że bardzo niechętnie prowadził umowy co do tego warunku.

Już tedy sprawa wracała na właściwe tory, gdy w tem znowu weszła jej w drogę pewna osoba, bardzo pobożna, i w najlepszej intencyi wystąpiła z wnioskiem, by zdać tę kwestyę na decyzyę teologów. Stąd nowe dla mnie niepokoje, bo kilku z tych, którzy nas popierali, zgodziło się na ten wniosek, i z wszystkich zawikłań, jakiemi diabeł krzyżował moje zamiary, przyznaję, że to było mi najtrudniejszem do strawienia; ale i w tym razie, jak we wszystkich trudnościach poprzednich, Pan przyszedł mi w pomoc. Trudno mi w tem treściwem opowiadaniu dokładnie zdać sprawę ze wszystkich utrapień, jakie wycierpiałam w ciągu tych dwu lat, od pierwszych początków naszego klasztoru aż do ostatecznego ukończenia onegoż: najtrudniejsze były półrocza pierwsze i ostatnie. Gdy tymczasem miasto już się było nieco uspokoiło, teolog on dominikanin [2]), który nas od początku popierał, zręcznem za nami pośrednictwem swojem, znakomitą, choć nieobecny, oddał nam przysługę. Przedtem już Pan go był sprowadził do nas w chwili, kiedy pomoc jego bardzo nam była potrzebną, i bardzo też okazała się skuteczną. Prawie mogłoby się zdawać, że Opatrzność Boska po to jedynie do nas go przywiodła, bo jak potem sam mi mówił, żadnego nie miał w mieście naszem interesu, a o potrzebie naszej trafem tylko się dowiedział. Pozostał w mieście tyle czasu, ile był nam potrzebnym, potem odjechał; ale odjeżdżając, umiał różnemi drogami trafić nasze-

[1]) Franciszka de Salcedo.
[2]) Piotr Ybanez. Ob. r. XXXII.

mu prowincyałowi do przekonania [1]), i wydobyć od niego pozwolenie dla mnie z kilkoma siostrami, — choć tak prędkie wydanie tego pozwolenia zdawało się rzeczą niepodobną, — by mi wolno było wreszcie przenieść się do nowego domu, dla utrzymania chóru i nauczania sióstr, już tam mieszkających. Była to dla mnie chwila nieopisanej radości, gdy nakoniec znalazłam się w tym błogosławionym domu świętego Józefa.

Pierwej nim przekroczyłam próg klasztoru, weszłam do kościoła na modlitwę, i tam wpadłszy jakoby w zachwycenie, ujrzałam Chrystusa Pana, jako z wielką miłością mię witał, wkładając mi koronę na głowę, i dziękując mi za to, co uczyniłam dla Matki Jego. Innego razu, gdy po Komplecie byłyśmy wszystkie w chórze na modlitwie, ukazała mi się Najświętsza Panna, chwałą niebieską jaśniejąca, odziana w płaszcz biały, którym nas wszystkie okrywała; objawiła mi wysoki stopień chwały, do którego Pan podniesie dusze, w tym domu Jemu służące. Wraz z zaprowadzeniem nabożeństwa w kościele naszym, lud z wielką pobożnością począł do niego się garnąć.

---

[1]) Głównym czynnikiem, który ostatecznie skłonił prowincyała, O. Anioła de Salazar, do uczynienia zadość gorącemu pragnieniu św. Teresy, były te do niego słowa jej: „Patrzaj, ojcze, czy nie sprzeciwiasz się Duchowi Świętemu.“ Święta w pokorze swojej fakt ten przemilcza; ale samże prowincyał go poświadcza w aktach procesu kanonizacyjnego. Działo się to, według Ribery, w połowie postu wielkiego, która w tym roku 1563 przypadała około 18 marca. Tak więc na samże dzień, w którym Kościół obchodzi święto jego, św. Józef sprowadził to szczęśliwe Matki założycielki z duchownemi jej córkami w nowym domu złączenie. Towarzyszyły jej, jak sama o tem wyżej wspomina, cztery zakonnice z klasztoru Wcielenia: Anna od św. Jana, Anna od Aniołów, Marya Izabella od św. Pawła. Ta ostatnia, krewna św. Teresy, pozostawała przy niej kilka lat w klasztorze Wcielenia, ale była jeszcze nowicyuszką, postanowiwszy sobie, że nie gdzieindziej złoży professyę i dozgonnemi ślubami odda się na zawsze Panu Jezusowi, jedno pod ściślejszą regułą i w nowym klasztorze św. Józefa Awilańskim. Św. Teresa, na pierwszym wstępie do nowego domu, wysoki dała córkom swoim przykład pokory; nie chciała wziąść na siebie rządów klasztoru, jak jej się to, jako fundatorce należało, ale mianowała przeoryszą siostrę Annę od św. Jana, a wiceprzeoryszą siostrę Annę od Aniołów. Nie długo jednak utrzymało się to jej rozporządzenie; biskup wraz z prowincyałem, nie zważając na wstręty pokory jej, zmusili ją stanąć na czele domu.

Przyjęłyśmy nowe siostry [1]). Powoli też Pan odmieniał serca tych, którzy nas prześladowali, iż poczęli gorliwie nas popierać, i znosili nam jałmużny, w taki sposób pochwalając to, co przedtem tak potępiali; z czasem wszyscy zaniechali dalszego prowadzenia procesu, przyznając, że ten dom nasz musi być dziełem Bożem, kiedy mimo tak gwałtownego oporu, jednak z woli Boskiego Majestatu Jego przyszedł do skutku. I rzecz pewna, że dziś niema już nikogo, ktoby sądził, że rostropniej byłybyśmy postąpiły, gdybyśmy były zaniechały naszego zamiaru. Zewsząd, z największą o potrzeby nasze troskliwością, nasyłają nam jałmużny; nie chodzimy po kweście, nikogo o nic nie prosimy, a Pan przecie pobudza serca litościwe, iż z własnego popędu nas wspierają, tak iż nigdy nie cierpimy niedostatku. Mam nadzieję w Panu, że tak będzie zawsze; liczba sióstr w każdym klasztorze zawsze będzie niewielka; więc jeśli jedno wiernie będą czyniły co czynić powinny, jak te dzisiejsze z łaski i miłosierdzia Pańskiego to czynią, pewna jestem, że na niczem potrzebnem zbywać im nie będzie, i nie będą miały potrzeby być komu ciężarem, albo naprzykrzać się, ale Pan sam będzie miał o nich staranie, jak dotąd ma. Niewypowiedziana to dla mnie pociecha, że dano mi jest mieszkać w tym domu, w pośród dusz tak oderwanych od świata. Nie znają one innej troski, jedno o to, jakby coraz wyższe czynić postępy w służbie Bożej. Samotność jest dla nich roskoszą; odwiedziny, chociażby najbliższych, przykrość im sprawują, chyba że znajdą w nich pobudkę do coraz gorętszej miłości Boskiego Oblubieńca swego. Nikt też nie odwiedza tego domu, tylko tacy, którzy sami, jak one, płoną tymże ogniem miłości Bożej, i pomnożenia jej w sobie pragną; inaczej ani im przyjemności nie zrobią, ani jej tu dla siebie nie znajdą; innego przedmiotu rozmowy te dusze święte nie znają, jedno o Bogu, i ktoby im mówił o czem innem, tego one nie zrozumieją, ani on ich nie zrozumie. Trzymamy się reguły Najświętszej Panny z góry

---

[1]) Między innemi Maryę od św. Hieronima, siostrzenicę św. Teresy, która pierwsza po Świętej sprawowała urząd przeoryszy w klasztorze św. Józefa Awilańskim.

Karmelu, całej i nie złagodzonej, jak ją ułożył Hugo kardynał tytułu świętej Sabiny, i Papież Innocenty IV, roku 1248, w piątym roku panowania swego zatwierdził. Sądzę, że wszystkie utrapienia, jakie wycierpiałyśmy za wznowienie tej reguły, dobrze się opłaciły. Prawda, że obecny nasz rodzaj życia ma w sobie pewną surowość; nigdy nie jemy mięsa, chyba w koniecznej potrzebie; ośm miesięcy w roku zachowujemy ścisły post, i inne surowości, jak je przepisuje taż reguła pierwotna [1]); ale siostry znajdują, że tego jeszcze mało, i przeto innym jeszcze oddają się umartwieniom, potrzebnym, jak nam się zdawało, do doskonalszego wypełnienia samejże reguły. Ufam w Panu, że da tym początkom wzrost i pomnożenie, jak mi to sam w Boskiej dobroci swojej obiecać raczył. Drugi dom

---

[1]) Podajemy tu porządek dziennych zajęć i ćwiczeń, jaki się według reguły pierwotnej w klasztorze św. Józefa Awilańskim zachowywał, i dotąd z małemi odmianami we wszystkich klasztorach córek św. Teresy zachowuje. O 9 wieczorem siostry zgromadzały się w chórze na Jutrznię i Laudes. Po Officyum robiły rachunek sumienia; następnie czytano punkta jutrzejszego rozmyślania. Ćwiczenia te trwały mniej więcej do godziny 11, po czem dzwoniono na odpoczynek. Wstawały latem, to jest od Wielkanocy do 14 września, o 5, zimą o 6. Dzień rozpoczynały cało godzinnem rozmyślaniem, potem odmawiały Hory i słuchały Mszy świętej. Po Mszy wracały każda do celi swojej albo na miejsce urzędu swego, zajmując się pracą jej wyznaczoną. Praca ta z postanowienia Świętej, dla tego odbywała się na osobności, a nie w sali ogólnej, aby każda łatwiej mogła zachować skupienie ducha i pamięć na obecność Pańską, a zatem i przy zewnętrznem zajęciu nie przerywać wewnętrznej z Bogiem rozmowy. Na chwilę przed posiłkiem, dzwonek wzywał na rachunek sumienia. W dni postu zakonnego, obiad dawano o 11-ej; w dni postów kościelnych o 11 ½ w innym czasie o 10-ej. Post zakonny rozpoczynał się w dzień Podwyższenia krzyża, 14 września, i trwał aż do Wielkanocy. Po obiedzie, zawsze połączonym z czytaniem duchownem, siostry zbierały się na wspólną rekreacyę, ale i w czasie tejże, każda winna była robić jaką robotę. O 2-ej udawały się do chóru na nieszpory, po których każda wracała do celi swojej na czytanie duchowne, i następnie aż do Komplety, zajmowała się pracą swoją albo wyznaczoną jej czynnością. Po Komplecie odbywały znowu całogodzinne, jak z rana, rozmyślanie, po którem następowała wieczerza i rekreacya, aż do zadzwonienia na walne milczenie, obowiązujące aż do Prymy dnia następnego. (Ob. Ribera, *Życie św. Teresy*, ks. II, r. II; Bolland. *Acta s. Theresiae*, p. 542). Taki był porządek dzienny w zreformowanym przez św. Teresę Karmelu; ale porządek ten był i jest zewnętrzną formą tylko, zwierzch-

zamierzony przez oną świętą służebnicę Bożą [1]), o której mówiłam, również znalazł łaskę u Pana i stanął szczęśliwie w mieście Alkala; nie brakło i jemu wielkich przeciwieństw, i założyciele jego ciężkie wycierpieli utrapienia. Wiem, że zachowuje się w nim ścisła, według tej pierwotnej reguły naszej, obserwancya. Niechaj Pan raczy sprawić, aby wszystko to było na cześć i chwałę Jego, i Najświętszej Panny Maryi, której szkaplerz nosimy. Amen.

Boję się, Ojcze, czy nie znudziłam Waszej Miłości, tak szeroko opisując historyę powstania naszego klasztoru. W porównaniu jednak z mnóstwem utrapień, które założeniu jego towarzyszyły, i dziwnych w przeprowadzeniu tej sprawy zrządzeń Pańskich, opis mój jest raczej za krótki. Wielu świadków na te dziwy patrzało, i może je stwierdzić pod przysięgą. Dla tego też na miłość Boga proszę, jeślibyś Wasza Miłość uważał za rzecz właściwą podrzeć wszystko inne, co tu napisałam, to co się tyczy tego klasztoru racz zachować, i gdy umrę, daj to siostrom, które po mnie będą; wszystkim, ile ich w następnych czasach tu przyjdzie, doda to wielkiej odwagi w służbie Bożej, i pobudzi je do gorliwej pracy, aby nie upadło to, co się tak szczęśliwie zaczęło, ale coraz wyżej rosło, gdy z tego pisania dowiedzą się, jak wielkie rzeczy Boska wielmożność Pana w tych początkach uczyniła, za sprawą takiej, jaką ja jestem,

---

nią tylko jakoby łupiną i powłoką tej reformy; jądrem jej, treścią i duszą był i jest duch apostolski, czynna, w nieustającem poświęceniu siebie, gorliwość o chwałę Bożą, o wzrost Kościoła, o zbawienie dusz. Całkowita ofiara z siebie, ciągła modlitwa i ciągła pokuta, nie dla własnego tylko uświęcenia, ale naprzód i głównie dla niesienia pomocy Kościołowi wojującemu, dla wyjednania u Boga coraz nowych łask i sił sługom i bojownikom jego, ten jest wysoki i wspaniały cel, jaki Święta miała przed oczyma w założeniu pierwszego klasztoru swego i pierwszych odnowionego przez nią Karmelu fundamentów, jak to sama z dziwną jasnością i mocą wykłada w pierwszym rozdziale swej *Drogi do doskonałości*. (Por. Ribera, *Życie św. Teresy*, ks. II, r. I). Znamienną więc cechą dokonanego przez nią dzieła jest żarliwość apostolska. *Zelo zelata sum pro Domino Deo exercituum* (3 Ks. 19, 10), to jest hasło i godło, które na czasy niepożyte na zatkniętym przez nią w Kościele sztandarze wypisała.

[1]) Matkę Maryę od Jezusa; ob. na początku tego rozdziału.

nędznej i grzesznej istoty. I kiedy Pan w założeniu tego klasztoru taką raczył okazać szczególną i widoczną łaskę i opiekę swoję, sądzę, że ciężkoby zgrzeszyła, i surowe na siebie karanie Boże ściągnęła każda, któraby zaczęła opuszczać się w tej doskonałości, której Pan sam tutaj taki dał początek i cudowną łaską swoją to sprawił, że dusze dzisiaj tej regule poddane, tak ochotnie ją pełnią, i jawny z siebie dowód dają, że można nosić to jarzmo, nie tylko bez utrudzenia, ale i z słodkością, i jakie pod niem do życia i postępu duchownego ułatwienie znajduje dusza, pragnąca w oderwaniu od świata i na samotności cieszyć się samym tylko Oblubieńcem swoim Chrystusem. Bo to jest, czego siostry nasze nadewszystko pragnąć powinny, by zawsze były same z Nim samym. I niechaj pamiętają, by ich nigdy nie było więcej w jednym domu, niż trzynaście; zdaniem wielu, których się radziłam, ta jest liczba najwłaściwsza, i sama też z własnego doświadczenia się przekonałam, że inaczej trudno jest zachować w zgromadzeniu ducha naszego zakonu i żyć z jałmużny, nie naprzykrzając się nikomu. Niechaj wierzą tej, która z wielkim trudem, i wsparta modlitwami wielu, starała się wszystko urządzić tak, aby było jak najlepiej; a że tak jest najlepiej, o tem to samo już każdego przekonać może, że przez te kilka lat, odkąd zamieszkałyśmy w tym domu, w takiem tu żyjemy wszystkie zadowolnieniu i weselu wewnętrznem, i bez żadnej przykrości, i w lepszem zdrowiu niż przedtem. Komuby zaś to życie nasze wydawało się zbyt surowem, niech o to wini własną małoduszność swoję, a nie regułę, którą tu zachowujemy, kiedy osoby wątłe i słabego zdrowia, mocą tylko ducha, który je ożywia, z taką łatwością ją znoszą. Radzę więc takiemu czy takiej, niech się uda do innego klasztoru, i tam pracuje na zbawienie swej duszy wedle miary ducha swojego.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Jakie w niej skutki pozostawiała każda łaska, użyczona jej od Pana. Jak wielką jest rzeczą, i wszelkiej usilności godną, każde najmniejsze pomnożenie wyższy stopień chwały niebieskiej. Jako żadna trudność nie powinna nas zrażać, gdy chodzi o nabycie takich dóbr, które trwają wiecznie

Niełatwo mi przychodzi dalej jeszcze opowiadać łaski, jakie mi Pan uczynił; i tych już, które dotąd opisałam, jest tyle, i tak są nadzwyczajne, że z trudnością kto uwierzy, by Bóg je mógł był dawać takiemu grzesznemu stworzeniu. Wszakże, chcąc być posłuszną Panu, który mi kazał, i rozkazowi Waszych Miłości, przywiodę tu, na cześć i chwałę Jego, jeszcze niektóre szczegóły. Daj Boże, by to co piszę posłużyło na pożytek duszy tym, którzy mię czytać będą, aby widząc, jak hojnie Pan raczył obdarzać taką nędzną istotę, zrozumieli z tego, czego dopiero z Boskiej szczodrobliwości Jego może się spodziewać, kto na prawdę Mu służy, i brali ztąd pobudkę i ducha do oddania się całkowicie temu Panu tak łaskawemu, który już w tem życiu takie daje zadatki nieskończonej miłości swojej.

Nasamprzód więc powiem, że w tych łaskach, jakie Bóg czyni duszy, są różne stopnie chwały; w niektórych widzeniach chwała, roskosz, pociecha, tak niezmiernie przewyższają chwałę, roskosz i pociechę jaką mają w sobie drugie, że zdumienie mię ogarnia nad taką, już w tem życiu, różnością stopni radowania się w Bogu. Czasem, słodkość i uszczęśliwienie, jakiem Bóg napełnia duszę w widzeniu albo zachwyceniu, tak bez porównania większem jest nad wszystko, czego przedtem doznała, że zdaje jej sie niepodobna, by mogło być jeszcze co większego, czegoby nad to pragnąć miała; jakoż i niczego więcej nie pragnie, i większego szczęścia nie prosi. Wszakże, odkąd Pan mi ukazał niezmierzoną różność, jaka zachodzi w niebie między szczęśliwością jednego a szczęśliwością drugiego, widzę dobrze, że i tu na ziemi, gdy tak Mu się podoba, nie masz miary w darach Jego. Zatem i ja chciałabym nie zachowywać miary

w służbie Boskiego Majestatu Jego, i wszystko życie moje, i siły, i zdrowie na nią poświęcić, bym snać nie utraciła z winy własnej choćby najmniejszej cząsteczki większej szczęśliwości w niebie. I gdyby mi dano do wyboru, co wolę: czy znosić aż do końca świata wszelkie, jakie mogą być na tej ziemi, cierpienia, a za to potem wstąpić o jeden maluczki stopień wyżej w chwale niebieskiej, czy też zaraz, bez żadnego cierpienia wnijść do chwały, ale w stopniu nieco niższym: twierdzę bez wahania, że z najochotniejszą gotowością wybrałabym wszelkie cierpienia doczesne, aby za tę cenę osiągnąć szczęście oglądania o jeden stopień bliżej wielmożności Boga; bo widzę to dobrze, że im bliżej kto Go ogląda, tem więcej miłuje Go i chwali. Nie znaczy to, bym nie miała na tem poprzestać, i za najszczęśliwszą poczytywać siebie, gdybym się dostała na najniższe miejsce w niebie; i bodajby Pan raczył mię na nie dopuścić, nie zważając na wielkie grzechy moje; będzie to nieskończone miłosierdzie Jego, bo zasłużyłam raczej na ostatnie miejsce w piekle. To tylko chciałam powiedzieć, że choćby mię to najwięcej kosztować miało, i chociażby Pan za tę łaskę najcięższe mi kazał ponosić cierpienia, nie chciałabym, o ileby to było w możności mojej, utracić z winy własnej najmniejszego pomnożenia tej chwały. A przecie, nieszczęsna! tylu grzechami mojemi byłam ją utraciła wszystką!

I o tem winnam nadmienić, że z każdej z tych łask, które Pan mi czynił, czy to widzenia czy objawienia, pozostawał w duszy mojej jakiś wielki pożytek; niektóre widzenia sprawiały we mnie skutki zgoła nadzwyczajne. Widzenie Chrystusa Pana pozostawiało wyryty w duszy mojej obraz niewypowiedzianej piękności Jego; dotąd go noszę w sobie. Dość byłoby na to, ujrzeć Go raz; jakże daleko bardziej, gdy Pan tyle razy tej łaski mi użycza. Jedną z największych korzyści jakie stąd odniosłam, było to, że się poprawiłam z jednej wady, bardzo dla duchownego postępu mojego szkodliwej. Była to wada taka: Ile razy spostrzegłam, że ktoś przypadający do mojego usposobienia, przychylnie ku mnie się skłania, takiem zaraz do tej osoby przejmowałam się przywiązaniem, że serce i pamięć miałam w niej jakby uwięzioną, i ciągle prawie o niej

myślałam; nie było w tem najmniejszej intencyi obrazy Boskiej: ale nie mniej przeto była to rzecz dla duszy mojej szkodliwa, i o mało że nie zgubna, bo zbytnie się lubowałam w widoku tej osoby, i w rozmowie z nią, i myśl o niej, i o dobrych, jakie w niej widziałam, przymiotach, zbytnią mi robiła przyjemność. Lecz odkąd dano mi było ujrzeć Boską piękność Pana mego, żadnej już nie masz śmiertelnej istoty, któraby w oczach moich mogła z nią wytrzymać porównania, i myśl i serce me zająć; jedno okiem wewnętrznem spojrzenie na ten obraz, który noszę wyryty w duszy, zupełną w tym względzie daje mi swobodę serca; i od pierwszej chwili onego widzenia aż do tego momentu, wszystko cokolwiek widzę w koło siebie, wydaje mi się jakby brzydkością, w porównaniu z tą dostojnością i z tym przewyższającym wdziękiem, które widzę w Panu: i nie masz umiejętności takiej ani takiego uszczęśliwienia, któreby miało jakąbądź cenę w oczach moich, w obec roskoszy usłyszenia jednego słowa z tych Boskich ust, a słyszałam ich tyle. Zaczem też mam to za niepodobieństwo, chyba że Pan za grzechy moje dopuści zatrzeć się we mnie tej pamięci, by ktokolwiekbądź tak zdołał zająć mój umysł, iżby jedno wspomnienie na Pana i na ten w duszy mojej obraz Jego, nie przywróciło mi natychmiast zupełnej swobody serca. Doświadczyłam tego w stosunkach moich ze spowiednikami. Zawsze kochałam mocno tych, którzy kierowali duszą moją; lecz szczególnie od czasu, jak zupełnie oddałam się im w posłuszeństwo, miłość moja ku nim jeszcze bardziej się wzmogła. Nie skąd inąd, jak sądzę, pochodziła we mnie ta rosnąca ku nim przychylność serca, jedno z tego, że w całej szczerości i prawdzie widziałam w nich namiestników Boga; stąd też, czując się zupełnie bezpieczną w tym względzie, z prostotą wszelką okazywałam im moje dla nich uczucia. Oni przeciwnie, jako bogobojni i wierni słudzy Boży, obawiali się, bym się w czem nie uplątała, i by przywiązanie moje, choć święte, nie przebrało miary, i z tego powodu surowo i twardo mię odpychali. Śmiałam się nieraz w duchu, widząc jak bardzo się mylą; nie zawsze też wdawałam się w obszerne tłómaczenia, dla przekonania ich jak mało jestem przywiązaną do jakiejbądź rzeczy stworzonej: ogólnie

tylko uspokajałam ich, i oni też. w miarę jak głębsze duszy mojej poznanie odkrywało im, jak wiele jestem winna Panu, pozbywali się tych obaw i podejrzeń swoich, które zawsze bywały tylko z początku.

Z tych widzeń, w których Pan mi się ukazywał, coraz wyżej rosła we mnie miłość i ufność ku Niemu. Tak ustawicznie z Nim przestając, coraz lepiej Go poznawałam. Widziałam, że będąc Bogiem, jest także i człowiekiem, i nie dziwi się ułomności ludzkiej, bo zna nędzne utworzenie nasze, tylu upadkom podległe, skutkiem grzechu pierworodnego, dla naprawienia którego On przyszedł. Choć to Pan, mogę przecie rozmawiać z Nim jak z przyjacielem, bo widzę i czuję, że nie jest to pan, na podobieństwo tych, których tu na ziemi mamy za panów, a którzy całe państwo swoje zasadzają na okazałości i wielmożności pożyczanej. Można z nimi mówić tylko o pewnych godzinach, i to nie każdy, tylko ludzie wyższego stanowiska i rodu; biedak jaki, jeśli ma do nich potrzebę, ileż dróg ubocznych, ile protekcyi, ile zachodu nałożyć musi, nim się posłuchania doprosi. A cóż dopiero, jeśli to nie pan zwyczajny, jedno król! Tu już ubogi człowiek z pospólstwa nie ma przystępu, trzeba być szlachcicem dobrze urodzonym; a i ten nie łatwo się dostanie przed oblicze królewskie, jeśli nie uprosi dworzan przybocznych i faworytów; a ci, nie są to, rzecz pewna, ludzie, którzyby świat zdeptali nogami, i bez bojaźni, jak być powinno, mówili prawdę; tacy ludzie nie są przydatni do przebywania na dworach królewskich; tam prawda nie popłaca; tam co widzisz złego, musisz pokrywać milczeniem, i ledwo w myśli śmiesz je potępiać, byś snać nie popadł w niełaskę.

O Królu chwały i Panie panujących! twoje królestwo nie potrzebuje do obrony swojej marnych ogrodzeń, bo jest to królestwo wieczne. Jakże swobodny, bez potrzeby pośredników, każdemu otwarty przystęp do Ciebie! Dość ujrzeć Osobę twoję, a widzi się od razu, że Ty jeden godzien jesteś tej nazwy Pana. Sam widok Majestatu Twego, bez orszaku królewskiego ni straży, dostatecznie świadczy o tem, żeś Ty jest Król. Tu na ziemi, widząc króla samego, nie łatwo poznać w nim króla; jakkolwiekby chciał być uznanym w swej królewskiej godności,

nikt mu nie da wiary, bo sam z siebie niczem się nie różni od drugich; potrzeba dopiero by ludzie widzieli zewnętrzne na nim oznaki królewskie, aby go poznać mogli. Dla tego też słusznie otacza się tą pożyczaną okazałością, bo gdyby nie ona, niktby na niego nie spojrzał. Potęga i wielmożność nie z niego wynika, musi ją, i powagę i władzę swoję brać skąd inąd. O Panie mój! o Królu mój! ktoby zdołał ludzkiemi słowy opisać wielmożność twoję? Niepodobna nie widzieć, żeś Ty jest wielki Monarcha sam z siebie. Taki jest ogromny Majestat Twój, że nie można nań patrzeć bez strachu. Ale większy jeszcze strach ogarnia, Panie mój, gdy się widzi to głębokie upokorzenie, do którego ten Majestat Twój poniżasz, i tę miłość, którą raczysz okazywać takiemu, jak ja, stworzeniu. Wszakże, ochłonąwszy z tego pierwszego przestrachu, wolno nam przedstawiać Tobie wszelkie potrzeby nasze, i rozmawiać z Tobą, ile sami zechcemy; na miejsce strachu, jaki wzbudzał w nas widok Majestatu twego, następuje drugi, większy strach, byśmy Ciebie nie obrazili; ale nie jest to strach karania Twego, jedno bez żadnego porównania większy strach utracenia Ciebie samego. — Takie są, prócz innych wielkich, korzyści, pozostające w duszy z tego widzenia. Po skutkach jego poznaje się, czy ono jest od Boga, jeśli Bóg raczy dać duszy światło ku temu; bo jak już mówiłam, nieraz podoba się Panu pozostawić ją w ciemnościach, tak iż tego światła nie widzi; zaczem i nie dziw, że wtedy, znając siebie tak nędzną i grzeszną, mimowoli się boję.

Nie dalej jak temi czasy, doznałam takich ciemności. Przez cały tydzień byłam w takim stanie, że nie miałam w sobie, zdawało się, ani zdołałam wzbudzić w sobie uczucia moich dla Boga powinności, ani pamięci łask i dobrodziejstw Jego; umysł miałam odrętwiały i sama nie wiem, gdzie i jak się błąkający. Nie było w nim zapewne myśli złych, ale tak się czułam niezdolną do jakiejbądź myśli dobrej, że śmiałam się z samej siebie, i pewne miałam zadowolnienie, widząc taką niskość duszy mojej, skoro Bóg na chwilę zawiesi ciągłe swoje w niej działanie. Czuje wprawdzie dusza w tym stanie, że nie jest bez Niego: bo nie jest to taki stan zupełnego opustoszenia wewnętrznego, jak go niekiedy doświadczam, i wyżej opisałam; ale

jakkolwiek nanosi drwa, i robi to nie wiele, co sama z siebie zrobić może, ogień miłości Bożej nie chce zapłonąć. Wielkie jeszcze miłosierdzie Pańskie, jeśli choć dym się pokaże, na znak że ogień nie całkiem wygasł. Pan w swoim czasie na nowo go rozpali; ale nim ta chwila nastąpi, żadne, choćby aż do wysuszenia głowy, dmuchanie, żadne poprawianie drew nic nie pomoże, owszem tem bardziej, zdawałoby się, ogień zatłumia. Najlepsza wtedy, zdaniem mojem, rada, dać za wygraną i przyznać się szczerze do własnej nieudolności swojej, a tymczasem, jak mówiłam, zająć się innemi rzeczami, mającemi zasługę przed Bogiem. Może właśnie dla tego Pan odejmuje jej do czasu dar modlitwy, aby i tym uczynkom się oddawała, a przytem z własnego doświadczenia przekonała się, jako sama z siebie mało do czego jest zdolną.

Ale i to rzecz pewna, że dzisiaj roskosznie powetowałam sobie z Panem za utrapienie moje. Ośmieliłam się nawet skarżyć Mu się na Niego:—Czyż mało tego jeszcze, mówiłam, o Boże mój, że mię trzymasz w tem nędznem życiu, i że dla miłości twojej znoszę je, i zgadzam się, kiedy tak chcesz, żyć na tem wygnaniu, gdzie wszystko mi jest przeszkodą do cieszenia się Tobą, i muszę jeść, i spać, i interesa załatwiać, i z ludźmi obcować, a wszystko to znoszę dla miłości twojej? Ty dobrze wiesz, Panie mój, jaka to dla mnie męka, czemuż więc jeszcze w tych rzadkich chwilach, kiedy mogłabym cieszyć się Tobą, Ty się przede mną ukrywasz? Jak się to zgadza z miłosierdziem twojem? Jak może na to pozwolić miłość, jaką mię miłujesz? Gdybym ja, przypuściwszy rzecz niemożliwą, chciała i mogła ukrywać się przed Tobą, jak ty ukrywasz się przedemną, sądzę i pewna jestem, że miłość twoja tegoby nie zniosła. Ale Ty zawsze jesteś ze mną i każdej chwili mię widzisz. Taka nierówność, Panie, nie uchodzi; zważ, błagam, że jest w tem krzywda dla tej, która Cię tak gorąco miłuje. Takie i inne podobne rzeczy odważyłam się mówić; a muszę tu dodać, że na chwilę pierwej zastanawiałam się nad tem, jak dalece, w porównaniu z tem, na co zasłużyłam, łaskawe i łagodne było to miejsce, które widziałam dla siebie w piekle zgotowane. Ale miłość nieraz tak mię porywa, że już nie posiadam siebie, i wtedy z nie-

powstrzymaną siłą takie skargi wylewam, a Pan wszystko to słucha i znosi. Chwała bądź tak łaskawemu Królowi! Czy ważyłby się kto do ziemskiego króla z taką śmiałością przystąpić? Chociaż, że do króla nie śmie się tak mówić, temu jeszcze się nie dziwię; królowi i panom naczelnym w królestwie słusznie się należy bojaźń i uszanowanie. Ale dziś już do tego doszły rzeczy na świecie, że drugiego życia potrzebaby temu, ktoby się chciał wyuczyć wszystkich nowych ceremonii i sposobów grzeczności, poważania, uszanowania, jakich zwyczaj przyjęty wymaga, a przytem chciałby jeszcze cóś życia i czasu oszczędzić na służbę Bożą. Mnie się to wszystko w głowie nie mieści. Przyznaję, że gdy schroniłam się do tego klasztoru, nie wiedziałam już jak z ludźmi żyć; bo te ceremonie biorą się u świata wcale nie na żarty, i jeśli któremu z tych wielkich panów przez nieuwagę czy zapomnienie zaniechasz oddać cześć, nie tylko taką, jaka mu się należy, ale i daleko większą, niż na nią zasługuje, on to na prawdę poczytuje sobie za obelgę, i potrzeba dopiero przepraszać i tłomaczyć się, że to się stało tylko przez nieuwagę, że nie miałeś zamiaru ubliżenia mu, i szczęście jeszcze, jeśli ci uwierzy. Powtarzam, już nie wiedziałam, jak żyć ze światem; biedna dusza zewsząd tu ma targanie i umęczenie. Z jednej strony mówią jej, że dla uchronienia się od grożących jej niebezpieczeństw, powinna wciąż pamiętać o Bogu, i myśli swoje do Niego kierować; a z drugiej, żądają od niej ścisłego przestrzegania wszelkich grzeczności i ceremonii światowych, by snać tym, którzy na takich fraszkach honor swój zasadzają, nie dała zgorszenia i powodu do obrażenia się. Ciągłe miałam z tem utrapienie, przepraszań nigdy nie było końca, bo jakkolwiek się starałam i uczyłam, nigdy nie zdołałam ustrzedz się różnych uchybień w tych bagatelach, które w oczach świata wcale nie są bagatelami. W rzeczy samej, życie zakonne powinnoby dostateczną być dla nas wymówką od tych ceremonii, i wedle sprawiedliwości, nie należałoby nam brać za złe podobnych uchybień. Ale na to odpowiadają że nie, że klasztory powinny być szkołą i siedliskiem obyczajności i dobrego wychowania. Tego ja żadną miarą nie rozumiem. Snać słyszeli, co mówił któryś święty, że klasztor powinien być szkołą i dworem,

kędyby ludzie dobrej woli wychowywali się na dworzan królestwa niebieskiego, a oni to słowo najprawdziwsze wywrócili na wspak. Jakim sposobem, kto z powołania swego powinien się starać o to, aby we wszystkiem podobał się Bogu, a światem się brzydził, ma jeszcze tak bardzo troszczyć się o to, aby podobał się ludziom światowym, i stosował się do ich wymagań, i to jeszcze nie wiem jak często się zmieniających? Bo gdybyż to można tych ceregielów wyuczyć się raz na zawsze, jeszczeby to uszło; ale teraz do napisania i zatytułowania listu potrzeba osobnego profesora, któryby nauczył, co i jak robić, na przykład, kiedy zostawić margines z prawej strony arkusza, a kiedy z lewej, albo jak tytułować jaśnie wielmożnym tego, który przedtem nie tytułował się i Urodzonym. Nie wiem jak daleko jeszcze to zajdzie; nie mam jeszcze piędziesięciu lat, a tyle już w tych rzeczach przeżyłam różnych zmian, że teraz nie umiem żyć, i nie wiem jak tam dzisiaj potrzeba się zachowywać na świecie; cóż poczną ci, którzy dopiero się urodzili, jeśli im przyjdzie długo żyć? Wyznaję, że szczerze mi żal ludzi pobożnych i życiu duchownemu oddanych, którzy dla wyższych i świętych celów zmuszeni są żyć w pośród świata; mają oni straszny krzyż do dźwigania. Gdyby tak zdobyli się na odwagę, i jednomyślnie wszyscy ogłosili się ignorantami, i radzi zgodzili się na to, by ich miano za ignorantów w tej zbytnie lekkiej umiejętności, dużo oszczędziliby sobie kłopotu.

Lecz w jakież to zaplątałam się dzieciństwa? Chciałam mówić o wielmożnościach Boga, a zeszłam na długą rozprawę o małościach świata! Kiedy Pan użyczył mi tej łaski, że je mogłam porzucić na zawsze, więc już i mówić więcej o nich nie chcę. Niech się tam bawią niemi, kiedy chcą, ci którzy z takim zachodem i trudem ubiegają się za temi błahościami. Daj Boże, by nie odpokutowali za nie w przyszłem życiu, gdzie nie masz odmiany! Amen.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

O innych wielkich łaskach, jakich Pan jej użyczał, ukazując jej niektóre tajemnice niebieskie, i inne wysokie widzenia i objawienia. Jakie skutki sprawiały w niej te objawienia, i jak wielkie, dzięki im, dusza jej czyniła postępy.

Pewnego dnia wieczorem, czując się bardzo niezdrową, i chcąc z tego powodu uchylić się od rozmyślania, wzięłam do ręki różaniec, aby się zająć modlitwą ustną, starając się przytem nie zmuszać umysłu do skupienia się, choć zewnętrznie byłam skupiona i samotna w kaplicy. Ale przeciw woli Pańskiej nic nie pomaga wszelkie staranie nasze. Po krótkiej chwili takiej modlitwy, przyszło na mnie zachwycenie ducha, z taką gwałtownością i siłą, że nie było sposobu się oprzeć. Ujrzałam się przeniesioną do nieba, i pierwsze osoby, jakie tam spotkałam, byli to ojciec mój i matka, zaczem, w bardzo krótkim przeciągu czasu, nie dłuższym może niż jedno Zdrowaś Marya, oglądałam dziwy niewypowiedziane. Być może jednak, że widzenie to dłużej trwało, bo w takim stanie czas wydaje się bardzo krótki. Pod wrażeniem takiej łaski niesłychanej, dłuższy czas pozostałam bez zmysłów. Jednakże, gdym wreszcie przyszła do siebie, byłam w obawie, czy całe to widzenie nie było prostem tylko złudzeniem, jakkolwiek zdawało mi się, że nie. Nie wiedziałam co począć, bo wielki mię był wstyd pójść z tem do spowiednika, nie przez pokorę, jak sądzę, ale że się bałam by mnie nie wyśmiał i nie zapytał, czy to ja Paweł czy Hieronim, bym oglądała tajemnice niebieskie. Właśnież to, że tacy wielcy święci podobne mieli objawienia, jeszcze większą mię przejmowało obawą; płakałam rzewnemi łzami, nie pojmując zgoła, jakim sposobem mnie niegodnej takaż, jak im, łaska dostać się mogła. W końcu, choć z wielką przykrością, wyznałam wszystko spowiednikowi, bo ukrywać cokolwiekbądź, choćby mię wyznanie najwięcej kosztować miało, nigdy nie śmiałam, tego zawsze nadewszystko się bojąc, bym nie uległa jakiemu złudzeniu. Spowiednik, widząc mię tak strapioną, pocie-

szał mię bardzo i wiele mi dobrych rzeczy powiedział na uspokojenie mnie.

W późniejszym czasie zdarzało mi się nieraz, i dotąd się zdarza, że Pan stopniowo objawia mi większe jeszcze tajemnice. Chcieć widzieć więcej nad to, co się w danej chwili duszy przedstawia, byłoby rzeczą próżną; jest to zgoła niepodobna; nigdy nic więcej nie widziałam niż to, co Pan za każdym razem chciał mi objawić. A są to rzeczy tak wielkie, że najmniejszej z nich dosyć na pogrążenie duszy w najgłębszem zdumieniu, i na tak wysokie podniesienie jej nad te rzeczy doczesne, iż niczem jej się wydaje wszystko co przemija. Chciałabym choć w cząstce niejakiej opisać choćby najmniejsze z tych objawień; ale jakkolwiekbym się wysilała, widzę że to rzecz niepodobna, bo taka między światłem, jakie tu widzimy, a onem które tam świeci, i całe jest światłością, zachodzi różnica, że niepodobna jednego z drugiem porównać, i w obec tamtej jasności, jasność tego słońca naszego wydaje się ciemnością. Słowem, żadna, choćby najwyższa i najprzenikliwsza wyobraźnia nie zdoła przedstawić sobie blasku tej jasności, ani żadnej z tych rzeczy, które Pan mi ukazywał, ani tej przewyższającej szczęśliwości, jaką mię to widzenie napełniało; bo wszystkie zmysły doznają tam tak wysokiej i tak słodkiej roskoszy, że żadne słowa tego nie wyrażą; lepiej więc o tem nie mówić.

Raz, całą godzinę byłam w tym stanie, i Pan, zdawało mi się, przez cały ten czas nie odstępował od boku mego i ukazywał mi rzeczy przedziwne. Potem rzekł do mnie:—„Obacz, córko, jakie to skarby tracą ci, którzy mnie są przeciwni; powiedz im to, nie omieszkaj.“ Niestety, Panie, odrzekłam, co pomogą słowa moje tym ślepym, własnemi czynami swemi oślepionym, jeśli Ty, w Boskiej dobroci twojej, ich nie oświecisz? Są tacy, którym użyczyłeś tego światła, zaczem też z oznajmienia im wielmożności twoich odnieśli korzyść i nawrócili się do Ciebie; wszakże, gdy widzę je objawione takiemu, jak ja, grzesznemu i nędznemu stworzeniu, rzecz to dziwna doprawdy, że mogli się między nimi znaleźć tacy, którzy mi dali wiarę. Błogosławione niechaj będzie imię i miłosierdzie twoje, że przynajmniej we własnej duszy mojej doznałam tak widocznej od-

miany na lepsze. Istotnie, od czasu tych rajskich widzeń, dusza moja radaby już na zawsze pozostać tam w niebie i nie wracać się więcej do tego życia, bo wielką one we mnie pozostawiły wzgardę dla wszystkich rzeczy tej ziemi; wszystko to wydaje mi się jakby błoto, i jasno widzę, jak głęboko siebie poniżamy, gdy się do tych rzeczy przywiązujemy.

W czasie pobytu mojego u onej pani [1]), o której była mowa wyżej, zdarzyło się raz, że mię schwycił on gwałtowny ból serca, na który, jak mówiłam w swojem miejscu, dawniej często cierpiałam,—teraz już nie tak silnie nań cierpię. Pani ona, jako była dobra i litościwa, kazała mi poznosić kosztowności swoje, klejnoty złote i z kamieni drogich, szczególnie brylant jeden, który sobie bardzo wysoko ceniła; sądziła, że oglądanie tych wspaniałości sprawi mi przyjemną w cierpieniu mojem rozrywkę. Ja tylko śmiałam się w duchu i litowałam się zarazem, porównywając w myśli te rzeczy, które ludzie tak sobie cenią, z tem co Pan nam zgotował i dla nas zachowuje; czułam, że jakkolwiekbym się o to starać chciała, nie potrafiłabym żadną miarą przywiązywać najmniejszej wagi do tych rzeczy, chybaby Pan pierwej zatarł we mnie pamięć tamtych rzeczy niebieskich. Ta wyższość nad wszelkie dobra doczesne, jest to dla duszy prawdziwe, wspaniałe królowanie, tak wspaniałe i wielkie, że ten tylko zdoła zrozumieć całą wielkość jego, kto je sam posiada. To jest prawdziwe i czyste oderwanie się; Bóg sam je w nas sprawuje, bez żadnej pracy naszej; On sam te prawdy tak jasno nam objawia, iż pozostają wyryte głęboko w duszy naszej, i wyraźnie to widzimy i czujemy, że sami z siebie żadną miarą nie zdołalibyśmy w taki sposób i tak prędko wznieść się do stanu tak wysokiego.

Prawdy te i objawienia odjęły mi także prawie zupełnie bojaźń śmierci, którą dawniej miałam bardzo wielką. Dziś, dla duszy wiernie służącej Bogu, śmierć wydaje mi się rzeczą najłatwiejszą w świecie, skoro przez nią dusza widzi siebie w jednej chwili wyzwoloną z tego więzienia, i przeniesioną na odpocznienienie. Zachwycenia one, gdy Bóg porywa ducha do siebie,

[1]) Ludwiki de la Cerda w Tolecie.

i ukazuje mu rzeczy tak wysokie, wielkie mają, zdaje mi się, podobieństwo z chwilą, gdy dusza wychodzi z ciała, i w tejże chwili dostępuje zupełnego widzenia najwyższego Dobra. Pomijam boleści rozłączenia; nie jest to rzecz tak bardzo wielkiej wagi, i kto prawdziwie za życia miłował Boga i miał serce oderwane od marności tego świata, ten też snać łatwiej i bez boleści umiera.

Dużo też, jak sądzę, dopomogły mi te objawienia do jaśniejszego poznania, gdzie jest prawdziwa ojczyzna nasza, i jako tu na ziemi jesteśmy tylko pielgrzymi i przechodnie. Wielkie to szczęście komu dano oglądać rzeczy tamtego świata, i miejsce, kędy ma żyć wiecznie; jako wędrowiec, z daleka dążący do krainy w której ma zamieszkać, z większą łatwością i otuchą będzie znosił trudy podróży, gdy wie i naocznie o tem się przekonał, że tam, dokąd zmierza, czeka go słodki, niczem niezmącony odpoczynek: tak i ten, kto raz ujrzał rzeczy niebieskie, z łatwością potem wznosi się do rozważania ich, i niem sobie osładza przykrości ziemskiej pielgrzymki, i prawdziwie już, rzec można, ma obcowanie swoje w niebiesiech. Jedno spojrzenie w niebo pogrąża duszę jego w głębokiem skupieniu, wszystka myśl jego roskosznie się zatapia w tej rajskiej krainie, której chwałę Pan z daleka raczył mu ukazać. Wielki to zysk! Nieraz tego doznaję, że towarzystwem mojem i pociechą moją są ci, którzy tam żyją, i którzy sami, zdaniem mojem, prawdziwie żyją; ci zaś, którzy tu żyją, tak mi się wydają umarłymi, że choćby cały świat mi dotrzymywał towarzystwa, jeszcze czułabym się wśród niego samotną. Doświadczam tego szczególnie w chwilach, kiedy przychodzą na mnie one wielkie zapały miłości; wówczas wszystko, co widzę oczyma ciała, wydaje mi się jakby sen i naigrawanie; wszystko pożądanie moje ciąży ku temu, co oglądałam oczyma duszy, a że od tych rzeczy widzę się jeszcze daleką, więc z tęsknoty umieram. Słowem, objawienia te są jedną z najprzedniejszych łask, jakich dusza w tem życiu może dostąpić od Pana; bierze z nich siłę i pomoc skuteczną ku noszeniu ciężkiego krzyża, jakim jest dla niej to życie, w którem nic jej zadowolnić nie może, wszystko jest dla niej uprzykrzeniem; i gdyby Pan nie odbierał jej

niekiedy pamięci na to, co widziała, choćp amięć ta rychło powraca, nie wiem jak mogłaby żyć. Jemu bądź cześć i chwała na wieki! A proszę Boskiego Majestatu Jego, przez tę krew, którą Syn Jego przelał za mnie, niech nie dopuszcza tego, kiedy już raczył mi objawić jakąś cząstkę onych dóbr nieskończonych, i dał mi poniekąd zakosztować słodkości ich, aby mnie jeszcze miało spotkać to, co spotkało Lucyfera, bym z winy mojej postradała to wszystko. Niech tego nie dopuszcza, błagam Go o to na Boską wielkość i dobroć Jego! Chwilami, wyznaję, nie małą o to mam trwogę; ale z drugiej strony, i to bywa najczęściej, miłosierdzie Boskie dodaje mi otuchy, że kiedy wyrwał mię z tylu grzechów moich, nie zechce i nadal wypuścić mnie z ręku swoich, i nie da mi zginąć na wieki. Błagam Waszej Miłości, nie ustawaj błagać za mną Pana, aby tak się stało.

Jakkolwiek wielkie są łaski, o których dotąd mówiłam, ta, którą teraz opiszę, zdaje mi się jeszcze większą, ze względu na nadzwyczajne skutki, jakie we mnie sprawiła, i na dziwną moc i siłę, jaką z niej dusza moja odniosła; lubo, ściśle mówiąc, każda z tych łask sama w sobie tak jest wielką, że próżna rzecz wdawać się w porównania, która z nich większa albo mniejsza. Pewnego dnia, było to w wigilię Zesłania Ducha Świętego, byłam się po Mszy schroniła na miejsce samotne, gdzie często przebywałam na modlitwie, i wziąwszy do rąk księgi jednego Kartuza [1]), czytałam w niej ustępy, odnoszące się do jutrzejszej uroczystości. Natrafiłam w niej na objaśnienie znaków, po których ma się poznawać obecność Ducha św., bądź w poczynających, bądź w postępujących, bądź w dosko-

---

[1]) Księga, o której tu mówi Święta, był to przekład hiszpanski słynnego dzieła Ludolfa saksońskiego, p. t. *Vita Christi*, — „Żywot Chrystusa“—pełnego i głębokiej nauki i nadziemskiego namaszczenia. Przedziwna ta księga zaczyna się od słów: *Fundamentum aliud*, a na końcu każdego rozdziału autor kładzie przenikająco pobożną i rzewną modlitwę. Oprócz Żywota Chrystusa Pana, świętobliwy ten zakonnik pozostawił nam jeszcze uczony wykład Psalmów, gdzie podobnież każdy Psalm kończy się piękną, odpowiedną treści onegoż modlitwą. Ludolf Saksoński pisał te dzieła swoje za cesarza Ludwika IV, około r. 1330. Ostatnie lata życia swego spędził w kartuzie sztrasburskiej.

nałych. Rozważając pilnie wskazane tam znaki tego trojakiego stanu, i stosując je do siebie, przyszłam do wniosku, że o ile mogę sądzić o sobie, snać z łaski i miłosierdzia Boga, jest we mnie Duch Święty, za co poczęłam czynić Mu dzięki najgorętsze. Zarazem przypomniałam sobie, że kiedyś dawniej też same uwagi czytałam, i że wówczas równie jasno widziałam w sobie brak tych znaków, jak teraz widzę, że je posiadam, zaczem jeszcze wyraźniej stanęła mi przed oczyma cała wielkość łaski, jaką Pan mi uczynił, i porównywając miejsce zgotowane mi w piekle, jak na nie byłam zasłużyła, z obecną nie do poznania zmianą duszy mojej, tem żarliwiej wielbiłam Boga za to wielkie nademną miłosierdzie Jego. W ciągu takich rozważań moich, nagle, bez żadnego wiadomego mi powodu, przyszło na mnie wielkie uniesienie ducha; miałam uczucie, jak gdyby dusza moja, nie czując się zdolną znieść takie szczęście niezmierne, i jakoby nie mogąc wytrzymać w ciele, siłą wyrywała się z niego. Uniesienie to, w inszy sposób niż zwykle, jak mi się zdawało, na mnie działające, tak było gwałtowne, że niepodobna było opanować go, a duszę czułam w sobie tak do dna wstrząśniętą, że nie wiedziałam, co jej jest, ani czego chce. Siły tak mię zupełnie odeszły, że choć siedząca, nie mogłam się utrzymać, i musiałam się oprzeć o ścianę. W tejże chwili ujrzałam nad głową swoją gołębicę, różną bardzo i większą od naszych ziemskich gołębi; miasto pierza, miała na skrzydłach jakby łuski z massy perłowej, silny blask z siebie wydające. Zdawało mi się, że słyszę szelest poruszania tych skrzydeł. Tak unosiła się nademną przez czas jednego Zdrowaś Marya, aż dusza moja, gubiąc się w zachwyceniu, i ją straciła z oczu. Duch się uspokoił, czując w sobie gościa tak dobrego, choć zdawałoby się, że taka cudowna łaska powinna go była raczej zatrwożyć i przerazić. Ale w obec roskoszy z niej płynącej, trwoga ustąpiła miejsca, i ledwo zakosztowałam tej roskoszy, uczułam w sobie spokój nadziemski, i tak pozostałam w zachwyceniu. Chwała tego zachwycenia była ogromna; większą część świąt chodziłam tak pogrążona w sobie i nieprzytomna, że nie wiedziałam, co z sobą począć, ani jakim sposobem taka niezmierna łaska i szczęśliwość może się we mnie zmieścić. Nic, rze-

kłabym prawie, nie widziała ani nie słyszała, od tej wielkiej szczęśliwości i roskoszy wewnętrznej. Od onego dnia czuję w sobie bardzo wielki postęp, i nierównie wyższy stopień miłości Bożej, i nierównie silniejsze w cnotach utwierdzenie. Chwała bądź Panu i dziękczynienie za nieskończoną dobroć Jego, na wieki. Amen.

Innego razu, ujrzałam tęż gołębicę, unoszącą się nad głową jednego Ojca z zakonu świętego Dominika, tylko że promienie i jasność jej skrzydeł nierównie dalej, jak mi się zdawało, się rozciągały. Objawiono mi, że ten Ojciec wiele dusz pociągnie do Pana.

Pewnego dnia znowu, widziałam Najświętszą Pannę, odziewającą w płaszcz olśniewająco biały tego teologa dominikanina, o którym kilkakrotnie mówiłam [1]. Objawiła mi Królowa Niebieska, że takim darem wywdzięcza mu się za usługę, jaką Jej oddał, przyczyniając się skutecznie do założenia naszego domu, i że jasny ten płaszcz oznacza jasność i czystość, w jakiej od tego dnia zachowa duszę jego, broniąc jej od grzechu śmiertelnego. I tak się stało, pewna tego jestem; bo od onego dnia aż do śmierci jego, która nastąpiła w kilka lat potem, Ojciec ten w tak surowej pokucie żył, i tak święcie umarł, że sądząc po ludzku, najmniejszej nie masz wątpliwości, że mu Panna Najświętsza dotrzymała obietnicy. Jeden z braci, którzy byli przy śmierci jego, mówił mi, jako przed skonaniem usłyszał z ust umierającego, iż widzi stojącego przy boku swoim świętego Tomasza. Umarł z wielkiem weselem, i z gorącem pożądaniem, wyglądając chwili wyzwolenia swego z tego wygnania. Tak wielki miał dar modlitwy, że nawet na krótko przed śmiercią, choć z powodu wielkiego wycieńczenia sam chciał myśl oderwać od ciągłego zanurzenia w rzeczach wiecznych, dokazać tego nie mógł, raz wraz mimowoli wpadając w zachwycenie. W ostatnich czasach życia swego pisał do mnie, prosząc o wskazanie mu sposobu zapobieżenia tym zachwyceniom, gdyż często, kończąc Mszę świętą, wpadał w ekstazę.

---

[1] O. Piotra Ybanez. W ostatnich latach życia swego, był on przeorem klasztoru w Trianos, tam umarł r. 1565.

i żadną miarą nie mógł się od tego obronić. W końcu też Bóg oddał mu nagrodę zasłużoną, za tę wielką gorliwość, z jaką Mu służył.

Miałam także widzenie niektórych łask nadzwyczajnych, jakie Pan czynił wspomnianemu kilkakrotnie rektorowi kollegium jezuickiego [1]); ale nie chcąc się zbytnie rozszerzać, pomijam je. Wspomnę tu tylko, co się stało w czasie, gdy Ojciec ten nawiedzony był ciężkiem utrapieniem, skutkiem bolesnego bardzo, jakie nań przyszło, prześladowania. Jednego dnia, będąc na Mszy świętej, ujrzałam w chwili Podniesienia, Chrystusa wiszącego na krzyżu; powiedział mi kilka słów pociechy dla tego Ojca, abym mu je powtórzyła, ostrzegając go zarazem o tem, co jeszcze przyjść miało, i stawiając mu przed oczy Mękę, jaką poniósł za niego, aby pamięć na nią dodała mu męstwa i gotowości do cierpienia. Objawienie to bardzo go pocieszyło i na duchu pokrzepiło; potem zaś wszystko tak się stało, jak mi Pan był przepowiedział.

Podobnież i o innych członkach jego zakonu, to jest Towarzystwa Jezusowego, i o całym tym zakonie, widziałam rzeczy wspaniałe. Widziałam ich niejednokrotnie tryumfujących w niebie, z białemi chorągwiami w ręku; i innych wiele, powtarzam, rzeczy przedziwnych, Pan mi o nich objawił. Wielką też mam cześć dla tego zakonu; wielu z Ojców miałam sposobność poznać z bliska, i przekonałam się, że życie ich zupełnie zgadza się z tem, co Pan mi o nich powiedział.

Jednego dnia wieczorem, gdy byłam na modlitwie, Pan przemówił do mnie, i powiedział mi na wstępie kilka słów, któremi przypominał mi dawne grzeszne życie moje. Słowa te głębokiem mię przeniknęły zawstydzeniem i żalem; bo choć nie powiedziane tonem surowym, taką przecie w sobie mają moc i dzielność, że słysząc je, dusza czuje się na proch startą od żałości i skruchy, i jedno takie słowo jaśniejsze w nas sprawuje poznanie samych siebie, niż całe dni własnego zastanawiania się nad nędzą naszą, bo taki nosi wyryty na sobie charakter najwyższej prawdy, iż zgoła niepodobna mu przeczyć.

---

[1]) O. Gasparowi de Salazar.

Stawiając mi tedy przed oczy tyle marności, jakim się oddawałam, rzekł do mnie: — „Za wielką łaskę to sobie poczytuj, że sercu tak marnie skażonemu pozwoliłem jeszcze ukochać Mnie, i przyjąć je zechciałem.“ Takie wyrzuty nieraz z ust Jego słyszałam. Raz powiedział mi: — „Pamiętaj na te czasy, kiedy cześć twoję zasadzałaś na sprzeciwianiu się czci mojej“. Innym razem znowu: — „Pamiętaj, jak wiele mi jesteś winna, że kiedy ty najciężej mię obrażałaś, Ja ciebie obsypywałem łaskami.“ Za każdem, jakiego się dopuszczę, uchybieniem, Pan strofuje mię za nie z taką siłą, że cała od żalu i wstydu ustaję; a że tych uchybień bywa wiele, więc i strofowania te często się powtarzają. Nieraz mi się zdarza, że po surowszem jakiem ze strony spowiednika napomnieniu, szukając sobie pociechy na modlitwie, tam dopiero spotykam się z takiem napomnieniem, że w porównaniu z niem tamto jest niczem.

Wracając do tego, o czem zaczęłam mówić, gdy Pan w taki sposób stawiał mi przed oczy niecnotliwe życie moje, ja, ponieważ wówczas, zdawało mi się, nic nie byłam uczyniła, wśród łez moich zaczęłam się domyślać, że Boska dobroć Jego nową jaką łaskę mi gotuje: bo najczęściej tak bywa, że gdy mam otrzymać szczególną jaką łaskę, Pan z udzieleniem jej jakoby czeka chwili, aż się pierwej w skrusze i zawstydzeniu wyniszczę przed obliczem Jego; snać dla tego tak czyni, bym tem jaśniej widziała, jak dalece jestem takiej łaski niegodną. W chwilę potem, takie przyszło na duszę moję zachwycenie, jak gdyby zupełnie już wyszła z ciała; przynajmniej zupełnie nie czuła, by jeszcze żyła w niem. Ujrzałam najświętsze Człowieczeństwo w tak nadzwyczajnie przewyższającej chwale, w jakiej go nigdy przedtem nie widziałam. W przedziwnie jasnej światłości ukazało mi się ono, jako jest na łonie Ojca, choć w jaki sposób ono tam mieszka, tego objaśnić nie zdołam; widziałam tylko, zdawało mi się, bez widzenia, że jestem w obecności tego Bóstwa. Widzenie to pogrążyło mię w takiem zdumieniu, że przez kilka dni przyjść do siebie nie mogłam. Zdawało mi się ustawicznie, że mam jeszcze obecny przed sobą ten Majestat Syna Bożego, choć nie tak już, jak kiedy go istotnie oglądałam. Rozumiałam dobrze, że jest to

tylko żywe w duszy wyobrażenie tego, co byłam widziała; bo każde takie widzenie, chociażby trwało najkrócej, pozostaje głęboko wyryte w wyobraźni i nie prędko z niej ustępuje. Wielka to dla duszy pociecha i nieoceniony pożytek.

Toż samo widzenie miałam potem jeszcze dwa czy trzy razy. Z wszystkich objawień, jakiemi Pan raczył mię obdarzyć, to, zdaniem mojem, jest najwyższe. Sprawuje ono skutki prawdziwie cudowne; oczyszcza duszę w sposób zgoła niewypowiedziany, i przyrodzonej zmysłowości naszej wszystką niemal siłę odbiera. Jest to jakoby wielki płomień, pochłaniający w sobie i w niwecz obracający wszystkie pożądliwości tego życia. Lubo i przedtem już, z łaski Boga, nie miałam żadnego pociągu do rzeczy znikomych, wszakże tu dopiero z zupełną jasnością ukazała mi się cała marność ich, i nicość wszelkich wielmożności ziemskich, i wysoką stąd powzięłam naukę, jako jedynym celem wszystkich pożądań naszych powinnaby być prawda czysta. Widzenie to pozostawiło także wyrytą w duszy mojej nieopisaną cześć i bojaźń Boga, różną bardzo od tej, jaką tu sami z siebie powziąć zdołamy; przerażenie ogarnia duszę na samą myśl, że śmiała kiedybądź, lub żeby ktobądź ośmielił się obrazić taki ogromny Majestat. Mówiłam już nieraz o skutkach, jakie sprawują w ogóle te widzenia, i nadmieniałam, że skutki te bywają różne, mniejsze albo większe; ale po żadnem z nich nie pozostają w duszy skutki tak potężne i cudowne jak po tem, o którem tu mówię. Gdy przystępując do Komunii świętej wspomnę na to, że tenże sam ogromny Majestat, który oglądałam, jest tu w Najświętszym Sakramencie obecny, albo gdy Pan, co często bywa, raczy mi się widomie ukazać w Hostyi, wtedy włosy mi powstają na głowie, i czuję się cała jakby unicestwiona. O Panie mój! gdybyś nie ukrywał tak wielkości Twojej, któżby się ważył przystąpić do Ciebie, i tyle razy takie nędzne i zmazane stworzenie łączyć z takim wielkim Majestatem? Bądź błogosławiony, Panie, i niechaj wielbią Cię aniołowie i wszystko stworzenie, iż tak przymierzasz dary Twoje do miary ułomności naszej, aby od używania tej łaski Najwyższej nie odstraszała nas groza potęgi Twojej, którą gdybyś objawiał widomie, człowiek słaby i nędzny nie śmiałby

nigdy, nie już cieszyć się używaniem Boskiego daru Twego, ale ani do niego się zbliżyć.

Gdyby nie ta najłaskawsza dla nas względność Boga naszego, mogłoby nas spotkać podobne nieszczęście, jakie się rzeczywiście wydarzyło pewnemu rolnikowi. Znalazł on skarb, ale skarb ten za duży był na ciasną i niską pojętność jego, zaczem nie wiedząc co z nim zrobić, tak się trapił bezpożytecznem posiadaniem jego, iż w końcu umarł ze zgryzoty. Gdyby nie był dostał do rąk całego skarbu odrazu, ale otrzymywał go częściami, mając tym sposobem z czego żyć i zabezpieczyć się od nędzy, byłby żył zadowolniony i spokojny, i nie byłby go smutek o śmierć przyprawił. O Boże, bogactwo ubogich! jakże przedziwnie zaradzasz potrzebom dusz naszych, i mając pogotowiu dla nich skarby nieprzebrane, nie od razu je wylewasz na nie w całości, którąby je ogromem swoim przygniotła, ale powoli je i stopniowo im objawiasz! Gdy widzę taki ogromny Majestat, ukryty w takiej rzeczy maluczkiej, jaką jest hostya, wtedy doprawdy, ustaje dusza moja z podziwienia nad taką nieogarnioną mądrością, i nie wiem jakbym miała siłę i odwagę zbliżyć się do tego Pana, gdyby On sam, obok tych wielkich łask, które mi uczynił i czyni, nie wspierał jeszcze szczególną pomocą słabości mojej; ani też, bez tej szczególnej pomocy Jego, nie zdołałabym ukryć w sobie tego co czuję, i powstrzymać się od głośnego na cały świat opowiadania tych cudownych we mnie tajemnic Jego. Bo co musi czuć w sobie taka, jak ja nędznica, obarczona brzydkościami, która, iż nie było w niej bojaźni Bożej, życie swoje zmarnowała, gdy widzi się złączoną z tym Panem tak ogromnego Majestatu, w Boskiej łaskawości swojej widomie objawiającego się oczom jej duszy? Jakim sposobem te usta, z których tyle wyszło słów, temu Panu uwłaczających, ważą się dotknąć tego ciała, chwałą nieskończoną uwielbionego, przeczystego, łaskawości pełnego? Dla duszy, która była niewierną Panu swemu, niczem jeszcze jest bojaźń, jaką przeraża ją widok majestatu Jego, w porównaniu z tym bólem i z tem skruszeniem, jakie ją rozdziera, gdy wejrzy na Boskiej piękności oblicze Jego, i w najsłodszym, łaskawości i czułości pełnym jego wyrazie

ELLICOTT CITY, MARYLAND

wyczyta tę miłość niepojętą, jaką On ją niegodną umiłował. Lecz cóż dopiero musiało się dziać we mnie, gdy dwukrotnie patrzałam na to, co teraz opowiem? Pewno, Panie mój i chwało moja, w tych wielkich boleściach, jakie czuje dusza moja, z pewnego względu, śmiem twierdzić, uczyniłam cośkolwiek dla służby twojej. Lecz nie, sama nie wiem, co mówię, i choć piszę to, jakoby nie ja to powiadam, co piszę; cała się czuję zmięszana i prawie nieprzytomna, gdy przywołuję sobie na pamięć te rzeczy. Mogłabym-ci powiedzieć, że cóś uczyniłam dla Ciebie, Panie mój, gdyby one uczucia boleści pochodziły ze mnie; lecz gdy żadnej dobrej myśli mieć nie mogę, jedno z daru łaski Twojej, żadna też za nie wdzięczność mnie się nie należy; jam tylko dłużnica Twoja, Tyś, Panie, wierzyciel.

Raz, przystępując do Komunii, ujrzałam oczyma duszy, ale jaśniej, niżbym ich widzieć mogła oczyma ciała, dwóch czartów ohydnej postaci, jak rogami swemi dusili za gardło biednego kapłana przy ołtarzu, i zarazem w partykule, którą tenże kapłan trzymał w ręku i mnie podawał, widziałam Pana mego, w takim, jak mówiłam wyżej, majestacie. Jasno stąd poznałam, że Pan spoczywa w rękach świętokradzkich, i że nieszczęsny ten kapłan ma duszę zmazaną grzechem śmiertelnym. O jakiż to był widok, Panie, widzieć tę Boską piękność Twoję w pośrodku takich ohydnie szpetnych postaci! Czarci oni tak wyglądali wystraszeni i przerażeni obecnością Twoją, że snać ochotnie byliby uciekli, gdybyś Ty im na to pozwolił. Strwożona do głębi tym widokiem, nie wiem już jak zdołałam przyjąć Komunię, i wielka mi po niej pozostała obawa; zdawało mi się, że to widzenie chyba nie mogło być od Boga, że Bóg nie dopuściłby tego, bym widziała nieszczęśliwy stan tej duszy. Ale Pan oznajmił mi, że dla tego pozwolił na to, abym się modliła za tym grzesznym kapłanem, a także abym się naocznie przekonała, jaka jest dzielność słów Konsekracyi, i jako za wymówieniem ich, Pan niechybnie stawia się obecnym, jakkolwiekby grzesznym był kapłan, który je wymawia, i wreszcie, abym poznała wielkość dobroci Jego, jako nie wzdryga się oddać nawet w ręce nieprzyjaciela, a wszystko to dla dobra mojego, i dla dobra wszystkich. Zrozumiałam z tego wi-

dzenia, jak wielki mają kapłani obowiązek wyższej nad drugich świętości, i jaka to okropność, niegodne przyjęcie tego Najświętszego Sakramentu, i jaką straszną moc diabeł ma nad duszą, leżącą w grzechu śmiertelnym. Sama też dla siebie ten wielki odniosłam pożytek, że jaśniej jeszcze poznałam, co jestem winna Bogu. Niech będzie błogosławiony na wieki!

Oto drugie zdarzenie, którego byłam świadkiem, z wielkiem przerażeniem mojem. W miejscu, gdzie przebywałam, umarł człowiek, o którym było mi wiadomo, że przez wiele lat bardzo złe życie prowadził, ale w ostatnich dwu latach przed śmiercią złożony chorobą, zdawało się, że się poniekąd poprawił. Umarł bez spowiedzi; mimo to jednak nie sądziłam, by dusza jego miała być potępioną. Lecz gdy przystępowano do pochowania ciała, ujrzałam z wielkiem przerażeniem zgrają czartów, rzucających się na nie, i igraszkę sobie z niego czyniących, i pastwiących się nad niem, i wielkiemi jakoby widłami tam i sam je wlokących. Gdy je ze czcią i zwykłemi obrzędami niesiono do grobu, podziwiałam w sobie dobroć Boga, iż takiej nawet duszy sławę oszczędza, nie dopuszczając by ludzie wiedzieli, że jest nieprzyjaciółką Jego. Byłam nawpół nieprzytomna od tego widoku. Przez cały czas nabożeństwa żadnego czarta nie widziałam; ale gdy ciało spuszczano do grobu, było ich tam już mnóstwo niezliczone, gotowych na porwanie go. Patrząc na to, prawie od zmysłów odchodziłam z przerażenia, i nie mało mi potrzeba było mocy nad sobą, aby się z tem nie zdradzić. Myślałam sobie, jakie tam męki czarci będą zadawali tej duszy, kiedy już nad nieszczęsnem ciałem jej tak się pastwią. Dałby Pan, by tę okropność, na którą ja patrzałam, ujrzeć mógł każdy żyjący w stanie grzechu; byłoby to dla niego, jak sądzę, skuteczną pobudką do poprawy życia. Z wszystkiego tego poznałam jeszcze jaśniej, jak wiele winną jestem Bogu, i od jakiego nieszczęścia mię wybawił. Nie prędko ochłonęłam z przerażenia mego; spowiednik dopiero, gdym mu wszystko wyznała, uspokoił mię, zwłaszcza że się obawiałam, czy nie była to ułuda diabelska, dla zniesławienia tej duszy, jakkolwiek nigdy ona nie uchodziła za bardzo pobożną. Ale chociażby nie było w tem żadnej ułudy,

rzecz sama, przyznaję, dotąd jeszcze, ile razy na nią wspomnę strachem mię przejmuje.

Kiedy już dotknęłam widzeń o umarłych, wspomnę tu, jeszcze o innych podobnych zdarzeniach, w których spodobało się Panu dać mi objawienia co do niektórych dusz. Wymienię ich tylko kilka, dla krótkości; opisywanie wszystkich byłoby, zdaniem mojem, rzeczą i zbyteczną i niepożyteczną.

Doniesiono mi o śmierci jednego naszego byłego prowincyała, który potem przeszedł był do drugiej prowincyi, i aż do śmierci nią zawiadywał. Miałam z nim dawniej stosunki i niejednę przysługę mi oddaną mu zawdzięczam. Był to zakonnik bardzo przykładny. Wiadomość jednak o śmierci jego mocno mię zatrwożyła; byłam w obawie o zbawienie jego, bo całe dwadzieścia lat był przełożonym, a o przełożonych ja zawsze drżę, mając na uwadze ciężką, zdaniem mojem, odpowiedzialność i wielkie niebezpieczeństwa, przywiązane do wszelkiej pieczy o duszach. Bardzo zasmucona, poszłam do kaplicy; ofiarowałam Panu za tę duszę wszystkie dobre uczynki całego życia mego, a wiedząc dobrze jak tego mało, błagałam Go, by z nieskończonych zasług swoich dopełnił czego potrzeba do wyzwolenia tej duszy z czyśca. Gdym tak prosiła Pana o tę łaskę jak zdołałam najgoręcej, ujrzałam, zdawało mi się, po prawej stronie mojej, duszę tę, wynurzającą się z głębi ziemi, i wstępującą w radosnem zachwyceniu do nieba. Choć zmarły był już starcem sędziwym, w widzeniu tem przedstawił mi się w sile wieku męskiego, jakoby miał trzydzieści lat tylko, albo mniej jeszcze, a twarz jego dziwnym blaskiem jaśniała. Widzenie to trwało chwilę tylko, ale w duszy pozostała mi po niem niewypowiedziana pociecha, i niepodobna mi już było od onej chwili smucić się śmiercią tego Ojca i podzielać powszechnej w koło mnie po nim żałoby, bo bardzo był kochany. Takie czułam w sobie uspokojenie i pocieszenie, że nigdy ani na chwilę nie powstała we mnie najmniejsza wątpliwość co do prawdziwości tego widzenia; z pewnością twierdzić mogę, że nie było to złudzenie. Było to zaledwo w dwa tygodnie po śmierci jego. Z tem wszystkiem jednak nie zaniechałam prosić kogo mogłam o modlitwy za tą duszą, i sama ją Bogu poleca-

łam; ale modlitwy moje za nią nie były już tak gorące, jakiemiby były, gdybym nie miała onego widzenia; bo gdy Pan w taki sposób upewni mię o zbawieniu duszy zmarłego, a potem jeszcze za nią się modlę, mimowoli takie mam uczucie, jak gdybym dawała jałmużnę bogatemu. Później dopiero, z powodu znacznej odległości miejsca, dowiedziałam się bliższych szczegółów o pięknej i budującej śmierci, jaką Pan mu dać raczył; wszyscy przy niej obecni z podziwieniem patrzali na zupełną aż do końca przytomność jego, i na rzewnie pobożne łzy i uczucia najgłębszej pokory, z jakiemi Bogu duszę oddawał.

W klasztorze naszym umarła jedna zakonnica, wielka służebnica Boża. Drugiego dnia po jej śmierci, podczas odprawiającego się za nią nabożeństwa żałobnego, w chwili gdy jedna z sióstr czytała Lekcyę, a ja stałam przy niej dla odmówienia Wiersza, w połowie Lekcyi ujrzałam duszę zmarłej, podobnie jak tamta się wznoszącą, i wstępującą do nieba. Widzenie to nie było w wyobraźni, jak poprzednie, jedno czysto umysłowe, w rodzaju tych, o których w swojem miejscu mówiłam; ale i te umysłowe widzenia równie są rzeczywiste i równie niewątpliwą pewność w duszy pozostawiają, jak i tamte, które się przedstawiają w obrazach.

W tymże klasztorze naszym umarła druga siostra, ośmnasto czy dwudziestoletnia, gorliwa w służbie Bożej, pilna do chóru, pod każdym względem wysoce cnotliwa, choć ciągle schorzała. Byłam pewną, że w tylu ciężkich niemocach swoich, tak cierpliwie zniesionych, przewyższające sobie zebrała zasługi i za życia już czyściec przebyła. Jakoż w cztery godziny po śmierci jej, będąc na żałobnem za nią przed pogrzebem nabożeństwie, ujrzałam duszę jej podobnież wznoszącą się z ziemi, i do nieba wstępującą.

Pewnego dnia, w czasie jednego z tych wielkich cierpień, którym, jak mówiłam, podlegałam, i dotąd nieraz podlegam na ciele i na duszy, niezdolna, rzec mogę, w takim stanie zdobyć się ani nawet na jednę myśl dobrą, poszłam była do kościoła, należącego do kollegium Towarzystwa Jezusowego. Tejże nocy był tam umarł jeden z braci zakonnych; modliłam się więc za nim jak umiałam, słuchając Mszy świętej, którą jeden z Ojców

odprawiał za duszę jego; aż nagle przyszło na mnie wielkie zebranie wewnętrzne, i ujrzałam tę duszę z wielką chwałą wstępującą do nieba, mającą Pana samego przy boku swoim; na znak szczególnej dla niej łaskawości swojej, jak mi było objaśniono, Boski Zbawiciel sam ją własną ręką do królestwa swego wprowadził.

Podobnegoż widzenia użyczył mi Pan co do jednego z Ojców naszego zakonu, bardzo przykładnego zakonnika śmiertelnie chorego. W czasie mszy świętej przyszło na mnie zebranie wewnętrzne, i ujrzałam, że chory już skończył, a dusza jego, bez zatrzymania w czyścu, szła prosto do nieba. Umarł, jak potem się dowiedziałam, tejże samej godziny, której go widziałam umierającego. Zdziwiona byłam, że dusza jego tak szczęśliwie uszła mąk czyścowych; na co mi oznajmiono, że w nagrodę za wierne, jakiem się odznaczał, przestrzeganie reguły, dostąpił przyobiecanej zakonowi naszemu, i bullami papieskiemi stwierdzonej szczególnej łaski zwolnienia od czyśca, lub rychłego z onegoż wyzwolenia. Nie wiem w jakim celu było mi dano to objawienie; zapewne chciał mię Pan przez to ostrzedz, że nie dość jest nosić tylko habit zakonny, ale potrzeba wiernie spełniać obowiązki zakonne, aby dostąpić uczestnictwa w dobrach przyobiecanych tak wysokiemu stanowi.

Wiele podobnych widzeń Pan z łaski swojej mi użyczył, ale dłużej się nad niemi zastanawiać nie chcę, bo jak już mówiłam, mały z tego byłby pożytek. To tylko jeszcze nadmienię, że z wszystkich dusz, które mi w taki sposób były ukazane, nie widziałam żadnej, którąby weszła wprost do nieba, bez zatrzymania w czyścu, oprócz onych trzech, to jest: tego Ojca, o którym na ostatku mówiłam, świętego Brata Piotra z Alkantary i onego Ojca dominikanina, o którym było wyżej [1]). Co do niektórych, raczył mi Pan także ukazać miejsce, jakie w niebie zajmują, i stopień chwały, na który są wywyższone; wielka pod tym względem zachodzi między niemi różność.

---

[1]) O. Piotr Ybanez.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Dalszy ciąg o nadzwyczajnych łaskach, jakie Pan jej uczynił. Jako jej obiecał spełnienie każdej prośby, jakąby doń za kimkolwiek zaniosła. Przytacza kilka znaczniejszych przykładów łask takich i wysłuchań, jakie z Boskiej dobroci Jego otrzymała.

Pewnego razu, litując się bardzo nad jedną osobą, dla której miałam obowiązki, a która prawie całkiem była oślepła, usilnie błagałam za nią Pana, aby jej wzrok przywrócił, ale bałam się przytem, że Pan dla grzechów moich mnie nie wysłucha. Wtedy zjawił mi się Boski Mistrz, tak samo jak to przedtem po wiele razy był uczynił, i ukazując mi ranę lewej ręki swojej, począł prawą wyciągać utkwiony w niej wielki gwóźdź. Zdawało mi się, że wraz z gwoździem wyrywa i ciało. Ja patrząc na to, głęboką uczułam litość, rozumiejąc dobrze, jak wielki to musiał być ból. A Pan rzekł do mnie: „Taką mękę dla ciebie wycierpiawszy, tem bardziej, bądź tego pewna, uczynię cokolwiek odemnie zażądasz. Obiecuję ci, że nie masz takiej rzeczy, którejbym na prośbę twoję nie uczynił, bo wiem, że o nic mnie prosić nie będziesz, coby nie było na chwałę moję. I to, o co mię dzisiaj prosisz, uczynię. Wspomnij, jako nawet wonczas, gdyś mi jeszcze nie służyła, zawsze spełniałem wszystko, o co mię prosiłaś, i lepiej jeszcze spełniałem, niż sama prosić umiałaś; tem bardziej więc dzisiaj wszystko ci spełnię, kiedy wiem że mię miłujesz; nie miej o tem najmniejszej wątpliwości.“ Nie upłynął jeszcze, zdaje mi się, tydzień, gdy Pan już tej osobie wzrok przywrócił; o czem zaraz mój spowiednik został uwiadomiony. Bardzo być może, że uzdrowienie to nie stało się w skutek mojej modlitwy; ja jednak po onem widzeniu tak byłam tego pewna, że dziękowałam za nie Boskiemu Panu memu, jako za łaskę mnie uczynioną.

Innego razu, jeden krewny mój zapadł był na jakąś chorobę niezmiernie bolesną, której tu bliżej nie określam, nie wiedząc sama, jaki to był rodzaj cierpienia; dość że chory już od dwóch miesięcy takie cierpiał męki nieznośne, iż sam na

sobie ciało darł. Rektor, o którym mówiłam wyżej [1]), ówczesny mój spowiednik, odwiedzał go, i wielką nad nim zdjęty litością, kazał mi pójść do niego, tłómacząc mi, że ze względu na moje z nim pokrewieństwo, mogę i koniecznie powinnam to uczynić. Poszłam więc i takie mię na widok cierpień jego przeniknęło współczucie, że poczęłam z jaknajwiększą usilnością błagać Pana o uzdrowienie jego. Jakoż jasno i widocznie, o ile mnie się zdaje, ujrzałam prośbę moję spełnioną, i nową łaskę od Pana mi uczynioną, bo zaraz nazajutrz chory całkiem wyzdrowiał z onych boleści swoich.

Raz znowu ciężki bardzo smutek miałam, dowiedziawszy się o pewnej osobie, której z wielu względów byłam bardzo zobowiązaną, iż nosi się z zamiarem popełnienia czynu, wręcz przeciwnego przykazaniu Bożemu, i dla niej samej poniżającego, że owszem niezmiennie już postanowiła zamiar ten wykonać. Tem większe z tego powodu miałam udręczenie, że nie tylko nie wiedziałam, jakim sposobem zapobiedz temu nieszczęściu, ale nawet zdawało się, że nie masz żadnego na to sposobu. Udałam się więc w prośby do Boga, błagając Go z głębi serca, aby raczył złemu zaradzić, bo czułam to dobrze, że nic nie zdoła ukoić boleści mojej, dopóki nie ujrzę upamiętania tej nieszczęśliwej. W takim stanie będąc, schroniłam się do jednej z pustelni, jakich nasz klasztor kilka posiada; w pustelni tej, zupełnie samotnej, jest wyobrażenie Chrystusa Pana, przywiązanego do słupa. Gdym tedy modliła się tam, błagając Pana, aby mi użyczył tej łaski, usłyszałam nagle mówiący do mnie głos jakiś, dziwnie słodki i wdzięczny, jakby fletu czy innego melodyjnego instrumentu. Wyrazów jakie ten głos wymawiał, choć chciałam, dosłyszeć nie mogłam, bo ucichł w jednej chwili. Wielkie było zrazu przerażenie moje, aż mi włosy na głowie stanęły; ale po pierwszej chwili przestrachu, takie uczułam w sobie uspokojenie i wesele, i uszczęśliwienie wewnętrzne, że nie mogłam wyjść z podziwienia, jakim sposobem jedno usłyszenie głosu, zewnętrznie tylko do uszu ciała, i to bez słów wyraźnych idącego, takie może sprawować w duszy dziwne

[1]) O. Gaspar de Salazar.

skutki wewnętrzne. Po tym znaku poznałam, że się stanie według prośby mojej, jakoż się i stało potem; ale już w onejże chwili, nim jeszcze się stało, smutek mój w taką się pociechę i pewność przemienił, jak gdybym już widziała rzecz spełnioną. Zdałam o tem sprawę spowiednikom moim, bo wówczas miałam ich dwóch, obu bardzo uczonych i świętobliwych sług Bożych.

Doszła mię była wiadomość o pewnej osobie, która już była postanowiła poświęcić się bez podziału Bogu na służbę, i już przez pewien czas oddawała się była modlitwie wewnętrznej, i wielkich na niej łask od Boga doznawała, jako wdawszy się w pewne okazye, bardzo niebezpieczne, i nie chcąc ich porzucić, zaniechała świętego przedsięwzięcia swego. Wiadomość ta bardzo mię boleśnie dotknęła, bo kochałam mocno tę osobę, i miałam dla niej obowiązki. Przez cały miesiąc albo może i dłużej, bezprzestannie błagałam Pana o nawrócenie tej duszy. Nakoniec, jednego dnia, będąc na modlitwie, ujrzałam obok siebie czarta, trzymającego w ręku jakiś papier i drącego go z wielką złością na kawałki; wielką z tego widzenia miałam pociechę, rozumiejąc z niego, że modlitwa moja została wysłuchaną. I w rzeczy samej tak było; bo jak się później dowiedziałam, osoba ta z wielką skruchą odbyła spowiedź, i tak się szczerze nawróciła do Boga, że słusznie, przy pomocy Boskiej łaski Jego, można się spodziewać coraz wyższego jej w cnocie postępu. Niech będzie błogosławiony za wszystko. Amen.

Podobnych łask, jakie mi Pan na prośby moje uczynił, bądź nawracając dusze w grzechu śmiertelnym leżące, bądź przywodząc wiele innych do wyższej doskonałości, bądź cierpiące z czyśca wyzwalając, bądź inne dla innych cudowne rzeczy działając, — łask tych, mówię, takie jest mnóstwo, że znużyłabym i siebie i tych którzy mię czytać będą, gdybym je chciała opisywać wszystkie. Nadmienię tylko, że nierównie więcej takich wysłuchań dostąpiłam dla zdrowia dusz, niż dla uzdrowienia ciał. Jest to zresztą rzecz powszechnie wiadoma, i naocznem wielu świadectwem stwierdzona. Z początku wielki z tego powodu skrupuł miałam, nie mogąc nie uznawać, że Pan te cuda czynił na prośbę moję, lubo nasamprzód i głównie

czynił je, rzecz jasna, z samej tylko dobroci swojej. Lecz teraz, gdy tych łask tyle się namnożyło, i tylu innych na nie patrzało, uznanie mojego w ich otrzymaniu udziału nie robi mi już trudności. Dzięki za nie czynię Boskiemu Majestatowi Jego, i w obec tak wielkiej nademną dobroci Jego, wstydzę się niegodności mojej; ale samoż uznanie, jak bardzo jestem Jemu dłużną, wzmaga we mnie pragnienie służenia Mu, i miłość Jego tem silniej we mnie roznieca. Co mię tu najwięcej zadziwia, to, że gdy proszę o rzeczy, których spełnienie Pan widzi że byłoby niewłaściwem, nie mogę, jakkolwiekbym chciała, modlić się o nie inaczej, jedno nieśmiało, bez gorącości ducha i zapału, i wbrew wszelkiej usilności mojej, na większą gorliwość zdobyć się nie zdołam; gdy przeciwnie, zanosząc prośby takie, które Boska łaskawość Jego chce wysłuchać, widzę dobrze i czuję, że mogę o te rzeczy modlić się po wiele razy, i z wielką natarczywością, i bez żadnego nawet z mojej strony wysilania się; prośby te jakoby same na myśl mi się nasuwają. Wielka jest różnica między tym dwojakim sposobem prośby, i sama nie wiem jak ją objaśnić. Kiedy proszę o tamte rzeczy, choć żywo nieraz mię obchodzą, choć nie czując w sobie tej żarliwości, z jaką zwykłam prosić o te drugie, czynię przecie co mogę, aby się zdobyć na gorące o nie błaganie, jestem jakoby człowiek, mający język związany, który choć chce mówić, nie może, albo mówi tak niewyraźnie, że sam czuje, iż nikt go nie zrozumie; gdy przeciwne, w tym drugim razie, modlę się śmiało i swobodnie, jako gdy kto mówi wyraźnie i z ożywieniem, i widzi, że ten, do którego mówi, z przyjemnością go słucha. Albo, powiedzmy jeszcze, tamten pierwszy sposób prośby, jest to jakoby modlitwa ustna, ten drugi zaś podobny jest do onej wysokiej kontemplacyi, w której Pan w taki sposób nam się objawia, iż czujemy że nas słucha, i w Boskiej łaskawości swojej podoba sobie w prośbie naszej, i ochotnie gotów nam łaski, o którą prosimy, użyczyć. Chwała wieczna niech będzie Jemu, iż tak dużo nam daje, a ja Jemu oddaję tak mało! Bo cóż może powiedzieć że czyni dla Ciebie, ten kto całego siebie nie wyniszczy dla Ciebie, Panie mój? Ach, a jakże daleko, jak daleko, i po tysiąc razy mogę powtórzyć, jak daleko mnie do

takiego zgubienia siebie dla chwały twojej! Dla tego samego już, chociażby nie było innych jeszcze do tego powodów, należałoby mi pragnąć już nie żyć, że nie żyję tak, jak Tobie jestem winna. Ileż to niedoskonałości widzę w sobie! ile luźności i niedołęztwa w służeniu Tobie! Nieraz, szczerze mówię, wolałabym prawie stracić zmysły i rozum, aby tylko nie widzieć siebie taką złą i nędzną, jaką jestem. O, niechajby tej nędzy zaradził On, który sam zaradzić jej jest mocen!

W czasie pobytu mego u tej pani, o której mówiłam wyżej [1]), potrzeba mi było ciągłego czuwania nad sobą i ciągłej pamięci na marność wszystkich rzeczy tego życia doczesnego, bo wielki szacunek, jakim mię tam otaczano, i wielkie pochwały, jakie mi oddawano, i wszelkiego rodzaju słodycze, jakiemi mię obsypywano, łatwo byłyby mogły przylgnąć do duszy mojej, gdybym była miała na względzie samą siebie. Ale wznosiłam oczy do Tego, który widzi wszystko, jako prawdziwie jest, i błagałam Jego, aby mię nie wypuścił z ręku swoich. A kiedy mówię o prawdziwem widzeniu rzeczy, przychodzi mi zarazem na myśl ta wielka męka wewnętrzna, jaką cierpi dusza, którą Bóg przywiódł do poznania prawdy, gdy zmuszona jest zajmować się rzeczami tej ziemi, na której prawda, jak mi któregoś dnia powiedział Pan, grubą zakryta jest zasłoną. W ogóle, w całem tem pisaniu mojem wiele jest rzeczy, których nie piszę z własnej głowy mojej, ale sam Boski mistrz mój mi je podyktował; stąd też, ile razy powtarzając je, używam takich wyrażeń, jak: „to usłyszałam“, albo: „to mi powiedział Pan“, są to własne słowa Jego, i miałabym sobie za największy skrupuł, ująć z nich albo dodać do nich choćby jednę zgłoskę. Gdy zaś nie pamiętam z zupełną dokładnością wszystkiego co słyszałam, wtedy mówię jako od siebie, bo może w tem być co mojego. Mojego, mówię, nie w tej myśli, bym to przypisywała samej sobie, bo nic we mnie nie masz dobrego, jedno to co Pan, bez żadnej zasługi mojej, dać mi raczył; ale w tem znaczeniu takie słowa nazywam mojemi, że ich nie otrzymałam przez objawienie.

---

[1]) Ludwiki de la Cerda.

Lecz, żal się Boże! jakże to często zdarza się nam, że nie już o rzeczach świeckich, ale i o duchownych nawet chcemy sądzić według głowy naszej, i skutkiem tego daleko w sądach naszych zbaczamy od prawdy! Mierzymy, na przykład, postęp nasz duchowny wedle liczby lat strawionych na jakiem ćwiczeniu pobożnem, na jakiej praktyce życia wewnętrznego, jak gdybyśmy miarę i granice przepisywać chcieli Temu, który gdy zechce, bez żadnej miary użycza darów swoich, i może ich jednemu wiecej dać w pół roku, niż drugiemu przez długie lata. Jest to rzecz, o której się naocznie przekonałam na tylu przykładach, że dziwię się jakim sposobem możemy jeszcze o tem wątpić. Nie popełni, pewna tego jestem, tego błędu, komu Pan użyczył daru rozeznawania duchów i pokory prawdziwej; taki w świetle wewnętrznem, którem Bóg go oświeca, patrzy na skutki, jakie sprawuje w duszy łaska Boża, na stałość jej postanowień, na gorącość jej miłości; według tych znaków sądzi on o postępie i udoskonaleniu jej, a nie według liczby lat, bo jak mówiłam, jedna w pół roku dalej postąpić może, niż druga w lat dwadzieścia, i Pan sam użycza tej łaski komu chce, albo też, dodajmy, temu kto lepiej się do przyjęcia jej przysposobi. Oto i teraz widzę wstępujące do tego domu [1]), młodziutkie panienki, które, ledwo że zakosztowały daru Bożego, ledwo że Pan je tknął natchnieniem łaski swojej, i pierwsze w nich iskry światłości i miłości swojej zapalił, bez ociągania się, na żadne przeszkody nie zważając, o żadne wygody ani o pożywienie dla ciała się nie troszcząc, przybiegły tu zamknąć się na zawsze w tym domu ubogim i z jałmużny się utrzymującym. za nic mając własne życie i zdrowie, dla miłości Tego, który je, dobrze o tem wiedzą, umiłował. Wszystko opuściły, ani woli własnej już mieć nie chcą, i ani im na myśl nie przyjdzie, by kiedy takie zamknięcie i takie surowe umartwienia sprzykrzyć im się miały; całe bez podziału oddają siebie Bogu na ofiarę. Jakże ochotnie uznaję siebie w tem przez nie przewyższoną, i jakżebym powinna wstydzić się przed Bogiem, iż czego Boski Majestat Jego nie osiągnął ze mną przez taki długi szereg lat, odkąd zaczęłam

[1]) t. j. do klasztoru św. Józefa w Awili.

oddawać się modlitwie wewnętrznej, i odkąd Pan zaczął wylewać na mnie łaski nadzwyczajne, do tego doszedł z niemi w trzy miesiące, z niektóremi nawet w trzy dni, choć o wiele mniej łask im uczynił niż mnie. Ale też hojnie im Boska łaskawość Jego za to odpłaca, i rzecz pewna, że żadna z nich nie żałuje tego, co dla Niego uczyniła.

Z takiem zawstydzeniem i upokorzeniem siebie wspominajmy, i owszem, na długie lata, jakie nam już upłynęły w profesii zakonnej i w praktyce modlitwy wewnętrznej; ale tego się strzeżmy, byśmy z takiego wspomnienia na starszeństwo nasze brali sobie powód do niepokojenia tych dusz, które w krótkim czasie dalej od nas postąpiły, byśmy je mieli hamować i ciągnąć wstecz, aby nas nie wyprzedzały, i takim orłom, wysoko wzlatującym, przy pomocy łask, jakie Bóg im czyni, kazali wlec się po ziemi, nakształt kurcząt spętanych. Wznośmy raczej oczy ku Panu, uwielbiając dziwne drogi łaski Jego; a tym duszom, jeśli jedno chodzą w pokorze, spokojnie popuśćmy wodze; Ten, który takiemi łaskami je uprzedza, nie dopuści tego, by miały zabłądzić i lecić na przepaść. One, mocno ugruntowane w prawdzie, którą poznały przez wiarę, z zupełną ufnością oddają się w ręce Boga; a my nie mielibyśmy ich z podobnąż ufnością zostawić w ręku Jego, i mielibyśmy raczej mierzyć je krótką miarą naszą i ściągać do niskiego poziomu małoduszności naszej? To się nie godzi. Kiedy nie zdołamy pojąć tego wielkiego zapału miłości, który je pobudza do takiego bohaterskiego poświęcenia się Bogu, — bo są to rzeczy, które ten tylko pojmie, kto ich sam na sobie doświadczył, — więc upokarzajmy się, ale ich nie potępiajmy; inaczej pod pozorem troszczenia się o ich postęp duchowny, zaniedbujemy naszego, opuszczając tę sposobność, którą Pan nam podaje ku upokorzeniu siebie i ku uznaniu, jak wiele nam niedostawa, i jak bardzo w wyrzeczeniu się samych siebie i w złączeniu się z Bogiem przewyższać nas muszą te dusze, kiedy On w Boskiej łaskawości swojej tak ściśle z niemi się łączy.

Co do mnie, taką modlitwę rozumiem, i innej, przyznaję, znaćbym nie chciała, jedno taką, która w krótkim czasie wielkie skutki sprawuje, i taki wznieca w duszy potężny zapał mi-

łości, od razu objawiający się w czynie; boć rzecz widoczna, że bez takiej silnej i mężnej miłości, niepodobna by dusza zdobyła się na zupełną, dla samego tylko upodobania Bożego, ofiarę z siebie i zupełne wyrzeczenie się wszystkiego. Taką, mówię, modlitwę wolę niż oną, która ciągnie się przez długie lata, a taką samą pozostawia duszę przy końcu, jaką była z początku, i nigdy jej nie przywiedzie do mężnych postanowień, i do uczynienia czegoś wielkiego dla Boga; bo tych maluczkich aktów i praktyk, które z niej się rodzą, nie mających w sobie znaczenia i wagi, drobnych jakby ziarnko soli, które lada ptaszyna w dziobie swoim uniesie, nie będziemy chyba podawali za dowody wielkiej miłości i umartwienia; i chociażby takich rzeczy było jak najwięcej, nie za zasługę je sobie poczytywać powinniśmy, jakobyśmy czynili co dla Boga, ale raczej wstydzić się przed Nim, jeśli jaką do nich wagę przywiązujemy. Mnie pierwszej ten wstyd się należy, która na każdym kroku zapominam o łaskach mi uczynionych. Nie przeczę, że Bóg, w nieskończonej dobroci swojej, i te drobiazgi raczy nam w wielką zaliczać zasługę; ale chciałabym, co do siebie, za nic je poczytywać, i ani zważać nawet na to że je czynię, boć w rzeczy samej wszystko to jest niczem. Wybacz mi, Panie mój, i nie poczytuj mi tego za winę, że w niczem Tobie nie służąc, choć tym sposobem niejakiej szukam sobie pociechy; gdybym umiała w wielkich rzeczach Tobie służyć, anibym wspomniała o tych fraszkach. Szczęśliwi ci, którym dano jest, wielkiemi czynami chwalić Ciebie! gdyby dość było tego, że im zazdroszczę i pragnę im być podobną, pewno, że nie daleko pozostałabym w tyle za niemi w poświęceniu się dla chwały twojej. Ale na nic się nie zdam, Panie mój, i do niczegom nie zdolna; Ty sam mocą twoją wspomóż niedołęztwo moje, przez tę wielką miłość, jaką mię miłujesz.

Na stwierdzenie powyższych uwag moich, przytoczę tu, co mi się w tych ostatnich czasach zdarzyło. Z nadejściem Breve rzymskiego, zabraniającego klasztorowi naszemu posiadania stałych dochodów, fundacya nasza była ostatecznie zapewniona, i wielką, po tylu trudach dla niej poniesionych, miałam pociechę z szczęśliwego ukończenia tej sprawy. Wspomi-

nając tedy na przykrości i utrapienia, jakie z tego powodu wycierpiałam, i dziękując Panu, że choć w czemkolwiek raczył mię użyć do służby swojej, poczęłam przechodzić w myśli wszystkie w tej sprawie przejścia i postępki moje; i oto w każdej z tych na pozór dobrych czynności moich, mnóstwo znalazłam uchybień i niedoskonałości; często nie stawało mi odwagi, jeszcze częściej wiary. Owszem i dotąd jeszcze, choć widzę na oczy spełnienie się tego wszystkiego, co mi Pan o założeniu tego domu był powiedział, pomnę, że nigdy nie zdołałam się zdobyć na zupełną i niezachwianą wiarę w słowa Jego, choć przytem nie miałam najmniejszej wątpliwości, że one się spełnią. Nie wiem jak pogodzić się mogły we mnie takie dwie sprzeczności, gdy z jednej strony rzecz nieraz mi się wydawała wprost niemożebną, a z drugiej strony przecie nie mogłam o niej wątpić, to jest dopuścić do siebie przekonanie, że ona nie przyjdzie do skutku. Ostateczny z tych rozważań moich wniosek był ten, że co w tej sprawie było dobrego, to wszystko uczynił Pan sam od siebie, a co się do niej przymięszało złego, to pochodziło odemnie; zaczem też przestałam o tem myśleć, i wolałabym całkiem o tych przejściach nie pamiętać, i oszczędzić sobie przykrości spotykania się na każdym kroku z takim mnóstwem błędów moich. Niech będzie błogosławiony On, który gdy zechce, z wszystkiego umie wyprowadzić dobre. Amen.

Mówiłam i powtarzam, że jest to rzecz niebezpieczna, liczyć i ważyć lata, które strawiliśmy na modlitwie bogomyślnej; bo jakkolwiekby była pokorną, zawsze zdaniem mojem, takie liczenie się może pozostawić w duszy niejakie dufanie w nabytą na tyloletniej służbie zasługę. Nie mówię, by nie miała zasługi; mają i będzie jej za nią sowicie odpłacono; ale to mam za rzecz pewną, że ktokolwiek w życiu swem duchownem mniema, iż długoletniem ćwiczeniem się w modlitwie wewnętrznej zasłużył sobie na one wysokie łaski i pociechy duchowne, ten nigdy do szczytu doskonałości nie dojdzie. Czy mało mu tego, że w nagrodę za wierną usilność jego, Bóg trzymał go za rękę, aby Go już tak nie obrażał, jak to czynił pierwej, nim począł oddawać się modlitwie? czy jeszcze będzie się procesował z Bogiem, jak to mówią, za własne pieniądze Jego? Nie sądzę by to było

znakiem głębokiej pokory; może się mylę, ale mnie takie zachowanie się z Bogiem wydaje się zuchwałością, i jakkolwiek mało jest we mnie pokory, nie pamiętam przecie bym kiedy odważyła się na coś podobnego. Choć może to być dla tego, że nie mogłam, bo nigdy nie służyłam Panu jak należy; gdybym była wierniejszą w służbie Jego, możebym pierwsza, i skwapliwiej niż drudzy, była się u Niego upominała o zapłatę. Nie mówię, by dusza, przez wiele lat pokornie trwając na modlitwie, nie czyniła tem samem postępów, i nie otrzymywała łask od Boga; to tylko chcę powiedzieć, że w żadnym razie nie powinna pamiętać na te lata służby i modlitwy swojej. Boć wszystko, cokolwiekbyśmy uczynić mogli dla Boga, obrzydzenia godną nędzą jest, w porównaniu z jedną kroplą tej krwi, którą Pan za nas wylał; i jeśli, im więcej Bogu służymy, tem więcej pozostajemy Jemu dłużnymi, jakiemże prawem chcemy liczyć się z tym Panem, który za jeden grosz, który Mu z długu naszego upłacimy, odpłaca nam zaraz tysiąc dukatów? Na miłość Boga, dajmy już pokój tym obrachunkom; pozostawmy je Temu, do kogo one należą. Dufanie w zasługi swoje zawsze jest rzeczą niepiękną, nawet w sprawach doczesnych; jakże daleko bardziej w tych rzeczach, które wiadome są Bogu samemu i o których On sam sprawiedliwie sądzić może. Jasno nas tego nauczył Pan w onej przypowieści, gdzie Gospodarz taką samą zapłatę daje tym, którzy przyszli do roboty w ostatniej godzinie dnia, jak i tym, którzy zacząwszy od rana, cały dzień znosili brzemię pracy i upalenia.

Tyle razy musiałam przerywać sobie pisanie tych trzech ostatnich kart, i przez tyle dni je pisałam, mało mając na to, jak już mówiłam, czasu swobodnego, że zupełnie mi wyszło z pamięci widzenie, o którem z początku mówić zamierzałam; teraz więc je opiszę. Ujrzałam siebie samą wśród wielkiego pola, a dokoła mnóstwo ludzi różnego rodzaju, którzy mię zewsząd otaczali, a wszyscy uzbrojeni w oszczepy, i miecze, i szable, i szpady niezmiernie długie, któremi widocznie na mnie się zamierzali. Z wszystkich stron groziła mi śmierć, bez żadnego sposobu ucieczki, bez żadnej od nikogo obrony. Taką trwogą ściśniona, nie wiedziałam co począć; aż oto, wzniosłszy oczy

w górę, ujrzałam nad sobą Chrystusa, nie w niebie, ale wysoko w powietrzu, jako wyciąga do mnie rękę i obroną swoją mię otacza. W tejże chwili znikła wszystka trwoga moja, i cała ona zgraja, mimo złośliwą na mnie zapalczywość swoję, nic mi już złego zrobić nie mogła. Było to widzenie na pozór bezużyteczne, a przecie wielką z niego korzyść odniosłam, gdy mi dano było zrozumieć jego znaczenie; bo znalazłszy się potem w podobnem prawie położeniu, przekonałam się, że widzenie ono było wiernym obrazem tego świata, który wszystek, z wszystkiem co na niem jest, jakoby wstępnym bojem i wszelkiego rodzaju orężem godzi na biedną duszę. Nie mówię tu o przykładach i namowach ludzi niewiernych Bogu, ani o honorach ziemskich, i majętnościach, i roskoszach, i innych tym podobnych ponętach, które, jak każdy to widzi, na nas sidła swe zastawiają, i niebacznych w nie wciągają: ale mówię o prześladowaniach od samychże przyjaciół, i krewnych, i nawet, co dziwniejsza, od ludzi bardzo pobożnych. Wszyscy oni, w najlepszej wierze i przekonaniu, że spełniają przez to swą powinność, w takie mię w swoim czasie zapędzili udręczenie, że nie wiedziałam, ani jak się obronić, ani co począć.

O wielki Boże! gdybym tu chciała opowiadać wszystkie szczegóły i sposoby tych utrapień, które w tym czasie wycierpiałam, i po tych jeszcze przeciwieństwach i prześladowaniach, o których mówiłam wyżej: jakażby z tego opowiadania mego wyszła przekonywająca i wymowna zachęta do zupełnego, z głębi duszy, obrzydzenia sobie całego świata! Było to, jak sądzę, najsroższe z wszystkich prześladowań, jakie zniosłam w mem życiu. Nieraz, szczerze mówię, tak widziałam siebie ze wszystkich stron udręczoną, że nie miałam innego ratunku, jedno wznosić oczy do nieba, i Boga wzywać na pomoc. Dobrze miałam wówczas obecnem w pamięci to, co było mi ukazano w onem widzeniu, i wielką mi to było pobudką i pomocą, abym nie polegała na żadnem stworzeniu, bo żadne nie jest stałem; Bóg jeden tylko nigdy się nie zmienia i nigdy nie zawodzi. Zawsze też w tych wielkich udręczeniach moich, Bóg mi przysyłał kogo od siebie, aby mi podał rękę, jak to mi było obiecano w onem widzeniu, i na nowo mię utwierdził w postanowieniu

mojem, nie przywiązywania się do niczego, a troszczenia się jedynie o upodobanie Pańskie; i tak utrzymywałeś we mnie, o Boże, tę odrobinę cnoty, jaką z łaski twojej miałam, tego tylko pragnąc, bym Tobie wiernie służyła. Bądź za to błogosławiony na wieki!

Jednego razu, gdy byłam w stanie szczególnego niepokoju i strwożenia, niezdolna skupić się w duchu, czując w sobie walkę i rozterkę wewnętrzną, a myśli moje błąkały się po rzeczach próżnych i bezpożytecznych, i nawet zwykłe moje oderwanie się od wszystkich jakby się we mnie chwiało: widząc taką wielką nędzę swoję, poczęłam się obawiać, czy łaski, jakie mi Pan uczynił, nie były prostem tylko złudzeniem, i w duszy mojej wielkie zaległy ciemności. W takiem więc udręczeniu mojem, Pan raczył przemówić do mnie, i rzekł mi, iż nie mam czego się smucić; że owszem pożyteczno mi, widzieć się w takim stanie, bo z tego mogę poznać, jaka byłaby nędza moja, gdyby On mię opuścił, a iż nie masz dla nas bezpieczeństwa, dopóki żyjemy w tem ciele. Ukazał mi przytem, jaki jest pożytek i jaka zasługa z tego wewnętrznego potykania i pasowania się z sobą, za które On taką wspaniałą gotuje nam nagrodę. W słowach tych zdawało mi się, że czuję całą litość Boskiego serca Jego dla nas, na tem wygnaniu żyjących. Dodał wreszcie, bym nigdy nie dopuszczała tej myśli, jakoby On miał zapomnieć o mnie; upewnił mię, że nigdy mnie nie opuści, ale że żąda także, abym ja z mojej strony uczyniła wszystko, co do mnie należy. Wszystko to mówił mi Pan z wyrazem niewypowiedzianej łaskawości i słodkości; i inne jeszcze słowa raczył mi powiedzieć, najtkliwszej miłości i zmiłowania pełne, których tu powtarzać nie mam powodu. To jedno tylko przytoczę, które często słyszę z Boskich ust Jego:—„Otdąd już,“ mówi mi, przez wielką miłość swoję, „odtąd już tyś jest moja, i ja twój.“ O Panie, cóż jest we mnie mojego, coby nie było twojem? Gdy wspomnę, kto ja jestem, słowa te i te Boskie pieszczoty takiem mię na wskroś przenikają zawstydzeniem, że jak już mówiłam, i jak to nieraz wyznaję spowiednikowi mojemu, większej, zdaje mi się, potrzeba mi odwagi do przyjęcia tych łask, niż do zniesienia najcięższych utrapień. W takich chwilach, tracę zupełnie pamięć dobrych

uczynków moich; widzę tylko przed sobą obraz nędzy mojej, i rozum, bez potrzeby rozumowania, jakoby jednem wejrzeniem obejmuje go, co, jak nieraz mi się zdaje, dzieje się w sposób nadprzyrodzony.

Bywają chwile, kiedy powstaje we mnie takie gorące pragnienie Komunii świętej, jakiego sądzę żadne słowa nie zdołałyby wyrazić. Któregoś dnia z rana niesłychanie gwałtowna srożyła się ulewa, i zdawało się niepodobieństwem, bym mogła wyjść z domu. Wyszłam jednak, tak porwana niepowstrzymaną siłą tego pragnienia, że chociażby mi włócznie przyłożono do piersi, dla zagrodzenia mi drogi, nie byłabym się cofnęła, tembardziej więc nie zatrzymałaby mnie obawa zmoknięcia. Ledwom przestąpiła próg kościoła, przypadło na mnie wielkie zachwycenie: ujrzałam przed sobą, nie furtę tylko do nieba, jak innemi razy widywałam, ale całe niebo otwarte; ukazał mi się tron, ten sam, który, jak mówiłam Waszej Miłości, przedtem już nieraz widziałam, a ponad nim drugi, na którym, choć nic nie widziałam, przecie niepojętym jakimś i niepodobnym do określenia sposobem poznania, jasno rozumiałam, że zasiada Bóstwo. Podpierały go cztery zwierzęta, w których, pomna wykładu tajemniczego znaczenia tych figur, poznałam czterech Ewangelistów; ale jaki był kształt tego tronu, i kto na nim siedział, tego widzieć nie mogłam. Widziałam tylko naokoło niego wielkie mnóstwo aniołów, bez porównania, jak mi się zdawało, piękniejszych, niż ci, których przedtem oglądałam w niebie; byli to, jak sądzę, serafini albo cherubini, bo jasność chwały ich bardzo jest różna, jak mówiłam, od chwały drugich; wydają się jakby nawskroś ogniem płonący. Jakiego wówczas doznałam w sobie nadziemskiego uszczęśliwienia, tego opisać nie potrafię; nikt nie zdoła tego wyrazić, ani nawet w myśli sobie przedstawić, kto sam nie doświadczył. Nic nie widziałam, a przecie czułam to wyraźnie i rozumiałam, że tam przede mną jest wszystko, czego jedno dusza pragnąć może. Usłyszałam głos, nie wiem czyj, mówiący mi, że w obec tego objawienia nic innego nie mam do czynienia, jedno zrozumieć, że niczego tu zrozumieć nie zdołam, i uznać, jako w porównaniu z tem dobrem niewidomem, wszystkie rzeczy widome są czy-

stem nicestwem. Jakoż prawdziwie od tego czasu wielkie czułam w głębi duszy zawstydzenie, widząc, że mogę jeszcze, nie już przywiązywać się do jakiejbądź rzeczy stworzonej, ale choćby i myślą tylko na niej się zatrzymać; cały świat wydawał mi się jednem tylko mrowiskiem. Przyjęłam w tym stanie Komunię i wysłuchałam Mszy, sama nie wiem jak; zdawało mi się, że wsystko to trwało jednę chwilę, wielkie więc było zdziwienie moje, gdy za uderzeniem zegaru przekonałam się, że całe dwie godziny zostawałam w tem zachwyceniu i nadziemskiem uszczęśliwieniu. Zdumiewałam się potem nad cudowną potęgą tego ognia wewnętrznego, który snać prosto od Boga, i z wiekuistego ogniska miłości Jego, zstępuje na duszę; bo jako nieraz już mówiłam, jakkolwiekbym pragnęła, i aż do wyniszczenia siebie wysilała się, nie jest w mojej mocy zdobyć sobie choćby jednę iskierkę jego, jeśli Pan sam w Boskiej łaskawości swojej użyczyć mi go nie raczy. Ogień ten, gdy zstąpi na duszę, pochłania w sobie starego człowieka, i wszystkie niedostatki, i niemoce, i nędze jego; jako on feniks, o którym gdzieś czytałam, spłonąwszy w ogniu, z własnychże popiołów swoich powstaje przemieniony, tak i dusza z tego ognia wychodzi inszą niż była, pełna inszych i świętszych niż przedtem pożądań i męstwa wielkiego; nie poznałbyś jej, z taką nową zupełnie czystością poczyna chodzić drogami Pańskiemi. Błagałam Pana, aby i ze mną tak było, abym i ja z nowym zapałem ducha zaczęła Mu służyć. A Pan rzekł do mnie: — „Dobrego użyłaś porównania; patrzajże byś o niem nie zapomniała i nie ustała nigdy w usilnem staraniu o stawanie się coraz bardziej doskonałą.“

Innego razu, gdy znowu trapiłam się tąż samą, o której mówiłam wyżej, wątpliwością, czy te widzenia są od Boga, ukazał mi się Pan i rzekł do mnie głosem surowym: — „O synowie ludzcy, dopókiż będziecie ciężkiego serca?“ Potem dodał, że o to jedno dobrze siebie zbadać powinnam: czy rzeczywiście oddałam siebie Jemu na własność, czy też nie? a jeśli to prawda, że oddałam się Jemu, i że jestem Jego, więc też niech będę pewną, że On nie dopuści mi zginąć. Surowy on wyrzut na początku mowy Jego bardzo był mię zasmucił; ale Pan na nowo przemówił do mnie z wielką czułością i słodkością: mó-

wił mi, żebym się nie smuciła; że wie dobrze, iż gotowa jestem na wszystko dla służenia Jemu, że i On uczyni wszystko, o cokolwiekbym Go prosiła; jakoż i w onejże chwili uczynił to, o co Go byłam błagała. Dodał jeszcze: — „Patrz tylko na tę rosnącą w tobie z każdym dniem miłość, jaką mię miłujesz, a po tem samem poznasz, że nie jest to sprawą diabelska. Nie sądź, by Bóg dopuszczał czartowi aż do tego stopnia moc swą wywierać na tych, którzy Jemu służą; aniby on duch ciemności zdołał dawać tobie tę jasność wewnętrzną i ten pokój duszy, któremi się cieszysz.“ Nakoniec ostrzegł mię, że po tylu zapewnieniach, jakie otrzymałam od mężów tak poważnych, iż widzenia moje są od Boga, źle czyniłabym, gdybym jeszcze w to nie wierzyła.

Innego dnia, w chwili gdym odmawiała Skład wiary św. Atanazego: *Quicunque vult salvus etc.*, Pan mi dał zrozumieć, w jaki sposób Bóg jest jeden we trzech Osobach, i to tak jasno, że wielkie z tego miałam i zdumienie i pociechę. Wielce mi to pomogło do lepszego poznania wielmożności, Boga i cudownych spraw Jego; i ile razy teraz myślę o Trójcy Świętej, albo słucham mówiących o Niej, niezmierną mi to radość sprawuje, że rozumiem, zdaje mi się, jak to być może.

Raz znowu, w dzień Wniebowzięcia Królowej Anielskiej i Pani naszej, Pan raczył uczynić mi tę łaskę, że ujrzałam w zachwyceniu Jej wstąpienie do nieba, i radosne i uroczyste przyjęcie Jej, i miejsce, jakie zajęła w królestwie Syna swego. W jaki sposób to wszystko się odbyło, tego opisać nie potrafię; to tylko powiem, że widok tej chwały i moję duszę niewypowiedzianą chwałą i szczęśliwością napełnił. Skutki też bardzo znaczne to widzenie we mnie sprawiło; pozostała mi po niem wielka żądza cierpienia i gorące pragnienie służenia tej Pani niebieskiej, która sobie na taką chwałę zasłużyła.

Będąc w kościele kollegium Towarzystwa Jezusowego, w chwili gdy bracia przystępowali do Komunii, ujrzałam rozciągniętą nad głowami ich bardzo kosztowną oponę. Widzenie to powtórzyło się dwa razy; gdy potem drudzy przystępowali do Komunii, opony tej już nie widziałam.

ROZDZIAŁ XL.

O innych jeszcze nadzwyczajnych łaskach, które Pan jej uczynił. Może z nich być zbawienna nauka dla drugich, gdyż w całem tem pisaniu, jak już mówiła wyżej, ten był, po posłuszeństwie, główny jej zamiar, wspominać tylko o takich łaskach, o których wiadomość może przynieść duszom pożytek. Na tym rozdziale kończy się historya jej życia, ręką jej napisana, co niechaj będzie na chwałę Panu. Amen.

Pewnego dnia, doznając na modlitwie nadzwyczajnej pociechy i słodkości, i znając siebie być niegodną tak wielkiej łaski, poczęłam się zastanawiać nad tem, jako daleko słuszniej należałoby mi się ono miejsce w piekle, które mi było ukazano, i którego okropność, jak wówczas widziałam siebie w niem pogrążoną, nigdy odtąd, jak mówiłam, nie wychodzi mi z pamięci. Rozważanie to większy jeszcze wznieciło zapał w duszy mojej, i przyszło na mnie zachwycenie, jakiego opisać nie zdołam. Duch mój, zdawało mi się, cały był pogrążony w Bogu i na wskróś przenikniony onym Majestatem, który już przedtem nieraz oglądałam. W tym Majestacie dano mi było zrozumienie prawdy, która jest dopełnieniem wszystkich prawd; jak się to stało, tego określić nie mogę, bo nic nie widziałam. Usłyszałam te słowa, nie widząc tego, kto je mówił, ale wyraźnie czując, że mówi je samaż Prawda: — „Nie mała to rzecz, którą dziś tobie czynię, i jest to jedna z największych łask, jakie mi zawdzięczasz: bo wszelkie szkody i nieszczęścia, jakie przychodzą na świat, powstają stąd, że ludzie nie znają jasno i nieobłudnie prawd Pisma świętego; a przecie nie masz w niem jednej joty, któraby się nie spełniła.“ Mnie się zdawało, że zawsze tak w Pismo wierzyłam, i że wszyscy wierni czynią podobnież. Ale Pan rzekł mi: — „O córko, jak mało jest takich, którzyby mię kochali w prawdzie! Gdyby mię kochali, nie ukrywałbym przed nimi tajemnic moich. Czy wiesz co to znaczy, kochać mię w prawdzie? Znaczy to: rozumieć, że wszystko, cokolwiek mnie się nie podoba, jest kłamstwem. Prawdy tej jeszcze nie rozumiesz, ale zrozumiesz, gdy ujrzysz, jaką

z niej dusza twoja korzyść odniesie". Jakoż i zrozumiałam, za co niech będą dzięki Panu; bo od czasu tego zachwycenia, wszystko, co nie zmierza do służby Bożej, taką mi się ukazuje marnością i kłamstwem, że słów mi nie staje na wyrażenie tego tak jak czuję, ani jak głębokie mam politowanie dla tych, których widzę błąkających się w ciemności, dla tego że tej prawdy nie znają. Inne jeszcze z tego poznania osiągnęłam korzyści, z których tu wymienię niektóre, bo wszystkich, nie sposób. W ciągu tego zachwycenia, Pan rzekł do mnie jedno słowo, pełne szczególnej czułości i niewypowiedzianej łaskawości. Jak się to stało, nie wiem, bo nic nie widziałam; ale słowo ono taką we mnie zdziałało odmianę, jakiej nie potrafię wyrazić; uczułam w sobie stanowczo niezachwianą gotowość i męstwo nieustraszone do spełnienia ze wszystkich sił moich wszystkiego, aż do rzeczy najmniejszych, cokolwiek Pismo nam do spełnienia podaje; czułam, że nie masz na całym świecie takiej rzeczy, którąby zdołała mię wstrzymać w tem postanowieniu mojem.

Pozostało wyryte we mnie prawdziwe poznanie tej Prawdy, która mi się była przedstawiła w taki sposób nieopisany; przeniknęło mię ono nową czcią dla Boga, objawiając mi wielmożność i potęgę Jego w świetle tak żywem, że go określić niepodobna: czuje się tylko i widzi umysłem, że jest tu cóś ogromnego. Wyniosłam jeszcze z tego objawienia gorące pragnienie, nie mówienia już o niczem, jedno o rzeczach do tej prawdy się odnoszących, wyższych nad te, o których zwykło się rozmawiać na świecie; stąd też, żyć jeszcze na świecie stało się dla mnie od tego czasu przykrością. Nadto jeszcze, wielka tkliwość w stosunku z Bogiem, i słodkość wewnętrzna, i pokora, pozostały we mnie jako owoc onego widzenia. Słowem, wielkie rzeczy mi Pan w niem uczynił; a choć sposobu, w jaki się to stało, nie rozumiałam, żadna przecie nie powstała we mnie obawa, by to, czego doznałam, nie było złudzeniem. Niczego nie widziałam, ale jasno poznałam i zrozumiałam, jakie to wielkie szczęście za nic mieć wszystko, cokolwiek nie prowadzi do Boga; zrozumiałam co to znaczy, chodzić w prawdzie,

w obliczu samejże Prawdy; a tą Prawdą, zrozumiałam i to, bo On mi to raczył oznajmić, jest Pan sam.

Wszystkie te objawienia, o których tu mówię, były mi dane bądź w słowach, które słyszałam mówione do mnie, bądź bez słów, a przecie w sposób taki, że jaśniej je rozumiałam, niż gdyby mi je powiadano słowami. Poznałam o tej prawdzie prawdy wspaniałe, lepiej niżby wielu uczonych razem zdołało mię nauczyć. Żaden uczony, tak sądzę, nie potrafiłby żadną miarą tak głęboko wyryć w duszy mojej te prawdy, ani dać mi tak jasne poznanie marności tego świata. Ta Prawda, która tam, jak mówię, raczyła się mi objawić, jest sama w sobie prawdą, jest bez początku i końca, i wszelka inna prawda od tej Prawdy zawisła, podobnie jak wszelka inna miłość zawisła od tej Miłości, i wszelka inna wielkość od tej Wielkości; tylko że to co tu mówię, ciemnem jest, w obec tej jasności, z jaką Pan dał mi te rzeczy zrozumieć. O jakże wspaniale objawia się potęga tego Majestatu, gdy tak w jednej chwili takiemi duszę zbogaca skarbami, i takie tajemnice pozostawia w niej wyryte! O Wielmożności moja! o Majestacie mój! Co czynisz, Panie mój wszechmogący? Obacz, kto jest ta, której takie królewskie łaski czynisz. Nie pomnisz na to, że ta dusza była przepaścią kłamstwa i morzem próżności, i wszystko to z własnej winy mojej; bo z łaski Twojej miałam wrodzony wstręt do kłamstwa, a ja mimo to w tylu zdarzeniach mówiłam i czyniłam kłamstwo. Jakże to znieść możesz, o Boże, i jak się to godzi ze sprawiedliwością Twoją, byś taką miłość okazywał i takie łaski czynił mnie, która tak źle na nie zasłużyłam?

Jednego dnia, gdy razem z drugiemi odmawiałam w chórze godziny kanoniczne, nagle przyszło na mnie zebranie wewnętrzne i ujrzałam duszę moję w podobieństwie zwierciadła lśniącego, bez tyłu, bez boków, bez wierzchu i spodu, tylko na wszystkie strony jaśniejącego, a w pośrodku ukazał mi się Pan nasz Jezus Chrystus, w takiej postaci, w jakiej Go zwykle widuję. Widziałam Go, zdawało mi się, jasno jak w zwierciedle odbijającego się na wszystkich częściach duszy mojej, a zwierciadło to nawzajem, nie wiem jakim sposobem, wyrażało się całe na Panu, niewypowiedzianem, ale miłości pełnem, zo-

bopólnem udzielaniem się. Widzenie to, upewniam, wielką mi korzyść przyniosło, i dotąd przynosi, ile razy na nie wspomnę, zwłaszcza odchodząc od Komunii świętej. Dano mi było poznać, jako zwierciadło to, gdy dusza jest w grzechu śmiertelnym, pokrywa się gęstą mgłą i całe czernieje, zaczem już Pan nie może w niem się odbijać ani widzianym być, chociaż zawsze jest obecny, jako dający byt i życie; herezya zaś jest jakoby stłuczeniem tego zwierciadła, co jest o wiele większem nieszczęściem, niż gdyby było tylko zaćmione. Wielka jest różnica między widzeniem tego, a opowiedzeniem, bo bardzo trudno taką rzecz objaśnić. Mnie, powtarzam, widzenie to wielką korzyść przyniosło, ale też wielki we mnie żal wzbudziło, że tyle razy obrażając Pana, duszę moję zaćmiłam, i widoku Jego siebie pozbawiłam.

Widzenie to, zdaniem mojem, wielki może przynieść pożytek każdemu, w skupieniu ducha żyjącemu, ile że z niego nauczy się upatrywać Pana w najgłębszem ukryciu duszy swojej; a takie zapatrywanie się, jak to w innem miejscu objaśniłam, i przyjemniejsze jest, i o wiele pożyteczniejsze, niż gdy nań patrzymy zewnątrz siebie. Sposób ten zalecają także niektóre księgi duchowne, traktujące o tem, jak mamy szukać Boga. Tak mianowicie wielki św. Augustyn opowiada nam o samym sobie, jako szukając Boga na rynkach, i w roskoszach, i wszędzie, nigdzie Go tak nie znalazł, jak we własnej duszy swojej. I rzecz jasna, że ten jest sposób najlepszy: nie potrzeba tu wznosić się aż do nieba, ani szukać gdzieś daleko, co i umysł męczy zbytniem natężeniem, i duszy sprawuje roztargnienie, a owoc zawsze nie taki; dość wnijść w siebie, a znajdziemy Boga. Dodam tu jeszcze jednę uwagę, która w danym razie może komu się przydać. Zdarza się niekiedy w czasie wielkich zachwyceń, że gdy przeminie pierwsza chwila złączenia duszy z Bogiem, które pochłania w sobie i trzyma w zawieszeniu wszystkie władze, — co, jak mówiłam, trwa krótko, — dusza i potem jeszcze pozostaje w głębokiem zebraniu w sobie, i zewnętrznie nawet nie może przyjść do siebie, a dwie władze, pamięć i rozum, błąkają się nieprzytomne, jakby w gorączce. Zdarza się to zwłaszcza w początkach. Pochodzi to, jak sądzę,

z przyrodzonej słabości naszej, nie mogącej znieść tak silnego naporu ducha, skutkiem czego wyobraźnia słabnie i jakoby się rozluźnia. Wiem że niejedna dusza tego doświadcza. Radziłabym w takim razie zmusić się do zaniechania na ten czas modlitwy, i w innym czasie powetować sobie tę stratę, byle nie zaraz, bo mogłaby z tego wyniknąć ciężka szkoda dla zdrowia, jak o tem nas upewnia doświadczenie. Roztropność zatem każe tu mieć baczenie na zdrowie i siły swoje, byśmy nie brali na siebie więcej niż unieść zdołamy.

Więcej jeszcze potrzeba w tych rzeczach doświadczenia i światłego przewodnika; bo gdy dusza dojdzie do tego stanu, wiele tu napotka trudności i wątpliwości, w których rada i pomoc mistrza duchownego nieodzownie jej jest potrzebną. Gdyby jednak, szukając takiego przewodnika, znaleźć go nie mogła, Pan jej nie opuści, kiedy nawet mnie, takiej nędznej, w podobnej potrzebie nie opuścił. Mało jest, zdaje mi się, duchownych, którzyby z własnego doświadczenia znali te wysokie rzeczy; a który nie ma tego doświadczenia, ten miasto pomocy i kierunku, niepokój tylko i udręczenie na duszę naprowadzi; ale Pan nie omieszka zaliczyć jej taką próbę w zasługę. Zawsze więc lepiej w tych rzeczach znosić się z przewodnikiem, jak o tem już na innem miejscu mówiłam; zdaje mi się nawet, że wszystko, co tu mówię, już wyżej gdzieś powiedziałam, ale dobrze nie pamiętam, a że są to rzeczy bardzo ważne, więc wolę je powtórzyć. Szczególnie też nam, niewiastom, koniecznie potrzeba w tych rzeczach poddawać się kierunkowi spowiednika, oby tylko był takim, jakimby być powinien. Rzecz pewna, że między tymi, którym Pan takich łask użycza, daleko więcej jest niewiast, niż mężczyzn; słyszałam to z ust św. Piotra z Alkantary i sama się o tem naocznie przekonałam. Święty on sługa Boży upewniał mię, że niewiasty nierównie większe czynią na tej drodze postępy, od mężczyzn, i tłómaczył to bardzo przekonywającemi racyami, których tu powtarzać nie mam potrzeby; ale wszystkie one przemawiały za nami.

Raz, będąc na modlitwie, otrzymałam w jednej chwili objawienie, w jaki sposób wszystkie rzeczy widzialne są w Bogu i wszystkie się w Bogu zawierają. Nie widziałam żadnych ści-

śle określonych kształtów, a przecie widzenie całości było nad wszelki wyraz jasne. Daremnie kusiłabym się to opisywać; ale obraz tego, co widziałam, pozostał głęboko wyryty w duszy mojej, i jest jedna z największych łask, jakie Pan mi uczynił, i jedna z tych, które mię najwięcej pobudzają do upokorzenia i zawstydzenia się na wspomnienie grzechów moich. Gdyby Pan przedtem był raczył ukazać mi to widzenie, snać nie byłabym ich nigdy popełniła; i gdyby ci, którzy Go obrażają, mogli je ujrzeć, pewna jestem, że nie mieliby już serca ani śmiałości do wyrządzenia Mu tej zniewagi. Rzecz przedstawiała mi się wyraźnie, choć nie mogę powiedzieć, bym cokolwiekbądź oczyma widziała; cóś jednak musiało w tem być widzialnego, skoro mogę, jak to zaraz uczynię, objaśnić rzecz za pomocą porównania; tylko że widzenie to dzieje się w sposób tak subtelny i nieuchwytny, że umysł go dosięgnąć nie zdoła; albo też ja sama poznać się nie umiem na takich widzeniach, które na pozór żadnego wyobrażenia nie przedstawiają, a jednak w niektórych musi być cóś na wyobraźnię działającego; albo wreszcie, że władze, będąc w czasie widzenia w zachwyceniu, nie zdołają potem odtworzyć sobie w wyobraźni kształtu, w jakim Pan im te rzeczy przedstawia, i chce, aby widzeniem ich się cieszyły. Przedstawmy więc sobie Bóstwo, jakoby dyament, nad wszelki wyraz jasny i przejrzysty, a niezrównanie większy niż wszystek świat; albo jakoby ono zwierciadło duszy, o którem mówiłam w poprzedniem widzeniu; tylko i jedno i drugie w sposób tak nieskończenie przewyższający, że słów mi brak na wyrażenie tego. Wszystkie uczynki nasze widzialne są w tym dyamencie, wszystkie w nim się zawierają, bo nie masz nic, coby istniało poza tą niezmierzoną wielkością, która wszystko w sobie zamyka. Zdumienie moje nie miało granic, iż w takiej krótkiej chwili czasu, tyle rzeczy na raz widziałam zebranych w tym jasnym dyamencie, a jeszcze większy żal mię przenika, ile razy wspomnę, że widziałam tam, na onej przejrzystej jasności, takie sprosne plamy, jakiemi są grzechy moje. Prawdę mówię, że ile razy wspomnę na ten okropny widok, nie wiem jak go wytrzymać mogę, i wówczas także, gdym go pierwszy raz ujrzała, ledwo nie umarłam od wstydu, i radabym była

schować się pod ziemię. O, ktoby mógł to, co ja widziałam, ukazać na oczy tym nieszczęśliwym, którzy dopuszczają się tylu sprosnych i sromotnych grzechów, aby pomnieli, że nie są ukryte przed Bogiem brzydkie sprawy ich, że sprawiedliwie Bóg ma siebie za obrażonego, gdy tak je popełniamy w samychże oczach nieskończonego Majestatu Jego, i taką zelżywość czynimy obecności Jego! Zrozumiałam wówczas, jak słusznie należy się piekło za jeden grzech śmiertelny, bo jest to zniewaga, przechodząca wszelkie pojęcie, w obliczu tak wielkiego Majestatu czynić rzecz taką, tak wstrętnie przeciwną Boskiej istności i świętości Jego. Ale w tem okazuje się także nieskończone miłosierdzie Jego, że choć grzeszymy świadomie, znając te prawdy, On przecie nas znosi. Myślę sobie nieraz: jeśli jedno chwilowe widzenie tych rzeczy tak przeraża duszę, cóż będzie w dzień sądu, gdy ten Majestat jawnie nam się ukaże, i ujrzymy każdy odkryte grzechy nasze? O Boże wielki, jakież to było zaślepienie moje! Po wiele razy, w ciągu tego pisania, ogarniał mię strach i trwoga, i Wasza Miłość pewno się temu nie zdziwisz; to jedno chyba zadziwić cię może, jakim sposobem, widząc te prawdy, i patrząc na siebie, jaką jestem, jeszcze żyję. O Panie, bądź błogosławiony na wieki, iżeś tak długo mię znosił!

Jednego dnia, gdym była głęboko skupiona na rozmyślaniu, z wielką w duszy słodkością i spokojem, uczułam się nagle otoczoną aniołami, i bardzo blizko Boga; poczęłam tedy modlić się gorąco za Kościół, a Pan w Boskiej łaskawości swojej ukazał mi wielkie usługi, jakie pewien zakon w późniejszych czasach odda Kościołowi, i z jakiem męstwem członkowie jego będą się poświęcali w obronie wiary.

Innego razu, gdy modliłam się przed Najświętszym Sakramentem, ukazał mi się jeden Święty, którego zakon nieco był podupadł; otworzył przedemną wielką księgę, którą trzymał w ręku, i kazał mi czytać zapisane w niej dużemi, bardzo wyraźnemi głoskami, te słowa: „Przyjdzie czas, że ten zakon zakwitnie i wielu wyda męczenników“.

Raz znowu, w chórze, w czasie jutrzni, zjawiło się i stanęło przede mną sześciu czy siedmiu braci tegoż zakonu, z orę-

żem w ręku. Oznaczało to, jak sądzę, że mają walczyć w obronie wiary; bo w zachwyceniu, jakie w innym czasie miałam na rozmyślaniu, ujrzałam się w duchu przeniesioną w pośród wielkiego pola, na którem potykały się z sobą liczne zastępy, i między niemi ciż bracia tego zakonu walczyli także z wielkim zapałem; piękne ich oblicza płonęły ogniem waleczności; wielu nieprzyjaciół leżało pod ich nogami, powalonych na ziemię lub zabitych: była to, jak rozumiałam, walka z herezyami. Nieraz jeszcze i potem ukazał mi się ten chwalebny Święty, powiedział mi niektóre rzeczy zakryte, i dziękując mi że się modlę za jego zakonem, obiecał mi, że będzie mię polecał Panu. Nie wymieniam, o jakich zakonach tu mówię, aby się nie obraziły drugie. Pan sam, jeśli chce, aby o nich wiedziano, potrafi je oznajmić. Ale każdy zakon, jak sądzę, i każdy zakonnik o to jedno staraćby się i ubiegać powinien, by za pomocą łaski Boskiej dostąpił szczęścia służenia Kościołowi i bronienia go w obecnych jego ciężkich potrzebach. Szczęśliwy, komu dano za taką sprawę życie swoje położyć!

Pewien dostojnik kościelny prosił mię o modlitwę, aby Bóg raczył mu objawić wolę swoję, czy ma przyjąć ofiarowane mu biskupstwo. Pan dał mi po Komunii taką dla niego odpowiedź: — „Gdy jasno zrozumie i szczerze uzna, że prawdziwe panowanie zasadza się na nieposiadaniu niczego, wówczas będzie mógł przyjąć“; przez co dał do zrozumienia, że którzy mają być wyniesieni na dostojeństwa i przełożeństwa, dalekimi być powinni od pożądania ich, albo przynajmniej od starania się o nie.

Takie są łaski, i wiele innych jeszcze, które Pan uczynił, i dotąd ustawicznie czyni takiej jak ja grzesznicy. Więcej jeszcze o nich mówić, byłoby, zdaje mi się, rzeczą zbyteczną, bo już z tego co powiedziałam, łatwo poznać, jaki jest stan duszy mojej, i w jakim duchu i kierunku Pan mię prowadzi. Niech będzie błogosławiony na wieki, że takie raczył mieć o mnie staranie.

Jednego razu, pocieszając mię w strapieniu mojem, Pan rzekł do mnie z wyrazem najczulszej miłości: — „Nie smuć się; w tem życiu dusza nie może być zawsze w jednym stanie: je-

dnego dnia będziesz pałała gorliwością, drugiego będziesz się czuła oschłą i oziębłą; dziś będziesz się cieszyła pokojem wewnętrznym i pogodą duszy, jutro przyjdą na cię trwogi i pokusy; ale ufaj we mnie i nie bój się niczego."

Raz zastanawiałam się nad sobą, czy niema w tem jakiego grzesznego przywiązania, że rada przestaję z tymi, którzy kierują duszą moją, i z innymi cnotliwymi sługami Bożymi, że ich kocham, że w rozmowie z nimi znajduję dla siebie pociechę. A Pan powiedział mi: — „Gdyby chory, już zagrożony śmiercią, odzyskawszy zdrowie za staraniem troskliwego lekarza, nie chciał potem okazywać wdzięczności i przywiązania temu wybawicielowi swemu od śmierci, pewno takiego postępku jego nie nazwałabyś cnotliwym. Cóżbyś ty była poczęła bez pomocy tych pobożnych przyjaciół? Rozmowa z dobrymi szkody nie czyni, byleby tylko słowa twoje były rozważne i święte; nie przestawaj więc obcować z nimi; nic ci to nie zaszkodzi, owszem raczej przyniesie pożytek." Bardzo mię te słowa pocieszyły; bo nieraz, bojąc się zbytniego przywiązania się, już myślałam o zupełnem zerwaniu tych stosunków. Tak to ciągle i we wszystkiem wspierał mię radą swoją ten dobry Pan, ucząc mię nawet jak mam postępować ze słabymi, albo jak się zachowywać z tym lub owym. Nigdy mnie, w żadnem zdarzeniu, nie wypuszcza z swej pieczy.

Często martwię się tem, że tak jestem niedołężną do służby Jego, i że na pielęgnowanie takiego schorzałego i nędznego ciała, jakiem jest moje, z konieczności muszę więcej poświęcać czasu, niżbym chciała. Jednego wieczoru byłam na modlitwie, aż przyszła pora udać się na spoczynek, a mnie napadły wielkie boleści, i uczułam zbierające się we mnie zwykłe nudności moje. Widząc siebie tedy tak skrępowaną niedołęztwem ciała mego, gdy duch z swojej strony żądał dla siebie swobody do obcowania z Bogiem, uczułam taki smutek z tej rozterki wewnętrznej, że poczęłam gorzko płakać i nie mogłam się pocieszyć. Nie był to ten jeden tylko raz; często, jak mówiłam, tego doświadczam, i prawdziwy wówczas czuję do samej siebie wstręt i obrzydzenie; zwyczajnie jednak, wiem dobrze o tem, wcale się sobą nie brzydzę, ani nie zaniedbuję potrzebnych

około siebie starań; a dałby Bóg bym w tym względzie nie czyniła dużo więcej, niż tego istotna wymaga potrzeba. Onego więc wieczoru, o którym zaczęłam mówić, gdy byłam w tej męce, ukazał mi się Pan i słodko mię pocieszał, mówiąc: — „Rób te około siebie starania, i cierpienia te znoś dla miłości mojej; jeszcze życie twoje jest potrzebne.“ Jakoż mogę, zdaje mi się, powiedzieć, że od chwili jak powzięłam mocne postanowienie służenia ze wszystkich sił moich temu Panu i Pocieszycielowi mojemu, nigdy już nie doznałam prawdziwego udręczenia. Bo choć niekiedy pozostawia mię na chwilę w cierpieniu, tak mię przecie potem pociesza, że istotnie żadnej z tego nie mam zasługi, że pragnę cierpienia, i prawdziwie teraz mam to uczucie, że nie warto żyć, jedno po to aby cierpieć, o co też Boga proszę z całą usilnością woli mojej. Z głębi duszy wołam nieraz do Niego: — Panie, albo cierpieć, albo umrzeć!— o nic innego nie proszę dla siebie. Gdy słyszę zegar wybijający godzinę, dusza się we mnie raduje, na myśl, że choć o tyle mi bliżej do oglądania Boga, że choć o tyle mniej pozostaje mi do życia. Prawda, że przychodzą potem znowu inne chwile, kiedy nie czuję ani ciężaru życia, ani pożytku śmierci, a opanowuje mię ogólna jakaś obojętność i ciemność wewnętrzna; może to skutek wielkich, jak mówiłam, cierpień, których często doświadczam.

Że się spodobało Panu, aby łaski, które Boski Majestat Jego mi czyni, stały się powszechnie wiadomemi, było to, gdy mi na kilka lat przedtem to postanowienie swoje oznajmił, wielkiem dla mnie zmartwieniem; i nie tajno Waszej Miłości, jak wiele z tego powodu aż do tego czasu wycierpiałam, bo każdy bierze i tłómaczy sobie te rzeczy według swojego sposobu widzenia. Ale pocieszam się tem, że nie stało się to z mojej winy; bo jaknajwiększą zawsze w tym względzie zachowywałam oględność i powściągliwość, i nigdy nikomu o tych łaskach nie mówiłam, z wyjątkiem jedynie spowiedników moich, i tych, którzy już o nich od tychże wiedzieli. Nie było to, jak to już wyżej mówiłam, przez pokorę, ale dla tego tylko, że nawet spowiednikom z temi rzeczami się zwierzać, bardzo mi było przykro. Teraz już, dzięki Bogu, choć wielu na mnie w naj-

lepszej wierze szemrze, choć różni boją się rozmawiać ze mną, albo nawet mię spowiadać, choć inni jeszcze strofują mię i różne mi robią uwagi: gdy wiem i jasno widzę, że spodobało się Panu użyć tego sposobu do uświęcenia wielu dusz, pomnąc na gorzką mękę, którą On za każdą z nich wycierpiał, mało o to wszystko się troszczę. Może też ten mój spokój i obojętność na sądy świata, pochodzi z mojego odosobnienia od świata w tem tu maluczkiem i tak ściśle zagrodzonem schronieniu, w którem Pan ukryć mię raczył, a w którem będąc już jakby umarłą, spodziewałam się że pamięć o mnie zaginie; ale nie zupełnie stało się tak jak się spodziewałam, bo i tu jeszcze zmuszona jestem widywać się z różnymi: wszakże nie będąc już na widoku, czuję się tu jakby w spokojnym porcie, do którego Bóg w dobroci swojej mię przywiódł, i ufam w miłosierdziu Jego, że zawsze mi tu będzie bezpiecznie. W takiem żyjąc oddaleniu od świata, wśród małej trzódki świętych towarzyszek moich, patrzę na rzeczy jakoby z wysokości, i mało się frasuję o to, co ludzie o mnie mówią lub wiedzą; jeden najmniejszy pożytek jednej duszy więcej mię obchodzi, niż wszystkie o mnie zdania i sądy świata; pożytek dusz, ten jest z łaski Pana jedyny, odkąd tu jestem, cel wszystkich żądz i pragnień moich. Życie moje zewnętrzne zamieniło się jakby w sen: cokolwiek widzę z tych rzeczy zewnętrznych, wszystko to wydaje mi się, jakby mi się śniło, żadnej mi to nie robi żywszej ani przyjemności, ani przykrości; albo jeśli kiedy jeszcze doznam podobnych wrażeń, przechodzą one tak szybko, że sama sobie się dziwię, i pozostaje mi tylko po nich wspomnienie, jakby po rzeczy przez sen doznanej. Szczerze mówię, jakkolwiek nieraz chciałabym cieszyć się doznaną jaką przyjemnością, albo smucić się przykrością jaką, która mię spotkała, żadną miarą zdobyć się na to nie mogę, tak samo zupełnie jak człowiek rozsądny nie może się naprawdę cieszyć albo smucić rzeczą przyjemną czy przykrą, która mu się przyśniła. Pan łaską swoją raczył tak oderwać duszę moję od tych rzeczy, które dawniej, gdy nie byłam umartwiona, ani umarła dla pożądliwości tego świata, tak mocno mię poruszały; niechaj też w Boskiej łaskawości swojej

raczy to sprawić, bym kiedy nie wpadła na nowo w dawne zaślepienie moje.

Takie jest obecnie życie moje, panie i ojcze mój; proś za mną Boga, aby mię albo zabrał do siebie, albo mi dał sposób służenia Mu. Oby z Boskiej dobroci Jego to pisanie moje przyniosło Waszej Miłości jaki pożytek! Mało miałam do niego swobody i czasu, i dość mię ono kosztowało trudu; ale szczęśliwy dla mnie byłby ten trud, jeśli zdołałam powiedzieć cokolwiekbądź, coby w czytającym wywołało choć jeden akt uwielbienia Pana; to jedno poczytywałabym sobie za sowitą zapłatę, choćbyś Wasza Miłość zaraz potem całą tę robotę moję wrzucił do pieca. Chciałabym jednak byś tego nie uczynił, póki jej nie przejrzą wiadomi Waszej Miłości trzej kapłani, którzy byli i są jeszcze spowiednikami moimi; jeśli napisałam źle, dobrze będzie że stracą korzystne jakie o mnie mają mniemanie; jeśli dobrze, więc jako mężowie cnotliwi i uczeni, poznają źródło tego dobrego, i będą chwalili Tego, który mówił przeze mnie. Niechaj Boska moc Jego wspiera zawsze Waszę Miłość ręką swoją, i uczyni cię takim wielkim świętym, iżbyś duchem i światłem swojem oświecił to nędzne, niepokorne a zuchwałe stworzenie, które śmiało porwać się na pisanie o takich wysokich rzeczach. Daj Boże, bym pisząc to, nie była popełniła błędu; intencyę przynajmniej miałam szczerą; chciałam napisać dobrze i być posłuszną; chciałam, by Pan ze mnie choć w czemkolwiek miał chwałę, jest to łaska, o którą od wielu lat Go błagam; — a nie mając żadnych dobrych uczynków, któremibym Go chwalić mogła, ośmieliłam się ułożyć na chwałę Jego ten opis niepoczesnego życia mego, nie poświęcając jednak nań więcej starania i czasu, niż go było potrzeba do samego tylko napisania, i opowiadając wewnętrzne przejścia moje z wszelką, jakiej byłam zdolną, szczerością i prawdą. Niechaj Pan, jako jest wszechmogący, i może co chce, niechaj raczy chcieć i użyczyć mi tej łaski, bym umiała we wszystkiem czynić wolę Jego; niech nie dopuszcza tego, by miała zginąć ta dusza, którą On tylekroć, i tylu różnemi drogami i fortelami Boskiej miłości swojej wyrwał z piekła i do siebie pociągnął. Amen.

†

J. H. S.

Duch Święty niechaj będzie zawsze z Waszą Miłością. Nie byłoby od rzeczy, gdybym mocno wytknęła Waszej Miłości usługę jaką mu oddałam, napisaniem tej księgi życia mego, abyś zatem mocniej czuł się zobowiązanym do polecania mię z tem większą usilnością Panu. Po tem co przeszłam, widząc siebie tak opisaną, i przywodząc sobie na pamięć tyle niezliczonych nędz moich, słuszne miałabym do tego prawo; chociaż więcej, szczerze wyznaję, cierpiałam, opisując łaski, które mi Pan uczynił, niż odkrywając grzechy, któremi obraziłam Boski Majestat Jego. Stosownie do rozkazu Waszej Miłości, szeroko się rozpisałam, pod warunkiem, że teraz Wasza Miłość spełnisz coś mi obiecał, i podrzesz, co ci się wyda niewłaściwem. Nie byłam jeszcze zdążyła odczytać tego pisania mego, kiedy Wasza Miłość po nie przysłałeś. Znajdzie się w niem zapewne niejedno niejasne lub niedokładne wyrażenie, albo i niepotrzebne powtarzanie się, bo tak mało na nie czasu miałam, że nie było mi podobna przejrzeć każdą stronicę po napisaniu jej. Racz Wasza Miłość usterki te poprawić, i jeśli ten opis ma być posłany Ojcu Magistrowi w Awili, każ go pierwej przepisać, by snać kto nie poznał ręki mojej. Bardzo zresztą pragnę, by ten uczony i święty mąż robotę moję widział: w tym zamiarze ją rozpoczęłam, bo jeśli on za przeczytaniem jej uzna że jestem na dobrej drodze, będzie to wielką dla mnie pociechą. Już więc dopełniłam co do mnie należało; Wasza Miłość rób teraz z tem wszystkiem co ci się spodoba, a pamiętaj na obowiązki, jakie zaciągnąłeś względem tej, które tak ci powierza duszę swoję. Ja całe życie nie przestanę polecać Panu twoję; kwapże się Wasza Miłość służyć Majestatowi Jego, abyś mógł wzajemnie wspierać mię i miłosierdzie mi czynić. Z tego co tu napisano, przekonasz się Wasza Miłość, jaka to dobra i pożyteczna rzecz, bez podziału, jakoś już zaczął, oddać się Temu, który tak bez miary oddaje nam siebie. Niech będzie błogosławiony na wieki! A ufam w miłosierdziu Jego, że spotkamy się w niebie, kędy

oboje, i Wasza Miłość i ja, jaśniej ujrzymy, jak wielkie miłosierdzie uczynił z nami na tej ziemi, i na wieki wieczne chwalić Go będziemy. Amen. Skończyłam tę książkę w czerwcu, roku 1562 [1]).

---

[1]) List ten, jak dowodzą Bollandyści, pisany był do O. Piotra Ybanez, z rozkazu którego Święta spisała pierwsze opowiadanie życia swego, zacząwszy to pisanie w Awili. r. 1561, a skończywszy je w domu Ludwiki de la Cerda, siostry księcia Medina Coeli, w Tolecie, w czerwcu r. 1562. Wszakże i w tym drugim opisie życia swego, dokonanym z rozkazu O. Garcia de Toledo, Święta kładzie na końcu tenże sam list, naprzód dla tego, że stanowi on treść nierozdzielną pierwszej pracy jej, a powtóre dla tego, że jasno w nim wypowiada, w jakim celu i w jakim duchu ją podjęła (Ob. Bolland., *De Lib. et Script. S. Teresiae, p. 340).*

DODATKI.

DODATEK I (str. 1).

Rodzeństwo Świętej Teresy.

Rodzicami św. Teresy byli Alfons Sanchez de Cepeda i Beatrycza de Ahumada, oboje pochodzący, jak o tem świadczą jednozgodnie wszyscy historycy, z rodów starożytnych, więcej jeszcze żywą wiarą i bogobojnością, niż ziemskiem dostojeństwem znakomitych. W pierwszym rozdziale tego Życia swego, święta Teresa piękny skreśla obraz wysokiej pobożności rodziców swoich, a w rozdziale 38-ym, opisując swoje w duchu przeniesienie do nieba, świadczy, że pierwsze osoby, jakie tam ujrzała, byli to ojciec jej i matka.

Alfons de Cepeda miał dwie żony: pierwsza, Katarzyna del Peso'y Enao, dała mu troje dzieci; z drugiej, Beatryczy de Ahumada, matki św. Teresy, miał ich dziewięcioro. Była to rodzina prawdziwie błogosławiona. „Było nas, mówi św. Teresa (*Życie*, r. I), trzy siostry i dziewięciu braci; wszyscy oni, z łaskawości Boga, wstępowali w cnotliwe ślady rodziców, oprócz mnie".

O dwóch synach Alfonsa de Cepeda z pierwszej żony, braciach przyrodnich św. Teresy, żadnych prawie, oprócz powyższych ogólnych słów Świętej, nie posiadamy historycznych świadectw. O starszym, Janie Vasquez de Cepeda, wiadomo tylko, że obrał sobie był zawód wojskowy; o drugim żadne nie pozostało wspomnienie. O siotrze ich przeciwnie, Maryi de Cepeda, częste i w Życiu i w listach Świętej napotykamy wzmianki, i najwyższe cnót i zasług jej pochwały. Przez całe życie swoje z najczulszą miłością oddana była św. Teresie; całem też życiem swojem godną jej okazała się siostrą. Poślubiona Marcinowi Guzman'y Barrientos, miała dwóch synów. Starszy, Jan, wstąpił do zakonu św. Franciszka, i za przykładem ciotki, przybrał imię Jan od Jezusa. W godzinę śmierci, Święta, już nie żyjąca na tej ziemi, ukazała się jemu i wspierała go w konaniu. Jest o nim mowa w 15-ym (tomu II) liście świętej Teresy. Drugi syn Maryi de Cepeda, Jakób de Guzman, ożenił się z Hieronimą de Tapia, krewną swoją. Mamy dwa listy Świętej pisane do niego, około roku 1576 czy 1577, oba dla pocieszenia go, pierwszy po śmierci żony, drugi po śmierci córki. Marya de Cepeda zakończyła żywot swój pełen cnót i zasług śmiercią drogą przed Panem; w tydzień po śmierci dostąpiła wyzwolenia z Czyśca, jak to było objawiono Świętej (Ob. *Życie* r. 34).

Dziewięcioro dzieci Alfonsa de Cepeda z drugiej żony, Beatryczy de Ahumada, w takim, wedle daty urodzenia, porządku po sobie następują:

Pierwszy, Ferdynand de Ahumada, oddawszy się zawodowi wojskowemu, umiał w nim łączyć rycerską waleczność z pobożnością chrześciańską. W wyprawie na Peru świetnie się odznaczył męztwem nieustraszonem, za co otrzymał w nagrodę rozległe w zdobytym kraju majętności. Miał za żonę Eleonorę de Xeres z Awili; ród jego przechował się w Hiszpanii.

Po Ferdynandzie narodził się Rodryk, o którym szczegóły ob. rozdział I, przypisek.

Trzecią z rzędu była nasza Święta, Teresa de Ahumada, które to nazwisko, w chwili założenia klasztoru św. Józefa w Awili, zamieniła na imię Teresa od Jezusa.

Czwartym przyszedł na świat Wawrzyniec de Cepeda. O nim obfitsze, niż o drugich jej braciach, znajdujemy w pismach Świętej wiadomości. W roku 1556 pojął za żonę Joannę Maryę de Fuentesy Guzman, osobę niepospolitych zalet umysłu i serca, i rzadkiej pobożności, prawdziwy wzór żony i matki chrześcijanki. Po jedenastoletniem najszczęśliwszem z nią pożyciu, odumarła go, nie mając jeszcze spełna 30 lat; śmierć jej dziwnie piękna i świętobliwa była zbudowaniem dla wszystkich. Św. Teresa, w liście do Joanny de Ahumada siostry swojej (list 42, t. IV) z uwielbieniem mówi o życiu jej Bogu oddanem i pobożnej jej śmierci. Wawrzyniec, straciwszy żonę, i pragnąc większej swobody do życia bogomyślnego, po 34 latach spędzonych w Ameryce, gdzie za przykładem braci służył w wojsku i wysokie piastował urzędy, w r. 1575, z porady siostry, wrócił z dziećmi do Hiszpanii, i osiadł w pięknej posiadłości w pobliżu Awili, gdzie samotnie żyjąc, pod kierunkiem świętej siostry swojej, wysoko postąpił w doskonałości. Umarł tamże śmiercią świętych, r. 1580, i pochowany został w Awili, w kaplicy w tym celu przez niego zbudowanej przy kościele klasztornym św. Józefa. Hojnym był dobroczyńcą Karmelu Sewilskiego i wszystkich domów, założonych przez św. Teresę, która i w swej księdze Fundacyi i w listach swoich często o nim mówi i dziwnie pociągający tej pięknej duszy obraz skreśla. Z siedmiorga dzieci Wawrzyńca de Cepeda, najlepiej znaną nam jest najmłodsza, Terezita od Jezusa, która od dzieciństwa przez świętą ciotkę swoję wychowana, i szczególnie przez nią umiłowana, w 14-ym roku życia wstąpiła do Karmelu, którego przez blisko trzydzieści lat, aż do świętej śmierci swojej w r. 1610, wstępując w ślady duchownej matki i wychowawczyni swojej, anielską czystością serca swego i bohaterstwem cnót swoich, była perłą i ozdobą.

Piątym się narodził Antoni de Ahumada, który z porady siostry przywdział habit zakonny św. Dominika. w klasztorze św. Tomasza w Awili, tegoż samego dnia, w którym ona przyjmowała zasłonę w klasztorze Wcielenia tamże (Ob. *Życie* r. 4).

Szósty, Piotr de Ahumada, odznaczył się walecznością w zdobyciu Judii; później, wraz z bratem swoim Wawrzyńcem wrócił do Hiszpanii, i jak on osiadłszy w Awili, tamże w kilka lat po bracie, umarł śmiercią chrześcijańską.

Siódmy, Hieronim de Cepeda, w r. 1562, jak o tem pisze Święta (list

29 t. I), udał się do Ameryki, gdzie na równi z drugimi braćmi swymi, z odznaczeniem się służył na wojnie. Po 12 latach, gdy bracia jego, Wawrzyniec i Piotr wybierali się z powrotem do Hiszpanii, jemu śmierć otworzyła drogę do wiecznej ojczyzny; przyjął ją z weselem, i spokojnie to życie doczesne na życie lepsze zamienił. Św. Teresa krótkim ale wymownym uczciła go panegirykiem, donosząc o śmierci jego siostrze swojej Joannie: „Wiedz, pisze jej, że nad Imieniem Bożem (rzeka w Peruwii) dobry nasz Hieronim umarł jak święty". (list 12 t. IV).

Najmłodszy wreszcie brat św. Teresy, Augustyn, wielkim był wojownikiem; zwycięzko wyszedł z siedemnastu bitew w czasie wojny wojsk hiszpańskich z Chilijczykami. Gdy potem został mianowany gubernatorem jednej z głównych twierdz w Peruwii, św. Teresa, światłem nadprzyrodzonem oświecona, napisała do niego z ostrzeżeniem, by czemprędzej ten urząd porzucił, gdyż grozi mu tam zguba i na ciele i na duszy. Augustyn, znając świętość siostry swojej, bez wahania usłuchał jej rady, i zrzekł się tego miejsca i wszystkich przywiązanych do niego korzyści. Zaledwo oną twierdzę opuścił, Indianie wdarli się do niej siłą czy podstępem, i całą załogę w pień wycięli. Takim cudownym sposobem ocalony, Augustyn wrócił do Europy, i u hiszpańskiej Rady stanu podjął starania o wyznaczenie mu innego miejsca. Wtedy św. Teresa drugi raz napisała do niego, odwodząc go od tego zamiaru: „Mój bracie, pisała mu między innemi, nie przyjmuj żadnego urzędu w Indiach; Pan objawił mi, że przyjmując go, naraziłbyś się na utratę zbawienia wiecznego". Z razu usłuchał tego powtórnego ostrzeżenia z nieba; lecz po śmierci św. Teresy, zapominając zbawienne jej przestrogi, przyjął ofiarowane mu gubernatorstwo jednego z miast w prowincyi Tukumańskiej. Ale zaledwo przepłynąwszy morze dla objęcia nowego urzędu, stanął w Limie, zapadł w chorobę śmiertelną. Z wiarą uznał w tem zrządzeniu miłościwą rękę Bożą; zaczem z głęboką skruchą żałując za winy swoje, i wszelkie pragnienia ziemskich dostojeństw na bok usuwając, wszystką myśl i usilność swoję zwrócił do przygotowania się na śmierć. Święta nie opuściła brata w tej potrzebie; ukazała się jemu, i aż do zgonu go wspierając i zagrzewając, spokojną i szczęśliwą śmierć mu wyjednała. Fakta te, poświadczone przez O. Ludwika de Valvidia, jezuitę, który był spowiednikiem Augustyna w ostatniej jego chorobie, zapisane są w instrukcyi sprawy kanonizacyi św. Teresy.

Najmłodszem z dzieci Alfonsa de Cepeda i Beatryczy de Ahumada była córka, Joanna de Ahumada. Wychowana przez św. Teresę, która jej miejsce matki zastępowała, pobożnością i cnotliwem życiem swojem okazała się godną takiej wychowawczyni. Wspólnie z mężem swoim Janem de Ovalle Godinez, skutecznie dopomogła Świętej w założeniu klasztoru św. Józefa w Awili. (Ob. *Życie*, r. 33 — 35). Córka jej Beatrycza wstąpiła do Karmelu, gdzie żyła i umarła (r. 1639) jak święta.

Św. Teresa przyszła na świat w Awili, d. 28 marca 1515 roku, za papiestwa Leona X i za panowania Ferdynanda V, w imieniu córki swojej Joanny, matki Karola V, rządzącego Kastylią, stanowiącą odrębną dzielnicę nie

zjednoczonej wówczas jeszcze Hiszpanii. Zaraz po narodzeniu ochrzczona, otrzymała to piękne imię, które miała uczynić tak sławnem; samże dzień jej przyjścia na świat, w którym zakon karmelitański obchodzi pamięć pierwszego na Zachodzie założyciela swego, św. Bertolda, był jakoby wróżbą przyszłych czynów i zasług wielkiej reformatorki Karmelu. Awila miejsce jej urodzenia, jest to starożytne miasto w Starej Kastylii (podobno dawna Ἄβουλα, o której mówi Ptolomeusz). Dotąd istnieją tam, wyjątkowo uratowane od rewolucyjnej zagłady, i klasztor Wcielenia, w którym Święta spędziła pierwsze trzydzieści lat zakonnego życia swego, i pamiętny on klasztor św. Józefa, pierwsza fundacya jej, i pierwszy zawiązek podjętej przez nią reformy. Lecz główną szczęśliwego miasta ozdobą i chwałą jest wspaniały kościół i klasztor karmelicki, wzniesiony w miejscu, gdzie stał dom Cepedów. Pokój w którym urodziła się Święta, i drugi, w którym do piętnastego roku życia swego mieszkała, zachowane w całości, objęte zostały w planie kościoła, i stanowią jakoby osobną w tej świątyni świątynię. Zachowała się także, i troskliwie jest utrzymaną część dawnego ogrodu, gdzie Święta, jeszcze dzieckiem siedmioletniem, budowała sobie pustelnie, i wspólnie z bratem swym Rodrykiem, w rozmowach o szczęśliwości wiecznej zagrzewała siebie do przelania krwi swojej za wiarę.

DODATEK II (do str. I).

O „grzechach“ Św. Teresy

Chcąc należycie zrozumieć to, co św. Teresa tu i na wielu miejscach Życia mówi o grzechach swoich, potrzeba napród przypomnieć sobie jaki sąd Kościół wydał o świętości jej, a powtóre wyjaśnić, jakim sposobem Święta taka, która całe życie nienaruszoną zachowała wziętą na Chrzcie niewinność, może poczytywać i podawać siebie za wielką grzesznicę.

Sąd Kościoła o „grzechach“ św. Teresy mamy autentycznie i uroczyście wyrażony w następujących słowach Bulli kanonizacyjnej Grzegorza XV: „Między innemi cnotami jej, któremi jako oblubienica od Boga przyozdobiona dziwnie się odznaczała, szczególnym blaskiem zajaśniała nieskazitelna dziewiczość, której w tak wysokim stopniu przestrzegała, iż nie tylko w powziętem jeszcze w dzieciństwie postanowieniu wiecznego panieństwa aż do śmierci wytrwała, ale i *anielską, bez żadnej zmazy, w sercu i na ciele czystość zachowała*“ [1]).

Drugi Papież, Urban VIII, w nie mniej stanowczych słowach stwierdził ten uroczysty wyrok poprzednika swego. Gdy mu przedstawiono pierwotną redakcyę Officyum o św. Teresie, w której Lekcya VI kończyła się

---

[1]) Inter caeteras ejus virtutes, quibus quasi sponsa a Deo ornata mirifice excelluit, integerrima effulsit castitas, cuam adeo eximie coluit, ut non solum propositum virginitatis servandae, a pueritia conceptum, usque ad mortem perduxerit, sed *omnis expertem maculae angelicam in corde et corpore servaverit puritatem.* Greg. XV Bulla canonizat.

temi słowy: „Tak hojnie Boskiemi darami obsypywał ją Pan, iż nieraz błagalnie wołając prosiła Go, aby miarę położył Boskim dobrodziejstwom swoim, i nie tak prędko puszczał w niepamięć *„jej zbrodnie“— criminum suorum*: „Urban VIII wziął pióro i wykreśliwszy te słowa: *„jej zbrodnie“*, własną ręką postawił w ich miejsce te drugie: *„jej przewinienia — culparum suarum“*, jak je teraz czytamy w Brewiarzu; przyczem wyrzekł te pamiętne słowa: „Św. Teresa nigdy nie popełniła grzechu śmiertelnego; nie należy więc pozwolić na to, by winy jakie ona przez pokorę sobie przypisywała, stały się dla pospólstwa wiernych powodem do posądzania jej o ciężkie wykroczenia“ [1]).

Podobnież, we wnioskach swoich do procesu kanonizacyjnego, audytorowie Roty, sędziowie, jak powszechnie wiadomo, w wyrokach swoich nieugięcie surowi, i każde słowo swoje ważący, tak się w tej kwestyi wyrażają „Lubo w opisie życia swego uchybienia swoje zwiększa, co jest dowodem głębokiej pokory, nigdy jednak śmiertelnego grzechu nie popełniła, ale *oblubienicza szatę łaski, otrzymaną na Chrzcie, jaknajwierniej zachowała*“ [2]).

Nakoniec i Ś. Kongregacya Obrzędów, ustanawiając osobne święto Przeszycia serca św. Teresy, taką na to święto przepisała oracyę, uroczyście oznajmującą, że serce Świętej, było nienaruszonym nigdy przybytkiem panieńskiej czystości i miłości Bożej: „Boże, który *niepokalane wnętrzności* błogosławionej Teresy Panny, oblubienicy twojej, grotem ognistym przeszyłeś, i na ofiarę miłości poświęciłeś i t. d. [3])“

W obec tych autentycznych wyroków Kościoła, żaden katolik nie może nie uznawać tego za prawdę pewną i nieomylną, że święta Teresa nigdy przez całe życie swoje nie zmazała się grzechem śmiertelnym, że czystą i nieskalaną zaniosła do nieba otrzymaną na Chrzcie szatę niewinności. Jest to kwestya raz na zawsze rozstrzygnięta nieomylną powagą najwyższego i najświętszego, jaki jest na ziemi, trybunału. Wszelka w tym względzie wątpliwość, wszelkie tym wyrokom przeciwne przypuszczenie albo twierdzenie, byłoby nie tylko zaprzeczeniem prawdy historycznej, ale i zniewagą wyrządzoną Świętej, i Chrystusowi Panu, i Kościołowi Jego.

Zachodzi teraz pytanie, jakim sposobem, skoro pokora przedewszystkiem jest prawdą, pokora Świętej taki mogła, na pozór niezgodny z prawdą, wydać sąd o samej sobie, jakim sposobem, takie mając serce żadną nigdy zmazą nieskalane, mogła uważać i przedstawiać siebie jako ostatnią grzesznicę? Łatwo to zrozumiemy, gdy wspomnimy, w jakim stanie duszy była Święta, gdy

---

[1]) S. Teresia nunquam commisit peccatum mortale. Quare non convenit, ut quae ipsa prae humilitate sibi attribuebat, vulgo fiant occasio suspicandi eam gravium delictorum arguendam unquam fuisse.

[2]) „Quamvis ipsa culpas suas in relatione vitae suae exaggerarit, quod profundam humilitatem arguit, nunquam tamen peccatum lethale commisisse, sed *nuptialem gratiae vestem in baptismo susceptam fidelissime custodisse.*“ In relat. de ej. virtutibus, ert. VIII.

[3]) Deus, qui *illibata praecordia* B. virginis Teresiae sponsae tuo ignito jaculo transfixisti, et charitatis victimam consecrasti etc.“

tak o sobie sądziła i pisała. W chwili gdy znaglona posłuszeństwem skreślała opis życia swego, już była doszła do szczytu doskonałości; już była się związała bohaterskim ślubem, czynienia zawsze tego, co uzna za rzecz doskonalszą; już na kilka lat przedtem, anioł z włócznią ognistą zadał był sercu jej ową ranę, która wszystko życie jej przemieniła w jeden nieustający cud miłości Bożej; codzienne niemal zachwycenia i widzenia utrzymywały ją w ciągłem niejako obcowaniu z niebem: rzeczywiście nawet była w duchu przeniesioną do nieba; zasłona święta, zakrywająca nieprzeniknione głębie Trójcy Przenajświętszej, była się przed nią uchyliła, i odtąd chwała tej niezgłębionej tajemnicy stała jakoby ciągle odkryta przed oczyma jej duszy; cieszyła się bezustanną niemal z nią obecnością Zbawiciela, i wewnętrznem wejrzeniem duszy oglądała na jawie niewypowiedzianą piękność Słowa wcielonego; już była obsypaną od Boga tem mnóstwem nadzwyczajnych, niesłychanych łask, które nam w Życiu swojem opisuje i wielu innych jeszcze dziwniejszych, o których wolała przemilczeć, bo umysł ludzki w tem wygnaniu nie zdoła ich zrozumieć, ani unieść przewyższającego ich brzemienia. W takim to stanie duszy, na taki szczyt świętości wyniesiona, i na podobieństwo duchów niebieskich, przed stolicą Najwyższego stojących, pożerającym zapałem najczystszej miłości Bożej płonąca, św. Teresa bierze pióro do ręki, i czyni Kościół święty powiernikiem tajemnic serca swego. To życie jej, które nam opisze, stoi przed nią, oświetlone „światłością oblicza Bożego:“ ogląda je jakby w zwierciadle nieskończonej świętości Boga, w tem Boskiem świetle pisze. Zatem już lada pyłek najmniejszej niedoskonałości, w oczach tego serca miłością pałającego wyrasta w górę nieprawości, lada nieznaczny grzech powszedni wydaje jej się grzechem śmiertelnym. Drży z przerażenia na myśl, że dopuszczając się za młodu małych niewierności, uczyniła krok jeden, jakkolwiek nieznaczny, w kierunku tej pochyłości, która wiedzie na przepaść; za to jedno, za tę, jak jej się wydaje, zniewagę wyrządzoną nieskończonej dobroci Boga, zasłużyła na piekło. Zatem, mszcząc na samej sobie obrażony Majestat Boski, gorzkiemi łzami będzie opłakiwała, w najczarniejszych barwach będzie przedstawiała te niewierności swoje; żaden najsilniejszy wyraz skruchy chrześcijańskiej nie starczy jej na oddanie żalu i skruszenia serca swego. Oglądając teraz tak z bliska nieskończoną świętość Boga, serafinowym płonąc ku Niemu zapałem miłości, nie może sobie tego wybaczyć, że był w jej życiu czas, kiedy była prostym tylko aniołem, że zdarzyło jej się niekiedy na chwilę stracić z oczu obecność Boga, że na ziemskich, choć najuczciwszych zresztą i pobożnych rozmowach nieraz trawiła czas, który mogła poświęcić na obcowanie z Bogiem i pomnażanie się w miłości Jego. Takie to w oczach jej przeniewierzenie się łasce, taka zdrada wyrządzona Bogu, że na każde o tych „złościach“ swoich wspomnienie łzami się zalewa, i radaby umrzeć ze wstydu i żalu, i skryć się pod ziemię, tak czuje się godną wzgardy i obrzydzenia całego rodzaju ludzkiego. Dla tego, pisząc o tych rzeczach, co chwila świętem wybucha przeciw sobie samej oburzeniem, i miłosierdzia, jakie Bóg nad nią, tak grzeszną i niegodną, okazał, uwielbieniem, i takie ciężkie i nieubłagane wydaje na siebie wyroki potępienia, które w oczach naszych, i w porównaniu z jej życiem bohatersko

i niepokalanie świętem, jawną są przesadą, ale w jej ustach są wyrazem szczerej prawdy, samorodnie tryskającym z serca jakoby bez miary pokornego, a anielsko czystego, i całą potęgą pokory i czystości swojej Boga miłującego, i na podobieństwo nieskończonej świętości Jego, najmniejszym pyłkiem, z tą świętością niezgodnym, nieskończenie się brzydzącego.

Tak mamy rozumieć „grzechy“ św. Teresy, i tak je Kościół nieomylną powagą swoją tłomaczy. A tak je rozumiejąc, w tych rzewnie żałosnych jękach dziewiczej oblubienicy Zbawiciela, w tych rozdzierających, pełnych żalu i skruchy przeciw samej sobie wyznaniach jej i oskarżeniach, nowe znajdziemy, bodaj najwymowniejsze objawienie niezrównanej czystości tej duszy świętej, i z tem większą roskoszą, i z tem większem uwielbieniem i zbudowaniem będziemy czytali te karty jej, najczystszą wonią pokory chrześcijańskiej woniejące.

DODATEK III.

Ostatnie lata życia, śmierć i kanonizacya Św. Teresy.

„Po założeniu klasztoru św. Józefa w Awili,“ tak pisze Święta na początku swej *Księgi Fundacyi*, „pozostawałam pięć lat w tym klasztorze. Będą to, o ile dzisiaj o tem sądzić mogę, najspokojniejsze lata życia mego. Przyjęłyśmy w tym czasie pewną ilość aspirantek, które mężnie odniosły tryumf nad światem. Słów mi nie staje na wypowiedzenie, jaką to było dla mnie słodkością, że mi dano było żyć w gronie takich świętych i czystych dusz, jedynie służbie i chwale Pańskiej oddanych.“

W chwilach wolnych, jakie jej od zajęć powszednich i rządów klasztoru pozostawały, spisała w tym czasie niniejsze drugie *Opowiadanie życia swego*, i ułożyła swoję *Drogę do doskonałości*, którą to pracę później jeszcze na nowo przejrzała, i ostatnią do niej rękę przyłożyła.

Roku 1567 opuściła ukochaną samotność swoję, dla zakładania nowych klasztorów, we wszystkiem do pierwszego domu św. Józefa w Awili podobnych. Sama nam przekazała historyę powstawania tych zakładów w onej dziwnie pięknej Księdze Fundacyi, w której idąc za uroczem opowiadaniem Świętej, możemy krok w krok śledzić tropy apostolskich jej prac i podróży. „Pan objawił mi, tak pisze do O. Gracyana w r. 1576, że książka ta będzie wielu duszom na pożytek.“

Medina del Campo, Malagon i Walliadolid, te były pierwsze miasta w Hiszpanii, którym dano było przyjąć u siebie kolonie Karmelitanek z klasztoru św. Józefa w Awili. Klasztor w Medina del Campo powstał r. 1567, drugie dwa 1568.

Ale w wyrokach Bożych św. Teresa powołana była do odnowienia całego, męzkiego zarówno jak żeńskiego, zakonu karmelickiego. Pierwszym jej w wykonaniu tego zamiaru pomocnikiem i towarzyszem był św. Jan od Krzyża, który r. 1568, w Durvelo, uczynił początek reformy Karmelu męzkiego.

Założenie tego pierwszego klasztoru Karmelitów Bosych spełniło najgorętsze pożądanie św. Teresy; było ono szczęśliwem dokonaniem zleconego jej

opatrznościowego posłannictwa. Odtąd Święta z tem większą usilnością pracuje nad rozszerzeniem dokonanej już reformy, i w przeciągu niewielu lat zakłada cały szereg nowych klasztorów, i żeńskich, i męzkich.

Bóg jednak dopuścił na jej dzieło srogie przeciwności, zupełną, jak się na razie zdawać mogło, zagładą mu grożące. „Po założeniu klasztoru w Sewili, r. 1575, tak mówi o tych przejściach Święta, przez cztery lata przeszło nie było dalszych fundacyi. Wstrzymały je wielkie prześladowania, jakie nagle powstały przeciw Karmelitom i Karmelitkom Bosym. Nieraz już i przedtem cierpieliśmy prześladowanie, ale żadne z nich nie było ani z daleka tak gwałtownem, jak to ostatnie. W tem ostatniem, to jest w walce, jaką podjęli przeciwko nam Karmelici złagodzonej obserwancyi, reforma nasza o mało nie przepadła. Okazało się wówczas, z jednej strony, jak srodze święte tej reformy początki gniewały diabła, a z drugiej, jak dalece ona była sprawą Pana, kiedy On ż takiej nawałności ją wybawił [1])."

Wśród takiej trwogi, św. Teresa nie tylko się nie zatrwożyła, ale owszem właśnie w chwili najsroższego miotania się burzy napisała swój *Zamek wewnętrzny*, najwznioślejsze i najwyżej duchowne ze wszystkich dzieł jej. Zaczęła je w Tolecie, w dzień Świętej Trójcy r. 1577, a zakończyła je w wilią św. Andrzeja tegoż roku, w klasztorze św. Józefa Awilańskim.

Gdy wreszcie r. 1580 odnowiony zakon zwycięzko wyszedł z walki i pokój odzyskał, Święta założyła jeszcze cztery klasztory: w Villanuova de la Xara, w Palencyi, w Soria i w Burgos. Tu, w Burgos, na cztery miesiące przed śmiercią, spisała historyę tych czterech ostatnich fundacyi.

Wszystkich klasztorów, przez nią za życia założonych, było trzydzieści i dwa: dwanaście męzkich, i ośmnaście żeńskich. Ale i po jej śmierci dzieło jej wciąż rosło, i już w końcu w. XVIII zakon reformowany Najświętszej Panny z Góry Karmelu był się na cały świat rozszerzył. Kongregacya hiszpańska, czyli św. Józefa, liczyła dwanaście prowincyi, sto pięćdziesiąt i trzy klasztory męzkie, i sto dwanaście klasztorów żeńskich: kongregacya włoska, czyli św. Eliasza, obejmowała dwadzieścia i cztery prowincye, w których było dwieście ośmnaście klasztorów męzkich i sto sześćdziesiąt i ośm żeńskich.

Klasztor w Burgos był ostatnią fundacyą św. Teresy i jedną z najpracowitszych. W chwili dokonania jej, święta założycielka miała 68 lat, nie stała więc jeszcze u ostatnich kresów życia ludzkiego; ale niezliczone, jakim podlegała, cierpienia, częste jej ataki paralityczne, prawie nieustające febry: bole gardła, przy rosnącem od ciągłych trudów i podróży wycieńczeniu, nie dawały nadziei, by życie jej długo jeszcze przeciągnąć się mogło. Ona jednak, w swej nieugaszonej o rozszerzenie reformy gorliwości, wciąż o coraz nowych fundacyach przemyśliwała. Z listów jej okazuje się, że zamierzała niebawem założyć klasztor w Madrycie. Ale inaczej było postanowiono w wyrokach Opatrzności. Po dwudziestu latach niestrudzonych, bohaterskich prac i walk około ustanowienia, obrony, rozszerzenia reformy zakonu swego, sprawiedliwie nale-

[1]) Księga Fundacyi, r. XXVIII.

żało się tej mężnej, rzeczby można, apostolskiej niewieście, by już za trudy i poświęcenie swoje otrzymała zasłużoną w niebie koronę i dostąpiła już tego błogosławionego na wieki z Boskim Oblubieńcem zjednoczenia, za którem tęskniąc, całe życie z tęsknoty umierała.

Św. Teresa opuściła klasztor w Burgos pod koniec lipca 1582, pozostawiwszy za przeoryszę matkę Tomossinę Baptystę. Powiadają, że w chwili odejścia, najczulszemi słowy córki swoje żegnała, i z wylaniem je błogosławiła, i rękę im dała do pocałowania, czego prawie nigdy nie czyniła. Zamierzała udać się wprost do Awili, gdzie obowiązki przełożeństwa ją wzywały, gdzie nad to towarzysząca jej siostrzenica Terezita, której nowicyat był na ukończeniu, miała złożyć w jej ręce uroczystą professyę. Ale zatrzymał ją po drodze O. Gracyan, który był w jej imieniu obiecał przeoryszy klasztoru w Palencyi, że wracając z Burgos, jakiś czas tam u niej zabawi. Pozostała więc miesiąc w Palencyi i dopiero pod koniec sierpnia podążyła dalej na Walliadolid. W tem mieście, jak się okazuje z jej listów, była już 26 sierpnia i zabawiła do połowy września. 16 września przybyła do Medina del Campo, na skutek listownego wezwania O. Antoniego od Jezusa, wikaryusza prowincyi Karmelitów Bosych, który tam czekał na nią i miał ją zawieźć do Alby, to jest do księżnej Alba, pani bardzo pobożnej, pragnącej z nią się widzieć i poradzić się jej w potrzebach duszy swojej. Świętej, spieszącej do Awili z powodów wyżej wspomnianych, i znajdującej się już w stanie wielkiego wycieńczenia, nowe to rozporządzenie prowincyała bardzo nie było na rękę; wszakże, czcząc władzę prawego zwierzchnika, poddała się żądaniu jego.

Dla ulżenia św. Teresie trudu podróży, Księżna Alby przysłała była po nią wygodny powóz. Święta wyjechała z Medina del Campo, zdaje się, 19-go, snać już dotknięta śmiertelną niemocą, która w dwa tygodnie potem pasmo dni jej przecięła; ledwo bowiem dojechawszy do małej wioski w pobliżu Peguaranda, wpadła w omdlenie, z wielkiem towarzyszących jej przerażeniem. „Musieliśmy zatrzymać się na noc w tem miejscu," tak z rzewną prostotą opowiada bolesne to przejście Wielebna Anna od św. Bartłomieja. „Święta, czując się bardzo słabą, rzekła mi: Córko, daj mi co jeść, bo siły mię odchodzą.—Miałam tylko kilka fig suszonych; te jej podałam; wzięła i zjadła jednę, choć miała gorączkę. Zarazem komuś z obecnych na miejscu dałam cztery reały (talary hiszpańskie), z poleceniem kupienia dwóch jaj za jakąbądź cenę; lecz gdy posłaniec mój wrócił z oznajmieniem, że nigdzie za żadne pieniądze jaj dostać nie mógł, spojrzałam na Świętą, jakby na poły umarłą i rozpłakałam się. Trudnoby mi było wyrazić boleść, jakiej wówczas doznałam. Zdawało mi się że serce mi pęka, iż nie mogę jej dać żadnej pomocy w tym stanie zniemożenia, w jakim się znajdowała. Aż ona sama musiała mię pocieszać: — Nie martw się, córko, rzekła mi; figi te bardzo dobre: wielu ubogich i tego nie ma: Bóg sam wszystko to zrządza". — Nazajutrz, powiada Ribera (ks. III. r. IV), zatrzymano się w drugiej wsi, równie nędznej jak pierwsza, gdzie na powetowanie głodu wycierpianego dnia poprzedniego, znaleziono tylko zioła jakieś

gotowane na cebuli i Święta musiała poprzestać na tej strawie, w takim stanie zdrowia zgoła nie odpowiedniej.

Wieczorem, 20 września, około 6-ej, podróżni stanęli nareszcie w Albie. Zakonnice, widząc Świętą tak słabą, wymogły na niej aby się zaraz położyła. „Jakże się czuję znużoną, rzekła do nich, kładąc się; od dwudziestu lat przeszło nigdy jeszcze nie poszłam do łóżka o tak wczesnej porze. Dzięki Bogu, że w waszych rękach zachorowałam.“ Lekarze od pierwszego widzenia uznali chorobę za śmiertelną. Mimo to jednak Święta nazajutrz wstała jak zwykle; zwiedziwszy dom, była na Mszy i przystąpiła do Komunii z wielką pobożnością i rozradowaniem ducha. Toż samo uczyniła kilka dni następnych; a w ciągu dnia uczestniczyła we wspólnych ćwiczeniach zakonnych, ile jej jeszcze sił stało.

W dzień św. Michała tak już była bezsilną, że zaraz po Komunii musiała się położyć. Kazała się przenieść do infirmerii na piętrze, zaopatrzonej w kratę, wychodzącą na kościół, wprost na wielki ołtarz, tak iż można było z niej słuchać Mszy świętej. Noc całą z 1-go na 2 października spędziła na modlitwie bogomyślnej. Nazajutrz rano kazała wezwać O. Antoniego, aby ją wyspowiadał. Już na ośm lat przedtem, jak twierdzi drugi jej życiopisarz (Yepes, C. I. ks. II r. XXXVIII), Bóg jej był objawił rok jej śmierci, ale bez oznaczenia dnia; miała go, według tegoż pisarza, zapisany cyframi w swym brewiarzu, zwierzyła się z tem objawieniem Ojcu Mariano, a opuszczając ostatni raz klasztor w Segowii, zapowiadała siostrom że jej już nie obaczą. W ostatnich dniach życia, Bóg snać wyraźniej oznajmił jej chwilę jej śmierci, bo gdy O. Antoni kazał jej prosić Boga, by ją jeszcze dłużej przy życiu zachował, odpowiedziała mu: — Już nie jestem potrzebna na tym świecie.—„Na dwa dni przed jej śmiercią, mówi Wielebna Matka Anna od św. Bartłomieja, gdy sama byłam przy niej w celi, rzekła do mnie: — Córko, przyszła godzina śmierci mojej.—Słowa te jakby mieczem przeszyły mi serce, i dla tego że miała umierać w Albie, i że ja ją miałam przeżyć, że ją miłowałam, i ona wzajemnie miłowała mnie, i dla tego także, że widząc jak ściśle złączona jest z Panem, wielką miałam pociechę z tak bliskiego przy niej przebywania.“ Nim jeszcze O. Antoni od niej odszedł, siły Świętej tak widocznie poczęły coraz bardziej ustawać, że wezwano lekarza, który kazał ją znieść na powrót do izby, którą przedtem zajmowała, bo ten pokój na górze zdaniem jego nadto dla niej był zimny. Przepisał jej lekarstwa, które zażyła z uśmiechem, jakby na okazanie, że nic jej nie pomogą. Uznano jeszcze potrzebę przystawienia jej baniek, na co ona, zawsze z pożądaniem gotowa na wszelkie cierpienia, ochotnie się zgodziła. Przy tak wielkiem zniemożeniu, wciąż przecie się modliła, od czasu do czasu zwracając się z jaką radą lub przestrogą do sióstr ją nawiedzających.

3-go października, dniem przed śmiercią, objawiła chęć przyjęcia świętego Wiatyku. Leżała prawie bezwładna, i ile razy potrzeba jej było obrócić się albo podnieść, dwie siostry musiały ją podtrzymywać. W chwili, gdy czyniono przygotowania do przyniesienia jej Najświętszego Sakramentu, rzekła do sióstr, łoże jej otaczających: — Córki, proszę was dla miłości Boga, zacho-

wujcie wiernie reguły i konstytucye naszego zakonu. — Potem, ukazując na siebie, dodała:—Nie pamiętajcie na zły przykład, jaki wam ta niewierna zakonnica dawała, i odpuśćcie mi. —Łzy i szlochania były jedyną na te jej słowa odpowiedzią. W chwili gdy wnoszono do niej Najświętszy Sakrament, zbierając ostatki sił swoich, żywo się podniosła na łóżku, i gdyby jej nie zatrzymano, byłaby się rzuciła na ziemię, na przyjęcie pana swego. Twarz jej, nadziemskim zapałem płonąca, przedziwnym wdziękiem się rozjaśniła. Długą chwilę modliła się głośno, z rzewnem wylaniem serca wielbiąc łaskawość Boga do niej przychodzącego.—O Panie i Oblubieńcze mój, wołała, przyszła wreszcie ta chwila, której tak gorąco pożądałam: słuszną bym już cieszyła się obecnością twoją: czas już, o Boże, bym opuściła to życie: niechaj się stanie, proszę, wedle upodobania twego. Dziękowała Bogu, że dał jej się narodzić w wierze katolickiej:—Z łaski twojej, Panie, powtarzała po wiele razy, jestem córką Kościoła. Potem błagała Boga aby jej grzechy odpuścił, i towarzyszki swoje wzywała, aby z nią o to Boga prosiły. Przez zasługi Pana Jezusa Chrystusa, dodała, mam nadzieję że będę zbawioną.

Po dopełnieniu świętego obrzędu, siostry prosiły jej by przemówiła do nich kilka słów upomnienia i zbudowania, ale Święta odmówiła; od czasu do czasu tylko zalecała im pilne przestrzeganie reguł i konstytucyi i wierne posłuszeństwo przełożonym. Często powtarzała po łacinie słowa Psalmu L.: „Ofiara Bogu, duch strapiony; serca skruszonego i upokorzonego, Boże, nie wzgardzisz. Nie odrzucaj mnie od oblicza twego, i Ducha twego świętego nie odejmuj odemnie. Serce czyste stwórz we mnie, Boże.“ Ten wiersz zwłaszcza: „serca skruszonego i upokorzonego, Boże, nie wzgardzisz“, prawie ciągle miała na ustach, póki nie straciła mowy. Wieczorem o 9-ej zażądała Sakramentu Ostatniego Pomazania, przyjęła go z wielką pobożnością, sama z kapłanem i siostrami odmawiając Psalmy, i odpowiadając na litanię i oracye. Po dopełnionym obrzędzie, na nowo dziękowała Bogu, że ją uczynił córką Kościoła. Gdy po chwili O. Antoni zapytał jej, czy nie życzy sobie, aby ciało jej było przeniesione do Awili, Święta jakby z przykrością przyjęła to zapytanie. Czyż ja mam mieć jaką wolę własną? odpowiedziała pokornie; czy nie znajdzie się dla mnie i tutaj piędź ziemi?

4-go, w dzień św. Franciszka z Assyżu, który był dniem śmierci jej, Święta o 7-ej rano położyła się na lewy bok, i tak pozostała całe czternaście godzin które jeszcze żyła, trzymając w ręku krzyż, który po śmierci dopiero wyjąć jej z rąk zdołano. Twarz miała płonącą, i zdawała się pogrążoną w rzewnej z Bogiem rozmowie. „Od dwóch dni, mówi Wielebna Matka Anna od św. Bartłomieja, nie odchodziłam od niej ani na chwilę, bo obecność moja przy łożu jej była dla niej pociechą. Gdy czego potrzebowała, nie odchodząc sama, prosiłam tylko sióstr, by przyniosły, czego było potrzeba. Tak wielki był mój smutek, że dnia którego umarła, nie byłam zdolna wymówić jednego słowa. Tegoż dnia, wiedząc jak bardzo lubiła by zawsze było koło niej czysto, zmieniłam jej całą bieliznę, aż do rękawów i czepców, na co ona z wielkiem zadowolnieniem patrzała, i spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się, dziękując mi

na migi. Taka to była piękna dusza, że w każdej najmniejszej rzeczy piękność jej się objawiała. Pod wieczór, O. Antoni kazał mi pójść się posilić. Poszłam; ale Święta, skoro spostrzegła że mnie niema w celi, uspokoić się nie mogła; spoglądała na wszystkie strony, jakby szukając mię oczyma. Ojciec zapytał jej, czy chce abym wróciła, na co gdy dała znak potwierdzający, przywołał mię na powrót. Skoro mię ujrzała, uśmiechnęła się, objęła mię rękoma, obsypywała mię czułościami, w końcu głowę na piersiach moich skłoniła, i tak ją trzymałam w objęciach moich, aż do ostatniego jej westchnienia. Sama byłam więcej umarła niż żywa. Cała się wydawała płonąca miłością Boskiego swego Oblubieńca; patrząc na nią, rzekłbyś że pragnęła przyśpieszyć tę chwilę, gdy wyzwolona z więzienia tego ciała, będzie już mogła cieszyć się świętą Jego obecnością. Pan w Boskiej dobroci swojej, widząc że mi nie staje cierpliwości na zniesienie tego krzyża, ukazał mi się widomy, stojący u nóg łoża Świętej, otoczony orszakiem aniołów i Świętych, jakby sam przyszedł zabrać ją do nieba. Wspaniałe to widzenie trwało na długość jednego Wierzę i zupełnie odmieniło mi serce. Przeprosiłam Pana za mój brak poddania się woli Jego. i powiedziałam Mu: —O mój Boże, teraz gdym ujrzała chwałę, jaką tej świętej duszy zgotowałeś, za nic już nie chciałabym, byś ją dla mojej pociechy dłużej jeszcze na tej ziemi zostawił. Ledwo wymówiłam te słowa, Święta na rękach moich skonała, i dusza jej wzleciała, jak czysta gołębica, cieszyć się Bogiem swoim."

Nie tym jednym tylko znakiem Pan widomie objawił, jak drogą była w obliczu Jego śmierć Świętej Jego. Akta jej kanonizacyjne (p. 57) świadczą, jako w nocy śmierci jej, i nocy poprzednich, kilka zakonnic, ze wszech miar cnotliwych i wiary godnych, widziały światłość nadzwyczajną, bądź unoszącą się nad kościołem, bądź napełniającą chór, albo celkę w której leżała umierająca; jako jedna z nich, w chwili zgonu Świętej, słyszała szum, jakby wielu na raz osób, do celi chorej wchodzących i łoże jej obstępujących, i jako wszystkie zgodnie były przekonane, że to dziesięć tysięcy Męczenników, według obietnicy jaką jej kiedyś przedtem byli dali w widzeniu, przyszło wspomagać ją przy śmierci i zaprowadzić ją do nieba; jako wreszcie druga, w chwili gdy św. Teresa oddawała ostatnie westchnienie, widziała jakby białą gołębicę z ust jej ulatującą.

Tak, w Albie de Tormez, w zachwyceniu miłości Bożej raczej, niż skutkiem przyrodzonego wyczerpania sił, jak to sama po śmierci objawiła Matce Katarzynie od Jezusa, przełożonej Karmelu w Veas [1]), umarła Teresa de Ahumada, w zakonie Teresa od Jezusa, założycielka reformowanego zakonu Matki Boskiej z Góry Karmelu, w czwartek, 4 października roku 1582, w dzień św. Franciszka z Assyżu, około 9-tej wieczorem. Dzień to pamiętny zaprowadzeniem naprawy kalendarza. Na mocy gruntownych prac i wniosku uczonych, przez kilka lat, z polecenia Papieża wyczerpującej tej kwestyi zbadaniem za-

[1]) Akta kanonizacyjne poświadczają ten fakt, na mocy złożonego pod przysięgą zeznania kilku osób wiarogodnych (p. 330).

jętych, Grzegorz XIII datę w tym dniu przypadającą posunął o całe dziesięć dni naprzód; skutkiem więc wyrzucenia tych dziesięciu dni, dzień nazajutrz po śmierci św. Teresy już się nie liczył 5-ym ale 15-ym października. Urodzona 28 marca 1515, Święta w chwili śmierci swojej miała lat sześćdziesiąt i siedm, miesięcy sześć i siedm dni. Rok jej śmierci był czterdziestym i dziewiątym od wstąpienia jej do klasztoru, czterdziestym i ósmym od professyi, a dwudziestym i pierwszym od zaprowadzenia reformy.

Święta była wzrostu średniego: płeć miała białą, tuszę dość pełną. Za młodu była piękną i ślady piękności swojej w późną starość zachowała. Włosy miała czarne, kręcące się; czoło piękne, szerokie; brwi ciemne, gęste, lekko zagięte; oczy czarne, okrągłe, żywe i wdzięku pełne; źrenice wypukłe, ale nie za duże; na twarzy rumieńce, zwłaszcza w czasie modlitwy; nos mały, okrągły u końca lekko zagięty; nozdrza łukowate; usta ani za szerokie ani za wązkie; warga górna cienka i prosta, dolna gruba i nieco obwisła; zęby zdrowe, broda kształtna i proporcyonalna. Uśmiech miała uroczy, postawę majestatyczną, chód lekki, głos wdzięczny. Słowem, sam już widok i głos jej uszanowanie wzbudzał i serca do niej pociągał. Powtarzamy tu prawie dosłownie opisy Ribery (Ks. IV. r. I) i Yepesa (Cz. I. ks. II. r. XXXIX), którzy ją oba znali i przez kilka lat widywali. O. Gracyan kazał ją odmalować za życia Bratu Janowi od Nędzy, braciszkowi reformowanego Karmelu; portret ten, choć pędzel wiele pozostawia do życzenia, miał być, jak utrzymują, bardzo podobny, i z niego wszyscy późniejsi, najwięksi nawet różnych szkół malarze, brali do obrazów swoich wizerunek św. Teresy.

W chwili śmierci, oblicze Św. rozjaśniło się i stało się piękniejszem niż przedtem: zmarszczki jakie wiek na niem był wyrył, wygładziły się i znikły. Ciało jej, białe jak alabastr, pulchne było i miękie, jak ciało dziecka; członki wszystkie podatne i giętkie, jak u człowieka żywego. Z ciała tego wynikała woń dziwnie słodka, nie dająca się porównać z żadnym zapachem przyrodzonym, a tak silna, że trudno ją było wytrzymać, i potrzeba było poroztwierać okna. Cały klasztor, tej nocy i dnia następnego, pełen był tej woni; woniały nią nawet wszystkie rzeczy, które Świętej do codziennego użytku służyły; jeszcze w kilka dni potem siostra kucharka poczuła ją w kuchni i przekonała się, że woń ta wychodzi z solniczki, do której Święta w czasie choroby swojej była palcami sięgnęła. Woń ta pośmiertna jednak nikomu z bliższego otoczenia Świętej nie wydała się dziwną, bo już i za życia, nawet w chorobie, nieraz ją z siebie wydawała, według zapewnienia Matki Anny od św. Bartłomieja [1]), która w ostatnich latach była nieodstępną jej towarzyszką. Opowiadają także, że gdy w czasie pobytu Świętej w Palencyi jakaś pani przywiodła do niej dziecko swoje, aby je pobłogosławiła, dziecko potem wróciło do matki wołając: „Jakże ta Święta ma ręce pachnące!“

Całą noc, i nazajurz rano aż do 10-ej, to jest do chwili pogrzebu, siostry czuwały przy ciele świętem, raz wraz, jedna po drugiej, przystępując do

---

[1]) Ob. *Acta authentica.*

ucałowania rąk i nóg zmarłej Matki swojej, którą już czciły jak świętą, i drogie zwłoki jej jak relikwie. Rozdzieliły między siebie rzeczy, które służyły do jej użytku, i innych także proszących niemi obdarzały. O. Antoni od Jezusa wziął dla siebie jej habit i zabrał go z sobą do Mediny, gdzie jak opowiadają, Bóg za dotknięciem tej świętej relikwii zdziałał cudowne chorego uzdrowienie. Akta kanonizacyjne (p. 60) mówią także o jednej z sióstr domowych, jako za ucałowaniem nóg ciała świętego odzyskała węch utracony, i tak dostąpiła tej pociechy, za którą wzdychała, że dano było jej także uczuć oną woń cudowną, o której było wyżej. Mówią również o drugiej, srogie bóle w głowie i w jednem oku cierpiącej, jako przyłożywszy do chorych miejsc rękę Świętej, natychmiast została uzdrowioną.

Nazajutrz w piątek, to jest, jak powiedziano wyżej, dnia 15 października, bez uprzedniej sekcyi i balsamowania, ciało Świętej odziane w habit zakonny, złożono do prostej trumny drewnianej, którą jednak, dla uczczenia zmarłej, nakryto całunem złotem haftowanym, jak go Święta była widziała w duchu, gdy jeszcze w dwudziestym roku życia śmiertelnie chorowała i już się zdawała umarłą. Po nabożeństwie, spuszczono trumnę do grobu przygotowanego w sklepieniu, przytykającem do kościoła klasztornego, pośrodku między dwiema kratami chóru dolnego. Całe miasto wzięło udział w pogrzebie, który się odbył z wszelką, na jakie mała taka mieścina, jak Alba, mogła się zdobyć uroczystością. Teresa de Lais, fundatorka klasztoru, chcąc zapobiedz możliwym ze strony którego z drugich klasztorów pokuszeniom o zabranie ciała świętego i przeniesienie go do siebie, kazała była wykopać grób bardzo głęboki i zasypać go takiem mnóstwem kamieni, cegły i wapna, jak gdyby miał posłużyć za fundament do wielkiej jakiej budowy.

Święta po śmierci ukazywała się różnym, jak o tem upewniają zeznania świadków, zamieszczone w aktach autentycznych procesu, i samaż Bulla kanonizacyjna. W dzień pogrzebu zjawiła się Katarzynie od Jezusa, założycielce klasztoru w Veas, w chwili, gdy taż przystępowała do Komunii, upewniając ją iż „cieszy się widzeniem Boga i że w niebie więcej przyniesie pożytku zakonowi niż go przyniosła na ziemi". Ukazała się także Wielebnej Matce Annie od św. Bartłomieja, zmartwionej rozkazem przełożonych, wzywającym ją do Awili, i wzdragającej się przed koniecznością opuszczenia Alby, kędy tylko co spoczęły drogie szczątki tej, której tak długo była wierną towarzyszką: „Zrób jak ci każą, córko, rzekła do niej; wróć do Awili".

Dziewięć miesięcy już było upłynęło od czasu pochowania ciała świętego, a wciąż jeszcze, mimo głębokość grobu i grubość pokrywającego grób nasypu, taż sama wynikała z niego woń cudowna. Wówczas dopiero karmelitki klasztoru albańskiego spostrzegły, jaki błąd popełniły, pozwalając na pochowanie ciała w taki sposób niewłaściwy; postanowiły wyjąć je z grobu, sprawdzić w jakim się ono stanie znajduje, i szczątkom, jakieby jeszcze pozostawały przyzwoitsze dać schronienie. O. Gracyan, chwilowo obecny w Albie, pochwalił ten zamiar; z obawy jednak księcia i księżny Alby, którzy te drogie szczątki poczytywali jakby za własność swoję, i zadrośnie ich strzegli, potrzeba było

działać jaknajoględniej i pokryjomu. Sam O. Gracyan własnoręcznie zajął się exhumacyą, drugiego tylko Karmelitę Bosego i zakonnice miejscowe do pomocy dopuszczając. Całe cztery dni biedzili się z rozkopywaniem nawalonej na grób góry ziemi, kamieni i cegły; a im bardziej wykop się pogłębiał, tem silniej woń ona cudowna dawała się czuć pracującym. Nakoniec, 4 lipca 1583 roku, okrągło w dziewięć miesięcy od śmierci Świętej, dokopali się trumny. Znaleźli wieko pęknięte, i całą trumnę spróchniałą, mchem porosłą, i przesiąkłą wilgocią, od wody, i mokrej gliny, której zasypując grób, w wielkiej ilości użyto, dla spojenia naniesionych nań kamieni. Podobnież i habit na ciele świętem całkiem był przegniły; ale ciało samo, choć także omszałe i pokryte ziemią, przez szpary trumny się wciskające, za obmyciem okazało się całe i nienaruszone; ani jednego włosa na głowie nie brakowało, jakby wczoraj dopiero zostało pochowane; zawsze też wynikała z niego taż sama woń najsłodsza, dziwnie do pobożności pobudzająca. Wszyscy obecni, do głębi duszy tym widokiem wstrząśnieni upadli na kolana, ze łzami wielbiąc wszechmocność Boga i Świętej w drogich jej szczątkach cześć oddając. Nienaruszoność ciała świętego tem bardziej okazywała się cudowną, że według przyrodzonego porządku rzeczy, po części powinno je było strawić wapno, po części w zgniliznę obrócić wilgoć, zwłaszcza że na wątłe ciało niewieście silniej działające, a narzucona na nie massa kamieni i cegły, wszystkie kości połamać. Woń cudowna wynikała nie z samego tylko ciała, ale i z wszystkiego czem ono było okryte; niektóre z tych rzeczy jeszcze po kilku latach tę woń z siebie wydawały, i za dotknięciem ich niejednokrotnie działy się cuda. Trzeci jeszcze objaw cudowny uderzył oczy obecnych, mianowicie pewien olej dziwnie słodki, dość obficie z ciała świętego płynący, i ziemię dokoła, albo przykładanie doń chusty zraszający. Yepes (ks. IV), upewnia że jeszcze w dwadzieścia i cztery lata po śmierci Świętej, z pasa skórzanego, w którym była pochowana, olej ten dziwny kropelkami się sączył, jak sam to widział na oczy u Karmelitek Bosych w Saragossie.

Po dłuższej chwili cichego tych cudownych spraw Bożych uwielbienia, O. Gracyan odłączył od ciała świętego rękę lewą; ubrano je potem w nowe suknie, uwinięto w całun, złożono do mocnej trumny, i na nowo w tem samem miejscu, ale już nie tak głęboko, pochowano. Odjeżdżając z Alby, O. Gracyan zabrał z sobą rękę Świętej, i w skrzynce troskliwie opieczętowanej wręczył ją zakonnicom klasztoru św. Józefa w Awili, nie mówiąc im jednak, co się w tej skrzynce zawiera, i ogólnie tylko dając im do zrozumienia, że są w niej rzeczy święte. Myśl jego, jak to i w piśmie, na ręce sióstr złożonem objaśnił, była taka, że jeśli im się dostanie ciało Świętej, jak tego chciał, w takim razie rękę mają oddać siostrom w Albie; w przeciwnym razie, ręka ma u nich pozostać. Skrzynka więc przechowywała się ze czcią w chórze zakonnym w Awili. Gdy jednak wkrótce potem Święta ukazała się przełożonej klasztoru, i objawiła jej, co się w skrzynce zawiera, O. Gracyan, uchylając się od dalszych pytań i nalegań przełożonej, nic jej nie mówiąc, zabrał

relikwię, i sam ją odniósł do klasztoru karmelitek Bosych w Lizbonie, gdzie niebawem poczęła cudami słynąć, i podziśdzień tamże się przechowuje.

W roku 1585, d. 24 listopada, ciało św. Teresy zostało przeniesione do Awili, do klasztoru św. Józefa, i tamże d. 1 stycznia 1586 r., biskup miejscowy kanoniczną wizytą je sprawdził. D. 23 sierpnia tegoż roku 1586, zwrócono je znowu do Alby de Tormez, a r. 1588 Papież Syxtus V postanowił i rozkazał, aby tam pozostało na zawsze. Odbyte nad ciałem świętem w różnych czasach wizyty kanoniczne zawsze też same nadzwyczajne objawy stwierdzały. Cuda przy niem działy się coraz częstsze. Dzieła Świętej r. 1588 staraniem Wielebnej Matki Anny od Jezusa ogłoszone, większego jeszcze dodały zapału powszechnemu do Świętej Awilańskiej nabożeństwu; cała Hiszpania jednomyślnie poczęła pragnąć i dopraszać się rychłego wyniesienia jej na ołtarze.

Roku 1595, na żądanie Filipa II, i z rozporządzenia nuncyusza papieskiego w Madrycie, wszczęło się ogólne w całej Hiszpanii kanoniczne dochodzenie cnót i cudów służebnicy Bożej. Roku 1597, protokół został przesłany do Rzymu; poszły z nim od Filipa II, od książąt i grandów dworu jego, od zakonów, od uniwersytetów, od wielu miast w Hiszpanii, listy i przedstawienia do Papieża Klemensa VIII, proszące z naleganiem o rychłą kanonizacyę Świętej. Papież poruczył sprawę kardynałom Kongregacyi Obrzędów, którzy wyznaczyli biskupów Awilańskiego i Salmantyceńskiego do zebrania informacyi *in genere;* za podpisaniem tej „komisyi“ przez Klemensa VIII, protokóły z niej zostały przesłane do Kongregacyi Obrzędów, która d. 10 stycznia 1607, wysłuchawszy wniosków sprawozdawcy swego, kardynała Pamphili, uchwaliła że można bezpiecznie sprawę dalej prowadzić; zaczem, po nowych, skutkiem tej uchwały, dochodzeniach, Paweł V, Bullą z 24 kwietnia 1614, orzekł beatyfikacyę Świętej. Uroczyste to czci publicznej odnowicielce Karmelu przyznanie, bardziej jeszcze spotęgowało ufność wiernych w możną jej u Boga przyczynę; Bóg też coraz nowemi cudami ufność tę stwierdzał. Skutkiem tego, Filip III, na czele i w imieniu całego królestwa swego, wniósł do Pawła V, usilne instancye o dokonanie ostatecznego aktu kanonizacyi; już miało się stać zadość prośbie jego, gdy r. 1621, jeszcze w toku sprawy, śmierć ich obu i Papieża i króla zabrała. Za to Filip IV, takąż jak poprzednik jego czcią dla Świętej przeniknięty, zaraz po wstąpieniu Grzegorza XV na tron papieski, wznowił przerwane śmiercią Filipa III starania; cesarz Ferdynand II, Ludwik XIII król francuski, Zygmunt III król polski, wielu innych książąt i panujących, wszystek Karmel reformowany i Hiszpania cała, przyłączyli się do prośby jego. Czyniąc zadość tylu prośbom i naleganiom, po załatwieniu wszystkich wymaganych do aktu kanonizacyi wstępnych formalności, Grzegorz XV Bullą z 12 marca 1622, uroczyście zaliczył Teresę w poczet Świętych, dzień dorocznego obchodu jej pamięci na 15 października ustanowił, Mszę i Officyum o niej zatwierdził, dozwalając, ale nie przykazując, odprawianie ich w całym świecie katolickim. Tegoż samego dnia, oprócz św. Teresy, Grzegorz XV kanonizował jeszcze św. Izydora Oracza, św. Ignacego Lojoli, św. Fraciszka Ksawerego i św. Filipa Nereusza. Obrzęd kanonizacyjny odbył się z wielką

uroczystością w bazylice św. Piotra. Papież sam celebrował Summę pontyfikalną; a nazajutrz 13 marca, w niedzielę Męki Pańskiej, odbyła się uroczysta processya do kościołów noszących tytuł lub posiadających ołtarz Świętych nowo kanonizowanych. „Kononizneya św. Teresy, powiada Benedykt XIV, została dopełnioną według rytu dziś używanego w Kościele". D 21 lipca 1627 Urban VIII ogłosił ją Patronką całej Hiszpanii. Później za wniesieniem imienia jej do martyrologu rzymskiego, Msza i Officyum o niej, przedtem dowolne, stały się obowiązującemi, jako *festum semiduplex*, aż w końcu, d. 21 lipca 1668, Klemens IX podniósł je do rytu wyższego, jako *festum duplex*.

DODATEK IV.

Główne daty chronologiczne życia świętej Teresy według Bollandystów.

Roku:

1515. 28 marca, o godzinie $5^1/_2$ rano, narodzenie św. Teresy. Tegoż dnia chrzest jej, w kościele parafialnym św. Jana.

1522. (w przybliżeniu). Wybiera się z bratem Rodrykiem na wyprawę do Maurów, w nadziei zdobycia sobie tam palmy męczeńskiej.

1529. Pierwsza pobożność jej stygnie.

1531. Oddana na pensyę do klasztoru Augustyjanek w Awili, gdzie zapał miłości Bożej w niej się wznawia.

1532. Choroba i powrót do domu ojcowskiego.

1533. 2 Listopada, wstępuje do zakonu Najśw. Panny Maryi z Góry Karmelu, w klasztorze Wcielenia w Awili.

1534. 3 Listopada, czyni proffesye.

1535. Ciężko chora, pod opieką ojca wyjeżdża na wieś i tam poczyna oddawać się modlitwie wewnętrznej.

1536. Skutkiem nieumiejętnego sposobu leczenia w gorszą jeszcze niemoc popadła, ojciec zabiera do siebie.

1537. Prawie umierająca, i już za umarłą miana, wraca do klasztoru.

1539. Cudowne, za przyczyną św. Józefa, uzdrowienie.

1541. Porzuca modlitwę wewnętrzną.

1542. Na nowo do niej, i na zawsze, powraca.

1555. Początki życia świętszego.

1556. Hojność darów nadprzyrodzonych.

1557. Spotkanie z św. Franciszkiem Borgia.

1558. Często słyszy wewnętrzne słowa od Boga. Oddaje się pod kierunek O. Baltazara Alvarez, z Towarzystwa Jezusowego.

1559. Coraz częstsze widzenia. Pierwsza myśl założenia klasztoru. Spotkanie z św. Piotrem z Alkantary.

1560. Składa ślub czynienia zawsze tego, co uzna być doskonalszem.

1561. Zachody około fundacyi klasztoru św. Józefa.

1562. W czerwcu, będąc w Tolecie, kończy pierwszy opis życia swego. 24 sierpnia, zakłada klasztor św. Józefa w Awili.

1563. 1566. Pobyt w klasztorze św. Józefa, gdzie pisze drugie opowiadanie życia swego, i *Drogę do doskonałości*.

1567. Otrzymuje od jenerała Karmelitów upoważnienie do zakładania dalszych klasztorów. Fundacya klasztoru karmelitek w Medina del Campo. Pierwsze w Medina, spotkanie z św. Janem od Krzyża. Podróż do Alkali.

1568. Założenie klasztorów karmelitek w Malagon i w Walliadolidzie, tudzież klasztoru karmelitów w Durvelo.

1569. Założenie klasztoru karmelitek w Tolecie, i dwóch klasztorów, męskiego i żeńskiego, w Pastrana. Prawie całoroczny, chwilowemi tylko wyjazdami przerywany pobyt w Tolecie.

1570. 11 czerwca przeniesienie klasztoru męskiego z Durvelo do Maucera. Wyjazd z Toletu. Założenie klasztoru karmelitek w Salmantyce i kollegium karmelitów w Alkali.

1571. Założenie klasztoru karmelitek w Albie. Święta, mianowana na trzy lata przełożoną klasztoru Wcielenia w Awili, obejmuje rządy w październiku. Założenie klasztoru karmelitów w Altomira.

1572. Założenie klasztoru karmelitów Matki Boskiej Wspomożenia.

1573. Założenie klasztorów karmelitów w Granadzie i w Penuele czyli Rocapequena. Wysłanie Świętej do Salmantyki, gdzie 24 sierpnia zaczyna pisać swą *Księgę Fundacyi*.

1574. Założenie klasztoru karmelitów w Sewilli. W początku kwietnia, przeniesienie karmelitek z klasztoru w Pastrana do klasztoru w Segowii.

1575. Założenie klasztorów karmelitek w Veas i w Sewilli i klasztoru karmelitów w Almodavar.

1576. Założenie klasztoru karmelitek w Caravaca. Święta usuwa się do klasztoru w Tolecie, gdzie do 14 listopada pisze dalej swą *Księgę Fundacyi*. Kapituła karmelitów Bosych; uchwala przeniesienie klasztoru z Penuela (Roca pequena) na Górę Kalwaryę pod Veas.

1577. 2 czerwca, Święta rozpoczyna w Tolecie swą księgę: *Zamek duszy*. W lipcu, posłana do Awili, poddaje swój klasztor św. Józefa pod zwierzchność reformy. Tamże, 29 listopada, kończy swój *Zamek duszy*.

1578. Reforma Karmelu zagrożona w bycie swoim.

1579. 1 kwietnia, wyjęcie karmelitów Bosych z pod władzy karmelitów wolniejszej obserwancyi. W czerwcu, Święta wysłana z Toletu, objeżdża klasztory. Założenie, przez św. Jana od Krzyża, kollegium w Baecyi.

1580. Założenie klasztoru karmelitek w Villanueva de la Xara. Różne podróże Świętej. Listy apostolskie z 22 czerwca, zatwierdzające odłączenie karmelitów Bosych od karmelitów reguły złagodzonej. Założenie klasztoru karmelitek w Palencie.

1581. Założenie klasztoru karmelitów w Walliadolidzie, kollegium karmelickiego w Salmantyce, i domu karmelitek w Soria. Święta obrana przeoryszą klasztoru św. Józefa w Awili.

1582. Założenie klasztoru karmelitek w Grenadzie, domu karmelitów w Lizbonie, i karmelitek w Burgos. Święta przybywa chora do Alby, 20 września, i tamże,

po czternastogodzinnej ekstazie, umiera 4 października, wieczorem o 9-ej. Nazajutrz, 15 października, według naprawy kalendarza, odbywa się uroczyście jej pogrzeb.

1583. 4 lipca, pierwsze otworzenie grobu; panieńskie ciało Świętej, cudownie zachowane w grobie, wydaje z siebie woń nadziemską.

1585. 24 listopada, przeniesienie ciała do św. Jozefa w Awili.

1586. 1 stycznia, kanoniczne, przez biskupa Awilańskiego, sprawdzenie ciała świętego; 23 sierpnia odwiezienie tegoż na powrót do Alby.

1589. Dekret Syxtusa V, z 10 lipca, nakazujący pozostawienie ciała Świętej w Albie, na zawsze.

1591. Nowe sprawdzenie kanoniczne ciała przez biskupa Salmantyceńskiego.

1595. Kanoniczne dochodzenie cnót i cudów świętej Teresy.

1598. Umieszczenie grobu w wyższem miejscu.

1604. Nowe otworzenie grobu, i mocniejsze potem obwarowanie onegoż. Dekret Stolicy Apostolskiej, polecający rozpoczęcie procesu apostolskiego o życiu i cudach św. Teresy.

1614. 24 kwietnia, Teresa zaliczona w poczet Błogosławionych.

1616. Złożenie trumny św. Teresy do sarkofagu marmurowego i umieszczenie onegoż w nowej kaplicy.

1622. 12 marca kanonizacya św. Teresy, wraz z św. Izydorem Oraczem, św. Ignacym św. Franciszkiem Ksawerym i św. Filipem Nereuszem.

1629. Wzniesienie kościoła na miejscu domu rodzicielskiego św. Teresy.

1750. Otworzenie grobu.

1760. Złożenie ciała Świętej do trumny srebrnej, i umieszczenie jej we wspaniałym grobowcu w którym dotąd spoczywa.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa IX

List wstępny Świętej do spowiednika 1

Rozdział I. Opowiada, jako Pan w dzieciństwie jej począł ją pobudzać do życia cnotliwego, i jaką ku temu pomocą są cnotliwi rodzice 2

Rozdział II. Opisuje, jako poczęła tracić pierwszą pobożność swoję; i jako wiele na tem zależy, by człowiek w młodym wieku miał obcowanie z dobrymi tylko i cnotliwymi. 6

Rozdział III. Jako wpływ dobrego otoczenia przyczynił się do wzbudzenia w niej na nowo żądz pobożnych, i jako Pan począł dawać jej niejakie oświecenie, ku poznaniu błędu swego. 12

Rozdział IV. Jako Pan jej dopomógł do odniesienia ostatecznego zwycięstwa nad sobą, i do przywdziania habitu, i jako z Boskiej woli swojej począł zsyłać na nią wiele różnych niemocy. 15

Rozdział V. Opisuje w dalszym ciągu wielkie niemoce, jakie miała do zniesienia, i cierpliwość, z jaką Pan jej dał je przetrwać; i jako Pan umie złe obracać w dobre, jak się to okazało w pewnem zdarzeniu, które z nią zaszło w miejscu, kędy dla leczenia się przebywała. 23

Rozdział VI. Jako wielką łaskawość swoję Pan nad nią okazał, dając jej zgodzenie się z wolą Jego w tak wielkich cierpieniach. Jako obrała sobie chwalebnego św. Józefa za pośrednika i orędownika i jak wielką korzyść z tego nabożeństwa odniosła.. 31

Rozdział VII. Jakiemi drogami postradała stopniowo łaski od Pana jej użyczone, i zeszła na tryb życia bardzo niedoskonały; jakie szkodliwe następstwa pociąga za sobą dla klasztorów żeńskich brak ścisłej klauzury. . . . 39

Rozdział VIII. Jak szczęśliwie jej to posłużyło i od zatracenia duszy ją ustrzegło, że nie porzuciła ostatecznie modlitwy wewnętrznej. Jak skutecznem ta modlitwa jest lekarstwem na naprawienie wszelkich szkód duchownych. Jako wszystkim bez wyjątku zaleca się rozmyślanie. Tak wielkim ono jest zyskiem, że choćby kto znowu go zaniechał, to samo już, że przez jakiś czas używał tego wielkiego dobra, wielkiem dla niego jest dobrem. 54

Rozdział IX. Jakiemi drogami Pan począł budzić duszę jej i użyczać jej światła w tak wielkich ciemnościach, utwierdzając zarazem siły jej, aby Go już nie obrażała. 62

Rozdział X. Zaczyna opisywać łaski, jakie Pan jej czynił na modlitwie; jak i w czem możemy sami sobie dopomagać do otrzymania podobnych darów; jako wiele zależy na tem, byśmy rozumieli łaski, jakie Pan nam czyni. Nakoniec, prosi tego, któremu to pismo posyła, by od tego miejsca zacząwszy, to co napisze, pozostało tajemnicą, skoro według danego jej rozkazu, tak szczegółowo opowiada łaski od Pana jej uczynione. . 67

Str.

Rozdział XI. Ukazuje, czyja w tem wina, że dusza nie dochodzi od samego początku do doskonałej miłości Boga. Poczyna, za pomocą porównania, które przywodzi, objaśniać cztery stopnie modlitwy wewnętrznej. Tu naprzód mówi o pierwszym z tych stopni. Jaki z niego wielki pożytek dla poczynających i dla tych, którzy niedoznają pociech na modlitwie. . . 74

Rozdział XII. Objaśnia dalej ten pierwszy stopień modlitwy. Jak daleko możemy w niej postąpić sami, przy pomocy Bożej. Jaką szkodę dusza wyrządza sobie, gdy chce własną usilnością piąć się do rzeczy nadprzyrodzonych i nadzwyczajnych, nim Pan sam, jeśli zechce, do takiego stanu ją podniesie 84

Rozdział XIII. Jeszcze o tym pierwszym stopniu modlitwy. Ostrzega o pewnych pokusach, jakie zły duch zwykł naprowadzać, i podaje rady, jak się w tych pokusach zachowywać. Ważność tego przedmiotu. 89

Rozdział XIV. Przystępuje do objaśnienia drugiego stopnia modlitwy, na którym Pan daje już duszy kosztować niejakich słodkości. Opisuje bliżej te pociechy, aby się okazało, że są to już rzeczy nadprzyrodzone, o czem należy pamiętać 102

Rozdział XV. Dalszy ciąg o tem samem. Niektóre wskazówki co do sposobu zachowania się na tej modlitwie odpocznienia. Jako wiele jest dusz, które dochodzą do tego stopnia modlitwy, ale mało takich, któreby postąpiły wyżej. Ważność i pożyteczność rzeczy w tym rozdziale dotkniętych. 109

Rozdział XVI. Przystępuje do trzeciego stopnia modlitwy i rozwija tu rzeczy bardzo wysokie, wykazując, czego może dokazać dusza, doszedłszy do tego stopnia, i jakie skutki sprawują te dziwnie wielkie łaski Pańskie. Jak wysoko rozważanie tych rzeczy powinno podnosić ducha ku wychwalaniu Pana, i jaką pociechą napełniać dusze, które już tych łask dostąpiły. 119

Rozdział XVII. Jeszcze o tym trzecim stopniu modlitwy i o skutkach, jakie sprawuje. Jaką tu przeszkodę czynią rozum i pamięć. 125

Rozdział XVIII. O czwartym stopniu modlitwy. Wysoka godność duszy, do tego stopnia podniesionej. Jak dzielna stąd zachęta dla dusz, oddających się modlitwie wewnętrznej, aby usiłowały wznieść się na ten stopień tak wysoki, skoro na tej ziemi osiągniętym być może, nie z własnej wprawdzie zasługi, ale z łaski i dobroci Pańskiej. Przedmiot to bardzo ważny i pilnej uwagi godny 130

Rozdział XIX. O tem samem, ciąg dalszy. Jakie skutki sprawuje w duszy ten stopień modlitwy. Duszom wyniesionym na ten stopień usilnie się zaleca, aby nigdy, chociażby po otrzymaniu tej łaski zdarzyło im się upaść, nie zniechęcały się i modlitwy nie porzucały. Jakie szkody wynikają z takiego zniechęcenia się. Przestroga to ważna i wielka z niej dla ułomnych i grzesznych pociecha. 138

Rozdział XX. O zachwyceniu. Czem się różni od zjednoczenia. Co to jest zachwycenie. Nieco o pożytkach, jakie dusza odnosi, gdy Pan raczy ją podnieść do tego stanu. Jakie skutki sprawuje zachwycenie. 149

Rozdział XXI. Jeszcze o tym ostatnim stopniu modlitwy, dalszy ciąg i zakończenie. Cierpienia duszy, na ten stopień wyniesionej, a zmuszonej wrócić znowu do życia na świecie. Jakiem światłem Pan ją oświeca ku poznaniu obłudnych ponęt świata. 164

Rozdział XXII. Jako bezpieczną dla duszy bogomyślnej drogą jest: nie zrywać się samej do rzeczy wysokich, aż Pan ją do nich podniesie. Jako środkiem do najwyższej bogomyślności ma być człowieczeństwo Chrystusa Pana. Jakiemu błędowi w tym względzie dawniej podlegała. Ważność i pożyteczność nauk w tym rozdziale zawartych. 171

Str.

Rozdział XXIII. Wraca do przerwanego opowiadania życia swego. Jako poczęła czynić postępy w doskonałości, i za pomocą jakich środków. Jak bardzo potrzeba przełożonym, kierującym duszami oddanemi modlitwie wewnętrznej, znać sposób obchodzenia się z niemi w pierwszych początkach. Jaki pożytek odniosła z tego, że znalazła umiejętnego dla duszy swej przewodnika. 183

Rozdział XXIV. O tem samem, dalszy ciąg. Jakie postępy czyniła dusza jej, odkąd się poddała posłuszeństwu. Jako daremnie opierała się łaskom Bożym, i jako Pan zsyłał jej łaski coraz większe. 195

Rozdział XXV. Jakim sposobem dusza może rozumieć słowa, które Bóg do niej mówi niesłyszalnie. O niektórych złudach, jakie się pod pozorem tej mowy wewnętrznej zdarzyć mogą. Po czem je poznać. 201

Rozdział XXVI. Jeszcze o mowie wewnętrznej. O niektórych, jakie miała zdarzeniach, dzięki którym do reszty znikły jej obawy, a utwierdziła się w niej pewność, że mowy, które w sobie słyszy, są sprawą Ducha Świętego. 215

Rozdział XXVII. O innym jeszcze sposobie, jakim Pan naucza duszę, i drogą cudownie przedziwną, nie mówiąc, wolę jej swoję objawia. O wielkiej łasce duchowego, bez pomocy wyobraźni, widzenia, jaką otrzymała od Pana. Rozdział to bardzo ważny. 220

Rozdział XXVIII. O nowych nadzwyczajnych łaskach, jakie Pan jej uczynił, i jako po raz pierwszy widomie się jej objawił. Co to jest, widzenie przez wyobraźnię, i jakie wielkie skutki i znaki widzenie to po sobie zostawia, jeśli jest od Boga. Są to rzeczy bardzo ważne i pilnej uwagi godne. 232

Rozdział XXIX. O tem samem, ciąg dalszy. Opisuje inne jeszcze wielkie łaski, jakie jej uczynił Pan, i co jej w Boskiej łaskawości swojej mówił, dla uspokojenia jej, i aby wiedziała, jak odpowiadać tym, którzy jej byli przeciwni. 245

Rozdział XXX. Podejmuje na nowo przerwane opowiadanie życia swego. Jako Pan zaradził w znacznej części jej utrapieniom, sprowadzając do miejsca zamieszkania jej świętego męża, Brata Piotra z Alkantary, z zakonu chwalebnego św. Franciszka. O wielkich pokusach i udręczeniach wewnętrznych, jakich w tym czasie doznawała. 254

Rozdział XXXI. O różnych pokusach wewnętrznych i widziadłach, któremi nękał ją szatan. Kilka uwag bardzo pożytecznych dla dusz, drogą doskonałości postępujących. 268

Rozdział XXXII. Jako Pan raczył ją przenieść w duchu na miejsce w piekle, na które grzechami swemi była zasłużyła. Krótki opis tego, co się tam oczom jej przedstawiło. Wszczyna opowiadanie, w jaki sposób założony został klasztor św. Józefa, w którym obecnie przebywa. 283

Rozdział XXXIII. O założeniu klasztoru św. Józefa, ciąg dalszy. Jako jej kazano usunąć się od tej sprawy i jak długo trwało to usunięcie. Różne, jakie w tym czasie miała utrapienia, i jako ją Pan w nich pocieszał. 295

Rozdział XXXIV. Jako zmuszona została rozkazem prowincyała, opuścić miasto, i udać się do pewnej osoby bardzo wysokiego rodu, dla pocieszenia jej w smutku, w jakim zostawała. Co tam się wydarzyło, i jako wielką łaskę Pan jej uczynił, używając ją za narzędzie do pobudzenia pewnego znakomitego kapłana do gorliwszej służby Jego, z czego sama potem miała pomoc i obronę od niego. Są to rzeczy bardzo godne uwagi . . 306

Rozdział XXXV. Dalszy ciąg o założeniu klasztoru chwalebnego Ojca naszego,

Str.

św. Józefa. Jakiemi drogami Pan rządził i doprowadził do tego, aby w tym klasztorze zachowywało się święte ubóstwo. Z jakiego powodu opuściła oną panią, u której zostawała. Różne inne zdarzenia. 320

Rozdział XXXVI. O tem samem, dokończenie. Jak wreszcie sprawa podjęta doszła do skutku i stanął ten klasztor chwalebnego św. Józefa. Jak wielkie przeciwieństwa i prześladowania podniosły się przeciw siostrom za przywdzianiem habitu. Jakie cierpienia niezmierne i pokusy przebyła sama, i jako z tego wszystkiego Pan ją zwycięzko wyprowadził, na cześć i chwałę swoję. 329

Rozdział XXXVII. Jakie w niej skutki pozostawiała każda łaska użyczona jej od Pana. Jak wielką jest rzeczą i wszelkiej usilności godną, każde najmniejsze pomnożenie i wyższy stopień chwały niebieskiej. Jako żadna trudność nie powinna nas zrażać, gdy chodzi o nabycie takich dóbr, które trwają wiecznie. 349

Rozdział XXXVIII. O innych wielkich łaskach, jakich Pan jej użyczał, ukazując jej niektóre tajemnice niebieskie i inne wysokie widzenia i objawienia. Jakie skutki sprawiały w niej te objawienia, i jak wielkie, dzięki im, dusza jej czyniła postępy 357

Rozdział XXXIX. Dalszy ciąg o nadzwyczajnych łaskach, jakie Pan jej czynił. Jako jej obiecał spełnienie każdej prośby, jakąby doń za kimkolwiek zaniosła. Przytacza kilka znaczniejszych przykładów łask takich i wysłuchań, jakie z Boskiej dobroci Jego otrzymała. 373

Rozdział XL. O innych jeszcze nadzwyczajnych łaskach, które Pan jej uczynił. Może z nich być zbawienna nauka dla drugich, gdyż w całem tem pisaniu, jak już mówiła wyżej, ten był, po posłuszeństwie, główny jej zamiar, wspominać tylko o takich łaskach, o których wiadomość może duszom przynieść pożytek. Na tym rozdziale kończy się historya jej życia, ręką jej napisana, co niechaj będzie na chwałę Panu. Amen. . . 388

DODATKI.

Dodatek I. O rodzeństwie św. Teresy 402

Dodatek II. O „grzechach“ św. Teresy 405

Dodatek III. Ostatnie lata życia, śmierć i kanonizacya św. Teresy 408

Dodatek IV. Główne daty chronologiczne życia św. Teresy, według Bollandystów 418

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

PISMA ŚWIĘTEJ TERESY.

TOM DRUGI.

IMPRIMATUR.

Varsaviae die 10 Aprilis 1898 anno.

† Vincentius.

Secretarius

J. Podbielski.

№ 3344.

ОДОБРЕНО.

Варшава 13/25 Августа 1898 года.

Ассессоръ Варшав. Р.-К. Духовной Консисторіи

Кс. Каковскій.

Секретарь

Кс. Подбѣльскій.

PISMA
ŚWIĘTEJ TERESY.

KSIĘGA SPRAWOZDAŃ DUCHOWNYCH.

KSIĘGA FUNDACYI.

PRZEŁOŻYŁ

Z HISZPAŃSKIEGO

Biskup Henryk Piotr Kossowski.

TOM DRUGI.

Z rysunkiem wszystkich fundacyi św. Teresy.

WARSZAWA.
Nakładem „Przeglądu Katolickiego“,
ulica Nowy Świat № 39.

1899.

Дозволено Цензурою.

Варшава 18 Августа 1898 года.

Warszawa.—W drukarni F. Czerwińskiego, ulica Nowy Świat N. 36.

KSIĘGA

SPRAWOZDAŃ DUCHOWNYCH.

ŚWIĘTEJ TERESY

SPRAWOZDANIA DUCHOWNE DLA SPOWIEDNIKÓW SWOICH.

UWAGI WSTĘPNE.

Na końcu księgi *Życia* św. Teresy, Brat Ludwik z Leonu, współczesny Świętej i pierwszy wydawca jej pism, zamieścił p. t. *Dodatków (Adiciones)* zbiór urywków biograficznych, spisanych na luźnych, bez związku chronologicznego kartach, na których Święta własnoręcznie, bądź dla własnej pamięci, bądź dla wiadomości spowiedników swoich, notowała różne, w księdze *Życia* nie wspomniane łaski i objawienia, jakie otrzymywała od Boga. Dodatki te, z pierwotnego wydania przeszły do następnych, jak również i do tłómaczeń na obce języki; Bouix także w swym klasycznym przekładzie francuskim dzieł św. Teresy podaje je bez zmiany. Autentyczność tych urywków żadnej nie podlega wątpliwości; ale również rzecz pewna, że ich pozostało dużo więcej, niż Brat Leon pod powyższym tytułem wydał. Klasztory karmelitek w Awili i w Toledzie do niedawna posiadały, i może dotąd posiadają, dwa, z nieznacznemi odmianami, równobrzmiące rękopisy z końca XVI czy z początku XVII stulecia, jeszcze w końcu przeszłego wieku z rozkazu Generała karmelitów bosych, przez wyznaczoną w tym celu komissyę najściślej przejrzane, między sobą porównane i sprawdzone, pod tytułem: „Sprawozdania duchowne świętej Matki naszej, i Dodatki do życia jej, obfitsze od ogło-

szonych drukiem"—*Relaciones del Espiritu de N. S-a M-e y Adiciones a su Vida, mas copiosas que las impresas*, w których obok dwudziestu urywków przez Br. Leona wydanych, znajduje się jeszcze czterdzieści innych, takiejże treści, bądź własnoręcznych, bądź z oryginału przepisanych, widocznie jeszcze za życia Świętej, albo wkrótce po jej śmierci, przez pobożną córek jej troskliwość i miłość zebranych. Urywki te po części błąkają się w wydaniach zbiorowych dzieł św. Teresy, rozrzucone w różnych miejscach, bądź między „Przestrogami"—*Avisos*, bądź między Listami—*cartas*, po części dotąd były niewydane. Prócz tego, między Listami Świętej, jak je pierwotnie ułożył i wydał wiel. Palafox, znajdują się mylnie zamieszczone cztery, nie listy, ale obszerne sprawozdania dla spowiedników, które samaż Święta zowie *Relaciones:* jedno, podane w tomie IV, jako List 11-sty, nie adresowane do nikogo, ale prawdopodobnie napisane dla św. Piotra z Alkantary; drugie (w tymże tomie, List 12-ty), dla niewiadomego spowiednika, może dla o. Piotra Ybanez; wreszcie dwa (List 18-sty i 19-ty) skierowane do o. Rodryka Alvarez, zawierające, zwłaszcza pierwsze, treściwy opis jej życia, w niektórych szczegółach dokładniejszy nawet od samegoż *Życia*, w którem Święta nikogo, prócz Ś. Piotra z Alkantary i św. Franciszka Borgiasza, nie wskazuje po imieniu, tu zaś wymienia nazwiska około dwudziestu duchownych, z którymi w przejściach swoich wewnętrznych miała do czynienia. Słusznie więc uczony układacz wzorowo krytycznego wydania, na którem niniejszy przekład się opiera, zamierzył to zamięszanie przyprowadzić do ładu, i te *disjecta membra* w jednę całość zebrać; zaczem i one urywki i te cztery Relacye, w logicznym i chronologicznym, o ile to było możliwem, porządku ułożywszy, utworzył z nich niniejszą księgę *Duchownych sprawozdań*, składającą się z następujących dziesięciu części czyli rozdziałów:

1. Sprawozdanie św. Teresy do św. Piotra z Alkantary, o sposobie modlitwy i stanie duszy swojej, pisane r. 1560.

2. Sprawozdanie do o. Ybanez, czy innego spowiednika swego, dalszy ciąg poprzedniego; pisane w dziewięć miesięcy później.

3. Sprawozdanie o różnych objawieniach i łaskach, otrzymanych od Boga, od r. 1568 do 1571 włącznie; sprawozdanie to prawie całe ogłosił Br. Ludwik z Leonu na końcu *Życia*, pod tytułem: *Dodatki* (*Adiciones*); łaski w niem opisane odnoszą się przeważnie do r. 1571, w czasie przełożeństwa Świętej w klasztorze Wcielenia w Awili. W rękopisie Awilańskim obejmuje ono pierwsze 19 artykułów czy paragrafów.

4. Sprawozdanie o łaskach jakie otrzymała w klasztorze Salmantyceńskim, w Wielkim poście, w wielkim tygodniu i na Wielkanoc r. 1571. Rękopis awilański podaje to sprawozdanie w paragrafach 20, 21 i 22. Brat Ludwik wciągnął je także do *Dodatków* swoich, ale skrócone i ze zmianami.

5. Sprawozdanie czy uwagi o różnych punktach życia duchownego, o których pisała, albo pisać zamierzała w dziełach swoich. Sprawozdanie to datuje najpewniej z tegoż czasu, co i poprzednie, pod N. 4. W rękopisie awilańskim znajduje się ono w paragrafach 24—27 i 31—34 włącznie. W paragrafach pośrednich, 28, 29 i 30, Święta mówi o innej zupełnie materyi, niewłaściwie tu wtrąconej i związek rzeczy przerywającej. Z tego powodu, w niniejszem wydaniu, trzy te paragrafy zamieszcza się poniżej, jako odrębne sprawozdanie. Zawartość powyższych sześciu paragrafów zamieszczona była po części w zbiorowem wydaniu dzieł św. Teresy, w tomie VI, jako urywek 86-ty.

6. Sprawozdanie o powodach, jakie ją skłoniły do ślubowania posłuszeństwa ojcu Gracian, w r. 1575. Sprawozdanie to, spisane na luźnej karcie, w rękopisie toletańskim zostało za-

mieszczone na samym końcu. W rękopisie awilańskim zajmuje ono paragrafy 28 i 29, przerywając, jak powiedziano wyżej, wątek rzeczy w poprzedniem sprawozdaniu zawartych.

7. Sprawozdanie do o. Rodryka Alvarez, z treściwym opisem życia swego od chwili wstąpienia do klasztoru, i z wymienieniem różnych, jakich w tym czasie miała, przewodników duchownych, aż do r. 1575, daty skreślenia tego sprawozdania.

8. Sprawozdanie do tegoż ojca, o modlitwie i innych sprawach wewnętrznych, pisane w Sewilli, r. 1575.

9. Sprawozdanie w wysokim stopniu zajmujące o wszystkich objawieniach i łaskach, jakie otrzymała w r. 1576 i 1577, w czasie pobytu swego w Toledzie i w Awili. Sprawozdanie to obejmuje paragrafy 35—60 włącznie rękopisu awilańskiego. Niektóre z objawień w niem opisanych były dotąd niewydane.

10. Objawienie użyczone Świętej w pustelni nazaretańskiej w Awili, r. 1579, o sposobie rządzenia zakonem, ogłoszone także przez brata Ludwika z Leonu. W rękopisie awilańskim stanowi ono paragraf 30-ty.

Mamy więc w tych dziesięciu Sprawozdaniach treściwe przedstawienie życia wewnętrznego, a po części i zewnętrznego, św. Teresy, w latach 1568—1579, to jest w przeciągu jedenastu lat. Dane w nich zawarte odpowiadają po części *Życiu*, czyli jak Święta je zwała, księdze **Wielmożności Pańskich**, po części zaś księdze *Fundacyi*, to jest przejściom jej zewnętrznym. Uzupełniając zatem obie te księgi, i cechy znamienne obu na sobie nosząc, słusznie w niniejszem wydaniu na tem miejscu się kładą, między księgą *Życia* a księgą *Fundacyi*, jako przejście od jednej do drugiej.

KSIĘGA SPRAWOZDAŃ.

SPRAWOZDANIE. I

Do św. Piotra z Alkantary, założyciela Braci Bosych świętego o. Franciszka. Przedstawia mu stan swej duszy i sposób swój zachowywania się na modlitwie. Pisane roku 1560 w klasztorze Wcielenia.

JEZUS.

Sposób, w jaki obecnie odbywam modlitwę wewnętrzną, jest następujący. Rzadko się zdarza, bym znajdując się na rozmyślaniu, zdołała rozważać rozumem; zaraz od pierwszej chwili wszczyna się zebranie wewnętrzne, i dusza wpada w stan odpocznienia albo zachwycenia, tak iż z władz i zmysłów żadnego nie mogę czynić użytku; tyle tylko że słyszę, a i tego co słyszę, nie rozumiem i do niczego więcej nie jestem zdolna.

Często tak bywa, że gdy nie mam zgoła zamiaru myślić o rzeczach Bożych, gdy owszem zajęta jestem rzeczami obcemi, gdy nawet zdaje mi się w danym razie, że jakkolwiekbym usiłowała zdobyć się na modlitwę wewnętrzną, nie mogłabym, z powodu wielkiej, jaką czuję, oschłości wewnętrznej, do czego jeszcze przyczyniają się i cierpienia moje na ciele: tak nagle i z taką niepowstrzymaną siłą przychodzi na mnie to zebranie i podniesienie ducha, że oprzeć mu się niepodobna, i w jednej chwili czuję w sobie skutki i pożytki duchowne, jakie ono za sobą prowadzi. I to bez żadnego widzenia, któreby mi się zjawiło, bez żadnej mowy, którąbym usłyszała, ani sama nie wiedząc co się ze mną dzieje; tylko to jedno widzę i czuję, że dusza moja, w chwili gdy zdawało mi się, że gubi się i ustaje,

takiemi nagle napełnia się zyskami niebieskiemi, iż choćbym rok cały z wszystkich sił moich starała się o pozyskanie ich, nie sądzę bym zdołała nabyć ich tyle i takich, ile ich w tej jednej chwili bez żadnej pracy w sobie obecnych doznaję.

Innemi razy przychodzą na mnie wielkie potężne zapały, z takiem tęsknem mdleniem i ustawaniem za Bogiem, że prawie odchodzę od siebie; zdaje mi się, że życie we mnie ustaje, i zarazem poniewolnie muszę krzyczeć i wołać do Boga, taka jest niepowstrzymana gwałtowność tego zapału. Czasem nie mogę usiedzieć na miejscu, jak kiedy mię torsye porywają; i cierpienie to przychodzi mi bez żadnego z mojej strony przyczynienia się, a taki to rodzaj cierpienia, że dusza nigdyby już nie chciała wyjść z niego, póki żyje. Pochodzi ono z nieugaszonego, jakie w sobie czuję, pragnienia, bym mogła już nie żyć, i z tej świadomości że żyję, i nie mam na to lekarstwa; bo jedynem na to lekarstwem byłoby widzenie Boga, a jedynym sposobem aby widzieć Boga, jest śmierć, a śmierci sobie sama dać nie mogę; i w tym stanie zdaje się duszy mojej, że wszyscy wkoło niej są najszczęśliwsi, tylko ona nie, i wszyscy mają lekarstwo na cierpienia swoje, tylko ona nie. Jest to męka tak dojmująca, że gdyby Pan jej nie zaradził, zsyłając jakie zachwycenie, od którego wszystko się ucisza, i dusza napełnia się wielkiem uspokojeniem i uszczęśliwieniem, czy to, jak bywa niekiedy, widząc poniekąd to czego pragnie, czy znowu w innych zdarzeniach słysząc mowy i objawienia niebieskie, bez takich nadzwyczajnych pomocy od Boga niepodobna byłoby przenieść tę mękę.

Czasem znowu powstają we mnie nieopisane pragnienia służenia Bogu, z porywami tak gwałtownemi, że nie staje mi słów na wyrażenie ich siły, a przytem z żalem i bólem, że tak na nic się nie zdam. W takich chwilach zdaje mi się, że nie masz takiego trudu czy utrapienia, ani takiej przeszkody czy przeciwności, choćby to była śmierć, choćby to było męczeństwo, którychbym nie zniosła z łatwością. I to również przychodzi bez uprzedniego zastanowienia; przychodzi nagle, w jednej chwili, i całą mię wstrząsa, ani wiem skąd taka we mnie siła się bierze. Chciałabym wtedy, zdaje mi się, wołać na cały

głos, aby wszyscy mię usłyszeli i zrozumieli, jak wiele im na tem zależy, by nie poprzestawali w służbie Bożej na byle czem, i jak wielkie jest dobro, które Bóg nam da, jeśli my uczynimy się do przyjęcia go sposobnymi. Taka jest, mówię, potężność tych pragnień, że sama w sobie szarpię się i udręczam, widząc że pożądam tego, czego dokazać nie mogę. Zdaje mi się wówczas, że to tylko ciało krępuje mię i więzi, iż nie jestem zdolną w niczem usłużyć Bogu i stanowi memu; bo gdyby nie ono, czyniłabym rzeczy wielkie i znakomite, ileby mi sił na to stało; i tak widząc siebie pozbawioną wszelkiej możności służenia Bogu, taki z tego powodu cierpię ból, że go i wyrazić nie zdołam; aż w końcu, po tem wszystkiem, przychodzą słodkości duchowne, i zebranie i pocieszenie w Bogu.

Niekiedy, wśród tych żądz i zapałów do służby Bożej, zdarzało mi się, że chciałam zadawać sobie pokuty, ale nie mogę. Wielkąby mi to przyniosło ulgę, i w rzeczy samej ulgę i pociechę mam z tych, które sobie zadaję, choć są one prawie niczem, skutkiem niedołęstwa ciała mego; wszakże, gdyby ono na to pozwalało, przy tych żądzach jakie mam, sądzę, że przebrałabym miarę.

Nieraz wielką mi przykrość sprawia konieczność rozmawiania z ludźmi, i tak mię ta konieczność martwi, że gorzkie łzy nad nią wylewam, bo jedynem pragnieniem mojem jest samotność; i chociaż będąc sama, nie zawsze się modlę, albo czytam, sama przecie samotność jest dla mnie pociechą. Rozmowa, przeciwnie, szczególnie z krewnymi i powinowatymi, cięży mi, i jestem między nimi jakby nie swoja, z wyjątkiem tylko tych, z którymi mogę mówić o rzeczach wewnętrznych i potrzebach duszy; z takimi rada i ochotnie rozmawiam; chociaż czasem i oni mi się przykrzą, i wolałabym nie widzieć ich i pozostać sama; ale to rzadko się zdarza. Szczególnie też rozmowa z tymi, przed którymi sumienie moje otwieram, zawsze jest dla mnie pociechą.

Potrzeba jedzenia i spania bardzo mi nieraz jest przykrą, zwłaszcza teraz, gdy widzę, że więcej niż drudzy obyć się bez tego nie mogę. Czynię to dla spełnienia woli Bożej, i Jemu też to ofiaruję. Czas zawsze mi się wydaje krótki, i zawsze mi go

mało do modlitwy; bo zostawać samej, choćby najdłużej, nigdy mi się nie sprzykrzy. Zawsze pragnę mieć czas na czytanie, bo bardzo je zawsze lubiłam. Czytam jednak bardzo mało, naprzód dla tego, że w chwili gdy wezmę książkę do ręki, skupiam się w sobie z wewnętrznego zadowolnienia, i tak czytanie zamienia się w modlitwę; a potem trwa to zawsze bardzo krótko, bo mam dużo zajęcia, które, choć dobre, nie sprawuje mi przecie tego zadowolnienia, jakie sprawiałoby tamto. Tak więc wciąż wzdycham za czasem swobodnym, i stąd to, zdaje mi się, pochodzi, że wszystko co robię, wydaje mi się niesmacznem, bo widzę, że nie robię tego, cobym robić chciała i pragnęła.

Wszystkie te dobre żądze, wraz z pomnożeniem cnoty, dał mi Pan od czasu, jak mi użyczył tej modlitwy odpocznienia, połączonej z onemi zachwyceniami; od tego czasu taki znajduję w sobie postęp ku lepszemu, że poprzednie życie moje wydaje mi się jakby stanem zatracenia. Zachwycenia te i widzenia wielkie we mnie sprawują pożytki, jak je tu zaraz opiszę; twierdzę bez wahania, że jeśli jest we mnie co dobrego, nie skądinąd mi to przyszło, jedno z tego źródła.

Stąd powstała we mnie mocna wola i niezachwiane postanowienie, nigdy w niczem nie obrazić Boga, ani grzechem powszednim, i raczej tysiąc razy umrzeć, niż bym miała świadomie i z zastanowieniem taką rzecz uczynić. Stąd postanowienie, że cokolwiek uznam być doskonalszem i z większą chwałą Bożą, zwłaszcza gdy ten, który ma pieczę o mnie i mną rządzi powie mi bym to uczyniła, jakkolwiekby mi to było przykrem i trudnem, za żadne skarby świata uczynić tego nie zaniecham; i gdybym inaczej postąpiła, jużbym nie miała śmiałości prosić Pana o żadną łaskę, ani stanąć przed Nim na modlitwę; choć mimo to wszystko, wiele jeszcze popełniam błędów i niedoskonałości. Stąd także posłuszeństwo temu, który mię spowiada, jakkolwiek niedoskonałe; wszakże co rozumiem że odemnie żąda albo mi zaleca, tego, według rozumienia mego, spełnić nie zaniedbam; i gdybym zaniedbała, poczytywałabym to sobie za wielki błąd.

Stąd jeszcze pragnienie ubóstwa, choć nie bez niedoskonałości; ale choćbym miała skarby wielkie, nie chciałabym,

zdaje mi się, pobierać z nich dochodów, ani trzymać pieniędzy ukrytych do własnego użytku; zupełnie o to nie dbam, i niczego nie pragnę nad ścisłą potrzebę. Z tem wszystkiem jednak czuję to, że wiele mi jeszcze nie dostaje do doskonałości w tej cnocie; bo jakkolwiek niczego nie pragnę posiadać dla siebie, pragnęłabym przecie mieć z czego dawać drugim; dochodów tylko mieć nie chcę, ani żadnej rzeczy na własność.

Z każdego prawie widzenia jakie miałam, odniosłam pożytek i postęp ku lepszemu; jeśli wszakże nie jest to oszukanie dyabelskie, w czem zdaję się na spowiedników moich.

Ile razy nasunie mi się co pięknego albo okazałego: wody, błonia, kwiaty, zapachy, muzyka i t. p., nie chciałabym, zdaje mi się, widzieć tego ani słyszeć; tak daleko wszystkim tym pięknościom do tego, co oglądać zwykłam! Zatem i wszelka do nich ochota mię odchodzi. Do takiej skutkiem tego doszłam obojętności względem tych rzeczy, że z wyjątkiem chyba pierwszego, mimowolnego poruszenia, żadnego one na mnie wrażenia nie robią; wszystko to w oczach moich jakby gnój i śmiecie.

Gdy wypada mi z konieczności przestawać i rozmawiać z ludźmi światowymi, chociażby o rzeczach życia wewnętrznego, chociażby sposobem rekreacyi, jeśli rozmowa się przeciąga nad konieczną potrzebę, muszę sobie gwałt zadawać, tak wielką mi to przykrość sprawia.

Wesołe zabawy i inne rozrywki światowe, które dawniej lubiłam, dziś mi są wstrętne i patrzeć na nie nie mogę.

Pragnienia te miłowania Boga i oglądania Go, które jak mówiłam, miewam, nie powstają za pomocą pobożnych rozważań, jakim oddawałam się dawniej, kiedy mi się zdawało że jestem bardzo pobożną, i moc łez wylewałam; ale taki w nich płonie zapał i żar nadmierny, że gdyby Bóg, jak już mówiłam, nie zaradził, zsyłając zachwycenie, przez co dusza, jak mniemam, się ucisza i znajduje zaspokojenie, rychłoby sądzę od tej nawały życie ustało.

Gdy spotkam duszę wyżej stojącą w doskonałości, mocną w takich, jak mówiłam postanowieniach, oderwaną od rzeczy ziemskich, odważną i mężną, bardzo mię taka chwyta za serce, pragnęłabym z nią obcować, pewna że miałabym z niej pomoc

i pożytek. Dusze bojaźliwe przeciwnie, gdy widzę je ostrożnie słaniające się po takich tylko rzeczach, które ziemski rozsądek uznaje za możliwe, przykre mi sprawują uczucie, i mimowolnie przeciw nim odwołuję się do Boga i do Świętych, którzy właśnie takie rzeczy, wydające się nam dzisiaj tak straszne i niepodobne, czynili. Nie iżbym sama poczytywała siebie za zdolną do czego, ale mam to przekonanie, że tych, którzy dla miłości Boga zdobywają się na wielkie rzeczy, Bóg łaską swoją wspomaga, i nigdy nie zawiedzie tego, kto w Nim samym ufność swą położy; zaczem też radabym znaleźć jak najwięcej takich, którymbym mogła udzielić tego przekonania mego, którzyby nie troszczyli się o to, co będą jeść i czem się przyodziewać, ale wszystką troskę swoję zdali na Boga.

Nie znaczy to, bym w taki sposób zdawała na Boga troskę o rzeczy potrzebne, iżbym sama nie starała się o nie; staram się o nie, ale bez troski, takiej troski, mówię, któraby mi swobodę wewnętrzną zakłócała. I od czasu jak mi Pan użyczył tej swobody, dobrze mi jest z tem, i staram się ile mogę zapomnieć o sobie; niema jeszcze roku, zdaje mi się, jak mi Pan dał tę łaskę.

Do próżnej chwały, o ile znam siebie i rozumiem, nie mam chwała Bogu żadnego powodu; bo jasno widzę, że w tych rzeczach, które mam od Boga, nic nie masz mojego. Owszem, Bóg daje mi żywe uczucie nędz moich; i z wszelkiem, na jakiebym się zdobyć mogła zastanawianiem się i rozmyślaniem, nie zdołałabym, sądzę, dojrzeć tylu prawd, ile ich w jednej chwili poznaję.

Gdy mówię o tych rzeczach, jak to musiałam uczynić kilka dni temu, zdaje mi się, że mówię o kim innym. Przedtem nieraz jakobym wstydziła się, że te rzeczy, które dzieją się we mnie, doszły do wiadomości drugich; ale teraz rozumiem, że przez nie w niczem nie jestem lepszą, że owszem jestem gorsza, tak wielkie łaski biorąc, a tak mały z nich czyniąc pożytek. Szczerze mówię, nie było, w przekonaniu mojem, i nie masz na całym świecie istoty pod każdym względem gorszej odemnie; cnoty drugich, przekonana jestem, daleko większą mają zasługę; ja nic nie robię, tylko biorę łaski; i to co mnie

Bóg raczy dawać tutaj, to snać dla drugich chowa w dodatku; zaczem i błagam Go, by nie dopuszczał tego, bym nagrodę moję miała odnieść w tem życiu; i snać dlatego Bóg prowadzi mię tą drogą słodkości i łask nadzwyczajnych, że niedołężna i grzeszna nie zniosłabym innej.

Na modlitwie, i w każdem niemal, na jakie się zdobędę, choć krótkiem rozmyślaniu, nie potrafię, jakkolwiekbym się o to starała, pragnąć ulg i pociech, i Boga o nie prosić; bo widzę, że Jego życie całe było jednem cierpieniem i męką; więc i dla siebie proszę Go, aby mi dawał cierpienia, użyczywszy naprzód łaski do znoszenia ich.

Wszystkie tego rodzaju rzeczy i łaski bardzo wysokiej doskonałości wrażają mi się do duszy, o ile rozumiem, na modlitwie wewnętrznej, tak iż sama sobie się dziwię i zdumiewam, iż widzę tyle tak wysokich prawd, a tak jasnych, że w obec nich rzeczy tego świata wydają mi się czczą marą i głupstwem; i trudno mi zrozumieć samę siebie, gdy wspomnę, jak dawniej zachowywałam się względem tych rzeczy, bo dzisiaj martwienie się śmierciami i utrapieniami tego świata, zbytnie przynajmniej poddawanie się bólowi, albo przywiązaniu do krewnych, do przyjaciół i t. p., wydaje mi się nierozumem. Dla tego, jak mówię, trudno mi zrozumieć samę siebie, gdy zważę, jaką dawniej byłam i jakiemi uczuciami się powodowałam.

Gdy widzę w kim jakie rzeczy, które widocznie zdają się być grzechem, nie mogę przecie zdobyć się na stanowczy o takim sąd, by istotnie obraził Boga, i choćbym się kiedy nieco zastanowiła nad tem,—co czynię rzadko albo nigdy,—nigdy się na taki sąd nie zdobyłam, jakkolwiek grzech widziałam jasno; zawsze mi się zdawało, że jak sama pragnę i staram się wiernie służyć Bogu, tak tegoż pragną i o toż się starają wszyscy. Dał mi Bóg tę wielką łaskę, że nad rzeczą złą, jeśli mi się potem przypomni, nigdy się nie zatrzymuję myślą; a gdy się przypomni, zawsze patrzę na to, co w takiej osobie jest dobrego. Tym sposobem takie rzeczy nigdy mi nie sprawują udręczenia, ale za to często mię udręcza widok występków ogólnych, mianowicie herezyi, i ile razy na nie wspomnę, za-

wsze mi się zdaje, że to jedno jest istotne nieszczęście, nad którem słusznie boleć należy. Boleję również, gdy widzę duszę, która już oddawała się modlitwie wewnętrznej, a cofnęła się wstecz; taka niewierność martwi mię, ale nie bardzo, bo staram się nie zastanawiać się nad tem.

Pod względem próżnych wykwintności, w których dawniej miałam upodobanie, widzę w sobie poprawę, ale nie zupełną; nie zawsze widzę siebie w tym względzie umartwioną, chociaż niekiedy, tak.

Wszystko to, co tu mówię, jest to zwykły stan mój, i tak się, o ile rozumiem siebie, dzieje w duszy mojej, przy ciągłej prawie pamięci na obecność Boga. I choć rozmawiam o innych rzeczach, nie sądzę by mi to czyniło roztargnienie, chyba, że, jak mówiłam, sama chcę; i to nie zawsze, tylko wówczas, gdy rozmawiam o rzeczach ważnych, a i to, dzięki Bogu, chwilami tylko myśl mi odrywa i nie zajmuje mnie ciągle.

Przychodzą na mnie czasy, choć nie często, a trwa to jakie trzy, cztery do pięciu dni, że wszystkie te rzeczy dobre, i zapały, i widzenia jakoby mię opuszczają, i samęż o nich pamięć tracę, tak iż, choć chcę i szukam w pamięci, nie widzę coby kiedy było we mnie dobrego. Wszystko to wydaje mi się jakby sen, albo przynajmniej nic sobie wyraźnego przypomnieć nie mogę. Przytem i cierpienia fizyczne męki mi zadają. Wszystko mi się mięsza w głowie, na żadną myśl o Bogu zdobyć się nie mogę, ani wiem w jakim zakonie żyję. Choć czytam, nic nie rozumiem; wydaje mi się, że jestem pełna grzechów, bez żadnej chęci i odwagi do cnoty, i wielkie męztwo, jakie zwykle czuję w sobie, tak gdzieś zanika, że najmniejszej pokusy czy szemrania ze strony świata nie zdołałabym, zdaje mi się, znieść i zwyciężyć. Przychodzą mi wtedy myśli takie, że jestem do niczego, czemu więc wdaję się w rzeczy wyższe nad miarę pospolitą? ogarnia mię smutek, zdaje mi się że oszukuję wszystkich, którzy jakiekolwiek dobre o mnie mają mniemanie; chciałabym ukryć się gdzie tak głęboko, by nikt mnie nie widział: pragnę samotności, nie dla wyższego postępu w cnocie, jedno przez małoduszność. Gotowabym, zdaje mi się, kłócić się z każdym, kto mi się sprzeciwi; tylko że w tej cią-

głej walce wewnętrznej, Bóg mi daje tę łaskę, że Go nie obrażam więcej niż zwykle, ani Go proszę, by mię z tego udręczenia wybawił, ale jeśli taka jest wola Jego, by ono trwało zawsze, niech mię trzyma ręką swoją, abym Go nie obraziła; a z całego serca zgadzam się z wolą Jego, i w tem, że nie zawsze mię w takim stanie trzyma, widzę i uznaję szczególną nademną łaskę Jego.

Co mię tu zdumiewa, to że gdy jestem w tym stanie, od jednego słowa, jak je w sobie słyszeć zwykłam, od jednego widzenia, od jednej chwili zebrania wewnętrznego, choćby nie trwało dłużej nad jedno Zdrowaś Marya, jak również za przystąpieniem do Komunii świętej, zupełne mi i w duszy i na ciele wraca uspokojenie i zdrowie, i zupełna jasność w umyśle, i wszystka, jaką w zwyczajnym czasie miewam, moc ducha i gorącość pragnień. Mam już w tym względzie nabyte doświadczenie, bo wiele razy tak bywa; przynajmniej co do Komunii, już więcej niż od pół roku bardzo wyraźnie i jasno czuję po każdej uzdrowienie na ciele; podobnież bywa nieraz i z zachwyceniami; i trwa to niekiedy trzy godziny, i więcej, czasem i cały dzień znacznego doznaję polepszenia. Nie sądzę by to było przywidzenie, bo miałam sposobność sprawdzić co mówię, i pilną na to zwracałam uwagę. Stąd też, gdy jestem w stanie tego zebrania wewnętrznego, żadnej się niemocy nie boję. Winnam tu jeszcze dodać, że na zwyczajnem rozmyślaniu, jak je przedtem miałam w zwyczaju, polepszenia tego nie doznaję.

Z wszystkiego co dotąd powiedziałam, co do mnie, jestem przekonana, że są to rzeczy od Boga; bo znając siebie, jaką byłam, i jako szłam drogą wiodącą na zatracenie, do którego w prędkim czasie byłabym doszła, nie mogłam nie zdumieć się, gdy w duszy mojej ujrzałam takie rzeczy, nie wiedząc skąd mi przyszły wszystkie te cnoty; nie poznawałam samej siebie; widocznie była to rzecz darowana, nie własną pracą nabyta. Z całą prawdą i jasnością to widzę, i wiem że się nie mylę, iż Bóg użył tych rzeczy za środek, nie tylko do pociągnienia mnie do służby swojej, ale i do wyrwania mnie z piekła, jak o tem wiedzą spowiednicy moi, ci zwłaszcza, przed którymi złożyłam spowiedź z całego życia.

Stąd też, gdy spotkam kogo, kto coś słyszał o mnie, chciałabym opowiedzieć mu przeszłe życie moje; bo wszystką cześć i sławę moję na tem, zdaje mi się, pokładam, aby Pan był pochwalony, i o nic więcej nie dbam. On wie dobrze, chyba że zupełnie ślepa jestem, że ani honor, ani życie, ani chwała, ani żadne dobro ciała czy duszy nie ma dla mnie pociągu, że nie chcę ani pragnę mojego pożytku, jedno chwały Jego. Nie mogę temu dać wiary, by dyabeł tyle powynajdywał sposobów na pozyskanie duszy mojej, na to tylko, aby ją po tem wszystkiem stracił; nie mam go za tak głupiego. Ani temu uwierzyć nie mogę, by Bóg, chociażbym sama za grzechy moje zasłużyła na takie oszukanie, nie wysłuchał tylu modlitw, jakie tyle dusz cnotliwych od dwóch lat za mną zanosi, i ja nic innego nie robię, jedno wciąż proszę wszystkich o modlitwy, aby Pan dał mi poznać, czy jest w tem chwała Jego, albo też inną mię drogą prowadził. Nie wierzę, by Pan, w Boskiej łaskawości swojej, dopuścił ciągłego wzmagania się we mnie tych rzeczy, gdyby nie były sprawą Jego. Te uwagi, i te modlitwy tylu świętych, dodają mi ducha, gdy przychodzą mi one obawy, że może to wszystko nie jest od Boga, kiedy ja taką jestem grzeszną. Ale gdy jestem na modlitwie, i w dni takie, kiedy mam pokój wewnętrzny i myśl utkwioną w Bogu, choćby się razem zebrali wszyscy, ilu ich jest na świecie, uczeni i święci, i wszelkiemi jakieby wymyślić zdołali, strachami mię dręczyli, i choćbym chciała im uwierzyć, nie dokazaliby tego, bym uwierzyła, że to sprawa dyabelska, bo uwierzyć w to nie mogę. I kiedy oni chcieli mię znaglić do tego, bym uwierzyła, strach-ci mię ogarniał, i bacząc na powagę tych, którzy mi to oznajmiali, mówiłam sobie, że tacy ludzie chyba mówią prawdę, i że ja, taka nędzna i grzeszna, snać muszę być w błędzie. Ale za pierwszem słowem tej mowy, którą słyszę w sobie, za pierwszą chwilą zebrania wewnętrznego czy widzenia, w niwecz pełzły wszystkie ich dowodzenia; uwierzyć im w żaden sposób nie mogłam, i znowu utwierdzałam się w przekonaniu mojem, że to sprawy Boże.

Przyznaję jednak, że nieraz i zły duch może się wtrącać w te rzeczy; że tak jest, sama to widziałam i mówiłam; ale

skutki są inne; i kto tego doświadczył na sobie, tego, sądzę, dyabeł nie oszuka. Z tem wszystkiem jednak świadczę się, że jakkolwiek wierzę, że te rzeczy niezawodnie są od Boga, nigdy przecie nie uczyniłabym niczego bez zgody tego, który ma pieczę o mnie, i bez upewnienia się z jego strony, że w tem, co chcę uczynić, jest większa chwała Boga; nigdy też niczego więcej nie miałam na myśli, jedno bym była posłuszną, i nie ukrywała niczego, bo tego mi potrzeba. Bywam bardzo często strofowana za uchybienia moje, w sposób dojmujący aż do wnętrzności: słyszę również często rady i przestrogi, ile razy w tem co czynię jest albo może być jakie niebezpieczeństwo; i przestrogi te wielki mi przyniosły pożytek, przywodząc mi często na pamięć dawne grzechy moje, co mię mocno pobudza do żalu i skruchy.

Bardzo szeroko się rozpisałam, ale i to rzecz pewna, że tym dobrom, jakie widzę w sobie wychodząc z modlitwy, źle, zdaniem mojem dopisuję, bo widzę w sobie wiele niedoskonałości i mało postępu, a wielką nędzę. Może też te rzeczy, które mi się we mnie zdają dobremi, źle rozumiem, i oszukuję siebie; bo życie moje widocznie się z niemi nie zgadza, i to mi daje do myślenia. Wszakże, w tem wszystkiem, co tu powiedziałam, mówię to, co mi się wydaje być prawdą i czego w istocie w sobie doznałam. Te są rzeczy wysokie i doskonałe, które, czuję, że Pan zdziałał we mnie, tak niedoskonałej i niecnotliwej. Zdaję to wszystko na sąd Waszej Miłości, bo znasz całą duszę moję [1]).

---

[1]) W rękopisie, pochodzącym z biblioteki głównego domu karmelitów Bosych prowincyi hiszpańskiej, a przechowującym się obecnie w bibliotece narodowej w Madrycie (*Canon di N. S. Madre*, N. 36), znajduje się karta, zawierająca sąd św. Piotra z Alkantary o duchu św. Teresy, własną ręką Świętego w trzydziestu i trzech punktach spisany. Podstawą jego było bez wątpienia powyższe sprawozdanie, i treściwe a kategoryczne i stanowcze motywa jego, w onych trzydziestu i trzech punktach podane, były to zapewne one „powody i racye“, któremi, jak Święta opowiada w *Życiu* swojem (r. XXX), św. Piotr z Alkantary wpłynął na onych uczonych teologów, którzy w widzeniach jej upatrywali sprawę ducha złego, i skłonił ich do zaniechania udrę-

SPRAWOZDANIE II.

Pisane w klasztorze Wcielenia, między r. 1561 a 1562, do spowiednika niewiadomego. Święta opisuje w dalszym ciągu stan duszy swojej.

J E Z U S.

Przeszło rok temu, zdaje mi się, napisałam to co poprzedza. Bóg przez cały ten czas trzymał mię ręką swoją, że nie stałam się gorszą; owszem, w tem co powiem, widzę znaczne polepszenie; niech będzie pochwalony za wszystko.

---

czeń, jakie jej z tego powodu zadawali. Pomimo stosunkową długość jego, podajemy tu w całości ten ciekawy i ważny dokument:

„1. Celem Boga jest pociągnąć duszę do Siebie, celem dyabła, odwieść ją od Boga. Zbawiciel nigdy nie używa takich sposobów, któreby mogły oddalić kogo od Niego, i podobnież dyabeł nigdy nie używa sposobów, któreby mogły zbliżyć kogo do Boga. Wszystkie zaś widzenia i drugie rzeczy, które w niej się dzieją, coraz bardziej ją zbliżają do Boga, czynią ją pokorniejszą, posłuszniejszą i t. d.

2. Według nauki św. Tomasza, Anioł światłości poznaje się po spokoju i uciszeniu, jakie w duszy pozostawia. Nigdy człowiek nie może doznawać tych rzeczy, żeby zarazem nie używał wielkiego pokoju i zadowolnienia takiego, że wszystkie przyjemności ziemskie razem wzięte nie równają się najniższemu stopniowi jego.

3. Nie masz żadnego uchybienia albo niedoskonałości, którychby się dopuściła, za któreby nie była strofowana przez tego, który wewnątrz do niej mówi.

4. Nigdy o te rzeczy nie prosiła ani ich nie pragnęła, jedno tylko spełnienia we wszystkiem woli Boga i Pana naszego.

5. Wszystko, cokolwiek jej mówi on głos wewnętrzny, zgadza się z Pismem i z nauką Kościoła, i zupełną jest prawdą wedle całej ścisłości Szkoły.

6. Ma wielką czystość duszy i wielką szczerość serca, i pragnienia najgorętsze spodobania się Bogu, gotowa wzamian za to nogami zdeptać cokolwiek jest ziemskiego.

7. Otrzymała upewnienie, że wszelka rzecz sprawiedliwa, o którąby prosiła, będzie jej daną od Pana. Prosiła o wiele rzeczy i takich, które nie zmieściłyby się na tym papierze, jakkolwiekby był wielkim, i wszystkich Pan jej użyczył.

8. Rzeczy te, gdy są od Boga, zawsze zmierzają do dobra, czy to własnego, czy powszechnego, czy czyjegoś. Ona zaś, jak tego ma jasne prze-

Widzenia i objawienia nie ustały, ale są o wiele bardziej wysokie; nauczył mię Pan pewnego sposobu modlitwy, w którym znajduję skuteczną pomoc do wyższego postępu, dużo większe oderwanie się od rzeczy tego życia, większą odwagę i swobodę ducha. Zachwycenia spotęgowały się; przychodzą one nieraz jawnie, gdy jestem w towarzystwie, i z taką niepowstrzymaną nagłością i siłą, że nie zdołam ich zewnętrznie opanować, skutkiem czego obecni je widzą; i nie masz sposobu

---

świadczenie, i sama z tych rzeczy wielki pożytek odniosła, i wielu innym do dobrego pomogła.

9. Ktokolwiek z nią przestaje, mimowoli, chybaby miał złą wolę, czuje się pobudzonym do pobożności temi jej sprawami, choć ona o nich nie mówi.

10. Na każdy dzień pomnaża się w doskonałości cnót, i ciągle ją głos wewnętrzny uczy rzeczy coraz doskonalszych. I tak przez cały czas, odkąd miewa te widzenia, wciąż rosła coraz wyżej, co właśnie św. Tomasz podaje za pewny znak działania Bożego.

11. Głosy, które słyszy, nigdy jej nie mówią ciekawości ani rzeczy niewłaściwych, ale same tylko rzeczy ku zbudowaniu.

12. O niektórych objawiły jej, jako pełni są czartów, aby poznała, do jakiego stanu przychodzi dusza, gdy obrazi Pana śmiertelnie.

13. Jest to obyczaj i cecha złego ducha, że kogo chce oszukać, temu radzi trzymać w sekrecie to, co mu mówi; jej głosy przeciwnie zalecają jej, by to, co słyszy, przedstawiała uczonym sługom Bożym, i ostrzegają ją, że gdyby ze wstydu co zataiła, naraziłaby się tem samem na oszukanie dyabelskie.

14. Tak wielki jest pożytek, jaki dusza jej odnosi z tych rzeczy, i takie daje przykładem swoim zbudowanie, że już przeszło czterdzieści sióstr w jej klasztorze w wielkiem żyje zebraniu ducha.

15. Rzeczy te przychodzą jej zwykle po długiej modlitwie, i kiedy głęboko jest pogrążona w Bogu i miłością Jego płonąca, albo gdy przystępuje do Komunii.

16. Rzeczy te wzbudzają w niej bardzo gorące pragnienie upewnienia się, czy jej dyabeł nie zwodzi.

17. Sprawują w niej jak najgłębszą pokorę; rozumie dobrze i uznaje, że wszystko to, co otrzymuje, jest z daru i ręki Pańskiej, i jako nic nie ma z samej siebie.

18. Gdy zostaje bez tych widzeń, zdarzające się przeciwności sprawują jej przykrość i zmartwienie; skoro zaś przyjdą na nią te rzeczy, niczego już nie pamięta, tylko wielką pała żądzą cierpienia, w którem taką znajduje roskosz, że sama się sobie dziwuje.

zataić ich, chyba że uda mi się złożyć je na moję chorobę sercową, aby patrzący sądzili, że to zwykłe omdlenie; choć staram się z wszystkich sił oprzeć się z początku, często się zdarza, że nie mogę.

Co się tyczy ubóstwa, Bóg, zdaje mi się, wielkiej mi łaski użyczył, iż i rzeczy do życia potrzebnych chciałabym nie mieć, jedno z jałmużny; owszem, chciałabym żyć w takim ostatecznym niedostatku, iżby każdy kawałek chleba który jem,

---

19. Za radość i pociechę poczytuje sobie utrapienia, nieprzychylne o niej sądy i szemrania, choroby wszelkie i niemoce; a straszliwe cierpi bóle serca, i torsye, i inne boleści, które wszystkie, gdy jest w stanie widzenia, ustają.

20. Pomimo tylu cierpień, czyni jednak wielkie pokuty, posty, dyscypliny i inne umartwienia.

21. Wszystko, cokolwiek na tej ziemi może jej się wydarzyć przyjemnego, zarówno jak i strapienia, których wycierpiała wiele, przyjmuje z jednakową równością ducha, nie tracąc pokoju i statku wewnętrznego.

22. Tak mocne ma postanowienie chronienia się obrazy Boskiej, że uczyniła ślub czynienia zawsze tego co uzna, albo co ten który ją zna, powie jej że jest rzeczą doskonalszą. I lubo za świętych poczytuje Ojców Towarzystwa, i ich pośrednictwu przypisuje te wielkie łaski, jakie Pan jej uczynił, wszakże upewniała mię, że gdyby się przekonała, że zaniechanie stosunków z nimi byłoby rzeczą doskonalszą, gotowa byłaby nigdy już z nimi nie mówić, ani się z nimi nie widzieć, nie zważając na to, że oni to wprowadzili ją na drogę do tych rzeczy i spokój jej przywrócili.

23. Roskosze duchowne, jakich doznaje, i gorące uczucia dla Boga, i rozpływanie się w miłości Jego, są bez zaprzeczenia rzeczą zdumiewającą, i całemi dniami bywa niemi zachwycona.

24. Często, słysząc kogo mówiącego z namaszczeniem i siłą o Bogu, wpada w zachwycenie, i choć się stara, oprzeć mu się nie może; i wtedy pozostaje w takim stanie w oczach tych którzy na to patrzą, głęboko takim widokiem przeniknieni i do pobożności pobudzeni.

25. Nie może tego znieść, by kto ma pieczę o niej, nie wymawiał jej uchybień jej, i nie strofował jej, i z wielką każde strofowanie przyjmuje pokorą.

26. Z tem wszystkiem i to jest dla niej widokiem nieznośnym, gdy dusza żyjąca w stanie doskonałości, nie stara się o doskonałość odpowiednią powołaniu swemu.

zależał od łaski cudzej. Żyjąc w domu, w którym mam pewność, że nie zabraknie mi czem się pożywić i czem się przyodziać, nie tak doskonale, zdaje mi się, spełniam ślub ubóstwa i radę Chrystusową, jak gdy się znajdę w takim domu, który nie będzie miał dochodów, gdzie zatem i rzeczy potrzebnych nieraz może zabraknąć; dobra zaś, których się prawdziwem ubóstwem nabywa, sądzę że są wielkie i nie chciałabym ich tracić. Tak wielką nieraz czuję w sobie wiarę, i tak mocne przekonanie, że Bóg nie może zawodu zrobić temu, kto Mu służy, i tak nie-

---

27. Ma serce zupełnie oderwane od przywiązania do krewnych, nie pragnie towarzystwa ludzkiego, kocha samotność. Wielkie ma nabożeństwo do Świętych, i w dni ustanowione przez Kościół na obchodzenie pamięci ich lub tajemnic wiary, wysokie miewa od Pana uczucia pobożne i podniesienia ducha.

28. Gdyby wszyscy Ojcowie Towarzystwa, i wszyscy ilu ich jest na tej ziemi słudzy Boży upewniali ją, że to, co w niej się dzieje, jest sprawą ducha złego, choć w zwykłym stanie swoim, póki nie ma widzenia, boi się wobec takich zapewnień i drży o siebie; wszakże, gdy jest na modlitwie i w zebraniu ducha, choćby ją porąbano na sztuki, nie da w siebie wmówić, by tym, który w niej działa i do niej mówi, był kto inny, jedno Bóg.

29. Dał jej Bóg taką siłę i męztwo ducha, że trzeba się nad nim zdumiewać. Z przyrodzenia była bojaźliwa; teraz depcze po wszystkich czartach. Niezrównanie jest wyższą nad wszelkie przesady i błahości kobiece; zupełnie jest wolna od skrupułów; jest to dusza w najwyższym stopniu prawa.

30. Nad to wszystko użyczył jej Pan najsłodszego daru łez. Serce ma pełne litości dla bliźnich: jasne ma poznanie niedostatków swoich, wysokie poważanie dla dobrych; siebie samę zaś poniża. Powtarzam i twierdzę za rzecz pewną, że bardzo wielu pomogła do dobrego, a do tych wielu i ja się zaliczam.

31. W ciągłej żyje pamięci na Boga, i żywe ma uczucie obecności Jego. Cokolwiek jej było zapowiedziano w onych mowach wewnętrznych, wszystko to było prawdą i spełniło się; jestto dowód bardzo przekonywający.

32. Rzeczy te sprawują w niej przedziwną jasność umysłu i wielkie oświecenie w rzeczach Bożych.

33 Proszę jej powiedzieć: niech zajrzy do Pisma, a znajdzie w niem, że nigdy nie było przykładu, by dusza pragnąca podobać się Bogu, mogła przez tak długi czas zostawać w błędzie.“

wątpliwą pewność, że nie masz, i nie będzie nigdy przykładu, by słowo Jego zawiodło, że nie potrafię zmienić mojego w tym względzie postanowienia, ani dopuścić do siebie żadnej o to obawy, zaczem i wielką przykrość mam, gdy mi radzą, bym zapewniła sobie dochody, i od tych doradców odwołuję się do Boga [1]).

Daleko większą niż dawniej, mam teraz, zdaje mi się, litość dla ubogich, bardzo nad nimi bolejąc, i mocno pragnąc zaradzić ich nędzy, tak iż gdybym mogła w tem iść za chęcią moją, wszystko odzienie moje zwlokłabym z siebie, dla przyodziania ich. Żadnego do nich wstrętu nie czuję, choć przestaję z nimi i rękoma ich dotykam; jasno w tem widzę nowy dar od Boga, bo dawniej, choć dla miłości Jego dawałam jałmużnę, ale tego przyrodzonego uczucia litości nie miałam. Bardzo wyraźną w tym względzie czuję w sobie poprawę.

Podobnież i w znoszeniu krzywdzących sądów i szemrań, —a bywa ich wiele, i z wielką ujmą dla mnie,—znaczny widzę w sobie postęp. Takie one, zdaje mi się, robią na mnie wrażenie, jak gdybym była idyotką i nic nie rozumiała; nieraz, prawie zawsze, uznaję, że szkalujący mię mają słuszność. Ale tak mało mię to obchodzi, że nie widzę nawet, cobym tu mogła ofiarować Bogu, wiedząc z doświadczenia, jak wielki stąd dusza moja zysk odnosi; zaczem raczej uważam ich za dobroczyńców moich. Wszelka uraza do nich znika we mnie bez śladu, jak tylko uklęknę na modlitwę. W pierwszej chwili, gdy takie rzeczy słyszę, trochę mi to przykrość robi, ale bez niepokoju, ni wzburzenia; a gdy potem widzę, jak nieraz to bywa, że kto mię żałuje, ja wtedy, szczerze mówiąc, w duchu się śmieję, bo wszystkie przykrości tego życia tak małej, zdaje mi się, są wagi, że nie ma czego się martwić; wszystko to przedstawia mi się jakby sen, po którym, za przebudzeniem, nic nie pozostanie.

---

[1]) Powyższy ustęp stwierdza datę, na wstępie tego Sprawozdania położoną, to jest, że Święta pisała je w końcu r. 1561, lub w pierwszej połowie r. 1562, kiedy jeszcze zostawała w klasztorze Wcielenia, który miał dobra, i kiedy ważyła się kwestya, czy nowy klasztor św. Józefa ma posiadać dochody. Ob. *Życie*, r. XXXV.

Daje mi Bóg żywsze pożądania, silniejszy pociąg do samotności, o wiele większe, jak już mówiłam, oderwanie się od wszystkiego, za sprawą tych widzeń, w których poznałam, gdzie jest to co jest wszystkiem, chociażbym opuściła wszystkich przyjaciół, i przyjaciółki, i powinowatych, bo wszystko to tylko cząsteczki; owszem, raczej rodzeństwo wszelkie mocno mię męczy; bylebym o jednę odrobinkę lepiej mogła służyć Bogu, gotowam opuścić ich wszystkich z wszelką swobodą ducha i z przyjemnością, i tak wszędzie mam pokój.

Niektóre rzeczy, które zostały mi objawione na modlitwie sposobem rady albo przestrogi, okazały się w skutku zupełnie prawdziwemi. Tak więc, ze strony Boga i wciąż rosnącej hojności łask Jego, znajduję w sobie wielki bardzo postęp ku lepszemu; ale z mojej strony, i w służbie Jego, widzę siebie daleko gorszą; bo daleko więcej brałam roskoszy, która na mnie spływała, chociaż często Pan daje i wielkie cierpienia. Pokuty bardzo mało; czci, choć często wbrew woli mojej, okazywanej mi [1]), dużo. Słowem, widzę że żyję w roskoszach, a nie w pokucie. Bóg niechaj temu zaradzi, jak może.

Dziewięć miesięcy, mniej lub więcej, upłynęło od czasu, jak ręką moją napisałam to co wyżej. Od tego czasu aż dotąd nie cofnęłam się wstecz od łask, które mi Pan uczynił; zdaje mi się owszem że nowych dostąpiłam, mianowicie łaskę dużo większej swobody ducha. Przedtem zdawało mi się, że nie mogę się obyć bez drugich, i wielką ufność pokładałam w pomocy od świata. Teraz zrozumiałam jasno, że wszystko to laseczki z trzciny suchej, na których nie można się oprzeć bezpiecznie, bo gdy zacięży na nich lada brzemię przeciwieństwa lub sądów nieprzychylnych, łamią się. I tak z własnego doświadczenia przekonałam się, że jeden tylko jest prawdziwy sposób uchronienia się upadku, to jest, oprzeć się na krzyżu, i ufać w Tym który dał do niego się przybić. On sam, przekonałam się, jest

---

[1]) Z powyższych słów wydawca hiszpański słusznie wnosi, że św. Teresa to sprawozdanie, albo przynajmniej ten ustęp jego pisała w czasie pobytu swego w Toledzie, w pałacu Ludwiki de la Cerda. W tem przypuszczeniu, to co mówi o wielkiej czci, jaką jest otoczona, staje się zrozumiałem. Ob. *Życie*, r. XXXIV.

przyjaciel prawdziwy, i na Nim polegając, czuję w sobie moc i wyższość taką, iż zdołałabym, zdaje mi się, czoło stawić całemu światu, przeciwko mnie spiknionemu, byleby Bóg mnie nie opuścił.

Przedtem lubiłam bardzo i pragnęłam mieć życzliwość u ludzi; odkąd zrozumiałam tę prawdę tak jasną, nic już o to nie dbam, owszem, rzec mogę, przyjaźń ludzka poniekąd mi cięży, z wyjątkiem tych, przed którymi otwieram duszę moję, albo tych, którym mam nadzieję być pomocą do postępu w cnocie; tamtych życzliwości pragnę, aby mię znosili, tych drugich dlatego, aby mając dla mnie przychylność, łatwiej uwierzyli temu, co im mówię o marności wszystkich rzeczy ziemskich.

W niemałych utrapieniach, i prześladowaniach, i przeciwieństwach, jakie miałam do zniesienia w ciągu tych miesięcy, Bóg mi dodawał wielkiej odwagi, tem większej, im większa na mnie nastawała nawałność, tak iż zgoła mi się nie przykrzyło cierpieć. I z tymi, którzy źle o mnie mówili, nie tylko nie byłam źle, ale owszem, jakby więcej jeszcze za to ich kochałam; nie wiem jak się to stało, ale był to widocznie szczególny dar z ręki Pańskiej.

Z przyrodzenia mego, gdy czego pragnę, zwykłam pragnąć gwałtownie; teraz wszystkie pragnienia moje tak są spokojne, że gdy które się spełni, nie czuję nawet bym się z tego cieszyła. Wszelkie przykrości czy przyjemności, z wyjątkiem rzeczy tyczących się modlitwy, zarówno mi są obojętne, jak gdybym była idyotką bez czucia, i w takim stanie pozostaję całemi dniami.

Zapały, które nieraz na mnie przychodzą i pobudzają mię do zadawania sobie pokuty, są silne nad wyraz; i chociaż wtedy czynię jaką pokutę, tak mało, przy tej gorącej żądzy ją czuję, że nieraz, i prawie zawsze, wydaje mi się raczej jakby szczególną roskoszą; tylko że będąc bardzo schorzałą, mało mogę zadawać sobie umartwień.

Konieczność jedzenia jest często dla mnie wielkiem, obecnie nawet wprost nieznośnem cierpieniem, zwłaszcza gdy dla niej muszę przerywać modlitwę. Snać musi ono być wielkiem, kiedy mię przywodzi do gorzkiego płaczu, i jakby mimowolnie

wybucha głośnem narzekaniem, co skądinąd wcale nie jest moim obyczajem. Jakkolwiek wielkie w życiu mojem wycierpiałam utrapienia, nie pamiętam bym kiedy pozwoliła sobie na słowo skargi; pod tym względem nic nie masz we mnie kobiecego, i serce mam harde.

Gorąco bardzo, goręcej niż kiedybądź przedtem, pragnę tego, by znalazło się jak najwięcej dusz, zwłaszcza między uczonymi, któreby z zupełnem oderwaniem się od świata Bogu służyły, i do niczego z tych rzeczy ziemskich się nie przywiązywały, tak jak ja widzę, że wszystko to marność i fraszki. Widzę i czuję wielkie potrzeby Kościoła, i tak mi one ciężą na sercu, że dzieciństwem mi się wydaje, martwić się i frasować o co bądź innego. Nie przestaję też polecać ich Bogu; bo widzę to jasno, że jeden mąż zupełnie doskonały i prawdziwą miłością Boga pałający, więcej może przynieść pożytku, niż wielu oziębłych.

W rzeczach wiary, dużo większe, zdaje mi się, czuję w sobie wzmocnienie. Zdołałabym, zdaje mi się, sama jedna stawić czoło wszystkim lutrom, i wytknąć im na oczy ich błędy. Bardzo mię boli zguba tylu dusz. Wielu widzę na lepszą drogę nawróconych, i nie mogę nie uznać, że spodobało się Bogu nawrócić ich przezemnie. Widzę także i czuję, że z łaski i dobroci Jego, dusza moja z każdym dniem rośnie coraz wyżej w miłości Jego.

Chociażbym rozmyślnie chciała unosić się próżną chlubą, sądzę, że nie potrafiłabym, i nie rozumiem jakim sposobem mogłaby powstać we mnie myśl; by którakolwiek z tych cnót była własnym moim nabytkiem; boć nie tak dawno temu, jak przez długie lata widziałam siebie bez żadnej cnoty, i dziś jeszcze z mojej strony nic nie czynię innego, jedno że biorę łaski, a nie służę, jako najniepożyteczniejsze stworzenie na świecie. Szczerze mówiąc, nieraz zastanawiam się nad tem, jak wszyscy wkoło mnie postępują w dobrem, tylko ja jedna sama z siebie zawsze jestem do niczego. Nie jest to, upewniam, żadna pokora, tylko sama prawda; i kiedy widzę siebie taką niepożyteczną i żadnego postępu nie czyniącą, nieraz przychodzi mi myśl i obawa, czy nie ulegam jakiemu oszukaniu. Tylko

że widzę także jasno, że one moje zyski duchowne jedyne swe źródło mają w tych objawieniach i zachwyceniach, w których nic nie masz ze mnie, i tyle się do otrzymania ich przyczyniam, ile głuchy pień; i to mię ubezpiecza i uspokaja, i oddaję się w ręce Boga, i polegam na pragnieniach moich, bo też wiem pewno, nic innego nie mają na celu, jedno umrzeć dla Niego, pracować i cierpieć dla Niego bez wytchnienia, cokolwiekby przyjść miało.

Bywają dni, że bezprzestannie przychodzą mi na myśl słowa św. Pawła, — choć bez wątpienia, nie mnie się równać z Apostołem,—że żyję, zdaje mi się, już nie ja [1]), nie ja mówię, nie ja chcę, ale żyje we mnie Ten, który mną rządzi i daje siłę; i chodzę jakby wyszła z siebie, i samoż życie niewypowiedzianem jest dla mnie cierpieniem. Niema też większej ofiary, którąbym mogła zanieść Bogu, jak codzień ją zanoszę, i większego dowodu gotowości mojej na wszelką służbę Jego, nad to, że tyle cierpiąc nad tem życiem w rozłączeniu z Nim, przecie dla miłości Jego zgadzam się żyć. Chciałabym tylko, by było to życie pełne ciężkich utrapień i prześladowań; i kiedy już niezdatną jestem do pomnażania się w doskonałości niechże przynajmniej zdatną będę do cierpienia; i wszelkie, jakie są na świecie cierpienia, rada zniosłabym, za jeden najmniejszy stopień wyższej zasługi, to jest, doskonalszego spełnienia woli Jego.

Z wszystkiego, cokolwiek słyszałam na modlitwie, chociażby dwa lata naprzód, nie masz ani jednego punktu, któryby się w oczach moich nie spełnił. A tak są wielkie te rzeczy, które widzę i słyszę o wielmożnościach Boga, i jako dziwnemi drogami wszystko rozrządza i do skutku doprowadza, że ile razy zacznę się nad tem zastanawiać, prawie zawsze ustaje mi rozum, jako gdy człowiek patrzy na rzeczy o wiele przewyższające pojęcie jego, i wpadam w zachwycenie.

Niech tylko Bóg mię strzeże od obrazy Jego; bo doprawdy nieraz przerażenie mię ogarnia, gdy wspomnę jako wielkie On o mnie ma staranie, a ja z mojej strony prawie w ni-

---

[1]) Gal. 2, 20.

czem się do tego nie przyczyniam, bo nim te łaski otrzymałam, byłam przepaścią grzechów i złości, i zdawało mi się, że nie jest w mojej mocy powstrzymać się od nich. I dla tego chciałabym, aby wszyscy wiedzieli o tych złościach moich, by lepiej stąd poznali, jak wielka jest moc Boga. Niech będzie pochwalony na wieki wieczne. Amen.

JEZUS.

Ta druga część sprawozdania niniejszego nie jest pisana ręką moją, jak pierwsza; ale ja ustnie opowiedziałam spowiednikowi mojemu, a on, nic nie opuszczając i nic nie dodając, swoją ręką ją spisał. Był to mąż wysoce duchowny i uczony teolog, i jemu wyznawałam wszystkie sprawy mej duszy, a on naradzał się o nich z innymi uczonymi, między którymi był i Ojciec Mamio. Niczego w wewnętrznych przejściach moich nie znaleźli, coby się nie zgadzało zupełnie z Pismem świętem. Odtąd już jestem spokojna, lubo rozumiem dobrze, że dopóki Bóg mię prowadzi tą drogą, potrzeba mi koniecznie w niczem nie ufać samej sobie; zaczem też zawsze wyznaję wszystko, choć mię to dużo kosztuje. Pamiętaj Wasza Miłość, że wszystko to ma pozostać pod sekretem spowiedzi, jak o to Waszej Miłości usilnie prosiłam.

SPRAWOZDANIE III.

O różnych łaskach, jakie otrzymała od Boga w latach 1568—1571. [1]).

Gdy w czasie pobytu mego w klasztorze Toletańskim radzono mi, bym nie dawała w nim miejsca pogrzebu jedno szlachetnie urodzonym, Pan rzekł do mnie: — „Mocno pobłądzisz, córko, jeśli będziesz zważała na prawa i obyczaje świata.

---

[1]) Sprawozdanie to, z urywków złożone, ogłosił Br. Ludwik z Leonu, pod tytułem *Dodatków* do *Życia* św. Teresy, ale w innym porządku, niż je ma rękopis Awilański, i z opuszczeniem wielu ustępów, w tymże rękopisie zawartych.

Zwróć oczy na mnie, który byłem ubogim i wzgardzonym od świata. Czy mniemasz, że wielcy tego świata wielkimi będą przedemną? albo że wedle rodu ma się oceniać wartość wasza, a nie według cnót?“ [1]).

W klasztorze św. Józefa w Malangonie, w drugi dzień Wielkiego Postu, zaraz po Komunii, ukazał mi się Pan nasz Jezus Chrystus, jak zwykle, w widzeniu przez wyobraźnię. Wpatrując się weń, ujrzałam na głowie Jego, zamiast korony cierniowej, koronę jaśniejącą świetnemi promieniami, wychodzącemi dokoła, zapewne z miejsc poranionych cierniami. Wielką mię ten widok napełnił pociechą, bo szczególne mam nabożeństwo do tajemnicy Ukoronowania cierniem. Na myśl jednak, jaką to straszną mękę musiał ucierpić Pan, od tych ran w głowie, tylu cierniami przebodzonej, żałość wielka mię ogarnęła. Wtedy Pan rzekł do mnie: — „Nie za te rany mię żałuj, ale za te, które mi dzisiaj zadają niezliczone.“ — Zapytałam Go, cobym mogła uczynić na zaradzenie temu, że jestem gotowa na wszystko. Odpowiedział mi: — „Nie czas teraz odpoczywać, ale śpiesz z zakładaniem tych domów; dusze w nich mieszkające są moją pociechą. Przyjmuj wszystkie, ile ci ich zaofiarują, bo wiele jest dusz, które dla tego tylko mi nie służą, że nie mają gdzie. Które domy założysz w małych miastach, niech będą podobne do tego, bo tyleż może w nich być zasługi, co i w większych, byleby równa w nich była gorliwość. Staraj się, by wszystkie zostawały pod kierunkiem jednegoż zwierzchnika, i pilnie czuwaj nad tem, by troska o potrzeby doczesne nie zakłóciła wam pokoju wewnętrznego; Ja sam będę was wspierał, aby wam nie zbywało na niczem. Niech wszędzie mają troskliwą pieczę o siostrach chorych; bo przełożona, która nie stara się o potrzeby i wygody chorej, podobna jest do przyjaciół Ioba: Ja tej siostrze zsyłam chorobę dla dobra jej duszy, a ona wystawia na szwank jej cierpliwość. Opisz także historyę

---

[1]) Pierwszego tego ustępu nie masz w rękopisie Awilańskim; Br. Ludwik kładzie go na przedostatniem miejscu swoich *Dodatków*. Tu się kładzie na początku, raz dla tego, że odnosi się do r. 1568, od którego zaczyna się to sprawozdanie, a powtóre, aby nie przerywać ciągu dalszych ustępów, jak je podaje rękopis Awilański.

tych fundacyi.“—Gdy na to ostatnie zalecenie myślałam w sobie, że w takiej naprzykład fundacyi klasztoru w Medina, nic nie spostrzegłam takiego, coby godnem było opisania, On rzekł do mnie: — „Czegoż więcej chcesz, kiedy widzisz, że była to fundacya cudowna?“ — Chciał przez to powiedzieć, że On sam dokonał tego dzieła, które po ludzku było niepodobnem; i tak postanowiłam spełnić rozkaz Pański i zabrać się do tego opisu.

Pewnego razu, gdy otrzymawszy od Pana jakieś zlecenie dla kogoś, zastanawiałam się nad tem, że nic go nie rozumiem, i błagałam Go o objaśnienie, przypuszczając zarazem, że snać to złuda szatańska, Pan rzekł do mnie:—„Nie masz w tem żadnej złudy; Ja sam ci to w czasie właściwym objaśnię.“

Innego razu, gdym sobie wspominała, jako o wiele łatwiej zachować doskonałą czystość duszy, żyjąc z daleka od interesów ziemskich, i jako ze mną, gdy poniewolnie niemi się zajmuję, musi być źle, i wielu muszę dopuszczać się uchybień. usłyszałam te słowa: — „Nie może być inaczej, córko; ale staraj się zawsze i we wszystkiem mieć prawą intencyę i oderwanie się od wszystkiego, i zapatruj się na Mnie, aby uczynki twoje były zgodne z mojemi.“

Gdy zapytywałam siebie, jaki może być powód, że teraz prawie nigdy nie miewam zachwyceń w obecności drugich, Pan powiedział mi: — „Nie potrzeba tego już teraz; dość już masz znaczenia i wpływu ku osiągnięciu tego czego chcę; mamy wzgląd na ułomność ludzką, aby kto złośliwy na złe tego nie tłómaczył.“

We wtorek po Wniebowstąpieniu Pańskiem, pozostając jakiś czas na modlitwie, po Komunii z oschłością przyjętej, bo umysł miałam tak roztargniony, że niepodobna mi było zatrzymać się myślą nad niczem, żaliłam się Panu na nędzę naszej natury. Niebawem dusza moja poczęła płonąć zapałem niebieskim, i zdało mi się że jasno, w widzeniu umysłowem, widzę obecną całą Trójcę Przenajświętszą, i mając przed oczyma duszy pewnego rodzaju przedstawienie, które było jakoby figurą prawdy, czyniącej siebie przystępną tępości mojej, poznałam, w jaki sposób Bóg jest jeden we trzech Osobach; wydało mi się zarazem, że wszystkie trzy Osoby, wyraźnie przedstawiające

mi się we wnętrzu duszy mojej, mówią do mnie, oznajmując mi, że — „każda z Nich osobnej użycza mi łaski, skutkiem czego od tego dnia uczuję w sobie pomnożenie w trzech rzeczach: w miłości, w cierpieniu z weselem, w żywem uczuciu i w wewnętrznym zapale miłości.“ Zrozumiałam wówczas te słowa Pańskie, że—„w duszy żyjącej w stanie łaski wszystkie trzy Osoby Boskie uczynią mieszkanie [1])“. Dziękując potem Panu za tak wielką łaskę, a zarazem czując siebie całkiem jej niegodną, żaliłam się z najgłębszą boleścią Boskiemu Majestatowi Jego, dla czego, kiedy spodobało Mu się takie łaski mi czynić, wypuścił mnie z ręki swojej, i pozwolił na to, bym była tak grzeszną?—bo właśnie dniem przedtem wielką miałam w duszy żałość i gorzkość, stawiając sobie przed oczy grzechy moje. Widziałam jasno, ile Bóg, od wczesnego dzieciństwa mego, dokładał starania, aby mię do siebie pociągnął, i jakich ku temu dzielnych i skutecznych używał sposobów, które jednak wszystkie pozostały bez skutku. Jasno mi stanęła na oczy ta miłość bez granic, jaką Bóg nam okazuje, odpuszczając nam wszystko, skoro tylko zechcemy nawrócić się do Niego; a nad nikim ta miłość Jego nie okazała się wspanialej, niż nademną, jak na to wiele mogłabym przytoczyć dowodów. Tak głęboko te trzy Osoby, które widziałam jako są jednym Bogiem, pozostały w duszy mojej wyryte, że gdyby to dłużej potrwało, niepodobna by mi było, przy takiem Boskiem towarzystwie, nie pozostawać w ciągłem zachwyceniu. Inne jeszcze w tem widzeniu były szczegóły, i inne jeszcze słowa słyszałam, o których tu pisać nie mam potrzeby.

Pewnego razu, na krótko przed tem widzeniem, przystępując do Komunii, nim jeszcze mi ją podano, i gdy Najświętsza Partykuła jeszcze była w puszce, ujrzałam nad nią jakby gołębicę, z szelestem poruszającą skrzydła; tak mię ten widok przejął i zachwycił, że ledwo z wielkim wysiłkiem zdołałam przyjąć Komunię. Oba te widzenia miałam u św. Józefa w Awili. Komunię wówczas mi dawał o. Franciszek Salcedo. Drugiego dnia, słuchając Mszy świętej, przez tegoż odprawianej, ujrza-

[1]) Jan, 14, 23.

łam w Hostyi Pana uwielbionego, i oznajmił mi, że przyjemną Mu jest jego Ofiara.

Innego razu usłyszałam te słowa: — „Przyjdzie czas, kiedy w tym kościele będą się działy wielkie cuda, i zwać go będą kościołem świętym.“ — Było to również u św. Józefa w Awili, roku 1571.

Obecność tę trzech Osób Boskich, o której mówiłam na początku, miałam prawie ciągle przytomną w duszy aż do dnia dzisiejszego, Kommemoracyi św. Pawła; a że byłam nawykła oglądać samego tylko Pana Jezusa, więc widzenie trzech Osób robiło mi jakoby niejaką trudność, choć widzę że to jeden Bóg. Disiaj, gdym się nad tem zastanawiała, Pan rzekł do mnie: — „Mylisz się, wyobrażając sobie rzeczy duszy za pomocą przedstawienia rzeczy cielesnych. Zrozumiej, że między tem dwojgiem wielka jest różnica, i że dusza zdolna jest objąć i posiadać wiele rzeczy na raz.“ — Coś podobnego, tak sobie rzecz przedstawiam, dzieje się ze mną, jak kiedy w gąbkę przenika i wsiąka woda: w podobny sposób, zdaje mi się, dusza moja napełnia się Bóstwem, i niejako opływam w nie, i posiadam w sobie trzy Osoby Boskie. Wtedy usłyszałam jeszcze te słowa: — „Nie kuś się o to, byś ty mnie zamknęła w sobie, ale staraj się, byś ty zamknęła się wemnie.“ — Zdawało mi się przytem, że widzę te Boskie trzy Osoby, jako mieszkając we wnętrzu duszy mojej, udzielają się zarazem wszystkiemu stworzeniu, żadnego nie pomijając, a przecie nie przestając zostawać we mnie.

W kilka dni po widzeniu wyżej opisanem, zastanawiając się nad sobą, czy nie mają słuszność ci którzy mię ganią, że opuszczam samotność klasztorną dla zakładania nowych domów, i czy nie byłoby lepiej dla mnie, gdybym wyłącznie oddawała się modlitwie, usłyszałam w sobie taką odpowiedź: — „Pożytek człowieka, póki żyje, nie na tem polega, by starał się jak najwięcej cieszyć się roskoszą posiadania mnie, ale na tem, by czynił wolę moję.“ — A gdy myślałam sobie, czy nie ta jest względem mnie wola Boża, bym się stosowała do słów ś. Pawła, który niewieście zaleca pozostawać w ukryciu, tem bardziej że niedawno temu zarzucano mi właśnie te słowa, i przedtem już nieraz je słyszałam, Pan rzekł do mnie: — „Powiedz im, niech

nie trzymają się ślepo jednego tylko miejsca Pisma świętego, ale niech je porównywają z drugiemi. Czy sądzą może, że potrafią związać mi ręce?“

Jednego dnia po oktawie Nawiedzenia, modląc się w jednej z pustelni Góry Karmelu i polecając Bogu jednego z braci moich, który przebywał w miejscu, grożącem mu zatraceniem duszy, ważyłam się, nie pamiętam już czy w myśli tylko, czy też wyraźnemi słowy, tak do Niego mówić: — „Gdybym ja widziała, Panie, brata twego w takiem niebezpieczeństwie, czegożbym nie uczyniła dla wyratowania go? niczego, sądzę, nie zaniechałabym, coby jedno było w mojej możności. — Na to odpowiedział mi Pan: — „O córko, córko! siostrami mojemi są zakonnice w klasztorze Wcielenia, a ty się ociągasz pójść do nich? Bądź dobrej myśli, pamiętaj że Ja tego chcę; rzecz nie jest tak trudna, i to co obawiasz się że będzie ze szkodą tamtej sprawy, i jednej i drugiej obróci się w korzyść. Nie opieraj się dłużej, potęga moja jest wielka“ [1]).

---

[1]) R. 1571, Papież Pius V, ustanowiwszy wizytatorów dla wszystkich zakonów, wizytatorem całego Karmelu mianował O. Piotra Fernandez, dominikanina, męża doświadczonej roztropności i świętobliwości. Nowy wizytator, pragnąc zaprowadzić ściśle zachowanie reguły w klasztorze Wcielenia w Awili, uznał, że najskuteczniej cel ten osiągnie, powierzając rządy klasztoru reformatorce Karmelu, zaczem i mianował ją przeoryszą rzeczonego klasztoru. Święta, mając wówczas założonych już ośm klasztorów zreformowanych i zarządem ich obarczona, wzdrygała się przed narzuconym jej przez wizytatora nowym ciężarem, zagrażającym, jak jej się zdawało, pomyślnemu rozwijaniu się reformy. Do tego to jej wzdragania się odnosi się powyższe widzenie, i miłościwy wyrzut Zbawiciela, który obawom jej koniec położył i skłonił ją do ochotnego zrobienia z siebie tej nowej ofiary. Pan dotrzymał swej obietnicy: reforma żadnego uszczerbku nie poniosła, a w klasztorze Wcielenia, pod trzyletniemi rządami Świętej, przy pomocy św. Jana od Krzyża, którego wezwała na spowiednika, ścisłe zachowanie reguły i doskonałość życia zakonnego wspaniale zakwitły, i po dziśdzień w nim się zachowują. Na samym wstępie, i w chwili objęcia rządów klasztoru, Święta, jak pisze Ribera, w chórze, w stalli przeznaczonej dla przeoryszy, umieściła wielką, pięknie rzeźbioną figurę Matki Boskiej z Góry Karmelu. W obecności całego zgromadzenia, w jej ręce oddała klasztor, i klucze u nóg jej złożyła, oznajmując tym symbolicznym obrzędem, że ona, Teresa, niczem jest, że prawdziwą klasztoru przeoryszą i rządczynią jest Najświętsza Panna, łaskawa i wielmożna całego Karmelu Pani i Opiekunka. W kilka dni potem, jak to Święta sama opowia-

Zapatrując się na surowe pokuty, jakie sobie zadawała pewna bardzo pobożna osoba [1]), i myśląc sobie, że przy gorących pragnieniach, jakie mi Pan niekiedy dawał ku temu, byłabym mogła uczynić więcej, gdyby mię nie krępowało posłuszeństwo dla spowiedników, zapytywałam siebie, czyby nie było z większym dla mnie pożytkiem, gdybym ich nadal w tym względzie nie słuchała.“ Ale Pan rzekł do mnie: — „Nie tak, córko; dobrą drogą idziesz i bezpieczną. Widzisz wszystką pokutę, jaką ona czyni? więcej waży przedemną posłuszeństwo twoje.“

Raz, na modlitwie, ukazał mi Pan w widzeniu umysłowem, jaki jest stan duszy, żyjącej w łasce: widziałam umysłem Trójcę Świętą, obcującą z nią, i z tego obcowania dusza ona brała moc, górującą nad wszystkiem co ziemskie. Zrozumiałam wówczas te słowa Pieśni: „Miły mój zstąpił do ogrodu swego [2])“. Ukazał mi Pan także stan duszy, leżącej w grzechu i bez żadnej siły ni władzy do dobrego, nakształt człowieka, skrępowanego i związanego za ręce i nogi, leżącego w głębokiej ciemności z zawiązanemi oczyma, tak iż choćby chciał, ani widzieć, ani słyszeć, ani chodzić nie może. Taka mię zdjęła litość nad duszami w tym stanie pogrążonemi, że dla wybawienia choćby jednej z nich, wszelka męka wydałaby mi się lekką. Komuby dano było ujrzeć to, co ja w tem dwojakiem widzeniu widziałam, a czego i opisać dokładnie nie potrafię, ten, sądzę, niepodobna by jeszcze zgodził się na postradanie takiego wielkiego dobra i skazanie siebie na takie wielkie złe.

Pewnego dnia, gdy trapiłam się bardzo, jak zaradzić potrzebom zakonu, Pan rzekł do mnie: — „Czyń co z ciebie jest, i zdaj się na Mnie, i o nic się nie frasuj. Ciesz się dobrem, jakie ci dane jest, bo jest to dobro bardzo wielkie. Ojciec mój podoba sobie w tobie, i Duch Święty miłuje cię.“

---

da w jednym z dalszych ustępów tego sprawozdania, objawiła jej się Królowa niebieska, chwaląc ją i dziękując jej za to uroczyste macierzyńskiej Jej władzy i opieki uczczenie.

[1]) Pierwsze wydanie Br. Ludwika z Leonu wymienia nazwisko tej osoby: nazywała się Donna Catalina de Cardona. Ob. *Fundacye*, r. 28.

[2]) Pieśń, 6, 1.

— „Ciągle pragniesz cierpień, a z drugiej strony od nich się uchylasz; Ja rozrządzam rzeczy według dobrej, jak ją znam, woli twojej, a nie według przyrodzonej skłonności i słabości twojej. Bądź mężną, boć widzisz, że ja cię wspieram; chciałem abyś zdobyła sobie tę koronę. Jeszcze za dni twoich ujrzysz wielki wzrost zakonu Panny Najświętszej." — Te słowa słyszałam od Pana w połowie lutego roku 1571.

W pierwszym roku mojego przełożeństwa w klasztorze Wcielenia, w czasie nieszporów przed dniem św. Sebastyana, w chwili gdy zaczynało się *Salve*, ujrzałam Matkę Boską, z wielkiem mnóstwem aniołów, zstępującą do stalli przeoryszy, gdzie była ustawiona figura Jej, i zasiadającą na tem miejscu: nie widziałam już wówczas, zdaje mi się, figury, jedno samęż osobę Najświętszej Panny. Zdawała mi się nieco podobną do obrazu który mi dała hrabina [1]), chociaż krótki miałam czas jej się przypatrzyć, bo zaraz wpadłam w głębokie zachwycenie. Na wierzchu gzemsów stalli i na przednich jej poręczach, zdawało mi się, że widzę mnóstwo aniołów, choć nie w cielesnej postaci, bo widzenie było umysłowe. W takim stanie pozostałam przez cały czas śpiewu *Salve*, a Pani nasza rzekła do mnie: — „Dobrą myśl miałaś, że mię tu umieściłaś: będę obecną hołdom uwielbienia, które tu będą się składały Synowi mojemu, i będę Mu je przedstawiała [2])." Potem pozostałam pogrą-

---

[1]) Była to Marya de Velasco de Aragon, hrabina Osorno. Obraz ten po dziśdzień przechowuje się w klasztorze św. Józefa w Awili. Ribera powiada o nim, że nigdy nie widział piękniejszego i głębszą cześć wzbudzającego.

[2]) Klasztor Wcielenia po dziśdzień święcie przechowuje pamięć tego widzenia seraficzkiej matki swojej. Od daty tego widzenia aż dotąd, Królowa niebieska poczytywała się i poczytuje za przeoryszę klasztoru: figura Jej, którą św. Teresa na pierwszem miejscu w chórze umieściła, a która, podobnie jak obraz wyżej wspomniany, wiejącym od niej urokiem nadziemskiej powagi, dziwnie do pobożności usposabia, szczególną otoczona jest czcią i nabożeństwem, i dotąd trzyma w ręku klucze klasztoru, które św. Teresa wówczas przed nią złożyła. Podobnież i stalle, w których w onem widzeniu ukazali się św. Teresie aniołowie, od tego czasu pozostały puste, przyozdobione tylko kwieciem i pobożnemi malowidłami; pod niemi zaś urządzono niższe siedzenia, na których teraz, *in conspectu angelorum* pod wodzą niebieskiej Przeoryszy, i zasiadającej obok Niej, w drugiej stalli, seraficzkiej matki swojej, szczęśliwe domowniczki Karmelu chwałę Panu śpiewają.

żoną w modlitwie, sposobem obcowania duszą z Trójcą Przenajświętszą, jakiego mi dano bywa dostępować, i zdało mi się, że Osoba Ojca przygarnia mię do siebie, mówiąc mi rzeczy pełne najsłodszej łaskawości. Między innemi powiedział do mnie te słowa, na dowód swojej dla mnie miłości:—„Oddałem ciebie Synowi mojemu, i Duchowi Świętemu, i tej Pannie Najświętszej. Cóż ty za to możesz oddać Mnie?“

W oktawę Ducha Świętego uczynił mi Pan łaskę, dając mi pewną nadzieję, że dom ten [1]) będzie się pomnażał w doskonałości, to jest dusze w nim mieszkające.

W dzień św. Magdaleny Pan na nowo stwierdził mi łaskę, którą mi już był uczynił w Toledzie, wybierając mię, w nieobecność pewnej osoby, na miejsce tejże.

Drugiego roku mojego przełożeństwa w klasztorze Wcielenia, gdy w oktawę św. Marcina przystępowałam do Komunii, Brat Jan od Krzyża, który mi ją dawał, przełamał Partykułę, podając drogą połowę siostrze przy mnie klęczącej. Uczynił to, jak sądzę, nie iżby Partykuł zabrało, ale dla [illegible] mnie, bo mówiłam mu przedtem, że bardzo lubię przyjmować Komunię w Partykule całej i dużej, choć wiem dobrze, że to wszystko jedno, i że Pan pod każdą najmniejszą cząsteczką cały jest obecny. Wtedy Pan, jakoby stwierdzając że tak jest, rzekł do mnie: — „Nie bój się, córko, nikt nie zdoła odłączyć cię ode mnie.“ Potem ukazał mi się w widzeniu umysłowem, jak to nieraz czyni, w najgłębszem wnętrzu duszy mojej, i podając mi rękę prawą, rzekł: — „Obacz ten gwoździ jest to znak, że od dnia dzisiejszego będziesz oblubienicą moją. Dotychczas na to nie zasługiwałaś, ale odtąd będziesz bronić czci mojej, nie tylko jako Stworzyciela i Króla, i Boga twojego, ale jako prawdziwa oblubienica moja. Cześć moja będzie czcią twoją, i cześć twoja czcią moją.“ — Łaska ta takie potężne wywarła na mnie wrażenie, że jakoby nie mogłam zmieścić się w sobie, i jak nieprzytomna rzekłam Panu: —Panie, albo rozszerz nędzne serce moje, albo nie dawaj mi takiej łaski, której wiem pewno, że nie zdoła unieść niskie przyrodzenie moje. Cały ten dzień pozosta-

[1]) Klasztor Wcielenia.

łam tak na wskróś przenikniona Bogiem. Wielką potem z tego widzenia korzyść odniosłam, ale większe jeszcze zawstydzenie i smutek, że w niczem się Panu nie odsługuję za tak wielkie łaski.

Innego dnia Pan rzekł do mnie: — „Czy sądzisz, córko, że zasługa polega na opływaniu w pociechy? Nie polega ona na niczem innem, jedno na pracy, cierpieniu i miłości. Nie znajdziesz nigdzie, by Paweł św. używał onych roskoszy niebieskich więcej niż jeden raz; ale znajdziesz, że cierpiał wiele razy. Przypatrz się życiu mojemu, iż pełne było cierpienia; znajdziesz w niem tylko jednę chwilę roskoszy, gdym się przemienił na górze Tabor. Nie sądź, gdy widzisz Matkę moję piastującą mię na ręku, by ta najsłodsza Jej pociecha była bez srogiej katuszy; w samejże chwili, gdy Symeon rzekł do Niej prorocze słowa swoje, Ojciec mój oświecił Ją, i ukazał Jej, jak wielkie męki ucierpię. Wielcy oni Święci, którzy mieszkali na puszczy, pod wodzą Ducha Bożego, który nimi kierował, surowej oddawali się pokucie, ciężkie przytem staczając walki z czartem i z samymi sobą, i długi czas nieraz zostawali bez żadnej pociechy duchownej. Wierzaj, córko, że kogo Ojciec mój więcej miłuje, temu większe daje cierpienia, i miara tych cierpień jest miarą miłości. Czemże więc tobie mogę lepiej okazać miłość moję, jedno gdy dla ciebie chcę tego, czegom chciał sam dla siebie? Przypatrz się tym ranom moim: do tego stopnia bole twoje nigdy nie dojdą. Ta jest droga prawdy. Gdy to zrozumiesz, wtedy wspólnie ze mną będziesz opłakiwała zgubę, jaką na siebie sprowadzają niewolnicy świata, których wszystkie pragnienia, i starania, i myśli, skierowane są do celu wprost przeciwnego, do używania wczasów i roskoszy.“ — Gdym tego dnia zaczynała rozmyślanie, taki miałam silny ból głowy, że zdawało mi się rzeczą niepodobną bym mogła się modlić. A Pan rzekł do mnie: — „Z tego poznasz, jaka jest nagroda cierpienia: nie stało ci siły i zdrowia do mówienia ze mną, a oto ja sam przyszedłem do ciebie, na rozmowę z tobą i pocieszenie ciebie.“ Rzecz pewna, że półtorej godziny, albo mało co mniej, pozostałam tak w zebraniu wewnętrznem, bez najmniejszego roztargnienia. Wtedy Pan mówił do mnie słowa wyżej przyto-

czone, i wiele innych; nie wiedziałam sama gdzie jestem, czułam tylko w sobie takie uszczęśliwienie, że go i opisać nie zdołam; potem ze zdziwieniem spostrzegłam, że mój ból głowy znikł bez śladu, a w duszy czułam gorącą żądzę cierpienia. Wówczas także zalecił mi Pan, bym miała w ciągłej pamięci te słowa Jego do Apostołów: „Nie jest sługa nad pana swego“ [1]).

SPRAWOZDANIE IV.

O łaskach, jakie otrzymała od Pana w Salmantyce, w końcu Wielkiego Postu r. 1571 [2]).

Wczoraj cały dzień zostawałam w wielkiem opustoszeniu ducha, nawet przy Komunii, i choć to był dzień Zmartwychwstania Pańskiego, żadnego przecie taka wielka uroczystość nie robiła na mnie wrażenia. Wieczorem, gdy byłam razem z drugiemi, jedna z nich zaśpiewała piosenkę, opiewającą, jakie to gorzkie cierpienie, żyć daleko od Boga. Śpiew ten, odpowiadający ówczesnemu usposobieniu i strapieniu memu, tak silnie na mnie podziałał, że ręce poczęły mi tężeć, i nie było sposobu oprzeć się zachwyceniu. Przekonałam się wówczas, o czem

---

[1]) Jan, 13, 16.

[2]) Sprawozdanie to spisane zostało przez św. Teresę w Salmantyce dla O. Ribery, czy którego innego jej spowiednika. Zawierają się w niem wszystkie, o ile wiadomo, łaski i objawienia, jakich dostąpiła onego r. 1571 w W. Tygodniu i w tygodniu Wielkanocnym, ale opisuje je Święta w porządku odwrotnym: mówi naprzód o oschłości jaką cierpiała w dzień Zmartwychwstania, i o zachwyceniu swojem tegoż dnia wieczorem. Potem opowiada, czego doznała przy Komunii w poniedziałek wielkanocny, i stąd cofa się wstecz do łask, otrzymanych w niedzielę Kwietnią i w następne dni W. Tygodnia, i kończy wzmianką o cierpieniach, przebytych kilka dni przedtem, t. j. w tygodniu Męki Pańskiej. Całe to sprawozdanie stanowi ważne i drogocenne dopełnienie do Życia Świętej. Snać pierwotnie spisane było urywkami na luźnych kartach, których część tylko Br. Ludwik z Leonu miał w ręku, bo niektóre tylko ustępy i to zmienione i skrócone, w *Dodatkach* swoich zamieścił. Ribera i Ypes musieli je widzieć w całości, bo i jeden, i drugi w swej Historyi Św. Teresy wspominają wszystkie łaski i objawienia w tem sprawozdaniu opisane.

jeszcze nie wiedziałam, że podobnie jak dusza wychodzi z siebie i wpada w zachwycenie od wewnętrznego uszczęśliwienia, tak i bardzo wielkie cierpienie wewnętrzne może ją wprawić w podobneż zawieszenie i wyprowadzić ją z siebie. Przez kilka dni poprzednich nie miałam, zdaje mi się, tych wielkich zapałów, jakich zwykłam doznawać, a tego, który przyszedł na mnie obecnie, przyczyna, jak sądzę, jest ta, o której mówię, jeśli to być może. Przedtem ból mój nie był jeszcze dorósł tej miary, by mógł wydobyć się ze mnie, a że to ból nad wyraz nieznośny, a jeszcze byłam przy zmysłach, więc wyrywał mi z piersi głośne jęki i krzyki, od których niezdolną byłam się powstrzymać. Teraz gdy się wzmógł do ostateczności, doszedł do takiego szczytu przebodzenia duszy, i lepiej teraz rozumiem on miecz boleści, który przebódł duszę Najświętszej Panny, bo dotąd, jak mówię, nie miałam pojęcia o tem, co to jest zachwycenie z bólu. Mam od tego przejścia ciało tak stłuczone, że i dziś z wielką trudnością to piszę, i ręce mię bolą jakby ze stawów wyrwane. Za widzeniem powiesz mi Wasza Miłość, czy może być takie zachwycenie z cierpienia, i czy to, co mi się zdaje, zgadza się z prawdą, czy też jestem w błędzie.

Jeszcze i dzisiaj rano byłam w tem udręczeniu, aż na modlitwie przyszło na mnie wielkie zachwycenie, i zdało mi się że Pan, porwawszy do nieba ducha mego, przedstawiał mię Ojcu swemu, mówiąc Mu:— „Oto ta, którą mi dałeś: oddaję ją Tobie;“— a Ojciec, tak czułam, przygarniał mię do siebie. Nie było to widzenie przez wyobraźnię; ale rzecz sama zupełnie była wyraźna i pewna, a tak wysoko duchowna, że żaden opis jej nie określi. Ojciec, gdy tak byłam blizko przy Nim, mówił mi słowa, których nie pamiętam; niektóre z nich były o łaskach, jakie mi miał uczynić. Trwało to dość długą chwilę, że mię tak trzymał przy sobie.

Wczoraj, gdy Wasza Miłość odszedłeś tak prędko, widząc że nie możesz pozostać przy mnie, nawet dla pocieszenia mnie, gdy pociechy potrzebuję, bo ważniejsze snać i potrzebniejsze, jakie masz zajęcia, nie pozwalają ci na to, byś tracił czas ze mną, miałam przykrość z tego i zasmuciłam się na chwilę. Czułam że rozmowa z Waszą Miłością, w tem wewnętrznem,

o którem mówiłam, opustoszeniu mojem, byłaby mię pokrzepiła; z drugiej strony jednak, będąc wolną, jak mi się zdaje, od wszelkiego przywiązania do jakiegobądź stworzenia na świecie, zaniepokoiłam się nieco tem mojem pragnieniem pociechy od ciebie, z obawy, czy nie jest to znak umniejszenia się we mnie tej swobody wewnętrznej. Było to wczoraj wieczorem, a dziś Pan raczył mi odpowiedzieć na wątpliwość moję, i rzekł do mnie: — „Nie dziwuj się temu, córko: podobnie jak ludzie w tem śmiertelnem życiu pragną towarzystwa drugich, dla podzielenia się z nimi ziemskiemi pociechami swemi, tak i dusza pragnie mieć kogo, coby ją rozumiał, i komuby mogła udzielić radości swoich czy cierpień, i smuci się, gdy nie znajduje takiego.“ — Rzekł mi jeszcze: — „Teraz dobrze jest z tobą, i przyjemne mi są uczynki twoje.“ — Gdy zaś tym razem dłuższą chwilę ze mną pozostawał, przyszło mi na myśl, że przedtem jakoby skarżyłam się Waszej Miłości na krótkotrwałość tych widzeń; a Pan powiedział mi na to: — „Jest różnica między takiem widzeniem, a tem co dusza widzi za pomocą wyobraźni. W łaskach, jakich wam użyczam, nie masz stałego prawidła, i być nie może, bo w różny sposób ich użyczam wedle potrzeby, raz tak, a drugi raz inaczej.“

Po Komunii, uczułam najwyraźniej Pana przy mnie stojącego; począł mię pocieszać słowy najczulszej miłości; między innemi, powiedział mi: — „Oto mię masz, córko; jestem przy tobie, ja sam; pokaż ręce twoje.“ — I uczułam, że bierze je w ręce swoje, i do boku swego przykłada; po czem rzekł: — „Obacz rany moje; nie jesteś bezemnie; krótkość życia tego przemija.“ — Z niektórych rzeczy, które mi powiedział, zrozumiałam, że od chwili Wniebowstąpienia swego, nigdy już inaczej nie zstąpił na tę ziemię, ani siebie nikomu nie udzielił, jedno w Najświętszym Sakramencie. Objawił mi jeszcze, jako w pierwszej zaraz chwili Zmartwychwstania swego ukazał się swej Matce Najświętszej, bo już prawie upadała pod nawałem męczeństwa swego; i duszę miała tak na wskróś mieczem boleści przebodzoną, że nawet ujrzawszy już Jego zmartwychwstałego, nie od razu mogła przyjść do siebie, i tą radością się cieszyć. Zrozumiałam z tego przez porównanie, jakie to było

ono moje przebodzenie, jakże różne od tego! i jaka musiała być niezmierzona boleść tej Panny Najświętszej, kiedy już ta moja wydała mi się tak wielką. Dodał jeszcze Pan, że długo naonczas pozostał z Matką swoją, bo potrzeba było tego, aby Ją zupełnie pocieszył.

W niedzielę Kwietnią, po przyjęciu Komunii, takie na mnie przyszło zawieszenie ducha, że nawet nie byłam zdolna przełknąć Najświętszy Sakrament. Trzymając go jeszcze w ustach, gdy po chwili nieco przyszłam do siebie, miałam to uczucie, że usta moje pełne są krwi, i twarz moja i ja cała zlana krwią, ciepłą jeszcze, jak gdyby dopiero co wypłynęła z ran Zbawiciela. Uczułam z tego słodkość niewypowiedzianą, a Pan rzekł do mnie: — „Córko, chcę byś doznała na sobie błogich skutków krwi mojej, i nigdy nie wątpiła o miłosierdziu mojem. Ja ją wylałem wśród męki najsroższej, a ty jej używasz z wielką roskoszą, jak widzisz; tak ci się hojnie odpłacam za pociechę, jaką ty mi w tym dniu sprawiasz.“ — Pociechą swoją raczył Pan nazwać to, że od lat przeszło trzydziestu stale, o ile to było w mojej możności, w ten dzień niedzieli Kwietniej przystępowałam do Komunii, i starałam się jaknajlepiej przygotować duszę moję na przyjęcie i ugoszczenie Pana; bo wielką to zawsze wydawało mi się ze strony Żydów nieludzkością, że takie uroczyste uczyniwszy Mu, gdy wjeżdżał do Jerozolimy, przyjęcie, potem Go puścili samego, i kazali Mu tak daleko, aż w Betanii, szukać sobie pożywienia; i wyobrażałam sobie, że Pan wszedłszy do duszy mojej, u mnie sobie odpocznie, choć w bardzo lichej, jak teraz widzę, gospodzie. Takie to tworzyłam sobie myśli dziecinne, a Pan snać raczył łaskawie je przyjąć, bo widzenie to, którem mi za nie odpłacił, jest jedno z tych, których jestem najpewniejsza; przedziwną też ono było mi nadał pomocą do przygotowania się do Komunii.

Przed tą niedzielą, w tygodniu Męki Pańskiej, przez trzy dni, jeśli dobrze pamiętam, miałam on ból wielki, jaki mi, czasem silniejszy czasem słabszy, sprawia to, że żyć muszę daleko od Boga. Tym razem był on bardzo silny, i zdawało mi się już, że nie wytrzymam. Skołatana i wymęczona tem wewnętrznem cierpieniem, spostrzegłam wreszcie że już późno i pora na

wieczerzę, ale z powodu torsyi jeść nie mogłam. Czując jednak wielkie wycieńczenie, z powodu długiego przedtem niejedzenia, wielki sobie gwałt zadałam i położyłam chleb przed sobą, chcąc zmusić siebie do spożycia go. Wtem ukazał mi się Chrystus Pan, i widziałam jako sam łamie mi chleb, i po kęsku kładzie mi w usta, mówiąc: — „Jedz, córko, i znoś jak możesz; żal mi ciebie że tak cierpisz, ale na teraz tak potrzeba dla dobra twego.“ — Ból mój natychmiast ustał, i pociecha wróciła do duszy, bo najprawdziwiej czułam wówczas, i jeszcze cały dzień następny, że On jest zemną, i tak żądza i tęsknota moja uspokoiła się do czasu. Zwłaszcza to słowo Jego: „Żal mi ciebie“, tak mię pokrzepiło; bo żaden ból, sądzę, już mię boleć nie może, kiedy wiem że On mię żałuje.

SPRAWOZDANIE V.

OBJAWIENIA I NAUKI O RZECZACH DUCHOWNYCH.

O obawie i wątpliwości, czy się jest w stanie łaski.

— „Czego się dręczysz, niebożę? Czy nie jestem już Bogiem twoim? Nie widzisz, jak tam mną poniewierają? Czemuż więc, jeśli mię kochasz, nie bolejesz nademną? Córko, bardzo jest różna światłość od ciemności. Ja jestem wierny; żaden nie ginie nieświadomie, tak by nie wiedział o tem, że sam siebie gubi. Błądzi i łudzi siebie, kto bezpieczność swoję pokłada w pociechach duchownych; prawdziwa bezpieczność, to świadectwo dobrego sumienia. Ale niechaj nikt nie sądzi, by zdołał sam z siebie mieszkać w światłości; nie jest to w mocy niczyjej, tak samo jak w porządku natury, nikt nie jest mocen zatrzymać noc, aby nie przyszła w porze swojej. Zależy to jedynie od łaski mojej. Najlepszy sposób, by dusza zatrzymała w sobie światłość, polega na tem, by dobrze zrozumiała, że nic nie może uczynić sama z siebie, że światłość przychodzi jej odemnie; bo jakkolwiekby już była w światłości, skoro ja się od niej

oddalę, natychmiast nastaje noc. Ta jest prawdziwa pokora, gdy dusza pozna, co może sama z siebie, a co mogę ja. Nie zaniechaj spisać tych przestróg które ci daję, aby ci nie wyszły z pamięci. Lubisz mieć na piśmie rady i nauki, które odbierasz od ludzi; czemuż więc miałoby ci się wydawać stratą czasu, zapisywanie tych, które słyszysz odemnie? Przyjdzie czas, że wszystkie one będą ci potrzebne."

Jako Pan dał mi zrozumieć, co to jest zjednoczenie [1]).

— „Nie sądź, córko, by sama już bliskość przy mnie stanowiła zjednoczenie; blisko, bardzo blisko jestem i przy tych, którzy mię obrażają, choć oni zemną być nie chcą. Ani pociechy nawet i słodkości zjednoczenia, choćby w stopniu bardzo wysokim, choćby z czystego daru mego, nie są jeszcze zjednoczeniem; nieraz są one raczej środkiem tylko do pozyskania duszy, takiej nawet, która nie jest w stanie łaski."—W chwili gdy słyszałam te słowa, zostawałam w bardzo wysokiem podniesieniu ducha. Dał mi Pan zrozumieć, co to jest zjednoczenie duchem, i jaki wówczas jest stan duszy, i jak się mają rozumieć te słowa: „Wielbi dusza moja", i „rozradował się duch mój"; dano mi również zrozumieć, że „duch jest wyższym i przełożonym nad wolą."

Wracając do kwestyi zjednoczenia, zrozumiałam, że jest to stan czysto duchowny, wyniesiony nad wszystkie rzeczy tej ziemi, nie mający już w sobie żadnej najmniejszej cząsteczki, którąby chciała wyjść z pod władania woli Bożej; tak iż człowiek w tym stanie jednym się staje duchem i jedną wolą z Bogiem, zgodny z Nim we wszystkiem, próżny siebie a wszystek pełny Boga, bez żadnego śladu miłości własnej, lub przywiązania do jakiejbądź rzeczy stworzonej. Lecz jeśli na tem, myślałam w sobie, zasadza się zjednoczenie, tedyć, skoro dusza moja zawsze jest w tem usposobieniu wyrzeczenia się wszystkiego

[1]) Ciekawy ten ustęp, jak się okazuje z zakończenia, był spisany na żądanie spowiednika jakoby konsultacya w kwestyi modlitwy zjednoczenia. W braku daty i wszelkich w samym tekście wskazówek, trudno określić, kiedy i do kogo pisany był ten urywek.

dla Boga, tem samem możnaby powiedzieć, że zawsze jest w stanie zjednoczenia; a przecie rzecz pewna i niezaprzeczona, że stan ten może być tylko chwilowym, i bardzo krótko trwa. Przyszłam zatem do wniosku, że jakkolwiek żyjąc sprawiedliwie, i mnożąc przez to zasługi i duchowne zyski swoje, dusza pomnaża się w złączeniu z Bogiem, nie można przecie powiedzieć by tem samem już była w tym stanie zjednoczenia, jakiego dostępuje się tylko w kontemplacyi. I jakby na stwierdzenie tego wniosku mego, zdało mi się że słyszę w sobie taką mowę wewnętrzną, choć bez wyraźnych słów: „że tyle jest pyłu przylegającego do nędzy naszej, i tyle niedostatków i frasunków, w które wciąż na nowo się wikłamy, iż niepodobna byśmy w tym stanie zachowali w sobie tę czystość zupełną, jaką ma duch, gdy złączy się z duchem Bożym, i wyjdzie z siebie i wysoko się wzniesie nad tę nędzę nędz naszych.“ I zdaje mi się także, że skoro zjednoczenie zasadza się na takiem zupełnem zgodzeniu i złączeniu woli i ducha naszego z duchem Bożym, więc też niepodobna by je mógł osięgnąć, kto nie jest w stanie łaski, choć utrzymywano mi przeciwnie. Ostatecznie sądzę, że będzie to zawsze bardzo trudno, bez szczególnej łaski Bożej, poznać kiedy mianowicie jest istotne „zjednoczenie“, bo kto jest w tym stanie, sam stanu swego nie rozumie.

Napisz mi Wasza Miłość swoje zdanie, i powiedz jeśli tu powiedziałam co nie do rzeczy, a kartę tę odeślij mi na powrót.

Wyczytawszy w którejś książce, że trzymanie u siebie wyobrażeń misternie wyrabianych nie jest rzeczą zgodną z doskonałością, a mając właśnie w celi swojej takie wyobrażenie, miałam już zamiar je usunąć. Przedtem już, nim jeszcze natrafiłam na tę książkę, zdawało mi się, że ubóstwo nie pozwala jedno na proste obrazki papierowe; tembardziej więc wyczytawszy ono zdanie, postanowiłam innych w klasztorze nie dopuszczać. Wtem, w chwili, kiedy zupełnie o tem nie myślałam, usłyszałam od Pana te słowa: — „Nie dobre jest takie umartwienie. Bo powiedz, co lepsze: czy ubóstwo, czy miłość? Skoro więc lepsza jest miłość, nie pozbawiaj siebie, ani zakonnicom twoim nie odbieraj tego, co pomaga do wzbudzenia w sobie miłości. Książka, którą czytałaś, mówi tylko o bogatych rzeźbach

i innych wytwornych ozdobach wyobrażeń, nie zaś o samych wyobrażeniach. Tej zdrady właśnie dyabeł dokazał na lutrach, że im odjął wszelkie środki i sposoby pobudzenia siebie do większej pobożności, i tak idą na zatracenie. Wierni moi, córko, teraz więcej niż kiedybądź powinni się starać o to, aby czynili wprost przeciwnie temu, co tamci czynią.“—Oznajmił mi przytem Pan, jako wielki mam obowiązek gorliwie służyć Najświętszej Pannie i św. Józefowi, bo Im to zawdzięczam, że wiele razy gdy byłam już bliską odrzucenia, Bóg, Ich prośbami ubłagany, nawrócił mię na drogę zbawienia.

Nazajutrz po św. Mateuszu, już po onem widzeniu, w którem dano mi było oglądać Trójcę Świętą, i stan duszy żyjącej w łasce, będąc jak zwykle zachwycona na modlitwie, dostąpiłam bardzo jasnego poznania tejże tajemnicy i wyraźnego, w pewien sposób i za pomocą porównań, widzenia jej przez wyobraźnię. Wrażenie poprzedniego, jakie mi było kilkakrotnie użyczone, widzenia jej umysłowego, po kilku dniach osłabło, i nie pozostawiło we mnie tak dokładnego, jak je dzisiaj mam, poznania tej prawdy, iż mogę ją sobie jasno w myśli przedstawić. I widzę teraz, że co w tem widzeniu oglądałam, to nieraz przedtem słyszałam od uczonych i teologów, w takiż sam sposób wykładane, tylko że nie rozumiałam tego, co mi mówili, jak teraz rozumiem, choć zawsze bez wahania w to wierzyłam, bo pokus przeciw wierze nigdy nie miałam.

W ciemnocie grubo zmysłowych pojęć naszych, zdarza się, że wyobrażamy sobie trzy Osoby Trójcy Świętej, jak je nieraz przedstawiają na obrazach, złączone w jednę osobę, podobnie jakby odmalować człowieka o jednem ciele, a trzech twarzach; a ponieważ wyobrażenie takie nam jest wstrętnem, i samo przez się przedstawia się jako rzecz niemożliwa, więc nie śmiemy dłużej nad tem się zastanawiać, bo umysł, zbity z tropu, lęka się by w końcu o samej prawdzie nie zwątpił, i tak pozbawia siebie wielkiego zysku, jakiby mógł odnieść z głębszego tej prawdy rozważania.

To co mnie się ukazało, były to trzy Osoby odrębne, z których każda ma własną postać i własną mowę swoję. Potem jeszcze, na lepsze stwierdzenie tej odrębności Osób, sta-

nęło mi na myśli, jako jedna tylko Osoba Syna przyjęła ciało ludzkie. Trzy te Osoby miłują się wzajemnie; i wzajemnie się jedna drugiej udzielają, i wzajemnie znają siebie. Lecz jeśli każda ma własną odrębność swoję, jakim więc sposobem możemy mówić i wierzyć, że wszystkie trzy jednąż są istnością, co przecie jest prawdą wysoką i wielką bardzo, za którą gotowa jestem tysiąc razy umrzeć? Takim sposobem, że we wszystkich trzech Osobach jedna jest wola, i jednaż wszechmoc, i jednaż władza najwyższa. Tak iż żadna z nich nic nie może uczynić bez drugiej, i wszystkich ile ich jest na świecie stworzeń, jeden jest Stworzyciel. Czy mógłby Syn stworzyć jednę mrówkę bez Ojca? Nie, bo jedna jest Ich obu moc, i tak samoż i Ducha Świętego: tak iż jeden jedyny jest Bóg, wszystek wszechmogący, i wszystkie trzy Osoby jednymże są Majestatem. Czy mógłby kto miłować Ojca, nie miłując zarazem Syna i Ducha Świętego? Nie, bo kto przyjemnym jest jednej z trzech Osób, przyjemnym jest wszystkim trzem i podobnież, kto obraża jednę, obraża wszystkie trzy. Czy może Ojciec być bez Syna i bez Ducha Świętego? Nie, bo jedna jest istność Boska, i gdzie jest jedna Osoba, tam są wszystkie trzy, i rozdzielone być nie mogą. Jakim więc sposobem widzimy jednak trzy Osoby odrębne, i jakim sposobem ciało ludzkie przyjął tylko Syn, a nie Ojciec, ani Duch Święty? Tego już nie rozumiem, niech to tłómaczą teologowie. To tylko wiem, że w tem dziele tak cudownem działali wszyscy Trzej, i dalej się w to nie zagłębiam; na samym wstępie myśl moja na tem się zatrzymuje, iż wiem, że jest to Bóg wszystek wszechmogący i że tak chciał, a więc i mocen był uczynić, jak chciał; i im lepiej to rozumiem, tem mocniej w to wierzę, i tem głębszą dla Niego czuję cześć i nabożeństwo. Niech będzie błogosławiony na wieki. Amen.

Gdyby mi Pan nie był uczynił tych łask, które mi uczynił, nie sądzę bym się była zdobyła na odwagę podjęcia tych dzieł, których się dokonało, ani na siłę potrzebną do zniesienia tych utrapień, i przeciwieństw, i sądów, jakie się wycierpiało. I tak, od chwili, jak się wszczęły fundacye, znikły dawne obawy i strachy moje, czy nie jestem oszukiwaną przez ducha złego, i zupełnej nabrałam pewności, że to co się dzieje we mnie,

jest sprawą Boga, i tę pewność mając, ochotnie się porywałam na rzeczy trudne, choć zawsze radząc się i słuchając kogo należało; z czego wnoszę, że jako spodobało się Panu wzbudzić początki tego zakonu, i mnie w miłosierdziu swojem użyć ku temu za narzędzie, tak też Boski Majestat Jego wziął na siebie dopełnienie tego, czego mi nie dostawało, to jest wszystkiego, aby to co postanowił, przyszło do skutku, i aby tem jaśniej w takiej nędznej istocie okazała się wielmożność Jego.

Antyoch, skutkiem mnóstwa grzechów których był pełny, taką z siebie złą woń wydawał, że nie mógł znieść sam siebie, ani otaczający go przy nim wytrzymać nie mogli.

Spowiedź jest na to, aby wyznawać na niej winy swoje i grzechy, a nie cnoty swoje i łaski otrzymywane na modlitwie, chyba tylko takiemu, któremu podobne rzeczy bezpiecznie powierzać można. Nad tem niech czuwa przeorysza, a siostra w danym razie niech jej wyzna potrzebę swoję, a przełożona osądzi, jak należy postąpić; bo, jak mówi Kassyan, ten kto nie jest świadomy tych rzeczy duchownych, podobny jest do człowieka, który nigdy nie widział tego ani słyszał o tem, że są ludzie, którzy pływać umieją; zaczem, gdy ujrzy kogo zanurzającego się w rzece, sądzi że koniecznie musi utonąć.

Jako Pan sam tego chciał, by Józef opowiedział braciom widzenie swoje, i by to widzenie nie pozostało w ukryciu, chociażby objawienie jego tyle miało kosztować Józefa, ile go w rzeczy samej kosztowało.

Jako strach mimowolny, którego doznaje dusza w chwili, gdy Bóg raczy jej uczynić jaką łaskę nadzwyczajną, jest skutkiem czci głębokiej, jaką nas przenika zetknięcie się z duchem, jak tego mamy przykład na onych czterech [1]) starcach, o których mówi Pismo.

Jako pozorna ta sprzeczność, że władze wewnętrzne, choć w czasie zachwycenia pozostają w zawieszeniu, zdolne są jednak w tymże czasie przedstawiać duszy tę lub ową rzecz, aby

---

[1]) Zapewne Święta chciała powiedzieć „dwudziestu i czterech.“ Wyraźnie tu miała na myśli ustęp Księgi Objawienia, gdzie jest mowa o czworgu zwierząt symbolicznych, otaczających stolicę Bożą, i o dwudziestu i czterech starszych, upadających na twarz przed siedzącym na stolicy (Obj. 4, 6—10).

ją poleciła Bogu, może się tak rozumieć, że nie władze same czynią to przedstawienie, ale może anioł jaki, jak on o którym mówi Pismo, że stoi z kadzielnicą przed stolicą Bożą, i ofiaruje Panu modlitwy świętych [1]).

Jako nie masz grzechu bez świadomości, dla tego i Pan nie dopuścił onemu królowi zgrzeszyć z żoną Abrahama, bo ją poczytywał za siostrę, a nie za żonę jego [2]).

SPRAWOZDANIE VI.

O ślubie posłuszeństwa, który uczyniła Ojcu Gracyan, r. 1575.

Roku 1575, w miesiącu kwietniu, w czasie pobytu mego w nowej fundacyi w Veas, trafiło się że przybył tam Mistrz Brat Hieronim od Matki Boskiej Gracyan. Spowiadałam się u niego niejednokrotnie, ale nie w taki sposób, bym się całkiem oddawała pod kierunek i władzę jego, jak to czyniłam ze zwyczajnymi spowiednikami moimi. Któregoś dnia, gdy byłam przy stole, bez żadnego uprzedniego podniesienia ducha, uczułam nagle poczynające się w duszy zawieszenie i zebranie, zapowiadające mi przyjść mające nowe zachwycenie, i z szybkością błyskawicy, jak zwykle, stanęło mi w oczach to widzenie i zjednoczenie z Panem. Ujrzałam tuż przed sobą Pana naszego Jezusa Chrystusa, w takiej samej postaci, w jakiej zwykle mi się ukazuje Boski Majestat Jego, a przy Nim, z prawego boku, stał tenże Mistrz Gracyan. Pan ujął prawą rękę jego i moję, i złączywszy je, rzekł: — „Chcę, abyś tego przyjęła za namiestnika

---

[1]) Obj. 5, 8.

[2]) Ostatnie te cztery ustępy, żadnego między sobą związku nie mające, są to widocznie krótkie aforyzmy albo notatki, które Święta dla pamięci sobie zapisywała, albo też może, jakby z formy ich wnosić można, nagłówki przygotowane do zamierzonego dalszego myśli w nich zawartej rozwinięcia. Ustępy te, podobnie jak i poprzednie artykuły tego sprawozdania, w wydaniu Br. Ludwika z Leonu i późniejszych, porozrzucane, to w *Dodatkach*, to w *Urywkach*, to w *Listach*; w rękopisie Awilańskim i Toletańskim znajdują się zamieszczone pod tymże ogólnym tytułem Sprawozdań,—*Relaciones*.

mojego na całe życie; bądźcie zgodni ze sobą we wszystkiem, bo tak potrzeba.“ — Pozostała we mnie zupełna pewność, że widzenie to i zalecenie było od Boga, że je zatem spełnić należy. Ale stawało mi w tem na przeszkodzie wspomnienie na dwóch spowiedników, których długi czas miałam za przewodników, i słuchałam ich, i wiele im zawdzięczam; zwłaszcza jeden z nich, do którego mam wielkie przywiązanie, straszliwy mi w tym razie wstręt i trudność czynił. Z tem wszystkiem jednak, nie mogąc żadną miarą przypuścić tej myśli, by widzenie ono było złudzeniem, bo z nadzwyczajną na mnie siłą podziałało, i bardzo głębokie pozostawiło mi wrażenie, tem bardziej, że potem jeszcze dwa razy Pan przemówił do mnie wyraźnemi słowy, abym się nie bała, i że On tego chce: widząc zatem wyraźnie, że taka jest wola Pańska, zdobyłam się wreszcie na postanowienie spełnienia jej, i oddania się w posłuszeństwo wskazanego mi przewodnika aż do końca życia mego, czego nigdy z żadnym z poprzednich nie czyniłam, choć miałam do czynienia z wielu mężami wysokiej nauki i świętości, i z wielką troskliwością zajmującymi się duszą moją, ale mi nigdy na myśl nie przyszło, uczynić rzecz podobną, i związać się z którym niezmiennie i na zawsze; raczej z pomiędzy wielu wybierałam sobie na spowiednika tego, który rozumiałam że będzie dla mnie odpowiednim, i że ja również nie będę dla niego ciężarem.

Skoro się zdobyłam na to postanowienie, taki uczułam w sobie pokój i taką ulgę wewnętrzną, że sama sobie się dziwiłam, i nowe w tem uznałam upewnienie, że Pan tego chce; bo takiego pokoju i takiej pociechy nie sądzę by dyabeł mógł sprawić w duszy; stąd też, ile razy na to wspomnę, wielbię Pana, i przychodzą mi na myśl te słowa Psalmu: — „Posuit fines tuos pacem, — uczynił granice twoje pokój“ [1]), — i radabym cała wyniszczyć siebie w wychwalaniu Boga.

Może w miesiąc po uczynieniu tego postanowienia, w drugi dzień Zesłania Ducha Świętego, gdym bawiła w Sewilli dla fundacyi tamecznej, wysłuchałyśmy Mszy świętej w pustelni w Ecija,

---

[1]) Ps. 147.

i tamże pozostałyśmy na odpoczynek południowy. Towarzyszki moje modliły się w pustelni, ja zaś usunęłam się na samotność do przyległej zakrystyi. Stanęła mi tam na myśli wielka łaska, jaką mi był uczynił Duch Święty w takiż dzień uroczysty, w wigilję święta, i powstało we mnie wielkie pragnienie oddania Jemu jakiej bardzo znacznej usługi, a nie mogłam znaleźć takiej rzeczy, którejbym nie miała uczynionej, albo przynajmniej postanowionej, bo uczynek każdy zawsze musi być niedoskonały i odpowiedni nędzy mojej; aż przyszło mi na myśl, że choć uczyniłam już ślub posłuszeństwa, mogę go przecie uczynić jeszcze w sposób doskonalszy, i że przyjemną Jemu będzie ze mnie ofiarą, gdy poślubię to, co już byłam zamierzyła, to jest, że będę posłuszną Ojcu Mistrzowi Hieronimowi. Z jednej strony zdawało mi się, że nic przez to nie uczynię wielkiego, skoro już przedtem byłam postanowiła to uczynić; ale z drugiej strony, niezmierną w tem przykrość i trudność czułam, ze względu na to, że czyniąc ślub przełożonemu, nie otwiera się przed nim duszy swojej; że przełożeni się zmieniają, i że gdy z jednym niedobrze, nastaje drugi; że wreszcie mam siebie, jak mi się zdawało, na całe życie pozbawić wszelkiej swobody, i zewnętrznej, i wewnętrznej: wszystko to udręczało mię niewypowiedzianie, i wzniecało we mnie pokusę, bym tego nie czyniła. A przytem, samże ten opór, który czułam w woli, głęboko mię zawstydzał: że oto, gdy zdarza się sposobność uczynienia czegoś dla Boga, ja się od tego uchylam, że służba Jego, wymagająca takiego postanowienia, wydaje mi się rzeczą przykrą i twardą. Słowem, trudność ta taką mi mękę sprawiała, że nie pamiętam bym w życiu mojem jaką uczyniła z siebie ofiarę, nawet gdy składałam professyę, przy którejbym taką ciężkość czuła i rozdarcie wewnętrzne, z wyjątkiem onej chwili, kiedy opuszczałam dom ojcowski, dla wstąpienia do klasztoru. I ciężkość ta była powodem, że wyszedł mi z pamięci Ten, którego miłuję, i udział, jaki On ma w zamiarze moim, owszem wówczas przedstawiał mi się jakby obcy,—co mię potem mocno przeraziło;—tylko bojaźń wielką czułam ciągle, czy się nie przeniewierzam służbie Bożej. Natura, nie lubiąca skrępowania, a kochająca się w swobodzie, musiała zrobić swoje; choć ja tej

swobody od wielu lat już nie używam, i za nią nie tęsknię. Ale ślubem zrzec się jej nieodwołalnie, to zdawało mi się rzecz inna, jak i jest w istocie. Wreszcie, po długiej i ciężkiej walce wewnętrznej, Pan raczył mię natchnąć ufnością wielką: powiedziałam sobie, że ofiara ta, im mi jest cięższą, tem będzie lepszą; że ślub ten uczynię na cześć i dla miłości Ducha Świętego i tem samem jakoby zobowiążę Go, aby oświecał tego Ojca, by on mógł mnie oświecać; a przytem przypomniało mi się, że Pan sam mi go przeznaczył za przewodnika. Upadłam więc na kolana i przyrzekłam, że całe życie moje będę czyniła cokolwiek mi rozkaże, aby przez to oddać cześć i służbę Duchowi Świętemu, byleby w rozkazach jego nie było nic przeciwnego Bogu, albo z ujmą dla przełożonych, względem których większe mam zobowiązania. Zastrzegłam sobie, że ślub ten nie będzie się rozciągał do rzeczy mniejszej wagi, gdybym naprzykład z naleganiem chciała takiej rzeczy, i nie zważając na decyzyę jego bym jej zaniechała, potem na nowo o nią się upominała; ani do łask i pociech moich wewnętrznych, ani do rzeczy obojętnych, czyniących się bez zastanowienia. Nakoniec co do uchybień, i grzechów moich, i wewnętrznego usposobienia mego, przyrzekłam, że nic przed nim nie ukryję świadomie, co jest więcej niż to, co zwykle zachowuje się w stosunku do przełożonych, i że wewnętrznie zarówno jak i zewnętrznie, będę go miała za namiestnika Boga samego. Nie wiem czy tak było istotnie, ale po złożeniu tego ślubu zdawało mi się, że wielką rzecz uczyniłam na cześć Ducha Świętego; uczyniłam przynajmniej wszystko co umiałam i mogłam, choć to bardzo mało w porównaniu z tem, co Jemu jestem winna.

Dziękuję Bogu, że stworzył człowieka, na którego w zupełności zdać się mogę; bo mam tę ufność najmocniejszą, że w Boskiej łaskawości swojej będzie mu dla mnie wielkich łask użyczał; a ja wielkie mam wesele i uszczęśliwienie wewnętrzne, iż całkiem, rzec mogę, uwolniłam się od samej siebie, i gdzie obawiałam się, że znajdę ucisk i skrępowanie, tam przeciwnie nabyłam nierównie większej wolności. Niech będą Panu dzięki i chwała za wszystko.

SPRAWOZDANIE VII.

Napisane roku 1575 dla O. Rodryka Alvarez, Towarzystwa Jezusowego. Wymienia w niem spowiedników, którym w różnych czasach powierzała sumienie i duchowne sprawy swoje, i opowiada główne zdarzenia zakonnego życia swego.

Zakonnica, która to pisze, przyjęła habit lat temu czterdzieści; od pierwszego roku powołania swego poczęła rozmyślać o Męce Chrystusa Pana, rozważając po kolei tajemnice jej, po kilka razy dziennie, i zastanawiając się przytem nad grzechami swemi; o rzeczach któreby wychodziły nad zwykły porządek przyrodzony, nigdy nie myślała; zapatrywała się tylko na stworzenia, albo na takie rzeczy, które jej przypominały, jak prędko wszystko się kończy, a w stworzeniach upatrywała wielmożności Boga, i miłość nieskończoną jaką On nas miłuje.

Miłość ta daleko gorętszą wzniecała w niej żądzę służenia Jemu, niż bojaźń, którą się nigdy nie powodowała; pobudka taka zupełnie nie przypadała do jej usposobienia; zawsze tylko wielkie miała pragnienie, aby Bóg był uwielbiony od wszystkich, i aby mnożyła się chwała Jego. Do tego celu zmierzały wszystkie jej modlitwy; dla siebie o nic nie prosiła, bo w zamian za jedno, choćby w najmniejszej rzeczy, pomnożenie chwały Bożej, małą jej się wydawało rzeczą znosić wszystkie męki czyśćowe.

W takim stanie przeżyła około dwudziestu i dwóch lat, wielkie wciąż cierpiąc oschłości; a nigdy jej ani w myśli nie postało, pragnąć czego więcej; bo za taką poczytywała siebie, że i pomyśleć o Bogu nie warta, i że wielką Pan w Boskiej dobroci swojej czyni jej łaskę, cierpiąc ją w obecności swojej na modlitwie, albo na jakiem pobożnem czytaniu.

Będzie temu jakoby ośmnaście lat, na dwa albo trzy lata, — zdaje mi się, że trzy, — przed podjęciem sprawy pierwszego klasztoru karmelitek Bosych, który założyła w Awili, jak zaczęło się jej zdawać, że słyszy nieraz kogoś wewnętrznie do niej mówiącego, i że widzi pewne widzenia i objawienia, wewnętrznie, oczyma duszy, — bo oczyma ciała nigdy nic nie

widziała, ani nic nie słyszała uszami; dwa razy zdawało jej się że słyszy zewnętrznie jakieś mowy z ust niewidomych pochodzące, ale obadwa razy nic nie zrozumiała. Obrazy, jakie jej się w tych widzeniach wewnętrznych przedstawiały, po największej części przemijały szybko jak błyskawica; ale tak głębokie i trwałe pozostawiały po sobie wrażenie, i tak wielkie, owszem i większe, sprawiały w niej skutki, jak gdyby je była oglądała oczyma cielesnemi.

Pisząca tak nadmiernie lękliwego była naonczas usposobienia, że nieraz i w biały dzień bała się zostawać sama. Nie mogąc zaś, jakkolwiek o to się starała, zapobiedz tym widzeniom i od nich się uchylić, bardzo tem się dręczyła, z obawy czy niema w tem jakiej zdrady dyabelskiej. Poczęła tedy szukać na to rady i pomocy u mężów duchownych z Towarzystwa Jezusowego, między innymi: u O. Araoz, który będąc komisarzem Towarzystwa, bawił jakiś czas w tych stronach; u O. Franciszka, byłego księcia Gandyi, z którym rozmawiała dwa razy; u prowincyała, obecnie powołanego do Rzymu na Assystenta, O. Idziego Gonzalez; także u O. Jana Suarez, obecnie prowincyała w Kastylii, choć z tym mniej miała styczności; dalej, u O. Baltazara Alvarez, obecnie rektora w Salmantyce, który w tym czasie całe sześć lat ją spowiadał; u O. Salazar, obecnie rektora w Cuenza; u O. Santander, rektora w Segowii; u rektora w Burgos, O. Ripalda, który zrazu źle był o niej uprzedzony, dowiedziawszy się o tych rzeczach, dopóki jej potem sam nie wysłuchał; u doktora Pawła Hernandez w Toledzie, konsultora Inkwizycyi; u Ojca który był rektorem w Salmantyce, w czasie gdy u niego się spowiadała; u doktora Gutierez i u innych jeszcze Ojców, po części należących do Towarzystwa, którzy jej się zdawali świadomymi rzeczy duchownych, a do których się udawała, ponieważ znajdowali się w miejscach, w których chwilowo dla fundacyj nowych przebywała.

Z O. Bratem Piotrem z Alkantary, mężem świętym z zakonu franciszkanów Bosych, dużo rozmawiała, i on to głównie przyczynił się do tego, że w końcu uznano, iż działa w niej duch dobry. Przez sześć lat przeszło wystawiano ją na ciężkie

próby, jako o tem szerzej pisała [1]), i jako jeszcze niżej się wspomni: a ona łzami się zalewając i głęboko strapiona, im więcej mnożyło się prób, tem częstsze miewała zawieszenia i zachwycenia, choć bez odchodzenia od zmysłów.

Wiele modlitw zanoszono do Boga, wiele Mszy świętych ofiarowano, aby Pan raczył ją na inną drogę wprowadzić: bo niezmiernie wielka bojaźń ją udręczała, lubo tylko w porach kiedy nie była na modlitwie, i lubo we wszystkiem co się ściąga do wyższego postępu duszy, wielka się w niej okazywała odmiana na lepsze, a przytem ani śladu próżnej chluby, ani nawet pokusy do unoszenia się próżnością lub pychą: owszem raczej wstydziła się tych rzeczy, i rumieniła się na myśl, że ludzie o nich wiedzą; i z wyjątkiem spowiedników, albo takich, którzyby ją oświecić mogli, nigdy z nikim o tych rzeczach nie mówiła: a i przed spowiednikiem przykrzej jej było te przejścia swoje wyznawać, niż gdyby to były ciężkie grzechy, bo zawsze jej się zdawało, że ją wyśmiewać będą, i że poczytają to wszystko za czczą egzaltacyę kobiecą i marne urzonki, jakim podlegają dewotki, a któremi ona zawsze się brzydziła.

Będzie temu może lat trzynaście,—już po założeniu domu św. Józefa, i po jej do tegoż przeniesieniu się z tamtego klasztoru,—przybył do miasta tego biskup, który teraz jest biskupem salmantyceńskim, a przedtem był inkwizytorem, naprzód w Sewilli, a potem, zdaje mi się, w Toledzie. Nazywał się Soto. Ona postarała się o posłuchanie u niego, dla większego uspokojenia swego. Zdała mu sprawę o wszystkiem. On, wysłuchawszy jej, oznajmił, że nie jest to sprawa, któraby należała do jego urzędu inkwizytorskiego, skoro wszystko to, co ona widzi i słyszy, utwierdza ją coraz bardziej w wierze katolickiej, w której zawsze trwała niewzruszona, żywiąc przytem najgorętsze pragnienia chwały Bożej i dobra dusz, dla których, i dla każdej poosobno, tysiąc razy dałaby się zabić.

Widząc ją tak zniękaną, poradził jej by się udała do Mistrza Jana z Awili, męża w rzeczach modlitwy wewnętrznej bardzo doświadczonego: jemu niech opisze wszystko, i cały

[1]) W księdze *Życia*.

przebieg życia swego, niczego nie opuszając, a co on jej odpowie, na tem będzie mogła spokojnie polegać. Usłuchała tej rady, i spisała grzechy i całe życie swoje. Odpowiedź Mistrza była bardzo pocieszająca i uspakajająca. Ono zaś sprawozdanie jej tak było napisane, że wszyscy teologowie, spowiednicy moi, którzy je czytali, znaleźli w niem pełno bardzo pożytecznych uwag o rzeczach duchownych; skutkiem czego zalecili jej, by je dała przepisać, i ułożyła drugą książeczkę [1]), z podobnemi radami i przestrogami dla córek swoich,—bo była przeoryszą.

Z tem wszystkiem jednak od czasu do czasu jeszcze się w niej odzywały dawne jej obawy; nieraz jeszcze przychodziło jej na myśl, że i ludzie wysoko duchowni tak samo mogą się mylić jak ona. Oznajmiła spowiednikowi chęć swoję zasięgnienia zdania najznakomitszych uczonych i teologów, chociażby niebardzo oddanych modlitwie; bo o to jedno tylko jej chodziło, by się upewniła, czy to, co w niej się dzieje, zgadza się z Pismem świętem. Chwilami znowu pociechę i uspokojenie znajdowała w tem przeświadczeniu, że lubo sama dla grzechów swoich zasłużyła na to, by stała się pastwą zmamień złego ducha, przecie być nie może, by Pan tylu ludziom dobrym i cnotliwym, szczerze pragnącym ukazać jej prawdę, dopuszczał błądzić i utwierdzać ją w błędzie.

W tym więc zamiarze gruntowniejszego oświecenia i upewnienia się, poczęła się zwracać do Ojców zakonu chwalebnego św. Dominika, przed którymi już przedtem była się z tych rzeczy spowiadała, to jest nie przed tymi samymi Ojcami, ale przed Ojcami tegoż samego zakonu. Ci zaś, których się potem radziła, byli następujący: O. Brat Wincenty Baron, naonczas konsultor świętego Officyum, który ją półtora roku spowiadał w Toledzie, i przedtem jeszcze przez wiele lat o tych rzeczach z nią traktował. Był to wielki teolog. Uspakajał ją najzupełniej, podobnie jak i Ojcowie Towarzystwa, o których było wyżej. Skoro nie obraża Boga, tak oni mówili jej wszyscy, i skoro uznaje siebie grzeszną, czegożby miała się lękać? Radziła się dalej O. Brata Piotra Ybanez, który był lektorem w Awili:

[1]) Była to książka p. t. *Droga doskonałości.*

O. magistra Brata Dominika Banez, obecnie regensa kollegium św. Grzegorza w Waliadolidzie; spowiadał mię przez sześć lat, i zawsze też, ile razy zdarzyła się potrzeba, znosiłam się z nim listownie; O. magistra Chaves; O. magistra Brata Bartłomieja de Medina, doktora salmantyceńskiego, o którym wiedziała, że z tego, co słyszał o niej, źle był dla niej usposobiony; wnosiła zatem, że on, tak mało ją ważąc, pewniej niż ktobądź inny nie będzie jej oszczędzał, i powie jej, jeśli jest w błędzie. Było to dwa lata temu, albo mało co dawniej. Uprosiła go, by słuchał jej spowiedzi, przez czas jej tam pobytu, zdała mu najdokładniejszą sprawę o wszystkiem, i toż samo, aby lepiej zrozumiał, podała mu na piśmie. Po tem wszystkiem, on także, tak samo i więcej niż drudzy, kazał jej być spokojną, i od tego czasu stał się i pozostał najlepszym jej przyjacielem.

W Waliadolidzie, bawiąc tam jakiś czas dla założenia nowego klasztoru, spowiadała się u Brata Filipa de Meneses, który wówczas był rektorem miejscowego kollegium św. Grzegorza, i przedtem już, usłyszawszy o tych rzeczach, przyjeżdżał do Awili dla rozmówienia się z nią, w tym najżyczliwszym zamiarze, że jeśli się przekona, iż ona jest w błędzie, oświeci ją, a w przeciwnym razie będzie jej bronił przeciwko wszelkim, jakieby na nią posłyszał, szemraniom. Odjechał zupełnie zadowolniony.

W szczególności też zasięgała rady O. Salinas, prowincyała zakonu św. Dominika, męża wysoko duchowego; i drugiego teologa, O. Lunar, który był przeorem u św. Tomasza w Awili, a w Segowii, Brata Diego de Yangües, lektora.

Między tymi Ojcami dominikanami nie zbywało na takich, którzy w wysokim stopniu oddani byli modlitwie bogomyślnej, owszem, prawie wszyscy byli mężami bogomyślnymi. Niekiedy wszakże miała do czynienia i z innymi, do czego w ciągu tylu lat, zwłaszcza gdy z powodu fundacyi tak często zmieniała miejsce, koniecznością, nieraz i ze strachem, była zmuszoną. Przebyło się prób nie mało, bo każdy chciał na swój sposób ją oświecić, i usilnie w nią wmawiał, co był wmówił w siebie. Ona zawsze i niezmiennie pragnęła być posłuszną, cokolwiek jej kazano, zaczem i wielką to dla niej było zgryzotą, gdy

w tych rzeczach nadprzyrodzonych niepodobna jej było którego usłuchać. Modlitwy jej, i modlitwy sióstr w domach przez nią założonych, głównym i najprzedniejszym celem i przedmiotem jest rozszerzenie wiary i wzrost jej zakonu; w tym celu też powzięła myśl założenia pierwszego swego klasztoru.

Tym, którzy w widzeniach jej upatrywali sprawę ducha złego, odpowiadała, że gdyby które z tych widzeń nakłaniało ją do rzeczy przeciwnych wierze katolickiej i przykazaniom Boskim, nie potrzebowałaby szukać i zasięgać zdania uczonych, ani w dalsze próby się wdawać, ale sama widziałaby odrazu, że to sprawa dyabelska. Nigdy niczego nie uczyniła, opierając się na tem jedynie, co jej było objawionem na modlitwie; owszem, jeśli kiedy spowiednicy kazali jej uczynić rzecz tym objawieniom przeciwną, bez żadnej ciężkości spełniała ten rozkaz, i zawsze im zdawała sprawę z wszystkiego. Nigdy, choćby ją upewniano, że tak jest, nie miała tak stanowczego przekonania i wiary w to, że widzenia jej są od Boga, iżby gotowa była przysiądz na to, chociaż ze skutków i wielkich łask, jakich w niektórych rzeczach stąd doznawała, wnosiła, że działa w niej duch dobry; ale zawsze wyżej nad wszystko, pragnęła postępu w cnotach; i toż samo zaleca zakonnicom swoim, powtarzając im często, że kto będzie głębiej pokornym i umartwionym, ten będzie wyżej duchowym.

Wszystko to, co tu powiedziane i napisane, podała na piśmie O. magistrowi Bratu Dominikowi Banez, mieszkającemu w Waliadolidzie, z którym najdłużej się znosiła, i dotąd się znosi. O. Banez przedstawił jej pismo świętemu officyum w Madrycie, jak ją o tem uprzedzał. We wszystkiem poddaje się wierze katolickiej i Kościołowi Rzymskiemu. Nikt jej tych widzeń nie poczytał za winę, bo są to rzeczy wyższe nad możność człowieka, a rzeczy niepodobnych Pan od nas nie żąda.

Że te jej sprawy wewnętrzne takiego nabrały rozgłosu, poszło to stąd, że ona, będąc w ciągłej obawie, radziła się kogo mogła, a ci znowu powiadali to drugim; przyczyniła się do tego i zła przygoda, jaka się zdarzyła z jej pismem. Było to dla niej nad wyraz dotkliwem udręczeniem i krzyżem, i kosztowało ją wiele łez: nie przez pokorę, z pewnością, ale z powodu jaki wyżej

wymieniła. Snać dopuścił to Pan na utrapienie jej: bo choć który zrazu gorzej się o niej odzywał niż drudzy, wkrótce potem i taki tem bardziej ją chwalił.

Bardzo się wystrzegała poddania się pod kierunek takich, o których wiedziała albo domyślała się, że bezwarunkowo uznają wewnętrzne przejścia jej za działanie ducha Bożego: zaraz jej przychodziła obawa, że może ich oboje, i ją, i tak przychylnie o niej sądzącego, dyabeł w pole wyprowadza. Ochotniej powierzała duszę swoję takiemu, który okazywał wahanie się i niepewność w tym względzie; choć przytem jednak przykro jej było, gdy który, dla wystawienia jej na próbę, zupełne dla tych rzeczy objawiał lekceważenie, bo z pewnych względów rzeczy te miały w jej oczach wyraźną cechę pochodzenia od Boga, i dla tego, jak trudno jej było zupełną dać wiarę tym, którzy je bezwarunkowo uznawali za objawienia Boże, tak również nierada była gdy kto, za rozpatrzeniem sprawy, tak stanowczo je odrzucał. Tak, dobrze rozumiejąc że w tych widzeniach może być złudzenie, zawsze się obawiała możliwego niebezpieczeństwa, i nigdy się zupełnie upewnić nie mogła.

Starała się z wszystkiej możności swojej nigdy niczem nie obrazić Boga, i zawsze we wszystkiem być posłuszną: pod tą dwojaką obroną, ufała, że chociażby te rzeczy były sprawą złego ducha, przecie przy pomocy Boskiej będzie od zdrad jego bezpieczną.

Od czasu jak zaczęła otrzymywać te objawy nadprzyrodzone, duch jej zawsze się skłaniał do szukania rzeczy doskonalszych: miała przytem wielką, prawie ustawiczną żądzę cierpienia. W prześladowaniach, — a przebyła ich wiele, — znajdowała dla siebie pociechę, szczególną czując w sobie miłość ku tym, którzy ją prześladowali, i gorące pragnienie ubóstwa i samotności, i wyzwolenia z tego wygnania, a oglądania Boga. Takie, i inne tym podobne widząc w sobie skutki, poczęła się uspakajać, bo zdawało jej się, że duch który takie cnoty w niej sprawia, chyba nie może być złym: podobnież i ci, którzy mieli pieczę o jej duszy, w tem mniemaniu ją utwierdzali, nie w tym zamiarze by zarzuciła wszelką bojaźń, ale aby miała ulgę w wielkiem strapieniu swojem.

Nigdy duch jej nie podawał jej tej myśli, by miała zataić cokolwiekbądź; zawsze ją pobudzał do tego, by była posłuszną we wszystkiem. Oczyma ciała, jak już powiedziano, nigdy nic nie widziała; widzenia jej tak były czysto duchowe i tak nieuchwytne, że nieraz w początkach zdawały jej się urojeniem; czasem znowu przypuszczenie to zdawało jej się niepodobnem. Widzenia te nie były objawem ustawicznym; najczęściej przychodziły jej w chwili jakiej potrzeby, jak naprzykład jednego razu, gdy przez kilka dni z rzędu cierpiała nieznośne męki wewnętrzne i znękanie duszy, pochodzące z obawy, czy nie jest pod mocą złudy dyabelskiej, jak o tem szeroko napisano we wspomnianem wyżej opowiadaniu: bo tak jawne były jej grzechy, że musiały tam znaleźć miejsce obok innych rzeczy, a ona, gdy je opisywała, tak była pod wrażeniem strachu, który ją przenikał, że pominęła wszelki wzgląd na sławę swoję i dobre o niej mniemanie ludzi.

W tym stanie udręczenia, tak wielkiego, że nie masz wyrazu na określenie jego, od jednego we wnętrzu swojem usłyszenia tych słów: — „Jam jest, nie bój się“, taki do duszy jej wrócił pokój, i odwaga, i ufność, że sama pojąć nie mogła, skąd takie wielkie dobro jej przyszło: pewno że żaden spowiednik, ani żaden teolog, ani cała gromada uczonych z wielką obfitością słów i dowodzeń, nie zdołaliby sprawić w niej tego pokoju i tego uciszenia, jakie od tego jednego słowa w jednej chwili w nią wstąpiły. Podobnież i w wielu innych zdarzeniach widzenia takie umacniały ją; gdyby nie to, nie byłaby żadną miarą wytrzymała tak srogich utrapień i przeciwieństw, a przytem i chorób, których wycierpiała bez liku, i dotąd cierpi, choć w mniejszym stopniu; bo nie masz u niej dnia bez jakiego, w tym lub owym rodzaju, cierpienia. Bywają one większe lub mniejsze; ale zawsze stanem jej zwykłym są ciągłe boleści, przy innych wielu niemocach, które, gdy wstąpiła do klasztoru, srożej jeszcze niż przedtem ją nękały: oby w czemkolwiek były Panu na chwałę. Łaski, jakie Pan jej czyni, prędko jej wychodzą z pamięci: choć wspomina na nie, i często, nigdy jednak nie zdoła dłużej się nad niemi zatrzymać, jak się zatrzymuje nad grzechami swemi, które zawsze ją dręczą, i prawie bez przerwy stoją jej w oczach, jak błoto cuchnące.

Pokusy do próżnej chluby nigdy nie doświadcza, zapewne w skutek tego, że tyle nagrzeszyła, i tak mało Bogu służyła. Nigdy w duchu jej nie postała myśl, którąby nie była całkiem skromna i czysta: aniby, jak jej się zdaje, gdzie jest duch dobry i łask nadprzyrodzonych używa, myśl taka postać nie mogła; bo duch wtedy zupełnie o ciało nie dba, i pamięć o niem traci, będąc wszystek pełny Boga.

Z tem wszystkiem, nigdy jej nie opuszcza głęboka bojaźń Pana Boga naszego, by Go w czem nie obraziła, by w każdem zdarzeniu czyniła wolę Jego: o to Go błaga ustawicznie. I takie jest w niej, jeśli się nie myli, stanowcze postanowienie, nie odstąpienia w niczem od woli Bożej, i ochotna gotowość do spełnienia jej we wszystkiem, że nie masz rzeczy tak trudnej, skoro tylko spowiednik, kierujący jej duszą, upewni ją, że doskonalej przez nią może usłużyć Panu, którejby się nie podjęła i za łaską Jego nie wykonała. I ufna w Boską łaskawość Jego, iż nie opuszcza tych, którzy się ochotną wolą poświęcą na służbę i chwałę Jego, tak zupełnie, w porównaniu z tym celem najwyższym, pomija wszelki wzgląd na samę siebie i na własny pożytek swój, jak gdyby nie czekała jej żadna od Pana nagroda; tak przynajmniej jej się zdaje, o ile zdoła zrozumieć samę siebie, i o ile rozumieją jej spowiednicy.

Co tu spisała na tej karcie, wszystko to jest czystą prawdą, jak to stwierdzić mogą samiż jej spowiednicy, i wszyscy inni, ilu ich, od dwudziestu lat aż do tej chwili zajmowało się jej duszą. Prawie ustawicznie czuła się pobudzaną w duchu do wysławiania Pana, i chciałaby żeby wszystek świat poznał Go i chwalił, choćby miała to okupić najcięższą z samej siebie ofiarą. Stąd rodzi się w niej żądza zbawienia dusz: a widząc jaka jest nędza wszystkich rzeczy tego świata, i jaka jest bez żadnego porównania wyższa cena rzeczy wewnętrznych, przyszła tem samem do wzgardzenia światem, i wszystkiem co wraz z światem przemija.

Co do sposobu jej widzeń, o który Wasza Miłość zapytujesz, jest on taki, że nic się nie widzi, ani zewnętrznie ani wewnętrznie, bo nie jest to widzenie przez wyobraźnię: ale choć się nie widzi, rozumie się jednak i czuje co jest i skąd po-

chodzi, i to nierównie jaśniej niż gdyby się na oczy widziało; tylko nie przedstawia się tu żaden przedmiot poszczególny. Jest to tak, jak gdybyś, przypuśćmy, w ciemnym pokoju czuł kogo przy tobie stojącego: nie widzisz go, bo ciemno, ale wiesz z pewnością i czujesz obecność jego; tylko że porównananie to nie zupełnie odpowiada rzeczy, bo w przypuszczeniu powyższem, choć dla ciemności nie widzisz tej osoby, możesz przecie inną drogą, tem że słyszysz szmer, albo że ją przedtem widziałeś i znasz, nabrać przekonania o obecności jej; tu zaś nic nie masz podobnego, ale bez żadnego słowa, zewnętrznego czy wewnętrznego, dusza czuje i poznaje z zupełną jasnością, kto przy niej jest i z której strony jest, nieraz i rozumie, co tak obecny chce jej oznajmić. Skąd i jakim sposobem to rozumie, tego nie wie; ale wie, że tak jest, i póki zjawienie trwa, nie wiedzieć o niem nie może. Gdy zaś przejdzie, już go, choćby najusilniej o to się starała, takiem jakiem było, wznowić w sobie nie zdoła bo każde takie wznowienie będzie tylko tworem wyobraźni a nie duchowem rzeczy samej przedstawieniem, które nie jest w jej mocy, podobnie jak wszelkie inne rzeczy nadprzyrodzone. Stąd też, komu Bóg czyni takie łaski, ten nie może nie mieć siebie za nic, i głębiej jeszcze niż przedtem będzie się upokarzał; bo jasno widzi, że jest to rzecz czysto darowana, której ani wywołać, ani gdy przyjdzie uchylić się od niej, nie jest w jego mocy. Zaczem rodzi się w nim tem gorętsza miłość i pragnienie służenia Panu tak możnemu, który mocen jest czynić rzeczy takie, jakich my tu na ziemi ani pojąć nie zdołamy, i jakich żaden umysł, choćby najgłębszego teologa, nie dosięgnie. Niech będzie błogosławiony Ten, od którego są te dary, amen, na wieki wieczne.

SPRAWOZDANIE VIII.

Do tegoż O. Rodryka Alvarez.

JEZUS.

Wewnętrzne te rzeczy duchowe, z uwagi zwłaszcza na krótkotrwałość i szybkie przemijanie ich, tak są trudne do wypowiedzenia, a jeszcze trudniejsze do wyrażenia ich w sposób dla drugich zrozumiały, że jeśli posłuszeństwo nie przyjdzie mi w pomoc, to moje pisanie wyda się bredzeniem, zwłaszcza gdy mam mówić o rzeczach tak zawiłych i trudnych. Ale mniejsza o to, choćbym i bredziła, boć rzecz wiadoma, że nieraz już insze i większe brednie słyszałeś odemnie. O tem tylko błagam, byś Wasza Miłość pamiętał, że w tem wszystkiem co tu napiszę, nie mam zgoła zamiaru poczytywać i podawać zdanie moje za niewątpliwe i pewne, bo może być, że nie rozumiem tych rzeczy; ale to mogę twierdzić z wszelką pewnością, że niczego tu nie powiem, czegobym nieraz i często w samej sobie nie doświadczyła. Czy to rzeczy dobre czy złe, Wasza Miłość to osądzi, i mnie sąd swój oznajmi.

Sądzę, że będzie to Waszej Miłości po myśli, gdy od razu zacznę mówić o rzeczach nadprzyrodzonych, od pierwszego ich początku; bo dary duchowne, jakie sami przy pomocy Pańskiej osiągnąć możemy, jako to: uczucia pobożne, słodkie rozrzewnienia, łzy i rozmyślania, są to rzeczy wiadome.

Pierwszy jaki uczułam w sobie objaw modlitwy, jak mi się zdaje, nadprzyrodzonej,—nadprzyrodzonemi zowię tu takie stany i usposobienia wewnętrzne, których sami żadną pracą ani pilnością, jakkolwiekbyśmy się o to starali, osiągnąć nie zdołamy, choć do osiągnięcia ich przysposobić się możemy i powinniśmy, bo wiele, jak sądzę, na tem przysposobieniu zależy: —jest to pewne, jakie dusza czuje w sobie, *zebranie* wewnętrzne. W tym stanie przybywają duszy jakoby inne zmysły własne, podobne do tych zmysłów zewnętrznych, ale od nich odrębne, i za pomocą tych zmysłów wewnętrznych, dusza, rzekłbyś, usiłuje uchylić się od gwaru onych zewnętrznych; nieraz

nawet unosi je nad siebie, i chciałaby zamknąć oczy i uszy, aby niczego nie widziały i nie słyszały, i nie rozumiały, jedno to czem ona w tej chwili jest zajęta, to jest, aby mogła sama rozmawiać z Bogiem samym. Żaden tu zmysł ani władza przyrodzona nie gubią się; wszystkie pozostają czynne, ale na to, aby się napełniały w Bogu. Komu Pan użyczył łaski tego zebrania wewnętrznego, ten łatwo zrozumie co mówię; kto tego daru sam nie zakosztował, ten go i nie zrozumie, albo przynajmniej wiele będzie potrzeba słów i porównań, aby mu to wytłómaczyć.

Z tego zebrania rodzi się niekiedy pewne *uciszenie* wewnętrzne i pokój bardzo słodki; duszy w tym stanie zdaje się, że niczego już jej nie dostawa; samo nawet mówienie, to jest modlitwa ustna i rozmyślanie, ją męczy; chciałaby tylko miłować; trwa to pewien czas, nieraz i dłuższy.

Z tego rodzaju modlitwy wynika zwykle pewne, jak je zowią *uśpienie* władz; nie są one wówczas tak pochłonięte, ani tak zawieszone, iżby mogło się to zwać zachwyceniem; nie jest to także zupełne zjednoczenie.

Niekiedy, owszem i często, dusza czuje, że sama tylko wola jest zjednoczona; czuje się to bardzo jasno: jasno, mówię, o ile rzecz się tak przedstawia. Cała jest pełna Boga, i widzi dusza zupełną dla niej niemożność zatrzymania się nad jakimbądź innym przedmiotem, lub działania czegobądź innego. Drugie dwie władze tymczasem zupełną zachowują swobodę do zajęć i prac około służby Bożej: słowem idą tu ręka w rękę Marta z Maryą. Pytałam Ojca Franciszka, czy nie jest to złudzenie, bo byłam tem zdumiona; ale on mię upewnił, że to się zdarza często.

Zupełnie co innego, gdy wszystkie władze pogrążone są w *zjednoczeniu*. Niczego wówczas działać nie mogą. Rozum staje jakby przerażony. Wola miłuje raczej niż rozumie; ale ani tego że miłuje, ani co czyni, sama nie rozumie, tak iżby zdołała w słowach to wyrazić. Co do pamięci, ile mnie się zdaje, zgoła jej nie masz, ani myśli żadnej, ani zmysły wówczas nie działają, jakby zupełnie odeszły, aby dusza tem hojniej mogła się napawać tem, w czem roskoszuje; tak przynajmniej mnie się

zdaje, że na tę chwilę zmysły zupełnie się gubią; ale przemija to prędko. Po skarbach pokory i innych cnót, i świętych żądz, jakie w duszy pozostają, poznaje się, jak wielkie dobro z tą łaską jej przyszło: ale jak i co to jest, tego wyrazić niepodobna, bo jakkolwiekby dusza usiłowała zrozumieć, nie zdoła tego ani pojąć ani wypowiedzieć. Ta łaska, jeśli jest prawdziwą, zdaniem mojem, jest największą z wszystkich, jakie Pan czyni duszy na tej drodze duchowej: przynajmniej z pomiędzy wielkich, ta jest największą.

Zachwycenie a *zawieszenie*, jest to, jak sędzę, jedno i to samo, tylko że ja zwykle zowię to zawieszeniem, nie chcąc używać wyrazu zachwycenie, który ma w sobie coś przerażającego. Zawieszeniem prawdziwie zwać się może i to zjednoczenie, o którem była mowa. Różnica między niem a zachwyceniem na tem polega, że to ostatnie dłużej trwa, i więcej daje się czuć zewnętrznie: wstrzymuje oddech, mowę odbiera, oczu otworzyć nie pozwala. Wszystko to wprawdzie bywa i w zjednoczeniu, ale tu objawia się to z większą siłą. Ciepło przyrodzone nie wiem jak i dokąd uchodzi, i gdy zachwycenie jest wielkie, ręce stygną jakby zmrożone, niekiedy sztywnieją i wyprężają się jak patyki, i całe ciało pozostaje nieruchome w takiej postawie, stojącej czy klęczącej, w jakiej zostało pochwycone. Dusza w taką opływa roskosz z oglądania tego, co Pan jej ukazuje, że zapomina już, rzekłbyś, ożywiać ciało i porzuca je jakby martwe. W nerwach tylko, gdy stan ten się przedłuży, pozostaje uczucie bólu.

W tym stanie, rzec można, Pan raczy dawać duszy większe zrozumienie tego czem się cieszy, niż w zjednoczeniu, najczęściej też, w jednej chwili, odkrywają się przed nią jakie tajemnice Boskiego Majestatu Jego; a skutki potem pozostają w niej wielkie, i zapomnienie o samej sobie, i żądza gorąca, by taki wielki Bóg i Pan poznany był i uwielbiany od wszystkich. Prawdziwe, od Boga, zachwycenie nie może, jak sądzę, nie pozostawić po sobie w duszy wielkiego i jasnego poznania, jako sama z siebie w niczem się do otrzymania takiej łaski przyczynić nie mogła, i jaka jest nędza jej i niewdzięczność, że nie służyła Temu, który z samej tylko dobroci swojej tak

wielkie łaski jej czyni, bo roskosz i słodkość tak tu bez żadnego porównania przewyższa wszystko, cokolwiek może być przyjemnego na tej ziemi, że gdyby pamięć żywa tych roskoszy potem się w niej nie zacierała, wszelkie pociechy ziemskie byłyby dla niej nieustającem obrzydzeniem; i tak dochodzi do wzgardzenia wszystkiemi rzeczami tego świata.

Między zachwyceniem a *porwaniem* taka jest różnica, że w zachwyceniu dusza stopniowo umiera dla tych rzeczy zewnętrznych, tracąc zmysły i żyjąc tylko Bogu. Porwanie zaś przychodzi z szybkością błyskawicy, od jednego objawienia, jakie Pan w Boskiej wielmożności swojej da do najgłębszego wnętrza jej, i w jednej chwili porywa ją, rzekłbyś nad samę siebie, jak gdyby już wyszła z ciała. Potrzeba tu w pierwszych początkach niemałej odwagi, na takie zupełne oddanie się w ręce Boga, aby ją zaniósł dokąd zechce; bo nim ją Boski Majestat Jego umieści w pokoju tam gdzie postanowił ją podnieść, -podnieść mówię, na to, aby oglądała i poznała rzeczy wysokie, — rzecz pewna, że trzeba naprzód aby miała mocno postanowiony umysł i gotowość umrzeć dla Niego; bo biedna dusza nic nie wie, co to będzie, i co się z nią stanie; tak, mówię, bywa z początku. Cnoty po tej łasce pozostają w duszy, ile rozumiem, dzielniejsze: gorętsze żądze, jaśniejsze, z głębszą bojaźnią i żarliwszą miłością, poznanie potęgi tego Boga wielkiego, kiedy tak, nie pozostawiając jej żadnej władzy nad sobą, porywa duszę, właśnie jako najwyższy Pan i władca jej; i czuje dusza w sobie wielki żal, iż obraziła taki wielki Majestat, i zdziwienie, jak to być mogło, by śmiała Go obrazić, i wielką bardzo troskę o to, by nikt Go już nigdy nie obrażał, ale by wszyscy wielbili Go i chwalili. Z tego snać źródła, jak sądzę, płyną wielkie one nieugaszone pragnienia zbawienia dusz, i przyczynienia się w czemkolwiek do ich zbawienia, aby Bóg miał tę chwałę, której jest godzien.

Wzlot ducha, jest to coś, — nie wiem jak to nazwać, — wznoszącego się wzgórę z najgłębszego wnętrza duszy. Na objaśnienie tego, jedno tu tylko przypomina mi się porównanie, które zamieściłam w książce wiadomej Waszej Miłości [1]), gdzie

[1]) W księdze *Życia*. r. 20 i 21.

jest obszerne opisanie wszystkich tych rodzajów modlitwy i innych jeszcze rzeczy; ale taką mam pamięć, że wszystko zaraz zapominam. Dusza i duch, zdaje mi się, jest to jedno i toż samo; tylko że, podobnie jak ogień, gdy jest wielki, i wiele doń drew narzucono, aby mocno płonął, tak i dusza, gdy od zjednoczenia z Bogiem nakształt wielkiego ognia się zapali, wypuszcza z siebie płomień i wzgórę się unosi, chociaż przytem pozostaje na ziemi, jak on ogień, który, choć płomień z niego w górę się wzbija, przecie paląc się na dole, zawsze jest ogniem. W taki sposób, zdaje mi się, dusza wydaje z siebie coś tak rączego i tak misternego, co wzbija się w strefy górne, i idzie kędy Pan chce; jest to coś podobnego do wzlotu; dokładniej tego określić niepodobna, i nie wiem, jakiem innem porównaniem mogłabym to objaśnić: to tylko wiem, że rzecz sama daje się czuć bardzo wyraźnie, i nie jej powstrzymać nie zdoła.

Duch, jak biedna uwięziona ptaszyna, wyzwolił się, rzekłbyś, z nędzy tej znikomości, i z więzienia tego ciała, i już nie krępowany więzami jego, swobodnie może hojniej się napawać tem, co Pan mu daje. Jest to rzecz tak wytworna i droga, co tu poznaje i czuje dusza, że niepodobna jej przypuścić, by mogło być w tem, jak i w ogóle w którejbądź z tych rzeczy, jakie złudzenie. Dopiero gdy mnią te roskosze, za każdym razem powstawały w niej obawy, ze względu na taką wielką niegodność tej, która te dary otrzymuje, i zdawało jej się że wszelki ma powód do obawiania się wszystkiego; chociaż w głębi duszy czuła zawsze niejaką bezpieczność i dobrą otuchę, ale tyle tylko, iżby mogła z tem żyć, nie tyle, by kiedy zaniechała pilności i czuwania, aby nie uledz jakiemu oszukaniu.

Pędem ducha zowię pewne pożądanie, które nieraz nagle, owszem najczęściej ustawicznie, bez uprzedniej modlitwy, powstaje w duszy, na samo wspomnienie o tem, że żyje jeszcze daleko od Boga, albo za samem usłyszeniem jakiego słowa, które się do tego oddalenia odnosi. Taka jest potęga tego wspomnienia, i z taką nieraz działa siłą, że w jednej chwili dusza jakoby odchodzi od siebie. Jako gdy kto znienacka otrzyma jaką bardzo bolesną wiadomość o nieszczęściu jakiego się nie spodziewał, albo gdy go jaki strach nagły przerazi, i od

tego przerażenia czy zmartwienia myśl mu, rzekłbyś, i rozum ustaje, i niepocieszony, cały pozostaje jakby pogrążony w znękaniu swojem: tak tu jest i z duszą, tylko że tego znękania i bólu jej przyczyna jest taka, iż widzi i czuje że dobrze byłoby dla niej umrzeć. Rzekłbyś, że wszystko, co dusza w takiej chwili widzi i rozumie, jest tylko na zwiększenie cierpienia jej, i że Pan sam tak chce i zrządza, by wszystka istność jej do niczego więcej nie była zdolną, by nawet nie mogła pokrzepić się pamięcią na to, że Jego to wola, by jeszcze żyła; czuje wkoło siebie takie osamotnienie i wyzucie z wszystkiego, jakiego żadne słowa nie zdołają wyrazić; bo wszystek świat i wszystkie rzeczy jego sprawują jej cierpienie, i żadna rzecz stworzona do niej nie przystaje; samego tylko pragnie dusza Stworzyciela i do posiadania Jego tęskni, a to widzi że jest rzeczą niepodobną, aż dopiero gdy umrze; a że sama sobie śmierci zadać nie może, więc umiera z tego że nie umiera, tak dalece, że prawdziwie wprawia ją to w stan grożący śmiercią; i tak widzi siebie jakby zawieszoną między niebem a ziemią, i sama nie wie, co począć z sobą. A Bóg od czasu do czasu objawia jej promyk istności swojej, aby lepiej widziała, co traci na tem rozłączeniu z Nim, i to jej sprawuje ból tak dziwnie srogi, jakiemu żaden wyraz nie dorówna; bo nie masz takiego bólu na tej ziemi, z tych przynajmniej jakie ja wycierpiałam, któryby z tym mógł iść w porównanie; od półgodziny tylko takiego bólu, wszystko ciało pozostaje stargane, i nogi jakby ze stawów wyrwane, i ręce tak niesłychanie zbolałe, że i pióra utrzymać nie zdołają.

Tego wszystkiego nie czuje dusza, aż gdy przeminie on zapał. Dopóki on trwa, dość jej tego cierpienia, które znosi wewnętrznie, i pod wpływem jego nie czułaby, sądzę, najcięższych katuszy zewnętrznych. A przytem jednak zachowuje wszystkie zmysły swoje; może mówić, może nawet patrzyć; chodzić tylko nie może, bo ją trzyma powaloną wielki cios miłości. Zapał ten, choćby był tak gwałtowny, iżby człowiek umarł od niego, o tyle tylko przynosi pożytek, o ile Bóg sam go wznieci. Wtedy sprawuje skutki wspaniałe, i wielkim jest zyskiem dla duszy. Uczeni o nim jedni mówią tak, drudzy ina-

czej; żaden go nie potępia. Ojciec magister z Awili pisał mi, że to rzecz dobra i święta; toż samo mówią wszyscy, a dusza dobrze czuje, że jest to wielka łaska od Pana. Ale gdyby to bardzo często się powtarzało, nie na długo starczyłoby życia.

Zwyczajnie zapał ten w takiej się formie objawia, że onej żądzy oglądania Boga towarzyszy wielkie rozrzewnienie i obfitość łez, i tęsknota za wyzwoleniem z tego wygnania; ale że przytem dusza zachowuje swobodę myśli, i zdolna jest zastanowić się nad tem, że taka jest wola Pańska, aby jeszcze żyła, więc tem się pociesza, i ofiaruje Jemu tę konieczność zostania jeszcze przy życiu, błagając Go, by ono było jedynie na chwałę Jego, i tak ona żałość jej przechodzi.

Inny jeszcze bardzo zwyczajny sposób modlitwy duchowej, jest to pewnego rodzaju *przeszycie:* dusza wówczas prawdziwie czuje, jak gdyby jej kto strzałą serce, albo ją całą na wskróś przeszywał. Ból z tego tak wielki, że nie może się powstrzymać od jęku, a przytem jednak tak słodki, że chciałaby iżby nigdy nie ustał. Ból ten nie jest w zmysłach, i rana ona nic nie ma w sobie materyalnego; dusza czuje go duchowo we wnętrzu swojem, bez żadnego objawu bólu na ciele; ale że są to rzeczy których niepodobna objaśnić inaczej, jedno za pomocą porównań, dla tego używam tu tych grubych tłómaczeń, prawdziwie grubych w porównaniu z tem, co one tłómaczyć mają; ale inszym sposobem wyrazić tego nie potrafię. Z tego właśnie powodu uważam, że nie są to rzeczy przydatne do opisów czy opowiadań; kto tego sam nie doświadczył, ten niepodobna by zrozumiał, skąd pochodzi i gdzie się mieści ten ból; bo cierpienia duchowe bardzo są różne od tych cierpień ziemskich. I tem sobie tłómaczę, jak to dusze w czyścu i w piekle więcej cierpią, niż my tu na ziemi przez porównanie z temi cierpieniami cielesnemi pojąć i przedstawić sobie zdołamy.

Czasem znowu zdaje się że ta *rana miłości* pochodzi z samegoż najgłębszego wnętrza duszy. Skutki z niej wielkie. Zranienia tego, jeśli Bóg go nie da, własnem, choćby najusilniejszem staraniem wywołać niepodobna, jak również zgoła niepodobna uchylić się od niego, gdy spodoba się Panu je zadać. Jest to pewien rodzaj tęsknoty do Boga, tak żywej i głęboko

duchowej, że nie masz wyrazu na opisanie jej; a widząc, że skrępowana ciałem, nie może, tak jakby chciała, cieszyć się Bogiem, dusza wielkie czuje do tego ciała obrzydzenie; widzi w niem jakby mur przegrody, stający jej na drodze do używania tego, czem, jak to wówczas zdaje jej się że rozumie, dusza się cieszy sama w sobie, gdy ciało nie staje jej na przeszkodzie. Stąd także widzi, jak wielką szkodę wyrządził nam grzech Adama, że duszę naszę tej swobody pozbawił.

Ten rodzaj modlitwy miałam pierwej jeszcze nim zaczęły przychodzić na mnie zachwycenia i wielkie one zapały, o których mówiłam. Zapomniałam jeszcze nadmienić, że te wielkie zapały prawie nigdy się nie kończą bez zachwycenia i szczególnego jakiego daru łaskawości Pańskiej, którym Pan duszę pociesza, i dodaje jej odwagi aby żyła dla Niego.

Wszystko to, co się tu powiedziało, nie może być przywidzeniem, dla różnych przyczyn, o których długo byłoby tu mówić; czy są to rzeczy dobre, czy nie, Pan to wie. Skutków ich i postępu w dobrem, jakie one pozostawiają w duszy, jak mnie ze wszech miar się zdaje, niepodobna nie uznać.

Osoby zemną mówiące, widzę jasno że są wyraźnemi osobami, tak jak wczoraj widziałam, że Wasza Miłość rozmawiałeś z Ojcem prowincyałem; tylko że, jak już Waszej Miłości mówiłam, niczego nie widzę ani słyszę; a przecie, choć ani oczy ciała ani oczy duszy tych osób nie widzą, dziwną, zupełną mam pewność, że one są przy mnie, i gdy odejdą, widzę i czuję ich nieobecność. Jak się to dzieje, tego nie wiem, ale to dobrze wiem, że nie jest to urojenie; bo jakkolwiekbym potem usiłowała wyobrazić to sobie na nowo, nie jest to w mojej mocy, choć próbowałam; i tak samo jest z wszystkiem innem, co w tych widzeniach się dzieje, o ile zdołam te rzeczy wyrozumieć; a patrząc na nie od tylu lat, dostatecznie mogłam o tem się przekonać, abym mogła mówić z taką pewnością. Prawda, — i na to niech Wasza Miłość raczy zwrócić uwagę, — że jak co do Osoby, która zawsze sama do mnie mówi, mogę twierdzić, że taką mi się przedstawia, jaką jest, tak co do drugich twierdzić tego nie mogę. Jedna z nich, wiem dobrze, że nigdy przy tem nie była: dla czego, o tem nigdy się nie dowiedziałam, i nigdy

też w to się nie wdaję, bym miała żądać czego więcej nad to, co Bóg mi użyczyć zechce, bo zaraz mi przychodzi na myśl, że mogę przez to dyabłu otworzyć drogę do oszukania mnie; i teraz również nie śmiałabym o to prosić, bo mię zawsze ta sama obawa wstrzymuje.

Pierwszą, zdaje mi się, dała mi niekiedy uczuć obecność swoją; ale nie pamiętając już dokładnie, co i jak to było, twierdzić tego nie śmiem. Wszystko, co tu napisałam, do tego ma służyć, aby Wasza Miłość wiedział, i jak najrzetelniej, jak się to odbywa, choć nie wiem, czy w takich słowach. Lubo Osoby te w taki sposób niewypowiedzianie dziwny oznajmują obecność swoją każda osobno, dusza przecie poznaje to i czuje, że jest to jeden Bóg. Nie pamiętam, bym kiedy słyszała Pana do mnie mówiącego wedle Bóstwa swego; mówi zawsze Człowieczeństwo Jego. I to już z wszelką pewnością twierdzić mogę, że nie jest to urojenie.

Co do wody, o której Wasza Miłość mówisz, nic o niej nie wiem, ani również nie słyszałam, w którem miejscu znajduje się Raj ziemski. Jak już mówiłam, od tego, co Pan mi daje poznać, uchylać się nie jest w mojej mocy, i to poznaję, bo nie mogę inaczej; ale bym sama prosiła Boskiego Majestatu Jego o objawienie mi jakiej tajemnicy, tego nigdy nie uczyniłam, zaraz by mi się zdawało, że to tylko moje przywidzenie, i że zły duch mię wyprowadza w pole. Nigdy, dzięki Bogu, nie miałam tej ciekawości, bym pragnęła dowiedzieć się o rzeczach przede mną zakrytych, i nic o to nie dbam, bym wiedziała co więcej nad to, co wiem. Dość mię już kosztowało utrapienia to, co bez przyczynienia się woli mojej, jak mówię, słyszałam; choć był to, jak sądzę, sposób jakiego Pan, widząc mię taką niecnotliwą, użył dla zbawienia mego, bo dobrym takich nadzwyczajnych pobudek nie potrzeba, aby służyli Boskiemu Majestatowi Jego.

Inny jeszcze rodzaj modlitwy przychodzi mi na pamięć, poprzedzający jeszcze ten pierwszy, o którym mówiłam; jest to także uczucie obecności Boskiej, które zgoła nic nie ma wspólnego z widzeniem, a które każdy, jak sądzę, wyjąwszy chyba w chwilach oschłości, łatwo mieć może, skoro tylko, choćby

tylko modlitwą ustną, pragnie polecić siebie Boskiej łaskawości Jego. Daj Boże, bym z winy mojej nie utraciła tak wielkich łask, i niechaj On raczy mieć miłosierdzie nademną.

SPRAWOZDANIE IX.

O różnych łaskach duchownych, jakie otrzymała w Toledzie i w Awili, w ciągu lat 1576 i 1577.

Pewien mąż duchowny [1]), u którego, przybywszy do tego miasta w którem bawię obecnie, zaczęłam była się spowiadać,

---

[1]) Był to O. Yepes, dominikanin, w tym czasie, t. j. w r. 1576 czy 1577, przeor klasztoru św. Hieronima w Toledzie. W chwili przeniesienia ciała Świętej do Awili, Ojciec ten zeznał, że w czasie jej pobytu w Toledzie, po wiele razy miał zamiar pójść do niej, dla wysłuchania jej spowiedzi, a zawsze ten zamiar jego, sam nie wie jakim sposobem, pozostawał bez skutku, i zawsze jakaś przeszkoda stawała mu na drodze, zmuszając go do odłożenia zamierzonej posługi duchownej. Wtedy O. Gracyan, obecny temu zeznaniu, i świadomy powyższego objawienia Świętej, objaśnił go, że przeszkody one nie były skutkiem przypadkowych okoliczności, ale zrządzeniem Bożem, mającem na celu skłonienie św. Teresy do obrania sobie za przewodnika duchownego Ks. Velasquez, kanonika katedry toledańskiej, później arcybiskupa Santiago, jednego z najuczeńszych i najgorliwszych kościelnych dostojników hiszpańskich w w. XVI. Św. Teresa w r. 30 swej księgi Fundacyi, wielkie mu oddaje pochwały: „Wręczono mi, pisze, list od doktora Velasquez, biskupa Osmy, z którym, gdy jeszcze był kanonikiem i scholastykiem przy katedrze toledańskiej, ja, nie będąc jeszcze zupełnie wolną od obaw moich, postarałam się była zawiązać stosunek duchowny; wiedząc o nim, że jest wielkim teologiem i gorliwym sługą Bożym, prosiłam go z usilnem naleganiem, aby zechciał mieć pieczę o duszy mojej i spowiadać mię. On, choć był obarczony pracą, widząc przecie potrzebę moję, i że go proszę na miłość Pana Jezusa, tak ochotnie przystał na prośbę moję, że aż się zdziwiłam... *Prawda że był do tego inny jeszcze powód, o którym nie tu jest miejsce mówić.*“ Powód ten Święta wymienia właśnie w powyższem sprawozdaniu. Było to w r. 1576. Widać z tego, że św. Teresa spisywała to sprawozdanie w samymże Toledzie, i w chwili spełniania się rzeczy które opisuje. Sposób opisywania tych zdarzeń, i samaż urywkowa krótkość ustępów, zupełnie są te same co w Sprawozdaniu III. I tu prawie każdy ustęp zaczyna się od „gdy“—(*estando*). Może to Sprawozdanie było dalszym ciągiem tamtego.

i który przyjąwszy mię z wielką życzliwością, potem także, gdy podjął się kierunku duszy mojej, takąż mi życzliwość okazywał, niespodzianie usunął się i przestał tu przychodzić. Czując dotkliwie brak jego, pewnego wieczoru, na modlitwie, miałam objawienie wewnętrzne, że Bóg sam wstrzymuje go, aby nie przychodził, ponieważ potrzeba, bym sprawy duszy mojej powierzyła drugiemu w temże mieście kapłanowi. Zmiana ta była mi przykrą, i z obawy, że nowy spowiednik, nie znając mnie, może mnie nie zrozumie i będzie mię niepokoił, i dla tego że lubiłam tamtego, za miłość którą mi wyświadczył, i widok jego i kazania jego, ile razy go słyszałam mówiącego, zawsze mi pociechę duchowną sprawiały; wiedziałam przytem, że ten, do którego miałam się udać, bardzo jest zajęty, zaczem moje narzucanie się jemu tembardziej jeszcze wydawało mi się niewłaściwem. Ale Pan rzekł do mnie: — „Ja to zrządzę, że wysłucha cię i zrozumie. Otwórz się przed nim, a znajdziesz u niego niejaką pomoc w strapieniach twoich.“ — Ostatnie te słowa odnosiły się, jak sądzę, do bólu, jaki wówczas cierpiałam, że muszę żyć daleko od Boga. Jakoż w Boskiej łaskawości swojej, Pan raczył jeszcze dodać te słowa: — „Widzę dobrze cierpienie, które cię udręcza; ale nie może być inaczej, dopóki żyjesz na tem wygnaniu, a wszystko to jest dla większego dobra twego.“ — Słowa te bardzo mię pocieszyły. Stało się jak Pan zapowiedział: kapłan ten znajduje czas i chwile swobodne dla mnie, i zrozumiał mię, i wielką mi przyniósł ulgę. Jest to mąż bardzo uczony i świętobliwy.

W dzień Ofiarowania Matki Boskiej, gdy gorąco bardzo polecając Bogu pewną osobę, dla której pragnęłam jak najwyższego postępu w świętości, uważałam z jednej strony, że nie dobrze byłoby dla niej, mieć dochody własne i swobodę rządzenia się swoją wolą, a z drugiej strony znowu stawało mi na myśli wątłe jej zdrowie, i wielkie pożytki jakie ona sprawuje dla zbawienia dusz, usłyszałam te słowa: — „Prawda, że wiernie ona i gorliwie mi służy; ale wielka to rzecz, iść za mną, wyzuwszy się z wszystkiego, tak jak Ja nagi wstąpiłem na krzyż. Powiedz jej, niech zda się na Mnie.“ — Ta druga wątpliwość moja pochodziła stąd, że przyszło mi wówczas na myśl,

że co do mnie, nie potrafiłabym z takiem słabem zdrowiem, jakie ona ma, zdobyć się na taką wysoką doskonałość.

Gdy razu jednego zajęta byłam myślą o wielkiej przykrości, jaką mi to sprawia, że muszę jeść mięso, a nie mogę czynić pokuty, usłyszałam taką odpowiedź: — „Nieraz w tem pragnieniu pokuty więcej jest miłości własnej, niż istotnego pragnienia."

Raz, gdym się bardzo trapiła myślą, że obraziłam Boga, Pan rzekł do mnie: „Wszystkie grzechy twoje są przedemną jak gdyby nie były; umacniaj się na przyszłość, bo jeszcze nie skończyły się utrapienia twoje."

Jednego dnia, będąc na modlitwie, uczułam duszę moję tak pogrążoną w Bogu, jak gdyby świat już nie istniał, jak gdyby cała była przenikniona Bogiem. Zostało mi tam objawione znaczenie tych słów kantyku *Magnificat:* „Rozradował się duch mój", w sposób taki, że nigdy go zapomnieć nie mogę.

Raz, gdy się zastanawiałam nad zawziętością przeciwników naszych, dążącą do zniesienia tego klasztoru sióstr bosych, i czy mają zamiar powoli rozpędzić je wszystkie, usłyszałam te słowa: — „Zamiar taki mają, ale skutku jego nie ujrzą; owszem, stanie się wręcz przeciwnie."

Gdy jednego razu w głębokiem zebraniu wewnętrznem polecałam Bogu Elizeusza [1]), otrzymałam taką odpowiedź: — „Prawdziwy to syn mój, nigdy go nie zostawię bez pomocy mojej", czy też inne słowo podobne, bo tego ostatniego wyrazu dobrze nie pamiętam.

Jednego dnia, po rozmowie z pewną osobą, która wiele opuściła dla miłości Boga, wspomniawszy na siebie, jako ja nigdy niczego nie opuściłam dla Niego, i w niczem Mu nie służyłam tak jak powinnam, po tylu łaskach, jakie On duszy mojej uczynił, poczęłam bardzo tem się smucić. A Pan rzekł do mnie: — „Wiesz już, jakie między Mną a tobą spełniły się zaślubiny, i tem samem że jesteś Mnie poślubioną, co-

[1]) O Hieronima Gracyan, spowiednika swego. Tak go przezywa Święta w listach swoich, pisanych w czasie prześladowania młodego zakonu karmelitów Bosych, od r. 1576 do 1578.

kolwiek Ja posiadam, Twoje jest; daję ci więc wszystkie męki i boleści jakie wycierpiałem; przez nie możesz prosić Ojca mego, i na nie się powoływać jak na własność twoję.“ — Wiedziałam-ci, bo tak mię uczono, że wszyscy mamy uczestnictwo w zasługach męki Zbawiciela; ale sposób tego uczestnictwa w takiej mi się tu, zupełnie innej, postaci objawił, że miałam to uczucie, jak gdybym otrzymała we władanie wielkie potężne królestwo, bo łaskawości i miłości, z jaką Pan mi uczynił tę łaskę, żadną miarą tu wyrazić nie zdołam. Poznałam w tejże chwili, że Ojciec przyjmuje ten układ, i odtąd zupełnie inaczej zapatruję się na Mękę Pańską, jako na rzecz moję własną, co wielką mi przynosi ulgę i otuchę.

W dzień św. Magdaleny, gdy rozmyślałam nad tem, jaką miłość i przyjaźń winna jestem Panu Jezusowi, stosownie do tego, co On raczył mi powiedzieć o tej Świętej, gdy zatem czułam w sobie gorące pragnienie naśladowania jej przykładu, Pan uczynił mi wielką łaskę, i rzekł do mnie: — „Od tej chwili staraj się i usiłuj, byś mi gorliwiej jeszcze służyła niż dotąd.“ — Wzbudził we mnie pragnienie, bym jeszcze nie tak prędko umarła, abym miała czas poświęcić siebie na spełnienie tego zlecenia Jego, i pozostała we mnie od tego czasu ochotna i stanowcza gotowość do cierpienia.

Jednego razu miałam objawienie, w jaki sposób Pan jest obecny we wszystkich stworzeniach, i w jaki sposób mieszka w duszy; przedstawiło mi się to pod podobieństwem gąbki, która wciąga w siebie wodę.

Gdy wrócili do kraju bracia moi [1]), z jednym z nich [2]), któremu wiele jestem winna, nie mogłam zaniechać widywania się, i rozmawiania z nim o potrzebach duszy i kierunku życia jego. Dla mnie te rozmowy były umęczeniem i przykrością; ofiarowałam ją Panu, w tem przekonaniu, że poddaję się jej z obowiązku; ale przyszło mi na myśl, że w Konstytucyach na-

---

[1]) Wawrzyniec i Piotr, wrócili razem z Ameryki, w sierpniu 1575. (*Listy*, t. IV, list 42. Por. *Życie*, *Dodatek I*, „O rodzeństwie św. Teresy.“)

[2]) Wawrzyńcem, który wróciwszy do Hiszpanii, oddał się pod kierunek duchowny świętej siostry swojej, jak ona o tem w wielu listach swoich z tego czasu wspomina.

szych jest artykuł zalecający nam unikanie stosunków z krewnymi, i byłam w wątpliwości, czy przepis ten w tym razie mię obowiązuje. Na to Pan odpowiedział mi: — „Nie, córko, bo Ustawy wasze o tyle tylko obowiązują, o ile są zgodne z przykazaniem mojem.“ — W rzeczy samej, duch i zamiar onej Konstytucyi do tego zmierza, by się która nie przywiązywała zbytnie do towarzystwa z krewnymi; wemnie zaś, o ile mi się zdaje, przywiązania tego niema, owszem, rozmowa z nimi raczej męczy mię i rozstraja.

W dzień św. Augustyna, po Komunii, w sposób którego określić nie zdołam, — to tylko wiem, że było to widzenie umysłowe, i w jednej chwili przeszło, — dano mi było poznać, i jakby oglądać, jako trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej, których wyobrażenie mam wyryte w duszy, są jednąż istnością. Poznałam to w wyobrażeniu tak dziwnie nadzwyczajnem, i w świetle tak jasnem, że działanie i skutek tego widzenia zupełnie były odmienne od tego, co się poznaje przez wiarę [1]). Od tego czasu nigdy nie mogę pomyśleć o której z trzech Osób, bym ich razem nie widziała w duchu wszystkich trzech. Tak i dziś zastanawiałam się nad tem, jakim sposobem kiedy tak zupełnie są jedno, sam tylko Syn przyjął na się ciało ludzkie. Na to Pan rzekł do mnie te słowa: — „Choć wszystkie trzy są jedno, każda przecie jedna od drugiej jest różną.“ — Są to wielmożności takie, że na wspomnienie o nich znowu powstaje w duszy żądza wyrwania się z tej niewoli, w której ją więzi ciało, aby oglądaniem ich cieszyć się nie mogła. Ale choć widzenie takie w jednej chwili przemija, większą przecie bez porównania korzyść dusza, sama nie wiedząc i nie rozumiejąc jak, z niego odnosi, niż z długich lat rozmyślania.

Dzień Narodzenia Najświętszej Panny Maryi jest dla mnie dniem szczególnego wesela. Za nastaniem tego dnia zdawało mi się, że dobrze będzie ponowić śluby moje, co gdy chciałam uczynić, ukazała mi się Najświętsza Panna w widzeniu oświe-

[1]) Wiarą poznaje się rzeczy niewidome; gdy więc w tem objawieniu Święta „widziała“ ukazaną jej tajemnicę wiary, nie dziw, że widzenie to, jak mówi, działanie i skutek w niej sprawiło odmienny zupełnie od tego, co się poznaje przez wiarę.

często, i wydało mi się że trzyma w swych ręku śluby moje, i że Jej one są przyjemne. Widzenie to pozostało mi przez kilka dni, i wciąż widziałam ją stojącą przy mnie po lewej ręce. Jednego dnia po Komunii miałam to uczucie, że dusza moja prawdziwie staje się jedno z najświętszem Ciałem Pańskiem, którego obecność okazała mi się widomie; mocno to na mnie podziałało, i sprawiło we mnie wielki postęp wewnętrzny.

Jednego razu, gdy dowiedziałam się, że zechcą mnę posłać do pewnego klasztoru[1]) dla zreformowania go, i myślą tą się trapiłam, usłyszałam te słowa: — „Czego się boisz? Cóż tam możesz stracić, jeśli nie życie, które już tyle razy oddałaś mi w ofierze? Ja was wspomogę." Było to na modlitwie, i słowa te w taki sposób były powiedziane, że wielkie w duszy mojej sprawiły uspokojenie i wesele.

Raz czując w sobie pragnienie usłużenia w czem Panu, i wspomniawszy przytem, jaka jest licha i nędzna wszelka służba, którą Mu oddać zdołam, powiedziałam sama w sobie: Na cóż Ty, Panie, żądasz uczynków odemnie? A Pan odpowiedział mi: — „Na to tylko, abyś mi dała dowód dobrej woli twojej."

Jednego razu Pan użyczył mi światła ku poznaniu pewnej rzeczy, której zrozumienie ucieszyło mię; lecz zaraz, czy wkrótce potem, tak mi to wyszło z pamięci, iż żadną miarą nie mogłam natrafić w myśli, co to było; gdy tedy tak siliłam się, aby sobie tę rzecz widzianą przypomnieć, usłyszałam te słowa: — „Wiesz o tem, że niekiedy mówię do ciebie; nie zaniedbuj spisywać co słyszysz, bo choćby stąd nie było pożytku dla ciebie, może być pożytek dla drugich" [2]). A gdy na te słowa zafrasowałam się, że więc może dla grzechów moich drugim przynosząc pożytek, sama zgubię siebie, On rzekł do mnie — „O to się nie bój."

---

[1]) Był to zapewne Klasztor karmelitek trzewiczkowych w Paternie, do którego rzeczywiście w październiku 1575 posłane były, w celu reformy, dwie zakonnice z Sewilli, gdzie w tymże czasie bawiła i Święta.

[2]) Z powyższego ustępu okazuje się powód i cel tych Sprawozdań. Z wyraźnego rozkazu Boga spisywała je sama św. Teresa; łaski jej użyczane, miały bowiem, jak to Bóg sam wskazał, pożytek tym, którzy je czytać będą.

Raz, w zebraniu wewnętrznem, i w tem Boskiem towarzystwie, które zawsze mam w duszy obecne, tak żywo uczułam przytomność Boga w mem wnętrzu, że przyszły mi na myśl słowa św. Piotra: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“, bo i ja wtedy widziałam tego Boga żywego, mieszkającego w duszy mojej. Nie jest to widzenie takie jak inne widzenia, bo polega ono na wierze i z niej bierze moc nieomylną, tak iż wątpić o tem niepodobna, że Trójca Święta obecnością i wszechmocnością, i istnością swoją mieszka w duszach naszych. Jest to prawda, której zrozumienie w sposób dziwnie skuteczny przyczynia się do naszego postępu w dobrem. Na widok takiego ogromnego Majestatu, obecnego w takiem nikczemnem stworzeniu, jakiem jest dusza moja, zdumienie i przerażenie mię ogarnęło; a Pan rzekł do mnie:—„Nie jest nikczemną, córko, dusza twoja, bo uczyniona jest na wyobrażenie moje.“ — Poznałam także wówczas niektóre z przyczyn, dla których Bóg większe ma upodobanie w duszach, niż w drugich stworzeniach swoich; ale są to rzeczy tak nieuchwytne i wysoko duchowe, że choć umysłem pojęłam je od razu, wypowiedzieć ich nie potrafię.

Bolejąc bardzo nad niedolą naszego Ojca [1]), i nie mogąc zmartwienia mego ukoić, pewnego dnia, po Komunii, błagałam Pana, usilnie bardzo powtarzając Mu prośbę, aby, kiedy sam mi go dał, nie dopuszczał także bym pozostała bez niego. Odpowiedział mi Pan: — „Bądź bez obawy.“

Jednego razu, obecność trzech Osób Boskich, którą zawsze mam przytomną w duszy, z taką mi się objawiła jasnością, że bez najmniejszej wątpliwości widziałam mieszkającego we mnie Boga żywego i prawdziwego; przytem dano mi było poznać takie rzeczy, których, choć je widziałam, po widzeniu wypowiedzieć nie potrafię Między innemi ukazano mi było wówczas, w jaki sposób sama tylko Osoba Syna wzięła na się ciało ludzkie, a nie drugie dwie. Opisać tych objawień, jak mówiłam,

---

[1]) Ojca Gracyan, spowiednika Świętej i przełożonego karmelitów Bosych. Niedola, o której wspomina Święta, była skutkiem zapamiętałego prześladowania, jakie w końcu 1575 karmelici dawnej obserwancyi wzniecili przeciw odnowionemu Karmelowi, a nasamprzód naturalnie przeciw naczelnemu zwierzchnikowi zreformowanego zakonu.

nie potrafię; odbywają się one nieraz tak głęboko w ukryciu duszy, że umysł je, rzekłbyś, jakby przez mgłę tylko poznaje, tak jak człowiek uśpiony, albo nawpół śpiący, niewyraźnie tylko słyszy co się do niego mówi. Zastanawiałam się nad tem, jak ciężkie jest to życie, że nas pozbawia szczęścia zostawania zawsze i nieprzerwanie w tem przedziwnem Boskiem towarzystwie, i mówiłam sama w sobie: Panie, daj mi jaki sposób, abym mogła wytrzymać to życie. A Pan rzekł do mnie: — „Pomnij na to, córko, że po śmierci już nie będziesz mogła mi służyć tak jak teraz mi służysz: dla mnie jedz, dla mnie śpij, i cokolwiek czynisz, niechaj wszystko będzie dla mnie, jak gdybyś nie ty już żyła, jedno ja w tobie; bo to właśnie miał na myśli św. Paweł, gdy pisał te słowa.“

Raz, po Komunii, było mi ukazano, jak Ojciec przyjmuje we wnętrzu duszy naszej tę ofiarę najświętszego Ciała Chrystusowego. O ile pojęłam i widziałam, są tu obecne trzy Osoby Boskie, i niewypowiedzianie przyjemną jest Ojcu ta ofiara Syna Jego, i cieszy się Nim i roskosz swoję ma w Nim, powiedzmy bez wahania, tu na ziemi, bo nie Człowieczeństwo naonczas mieszka z nami w duszy naszej, jedno Bóstwo Jego; i dlatego ta ofiara tak Mu jest przyjemną i miłą, i dla niej takie nam wielkie łaski czyni. Poznałam także, że zawsze zarówno przyjmuje tę ofiarę, chociażby kapłan ją spełniający był w grzechu, tylko że wówczas łaski z niej płynące nie udzielają się duszy jego, tak jak się udzielają tym, którzy są w stanie łaski; nie iżby moc swoję traciły Boskie one dzielności, pochodzące z tego uczestnictwa, w jakiem Ojciec przyjmuje tę ofiarę, jedno że natrafiają na opór z winy tego, który je miał otrzymać; podobnie jak słońce, gdy promień jego padnie na bryłę smoły, nie jest winne temu, że w niej nie jaśnieje tak jak jaśnieje w krysztale. Gdybym teraz o tem mówić miała, lepiej i zrozumialej bym to wytłómaczyła; a wiele na tem zależy, byśmy to rozumieli, i wiedzieli jak to jest, bo wielkie tajemnice dzieją się w duszy człowieka, gdy przyjmuje Komunię. Żal się Boże, że to ciało nie pozwala nam cieszyć się niemi.

W oktawie Wszystkich Świętych miałam dwa czy trzy dni ciężkiego udręczenia, na wspomnienie wielkich grzechów

moich, z wielkim nad to strachem zawieszonych nademną prześladowań, których jedyną podstawą były podnoszone przeciw mnie ciężkie, potwarcze oskarżenia, i pod wrażeniem tego strachu zupełnie mię była odeszła zwykła odwaga i gotowość moja do cierpienia dla miłości Boga. Starałam się dodawać sobie otuchy, wzbudzałam w sobie akty gotowości na wszelką wolą Bożą, widziałam jasno, jak wielki będzie zysk dla mnie z tego prześladowania; ale wszystko to mało pomagało, i strach nie ustępował. Była to ciężka walka wewnętrzna. Odszukałam list, w którym dobry mój Ojciec przypominał mi słowa św. Pawła, jako Bóg „nie dopuści, byśmy byli kuszeni nad to co możemy“ [1]). List ten znaczną przyniósł mi ulgę, ale nie zupełną; z pewnego względu nawet wznowił raczej moję za Ojcem tęsknotę, i cały dzień potem wielki smutek miałam, widząc siebie pozbawioną pomocy jego, a nie mając do kogo się udać w tem strapieniu mojem. Słowem, czułam się bardzo opuszczoną, i wciąż mię prześladowała i nowego mi smutku dodawała ta myśl, że nikogo nie znajdę, ktoby mię wspomógł i uspokoił, oprócz niego, a on, na ciężkie utrapienie moje, zmuszony jest prawie ciągle przebywać gdzieś daleko.

Nazajutrz wieczorem, przy czytaniu duchownem, natrafiłam na drugi ustęp z listów św. Pawła, który mi niejaką przyniósł pociechę; zaczem, w nieznacznem jeszcze zebraniu wewnętrznem, poczęłam wspominać sobie, jak to dawniej miewałam w duszy mojej Pana obecnego, jak żywo wówczas czułam, że On prawdziwie jest Bóg żywy. W ciągu tych myśli, nagle ujrzałam Go w sobie widzeniem duchowem, i głęboko, w samem wnętrzu duszy, jakby tuż przy sercu, usłyszałam głos Jego, mówiący mi: — „Jestem tu, przy tobie; chciałem tylko, byś się przekonała, że nic nie możesz bezemnie.“ W tejże chwili spokój wrócił do duszy mojej, i wszystkie strachy moje znikły. Tej samej jeszcze nocy, gdy byłam na Jutrzni, w widzeniu duchowem, ale tak jasnem, że równało się prawie widzeniu przez wyobraźnię, ujrzałam Pana spoczywającego na rękach moich, w takiej postawie, jak Go malują w piątej stacyi Sie-

[1]) 1 Kor. 10, 13.

dmiu Boleści, złożonego na łonie Matki Najświętszej. Mocno mię to widzenie przeraziło, bo takie było wyraźne, i tak je miałam blisko, że obawiałam się złudy dyabelskiej. Wtedy On rzekł do mnie: — „Niech cię to nie przeraża; bliższem bez porównania złączeniem Ojciec mój jest z duszą twoją.“ Widzenie to tak głęboko utkwiło mi w pamięci, że dotąd je mam przed oczyma obecne; wrażenie słów, jakie przytem Pan mi powiedział, trwało we mnie przeszło miesiąc; teraz już przeszło.

Jednego dnia, wieczorem, w wielkiem byłam strapieniu, nie mając żadnych wiadomości o moim Ojcu, tembardziej że gdy pisał ostatni raz, cierpiącym był na zdrowiu; chociaż to strapienie moje nie było już tak gwałtowne jak ono pierwsze, gdym się dowiedziała o niedoli jego, a jakiemu podobnego nigdy już więcej nie doznałam; zawsze jednakże troska o niego przeszkadzała mi w modlitwie. W tem strapieniu mojem ujrzałam nagle widzenie tak wyraźne, że nie mogło być prostem tylko wyobrażeniem: ukazała mi się we wnętrzu mojem światłość, a w tej światłości on szedł drogą rażny i wesoły, i z rozjaśnionem obliczem. Ta jasność oblicza musiała zapewne pochodzić od światłości którą widziałam, i zdaje mi się że tak jest z wszystkimi wybranymi w niebie: sądzę że odblask światłości wynikającej z Pana naszego czyni ich jasnymi. Wśród takiego widzenia usłyszałam te słowa: — „Powiedz jemu, niech natychmiast przystąpi do dzieła, bo jego jest zwycięstwo.“

Jednego dnia, po powrocie jego, gdym wieczorem na modlitwie wysławiała Pana, dzięki mu czyniąc za tyle tak wielkich łask które mi uczynił, Pan rzekł do mnie: — „O cóż ty możesz prosić, córko moja, czegobym ja nie uczynił?“

W dniu przedstawienia Brewe papieskiego, będąc w największej niespokojności i w takiem strwożeniu wewnętrznem, że i modlić się nie mogłam, ponieważ doniesiono mi, że nasz Ojciec w wielkiem jest niebezpieczeństwie, że go zatrzymują przemocą, że z krzykiem wielkim mu wygrażają [1])—usłyszałam te słowa: — „O niewiasto małej wiary! uspokój się, wszystko

[1]) Ustęp ten odnosi się do zapamiętałego, aż do czynnych obelg posuniętego buntu, jaki karmelici dawnej obserwancyi w klasztorze Sewilskim

idzie jak najlepiej.“ — Było to w dzień Ofiarowania Najświętszej Panny Maryi roku 1575. Postanowiłam sobie wówczas, że jeśli Najświętsza Panna raczy nam to wyjednać u Syna swego, byśmy, Ojciec nasz i my z nim, już byli wolni od prześladowania tych Braci [1]), poproszę Ojca o zarządzenie, aby każdego roku to święto obchodzone było uroczyście w naszych klasztorach sióstr Bosych. Gdym czyniła to postanowienie, było mi wyszło z pamięci, że już przedtem w widzeniu, jakie miałam, było mi dano zlecenie, by ustanowił to święto. Teraz dopiero, przy powtórnem odczytaniu tego zeszyciku, przyszło mi na myśl, że ta uroczystość koniecznie się obchodzić powinna.

SPRAWOZDANIE X.

O objawieniu, jakie miała w Awili, roku 1579, i oznajmionych jej od Pana czterech przestrogach dla zakonu Karmelitów Bosych.

W wigilję Zesłania Ducha Świętego, udawszy się na modlitwę do pustelni nazaretańskiej przy klasztorze św. Józefa w Awili, i rozważając tam jednę bardzo wielką łaskę, którą mi Pan w takiż dzień, mniej więcej dwadzieścia lat temu był uczynił, uczułam w sobie wielki zapał i gorącość ducha, skutkiem których wpadłam w zachwycenie. W tem głębokiem zebraniu duszy, usłyszałam od Pana te słowa, które tu zapisuję [2]): — „Powiedz odemnie tym Ojcom Bosym, niech

podnieśli przeciw Ojcu Gracyan, gdy tenże 21 listopada 1575, z polecenia nuncyusza Hormaneto, przybył do nich z kanoniczną wizytą. Brewe, o którego przedstawieniu Święta wspomina, było to może pierwsze Piusa IV z r. 1562 upoważniające do założenia pierwszego domu karmelitek Bosych, czy też może inne późniejsze, mające na celu skłonienie zwolenników starej obserwancyi do przyjęcia reformy.

[1]) Karmelitów dawnej obserwancyi.

[2]) Objawienie to, bez wątpienia jedno z najważniejszych, jakie Święta zapisała w tej swojej księdze Sprawozdań, Karmelitki klasztoru św. Józefa w Awili przechowują wyryte złotemi głoskami na ścianie pustelni nazaretańskiej.

pilnie przestrzegają tych czterech rzeczy, które póki u nich zachowywać się będą, zakon ten coraz wyżej będzie rósł i postępował, gdyby zaś ich zaniedbali, niech wiedzą, że tem samem zaczną coraz bardziej odpadać od początku swego i pierwszej żarliwości swojej. Pierwsza jest, aby między przełożonymi była zgoda i jednomyślność. Druga, aby, jakkolwiekby rosła liczba domów, liczba Braci w każdym czasie była niewielka. Trzecia, aby mało przestawali z ludźmi świeckimi i tylko dla dobra dusz ich. Czwarta, aby nauczali więcej czynami niż słowy." — Było to w roku MDLXXIX. A iż to wielka jest prawda, stwierdzam ją i poświadczam podpisem moim.

Teresa od Jezusa.

KONIEC KSIĘGI SPRAWOZDAŃ.

KSIĘGA FUNDACYI.

UWAGI WSTĘPNE.

Księga fundacyi, to jest historya powstania klasztoru Karmelitek i Karmelitów Bosych, przez św. Teresę założonych, stanowi poniekąd, choć nie w tym zamiarze była pisana, dalszy ciąg i dopełnienie księgi jej *Życia*. Nawiązując opowiadanie do opisanego już w tej ostatniej księdze założenia pierwszego klasztoru św. Józefa w Awili, r. 1562, obejmuje ona z przerwami ostatnie dwadzieścia lat życia Świętej, aż do r. 1583, który był rokiem jej śmierci; a choć św. Teresa, stosownie do założenia swego, mówi w niej głównie tylko o klasztorach, przez nią fundowanych, wspomina przecie, jak inaczej być nie mogło, wiele innych zdarzeń życia swego, bliższy lub dalszy z temi fundacyami związek mających, tak iż całość przedstawia dość dokładny obraz tej części życia jej.

Zaczęła Święta tę drogocenną księgę swoję, jak sama to we Wstępie zaznacza, w Salmantyce, w dzień św. Bartłomieja 1573 r., z polecenia O. Ripalda, naonczas rektora miejscowego kollegium jezuickiego. Ale podobnie jak do napisania księgi *Życia*, niezależnie od rozkazu spowiedników, miała wyraźny

rozkaz od Boga [1]), tak i te fundacye swoje, już na sześć lat przedtem, sam Pan kazał jej opisać, w objawieniu, jakie miała od Niego w klasztorze Malangońskim, w Poście roku 1568 [2]). Zajęta bez wytchnienia podróżami i zachodami około fundacyi, w tym czasie nieprzerwanie jedna po drugiej następujących, — w przeciągu trzech lat, od r. 1568 do r. 1571, założyła pięć nowych klasztorów, — potem przez trzy lata obarczona włożonem na nią ciężkiem brzemieniem zarządu i naprawy klasztoru Wcielenia w Awili, nie mogła wykonać zaraz danego jej od Pana rozkazu. Dopiero w połowie r. 1573, gdy półroczny pobyt w Salmantyce przywrócił jej nieco swobody, znaglona rozkazem tamecznego dyrektora swego, O. Ripalda, wszczęła zleconą jej pracę, i napisała pierwsze 20 rozdziałów, obejmujące, prócz dosyć długiej dygressyi dydaktyczno-ascetycznej, historyę założenia pierwszych ośmiu klasztorów, tudzież pierwszego klasztoru karmelitów Bosych w Durvelo. Dalsze siedm rozdziałów, opowiadające fundacye czterech nowych klasztorów, spisywała z rozkazu O. Gracyan, komisarza apostolskiego dla prowincyi hiszpańskiej zreformowanego Karmelu, zacząwszy od marca r. 1574, i zakończyła tę drugą część księgi swojej, jak sama to w podpisie zaznacza, w Toledzie, 14 listopada 1576. Nastały potem dwa czy trzy lata ciężkiego i zapamiętałego, ze strony samychże braci, reformie przeciwnych, prześladowania, które, przez chwilę odnowionemu zakonowi zupełną groziło zagładą. Św. Teresa spędziła te lata w ukryciu klasztor-

---

[1]) Ob. *Życie, Wstęp.*

[2]) Ob. *Księga Sprawozdań, Sprawozdanie III, ustęp 2-gi.*

nem, bądź w Toledzie, bądź w Awili; dopiero r. 1580, po ucisz-eniu się burzy, podjęła na nowo przerwane dzieło fundacyi i przez trzy lata do śmierci swojej cztery jeszcze klasztory założyła, z których ostatnim był klasztor w Burgos. Każdą z tych fundacyi opisała zaraz po dokonaniu jej, tak już czując się schorzałą i wycieńczoną, że za każdą miała przekonanie, iż będzie to ostatnia; jakoż na czwartej, w Burgos, dopełnionej zaledwo na pół roku przed śmiercią, sprawdziło się jej przeczucie. Opisy te stanowią trzecią część księgi, czyli cztery rozdziały końcowe.

Do tych trzydziestu rozdziałów Księgi Fundacyi, niektóre wydania hiszpańskie dołączają jeszcze jeden, zawierający historyę fundacyi klasztoru w Granadzie, skreśloną na rozkaz O. Gracyan przez Matkę Annę od Jezusa. Opis ten, i wywrotną prostotą stylu swego, i wysoko zajmującą i budującą treścią swoją, w istocie godzien jest stanąć obok pism natchnionej reformatorki Karmelu; lecz jako nie przez nią pisany, nie należy do tekstu księgi jej. Wszakże dla niepospolitej piękności i ważności jego, zamieszczamy go na końcu jako Dodatek.

O stylowych zaletach i pięknościach tej księgi, zdaniem uczonego wydawcy, za którym w przekładzie naszym idziemy, przewyższających wszystkie inne pisma św. Teresy, o uroczej prostocie tych opowiadań, zaprawionej tu i owdzie prawdziwie atycką solą dosadnie żartobliwych uwag, jakiemi bystry i lotny z przyrodzenia dowcip Świętej, bez najmniejszego jednak śladu żółci czy urazy, w różnych miejscach, mimochodem charakteryzuje przeciwieństwa i przeszkody, jakie w ciągu tych fundacyj złość albo głupota ludzka jej na drodze stawiały, — mówić tu nie

mamy potrzeby. Wspomnimy tylko na zakończenie obietnicę, jaką święta Autorka w ciągu pisania swego otrzymała od Pana w objawieniu, z którego sama zdaje sprawę spowiednikowi swemu, O. Gracyan: — „Pan powiedział mi, pisze, że książka ta przyniesie pożytek bardzo wielu duszom“ [1]).—Niechże z łaski Jego, wszyscy którzy tę książkę w niniejszym jakimkolwiek przekładzie czytać będą, znajdą się w liczbie onych „bardzo wielu dusz“; niech w Boskiej dobroci swojej Pan na nich wszystkich raczy spełnić tę najłaskawszą obietnicę swoję.

[1]) *Listy*, t. IV, *urywek* 17.

ŚWIĘTEJ TERESY OD JEZUSA

KSIĘGA FUNDACYI.

WSTĘP.

Z własnego doświadczenia przekonałam się, o czem i w wielu książkach czytałam, jak wielkiem to dla duszy jest dobrem, nie schodzić nigdy z drogi posłuszeństwa. Na tem, zdaniem mojem, zasadza się postęp w cnocie; tą drogą dusza coraz bardziej wzbogaca się w pokorę; na tem polega bezpieczna ufność i uspokojenie tej obawy, którą dobrze jest nam ludziom śmiertelnym w sobie zachowywać, dopóki żyjemy na tej ziemi, byśmy snać nie zbłąkali się z drogi wiodącej do nieba; tu znajduje się on pokój tak pożądany dla duszy pragnącej spodobać się Bogu. Ktokolwiek bowiem szczerze i prawdziwie zda siebie na to święte posłuszeństwo, i umysł swój jemu podda, nie chcąc już mieć innego zdania i sądu, jedno zdanie i sąd spowiednika, albo jeśli żyje w zakonie, zdanie i sąd przełożonego swego, tego już dyabeł nie będzie napastował wątpliwościami i niepokojami swemi, bo widzi że kusząc go niemi napróżno, szkodę raczej niż korzyść odnosi; i podobnież niesforne zapędy natury naszej, rade czynić wedle woli własnej, albo i samże rozum stłumić dla zadowolnienia chęci swoich, umilkną w nim, bo posłuszeństwo będzie mu przypominało, że stanowczo i raz na zawsze wolę swoję złożył w wolę Boga, za środek ku temu obierając poddanie się temu, który mu miejsce Boga zastępuje. Odkąd Pan w dobroci swojej raczył mię oświecić ku poznaniu wielkiego skarbu zamkniętego w tej drogocennej cnocie, starałam się zawsze, choć-

nieudolnie i niedoskonale, zachowywać ją. Prawda że nieraz mi ją utrudnia jasne jakie mam poznanie małej we mnie cnoty, bo do niektórych rzeczy, jakie mi czynić każą, zdaje mi się, że siły mojej nie starczy. Niechaj Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy zaradzić niedostateczności mojej i w tej obecnej, którą mi zlecono, robocie.

W czasie pobytu mego w klasztorze św. Józefa w Awili roku tysiąc pięćset sześćdziesiątego drugiego, to jest w samymże roku założenia tego klasztoru, otrzymałam od Ojca Garcia de Toledo, dominikanina, naonczas spowiednika mojego, rozkaz opisania fundacyi rzeczonego klasztoru i wielu innych rzeczy, które kto ujrzy to pismo, jeśli ono wyjdzie na światło dzienne, sam obaczy. Obecnie, w roku tysiąc pięćset siedmdziesiątym i trzecim, po upływie jedenastu lat, znajdując się w Salmantyce, mam za spowiednika Ojca magistra Ripalda, rektora kollegium Towarzystwa Jezusowego[1]). Ten, przeczytawszy onę księgę pierwszej fundacyi, uznał, że będzie to na większą chwałę Bożą, gdy piszę o drugich siedmiu klasztorach, które od założenia pierwszego aż do tego czasu z łaski Pana naszego powstały, jak również o pierwszych początkach klasztorów Ojców Bosych tejże reguły pierwotnej; zaczem i kazał mi opracować ten opis. Wykonanie tego rozkazu wydawało mi się niepodobnem, przy tylu interesach do załatwienia, i tylu listach do pisania, i innych jeszcze obowiązkach, włożonych na mnie z rozkazu przełożonych; gdy nadto jeszcze tak mało do czego jestem zdolną, a zdrowie tak mam zniszczone, że i bez tej pracy nadzwyż mi narzuconej, nieraz, wedle nędznego przyrodzenia mego, zdawało mi się, że dłużej brzemienia mego nie zniosę. W takiem więc będąc udręczeniu, do Pana się uciekłam, polecając Jemu utrapienie moje. A Pan rzekł do mnie: — „Córko, posłuszeństwo dodaje siły“. Niechże Boska łaskawość Jego to sprawi, by tak się stało, i niech użycza łaski, abym potrafiła na chwałę Jego opowiedzieć miłosierdzie, jakie w tych fundacyach zakonowi naszemu uczynił. W opowiadaniu mojem, upewniam, będzie sama tylko i czysta prawda, bez żadnej przesa-

[1]) Ob. *Dodatek*, II.

dy, o ile wiem i rozumiem; opowiem wszystko tak, jak było rzeczywiście. W najmniejszej rzeczy nawet, za nic na świecie nie powiedziałabym kłamstwa; tem bardziej więc, gdy to co tu piszę, ma być na chwałę Panu, za ciężki grzech poczytywałabym sobie najlżejsze w tem pisaniu mojem rozminięcie się z prawdą; byłoby to, zdaniem mojem, nie tylko zmarnowaniem czasu, ale i nadużyciem rzeczy Bożych na oszukanie ludzi; miasto chwały Bożej, wyrządziłabym Bogu obrazę, co byłoby niegodną zdradą. Niech Boska miłość Jego nie wypuszcza mnie z swej opieki, bym miała uczynić rzecz podobną. Każdą fundacyę opiszę poosobno, starając się pisać zwięźle i krótko, o ile potrafię; bo styl mam taki ciężki, że słusznie się obawiam, czy mimo najlepszej woli nie umęczę i drugich, i siebie. Lecz znając miłość, jaką mają dla mnie córki moje, którym to pismo ma się dostać po śmierci mojej, ufam że cierpliwie mię zniosą. A jako w niczem nie szukam pożytku mego, i o nic nie dbam, jeno o cześć i chwałę Pana naszego, tak i to pisanie podejmując, błagam Go, niech daleką będzie od tych, którzy to czytać będą, myśl przypisywania mnie którejbądź z tych wielu rzeczy świetnych i chwalebnych, które tu znajdą opisane, bo byłoby to wprost przeciwnem prawdzie; niech raczej proszą za mną Boskiego Majestatu Jego, aby mi raczył odpuścić zły użytek, jaki z tych wszystkich łask uczyniłam. Za to zwłaszcza córki moje nierównie słuszniejszy mają powód do żalenia się na mnie, niż do dziękowania mi za to, co się w tych fundacyach dokonało. Dobroci Boskiej, córki moje, wszystko oddajmy dziękczynienie za te tak wielkie łaski, jakie nam uczynił. Ktokolwiek będzie to czytał, proszę go na miłość Boga o jedno Zdrowaś Marya, aby mi modlitwą swoją dopomógł do wyzwolenia z czyśca i dojścia do oglądania Jezusa Chrystusa, Pana naszego, który z Ojcem i Duchem Świętym żyje i króluje na wieki wieków. Amen.

Dzięki słabej pamięci mojej, zapewne tu opuszczę niejednę rzecz ważną, a wspomnę za to o wielu takich, bez których byłoby się obyło; będzie to, słowem, robota odpowiednia tępości umysłu mego, i nieokrzesaniu memu, a także warunkom, w jakich ją piszę, mało mając do niej czasu spokojnego. Sto-

sownie do danego mi polecenia, dotknę tu również, przy zdarzonej sposobności, niektórych materyi, odnoszących się do modlitwy wewnętrznej, i złudzeń jakie się w niej zdarzyć mogą, aby, ktoby im podlegał, w porę się na tej niewłaściwej drodze zatrzymał. We wszystkiem poddaję się temu, czego matka święta Kościół naucza; postanowiłam nadto, że nim to pismo dostanie się do rąk waszych, siostry moje i córki, pierwej je przejrzą ludzie uczeni i w rzeczach duchownych doświadczeni.

Zaczynam w imię Pańskie, wzywając na pomoc błogosławioną Matkę Jego, której, choć niegodna, habit noszę, i chwalebnego ojca i pana mego, św. Józefa, w którego domu jestem, bo pod jego wezwaniem wzniesiony jest ten klasztor Karmelitek Bosych, a który przez całe życie moje przyczyną swoją mię wspierał. Roku 1573, w dzień św. Ludwika, króla francuskiego, to jest dnia 24-go sierpnia.

NIECH BĘDZIE BÓG POCHWALONY.

JEZUS—MARYA.

ZACZYNA SIĘ FUNDACYA KARMELU ŚWIĘTEGO JÓZEFA W MEDINA DEL CAMPO.

ROZDZIAŁ I.

W jaki sposób poczęła się pierwsza myśl tej fundacyi i drugich.

Przez pięć lat, od chwili założenia domu św. Józefa w Awili, przebywałam w tym klasztorze; będą to, zdaje mi się, o ile dzisiaj o tem sądzić mogę, najspokojniejsze lata życia mego, za których ciszą i spokojem często potem tęskniła i tęskni dusza moja. W tym czasie wstąpiło do naszego zakonu kilka panien, które, wnosząc z wykwintności i okazałości strojów, można było sądzić, że świat już je pozyskał dla siebie; ale Pan odrywając je wcześnie od tych marności, pociągnął je do domu swego, tak wysoką darząc je doskonałością, że przykład ich wielkiem był dla mnie zawstydzeniem. Tym sposobem doszłyśmy do liczby trzynastu, której postanowiono było że nigdy nie przekroczymy. Roskoszą było dla mnie żyć pospołu z takiemi świętemi i czystemi duszami, których jedyną troską była służba i chwała Pana. Boska łaskawość Jego zsyłała nam, choć nikogo o nic nie prosiłyśmy, czego nam było potrzeba do życia; a jeśli kiedy zabrakło nam chleba, co się bardzo rzadko zdarzało, one tem większą stąd radość miały. Z uwielbieniem dzięki czyniłam Panu, patrząc na tyle tak wysokich cnót, a szczególnie na taką świętą obojętność tych dusz, nie frasujących się o nic, jedno o to, aby Jemu służyły.

Ja też, choć sprawowałam rządy klasztoru, nie pamiętam bym kiedy zafrasowała się o rzeczy doczesne, mając tę mocną wiarę, że nie zapomni Pan o służebnicach swoich, o to jedynie się starających, by Jemu się spodobały. Zdarzało się niekiedy,

że tego, co miałyśmy w domu, nie starczyło na obiad dla całego zgromadzenia; polecałam wtedy to, co jest, podać słabszym i pilniej pożywienia potrzebującym; ale żadna nie chciała się przyznać, by miała większą potrzebę od drugich, i tak strawa im ofiarowana pozostawała nietknięta, dopóki Bóg jej nie zesłał więcej, aby było dosyć dla wszystkich. Posłuszeństwa ich, — cnoty, dla której szczególną mam cześć, choć pełnić jej nie umiałam, póki mię te służebnice Boże jej nie nauczyły, i lepiejbym ją umiała gdybym była cnotliwą, — wiele mogłabym przytoczyć przykładów, na które sama patrzałam. Jeden tu wspomnę, jak mi w tej chwili przychodzi na pamięć. Pewnego razu podano nam do stołu w refektarzu ogórki; mnie się dostał jeden bardzo cienki, i wewnątrz zepsuty. Z udaną tedy powagą zawołałam jednę z sióstr, odznaczającą się rozumem i wykształceniem [1]), i dla doświadczenia jej posłuszeństwa, kazałam jej pójść i zasadzić ten ogórek w ogródku, jaki miałyśmy przy domu. Zapytała mię, jak go ma zasadzić, czy na sztorc czy w poprzek. Odpowiedziałam jej, że w poprzek. Poszła więc i zasadziła go, ani chwilę nie dopuszczając tej myśli, że niepodobna by nie usechł; to jedno miała na myśli, że działa przez posłuszeństwo i służy Chrystusowi, i ślepe to posłuszeństwo zagłuszyło w niej rozum przyrodzony, iż pewną była że czyni rzecz najrozumniejszą. Zdarzało się, że umyślnie naznaczałam jednej siostrze sześć albo siedm różnych obowiązków na raz, a ona je przyjmowała nie odpowiadając ani słowa, przekonana, że zdoła spełnić je wszystkie. Miałyśmy studnię z bardzo złą wodą, według zapewnienia tych, którzy jej próbowali, a przytem tak głęboką, że zdawało się rzeczą niepodobną wydobyć z niej wodę; robotnicy, których wzywałam aby ją urządzili, śmiali się ze mnie, że chcę wyrzucać pieniądze napróżno. Zapytałam sióstr, jakie ich zdanie. Jedna z nich odpowiedziała, że trzeba podjąć tę robotę; Pan nasz, mówiła, musi nam przysyłać wodę z miasta, i musi nam dawać czem nakarmić tych, którzy ją nam przynoszą; dalekoż taniej wypadnie wielmożności Jego,

[1]) Była to Marya de Ocampo, w zakonie Marya od Św. Jana Chrzciciela, siostrzenica św. Teresy.

gdy sprawi, byśmy ją miały w domu, a zatem i nie omieszka tak uczynić. Z taką to powiedziała żywą wiarą, i z taką stanowczością, że i ja nabrałam pewności, że tak się stanie; zaczem, wbrew zdaniu i oporowi studniarza, choć znającego się na rzeczy, kazałam przystąpić do dzieła, i z łaski Pana wyprowadziliśmy ze studni promień wody dobrej do picia, zupełnie wystarczający na naszę potrzebę, i do dziś dnia płynący [1]). Nie opowiadam tego zdarzenia dla zaznaczenia cudu, bo gdybym chciała mówić o cudach, wiele innych tego rodzaju rzeczy mogłabym wymienić, ale dla wykazania na tym przykładzie, jaka była wielka wiara w tych siostrach, bo tak się stało jak mówię. Nie jest tu głównym zamiarem moim, pisać pochwały zakonnic tych klasztorów, które wszystkie dotąd, dzięki dobroci Pańskiej tą drogą idą: opisywać tu wszystkie podobne powyższym przykłady, i wiele innych jeszcze szczegółów, byłoby za długo; choć opis taki nie byłby bez pożytku; pobudzałby te, które po nich przyjdą, do naśladowania tych pierwszych. Ale jeśli jest wola Pańska, by te szczegóły były ogłoszone, zapewne przełożeni polecą przeoryszom spisanie ich.

Żyłam więc, ja nędzna, wśród tych dusz anielskich, bo tak jak je znałam, nie mogę ich nazwać inaczej. Wyznawały przedemną, nietylko każde najmniejsze swe uchybienie, choćby zgoła wewnętrzne, ale i dary nad wyraz wielkie, łaski nadzwyczajne, żarliwe żądze, całkowite oderwanie serca od wszystkiego co ziemskie, jakich Pan im użyczał. Samotność była dla nich roskoszą; upewniały mię, że nigdy się nią nasycić nie mogą; przyjmowanie odwiedzin, choćby rodzonych braci, wydawało im się męką. Która więcej miała czasu i możności pozostawania w pustelni, ta poczytywała się za najszczęśliwszą. Zastanawiając się nad wysoką szlachetnością tych dusz, nad męstwem, zgoła nie niewieściem, jakiem Bóg je napełniał do cierpienia i pracy dla chwały Jego, nieraz myślałam sobie, że Pan takie w nich składając bogactwa, snać wielki jaki ma w tem cel i zamiar; nie iżby mi nawet przez głowę przeszło, by miało się stać to co potem się stało, bo było to wówczas, po ludzku sądząc, zupeł-

[1]) Studnia ta otrzymała miano „Zdroju Maryi od Św. Jana Chrzciciela.“

nem niepodobieństwem, i w braku wszelkich środków ku temu, niepodobna było o takich rzeczach i myśleć. Ale coraz wyżej z każdym dniem rosły we mnie gorące pożądania przyczynienia się w czemkolwiek do zbawienia jakiej duszy; i nieraz miałam takie uczucie, jak gdyby kto posiadał w schowaniu u siebie skarb wielki, i chciałby użyczyć z niego wszystkim, a nie mógłby, bo mu ręce związano: tak i dusza moja czuła się niejako związaną, bo jakkolwiek bardzo wielkie były łaski, których Pan w tych latach mi użyczał, wszystko to zdawało mi się jakby uwięzione we mnie, i leżące bez pożytku. Nie mogąc uczynić nic więcej, służyłam Panu ustawicznie ubogiemi modlitwami mojemi, i siostry pobudzałam aby czyniły podobnież, i żarliwe w sobie utrzymywały pragnienia zbawienia dusz i wzrostu Kościoła świętego; jakoż każdy, kto zbliżył się do nich, wielkie zawsze z rozmowy z niemi odnosił zbudowanie. W takich to wewnętrznych pracach i pragnieniach zanurzałam wielkie one pożądania moje.

Tak upłynęło było może trochę więcej niż cztery lata, gdy przybył do mnie w odwiedziny pewien zakonnik franciszkanin, imieniem Brat Alfons Maldonado. Żarliwy ten sługa Boży takiemiż, jak i ja, pałał żądzami zbawienia dusz, a mógł je wypełnić czynem, czego mu bardzo zazdrościłam. Niedawno przedtem był powrócił z Indyi; począł mi opowiadać o tych milionach dusz, które tam giną, bo nie masz ktoby je uczył wiary prawdziwej; miał do nas, sposobem poufnej nauki, kazanie, pobudzając nas do pokuty; potem nas pożegnał. Taka mi po tem widzeniu się z nim pozostała w sercu żałość nad zgubą tylu dusz, że prawie odchodziłam od siebie; udałam się do pustelni, i tam zalewając się łzami wołałam do Pana, błagając Go, by mi dał sposób i możność pozyskania jakiej duszy dla służby Jego, kiedy mu czart tyle ich wydziera; by przynajmniej modlitwa moja, kiedy nic więcej uczynić nie mogę, miała przed Nim jaką ku temu skuteczność. Serdecznie zazdrościłam tym, którym dano jest, dla miłości Pana naszego poświęcać się tej wielkiej sprawie, chociażby tysiąc razy na śmierć narazić się mieli. Bywa tak ze mną, że gdy czytamy żywoty Świętych, to co oni uczynili dla nawrócenia dusz, daleko większą wzbu-

dza we mnie pobożność, i rozrzewnienie, i zazdrość, niż wszelkie męki, jakie wycierpieli. Ten jest szczególny pociąg i skłonność, jaką mam od Pana; i mam to przekonanie, że więcej w oczach Jego waży jedna dusza, którąbyśmy, z łaski i miłosierdzia Jego, pracą i modlitwą naszą Jemu pozyskali, niż wszelkie inne, jakiebyśmy mogli oddać Mu usługi.

Wśród takiego serdecznego strapienia mego, jednego wieczoru, gdy byłam na modlitwie, ukazał mi się Pan w takiej w jakiej zwykle Go widuję postaci, i z wielką do mnie mówiąc miłością i pocieszając mię, rzekł: — „Ufaj, córko, i poczekaj nieco, a ujrzysz rzeczy wielkie.“ Słowa te tak głęboko utkwiły mi w sercu, że ani na chwilę o nich zapomnieć nie mogłam; i lubo znaczenia ich, mimo ciągłego nad niemi rozmyślania, dociec nie zdołałam, wielce przecie mię pocieszyły; miałam zupełną pewność, że zapowiedziane one wielkie rzeczy się sprawdzą, ale w jaki sposób to się stanie, o tem żadnego nie miałam pojęcia. Tak upłynęło jeszcze, zdaje mi się, pół roku, aż wreszcie nastąpiło to, co teraz opowiem.

ROZDZIAŁ II.

Przyjazd naszego Ojca Generała do Awili, i co z przyjazdu jego wynikło.

Generałowie nasi stale mieszkają w Rzymie, i żaden z nich nigdy nie był w Hiszpanii; zdawało się więc niepodobna, by teraźniejszy miał kiedy do nas przyjechać. Lecz jako, gdy Pan chce, nie masz rzeczy niepodobnej, tak i w obecnym razie Boska Opatrzność Jego zrządziła, że czego nigdy przedtem nie było, to się teraz stało. Wiadomość o tem, gdym ją otrzymała, nie była mi, zdaje mi się, zupełnie przyjemną; bo jak mówiłam w opisie fundacyi domu św. Józefa, dom ten, z powodów tam wymienionych, nie podlegał władzy zakonu. Dwu rzeczy się bałam: naprzód, by generał nie był na mnie zagniewany, do czego, nie znając całego przebiegu rzeczy, słuszny mógł mieć powód; a powtóre, by nie kazał mi wracać do klasztoru Wcielenia, rządzącego się regułą złagodzoną, co dla mnie, z przy-

czyn, nad któremi tu rozwodzić się nie mam potrzeby, ciężkiem byłoby strapieniem. Dość tej jednej racyi, że nie mogłabym tam zachowywać z całą ścisłością reguły pierwotnej, i że znalazłabym się w zgromadzeniu, liczącem przeszło sto pięćdziesiąt sióstr, a łatwiej-ci o zgodę i pokój w domu, w którym, jak w tym naszym, liczba zakonnic jest niewielka. Lecz Pan szczęśliwe, nad spodziewanie moje, z tych obaw dał wyjście. Generał, gorliwy sługa Boży, mąż przytem wysokiej nauki i roztropności, uznał że sprawa nasza jest dobrą, i żadnego mi w niczem nie okazał nieukontentowania Nazywa się Jan Chrzciciel Rubeo [1]) z Rawenny; wysoko jest poważany w zakonie, i słusznie.

Gdy tedy przybył do Awili, postarałam się, aby zwiedził ten dom św. Józefa, a biskup polecił nam przyjąć go z całą czcią i ceremonjałem własnej jego osobie należnym. Zdałam mu sprawę o wszystkiem z zupełną szczerością i prawdą, bo tak zawsze postępować zwykłam z przełożonymi, cokolwiekby stąd miało wyniknąć, skoro oni z urzędu swego zastępują miejsce Boga, jak również i ze spowiednikami; inaczej postępując, nie byłabym spokojną o duszę swoję. Zdałam mu podobnież sprawę z wewnętrznego stanu i z całego prawie życia mego, choć tak grzesznego. On, wysłuchawszy mię, powiedział mi wiele rzeczy na pociechę moję, i upewnił mię, że nie każe mi opuszczać naszego klasztoru. Ucieszył się bardzo, przypatrzywszy się naszemu porządkowi życia, widząc w nim obraz, jakkolwiek niedoskonały, pierwszych początków naszego zakonu, i jako reguła pierwotna zachowuje się u nas w całej swej ścisłości, bo żaden inny klasztor jej nie przestrzega, ale cały zakon rządzi się regułą złagodzoną. Stąd też, pragnąc jak najdalszego rozszerzenia się tych początków naszych, wydał mi bardzo szerokie upoważnienia do zakładania więcej takich klasztorów, z zagrożeniem cenzur kościelnych, gdyby który prowincyał chciał mi w tem stawiać przeszkody. Ja go o te upoważnienia nie prosiłam, ale poznawszy mój rodzaj modlitwy,

---

[1]) Właściwe nazwisko jego, obyczajem ówczesnym zlatynizowane, było Jan Rossi. Przybył do Hiszpanii r. 1566, za panowania Filipa II, umocowany Bullą św. Piusa V, który na krótko przedtem był wstąpił na tron papieski.

sam zrozumiał z niego gorące pragnienia moje, przyczynienia się w czemkolwiek do duchownego postępu choćby jednej duszy i bliższego jej złączenia się z Bogiem.

Upoważnień tych i sposobów do spełnienia onych pragnień moich ja sama nie szukałam; owszem samoż pomyślenie o tem wydawało mi się szaleństwem; boć rozumiałam to dobrze, że taka, jak ja, maluczka, bez żadnego znaczenia i powagi kobiecina niczego zdziałać nie może. Ale gdy duszę ogarną one święte żądze, nie jest już w jej możności od nich się uchylić. Miłość Boga, pragnienie chwały Jego i wiara czynią podobnem to co w oczach przyrodzonego rozumu jest niepodobieństwem tak i dla mnie, w obec objawionej mi stanowczej woli przewielebnego naszego generała, bym więcej klasztorów zakładała, klasztory te były jakby już założone. Wspomniałem na one słowa, które Pan był do mnie powiedział: przedtem nie mogłam zrozumieć znaczenia ich, teraz widziałam już na oczy początek ich spełnienia się. Wielki miałam smutek, gdy nasz Ojciec generał odjeżdżał z powrotem do Rzymu; bardzo go byłam pokochała, i z odjazdem jego zdawało mi się, że pozostaję w wielkiem opuszczeniu. On też bardzo na mnie był łaskaw, i szczególną mi przychylność okazywał; ile razy zajęcia jego na to mu pozwalały, przychodził do nas i mówił nam o rzeczach duchownych, a czuć było w słowach jego, że Pan snać wielkich łask mu użycza; pociechą było dla nas słuchać go.

Przed odjazdem jego, biskup nasz, Don Alvaro de Mendoza, pasterz serdeczną otaczający miłością i opieką wszystkich, w których widzi pragnienia służenia Bogu z większą doskonałością, prosił go o upoważnienie do założenia w dyecezyi swojej kilku klasztorów karmelitów Bosych, według reguły pierwotnej. Z innych stron także zanoszono do O. generała podobneż prośby. On radby był na nie się zgodził; ale napotkał na opór ze strony zakonu, i przeto, nie chcąc dać powodu do rozterek w prowincyi naszej, na razie rzeczy zaniechał.

Mimo to jednak, w kilka dni potem, zważywszy, że skoro mam zakładać klasztory żeńskie, nieodzownie będzie potrzeba, by obok nich powstały także klasztory Braci tejże reguły, tem bardziej że Karmelitów w naszej prowincyi tak mała była liczba,

iż zdawało się prawie jak gdyby zakon u nas miał wygasnąć: po gorącem tej sprawy poleceniu Bogu, napisałam do Ojca generała list błagalny, przedstawiając mu jak umiałam najlepiej moje racye: że wielka stąd będzie chwała Bogu, że trudności przewidywane nie są dostatecznym powodem do zaniechania takiej dobrej sprawy, że i Najświętszej Pannie, której tak gorliwym jest czcicielem, nie małą przez to odda usługę. Snać Ona sama wzięła w ręce tę sprawę; bo generał, skoro doszedł do niego list mój, z Walencyi, gdzie wówczas bawił, przysłał mi upoważnienie do założenia dwóch klasztorów męskich, w czem jawnie się okazała ochotna troskliwość jego o dobro i wzrost zakonu. Zapobiegając oporowi niechętnych, polecił wykonanie rozporządzenia swego obu prowincyałom, i obecnie urzędującemu, i dawnemu, chociaż z nimi nie łatwo było dojść do końca. Ale osiągnąwszy już rzecz główną, ufałam, że Pan dokona i reszty; i tak się stało; dzięki staraniom Księdza Biskupa, który popierał tę sprawę jakby swoję własną, oba prowincyałowie wreszcie się zgodzili.

Cieszyłam się, że mam już zapewnione upoważnienie, ale wraz z niem przybyło mi i troski, bo nie było (nie znałam przynajmniej) w całej prowincyi ani jednego zakonnika, zdolnego do wykonania takiego przedsięwzięcia, albo choćby kapłana świeckiego, któryby chciał uczynić początek. Wciąż tylko błagałam Pana, aby mi wzbudził i przysłał choć jednego pomocnika. Nie miałam również domu, ani sposobu nabycia go. Do podjęcia więc takiego dzieła była tam wszystkiego jedna uboga zakonnica bosa, bez żadnej znikąd pomocy, oprócz od Pana, obładowana listami upoważniającemi i dobremi chęciami, a pozbawiona wszelkiej możności spełnienia ich czynem. Nie traciłam jednak odwagi ani nadziei, że skoro Pan dał jedno, da więc i drugie; rzecz cała wydawała mi się już zupełnie możliwą, zatem i przystąpiłam do dzieła.

O Boże wielki! Jakże dziwnie objawiasz potęgę twoję, dodając śmiałości maluczkiemu robaczkowi! Zaprawdę, nie twoja w tem wina, Panie mój, jeśli nie umieją wielkich rzeczy zdziałać ci, którzy Cię miłują; winna temu jedynie małoduszność i tchórzostwo nasze. Nie umiemy się zdobywać na mężne postano-

wienia, zawsze pełni tysiącznych strachów i względów ludzkich, i dla tego Ty, Boże mój, nie działasz w nas cudów i wielmożności twoich. Bo któż ochotniejszy nad Ciebie do dawania, skoro tylko znajdziesz komu dawać, i kto chętniej niż Ty przyjmuje usługi, i własnym kosztem sprawując je, i za nie odpłacając? Bodajbym z Boskiej łaskawości Twojej umiała Tobie w czem usłużyć; bodajbym tyle od Ciebie wziąwszy, usilniej się starała oddawać Tobie z tego, com wzięła. Amen.

ROZDZIAŁ III.

W jaki sposób, i z jakiemi środkami przystąpiono do założenia klasztoru św. Józefa w Medina del Campo.

Wśród takich zamysłów i trosk moich, przyszło mi na myśl udać się o pomoc do Ojców Towarzystwa, w onem miejscu, to jest w Medina, mieszkających i wielkiej tam wziętości używających; tembardziej, że jak o tem mówiłam w opisie pierwszej fundacyi, przez wiele lat duszę moję przed nimi otwierałam, i tyle jej kierunkiem swoim uczynili dobrego, że odtąd i na zawsze szczególną dla nich mam cześć i miłość. Napisałam więc do tamecznego Rektora, donosząc mu o otrzymanem od naszego Ojca Generała zleceniu. Trafiło się, że tym Rektorem był właśnie ten sam Ojciec, który mię przez wiele lat spowiadał, jak o tem w wyżej wskazanem miejscu mówiłam, tylko nazwiska jego tam nie wymieniłam: nazywał się Baltazar Alvarez; obecnie jest prowincyałem. Odpowiedział mi, że i sam i drudzy Ojcowie uczynią dla nas w tej potrzebie co tylko będzie w ich mocy; jakoż dużo nam pomogli do uzyskania zgodzenia się miasta i zwierzchności duchownej, co gdy chodzi o założenie klasztoru utrzymującego się wyłącznie z jałmużny, wszędzie jest rzeczą trudną; i tu więc także kilka dni zeszło na wstępnych zachodach i rokowaniach.

Prowadził je pewien kapłan, wielki sługa Boży, całkiem oderwany od wszelkich rzeczy tego świata, żarliwie oddany modlitwie. Był on kapelanem naszego klasztoru; Pan wzbudzał

w nim takież, jakich i mnie użyczał pragnienia, stąd też wielką z niego pomoc miałam, jak się to w dalszym ciągu okaże; nazywa się Julian z Awili. Zgodzenie się wreszcie nastąpiło; ale nie było ani domu, ani szeląga na kupienie go; a co do kredytu, albo by kto zechciał w czemkolwiek za mnie poręczyć, jak mogła tego się spodziewać taka jak ja uboga przybłęda, jeśliby Pan sam tego cudu nie sprawił? Jakoż On zaradził potrzebie naszej. Pewna panienka bardzo pobożna, której nie mogłyśmy przyjąć do klasztoru św. Józefa, bo już nie było miejsca, dowiedziawszy się o zamierzonem otworzeniu nowego domu, przyszła do mnie z prośbą o przyjęcie. Miała ona trochy grosza, ale tak mało, że nie było za co kupić domu; zaledwo starczyło jej pieniędzy na najęcie mieszkania, o które też wystarałyśmy się, i dla nas na drogę. Z takim więc zasobem wybrałyśmy się z Awili; pojechały ze mną dwie siostry z klasztoru św. Józefa, i cztery siostry z klasztoru Wcielenia, to jest z tego klasztoru reguły złagodzonej, w którym zostawałam do czasu założenia św. Józefa; nasz Ojciec kapelan, Julian z Awili, towarzyszył nam.

Gdy wieść o postanowionym wyjeździe naszym rozeszła się po mieście, szemrania było dużo: jedni mówili że zwaryowałam, drudzy czekali, jaki będzie koniec tego szaleństwa. Samże biskup, jak później mi mówił, poczytywał nasz zamiar za wielki nierozum, lubo wówczas nic mi o tem nie wspomniał, ani próbował zatrzymać mię, nie chcąc w wielkiej swej dla mnie przychylności robić mi zmartwienia. Przyjaciele moi za to dużo mi nagadali, ale ja nic na ich argumenta nie zważałam; bo to, co im się wydawało trudnem i niepodobnem, w moich oczach było rzeczą tak łatwą, że niepodobna mi było przypuścić tej myśli, by skutek mógł nie być pomyślnym. Gdy jeszcze gotowaliśmy się do wyjazdu z Awili, napisałam była do jednego Ojca z naszego zakonu, imieniem Brat Antonio de Heredia, który wówczas był przeorem klasztoru Karmelitów, istniejącego w Medina, pod wezwaniem św. Anny, z prośbą aby nam kupił tam jaki dom. On udał się w tym celu do jednej pani, jemu oddanej, która posiadała dom, bardzo dobrze położony, ale z wyjątkiem jednej izby całkiem rozwalony. Pani ta tak była dobrą, że zgodziła się go sprzedać, i zrobiła umo-

wę nie żądając kaucyi, ani żadnej rękojmi, prócz słowa jego; bo też, gdyby była wymagała innego ubezpieczenia, nie byłybyśmy w możności uczynienia zadość jej żądaniu. Wszystko Pan tak nam ułatwiał i zrządzał. Ale dom ten tak był zrujnowany, że musiałyśmy nająć tamten drugi, dopókiby nasz nie był naprawiony, co nie małą było robotą.

Pierwszego dnia podróży naszej, wieczorem, gdyśmy zmęczone złym, jaki miałyśmy zaprzęgiem, zajeżdżały na noc do Arevalo, wyszedł na spotkanie nasze pewien kapłan, przyjaciel nasz, który nam był przygotował gościnę w domu jakichś pobożnych niewiast, i ostrzegł mię po cichu, że ten dom w Medina nie dla nas, że ponieważ leży blisko klasztoru augustyanów, zakonnicy nie pozwalają na to, byśmy w nim zamieszkały, że niezawodnie wytoczą nam proces. O Boże wielki, co znaczą wszelkie przeciwieństwa od ludzi, komu Ty, Panie, raczysz ducha i odwagi dodawać! Mnie ta przeciwność jakby większej jeszcze otuchy przymnożyła: skoro dyabeł, tak myślałam sobie, już się zaczyna miotać, więc pewno będzie Pan miał wierną służbę w tym klasztorze. Uprosiłam jednak tego kapłana, by głośno o tem nie mówił, aby snać nie przeraziły się towarzyszki moje, szczególnie te dwie z klasztoru Wcielenia [1]), bo drugie gotowe były dla mnie wszelkie znieść utrapienie. Jedna z tych dwu była wtedy przełożoną klasztoru, i mocno się jej wyjściu sprzeciwiano; obie były z rodów zamożnych, i przyłączyły się do mnie wbrew woli swych krewnych, którym, tak samo jak wszystkim, zamiar mój wydawał się szaleństwem, i po ludzku, jak sama później o tem się przekonałam, aż nadto mieli słuszność. Ale gdy Panu się spodoba użyć mnie do założenia takiego domu, żadnej, rzec mogę, nie uznaję przeszkody któraby mi się zdawała dostatecznym powodem do zaniechania dzieła; dopiero gdy rzecz już zrobiona, trudności wszelkiego rodzaju gromadnie mi stają na oczy, jak się to w dalszym ciągu okaże.

---

[1]) Wyżej, Święta powiada, że z klasztoru Wcielenia cztery siostry z nią pojechały; tu mówi tylko o dwóch: — *las dos*, — jakby ich nie było więcej. Ale zapewne te dwie dla tego wyróżnia od drugich, że mniej na nich polegała niż na tamtych.

Stanąwszy w gospodzie, dowiedziałam się, że bawi tu w Arevalo zakonnik dominikanin, bardzo gorliwy sługa Boży, u którego spowiadałam się w czasie pobytu mego w klasztorze św. Józefa. W opisie fundacyi tego klasztoru szeroko mówiłam o cnotach jego; tu więc wymienię tylko jego nazwisko: był to Ojciec magister Dominik Banes. Jest to mąż wielkiej nauki i wysokiej roztropności, jego też zdaniem się kierowałam. W przedsięwzięciu mojem nie widział on tak wielkich trudności jak wszyscy, których rady zasięgałam; bo im kto lepiej pozna Boga, tem łatwiejszemi stają się jemu sprawy dla chwały Jego podjęte; wiedział także o niektórych łaskach, jakie Pan w Boskiej dobroci swojej mi czynił, i po tem, co na własne oczy oglądał przy fundacyi św. Józefa, wszystko już wydawało mu się zupełnie możliwem. Widzenie się z nim wielką było dla mnie pociechą, i mając zdanie i radę jego, pewna byłam, że wszystko się dobrze ułoży. Gdy tedy przyszedł do mnie, opowiedziałam mu pod sekretem, jak rzeczy stoją, na co on mię upewnił, że sprawa z augustyanami prędko, jak sądzi, da się załatwić. Mnie jednak i najmniejsza zwłoka wydawała się ciężką, bo nie wiedziałam, co począć z tylu siostrami. Tak więc spędziłyśmy całą tę noc w wielkim frasunku, bo i one wszystkie niebawem dowiedziały się w gospodzie o tem co zaszło.

Nazajutrz, zaraz zrana, przyjechał do nas Ojciec Antoni, przeor nasz, i oznajmił mi, że dom o kupno którego się ułożył, wystarczy, że jest w nim przedsionek, z którego można będzie zrobić kaplicę, przyozdobiwszy go nieco oponami. Postanowiłyśmy pójść za jego radą; mnie przynajmniej bardzo się ona podobała, bo im prędzej rzecz by się załatwiła, tem lepiej dla nas: raz że byłyśmy po za naszym klasztorem, a powtóre także dla tego, że nauczona doświadczeniem, przy pierwszej fundacyi nabytem, obawiałam się i tu jakiego przeciwieństwa, zaczem pragnęłam czemprędzej objąć w posiadanie nasze siedlisko, pierwej nimby się o nas dowiedziano. Postanowiłyśmy więc wykonać natychmiast nasz zamiar. Ojciec magister Dominik był także tego zdania. Stanęłyśmy w Medina del Campo w wigilię Najświętszej Panny sierpniowej — Wniebowzięcia Matki Boskiej,—o północy; nie chcąc robić turkotu, wysiadłyśmy przy

klasztorze św. Anny, i pieszo doszłyśmy do domu. Wielkie to miłosierdzie Pańskie, że nas po drodze nie napadł który z byków, które właśnie o tejże porze spędzano, do walki nazajutrz odbyć się mającej. Całkiem zajęte sprawą naszą, o niczem więcej nie myślałyśmy; ale Pan, który zawsze ma pieczę o tych, którzy pragną Mu służyć, wybawił nas, bo rzecz pewna, że nic tam innego nie miałyśmy na celu, jedno służbę Jego. Doszedłszy do domu, weszłyśmy na dziedziniec; mury już wtedy wydały mi się mocno zrujnowane, ale nie tak jeszcze mi się przedstawiły, jak je ujrzałam za dnia. Snać Pan na tego poczciwego Ojca dopuścił dobrowolną ślepotę, kiedy nie widział tego, że nie jest to miejsce, w któremby wypadało umieścić Przenajświętszy Sakrament.

Rozpatrzywszy się bliżej w onym przedsionku, znalazłyśmy go zawalonym gruzami, które trzeba było uprzątać; dach byle jak z desek sklecony, ściany porysowane i bez oprawy. Noc była już późna; kobierców miałyśmy z sobą zaledwo trzy, co było jakby nic, w porównaniu z rozmiarami ścian pokryć się mających. Nie wiedziałam co począć, bo widocznie byłoby nieprzyzwoitością w takiem otoczeniu ustawiać ołtarz. Ale wolą było Pana, by kaplica stanęła bez zwłoki, i łaskawem zrządzeniem Jego dostałyśmy niespodzianie czego nam było potrzeba. Zawiadowca tej pani miał u siebie w schowaniu wiele różnych jej dywanów, oraz namiot z adamaszku błękitnego, a dała mu była polecenie, bo była to osoba bardzo pobożna, by nam wydał cokolwiekbyśmy potrzebowały. Na widok tak bogatych przyborów, dzięki czyniłam Panu, i drugie pewno uczyniły podobnież. Ale jeszcze był kłopot z gwoździami, których nie miałyśmy z sobą, a trudno było chodzić po nie i kupować w nocy; poczęliśmy wreszcie wyrywać ćwieki ze ścian, i tak nakoniec, choć z trudem, nazbierało się ile ich było potrzeba. Wszyscy tedy zabraliśmy się do pracy: mężczyzni rozwieszali opony, my oczyszczałyśmy z gruzu i zamiatałyśmy podłogę, a tak raźno nam szła ta robota, że o pierwszym brzasku dnia już ołtarz był gotów, i dzwonek zawieszony w przeległym kurytarzu, zaczem natychmiast i kapłan wyszedł ze Mszą świętą. Równało się to formalnemu objęciu w posiadanie. Nikt się

z przybyłych na Mszę nie gorszył z ubóstwa naszego ołtarza, tembardziej że umieściłyśmy na nim Przenajświętszy Sakrament. My słuchałyśmy Mszy świetej przez szpary we drzwiach naprzeciwko ołtarza, bo innego dla nas miejsca nie było. Ja w onej chwili byłam uszczęśliwiona, bo każdy nowy kościół niezmierną jest dla mnie pociechą, iż przybywa w nim jedno więcej miejsce na mieszkanie Pana w Najświętszym Sakramencie. Ale nie długa była radość moja; gdym po Mszy świętej stanęła na chwilę w oknie i wyjrzałam na dziedziniec, ujrzałam w wielu miejscach całe szmaty murów rozwalonych i leżących na ziemi, co aby naprawić długiego na to będzie potrzeba czasu i niemałej pracy.

O Boże wielki! jaki żal i ciężkość ścisnęły mię za serce, gdym widziała Boski Majestat Twój tak wystawiony jakby na ulicy, i to jeszcze w tych czasach tak niebezpiecznych, jakich dożyliśmy dzięki tym lutrom! I wraz z tem strapieniem stanęły mi na myśli wszystkie trudności, ile mi ich zarzucać mogli ci, którzy tak stanowczo ganili mój zamiar, i jasno teraz uznawałam, że mieli słuszność. Zdawało mi się niepodobieństwem, bym mogła doprowadzić do skutku to co byłam podjęła; bo ile przedtem wszystko mi się wydawało łatwem, skoro w tem co czyniłam, miałam na celu chwałę Bożą, tyle teraz pokusa z taką siłą mię ściskała, iż zdawało mi się jakobym nigdy żadnej łaski od Boga nie otrzymała, i nic mi innego nie stało przed oczyma, jedno własna niskość i niemoc moja. Na takiej nędzy się opierając, jakiegoż mogłam spodziewać się pomyślnego skutku? Gdybym jeszcze była sama, łatwiejbym to przeniosła; ale na myśl o towarzyszkach moich, żeby one ze wstydem miały wracać do klasztoru, z którego wychodząc tyle przeciwieństwa poniosły, serce mi się krajało. I tem jeszcze się dręczyłam, że skoro tak z samego początku fałszywą drogą poszłam, snać więc i to już się nie spełni, co mi Pan był objawił, iż w dalszem następstwie uczyni. A wraz z tem udręczeniem tuż powstawała we mnie wątpliwość, czy to co byłam słyszała na modlitwie, nie było złudzeniem; i ta wątpliwość nie była najmniejszem, owszem była największem z cierpień, jakie

wówczas przebyłam: strach mię niewypowiedziany przenikał, czy snać nie zostałam oszukaną od dyabła.

O Boże wielki, jakiż to bolesny stan takiej duszy. którą spodoba się Tobie pozostawić w utrapieniu! Gdy wspomnę na to udręczenie wewnętrzne, i inne podobne, których kilkakrotnie w ciągu tych fundacyi doznałam, śmiało rzec mogę, że niczem wydają mi się w porównaniu wszelkie cierpienia fizyczne, jakkolwiek i tych dużo, i ciężkich, przebyłam. Towarzyszkom moim jednak, tego udręczenia mego, choć męki cierpiałam od niego, w niczem nie okazywałam, nie chcąc zwiększać jeszcze i tak już dotkliwego ich zmartwienia. W takim stanie pozostawałam cały dzień; wieczorem dopiero przyszedł do nas jeden z Ojców Towarzystwa, przysłany przez rektora, i przyjście jego i rozmowa z nim pocieszyły mię bardzo i dodały mi otuchy. Nie wyznałam mu wszystkich udręczeń moich; powiedziałam mu tylko, ile nad tem cierpię, że tak jesteśmy jakby na bruku. Wszczęłam starania o wynalezienie dla nas, za jakąbądź cenę, jakiego domu do najęcia, gdziebyśmy mogły się umieścić, dopókiby nasz nie był naprawiony. Wiele ludu wstępowało do naszej kaplicy, i było to dla mnie niejaką w strapieniu mojem pociechą, że nikt nie zwrócił uwagi na takie niestosowne umieszczenie jej; było to prawdziwie miłosierdzie Boskie, bo byłam najpewniejsza, że obaczywszy tę jej nagość i te ruiny, zabiorą nam Przenajświętszy Sakrament. Dotąd się dziwię tej powszechnej nieuwadze, że nikomu to na myśl nie przyszło; ale się i śmieję z dziecinnego wówczas strachu mego, bo zdawało mi się, że gdyby nas spotkało to nieszczęście, wszystko tem samem byłoby stracone.

Pomimo najusilniejszych poszukiwań, nie znalazł się w całem mieście ani jeden dom do najęcia. Wielki skutkiem tego miałam wciąż niepokój, i we dnie, i więcej jeszcze w nocy; bo chociaż każdej nocy stawiałam ludzi na straży Najświętszego Sakramentu, zawsze byłam w obawie żeby nie zasnęli; po wiele razy więc wstawałam i patrzałam przez okno, dla przekonania się naocznie, bo przy jasnem świetle księżyca dobrze było widać. co się dzieje na dworze. Przez wszystkie te dni wciąż wiele ludzi przychodziło, i nie tylko nic w urządzeniu kaplicy

naszej nie widzieli złego, ale owszem pobudzało ich to do pobożności, że widzą Pana jakby po raz wtóry wystawionego na ganku; a On w Boskiej łaskawości swojej, jako Mu nigdy nie dosyć poniżenia siebie dla nas, zdawało się że nigdy nie chce tego miejsca opuścić. Wreszcie, po ośmiu dniach, kupiec jeden, posiadający bardzo piękny dom, zaprosił nas byśmy zajęły górne piętro jego, upewniając że będziemy tam jakby u siebie. Miał tam bardzo dużą złoconą salę, którą nam oddał na kaplicę; a jedna pani, wielka służebnica Boża, mieszkająca blisko domu przez nas nabytego, — nazywała się Helena de Quiroga [1]), — przyrzekła nam pomoc swoję, abyśmy bezzwłocznie przystąpić mogły do zbudowania kaplicy, na umieszczenie Najświętszego Sakramentu, oraz i dom tak urządzić, abyśmy w nim były za klauzurą. Wielu innych dobroczyńców dawało nam hojne jałmużny na pożywienie i potrzeby życia; ale ta pani z nich wszystkich najskuteczniej nas wspomogła.

Odtąd już zaczął się dla mnie czas większego spokoju; w mieszkaniu użyczonem nam przez tego kupca, zupełną miałyśmy klauzurę, i mogłyśmy wrócić do odmawiania godzin kanonicznych. Z drugiej strony zacny nasz przeor gorliwie zajął się domem, i wiele pracy około naprawy jego łożył; trwało to jednak dwa miesiące, ale w końcu do tyla dom się urządził, że przez kilka lat jakie takie miałyśmy w nim pomieszczenie; później, z łaski Pana, stopniowo coraz dogodniejszym się stawał.

Bawiąc w tym nowym klasztorze, nie spuszczałam z oka zamierzonej także fundacyi klasztorów męskich; ale nikogo, jak mówiłam, nie mając do pomocy, nie wiedziałam jak to po-

[1]) O tej prawdziwie niepospolitej niewieście, która całe życie swoje, i w panieństwie, i w stanie małżeńskim, i we wdowieństwie, zdumiewająco bohaterskiemi jaśniała cnotami, i w końcu dwóch synów oddawszy Bogu na służbę, wślad za córką Hieronimą, równie świętą jak matka, wstąpiła do Karmelu, O. Ludwik da Ponte, w swem życiu O. Baltazara Alvarez, taką czyni wzmiankę: „Między duszami, któremi O. Baltazar z szczególną troskliwością kierował, była w Medina del Campo Donna Helena Quiroga, synowica kardynała Gaspara Quiroga, arcybiskupa toletańskiego, która później wstąpiła do Karmelu i żyła tam i umarła jak święta.“

czać. Postanowiłam wreszcie pomówić o tem w cztery oczy z miejscowym przeorem, i obaczyć, co też mi poradzi. tak i uczyniłam. Przeor, dowiedziawszy się odemnie o moim zamiarze, ucieszył się bardzo, i przyrzekł że sam pierwszy przyjmie reformę. Ja zrazu wzięłam to za żart, i otwarcie mu to wyznałam, bo jakkolwiek zawsze był dobrym zakonnikiem, i człowiekiem wewnętrznym, i bardzo gorliwym i kochającym się w samotności swej celi, a przytem i oddanym nauce, nie zdawało mu się jednak by mógł być odpowiednim do podjęcia takiej sprawy; sądziłam że ani ducha ani sił mu nie starczy do wytrzymania takiej surowości, jakiejby się poddać musiał, bo wątłej był budowy, i do tak ścisłej reguły, jak nasza, nie przyzwyczajony. On przecie, w odpowiedzi na te wątpliwości moje, upewniał mię, że się mylę, że on dawna już czuje w sobie powołanie Pańskie do życia surowszego, że nawet już miał postanowienie wstąpienia do Kartuzów, i że mu tam obiecano iż będzie przyjęty. Z tem wszystkiem jednak te zapewnienia jego, choć słuchałam ich z pociechą, nie zupełnie uspokoiły mię; prosiłem go zatem, byśmy sobie zostawili nieco czasu do namysłu, a oniby tymczasem zaprawiał się do tych rzeczy, do których miał się potem ślubem zobowiązać. Zgodził się na to, i tak upłynął cały rok, w ciągu którego tyle nań przyszło różnych utrapień, i prześladowań, i oszczerstw i fałszywych oskarżeń, iż widocznem było, że Pan sam chce go tym sposobem wypróbować; a on wszystko to znosił z niezną cierpliwością, coraz wyższe czyniąc postępy w doskonałości, co widząc, błogosławiłam Pana, iż sam w Boskiej łaskawości swojej tak go przysposabia do zamierzonego dzieła.

Wkrótce po onej rozmowie mojej z przeorem, przybył do Medina młody zakonnik, zostający na studyach w Salamance, nazywał się Brat Jan od Krzyża. Starszy Ojciec, któremu był dodany za towarzysza, mówił mi z wielkiemi pochwałami o dziwnie świątobliwem życiu jego, za co z pociechą wielką dzięki czyniłam Panu. Poznawszy go, większą jeszcze radość miałam z mojej z nim rozmowy. Wyznał mi, że i on także zamierza wstąpić do Kartuzów. Na to objawiłam mu zamiar mój, prosząc go usilnie, by się wstrzymał, aż Pan sam da własny

klasztor, i przedstawiając mu, że skoro pragnie wyższej doskonałości, daleko lepiej będzie, i z nierównie większą chwałą Boga, gdy we własnym zakonie życie doskonalsze zaprowadzi. Przyrzekł mi, że tak uczyni, byleby tylko sprawa zbytnie się nie przewlokła. Mając tym sposobem już dwóch Braci [1]) na pierwszy początek, tak byłam pewna pomyślnego skutku nowej fundacyi, jak gdyby już była gotowa. Wszakże, nie zupełnie jeszcze dowierzając przeorowi i nie mając jeszcze zapewnionego miejsca na założenie nowego domu, wolałam jeszcze jakiś czas się wstrzymać.

Tymczasem siostry nasze coraz większe zjednywały sobie w mieście poważanie, i coraz większem otaczano je poszanowaniem i miłością; i słusznie, jak sądzę; bo wszystkie one nic innego nie miały na myśli, jedno jakoby każda doskonalej służyła Panu. We wszystkiem stosowały się do porządku życia przyjętego u św. Józefa w Awili, tąż samą rządząc się regułą i też same zachowując konstytucye. Pan także przymnażał nowych powołań, i tak wielkiemi te dusze łaskami obsypywał, że aż zdumiewałam się nad niemi. Niech będzie błogosławiony na wieki, amen; snać niczego więcej nie czeka, jedno miłości naszej, aby nam okazał swoję.

ROZDZIAŁ IV.

O szczególnych łaskach, jakie Pan czyni siostrom w tych klasztorach naszych. Przestrogi dla przełożonych, jak się w obec nich mają zachowywać.

Nim postąpię dalej w tem opowiadaniu mojem,—nie wiedząc, ile mi Pan jeszcze da życia i czasu swobodnego, a mając go nieco w tej chwili,—zdało mi się rzeczą właściwą zamieścić tu niektóre uwagi dla przełożonych, aby wiedziały, jak mają postępować z podwładnemi swemi, i prowadzić dusze ich mając

---

[1]) Czyli jak Święta mawiała żartobliwie, „półtora Brata“, Jana od Krzyża, dla młodego wieku i niskiego wzrostu jego, zowiąc „półbratkiem“ — „*medio fraile.*“

na względzie, nie tyle własne ich upodobanie i zadowolnienie, ile raczej rzeczywisty postęp ich w doskonałości. Zaznaczę tu nasamprzód, że w chwili, gdy mi kazano opisać te fundacye, oprócz pierwszego domu św. Józefa w Awili, o którym zaraz po założeniu jego się pisało, było z łaski Pana założonych drugich siedm, aż do fundacyi w Alba de Tormes, która w tej kolei była ostatnią; że zaś do onego czasu nie założyło się ich więcej, przyczyną temu było moje skrępowanie innemi obowiązkami, jakie na mnie włożyli przełożeni, o czem jeszcze w dalszym ciągu będzie mowa. Zastanawiając się tedy nad tem, co w ciągu tych lat stało się w rzeczonych klasztorach w porządku rzeczy duchownych, uznałam konieczność powiedzenia tego co tu chcę powiedzieć; daj Boże bym umiała tak dokładnie i jasno mówić o tych rzeczach, jak widzę że mówić o nich potrzeba. Otóż, skoro łaski, których siostry doznają, nie są oszukaniem ani zmamieniem, potrzeba więc nie dopuszczać do duszy żadnego z ich powodu niepokoju i trwogi; bo jak to już na innych miejscach powiedziałam, w małych jakie dla sióstr ułożyłam pisemkach, kto postępuje z czystem sumieniem i w duchu posłuszeństwa, nad tem nigdy Pan nie dopuści złemu duchowi takiej mocy, iżby zdołał oszukać go i duszy jego zaszkodzić; przeciwnie, sam zawsze na zdradach swoich się oszuka. Wie on o tem dobrze; i przetoż nie tyle szkody, sądzę, on nam wyrządzić może, ile my jej same sobie wyrządzamy, folgując wyobraźni i złym humorom naszym, zwłaszcza jeśli jeszcze przyłączy się do nich melancholia; bo niewieście przyrodzenie nasze słabe jest, a miłość własna, panująca w nas, bardzo subtelna. Jakoż, mając do czynienia z wielą dusz, które się do mnie udawały, między któremi byli i mężczyźni, ale więcej niewiast, nie mówiąc już o siostrach tych klasztorów naszych, jasno się przekonałam, że bardzo często, mimo woli i wiedzy, same siebie łudzą i w błąd wprowadzają. Zapewne, że może się w to wdawać i dyabeł, dla naigrawania nas; ale bądź co bądź wśród tylu dusz, które, jak mówię, poznałam, nie znalazłam żadnej, którąby Pan w dobroci swojej był z opieki swej wypuścił. Na to snać dopuszcza na nie te próby, aby w nich wyćwiczone, z własnego doświadczenia poznały drogi życia duchowego.

Tak się dziś, dla grzechów naszych, obniżyły na świecie pojęcia o modlitwie bogomyślnej i doskonałości chrześcijańskiej, iż dla oddania duszom chęci i odwagi, potrzeba im takiego, jak je tu daję, objaśnienia rzeczy. Bo kiedy tylu ich boi się wstąpić na tę drogę, choć niebezpieczeństwa na niej nie widzą, cóżby dopiero było, gdybyśmy im mówili, że jest niebezpieczeństwo? W prawdzie grozi nam ono wszędzie i na każdym kroku, i w każdej rzeczy, póki żyjemy, potrzeba nam postępować z bojaźnią, prosząc Pana aby nas oświecał, i nie opuszczał nas. Lecz, jak o tem, zdaje mi się, na innem miejscu mówiłam [1]), jeśli może być jaki rodzaj życia, nierównie mniej niż drugie wystawiony na niebezpieczeństwo, jest to życie tych, którzy usilniej starają się mieć myśl zwróconą do Boga, i pracować nad udoskonaleniem siebie.

O Panie mój! gdy wspomnimy, ile razy, choć sprzeciwiamy się woli twojej, wybawiasz nas z niebezpieczeństw na jakie przez to sami się wystawiamy, jaki sposób przypuścić, byś nie miał nas wybawić, gdy niczego więcej nie mamy na celu i nie pragniemy, jedno tego, by spodobać się Tobie, i cieszyć się posiadaniem Ciebie? To rzecz niepodobna, i nigdy nie uwierzę by to być mogło. Może być że Bóg w ukrytych sądach swoich dopuści pewne rzeczy, i takie lub inne zrządzenia: ale nigdy z dobrego nie może wyniknąć złe. Niechże nam ta pewność będzie pobudką, nie byśmy miały cofać się wstecz, ale byśmy tem raźniej postępowały naszą drogą, i tem lepiej się spodobały Boskiemu Oblubieńcowi naszemu, i tem prędzej Go znalazły; nie byśmy na przyszłość dawały jeszcze miejsce niepokojom i trwogom, ale byśmy raczej odważnie i mężnie szły naprzód po tych stromych i ostrych wertepach, jakiemi są drogi tego życia; boć w końcu, idąc naprzód w pokorze, przez miłosierdzie Boskie dojdziemy do onego miasta Jeruzalem, kędy w porównaniu z roskoszą tam nam zgotowaną, maluczką, wspomnienia niegodną rzeczą, czyli raczej niczem będzie się nam wydawało wszystko, cokolwiek tu ucierpiałyśmy.

---

[1]) W księdze *Życia*, r. 37.

W miarę jak poczęły się zaludniać te gołębińce Najświętszej Panny, Pani naszej, Boski też Majestat Pana począł objawiać wielmożności swoje w tych niewiastkach, słabych z przyrodzenia, ale mocnych i mężnych w żądzach świętych i w oderwaniu się od wszystkiego stworzenia, to jest w tem, czem snać najściślej dusza łączy się ze Stwórcą swoim, jeśli ma czyste sumienie. Ostatni ten warunek niepotrzebnie dodałam, bo prawdziwe oderwanie się, zdaniem mojem, nie może być bez usilnej pilności i stanowczej woli chronienia się wszelkiej obrazy Boskiej. I jako te święte dusze we wszystkich mowach i uczynkach swoich nigdy się nie oddalały od Niego, tak i Boski Pan nawzajem nie mógł, rzekłbyś, przenieść tego na sobie, by na chwilę rozłączył się z niemi. Są to rzeczy, na które tu patrzę na własne oczy, i z wszelką prawdą poświadczyć mogę. Te zaś które po nas przyjdą, gdyby czytając to, nie widziały już pośród siebie tych łask nadzwyczajnych, jakie tu mają opisane, niech się zatrwożą o siebie, niech tej zmiany na gorsze nie przypisują czasom zmienionym; bo u Boga nie masz różnicy czasów, i dobroć Jego każdego czasu gotowa jest wielkie łaski czynić tym, którzy szczerem sercem Mu służą; niech patrzą raczej i obaczą, czy same nie opuściły się w służbie Bożej, i niech postarają się opuszczenie swoje naprawić.

Nieraz, gdy mowa o pierwszych początkach zakonów, słyszę takie zdanie, że świętym onym ojcom naszym Pan większych łask użyczał, jako tym którzy mieli być fundamentem duchownej zakonu budowy. Prawda. Ale i o tem należałoby nam zawsze pamiętać, że my także jesteśmy fundamentem dla tych, którzy po nas przyjdą; i gdybyśmy my dziś żyjące, nie odstępowały od przykładów, jakie nam zostawili ci którzy żyli przed nami, i gdyby te, które będą po nas, czyniły podobnież, budowa stałaby zawsze mocna i niewzruszona. Cóż mi to pomoże, że oni święci dawnych czasów tak byli doskonali, jeśli ja, nastąpiwszy po nich, tak jestem niedoskonała, iż życiem mojem niecnotliwem niszczę to, co oni zbudowali? Boć to rzecz jasna, że nowowstępujący nie tyle stosują się do tych, którzy dawno temu zeszli z tego świata, ile raczej do

do tych, których widzą przed sobą obecnych. Zabawna to rzecz, bym miała nędze moje składać na to, że nie było mi dano żyć w onych pierwszych czasach, bym nie w tem raczej uznawała jej przyczynę, że życie i cnoty moje tak daleko pozostają w tyle za życiem i cnotami tych, którym Bóg tak wielkich łask użyczał.

O Boże mój! jakież to marne wymówki, jakie oczywiste łudzenie siebie! Cóż z tego, że założycielom zakonów Bóg, tem samem że do wielkich rzeczy ich wybrał, większą też dał łaskę? Mnie to cięży, i to mię boli, mój Boże, że taka jestem niecnotliwa i taka w służbie twojej niepożyteczna, i jeżli mnie nie dajesz tych łask, jakich użyczałeś ojcom moim, wiem dobrze, że ja sama tylko jestem temu winna. Żałość mię ogarnia, Panie, gdy życie moje z ich życiem porównam, i bez łez o tem wspomnieć nie mogę. Widzę, że co oni zapracowali, to ja zmarnowałam, i żadną miarą nie mam prawa żalić się o to na Ciebie; jak i żadna z nas nigdy się słusznie na Ciebie żalić nie może, ale jeśli widzi w zakonie swoim jakie rozluźnienie, niechaj się stara by sama się stała kamieniem węgielnym, na którymby budowa upadająca na nowo się wzniosła, a Pan dopomoże.

Wracając teraz do tego, o czem byłam zaczęła mówić, a daleko odeszłam od przedmiotu, tak wielkie są łaski, jakie Pan czyni w tych domach, że na jednę siostrę, jeśli jeszcze taka się znajdzie, którąby prowadził drogą zwykłego rozmyślania, wszystkie drugie dochodzą do szczytów doskonałej bogomyślności; niektóre Pan wznosi jeszcze wyżej, i zsyła na nie zachwycenia; innym jeszcze innych łask użycza, połączonych z objawieniami i widzeniami, wyraźnie i niewątpliwie pochodzącemi od Niego. Nie masz w tej chwili domu, w którymby się nie znalazła jedna, albo dwie, albo trzy, takiemi nadzwyczajnemi łaskami zaszczycone. Wiem-ci dobrze że świętość nie na tem się zasadza; nie na to też o tych rzeczach wspominam, abym je tylko chwalić chciała, ale aby się okazało, że uwagi i przestrogi, jakie tu daję, nie są zbyteczne.

ROZDZIAŁ V.

O modlitwie bogomyślnej i objawieniach: uwagi i przestrogi przydatne, szczególnie duszom powołanym do pracy zewnętrznej.

Nie jest zamiarem ani myślą moją, by to, co tu powiem, tak było dokładnie i trafnie wyrażonem, iżby miało służyć za nieomylne prawidło: podobne roszczenie, w rzecach tak trudnych, byłoby niedorzecznem. Różne w tem życiu duchownem, i dążeniu do doskonałości, są drogi: może więc o której z nich zdołam coś powiedzieć, coby trafiło do przekonania i odpowiadało potrzebie tych, które to czytać będą; któreby zaś, nie będąc na tej drodze, tego co powiem, nie zrozumiały, będzie to właśnie dowód, że idą inszą drogą; a choćby wreszcie te uwagi moje nie przydały się żadnej. Pan zawsze przyjmie dobrą wolę moję, bo wie i widzi, że tylko to powiem, o czem wiem z własnego doświadczenia, albo czego nie doświadczyłam sama, to widziałam w drugich, i patrząc na przejścia ich wewnętrzne, poznałam.

Nasamprzód, chcę tu objaśnić, wedle słabego rozumienia mego, na czem polega istota doskonałej modlitwy wewnętrznej. Znam takich, którzy sądzą, że wszystko tu się zasadza na rozumie, jeśli zdołają, choćby z wielkiem natężeniem, dłuższy czas trzymać myśl utkwioną w Bogu, już tem samem zdaje im się, że są ludźmi duchownymi, a gdy uwaga ich, nie mogąc znieść tego ciągłego naprężenia, odwróci się od Boga do rzeczy postronnych, chociażby dobrych, dręczą się tem roztargnieniem swojem, i pocieszyć się nie mogą, i zdaje im się, że wszystko stracone. Takie niezrozumienie rzeczy rzadziej się zdarza u mężów uczonych, chociaż i między nimi napotkałam niektórych, którzy podobnemu błędowi podlegali: ale nam niewiastom łatwiej weń popaść, i pilniejszej nam przeciw takim ciemnym pojęciom potrzeba przestrogi. Nie mówię by nie było to łaską od Pana, jeśli kto może zagłębiać się w ustawicznem rozważaniu cudownych spraw Jego, i dobrze robi kto o tę łaskę się stara. Ale należy pamiętać, że nie wszystkie wyobraźnie zdolne są z natury swojej ciągle rozmyślać, gdy

przeciwnie wszystkie dusze zdolne są kochać, a na tem, nie na rozmyślaniu, zasadza się doskonałość. O przyczynach, — nie wszystkich zapewne, bo to byłoby niepodobna, ale o głównych przynajmniej, — z których powstaje niestałość wyobraźni naszej, pisałam na innem miejscu, tu więc już o nich mówić nie potrzebuję. To tylko chciałbym tutaj jaknajmocniej zaznaczyć, że dusza nie jest samą wyobraźnią tylko, i nie od tej ostatniej wola powinna przyjmować rozkazy, co byłoby wielkiem dla niej nieszczęściem, jak się o tem wyżej mówiło; że zatem postęp duszy nie na tem polega, aby dużo rozmyślała, jedno na tem, by dużo miłowała. Jaką drogą, pytacie, nabywa się tej miłości? Droga do miłości, odpowiadam, ta jest, gdy dusza mocną i stanowczą ma wolę, dla miłości Boga pracować i cierpieć, i skoro nadarzy się sposobność, to postanowienie swoje czynem wypełnia.

Prawda, że do tego postanowienia przychodzi dusza przez rozmyślanie o tem, co jesteśmy winni Bogu, i kto On, a kto my; i takie rozmyślanie wielką ma zasługę, i dla poczynających bardzo jest odpowiednie. Ale to się ma rozumieć o tyle, o ile rozmyślaniu nie staje w drodze obowiązek posłuszeństwa albo pożytek drugich, to jest obowiązek miłości bliźniego; w takim razie bowiem, gdy się nastręcza który z tych dwu obowiązków, potrzeba go spełnić bez odkładania, opuszczając to, co najgoręcej pragnęłybyśmy, jak nam się zdaje, poświęcić Bogu, to jeśli te najpożądańsze chwile samotnego o Nim rozmyślania, i używania tych słodkich pociech któremi On nas darzy. Zrzekając się tych słodkości, dla spełnienia którego z onych dwu obowiązków, prawdziwie dajemy je Panu w ofierze, i dla Niego pracujemy, jako On sam to Boskiemi usty swemi oznajmił, mówiąc nam: — „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili.[1])“ To mówi o uczynkach miłości bliźniego; a co się tyczy posłuszeństwa, pewno On nie chce, by, kto szczerze Go kocha, szedł inną drogą, niż tą, którą sam tak bardzo ukochał, „stawszy się posłusznym

[1]) Mat. 25, 40.

aż do śmierci.[1])“ Lecz jeśli tak jest, skądże więc pochodzi niesmak jakiego najczęściej doznajemy, ile razy cały dzień, lub większą część dnia odjęta nam była możność zostawania na samotności i pogrążania się w Bogu, chociaż zajęte pełnieniem obowiązków zewnętrznych, wiemy przecie że nie traciłyśmy czasu na próżno? Pochodzi to, zdaniem mojem, z dwojakiej przyczyny, z których pierwszą i główną jest miłość własna, która w to się mięsza, a tak subtelna, że trudno ją rozpoznać, to jest innemi słowy, że sami sobie sprawy z tego nie zdając, pragniemy raczej zadowolnienia własnego niż upodobania Bożego. Boć łatwo to zrozumieć, że skoro dusza poczęła już kosztować, jako słodki jest Pan [2]), większe ma z tego zadowolnienie, gdy ciało odpoczywa wolne od pracy zewnętrznej, a sama używa tych duchownych roskoszy.

O jakże inaczej czuje i czyni miłość tych, którzy prawdziwie miłują tego Pana, i znają serce Jego! Jakżeby mogli używać wczasów, gdy widzą że choć w małej cząstce mogą się przyczynić do postępu jakiej duszy, aby się pomnożyła w miłości Bożej, albo wesprzeć ją dobrą radą, albo obronić ją od grożącego jej niebezpieczeństwa? Jakże nieznośnie, w obec takiej potrzeby bliźniego, męczyłoby ich własne odpoczywanie! Serce z żalu się kraje takiemu prawdziwemu miłośnikowi, na widok tylu dusz idących na zgubę; i kiedy nie może ratować ich czynem, modlitwą nieustanną błaga za niemi Pana; i tak traci roskosz swoję, i rad jest z tej utraty, bo nie zważa na własne zadowolnienie swoje, jedno na to, jakby najlepiej czynił wolę Pańską. Tak samo jest i z posłuszeństwem: gdy Bóg daje nam rozkaz i wyraźnie wskazuje obowiązek którym chce byśmy się w danej chwili zajęły, niepięknie byłoby kazać Mu czekać, i siedzieć wpatrując się w Niego, dla tego że tak nam przyjemniej. Szczególniejszy to sposób ćwiczenia się w miłości Bożej, tak Bogu wiązać ręce i narzucać Mu tę drogę, jaka nam się podoba, jakoby żadną inną nie mógł nas doprowadzić do celu!

---

[1]) Filip 2, 8. — [2]) Ps. 33, 9.

Pomijając tu, jak mówiłam na wstępie, własne moje w tej mierze doświadczenia, odwołuję się do tego, co widziałam w niektórych innych duszach, które znam, i z niemi obcowałam, i przez nie przyszłam do zrozumienia tej prawdy. I ja wówczas bardzo się tem trapiłam, że mało miałam czasu do modlitwy, i nad niemi również się litowałam, widząc je wciąż zajęte około różnych zatrudnień i prac zewnętrznych, zleconych im przez posłuszeństwo. Myślałam sobie, i im to nieraz mówiłam, że niepodobna w takim odmęcie postąpić w życiu wewnętrznem, i wówczas istotnie mało go miały. O Panie, jakże różne są drogi twoje od poziomych myśli naszych! I jaka to prawda, że skoro dusza raz zdobędzie się na stanowczą wolę miłowania Ciebie, i odda się w ręce twoje, Ty niczego więcej od niej nie żądasz, jedno by była posłuszną, i pilnie patrzała, jak lepiej Tobie usłużyć może, i tego pragnęła: wtedy już nie ma potrzeby troszczyć się o drogi, i sama je sobie wybierać, bo wola jej cała już do Ciebie należy. Ty sam, Panie mój, bierzesz na siebie troskę o nią i staranie, i wiedziesz ją drogą, jaka wiesz że dla niej będzie najlepszą. I chociażby przełożony w rozporządzeniach swoich nie miał na pierwszym względzie tego starania o postęp dusz naszych, ale myślał tylko o rzeczach doczesnych, dla dobra zgromadzenia, wedle rozumienia jego, potrzebnych, Ty, Boże mój, o duszach naszych pamiętasz, i tak niemi kierujesz i powszednie ich sprawy tak rozrządzasz, iż nieznacznie, sami nie wiemy jak, samem tylko wiernem i posłusznem dla miłości Boga spełnianiem tych nakazanych nam rzeczy zewnętrznych, pomnażamy się w życiu wewnętrznem, i z czasem, ku wielkiemu zdumieniu naszemu, wielki w sobie spostrzegamy postęp w doskonałości.

Taką drogą do wysokiej doskonałości doszedł pewien zakonnik, z którym jeszcze niedawno temu rozmawiałam. Przez piętnaście lat tak był obarczony pracą w różnych urzędach i przełożeństwach, które nań wkładało posłuszeństwo, że przez cały ten czas nie pamięta by miał jeden dzień swobodny dla siebie, i tylko starał się ile mógł, w różnych porach dnia choć na chwilę uklęknąć na modlitwę, czuwając przy tem nad sobą, aby zawsze miał czyste sumienie. Nie spotkałam nigdy duszy

bardziej rozmiłowanej w posłuszeństwie: stąd i słowa jego miłość tej cnoty wzbudzają w każdym, kto je słyszy. Hojnie mu Pan za to odpłacił: z łaski Jego, sam nie wie jak, doszedł on do tej nieocenionej, najpożądańszej swobody ducha, którą się cieszą doskonali, i w której znajdują wszystko szczęście, jakiego może człowiek pragnąć w tem życiu: bo niczego nie pożądając, wszystko posiadają. Niczego na tej ziemi nie boją się ani nie pragną: ani ich żadne utrapienie nie zgnębi, ani żadna pociecha ziemska zbytnie nie wzruszy: słowem żadna odmiana czy przygoda nie zdoła zakłócić wewnętrznego ich pokoju, bo pokój ten wszystek na Bogu samym polega: a ponieważ Boga nikt im wydrzeć nie zdoła, więc jedna tylko troska w tem życiu może im dolegać, to jest obawa, by sami Go z własnej winy nie stracili: wszelkie zaś inne rzeczy tego świata są dla nich jakby nie były, bo żadna tego szczęścia i zadowolnienia, jakie nosi w sobie, ani mu zwiększyć ani umniejszyć nie zdoła.

O błogosławione posłuszeństwo, i wszelkie, dla posłuszeństwa, od pociech duchownych oderwanie się, iż do takiej doskonałości [illegible] jest duszę doprowadzić! Zakonnik, o którym mówiłam, nie jest jedynym tego przykładem: znam inne dusze jemu podobne. Spotkawszy się z niemi po długoletniem niewidzeniu, pytałam ich, co przez ten czas porabiały, i dowiedziałam się, że wszystkie te lata zeszły im na pracach i posługach posłuszeństwa i miłości bliźniego: a przytem jednak znalazłam je tak wysoko posunięte w życiu duchownem, że aż się zdumiewałam. Odwagi więc, córki moje, nie dawajcie miejsca smutkowi: ale gdy posłuszeństwo posyła was do posług zewnętrznych, bądźcie tego pewne, że i w kuchni także, wśród garnków i rondlów, Pan jest z wami, i wewnątrz i zewnątrz was wspiera.

Wspomnę tu, co mi opowiadał pewien mój znajomy, zakonnik. Był sobie mocno i niezachwianie postanowił, że cokolwiekby mu rozkazał przełożony, choćby rzecz najtrudniejszą, nigdy się nie wymówi. Pewnego dnia, późnym już wieczorem, wyczerpany całodziennym trudem i już nie mogąc utrzymać się na nogach, szedł do siebie, chcąc usiąść i odpo-

cząć trochę. W tem spotkał go przełożony, i kazał mu wziąć motykę, i pójść kopać w ogrodzie; a on, choć tak strudzony na całem ciele i ledwo mogący się ruszać, nie odpowiadając ani słowa, wziął motykę swoję i zabrał się do spełnienia rozkazu; aż oto, w chwili gdy szedł gankiem wiodącym do ogrodu, — sama na własne oczy oglądałam to miejsce, gdy w wiele lat potem wypadło mi tamże nowy dom założyć, — ukazał mu się Boski Zbawiciel z krzyżem na barkach, tak umęczony i pod ciężarem swoim upadający, iż na widok Jego żywo uczuł i jasno zrozumiał on zakonnik, jako strudzenie i cierpienie jego niczem jest, w porównaniu z tem, co ucierpiał Pan Jezus.

Co do mnie, mam to przekonanie, że wszelkie niesmaki i ciężkości, jakie nam nieraz przeszkadzają do posłuszeństwa, są poduszczeniem złego ducha, który dla tego je nam pod różnemi pięknymi pozorami podsuwa, że wie o tem i widzi, iż nie masz drogi, któraby prędzej wiodła do najwyższej doskonałości, nad tę drogę posłuszeństwa, i niech każda dobrze to rozważy, a przekona się, że mówię prawdę. Bo na czem polega najwyższa doskonałość? rzecz widoczna, że nie polega na pociechach wewnętrznych, ani na tem by kto miewał wielkie zachwycenia, i widzenia, i ducha proroctwa; jedno na tem, by wola nasza tak była zgodną z wolą Boga, iżby nie było takiej rzeczy, której, skoro wiemy że Bóg jej chce, i my byśmy jej nie chcieli całą wolą naszą, i równie ochotnie przyjmowali rzeczy gorzkie jak i rzeczy przyjemne, gdy wiemy, że taka jest wola Jego. Takie zrzeczenie się wszelkiej woli własnej wydaje się nad wyraz trudnem; i w rzeczy samej bardzo to trudno, nie tyle jeszcze czynić rzeczy, wręcz i ze wszech miar woli i przyrodzonym skłonnościom naszym przeciwne, ile raczej, o co głównie tu chodzi, czynić je z wewnętrznem zadowolnieniem. Ale miłość, gdy jest doskonała, ma tę moc, że pod jej wpływem zapominamy o własnem zadowolnieniu naszem, aby tylko zadowolnić tego, kogo miłujemy. Wówczas prawdziwie, wszelkie choćby najsroższe utrapienia, gdy wiemy, że znosząc je, będziemy przyjemnymi Bogu, stają się dla nas słodkiemi; i taka jest miłość tych, którzy do tego doszli, że ko-

chają się i weselą się w prześladowaniach i zelżywościach, i wszelkich uciskach.

Są to rzeczy tak niewątpliwe, i powszechnie wiadome, i jasne, że nie mam potrzeby dłużej się nad niemi rozwodzić. Chcę tu tylko bliżej objaśnić przyczynę, dla czego posłuszeństwo najprędzej tu, zdaniem mojem, do celu prowadzi, i najprzedniejszym jest środkiem do osiągnięcia tego szczęśliwego stanu. Przyczyna jest ta: woli naszej żadną miarą nie zdołamy tak opanować, iżby cała, jakby czyste i nieskalane naczynie, napełniła się Bogiem, jedno gdy nasamprzód uczynimy ją poddaną rozumowi: do tego zaś jedyną prawdziwą drogą jest posłuszeństwo. Rozumowania i racye, choćby najlepsze, nic tu nie poradzą; bo natura i miłość własna tyle na nie mają pogotowiu racyi przeciwnych, że tą drogą nigdy nie dojdziemy do końca: nieraz rzecz najlepsza, gdy do niej nie mamy ochoty wyda nam się niewczesną, dla tego jedynie, że nam się nie chce ją spełnić.

Nie skończyłabym nigdy, gdybym chciała wypowiedzieć wszystko, co byłoby do powiedzenia o tej wojnie wewnętrznej, i o tych niezliczonych złudach i mamidłach, któremi czart, i świat, i własna zmysłowość nasza usiłują nas zwieść z prostej drogi rozumu. Cóż więc począć na to? Oto, podobnie jak w zawiłym i wątpliwym procesie, obie strony, sprzykrzywszy sobie bezowocne prawowanie się obierają sobie rozjemcę, i w jego ręce sprawę swoję składają, tak i dusza niech się zda na takiego rozjemcę, przełożonego czy spowiednika, z mocnem postanowieniem, że już się więcej prawować, ani sprawy swojej sama rozsądzać nie będzie, z zupełną ufnością polegając na słowie Pana, który mówi: „Kto was słucha, Mnie słucha [1]. zatem i nie troszcząc się już zgoła o wolę swoję. Takie zrzeczenie się siebie bardzo jest przyjemnem Panu, — i słusznie, bo przez nie oddajemy we władanie Jego tę wolną wolę, którą On nam dał. Nieraz to zrzeczenie się sprawi nam mękę wewnętrzną, nieraz wznieci w nas tysiączne burze i walki: nie-

[1]) Łuk. 10, 16.

raz sąd na nas wydany będzie nam się zdawał niesprawiedliwym i bez sensu: ale nie zważając na te trudności i wstręty, i odważnie pasując się z sobą w tem bolesnem potykaniu się wewnętrznem, dochodzimy do zgodzenia się z wolą przełożonych, i ostatecznie, z przykrością czy bez przykrości, spełniamy co nam każą. A Pan w tej walce tak skuteczną pomoc nam niesie, iż dla tego właśnie i za to, że dla miłości Jego wolę naszę i rozum pod jarzmo posłuszeństwa oddajemy, zupełnej swobody wewnętrznej i zupełnego nad wolą naszą panowania z daru łaski Jego nabywamy. Wówczas już, będąc całkiem Panami samych siebie, możemy bez podziału oddać się Bogu, ofiarując Mu wolę czystą, aby On ją połączył ze swoją, i błagając Go aby zesłał z nieba ogień miłości swojej, i pochłonął tę ofiarę, oczyszczoną już z wszystkiego, coby mogło nie podobać się Jemu. Bo z naszej strony uczyniłyśmy co mogłyśmy, aby Mu ją uczynić przyjemną, i choć z wielkim bólem i trudem, już przecie złożyłyśmy ją na ołtarzu, i już ona, ile z nas jest, nie dotyka ziemi.

Rzecz jasna, że nikt nie może dać tego czego nie ma, ale potrzeba by sam pierwszy posiadał to, co ma dawać drugim. Dla nabycia zaś i posiadania tego skarbu, nie masz, wierzajcie, pewniejszej drogi nad tę, byśmy go trudząc się i kopiąc dobywali z tej kopalni posłuszeństwa; im dalej w nią się zagłębimy, tem obficiej się zbogacimy; im ochotniej poddamy się człowiekowi, zastępującemu miejsce Boga, nie chcąc mieć inszej woli, jedno wolę starszych naszych, tem bardziej będziemy panami woli naszej, dla zgodzenia jej z wolą Boga. Powiedzcie, siostry, czy nie sowicie opłaci się nam tym sposobem zrzeczenie się pociech samotności? Brak tych pociech, upewniam was, nie będzie wam przeszkodą w przysposobieniu się do osiągnięcia tego prawdziwego zjednoczenia, o którem mówię, to jest stania się woli naszej jednąż z wolą Bożą. To jest zjednoczenie, którego pragnę dla siebie, i które chciałabym widzić w was wszystkich, nie zaś one bardzo słodkie napawania się Bogiem, jakie zdarzają się w życiu duchownem, i zwykle zowią się zjednoczeniem. Chociaż i to roskoszne zjednoczenie będzie waszym udziałem, jeśli jedno nastąpi po

onem pierwszem; lecz jeśli po tych słodkich uniesieniach pozostaje mało posłuszeństwa a dużo woli własnej, sądzę, że taka dusza ma zjednoczenie z wolą swoją, nie zaś z wolą Bożą. Obym z łaski i dobroci Pańskiej tak umiała czynem spełniać te prawdy, jak je jasno rozumiem!

Jest druga jeszcze przyczyna, dla której przykro nam porzucać samotność dla zajęć zewnętrznych, ta mianowicie, że na samotności mniej bywa okazyi do obrazy Boskiej, — choć i tu są niebezpieczeństwa, bo gdziekolwiekbyśmy się obrócili, czart wszędzie trafi za nami, i wszędzie nosimy z sobą samych siebie, — a zatem i łatwiej duszę czystą zachować, i ile straszną jest dla duszy kochającej Boga sama myśl i możność obrażenia Go, tyle racą jest i niewypowiedzianę czuje pociechę, gdy znajdzie się na miejscu bezpiecznem, wolnem od szkopułów, o któreby się potknąć mogła. Ten powód do uchylenia się ile możności od obcowania z ludźmi, przyznaję, że wielką ma siłę, daleko większą, zdaniem mojem, niż wzgląd na pociechy i słodkości, jakich nam Bóg zwykł użyczać na samotności.

Ale tu właśnie, córki moje, nie w ukryciu cichego zakątka, jedno wśród walki pokus, okazuje się moc i statek miłości. I lubo tu częstsze mogą się zdarzać uchybienia, niekiedy i małe upadki, wszakże zysk dla duszy, wierzajcie, bez porównania jest większy. Mówię to, rozumie się, zawsze w tem przypuszczeniu, że posłuszeństwo lub miłość bliźniego do tego wyjścia z ukrycia nas skłania, inaczej bowiem, gdy ten dwojaki powód nie nagli, zawsze wracam do tego, że lepsza jest samotność; owszem i wtedy, gdy ją opuszczamy dla posług zewnętrznych, zawsze jej pragnąć powinniśmy, i w rzeczy samej, każda dusza prawdziwie miłująca Boga ustawicznie do niej tęskni. Zysk zaś, o którym mówiłam, w tem jest, że okazye na jakie będziemy wystawieni, pokażą nam, czem jesteśmy, i jak daleko starczy cnota nasza. Żyjąc ciągle na osobności, jakkolwiekbyśmy mogli wydawać się świętymi, nie wiemy przecie, czy jest w nas pokora i cierpliwość, ani nie mamy sposobu przekonania się o tem. Tak i żołnierza nie poznasz, czy jest walecznym czy nie, aż gdy go ujrzysz potykającego się z nieprzyjacielem. Świętemu Piotrowi zdawało się, że jest bardzo

mężnym, ale wiemy jakim się okazał w próbie; aż gdy powstawszy z upadku, i już nie ufając samemu sobie, wszystką ufność swą w Bogu położył, wtedy prawdziwie stał się mężnym i poniósł to męczeństwo, którego świat był świadkiem.

O Boże wielki! gdybyśmy znali głębokość nędzy naszej! Bez tej znajomości, wszędzie nam grozi niebezpieczeństwo, i dla tego dobrze nam, i bardzo dobrze, gdy nam każą takie rzeczy, z którychbyśmy poznali niskość naszę. Za większą łaskę od Pana poczytuję jeden dzień upokorzenia i poznania samego siebie, nabytego kosztem wielu gorzkości i cierpień, niż długie dni spokojnej na samotności modlitwy. Tem śmielej to twierdzę, że kto prawdziwie miłuje, ten wszędzie i na każdem miejscu miłuje i pamięta na umiłowanego. Byłaby to rzecz smutna, gdybyśmy nie mogli się modlić inaczej, jedno schowani w kącie; trawić długie godziny na samotnem rozmyślaniu, to dla mnie, widzę to dobrze, rzecz nie podobna, ale kto wypowie, jaka jest przed tobą, Panie mój siła jednego westchnienia, dobywającego się z wnętrzności serca zranionego bólem swojego na tej ziemi wygnania, i tym dotkliwszym jeszcze bólem, że i w tem wygnaniu nie dają mu czasu i swobody, aby mogło sam na sam z tobą obcować, i tobą się cieszyć?

Tutaj to, siostry, jasno się okazuje, żeśmy uczyniły siebie niewolnicami Pana naszego, dobrowolnie dla miłości Jego zaprzedanemi w moc cnoty posłuszeństwa, gotowemi na pierwsze jej skinienie, porzucić niejako Boga samego, to jest roskosz cieszenia się rozmową z Nim i pociechami Jego. Lecz cóż znaczy to dla miłości Jego ofiara nasza, gdy wspomnimy jako On zstąpił z łona Ojca, aby stał się posłusznym i uczynił siebie sługą naszym? Czem zdołamy odpłacić, jaką służbą odsłużyć taką łaskę Jego.

Wszakże i w sprawowaniu tych posług, choć z posłuszeństwa albo dla miłości bliźniego podjętych, należy nam mieć baczenie, byśmy niemi zajęte, nie zapominały całkiem o sobie, i nie zaniechały częstego, z głębi serca, przybiegania myślą do Boga naszego. Wierzajcie mi, siostry, nie długość czasu poświęcanego na modlitwę stanowi o postępie duszy; sameż

te posługi zewnętrzne, gdy na nich przez posłuszeństwo czy dla pożytku drugich czas trawicie, wielką wam będą do postępu wewnętrznego pomocą, i w jednej chwili lepiej was mogą przysposobić do zapałów miłości Bożej, niż długie godziny rozmyślania. Wszystko to jedynie z ręki Pana przyjść nam może, i przychodzi. Jemu cześć dziękczynienie na wieki wieczne.

ROZDZIAŁ VI.

O szkodach, jakie może sobie wyrządzić dusza w życiu duchownem, gdy nie wie, kiedy i jak należy sprzeciwiać się duchowi, to jest zapałom wewnętrznym i zachwyceniom. — O pożądaniu Komunii świętej, i jakie w niem mogą ukrywać się złudzenia. — Ważne wskazówki i przestrogi dla przełożonych w tych domach naszych.

Pilnie się zastanawiałam i starałam się rozumieć, skąd pochodzi pewien rodzaj wielkiego pochłonienia ducha, jakie widziałam u niektórych dusz pobożnych, którym Pan na modlitwie wielkich słodkości użycza, gdy z ich strony nie zbywa na odpowiedniem przysposobieniu się do przyjęcia łask Jego. Nie mówię tu o tych wypadkach, gdy dusza zostaje w zawieszeniu i zachwyceniu, porwana mocą Boskiej wielmożności Jego; dość o tem pisałam na innych miejscach. W podobnych zdarzeniach niema co mówić o własnem naszem działaniu i przysposobieniu się, bo sami z siebie nic tu uczynić nie możemy, i jeśli jedno zachwycenie jest prawdziwe, oprzeć się jemu, wbrew wszelkiej usilności naszej, nie zdołamy; dodać wszakże należy, że ta siła, która nas opanowuje w zachwyceniu i władzy nad sobą nas pozbawia, krótko trwa. Pochłonienie zaś, o którem tu mówię, następuje najczęściej w chwili, gdy dusza wszczyna modlitwę uspokojenia, podobną do pewnego rodzaju snu duchownego. Jest to stan taki, że kto nie wie, jak się w nim zachowywać, może dużo czasu stracić, i siły

swoje na próżno wyczerpać, i to z własnej winy, a z małą zasługą.

Chciałabym to jaknajjaśniej wytłómaczyć, choć rzecz jest trudna, i nie wiem czy zdołam; ale dusze, któreby zostawały w tym błędzie, jeśli zechcą mi dać wiarę, pewna jestem, że mnie zrozumieją. Znałam takie dusze wysoko cnotliwe, które po siedm i ośm godzin zostawały w tym stanie, i zdawało im się że są w zachwyceniu; każde ćwiczenie duchowne tak je pochłaniało, że zaraz całe się oddawały popędowi jego, tłómacząc sobie, że nie godzi się im sprzeciwiać się Panu; tym sposobem, gdyby, wcześnie nie zaradzono złemu, łatwo mogły same się powoli przyprawić o śmierć, albo zmysły stracić. Według mojego rozumienia, rzecz się ma tak: gdy Pan zacznie użyczać duszy pociech niebieskich, przyrodzenie nasze, chciwe roskoszy, tak się przejmuje tą słodkością, iż nie śmie zrobić najmniejszego poruszenia, by mu snać ta słodkość się nie rozwiała, i za nic nie chciałoby utracić jej. Jakoż w rzeczy samej, duchowna ta roskosz słodsza jest niż wszelkie uciechy tego świata. Przypuśćmyż, że pociechy te trafią na naturę słabą, albo na umysł, czyli raczej na wyobraźnię z przyrodzenia nielotną; umysł taki, gdy uchwyci się jakiej rzeczy, cały w niej utkwi, niezdolny ani na chwilę uwagę swą od niej odwrócić. Jak w życiu powszedniem nieraz się zdarza ludziom powolnego umysłu, że zamyśliwszy się o jakiej rzeczy, choćby nie odnoszącej się do Boga, tak się w niej zatopią, iż patrząc na przedmioty ich otaczające, nie widzą, ani uwagi na to, na co patrzą, nie zwracają, albo od wielkiego zamyślenia zapominają co powiedzieć mieli: tak podobnież, wedle różnego przyrodzenia kompleksyi albo słabości głowy, bywa i z tem pochłonieniem na modlitwie. A jeśli jeszcze do tego przyłączy się melancholia, ta dopiero naprowadzi im do głowy tysiące słodkich przywidzeń.

O melancholii będzie mowa niżej; ale i bez niej, takie rzeczy, jak je tu opisałam, zdarzają się duszom pobożnym, wyniszczonym pokutą, zarówno jak tym, o których mówiłam wyżej, to jest, że skoro tylko poczują w sobie słodkość miłości Bożej, całkiem się dają tej słodkości opanować. Mojem

zdaniem, lepiej byłoby, gdyby się nie poddawały urokowi, bo na tym stopniu modlitwy bardzo dobrze mogą mu się oprzeć. Jako w słabości fizycznej człowiek czuje w sobie znienożenie, i ruszyć się ani mówić nie zdoła, tak samo dzieje się i tu, gdy brak należnego oporu; wtedy siła duchowego uniesienia zmaga takie niedołężne przyrodzenie i obezwładnia je. Czemże więc, może kto zapytać, stan taki różni się od zachwycenia, kiedy na pozór oba te stany zupełnie są do siebie podobne? Tak jest, na pozór, ale nie w rzeczy samej. Zachwycenie, czyli zjednoczenie wszystkich władz w Bogu, jak mówiłam, trwa krótko, ale wielkie po sobie skutki pozostawia, wielkie oświecenie duszy i innych wiele pożytków duchownych, rozum zaś nic nie działa, tylko Pan sam działa w woli. W tym stanie przelotnie, o którym tu mówię, jest zupełnie inaczej: choć ciało jest jakby pojmane i obezwładnione, ale wola, i pamięć, i rozum pozostają swobodne, tylko że działanie ich będzie niewielkie, i czego się w danym razie uchwycą, temu się oddają, i tego się oburącz trzymają.

Ja w tej modłosci ciała, bo nie jest to nic innego, choć z dobrego źródła bierze początek, żadnego nie widzę pożytku. Lepiej zaiste mogą użyć czasu, niż poddając się tyle godzin takiemu upojeniu: dalsko większą ma zasługę jeden akt cnoty, albo częste pobudzenie woli do miłości Bożej, niż ta gnuśna bezczynność. Radzę zatem przełożonym, niech z wszelką pilnością starają się zapobiegać takim długim omdleniom, z których, zdaniem mojem, nic innego nie wynika, jedno sparaliżowanie władz i zmysłów, pozbawiające możności czynienia tego, czego żąda dusza, a zatem i postradanie zasługi i duchownych pożytków, jakich dusza dostępuje posłuszeństwem i staraniem się o to, aby spodobała się Panu. Jeśli spostrzegą w której, że podobne omdlenia są u niej skutkiem osłabienia fizycznego, niech jej zatrzymą post w i umartwień, takich, mówię, które nie są przykazane, — choć w danym razie, gdy tego okaże się potrzeba, można ze spokojnem sumieniem zabronić i tych umartwień — niech ją nazwą do posług domowych, aby się zajęciem zewnętrznem rozerwała.

Inne, choć nie podlegają tym omdleniom, mają przecie wyobraźnię zbytnie zajętą przedmiotem rozmyślania swego, jakkolwiek mogą to być rzeczy bardzo wysokie i bogomyślne. Zdarza im się wtedy, i nieraz, że już nie zdołają panować nad sobą; szczególnie za otrzymaniem od Pana jakiej łaski nadzwyczajnej, albo jakiego widzenia, dusza nieraz tak pozostaje pod wrażeniem tego widzenia, iż zdaje jej się, że ciągle je widzi, a tak nie jest, bo widziała je tylko raz. Gdy więc się okaże ,że która całymi dniami pozostaje w takiem pochłonieniu, należy jej zmienić przedmiot rozmyślania; nie masz w tem nic złego, bo skoro rozmyślanie zawsze będzie o rzecach Bożych, nie robi to żadnej różnicy, czy dusza będzie rozmyślała o tem czy o owem; zawsze tak rozmyślając zajęta będzie Bogiem, i Bogu służy; a Bóg równe ma upodobanie w modlitwie naszej, czy rozmyślamy o Nim samym, Stworzycielu wszech rzeczy,czy też niekiedy zastanawiamy się raczej nad stworzeniami Jego, i nad tą potęgą Jego, która je stworzyła.

O nieszczęsna nędzo ludzka, ciężąca na nas skutkiem grzechu, że i w dobrem potrzeba nam powściągliwości i miary byśmy na niem zdrowia nie podkopali, i tem samem stali się niezdolni tem dobrem się cieszyć! Rzecz pewna że wielu jest takich, zwłaszcza tych, którzy mają słabą głowę albo niepohamowaną wyobraźnię, którym należy, którym koniecznie potrzeba lepiej poznać samych siebie; lepiej przez to usłużą i Panu. Któraby więc spostrzegła w sobie, że ma wyobraźnię wyłącznie i całemi dniami zajętą jaką tajemnicą, czy to Męki Pańskiej, czy chwały niebieskiej, czy innym podobnym przedmiotem, i o niczem innem, choćby chciała, myśleć nie może, ani od tego pochłonienia jednym wyłącznym przedmiotem się oswobodzić: niech wie i rozumie, że potrzeba jej w jaki bądź sposób się rozerwać; inaczej przyjdzie czas, że dowie się o swojej szkodzie, i przekona się, że to wyłączne zatopienie się w jednej myśli pochodzi, jak mówiłam, albo z wielkiego osłabienia fizycznego, albo też, co daleko gorsza, z niezdrowej wyobraźni. Podobnie jak obłąkany, gdy jedna myśl mu utkwi w głowie, niezdolny jest zapanować nad sobą, ani od tej myśli się oderwać, ani o niczem innem myśleć, ani żadne racye

nie zdołają go skłonić do tego, bo nie jest panem rozumu swego: tak również i tu mogłoby się zdarzyć to samo, lubo nie przeczę, że słodkim byłby taki rodzaj obłąkania. Jeśli zaś do tej chorobliwej wyobraźni przyłączy się jeszcze melancholia, trudno obliczyć, jak wielką stąd może być szkoda dla duszy. Co do mnie, nie widzę zgoła, coby mogło być dobrego w takiem skrępowaniu duszy, zdolnej Bogiem samym się cieszyć; bo, pominąwszy nawet racye wyżej przywiedzione, to samo już, że Bóg jest nieskończony, jasno dowodzi, że nie ma dusza powodu ani potrzeby trzymać się niewolniczo jednej wyłącznie tajemnicy lub wielmożności Jego, kiedy ich jest tyle, nad któremi zastanawiać się może; owszem, im więcej kto rozważa Boskich spraw i doskonałości Jego, tem jaśniej mu się objawi wielkość Jego nieskończona.

Nie znaczy to, byśmy w ciągu jednej godziny, albo choćby w ciągu całego dnia mieli rozmyślać o wielu naraz materyach, bo z tego najpewniej tyle tylko wynikłoby, że nie skorzystalibyśmy z żadnej. Nie chciałabym, pisząc o kwestyi tak delikatnej, by kto czytając słowa moje domyślał się rzeczy, których ja nie mam na myśli, i co innego rozumiał, kiedy ja mówię co innego. Dobre zrozumienie niniejszego rozdziału tak jest, upewniam, rzeczą ważną, że jakkolwiek pisanie to mię trudzi, nie czuję przecie trudu mego; jak z drugiej strony pragnęłabym, by kto czytając te rzeczy nie zrozumiałby ich od razu, nie żałował trudu odczytania ich razy kilka. Mówię to szczególnie do przełożonych i do mistrzyń nowicyuszek, które z obowiązku swego winny kierować siostrami w rzeczach modlitwy. Jeśli nie użyją z samego początku pilnego starania i baczności w powściąganiu podobnych słabości i omdlewań, same się przekonają później, ile czasu potrzeba na zaradzenie im po niewczasie.

Gdybym mogła tu przytoczyć wszystkie, o jakich wiem, przykłady szkód z tego źródła wynikających, przekonałaby się każda, jak słusznie na ten punkt tak usilnie nalegam. Jeden tylko wymienię, z którego łatwo będzie domyślić się drugich. Mamy w jednym z tych klasztorów naszych dwie siostry, jednę chórową, drugą konwerską; obie odznaczają się

wysoką bogomyślnością, połączoną z umartwieniem, i pokorą, i innemi cnotami, za które im Pan wielkich łask użycza i daje im objawienia wielmożności swoich; obie zwłaszcza tak oderwane od wszystkich rzeczy ziemskich i wyłącznie miłości Pana oddane, że jakkolwiek na wszelkie najtrudniejsze próby je wystawiamy, nigdy nie dostrzegłyśmy, by w czemkolwiek zbywało im na odpowiedniej, o ile nasza niskość zdoła, łaskom, jakich Pan im użycza, wierności. Dla tego tak szeroko nad ich cnotami się rozwodzę, aby te, którym podobnych cnót niedostawa, tem bardziej miały się na baczności. Otóż poczęły na nie przychodzić wielkie zapały pożądania i tęsknoty do Pana, nad któremi niezdolne były zapanować. Sama tylko Komunia uśmierzała nieco te ich uniesienia; zaczem też wyprosiły sobie u spowiedników pozwolenie częstego do niej przystępowania; ale żądza ta tak się w nich coraz wyżej wzmagała, iż w końcu zdawało się, że gdyby którego dnia nie komunikowały, umarłyby z pewnością. Spowiednicy, widząc te dusze w takim stanie, i takie niepohamowane pragnienie ich, uznali, — choć jeden z nich był mężem gruntownie duchownym, — że w rzeczy samej nie masz dla nich innego lekarstwa. I nie koniec na tem: z jedną z nich do tego doszło, i do takich ją zapał wewnętrzny przywodził ciężkości, że potrzeba było dawać jej Komunię o samym świcie, aby dzień przeżyć mogła; takie miała szczere przekonanie, bo i jedna i druga nie były to dusze zdolne do obłudy, i za nic na świecie nie popełniłyby kłamstwa. Mnie tam wówczas nie było, ale przełożona napisała do mnie, donosząc co się dzieje, i jako rady sobie z niemi dać nie może, a że takie osoby poważne, to jest spowiednicy, są zdania, że należy ustąpić i zgodzić się na to, bez czego one wytrzymać nie mogą. Ja z łaski Pana od razu zrozumiałam, jak rzeczy stoją, ale nie objawiłam zaraz zdania mego, ażbym sama przybyła na miejsce: naprzód z obawy że mogę się mylić, a powtóre, że nie wypadało stawać w sprzeczności z tymi, którzy te rzeczy pochwalali, pókibym nie objawiła im racyi moich.

Jeden ze spowiedników tyle miał pokory, że skoro przyjechałam na miejsce, i z nim się rozmówiłam, przyznał mi

słuszność. Drugiego przeciwnie, nie tak wysoko, czyli raczej w porównaniu z tamtym wcale nie duchownego, żadną miarą nie mogłam przekonać; ale mało na opór jego zważałam, nie mając takich względem niego obowiązków. Wzięłam na rozmowę obie siostry; przedstawiałam im racye, zdaniem mojem, dostateczne do przekonania ich o tem, że obawa ich, iż bez Komunii umrzeć muszą, jest tylko urojeniem; ale myśl ta tak mocno w nich tkwiła, że jej żadne racye nie zdołały wybić im z głowy. Zaniechawszy więc dalszych dowodzeń, oznajmiłam im, że ja też, tak samo jak one, tęsknię do Komunii, ale się od niej powstrzymam, aby z mojego przykładu przekonały się, że i one komunikować nie powinny, z wyjątkiem dni Komunii ogólnej. Jeśli ma być z tego śmierć, więc umrzemy wszystkie trzy, bo zdaniem mojem, lepsza to, niż gdyby podobny obyczaj miał się zaprowadzić w tych domach naszych, gdzie są jeszcze inne dusze, tyleż co i one, kochające Boga, a zatem i każda mogłaby sobie rościć prawo do takichże dla siebie wyjątków.

Dzięki zaciągniętemu nałogowi, złe już tak głęboko się było zakorzeniło, do czego pewno i dyabeł się, wmięszał, że gdy im nie dano Komunii, na prawdę zdawało się, że umrą. Ja jednak nieubłaganie trwałam w postanowieniu mojem; bo im bardziej one wzdragały się przeciw posłuszeństwu, wyobrażając sobie że usłuchać nie mogą, tem wyraźniejszy widziałam w tem dowód, że wszystko to tylko pokusa. Pierwszy on dzień przebyły z wielką ciężkością, drugiego cierpiały trochę mniej, następnych coraz mniej, i kiedy wkrótce potem sama bez nich przystąpiłam do Komunii, bo mi tak kazano, — sama z siebie nie byłabym przystąpiła, widząc taką słabość ich, — one zupełnie już spokojnie to zniosły. W krótkim czasie przekonały się one, i wszystkie drugie, że była to pokusa, i jak dobrze to się stało, że jej w porę jeszcze zaradzono; bo niezadługo potem zaszły, nie z winy sióstr, nieporozumienia między tym domem a przełożonymi zakonu, — o czem może jeszcze w dalszym ciągu nieco opowiem, — a ci nie byliby pochwalili ani ścierpieli podobnych zwyczajów.

O, ileż mogłabym przytoczyć tego rodzaju przykładów! Wspomnę tu przynajmniej jedno jeszcze podobne zdarzenie, choć zaszło ono nie w klasztorze naszego zakonu, jedno w klasztorze bernardynek. Była w tym klasztorze zakonnica, równie cnotliwa jak one dwie poprzednie. Skutkiem ustawicznego biczowania się i postów doszła była do takiego wycieńczenia, że za każdem przystąpieniem do Komunii, albo za każdem gorętszem uniesieniem pobożnem, natychmiast padała na ziemię jak martwa, i ośm do dziewięciu godzin w takim stanie pozostawała. Zdawało jej się, i wszystkie drugie tak sądziły, że są to zachwycenia. A tak często jej się to zdarzało, że gdyby temu nie położono tamy, pewna jestem, że bardzo złe byłyby stąd wynikły następstwa. Wieść o tych rzekomych zachwyceniach rozchodziła się po całem mieście. Mnie bolały te słuchy, bo z łaski i woli Pana, wiedziałam co o tem wszystkiem trzymać należy, i w wielkiej byłam obawie, na czem to się skończy. Spowiednik tej zakonnicy był i moim, bardzo mi przychylnym ojcem duchownym; będąc u mnie, opowiedział mi wszystko. Ja mu na to oświadczyłam moje o tych zajściach przekonanie: że jest to tylko strata czasu, że niepodobna by były to zachwycenia, że to wprost tylko skutek niemocy fizycznej; poradziłam mu by jej zabronił dyscyplin i postów, i kazał jej się rozerwać. Ona, posłuszna, uczyniła jak jej kazano. W krótkim czasie odzyskała siły, i już więcej nie było mowy o zachwyceniach; a gdyby to były prawdziwe zachwycenia, żaden środek ludzki nie zdołałby ich powstrzymać, dopókiby Bóg chciał aby rwały. Bo taka jest potężna siła ducha Bożego, że żadna siła nasza nie zdoła mu się oprzeć, a przytem, jak mówiłam, działanie jego wielkie w duszy skutki pozostawia; gdy przeciwnie rzekome te zachwycenia tak przemijają bez śladu, jak gdyby ich wcale nie było, i niczego więcej po sobie nie pozostawiają, jedno wyczerpanie i złamanie w ciele.

Z tego, co się powiedziało, zrozumiejmy i pomnijmy, że cokolwiek nas krępuje wewnętrznie w sposób taki, iż czujemy że rozum już nie jest swobodny, wszystko to powinno nam być podejrzanem: nigdy tą drogą nie nabędziemy wolności

ducha; bo jedna z głównych cech tej wolności zasadza się na tem, byśmy umieli znajdować Boga we wszystkich rzeczach stworzonych, i swobodnie przez nie do Boga myślą się wznosić mogli. Co za tem jest, wszystko to tylko niewola ducha, która, nie mówiąc już o szkodzie, jaką wyrządza ciału, więzi duszę i wzrost jej tamuje. Jako gdy kto idąc drogą, trafi na bagno lub trzęsawisko, i tak w niem zabrnie, że dalej postąpić nie może, tak po części dzieje się wtedy i z duszą, której, aby mogła postąpić, zupełnej potrzeba swobody, bo nie tylko powinna wciąż iść naprzód, ale i latać, i na skrzydłach gołębicy wznosić się wzgórę.

Co do tych, które mówią, albo którym się zdaje, jak się to nieraz zdarza, że są pochłonięte w Bogu, i w tem rzekomem zawieszeniu władz wewnętrznych ani panować nad sobą ani myśli rozerwać nie mogą: powtarzam raz jeszcze zdanie i radę moję: jeśli taki stan trwa dzień tylko, albo choćby cztery dni, albo i tydzień, niema jeszcze czego się obawiać, bo nie jest to nic nadzwyczajnego, gdy naturze słabej tyle czasu potrzeba, aby mogła przyjść do siebie po doznanem wstrząśnieniu. Ale jeśli rzecz dalej się przedłuża, wtedy już należy zaradzić złemu. Tyle tylko w tym stanie jest dobrego, że nie masz w nim winy ani grzechu, że owszem nie jest pozbawiony zasługi przed Bogiem; zawsze jednak pociąga on za sobą te szkodliwe następstwa, o których mówiłam, i wiele innych jeszcze. Mianowicie co się tyczy Komunii, nie mała byłaby to niewłaściwość, gdyby dusza, dla niepohamowanego jej pożądania, nie chciała być posłuszną spowiednikowi i przełożonej. Jakkolwiekby wielkie czuła w sobie, za odmówieniem jej Komunii, opustoszenie, należy przecie, w tem jak we wszystkiem, umartwiać ją, choć w sposób łagodny, aby jej nie popchnąć do ostateczności; należy im tłómaczyć i przywieść je do uznania, że pożyteczniejsza rzecz i potrzebniejsza, zrzec się woli swojej, niż szukać pociechy swojej.

Może się w to wmięszać i miłość własna, jak tego sama na sobie doświadczyłam. Zdarzało mi się nieraz, że zaraz po Komunii, gdy postać chleba musiała jeszcze cała być wemnie, widząc drugie przystępujące, czułam w sobie jakby zazdrość

do nich i żal, że już komunikowałam, i drugi raz komunikować nie mogę. Wówczas, choć to po wiele razy się powtarzało, nie widziałam w tem nic nagannego; później dopiero spostrzegłam się, że to uczucie pochodziło raczej z chęci zadowolnienia własnego, niż z miłości Bożej; wzbudzało je we mnie pragnienie tej słodkości i pociechy wewnętrznej, jakiej po większej części doznajemy w chwili Komunii; bo gdyby mi było chodziło tylko o posiadanie Boga w mej duszy, wszakci już Go posiadam; i gdyby mi było chodziło tylko o spełnienie przepisu, jaki nam w pewne dni każe przystępować do Komunii, wszak już go byłam spełniła; i gdyby mi było chodziło tylko o łaski, jakie nam się w Najświętszym Sakramencie udzielają, wszak już je byłam otrzymała. Tym sposobem przyszłam do jasnego poznania, że powodowałam się wówczas tylko pragnieniem uczuwalnej onej pociechy, i że jej więcej pragnąć nie powinnam.

Przypomina mi się tu pewna pani, którą znałam, bawiąc w jednem mieście, gdzie posiadamy nasz klasztor. Uchodziła w całem mieście za gorliwą służebnicę Bożą, i mogła taką być; komunikowała co dzień, nie mając stałego spowiednika, tylko to w jednym kościele to w drugim do Komunii przystępując. Uderzało mię to, i byłabym wolała widzić ją raczej posłuszną jednemu przewodnikowi, niż tyle razy komunikującą. Mieszkała w domu własnym, i robiła, sądzę, co jej się podobało; ale że była dobrą, wszystko też co robiła było dobrem. Nieraz czyniłam jej uwagi moje, ale ona nie zważała na mnie, i słusznie, bo była o wiele lepszą odemne, ale w tym punkcie nie zdaje mi się bym była w błędzie. Korzystając z przybycia świętego Brata Piotra z Alkantary, postarałam się aby z nią się obaczył; ale sprawozdanie, jakie przed nim o sobie uczyniła, nie bardzo mi się podobało, czemu zapewne nie inna była przyczyna, jedno ta wielka nędza nasza, że nikt nas nigdy nie zdoła w zupełności zadowolnić, jeśli nie jednąż z nami drogą chodzi; bo pewna tego jestem, że więcej ona Panu służyła, i więcej w jeden rok pokuty czyniła, niż ja przez wiele lat. W końcu, bo do tego zmierzam, przyszła na nią choroba śmiertelna; postarała się nie zwlekać o pozwolenie, bo co-

dzień w mieszkaniu jej odprawiała się Msza święta, i by jej codzień na Mszy dawano Komunię. Gdy jednak choroba jej się przedłużała, kapłan bardzo pobożny, który często u niej miewał Mszę świętą, uznał w końcu, że nie można na to pozwolić by tak codzień w pokoju komunikowała. Była to zapewne pokusa czartowska, bo stało się to w samże dzień, którego ona umarła. Widząc, że Msza święta się kończy, a Komunii jej nie dają, tak się na to oburzyła, i takim gwałtownym na kapłana uniosła się gniewem, że ten mocno zgorszony przybiegł do mnie, donosząc mi co się stało. Mnie to mocno obeszło, zwłaszcza że nie było nawet pewności, czy miała jeszcze czas pojednać się z Bogiem, bo zdaje się, że zaraz po tem zajściu umarła. Przekonałam się na tym przykładzie, jak ciężką szkodę wyrządza duszy przywiązanie do woli własnej w czemkolwiekbądź, a tem bardziej w rzeczy tak wielkiej. Bo kto tak często przystępuje do Pana, temu słusznie należy tak uznawać niegodność swoję, iżby nigdy nie śmiał tego czynić polegając na własnem zdaniu swojem, ale zasięgał i słuchał zdania duchownego przewodnika, aby to, czego mu niedostaje do godnego połączenia się z tak wielkim Panem, — a do tego każdemu musi niedostawać wiele, — zastąpił i dopełnił posłuszeństwem, z rozkazu tylko przystępując. W zdarzeniu, o którem mówię, biedna ona pani miała podaną sobie sposobność do głębokiego upokorzenia się, i podobno większą, niż z przyjęcia Komunii, byłaby miała zasługę, gdyby była uznała, że kapłan w tym razie nic jej nie był winien, ale że Pan sam, widząc jej nędzę i niegodność, tak był zrządził, bo nie chciał wniść do takiego nieprzystojnego dlań mieszkania. Tak czyniła pewna osoba, której roztropni spowiednicy niejednokrotnie odmawiali Komunii, bo przystępowała do niej często. W czułej swej dla Pana miłości, bolała bardzo nad takiem od Niego usunięciem; ale z drugiej strony, więcej pragnąc czci Boga niż swojej, nie przestawała błogosławić Go za to, że otrworzył oczy spowiednikowi, aby ją poznał jaką jest, i nie dopuszczał Boskiemu majestatowi Jego wchodzić do takiej lichej gospody; i tych myśli się trzymając, z wielkim spokojem duszy poddawała się zakazowi, chociaż z rzewną także, miło-

sną boleścią; ale za nic w świecie nie byłaby postąpiła wbrew temu, co jej kazano [1]).

Wierzajcie mi siostry, kiedy miłość Boża, — nie mówię żeby to była prawdziwa miłość Boża, ale taką nam się wydaje, — w podobny sposób wzburza namiętności, albo prowadzi do czego takiego, co obraża Boga, albo zakłóca pokój duszy tak zakochanej w myślach swoich, że już głosu rozumu nie słyszy, wtedy rzecz jasna, że szukamy samych siebie; wtedy też dyabeł, który nie śpi, nie omieszka nastawać na nas, wiedząc, że w taką porę łatwiej i ciężej szkodzić nam może, jak to uczynił onej pani. Wypadek jej, przyznaję, mocno mię przeraził; nie iżbym straciła ufność, że kusiciel nie zdołał dokazać tego, by dusza jej poszła na potępienie, bo dobroć Boga wielka jest, ale że pokusa trafiła, bądź co bądź, na złą godzinę. Opisałam to zdarzenie dla przestrogi przełożonych, i aby siostry z świętą bojaźnią zastanawiały się nad sobą, i badały siebie, w jaki sposób przystępują do przyjęcia tak wielkiego daru. Jeśli po to przystępują doń aby przez to podobały się Bogu, wszak wiedzą dobrze, że lepiej podoba się Jemu posłuszeństwo niż ofiara [2]). Jeśliż tak jest, jeśli przez posłuszeństwo wstrzymując się od Komunii większą mam zasługę, więc czegoż mam się niepokoić? Nie mówię, by nie mogły przytem czuć przykrości, byle była pokorną; bo nie wszystkie jeszcze doszły do tego stopnia doskonałości, na którym nic już duszy nie jest przykrem, skoro tylko czyni to, co wie że jest przyjemniejszem Bogu. Bo gdy wola zupełnie jest oderwana od wszelkiego względu na samą siebie, wtedy rzecz jasna, że nic już jej zasmucić nie zdoła, że owszem będzie się radowała z nastręczającej się jej sposobności przypodobania się Panu w rzeczy tak dużo ją kosztującej, i upokorzy się, i zarówno ochotnie poprzestanie na Komunii duchownej. Lecz ponieważ w początkach jest to szczególną łaską od Pana, gdy daje te gorące pragnienia złączenia się

---

[1]) Nie trudno się domyślić, że osoba o której tu mówi, Święta, w taki sposób siebie poniżający, a wielkość Boga wynoszący, i mądrość spowiedników swoich chwalący, jest ona sama.

[2]) Kr. 15, 22.

z Nim, — chociaż daje je i doskonałym, i gorętsze jeszcze; ale dla tego mówię tu o początkach tylko, bo na tym stopniu pragnienia one wyżej się cenić powinny, i zresztą, na tym stopniu doskonałości, o którym wspomniałam, nie są one już tak gwałtowne: — słusznie więc takim poczynającym można to wyrozumieć, że pozbawione Komunii, uczują rzewny żal i zmartwienie, byleby tylko zachowały przytem pokój duszy, i brały sobie z tego pohop do czynienia aktów upokorzenia siebie. Lecz gdyby doznawały z tego powodu jakiego wzburzenia lub miotania się, albo skrytego żalu do przełożonej lub do spowiednika, niechaj będą pewne, że jest to oczywista pokusa. Jeśliby zaś która, gdy spowiednik zabronił jej Komunii, jednak odważyła się komunikować, ja zasługi, jakąby z takiego postępku odniosła, nie życzyłabym sobie. W rzeczach tak niesłychanie ważnych, nie godzi się nam czynić siebie sędziami we własnej sprawie. Sąd należy do tego, któremu powierzone są klucze ku wiązaniu i rozwiązywaniu. Niechaj Pan raczy nam użyczyć światła, abyśmy w rzeczach tak ważnych nie błądzili; niech nam nie odmawia pomocy łaski swojej, byśmy darów, jakich nam użycza, nie obracali na obrazę Jego.

ROZDZIAŁ VII.

Jak należy postępować z duszami, podlegającemi melancholii. Wskazówki przełożonym potrzebne.

Siostry moje z tego klasztoru świętego Józefa w Salmantyce, w którym bawiąc, piszę te słowa, prosiły mię usilnie, bym powiedziała nieco o sposobie postępowania z takiemi, które mają skłonność do melancholii. Jakkolwiek pilnie przestrzegamy tego, by takich nie przyjmować, jest to jednak przywara tak subtelna, że umie udawać umarłą, gdy jej tego potrzeba, i skutkiem tego zdarza się, że nie dostrzeżemy jej, aż po niewczasie. Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że o tej materyi już kiedyś mówiłam nieco w którejś książeczce: wszakże nie za-

wadzi i tu coś o tem powiedzieć, o ile z łaski Boga potrafię. Gotowam i sto razy powtarzać rzeczy może już dawniej powiedziane, gdy mogę mieć nadzieję, że będzie komu z tego jakikolwiek pożytek.

Melancholicy tyle umieją wynajdywać różnych wybiegów dla postawienia na swojem, że chcąc trafić na sposób właściwy znoszenia ich i kierowania nimi tak, aby nie mogli szkodzić drugim, potrzeba te ich wybiegi zbadać i dobrze na nich się poznać. Zaznaczę nasamprzód, że nie wszyscy podlegający tej wadzie, tak są trudni i uciążliwi; jeśli przytem są pokorni i charakteru łagodnego, a zwłaszcza jeśli mają zdrowy rozsądek, choć sami w sobie dręczą się i cierpią, nie będą przecie szkodliwymi dla drugich. Są także różne stopnie tego chorobliwego usposobienia. Przekonana jestem, szczerze to mówię, że w niektórych dyabeł używa tego usposobienia za środek, dla dostania ich w moc swoję, i jeśli nie będą się mieli bardzo na baczności, z pewnością dokaże zamiaru swego. Główny bowiem skutek melancholii jest ten, że opanowuje rozum i zaćmiewa go; w tem zaś zaćmieniu rozumu, do czego nie zdołają popchnąć namiętności? Być pozbawionym rozumu, to zdaje się znaczy to samo, co oszaleć; i tak jest. Ale w tych, o których tu mówię, złe nie dochodzi do takiego stopnia, choć dużo lepiej byłoby, żeby doszło; bo udawać z konieczności, że za rozumne poczytujesz, i jako rozumne traktować stworzenie takie, które widzisz że rozum straciło, toć to męka nieznośna; gdy przeciwnie te, które całkiem już opanowała ta choroba, choć godne są pożałowania, ale już szkodzić nie mogą i jakkolwiek nie masz sposobu wpłynąć na nie rozumem, bojaźń utrzyma je w karbach.

Głównie więc mam tu na myśli takie, w których groźna ta i w skutkach swoich tak zgubna choroba jest dopiero w początkach i jeszcze takiej siły nie nabrała, choć zawsze z tychże złych soków się rodzi, i z tegoż korzenia wyrasta, i na tymże pniu dojrzewa. Z takiemi, gdy inne sposoby nie starczą, potrzeba również uciec się do tegoż środka grozy i bojaźni. Niech przełożone zadają im wszelkie pokuty przyjęte w zakonie; niech starają się tak je ukrócić, iżby zrozumiały,

że wszelkiemi fochami i dąsami swojemi nic a nic nie wskurają. Bo niechby tylko raz i drugi spostrzegły, że krzykami swemi i desperacyami, które dyabeł kładzie im w usta, aby je zgubił, zdołają postawić na swojem, to samo już bezpowrotnie w złem je utwierdzi, i dość wtedy jednej takiej na zawichrzenie całego klasztoru. Skoro biedna taka dusza nie ma w samej sobie siły odpowiedniej, aby mogła obronić się od poduszczeń, które zły duch jej podsuwa, potrzeba zatem by przełożona z jaknajwiększą troskliwością czuwała nad jej kierunkiem, nie tylko zewnętrznym, ale i wewnętrznym; i kiedy chora rozum ma zaćmiony, tem jaśniejszym więc powinien on być w przełożonej, aby czart, korzystając z jej niemocy, nie dostał jej w moc swoję. Jest to w rzeczy samej stan niebezpieczny; są wprawdzie czasy, kiedy te złe humory takbiorą górę nad duszą, że zupełnie tłumią rozum: — i wtedy już nie będzie grzechu, tak samo jak waryatowi to, co czyni w szaleństwie, za grzech się nie poczytuje. Ale bywają inne czasy, nie zupełnego zagłuszenia, tylko osłabienia rozumu, a więc będzie tu zawsze jakaś, większa czy mniejsza wina. Potem znowu przychodzą chwile jaśniejsze i spokojne. Otóż chodzi o to, by chorej, gdy ma się źle, nie pozwolono w niczem woli jej, by snać tem ośmielona, nie chciała, gdy przyjdzie do siebie, sama sobą rządzić, to jest, ślepo wystawić się na podstępy i zdrady szatańskie, które są straszne. Dobrze przypatrzywszy się tego rodzaju duszom, obaczymy, że nad wszystko lubią czynić wolę swoję, mówić cokolwiek im ślina przyniesie na usta, podpatrywać wady cudze i niemi pokrywać swoje, używać wszystkiego, co im smakuje. Tym sposobem, jawnie okazując, że nie mają w sobie siły opornej przeciw złemu, a mając nieumartwione namiętności, z których każda domaga się zaspokojenia żądzy swojej, dokądże takie dusze zajdą, i co z niemi się stanie, jeśli nie będzie nikogo, ktoby za nie opór stawiał i tamę kładł grzesznym ich skłonnościom?

Powtarzam raz jeszcze, — a mogę w tem powołać się na własne doświadczenie, bo wiele znałam dusz tą chorobą dotkniętych, i miałam z niemi do czynienia: — nie masz na nie innego lekarstwa, jedno doprowadzenie ich na wszelki sposób

możliwy do uległości i posłuszeństwa. Jeśli słowa nie skutkują, trzeba użyć kar; jeśli lżejsze kary nie starczą, niech nastąpią za niemi cięższe; jeśli mało zamknięcia na miesiąc, niech się przedłuży do czterech miesięcy; taka surowość, jest to największe dobrodziejstwo, jakie można podobnym duszom wyświadczyć. Bo jak już mówiłam, i na nowo powtarzam, gdyż dla własnego ich dobra potrzeba, by dobrze to zrozumiały, jakkolwiek nieraz albo i często się zdarza, że dusza w napadzie melancholii traci wszelkie nad sobą panowanie, nie jest to przecie jeszcze wyraźne, niewątpliwe obłąkanie, tak iżby ją wymawiało od winy; — bywa to niekiedy, ale nie zawsze. Zawsze więc dusza podobnemu stanowi ulegająca, w wielkiem jest niebezpieczeństwie grzechu, chyba że, jak mówiłam, napad tak jej odjął rozum, że nieświadomie i poniewolnie musiała uczynić to, co w tym stanie uczyniła. Wielkie to więc miłosierdzie Boga nad duszą tej niemocy podlegającą, gdy jej daje łaskę poddania się zwierzchności, która nie rządzi, bo na tej uległości, ze względu na niebezpieczeństwo, o którem mówię, polega wszystko dobro i bezpieczeństwo jej. Niechże taka dusza, czytając te słowa, jeśli dostaną się w ręce jej, pomni na miłość Boga, że może tu chodzić o wieczne jej zbawienie.

Znam dusze dotknięte melancholią, którym ta nieszczęsna niemoc prawie zupełnie rozum odbiera; ale są to dusze pokorne, i tak bojące się wszelkiej obrazy Boskiej, że nie zważając na łzy któremi się w skrytości zalewają, nigdy nie czynią nic nad to, co im każe posłuszeństwo, i mimo swą niemoc, w postępowaniu swojem niczem się nie wyróżniają od drugich. Prawdziwe i ciężkie cierpią męczeństwo, ale tem większa za to chwała je czeka, a tu na ziemi odbywają czyściec swój, i za życia wykupują się od czyśca po śmierci. Ale co do tych, któreby nie chciały dobrowolnie tak się zachowywać, niechaj, powtarzam, przełożona je zmusi, i niech się nie unosi niewczesną dla nich litością, bo folgując ich wybrykom, doczeka się tego, że zły przykład ich i drugie wszystkie za sobą pociągnie. Pominąwszy bowiem wielkie bardzo niebezpieczeństwo, w którem, jak mówiłam, własna dusza takiej nieszczęśliwej zostaje, inna jeszcze ogólna szkoda grozi od niej całemu domowi, mianowicie

ta, że dzięki przyrodzonej nędzy serca ludzkiego, drugie, nie widząc tej niedoli wewnętrznej, która gnębi jej duszę, a z pozorów zewnętrznych poczytując ją za dobrą, będą także chciały każda uchodzić za dotknięte melancholią, aby im także podobne czyniono folgi, i podobne okazywano pobłażanie: dyabeł też z pewnością nie zaniecha utwierdzać je w tej myśli, i takie zatem w całym domu sprawi spustoszenie, jakiemu potem, gdy wyjdzie na jaw, bardzo trudno będzie zaradzić. Jest to rzecz tak ważna, że żadną miarą nie godzi się przełożonej dopuścić się w tym względzie najmniejszego zaniedbania czy miękkości: jeśli chora okaże krnąbrność albo upór, niech ją ukarze jak zdrową; niech jej niczego nie puszcza płazem, ani nieuprzejmości i opryskliwości dla sióstr, ani żadnej winy podobnej.

Może to się komu wyda niesprawiedliwością, w braku inszego sposobu karać chorą, tak jakby była zdrową, ale w takim razie byłoby także niesprawiedliwością, wiązać i karcić furiatów; należałoby raczej zostawić ich na wolności, aby rozbijali i mordowali wszystkich. Wierzajcie mi, iż mam w tym względzie doświadczenie; wielu różnych sposobów próbowałam, ale nie znalazłam innego. Przełożona, któraby chciała przez litość dozwalać takim swobody, tego tylko się doczeka, że w końcu niepodobna będzie z niemi wytrzymać; a gdy wtedy zabierze się do zaradzenia złemu, pokaże się, że i drugie już dużą od nich szkodę ucierpiały. Jeśli, jak każdy przyzna, nie jest to okrucieństwem, jedno dobrym uczynkiem, gdy wiążemy i ukrócamy furiatów, aby nie zabijali ludzi, choć słusznie zasługują na litość, bo nie wiedzą co czynią, czyż nie daleko słuszniej jeszcze należy poskramiać takie nieszczęśliwe, aby przykładem wyuzdania swego nie wyrządzały szkody duszom? Tem bardziej, że często, jak o tem mocno jestem przekonana, nie melancholia do takich je wybryków popycha, jedno charakter samowolny, niepokorny i nieposkromiony: niejedna taka, widziałam to na własne oczy, gdy kto patrzy na nie, kogo się boją, powstrzymują się i powstrzymać się mogą; czemużby nie mogły dla bojaźni i miłości Boga? Bardzo się boję, czy nie jest to sprawa czartowska, czy to nie dyabeł korzysta z tej rzekomej melancholii, bo często, jak dopiero co mówiłam jest

ona tylko udawaniem,—aby pod tym pozorem dusze do sieci swoich zagarniał. Częściej dzisiaj, niż bywało dawniej, spotykamy się z tym wyrazem, i wszelka swawola, wszelkie przywiązanie do woli własnej, podszywa się pod miano melancholii. Stąd też zdaniem mojem, w tych domach naszych, i we wszystkich w ogóle domach zakonnych, należałoby nigdy nie brać na usta tego wyrazu, pod którym snać koniecznie ukrywa się takie niezakonne rozpasanie. Nazywajmy rzecz po imieniu: zówmy ją ciężką chorobą, — o, i jak ciężką! — i jako taką ją leczmy. Należy więc koniecznie od czasu do czasu zadać chorej jakie lekarstwo na uśmierzenie jej humorów, aby były znośniejsze; niech pobędzie jakiś czas w infirmeryi; a gdy z niej wyjdzie i wróci do zgromadzenia, niech wie, że ma być posłuszną i pokorną jak drugie, i że gdyby słuchać nie chciała, nic jej żadne humory nie pomogą. Tak koniecznie powinno być, z powodów, które wyżej przywiodłam, a mogłabym ich przytoczyć jeszcze więcej. Przełożona zaś niech czuwa nad nią, nie dając jej tego poznać, z jaknajczulszą, prawdziwie macierzyńską miłością, i niech używa wszelkich jakie wynaleźć zdoła sposobów, zdolnych przywrócić jej zdrowie.

Mogłoby się zdawać, że sama z sobą jestem w sprzeczności, zalecając teraz czułą troskliwość i miłość, kiedy przedtem ciągle mówiłam o potrzebie surowości. Tak mówiłam, i słowa mego nie cofam. Potrzeba te biedne w takich trzymać karbach, by im już ani na myśl nie przyszło, iżby kiedy zdołały dokazać tego, czego im się zachciewa; potrzeba by wiedziały że słuchać muszą, bo właśnie to byłoby dla nich największą szkodą, gdyby się czuły wolnemi. Ale może przełożona nie dawać im rozkazów, których przewiduje że nie usłuchałyby, nie mając w sobie siły potrzebnej do zwyciężenia siebie; może zręczną a uprzejmą namową skłaniać je do tego, czego potrzeba, tak iżby, o ile to być może, usłuchały nie z przymusu, jedno z miłości, co byłoby daleko lepiej; i prawie zawsze dokaże tego przełożona, jeśli będzie umiała słowem i uczynkiem upewnić je o tem, że szczerze je kocha. Niech przytem dają im jak najwięcej zatrudnienia przy różnych obowiązkach; jest to, zważmy to dobrze, najskuteczniejsze dla nich lekarstwo, bo odbiera im czas i możność

do próżnych marzeń i puszczania wodzy wyobraźni, na czem właśnie cała ich choroba polega. Zapewne, że ze zleconych im obowiązków niezbyt świetnie się wywiążą, ale lepiej znosić małe ich w takich rzeczach winy, niż narażać się na znoszenie większych i cięższych, gdyby znowu odeszły od rozumu, samym sobie na zgubę. To jest, powtarzam, najskuteczniejsze, zdaniem mojem, dla nich lekarstwo. Potrzeba nadto nie pozwalać im na długie rozmyślania, trzeba owszem i zwyczajne im skrócić; bo przy chorobliwej, jaką po większej części mają, wyobraźni, długie modlitwy byłyby dla nich bardzo szkodliwe, i podawałyby im tylko sposobność do wytwarzania niezrozumiałych dla nichże samych, i dla nikogo, dziwolągów. Należy także pilnować, by nie jadały ryby, chyba rzadko kiedy, i postów nie czyniły tak ustawicznych jak drugie.

Może komu się wyda, że zbyt długo się rozwodzę, tyle dając rad i wskazówek co do tej jednej niemocy, a milczeniem pomijając wszystkie inne, kiedy tyle ich jest i tak ciężkich, w tem nędznem życiu, zwłaszcza dla nas słabych i ułomnych niewiast. Dwojaki do tego miałam powód: Pierwszy ten, że dotknięte melancholią mają siebie za zdrowe, nie chcąc uznać choroby w nich ukrytej; gdy zaś choroba ta nie jest ani febrą ani gorączką, i nie zmusza ich pójść do łóżka i wezwać lekarza, potrzeba więc, by przełożona zastąpiła im lekarza, bo jest to choroba groźniejsza dla duszy dążącej do doskonałości, niż wszelkie obłożne i śmiertelne niemoce. Drugi mój powód jest następujący: inne choroby kończą się wyzdrowieniem albo śmiercią; z tej przeciwnie rzadko kto wyzdrowieje, ani się na nią nie umiera, tylko się traci rozum, co jest także w swoim rodzaju śmiercią, śmiertelnie ciężką dla drugich. A którym ta choroba nie odbiera rozumu, te same w sobie noszą gorzkie jak śmierć udręczenia, i urojenia, i skrupuły, które one wciąż poczytują za pokusy, choć znosząc je cierpliwie, bardzo wielką stąd odniosą zasługę; gdyby zaś mogły przyjść do uznania, że źródłem tych udręczeń które cierpią, jest taż sama ich skłonność do melancholii, gdyby zatem zdobyły się na odwagę i nie zważały na nie, niemałą to przyniosłoby im ulgę. Co do mnie, wielki mi ich żal, i wszystkie też siostry

i towarzyszki ich pomnąc, że i na nie Pan mógłby zesłać podobnąż niedolę, słuszna by szczere dla nich miały współczucie, i z najczulszą miłością znosiły je, nie dając im jednak poznać tego, jak mówiłam wyżej. Bodajbym z łaski Pana była zdołała, w tem co powiedziałam, trafne i skuteczne podać rady na tę tak ciężką niemoc.

ROZDZIAŁ VIII.

Kilka uwag o objawieniach i widzeniach.

Są ludzie, których, zdawałoby się, samo wspomnienie o widzeniach albo objawieniach przeraża; jaki mogą mieć powód do takiego strachu, w czem widzą tak groźne niebezpieczeństwo dla duszy, którą Bóg zechce tą drogą prowadzić, tego, przyznaję, nie rozumiem. Nie mam zamiaru tutaj roztrząsać, które widzenia są prawdziwe, a które ułudą tylko, ani wymieniać znaków, po których, jak mię nauczyli mężowie głęboko uczeni, można jedne od drugich rozpoznać. Chcę tu tylko wskazać, co powinna czynić dusza w takiem zdarzeniu; bo nie łatwo trafi na spowiednika, któryby jej w tej materyi nie naprowadził niepokojów i strachów. Najwięcej jest takich, którzy nie tyle się przerażą, gdy im wyznasz, że dyabeł ci podsuwał wszelkiego rodzaju pokusy, myśli bluźniercze, rozpasane, niewstydliwe widziadła, ile ich, nie już przerazi tylko, ale zgorszy, gdy im powiesz, że widziałaś anioła, i z nim rozmawiałaś, albo że ci się ukazał Pan Jezus ukrzyżowany.

O objawieniach, pochodzących od Boga tem bardziej nie mam potrzeby mówić tu obszerniej, że dobrze jest wiadomy każdej główny i najpewniejszy znak, którym się różnią od fałszywych, to jest wielkie skarby i dobra duchowne, które po nich w duszy pozostają. Powiem tu więc raczej o wyobrażeniach i widziadłach, w których zły duch, dla oszukania nas, przebiera się w udaną postać Chrystusa Pana albo świętych Jego. Otóż najmocniej jestem przekonaną, że nigdy Boska łaskawość Pana naszego nie pozwoli na to, ani nie da złemu duchowi tej władzy, by zdołał podobnemi widmami duszę oszu-

kać, chybaby sama z własnej winy swojej do tego mu pomogła; przeciwnie, sam na zdradach swoich się oszuka. Żadną miarą, powtarzam, nie ulegnie dusza temu złudzeniu, jeśli jedno ma pokorę. Nie mamy więc czego się lękać; ufajmy tylko w Panu i gardźmy temi podstępami dyabelskiemi; owszem, obracajmy je sobie na pożytek, tem żarliwiej chwaląc Boga i tem wierniej Mu służąc.

Znam osobę, którą spowiednicy trzymali w ciężkim ucisku i udręczeniu, z powodu widzeń jakie miewała; choć później z wielkich skutków i dobrych uczynków, jakie z nich wynikły, okazało się, że były to widzenia od Boga. Niemało ją to kosztowało, gdy na widok Pana, ukazującego się jej w widzeniu, musiała od Niego się żegnać znakiem krzyża świętego, albo pokazywać mu figę, bo tak jej było kazano [1]). Wielki teolog, ojciec dominikanin, magister Dominik Banez, którego później się radziła, powiedział jej, że było to źle, że nikomu takiej rzeczy czynić się nie godzi; bo gdziekolwiek ujrzymy wyobrażenie Pana naszego, powinniśmy uczcić je, choćby je malował dyabeł, który jest wielkim artystą; owszem, wbrew złośliwemu zamiarowi swemu, zdrajca ten nie szkodę nam przez to wyrządza, jakby chciał, ale raczej przysługę oddaje, gdy tak żywy nam stawia przed oczy wizerunek Ukrzyżowanego czy innego świętego przedmiotu, iż wrażenie z niego odniesione pozostaje nam wyryte w sercu. Bardzo mi ta nauka trafiła do przekonania; boć każdy, patrząc na jaki obraz znakomity, będzie go podziwiał, choćby wiedział, że malował go zły człowiek, i przewrotność malarza nie zepsuje nam pobożnego wrażenia, jakie na nas dzieło jego sprawuje. Pożytek zatem z widzenia, czy szkoda, nie jest w rzeczy widzianej, jedno w tym, który na nią patrzy, to jest w tem, czy ma, czy nie, pokorę potrzebną aby z widzenia korzyść odniósł. Duszy prawdziwie pokornej żadne widzenie, choćby było od ducha złego, zaszkodzić nie zdoła: ale gdzie nie masz pokory, tam nie będzie pożytku, chociażby widzenie pochodziło od Boga. Duszę, którą to, co powinno ją pobudzać do upokorzenia się, do uznania siebie

[1]) Ob. *Życie*, rozdz. 29.

niegodną tak wielkiej łaski, przeciwnie w pychę i próżność wzbija, podobna jest do pająka, który cokolwiek połknie, wszystko to obraca w truciznę; dusza pokorna przeciwnie jest jako pszczoła, która wszystko w miód zamienia.

Bliżej myśl moję objaśnię. Gdy Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy się ukazać jakiej duszy, na to aby Go lepiej poznała i więcej miłowała, albo aby jej jaką tajemnicę swoję objawił, albo jakiemi szczególnemi łaskami i pociechami ją obdarzył, a ona, kiedy powinnaby, jak mówiłam, korzyć się i uniżać w uznaniu nicestwa swego, takiej łaski niegodnego, woli zaraz mieć siebie za świętą, i wyobraża sobie, że łaska ta jest zasłużoną za wierną służbę jej nagrodą: tedyć rzecz jasna, że podobna do onego pająka, wielkie dobro, jakie jej stąd przyjść mogło, na złe sobie obraca. Przypuśćmy teraz na odwrót, że to zły duch, dla wzbicia jej w pychę, takie jej widzenia nasuwa: jeśliż ona sądząc, że widzenia te pochodzą od Boga, upokarza się i uznaje siebie niegodną tak wielkiej łaski i tem gorliwiej stara się służyć Panu, widząc siebie tak zbogaconą, kiedy mieni się być niewartą jeść choćby okruszyny, spadające ze stołu świętych, o których słyszała, że podobnych łask od Boga dostępowali, i niegodną oddawać im najniższe posługi; jeśli tak uniżając siebie, usilniej jeszcze przykłada się do czynienia pokuty i do coraz żarliwszej modlitwy, i jeszcze pilniej strzeże się by w niczem nie obrażała tego Pana, który jej, jak sądzi, taką łaskę uczynił, i jeszcze doskonalej stara się być posłuszną: wtedy, ręczę za to, dyabeł ucieknie, i więcej nie wróci, i żadnej po sobie szkody w tej duszy nie pozostawi. Jeśliby w tych objawieniach słyszała zalecenie uczynienia tego lub owego, albo przepowiednie rzeczy przyszłych, potrzeba koniecznie by zasięgnęła rady światłego i roztropnego spowiednika, i nic nie czyniła ani nie uwierzyła z tego co słyszała, jedno co spowiednik jej wskaże. W tym celu może wyznać całą rzecz przełożonej, aby ona jej obmyśliła takiego spowiednika, któryby posiadał wspomniane tylko co zalety; ale niechaj wie i pamięta raz na zawsze, że jeśliby nie usłuchała tego, co spowiednik jej powie, i nie chciała ulegać kierunkowi jego, byłby to znak, że widzenia jej są sprawą złego ducha, albo wytworem

strasznej melancholii. Przypuściwszy nawet, że spowiednik się myli, ona najpewniej ustrzeże się błędu, trzymając się ściśle zdania i zaleceń jego, chociażby to, co słyszała w widzeniu, było głosem anioła Bożego: bo albo Pan w Boskiej dobroci swojej użyczy mu światła potrzebnego, albo też sam tak wszystko zrządzi, iżby mimo błędu jego, dusza słuchając go osiągnęła to, co On dla dobra jej postanowił. Ta jest jedyna droga zupełnie bezpieczna; inaczej postępując, można się na wielkie niebezpieczeństwo narazić i wielką sobie szkodę wyrządzić.

Pamiętajmy, że przyrodzona ułomność nasza bardzo łatwo ulega złudzeniom, zwłaszcza w nas niewiastach, i że właśnie na tej drodze modlitwy bogomyślnej, ułomność ta najłatwiej się okazuje. Miejmy się więc na baczności, byśmy za lada przywidzeniem, jakie nam wyobraźnia nasunie, nie myśleli zaraz, że to objawienie od Boga; prawdziwe objawienie, bądźmy tego pewni, łatwo daje się poznać i w sposób niewątpliwy. Tem bardziej jeszcze tam potrzeba ostrożności i powściągliwości, gdzie jest jakabądź skłonność do melancholii. Sama patrzałam na takie przykłady podobnych przywidzeń, że wydziwić się nie mogłam, jakim sposobem człowiek może przyjść do tego, by najmocniej był przekonanym, że widzi to, czego nie widzi. Kiedyś przyszedł do mnie pewien kapłan i z uwielbieniem począł mi opowiadać, co mu mówiła jedna penitentka jego: jako Matka Boska codzień przez długi czas ją odwiedzała, i siadała przy niej na łóżku, i godzinę całą, i dłużej, z nią rozmawiała, i różne jej nauki dawała, i rzeczy przyszłe jej objawiała: a że w tych bredniach mogłaby być jedna lub druga rzecz podobna do prawdy, więc na tej zasadzie wszystko się przyjmowało za najczystszą prawdę. Co do mnie, zrozumiałam od razu jak rzeczy stoją, ale nie śmiałam wypowiedzieć całego zdania mego, bo żyjemy w takim świecie, iż potrzeba nam dobre mieć baczenie, co o nas mogą pomyśleć drudzy, jeśli chcemy, by słowa nasze miały jaki skutek. Powiedziałam mu więc tylko, że należałoby naprzód poczekać na spełnienie onych proroctw, jeśli to proroctwa prawdziwe, i przypatrzyć się innym tych widzeń skutkom i objawom, i dowiedzieć się, jakie

jest życie tej osoby. Jakoż w końcu prawda wyszła na wierzch, i pokazało się, że były to tylko przywidzenia chorego mózgu.

Mogłabym przytoczyć wiele innych tego rodzaju przykładów, a każdy z nich byłby nowem stwierdzeniem tego, do czego tu zmierzam, mianowicie, że nie powinna dusza od razu dawać wiarę widzeniom swoim, ale dłuższy czas ma nad niemi się zastanawiać, i dobrze zbadać i poznać samę siebie, pierwej nim taką rzecz wyzna spowiednikowi, by go snać niechcąca nie oszukała; bo spowiednik, jakkolwiekby był uczonym, jeśli nie zna tych rzeczy z własnego doświadczenia, niełatwo na nich się pozna. Tak, bardzo niedawno, czy może parę lat temu, jakiś człowiek zupełnie wywiódł w pole kilku bardzo uczonych i duchowo wykształconych kapłanów, prawiąc im podobne rzeczy; aż trafił na osobę, która posiadała to z własnego doświadczenia nabyte zrozumienie łask Bożych; ona też jasno poznała, że były to chorobliwe złudzenia człowieka pomięszanego na umyśle. Choć rzecz, pięknemi pozorami pokryta, wówczas jeszcze się nie wydała, Pan jednak wkrótce potem wywiódł ją na jaw; ale przedtem osoba ona, która pierwsza prawdę odgadła, dużo miała do zniesienia, bo nikt jej wierzyć nie chciał.

Z tych powodów, i z innych tym podobnych, wiele zależy na tem, by każda siostra jasno zdawała sprawę przełożonej z tego, czego doznaje na modlitwie; i przełożona nawzajem powinna pilnie badać przyrodzone usposobienie każdej i stopień jej wewnętrznego udoskonalenia; zaczem uprzedzi spowiednika, aby łatwiej każdą zrozumiał, albo gdyby zwyczajny spowiednik nie miał dość światła na rozsądzenie takich widzeń, wybierze na tę potrzebę nadzwyczajnego. Powinna również pilne mieć baczenie, aby takie rzeczy, choćby najpewniej pochodziły od Boga, choćby im towarzyszyły łaski widocznie cudowne, nie dochodziły do wiadomości ludzi świeckich; nie każdemu nawet spowiednikowi wypada mówić o nich, jeśliby który nie miał należnej roztropności i nie umiał milczeć. Jest to rzecz bardzo ważna, więcej niż zdołam wyrazić. Niech także uważa, aby siostry między sobą o tem nie mówiły. Sama zaś niech zawsze słucha ich wyznań z wszelką uwagą i roztropnością,

ROZDZIAŁ XX.

O zachwyceniu. Czem się różni od zjednoczenia. Co to jest zachwycenie. Nieco o pożytkach, jakie dusza odnosi, gdy Pan raczy ją podnieść do tego stanu. Jakie skutki sprawuje zachwycenie.

Chciałabym teraz, jeśli przy pomocy Boskiej potrafię, objaśnić różnicę zachodzącą między zjednoczeniem a zachwyceniem, czyli, jak je jeszcze zowią, podniesieniem czyli wzlotem ducha, albo ekstazą, bo wszystkie te różne nazwy jednoż oznaczają. Stan ten o wiele przewyższa zjednoczenie: sprawuje skutki nierównie znaczniejsze, i ma nadto inne jeszcze, własne swoje działania. Zjednoczenie, i w początku swoim, i w środku, i na końcu, działa, rzec można, tylko wewnętrznie; ten drugi stan zaś, w różnych kształtach i stopniach swoich, ponieważ jest porządku wyższego, działa nietylko wewnętrznie ale i zewnętrznie. Niechaj Pan sam raczy to objaśnić, jak objaśnił rzeczy poprzednie; bo gdyby Boska Jego łaskawość nie była mię nauczyła sposobu dania o tych rzeczach niejakiego pojęcia, ja z pewnością nie potrafiłabym.

Zważmyż tedy, że ta czwarta woda, o której na ostatku mówiłam, płynie tak obficie, że gdyby nie to, że ta ziemia nie zdołałaby znieść takiej szczęśliwości, moglibyśmy sądzić, że już tu, na tem wygnaniu, jest w pośrodku nas on wielki obłok Boskiej wielmożności, z którego ta woda wynika. Gdy więc za tak wielkie dobro oddajemy Mu wszystką wdzięczność, na jaką się zdobyć zdołamy, i czynem z niem wedle możności naszej współdziałamy, Pan jakoby natychmiast przyciąga duszę do siebie, podobnie jak chmury ściągają mgły i wyziewy tej ziemi, i całą ją od ziemi podnosi, i w obłoku chwały swojej porywa ją z sobą aż do nieba, i poczyna jej objawiać wspaniałości królestwa, które jej przygotował. Nie wiem, czy to porównanie jest trafne, ale to wiem prawdziwie, że rzecz w taki sposób się odbywa.

W tych zachwyceniach dusza jakoby już nie żyje w ciele; czuje owszem bardzo wyraźnie stopniowe stygnienie ciepła przyrodzonego, chociaż niewypowiedzianej doznaje z tego słod-

siostra księcia Medina-Coeli [1]), w której domu, jak to opowiedziałam obszernie w opisie fundacyi św. Józefa [2]), z rozkazu przełożonych jakiś czas przebywałam. Szczególną wówczas powzięła dla mnie miłość, która później miała jej być niejaką pobudką do uczynienia tego, co uczyniła. Tak to Pan w Boskiej Opatrzności swojej, za środek ku spełnieniu zamiarów swoich, używa nieraz rzeczy, według nas, którzy nie wiemy przyszłości, nic nie znaczących albo na nic niepotrzebnych. Gdy pani ta dowiedziała się, że otrzymałam upoważnienie do zakładania klasztorów, poczęła usilnie mię prosić, bym także otworzyła dom nasz w Malagonie, miasteczku do niej należącem. Ja w żaden sposób nie chciałam się zgodzić na to jej żądanie, z powodu, że w takiej małej mieścinie klasztor nie mógłby się utrzymać bez zapewnienia mu stałych dochodów, a temu z zasady stanowczo byłam przeciwną.

Teologowie jednak, jak również i spowiednik mój, których zdania w tej kwestyi zasięgałam, objaśnili mię, że niesłusznie się opieram: że skoro święty Sobór (Trydencki) pozwala na posiadanie dochodów, ja nie powinnam, dla utrzymania się przy moim sposobie widzenia, uchylać się od założenia tego klasztoru, z którego taka wielka może być chwała Bogu. Gdy przytem i ona pani nie ustawała w usilnych naleganiach swoich, nie mogłam w końcu nie zgodzić się. Wyznaczyła fundusz dostateczny na utrzymanie nowego domu, bo taka jest stała zasada moja, że klasztory nasze powinny być albo zupełnie ubogie, albo też, w razie wyznaczenia któremu stałego utrzymania, dochody jego powinny być tak zabezpieczone, aby siostry nie były zmuszone naprzykrzać się komubądź w potrzebach swoich. Zastrzegłam jednak przytem w sposób najmocniej stanowczy, by żadna nie posiadała niczego na własność, ale by wszystkie we wszystkiem zachowywały jak najściślejszej konstytucye, tak samo zupełnie jak drugie klasztory, trzymające się zupełnego ubóstwa.

---

[1]) Donna Ludwika de la Cerda, wdowa po Arias'ie Pardo, i pani na Malagonie.

[2]) Ob. *Życie*, rozdz. 34.

Po spisaniu odnośnych dokumentów, posłałam po kilka sióstr. wyznaczonych do tej fundacyi, i w towarzystwie onej pani przybyłyśmy do Malagonu, gdzie dom dla nas nie był jeszcze tak wykończony, byśmy mogły w nim od razu zamieszkać, skutkiem czego potrzeba nam było przez tydzień mieścić się w jednym z pokojów zamkowych.

W niedzielę kwietnią roku 1568. poprzedzone przez ludność miejscową, która procesyonalnie była wyszła na spotkanie nasze, odziane w płaszcze białe, z zasłoną spuszczoną na oczy, zostałyśmy wprowadzone do kościoła, gdzie wysłuchałyśmy kazania, poczem przeniesiono Najświętszy Sakrament do naszego klasztoru. Obchód ten uroczysty głęboko wzruszył wszystkich obecnych.

Zatrzymałam się jakiś czas w nowej fundacyi. Jednego dnia, będąc na modlitwie po Komunii, usłyszałam z ust Pańskich obietnicę, że w tym domu dobrze i wiernie służyć Mu będą [1]). Pozostałam w Malagonie nie dłużej, ile pamiętam, nad dwa miesiące, bo kwapił się duch mój w dalszą drogę, na fundacyę domu w Waliadolidzie: co mi do tego powód dało, opowiem to w następującym rozdziale.

ROZDZIAŁ X.

Fundacya domu w Waliadolidzie, pod wezwaniem Poczęcia Najświętszej Panny z Góry Karmelu.

Na cztery czy pięć miesięcy przed fundacyą tego klasztoru św. Józefa w Malagonie, przyszedł do mnie pewien młody pan wysokiego rodu [2]), i oznajmił mi, że gdybym chciała założyć klasztor w Waliadolidzie, on z wielką chęcią ofiaruje mi na ten cel dom swój tamże, z dużym i pięknym ogrodem, położonym wśród rozległej winnicy; był to dar wspaniały, a on domagał się bym go zaraz wzięła w posiadanie. Przyjęłam.

[1]) Ob. *Księga Sprawozdań, Sprawozd. III.*

[2]) Był to Don Bernardyn de Mendoza, brat biskupa Awilańskiego. Posiadłość pod Waliadolidem, którą na ręce św. Teresy ofiarował N. Pannie z Karmelu, zwała się Rio de Olmos.

lubo nie bardzo mi się chciało zakładać klasztor w takiem miejscu, o ćwierć mili od miasta; ale myślałam sobie, że raz będąc w posiadaniu tego domu, będzie można wymienić go na drugi w mieście; w każdym razie, ze względu na tak ochotną wolę jego, nie chciałam go pozbawiać zasługi tego dobrego uczynku i stawać na przeszkodzie pobożnej jego intencyi.

Mniej więcej w dwa miesiące potem, zapadł nagle na ciężką niemoc, której postępy tak były gwałtowne i szybkie, że straciwszy mowę, nie mógł się dobrze wyspowiadać, lubo wciąż znakami skruchę swoję oznajmiał i Pana za winy swoje przepraszał. Umarł bardzo prędko, daleko od miejsca, gdzie wówczas zostawałam. Ale Pan objawił mi, że zbawienie jego w wielkiem było niebezpieczeństwie; że jednak znalazł miłosierdzie u Niego, przez wzgląd na usługę, jaką oddał Matce Jego, ofiarując on dom swój na założenie w nim klasztoru poświęconego Jej zakonu; ale że nie wyjdzie z czyśca, aż za pierwszą Mszą, jaka się w tym klasztorze odprawi; wówczas dopiero będzie z mąk czyścowych wyzwolony. Od chwili tego objawienia, tak mi wciąż stały przed oczyma męki tej duszy, że chociaż właściwie chciałam naprzód założyć klasztor w Toledzie, odłożyłam ten zamiar na później, i z największym, ile tylko mogłam, pośpiechem zajęłam się fundacyą w Waliadolidzie.

Nie mogłam jednak przywieść jej do skutku tak prędko, jak tego pragnęłam. Potrzeba mi było zatrzymać się dość długo w klasztorze św. Józefa z Awili, który był pod moim zarządem, potem u św. Józefa w Medina del Campo, bo dom ten miałam po drodze. Tu jednego dnia, na modlitwie, Pan rzekł do mnie: — „Spiesz się; dusza ta bardzo cierpi.“ Więc, choć mi brakowało jeszcze wielu rzeczy potrzebnych, zabrałam się do dzieła, i w dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) stanęłam w Waliadolidzie. Gdy ujrzałam on dom, wielki na widok jego miałam zawód i zmartwienie; przekonałam się, że niepodobna, bez nałożenia wielkich kosztów, ani myśleć o umieszczeniu w nim zakonnic; przytem, choć bardzo przyjemny, dla roskosznego dokoła ogrodu, dom ten widocznie musiał być niezdrowy, bo stał nad samą rzeką.

Zmęczona z drogi, musiałam jeszcze pójść na mszę do klasztoru naszego zakonu, położonego przy bramie miasta; było tak daleko do niego, że odległość ta zdwoiła jeszcze moje strapienie; nie okazałam tego jednak przed siostrami, aby im nie odebrać odwagi. Sama też, choć zgnębiona, nie traciłam ufności, że Pan, jako mi kazał tu pospieszyć, tak też biedzie naszej zaradzi. Po cichu, nic nikomu nie mówiąc, wezwałam rzemieślników, i kazałam porobić przegrody, na celki dla sióstr i inne konieczne urządzenia. Był z nami ksiądz Julian z Awili, ten sam, o którym była mowa wyżej, i jeden [1]) z onych dwóch Braci, który jak tamże powiedziałam, chcieli przyjąć regułę karmelitów Bosych; ten ostatni, dla lepszego poznania jej, przypatrywał się naszym porządkom i praktykom, ks. Julian zaś robił starania o wydanie upoważnienia biskupiego na naszę fundacyę, co do którego biskup miejscowy, jeszcze przed przyjazdem moim, dobrą dawał nadzieję. Nie poszło to jednak tak prędko, wypadła niedziela, a my jeszcze nie miałyśmy w ręku obiecanego upoważnienia, bez którego i Najświętsza Ofiara u nas się sprawować nie mogła; ale wydano nam indult tymczasowy na odprawienie jej w miejscu, które przeznaczyłyśmy na kościół; tam też mogłyśmy w tę niedzielę wysłuchać Mszy świętej.

Ani mi na myśl nie przyszło, by wtedy już miało się spełnić to, co mi Pan był o onej duszy zapowiedział; mówił, że się to stanie za pierwszą Mszą, ale ja sądziłam że przez pierwszą ma się rozumieć ta, na której będzie wprowadzony do nas Najświętszy Sakrament. W chwili gdy kapłan z puszką świętą w ręku zbliżał się do miejsca, gdzie miał nam dać Komunię, i w samejże chwili, gdy przystępowałam dla przyjęcia jej, ukazał mi się on zmarły, z jasnem, rozpromienionem od radości obliczem, i składając ręce dziękował mi za to, co dla niego uczyniłam, aby został wyzwolony z czyśca; po czem zaraz dusza ta wstąpiła do nieba. Gdy pierwszy raz usłyszałam z ust Pana zapewnienie, że dusza jego jest na drodze do zbawienia, nie wielką, przyznaję, miałam co do niej otuchę, raczej żal wielki

[1]) Św. Jan od Krzyża.

i niepokój o nią mię dręczył; zdawało mi się, że śmierć jego nie była taką, jaką mu życzyć należało po życiu, jakie prowadził, bo choć nie zbywało mu na dobrych uczynkach, było to jednak życie uwikłane w sprawy światowe. Prawda, że z drugiej strony pocieszało mię i obawy moje uśmierzało to, co w ostatnich czasach mówił towarzyszkom moim, że ciągle myśli o śmierci. Zaiste, wielkie to szczęście, i rzecz wielce przyjemna Panu, komu dano jest oddać jaką posługę Matce Jego, i wielkie jest miłosierdzie Jego. Chwała Mu i dziękczynienie na wieki, iż taką chwałą i życiem wiecznem odpłaca nam za niepoczesne uczynki nasze, i sprawy nasze, same z siebie małą wartość mające, przez łaskę swoję czyni wielkiemi.

W dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, 15 sierpnia roku 1568, objęłyśmy nowy klasztor w posiadanie. Nie długo jednak w nim zostałyśmy, bośmy się prawie wszystkie ciężko rozchorowały. Widząc smutne położenie nasze, jedna pani, zamieszkała w tem mieście, przyszła nam w pomoc. Była to Donna Marya de Mendoza, małżonka komandora Cobos'a, matka margrabiego de Camarasa, osoba wysoko pobożna i wielce dobroczynna, jak o tem jawnie świadczą hojne jałmużny jej. Jest ona siostrą biskupa Awilańskiego, i z tego powodu już dawniej ją znałam i wielu łask od niej doznawałam; bardzo nam była pomocną przy zakładaniu pierwszego klasztoru i we wszystkiem, co się tyczy pomyślności naszego zakonu, żywy udział brała. Otóż będąc tak dobrą i miłosierną, i widząc, że w tem miejscu niepodobna nam mieszkać bez wielkiej trudności, tak z powodu ciągłych chorób, jak i z powodu zbytniej odległości od miasta i utrudnionej przez to jałmużny, ofiarowała się nam przyjąć od nas ten dom, a kupić nam za to drugi. Tak i uczyniła; i nie tylko darowała nam dom dużo więcej wart od tego, który jej ustąpiłyśmy, ale i zaopatrzyła nas, i dotąd zaopatruje we wszystko, czego nam tylko potrzeba, i dalej, dopóki żyje, zaopatrywać będzie [1]).

---

[1]) Do czasu ukończenia potrzebnych w nowym domu urządzeń, Donna Marya Mendoza, siostra wspomnianego wyżej Don Bernardyna, zaprosiła siostry do pałacu swego i z najczulszą gościła je u siebie miłością. Klauzury

W dzień św. Błażeja [1]) przeniosłyśmy się do nowego domu; lud z wielkiem nabożeństwem procesyonalnie towarzyszył nam przez miasto, i dotąd wielką czcią i miłością otacza ten dom nasz, bo Pan wielu łaskami okazuje nad nim miłosierdzie swoje i pociągnął do niego dusze wybrane, których świetność kiedyś w swoim czasie głośną będzie na świecie; za co niech Jemu będzie chwała i dziękczynienie, iż takiemi drogami raczy dawać dziełom swoim pomnożenie, i takie łaski wylewać na stworzenia swoje. O jednej zwłaszcza, która w tym czasie tu wstąpiła, i choć młodziutka wiekiem, wszystkim pokazała przykładem swoim, co to jest świat, zdeptawszy go nogami, zdało mi się rzeczą pożyteczną, obszerniej tu wspomnieć, dla nauki i zawstydzenia tych, którzy tak się w nim kochają, a na zachętę panienkom, którymby Pan raczył dać dobre natchnienia i święte żądze w nich wzbudzić, aby nie wahały się czynem odpowiedzieć miłościwemu Jego wezwaniu.

Mieszka w tem mieście jedna pani, Donna Marya de Acuna, siostra hrabiego De Buendia. Po śmierci męża, który był gubernatorem Kastylii, w bardzo młodym wieku jeszcze pozostawszy wdową z trojgiem dzieci, jednym synem i dwiema córkami, tak świętobliwemu oddała się życiu i tak cnotliwie dzieci swoje wychowała, iż zasłużyła sobie na ten zaszczyt, że Pan je raczył przyjąć za swoje. Powiedziałam, że pozostały jej dwie córki; omyliłam się, miała ich trzy. Jedna, skoro doszła do lat, wstąpiła do zakonu [2]); druga nie chciała wyjść za mąż, ale pozostała przy matce, wiodąc z nią życie w wysokim stopniu budujące; trzecia, najmłodsza, była ta, której wstąpienie do Karmelu tu opowiadam. Syn od wczesnej młodości począł poznawać marność tego świata i tak silne Bóg mu da-

---

naturalnie w tem chwilowem pomieszczeniu nie było, z czego korzystając św. Teresa, w czasie pobytu swego u Donny Maryi, zajęła się młodym Ojcem Janem od Krzyża, tłómacząc mu sama regułę i ducha nowej reformy. Tym sposobem wielki odnowiciel Karmelu odbył nowicyat pod kierunkiem wielkiej odnowicielki jego, i przez nią przeniknął się zasadami pierwotnego zakonu, któremu wraz z nią dawną jego świetność przywrócił.

[1]) 3 lutego 1569 r.

[2]) Do klasztoru dominikanek w Waliadolidzie.

wał powołanie do zakonu, że nic go od postanowienia odwieść nie mogło; matka też pewno, uradowana z powołania jego, skutecznie mu, przy łasce Bożej, dopomagała do wytrwania, lubo tego przed ludźmi nie okazywała, ze względu na opór familii. Ale gdy Pan chce którą duszę mieć dla siebie, żaden opór, żadna usilność stworzeń nie zdoła stanąć na przeszkodzie spełnieniu się woli Jego. Tak stało się i w tem zdarzeniu: przez trzy lata wszelkich używano przedstawień i nalegań, usiłując zachwiać młodzieńca w postanowieniu jego, a koniec był ten, że wstąpił jednak do Towarzystwa Jezusowego. Spowiednik tej pani [1]) opowiadał mi potem, jako wyznawała mu, iż nigdy w życiu serce jej nie opływało takiem weselem, jak w dniu professyi jej syna [2]).

O Panie! jakąż to łaskę nieocenioną czynisz tym, którym dajesz takich rodziców, taką prawdziwą miłością dzieci swoje miłujących, i nad wszelkie państwa, i majoraty, i bogactwa, życzących im dóbr nieskończenie większych w onej szczęśliwości, której nigdy nie będzie końca! Jakże więc słusznie boleć należy i litować się nad nieszczęsną ślepotą tego świata, którą rażeni rodzice na tem cześć swoję zasadzają, by niepożycie przechowywały się w ich rodzie te nędzne jak gnój dobra ziemskie, a nie pomną na to, że prędzej czy później muszą z niemi się rozstać, że wszystko, co znikome, choćby najdłużej się przechowało, skończyć się musi, a zatem mało się ważyć powinno. I tak, w tem zaślepieniu swojem, kosztem własnych dzieci chcą utrzymać marny splendor domu swego, i z niesłychaną zuchwałością śmieją Bogu wydzierać te dusze, które On wybrał dla siebie, a dusze te pozbawiać tak wielkiego dobra, które, chociażby nawet nie zapewniało im tej szczęśliwości wiecznej, którą im Bóg, wzywając je do zakonu, przeznacza, już tem samem byłoby dobrem nieocenionem, że wyzwala nas z pod jarzma gniotących służebności i wymagań światowych. O Boże, otwórz im oczy i niech poznają, niech zrozumieją, co

---

[1]) O. Ripalda, rektor domu profesów Tow. Jezusowego w Waliadolidzie.

[2]) Ob. Dodatek III.

to jest, prawdziwa miłość rodzicielska, jaką dzieci swoje kochać powinni; niech im już nie wyrządzają takiej krzywdy, aby one nie były kiedyś ich oskarżycielami przed Bogiem, na onym sądzie ostatecznym, na którym i oni, czy chcą czy nie chcą, dowiedzą się, jaka jest rzeczywista wartość każdej rzeczy.

Tak więc, dzięki miłosierdziu Bożemu, Don Antonio de Padilla, — tak się zwał on młodzieniec, syn Donny Maryi de Acuna, porzucił świat, mając lat mniej więcej siedmnaście. Skutkiem wstąpienia jego do zakonu, dobra wszystkie przechodziły na starszą córkę, Donnę Ludwikę de Padilla, to jest, nie tylko dobra rodzicielskie, ale i obszerne włości stryja, hrabiego de Buendia, po którego śmierci bezdzietnej, hrabstwo jego i godność gubernatora Kastylii prawem dziedzictwa przypadały Don Antoniemu. Nie będę tu opowiadała, bo nie należy to do rzeczy, — wszystkich udręczeń, jakie wycierpiał od familii, nim w końcu przywiódł do skutku postanowienie swoje; łatwo się tego domyśli, kto wie, jak wielką wagę możni tego świata przywiązują do tego, by dom i ród ich nie pozostał po nich bez następcy. O Synu Ojca przedwicznego, Jezu Chryste Panie nasz, prawdziwy Królu wszystkiego stworzenia, cóż Ty pozostawiłeś tu, odchodząc z tego świata, abyśmy, potomstwo twoje, po Tobie odziedziczyli? Cóż Ty posiadałeś na tej ziemi, Panie mój, prócz cierpień, i boleści, i zelżywości, nie mając nawet w srogiem konaniu śmiertelnem innego łoża, jedno twarde drzewo krzyża? I nam więc, Boże mój, którzy pragniemy być prawdziwymi synami twymi i nie zrzekać się dziedzictwa twego, nie godzi się uciekać od cierpienia. Herbem twoim pięć ran twoich: to, córki, powinno być i naszem godłem, jeśli mamy odziedziczyć królestwo Jego; nie używaniem wczasów, i roskoszy, i honorów, i bogactw ma się nabywać to, co On kupił takiem wylaniem krwi swojej. O panowie szlachetni, na miłość Boga, otwórzcie oczy i obaczcie, jako prawdziwi rycerze Jezusa Chrystusa, i książęta Kościoła Jego, taki święty Piotr i święty Paweł, nie tą drogą chodzili, którą wy idziecie. Czy może sądzicie, że dla was ma być osobna, nowego rodzaju droga do nieba? Mylicie się. Prawdziwą drogę oto Pan wam

ukazuje, na przykładzie takich maluczkich, jak ten młodzieniaszek, jak ta panienka, o których tu mówimy. Widywałam nieraz tego Don Antoniego i rozmawiałam z nim: radby był posiadał dużo większe jeszcze dobra, aby je wszystkie porzucił dla Chrystusa. Zaiste, błogosławiony młodzieniec, błogosławiona dzieweczka, którzy na taką sobie u Boga łaskę zasłużyli, iż w wieku, w którym świat wszechwładnie zwykł panować nad synami ludzkimi, oni umieli zdeptać go nogami. Błogosławiony niech będzie Ten, który im tak wielkiego dobra użyczył.

Gdy tedy skutkiem wstąpienia Don Antoniego do zakonu, wszystkie posiadłości rodu prawem przeszły na starszą siostrę jego, ta wobec spadającego na nią blasku wielkości ziemskich, taką samą jak brat wspaniałość serca okazała. Od dzieciństwa bowiem żarliwie oddana modlitwie, z której jako ze źródła spływa na duszę światło od Boga, ku poznaniu prawdy, chwałą doczesną i bogactwy, idąc za przykładem brata, wzgardziła. O Boże wielki! iluż to ludzi ochotnie zgodziłoby się wycierpieć przykrości wszelkie, udręczenia, i procesa, i choćby życie nawet i cześć swoję na szwank narazić, dla pozyskania takiego dziedzictwa! Ta przeciwnie wycierpiała nie mało, aby uzyskać pozwolenie zrzeczenia się onegoż. Taki to jest duch i obyczaj świata; nierozum jego rzuca się w oczy, tylko że ślepi jesteśmy i nie widzimy go. Chętnie i z wielkiem weselem ducha, Donna Ludwika, dla uwolnienia się wreszcie od tej sukcesyi, uczyniła zrzeczenie się na imię najmłodszej siostry swojej, ostatniej, jaka jeszcze pozostawała na świecie, mającej zaledwo dziesięć czy jedenaście lat życia. Niebawem, dla przechowania marnej nazwy rodowej, familia postanowiła dzieweczkę jeszcze nieletnią wydać za stryja jej, rodzonego brata jej ojca, i za uzyskaniem potrzebnych dyspens papieskich, odbyły się zaręczyny.

Ale Pan nie dopuścił tego, by córka takiej matki i siostra takiego rodzeństwa uległa fałszywym pojęciom świata, których tamci szczęśliwie się ustrzegli. Stało się to w sposób następujący. Zrazu panienka lubowała się w strojach i zbytkach światowych, świetnych i wspaniałych, odpowiednio do

wysokiego stanu jej, zdolnych zatem olśnić umysł tak młody. Ale nim jeszcze skończył się drugi miesiąc od zaręczyn, Pan zaczął oświecać ją wewnętrznie, choć jeszcze nie rozumiała tych Boskich natchnień Jego. Spędziwszy wesoło dzień cały w towarzystwie narzeczonego, którego nad wiek swój gorąco kochała, wieczorem nie mogła się obronić ciężkiemu smutkowi, na myśl, że dzień się skończył i że następne podobnież się skończą. O cudowna wielmożności Boga! samoż zadowolnienie, jakiego doznawała z uciech znikomych, przywiodło ją do tego, że też uciechy jej zbrzydły! Smutek jej tak coraz bardziej się wzmagał, że nie było już w jej mocy ukrywać go przed narzeczonym: ale na troskliwe pytania jego nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo sama nie rozumiała, co jej jest. Wypadła mu w tym czasie potrzeba odjechania jej na dłuższy czas, w podróż daleką, czem ona, tak mocno przywiązawszy się do niego, bardzo się martwiła. Ale wówczas właśnie Pan odkrył przed nią przyczynę jej strapienia; zrozumiała, że dla tego sobie spokoju znaleźć nie może, że dusza jej już się skłania ku rzeczom, które nigdy nie przeminą. Poczęła zastanawiać się nad tem, jako brat jej i siostra obrali sobie cząstkę bezpieczniejszą, a ją pozostawili wśród niebezpieczeństw świata. Dręczyła ją ta myśl, zwłaszcza, że z drugiej strony uważała siebie za nieodwołalnie związaną, nie wiedząc jeszcze o tem, o czem później dopiero się dowiedziała, że zaręczyny nie są przeszkodą do wstąpienia do zakonu; nadewszystko zaś przywiązanie do narzeczonego wciąż ją powstrzymywało od ostatecznego postanowienia, a wszystko to razem w bolesnem ją trzymało zawieszeniu i rozterce wewnętrznej. Lecz Pan, chcąc ją mieć dla siebie, powoli zacierał w jej sercu to ziemskie przywiązanie i coraz żywszą w niej rozniecał żądzę opuszczenia wszystkiego. Wówczas jeszcze do tej żądzy pobudzał ją tylko wzgląd na zbawienie wieczne i chęć obrania środków najpewniej do tego celu wiodących. Mówiła sobie, że wysokiem stanowiskiem swojem więcej niż wielu innych wplątana w rzeczy tego świata, zapomni o potrzebie zapracowania sobie na rzeczy wieczne. Taką to mądrością, w tak młodym wieku, napełniał Pan tę duszę, ucząc ją szukać tego, co trwa niepożyte bez końca!

O szczęśliwa dusza, tak wcześnie uzdrowiona z tej ślepoty, w której tylu starców leży aż do śmierci! Wreszcie czując już w sobie wolę i serce wolne od więzów, które je krępowały, postanowiła bez podziału oddać je Bogu, i z tem postanowieniem swojem, z którem dotąd się kryła, naprzód zwierzyła się siostrze. Ta, sądząc zrazu, że jest to tylko dziecinne zachcenie, poczęła jej odradzać, przedstawiając jej, że i na świecie i w stanie małżeńskim może być zbawioną. „Czemuż więc ty wszystko to porzuciłaś?“ odpowiedziała jej dzieweczka. Tak upłynęło jeszcze kilka dni, a pragnienie jej oddania się Bogu z każdym dniem wyżej rosło. Mimo to jednak nie śmiała zamiaru swego objawić matce; a może właśnie matka świętemi modlitwami swemi taką w sercu córki wojnę wewnętrzną wznieciła i takie jej zwycięstwo wyprosiła.

ROZDZIAŁ XI.

Dalszy ciąg wszczętego w poprzedzającym rozdziale opowiadania. — Jaki zakon obrała sobie Donna Kasylda de Padilla, w wykonaniu świętego zamiaru swego wstąpienia do klasztoru.

W tymże czasie wypadł w tym naszym klasztorze Poczęcia obrządek uroczystych obłóczyn jednej konwerski, siostry Stefanii od Apostołów, której powołanie może później opowiem; bo choć to córka ubogiego wieśniaka i urodzeniem bez porównania niższa od tamtej córki możnego domu, wszakże wielkiemi, jakich jej użyczył, łaskami, Bóg tak ją wywyższył, iż dla chwały Boskiej wielmożności Jego, warta jest wspomnienia. Donna Kasylda—tak było imię onej duszy wybranej od Boga, o której w poprzedzającym rozdziale mówić zaczęłam,—będąc obecną na tych obłóczynach, w towarzystwie babki swojej, matki jej narzeczonego, nadzwyczajnie upodobała sobie nasz klasztor: mała liczba i ubóstwo sióstr wydawały jej się pożądanym do tem gorliwszej służby Bożej warunkiem. Nie miała jednak jeszcze niezachwianego postanowienia zerwania z narzeczonym, co jak mówiłam, było dla niej najtrudniejszą do

nawiedzenie Pańskie taką nieogarnioną korzyść na nią sprowadza. Nikt temu nie da wiary, kto sam przez to nie przeszedł; nie wierzą też biednej duszy, którą przedtem widzieli tak grzeszną, a teraz, tak prędko, zrywa się ona do rzeczy bohaterskich; bo nagle i od razu taka w niej stała się zmiana, że jej już nie dość służyć Bogu miernie, i w rzeczach zwyczajnych, ale chce dla Niego czynić rzeczy, jak zdoła największe. Poczytują jej to za pokusę i szaleństwo. Gdyby chcieli zrozumieć, że wszystko to nie od niej pochodzi, jedno od Pana, któremu już oddała klucze woli swojej, ustałoby ich zdziwienie. Jestem mocno przekonana, że dusza, gdy dojdzie do tego stanu, nic już nie mówi ani czyni z samej siebie, ale o wszystkiem co uczynić ma, on Król najwyższy ma pieczę. O Boże! jakże tu jasny widzimy wykład tych słów Psalmisty, i jaki słuszny powód miał Królewski Prorok, gdy prosił Boga, i bodajby wszyscy za nim tak prosili, o skrzydła gołębicy [1]). Jasno tu widać ten wzlot z ducha poczęty, którym dusza, dążąc do Boga, wznosi się nad wszystko stworzenie, a nasamprzód nad samą siebie; ale jest to wzlot słodki, wzlot roskoszny, wzlot cichy.

Jakież to panowanie ma w ręku swojem dusza, którą Pan na tę wysokość podniesie, skąd widzi przed sobą wszystkie rzeczy stworzone, a żadna jej już usidlić nie może! Jakże się wstydzi tego czasu, w którym się do nich przywiązywała! Jakże się dziwi zaślepieniu swemu! Jak lituje się nad tymi, którzy jeszcze tą ślepotą są zarażeni, zwłaszcza jeśli to dusze oddające się modlitwie bogomyślnej i otrzymujące dary i pociechy od Boga! Chciałaby wołać na nie w głos, aby je ostrzedz, że są w błędzie; nieraz też tak czyni, za co potem spadają jej na głowę tysiączne prześladowania. Poczytują jej to za brak pokory, obwiniają ją, że chce uczyć tych, od którychby się sama uczyć powinna; zwłaszcza jeśli to kobieta. I słusznie ją tu potępiają, bo nie widzą ani nie znają tego zachwytu Bożego, który ją porywa, iż nieraz oprzeć mu się nie zdoła, i niepodobna jej nie ostrzedz i nie wywodzić z błędu tych, którym

[1]) Ps. 54, 6.

piwszy próg, oświadczyła, że tu już zostanie, i nie było sposobu skłonić ją do wyjścia. Tak rzewnie płakała, tak gorącemi słowami błagała by ją zostawiono, że i siostry wszystkie zdumione były taką jej usilnością. Matka, choć w duchu uradowana, bojąc się jednak familii, nie byłaby rada takiemu jej od razu pozostaniu, by snać nie oskarżali jej, że ona córkę namówiła; przełożona również podzielała jej zdanie, znajdując przytem że dzieweczka jeszcze za młoda, że potrzeba dłuższej próby. Ona wszakże obstawała przy swojem postanowieniu, i w takim stanie rzeczy pozostały aż do wieczora. Posłano tymczasem po jej spowiednika, i po O. Dominika (Bagnez), który, jak na początku wspomniałam, był spowiednikiem moim; ja wówczas nie byłam na miejscu. Ojciec ten poznał od razu, że jest to sprawa Ducha Pańskiego, i jak najmocniej poparł młodą aspirantkę, za co miał twardą walkę do przebycia z familią Oto wzór, według którego powinienby postępować każdy, kto mieni siebie sługą Bożym, gdy widzi duszę powołaną od Boga, powinien stanąć w jej obronie, nie krępując się tak bardzo względami rostropności ludzkiej. Ojciec Dominik obiecał jej pomoc swoję, aby mogła nazajutrz wrócić do klasztoru. Tym sposobem, ulegając usilnym, jakie jej czyniono przedstawieniom, a głównie z uwagi na to, by matki jej za nią nie obwiniali, na ten raz zgodziła się pójść z nią jeszcze do domu; ale święte jej pragnienia codzień większej siły nabierały. Matka widząc to, uznała potrzebę uprzedzenia krewnych, ale pod sekretem, aby narzeczony nie dowiedział się przed czasem. Krewni uznali to za dzieciństwo; w każdym razie, mówili, panna powinna poczekać, aż dojdzie do lat, nie mając obecnie jeszcze lat dwunastu. Na to ona im odpowiadała: „Kiedy uznaliście, że mam lata dostateczne na to, byście mię wydali za mąż i rzucili w świat, jakimże sposobem teraz znajdujecie mię za młodą, bym mogła oddać się Bogu?“ Wiele innych jeszcze racyi przywodziła, tak mądrych i trafnych, że trudno było nie uznać, iż nie sama z siebie wszystko to mówi, ale inszy i większy mówi przez nią. Rzecz nie mogła tak długo pozostać w tajemnicy, by w końcu wiadomość nie doszła narzeczonego. Wtedy już ona, w obawie nowych i większych trudności z je-

go strony, uznała za rzecz konieczną, nie czekać powrotu jego i postanowienie swoje bezzwłocznie wykonać. W święto Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, będąc u babki swojej, która miała zarazem stać się jej świekrą, ale o zamiarze jej nie była uprzedzona, poczęła bardzo ją prosić o pozwolenie przejechania się trochę za miasto, z ochmistrzynią swoją, na co ta, chcąc jej zrobić przyjemność, chętnie się zgodziła i powóz swój na tę przejażdżkę jej dała. Tymczasem Kasylda, dawszy pieniędzy jednemu ze służących, poleciła mu kupić wiązkę łuczywa i czekać z nią przy furcie klasztornej; sama zaś rzekomą przejażdżką tak pokierowała, iż w końcu znalazła się przed bramą naszego domu. Tu kazała stanąć i poleciła służbie pójść poprosić siostry kołowej o szklankę wody, nie mówiąc dla kogo; po czem, tuż za posłańcem swoim, pośpiesznie wyskoczyła, nie zważając na przedstawienia ochmistrzyni, żeby poczekała, że jej wodę przyniosą do powozu. Łuczywa już były złożone pod furtą: kazała zadzwonić, aby kto przyszedł zabrać je, a stanąwszy tuż przy furcie, skoro się drzwi uchyliły, wpadła w mgnieniu oka do środka i rzuciła się do stóp figury Matki Boskiej, obejmując je rękoma i ze łzami błagając przełożonej, by jej nie wypędzała. Tymczasem służba pozostawiona na ulicy podniosła wielkie krzyki i dobijała się do furty, aż ona wyszedłszy do nich do kraty, oznajmiła im, iż pod żadnym warunkiem stąd już nie wyjdzie, polecając im zarazem, aby donieśli o tem jej matce. Ochmistrzyni także i drugie niewiasty, które ją były odwiozły, głośno płakały i narzekały, ale ona nic na to nie zważała. Babka, skoro się o tem zajściu dowiedziała, pośpieszyła na miejsce, ale ani ona, ani stryj, ani narzeczony, w długich, jakie za powrotem miał z nią przy kracie rozmowach, niczego nie dokazali; przedstawienia i nalegania ich sprawiały jej udręczenia, ale tem mocniej ją w jej postanowieniu utwierdzały. Narzeczony, po długich żalach i narzekaniach, przedstawiał jej, że z większym pożytkiem mogłaby służyć Bogu, zostając na świecie i hojne czyniąc jałmużny. Odpowiedziała mu na to, że dawanie jałmużny pozostawia jemu; inne zaś dowodzenia jego zbijała krótko oświadczeniem, że za pierwszy obowiązek sobie poczytuje, starać się o zbawienie swej duszy; że znając słabość

i ułomność swoję, jasno to widzi, że nie zdołałaby się zbawić wśród pokus świata; że wreszcie on nie ma powodu skarżyć się na nią, iż go opuściła, bo opuściła go dla Boga, czego on nie może poczytywać sobie za obrazę i krzywdę. W końcu, widząc, że niczem go przekonać ani uspokoić nie zdoła, wstała i zostawiła go przy kracie samego. Żadnego po tem rozstaniu żalu nie czuła; owszem, po tej ostatniej rozmowie do reszty dawną swą ku niemu skłonność straciła. Tak to, gdy Pan oświeci duszę światłością prawdy swojej, wszelkie pokusy i przeszkody, jakie jej kładzie szatan, tem mocniej tylko ją utwierdzają; bo Pan sam wówczas Boską mocą swoją za nią walczy. Tak walczył i w tej młodej duszy i w niej zwyciężał; bo widoczną było rzeczą, że On przez nią mówi, nie ona sama z siebie. Familia jednak i narzeczony, przekonawszy się, że nie zdołają skłonić jej do wyjścia dobrowolnie, postanowili użyć siły; wystarali się o dekret królewski, upoważniający ich do zabrania jej z klasztoru i nakazujący przełożonym wypuścić ją na wolność. Ona, przez cały czas pozostawania w klasztorze, to jest od dnia Poczęcia aż do dnia Młodzianków, w który ją zabrali, choć nie wkładała habitu, z wielkiem jednak uradowaniem spełniała wszelkie obowiązki zakonne, tak jakby go nosiła. Gdy wreszcie z siłą zbrojną przyszli ją zabrać, choć zmuszona była uledz przemocy, ale z rzewnemi łzami wymawiała krewnym, że na próżno ją dręczą, bo niczego na niej tym gwałtem nie dokażą. Umieścili ją w domu jednego pana, gdzie codzień musiała słuchać usilnych namów i upomnień od zakonników i różnych innych doradców; jedni całą rzecz poczytywali za dzieciństwo, drudzy chcieli by spokojnie używała dóbr swoich. Długo byłoby opowiadać po szczególe wszystkie dysputy, jakie miała do wytrzymania, i w jaki sposób z każdej wyszła zwycięzko. Wszyscy zdumiewali się nad mądrością odpowiedzi jej. Widząc wreszcie, że tą drogą nie dojdą do celu, oddali ją do czasu matce, na dalszą próbę. Była to w rzeczy samej próba nie lekka: matka, snać już zmęczona ustawicznym z jej powodu niepokojem i zgiełkiem, w niczem jej nie popierała, raczej okazywała się jej przeciwną. Było to może w celu gruntowniejszego doświadczenia jej; tak przynaj-

mniej ona mi to potem tłómaczyła, a jest to osoba tak świętobliwa, że nie można nie dawać wiary temu co powie. Ale dzieweczka tego nie rozumiała; przytem i spowiednik, do którego chodziła, w najwyższym stopniu przeciwny był jej powołaniu. Z wyjątkiem więc jednej z panien matki jej, u której znajdowała współczucie i niejaką pociechę, nikogo nie miała na obronę swoję, prócz Boga. Tak w ciężkich strapieniach i udręczeniach żyła aż do skończonych dwunastu lat. Wówczas krewni, widząc że żadną miarą nie zdołają odwieść jej od myśli wstąpienia do zakonu, nosili się z zamiarem oddania jej przynajmniej do klasztoru, w którym zostawała już starsza jej siostra, a w którym reguła nie była tak surową jak w Karmelu. Kasylda, skoro ją doszła wiadomość o tym zamiarze, umyśliła natychmiast jakimbądź sposobem przywieść do skutku postanowienie swoje. Pewnego więc dnia, gdy była z matką i ochmistrzynią swoją w kościele, a matka wysłuchazy Mszy świętej, przystąpiła do konfesyonału dla odbycia spowiedzi, ona uprosiła ochmistrzynię, aby poszła do zakrystyi i u którego z Ojców Mszę świętą dla niej zamówiła; skoro zaś ta odeszła, nie zwlekając ani chwili, zrzuciwszy trzewiki, aby jej w biegu nie zawadzały, i podkasawszy wlokącą się suknię, pobiegła co wyskoczyć mogła ku naszemu klasztorowi, do którego stamtąd było daleko. Ochmistrzyni, nie zastawszy jej za powrotem w zakrystyi, puściła się w pogoń za nią, i ujrzawszy ją zdaleka, zawołała na człowieka idącego po przedzie, by przyśpieszył kroku i zatrzymał ją; ale ten, jak później się tłómaczył, doznał tejże chwili jakiegoś obezwładnienia w członkach, i tak nie mogąc postąpić naprzód, poniewolnie ją puścił. Tym sposobem dzieweczka zdążyła pierwsza przybiedz do klasztoru, i zamknąwszy za sobą drzwi od wejścia, poczęła wołać, by ją wpuszczono za furtę; gdy w chwilę potem nadbiegła ochmistrzyni, ona już była za kratą. Dano jej zaraz habit, i tak wreszcie dokonała się święta sprawa, którą Pan był w niej łaską swoją rozpoczął. Niebawem też Boska miłość Jego poczęła jej za wierność, jaką Mu okazała, odpłacać hojnością duchownych darów swoich, a ona z niewypowiedzianą radością służyła Mu w pokorze niezrównanej i zupełnem wyzuciu się

z wszystkiego. Niech będzie błogosławiony na wieki, iż takie w ubogim habicie szerścianym upodobanie daje tej, która przedtem w kosztownych i zbytkownych szatach się kochała; lubo i ta gruba powłoka zakonna nie zdołała zakryć urody jej i wdzięków przyrodzonych, w które Pan hojnie ją uposażył; ale hojniej jeszcze wylał na nią wdzięki duchowne i takiemi ją wysokiemi zaletami serca i umysłu obdarzył, iż rozmową i samąż postawą swoją wszystkich do siebie pociąga i do chwalenia Boskiej łaskawości Jego pobudza. Dałby Bóg, by wiele znalazło się dusz, tak wiernie jak ona odpowiadających powołaniu swemu.

ROZDZIAŁ XII.

O życiu i śmierci Beatryczy od Wcielenia, którą Pan do tego domu naszego powołał: życiu tak cnotliwem i śmierci tak pięknej, iż słusznie należy im się to wspomnienie.

Na kilka lat przed Donną Kasyldą wstąpiła do tego klasztoru naszego daleka krewna jej Donna Beatrycza Onez. Tak wielkie Pan w jej duszy sprawował postępy w cnotach, iż była przedmiotem podziwienia dla wszystkich. Wszystkie siostry, z przełożoną na czele, twierdzą jednozgodnie, że nigdy póki żyła, nie spostrzegły w jej postępowaniu niczego, coby mogło zwać się niedoskonałością; nigdy, w jakiejbądź przeciwności, nie widziały na twarzy jej poruszenia wewnętrznego czy zasępienia się; zawsze na obliczu jej jaśniała jednaż skromna, pogodna wesołość, jawnie świadcząca o wewnętrznem weselu jej duszy. Kochała się w milczeniu; ale nie było w niem nic ciężkiego dla drugich; przeciwnie, taki mu umiała nadawać wdzięk, że i milcząc wszystkich do siebie pociągała. Nikt od niej nigdy nie usłyszał słowa, w czemkolwiekbądź zasługującego na naganę: nigdy się z nikim nie sprzeczała, nigdy nie uniewinniała siebie, jakkolwiek przełożona nieraz doświadczała jej, upominając ją za winy, których nie popełniła, jak to się praktykuje w naszych klasztorach, dla umartwienia miłości własnej. Nigdy się na nic, ani tembardziej na żadną siostrę nie skarżyła. Ja-

kikolwiek jej naznaczono obowiązek, nigdy przy nim nikomu, słowem, czy wyrazem twarzy, najmniejszej przykrości nie wyrządziła. Słowem, we wszystkiem tak się zachowywała, iż niepodobna było dostrzedz w niej żadnej niedoskonałości. Na kapitułach nawet, gdzie siostry zelatorki z obowiązku swego wyszukują i zaznaczają jako winę najlżejsze uchybienia, na nią się nigdy żadna kulpa nie znalazła. Wszystko w niej, i wewnątrz i zewnętrznie, w doskonałej było harmonii; a źródłem tej harmonii była ciągła jej pamięć na wieczność i na koniec, na który jesteśmy stworzeni od Boga. Chwała Boga była ustawicznie na ustach jej, a w sercu najgorętsza wdzięczność za dobrodziejstwa Jego; słowem, całe życie jej było jedną nieustającą modlitwą.

W rzeczach posłuszeństwa nigdy się nie dopuściła najmniejszego uchybienia, ale każdy dany jej rozkaz najochotniej, najpilniej, z weselem ducha spełniała. Miłość bliźniego była w niej dziwnie gorąca; świadczyła się, że gotowa jest za każdą duszę dać się porąbać na sztuki, aby tylko nie zginęła, i cieszyła się posiadaniem brata swego, — tak Go nazywała, — Jezusa Chrystusa. Cierpienia swoje, — a były one bardzo wielkie, jak opowiem niżej, — mianowicie różne choroby straszliwe i nad wyraz bolesne, z taką ochotną wolą znosiła, i z taką radością, jak gdyby to były najsłodsze uciechy i roskosze. Pewno też Pan roskoszami swemi duszę jej napełniał, inaczej niepodobna by z takiem weselem takie męki cierpieć mogła.

Początek tych niemocy jej był następujący. Kilku złoczyńców, skazanych na śmierć za ciężkie zbrodnie swoje, miało być w samemże mieście Waliadolidzie straconych na stosie. Ona, wiedząc snać z objawienia Bożego, że nieszczęśliwi ci idą na śmierć nie tak przygotowani jak potrzeba, niezmiernie była strapiona grożącą im zgubą wieczną, zaczem z boleścią najgłębszą zwróciła się sercem do Pana, gorąco i usilnie prosząc Go o zbawienie tych dusz, i w zamian za to, na co one zasłużyły, czy też dla zasłużenia samej na łaskę, o którą dla nich prosiła,— bo w jakich mianowicie słowach prośbę swoję wyraziła i ten ślub swój uczyniła, dokładnie nie pamiętam,—ofiarując się przyjąć na całe życie z ręki Jego wszelkie, jakieby zdołała wytrzy-

mać, cierpienia i boleści. Tejże nocy przyszedł na nią pierwszy paroksyzm febry, i od tej chwili aż do śmierci cierpienia jej trwały bez przerwy. Skazańcy oni ponieśli śmierć w dobrem usposobieniu; snać Bóg wysłuchał jej za nimi modlitwę, ale i ofiarę jej widocznie przyjął. Bo też za onemi pierwszemi objawami febry, utworzył jej się wrzód we wnętrznościach, połączony z tak dojmującym bólem, iż na zniesienie go z cierpliwością nie było za nadto łask i pociech, któremi Pan duszę jej napełniał. Ponieważ wrzód był w wewnątrz ukryty, lekarstwa, jakie jej zadawano, dosięgnąć i uleczyć go nie mogły, dopóki z łaski Pana sam nie pękł i materya wypłynęła, co w części przynajmniej umniejszyło jej męki. Lecz nieugaszonemu jej pragnieniu cierpienia mało było wszystkich tych tak srogich boleści. Raz, w dzień Podwyższenia Krzyża, w czasie kazania o Męce Pańskiej, ta żądza cierpienia z taką w niej potęgą wezbrała, że niezdolna już jej powstrzymać, skryła się do celi swojej, i twarzą padła na łoże, potokiem łez się zalewając; a gdy siostry przestraszone przybiegły, pytając co jej jest, odpowiedziała im: „Ach, siostry, proście za mną Pana, by mi dał więcej krzyżów i boleści, wówczas dopiero będę szczęśliwą“.

Wszystkie swe sprawy wewnętrzne najwierniej odkrywała przełożonej i wielką w tem znajdowała pociechę. Przez cały czas tak ciężkiej i długiej aż do śmierci niemocy swojej, nigdy nikomu nie była ciężką; siostrze infirmarce tak była posłuszną, że bez jej pozwolenia nie przełknęłaby ani kropli wody. Pragnąc cierpienia, gdy ono jest daleko, jest to u dusz oddających się bogomyślności rzecz bardzo zwyczajna; ale cierpieć istotnie, a radować się z tego, jest to udziałem nie wielu. Otóż siostra nasza cierpiała boleści tak nad wyraz gwałtowne, że samaż ich gwałtowność musiała im, i życiu zarazem, rychły koniec położyć; do tego jeszcze utworzył jej się nowy wrzód w gardle, tak iż niczego przełknąć nie mogła; a przecie, gdy siostry przy łożu jej obecne i przełożona chciały ją pocieszać i ducha jej dodawać, ona spokojnie odpowiadała im, że cierpienia te i bole żadnej nie sprawują jej przykrości, że nie pomieniałaby się z żadną z sióstr, najlepszem zdrowiem się cie-

szącą. Mając wciąż przed oczyma duszy tego Pana, dla miłości którego cierpiała, najrozmaitszych używała wybiegów, aby ukryć przed wszystkiemi srogość męczarni swoich; zaledwo w najgwałtowniejszych paroksyzmach bólu lekkim jakim jękiem się zdradziła. Szczerze była przekonana o sobie, iż nie masz na całym świecie większej nad nią grzesznicy; stąd w całem zachowaniu się swojem niezrównaną okazywała pokorę; wychwalać i podnosić cnoty drugich, największą dla niej było pociechą. W umartwieniu była nieubłaganą dla siebie; wszelkiej przyjemności i ulgi sobie odmawiała, a tak zręcznie umiała to ukrywać, że ktoby nie bardzo pilnie na nią uważał, niczegoby nie spostrzegł. Mogło prawie się zdawać, że duchem już nie żyje na tej ziemi i z żadnem już stworzeniem nie ma obcowania, tak była obojętną na wszelkie rzeczy doczesne; wszelkie przygody i odmiany tego życia przyjmowała z jednakowym zawsze spokojem i z jednakową zawsze pogodą na twarzy. Z tego powodu jedna z sióstr powiedziała jej kiedyś, że możnaby ją prawie zaliczyć do rzędu tych ludzi ambitnych i tak o zachowanie godności swojej dbałych, iż woleliby raczej umrzeć z głodu, niż przyznać się komu do tego, że nędzę cierpią; bo zdawało się wszystkim, że niepodobna jednak by pewnych rzeczy nie czuła, choć zgoła tego po sobie nie okazywała.

Wszelkie prace i obowiązki swoje z tak czystą i wysoką spełniała intencyą, iż każda czynność jej pełną miała i całkowitą zasługę. Siostrom też, do takiej intencyi je pobudzając, nieraz mawiała: „Najmniejsza rzecz nieocenionej nabiera wartości, gdy czynimy ją dla miłości Boga. Tak potrzeba nam, siostry, przeniknąć się tą prawdą, iżbyśmy nigdy ani oka nie zmrużyły, jedno w tej myśli i na ten koniec, oby i to było na chwałę i upodobanie Jego.“ Nigdy się nie wtrącała do żadnej rzeczy, którąby nie była jej zleconą; stąd też ślepa była na błędy cudze, a widziała tylko swoje. Wszelka zaś pochwała jej tak ją bolała, że i sama sądząc o drugich według siebie, nigdy nikogo nie chwaliła w obecności jego, aby mu nie zrobić przykrości.

Ciągle i we wszystkiem, jak mówiłam, umartwiając siebie, odmawiała sobie nawet takich najniewinniejszych przyjemności,

jak przechadzki po ogrodzie, albo ucieszenia się widokiem lub wonią pięknego kwiatu, czy jakimbądź wdziękiem stworzonym. Byłoby to, mówiła, niegrzecznością względem Pana, gdybym szukała sobie ulgi w cierpieniach, które On sam mi daje. Nigdy też o nic nie prosiła: cokolwiek jej dano, wszystko to było dla niej dobre. Wszelka pociecha, mówiła, inna niż w Bogu, dla mnie byłaby krzyżem. Jedno jeszcze nadmienię: gdy w ścisłem, jakie z urzędu przeprowadziłam co do życia i cnót jej dochodzeniu, wzywałam wszystkie siostry tego domu, każdą po osobno, aby dały swoje o niej świadectwo, nie było między niemi ani jednej, któraby nie zgadzała się na to jednomyślne wszystkich zeznanie, że w całem postępowaniu jej, tak jak na nie codzień patrzały, nigdy nie dostrzegły niczego, coby nie było oznaką duszy wysoko cnotliwej i prawdziwie doskonałej.

Gdy wreszcie przyszedł czas, w którym Pan postanowił zabrać ją z tego świata, cierpienia jej jeszcze się wzmogły; a ona wszystkie te różnego rodzaju, nad wyraz srogie boleści swoje z takiem znosiła rozradowaniem ducha, że kto mógł, i jak najczęściej mógł, przybiegał do łoża jej, chwaląc Boga i budując się widokiem takiego nadziemskiego w cierpieniu wesela. Między innemi, gorąco pragnął być obecnym przy jej śmierci kapelan i spowiednik tego klasztoru, godny i gorliwy sługa Boży, który znając jej duszę, uważał ją za świętą. Z łaski Boga spełniło się jego życzenie; widząc chorą, już po przyjęciu świętych Olejów, coraz mocniej cierpiącą i coraz bardziej słabnącą, wezwano go do niej, aby w razie, gdyby koniec miał nastąpić w nocy, jeszcze raz ją rozgrzeszył i asystował jej w konaniu. Na krótko przed dziewiątą, gdy siostry wszystkie wraz z kapelanem były przy niej zebrane, na kwandrans może przed skonaniem, boleści wszystkie ustały, a ona z wyrazem nadziemskiego spokoju wzniosła oczy ku niebu, twarz jej, jakby jasnością niebieską opromieniona, zajaśniała od wewnętrznego wesela, i oczy trzymając utkwione w jakieś niewidome dla drugich, snać bardzo radosne widzenie, po dwa kroć się uśmiechnęła. Kapłan i siostry obecne niewypowiedzianej na ten widok doznali pociechy duchownej i wewnętrznego rozradowa-

nia, którego inaczej określić nie umieli, jedno że zdawało im się, że już są w niebie. Z takiem weselem na twarzy, z oczyma wzniesionemi do nieba, skończyła, piękna i po śmierci jak anioł. Po takiem życiu, wolno nam, wedle tego, czego nas uczy wiara, mieć nadzieję i ufać, że Bóg ją przyjął na odpocznienie, w nagrodę za nienasyconą jej żądzę cierpienia dla miłości Jego.

Kapelan utrzymywał, i wielu osobom to powtarzał, że w chwili spuszczania ciała do grobu, uczuł dobywającą się z niego woń przenikliwą a dziwnie słodką. Siostra zakrystyanka z swojej strony zapewniała, że światła zapalonego na jej pogrzebie, nic zgoła się nie upaliło. Wszystko jest możebne u Boga i wielkie jest miłosierdzie Jego. Jeden z Ojców Towarzystwa Jezusowego, który przez wiele lat był spowiednikiem zmarłej i miał kierunek nad duszą jej, gdy kiedyś przy sposobności mówiłam z nim o tych dziwnych objawach, oświadczył mi, że nic w nich nie widzi nieprawdopodobnego, i zgoła im się nie dziwi, wiedząc w jaki nadzwyczajny sposób Pan się tej duszy wybranej udzielał. Daj Boże, córki moje, byśmy umiały okazać się godnemi tak dobrego towarzystwa, w jakiem Pan nas raczył umieścić, dając nam w tych domach naszych żyć pospołu z takiemi duszami świętemi, jak ta, o której tu mówiłam, i wiele innych, o których może jeszcze, co opowiem, aby każda z nas, zwłaszcza jeśliby się która opuściła nieco w pierwszej swej gorliwości, brała sobie stąd pobudkę do usilnego naśladowania tak wysokich przykładów, i abyśmy wszystkie wysławiały Pana, który tak wspaniale raczy objawiać wielmożność swoję w takich, jak my, słabych niewiastach.

ROZDZIAŁ XIII.

W jaki sposób i za czyją sprawą powstał pierwszy, według reguły pierwotnej, klasztor Karmelitów Bosych, roku 1568.

Jeszcze przed wyjazdem moim na fundacyę w Waliadolidzie, byłam się ułożyła, jak o tem była mowa wyżej, z Ojcem

Antonim od Jezusa [1]), naonczas przeorem klasztoru karmelickiego świętej Anny w Medina, i z Ojcem Janem od Krzyża, że w razie założenia klasztoru reguły pierwotnej karmelitów Bosych, oni dwaj pierwsi wstąpią do niego. Nie mogąc dostać zrazu domu odpowiedniego dla zamierzonej fundacyi, nieustannie polecałam tę sprawę Panu; bo co do tych dwu Ojców, z zupełną ufnością na nich polegałam. Ojca Antoniego, przez cały ten rok od mojej z nim umowy, Pan sam mocno był wypróbował, zsyłając nań wszelkiego rodzaju utrapienia, które on zniósł z doskonałem poddaniem się i cierpliwością; co zaś do O. Jana od Krzyża, nie było już potrzeba osobnej próby, bo chociaż liczył się do karmelitów sukiennych [2]) i trzewiczkowych, żył przecie od początku w wysokiej doskonałości i surowości zakonnej.

Zapewniwszy mi już rzecz główną, to jest zakonników, gotowych dać początek, Pan raczył łaskawie ułatwić i resztę. Jeden pan z Awili, imieniem Don Rafał [3]), z którym nigdy przedtem nie miałam żadnej styczności, dowiedziawszy się, nie pamiętam już i nie wiem jak, o zamiarze naszym założenia klasztoru Ojców Bosych, zgłosił się do mnie, ofiarując się z gotowością ustąpienia mi domu, należącego doń w nędznej wioszczynie, liczącej zaledwo dwudziestu mieszkańców; dom ten, o ile pamiętam, służył za mieszkanie komornikowi, którego tam trzymał dla ściągania czynszów, przypadających mu z posiadłości jego. Choć domyślałam się z góry, jaki to może być dom, z głębi serca jednak podziękowałam Panu i z szczerą wdzięcznością ofiarę przyjęłam. Objaśnił mię ten pan, że dom ten leży przy trakcie do Medina del Campo, że jadąc tamtędy na fundacyę w Waliadolidzie, będę go miała po drodze, zaczem łatwo mi będzie wstąpić i obaczyć go. Obiecałam mu, że zastosuję się do wskazówek jego, i tak też uczyniłam. Wyje-

---

[1]) Ob. Dodatek IV.

[2]) „Sukiennymi“ — *los del pano*, — nazywano w Hiszpanii karmelitów reguły złagodzonej, dla tego, że habit i płaszcz nosili z sukna, nie szarszany lub pilściowy, jak karmelici Bosi.

[3]) Don Raphael de Mexia.

chałam z Awili w czorwcu, w towarzystwie jednej siostry, i O. Juliana z Awili, kapelana domu św. Józefa, który, jak powiedziałam wyżej, towarzyszył mi we wszystkich tych jazdach moich. Wyruszyliśmy wcześnie z rana, ale nie znając drogi, zabłądziliśmy, i nie było kogo zapytać o drogę, bo mizerna ta wioszczyna mało komu była wiadomą. Cały dzień więc błądziliśmy z niemałem utrudnieniem, bo słońce silnie dogrzewało; gdy sądziliśmy, że już nie daleko, pokazało się, że jeszcze drugie tyle pozostaje nam drogi do przebycia. Umęczenie i przykrości, jakich doznaliśmy w tej drodze, dobrze mi utkwiły w pamięci. Zapadała już noc, gdyśmy wreszcie stanęli na miejscu. Ale gdyśmy ujrzeli on dom, nie stało nam odwagi zostać w nim na noc, taki był pełny nieczystości i brudu, a przytem natłoczony mnóstwem chłopstwa sprowadzonego na żniwa. Przedsionek dość przyzwoity, spora izba z przylegającym do niej lamusem, i kuchenka: taki to był gmach, przeznaczony dla nas na klasztor. Obmyśliłam zatem taki rozkład: z przedsionka będzie kościół, lamus posłuży za chór, bo się do tego najlepiej nadawał, a izba za dormitarz. Na to okrzyczała się towarzyszka moja; choć lepsza odemnie i do wszelkiego umartwienia bardzo ochotna, nie mogła jednak znieść tej myśli, bym w takiej chałupie zakładała klasztor: „Matko, wołała, nie masz duszy tak gorliwej i tak wysoko duchowej, któraby w podobnem pomieszczeniu wytrzymała; proszę na wszystko, porzuć tę myśl.“ Ojciec towarzysz nasz, choć także podzielał zrazu jej zdanie, wszakże, gdym mu wytłómaczyła powody moje, już się nie sprzeciwiał. Poszliśmy zatem do kościoła na noc, bo przy niezmiernem, jakie czuliśmy strudzeniu, nie bardzo bylibyśmy radzi spędzić ją bezsennie.

Przybywszy do Medina, rozmówiłam się zaraz z O. Antonim; opowiedziałam mu, jak rzeczy stoją; powiedziałam mu, że jeśli jedno zdobędzie się na odwagę zamieszkania do czasu w takiem pomieszczeniu, może być pewnym tego, że Bóg rychło przyjdzie nam w pomoc; że wszystko pójdzie dobrze, byle tylko zacząć. Nie bez zasady takie mu dawałam stanowcze zapewnienie; bo wówczas już, rzec mogę, tak jasno miałam przed oczyma to, co Pan później uczynił, i tak byłam pe-

wna tych rzeczy, jak dzisiaj pewną ich jestem, gdy je widzę spełnione; owszem i dużo więcej się spełniło, niż to, co wówczas przewidywałam, gdyż w chwili kiedy to piszę, mamy już z łaski Boga dziesięć klasztorów karmelitów Bosych. Przedstawiałam mu jeszcze, że ani przeszły prowincyał ani obecny, — których zgodzenie się, jak mówiłam, było nieodzownym do fundacyi naszej warunkiem, — nie daliby nam potrzebnego upoważnienia, gdyby widzieli, że zakładamy sobie dom duży i nieżycie urządzony, przypuściwszy nawet by nabycie onego było w możności naszej; gdy przeciwnie pozwolenie na umieszczenie się nasze w tej wiosce i w takiej ruderze, wyda im się rzeczą nic nie znaczącą. Okazało się, że O. Antoni miał od Boga większą odwagę niż ja; oświadczył mi, że gotów jest zamieszkać, nie tylko w tej nędznej chacie, ale choćby i w chlewie. Podobnąż gotowość okazywał i O. Jan od Krzyża. Pozostawało nam zatem jeszcze uzyskać pozwolenie od wspomnianych wyżej dwóch Ojców prowincyałów, bo nie inaczej jedno pod warunkiem ich zgodzenia się. Ojciec Generał był nam wydał upoważnienie. Zupełną miałam ufność w Panu, że otrzymamy ich pozwolenie, i w tej nadziei uprosiłam O. Antoniego, aby postarał się wedle możności swojej o zebranie nieco jałmużny na jakiekolwiek oporządzenie onego domu; sama zaś, z O. Janem od Krzyża, udałam się do Waliadolidu, na opisanę wyżej fundacyę. Tam, ponieważ przez kilka dni miałyśmy w domu robotników, sprowadzonych dla przerobienia go na klasztor, skutkiem czego i nie mogłyśmy przestrzegać klauzury, skorzystałam zatem z tej sposobności zajęcia się O. Janem, dla objaśnienia mu całego naszego sposobu życia, aby dobrze poznał wszystkie szczegóły, mianowicie umartwienia u nas używane i ducha bratniej miłości, jaka nas wszystkie między sobą łączy, i sposób rekreacyi naszych, z taką miarą obmyślanych, iż służą nam tylko do zobopólnego poznania wad i ułomności naszych i do chwilowego odetchnienia, abyśmy niem pokrzepione łatwiej mogły zachowywać i znosić całą surowość reguły. On był tak wyćwiczony we wszelkiej cnocie, że daleko więcej ja mogłam się nauczyć od niego, niż on ode-

mnie; ale wówczas nie o tem myślałam, mając jedynie na celu poznajomienie go z życiem i charakterem sióstr naszych.

Łaskawem zrządzeniem Bożem tak się złożyło, że właśnie w tymże czasie przebywał w Walladolidzie O. Alonso Gonzalez, prowincyał naszego zakonu, od którego zależało potrzebne nam pozwolenie. Był to dobry sobie starzec, bez żółci i bez złośliwego do nas uprzedzenia. Ponieważ jednak jeszcze się wahał, tyle mu przekonywających przedstawiłam racyi, ostrzegając go zwłaszcza, jak ciężki miałby do zdania Bogu rachunek, gdyby stawał na przeszkodzie tak dobrej sprawie, o której poparcie go proszę, że znacznie się uroczuchał; pewno też Pan, jako było wolą Jego by rzecz się stała, wewnętrznie go skłaniał do żądanego ustępstwa. Wreszcie Donna Maria de Mendoza i brat jej, biskup Awilański, który zawsze był pomocnikiem naszym i obrońcą, dobili z nim targu, jak również i z O. Aniołem Salazar, pojrzednim prowincyałem, z którego strony głównie obawiałam się trudności. Ale zdarzyło się, że wówczas właśnie w pewnej potrzebie swojej, zmuszony był szukać pomocy i poparcia u Donny Maryi Mendoza, i to, jak sądzę, głównie go skłoniło do okazania się nam przychylnym. Ale i w braku takiej zewnętrznej pobudki, Pan byłby niezawodnie poruszył i skłonił ku nam serce jego, jak to przedtem był uczynił z O. Generałem, który zraza tak był zamiarowi naszemu przeciwnym. O Boże wielki, ileż to w ciągu tych fundacyi napotkałam podobnych, niepokonanych zdawało się trudności, a Pan przecie w Boskiej łaskawości swojej tak je dziwnie łatwo uchylił! I jakie to dla mnie zawstydzenie, że choć na takie cuda własnemi oczyma patrzałam, nie stałam się przecie lepszą niż jestem. Dziś jeszcze, gdy to piszę, na wspomnienie tych dziwów zdumienie mię ogarnia. Najmocniej też tego pragnę, by wszyscy z łaski Boga uznali to i zrozumieli, że wszystka w dokonaniu tych fundacyi praca i przyczynienie się stworzeń jest jakby niczem: wszystko to Pan sam w Boskiej wielmożności swojej zrządził, i z tak niskich i małych narzędzi tak wielkie rzeczy wyprowadził, jakie tylko wszechmogąca potęga Jego sprawić mogła. Niech Mu będzie chwała i dziękczynienie na wieki.

ROZDZIAŁ XIV.

Dalszy ciąg o założeniu pierwszego domu Karmelitów Bosych. Jakie życie w nim wiedli pierwsi dwaj Ojcowie i jaki pożytek począł Pan przez nich sprawiać wśród ludności okolicznej na cześć i chwałę swoję.

Mając tedy już zgodzenie się obu prowincyałów, mieliśmy, zdaniem mojem, wszystko czego nam było potrzeba, i nie widziałam czegoby nam jeszcze mogło brakować. Stanęło więc na tem, że O. Jan od Krzyża pojedzie do domu dla nich przeznaczonego i postara się oporządzić do tyla, by czem prędzej mogli się do niego wprowadzić; bo w wielkiej byłam obawie, by nam nie weszła jeszcze w drogę nowa jaka przeszkoda i dla tego wszystka myśl moja była w tem, by nie zwlekając zrobił się początek. Tak więc O. Jan odjechał [1]), a O. Antoni tymczasem kwestował i już był nieco rzeczy potrzebnych uzbierał; pomagałyśmy mu w czem mogłyśmy, choć pomoc to była niewielka. Gdy z Mediny przyjechał do Waliadolidu dla widzenia się ze mną, chwalił mi się z wielkiem zadowolnieniem bogatą kwestą swoją, tylko że w istocie było tego bardzo mało; w klepsydry tylko był suto zaopatrzony; nazbierał ich aż pięć, z czego się szczerze uśmiałam; ale on mi dowodził, że tego potrzeba koniecznie, dla przestrzegania porządku godzin w klasztorze, że nie chce chodzić na oślep, nie wiedząc która godzina; ale przy całem tem bogactwie, nie miał podobno nawet na czem się położyć i czem się nakryć. Urządzenie domu, mimo

[1]) Miejscowość, w której znajdowała się ona nędzna chata, ofiarowana św. Teresie, miała nazwę Durvelo. Tu powstał pierwszy klasztor Karmelitów Bosych i św. Jan od Krzyża był pierwszym jego zakonnikiem. Wyjechał z Waliadolidu 30 września 1568 r. Święta dała mu do pomocy jednego z robotników, którzy urządzali nowy jej dom w tem mieście. Dała mu także pierwszy habit, własną jej ręką skrajany i uszyty. Była to siermięga z najgrubszej szarszy, nie dochodząca do kostek; na niej szkaplerz, krótszy od habitu; na wierzch płaszcz biały, nie fałdowany, ciasno przylegający, pod habitem tunika zgrzebna. O. Jan od Krzyża pierwsze dwa miesiące, do przyjazdu O. Antoniego, przebywał sam jeden w Durvelo.

najlepszej woli obu Ojców, opóźniło się nieco, dla braku pieniędzy. Gdy wreszcie wszystko było gotowe, O. Antoni złożył przeorstwo swoje i uczynił professyę reguły pierwotnej; radzono mu, by się nie spieszył i pierwej rzecz wypróbował, ale on o czekaniu ani słyszeć nie chciał i z największą w świecie uciechą podążył do chatki swojej, gdzie go już czekał O. Jan od Krzyża [1]).

Opowiadał mi potem O. Antoni, że gdy przybył na miejsce, na widok tej lichej wioszczyny, serce mu wezbrało niewypowiedzianem weselem; miał to uczucie, że świat już dla niego nie istnieje, od chwili jak opuściwszy wszystko, zamknął się w tej samotności. Niewygód nędznego pomieszczenia swego oba zgoła nie czuli, raczej wydawało się im ono jakby rajem roskoszy. O Boże wielki! jakże mało gmachy okazałe i wygody zewnętrzne pomagają do wewnętrznego zadowolnienia duszy! Na miłość Pana proszę was, siostry i was ojcowie moi, patrzcie, byście nigdy nie zaniechali jaknajwiększej skromności i powściągliwości w zakładaniu domów, aby nie były duże i kosztowne. Miejmy zawsze przed oczyma przykład prawdziwych fundatorów naszych, onych ojców świętych, których jesteśmy potomstwem, wszak wiemy, że nie inną drogą, jedno tą drogą ubóstwa i pokory doszli oni do tej szczęśliwości, w której dzisiaj się cieszą posiadaniem Boga.

Doprawdy, widziałam to na oczy i z doświadczenia o tem się przekonałam, że więcej bywa gorącości ducha, a nawet i wewnętrznego wesela, gdy ciału ciasno i niewygodnie, niż gdy onoż przestrone ma pomieszczenie i wczasów używa. Na cóż nam się zda dom choćby najobszerniejszy, kiedy na stałe przebywanie zawsze mamy tylko jednę celkę? i że celka ta będzie szeroka i dobrze urządzona, cóż nam z tego przyjdzie? wszak nie po to w niej mieszkamy, abyśmy na ściany jej patrzali. Wszak nie mamy w niej mieszkać wiecznie, ale tylko

---

[1]) O. Antoni de Heredia, przywdziewając habit reformy, przybrał sobie imię Antoni od Jezusa. Stanął w Durvelo 27 listopada 1568 r. Nazajutrz, w pierwszą niedzielę Adwentu, była pierwsza Msza św. w nowym klasztorze i dzień ten w aktach domu zaznaczony jest jako właściwa data fundacyi.

tyle w niej będzie naszego mieszkania, ile będzie czasu tego krótkiego życia. A jakże nam słodką będzie ciasność jej, gdy wspomnimy, że im mniej użyjemy przyjemności na tej ziemi, tem większą będziemy się cieszyli szczęśliwością w onej wieczności, gdzie zgotowane nam są mieszkania wedle miary miłości, z jaką tu wstępujemy w tropy i naśladujemy życia najsłodszego naszego Pana Jezusa. Jeśli, jak mówimy, te początki nasze mają być wznowieniem pierwszej reguły i ducha zakonu Najświętszej Matki Jego, nie czyńmyż Jej, i onym dawnym ojcom naszym, tej krzywdy, byśmy nie mieli starać się o jaknajbliższe z nimi podobieństwo; i choć nieudolność nasza nie zdoła im sprostać we wszystkiem, toć przynajmniej w używaniu rzeczy obojętnych i do utrzymania życia nie koniecznych, umiejmy zachowywać ścisłą miarę i powściągliwość. Jeśli jest w tem nieco trudu, samże trud ten staje się słodkim, jak tego świeży przykład mamy na tych dwóch Ojcach; początek tylko nieco ma trudności; skoro nań mężnie się odważymy, tem samem już trudność zwyciężona i dalej wszystko staje się łatwem.

W pierwszą, — czy może w drugą, nie pamiętam dobrze, — niedzielę Adwentu tegoż roku 1568, odbyła się pierwsza Msza w tym nędznym przedsionku, nie ozdobniejszym pewno od stajenki Betlehemskiej. W poście następnego roku, w przejeździe do Toletu na fundacyę, wstąpiłam tam. Było to z rana; zastałam O. Antoniego, z tym samym zawsze, jaki go nigdy nie opuszcza, wyrazem wesela na twarzy, zamiatającego przed kościołem. „A to co?“ zawołałam; „a gdzież, ojcze. honor twój?“ Na to on, uśmiechając się od wewnętrznego uszczęśliwienia, odpowiedział mi: „Przeklęty niech będzie ten czas, kiedy dbałem o honor.“ Wszedłszy do kościoła, zdumiałam się, widząc wszędzie oznaki gorącości ducha, jaką Pan był ten nowy dom napełnił: wszędy na ścianach, same tylko krzyże albo trupie głowy. I nie ja jedna odniosłam to wrażenie; dwaj kupcy z Mediny, znajomi moi, którzy mi towarzyszyli w tej drodze, tak byli tym widokiem wzruszeni, że wciąż tylko rzewnemi łzami płakali.

Pamiętam zwłaszcza, i póki żyję, pamiętać będę mały krzyż drewniany przy kropielnicy, z naklejonem na nim, malowanem na papierze wyobrażeniem Chrystusa Pana; papierowy ten obrazek głębiej, sądzę, do pobożności pobudzał, niż gdyby był najmisterniej z kosztownego materyału urobiony. Chór, w lamusie urządzony, w połowie dość był wysoki, aby Ojcowie mogli w nim odmawiać godziny kanoniczne albo słuchać Mszy świętej; ale wejście tak było niskie, że aby dostać się do środka, mocno musieli się schylać. W dwóch rogach kościołka mieli dwie maleńkie pustelnie, w których inaczej zmieścić się nie mogli, jedno leżący albo siedzący, a i tak jeszcze głową dotykali dachu; dla ogrzania się napełniali je sianem, bo chłód tam był wielki; w każdej było okienko, z widokiem na ołtarz i kamień, służący za wezgłowie, a nad nim krzyże i trupie głowy. Dowiedziałam się, że po Jutrzni nie wychodzili wcale na odpoczynek, ale pozostawali tam aż do Prymy, tak głęboko pogrążeni w modlitwie, że nieraz wychodząc stamtąd na Prymę, mieli habity całkiem pokryte śniegiem, a nie czuli tego. Hory odmawiali wspólnie z innym Ojcem karmelitą, z Trzewiczkowych, który był się do nich przyłączył, choć będąc mocno schorzałym, habitu nie zmienił; czwarty był z nimi młody braciszek, jeszcze nie wyświęcony, który także był przy nich zamieszkał.

Chodzili po wioskach okolicznych, ogłaszając słowo Boże ludności miejscowej, zupełnie nieoświeconej. Był to jeden z powodów, dla których rada byłam założeniu domu naszego w tem miejscu; widziałam bowiem, że nigdzie tam w całej okolicy nie było klasztoru, ani nikogo, ktoby ten ciemny lud mógł nauczać, i bardzo nad tem bolałam. Ojcowie nasi w tak krótkim czasie powszechne byli sobie zjednali poważanie i zaufanie ludu, co, gdy się o tem dowiedziałam, niewypowiedzianą mię napełniło pociechą. Chodzili tak przepowiadając i nauczając, na odległość półtorej mili albo i dwu mil, po głębokich śniegach i lodowych wertepach i to zupełnie boso, bo później dopiero kazano im nosić sandały. Całe dnie tak spędzali na nauczaniu i słuchaniu spowiedzi i późnym dopiero wieczorem wracali do domu na posiłek, ale takiem wśród tych

prac opływali weselem wewnętrznem, że ani strudzenia ani głodu nie czuli. Na pożywieniu im nie zbywało, bo ze wsi okolicznych znoszono im więcej niż potrzebowali. Przyjeżdżali także do nich do spowiedzi niektórzy panowie z miejscowości sąsiednich; niebawem poczęli im ofiarować u siebie lepsze domy i pomieszczenie. Między nimi był jeden, Don Ludwik de Toledo, pan na Cinco-villas (Pięciomiastach). Pan ten był wybudował kościół, na umieszczenie w nim obrazu Matki Boskiej, w szczególny sposób zasługującego na to, aby mu była oddawana cześć publiczna. Ojciec jego był go posłał z Flandryi matce jego czy babce, nie pamiętam, przez jakiegoś kupca, ale ten tak się do tego obrazu przywiązał, że przez wiele lat zatrzymał go u siebie, i dopiero w godzinę śmierci dał znać tym, dla których dar ten drogi był przeznaczony, aby go do siebie zabrali. Jest to duży obraz, a tak piękny, że w życiu mojem nie widziałam piękniejszego; i wielu innych to zdanie moje podziela. O. Antoni od Jezusa, gdy na zaproszenie tego pana przyjechał do niego i obraz ten ujrzał, tak się w nim, i słusznie, rozmiłował, że od razu zgodził się na przeniesienie tam klasztoru. Miejsce to nazywa się Mancera. Jednę ono miało niedogodność, mianowicie, że nie było tam studni i zdawało się nawet że niepodobna będzie dokopać się wody; mimo to jednak, gdy oba ojcowie na to przeniesienie się zgadzali, pan ten zbudował im klasztor, nie wielki, jak tego wymagała ich professya i kościół w potrzebne sprzęty zaopatrzył, a wszystko to uczynił dobrze i hojnie, po pańsku i po chrześcijańsku [1]).

Nie mogę tu pominąć milczeniem, w jaki sposób, zdaniem wszystkich, cudowny, Pan raczył i wody im dostarczyć. Pewnego dnia, po wieczerzy, O. Antoni, który był przeorem, przechadzając się z braćmi w dziedzińcu klasztornym, i rozmawiając z nimi o tym dotkliwym braku wody, nagle się zatrzymał i laską którą miał w ręku, zrobił na ziemi, zdaje mi

[1]) Don Ludwik de Toledo, za chrześcijańską szczodrobliwość swoję, najpożądańszą otrzymał od Boga w dzieciach swoich nagrodę: starszy syn jego i córka wstąpili do odnowionego Karmelu i święcie w nim życia dokonali.

się, znak krzyża świętego, choć tego dobrze nie pamiętam; ale w każdym razie jakiś znak zrobił laską w miejscu upatrzonem i rzekł: „Tu kopcie.“ I oto, ledwo nieco ziemię poruszyli, woda doskonała do picia w takiej obfitości wytrysła, że nawet gdy potrzeba czasem oczyścić ocembrowanie, trudno ją zatamować; do wszystkiej przy budowie roboty mularskiej ta woda służyła, wszystkie potrzeby klasztoru nią się zaopatrują, a nigdy, jak mówiłam, nie wysycha. Później bracia ogrodzili sobie miejsce na ogród, i szukali w niem wody, i dużo się napracowali, założyli nawet koło do ciągnienia wody, ale z tem wszystkiem, dotąd przynajmniej, ani kropli nie znaleźli.

Co do mnie, widząc tę chatkę, niedawno temu jeszcze niepodobną do zamieszkania, teraz tak pełną ducha Bożego, że na każdym kroku i w każdym jej zakątku coraz nowe znajdowałam dla siebie zbudowanie; słysząc o sposobie życia Ojców naszych, i o umartwieniach ich, i nieustannej modlitwie i o dobrym, jaki dawali z siebie przykładzie; gdy zwłaszcza jedni państwo, moi znajomi, mieszkający w sąsiedztwie, przyjechawszy do mnie, poczęli mówić mi o nich, słów nie znajdując na godne wychwalenie ich świętości, i niezmiernego, jaki wśród tego ludu sprawują, pożytku: z głębi duszy, z niewypowiedzianą radością wewnętrzną dzięki czyniłam Panu, iż z łaski Jego dano mi jest oglądać już pierwsze owoce rozpoczętej sprawy, wielki, jak godzi się mniemać, pożytek naszemu zakonowi i wzrost chwały Bożej wróżące. Niech Boska dobroć Jego raczy to sprawić, by rzeczy dalej tak szły, jak dotąd idą: w zupełności wówczas ziści się nadzieja moja. Oni dwaj kupcy, którzy mi, jak mówiłam, towarzyszyli, mówili mi potem, że za żadną cenę nie oddaliby tej pociechy, jaką im przyniósł chwilowy ten pobyt w klasztorku naszym. O dziwna potęgo cnoty! Milszym niż wszystkie ich bogactwa, wydał im się widok tego ubóstwa, i duszę ich uspokoił i pocieszył.

Gdym potem rozmawiała z Ojcami o naszych interesach i sprawach zakonnych, taka będąc, jaką jestem, słaba i niecnotliwa, poczęłam nalegać na nich, by zwolnili nieco srogości pokut swoich, bo w surowościach i umartwieniach przebierali, zdawało mi się, miarę. Po tylu gorących, jakie mię to ko-

sztowało, pragnieniach i modlitwach, znalazłszy wreszcie z łaski Pana z kim sprawę rozpocząć, i takie widząc szczęśliwe jej początki, bałam się by dyabeł w samejże surowości Ojców nie znalazł sposobu zaszkodzenia nam i nie doprowadził ich do zamorzenia się przed czasem, nimby się spełniły nadzieje, jakie w nich pokładałam. Byłto z mojej strony dowód niedoskonałości i małej wiary; nie pamiętałam na to, że sprawa przez nas podjęta jest sprawą Bożą i że Boska moc Jego potrafi ją zachować i wzrost jej zapewnić. Oni jednak, pełni tych cnót, na których mnie zbywa, mało zwracali uwagi na przedstawienia i prośby moje i w niczem nie zmienili świętobliwego trybu życia swego. Tak rozstałam się z nimi, z sercem pełnem najsłodszej pociechy, chociaż nie umiałam tyle chwalić Boga i dziękować Mu, ile należało za takie wielkie miłosierdzie Jego. Oby mi w Boskiej łaskawości swojej raczył uczynić godną wywdzięczenia Mu się w czemkolwiek za nieogarnione mnóstwo dobrodziejstw Jego, amen. Szczczęśliwe powstanie tego klasztoru Ojców, było, rozumiałam to dobrze, łaską bez porównania większą, niż wszystkie fundacye domów żeńskich, których mi Pan dał dokonać.

ROZDZIAŁ XV.

O fundacyi domu chwalebnego św. Józefa w mieście Toledzie, roku 1568.

Mieszkał w mieście Toledzie pewien kupiec, mąż zacny i pobożny. Żył w dobrowolnem bezżeństwie, przykładnie bardzo i cnotliwie. Niepospolitą odznaczał się szczerością i prawością charakteru. Uczciwym handlem pomnażał wciąż swój majątek, z tym zamiarem, że zapisze go cały na jaką fundacyę, z której byłaby jaknajwiększa chwała Bogu. Nazywał się Marcin Ramirez. Gdy ciężko zaniemógł i już był bliskim śmierci, O. Paweł Hernandez, z Towarzystwa Jezusowego, u którego przedtem się spowiadałam, gdy bawiłam w Toledzie,

układając się o fundacyę Malagońską, a który bardzo pragnął osiedlenia się sióstr naszych w tem mieście, udał się do chorego i przedstawił mu, jak wielka będzie chwała Panu z założenia takiego klasztoru, i jako zapisując na ten cel majątek swój, osiągnie w zupełności wszystek pożytek, jaki sobie obiecywał z ustanowienia kaplic, i kapelanów, i pewnych uroczystości dorocznych, które przy miejscowej parafii z mienia swego ufundować zamierzał. Chory miał się już tak źle, że widząc, iż na ułożenie tej sprawy czasu mu nie starczy, przekazał ją całą na ręce brata swego, Alfonsa Alvarez Ramirez, i zaraz potem umarł. Nie mógł poruczyć ostatniej woli swojej w pewniejsze ręce: Alfons Alvarez był to człowiek w wysokim stopniu roztropny, i bogobojny, i dobroczynny, i ze wszechmiar godny zaufania; mogę to najprawdziwiej o nim poświadczyć, bo wiele z nim miałam do czynienia, i mówię, co widziałam.

W chwili zejścia Marcina Ramirez, ja jeszcze bawiłam w Waliadolidzie, zajęta tameczną fundacyą. Oba więc, i O. Paweł Hernandez i Alfons Alvarez, napisali do mnie, donosząc mi o tym wypadku i domagając się spiesznego przyjazdu mego, jeśli mam zamiar przyjąć tę fundacyę; pojechałam zatem prawie natychmiast po urządzeniu domu w Waliadolidzie [1]).

---

[1]) Wezwanie do Toletu otrzymała św. Teresa w początku grudnia 1568 r.; ale będąc bardzo zajętą urządzeniem domu w Waliadolidzie, a przytem chorą na febrę, nie mogła przybyć do Toletu tak prędko jak tego żądano, i z tego powodu posłała na imię O. Pawła Hernandez i rektora kollegium Jezuitów plenipotencyę do traktowania w jej imieniu z Alfonsem Ramirez. W ślad za tym dokumentem, datowanym 7 grudnia, Święta 13 tegoż miesiąca napisała do Donny Ludwiki de la Cerda, z prośbą o wyjednanie jej potrzebnych upoważnień. Nakoniec, w liście do Alfonsa Ramirez, pisanym 19 lutego 1569 r., na dwa dni przed wyjazdem z Waliadolidu, przeprasza za opóźnione przybycie swoje, przy czem między innemi wyraża żal swój, że O. Pawła Hernandez już w Toledzie nie zastanie. Tem się tłumaczy zupełne milczenie, jakie w dalszym ciągu opisu swego zachowuje o tym Ojcu, dla którego całe życie zachowała najgłębszą cześć i wdzięczność. W r. 1578, w chwili gdy młodemu zakonowi groziła zupełna zagłada, napisała do niego do Madrytu, błagając go, by ją i zakon wziął w swoję obronę. List ten (T. III n. 7) jest jednym z najpiękniejszych i najrzewniejszych, jakie wyszły z pod pióra św. Teresy. (Ob. *Bolland.—Acta S. Teresia*, p. 112).

Przybyłam do Toletu w wilię Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi, i zajechałam do pałacu Donny Ludwiki (de la Cerda), fundatorki naszej w Malagonie, u której już przedtem w różnych czasach stawałam. Zostałam przyjęta z wielką radością, bo pani ta szczególną ma dla mnie miłość. Miałam z sobą dwie towarzyszki, obie z klasztoru św. Józefa Awilańskiego, gorliwe bardzo służebnice Boże. Umieszczono nas, jak zwykle, w osobnym pokoju, gdzie byłyśmy zupełnie samotne, jakby w klasztorze. Niebawem wszczęłam rokowania z Alfonsem Alvarez, co do zamierzonej fundacyi; brał w nich udział i zięć jego, Diego Ortiz, dobry Teolog, ale więcej w zdaniu swojem uparty niż teść, i nie łatwo było trafić z nim do ładu. Stawiali mi z początku różne warunki, na które nie uważałam by mi wypadało się zgodzić. W ciągu tych pertraktacyi, szukali jakiego domu do najęcia, który byśmy mogły zająć, ale mimo wszelkiego szukania, nie mogli znaleźć nic odpowiedniego. Z drugiej strony wielką miałam trudność w uzyskaniu potrzebnego upoważnienia od naczelnika miasta, przewodniczącego w Radzie administracyjnej [1]), na miejscu arcybiskupa, którego wówczas nie było [2]), jakkolwiek usilne za nami czyniła u niego starania ona pani, u której stałam, jak również i jeden możny pan, Don Piotr Manrique, syn gubernatora Kastylii i kanonik Toletański. Był to, — czyli raczej jest, bo jeszcze żyje,— mąż bardzo pobożny; w rok po założeniu tego domu naszego, nie zważając na słabe zdrowie swoje, wstąpił do Towarzystwa

---

[1]) *Consejo dela Gubernacion.* Rada ta, mimo swego charakteru świeckiego, zostawała pod przewodnictwem Arcybiskupa Toletańskiego, jako Prymasa i księcia feudalnego. Później instytucya ta zamieniła się w trybunał duchowny do spraw administracyjnych i spornych.

[2]) Arcybiskupem Toletańskim w r. 1569 był głośny dominikanin Bartłomiej Carranza; ale skutkiem zatargu, jaki miał z Inkwizycyą, już od roku 1557 trzymany był w więzieniu świętego Officium w Waliadolidzie. Wypuszczony w końcu na wolność, udał się do Rzymu, gdzie i umarł w r. 1576. Lubo więc w r. 1569 stolica Toletańska nie wakowała, była przecie *sedes impedita*, skutkiem uwięzienia prawego pasterza. Słusznie zatem i zgodnie z prawdą, mówi Święta, że nie było wówczas arcybiskupa, bo był jakby go nie było.

Jezusowego, którego dotąd jest członkiem [1]). Jednakże i on, pomimo wielkiego znaczenia, jakiego dla niepospolitego rozumu i dzielności charakteru swego w Toledzie używał, nie mógł z tem upoważnieniem naszem dojść do końca; ledwo zdołał skłonić naczelnika, aby się dla nas okazał przychylniejszym, a już znowu panowie radni robili trudności. Z drugiej strony i układy nasze z Alfonsem Alvarez wciąż szły oporem, dzięki zięciowi, któremu ten zbytnie ulegał, tak iż w końcu doszło do zupełnego zerwania. Nie wiedziałam już co począć. Przyjechawszy do Toletu umyślnie i wyłącznie dla tej fundacyi, czułam to dobrze, że wielki byłby wstyd odjechać z niczem. Głównie jednak, i więcej niż wszelkie inne trudności, dolegała mi kwestya upoważnienia, bo byłam pewna, że skorobyśmy tylko zdołały się usadowić, Pan dalszym potrzebom zaradzi, jak to już w poprzednich fundacyach uczynił. Widząc tedy, że one starania za nami trwają już przeszło dwa miesiące, a sprawa nie tylko nie postępuje, ale owszem coraz gorzej się wikła, postanowiłam w końcu sama się z naczelnikiem rozmówić na oczy. Udałam się do kościoła, położonego tuż przy jego mieszkaniu, i stamtąd posłałam do niego z pokorną prośbą, by raczył obaczyć się zemną. Gdym się znalazła z nim na cztery oczy, rzekłam do niego: — „Niełądnie to, że są niewiasty, które tego tylko pragną, aby mogły żyć w surowej pokucie i ścisłem zamknięciu, i dążeniu do doskonałości, a że znajdują się ludzie, którzy ani myśląc zadawać sobie podobnego trudu, owszem w uciechach i wczasach pędząc dni swoje, chcą jeszcze kłaść przeszkody sprawie tak Panu naszemu przyjemnej". Wiele innych jeszcze rzeczy powiedziałam mu, z wielką, jaką Pan sam mi dawał, śmiałością i stanowczością. Słowa moje tak go skruszyły, że natychmiast, na poczekaniu, wydał mi upoważnienie. Wróciłam do siebie ucieszona, tak jakby już cała fundacya była gotowa, choć w gruncie wszystkiego jeszcze do niej brakowało. Posiadałam całego majątku trzy czy cztery dukaty; kupiłam za to dwa obrazy, aby było co zawiesić

---

[1]) Don Piotr Manrique był stryjem młodego Antoniego de Padilla, o którego powołaniu zakonnem była mowa wyżej, w rozdz. X.

nad ołtarzem, dwa sienniki i jednę kołdrę, O domu, po zerwaniu układów z Alfonsem Alvarez, już nie było mowy. Był mi wprawdzie zrobił nadzieję pewien kupiec, przyjaciel mój, mieszkający w Toledzie. Kupiec ten nazywa się Alfons de Avila; żyje w dobrowolnem bezżeństwie, wszystek oddany dobrym uczynkom, szczególnie niesieniu pomocy więźniom. Ten więc pocieszał mię, mówiąc bym była spokojna, że on mi poszuka domu; i pewno byłby spełnił obietnicę swoję, ale na utrapienie moje ciężko zaniemógł.

Na kilka dni przedtem bawił chwilowo w Toledzie O. Marcin od Krzyża, franciszkanin, bardzo świętobliwy sługa Boży. Odjeżdżając, skierował do mnie jednego penitenta swego, niejakiego Andrada, młodego człowieka, wcale nie bogatego, czyli raczej zupełnie ubogiego. Polecił mu, żeby się oddał na moje usługi i zrobił cokolwiek mu powiem. Jakoż, któregoś dnia, gdy byłam w kościele na Mszy, młodzieniec ten zbliżył się do mnie i powtarzając mi dane mu przez tego dobrego Ojca polecenie, upewniał mię, że wszystko uczyni dla mnie, co tylko będzie w jego możności, choć będąc ubogim, osobą tylko swoją służyć mi może. Podziękowałam mu za tę gotowość jego, ale trochę mi się wydawało zabawnem, a więcej jeszcze towarzyszkom moim, że ten święty człowiek takiego nam przysyła pomocnika, nie bardzo, z powierzchowności jego sądząc, nadającego się do stosunków z karmelitkami Bosemi.

Gdy tedy, mając już w ręku upoważnienie, a nie mając nikogo ktoby mi był pomocnym, i komubym mogła polecić wyszukanie nam domu do najęcia, nie wiedziałam co dalej począć, przyszedł mi na myśl on młody człowiek, przysłany do mnie przez O. Marcina od Krzyża. Towarzyszki moje, gdy im o tem wspomniałam, serdecznie naśmiały się ze mnie i odradzały mi, bym go nie używała, bo nic innego z tego nie wyjdzie. jedno że przez niego sprawa przed czasem się rozgłosi. Ja jednak wolałam nie zważać na śmiechy i rady ich; dziwny, prawie tajemniczy sposób, w jaki ten młody człowiek do mnie trafił, i to jeszcze posłany przez takiego sługę Bożego, utwierdził we mnie przeczucie, że pomoc jego nie będzie dla nas bezskuteczną. Posłałam więc po niego i zobowiązawszy go naprzód

do ścisłego zachowania tajemnicy, opowiedziałam mu, jak rzeczy stoją i że potrzeba nam wynaleźć jaki dom, którybyśmy nająć mogły, że stawię za nas poręczyciela, w czem liczyłam na poczciwego naszego Alfonsa de Avila, wówczas, jak mówiłam, chorego. Oświadczył mi, że to rzecz bardzo łatwa i że wyszuka czego nam potrzeba. Jakoż zaraz nazajutrz rano przyszedł za mną do kościoła OO. Jezuitów, gdzie byłam na Mszy, z oznajmieniem, że dom już znalazł, tuż blisko; przyniósł mi i klucze do niego, abyśmy poszły go obejrzeć, co i uczyniłyśmy; i był to rzeczywiście dom tak dogodny, że blisko rok cały w nim stałyśmy. Ile razy wspomnę na tę fundacyę, zawsze zdumiewam się z uwielbieniem nad dziwnemi drogami Opatrzności Boskiej. Blisko trzy miesiące, — albo conajmniej przeszło dwa, dobrze nie pamiętam, — osoby tak bogate i możne szukały po całem mieście odpowiedniego dla nas pomieszczenia i nic nie znalazły, jak gdyby wcale domów nie było w Toledzie; aż oto zjawia się ten młody człowiek, nie bogaty, owszem bardzo ubogi, a Pan daje mu wyszukać od razu dom taki, jakiego nam potrzeba. I znowu: mogła ta fundacya przyjść do skutku bez żadnego trudu, gdyby układy z Alfonsem Alvarez były się powiodły; a oto Pan zrządził, że się nie powiodły, że owszem zupełnie się rozbiły, aby klasztor nasz powstał w ubóstwie i w ciężkiej walce z trudnościami.

Gdy więc dom ten okazał się dla nas dogodnym, umyśliłam zaraz go zająć, nie czekając na zaprowadzenie w nim klasztornych naszych urządzeń, by snać nie zaszła jeszcze jaka przeszkoda. Niebawem też, zgodnie z tem życzeniem mojem, przybiegł do mnie tenże Andrada z doniesieniem, że dom tegoż dnia będzie wolny, że zatem możemy od razu przenieść tam sprzęty nasze. Odpowiedziałam mu na to, że będzie to niewielka robota, bo sprzętów żadnych nie mamy, z wyjątkiem dwóch sienników i jednej kołdry. Wiadomość ta łatwo mogła go zadziwić; towarzyszki też moje nierade były z tej niewczesnej ich zdaniem szczerości mojej; wymawiały mi, żem mu to powiedziała, bo teraz, dowiedziawszy się, żeśmy tak ubogie, nie będzie już chciał nam pomagać. Mnie, przyznaję, ta myśl nie przyszła, ale obawa sióstr okazała się płonną: otwarte moje

wyznanie żadnego nie sprawiło na młodym człowieku niekorzystnego wrażenia. Ten, który mu dał taką dobrą wolę do pomagania nam, zachował ją w nim także, ażby skończył swe zadanie; z takim też zapałem zajął się urządzaniem domu i sprowadzeniem robotników, jakiego my same chyba nie zdołałybyśmy przewyższyć. Pożyczyliśmy sobie aparaty i wszystkie potrzeby do Mszy świętej. Wreszcie o zmierzchu, przy odgłosie dzwoneczka, z rodzaju tych, jakiemi się dzwoni na Podniesienie, bo innego nie miałyśmy, przeprowadzane przez jednego z robotników, zajęłyśmy dom nasz, i całą noc spędziłyśmy na robocie około porządków wewnętrznych, ale pocichu, i w ciągłej obawie by nas nie dosłyszano i nie dowiedziano się przed czasem, jaki jest istotny zamiar nasz. Jedyne miejsce odpowiednie na kaplicę miałyśmy w pokoju, do którego wejście było przez drugi domek przyległy, który zatem także byłyśmy najęły od właścicielki, choć jeszcze w nim mieszkały jakieś niewiasty.

Nad ranem, gdy już wszystko było gotowe, nie mogąc dłużej trzymać rzeczy w sekrecie przed onemi sąsiadkami, którym przedtem nie śmiałyśmy nic mówić, aby nas nie wydały, otworzyłyśmy drzwi do naszej kaplicy, umieszczone w przepierzeniu i wychodzące na mały dziedzińczyk. One wtedy, usłyszawszy ruch, przebudziły się i zerwały się z łóżek przerażone; ledwo je zdołałyśmy uspokoić; a gdy wkrótce potem kapłan umówiony przyszedł ze Mszą świętą, choć jeszcze nadąsane, nie śmiały przecie przeszkadzać nam czynnie, aż wreszcie, zrozumiawszy o co chodzi, z łaski Pana ułagodziły się.

Z innego jeszcze względu okazało się żeśmy niebacznie postąpiły, w zapale naszym dokonania czemprędzej sprawy natchnionej nam od Boga, nie zwracając należnej uwagi na możliwe niedogodności. Właścicielka domu naszego, będąc żoną starszego w rodzie, gdy spostrzegła, że na gruncie jej zakłada się klasztor i kościół, niemało narobiła nam krzyku i kłopotu; dopiero, gdy jej zrobiłyśmy nadzieję, że jeśli zechce po ludzku z nami wychodzić, dobrze jej za dom zapłacimy, dał Pan Bóg, że się udobruchała. Na mieście znowu, panowie radni, dowiedziawszy się, że klasztor już założony, pomimo że

oni nie chcieli się za nic zgodzić na wydanie upoważnienia, mocno się nasrożyli i w nieobecność naczelnika, któremu zaraz po mojem widzeniu się z nim wypadło było gdzieś wyjechać, udali się do jednego z miejscowych dostojników kościelnych, — potajemnie już uprzedzonego przezemnie o wszystkiem, — wyrażając przed nim zdziwienie i oburzenie swoje na taką zuchwałość, by jakaś tam mizerna niewiasta, wbrew woli ich, śmiała im klasztor zakładać, i odgrażając się, że tego płazem nie puszczą. On, udając że o niczem nie wie, uspakajał ich jak mógł, tłómacząc im, że i w innych miejscach już podobne domy pozakładałam, a pewno i tu nie uczyniłam tego bez należnych rękojmi. Oni jednak w kilka dni potem przysłali mi dekret, zabraniający odprawiania u nas Mszy świętej, dopóki nie przedstawię upoważnień, na mocy których tak postąpiłam. Odpowiedziałam im jaknajłagodniej, że uczynię według ich rozkazu, jakkolwiek w tych rzeczach nie mam obowiązku ich słuchać; zaczem uprosiłam tego pana, o którym mowa była wyżej, Don Piotra Manrique, aby się z nimi rozmówił i pokazał im papiery moje. Przedstawienia jego ułagodziły ich, zwłaszcza że bądź co bądź, rzecz już była zrobiona; gdyby nie to, sprawa nasza byłaby zły obrót wzięła.

Kilka dni przebyłyśmy w tym domu zupełnie pustym, za cały sprzęt i bogactwo mając nasze dwa sienniki i kołdrę: pierwszego dnia nie było nawet garści chrustu, na którym byśmy upiekły sobie rybkę; aż Pan natchnął nie wiem komu dobrą myśl, że nam położył w kaplicy wiązkę drzewa, i tak biedzie naszej zaradził. Nocami potrochu marzłyśmy, bo był mróz; nakrywałyśmy się jak mogłyśmy naszą kołdrą i grubemi płaszczami wojłokowemi, które nosimy na wierzchu, i to nieraz pomagało. Może to komu wyda się rzeczą niepodobną, byśmy wychodząc z domu tej pani, która mię tak szczerze kochała, mogły się znaleźć u siebie w takiem ubóstwie: innego na to wytłómaczenia nie widzę, jedno to, że Pan chciał byśmy doznały na sobie pożytków tej cnoty. Ja jej o nic nie prosiłam, bo nie lubię nikomu się naprzykrzać; jej to zapewne wówczas na myśl nie przyszło, bo skądinąd, daleko więcej dla mnie po-

niosła i ponosi ciężaru, niż to, co w tej potrzebie dać nam mogła.

Ubóstwo to wielkiem było dla nas szczęściem; takie wśród niego czułyśmy zadowolnienie wewnętrzne, takie wesele ducha, że ile razy na te dni wspomnę, widzę jasno jakie skarby ukryte łask i pociech Pan w każdej cnocie chowa zamknięte. W tem ogołoceniu z rzeczy ziemskich dusze nasze były jakby pogrążone w najsłodszej kontemplacyi. Ale niedługo to trwało; rychło samże Alfons Alvarez i drudzy poczęli nas zaopatrywać we wszystko, więcej nam nasyłając niżeśmy sobie życzyć mogły. Szczerze powiem, że mię to mocno zasmucało: miałam to uczucie, jak gdyby mi zabierano całe skarby kosztownych złotych klejnotów, które stanowiły bogactwo moje, i skazywano mię na nędzę; tak, i więcej jeszcze bolało mię to, że ubóstwo nasze się kończy. I towarzyszki moje także podzielały ze mną to uczucie; widząc, że chodzą zasmucone, zapytałam, co im jest? a one na to: „Jakże, matko, mamy, się nie smucić, kiedy snać już nie jesteśmy ubogie!“ Od tego czasu, pragnienie jaknajgłębszego ubóstwa coraz wyżej wemnie rosło; utwierdziłam się na zawsze w tej królewskiej wyższości ducha, która za nic ma wszelkie dobra doczesne, kiedy niedostawania ich duszę wzbogaca w dobra wewnętrzne, z których się rodzi insze i lepsze nasycenie i uspokojenie, niż je świat i dostatki jego dać mogą.

W czasie, gdym się układała z Alfonsem Alvarez o tę fundacyę, znalazło się wielu, którzy na to krzywo patrzali, i wymawiali mi, że do takiej sprawy dopuszczam ludzi nie wysoko urodzonych i nie szlachtę,—choć byli to ludzie, jak mówiłam, bardzo uczciwi w zawodzie swoim i cnotliwi;—tem bardziej, mówili mi, że w takiem wielkiem mieście jak Tolet, nie zabrakłoby mi łatwości znalezienia sobie osób możnych i wysoko położonych, któreby się sprawą moją zajęły. Na mnie uwagi te nie robiły wielkiego wrażenia, bo dzięki Bogu, zawsze ceniłam wyżej cnotę niż świetność rodu; ale naczelnik miasta tak podzielał ogólne przekonanie, czy też tak był pod wpływem licznych na niego w tym punkcie nalegań, że gdy w końcu wydał mi upoważnienie, zastrzegł jednak i położył to za

warunek, że w przeprowadzeniu tej fundacyi będę się trzymała tego samego sposobu postępowania, jaki zachowywałam w poprzednich.

W obec tego zastrzeżenia, nie wiedziałam co począć; bo w tymże czasie, już po założeniu klasztoru, Alfons Alvarez z rodziną swoją przyszedł do mnie i na nowo zawiązał układy. W obec dokonanej już fundacyi, zdawało mi się, że będzie najwłaściwiej, gdy oddam im kaplicę główną, z warunkiem, że do reszty klasztoru żadnego już nie będą mieli prawa, tak jak się to zachowuje obecnie. Z drugiej strony jednak do tejże kaplicy głównej objawiała chęć pewna osoba książęcego rodu, i różne z tego powodu dawano mi rady. Wahałam się więc, nie wiedząc co postanowić. Aż Pan sam raczył mię w tej wątpliwości oświecić, i rzekł do mnie pewnego dnia: — „Jakże mało na sądzie Bożym będą ważyły te wysokie tytuły i książęce wielmożności!“ zaczem surowo mię strofował, żem takim radom i przystęp do siebie dawała, że nie są to myśli przystojne dla dusz, które raz na zawsze światem wzgardziły [1]).

Upomnienie to mocno mię zawstydziło; zaraz też pod wrażeniem onegoż i z wielu innych jeszcze powodów, postanowiłam dokończyć wszczęte układy, oddając rodzinie Ramirez'ów wspomnianą kaplicę. Nigdy tego nie żałowałam; bez tego, nie byłybyśmy były w możności nabyć domu, dzięki zaś szczodrobliwości Alfonsa Alvarez i zmarłego brata jego, dostał się nam ten dom, w którym obecnie mieszkamy, jeden z najlepszych w Toledzie, a kosztował dwanaście tysięcy dukatów. W kaplicy naszej częste miewamy święta uroczyste i po kilka Mszy świętych się odprawia, z czego nie tylko siostrom wielka rośnie pociecha, ale i pożytek ludowi. Gdybym była zważała na marne opinie świata, żadną miarą, po ludzku sądząc, nie byłybyśmy uzyskały tak dogodnego pomieszczenia, a nad to jeszcze przykrość i krzywdę byłabym wyrządziła temu, który nam taką życzliwość okazał i takie dobrodziejstwo wyświadczył.

---

[1]) Ob. *Księgę Sprawozdań, Sprawozd. III, punkt 14.*

ROZDZIAŁ XVI.

Niektóre, na cześć i chwałę Panu, szczegóły z dziejów wewnętrznych tego klasztoru św. Józefa w Toledzie.

Zdało mi się rzeczą właściwą wspomnieć tu nieco o świętej gorliwości, z jaką niektóre z sióstr tego klasztoru oddawały się służbie Pana, aby te, które po nich nastaną, usiłowały zawsze naśladować te piękne początki. Między innemi wstąpiła do nas, jeszcze przed nabyciem tego domu, siostra Anna od Matki Bożej, że tylko to zakonne jej imię wymienię. Miała lat czterdzieści; całe życie swoje strawiła na służbie Pana; ale choć w domu i w zewnętrznych życia warunkach nie zbywało jej na przyjemnościach, bo była sama jedna i posiadała majątek, wolała jednak obrać sobie ubóstwo i zależność życia zakonnego i w tym celu zgłosiła się do mnie. Zdrowia była bardzo słabego; mimo to jednak, widząc duszę tak dobrą i odważną, uznałam że będzie to dobry początek dla naszej fundacyi i przyjęłam ją. Spodobało się Panu, wśród umartwień i ścieśnień zakonnych lepsze dać jej zdrowie, niż je miała będąc na swobodzie i używając wczasów. Jedna rzecz głównie w niej mię zbudowała, i dla tego o niej tu mówię, to że nim jeszcze została dopuszczoną do professyi, z całego majątku swego, a miała go znaczny, wyzuła się i sposobem jałmużny domowi naszemu darowała. Mnie ta hojność jej była przykrą, i nie chciałam na to się zgodzić; przedstawiałam jej, że może jeszcze tego kroku pożałować, albo też może my nie zechcemy dopuścić jej do professyi, a wtedy znalazłaby się w bardzo trudnem położeniu. Bez wątpienia, że w razie nieprzyjęcia jej nie byłybyśmy jej puściły bez zwrócenia jej tego, co nam darowała; ale tego jej nie mówiłam, chcąc jej dać jaknajmocniej uczuć, na co się naraża; a miałam do tego powód dwojaki: raz, aby nie było z tego jakiej pokusy; a powtóre, dla lepszego wypróbowania ducha jej. Odpowiedziała mi na moje przedstawienie, że gdyby do tego przyjść miało, poszłaby w takim razie i żebrałaby dla miłości Bożej, i nie było sposobu za-

chwiać jej postanowienia. Żyła u nas bardzo szczęśliwa i w daleko lepszem zdrowiu niż przedtem.

Przedziwny w tym klasztorze panował zapał do wszelkich ćwiczeń umartwienia i posłuszeństwa. Przełożona, jak sama na to, bawiąc tam, patrzałam, pilnie musiała baczyć na słowa swoje, bo cokolwiekby powiedziała, choćby bez myśli, siostry natychmiast to spełnią. Razu jednego, przechadzając się po ogrodzie, zatrzymały się przy małej jaką tam miałyśmy sadzawce. „Coby też to było, rzekła przełożona zwracając się do jednej z nich, gdybym ci kazała rzucić się w wodę?“ Jeszcze nie dokończyła tych słów, gdy siostra już była w wodzie, aż ją wydobyto tak przemoczoną, że musiała się przebrać. Innym razem znowu,—było to w mojej obecności,—w czasie gdy siostry się spowiadały, jedna czekając na kolej swoję, zbliżyła się do przełożonej i coś do niej przemówiła. „Jak to? rzekła do niej przełożona, w takiej chwili chcesz rozmawiać? czy to w taki sposób skupiasz się w duchu? lepiej pódź ondzie, schowaj się głową w studni i myśl o grzechach twoich.“ Siostra wzięła to dosłownie, jako rozkaz wrzucenia się do studni, i takim pędem pobiegła spełnić rzekomy ten rozkaz, że gdyby jej nie byli w porę przytrzymali, byłaby rzeczywiście utopiła się w studni, z tem najmocniejszem przekonaniem, że największą w świecie odda przez to usługę Bugu. Takie to, i niezliczone inne tym podobne akty ślepego posłuszeństwa i bohaterskiego umartwienia działy się w tym naszym klasztorze; zapał sióstr do tych świętych praktyk dochodził aż do zbytku, aż do przebrania miary, tak, iż potrzeba było uprosić niektórych światłych kapłanów i uczonych teologów, aby je oświecili, w czem i w jakich granicach powinny być posłuszne i powstrzymali niepomiarkowane ich zapędy; bo niektóre dochodziły w tym kierunku do takich ostateczności, że gdyby ich nie uniewinniała dobra ich wiara i czysta intencya, raczej winę byłyby miały niż zasługę. I nie tylko w tym jednym klasztorze, o którym tu mówię, bo nastręczyła się do tego sposobność, taki panował duch poświęcenia siebie bez granic, ale i we wszystkich drugich, i gdyby nie to, że sama w nich miałam udział,

radabym przytoczyła więcej podobnych przykładów, aby Pan był pochwalony w służebnicach swoich [1]).

W czasie bytności mojej w tym klasztorze, jedna z sióstr zaniemogła śmiertelnie. Po przyjęciu świętego Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia, cała się rozpromieniła od wewnętrznego uszczęśliwienia i wesela, i z taką prostotą i spokojem przyjmowała zlecenia nasze do nieba i obiecywała wstawiać się za nami do Boga i do Świętych Patronów naszych, jak gdyby już była na tamtym świecie. Na krótko przed jej skonaniem byłam wyszła na chwilę do kaplicy, prosząc Pana w Najświętszym Sakramencie ukrytego, aby jej dał dobrą śmierć; wróciwszy stamtąd do celi umierającej, ujrzałam Go w Boskiej Osobie Jego, stojącego w głowach łoża, na środku wezgłowia; ręce miał nieco rozchylone, jakby biorąc chorą w swoję obronę, i rzekł do mnie: — „Bądź tego pewna, że wszystkie siostry tych klasztorów, w godzinę śmierci tak będę wspierał i bronił; niechże się nie boją pokus przedśmiertnych.“ Słowa te napełniły mię pociechą i w głębokiem pozostawiły mię zebraniu wewnętrznem. Gdym po chwili przyszedłszy do siebie, zbliżyła się do chorej, ona powiedziała mi te słowa: — „O matko, jakże wspaniałe rzeczy mam oglądać!“ i tak umarła jak anioł. Patrzałam potem na śmierć kilku innych sióstr i w każdej widziałam takiż sam dziwny spokój i pogodę przy konaniu, bez żadnego śladu najmniejszej pokusy: wyglądało to zupełnie na zachwycenie albo na modlitwę odpocznienia. I nam też, ufam, Bóg w dobroci swojej takiejże w ostatniej potrzebie łaski użyczy, przez zasługi Syna swego i błogosławionej Matki Jego, której szatę nosimy. Przetoż, córki moje, starajmy się ze

---

[1]) Jeden taki przykład mamy zapisany w rocznikach Karmelu. Pewnego dnia, po Jutrzni, Święta dała której siostrze jakieś upomnienie; ta według przepisu reguły, tejże chwili padła twarzą do ziemi; nie otrzymawszy zaś rozkazu podniesienia się, całą noc, od 10 wieczór do 6 rano, pozostała tak krzyżem leżąca. Nazajutrz rano Święta zastała ją w tej postawie; ale choć uradowana w duchu z takiego aktu posłuszeństwa i umartwienia, ukryła przecie w sobie zadowolnienie swoje, a siostrę onę, dla głębszego jeszcze upokorzenia i większej jeszcze zasługi jej, na nowo zgromiła, jakoby za samowolne zadanie sobie takiej pokuty.

wszystkich sił naszych, byśmy były prawdziwemi karmelitkami. Życie to prędko się skończy; a gdybyśmy wiedziały, jakie udręczenia cierpi wielu w onę godzinę, jakiemi chytremi i zdradzieckiemi pokusami dyabeł ich nęka, wysoko ceniłybyśmy sobie tę łaskę od Pana nam obiecaną.

Opowiem tu jeden przykład takich pokus przedśmiertnych, który mi się w tej chwili przypomina. Znałam tego, któremu się to wydarzyło, był to nawet daleki powinowaty moich krewnych. Kochał się namiętnie w grze, miał niejakie wykształcenie, ale nie gruntowne, i z tego właśnie kusiciel skorzystał na oszukanie jego, nasuwając mu w ostatniej jego chorobie wyobrażenie, że nawrócenie się w godzinę śmierci na nic już się nie zda. Tak mu utkwiło w głowie to wyobrażenie, że nie było sposobu namówić go do spowiedzi. Dręczył się nieszczęśliwy, żałował szczerze za złe życie swoje, ale przytem wciąż utrzymywał, że spowiedź już nie dla niego, bo jasno widzi, że jest potępiony. Spowiednik jego, uczony teolog dominikanin, różnemi dowodami usiłował wywieść go z błędu, ale ten, wciąż słuchając tylko poduszczeń złego ducha, na wszystko miał gotową odpowiedź i tysiące subtelnych wykrętów. Trwało to kilka dni, i spowiednik już nie wiedział co począć; ale snać i on i inne dusze pobożne bardzo się gorąco za biednym modlili, kiedy w końcu Pan nad nim się zmiłował. W stanie chorego znaczne objawiło się pogorszenie; ból w boku, na który cierpiał, coraz sroższe mu zadawał boleści. Spowiednik pospieszył do łoża jego, zapewne z nowym zasobem argumentów na przekonanie upornego; ale nie wieleby to było pomogło, gdyby Pan w miłosierdziu swojem nie był wreszcie zmiękczył serce grzesznika. Gdy tedy spowiednik począł go upominać, i nowemi dowodami swemi przekonywać, chory nagle podniósł się i usiadł na łóżku, jakby zdrów, i rzekł: — „Kiedy mówisz, Ojcze, że spowiedź może mi jeszcze co pomódz, więc gotów jestem wyspowiadać się.“ Wezwał, nie pamiętam, pisarza czy notaryusza, przysiągł uroczyście, że nigdy już grać nie będzie, i życie swoje, jeśliby Panu spodobało się jeszcze je przedłużyć, poprawi, na co wszystkich obecnych wezwał na świadków; potem wyspowiadał się jaknajpiękniej, i z taką pobożnością przy-

jął Najświętszy Sakrament, że polegając na tem, czego wiara nas uczy, możemy ufać że dostąpił zbawienia Daj nam Boże, siostry, żyć tak jak na prawe córki Najświętszej Panny przystoi, i wiernie zachowywać śluby nasze, aby Pan nasz mógł nam uczynić tę łaskę, którą nam obiecał. Amen.

ROZDZIAŁ XVII.

O fundacyi dwóch klasztorów, męskiego i żeńskiego, w Pastrana, tegoż roku 1569.

Pierwsze dwa tygodnie po fundacyi tego domu w Toledzie, w którym, jak mówiłam, mieszkałyśmy blisko rok, dużo było roboty z urządzeniem kaplicy, założeniem krat i dopełnieniem innych porządków; ciągle przez ten czas miałam do czynienia z robotnikami i bardzo byłam zmęczona; ale wreszcie, w wigilię Zesłania Ducha Świętego, wszystko było gotowo. W pierwszy dzień Zielonych Świątek, siadając z rana z siostrami do posiłku w refektarzu, takiej doznałam pociechy na myśl, że żadnej już nie mam roboty, i że przez te święta będę mogła choć chwilami cieszyć się spokojnie Panem moim, iż ta wielka słodkość, jaką czułam w duszy, prawie mi odbierała wszelką chęć do jedzenia. Ale nie byłam godną tej pociechy. Jeszcześmy nie były wyszły z refektarza, gdy oznajmiono mi, że przyszedł i czeka na mnie sługa przysłany od księżny Eboli, małżonki księcia Ruy Gomez de Silva. Wyszłam do niego, i pokazało się, że księżna przysyła po mnie, w interesie fundacyi klasztoru w Pastrana. Fundacya ta od dawna była między nią a mną umówiona, ale nie sądziłam, by miała tak prędko przyjść do skutku. Nagłe to wezwanie przyszło mi bardzo nie w porę; opuszczać klasztor tylko co, i wśród tylu przeciwieństw założony, byłoby rzeczą wielce niebezpieczną; od razu też postanowiłam, że nie pojadę, i taką dałam odpowiedź posłowi. A choć on mi na to oznajmił, że to niepodobna, że księżna już jest w Pastrana, że po to jedynie tam

pojechała, że taki zawód równałby się zniewadze, ja jednak ani myślałam na teraz tam jeździć. Powiedziałam mu, żeby poszedł się posilić, a ja tymczasem napiszę do księżny, i on jej list mój zawiezie. Krzywił się na to, bo był to sługa bardzo czuły na honor swej pani; ale wobec racyi moich, które mu objaśniłam, pogodził się z koniecznością.

Siostry przeznaczone do tego nowego domu ledwo co były przyjechały; zdawało im się rzeczą zgoła niepodobną, bym mogła tak zaraz je i klasztor opuścić. Poszłam i uklękłam przed Najświętszym Sakramentem, prosząc Pana, by mi dał tak napisać do księżny, iżby się nie obraziła, z czego mogłyby były wyniknąć bardzo złe dla nas następstwa, zwłaszcza w obec poczynającej się wówczas zaledwo reformy Braci Bosych, a i skądinąd pożądaną ze wszechmiar było rzeczą, byśmy nie straciły łask u księcia Ruy Gomez, który u króla i w całym kraju tak wielkie miał wpływy i znaczenie. Nie pamiętam jednak, by wzgląd ten wówczas stawał mi na myśli; to tylko wiem i pamiętam, że nie chciałam tej pani obrazić. W tem, gdym się namyślała, co i jak napisać, usłyszałam taki głos od Pana. — „Nie wzbraniaj się od tej jazdy; idzie tam o cóś więcej jeszcze niż o samę tę fundacyę; a zabierz z sobą regułę i konstytucye." Usłyszawszy te słowa, choć racye za pozostaniem w domu wydawały mi się ważne, nie śmiałam już polegać na własnym sądzie moim i wolałam raczej postąpić tak, jak zwykle w podobnych zdarzeniach postępuję, to jest zasięgnąć rady spowiednika i do niej się zastosować. Nie mówię w takich razach spowiednikowi, co usłyszałam na modlitwie, bo mi z tem zawsze spokojniej: błagam tylko Pana, by go raczył oświecić, aby samem przyrodzonem światłem rozumu umiał sprawę trafnie osądzić, a Pan, gdy chce, aby jaka rzecz się stała, sam mu ją podaje do serca.

Doświadczyłam tego po wiele razy; i w tem zdarzeniu także stało się podobnież. Spowiednik, rozważywszy wszystko, uznał, że należy mi pojechać; tak więc i postanowiłam. Wyjechałam z Toledu w drugi dzień Zielonych Świątek. Droga mi wypadała na Madryt. Zatrzymałyśmy się tam, towarzyszki moje i ja, w klasztorze Franciszkanek, u jednej pani,

założycielki tego klasztoru, i w nimże mieszkającej. Była to Donna Eleonora Mascarenas, dawna piastunka królewska, bardzo gorliwa służebnica Boża. Dawniej już różnemi czasy u niej stawałam, ile razy zdarzyło mi się być przejazdem w Madrycie, i zawsze była dla mnie bardzo łaskawą.

I tym razem przywitała mię radośnie, oznajmując mi na samym wstępie, że w dobrą porę przybywam, gdyż właśnie bawi u niej pewien pustelnik, który bardzo pragnie mię poznać, gdyż sposób życia jego i towarzyszów jego wielkie ma, zdaniem jego, podobieństwo z regułą naszą. Ja, mając dotąd tylko dwóch Braci, od razu pomyślałam sobie, że może on się do nich przyłączy, co byłoby rzeczą wielce dla nas pożądaną; bardzo więc prosiłam tę panią, by mi ułatwiła widzenie się z nim. Zajmował pokój samotny, wyznaczony mu przez Donnę Eleonorę; miał przy sobie młodego towarzysza, Brata Jana de Miseria, wielkiego prostaka w rzeczach światowych, ale bardzo świętobliwego w służbie Bożej. Za pierwszem spotkaniem naszem, nadmienił w ciągu rozmowy, że ma zamiar udać się do Rzymu. Lecz nim pójdę dalej, opowiem naprzód, co wiem o tym Ojcu. Wstąpiwszy do naszego zakonu, przybrał imię Maryan od św. Benedykta, ale na świecie nazywał się Maryan de Azaro. Rodem był Włochem; miał stopień doktora; rozum miał niepospolity i nadzwyczajne zdolności. Służył zrazu na dworze królowej polskiej [1]), jako ochmistrz główny całego jej domu, od wstąpienia w związki małżeńskie stale się uchylając, został kawalerem maltańskim i otrzymał komandoryę; aż Pan go powołał do wyrzeczenia się wszystkiego, dla skuteczniejszej pracy około zbawienia swej duszy. Ciężkie potem miał do przebycia utrapienia; oskarżony fałszywie o wspólnictwo w jakiemś zabójstwie, dwa lata trzymany był w więzieniu; nie chciał jednak adwokata, ani do niczyjego nie uciekał się wstawiennictwa, Bogu samemu i sprawiedliwości Jego pozostawiając obronę niewinności swojej. Jakoż dwaj fałszywi świadkowie, którzy zeznawali przeciw niemu, jakoby on ich był najął

[1]) Katarzyny Austryaczki.

do popełnienia tego morderstwa, podobnego w końcu doczekali się losu, jaki niegdyś spotkał onych dwóch starców, oskarżycieli niewinnej Suzanny: badani każdy oddzielnie, gdzie i w jakiem miejscu oskarżony dawał im to zlecenie, jeden twierdził, że przyjmował ich siedząc na łóżku, drugi, że schował się z nimi w zagłębieniu okna, zaczem wreszcie oba zmuszeni byli przyznać się do kłamstwa. On za to wykupił ich od zasłużonej kary, co go, jak mię upewniał, nie mało pieniędzy kosztowało; podobnież gdy ten, który był ukuł przeciw niemu całe to prześladowanie, sam potem dostał się pod sąd i jemu został oddany do badania, on mając go w ręku i mogąc się na nim zemścić, przeciwnie wszystkiego wpływu swego użył, aby go ocalić.

Takiemi to, i wielu innemi jeszcze cnotami, — bo był to mąż szczery i czysty, w obyczajach i wszystkiem obcowaniu swojem nieskazitelny, — snać zasłużył sobie na łaskę i światło od Pana, iż jasno poznał marność tego świata, i postanowił całkiem się od niego usunąć. W tym celu począł bliżej się przypatrywać różnym zakonom i zastanawiać się, który z nich wypada mu obrać dla siebie: ale w każdym, jak mi mówił, znajdował rzeczy, nie przypadające do usposobienia jego. Dowiedział się wreszcie o świeżo powstałem zgromadzeniu pustelników, na puszczy zwanej Tardon, w pobliżu Sewilli, pod kierunkiem świętego bardzo człowieka, Ojca Mateusza [1]; każdy przebywał samotny w celi swojej: chóru i wspólnych pacierzy

---

[1]) Wielebny Ojciec Mateusz de la Fuente, odnowiciel zakonu bazyliańskiego w Hiszpanii. Urodził się około roku 1524 w Alminuete, w pobliżu Toledu. Nauki pobierał w Salmantyce. Obrawszy sobie życie pustelnicze, przebywał naprzód około Kordowy, ale uchylając się od czci, jaką go tam poczęto otaczać, schronił się wkrótce potem na nieprzystępne wertepy Sierry Moreny. Później jednak, z rozkazu Jana z Awili, spowiednika swego, przybrał sobie kilku towarzyszów, i osiadł z nimi w puszczy pełnej dzikich ostów czy kaktusów, od czego i miejscowość tę zwano *el Cardon* (osetu, albo jak ją później przezwano, *Tardon*. Zajmowali się uprawą roli, obrawszy sobie za godło słowa Apostoła: „Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je". Gdy z rozkazu św. Piusa V pustelnicy zmuszeni byli zamienić się w zakonników, O. Mateusz i towarzysze jego przyjęli regułę św. Bazylego.

kapłańskich nie mieli, na Mszę tylko do kaplicy się schodzili, ubogie pożywienie swoje każdy u siebie przyjmowali; dochodów żadnych nie mieli, jałmużny nie prosili ani jej nie brali, żyjąc jedynie z pracy rąk swoich. Całe to opowiadanie jego, gdym go słuchała, wydało mi się jakby wiernym obrazem życia świętych ojców naszych. Przyłączył się więc do tego zgromadzenia i ośm lat taki żywot pustelniczy prowadził. Gdy zaś poczęto i w Hiszpanii wprowadzać w wykonanie dekret świeżo ukończonego św. Soboru Trydenckiego, nakazującego przyłączenie pustelników do którego z istniejących zakonów, on postanowił udać się do Rzymu, w celu uzyskania indultu dla siebie i braci swoich, aby im wolno było pozostać takiemiż, jakimi dotąd byli, pustelnikami. W tym właśnie zamiarze, w chwili naszego poznania się, bawił przejazdem w Madrycie. Wysłuchawszy do końca opowiadanie jego, pokazałam mu pierwotną regułę naszę, nadmieniając przytem, że nie trudząc się tak daleko, może w Karmelu tak samo dalej żyć jak dotąd żył w pustelni, gdyż obie reguły zupełnie zgadzają się z sobą, szczególnie w punkcie utrzymywania się z pracy rąk, o co jemu najwięcej chodziło, bo chciwość, mówił, i przywiązanie do dostatków ziemskich główną jest przyczyną zguby tylu ludzi i dla tego właśnie stan zakonny w takiej jest pogardzie u świata. Podzielałam w zupełności to jego przekonanie, rychło więc porozumieliśmy się z sobą, nie tylko w tym punkcie, ale i we wszystkiem. Na uwagi moje i przedstawienia, z jakim pożytkiem chwały Bożej będzie mógł służyć Panu, gdy przyjmie habit karmelicki, odpowiedział mi, że obmyśli to sobie przez noc. Widziałam jednak, że postanowienie jego już prawie dojrzało, i zrozumiałam wówczas, że do niego to, i do spodziewanego, za przystąpieniem jego, wzrostu zakonu Braci Bosych, odnosiły się te słowa, które byłam słyszała na modlitwie, że o co większego tu chodzi, niż o samo tylko założenie nowego klasztoru sióstr. Niezmierną z tego miałam radość, bo byłam przekonana, że mąż taki, gdy wstąpi do naszego zakonu, znakomite mu odda na chwałę Bożą usługi. Pan też tego chciał, i tak skutecznie tej nocy serce jego pociągnął, że nazajutrz mój Ojciec spotkał mię z oznajmieniem

stanowczego już postanowienia swego; sam nie mógł się wydziwić takiej nagłej, jaka z nim zaszła odmianie, i to za sprawą niewiasty,—co i dotąd jeszcze nieraz mi powtarza, jak gdybym ja to sprawiła, a nie Pan, który sam mocen jest odmienić serce człowieka. Zaiste, cudowne są drogi Jego! tyle lat ten sługa Boży żył w zawieszeniu, nie wiedząc gdzie się obrócić, i jaki stan ostatecznie sobie obrać, — bo ten, w którym ostatnie ośm lat przebył, nie był właściwym stanem, gdyż pustelnicy ci ślubów nie składali, ani żadnych innych zobowiązań na siebie nie brali, prócz obowiązku życia na samotności:— aż oto nagle, jakby w jednej chwili, Bóg skłania serce jego do tego, co mu przeznaczał, i oznajmia mu, jak wielką chwałę odda Boskiemu Majestatowi Jego w tym stanie i zakonie naszym, i jako raczy potrzebować pomocy jego, ku rozszerzeniu sprawy rozpoczętej. Jakoż i wielką był nam pomocą, choć go to już do tego czasu wiele kosztowało trudów i utrapień, i jeszcze większe go czekają, nim dzieło zaczęte utrwali się i zakorzeni, jak to bardzo wyraźnie zapowiadają gwałtowne przeciwieństwa, powstające obecnie na wznowienie pierwotnej reguły: która właśnie w tych trudnościach i walkach skuteczną w nim ma podporę, bo dzięki rozumowi, i układności, i świętobliwemu życiu swemu, wysokie ma poważanie i znaczenie u wielu osób możnych, które przez szacunek dla niego sprzyjają nam i opieką swoją nas otaczają.

Oznajmując mi swoje postanowienie, O. Maryano uprzedził mię zarazem, że w Pastrana, to jest w tem samem miejscu, do którego ja byłam w drodze, Ruy Gomez darował mu kawał gruntu, w samotnem położeniu, na pustelnię bardzo odpowiedni; że zatem teraz założy tam klasztor naszego zakonu, i w nim przywdzieje habit. Z wdzięcznością przyjęłam tę obietnicę jego i gorąco zarazem dziękowałam Panu, że władzę do tej fundacyi już mam gotową, bo przewielebny nasz Ojciec Generał był mi przysłał dwa dokumenty z upoważnieniem do założenia dwóch klasztorów męskich, a założony był dopiero jeden. Posłałam zaraz umyślnego do tamtych dwóch Ojców, o których wyżej była już mowa, to jest do prowincyała obecnego i do poprzednika jego na tymże urzędzie, z usilną pro-

śbą o pozwolenie, bo bez ich zgodzenia się rzecz nie mogła się zrobić. Napisałam także do biskupa Awilańskiego, Don'a Alvaro de Mendoza, bardzo na nas łaskawego, prosząc, aby nam to u nich wyjednał.

Z łaski Boga, zgodzili się bez trudności, z uwagi zapewne, że założenie klasztoru Braci Bosych w takiem miejscu bezludnem, klasztorom ich nie może uczynić uszczerbku. O. Maryano, przed odjazdem moim dał mi słowo, że skoro tylko pozwolenia od prowincyałów nadejdą, on natychmiast za mną przyjedzie. Z wielką więc radością w sercu udałam się w dalszą drogę. Zastałam w Pastrana księżnę i księcia Ruy Gomez, i jak najlepiej zostałam przez nich przyjętą. Dali nam pokoje zupełnie samotne, w których musiałyśmy przebywać dłużej niż się spodziewałam. Dom przez księżnę dla nas przeznaczony okazał się o wiele za szczupłym; kazała go zatem w znacznej części zwalić, nie mury same, ale ściany wewnętrzne, i odpowiednio rozszerzyć.

Pozostałam w Pastrana trzy miesiące, w ciągu których ciężkie miałam przejścia. Księżna domagała się różnych rzeczy, z naszemi ustawami niezgodnych, i gotowa już byłam odjechać i zrzec się fundacyi, niż takim warunkom się poddać. Ale książę Ruy Gomez, mąż w wysokim stopniu poważny i rozsądny, uznawszy że mam słuszność, wpłynął na żonę i ułagodził ją, ja zaś zrobiłam niejakie ustępstwa, mając głównie na celu pomyślne załatwienie sprawy klasztoru męskiego, o który więcej mi chodziło niż o fundacyę klasztoru sióstr; rozumiałam dobrze, że to rzecz najważniejsza, jak się to i później okazało. Tymczasem nadeszły pozwolenia od prowincyałów, i Maryano z towarzyszem swoim przybył do Pastrana. Księstwo chętnie zgodzili się na to, aby na gruncie przez nich darowanym, w miejsce zamierzonej zrazu pustelni stanął dom karmelitów Bosych. Wezwałam O. Antoniego od Jezusa, pierwszego, jak mówiłam wyżej, zakonnika domu w Manzera, aby przyjechał i dał początek tej nowej fundacyi. Sama dla mających wstąpić dwóch braci przyrządziłam habity i płaszcze, i robiłam wszystko co mogłam, aby jaknajprędzej odbyły się ich obłóczyny. W tymże czasie posłałam była do klasztoru

w Medina del Campo po więcej sióstr, bo miałam z sobą tylko dwie. Mieszkał wtedy w tem mieście jeden Ojciec karmelita, O. Baltazar od Jezusa, człowiek jeszcze nie stary, ale już i nie młody, znakomity kaznodzieja; ten dowiedziawszy się, że zakładamy klasztor reguły pierwotnej, zabrał się z siostrami i przyjechał do nas, z postanowieniem przejścia na obrządek karmelitów Bosych; tak też za przyjazdem zaraz uczynił, za co z głębi duszy dziękowałam Bogu. On też dał habit braciszka Ojcu Maryano i towarzyszowi jego; bo Maryano, jakkolwiek nań o to nalegałam, żadną miarą nie zgadzał się zostać bratem chórowym, poczytując siebie niegodnym kapłaństwa, i chcąc być najmniejszym i ostatnim z wszystkich. Później dopiero, z rozkazu przewielebnego O. Generała naszego, przyjął święcenia [1]).

---

[1]) W dopełnieniu powyższego opowiadania św. Teresy, przytoczymy tu jeszcze następujące szczegóły biograficzne o O. Maryano i towarzyszu jego, O. Janie od Nędzy. Ambroży Maryano urodził się w Bitonto, w królestwie neapolitańskiem, z wysokiego i bogatego, z cnót i bogobojności słynącego rodu. Nauki odbył świetnie, odznaczając się w poezyi i w wymowie, a zarazem i w matematyce, i geometryi. Był współuczniem Hugona Buoncompagni, późniejszego Papieża Grzegorza XIII, który i na tronie papieskim dawną dla niego przyjaźń zachował. Dostąpiwszy później stopnia doktora teologii i obojga praw, pomimo młodego jeszcze wieku swego został wysłany jako konsultor teolog na Sobór Trydencki, gdzie nauką swoją, i pobożnością, i roztropnością, i umiejętnością w traktowaniu spraw najzawilszych tak się odznaczył, że Ojcowie Soboru polecili mu poselstwa w sprawach religijnych do Flandrii, Niemiec, i innych królestw północnych. Sława, jaką sobie w tych poselstwach zjednał, zwróciła nań uwagę powszechną, skutkiem czego królowa polska, Katarzyna Austryaczka, małżonka Zygmunta Augusta, powołała go do rady swojej i mianowała go ochmistrzem domu swego. Ale już wówczas przykrząc sobie światem, Maryano opuścił dwór królewski i uczyniwszy dozgonny ślub czystości, został kawalerem maltańskim, wkrótce potem mianowany komandorem. Roku 1557 odznaczył się rzadką walecznością w słynnej bitwie pod Saint-Quentin. Po odniesionem zwycięztwie, wkroczywszy z wojskiem hiszpańskiem do miasta, z mieczem w ręku wystąpił w obronie czci dwu córek domu, w którym miał kwaterę, napastowanych przez rozpustnika. Wkrótce potem podległ onemu fałszywemu oskarżeniu, o którem mówi Święta i został wtrącony do więzienia. Gdy wreszcie okazała się jego niewinność, Filip II tem większe dawał mu dowody szacunku, mianował go guwernerem księcia

Po założeniu obu klasztorów, męskiego i żeńskiego [1]) i za przybyciem O. Antoniego od Jezusa, poczęto przyjmować nowicyuszów; o niektórych z pomiędzy nich wspomnę w dalszym ciągu; ale wszyscy oni z niezrównaną gorącością ducha służyli Bogu i wysokich cnót dawali przykłady, jak to, jeśli spodoba się Panu, kto inny lepiej odemnie opisze, bo co do mnie, jest to przedmiot przewyższający zdolność moję. Co do klasztoru sióstr, księstwo oboje bardzo byli z niego radzi; księżna zwłaszcza wielką mu z początku życzliwość okazywała i opieką najczulszą go otaczała i łaskami różnemi go darzyła. Ale gdy wkrótce potem umarł jej małżonek Ruy Gomez, nagle, Bóg wie czy to z poduszczenia dyabelskiego, czy może z wyraźnego zrządzenia Opatrzności, stan rzeczy się zmienił. Księżna, w pierwszem niepohamowanem uniesieniu żalu swego, bez namysłu uparła się wstąpić do naszego klasztoru. Ca-

---

Salmona, którego kazał mu odprowadzić do Hiszpanii i sam wróciwszy do Madrytu, posyłał go z ważnemi poleceniami do Sewilli i do Kordowy. Bawiąc w Kordowie, Maryano odbył u jezuitów ćwiczenia duchowne, z których wyszedł z niewzruszonem już postanowieniem zupełnego oddania się Bogu. Jak to postanowienie wykonał, wiemy to już z powyższego opowiadania Świętej. W zakonie O. Maryano wysokiego używał poważania i godnie piastował zlecane mu przełożeństwa i urzędy. Umarł jak święty, w Madrycie, r. 1594 — Brat Jan od Nędzy, na świecie Jan Norduch, pochodził także z Neapolitańskiego i za młodu znał O. Maryano. Od dzieciństwa wielką odznaczał się pobożnością. W pustelni Tardon, O. Maryano już go zastał i po ośmioletnim tam pobycie, oba razem przyjęli habit karmelitów Bosych. Brat Jan od Nędzy całe życie okazał się takim, jakim go tu opisuje św. Teresa: wielkim, niezrównanej prostoty ewangelicznej, sługą Bożym. Bóg, szczególny miłośnik tych, którzy prostego są serca, obsypywał go hojnością łask nadzwyczajnych: użyczył mu daru modlitwy, i daru proroctwa i daru czynienia cudów. Z prawdziwie synowską miłością czcił pokorny zakonnik Najświętszą Matkę Zbawiciela; zawsze miał przy sobie Jej obraz i na jego skuteczność wszystkie cuda swoje składał. Jemu przypisuje się pierwszy, jeszcze za życia jej zdjęty, portret św. Teresy. Umarł prawie stuletni, r. 1616 w Madrycie, poczytywany za świętego.

[1]) Objęcie pustelni odbyło się 13 lipca 1569 r.; dzień ten akta Zakonu oznaczają jako datę urzędową fundacyi domu karmelitów Bosych w Pastrana. Klasztor sióstr, pod wezwaniem Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, otworzony został cztery dni wcześniej, 9 lipca.

ła pogrążona w swem strapieniu, trudno było by mogła zasmakować w ścisłej klauzurze i innych, do których nie była przywykła, umartwieniach klasztornych; przełożona znowu, obowiązana stosować się do postanowień świętego Soboru Trydenckiego, nie mogła jej pozwalać na zwolnienia, których ona dla siebie żądała. Skutkiem tego tak się do niej i do wszystkich sióstr zraziła, że i potem jeszcze, choć zrzuciła habit i do pałacu swego wróciła, znieść ich nie mogła i niechęć swoję i wstręt im okazywała [1]). W takim stanie rzeczy, widząc, że biedne siostry, przez nią prześladowane, ciągłe cierpią udręczenie i niepokój, użyłam wszelkich dróg i sposobów, aby przełożeni zgodzili się na opuszczenie tego klasztoru, a założenie drugiego na miejsce jego w Segowii; tak się i stało, jak to niżej opowiem. Siostry, opuszczając Pastranę, pozostawiły na miejscu wszystko co były dostały od księżny, nie żądając nawet słusznego od niej wynagrodzenia za utrzymanie kilku nowicyuszek, na rozkaz jej bez żadnego posagu przyjętych, które też razem z niemi na nową fundacyę pojechały. Zabrały z sobą tylko łóżka swoje i niektóre drobiazgi, które były z sobą przywiozły. W mieście wyjazd ich wzbudził żal powszechny. Ja przeciwnie jaknajmocniej ucieszyłam się z niego, widząc przecie koniec ich utrapień i spokój odzyskany. Miałam zupełną pewność, że z ich strony, w tem zagniewaniu księżny, żadnej nie było winy; owszem i po przyjęciu habitu

---

[1]) Cały ten proces psychologiczny, naprzód namiętnego żalu po mężu, potem gwałtownych porywów dewocyi i w końcu równie gwałtownego przejścia ich w gniew i zawziętość pychy obrażonej, zaczął się, rozegrał i skończył w przeciągu trzech dni. Było to miłościwem zrządzeniem Opatrzności, że tak odrazu i stanowczo zerwały się stosunki między świętą i czystą dziewicą awilańską a tą wyniosłą i lekkomyślną kobietą, która korzystając z wysokiego stanowiska swego i z łask, jakiemi się cieszyła u Filipa II, ambitnemi intrygami i wybrykami swemi nawet na politykę swego rządu zgubny wpływ wywarła i jawnie wyuzdanem życiem swojem dla dworu i dla całego kraju stała się zgorszeniem. Dobrze widać już wówczas ją przeniknęła przełożona karmelitek w Pastranie, świętobliwa Matka Izabella od św. Dominika: na pierwszą wiadomość o zamiarze księżny wstąpienia do tego klasztoru, zawołała: „Księżna do nas wstępuje? klasztor nasz przepadł!“ i tak się stało.

takie same uszanowanie jej okazywały, jak przedtem. Przyczyną złego, prócz niepohamowanego żalu tej pani, była służąca, którą miała przy sobie i której o ile mi wiadomo, główną, w tem co zaszło, winę przypisywać należy. Ostatecznie jednak, co się stało, stało się z woli Bożej i Pan skoro to wszystko dopuścił, snać widział, że miejsce to nie było na klasztor dla nas odpowiednie. Głębokie są i wyższe nad wszelkie przewidywania i myśli nasze, wyroki Jego. Ja też sama z siebie nie byłabym się odważyła podejmować te fundacye, ale działałam wedle zdania i rady osób i z nauki i z świętobliwości swojej godnych zaufania.

ROZDZIAŁ XVIII.

O fundacyi klasztoru świętego Józefa w Salmantyce, roku 1570. — Kilka ważnych uwag dla przełożonych.

Dokonawszy tych dwu fundacyi, wróciłam do Toledu, gdzie pozostawałam kilka miesięcy, dla załatwienia kupna domu, o którym mówiłam i doprowadzenia go do zupełnego porządku. Jeszcze byłam zajęta temi sprawami, gdy otrzymałam list z Salmantyki, od O. rektora tamecznego kollegium OO. jezuitów [1]), w którym ten Ojciec zachęcał mię do założenia klasztoru naszego w temże mieście, dowodząc mi różnemi racyami, ileby z tej fundacyi mogło wyniknąć dobrego. Dawniej już o tem mi mówił, ale wzgląd na wielkie ubóstwo tej miejscowości [2]), powstrzymywał mię od myśli otworzenia tam

---

[1]) Był to świętobliwy O. Marcin Gutierrez, natchniony kaznodzieja, żarliwy czciciel i apostoł czci Najświętszej Panny Maryi. Roku 1572, w przejeździe do Rzymu, umęczony przez hugonotów w Cardilhac, we Francyi południowej.

[2]) Salmantyka była, jak i dotąd jest, jednem z najznaczniejszych miast w Hiszpanii; prócz słynnego uniwersytetu, posiadała ogromną ilość kollegiów, szpitalów, klasztorów i innych fundacyi; ale właśnie to mnóstwo zakładów

domu utrzymującego się tylko z jałmużny, jakiemi są wszystkie domy nasze. Zważywszy jednak, że i Awila jest miastem ubogiem, a przecie nam na niczem tam nie zbywa; że ład i rzędność panujące w naszych klasztorach i ograniczona liczba sióstr, i dochód jakikolwiek, dający się osiągnąć z pracy ręcznej, znacznie nam ułatwiają utrzymanie się w trudnych nawet warunkach; że wreszcie Bóg, jak mocno wierzę, nie opuszcza nigdy tych, którzy Mu służą: uznałam, że na ofiarowaną mi fundacyę zgodzić się mogę i powinnam. Ukończywszy więc w Toledzie roboty moje, i przyjechawszy do Awili, napisałam ztamtąd do miejscowego biskupa [1]), z prośbą o upoważnienie, a biskup, w skutek danych mu przez O. rektora objaśnień o naszym zakonie i o spodziewanej z tej fundacyi chwale Bożej, tyle był łaskaw, że wydał mi bezwłocznie odnośny dokument.

Otrzymawszy to upoważnienie, uważałam klasztor jakby już za gotowy, tak mi się to zdawało rzeczą łatwą. Postarałam się zaraz o najęcie domu, za pośrednictwem jednej pani, mojej znajomej. Nie obyło się jednak bez trudności, bo nie była to pora najmowania mieszkań, a w domu dla nas upatrzonym stali jacyś studenci; ale w końcu stanęło na tem, że oni ustąpią, skoro się zgłoszą osoby, które dom ten zająć mają. Jakie to będą osoby, tego nie wiedzieli: bo aż do chwili objęcia domu chciałam aby rzecz pozostawała w najściślejszym sekrecie, wiedząc już z doświadczenia, jakie przeszkody dyabeł zwykł nam wzniecać, ile razy wywietrzy, że zabieramy się do fundacyi nowego klasztoru. I w tej fundacyi także, choć Bóg nie dopuścił mu przeszkodzić jej z początku, bo chciał

---

publicznych, nie pozostawiające prawie miejsca na domy prywatne, utrudniało utrzymanie się klasztoru żyjącego tylko z jałmużny i z tego względu Święta zowie to miasto bardzo ubogiem.

[1]) Biskupem salmantyceńskim był wówczas (1560—1574) Don Pedro Gonzalez de Mendoza, z książęcego domu Del Infantado. Zasiadł z odznaczeniem się na Soborze Trydenckim.

tego by się zrobiła, później jednak wielkie na nią powstały trudności i przeciwieństwa, dotąd jeszcze, choć w chwili gdy to piszę, już kilka lat od założenia jej upłynęło, nie całkiem usunięte; snać wielka z niej ma być chwała Bogu, kiedy dyabeł tak jej nie cierpi.

Mając tedy upoważnienie biskupie i dom zapewniony, ufna w miłosierdzie Boskie, — bo nikogo zgoła tam nie znałam, ktoby nam w czemkolwiek mógł być pomocnym, a na urządzenie domu znacznego potrzeba było nakładu, — udałam się w drogę do Salmantyki, jednę tylko towarzyszkę, dla niezwrócenia uwagi po drodze, z sobą zabierając. Nauczona doświadczeniem przykrości i utrapień przebytych w Medina del Campo, z powodu zbytniej liczby sióstr, jakie tam miałam z sobą, przekonałam się, że lepiej naprzód pojechać samej, a siostry sprowadzać dopiero na objęcie gotowego już domu. Tym sposobem, w razie jakich trudności, ja sama tylko ponoszę kłopoty i przykrości, i ta jedna zemną, bez której mi puszczać się w drogę niepodobna. Stanęłyśmy na miejscu w wigilię Wszystkich Świętych, spędziwszy znaczną część poprzedniej nocy w drodze, przy silnym mrozie, ale zatrzymawszy się jednak na krótki nocleg, bo byłam mocno cierpiąca.

W opisie tych fundacyi nie wspominam o tem, cośmy w tych długich i uciążliwych drogach wycierpiały, od mrozów, od upałów, od śniegów, które nieraz całemi dniami nas zasypywały, ile razy, zmyliwszy drogę, przychodziło nam błąkać się, ile przy tem dolegały mi ciężkie moje niemoce i febry; bo z łaski Boga prawie ciągle jestem schorowana: w tem wszystkiem jasno widziałam, że Pan sam dodawał mi siły. Nieraz, w chwili, gdy chodziło o nową jaką fundacyę, niewypowiedzianego doznawałam znękania i ucisku, czując się tak słabą i zbolałą, że w celi nawet nie mogłam inaczej wytrzymać, jak leżąca; i w tem udręczeniu mojem zwracałam się do Pana, żaląc się Jemu, dla czego każe mi robić, czego zrobić nie zdołam; a Pan przecie w Boskiej łaskawości swojej zawsze mi tyle dał siły, że choć z trudnością, mogłam się zabrać do rzeczy, i taki mi wlewał zapał do serca i takie zajęcie się

sprawą mi zleconą, iż zupełnie już jakoby zapominałam o sobie [1]).

[1]) Nie będzie od rzeczy zamieścić tu ciekawe i budujące szczegóły, jakie Ribera podaje o tych podróżach Świętej. Najczęściej i ile możności zabierała z sobą tylko takie siostry, które okazywały chęć towarzyszenia jej, i uprzejmem słowem dziękowała im za tę ich gotowość. W dzień wyjazdu całe zgromadzenie przystępowało do Komunii. Dla łatwiejszego utrzymania się w skupieniu i uchronienia się od natrętów, podróże te odbywały się zawsze osobnym najętym powozem, to jest najczęściej prostym wozem, nakrytym płótnem. Skoro się wszystkie umieściły, zwykłe ćwiczenia zakonne prowadziły się dalej, jak w klasztorze; dzwoneczkiem starsza dawała znak rozpoczęcia i zakończenia ich, a klepsydra mierzyła godziny. Milczenie w godzinach postanowionych, tak samo się zachowywało jak w klasztorze, nie tylko przez siostry, ale i przez towarzyszących im zwykłe zakonników czy kapłanów, a nawet i przez służbę; tych ostatnich, do takiego umartwienia nie przywykłych. Święta za wiernie zachowane milczenie wynagradzała jakiem lepszem jedzeniem albo datkiem. Jeśli kiedy wypadła jej konieczność przerwania milczenia, czyniła to w słowach jaknajkrótszych, z uprzejmym uśmiechem i z dodaniem zawsze jakiego słowa miłością Bożą tchnącego, które dla słuchających było i zbudowaniem i pokrzepieniem. Rekreacye ożywiała pogodna wesołość, choć wszystka rozmowa była wyłącznie o Bogu i rzeczach Bożych. Wysiadając z powozu, siostry spuszczały zasłony, twarzy swojej nikomu nie pokazując, nawet niewiastom. W zajazdach i na noclegach Święta dla siebie i dla sióstr brała zawsze izbę ile możności oddaloną i samotną; siostra jedna stała ciągle przy drzwiach, spełniając urząd furtyanki. Księża i drudzy towarzysze drogi mieścili się gdzie mogli. W miejscowościach ubogich i w niemożności dostania większej ilości pokojów osobnych, Święta za pomocą opon urządzała przegrody, aby siostry choć tym sposobem odłączone od drugich i podobne do klauzury miały pomieszczenie. Sama zawsze pierwsza wstawała i budziła drugie, a wieczorem znowu kładła się ostatnia, sama pilnując wszystkiego. Podróżnej gromadce, dla słuchania spowiedzi, odprawiania Mszy św. i udzielania Komunii, zawsze towarzyszył kapłan, najczęściej O. Julian z Awili albo O. Gonzalez de Aranda. Codzień, z wyjątkiem nadzwyczajnej jakiej przeszkody, wszystkie przed wyjazdem z noclegu słuchały Mszy św. Święta zawsze miała przy sobie wodę święconą; zwykle też brała w drogę, trzymając ją na ręku, figurę Dzieciątka Jezus i obrazek św. Józefa, aby widok tych świętych przedmiotów ułatwiał siostrom pamięć na obecność Boską. Przy takiem urządzeniu drogi, zmiana miejsca nie robiła im różnicy, bo wszędzie jednakowo zachowywały swe praktyki i ćwiczenia klasztorne. Świętą Bóg w tych podróżach taką zalewał hojnością łask i pociech swoich, że gdyby nie zewnętrzne roztargnienia przygód lub przykrości podróżnych, nie byłaby

Nigdy, o ile pamiętam, nie uchyliłam się od podjęcia fundacyi z obawy cierpienia, jakkolwiek podróże wszelkie, zwłaszcza dalekie, zawsze mi były bardzo przeciwne. Ale raz puściwszy się w drogę, za nic sobie miałam trud wszelki, pomnąc w czyjej służbie go ponoszę i radując się tą myślą, że w tym nowym domu Pan będzie odbierał cześć i chwałę, i sam w nim będzie mieszkał w Najświętszym Sakramencie. Każdy kościół nowo powstający, szczególną jest dla mnie pociechą, gdy wspomnę ile ich dzisiaj lutrzy burzą i niszczą. Nie masz, sądzę, tak wielkich trudów i cierpień, którychby nam godziło się ulęknąć, jeśli w zamian za nie możemy takiem wielkiem dobrem społeczność chrześcijańską obdarzyć. Bo jakkolwiek wiele jest dusz, które nie pomną, że Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, całą istnością swoją mieszka na wielu miejscach na raz w Najświętszym Sakramencie, wszakże ta Jego z nami obecność powinnaby być dla nas wszystkich największą pociechą. Co do mnie, często, wyznaję, doświadczam tej pociechy, gdy widzę w chórze te dusze tak czyste pogrążone w uwielbieniu Boga. Bo że czystem sercem te dusze Pana chwalą, to łatwo poznać po wielu znakach i po doskonałem ich posłuszeństwie, i po tem weselu ducha, jakiem je napełnia takie ścisłe zamknięcie i taka samotność, i po radosnej ich gotowości do skorzystania z każdej, jaka im się nadarzy sposobność do umartwienia i upokorzenia siebie. Im większą Pan której

---

zdolna znieść ich nawału. Ale i wśród tych roztargnień zawsze była głęboko skupiona, ani na chwilę, rzec można, nie tracąc z oczu Boga. A ta pamięć na obecność Boga szczególny miała u niej, bardzo wysoki charakter. Zupełną miała i jasną świadomość mieszkania w głębi jej duszy trzech Osób Trójcy świętej, czuła w sposób cudowny obecność Ich, żyła jakoby w ustawicznem z Niemi obcowaniu. Przy takiem Boskiem towarzystwie, nie dziw, że jak sama to wyznaje w księdze *Życia* swego, ciężkiem jej było towarzystwo ludzi. Wszakże, ile razy wymagała tego miłość bliźniego, umiała wychodzić z tego zaczarowanego wnętrza swego, i z niezrównaną prostotą i uprzejmością rozmawiać; obecni wtedy nasłuchać się nie mogli słów jej, prawdziwie nadziemską tchnących słodkością, i pogodą, i wdziękiem, i kto raz miał szczęście z nią rozmawiać, ten pewno całe życie rozmowy tej nie zapomniał.

(*Ribera*, *Życie św. Teresy*, ks. I, r. 18).

przełożonej daje łaskę ćwiczenia ich w tem wyniszczeniu samych siebie, tem większe stąd ich zadowolnienie i uszczęśliwienie, i prawdziwie rzec można, że prędzej przełożona ustanie w takiem wystawianiu ich na próbę, niż one w posłuszeństwie; bo co do tego, pożądania ich nie znają granic.

Jakkolwiek niema to ścisłego związku z historyą fundacyi, którą zaczęłam opisywać, wszakże, ponieważ wspomniałam o umartwieniu, umieszczę tu córki moje, aby później nie zapomnieć, kilka uwag, tyczących się tego przedmiotu, które w tej chwili przychodzą mi na myśl, a które może nie będą bez pożytku dla przełożonych. Różnych różnym Pan użycza zdolności i cnót; zatem też każda, będąc na przełożeństwie, chce prowadzić siostry jej podwładne tą samą drogą, którą sama chodzi. Przełożonej zamiłowanej i mocno utwierdzonej w umartwieniu wewnętrznem, wszystko cokolwiek rozkaże podwładnej w celu ujarzmienia w niej woli własnej, wyda się rzeczą łatwą, tak jak byłoby dla niej, choć jednak, gdyby sama miała spełnić taki rozkaz, kto wie, czy w danym razie nie przyszłoby jej to z trudnością. Trzymajmy się stale tej zasady, że co dla nas byłoby ciężkiem i trudnem, tego nie powinniśmy nakazywać drugim. Rozsądek jest warunkiem bardzo ważnym do dobrego sprawowania rządów; w tych domach naszych jest to warunek konieczny, — prawie powiedziałabym, nierównie bardziej konieczny niż w innych klasztorach, — bo większy u nas cięży na przełożonych obowiązek czuwania nad siostrami pod ich kierunek oddanemi, nie tylko nad zewnętrznem ich zachowaniem się, ale i nad usposobieniem ich wewnętrznem. Inna znowu przełożona, mająca w sobie większą gorącość ducha, chciałaby by siostry, i po za porami przepisanemi, ciągle były na modlitwie. Słowem, jak mówiłam, różnemi różne Pan prowadzi drogami; ale przełożona powinna pamiętać, że nie na to postanowiona jest, aby sama dla podwładnych wybierała drogę, jaka jej się podoba, jedno na to, aby je prowadziła drogą wskazaną przez regułę i konstytucyę, chociażby i wolała inną, i musiała zadawać gwałt własnej skłonności swojej.

W jednym z tych domów naszych widziałam przełożoną, mającą szczególny pociąg do praktyk pokutnych: w tym też

kierunku prowadziła wszystkie. Zdarzało się, że całe zgromadzenie brało bez przerwy dyscyplinę przez całą długość siedmiu Psalmów pokutnych z modlitwami; bywały tam inne jeszcze tegoż rodzaju ćwiczenia. W innych znowu domach zdarza się, że przełożona, zatopiwszy się w modlitwie, choć już po odmówieniu Jutrzni, więc nie w porze przepisanej na modlitwę, zatrzymuje wszystkie siostry i każe im podobnież się modlić, kiedy daleko lepiej byłoby, żeby poszły spać. Jeśli która, jak mówiłam, kocha się w umartwieniu, więc wszystkie dręczy ciągłemi umartwieniami; a te biedne owieczki Panny Najświętszej, wszystko, bez słowa odpowiedzi, spełniają co ona im każe, i wszystko znoszą w milczeniu jak jagniątka niewinne, na co patrząc, wielkie mam zbudowanie i zawstydzenie, ale czasem i silną pokusę. Bo siostry, całe zajęte Bogiem, nierozsądku przełożonej nie widzą, ale ja lękam się o ich zdrowie, i wolałabym, żeby poprzestawano na zachowaniu reguły, co samo już dostateczną jest pracą, a co nad to, niech się dzieje łagodnie i w duchu cichości, szczególnie w tem wszystkiem, co się odnosi do umartwienia. Niechże przełożone, na miłość Boga, baczne na to oko mają: niech pamiętają, że w zarządzie tych domów niezmiernie ważną rzeczą jest rozsądek i dobre wyrozumienie zdolności i usposobienia każdej. Bez pilnego na te dwa warunki baczenia, miasto pożytku, szkodę wyrządzą podwładnym i niepokoju i trwogi je nabawią.

Niech pamiętają, że te dodatkowe, nad przepis reguły, umartwienia, nie są obowiązkiem i ta jest pierwsza i naczelna zasada, której się trzymać powinny. Zapewne, że umartwienie jest potrzebnem, aby dusza mogła wybić się na wolność i wznieść się do wysokiej doskonałości. Ale nie jest to rzecz któraby się dała zrobić w krótkim czasie; do tego celu zdąża się stopniowo i powoli; i to właśnie jest rzeczą przełożonej, by każdej w tem dopomagała, wedle stopnia zdolności i zrozumienia, i gorącości ducha, jakich Bóg której użycza. Może która pomyśli sobie, że na rozum i zdolności przyrodzone, o których dopiero co wspomniałam, nie masz tu co zważać. Myli się. Znajdzie się niejedna, która nim dojdzie do zrozu-

mienia, na czem się zasadza doskonałość, i do przeniknienia się duchem naszej reguły, dobrze się namęczy; i taka może potem właśnie najwyżej postąpi w świętości; ale nim to nastąpi, długi czas nie potrafi zrozumieć, kiedy należy tłómaczyć się, a kiedy nie, i innych tym podobnych drobnych praktyk, które gdyby rozumiała, możeby je spełniała z łatwością, ale nim je zrozumie, nie dostrzega znaczenia ich i wartości, albo co gorsze, żadnej w pełnieniu ich nie widzi doskonałości. W jednym z domów naszych jest pewna zakonnica, najświętobliwsza, o ile o tem sądzić mogę, z wszystkich jakie mamy w tym zakonie, dusza miłością Boga płonąca, nadzwyczajnemi od Boga łaskami obdarzona, w umartwieniu i w pokorze niezrównana: otóż są pewne punkta naszych konstytucyi, które jej żadną miarą nie mogą pomieścić się w głowie; tak na przykład oskarżanie kulpy na kapitule wydaje jej się brakiem miłości bliźniego: jakże, mówi, mogę skarżyć na siostrę? Mogłabym więcej przytoczyć podobnych przykładów; niejedna jest między nami bardzo gorliwa służebnica Boża, cierpiąca na podobną trudność zrozumienia pewnych rzeczy, a przecie pod względem postępu w cnotach przewyższająca drugie, choć te wszystko rozumieją.

Niechaj także nie wyobraża sobie przełożona, by zdołała od razu poznać dusze; niech zostawi to Bogu, który sam zna skrytości serc, a niechaj stara się każdą prowadzić tą drogą, którą Pan jej przeznaczył, byleby nie wykraczała w niczem przeciw posłuszeństwu i zasadniczym przepisom reguły i konstytucyi. Ona jedna z pomiędzy jedenastu tysięcy Panien, która w pierwszej chwili skryła się i odłączyła się od towarzyszek swoich, nie mniej przeto została świętą i męczenniczką: owszem, może więcej ucierpiała niż drugie, gdy potem sama jedna wydała siebie na męczeństwo.

Wracając jeszcze do zadawania umartwień, weźmy taki przykład. Przełożona, dla umartwienia siostry, daje jej rozkaz, może sam w sobie łatwy, ale dla niej trudny; ona go spełni, ale taki przy tem cierpi niepokój i takie pokusy, że widocznie lepiej było nie dawać jej tego rozkazu. Będzie to przestroga dla przełożonej, że nie powinna tej siostry pchać do doskona-

łości przemocą, że raczej ma do czasu dać folgę i powoli kroczkiem postępować, dając Panu czas, aby sam stopniowo zdziałał w tej duszy to, czego potrzeba. Przeciwnie, zmuszając ją gwałtem, i jakoby za włosy ciągnąc ją do tej doskonałości, bez której ostatecznie siostra ta może być jeszcze bardzo dobrą zakonnicą, łatwo może w tej duszy wzniecić trwogę i odmęt wewnętrzny i wtrącić ją w zniechęcenie i upadek na duchu, co jest rzeczą bardzo straszną. Patrząc na drugie, nauczy się powoli czynić jak i one, czego niejeden przykład widzieliśmy; a chociażby stało się inaczej, brak tej jednej cnoty nie będzie jej jeszcze przeszkodą do zbawienia. Znam jednę taką, która całe życie wielką się odznaczała świętobliwością, i od wielu lat już na wszelki sposób gorliwie służy Panu, a przecie podlega zawsze pewnym niedoskonałościom i pewnych doznaje uczuć, których w sobie stłumić nie może; widzi to dobrze, i trapi się tem i przede mną żal i smutek swój wynurza. Na to snać Bóg dopuszcza jej ulegać tym ułomnościom, w których nie masz ani śladu grzechu, aby miała powód do upokorzenia się, i przekonała się dotykalnie, że nie jest jeszcze całkiem doskonałą. Tak więc jedne potrafią znosić wielkie umartwienie, i im trudniejsze rzeczy im kazać, z tem większą pociechą je spełnią, bo Pan dał im siłę wewnętrzną do ujarzmienia woli swojej; drugie nie zniosą i małych, i zmuszać je do nich, byłoby to samo, co wkładać na barki dziecka dwa ciężkie wory zboża; nie tylkoby ich nie uniosło, ale ciężar taki nad siły zgniótłby je raczej i obalił na ziemię. Wybaczcie mi, córki moje, — do przełożonych to mówię, — że wedle tego, co w niektórych z was spostrzegłam, tak szeroko się nad temi uwagami rozwodzę.

Jednę jeszcze dodam przestrogę, i to bardzo ważną: nigdy, chociażby pod pozorem doświadczenia posłuszeństwa, nie dawajcie rozkazów, których spełnienie byłoby grzechem, chociażby powszednim; a wiem o takich przykładach, i parę ich przytoczyłam wyżej, że gdyby siostra była uczyniła to, co jej było kazano, byłaby popełniła grzech śmiertelny. Ją może uniewinniłaby dobra jej wiara i prostota serca; ale żadną miarą nie uniewinniłaby się przełożona, tem bardziej, że zna bezwa-

runkową uległość tych dusz niewinnych, któremi rządzi, i wie, że cokolwiek im każe, to one natychmiast spełnią. Czytając lub słysząc o bohaterskich czynach zaprzania się ojców świętych na puszczy, przekonane są, że każdy rozkaz im dany dobry jest i słuszny, albo przynajmniej, że same, spełniając go, czynią rzecz najlepszą. Ale i one powinny wiedzieć o tem, że co bez rozkazu byłoby grzechem, tego i mając rozkaz, uczynić nie mogą. Mogą wprawdzie i powinny usłuchać, gdy im każą opuścić Mszę św., albo zaniechać postu, i tym podobne rzeczy; bo choć to są przykazania, same z siebie obowiązujące, przełożona wszakże dla słusznych przyczyn ma prawo w danym razie od nich zwolnić. Ale takie rozkazy jak on wrzucenia się do studni, i tym podobne, niezawodnie grzechem byłoby spełnić, bo nie godzi się żadnej liczyć na to, że Bóg dla niej cud uczyni, jak to niekiedy czynił dla świętych. Wiele zaiste jest rzeczy, w których doskonałe posłuszeństwo otwarte dla siebie ma pole; byleby nie było w nich niebezpieczeństw wyżej wskazanych, wszystkie one są dobre i godne pochwały.

Kiedyś w Malagonie jedna siostra prosiła przełożonej o pozwolenie wzięcia dyscypliny. Zapewne nie pierwszy raz przychodziła z tą prośbą, bo przełożona odpowiedziała jej krótkiem: „Daj mi pokój, idź sobie“; a gdy ta dalej się naprzykrzała, powtórzyła jej znowu: „Daj mi pokój, idź sobie na spacer“. Jakoż siostra z największą prostotą poszła na spacer i kilka godzin spacerowała. Któraś zapytała jej, czego tak ciągle chodzi, odpowiedziała, że tak jej kazano. Aż wreszcie zadzwoniono na Jutrznię; przełożona, zdziwiona, że siostry nie widać w chórze, zapytaje, gdzie się obraca. „Spaceruje“, odpowiedziano jej. Potrzeba więc przełożonym, jak już mówiłam, bardzo się mieć na baczności i z wielką postępować oględnością, mając do czynienia z duszami tak rozmiłowanemi w posłuszeństwie. Innym razem któraś znalazła w ogrodzie dużego robaka i przyniosła go do przełożonej, pytając czy nie ładny? „Bardzo ładny“, odpowiedziała przełożona żartując: „zjedz go“. Poszła do kuchni z robakiem swoim i najdokładniej go usmarzyła. „Co tam smarzysz, i na co?“ zapytała jej kucharka. „Robaka smarzę“,

odpowiedziała, „i zjem go“; i gdyby jej nie wstrzymano, byłaby tak zrobiła, z ciężką może szkodą dla zdrowia, i z niemniejszem strapieniem dla przełożonej, która ani pomyślała, by żart jej tak został wzięty na seryo. Niewypowiedziana to radość dla mnie, że widzę córki moje, tak aż do zbytku rozmiłowane w posłuszeństwie, bo sama szczególną mam cześć dla tej cnoty, i z wszystkich sił moich starałam się o to, aby one jej nabyły. Ale na nic byłaby wszelka usilność moja, gdyby Pan sam w nieskończonem miłosierdziu swojem nie był nam uczynił tej łaski, że wszystkie na ogół mają pociąg do tej cnoty i ochotnie się do niej skłaniają. Oby w Boskiej dobroci swojej dawał nam czynić w niej coraz wyższe postępy.

ROZDZIAŁ XIX.

O fundacyi domu św. Józefa w Salmantyce, ciąg dalszy.

Daleko odeszłam od opowiadania mego; ale gdy mi się nastręczy sposobność mówienia o jakiej kwestyi życia duchownego, w której Pan raczył mię drogą własnego doświadczenia oświecić, nie mogę o niej nie wspomnieć; może też to, co mnie się wydaje dobrem, będzie takiem w istocie. Zawsze jednak, córki, zasięgajcie rady ludzi z nauką i przez nich znajdziecie drogę doskonałości w roztropności i prawdzie. Przełożonym zwłaszcza koniecznie potrzeba spowiadać się u światłych i uczonych teologów; inaczej, w wielu rzeczach pobałamucą, a będzie im się zdawało, że postępują najświęciej. Dla sióstr także powinny się starać o spowiedników naukowo wykształconych.

Stanęłyśmy tedy w Salmantyce w wigilią Wszystkich Świętych, w południe, roku, jak wyżej powiedziałem, 1570. Z gospody, w której zatrzymałyśmy się, posłałam dowiedzieć się do jednego zacnego mieszczanina, któremu byłam zleciła opróżnienie domu dla nas najętego. Nazywał się Mikołaj Gutierrez. Był to bardzo gorliwy sługa Boży; cnotliwem życiem swojem zasłużył sobie u Pana na łaskę wielkiego pokoju

i wesela wewnętrznego w utrapieniach, jakich doświadczył wiele, i bardzo dotkliwych: niegdyś bardzo zamożny, przyszedł był do zupełnego ubóstwa, a tak ochotnie je znosił, jak by największe posiadał bogactwa. W założeniu tej fundacyi bardzo nam był pomocny, ochotną wolą i prawdziwem poświęceniem siebie, wiele około niej pracy sobie zadając. Otóż przyszedłszy do mnie na wezwanie moje, oznajmił mi, że dom jeszcze nie jest opróżniony, bo dotąd nie mógł skłonić studentów do ustąpienia z niego. Wytłómaczyłam mu, jak wiele mi zależy na bezzwłocznem zajęciu tego domu, pierwej nim przyjazd mój stanie się wiadomym w mieście, bo jak już mówiłam, zawsze byłam w obawie, by jeszcze nam jaka przeszkoda w drogę nie weszła; zaczem Gutierrez udał się do właściciela domu, i choć nie bez trudności, dokazał przecie tego, że przed wieczorem zrobiono nam miejsce, i tegoż dnia jeszcze mogłyśmy się na noc przenieść do siebie. Była to pierwsza fundacya, którą otworzyłam bez wprowadzenia Najświętszego Sakramentu; sądziłam zawsze, że bez tego nie masz istotnego wniścia w posiadanie, i dopiero niedawno przedtem byłam się dowiedziała, że nie jest to warunek konieczny, z czego na ten raz bardzo się cieszyłam, wobec niepięknych porządków, jakie zastałyśmy po studentach; panowie ci, snać niewybredni w punkcie ochędóstwa, w takim stanie cały dom pozostawili, że nie mało przez noc użyłyśmy pracy, nim go doprowadziłyśmy do czystości [1]).

Nazajutrz rano odprawioną została pierwsza Msza święta, poczem zaraz posłałam po więcej sióstr, które miały przybyć z Medina del Campo. Noc po tym dniu Wszystkich Świętych spędziłyśmy, ja z towarzyszką moją, zupełnie same. Przyznam się wam siostry, że dotąd jeszcze śmiać mi się chce, gdy wspomnę na strach, jakiego wówczas użyła towarzyszka moja,

---

[1]) Jednym z tych studentów był późniejszy biskup Barbastro, Don Juan Moriz. Pozostał po nim dokument, w którym popierając wniosek o beatyfikacyę ś. Teresy, mówi między innemi: „Lat temu czterdzieści, gdym odbywał nauki na uniwersytecie salmantyceńskim, ustąpiłem z domu w którym miałem mieszkanie, aby ona w nim mogła założyć klasztor żeński“. *Anno Teresiano*, Tom. V. pag 74.

Marya od Najświętszego Sakramentu, zakonnica starsza ode mnie, i bardzo świętobliwa służebnica Boża. Dom był bardzo duży, z mnóstwem schowań i zakomórków, a pusty i zapuszczony. Otóż siostra Marya nie mogła sobie wybić z głowy, że kiedy ci studenci tak się ociągali z ustąpieniem, pewno który z nich pozostał jeszcze gdzieś w jakim kącie ukryty; i bez wątpienia, że gdyby był chciał, byłby mógł to zrobić, bo miałby gdzie się schować. Zamknęłyśmy się w jednym pokoju, gdzie była słoma; jest to pierwszy artykuł, o który się staram przy założeniu nowego domu, bo mając słomę, już jesteśmy spokojne o nocleg. Na niej więc tę pierwszą noc spałyśmy, pod dwiema kołdrami, których nam pożyczono. Nazajutrz też, zakonnice z pobliskiego klasztoru św. Elżbiety [1]), choć my obawiałyśmy się, że bardzo będą nierade naszemu w tak bliskiem z niemi sąsiedztwie osiedlenia się, z wielką przeciwnie życzliwością pożyczyły nam rzeczy potrzebnych dla towarzyszek naszych przybyć mających, dostarczyły nam pożywienia, i potem jeszcze, przez cały czas naszego w tym domu mieszkania wiele nam świadczyły dobrodziejstw i wspierały nas jałmużną. Owoż, znalazłszy się w tym pokoju dobrze zamkniętym, siostra Marya, co do studentów, jakoby nieco się uspokoiła; mimo to jednak wciąż oglądała się ze strachem, to w jednę, to w drugą stronę; zapewne i dyabeł przyczyniał się do tego jej przerażenia, nasuwając jej widma urojonych niebezpieczeństw, aby przez nią nastraszyć i mnie, do czego przy ciągłych moich słabościach sercowych nie wiele potrzeba. „Czegoż tak się oglądasz, zapytałam jej, kiedy wiesz, że nikt tu wejść nie może?“ — „Matko, odpowiedziała mi, ja myślę sobie, coby to było, gdybym teraz tu nagle umarła: cobyś ty wówczas sama jedna poczęła?“ Istotnie, podobny wypadek, gdyby się zdarzył,

---

[1]) Był to klasztor tercyarek franciszkanek, zniesiony dopiero w r. 1857, jako grożący ruiną. W Alba de Tormes istnieje jeszcze dom tego zgromadzenia, i dotąd w nim przechowuje się cela, w której chwilowo gościła św. Teresa w czasie, gdy zakładała swój klasztor w tem mieście. Tercyarki te noszą habit fioletowy, na pamiątkę królewskiej purpury swej Patronki, św. Elżbiety królowej.

byłby dla mnie, przyznaję, ciężkim do przebycia; zatrzymałam się na chwilę myślą nad tem przypuszczeniem, i nawet się przelękłam, bo widok trupa, choć się go nie boję, zawsze mi, choćbym nie była sama, sprawia pewne omdlenie sercowe. Ciągły przytem odgłos dzwonów, — bo było to, jak mówiłam w wilią Dnia Zadusznego, zmacniał to wrażenie, a przytem i dyabeł z tej sposobności skorzystał, aby nam takiemi dziecińśtwami myśli poplątać; bo ten jest zwykły sposób jego, że gdy widzi, że go się nie boimy, innych wtedy szuka dróg do zatrwożenia nas. W końcu jednak, po chwili zastanowienia, powiedziałam siostrze Maryi: — „Jak się to stanie, wtedy pomyślę, co zrobić; tymczasem, siostro, daj mi spać". Jakoż po dwu bezsennych nocach, rychło nam sen uśpił strachy nasze, a nazajutrz przybycie drugich sióstr zupełnie je rozpędziło.

Klasztor nasz pozostawał w tym domu około trzech lat, czy czterech nawet, dobrze nie pamiętam. Mnie w tym czasie kazano udać się do klasztoru Wcielenia w Awili [1]). Nie był to dla mnie rozkaz pożądany, bo nigdybym z własnej woli nie opuściła nowej fundacyi, pókibym nie zostawiła sióstr w domu własnym, a spokojnym i odpowiednio urządzonym. Nigdy też, o ile to zależało odemnie, inaczej nie postępowałam. Bóg mi użyczał tej wielkiej łaski, że do pracy i trudu zawsze byłam pierwsza i niewypowiedzianą w tem znajdowałam dla siebie przyjemność; w każdym domu sama obmyślałam i urządzałam wszystkie, aż do najdrobniejszych, szczegóły do spokojnego i z powołaniem naszem zgodnego życia służące, jak gdybym miała sama w nim mieszkać aż do śmierci, i wielką to było

---

[1]) Ś. Pius V, Papież, przeprowadzając na prośby Filipa II reformę zakonów w Hiszpanii, wizytatorem apostolskim w tym celu mianował między innymi Piotra Hernandez, dominikanina, polecając mu reformę klasztorów karmelitańskich w obu Kastyliach. Mąż ten Boży, rozumem i nauką zarówno jak świętobliwością zakonną znakomity, pragnąc w klasztorze Wcielenia wznowić ducha dawnej reguły, za najskuteczniejszy ku temu sposób uznał oddanie tego klasztoru na trzy lata pod kierunek św. Teresy. Nie zawiódł się w oczekiwaniu swojem. Święta, objąwszy rządy w październiku r. 1571, przy pomocy św. Jana od Krzyża, którego była sobie wyprosiła za spowiednika sióstr, w krótkim czasie doprowadziła klasztor do stanu kwitnącego. Ob. *Życie*.

dla mnie pociechą, ile razy mogłam odjeżdżając pozostawić siostry dobrze i jaknajdogodniej umieszczone. Dla tego też bardzo się martwiłam, wiedząc, że te, które zostawiłam w Salmantyce, na wielkie tam narażone są cierpienia, nie pod względem utrzymania, bo o tem, ponieważ dom nasz nadto był położony na ustroniu, aby można było liczyć na jałmużny, ja sama z miejsca pobytu mego pamiętałam, ale pod względem zdrowia, bo w domu była wilgoć i zimno dotkliwe, a z powodu znacznej rozległości jego nie starczyło nam środków na gruntowne zaradzenie złemu; a co najgorsza, nie można było trzymać w nim Najświętszego Sakramentu, co dla dusz w takiem zamknięciu żyjących bardzo bolesną jest ujmą. One jednak wcale się nie trapiły tem przykrem położeniem swojem, owszem z takiem je znosiły weselem, że było czego dziękować Bogu. Niektóre z nich mówiły mi, że wyrzucałyby to sobie jako niedoskonałość, gdyby pragnęły innego domu, kiedy z tego zupełnie są zadowolnione, zwłaszcza gdyby jeszcze miały w nim Najświętszy Sakrament.

Wreszcie przełożony nasz [1]), widząc taką ich doskonałą cierpliwość, w takich ciężkich jakie miały do zniesienia przykrościach, zlitował się nad niemi, i kazał mi opuścić klasztor Wcielenia, a pojechać do nich. One już były umówiły się z jednym panem ze szlachty miejscowej, o ustąpienie im domu, jaki posiadał w mieście; ale dom ten był w takim stanie, że potrzeba nam było wydać przeszło tysiąc dukatów, nim mogłyśmy się do niego wprowadzić. Dom ten stanowił majorat, więc do zmiany własności potrzeba było pozwolenia królewskiego; ale on zgadzał się na to, byśmy i przed wydaniem tego pozwolenia dom zajęły, pozwalał nam nawet robić w nim zmiany i wznosić potrzebne nam ściany i przegrody. Uprosiłam O. Juliana z Awili, który mi, jak mówiłem, w tych fundacyach towarzyszył, i w czasie przeniesienia mego do klasztoru Wcielenia także był pojechał zemną, aby mi i teraz towarzyszył do Salmantyki. Obejrzeliśmy razem on dom, dla przekonania się,

[1]) Tenże sam O. Hernandez.

co jest w nim do zrobienia, ja mając już doświadczenie, dobrze się znałam na tych rzeczach. Przyjechaliśmy w sierpniu, i jakkolwiek przyspieszałam ile możności roboty, aby się skończyły do ś. Michała, to jest do pory odnawiania najmów rocznych, dużo jednak jeszcze w tym terminie brakowało do tego, by dom zupełnie był gotów; ale mimo to potrzeba nam było przenieść się zaraz, choć do niegotowego, bo najmu tego domu w którym stałyśmy, nie byłyśmy na rok następny przedłużyły, i nowy lokator bardzo naglił nas, abyśmy się wynosiły. Kaplica ledwie była, i to nie całkiem jeszcze, pobielona. Pan on, który nam był sprzedał ten dom, był nieobecny; różni życzliwi odradzali nam i ganili, że się tak nagle wprowadzamy; ale wobec konieczności, trudno zważać na rady, nie zaradzające potrzebie. Wprowadziłyśmy się więc w wilię św. Michała, nad ranem. Było już ogłoszono, że otworzenie domu, z wprowadzeniem Najświętszego Sakramentu i z kazaniem, odbędzie się nazajutrz, w sam dzień święta. Spodobało się Panu, że właśnie w czasie naszego przeprowadzania się, wieczorem, począł padać taki deszcz rzęsisty, że z przenoszeniem rzeczy potrzebnych niemałą miałyśmy trudność. Kaplica świeżo zbudowana, źle była pokryta, skutkiem czego prawie nie było w niej kąta gdzieby nie zaciekało. Przyznam się wam córki, że tego dnia bardzo się uczułam niedoskonałą. Wobec ogłoszonego już i zapowiedzianego nabożeństwa, nie wiedziałam co począć; trapiłam się tylko bezradna, i wreszcie, jakby utyskując, powiedziałam Panu: — „Albo mi, Panie, nie zlecaj takich rzeczy, albo zaradź tej potrzebie“ [1]). Poczciwy nasz Mikołaj Gutierrez, spokojny

[1]) Pod zasłoną oskarżania się o niedoskonałość, Święta w pokorze swojej zręcznie ukrywa tu cud przez nią zdziałany; w rzeczy samej tak było, że ledwo zaniosła do Pana onę skargę swoję, gdy tejże chwili niebo się wypogodziło. Wielebna Matka Anna od Jezusa, tak opisuje, jako świadek naoczny, cudowne to zdarzenie, w swych zeznaniach do procesu kanonizacyjnego: „Była już ósma wieczór, powiada, miałyśmy jeszcze trzy ołtarze do ubrania, a deszcz wciąż zalewał kaplicę. Nie wiedząc już co począć, poszłam z drugiemi dwiema siostrami do Świętej, i w obecności O. Juliana z Awili, i licencyata Nieto, kapelana klasztoru naszego w Alba, którzy z nią rozmawiali, powiedziałam jej tonem bardzo stanowczym: — Wiesz, Wielebna Matko, która godzina, i ile

jak zawsze, jak gdyby nic złego nie groziło, cicho i łagodnie uspokajał mię: — „Nie frasuj się, Matko, mówił mi; Bóg temu zaradzi“. I tak się stało. W dzień św. Michała, w porze kiedy ludzie mieli się zbierać na nabożeństwo, słońce zajaśniało. Powitałam je z uczuciem najgłębszej ku Bogu wdzięczności, i trudno mi było nie uznać, że daleko lepiej począł sobie był on święty człowiek, z ufnością polegając na Panu, niż ja, poddając się zmartwieniu memu.

Zebrało się sporo ludzi, i z wielką uroczystością, przy odgłosie muzyki, odbyło się wprowadzenie Najświętszego Sakramentu. A ponieważ dom ten bardzo dobrze jest położony w jednej z głównych dzielnic miasta, więc i wiadomość o nas szerzej się rozchodziła, i poczęli różni z nabożeństwem garnąć się do klasztoru naszego i kaplicy. Dwie panie szczególnie wiele nam okazywały życzliwości: Donna Marya Pimentel, hrabina de Monterey [1]), i Donna Maryana, małżonka korredżitora,

---

nam jeszcze pozostaje do zrobienia na jutro; zechciej więc prosić Boga, aby deszcz ustał. — Sama proś, odpowiedziała mi, trochę nierada tak jasnemu wypowiedzeniu ufności mojej w skuteczność jej modlitwy: sama proś, kiedy ci tak pilno, i kiedy myślisz, że Bóg mię tak od razu wysłucha. Zamilkłam i wyszłam: ale ledwo przestąpiłam próg i stanęłam na przyległym dziedzińcu, ujrzałam nad sobą niebo tak czyste i gwiaździste, że niktby temu nie dał wiary, by przed chwilą jeszcze była taka gwałtowna i uporczywa ulewa. Ośmielona tą niespodzianą zmianą, poważyłam się wrócić do Świętej, i w tymże tonie stanowczej ufności powiedziałam jej: — Już nie pada; ale byłabyś też mogła, Wielebna Matko, wcześniej poprosić Boga o pogodę. — Na to nic już nie odpowiedziała, tylko się słodko i łagodnie uśmiechnęła.“ (Maurique, *Żywot Wiel. Matki Anny od Jezusa*, ks. II, r. 8).

[1]) I tutaj znowu św. Teresa, wspominając o serdecznej przychylności hrabiny Monterey, pomija milczeniem cudowne zdarzenie, które do niej powód dały: ale co pokora Świętej chciała ukryć przed nami, to nam przekazali jej życiopisarze. Dokonawszy fundacyi w Albie, Święta powróciła do Salmantyki, chcąc osobiście doglądać młodego jeszcze tamże klasztoru swego. Stanęła w pałacu hrabiego Monterey, który pragnąc ją mieć u siebie, był sobie u prowincyała tę łaskę wyprosił. Pobyt ten św. Teresy w domu hrabiego zaznaczył się dwojakiem cudownem uzdrowieniem. Pierwszego dostąpiła żona guwernera dzieci hrabiostwa, śmiertelnie chora na szkarlatynę, i już przez lekarzy opuszczona. Święta, na prośbę hrabiostwa, odwiedziła ją, i jakby sposobem przywitania włożyła jej ręce na głowę; w tejże chwili chora zerwała się,

to jest burmistrza czy prezydenta miasta. Zaraz nazajutrz, jakby umyślnie dla zasępienia nam radości naszej z posiadania Najświętszego Sakramentu, przyjechał nasz pan, właściciel domu, tak zły i zagniewany, że nie wiedziałam już co z nim począć; snać dyabeł był w tem, że nie było sposobu dojść z nim do ładu: przedstawiałam mu, że warunki umowy wszystkie spełniłyśmy, ale wszelkie racye i perswazye moje były daremne. Za wstawieniem się kilku osób nam życzliwych ułagodził się nieco, ale potem znowu zmienił zdanie. Byłam już gotowa oddać mu dom; ale i na to się nie zgadzał, żądał tylko wypłacenia mu od razu całego szacunku, co było przeciwnem umowie; bo dom ten w istocie należał do żony jego, która go chciała sprzedać dla wyposażenia dwu córek swoich, i ten był tytuł powoływany w podaniu o pozwolenie królewskie, my zaś, do czasu nadejścia onegoż, pieniądze za dom należne byłyśmy, wedle umowy, złożyły na ręce osoby przez samegoż tego pana wskazanej. Z całego tego zawikłania wynikło to, że dzisiaj jeszcze po upływie trzech lat, sprawa tego kupna nie jest skończona, i nie wiem, czy klasztor nasz będzie mógł pozostać

---

jakby ze snu przebudzona, pytając kto jej dotknął, i wołając, że jest uzdrowiona. Święta, zawstydzona takim widocznym cudem, przez nią z woli Bożej zdziałanym, kazała milczeć chorej, chcąc wmówić w obecnych, że bredzi nieprzytomna; ale lekkie z łóżka zerwanie się uzdrowionej, i gorące dziękczynienia, jakie składała swej wybawicielce od śmierci, zbyt jawnie świadczyły o rzeczywistości cudu. Druga uzdrowiona była córeczka samychże hrabiostwa. Rodzice widząc ją już prawie konającą i grożącą im stratą przerażeni, uciekli się do św. Teresy z błagalną prośbą, aby im wyjednała u Boga ocalenie dziecka. Święta czyniąc zadość ich żądaniu, udała się na modlitwę, w ciągu której ukazali jej się św. Dominik i św. Katarzyna Seneńska, zwiastując jej, że prośba jej została wysłuchana, i zalecając przytem, aby uzdrowiona, na dziękczynienie Bogu, nosiła przez rok habit św. Dominika. Święta, nie mogąc oznajmić rodzicom tego polecenia, bez przyznania się tem samem do użyczonego jej widzenia, zwierzyła się z kłopotem swojem Ojcu Banez, który podjął się zastępstwa. Dziewczynka, cudownie uratowana, chodziła przez rok w habicie św. Dominika; później doszedłszy do lat, wyszła za hrabiego Olivarez; syn jej, sławny książę Olivarez, zapewne przez pamięć na cud, którego matka jego doznała za pośrednictwem św. Teresy, był całe życie szczególnym obrońcą i dobroczyńcą zreformowanego Karmelu.

w tym domu, jak w chwili kiedy to piszę, jeszcze w nim pozostaje, czy też trzeba będzie przenieść go gdzieindziej [1]). To tylko wiem, że w żadnym z klasztorów tej naszej reguły pierwotnej, jakie dotąd Pan nam założyć pozwolił, siostry nie miały tyle przykrości do zniesienia, ile w tym salmantyceńskim. Ale tyle w nich jest, z miłosierdzia Boskiego, zaprzania siebie i ochotnej woli do cierpienia, że wszystko to znoszą z weselem w czem niechaj Pan w Boskiej dobroci swojej i nadal utwierdzać je raczy. Mniejsza o to, jaki nam dom na mieszkanie przypadnie, wygodny czy niewygodny; owszem, na wspomnienie jako Pan wszystkiego świata nie miał na tym świecie własnego schronienia, wielka to dla nas pociecha, mieszkać w domu, z którego nas wyrzucić mogą. Takie tułanie się po obcych, pożyczanych kątach nieraz, jak o tem świadczą te fundacye, nam się zdarzyło; ale mogę oddać to świadectwo prawdzie, że nigdy nie spostrzegłam, by która siostra tem sobie przykrzyła. Niechże nam za to nie zabraknie mieszkania w domu wieczności, co niechaj Pan raczy sprawić przez nieskończoną dobroć i miłosierdzie swoje, amen, amen.

ROZDZIAŁ XX.

O fundacyi klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi w Alba de Tormes, roku 1571.

W niespełna dwa miesiące po dokonanem w dzień Wszystkich Świętych objęciu domu w Salmantyce, podskarbi księcia Alby i żona jego [2]) zgłosili się do mnie z usilnem naleganiem, abym w tem mieście, to jest w Alba de Tormes, klasztor założyła. Nie miałam wielkiej chęci do tej fundacyi, bo w takiej małej mieścinie klasztor nie mógłby istnieć bez stałych do-

[1]) W rzeczy samej, po śmierci św. Teresy, siostry nie mogąc nakłonić do zgody tego pana, zmuszone były ustąpić z domu jego, i przeniosły się w inną dzielnicę miasta, gdzie klasztor ich dotąd istnieje.

[2]) Podskarbim tym był nie kto inny, jedno własny szwagier Świętej, Jan de Ovalle, mąż siostry jej, Joanny de Ahumada.

chodów, a mojem życzeniem zawsze było, by wszystkie domy nasze utrzymywały się z samej tylko jałmużny. Ale bawiący wówczas w Salmantyce O. magister Dominik Banes, który był spowiednikiem moim, jak o tem wspomniałam na początku tych Fundacyi, wyłajał mię za ten jakoby upór mój tłómacząc mi, że skoro Sobór Trydencki na dochody pozwala, byłoby to dzieciństwem z mojej strony, gdybym z takiego powodu wymawiała się od założenia nowego klasztoru; dodał przytem, że to moje bezwarunkowe odrzucanie dochodów dowodzi niezrozumienie rzeczy, bo doskonałość i ubóstwo zakonne zgoła nie zależą od tego, czy klasztor posiada majątek, czy nie. Lecz nim przystąpię do opisu fundacyi, pierwej powiem, kto był domu tego fundatorką, i w jaki sposób Pan ją pobudził do tego pobożnego przedsięwzięcia.

I. H. S.

Fundatorka tego klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny w Alba de Tormes, Teresa de Layz, pochodziła z rodu wysokiego, z najprzedniejszych, najczystszej krwi hidalgów. Rodzice jej jednak, nie posiadając odpowiedniego majątku, ani środków dostatecznych do utrzymania dawnej świetności rodu, mieszkali na wsi, w Tordillos, miejscowości odległej o dwie mile od miasta Alby. Jest to rzecz prawdziwie pożałowania godna, ta próżność panująca na świecie, gwoli której tacy ludzie wolą raczej skazać siebie na ukrywanie się gdzieś w odludnym zakątku, gdzie żyją pozbawieni towarzystwa, i nauki, i tylu innych rzeczy, służących ku oświeceniu duszy, niż odstąpić w najmniejszej rzeczy od tego, czego rzekomy ich honor wymaga. Rodzice Teresy de Layz, mając już cztery córki w chwili przyjścia jej na świat, bardzo byli nieradzi narodzeniu się tej piątej. Prawdziwie opłakane to zaślepienie śmiertelnych ludzi! Nie wiedzą, co jest dla nich lepszego, nie zdołają rozumem swoim przeniknąć ukrytych przed nami wyroków Bożych, nie potrafią odgadnąć, ile i jak wielkiej pociechy właśnie córka im przynieść może, ile właśnie syn może im przyczynić zmartwienia: a przecie nie chcą zdać się na wolą Tego, który wszystko widzi i wie, i sam wszystko tworzy

i gryzą się i zagryzają tem, z czegoby się radować powinni. Śpiącą czy martwą wiarą swoją nie umieją wyżej podnieść swych myśli; nie pomną, że Bóg sam wszystko zrządza, że w Jego ręce z ufnością oddać się powinni; a ile wielkiem jest zaślepienie ich, że tego nie czynią, tyle też jawny jest ich nierozum, że tak się martwią i gryzą na próżno, ani się nie zastanowią nad tem, że nic im to nie pomoże. O Boże wielki! jakże inaczej sądzić będą o tych ślepych wymaganiach i żalach swoich w on dzień, w którym każda rzecz objawi się w prawdziwem świetle swojem! Iluż tam ojców znajdzie się w piekle przez tych synów, których tak pragnęli! ile matek ujrzy się w niebie, dzięki cnotom i zasługom córek swoich!

Wracam do opowiadania mego. Rodzice podali małą do chrztu w sam dzień narodzenia jej, i to im się chwali. Ale zresztą tak mało dbali o życie jej, że trzeciego dnia, od rana do wieczora, zostawili ją samą; nikt przez cały dzień nie zajrzał do dziecka. Wieczorem dopiero przyszła piastunka najęta, i dowiedziawszy się co się dzieje, prędko pobiegła do maleństwa, prawie pewna, że już umarło. Kilka osób, przybyłych w odwiedziny do matki, poszło za nią: i o to w ich oczach stała się rzecz dziwna. Piastunka z płaczem wzięła dziecko na ręce, i z wyrazem oburzenia na nieludzkie z niem obchodzenie się rodziców, zawołała: — „Jak to, biedna dziecino, nie jesteś nawet ochrzcona? — Na to dziecko podniosło głowę i wyraźnie wymówiło: — „Jestem“. Po tem jednem słowie, znowu jak każde inne dziecko, stała się i pozostała niemowlęciem, aż do czasu kiedy dzieci mówić zaczynają. Wielkie było zdumienie obecnych, a matka od tego czasu pokochała dziecinę i troskliwą otaczała ją opieką: często mówiła, że pragnęłaby dłużej żyć, aby mogła obaczyć jeszcze, co Bóg z tem dziwnem dzieckiem uczyni. Wychowała ją wraz z siostrami jak najstaranniej, zaprawiając je do pobożności i wszelkiej cnoty.

Gdy doszła do lat, rodzice poczęli myśleć o wydaniu jej za mąż, czemu ona z początku się sprzeciwiała, woląc pozostać panną; aż gdy któregoś dnia usłyszała, że Franciszek Velazquez, — który później miał być wraz z nią fundatorem tego domu, oświadcza się o jej rękę, natychmiast, na samo wymie-

nienie nazwiska jego, oświadczyła gotowość wyjścia za mąż, jeśli ją za niego wydadzą, choć go zupełnie nie znała. Pan sam tak zrządził, aby tym sposobem przyszło do skutku to dobre dzieło, które oni we dwoje na chwałę jego wykonali. Velazquez, mąż cnotliwy a bogaty, tak kocha swą żonę, że wszystko gotów jest uczynić dla zrobienia jej przyjemności i słusznie, bo wszelkie zalety i cnoty, jakie zdobić mogą niewiastę zamężną, Pan jej w wysokim stopniu użyczył; wzorowa z niej pani domu, a przytem, z dobrocią niezrównaną łączy nieugiętą stałość w uczciwości i cnocie, czego mianowicie w jednem zdarzeniu świetny dowód dała. Mąż z nią po ślubie osiadł był w Albie, skąd był rodem; lecz gdy po niejakim czasie kwatermistrze książęcy umyślili w domu przez nich zajmowanym wyznaczyć mieszkanie jakiemuś młodemu kawalerowi, ona tak się na to obruszyła, że dalszy pobyt w tym domu stał się dla niej nieznośnym; bo będąc młodą i przystojną, a widząc że dyabeł już zaczyna w tym młodym człowieku wzniecać myśli nieuczciwe, bała się, by z tego nie wynikło co złego. Nie mówiąc więc nic mężowi o tych obawach swoich, prosiła go tylko, by ją zabrał z tego miejsca, a on, czyniąc zadość jej życzeniu, przeniósł się z nią do Salmantyki, gdzie i w czasie gdy ich poznałam, żyli szczęśliwi i w wielkich dostatkach, bo niezależnie od własnego majątku swego, Velazquez piastował tam wysoki urząd, zapewniający mu wielkie wpływy i powszechne poważanie. Jedno tylko mieli zmartwienie: Pan im nie dawał dzieci. Żarliwe w tym celu zanosiła do Boga modlitwy i różne ofiarowała uczynki pobożne, zawsze tylko o to jedno Pana prosząc, by raczył jej dać potomstwo, któreby po niej chwaliło Boski Majestat Jego, bo pobożne serce jej nie mogło przenieść na sobie tej myśli, by cześć i miłość, jaką Bogu oddaje, miała się skończyć z jej życiem, by nikogo nie pozostawiła po sobie, ktoby ją dalej przedłużał. Nigdy, jak mię upewniała, te jej pragnienia i prośby o potomstwo inszego celu nie miały; i wierzę temu, bo jest to osoba tak szczera i wysoce cnotliwa, że niepodobna mi wątpić o rzetelności tego jej zapewnienia. Z głębi serca dzięki czynię Panu, patrząc na cnotliwe życie tej duszy, tak żarliwie we wszyst-

kiem jedynie chwały i upodobania Bożego pragnącej i taką obfitością zasług i dobrych uczynków każdą chwilę życia swego zapełniającej.

Po kilku latach takich gorących a wciąż daremnych pragnień, wciągu których bezustannie mnożyła swoje w tym celu modlitwy i nabożeństwa, polecając się zwłaszcza św. Andrzejowi, szczególnemu, jak jej mówiono, w podobnych sprawach patronowi, pewnej nocy, ułożywszy się już do snu, usłyszała głos mówiący do niej: — „Nie pragnij dzieci: byłyby tobie na potępienie.“ Choć zdumiona i przerażona tym głosem, nie zrzekła się przecie pragnienia swego; zdawało jej się niepodobieństwem, by rzecz tak dobra z tak czystą intencyą pożądana, mogła stać się dla niej przyczyną potępienia. Nie zważając więc na tajemnicze ono ostrzeżenie, przedłużała swoje modlitwy, wciąż prosząc Pana o potomstwo i polecając się jak przedtem szczególnej przyczynie św. Andrzeja. Aż jednego dnia, gdy żywiej jeszcze niż zwykle zajęta była tą główną myślą swoją, miała takie widzenie, sama nie wie, czy było to we śnie czy na jawie, ale w każdym razie ze skutków się okazało, że było to widzenie od Boga. Zdawało jej się, że stojąc na ganku jakiegoś domu, widzi pod sobą dziedziniec ze studnią pośrodku, a nieopodal za nią łąkę bujnie się zieleniącą i wśród tej łąki pełno kwiatów białych, tak pięknych, że żadne słowa nie zdołałyby opisać dziwnego wdzięku ich. Przy studni zaś ukazał jej się św. Andrzej z zachwycająco poważnem i pięknem obliczem i ukazując na one kwiaty, rzekł do niej: — „Oto insze i lepsze potomstwo, niż to którego pragniesz.“ Tak wielkiem to widzenie napełniło ją weselem, że radaby była całe życie na nie patrzyć; ale trwało tylko chwilę. Jasno jednak zrozumiała, choć jej nikt tego nie powiedział, że był to św. Andrzej i tego również była pewną, że Bóg jej objawił wolę swoję, aby założyła klasztor. Było to więc widzenie umysłowe zarazem i duchowo zmysłowe; i nie mogło być ono, jak o tem przekonywują następujące dowody, ani prostem tylko urojeniem, ani też ułudą dyabelską. Naprzód, że nie było to urojenie, dowodem tego wielkie i pomyślne skutki, jakie z tego widzenia wynikły: pragnienia one, przedtem tak gorące i ustawiczne, od razu

ustały i tak głęboko w sercu jej pozostało przekonanie, że taka jest wola Boża, że nigdy odtąd Pana nie prosiła o potomstwo, ani go nie pożądała. Że zaś, powtóre, nie było w tem ułudy dyabelskiej, okazuje się to również tak z tegoż dobrego i szczęśliwego skutku, jakiego żadna sprawa dyabelska nigdy zdziałać nie może, jak i z tego, że w istocie klasztor ten stanął i dotąd istnieje i bardzo w nim wierną Pan służbę odbiera, i wreszcie z tego, że widzenie ono o sześć lat przeszło wyprzedziło założenie klasztoru, a dyabeł nie jest mocen wiedzieć naprzód, co się stanie w przyszłości.

Pod wrażeniem świętego przerażenia, jakiem ją przeniknęło to widzenie, Teresa przedstawiła mężowi myśl swoję, że kiedy nie masz w tem widocznie woli Bożej, by doczekali dzieci, więc najlepiej, zdaniem jej, użyją majątku swego na założenie klasztoru. On, zawsze do wszelkiej sprawy dobrej ochotny i dla miłości żony gotowy we wszystkiem dogodzić pobożnym jej chęciom, z radością przyjął jej wniosek. Poczęli więc obmyślać miejsce na zamierzoną fundacyę. Teresa chciała ją założyć w rodzinnem mieście swojem, ale on jej przekonywającemi racyami wytłómaczył, że nie byłoby to miejsce odpowiednie.

Gdy jeszcze tak się między sobą naradzali, księżna Alby przysłała po Velazquez'a, wzywając go, aby przeniósł się na powrót do Alby i przyjął urząd głównego pełnomocnika i zarządzającego jej domem. On, ulegając woli możnej pani, zgodził się na jej żądanie, chociaż nowy ten urząd daleko mniej był korzystnym od tego, który sprawował w Salmantyce. Żona jego, na pierwszą o tem postanowieniu wiadomość, bardzo się zmartwiła, bo jak mówiłam, pobyt w Albie był dla niej wstrętnym; wprawdzie uspokoiła się nieco, gdy mąż dał jej zapewnienie, że do domu, w którym zamieszkają, obcych lokatorów pod żadnym warunkiem nie dopuści, zawsze jednak z wielkiem żalem opuszczała Salmantykę, bo pobyt w tem mieście był dla niej ze wszechmiar dogodniejszym. Tymczasem Velazquez odjechał do Alby i kupiwszy tam dom, ją do siebie wezwał. Pojechała bardzo nie rada, a większą jeszcze przykrość miała, gdy ujrzała dom nowonabyty nie oporządzony,

niewygodny, bez żadnych zabudowań gospodarczych: bardzo więc niewesoło tę pierwszą w nim noc spędziła. Lecz oto, gdy nazajutrz rano wyszła na dziedziniec, ujrzała w pośrodku jego studnię, zupełnie podobną do tej, przy której był jej się ukazał św. Andrzej i całą miejscowość i rozpołożenie jej najdokładniej te same, jak je była oglądała w onem widzeniu; nie było tylko Świętego, ani łąki, ani kwiatów, ale te miała niezatarcie wyryte w wyobraźni i w pamięci. Zdumiała się na ten widok i tejże chwili postanowiła, że w tem miejscu założy swój klasztor, wielkie przytem czując zadowolnienie wewnętrzne i uspokojenie wstrętu swego do mieszkania w Albie i ani myśląc już o zamienieniu go na inne. Poczęli oboje skupowywać domy sąsiednie i tym sposobem utworzyli sobie obszerną, założonemu celowi zupełnie odpowiednią posiadłość. Jeszcze jednak pozostawała w wielkiej niepewności, jakiemu zakonowi najlepiej byłoby oddać klasztor mający się założyć, zwłaszcza, że chciała aby zakonnice w nim były w małej liczbie, a reguła surowa i klauzura ścisła. Wezwała do rady dwóch Ojców, z dwu różnych zakonów, obu bardzo pobożnych i uczonych: otóż oba radzili jej, by raczej fundusz swój obróciła na inny jaki zakład pobożny, bo zakonnice, mówili, po większej części przykrzą sobie powołaniem swojem. Takie i inne tym podobne racye podawał im dyabeł, chcąc w samym zarodku zdławić przedsięwzięcie, jego chęciom i celom tak przeciwne. Jej także, za sprawą tegoż złego ducha, rady tych dwóch Ojców wydały się słuszne, tem bardziej, że oba usilnie obstawali za zdaniem swojem, wciąż jej dowodząc, że z założenia klasztoru żadnego nie byłoby pożytku. Naleganie ich tak ją zatrwożyły i z tropu zbiły, że w końcu już postanowiła od zamiaru swego odstąpić; mąż jej także, gdy mu o tem oznajmiła, uznał, że skoro tacy ludzie pobożni i uczeni tak ganią myśl ich, jedynie dla chwały Bożej powziętą, nic im nie pozostaje innego, jedno zaniechać jej. Umyślili za to, siostrzeńca jej, którego bardzo kochała, młodego jeszcze człowieka a bardzo pobożnego, ożenić z jedną z siostrzenic Velazquez'a, oddać im znaczną część majętności swoich, a resztę obrócić na uczynki miłosierne.

Postanowili więc oboje tak uczynić i na takiem rozporządzeniu spokojnie już poprzestać. Ale postanowienie to spełzło na niczem, bo Pan był postanowił inaczej. W niespełna dwa tygodnie potem, siostrzeniec on Teresy nagle zasłabł śmiertelnie i w kilka dni Pan go zabrał do siebie. Ją ta śmierć niespodziana niezmiernie przeraziła; najmocniej była przekonaną, że sama ją sprowadziła swojem sprzeniewierzeniem się woli Bożej i pierwszemu postanowieniu swemu, oddania dóbr swoich Panu samemu: stanął jej na myśli Jonasz prorok i co go spotkało za to, że nie chciał być posłusznym Bogu; strata tego siostrzeńca, tak jej drogiego, wyraźną jej się wydała karą Boską. Tejże chwili niezachwiane już uczyniła postanowienie, i mąż jej podobnież, że bezwarunkowo i bądź co bądź klasztor założą. Nie wiedzieli tylko jeszcze, w jaki sposób wykonać to postanowienie; bo chociaż Bóg wówczas już, zdaje się był jej dał do serca to co obecnie już spełniła, każdy jednak, komu o tem mówiła i opisywała, jakim ten klasztor mieć chce, nie wyjmując nawet spowiednika jej, poważnego bardzo i uczonego franciszkanina, śmiał się z niej, że zachciewa jej się rzeczy, jakich niema na świecie. Ciężkie więc z tego powodu miała strapienie.

W tymże czasie, zakonnikowi, o którym tylko co wspomniałam, wypadła potrzeba udania się do pewnego miasta. Tam dowiedział się o tych naszych klasztorach Najświętszej Panny z góry Karmelu, które wówczas w różnych miejscach się zakładały. Wywiedziawszy się dokładnie o wszystkiem, za powrotem do Alby oznajmił Teresie, że znalazł czego jej potrzeba, że będzie mogła założyć klasztor taki, jakiego sobie życzy. Opowiedział jej potem wszystko, co widział i co słyszał i poradził jej, aby się zniosła ze mną. Tak i uczyniła. Nie obyło się jednak bez trudności, nim układ między nami przyszedł do skutku. Ja zawsze trzymałam się i trzymam tej zasady, że kiedy już mam założyć klasztor z dochodami, dochody te powinny być zupełnie wystarczające, tak iżby siostry nie były potem zmuszone udawać się o pomoc do krewnych czy do kogobądź. Wymagam więc od fundatorów, by im zapewnili pożywienie, i ubranie, i wszystkie potrzeby domo-

we, i możność troskliwego pielęgnowania chorych; bo w razie niedostawania tych rzeczy potrzebnych, różne stąd wynikają niedogodności i złe następstwa. Kiedy zakładam klasztor bez dochodów stałych, mający się utrzymywać jedynie z jałmużny,—a założyłam ich wiele,—nigdy mi nie brak odwagi i ufności, bo mam pewność niezachwianą, że Bóg go nie opuści; ale gdy chodzi o fundacye z dochodami, wszystka mię otucha opuszcza i jeśli dochody mają być szczupłe i niedostateczne, wolę wcale klasztoru nie zakładać. Tak i w tym razie stawiałam warunki, które na pierwszym wstępie wydały się wygórowanemi przezacnym fundatorom moim; w końcu jednak przyznali mi słuszność i zgodzili się na wyznaczenie dochodów dostatecznych na utrzymanie postanowionej liczby sióstr; zatem jeszcze i z własnego domu ustąpili, oddając go nam na własność, a sami się przenieśli do drugiego, bez porównania gorszego; był to z ich strony dowód uprzejmej, z ofiarą z siebie, dobroci, który w oczach moich bardzo wysoką ma cenę. Najświętszy Sakrament został wprowadzony i fundacya na cześć i chwałę Boga dokonała się w dzień Nawrócenia św. Pawła, roku 1571. Dobrą i wierną, o ile mnie się zdaje, Pan w tym domu służbę odbiera: niechże mu, w Boskiej łaskawości swojej, coraz wyższego użycza wzrostu i postępu.

W poprzednich rozdziałach zaczęłam była opowiadać pewne szczegóły o niektórych siostrach tych klasztorów, licząc na to z jednej strony, że nim te pisma zostaną ogłoszone, te o których mówię, już nie będą na tym świecie, choć dziś jeszcze żyją; a z drugiej strony spodziewając się, że te, które po nich przyjdą, czytając te rzeczy, wezmą sobie z nich pobudkę do naśladowania takich dobrych początków i przykładów. Później jednak przyszło mi na myśl, że znajdą się tacy, którzy lepiej i dokładniej odemnie potrafią te rzeczy opisać, tem bardziej, że nie będzie ich wstrzymywała obawa, która mnie stawała na przeszkodzie, mianowicie: by kto czytając opis tych dziwnych i chwalebnych rzeczy, nie przypisywał mnie jakiegokolwiek w nich udziału. Z tego powodu, milczeniem pominęłam wiele szczegółów, które kto widział albo o nich słyszał, nie mógł ich nie uznać za cudowne, dla wyraźnie nadprzyrodzo-

nego ich charakteru. Przemilczałam również wiele nadzwyczajnych łask i cudów, które Pan, na skutek modlitwy tych oblubienic swoich, jawnie i w oczach wielu uczynił. Co do oznaczenia dat tych fundacyi, nie jestem pewna, czy nie popełniłam tu i owdzie jakiej omyłki, lubo staram się ile mogę dokładnie je sobie przypomnieć. Wymieniam je tak, jak je pamiętam; jeśli się w czem mylę, nie jest to rzecz wielkiej wagi i da się później naprawić; różnica w każdym razie nie będzie znaczna [1]).

ROZDZIAŁ XXI.

O fundacyi Karmelu chwalebnego św. Józefa w Segowii, w sam dzień św. Józefa, roku 1574.

Wspomniałam wyżej, jako po założeniu klasztorów w Salmantyce i w Albie, gdy jeszcze pierwszy z nich nie posiadał

[1]) Klasztorowi temu w Alba de Tormes szczególny, nad wszystkie drugie, dostał się w udziale zaszczyt i przywilej; w nim św. Teresa ducha swego Bogu oddała, w nim przechowują się śmiertelne jej szczątki. Ostatnie przeniesienie tych drogich relikwii odbyło się r. 1760, dnia 15 października, to jest w sam dzień, w którym Kościół obchodzi doroczną pamięć Świętej. Ciało panieńskie, giętkie jak gdyby jeszcze żyła i słodką woń z siebie wydające, złożone zostało w srebrny relikwiarz, a relikwiarz zamknięty w sarkofag jaspisowy, wpuszczony w sam mur wielkiego ołtarza, na wysokość około 30 stóp ponad poziom nawy kościelnej. W tym wspaniałym grobowcu, głową obrócona w stronę Ewangelii, tuż pod sobą, po prawej ręce, mając przybytek wielkiego ołtarza, spoczywa seraficzna oblubienica Zbawiciela, tworząc jakoby nadziemski baldachim albo koronę chwały nad obecnym na ołtarzu Boskim Oblubieńcem swoim. Chór zakonny przytyka do bocznego muru prezbiterium, po stronie Ewangelii, wzniesiony do równego poziomu z tem ostatniem, przewyższającem o kilka stopni poziom nawy kościelnej: za prostem więc uchyleniem zasłony od kraty, siostry mają swobodny widok na ołtarz i na grób świętej matki swojej. Za ołtarzem wielkim, tuż przy głównym murze jego, znajdują się we wnętrzu klasztoru dwa, jedno nad drugiem, oratoria, oba z rzadkim przepychem urządzone. W górnem, każda, kiedy i ile razy

własnego domu, O. magister Piotr Fernandez, sprawujący w tym czasie urząd komisarza apostolskiego, kazał mi na trzy

---

chce, może uklęknąć tuż przy grobie świętej Karmelu odnowicielki i ucałować marmur, pokrywający drogie jej szczątki i głową się przytulić do miejsca, kędy leży głowa ukochanej Matki i ręce do niej wyciągać, jakoby chciała śpiącą przebudzić, aby nakłoniła ucha na wołanie córki swej. Niejedna tam z dziecęcą prostotą i poufałością zapuka w wieko grobowca i wzywa Świętej, mówiąc: „Madre, oies? — Matko, czy słyszysz?“ i potem wylewa przed nią pragnienia, i prośby, i troski swoje i nowym się zagrzewa zapałem do miłości i służby niebieskiego Oblubieńca. Nie mniej drogie skarby zawiera w sobie oratorium dolne. Przechowuje się tam, w przezroczystym relikwiarzu relikwia „znamienita“ — *reliquia insignis*, — odłączone od ciała całe ramię lewe Świętej, a nadewszystko skarb najdroższy, zamknięte w kryształowej urnie i wonią nadziemską tchnące serce jej. Oprócz tych dwu kaplic, jest w klasztorze jeszcze trzeci, pełny najsłodszych wspomnień, przybytek, to jest cela, w której św. Teresa dokonała ziemskiego zawodu swego. Cela ta, jak tego wymagała cześć świętej należna, zachowana jest w tym samym stanie, w jakim była w chwili jej śmierci; rozmiary i rozkład nietknięte: toż samo jedyne w niej okienko, też same wązkie i nizkie drzwi, też same mury, tylko kosztownemi ozdobami i malowidłami upiększone. Panieńskie zwłoki, z tej celi na pogrzeb wyniesione, raz jeszcze do niej wróciły, gdy je w roku 1750 tymczasowo tu złożono, aż do czasu dokończenia rozpoczętej w tymże roku przez króla Ferdynanda VI i r. 1760 dokonanej przebudowy całego kościoła i klasztoru, oraz wzniesienia obecnego wspaniałego grobowca. Ale i dziś jeszcze, po upływie trzech wieków, w tym błogosławionym przybytku, dziwnie pokrzepia duszę pozostała w nim słodka nadziemska woń ciała świętego; i głębiej jeszcze przenika ją wspomnienie tej śmierci drogiej przed obliczności Pańską, której to miejsce było widownią, gdy tu na ubogiej pościeli swojej, w tryumfalną zamienionej łożnicę, Teresa, z obliczem jaśniejącem, jakby już nimbem chwały wiecznej opromienionem, zwycięzkim głosem zawołała: „Już przecie, Panie, umieram córką Kościoła Katolickiego?“ a dusza jej, w ostatnim jakoby paroksyzmie, mocnej jako śmierć miłości swojej, potargawszy pęta ciała, swobodna i szczęśliwa, w postaci gołębicy wzleciała do nieba. W jednej z kaplic kościoła pochowani są pobożni fundatorowie, Teresa Layz i Franciszek Velazquez, których pamięć św. Teresa w tym rozdziale uwieczniła. W samym zaś kościele wznosi się grobowiec drugich dwu, nie fundatorów, ale głównych dobroczyńców klasztoru, szwagra świętej, Jana de Ovalle i siostry jej Joanny de Ahumada, którzy, oddawszy mu naprzód, co mieli na świecie najdroższego, jedyną córkę swoję, anielską Beatryczę od Jezusa, perłę Karmelu (ob. *Życie*, rozdz. 34), oddali mu potem i cały majątek swój. Przy nich leży także syn ich, Gonzalvo, którego Święta, gdy był jeszcze dzieckiem pięcioletniem, umarłego wskrzesiła, a który mając lat 27, tu w Alba de Tormes, świętobliwą śmiercią życie zakończył.

lata udać się do klasztoru Wcielenia w Awili i jako potem, widząc naglącą potrzebę sióstr salmantyceńskich, pozwolił mi wrócić do nich, dla przeniesienia ich do domu własnego [1]). Otóż, w czasie, gdy byłam zajęta nabyciem i urządzeniem tego domu, Pan któregoś dnia rozkazał mi na modlitwie, bym się udała do Segowii i tam nowy klasztor założyła. Rozkaz ten wydał mi się niepodobnym do spełnienia: nie mogłam podejmować tej fundacyi, nie mając na to wyraźnego polecenia komisarza apostolskiego, O. magistra Piotra Fernandez, a ten niedawno przedtem był mi oznajmił, że nie życzy sobie, bym więcej klasztorów zakładała; przytem i to miałam na względzie, że przepisany mi trzyletni termin przełożeństwa w klasztorze Wcielenia nie był jeszcze upłynął i rozumiałam, że ten jest właśnie powód, dla którego O. komisarz przeciwny jest nowym fundacyom. Ale Pan, gdym jeszcze zastanawiała się nad temi trudnościami, rzekł do mnie —„Oznajmij tylko temu Ojcu, że masz ten zamiar, a Ja sam przywiodę go do skutku". Napisałam więc do O. Fernandez, obecnego w tej porze w Salmantyce, przedstawiając mu, że jak mu wiadomo, mam od przewielebnego naszego O. Generała polecenie, bym ile razy zdarzy mi się sposobność podjęcia gdziebądź nowej fundacyi, nigdy nie opuszczała onej; że w Segowii i ze strony miasta i ze strony biskupa nastąpiło już zgodzenie się na fundacyę klasztoru naszej reguły; że gotowa jestem podjąć się tej fundacyi, jeśli Jego Przewielebność mi każe; że z obowiązku sumienia o tem mu donoszę i że cokolwiek w tym względzie postanowi, ja ochotnie i spokojnie zastosuję się do woli jego. Te były mniej więcej, zdaje mi się, słowa listu mego; w końcu jeszcze dodałam, że zdaniem mojem, z fundacyi tej może być chwała Bogu. Widocznie też Bóg jej chciał, bo natychmiast otrzymałam od O. Fernandez odpowiedź przychylną, wraz z upoważnieniem do założenia tego klasztoru, czemu po tem, co mi pierwej był powiedział, wielce się zdziwiłam. Z Salmantyki jeszcze postarałam się o najęcie domu w Segowii, bo

[1]) Ob. *Życie*, rozdz. 19.

doświadczenia przebyte w Toledzie i w Waliadolidzie nauczyły mię, że lepiej naprzód się usadowić, a potem dopiero szukać własnego domu. Różne za tem przemawiają racye, z których ta jest najważniejsza, że przyjeżdżając na fundacyę bez grosza w kieszeni, nie mam za co domów kupować, skoro zaś klasztor stanie gotowy, Pan zaraz nasyła nam obfitość pieniędzy, zaczem już możemy, nie tylko nabyć dom bylejaki, ale i wybrać sobie taki, któryby leżał w miejscu dla nas najdogodniejszem.

Mieszkała w Segowii jedna pani, wdowa po pewnym właścicielu majoratu. Znałam ją, bo kiedyś przedtem przyjeżdżała do mnie do Awili. Nazywała się Donna Anna de Ximena. Była to dusza bardzo pobożna i zawsze czuła w sobie powołanie do życia zakonnego. Skoro więc stanął ten klasztor nasz, wstąpiła zaraz do niego wraz z córką swoją, także bardzo cnotliwą osobą. Ile jej ciężkiem było przedtem życie w stanie małżeńskim i we wdowieństwie, tyle teraz w dwójnasób rozweselił Pan serce jej, gdy się znalazła w zakonie; chociaż i na świecie obie, i matka i córka, wiodły życie bardzo skupione i całkiem Bogu oddane. Ta to dobra pani najęła nam dom i we wszystko, czego uważała że nam będzie potrzeba, tak dla urządzenia kaplicy jak i dla nas samych, zaopatrzyła; z tej strony więc nie wiele miałam kłopotu. Lecz, aby nie było żadnej fundacyi bez jakiegoś dla mnie cierpienia, Pan tym razem, oprócz ucisków wewnętrznych, wielkiej oschłości i zaćmienia w duszy, w jakich tę drogę odbyłam, dopuścił na mnie wszelkiego rodzaju boleści fizyczne i gorączkę, i mdłości, które przez trzy miesiące silnie mię nękały, owszem i przez całe półrocze mojego tam pobytu ciągle byłam mocno cierpiąca.

Choć miałam pozwolenie i od biskupa, i od miasta, wolałam jednak i tym razem zjechać na miejsce wieczorem i potajemnie. Było to w wigilię św. Józefa; nazajutrz, w uroczystość Świętego, wprowadziliśmy Najświętszy Sakrament. Pozwolenie wydane mi już było dawno przedtem; ale będąc wówczas w klasztorze Wcielenia i zostając tam pod władzą, nie naszego Ojca Generała, ale innego zwierzchnika, nie mogłam wcześniej przystąpić do fundacyi. Pozwolenie biskupa było ustne tylko;

dał je w tymże czasie, gdy i miasto zażądało założenia naszego klasztoru, jednemu panu, niejakiemu Andrzejowi de Ximena, który o nie dla nas się starał i nie uważał potrzeby zażądania go na piśmie, co i mnie wydawało się rzeczą obojętną. Ale okazało się, że byłam w błędzie; bo oto, jak tylko wikaryusz biskupi dowiedział się, żeśmy już klasztor nasz otworzyły, przybiegł zaraz mocno zagniewany: zabronił sprawowania u nas Najświętszej Ofiary, chciał nawet zabrać do więzienia tego, który ją był odprawił, to jest Ojca karmelitę Bosego, który mi towarzyszył [1]), wraz z O. Julianem z Awili i drugim sługą Bożym, niejakim Antonim Gaytan.

Ten ostatni, był to szlachcic rodem z Alby. Z pośrodka próżności światowych, którym żył oddany, Pan go na kilka lat przedtem był pociągnął do siebie. Od tego czasu, stanowczo wzgardziwszy światem, wszystką myśl i usilność swoję miał skierowaną do służby i większej chwały Bożej. Winna mu jestem to o nim wspomnienie, bo wielce mi był w tej fundacyi i w następnych pomocnym i dużo dla nich trudu poniósł; ale gdybym tu miała opisywać cnoty jego, nie prędkobym skończyła. Jedno tylko z nich wymienię, bo bardzo nam się w tej potrzebie przydała, to jest cnotę umartwienia: posiadał ją w tak wysokim stopniu, że żaden ze służby nam towarzyszącej tak pilnie i pokornie nam nie służył we wszystkiem, jak on. Jest to mąż bardzo wysokiej modlitwy, i Bóg mu daje wiele nadzwyczajnych łask; zaczem też wszelkie przykrości i przeciwności, jakichby drugi nie łatwo zniósł, jemu się wydają łatwe i przyjemne, jak tego mianowicie dał dowód w trudach i cierpieniach wszelkiego rodzaju, które go z powodu tych fundacyi spotkały. Widocznie on i O. Julian z Awili, wierny mój od samego początku pomocnik, powołani byli od Boga do skutecznego ze mną w tej świętej sprawie współdziałania, i na to snać Pan takich mi dał towarzyszów, aby przy nich i z nimi, we wszystkiem mi się szczęśliwie powodziło. Rozmowa ich w drodze była ciągle o Bogu; nauczali ludzi nam towarzyszą-

[1]) Ojcem tym był nie kto inny, jedno samże św. Jan od Krzyża.

cych i kogo spotkali po drodze; słowem, na wszelki sposób i w czem tylko mogli, służyli Panu Bogu.

Słuszna jest, córki moje, które będziecie czytały opis tych fundacyi, byście wiedziały, jak wiele zawdzięczamy tym dwom sługom Bożym, byście za to, że bez żadnego interesu własnego tyle się natrudzili około zapewnienia wam tego szczęścia, którem teraz mieszkając w tych klasztorach się cieszycie, wzajemnie polecały ich Panu, aby i oni mieli pożytek z modlitw waszych; i pewno, gdybyście wiedziały, ile pracy i zachodów w upały i słoty, ile bezsennych nocy, ile strudzenia w drodze wycierpieli, z całego serca modliłybyście się za nimi.

Wikaryusz odszedł wreszcie, ale we drzwiach kaplicy postawił nam policyanta; po co, tego nie wiem. Drudzy się nieco tem nastraszyli; co do mnie, zwykłam się bać tylko przed dokonaniem fundacyi; skoro ją obejmę w posiadanie, trudności wszelkie i przeciwieństwa potem powstające mało już mię straszą. Jedna z sióstr towarzyszek moich miała w Segowii krewnych, liczących się do pierwszych znakomitości miasta: uprosiłam ich, by rozmówili się z wikaryuszem i objaśnili go, że mam pozwolenie od biskupa. Wiedział on o tem dobrze, jak później sam się przyznał; chodziło mu tylko o to, że rzecz zrobiła się bez niego; ale gdybym się była do niego udawała, sądzę że byłoby jeszcze gorzej. Wreszcie orędownicy nasi tyle przynajmniej na nim wymogli, że zgodził się na pozostawienie nam klasztoru, ale zakazu trzymania w nim Najświętszego Sakramentu cofnąć nie chciał i na to już nie było rady [1]). Tak przebyłyśmy kilka miesięcy, aż w końcu kupiłyśmy dom, a z nim sporo procesów. Miałyśmy już sprawę z Ojcami franciszkanami, o inny domek, nabyty przez nas w pobliżu; teraz,

---

[1]) Po załatwieniu tych trudności z wikaryuszem biskupim, św. Teresa wyprawiła O. Juliana i Antoniego Gaytan do Pastrany, dla przeprowadzenia wszystkich sióstr tamecznych do Segowii. Przyczyną tego przesiedlenia był, jak to widzieliśmy w rozd. 17, ucisk nieznośny, jaki siostry tam cierpiały od księżnej Eboli, od czasu śmierci jej męża, a szczególnie od czasu jej krótkiej i niefortunnej próby życia zakonnego. Święta uznała, że tego znęcania się dłużej znosić nie powinna i najpoważniejsi teologowie i mistrze duchowni

ledwo kupiwszy ten dom, musiałyśmy się prawować z mercedaryuszami [1]) i z kapitułą, której na nim przysługiwało jakieś prawo czynszu. O Jezu, jakaż to ciężka robota, takie rozprawianie się z tylą różnych pretensyi! kiedy sprawa już zdawało się skończona, wnet na jej miejsce druga wyrastała; jakkolwiek się dla miłej zgody żądaniom ich ustępowało, zawsze było mało tego, bo zaraz nowe jakie zjawiało się żądanie. Teraz, gdy o tem piszę, wydaje się to niczem, ale wówczas wytrzymać to wszystko, było to utrapienie nielada. Nie brakło nam jednak orędowników: synowiec biskupa, kanonik i prepozyt katedralny i licencyat Herrera, mąż bardzo pobożny, bronili i wspierali nas ile mogli. Wreszcie, kosztem grubych pieniędzy, udało się nam on pierwszy proces zakończyć. Pozostawał nam jeszcze drugi z mercedaryuszami, i z tego powodu przeniesienie się nasze do nowego domu musiało się odbyć w najgłębszej tajemnicy, na dzień lub dwa przed św. Michałem; ale gdy ono już się dokonało, przeciwnicy nasi, widząc nas już usadowione na miejscu, uznali że lepiej będzie zaniechać procesu i ułożyli się z nami za pewnem wynagrodzeniem. Największą przykrością, jaka z tych kłopotów dla mnie wynikała, było to, że za siedm czy ośm dni kończył się trzyletni czas mego przełożeństwa w klasztorze Wcielenia i koniecznie mi potrzeba było tam zjechać przed upływem tego terminu. Ale z łaski Pana wszystko się pomyślnie ułożyło przed wyjazdem moim, i żaden nam nie pozostał z nikim zatarg niezałatwiony, zaczem i w dwa czy trzy dni potem mogłam spokojnie odjechać do klasztoru Wcielenia. Niech będzie błogosławione na wieki imię Jego, za tyle łask, jakiemi mię bezprzestannie obsypuje i niechaj Go wielbi wszystko stworzenie Jego. Amen.

---

których się radziła, utwierdzili ją w tem zdaniu. O. Julian i Antoni Gaytan roztropnie i szczęśliwie wywiązali się z drażliwego zadania swego i z wielką radością świętej odwieźli jej do Segowii znękane jej córki, w W. tygodniu roku 1574.

[1]) T. j. z braćmi Zakonu *B. M. V. de Mercede redemptionis captivorum*, czyli Matki Boskiej Łaskawej wykupu więźniów.

ROZDZIAŁ XXII.

O fundacyi klasztoru św. Józefa od Zbawiciela w mieście Veas, w dzień św. Macieja r. 1575.

W czasie, gdy z rozkazu przełożonych, jak o tem była mowa wyżej, opuściwszy klasztor wcielenia bawiłam w Salmantyce, przybył tam do mnie posłaniec z miasta Veas, z listami od jednej pani tamże zamieszkałej, tudzież od miejscowego proboszcza i różnych innych osób, w których mię proszono o założenie u nich klasztoru, upewniając mię przytem, że dom już mają gotowy, zaczem dość że przyjadę, a wszystko bez trudności się zrobi.

Posłaniec, gdym go pytała o szczegóły, bardzo mi zachwalał tę miejscowość i słusznie, bo jest to okolica bardzo piękna, i klimat jej doskonały; mimo to jednak zdawało mi się, że zgodzenie się na ofiarowaną mi fundacyę byłoby nierozsądkiem z mojej strony, nie tylko ze względu na znaczną tego miejsca od Salmantyki odległość, ale i głównie dla tego, że rzecz taka nie mogła się zrobić bez wyraźnego rozkazu O. komisarza apostolskiego, który jak już mówiłam, zakładaniu przezemnie nowych klasztorów jeśli nie był wprost przeciwny, tedy przynajmniej nie sprzyjał. Chciałam więc odpowiedzieć po prostu że nie mogę, nie objaśniając, dla czego. Potem jednak, wspomniawszy na dane mi od najprzewielebniejszego naszego O. Generała ogólne zalecenie, bym żadnej fundacyi, ile razy zdarzy się do niej sposobność, nie odrzucała, uznałam, że nie należy mi dawać odmownej odpowiedzi, nie zapytawszy pierwej O. Komisarza, tem bardziej, że właśnie w tym czasie bawił w Salmantyce. Posłałam mu więc listy one z Veas; on zaś, przejrzawszy je, oznajmił mi, że zbudował się szczerą, o jakiej one świadczą, pobożnością piszących; że nie należy bezwarunkową odmową zasmucać tych dobrych ludzi; że zatem powinnam odpisać im z wszelką uprzejmością i dobrocią, obiecując im, że z mojej strony zamierzona fundacya nie napotka na żadne trudności, skoro tylko oni wystarają się o potrzebne zgodzenie

się zakonu [1]), do którego zwierzchności miasto ich należy. Przytem jednak ręczył mi za to, że zgodzenia się komandorów zakonu nigdy nie uzyskają, bo wiadomo mu z wielu innych podobnych przykładów, że wszelkie, nieraz latami całemi trwające starania o takie pozwolenie, zawsze pozostają bez skutku. Ja nieraz myślę sobie, jak to Pan Bóg nasz, gdy czego chce, tak umie kierować rzeczami, że ludzie sami, choć chcą czego innego, mimo woli i wiedzy swojej stają się w ręku Jego narzędziem do spełnienia tego, co On postanowił. Jak to w tem zdarzeniu przytrafiło się naszemu Ojcu komisarzowi Piotrowi Fernandez; komandorowie, mimo zaręczenia jego, dali żądane pozwolenie, zaczem i on już nie mógł nie pozwolić; zaczem i fundacya przyszła do skutku, jak to poniżej opowiem.

I. H. S.

Klasztor błogosławionego św. Józefa w mieście Veas założony został w dzień św. Macieja, roku 1575. Na cześć i chwałę Boga opowiem tu, jaki był jego początek. Mieszkał w tem mieście jeden pan, szlachetnego rodu i bardzo bogaty. Nazywał się Sancho Rodriguez de Santoval. Za żonę miał szlachetną panią Donnę Katarzynę Godinez. Dał im Pan kilkoro dzieci, między któremi dwie córki, które stały się fundatorkami tego klasztoru; starszej było na imię, jak matce, Katarzyna, młodszej, Marya. Katarzyna miała mniej więcej czternaście lat, gdy Pan ją powołał do służby swojej; przedtem ani jej na myśl nie przychodziło, by miała porzucić świat; owszem, tak wysoko trzymała o sobie, że choć nie brakło ubiegających się o jej rękę i ojciec jej różnych po kolei doradzał, ona wszystkich ze wzgardą odrzucała, jako jej niegodnych. Owszem i samaż myśl o pójściu za mąż była jej przeciwną, bo poczytywała to sobie za poniżenie, gdyby się miała poddać władzy

[1]) t. j. zakonu rycerskiego św. Jakóba, „San Yago de Compostelle".

czyjejbądź. Nie wiedziała sama, skąd jej taka pycha; ale wiedział Pan, jak ją wyleczyć: niech będzie błogosławione miłosierdzie Jego!

Któregoś dnia, będąc sama w pokoju swoim, położonym za pokojem ojca, który jeszcze nie był wstał, zastanawiała się nad nowym jakimś, jakoby bardzo świetnym projektem małżeństwa, na który ją tenże namawiał. „Doprawdy, myślała sobie, ojcu nie wiele potrzeba; byleby mię wydał za lada szlachcica posiadającego majorat, już mu tego dosyć. Mnie mało tego; świetność rodu mego odemnie dopiero się zacznie". W tem trafem spojrzała na krzyż wiszący na ścianie i zatrzymała się wzrokiem na tytule nad nim położonym. I oto nagle, od tego jednego wejrzenia, Pan cudowną w duszy jej sprawił przemianę. Czytając napis krzyża, uczuła w sobie światłość na wskroś przenikającą jej wnętrze, jak gdyby do ciemnego pokoju nagle wniknie światło słoneczne; w tej światłości poznała prawdę; w tej światłości patrząc na Pana, wiszącego na krzyżu, krwią zbroczonego, poczęła rozważać srogość męki Jego, i głębokość pokory Jego i jak przeciwną dotąd sama w pysze swojej drogą chodziła. Po chwili takiego rozważania, Pan zesłał na nią zachwycenie, w którem dał jej głębokie i żywe poznanie własnej nędzy swojej, a zatem i pragnienie, aby wszyscy ją widzieli w niej i znali; dał jej tak gorącą żądzę cierpienia dla miłości Boga, iż radaby była ponieść wszelkie męki, jakie kiedybądź wycierpieli męczennicy, a przytem takie uniżenie siebie, tak głęboką pokorę i wzgardę, i nienawiść samej siebie, że ochotnie, gdyby to mogło być bez obrazy Boskiej, byłaby chciała uchodzić za kobietę złego życia, aby wszyscy nią się brzydzili. Sama sobie przynajmniej od tej chwili obrzydła i powzięła nieugaszone pragnienia jaknajsroższej pokuty, które też później mężnie w czyn zamieniła. Tejże chwili jeszcze uczyniła ślub czystości i ubóstwa i tak silny uczuła w sobie pociąg do zależności i wyniszczenia woli własnej, że z radością byłaby uszła do Maurów i oddała im siebie za niewolnicę.

Nie były to chwilowe tylko zachcenia i porywy; przeciwnie, niezłomna jej w tych wszystkich cnotach wytrwałość ja-

wnie dowiodła, że nawrócenie jej było nadprzyrodzoną łaską od Pana. Obszerniej to opowiem, aby wszyscy chwalili Boską moc i dobroć Jego. Bądź błogosławiony na wieki wieczne, Boże mój, który tak w jednej chwili w proch ścierasz duszę i na nowo ją tworzysz! Jak to być może, Panie? Gotowabym prawie podobne tu uczynić Tobie zapytanie, jakie uczynili Apostołowie, gdy na widok onego ślepego, któregoś Ty uzdrowił, rzekli: — „Mistrzu, kto zgrzeszył, ten czy rodzice jego, że się ślepym narodził?“ Tak i ja zapytałabym na odwrót: Kto tej szczęśliwej panience zasłużył na taką łaskę niesłychaną? Nie ona, z pewnością, boć wiemy już, jakie to były myśli jej, z których ją wyrwałeś, gdyś jej tę łaskę uczynił. O jakże głębokie są sądy twoje, Panie! Ty wiesz co czynisz, ja nie wiem co mówię. Prawdziwie niepojęte są sprawy twoje i niedocieczone sądy twoje. Bądź na wieki uwielbiony, iżeś mocen jest takie i większe jeszcze cuda czynić? Gdyby nie ta cudowna moc i dobroć twoja, co byłoby ze mną? Ale może też jakąś cząstkę zasługi miała w tem matka jej? może w nagrodę chrześcijańskich cnót jej, chciałeś jej w Boskiej łaskawości swojej użyczyć tego szczęścia, że jeszcze za życia ujrzała córki swoje do tak wysokiej doskonałości podniesione? Nieraz myślę sobie, że rad czynisz podobne łaski tym, którzy Cię miłują i tego im wielkiego szczęścia użyczasz, że w dzieciach, które im dajesz, więcej jeszcze chwalić Ciebie i służyć Ci mogą.

Gdy tak Katarzyna w zachwyceniu swojem oddawała siebie Panu, stał się nagle nad sufitem pokoju jej łoskot tak gwałtowny, jakby całe nad nią piętro miało się zawalić. Łoskot ten, zdawało się, że idzie wprost na nią, zsuwając się węgłem ściany, przy której siedziała. Potem przez kilka chwil dały się słyszyć jakieś ryki straszliwe. Ojciec jej, który, jak mówiłam, jeszcze nie był wstał, od tego hałasu obudził się przerażony: drżący cały i prawie nieprzytomny, zarzucił na siebie okrycie i porwawszy szpadę, blady i zmieniony wpadł do pokoju córki, pytając, co się stało. Odpowiedziała mu, że nie wie i niczego nie widziała. Zajrzał więc do pokoju sąsiedniego, a i tam nic nie znalazłszy, kazał córce pójść do matki, do której i sam za nią poszedł i opowiedział jej, co słyszał, zalecając jej, by

córki nie zostawiała samej. Zdarzenie to jasno dowodzi, jaka musi być wściekłość dyabła, gdy wymknie mu się z rąk dusza, którą już miał za swoję. Nie dziw, że nieubłagany ten wróg ludzkiego zbawienia tak się przeraził i w taki gwałtowny sposób gniew swój objawił, widząc tyle naraz łask od miłościwego Pana na tę duszę spływających; tem bardziej, że przewidywał, iż za sprawą takich skarbów niebieskich, tej jednej duszy użyczonych, straci niejednę jeszcze duszę, już, jak mu się zdawało, w sieci jego ułowionej. Bo mam to przekonanie, że nigdy Pan nie użycza takiej hojności darów swoich, by udziału w nich nie przeznaczał jeszcze wielu innym, którzy z obfitości osoby tak obdarzonej skorzystają.

Katarzyna nie mówiła nikomu o tem, co w niej zaszło; ale od tego czasu czuła w sobie niepowstrzymaną chęć do życia zakonnego. Rodzice jej jednak, nie zważając na usilne jej prośby, puścić jej nie chcieli. Wreszcie, po trzech latach daremnych nalegań, widząc, że tą drogą nic nie wskóra, sama sobie wymyśliła sposób jawnego zerwania ze światem. Matce, która, gdyby to od niej tylko zależało, łatwo byłaby jej pozwoliła wstąpić do klasztoru, zwierzyła się z zamiarem swoim; ojcu mówić nie śmiała i bez wiedzy jego myśl swoję wykonała. W dzień uroczysty św. Józefa, zrzuciwszy z siebie pańskie szaty swoje, ubrała się w proste suknie mieszczańskie i tak poszła do kościoła, licząc na to, że gdy raz ukaże się publicznie w takiem pokornem ubraniu, już jej potem nie będą zmuszać do porzucenia go. Nie zawiodła się w swej nadziei; uszło jej to bez żadnych ze strony ojca trudności. W ciągu tych trzech lat, długie trawiła godziny na modlitwie i umartwiała siebie w czem mogła i na wszelki sposób, jaki jej Pan wewnętrznem natchnieniem wskazywał. Codzień i po kilka razy na dzień schodziła na dziedziniec i wodą sobie twarz zlewała i tak stawała na słońcu, chcąc tym sposobem zepsuć sobie cerę, aby już jej dali pokój z projektami małżeńskiemi, któremi wciąż jeszcze ją prześladowano.

Od czasu tej dziwnej, jaka w niej zaszła odmiany, niezmiernie jej ciężko było rozkazywać komubądź. Gdy więc zarządzając domem rodzicielskim wypadła jej nieraz konie-

czność dawania rozkazów służebnicom z niecierpliwością potem czekała nocy, aby mogła gdy zasną, nogi ich ucałować, tak jej przykrą była ta myśl, że lepsi od niej usługują jej. W ciągu dnia zajęta przy rodzicach, całą noc potem, miasto snu, trawiła na modlitwie i tyle nieraz z rzędu przebywała takich nocy bezsennych, że niepodobna, zdaje się, by z tem żyć mogła bez szczególnej nadprzyrodzonej pomocy z nieba. Umartwienia i biczowania zadawała sobie nad miarę, bo nie miała przewodnika, któryby ją powściągał, i nikomu o nich nie mówiła. Raz naprzykład, przez cały Wielki Post nosiła na samem ciele stalową koszulkę wojenną ojca. Upatrzyła sobie miejsce na ustroniu zupełnie samotne; tam chroniła się na rozmowę z Bogiem, choć i dyabeł tam nękał ją złośliwemi napaściami swemi. Nieraz, zacząwszy modlitwę o dziesiątej wieczór, ani się spostrzegła jak ją świt zastał jeszcze się modlącą.

W takich ćwiczeniach przetrwała około czterech lat. Wtedy Pan, chcąc więcej jeszcze doświadczyć wierności służebnicy swojej, począł zsyłać jej próby dotkliwsze: ciężkie, niezmiernie bolesne choroby, gorączki ustawiczne, wodną puchlinę, cierpienia sercowe, raka, którego jej trzeba było wycinać. Niemoce te trwały blisko siedemnaście lat i rzadki przez cały ten przeciąg czasu miała dzień wolny od cierpienia.

Przykładem swoim pociągnęła siostrę. W rok po tem cudownem nawróceniu Katarzyny, młodsza także, Marya, przywdziała suknie ubogie, choć przedtem bardzo kochała się w strojach i poczęła również oddawać się modlitwie. Matka, odkąd pozostała z niemi sama,—bo ojciec umarł w pięć lat po tej odmianie wewnętrznej, jaką Bóg łaską swoją sprawił w starszej córce jego,—nie tylko im się nie sprzeciwiała, ale owszem popierała je i utwierdzała w świętych ich ćwiczeniach i pragnieniach. Chętnie pozwalała im, między innemi, oddawać się zajęciu wielce cnotliwemu, choć na pozór z wysokiem stanowiskiem niezgodnemu, mianowicie nauczaniu dziewcząt czytania i różnych robót, bez żadnego stąd zysku dla siebie, jedynie w celu oświecania ich przy tej sposobności w nauce wiary i zaprawiania ich do modlitwy i życia pobożnego. Praca ich bardzo szczęśliwe wydawała owoce; wiele z tych dziew-

czął pocieszające czyniło postępy i dzisiaj cnotliwem życiem swojem świadczą o świętych zasadach i dobrych obyczajach, które w nie wpojono za młodu. Ale zbawienna ta sprawa nie długo się utrzymała; dyabeł, któremu ona była bardzo nie na rękę, sprawił to, że rodzice odebrali dziewczęta, poczytując to sobie za poniżenie, by córki ich miały pobierać nauki darmo. Przytem i ciężkie choroby, które wkrótce potem, jak powiedziano wyżej, poczęły trapić Katarzynę, dalsze utrzymanie szkoły uczyniły niemożliwem.

W pięć lat po śmierci ojca tych panien, umarła i matka. Katarzyna, od początku nawrócenia swego czując siebie powołaną do zakonu i tylko oporem rodziców powstrzymywana, teraz mogąc już sama rozporządzać sobą, postanowiła natychmiast wykonać niezachwiany zamiar swój i wstąpić do klasztoru. W Veas klasztoru nie było żadnego, chciała więc udać się gdzieindziej; ale krewni poczęli jej przedstawiać, że mając obie z siostrą fundusz więcej niż dostateczny na założenie nowej fundacyi, lepiej więc będzie i z większą chwałą Bożą, gdy ją założą w rodzinnem miejscu swojem. Chętnie przystała na tę myśl; a ponieważ miasto Veas należy do komandoryi św. Jakóba z Kompostelli i niczego nie było można zdziałać bez uprzedniego pozwolenia Rady zakonnej, więc od razu wszczęła starania o uzyskanie onego. Niezliczone jednak w tem napotkała trudności; całe cztery lata ciągnęła się sprawa, i mimo wszelkie usilności i koszta nigdyby nie była doszła do końca, gdyby nie prośba, którą wreszcie podała do samego króla i skutkiem której nastąpiło przecie pomyślne rozwiązanie. Krewni jej tymczasem, wobec tylu niepokonanych trudności, nastawali na nią, by zaniechała swego zamiaru, dowodząc, że byłoby nierozsądkiem dłużej się upierać, tem bardziej, że przy tylu, jak się wyżej powiedziało, ciężkich niemocach, prawie bezprzestannie przykuta do łóżka, z pewnością nie znajdzie klasztoru, któryby zechciał ją przyjąć. Lecz ona odpowiadała im na to, że jeśli w ciągu miesiąca Pan przywróci jej zdrowie, będzie to oczywistym dla nich dowodem, że postanowienie jej zgadza się z wolą Jego i że wtedy sama uda się do Dworu, dla wystarania się o to, czego potrzeba. Gdy to mówiła, już

przeszło pół roku nie wstawała z łóżka i od ośmiu lat blizko prawie nie była w możności poruszenia się o własnej sile. Od ośmiu lat cierpiała nieustającą gorączkę, nękana artretyzmem i scyatyką, opuchła, wyniszczona suchotami i konsumcyą, trawiona takim ogniem wewnętrznym w wątrobie, że bielizna na niej wyglądała jak spalona, i za dotknięciem, przez okrycie nawet, czuć było gorąco parzące. Są to rzeczy, zdawałoby się, nie do uwierzenia: ale lekarz jej, którego pytałam, w zupełności potwierdził mi wszystko, wyznając, że sam jest zdumiony takim stekiem niesłychanym tylu naraz i tak ciężkich cierpień.

Otóż, w dzień św. Sebastyana, który w tym roku przypadał w sobotę, wieczorem, Pan w jednej chwili tak zupełnie jej zdrowie przywrócił, że w obec bijącej w oczy jawności cudu, jakkolwiek się starała, ukryć go nie mogła. W chwili, gdy Pan miał w niej sprawić to nagłe uzdrowienie, tak opowiadała nam sama, objęły ją takie gwałtowne dreszcze wewnętrzne, że siostra, patrząc na to, sądziła że już kona; lecz zaraz potem takie uczuła we wszystkich członkach nowe życie, i posilenie i taką cudowną odmianę na duszy, jak gdyby się na nowo narodziła. Niezmiernie się ucieszyła z uzdrowienia swego, dla tego głównie, że będzie mogła sama popierać sprawę klasztoru; że cierpienia jej ustały, to ją mało obchodziło; bo od chwili, jak usłyszała w sobie głos powołania Bożego, taką do siebie samej pałała nienawiścią i taką nieugaszoną żądzą cierpienia, że nie tylko za nic sobie miała wszelkie najsroższe bole, ale i, jak mi się przyznała, z całego serca błagała Boga, by na wszelki sposób doświadczał jej cierpliwości. Pan też nie omieszkał spełnić to pragnienie jej. W ciągu tych ośmiu lat przeszło pięćset razy puszczali jej krew; raz w raz stawiano jej bańki cięte, po których dotąd nosi blizny na całem ciele: nad to jeszcze, ze dwadzieścia razy czy więcej, rany po bańkach nacierano jej solą, co zdaniem lekarza miało wyciągnąć soki jadowite, od których cierpiała gwałtowne boleści w boku. Co w tem wszystkiem najwięcej było godnem podziwienia, to radość, jaką okazywała, ile razy lekarze zapowiadali jej potrzebę zastosowania podobnych środków nieludzkich; z upragnieniem wyglądała godziny operacyi, nietylko nie dając najmniejsze-

go znaku bojaźni, ale jeszcze i lekarzy zachęcając, aby śmiało cięli ją i palili, co też oni często uznawali potrzebnem, zwłaszcza gdy chodziło o wycięcie raka i w innych jeszcze, podobnych zdarzeniach. Dla tego głównie, mówiła mi, z takiem upragnieniem przyjmowała te katusze, że chciała na nich doświadczyć rzetelności swej żądzy męczeństwa.

Widząc siebie tak nagle uzdrowioną, prosiła spowiednika swego i lekarza, by ją przenieśli gdzieindziej, aby się mogło zdawać, że zmiana miejsca i powietrza przywróciła jej zdrowie. Tego jednak oni uczynić nie chcieli, przeciwnie, samiż lekarze rozgłosili uzdrowienie jej, uznając je za cudowne; bo już ją mieli za nieuleczoną, zwłaszcza, gdy zaczęła zrzucać ustami krew zepsutą, co zdaniem ich było niezawodnym znakiem nadwerężenia i gnicia płuc. Trzy dni jeszcze przeleżała w łóżku, nie śmiejąc wstać, aby nie poznano, że jest zupełnie zdrowa; ale nic jej to nie pomogło, bo jak przedtem jawną była choroba, tak teraz niepodobna było ukryć wyzdrowienia. Mówiła mi, że któregoś dnia w sierpniu, błagając Pana aby: albo odjął jej tę gorącą żądzę wstąpienia do zakonu i założenia klasztoru, albo też dał jej możność wykonania tego zamiaru, otrzymała stanowcze i niewątpliwe zapewnienie, że w samą porę wyzdrowieje, aby mogła w czasie Postu pojechać gdzie potrzeba i wystarać się o pozwolenie na fundacyę. Stąd też, choć właśnie w tym czasie cierpienia jej się wzmogły i z nierównie większą jeszcze niż przedtem siłą jej dolegały, ona przecie, jak mię upewniała, ani na chwilę nie straciła nadziei, że Pan jej tę łaskę uczyni. I lubo dwa razy już tak z nią było źle, że jej udzielono Ostatniego Namaszczenia,—raz nawet lekarz, mając ją już za konającą, mówił, że próżno już chodzić po Oleje, bo zanim je przyniosą, chora umrze,—ona przecie trwała niezachwianie w swej ufności, że Pan jej da umrzeć zakonnicą. A było to jeszcze w pierwszych czasach jej choroby, kiedy nie miała jeszcze tej wyraźnej, o której mówiłam, obietnicy wyzdrowienia.

Krewni jej, widząc tak jawną łaskę i cud, jaki Pan z nią uczynił, takie jej dając nagłe uzdrowienie, nie śmieli już sprzeciwiać się jej wyjazdowi do Madrytu, choć pewni byli, że nic tam nie wskóra. W rzeczy samej, całe trzy miesiące bawiła

u Dworu, a starania jej żadnego nie odnosiły skutku; aż w końcu odważyła się podać prośbę wprost do króla, i ten, skoro się dowiedział, że chodzi o założenie klasztoru karmelitek Bosych, natychmiast kazał wydać pozwolenie.

Że założenie tego klasztoru mimo tylu trudności przyszło do skutku, słusznie temu dziwić się można. Widocznie Katarzyna z samym Panem Bogiem traktowała tę sprawę, bo i przełożeni, pomimo odległość miejsca i szczupłość dochodów, chętnie się na tę fundacyę zgodzili. Co Pan w Boskiej woli swojej chce i postanowi, to nie może się nie stać. Zjechały tedy siostry, w początku Postu roku 1575. Ludność miejscowa spotkała je procesyonalnie, z wielkiem weselem i uroczystością. Radość była powszechna, dzieciątka nawet przyśpiewywały i przyklaskiwały, na swój sposób okazując i świadcząc, jak przyjemną jest Panu ta sprawa, na chwałę Jego rozpoczęta. Otworzenie klasztoru nastąpiło w ciągu tegoż Postu, w dzień św. Macieja, pod wezwaniem św. Józefa od Zbawiciela.

Obie siostry w tymże klasztorze z wielką radością przywdziały habit zakonny. Zdrowie Katarzyny z każdym dniem coraz bardziej się poprawiało, a pokora jej, posłuszeństwo i pragnienie wzgardy i upokorzeń jawnie świadczą, jak szczerem i prawdziwem było jej pożądanie oddania się Panu na służbę. Niech Imię jego będzie uwielbione na wieki.

Zdając mi sprawę z całego życia swego, Katarzyna opowiedziała mi, między innemi, szczegół następujący. Któregoś wieczora, przed laty mniej więcej dwudziestu, kładąc się na spoczynek, żywe czuła w sobie pragnienie dowiedzenia się, który jest zakon najdoskonalszy na tej ziemi, aby mogła wstąpić do niego. Z tą myślą zasnęła i śniło jej się, że idzie gdzieś drogą jakąś, bardzo stromą i wązką i ponad głębokiemi przepaściami wiodącą, i że na tej drodze spotyka ją jakiś braciszek bosy, — którego potem na pierwsze wejrzenie poznała w naszym braciszku Janie od Nędzy, gdy tenże przyszedł do Veas w czasie mojej tam bytności. Braciszek ten, tak śniła dalej, rzekł do niej: — Pódź zemną, siostro, — i zaprowadził ją do jednego domu, pełnego zakonnic, i innego tam światła nie było, jedno od zapalonych pochodni, które trzymały w ręku. Zapytała ich, jaki to zakon, na co one, nic jej nie odpo-

wiadając, podniosły tylko zasłony swoje i spoglądały na nią wesołem i uśmiechniętem obliczem; — a były, tak mię znowu upewniała, z twarzy zupełnie podobne do sióstr, które teraz w klasztorze poznała. Wtedy przełożona wzięła ją za rękę i rzekła do niej: — „Córko, do tego domu chcę ciebie mieć,“ — i pokazała jej regułę i konstytucyę. Przebudziwszy się z tego snu, niewypowiedzianą czuła w sobie pociechę; zdawało jej się, że była w niebie. Potem spisała wszystko, co z reguły we śnie jej ukazanej spamiętać mogła.

Przez długi czas nic o tym śnie nikomu, nawet spowiednikowi, nie mówiła; od nikogo też dowiedzieć się nie mogła, jakiby to był zakon, który widziała. Wreszcie przyjechał do Veas jeden Ojciec Towarzystwa Jezusowego, który wiedział już o jej chęci wstąpienia do klasztoru. Pokazała mu co miała spisanego z onej reguły, upewniając go, że największą byłoby to dla niej pociechą, gdyby mogła odszukać ten zakon, bo natychmiastby do niego wstąpiła. On, mając już wiadomość o tych naszych klasztorach, odpowiedział jej, że jest to reguła zakonu Najświętszej Panny z góry Karmelu, i nie wchodząc w bliższe szczegóły i objaśnienia, dodał tylko, że tego zakonu są klasztory, które ja zakładam. Wtedy wyprawiła do mnie onego posłańca swego, o którym na wstępie mówiłam. Gdy jej oddano odpowiedź moję, tak była wyczerpana chorobą, że spowiednik radził jej, by dała już pokój myślom o zakonie. W takim stanie zdrowia, mówił jej, gdybyś nawet była już w klasztorze, wydaliliby cię; tem bardziej więc niepodobna przypuścić, by który chciał taką chorą przyjąć cię. Mocno temi uwagami zgnębiona, zwróciła się do Pana i w udręczeniu duszy swojej zawołała: — „Panie mój i Boże mój, wiem i wierzę, iżeś jest Bóg wszechmogący; więc, o życie duszy mojej, albo spraw by ustały te pragnienia moje, albo daj sposób spełnienia ich. Wymówiła te słowa z najmocniejszą ufnością, błagając Najświętszej Panny, przez ten miecz boleści, który przeniknął duszę Jej, gdy na ręku swoich trzymała umarłego Syna swego, by raczyła być jej pośredniczką i orędowniczką. Wtedy usłyszała w sobie głos wewnętrzny, mówiący jej: — „Wierz i ufaj; Ja wszystko mogę; będziesz zdrową; bo jako mocen byłem tym wszystkim niemocom twoim, z których każda sama z sie-

bie jest śmiertelną, zabronić by tobie śmierci nie zadały, tak łatwiej jeszcze potrafię oddalić je od ciebie.“ — Słowa te, powiada, były wymówione z taką siłą i stanowczością, że najmniejsza po nich nie pozostała jej wątpliwość o tem, że pragnienie jej się spełni, jakkolwiek cierpienia jej coraz bardziej się wzmagały i coraz ciężej ją przygniatały, aż do dnia kiedy Pan, jak opowiedziałam wyżej, od razu jej zdrowie przywrócił. Całe to opowiadanie może się wydawać niepodobnem do wiary; sama też, jako jestem niecnotliwa, przyznaję, że skłonna byłam do posądzania go o niejaką przesadę, gdyby nie to, że wiadomości, jakich zasięgałam od lekarza i domowników, i od osób postronnych, w zupełności je stwierdziły.

Teraz Katarzyna, choć słaba i wątła, tyle jednak ma zdrowia, że może zachować regułę. Jest to pod każdym względem wzorowa zakonnica. Zawsze pogodna i wesoła, w całem postępowaniu swojem taką, jak już mówiłam, okazuje pokorę, że patrząc na nią, wszystkie wysławiamy Pana. Całą majętność swoję obie, bez żadnych warunków i zastrzeżeń, oddały zakonowi, za całe wynagrodzenie o to jedno tylko prosząc, abyśmy je zechciały przyjąć do zgromadzenia. Takie w niej zupełne oderwanie się od krewnych i od miejsca urodzenia, że najgoręcej pragnie i przełożonym nawet się naprzykrza, aby ją przenieśli gdzieś daleko; choć z drugiej strony tak jest doskonale posłuszną, że i tu ochotnie pozostaje, skoro jej tak każą. Przez pokorę również, żadną miarą nie chciała przyjąć zasłony siostry chórowej, upierając się, że woli pozostać siostrą służebną; aż dopiero musiałam napisać do niej, strofując ją, że sprzeciwia się woli Ojca prowincyała, że taka pokora nie ma zasługi przed Bogiem i inne tym podobne, dość ostre dając jej upomnienia. Dla niej największa to roskosz, gdy tak ją karcą i surowo upominają; tym też jedynie sposobem doszłyśmy z nią do ładu, że zgodziła się wreszcie na żądanie nasze, choć bardzo tego nie chciała. Słowem, niczego nie widzę w tej duszy, coby nie było przyjemnem Bogu i pociechą dla nas wszystkich. Niechaj Pan utwierdzać ją raczy Boską mocą swoją i coraz większe czyni w niej pomnożenie tych cnót i tej łaski, których jej użyczył dla większej chwały i służby swojej, amen.

ROZDZIAŁ XXIII.

O fundacyi Karmelu chwalebnego świętego Józefa w mieście Sewilli, w dzień Świętej Trójcy roku 1575.

W czasie, gdy jeszcze pozostawałam w mieście Veas, czekając na wydanie mi przez Radę zakonów upoważnienia do założenia klasztoru Karawaka, odwiedził mię tamże jeden z Ojców naszego zakonu, karmelita Bosy, który zaledwo na parę lat przedtem był przywdział nasz habit, przebywając wówczas w Alkala. Był to magister brat Hieronim od Matki Bożej Gracyan, mąż głębokiej nauki, bystrego rozumu i rzadkiej przytem skromności; całe życie jego było jednem pasmem cnót niepospolitych; snać Najświętsza Panna sama go wybrała dla dobra tego naszego zakonu i przywrócenia w nim ducha pierwszych jego założycieli. Już w czasie, gdy odbywał nauki w Alkala, miał postanowienie zostać zakonnikiem, choć o naszym zakonie wówczas zgoła nie myślał. Rodzice jego, mając wielkie łaski u dworu i świetne budując nadzieje na wysokich zdolnościach jego, insze względem niego mieli zamiary, których on jednak bynajmniej nie podzielał. Gdy rozpoczynał nauki, ojciec jego chciał, by chodził na kursa prawne; ale młodzieniaszek, głęboko, nad wiek swój, zmartwiony tem postanowieniem ojca, dopóty go błagał ze łzami, póki nie uzyskał pozwolenia słuchania teologii. Otrzymawszy stopień magistra, wszczął starania o dopuszczenie go do Towarzystwa Jezusowego i jezuici gotowi byli go przyjąć; ale z powodu pewnych, jakie zaszły trudności, kazali mu poczekać kilka dni. Wczasy i przyjemności, jakich używał na świecie, prawdziwą, jak mi mówił, były dla niego męką; zdawało mu się, że nie ta jest pewna droga do nieba; choć i w tem świeckiem życiu swojem miał stałe godziny przeznaczone na modlitwę i, obok ustawicznego skupienia ducha, najsurowszej przestrzegał czystości obyczajów.

W tymże czasie, jeden wielki przyjaciel jego, także magister, wstąpił do klasztoru naszego zakonu w Pastrana, gdzie

przybrał imię Jan od Jezusa. Czy to wskutek listu, jaki ten przyjaciel do niego napisał, wysławiając mu wysoką dostojność i starożytność Karmelu, czy z inszej jakiej przyczyny, nie wiem: dość że od tego czasu Gracyan dziwnie ten zakon nasz ukochał; niewypowiedzianą sprawiało mu roskosz czytanie wszelkich o nim wiadomości i stwierdzanie ich świadectwami i orzeczeniami wielkich doktorów; nieraz mówił mi, aż skrupuł miał w sumieniu, że dla tego ulubionego przedmiotu innych nauk swoich zaniedbuje, tak się od niego nie mógł oderwać; wszystkie chwile rekreacyi tem czytaniem zapełniał. O mądrości, o mocy Boga! jakże daremnie miota się człowiek, chcąc się uchylić od tego, co jest wolą Jego! Widział Pan, jak bardzo potrzebnym był do tego dzieła, które On sam w Boskiej swej łaskawości rozpoczął, człowiek taki, jakim się okazał O. Gracyan. Ile razy na to wspomnę, uwielbiam zawsze dobroć Jego za tę wielką łaskę, jaką nam uczynił, dając nam tego Ojca. Gdybym i najgoręcej była prosiła Pana o przysłanie nam kogo, coby umiał do należnego porządku doprowadzić wszystkie sprawy naszego zakonu w tych pierwszych jego początkach, nigdybym nie była zdołała prosić i żądać tyle, ile On sam w tym razie nam darował. Niech za to będzie błogosławiony na wieki!

Zdarzyło się w tym czasie, że Gracyan, choć daleki jeszcze od myśli przywdziania habitu karmelitów Bosych, udał się, jak go o to proszono, do Pastrana, dla umówienia się z przełożoną naszego klasztoru, wówczas jeszcze nie przeniesionego stamtąd do Segowii, o przyjęcie jednej aspirantki. O jakże dziwnych Opatrzność Boska umie używać środków dla osiągnięcia celów swoich! Gdyby Gracyan był wyjeżdżał z powziętym już zamiarem wstąpienia do naszego zakonu, snać niejeden ze znajomych i przyjaciół jego byłby mu odradzał tego kroku i od postanowienia go odwiódł. Ale Najświętsza Panna, Pani nasza, za żarliwą, jaką dla Niej pała, pobożność, chciała go wynagrodzić, dając mu habit swój; Ona, nie wątpię o tem, przyczyną swoją wyjednała mu u Boga tę łaskę, że tak gorąco ukochał nasz zakon, że w końcu do niego wstąpił, nie kto inny, pewna tego jestem, to sprawił, jedno ta Panna naj-

chwalebniejsza, nie chcąc by ten, który tak żarliwie pragnął Jej służyć, był pozbawionym sposobności spełnienia tej świętej żądzy swojej: bo taki jest tej Pani miłościwej obyczaj, że łaskami swemi obsypuje każdego, kto się pod Jej obronę ucieka.

Uciekał się do Niej Gracyan od młodzieństwa swego. Pacholęciem jeszcze, z domu rodzicielskiego w Madrycie, rad chodził modlić się przed obrazem Matki Boskiej, do którego szczególne miał nabożeństwo; obraz ten, umieszczony nie pamiętam w którym kościele, nazywał kochaniem swojem i jaknajczęściej go nawiedzał. Snać Ona za to wyprosiła mu u Syna swego tę niepokalaną czystość serca, jaką się całe życie odznaczał. Nieraz, powiadał mi, oczy miał spuchłe od łez, nie mogąc się powstrzymać od rzewnego płaczu na wspomnienie tylu grzechów, jakiemi ludzie obrażają Boskiego Jej Syna. Stąd rodził się w nim niepowstrzymany zapał i żądza ratowania dusz; stąd głęboka boleść jaka przenikała duszę jego. na widok obrazy Boskiej. Ta żądza zbawienia dusz tak go całego pochłania, że dla duchowego pożytku bliźniego, wszelki trud i wszelkie cierpienie wydaje mu się niczem. Wiem o tem z własnego doświadczenia, bo sama w różnych zdarzeniach patrzałam na to, ile dla tej apostolskiej gorliwości swojej ochotnie ucierpiał.

Takim więc jakby fortelem przez Najświętszą Pannę pociągnęty, Gracyan wybrał się do Pastrana, w tem przekonaniu, że jedzie tam jedynie po to, aby dla onej aspirantki habit wyprosił; aliści Bóg go tam prowadził po to, aby jego samego w habit przyodział. O słodkie tajniki dróg Bożych! jakże wdzięcznie i jak skutecznie umie On, mimo woli naszej, przysposobić nas do przyjęcia łask, jakie nam gotuje! jakże hojnie odpłacił tej duszy za święte uczynki jej, za dobry przykład, jaki z siebie dawała, a zwłaszcza za żarliwą jej żądzę służenia błogosławionej Matce Jego! Bo zawsze, jak sądzę, czcicielom Matki swojej Pan w taki sposób się wywdzięcza, zlewając na nich szczególne łaski swoje.

Przybywszy tedy do Pastrana, Gracyan udał się do przełożonej i przemówił do niej za oną aspirantką, aby ją przyjęła;

ale skutek mowy jego był taki, jak gdyby raczej był przemawiał za sobą, aby ona wyprosiła u Pana własne jego do zakonu wstąpienie. O. Gracyan ma tę szczególną łaskę od Boga, że dziwnym urokiem całej postawy swojej i sposobu zachowania się, wszystkich pociąga do siebie; rzadki chyba ten, ktoby go, poznawszy, nie pokochał; stąd też wszyscy jego podwładni, zakonnicy zarówno jak i zakonnice, nadzwyczajnie są do niego przywiązani; bo jakkolwiek w swej gorliwości o dobro i wzrost duchowny zakonu, którą posiada w najwyższym stopniu, żadnemu uchybieniu nie przepuszcza, takim przecie samej upomnienia i strofowania swoje umie zaprawiać wdziękiem i słodkością, że nigdy nikogo nie urazi, ani mu da powodu do żalu. Tym sposobem i na przełożonej w Pastrana od pierwszego spotkania takież jak i na wszystkich wywarł wrażenie: tak była nim zachwycona, że od razu powstało w niej najgorętsze pragnienie, aby mąż taki, tylu niepospolitemi zaletami ozdobiony, wstąpił do naszego zakonu. Zwierzyła się siostrom z tą myślą, przedstawiając im, jakiby to był niezmiernie ważny nabytek dla poczynającego się zakonu, posiadającego wówczas jeszcze mało kogo, czyli raczej nie posiadającego prawie nikogo, ktoby takiej znakomitości dorównał. Poleciła im zatem, aby wszystkie wspólne do Pana zanosiły modlitwy, aby go z Pastrany nie wypuszczał i skłonił go do przywdziania habitu. Przełożona ta jest wysoko świętobliwą służebnicą Bożą, i sama już jej jednej modlitwa niezawodne, mniemam, znalazłaby wysłuchanie u Pana; jakże więc bardziej jeszcze skutecznemi musiały być połączone prośby tylu dusz tak pobożnych, zgromadzonych w tym klasztorze! Wszystkie one bardzo sobie wzięły do serca zalecenie przełożonej; ustawiczne, przy gorącej modlitwie, zadawały sobie posty i biczowania na uproszenie u Pana tej łaski; jakoż Pan w łaskawości swojej raczył wysłuchać ich prośby. Zaszedłszy w odwiedziny do klasztoru Braci, na widok panującej w nim doskonałej ścisłości zakonnej i całego urządzenia jego, dziwnie ułatwiającego wyłączne oddanie się służbie Bożej, a szczególnie na myśl, że jest to zakon Matki Boskiej, dla chwały której tak gorąco pragnął się poświęcić, Gracyan uczuł w sobie wewnę-

trzne natchnienie i silną pobudkę, by już nie wracał do świata. Wiele mu, dla odstręczenia go od tej myśli, dyabeł nasuwał trudności; najtrudniej zwłaszcza było Gracyanowi wspomnienie na boleść, jaką swojem od nich odejściem sprawi rodzicom, którzy go bardzo kochali, i mając wiele synów i córek, na niego najmocniej liczyli, iż będzie podporą całego swego rodzeństwa. Ale mężnie idąc za głosem powołania, zdał tę troskę na Boga, dla którego opuszczał wszystko i z niezachwianem postanowieniem oddania się Najświętszej Pannie na służbę, oświadczył chęć przyjęcia habitu Jej, którego też Bracia z radością mu udzielili. Ale większa jeszcze była radość przełożonej i sióstr, które z uniesieniem najgorętszej wdzięczności wielbiły Pana, iż na prośby ich, jak słusznie mogły mniemać, tak wielką im łaskę uczynił.

W ciągu roku probacyi swojej Gracyan taką okazywał pokorę, jakiejby nie dorównał ostatni nowicyusz. W jednem zwłaszcza zdarzeniu jawny dał dowód niepospolitego zaprzania się siebie, gdy w nieobecność przeora rządy klasztoru dostały się w ręce jednego Brata, bardzo młodego, mało bardzo zdolnego, bez nauki, bez potrzebnej do rządzenia roztropności, bez żadnego doświadczenia, którego i nie mógł posiadać, sam jeszcze niedawno przedtem wstąpiwszy do zakonu. Szorstkość jego w obchodzeniu się z Braćmi i umarwienia, jakie na nich wkładał, przechodziły wszelką miarę. Ile razy na to wspomnę, nie mogę wyjść z podziwienia, jakim sposobem Bracia, a zwłaszcza człowiek tak zasłużony, jakim był O. Gracyan, mogli znieść to wszystko; rzecz pewna, że potrzeba było na to takiej nadzwyczajnej gorącości ducha, jaką Bóg tego Ojca obdarzał. Pokazało się potem, że niefortunny on przełożony od dawna cierpiał na melancholię; wszędzie gdziekolwiek był, choć jako podwładny, trudno było z nim wytrzymać, więc łatwo domyśleć się, jak musiał być nieznośnym na przełożeństwie. Dobry zresztą z niego zakonnik, tylko że nad temi humorami swemi panować nie umie. Bóg nieraz dopuszcza podobne pomyłki w wyborze przełożonych, aby przez nich doskonalej jeszcze wyćwiczyć w cnocie posłuszeństwa tych, których miłuje. Takim zapewne i w tym razie był miłościwy zamiar Jego; bo

w nagrodę za tę mężną pokorę jego, użyczył O. Gracyanowi, czyli jak zowie się w zakonie, O. Hieronimowi od Matki Bożej, wysokiego bardzo światła w rzeczach posłuszeństwa, aby mógł go nauczać podwładnych, jak sam naprzód z takiem przedziwnem zaprzaniem się siebie je pełnił. I aby mu nie zbywało na własnem, we wszystkiem, czego nam potrzeba, doświadczeniu, przez trzy miesiące przed profesyą swoją gwałtowne wycierpiał pokusy; ale waleczny zapaśnik, przyszły wódz synów Panny Najświętszej, umiał dzielnie stawiać czoło nagabaniom złego ducha i im natarczywiej nieprzyjaciel dręczył go i kusił go, aby zakon porzucił, tem mężniej on te poduszczenia odpierał, przyrzekając Bogu, że nigdy się z habitem nie rozstanie i ślubami, skoro mu będzie wolno, dozgonnie się zwiąże. Pokazywał mi pismo, które w ciągu tych gwałtownych pokus ułożył; z wielkiem je przeczytałam nabożeństwem, podziwiając to męstwo niepokonane, jakiego Pan mu użyczał.

Może to się komu wyda rzeczą niewłaściwą, że O. Gracyan mnie się zwierzył z tylą szczegółów, tyczących się duszy jego. Ale snać Pan sam tego chciał, abym je zamieściła w tem piśmie mojem, a iżby ci, którzy je czytać będą, chwalili Go w stworzeniach Jego. Wiem na pewno, że przed nikim więcej, ani nawet przed spowiednikami swymi, O. Gracyan tak się nie otworzył, jak to uczynił przedemną. Niekiedy do tych zwierzeń skłaniał go wzgląd na podeszły wiek mój i na to, co słyszał o mnie, za czem zdawało mu się, że powinnam mieć niejakie w tych rzeczach doświadczenie. Czasem znowu z samego toku rozmowy, choć o czem innem zaczętej, nieznacznie tak wypadało, że mi zaczynał mówić o tych rzeczach i o innych jeszcze, o których mi tu pisać nie należy, i gdybym chciała tu o nich wspominać, rozszerzyłabym się nad miarę. I w tem, co napisałam, bardzo się, upewniam, powściągałam, aby mu nie zrobić przykrości, gdyby to pismo moje dostało się w ręce jego. Nie mogłam jednak przemilczeć o nim, tem bardziej, że chociażby miał kiedy czytać te karty, nie prędko to w każdym razie nastąpi, nie godziłoby się, jak sądzę, nie wspomnieć o tym, który około wznowienia tej pierwotnej re-

guły naszej tak wielkie położył zasługi. Nie on pierwszy wprawdzie dał temu wznowieniu początek, ale nastał w czasie, w którym nieraz, gdyby nie wielka ufność, jaką pokładam w miłosierdziu Boga, byłabym żałowała, że się zaczęło. Mówię tu o domach Braci; bo klasztory Sióstr z łaski Boga, zawsze aż do tego czasu trzymały się dobrze. Nie mówię, żeby klasztory Braci szły źle; tylko że nosiły w sobie zaród rychłego upadku, bo nie tworząc własnej prowincyi, zostawały pod zarządem Trzewiczkowych. Tym, którzy mogliby byli rządzić, jak mianowicie O. Antoniemu od Jezusa, który pierwszy był zaczął, tamci nie przyznawali władzy. Nad to, Bracia nasi nie mieli jeszcze konstytucyi nadanych im przez najprzewielebniejszego naszego Ojca Generała; w każdym więc domu rządzili się wedle własnego uznania: jednym zdawało się, że tak najlepiej, drugim widziało się inaczej: gdyby rzeczy były miały dłużej trwać w takim stanie, ażby kiedyś Bracia doczekali się konstytucyi albo własnego rządu, ciężkie byłyby z tego wynikły szkody. Myśl ta nieraz srogie mi sprawiała udręczenie. Ale Pan zaradził złemu przez Ojca magistra Hieronima od Matki Bożej. O. Gracyan został mianowany komisarzem apostolskim: zlecono mu rządy i władzę nad karmelitami i karmelitkami Bosemi. Ustanowił wtedy konstytucye dla Braci. My już miałyśmy swoje od najprzewielebniejszego naszego O. Generała; nie dla nas więc napisał te konstytucye, jedno na mocy udzielonej mu władzy apostolskiej nadał je Braciom, a w wywiązaniu się z tego zadania nowy dał dowód tych znakomitych zalet i zdolności, któremi Pan, jak mówiłam, go obdarzył. Za pierwszą zaraz, jaką odbył u nich wizytą, do takiej od razu przywiódł wszystko harmonii i ładu, tak mądrze i składnie wszystko ułożył, że jawnie w tem się okazało, iż Pan w Boskiej łaskawości swojej szczególną go wspiera pomocą, a iż jego Najświętsza Panna wybrała dla naprawy zakonu swego. Błagam Jej z głębi duszy, aby nie przestawała wstawiać się za nim i wyjednała mu to u Syna swego, iżby go zawsze opieką swoją otaczał i użyczał mu łaski coraz wyższego w służbie Jego postępu. Amen.

ROZDZIAŁ XXIV.

O fundacyi Karmelu św. Józefa w mieście Sewilli. Ciąg dalszy.

Gdy O. magister Hieronim Gracyan przybył do mnie w odwiedziny do Veas, nigdy przedtem nie byliśmy się widzieli, chociaż ja dawno pragnęłam go poznać, tyle zewsząd słysząc o nim dobrego; kilka razy tylko do siebie pisaliśmy. Skoro tedy doniesiono mi, że już jest w mieście, ucieszyłam się niezmiernie na samą myśl, że wreszcie doczekam się upragnionego z nim spotkania; ale większą jeszcze bez porównania pociechę odniosłam z pierwszej zaraz mojej z nim rozmowy. Tak mi się nad wszelki wyraz spodobał, że wielkie, jakie przedtem byłam o nim słyszała pochwały, wydały mi się o wiele niedorównywającemi istotnej wartości jego; widocznie, myślałam sobie, ci, którzy mi go chwalili, nie dość umieli poznać się na nim i tak wysoko go ocenić, jak na to zasługuje. Od pierwszej chwili tego z nim spotkania, strapienie moje, wówczas tak ciężko mię dręczące, znikło bez śladu, bo Pan jakby w obrazie stawił mi przed oczy, ile ten Ojciec zdziała dla nas dobrego; takie stąd w one dni czułam w sobie rozradowanie i zadowolnienie wewnętrzne, że sama sobie, prawdziwie rzec mogę, się dziwiłam. Zlecenie dane Ojcu Gracyan wprawdzie rozciągało się wówczas jeszcze tylko do Andaluzyi; ale już był wezwany przez Nuncyusza do Madrytu, a celem i skutkiem tego wezwania było nadanie mu także władzy nad braćmi i siostrami nowego Karmelu w całej prowincyi Kastylijskiej. Takie więc, powtarzam, cały ten czas czułam w sobie rozradowanie ducha, że nie mogłam się dosyć nadziękować Panu i radabym była nic innego nie czynić, jedno ciągle modlić się i dziękować.

W tymże czasie nadeszło wreszcie pozwolenie na fundacyę w Karawaka, ale nie w takiej formie, jakiej potrzebowałam i żądałam. Potrzeba więc było powtórnie udawać się do dworu; bo fundatorki, którym, zwracając ten dokument, oznajmi-

łam, że fundacya nie może przyjść do skutku, jeśli się nie wystarają o dodanie jednego punktu, który był pominięty, same tego dopełnić nie mogły bez osobnej decyzyi królewskiej. Przykrzyło mi się tak długo czekać na miejsce, chciałam powrócić do Kastylyi; ale że O. Gracyan już był mianowany komisarzem apostolskim na całą prowincyę kastylijską, będąc zatem podwładną jego i nie mogąc nic uczynić bez jego zgodzenia się, przedstawiłam mu życzenie moje, co tem łatwiej uczynić mogłam, że Ojciec jeszcze przebywał w Veas i że tameczny klasztor nasz podlegał także władzy jego. Odpowiedział mi, że odjazd mój, zdaniem jego, będzie się równał zupełnemu opuszczeniu fundacyi w Karawaka; że jednak sądzi, że uczynię rzecz bardzo przyjemną Bogu, gdy założę klasztor w Sewilli, co zdawało mu się rzeczą bardzo łatwą, bo już się z prośbą o to zgłaszało do niego kilka osób możnych i bogatych, które z łatwością będą mogły zaraz ofiarować dom; a przytem i arcybiskup sewilski bardzo jest przychylnie usposobiony dla naszego zakonu i pewno ochotnie nas poprze. Stanęło więc na tem, że przełożona i siostry, które miałam z sobą dla fundacyi w Karawaka, pojadą do Sewilli. Ja do tego czasu, mając pewne do tego powody, stale się wzbraniałam od zakładania klasztorów naszych w Andaluzyi; i w Veas nie byłabym podejmowała fundacyi, gdybym była wiedziała, o czem po niewczasie dopiero się dowiedziałam, że miasto to, choć położone o cztery czy pięć mil od właściwych granic Andaluzyi, — i to właśnie w błąd mię wprowadziło, — zalicza się przecie do terytoryum tej prowincyi. Lecz wobec objawionego mi postanowienia zwierzchnika, choć sama nosiłam się z zamiarem innej fundacyi, choć przeciw usadowieniu się w Sewilli miałam powody bardzo ważne, natychmiast bez wahania poddałam się, bo Pan mi dał tę łaskę, że każde postanowienie tych, którzy mają od Niego władzę nademną, zawsze w oczach moich dobrem jest i słusznem [1]).

[1]) Św. Teresa, jak opowiada Yepes w jej Życiu (Ks. II, r. 27), za najpilniejszą i dla zakonu najkorzystniejszą poczytywała fundacyę w stolicy. Widząc tę jej skłonność do Madrytu raczej niż do Sewilli, O. Gracyan pole-

Nie tracąc czasu, przyspieszyliśmy nasze przygotowania do drogi, bo skwary nastawały coraz większe. Ojciec Gracyan, komisarz apostolski odjechał do Madrytu, dokąd go wzywał nuncyusz, my wyruszyłyśmy w drogę ku Sewilli, wraz z wiernymi towarzyszami moimi, O. Julianem z Awili, Antonim Gaytan i jednym z naszych Braci Bosych. Jechałyśmy powozami szczelnie krytemi, jak tego zawsze przestrzegałyśmy w każdej podróży; zajeżdżając na popas czy na nocleg, brałyśmy pokój, jaki się zdarzył, dobry czy zły, do którego ani z towarzyszów naszych żaden nie miał wstępu: jedna z sióstr, stojąc we drzwiach, przyjmowała od służby miejscowej czego nam było potrzeba. Jakkolwiek pospieszałyśmy, zaledwo we czwartek przed Trójcą Świętą stanęłyśmy w Sewilli, wycierpiawszy upały niesłychane. W święta wprawdzie odpoczywałyśmy; ale i w czasie tych postojów, powozy nasze stojąc na słońcu, cały żar swój na nie puszczającem, tak się rozpalały, że wsiadanie do nich, upewniam was, siostry, równało się jakby czyścowi. Siostry jednak, bądź przywodząc sobie na pamięć ogień piekielny, bądź wspominając sobie, że cierpią dla miłości Boga, z radością największą i z weselem znosiły te

---

cił jej prosić Boga, aby raczył objawić wolę swoję w tym względzie. Święta spełniwszy to zlecenie, dała mu odpowiedź, że Pan oznajmił jej, iż lepiej będzie pierwej zacząć od fundacyi w Madrycie. „A ja jednak, odrzekł jej O. Gracyan, zawsze jestem tego zdania, że lepiej byś naprzód pojechała do Sewilli“. Na to Święta, nie odpowiadając ani słowa, zaczęła natychmiast gotować się do drogi; już i siostry, mające jej towarzyszyć, były wyznaczone, gdy w parę dni potem O. Gracyan, tknięty widokiem takiego bezwarunkowego posłuszeństwa, zachwiał się w swem postanowieniu. „Być może, rzekł do św. Teresy, że moje zdanie jest błędnem; jakże mogłaś tak odrazu przystać na nie, mając niewątpliwe, wręcz przeciwne objawienie od Boga?“ — „Nie mogę zbłądzić, odparła Święta, gdy słucham przełożonych: polegając na objawieniu, chociażby mi się zdawało prawdziwem, mogę być w błędzie“. Zdumiony tą, godną świętej, odpowiedzią, O. Gracyan polecił jej powtórnie prosić Pana o objawienie woli swojej i wtedy Pan Jezus, zatwierdzając i postanowienie Ojca i posłuszeństwo swej oblubienicy, rzekł do niej: — „Dobrze zrobiłaś, córko, żeś usłuchała od razu: zakon wasz i fundacya madrycka nic na tem nie stracą. Jedź do Sewilli; fundacya przyjdzie do skutku, ale ty wiele tam ucierpisz.“

męki. Miałam ich z sobą sześć; a były to dusze takie, że z niemi śmiało poszłabym choćby do Turków, pewna tego, że wszędzie znajdą w sobie, czyli raczej że Pan im da męstwo do zniesienia wszelkich dla Niego katuszy; bo tego tylko pragnęły i o tem tylko mówiły, tak były doskonale wyćwiczone w modlitwie i w umartwieniu. Umyślnie też, mając je pozostawić przy fundacyi tak odległej, wybrałam takie, które uważałam do tego za najodpowiedniejsze. I w rzeczy samej potrzeba im było takiego męstwa i siły ducha do zniesienia wszystkich, jakie nas tam czekały utrapień; wiele z nich i to z największych, wolę pominąć milczeniem, bo mówiąc o nich mogłabym kogo dotknąć.

W wigilię Zesłania Ducha Świętego, Bóg zadał im bardzo ciężkie zmartwienie, zsyłając na mnie gorączkę nad wszelki wyraz gwałtowną. Żem wówczas nie umarła, zawdzięczam to, pewna tego jestem, jedynie gorącym ich do Boga wołaniom; bo takiej gorączki nigdy w życiu nie miałam. Byłam zupełnie bez czucia, jakby w latargu. Siostry, chcąc mię ocucić, pryskały mi w twarz wodą, ale tak rozgrzaną od słońca, że żadnej mi ulgi sprawić nie mogła. Wystawcie sobie do tego niefortunnę kwaterę, jaka się nam w tej potrzebie dostała. Dali nam izdebkę bez sufitu; okien w niej nie było, a za otworzeniem drzwi, słońce ją całą zalewało. A trzeba wam wiedzieć, że słońce tam nie takie jak u nas w Kastylii, żar jego bez porównania silniejszy. Położyli mię na łóżku, ale było to łóżko takie, że wolałabym była leżeć na gołej ziemi; było ono z jednej strony tak wysokie, a z drugiej tak niskie, że prawie nie było sposobu na niem uleżeć, a przytem twarde i kolące, jakby ostremi kamykami usłane. Co to znaczy choroba! wszak w dobrem zdrowiu wszystko to byłoby się zniosło z łatwością. W końcu wolałam już lepiej wstać i jechać dalej; znośniejszem mi się zdawało słońce w otwartem polu, niż tej nędznej izdebce. Jakże okropnie muszą cierpieć ci nieszczęśni, którzy leżą pogrążeni w piekle, gdzie nigdy przez całą wieczność nie będzie dla nich odmiany; bo sama już zmiana, choćby jednej męki na drugą, niejako, jak sądzę, przynosi ulgę w cierpieniu. Sama na sobie tego doznałam, gdy raz, na miejsce bolu bardzo silnego

który cierpiałam, nastąpił drugi, nie mniej dotkliwy; ale to jedno już, że był to ból inszy, zdawało mi się ulgą. Tak było i w tem zdarzeniu. Mnie ta choroba moja, o ile pamiętam, żadnej nie sprawiła przykrości; siostry daleko bardziej były nią strapione, niż ja; ale z łaski Boga, gwałtowny ten jej paroksyzm tegoż dnia do wieczora się uspokoił.

Na parę dni przedtem, przeprawiając się przez Gwadalkwiwir, miałyśmy przygodę, która nas nieco strachu nabawiła. Z powodu silnego prądu, prom z powozami naszemi nie mógł się utrzymać w prostym kierunku, przy linie przeciągniętej do drugiego brzegu, ale z prądem płynął na ukos; z początku jeszcze lina, siłą naciągana, niejakie oddawała usługi; ale po chwili wyrwała się z rąk tym, którzy się za nią trzymali, czy też sami ją upuścili, i tak prom nasz z powozami, bez liny ni wioseł, popłynął dalej na los szczęścia. Co do mnie, widok przewoźnika i strapienia jego nierównie żywiej mię obchodził, niż własne niebezpieczeństwo nasze. Siostry tymczasem wraz ze mną modliły się, drudzy wołali w niebogłosy. Na szczęście nasze, dostrzegł nas jeden pan z zamku swego stojącego nad brzegiem, i litując się nad nami, posłał nam ludzi na ratunek; było to w chwili, gdy prom jeszcze nie był całkiem oderwany od liny, i Bracia nasi także pomagali ją trzymać, ciągnąc z wszystkich sił swoich, nim wreszcie siła prądu wyrwała ją wszystkim z ręku, i to z taką gwałtownością, że niektórzy aż poupadali na ziemię. Nigdy, rzecz pewna, nie zapomnę pobożnego wzruszenia, jakiego w tej przygodzie doznałam, patrząc na synka naszego przewoźnika; z takiem serdecznem współczuciem chłopczyk ten, zaledwo dziesięcio lub jedenastoletni, podzielał strapienie ojca swego, iż na ten widok w duchu wielbiłam Pana, że w takiem młodem sercu, tak wysokie miłości synowskiej uczucia sprawuje. Wreszcie, jako Pan w Boskiej dobroci swojej zawsze się, i w karaniu i w próbach, jakie na nas zsyła, okazuje Ojcem miłościwym, tak i w tem zdarzeniu z nami uczynił: prom nasz uderzył o ławę piaszczystą, gdzie z jednej strony woda stała nisko, zaczem łatwy już wtedy był dla nas ratunek. Gdyśmy wysiedli na brzeg, było już ciemno, i niełatwoby nam było samym trafić na drogę; ale

ludzie z zamku na pomoc nam przysłani, do niej nas doprowadzili, i tak i z tego nowego kłopotu wybawił nas Pan. Wiele innych miałabym do opowiedzenia podobnych złych przygód, doznanych w podróży, ale są to takie drobnostki, że o nich wspominać nie warto; i o powyższem zdarzeniu nie miałam zamiaru mówić, i dla tego tylko je tu opisałam, że usilnie na mnie nalegano, bym takich szczegółów nie pomijała milczeniem.

Insza przykrość, dużo większa od wyżej wspomnianych, wydarzyła się nam trzeciego dnia Zielonych Świątek. Spieszyłyśmy bardzo, chcąc wcześnie z rana trafić do Kordowy, i wysłuchać tam Mszy świętej, bez zwrócenia na siebie uwagi publicznej. Ukazano nam kościół za mostem, w miejscu jakoby więcej samotnem. Ale gdyśmy się zbliżyli do mostu, okazało się, że nie wolno nim przejeżdżać powozom, bez osobnego pozwolenia naczelnika miasta; trzeba było posyłać do niego, ale nim pozwolenie nadeszło, straciliśmy przeszło dwie godziny, bo jeszcze spał; a tymczasem coraz więcej ludzi zbierało się około naszego powozu, ciekawie zaglądając, kto to przyjechał, choć oto jeszcze nie bardzo się troszczyłyśmy, bo powóz był szczelnie zamknięty i kryty. Gdy wreszcie doczekaliśmy się pozwolenia, nowa zatrzymała nas trudność: brama mostowa była za wązka na szerokość naszego powozu; potrzeba było upiłować, nie wiem już jaką część wystającą, co znowu nam sporo czasu zabrało. Dostawszy się nakoniec do kościoła, gdzie O. Julian z Awili miał dla nas odprawić Mszę świętą, zastaliśmy w nim pełno ludzi, bo kościół ten, o czem nie wiedzieliśmy, był pod wezwaniem Ducha Świętego, i stąd uroczyste w nim nabożeństwo z kazaniem. Ja na widok takiego mnóstwa ludu, zafrasowałam się bardzo, i byłabym wolała jechać dalej, beze Mszy świętej, raczej niż wystawiać się na takie zbiegowisko. Ale O. Julian nie chciał na to się zgodzić; a że on jest teolog, więc potrzeba nam było wszystkim zastosować się do zdania jego, bo drudzy towarzysze moi zapewne byliby poszli raczej za mojem, i tak bylibyśmy wszyscy wielki błąd popełnili; choć ostatecznie nie wiem, czy byłabym śmiała w takiej rzeczy wyłącznie polegać na własnem zdaniu mojem.

Wysiadłyśmy więc przed kościołem; twarzy naszych wprawdzie nikt nie mógł widzieć, bo nosiłyśmy jak zawsze spuszczone duże zasłony; ale sam już widok tych zasłon, i białych szerścianych płaszczów naszych, i w sandały obutych nóg naszych, łatwo mógł wzniecić, i w rzeczy samej wzniecił powszechne między ludem poruszenie. I nasze też wzruszenie pewno, że nie było mniejsze; tyle przynajmniej mu zawdzięczam, że pod wrażeniem jego gorączka moja całkiem mię opuściła. Gdyśmy weszły do kościoła, zbliżył się do nas jakiś dobry człowiek i począł nam drogę torować przez tłumy. Prosiłam go usilnie, by zaprowadził nas do jakiej kaplicy: tak i uczynił, i zamknąwszy wejście do kaplicy, nie odstąpił nas aż do chwili wyjścia naszego z kościoła. Wkrótce potem, będąc w Sewilli i spotkawszy się z jednym Ojcem naszego zakonu, opowiadał mu o znacznym majątku, który tylko co, zupełnie niespodziewanie, dostał mu się drogą spadku czy darowizny, co poczytywał sobie za szczególną łaskę daną mu od Boga, w nagrodę za tę ludzkość, którą nam okazał. Całe to przejście, jakkolwiek może się zdawać nic nieznaczącem, dla mnie, upewniam was, córki, było jedną z najcięższych przykrości, jakich w życiu mojem doznałam; widok nasz takie wśród ludu zgromadzonego w kościele wzbudził poruszenie i taki zgiełk, jak gdybyśmy były trzodą byków pędzonych na igrzyska. Z niecierpliwością też wyglądałam chwili opuszczenia czemprędzej tego miejsca, choć dla wielkiego upału, trzeba było zatrzymać się aż do wieczora, a nie miałyśmy gdzie się podziać; w braku innego schronienia, schowałyśmy się pod mostem.

Przybywszy do Sewilli, zajechałyśmy do domu, najętego dla nas przez O. Mariano, który był przez nas uprzedzony. Sądziłam, że przyjeżdżam na rzecz gotową; licząc na przychylność arcybiskupa, który, jak mówiłam, bardzo był dobrze usposobiony dla karmelitów Bosych: sama też kilka razy miałam listy od niego, pełne dobroci i życzliwości. Mimo to jednak, z dopuszczenia Bożego, ciężkie z zamierzoną fundacyą miałam z jego strony trudności. Arcybiskup stanowczo jest przeciwny zakładaniu klasztorów żeńskich, z jałmużny tylko się utrzymujących: ma swoje do tego powody. To było źródłem przeszkody, na jaką napotkało przedsięwzięcie nasze, czyli raczej,

to jemu pomyślny skutek zapewniło; bo gdyby przed wyjazdem moim arcybiskup był został uprzedzony o tym punkcie reguły naszej, zabraniającej nam posiadanie majątków i dochodów, pewna jestem, że nie byłby się na przyjazd nasz zgodził. Ale O. komisarz i O. Mariano, mając to za rzecz niewątpliwą, że przybycie moje bardzo go ucieszy, jak go i w rzeczy samej bardzo ucieszyło, i że naszem osiedleniem się w jego dyecezyi wielką mu oddamy przysługę, nic mu zrazu o tym punkcie nie wspomnieli; i dobrze się stało, bo w przeciwnym razie byliby, jak mówiłam, popełnili błąd fatalny, i chcąc zrobić jaknajlepiej, fundacyę na samym wstępie niemożliwą uczynili. Co do mnie, choć przystępując do założenia nowego klasztoru zawsze się nasamprzód starałam o pozwolenie właściwego biskupa, jak tego wymaga święty Sobór Trydencki, w tym razie jednak byłam zaniechała tego starania, tak byłam pewna, że pozwolenie nam jest z góry zapewnione i że klasztor nasz wielki miastu przyniesie pożytek, jak się to i w rzeczy samej okazało, i jak arcybiskup sam później to uznał. Ale taka była wola Pańska, by żadna fundacya nasza nie powstała bez wielkiego dla mnie, czy w ten, czy w drugi sposób, cierpienia.

Stanąwszy tedy w domu, jak mówiłam, dla nas najętym chciałam zaraz, jak to było zwyczajem moim, wziąć go w posiadanie, abyśmy nie zwlekając zaczęły od zmówienia Officyum. Lecz tu, O. Mariano, który nas przyjmował, począł pod różnemi pozorami zwlekać, nie chcąc wyraźnie mi powiedzieć o co chodzi, aby mnie nie martwić. Widząc jednak wyraźną błahość pozornych racyi jakie mi podawał, łatwo zrozumiałam, że cała trudność w tem, że arcybiskup odmówił mu potrzebnego dla nas pozwolenia. Jakoż wreszcie przyznał się, że tak jest, namawiając mię przytem, bym założyła tu klasztor z dochodami, i inne jeszcze w tym rodzaju rady mi dając, których już nie pamiętam. Upewniał mię, że arcybiskup, jakkolwiek jest gorliwym sługą Bożym, nie lubi pozwalać na zakładanie klasztorów żeńskich; że odkąd jest arcybiskupem, a jest nim od wielu lat, przedtem w Kordowie, teraz tu w Sewilli, nigdy żadnemu zgromadzeniu żeńskiemu pozwolenia nie dał, że tem bardziej nie da go na fundacyę klasztoru, utrzymującego się wyłącznie z jałmużny. Znaczyło to innemi słowy, że klasztoru

wcale nie będzie. Naprzód, chociażbym była miała z czego wyznaczyć dochody, wstrętnemby mi było uposażać w nie klasztor w takiem wielkiem mieście jak Sewilla; założyłam wprawdzie kilka klasztorów z dochodami, ale było to wyłącznie w miejscowościach mało ludnych, gdzie niepodobna inaczej, bo z samej jałmużny, w takich ubogich miejscowościach, klasztor nie mógłby się utrzymać. Powtóre, pieniądze jakie miałyśmy, wszystkie wydałyśmy w drodze, ledwo parę szelągów zostało nam w kieszeni, z rzeczy również nic nie posiadałyśmy, prócz ubrania, jakie miałyśmy na sobie, i kilku habitów i czepców, i kilku opon, które nam służyły do nakrycia powozów; nawet na opłacenie i odprawienie tych, którzy nas przywieźli, potrzeba nam było pożyczać pieniędzy, o które nam się Antoni Gaytan wystarał u przyjaciela swego, którego miał w mieście, a O. Mariano z swojej strony szukał ich na urządzenie domu; wreszcie i dom ten chwilowo tylko był najęty i nie miałyśmy własnego. Na takie warunki niepodobna mi było się zgodzić.

Snać nie mało musiał arcybiskup nasłuchać się od O. Mariano natrętnych próśb i nalegań, kiedy wreszcie, w dzień Trójcy Świętej, pozwolił na odprawienie u nas pierwszej Mszy; ale razem z tem pozwoleniem przysłał nam zakaz dzwonienia na nabożeństwo, a nawet i posiadania dzwonu, tylko, że ten już był zawieszony. W takiem położeniu przeżyłyśmy przeszło dwa tygodnie, owszem i znacznie dłużej, choć słabą mając pamięć, nie pamiętam dokładnie jak długo, ale zdaje mi się, że było tego więcej niż miesiąc. Gdyby O. Komisarz i O. Mariano nie byli mię zatrzymywali, rzecz pewna, że byłabym bez wahania i z niewielkim żalem odjechała z siostrami na powrót do Veas, dla dopilnowania lepiej fundacyi w Karawaka; bo już się zaczynała rozchodzić po mieście wieść o naszym klasztorze, i każdy dzień zwłoki z naszej strony dalej ją rozszerzał i odjazd utrudniał; łatwiej więc było odjechać zaraz. Ale O. Mariano żadną miarą nie pozwalał mi oznajmić o tem arcybiskupowi; wolał raczej powoli i stopniowo łagodzić opór jego, nad czem i O. komisarz pracował, pisując do niego z Madrytu.

Zresztą, nie bardzo się tem wszystkiem frasowałam; dość mi tego było na uspokojenie siebie, że pierwsza Msza święta już się odbyła u nas, i to za pozwoleniem arcybiskupa, i że

mogłyśmy codzień w chórze odmawiać Officyum. Przytem i arcybiskup raz w raz przysyłał kogo, aby mię w imieniu jego odwiedził, z oznajmieniem, że sam niezadługo u mnie będzie; sam też, do odprawienia u nas pierwszej Mszy świętej, był wyznaczył jednego z domowych kapłanów swoich; z czego jasny, jak mi się zdawało, wynikał wniosek, że trudności mi stawiane mają jedynie na celu umartwienie mnie. Zmartwiona byłam istotnie, ale nie chodziło mi w tem o siebie, ani o siostry moje, jedno o O. komisarza, dla którego, ponieważ z jego rozkazu byłam przyjechała do Sewilli, zwłoki te i przeszkody wielką były przykrością, a jeszcze większą i najdotkliwszą miałby przykrość, gdyby sprawa z rozkazu jego podjęta, ostatecznie się rozbiła, na co się bardzo zanosiło.

W tymże czasie zjawili się u mnie i miejscowi ojcowie karmelici Trzewiczkowi, żądając odemnie sprawy, na jakiej zasadzie otwieram tu w mieście klasztor mój. Przedstawiłam m patent wydany mi przez najprzewielebniejszego naszego iOjca Generała, i na tem poprzestali; chociaż, gdyby byli wiedzieli, jak postępuje z nami arcybiskup, podobno nie byliby tak łatwo ustąpili. Ale o tem nikt nie wiedział; przeciwnie wszyscy byli przekonani, że arcybiskup bardzo rad naszej fundacyi i bardzo z niej się cieszy. Wreszcie, z łaski Boga, i on sam do nas przyszedł. Przedstawiałam mu, jaką nam postępowaniem swojem krzywdę wyrządza. Jakoż w końcu dał się przekonać i zgodził się na wszystko, czego żądałam i aby wszystko tak się zrobiło, jak tego żądałam. Od tego czasu stale nam pozostał przychylnym i w każdem zdarzeniu łaskę swoję i życzliwość nam okazywał.

ROZDZIAŁ XXV.

O fundacyi klasztoru św. Józefa w Sewilli, ciąg dalszy. Ile trudu kosztowało nabycie własnego domu.

Ktoby temu dał wiarę, że w takiem mieście wielkiem i ludzi bogatych pełnem, jakiem jest Sewilla, mniej pomocy do fundacyi mojej znalazłam, niż w tylu mniej zamożnych

miejscach, w których zakładałam klasztory? Tak byłam opuszczona od wszystkich, że nieraz mi przychodziła myśl zaniechania podjętej fundacyi, z której w takiem miejscu, zdawało mi się, żadnego dla nas nie będzie pożytku. Nie wiem, czy to wpływ tego kraju tak działał na mnie, bo jak zawsze słyszałam, czarci, snać z dopuszczenia Bożego, większą w tych stronach mają moc kuszenia ludzi, niż gdzieindziej; dość, że w tym czasie tak byłam znękana ich napaściami, że nigdy w życiu mojem nie czułam się tak słabą i małoduszną, jak wówczas: zupełnie, rzec mogę, nie poznawałam siebie. Nie opuszczała mnie wprawdzie ufność, z jaką każdego czasu polegam na Panu; ale w przyrodzonem usposobieniu mojem czułam się zupełnie inną, niż bywam zwykle, odkąd zaczęłam chodzić około tych spraw fundacyjnych. Pan, rozumiałam to dobrze, usuwał nieco rękę swą ode mnie, zostawiając mię samej sobie, abym jasno poznała, że odwaga moja, jaką przedtem miewałam, nie ze mnie była, jedno z Niego.

W takiem więc położeniu zostawałyśmy od chwili naszego przyjazdu, to jest od czwartego dnia w oktawie Zielonych Świątek, aż do samego prawie następnego Postu Wielkiego. O nabyciu domu nie było ani mowy: nie miałyśmy na to ani pieniędzy, ani nikogo ktoby, jak to w innych stronach nam się nadarzało, za nas poręczył. Aspirantki one, które tak się były Ojcu Wizytatorowi apostolskiemu oświadczały z gotowością wstąpienia do nas, i tak na niego nalegały, by siostry nasze sprowadził, później, — z wyjątkiem jednej, która wytrwała w postanowieniu, jak o tem niżej powiem, — rozmyśliły się, snać znajdując, że reguła nasza zbyt jest ścisła i że takiej surowości nie zniosą. Przytem, wielki już był czas, by mi kazano opuścić Andaluzyę, bo pilne sprawy czekały na mnie tu w Kastylii. Wielką to było dla mnie zgryzotą, pozostawiać siostry same bez domu; ale widziałam, że nic tam nie poradzę, bo łaska ta, którą Bóg mi czyni tu w Kastylii, że do każdej fundacyi znajduję ludzi gotowych przyjść mi w pomoc, tam w Sewilli była mi odmówioną.

W tym właśnie czasie, miłościwem zrządzeniem Pańskiem zdarzyło się, że przybył do Sewilli jeden z braci moich, Wa-

wrzyniec de Cepeda, w powrocie z Indyi, gdzie całe trzydzieści i cztery lata był przemieszkał. Położenie sióstr moich, nie mających własnego dachu nad głową, więcej jeszcze niż mnie same go obeszło. Wielką nam był pomocą, mianowicie usilnem, jakiego przyłożył, staraniem o nabycie tego domu, w którym teraz siostry mieszkają. Ja z mojej strony z większą jeszcze żarliwością uciekałam się do Pana, i siotry pobudzałam, aby czyniły podobnież, błagając Go, aby ich nie pozostawiał bez własnego schronienia; i wielkiego świętego Józefa o to wzywałyśmy, i Najświętszą Pannę, ustawiczne w tym celu odprawiając na cześć ich nabożeństwa i procesye. Ufając tedy w skuteczność tylu próśb naszych, i widząc ochotną brata mego gotowość do wspomożenia nas, poczęłam szukać domu odpowiedniego; ale choć kilka ich upatrzyłam i o każdy po kolei traktowałam, układy za każdym razem się rozbijały, w chwili, kiedy się zdawało, że już dochodzą do skutku. Aż pewnego dnia, gdy znowu na modlitwie błagałam Boga, by wejrzał na te oblubienice swoje, tak gorąco pragnące służyć Jemu, i dał im wreszcie ten dom, którego potrzebują, Pan rzekł do mnie:— „Już was wysłuchałem; spuść się na Mnie“. — Słowa te najżywszą napełniły mię radością; tak pewna byłam pomyślnego skutku, jakbym go już w ręku miała; i nie zawiodłam się. Pan w Boskiej łaskawości swojej uchronił nas od nabycia jednego domu, który podobał się wszystkim, dla wybornego położenia swego; ale było to domostwo takie stare i tak nędznie budowane, że nabywając je byłybyśmy w rzeczy samej kupiły tylko plac, a byłby mało co mniej kosztował niż to, co zapłaciłyśmy za gotowy i porządny dom, który obecnie posiadamy. Umowa o tę ruderę już była zrobiona, brakowało tylko jeszcze podpisania kontraktu; mnie jednak ten nabytek wcale nie cieszył: zdawało mi się, że nie zgadza się on ze słowami, jakie byłam usłyszała na modlitwie, zwłaszcza z ostatniem, w którem widziałam wyraźną obietnicę, że dostaniemy dom dobry. I dotrzymał Pan obietnicy swojej. Samże właściciel onego domostwa, choć był wymógł na nas cenę wygórowaną, ze znacznym zyskiem dla siebie, w chwili umówionej na podpisanie kontraktu, nowe wzbudził trudności, zaczem mogłyśmy, bez żadnej

winy z naszej strony, wycofać się z umowy. Było to wielkie nad nami zmiłowanie Boże; bo na naprawienie tych ruin, siostrom, które pierwsze osadziłam w Sewilli, całego życia nie byłoby starczyło; ciężkie tylko i ustawiczne byłyby miały kłopoty, zwłaszcza przy środkach tak niedostatecznych.

Do uchronienia nas od tego fatalnego kupna dużo się przyczynił pewien sługa Boży, który prawie od pierwszej chwili naszego przybycia, dowiedziawszy się, że jesteśmy pozbawione Mszy świętej, codzień z nią do nas przychodził, choć mieszkał bardzo daleko, i skwary panowały niesłychane. Nazywał się Garcia Alvarez. Był to mąż bardzo świętobliwy, czczony w całem mieście dla dobrych uczynków swoich, którym wyłącznie był oddany; gdyby był miał majątek, nam pewno nie byłoby zbywało na niczem. Otóż, znając dobrze on dom, o który się umawiałyśmy, uważał to za wielki nierozum, że za taką nędzną ruderę chcemy tak drogo płacić, i on to głównie, codzień nam to powtarzając, do tego kupna nas zniechęcił. Poszedł z bratem moim oglądać ten dom, który siostry obecnie zajmują; wrócili oba bardzo zadowolnieni z niego, i słusznie; a że Pan tego chciał, więc z łaski Jego w dwa czy trzy dni stanęła umowa i kontrakt został podpisany. Nie mało jednak jeszcze użyłyśmy biedy z przeniesieniem się do tego domu, raz że lokator w nim mieszkający nie chciał ustąpić, a powtóre OO. franciszkanie, tuż obok klasztor swój mający, natychmiast wystąpili z zastrzeżeniem, byśmy pod żadnym warunkiem tak blisko ich się nie osiedlały. Co do mnie, gdyby nie to, że kontrakt już był nieodwołalnie podpisany, przyznaję, że chętnie byłabym się z niego wycofała i żądaniu zakonników ustąpiła, dziękując jeszcze Bogu za zwolnienie mnie od zobowiązania zapłacenia sześciu tysięcy dukatów za dom, do którego wstęp miał być nam wzbronionym. Przeorysza [1]) jednak nie podzielała mego zdania; przeciwnie, dziękowała Bogu, że

[1]) Była to Matka Marya od św. Józefa, jedna z największych ulubienic św. Teresy, z którą też Święta, zacząwszy od roku tej fundacyi aż do końca życia ciągle utrzymywała listowne stosunki, jak o tem świadczy księga jej Listów.

umowa zawarta już się nie da odmienić; w całej tej sprawie dużo większą, z łaski Boga, okazała wiarę i odwagę niż ja, jak i we wszystkiem snać ma ją większą, bo jest o wiele lepszą odemnie. Przeszło miesiąc pozostawałyśmy w tem przykrem zawieszeniu, nim w końcu spodobało się Panu z niego nas oswobodzić. Przeniosłyśmy się wreszcie, ja z przeoryszą i dwiema siostrami, do naszego domu, ale nocą dopiero i z niemałym strachem, by nas Ojcowie nie spostrzegli pierwej nim byśmy zdążyły objąć go w posiadanie. Ci, którzy nas przeprowadzali przyznali się nam, że w każdym cieniu po drodze wydawało im się, że widzą franciszkanów.

Nazajutrz o świcie, dobry nasz Garcia Alvarez, który nam był towarzyszył, odprawił pierwszą w nowym domu Mszę św., i odtąd już byłyśmy spokojne. O Jezu! ile to podobnych strachów użyłam przy każdem prawie obejmowaniu w posiadanie nowej fundacyi! Jeśli, tak myślę sobie nieraz, w przedsięwzięciach, w których nic nie masz złego, które owszem tylko chwałę i służbę Bożą mają na celu, tyle może być obaw i niepokojów, jakiegoż dopiero strachu muszą doznawać ci, którzy ważą się czynić źle, z krzywdą i Boga zarazem i bliźniego? Nie rozumiem, jaki w tych grzesznych sprawach swoich mogą upatrywać zysk dla siebie, i jaką w nich przyjemność znajdować, z takim na sumieniu ciężarem.

Brat mój tego dnia nie był z nami. Skutkiem pewnego błędu, popełnionego w pośpiechu przy spisywaniu kontraktu, a bardzo szkodliwego dla naszego klasztoru, chciano jego wziąć do więzienia, jako poręczyciela, i dla tego zmuszony był się ukrywać. Ponieważ obcy był w Sewilli i nie było komu za nim się ująć, wielkie mogły z tego powodu wyniknąć dla nas, i w rzeczy samej wynikły, nieprzyjemności; on też nie mało ucierpiał, dopóki złożywszy zastaw, prześladowców swoich nie uspokoił. Potem już sprawa dobrze się ułożyła, choć jakiś czas jeszcze miałyśmy proces, aby się i z tej strony nie obyło bez kłopotu.

Urządziłyśmy sobie tymczasową klauzurę w kilku pokojach na dole; resztę domu naprawiali i urządzali robotnicy, a brat mój cały dzień ich doglądał; on nas także żywił, jak to i przedtem już od dość dawnego czasu czynił; bo w mieście

jeszcze mało kto wiedział o naszym klasztorze, wszyscy dom nasz poczytywali za dom prywatny, i skutkiem tego jałmużny skąpo płynęły. Jeden tylko święty starzec wspomagał nas, przeor kartuzów w Las Cuevas (Pieczary), wielki sługa Boży. Pochodził z Awili, z możnego rodu Pantoja. Od pierwszej chwili przyjazdu naszego, taką Bóg w nim wzbudził ku nam miłość i życzliwość, że nieustannie wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa nam świadczył, i pewna jestem, że do końca życia świadczyć nie przestanie. Słuszna więc, siostry, gdy to czytać będziecie, byście wraz z drugimi dobroczyńcami naszymi, żywymi czy umarłymi, polecały Bogu tego, który tak serdecznie i skutecznie nas wspomagał; wiele zawdzięczamy temu świętemu mężowi, i dla tego tu osobne o nim zapisuję wspomnienie.

Roboty trwały, o ile pamiętam, przeszło miesiąc; ale do dat słabą mam pamięć, i może się mylę; dla tego też te, które podaję, zawsze bierzcie w przybliżeniu tylko; ścisła dokładność mało tu znaczy. Dużo brat mój w ciągu tego miesiąca miał pracy i kłopotu, nim zdołał kilka pokojów zamienić w kaplicę i urządzić wszystko; my, dzięki jemu, nie miałyśmy potrzeby troszczyć się o to.

Gdy wreszcie skończyły się roboty i wszystko było gotowe na wprowadzenie Najświętszego Sakramentu, chciałam by uroczystość ta odbyła się po cichu i bez rozgłosu, bo w ogólności bardzo nie lubię sprawiać komubądź przykrość, gdy niema koniecznej potrzeby. Objawiłam mój zamiar Ojcu Garcia Alvarez, a ten zniósł się z Ojcem przeorem z Las Cuevas, bo oba ci Ojcowie wszystko, co nas się tyczyło, tak żywo brali do serca, jak gdyby to były sprawy ich własne. Nie pochwalili oba zamiaru mego; przeciwnie, byli zdania, że w interesie naszego klasztoru i rozpowszechnienia wiadomości o nim po mieście, koniecznie potrzeba dopełnić tego obrzędu z jaknajwiększą uroczystością. Udali się z tem do arcybiskupa, i po wspólnej naradzie stanęło na tem, że Najświętszy Sakrament ma być wzięty z kościoła parafialnego i w jaknajuroczystszej procesyi do nas przeniesiony, przytem rozkazał arcybiskup, by duchowieństwo, oraz kilka bractw, wzięło udział w tej procesyi, i żeby ulice były świątecznie przybrane.

Dobry nasz Garcia Alvarez z niebywałą wspaniałością przyozdobił i klasztor nasz, przez który, jak mówiłam, wówczas było wejście do kaplicy, i samęż kaplicę; poustawiał w niej okazałe ołtarze i różnemi ją upiększył wynalazkami. Między innemi była tam fontanna, tryskająca wodą pachnącą; sam z siebie, nie proszony i bez wiedzy naszej to urządził; tem bardziej więc, gdyśmy ujrzały rzecz gotową, niespodzianka ta nas ucieszyła i pobożne nam sprawiła wzruszenie. Cały też przebieg tego obchodu naszego, z taką uroczystością obrzędów i z takiem przybraniem ulic, i z taką harmonią muzyki, i śpiewów, i z takim konkursem ludu, najsłodszą był dla nas pociechą. Święty nasz przeor z Las Cuevas upewniał mię, że nigdy jeszcze nie widział w Sewilli tak wspaniałej uroczystości; uznawał w tem wyraźny jakby znak i zatwierdzenie od Boga, że ta fundacya jest własnem dziełem Jego. Sam wziął udział w procesyi, choć zwykle tego nie czynił. Arcybiskup we własnej osobie wprowadził do nas i umieścił Najświętszy Sakrament. Widzicie więc, córki, jakie to publiczne i powszechne honory odbierają te biedne karmelitki Bose, jeszcze na krótko przedtem tak za nic miane, że nikomu w tem mieście, rzecby można, nie stało dla nich ani na szklankę wody, choć wody Sewilla ma dosyć w swej rzece. Mnóstwo ludu na procesyi było niezliczone.

Zdarzyła się z tej okoliczności rzecz, zdaniem wszystkich, którzy na nią patrzali, nadzwyczajna. Pomimo nieustannego, od zakończenia procesyi aż prawie do nocy, strzelania z armat i puszczania rakiet, zachciało się ludziom, nie zważając na ciemności, strzelać dalej. W tem, nie wiem jakim sposobem zajęła się paczka prochu; ten, który ją trzymał w ręku, ocalał, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, że nie został zabity na miejscu. Skutkiem tego wybuchu, ogromny płomień wzbił się aż po szczyty klasztoru, których sklepienia były obwieszone chorągwiami z tarlatanu żółtego i karmazynowego. Wszyscy byli pewni, że chorągwie te musiały się spalić na popiół: aliści nic zgoła złego im się nie stało i co w tem było najdziwniejszego, to, że kamienie sklepień, pod chorągwiami, okazały się całkiem zczerniałe od dymu, a chorągwie na nich zawieszone

pozostały zupełnie nieuszkodzone i nawet barwy nie straciły, jak gdyby ogień zgoła ich nie dotknął. Wszyscy zdumieli się na ten widok, a siostry dzięki czyniły Panu za taką łaskę Jego, bo nie byłyby miały za co odkupić taką kosztowną materyę. Snać dyabeł, wściekając się od złości na widok pięknej naszej uroczystości i powstałego nowego domu Bożego, chciał choć w taki sposób na nas się zemścić; ale mu Pan nie dopuścił. Niech będzie błogosławiony na wieki wieczne. Amen.

ROZDZIAŁ XXVI.

O fundacyi klasztoru św. Józefa w mieście Sewilli, dokończenie. Kilka szczegółów zaznaczenia godnych o pierwszej nowicyuszce do tego klasztoru przyjętej.

Łatwo możecie przedstawić sobie, córki, jak wielką tego dnia była radość nasza: moja, upewniam was, była niezmierną. Cieszyłam się z tego nad wszelki wyraz, że siostry pozostawię w domu własnym, i tak dogodnym, i tak dobrze położonym; że nad to i klasztor nasz już w mieście zasłynął, skutkiem czego już i kilka nowicyuszek nam przybyło, z dostatecznemi posagami, tak iż było czem spłacić większą część umówionego za dom szacunku, a za przyjęciem dalszych, dla dopełnienia liczby sióstr ustawą przypisanej, chociażby mało co wniosły, klasztor zupełnie się uwolni od długu. Lecz nadewszystko największą pociechą mię napełniało wspomnienie doznanych utrapień. Po tem wszystkiem, kiedy byłabym potrzebowała użyć nieco odpoczynku, wypadło mi zaraz udać się w drogę. Uroczystość nasza odbyła się w niedzielę przed zesłaniem Ducha Świętego, roku 1576; a zaraz nazajutrz w poniedziałek musiałam odjechać, i dla uniknienia większych upałów, które nastawały coraz silniejsze, i aby nie być w drodze w święta, na które chciałam zdążyć do Malagonu i kilka dni tam zabawić; dla tego tak spieszyłam z wyjazdem. Tym sposobem nie dozwolił mi Pan tej pociechy, bym choć jednej Mszy świętej

wysłuchała w nowej naszej kaplicy. Odjazd mój bardzo zamącił siostrom ich radość; mocno nim były zmartwione; wszak cały rok byłyśmy razem z sobą przeżyły, i razem tyle użyły utrapień, z których nawet, jak mówiłam, najcięższe pomijam tu milczeniem. Z wyjątkiem fundacyi w Awili, która była bez porównania najboleśniejszą, żadna druga, zdaje mi się, tyle mię nie kosztowała, ile ta Sewilska, tem bardziej, że utrapienia tu doznane były po większej części wewnętrzne. Niechaj Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy to sprawić, by w tym domu zawsze kwitła wierna służba Jego; będzie to dla mnie szczęście, w porównaniu z którem za nic sobie ważę wszystko, co wycierpiałam. I mam nadzieję, że spełni się to moje życzenie. Już kilka dobrych dusz Pan w Boskiej dobroci swojej do tego domu pociągnął, oprócz tych pięciu, które z sobą przywiozłam i tam zostawiłam, a o których wielkiej świętobliwości nieco wam, tyle ile mogłam, powiedziałam, choć to bardzo mało w porównaniu z tem, coby się dało powiedzieć.

O pierwszej nowicyuszce, która do tego klasztoru wstąpiła, chcę tu zamieścić niektóre szczegóły, które z przyjemnością czytać będziecie. Panienka ta była córką bardzo pobożnych rodziców; ojciec jej pochodził z dzielnego rodu górali Santanderskich. Maluczką jeszcze, zaledwo siedmioletnią, ciotka jej, bezdzietna, wyprosiwszy ją sobie u matki, wzięła do domu swego na wychowanie. Mając ją przy sobie, musiała ją naturalnie czułą troskliwością otaczać i serce macierzyńskie okazywać tej przybranej córce swojej. Bardzo to było nie po myśli trzem kobietom, domowniczkom tej pani, które snać, póki same były przy niej, spodziewały się, że im swój majątek zapisze, a teraz łatwo się domyślać mogły, że mając u siebie tę małą i tak ją kochając, dla niej ten zapis uczyni. Chcąc temu zapobiedz, zmówiły się między sobą i uknuły przeciw dziewczynce spisek prawdziwie piekielny: zmyśliły na nią, jakoby godziła na życie ciotki i w tym celu jednej z nich dawała pieniądze, aby jej zadała merkuryuszu. Jedna zaniosła do ciotki to oskarżenie, a ta, gdy i drugie dwie je potwierdziły, uwierzyła im od razu; podobnież i matka małej, choć jest to niewiasta bardzo cnotliwa. Zabrała ją więc na powrót

do domu, przekonana i trapiąc się tą myślą, że dziecko jej, za młodu już tak występne, wyrośnie na złą i przewrotną kobietę.

Przez cały rok przeszło, tak opowiadała mi biedna nasza Beatrycza od Matki Bożej,—jest to jej imię w zakonie,—matka codzień biła ją, i męczyła, i na gołej ziemi spać jej kazała, chcąc ją tym sposobem zmusić, aby się przyznała do winy. Biedaczka zaklinała się, że jest niewinna, że nie wie nawet, co to jest merkuryusz; a matka w tych zapewnieniach jej nowy tylko i większy jeszcze upatrywała dowód złości i zaciętego uporu, zgoła już tracąc nadzieję, by jeszcze kiedy się poprawić mogła. Nie łatwo było dzieweczce oprzeć się pokusie, przyznania się wreszcie do rzekomej winy swojej, i uwolnienia się tym sposobem od takich katuszy; ale Bóg strzegł niewinnej duszy jej, aby do końca wytrwała w prawdzie i sam, jako zawsze jest pomocnikiem prześladowanych niewinnie, w obronie jej wystąpił. Dwie z onych trzech kobiet dotknął chorobą tak straszną, że wiły się z bolu jak wściekłe; zaczem, czując się bliskiemi śmierci, małą, potajemnie ją wezwawszy do siebie, przeprosiły, a następnie i jawnie się przyznały do rzuconej na nią potwarzy. Trzecia, umierając w połogu, uczyniła podobnież; i tak wszystkie trzy, sprawiedliwym sądem Bożym, skończyły w mękach, zasłużoną ponosząc karę za krzywdę wyrządzoną niewinnej. Szczegóły te wiem nie tylko od niej samej; matka także, nie mogąc sobie wybaczyć okrutnego swego z własnem dzieckiem obchodzenia się, później, gdy Beatrycza już była w zakonie, z nieutalonym żalem opowiadała mi to wszystko, inne jeszcze dodając okoliczności, z których jeszcze jaśniej się okazywało, jakie srogie biedna dzieweczka wycierpiała męczeństwo. Dziwnem zaiste dopuszczeniem Bożem, to jedno tylko dziecko mając i bardzo mocno ją kochając, takim przecie dla niego stała się oprawcą. Jest to niewiasta wielkiej wiary i prawości serca; bezwarunkowo też wierzę, że mi mówiła prawdę.

W trzynastym roku jej życia, gdy z dziecka zaczynała wyrastać na panienkę, dostał się do rąk Beatryczy Żywot św. Anny, który wielkie w niej wzbudził nabożeństwo do świętych

pustelników z góry Karmelu. Szczegół opowiedziany w tej książce, jakoby matka św. Anny,—miała podobno imię Emerencyana,—często się do tych mężów świętych udawała na duchowne rozmowy, tak ją mocno pociągnął do tego zakonu Najświętszej Pani naszej, że tejże chwili uczyniła ślub czystości, i postanowiła do nas wstąpić. Od tego czasu więcej jeszcze pokochała samotność, i długie godziny, ile tylko mogła, trawiła na modlitwie wewnętrznej i wielu na niej od Boga i od Najświętszej Panny nadzwyczajnych łask doznawała. Lecz jakkolwiek gorąco pragnęła zaraz wstąpić do zakonu, nie śmiała jednak objawić postanowienia swego rodzicom, tem bardziej, że i sama nie wiedziała, gdzie szukać tego zakonu; bo, rzecz dziwna i godna zastanowienia, choć był w Sewilli klasztor reguły złagodzonej, ona przecie nigdy nic o nim nie słyszała, aż dopiero wiele lat po tem jak już poznała klasztory nasze.

Gdy doszła do wieku odpowiedniego, rodzice umyślili ją, choć jeszcze bardzo młodą, wydać za mąż i sami też ułożyli związek dla niej upatrzony. Trzeba wiedzieć, że Beatrycza, choć w tym czasie była już pozostała jedynaczką, przedtem jednak miała więcej rodzeństwa, tylko że wszystko powymierało, i ona jedna tylko pozostała rodzicom, którzy ją wówczas najmniej kochali. W czasie, gdy tak srogo cierpiała z powodu rzuconej na nią, jak opowiedziałam wyżej, potwarzy, jeden z braci jej, jeszcze żyjący, ujmował się za nią, i rodzicom wymawiał nawet, że dają wiarę takiemu na niewinną oszczerstwu. Otóż gdy jej oznajmili o postanowionem dla niej zamężciu, w przekonaniu że bez oporu i ochotnie na nie się zgodzi, ona, nie mogąc już dłużej milczeć, oświadczyła rodzicom, że uczyniła ślub czystości i że za nic w świecie, choćby ją zabili, ślubu swego nie złamie i nigdy za mąż nie wyjdzie. Czy to dyabeł ich tak zaślepił, czy też Bóg dopuścił na nich to zaślepienie, aby dzieweczka miała zasługę męczeństwa, dość że oboje, i ojciec i matka, posądzając córkę o jaki występek, którego potajemnie się dopuściwszy, boi się teraz i wstydzi wyjść za mąż, związani nad to danem już słowem, którego cofnąć nie mogli bez wyrządzenia zniewagi temu, któremu ją byli obiecali, zapamiętałym na nią gniewem się unieśli: tak ją

niemiłosiernie zbili rózgami, z takiem okrucieństwem nad nią się znęcali, wieszając ją i dusząc, że jakby cudem tylko żywa z rąk ich wyszła; Bóg, snać zachowując ją do rzeczy większych, uchronił ją od śmierci. Trzy miesiące jednak przeleżała w łóżku, nie mogąc się poruszyć, i wielka była obawa że zamrze. Ona z tem wszystkiem, jak mi sama mówiła, gdy ją tak męczyli, wspomniawszy na męczeństwo św. Agnieszki, i Pana wzywając na pomoc, katuszy swoich prawie już wcale nie czuła, radując się owszem, że może coś ucierpieć dla Niego, i na wszelkie męki ochotnie Jemu się ofiarując.

Dziwnem może się wydać, i bardzo słusznie, jakim sposobem dzieweczka, od urodzenia zostająca pod czujnem okiem matki i pod opieką ojca bardzo skromnych, jak mi mówiono i surowych obyczajów, mogła popaść u nich w takie podejrzenie; tem bardziej, że od najmłodszych lat wielką się odznaczała wstydliwością i świętobliwością, a serce miała tak litościwe, że co tylko dostała od rodziców, wszystko to oddawała na jałmużny dla ubogich. Ale Pan, gdy zechce duszy wybranej użyczyć łaski cierpienia, wiele ma na to sposobów. Dopiero w kilka lat po tem otworzył oczy rodzicom, iż wreszcie spostrzegli, jak niezrównanie cnotliwą mają córkę; wtedy już prześladowania zamieniły się w pieszczoty, a na jałmużny i wspieranie ubogich dawali jej ile chciała. Lecz w obec wciąż rosnącej żądzy wstąpienia do zakonu, wszystkie te pociechy ziemskie wydawały jej się raczej przykrością i utrapieniem, w skutek czego wciąż, jak mi mówiła, nieuleczoną czuła w sobie tęsknotę i smutek niepocieszony.

W tymże czasie,—a było to na trzynaście czy czternaście lat przed przybyciem O. Graciana do Sewilli, kiedy zatem o karmelitach Bosych jeszcze ani mowy nie było,—następujące miała dziwne zdarzenie. Któregoś dnia, w chwili, gdy siedziała z ojcem i matką, w towarzystwie dwu sąsiadek, zjawił się nagle w pokoju zakonnik karmelita, tak samo zupełnie ubrany jak dziś się noszą Bracia nasi, w habicie szerściowym i bosy, z długą brodą, białą i lśniącą jak srebro; był to starzec podeszłego wieku, a jednak twarz miał dziwnie świeżą, i cała postawa jego świętą tchnęła powagą. Przystąpił do Beatryczy

i przemówił do niej kilka słów w języku ani jej ani nikomu z obecnych nie znanym; potem przeżegnał ją trzy razy i rzekł do niej, w mowie już dla wszystkich zrozumiałej: — „Beatryczo, niechaj Bóg cię umacnia,“ — to rzekłszy, wyszedł. Wszyscy siedzieli jak wryci, niezdolni ani odezwać się, ani się poruszyć od wielkiego zdumienia. Dopiero w chwilę po odejściu dziwnego gościa ojciec zapytał Beatryczy, kto to był; a ona wzajemnie chciała o to pytać ojca, sądząc, że to jego znajomy; zaczem wszyscy zerwali się i żywo pobiegli za starcem, ale ani śladu jego nie znaleźli. Dziwne to zjawienie wielką dla Beatryczy było pociechą, a ci, którzy na nie patrzali, zdumieni takim widocznym znakiem łaski Bożej, tem bardziej poczęli szanować tak poniewieraną przedtem panienkę. Od tego zdarzenia upłynęło jeszcze całych, jeśli się nie mylę, czternaście lat, w ciągu których Beatrycza z jednakową zawsze gorliwością Panu służyła, codzień błagając Go, by wreszcie raczył spełnić tyloletnie już jej pragnienie, a smucąc się bardzo tak długiem spełnienia onegoż oczekiwaniem.

Pewnego dnia, — było to już w czasie, kiedy przebywał w Sewilli O. Hieronim Gracian,--poszła do kościoła parafii, w której mieszkali jej rodzice, słuchać kazania. Zdarzyło się, że kaznodzieją był właśnie O. Gracian. Nie znała go naturalnie; ale gdy go ujrzała w chwili, gdy wstępował na stopnie tronu po błogosławieństwo biskupie, odzianego w habit karmelicki i bosego, od razu stanął jej na myśli ten, którego wówczas była widziała w takim samym habicie, choć wiek i twarz były inne, bo O. Gracian nie miał wtedy jeszcze i trzydziestu lat. Na ten widok, jak mię upewnia, ledwo że nie zemdlała od zbytku radości: choć przedtem była słyszała o założeniu nowego klasztoru w tej parafii, nie wiedziała zgoła, by to był klasztor karmelitów Bosych. Tegoż dnia zaraz usilne wszczęła u O. Graciana starania, aby mogła się spowiadać u niego; ale z woli Bożej i to jej łatwo nie przyszło; conajmniej dwanaście razy prosiła Ojca o spowiedź, a on zawsze odmawiał, z powodu że była jeszcze młodą, — nie mogła w tym czasie mieć więcej niż dwadzieścia i sześć lat, — i przystojną, Ojciec zaś, w tym punkcie bardzo oględny i ścisły, stanowczo się

uchylał od wszelkich z młodemi osobami stosunków. Ona też, w dziewiczej skromności swojej, nie śmiała już dalej nalegać. Aż pewnego dnia, gdy będąc w kościele, rzewnie się nad tem zmartwieniem swojem rozpłakała, niewiasta jakaś zapytała jej, czego tak płacze, a gdy Beatrycza wyznała jej żałość swoję, że od tak dawna stara się o możność pomówienia z O. Gracianem, i teraz także, choć widzi go siedzącego w konfesyonale, nie wie, jak przystąpić do niego; ta, wziąwszy ją za rękę, podprowadziła ją do Ojca, prosząc go, aby zechciał tę pannę wyspowiadać; i tak wreszcie biedna Beatrycza mogła odbyć u niego spowiedź z całego życia. Ojciec, poznawszy z tej spowiedzi duszę jej tak bogatą w łaskę i cnoty, niezmiernie się ucieszył i ją pocieszał, oznajmując jej, że może niebawem osiedlą się tu karmelitki Bose, i że on się postara o to, aby zaraz została przyjętą. Tak też uczynił; bo pierwsze zlecenie, jakie mi dał za przybyciem mojem, było to, bym ją najpierwszą przyjęła, gdyż jak mię upewniał, bardzo jest zadowolniony z tej duszy. Zaraz więc, skoro przyjechałyśmy, dałyśmy jej znać, że jest przyjęta; ona zaś szukała sposobu, jakby się dostać do nas, bez wiedzy rodziców, wiedząc dobrze, że oni nigdyby na to nie pozwolili. Wreszcie obmyśliła taki sposób. Chodziła stale spowiadać się do karmelitów Bosych, niosąc im zawsze hojne jałmużny i od siebie, i od rodziców. Matka, nie chcąc jej krępować przy spowiedzi, jak również z powodu, że do klasztoru Ojców było daleko, nie chodziła z nią, tylko posyłała z nią służące. Otóż w samże dzień Trójcy Świętej, umówiwszy się z pewną bardzo pobożną osobą, aby jej towarzyszyła do klasztoru, służącym, które zwykle ją odprowadzały, zaleciła by tego dnia z nią nie chodziły, ponieważ ta osoba, znana i czczona w całem mieście dla wielkich cnót i dobrych uczynków swoich, zaraz po nią przyjdzie i towarzyszyć jej będzie. Służące usłuchały, a Beatrycza, skoro ją pozostawiły samę, wdziała przygotowany już swój gruby habit i płaszcz szerściowy; nie wiem, jak biedaczka w tem niezwykłem dla niej ubraniu i poruszać się mogła; ale snać radość wewnętrzna wszelki ciężar czyniła jej lekkim. O to tylko, idąc ulicą, się bała, by jej kto po drodze nie poznał i nie zatrzymał, widząc

ją uginającą się pod ciężarem tego nowego ubrania, tak różnego od szat, które dotąd nosiła. O dziwna mocy miłości Bożej! Już nie o honor swój dbała, by jej kto w tym ubogim habicie nie wyśmiał i wzgardził, ale o to tylko się bała, by jej co nie stanęło na przeszkodzie w spełnieniu świętej żądzy swojej. Skoro stanęła u furty, natychmiast jej otworzyłyśmy. Zaraz też posłałam po matkę, która gdy przyszła, zrazu była jakby nieprzytomna od żalu; po chwili jednak przyszła do siebie, uznając, jak wielką łaskę Bóg jej córce uczynił i jakkolwiek ją rozstanie z nią bolało, umiała przecie pohamować żal swój, i nie miotała się zapamiętale, jak to inne w podobnych zdarzeniach czynić zwykły; owszem, stale nam od tego czasu hojne daje jałmużny.

Już więc mogła przecie oblubienica Chrystusowa cieszyć się szczęściem swojem, od tak dawna upragnionem. Tak była pokorna, tak ochotna do wszelkiej posługi i roboty w domu, że nie mało z nią miewałyśmy biedy nim ją namówiłyśmy, by choć na chwilę miotłę z rąk wypuściła. Tak wykwintnie wychowana, tak przedtem w domu pieszczona, tu wszelką najgrubszą i najniższą pracę za roskosz sobie miała. Przy tem wielkiem zadowolnieniu wewnętrznem, wnet i ciała zaczęła nabierać, tak iż rodzice, widząc jak się poprawia na zdrowiu, sami już cieszyli się z tego, że do nas wstąpiła.

Nie miała jednak tak wielkiego szczęścia używać bez cierpienia. Na dwa czy trzy miesiące przed profesyą przyszły na nią ciężkie i gwałtowne pokusy: nie iżby się zachwiała w postanowieniu oddania siebie Panu na zawsze, ale trudności życia zakonnego tak jej się przedstawiały groźnie, że traciła otuchę, czy będzie mogła im podołać. Długie lata pragnienia i oczekiwania i wszystko, co w nich wycierpiała dla osiągnięcia tego dobra, które wreszcie trzymała w ręku, — wszystko to, mówię, zatarło się w jej pamięci, a zły duch tak ją dręczył poduszczeniami swemi, że nie wiedziała już, jak się od niego obronić. Z tem wszystkiem jednak, niesłychany gwałt sobie zadając, takie nad nim całkowite odniosła zwycięztwo, że właśnie wśród tej zawieruchy i męki wewnętrznej ostatecznie wznowiła i potwierdziła postanowienie swoje związania siebie wieczystą

ślubów zakonnych professyą. Za to Pan Jezus, który snać czekał tylko na ten ostatni dowód jej męstwa, na trzy dni przed professyą nawiedził ją, i dziwnie słodką pociechą napełnił, i ducha złego odegnał. Po tem nawiedzeniu czuła w sobie radość niewypowiedzianą, i całe te trzy dni chodziła jakby nieprzytomna od uszczęśliwienia wewnętrznego; i nie dziw, bo łaska, której Pan jej był użyczył, była bardzo wielka. Wkrótce po jej wstąpieniu do klasztoru, umarł jej ojciec, a matka, idąc za przykładem córki, przywdziała nasz habit w tymże klasztorze i wszystek swój majątek jemu oddała. Odtąd obie, i matka i córka, żyją szczęśliwe, dając zbudowanie wszystkim siostrom, i służąc temu Panu, który takie nad niemi okazał wielkie miłosierdzie swoje. W niespełna rok potem, przybyła nam druga panienka, także z wielkim żalem rodziców. I tak Pan powoli zaludnia ten dom swój duszami, tak gorąco pragnącemi służyć mu, że w zamian za to szczęście za nic sobie poczytują wszelką surowość reguły i wszelką ścisłość klauzury. Niech będzie błogosławiony, niech będzie pochwalony na wieki wieczne. Amen.

ROZDZIAŁ XXVII.

O fundacyi klasztoru pod wezwaniem chwalebnego św. Józefa, w miasteczku Caravaca, w dzień Nowego Roku 1576.

W chwili, gdy miałam już opuścić klasztor św. Józefa w Awili, będąc na wyjezdnem do Veas, dla fundacyi, o której była mowa wyżej, i czekając tylko na ostatnie przygotowania do drogi, nadjechał z Karawaki umyślny posłaniec od Donny Cataliny de Otalora, pani tamże zamieszkałej, z oznajmieniem, jako trzy panny, będąc na kazaniu któregoś z Ojców Towarzystwa Jezusowego, zapragnęły założenia klasztoru w tem miejscu, i tymczasowo umieściły się w domu jej, z mocnem postanowieniem, że z niego nie wyjdą, póki się ich życzenie nie ziści. Zapewne były w zmowie z tą panią, bo i potem, gdy miało już przyjść do fundacyi, ona głównie je popierała. Pan-

ny te należały do najznakomitszych rodów miasta. Jedna z nich była córką Rodryka de Moya, bardzo gorliwego sługi Bożego i męża wielkiej roztropności. Majątku we trzy miały więcej niż potrzeba na wykonanie podobnego przedsięwzięcia. Wiedziały dokładnie o dziwnych, w założeniu tych naszych klasztorów, sprawach Pańskich; miały tę wiadomość od Ojców Towarzystwa Jezusowego, którzy zawsze sprzyjali zakonowi naszemu i wpływem swoim go popierali.

Byłam zbudowana tą żarliwością i świętym zapałem, jakiego te dusze dały dowód, z tak daleka posyłając i kołacząc o przyjęcie do zakonu Najświętszej Pani naszej. Szczerze pragnęłam być im pomocną w wykonaniu pobożnego ich zamiaru. Dowiedziawszy się więc, że miejsce to leży niedaleko od Veas, zabrałam z sobą więcej sióstr niż ich zwykle brałam na założenie jednego klasztoru, i z brzmienia listów otrzymanych wnosząc, że umowa nie będzie przedstawiała trudności, zamierzałam, zaraz po dokonaniu fundacyi w Veas, wprost stamtąd udać się do Karawaki.

Lecz wolą Bożą było, że miało stać się inaczej, stąd i wszystkie plany moje na nic się nie zdały; bo jak powiedziałam w opisie fundacyi Sewilskiej, zmuszona czekać w Veas na upoważnienie od Rady Wielkiej zakonów, które nad miarę się przewlekało, do Karawaki, wbrew postanowieniu memu pojechać nie mogłam. Prawda, że i sama potem zachwiałam się była w tem postanowieniu; bo zasięgnąwszy w Veas bliższych o Karawace szczegółów, i dowiedziawszy się, że mieścina ta tak leży na uboczu, i takie złe do niej drogi, że trudny byłby tam dojazd wizytatorom klasztoru, i słuszny stąd przełożonym powód do nieukontentowania, straciłam prawie wszelką do tej fundacyi ochotę. Ponieważ jednak już byłam dała dobrą nadzieję, uprosiłam więc O. Juliana z Awili i Antoniego Gaytan, aby tam pojechali, i sprawdziwszy rzeczy na miejscu, wszczęte układy, jeśli to uznają za dobre, przerwali. Zastali tam znaczne ostudzenie pierwszego zapału, nie w samych tych aspirantkach do naszego zakonu, ale w Donnie Katalinie, która w całej tej sprawie główną odgrywała rolę, i trzymała je

zamknięte u siebie, w oddzielnej części domu swego, jak gdyby już były w klasztorze.

Co do tych panien, trwały one niezmiennie w pierwszej gotowości swojej; dwie z nich mianowicie, które też w swoim czasie wstąpiły, tak silne objawiały postanowienie, i tak umiały się spodobać O. Julianowi z Awili i Antoniemu Gaytan, że ci, nie zwlekając, zaraz spisali i odjeżdżając wręczyli im wszystkie dokumenta do fundacyi potrzebne, z czego one niezmiernie były uradowane. Oni też tak byli z nich zadowoleni i tak zachwyceni pięknem położeniem i żyznością miejsca, że zdając mi sprawę za powrotem, słów nie mieli na zalecenie mi tak obiecującej fundacyi, co do dróg jednak przyznając, że są one bardzo złe. Zgadzając się na rzecz już ułożoną, i nie mogąc sama odjechać z powodu opóźniającego się wciąż jeszcze pozwolenia Rady, posłałam tam powtórnie poczciwego Antoniego Gaytan, który dla miłości mojej zawsze był ochotnie gotów na podjęcie wszelkiego trudu. Oba oni z O. Julianem wielkie mieli do tej fundacyi zamiłowanie, i im też w istocie należy się wdzięczność za przyjście jej do skutku; bo gdyby nie to, że oni tam jeździli i sami wszystko ułożyli, ja z mojej strony nie wiele byłabym dbała o dokonanie jej. Posłałam więc Antoniego Gaytan z poleceniem, aby zaopatrzył w koło i kraty dom, który siostry miały zająć tymczasowo, ażby się znalazł odpowiedni dom, którybyśmy nabyły na własność. Chętnie podjął się tego zlecenia i dość dużo czasu strawił na urządzenie tego tymczasowego pomieszczenia, w domu Rodryka de Moya, ojca jednej z tych panien, jak powiedziałam wyżej, który odstąpił na ten cel część mieszkania swego. Gdy wreszcie nadeszło pozwolenie, i już byłam gotowa do wyjazdu, pokazało się, że w dokumencie tym zamieszczono zastrzeżenie, iż klasztor założyć się mający ma zostawać pod zwierzchnim nadzorem komandorów i że siostry nasze mają im składać obedyencyę. Na to się zgodzić nie mogłam; byłoby to oddaniem Karmelu Matki Boskiej pod władzę zupełnie mu obcą. Potrzeba więc było znowu prosić o drugie, bez tego zastrzeżenia, pozwolenie, ale tą drogą nigdybyśmy, ani na tę fundacyę ani na fundacyę w Veas, nie były się go doczekały. Do-

piero, gdy odważyłam się wprost napisać do króla, obecnie panującego Don Filipa II, Najjaśniejszy Pan, łaskawie przyjąwszy prośbę moję, raczył rozkazać, aby pozwolenie zostało nam wydane. Monarcha ten, wspaniałomyślny opiekun wszystkich zakonników, wiernych duchowi powołania swego, skoro się dowiedział o nas i o ścisłem, według reguły pierwotnej, urządzeniu klasztorów naszych, stale nam we wszystkiem królewską łaskę swoję okazywał. Usilnie przeto was proszę córki, aby zawsze, tak jak to obecnie u nas się zachowuje, osobne modły we wszystkich domach były opowiadane za pomyślność Jego Królewskiej Mości.

W ciągu tych powtórnych starań o pozwolenie pojechała do Sewilli, z rozkazu O. magistra Hieronima Gracian od Matki Bożej, który naonczas był i dotąd jest prowincyałem, jak o tem było wyżej. Skutkiem tego biedne one panny pozostały w zamknięciu swojem aż do 1 stycznia nowego roku, choć jeszcze w lutym były wyprawiły swoje do Awili poselstwo. Pozwolenie wprawdzie niebawem nadeszło, ale ja, będąc tak daleko i tylą kłopotów obarczona, nie mogłam do nich pojechać, choć bardzo mi ich żal było, zwłaszcza, że raz w raz otrzymywałam od nich listy, w których wynurzały przedemną wielkie swe z tego powodu zmartwienie. Rzeczywiście też niepodobna było dłużej jeszcze je zostawiać w takiem położeniu. Gdy więc i z powodu dalekiej drogi, i dla dobra niedokonanej jeszcze fundacyi Sewilskiej, sama nie mogłam udać się do Karawaki, O. Hieronim Gracian, mając władzę ku temu jako wizytator apostolski, postanowił posłać tam bezemnie siostry, które byłam zabrała z Awili dla tej fundacyi, a które tymczasem pozostawały w klasztorze św. Józefa w Malangonie. Wybrałam na przełożoną siostrę, do której szczególną ufność miałam i pewna byłam, że będzie tam bardzo pożyteczną, — bo jest bez porównania lepszą odemnie [1]). Zabrawszy więc potrzebne pakunki, odjechały w towarzystwie dwóch naszych Ojców kar-

[1]) Była to Matka Anna od św. Alberta, ta sama, która wraz z drugiemi wybranemi przez Świętą siostrami towarzyszyła jej do Sewilli, i której święta fundatorka tak wysokie oddaje pochwały. Ob. wyż. r. XXIV.

melitów Bosych; bo O. Julian z Awili i Antoni Gaytan już byli przedtem powrócili do siebie i ze względu na wielką odległość jak i na porę nie sprzyjającą, gdyż było to w grudniu, nie chciałam, by znowu na tę daleką podróż się narażali. Przybywszy na miejsce, zostały powitane z wielkiemi oznakami radości przez lud wszystek, a szczególnie ucieszyły się do nich uwięzione nasze aspirantki. Fundacya klasztoru, przez wprowadzenie Najświętszego Sakramentu, odbyła się w uroczystość Imienia Jezus, to jest w dzień Nowego Roku 1576. Dwie z tych trzech panien zaraz przywdziały habit; trzecia, bardzo podległa melancholii, snać zlękła się takiego ścisłego zamknięcia, a tem bardziej jeszcze takiej surowości życia i ostrej pokuty; postanowiła zatem wrócić do domu i zamieszkać przy siostrze. Obaczcie tu, córki, i uwielbiajcie niezbadane sądy Boże; obaczcie i zważcie, jaką wdzięczność, jak wierną służbę winniśmy Panu za to, że użyczył nam łaski wytrwania w powołaniu naszem, że dozwolił nam dojść aż do profesyi, że teraz dano nam jest mieszkać w tym Bożym domu Jego i zwać się córkami Najświętszej Matki Jego. Dobrą zrazu wolę i majętność tej panienki przyjął Pan i użył jej na założenie tego klasztoru; aż oto, w chwili gdy mogła już się cieszyć posiadaniem tego, czego przedtem tak gorąco pragnęła, zabrakło jej odwagi i przyrodzony temperament wziął górę nad pociągiem do rzeczy wyższych [1]). Jakże często, córki, na ten temperament składamy winę niedoskonałości i niestateczności naszych!

Niechaj Pan w Boskiej dobroci swojej raczy nam hojnie użyczać swej łaski; jej pomocą wsparte, śmiało i bezpiecznie będziemy szły naprzód i żadna rzecz na świecie nie powstrzyma kroków naszych w coraz wyższym w służbie Jego postępie. Niechaj nas wszystkie obroną i opieką swoją otacza, aby ta

---

[1]) Tą trzecią aspirantką była Donna Franciszka de Tauste. Choć zachwiała się na chwilę, Bóg przecie jej nie opuścił. W kilka miesięcy potem, O. Gracian, w czasie kanonicznej wizyty klasztoru, zastał ją tak umocnioną na duchu i na wszelką z siebie ofiarę gotową, że bez wahania pozwolił jej przywdziać habit. Odtąd wszystkie trzy były i aż do śmierci pozostały ozdobą powstałej za ich sprawą fundacyi.

wielka sprawa, którą w takich mizernych, jakiemi my jesteśmy, niewiastach rozpoczął, przez nasze niedołęstwo nie ucierpiała szkody. O tę łaskę, siostry moje, córki moje, w imieniu Jego was błagam, nigdy Pana prosić nie ustawajcie. I każda nowo wstępująca niechaj z takim zapałem zabiera się do pracy, jak gdyby od niej dopiero zaczynało się to przywrócenie pierwotnej reguły Najświętszej Panny, Pani naszej. Nigdy, pod żadnym warunkiem, nie dopuszczajcie najmniejszego tej reguły zwolnienia. Pamiętajcie, że rzeczy małe otwierają wrota największym, i tak, powoli, nieznacznie, duch świata do was się zakradnie. Pamiętajcie, w jakiem ubóstwie, z jakim trudem powstało to, czem wy dzisiaj w spokoju się cieszycie. Przypatrzcie się dobrze, a obaczycie, że po większej części nie ludzie założyli te domy, jedno potężna ręka Boga; obaczycie, jak dziwnie Boska wielmożność Jego umie i rada doprowadzać do szczęśliwego końca sprawy przez nią poczęte, jeśli jedno my nie stawiamy jej przeszkód. Skąd, naprzykład, pomyślcie tylko, taka jak ja nędzna niewiasta, zależna, bez grosza w kieszeni, bez żadnego z nikąd poparcia czy życzliwej pomocy, mogła znaleźć środki do wykonania tak wielkich przedsięwzięć? Prawda, że do fundacyi Sewilskiej miałam pomoc od brata mego, który posiadał nieco majątku i serce wspaniałomyślne, i ochotną gotowość do wspomożenia nas w czemkolwiek: ale przedtem, w czasie tylu poprzednich fundacyi, brat ten był daleko, aż w Indyach. Widzicie więc, widzicie, córki moje, że ręka Boga to wszystko zdziałała. Albo może przez wzgląd na wysokie z krwi szlacheckiej urodzenie moje, kwapiono się uczcić mię skutecznem zamiarów moich poparciem? Wiecie dobrze, że nie. Słowem, z którejkolwiek strony zechcecie się zapatrywać na te fundacye, na to w nich odnowienie Karmelu, zawsze znajdziecie, że jest to własne dzieło Jego. Czyż nie jest to naglącą dla nas pobudką, byśmy się starały aby dzieło to najmniejszego przez nas nie doznało uszczerbku, choćby nas to miało kosztować życie, i cześć, i pokój, tem bardziej więc, kiedy ono właśnie prawdziwe nam życie i cześć i pokój zapewnia? Bo jakież życie prawdziwiej może zwać się życiem, jedno gdy tak się żyje, iżby nam nie były strasznemi ani śmierć, ani żadne tego

życia ziemskiego przygody; gdy się ustawicznie czuje w sercu tę radość wewnętrzną, którą wy tutaj wszystkie się cieszycie; gdy się używa najwyższej, jaka może być na tej ziemi, pomyślności, tej pomyślności, która tu jest udziałem naszym, że ubóstwa nie tylko się nie boimy, ale je owszem kochamy? A z czem porównać ten pokój wewnętrzny i zewnętrzny, w jakim tu upływają dni wasze? W waszej jest mocy, w tym pokoju żyć i umierać, umierać tak, jak już nieraz widziałyście że umierają te, które w tych domach Bogu duszę oddają. Bo skoro nieustannie Boga prosić będziecie o coraz dalsze tego zakonu naszego postępy i własny wasz coraz wyższy postęp w cnotach, skoro nic zgoła nie polegając na samych sobie, w Nim całą ufność waszę pokładać będziecie, i mężnem sercem Jemu służyć, i Jemu czynić całkowitą, bez podziału, z siebie ofiarę, On który kocha serca szlachetne i wspaniałe, nie odmówi wam miłosierdzia swego. Nie bójcie się, by wam kiedy zabrakło rzeczy potrzebnych do życia. Nigdy nie odmawiajcie żadnej zgłaszającej się o przyjęcie, jeśli jedno ma dobrą wolę i odpowiednie zdolności, jeśli przychodzi, nie po to jedynie, aby zapewniła sobie schronienie i kawałek chleba, ale po to, aby doskonalej mogła służyć Bogu, niech sobie będzie ubogą w dobra ziemskie, byleby bogatą była w cnoty. Co na wyżywienie takiej wydacie, Bóg wam to zwróci w dwójnasób: za to ręczyć mogę, bo wiem o tem z wielokrotnego doświadczenia mego. Nigdy, wiadomo to Panu, nigdy, o ile pamiętam, nie odmówiłam żadnej przyjęcia dla tego, że była ubogą, jeśli jedno z wewnętrznego jej usposobienia byłam zadowolnioną. Świadczy o tem, jak i wam wiadomo, wielka liczba przyjętych dla samej tylko miłości Boga. I mogę was upewnić, że nie z taką radością przyjmowałam te, które wnosiły znaczny posag, jaką mi sprawiało przyjęcie tych, które nic z sobą nie przynosiły prócz ubóstwa i dobrej woli swojej; bogate owszem przyjmowałam z pewną obawą, gdy przeciwnie ubogie rozszerzały mi serce i taką mi sprawiały radość, że nieraz, prawdę mówię, płakałam z wielkiego uszczęśliwienia wewnętrznego. Jeśliż w czasie, gdy trzeba było domy kupować i zakładać, mogłyśmy tak przyjmować zupełnie ubogie, a przecie z łaski

Boga ani dla nich ani dla nas chleba nie zabrakło, cóżby to było gdybyśmy teraz, kiedy mamy z czego żyć, chciały postępować inaczej i na posagi się oglądać, a nieposażnym wstępu odmawiać? Wierzajcie, córki, że zysk, którybyście sobie z tego obiecywały, zamieniłby się w stratę. Która zaś wstępująca posiada majątek, nie mając żadnych skądinąd zobowiązań, ponieważ nie może go zatrzymać dla siebie, więc lepiej by wam go oddała jako jałmużnę, niżby miała nim zbogacać osoby postronne, które może go nie potrzebują; gdyby inaczej postąpiła, wyznaję, że poczytywałabym jej to za brak miłości. Zawsze jednak na to pilną baczność obracajcie, by wstępująca, co do sposobu rozporządzenia majętnością swoją, radziła się teologów i uczyniła wedle tego, co oni uznają za odpowiednie dla większej chwały Bożej; bo byłoby to bardzo niepięknie z naszej strony, gdybyśmy od postulantek naszych czegokolwiek żądały lub cokolwiekbądź brały, coby nie zmierzało do tego jedynego celu. Gdy one spełnią to, co winne są Bogu, to jest gdy uczynią to, co jest doskonalszego, większą to będzie dla nas korzyścią niż wszelkie posagi, jakieby nam wnieść mogły; boć wszystkie my do tego jedynie dążymy i na to tylko Bóg taką pomyślnością ten zakon nasz darzy, aby we wszystkiem i z wszystkiego Boski Jego Majestat miał cześć i chwałę. Choć taka jestem grzeszna i nędzna, to przecie powiedzieć mogę na większą chwałę Pana i na pociechę waszę, abyście wiedziały, w jaki sposób zakładały się te domy Jego: że we wszelkich moich o założenie ich staraniach i rokowaniach, i we wszelkich, jakie mi się ku temu nastręczać mogły środkach i ułatwieniach, i jakkolwiek nieraz się zdawało, że niepodobna będzie doprowadzić danej fundacyi do pomyślnego końca, bez odstąpienia w czem bądź od onej głównej intencyi, nie byłabym przecie uczyniła, i nigdy nie uczyniłam, — w sprawie tych fundacyi, mówię, nic takiego, w czembym widziała najmniejszą niezgodność z wolą Pańską, idąc w tem zawsze za radą spowiedników moich, którzy, jak wam wiadomo, wszyscy, ilu ich miałam od samego początku mojego do tych spraw powołania, byli wielkimi, uczonymi teologami i świętobliwymi sługami Bożymi; nie pamiętam zgoła by kiedy choć na chwilę

myśl mi przyszła odstąpienia w czemkolwiek od tej zasady. Może się mylę, może popełniłam wiele błędów, do których się nie poczuwam, i niedoskonałości zapewne było bez liku. Zliczył je Pan, który sam jest Sędzia prawdziwy; ja tylko mówię, jak i o ile znam siebie i rozumiem Ale i to jasno widzę, że wierność, z jaką trzymałam się onej naczelnej zasady, nie ze mnie pochodziła, jedno od Boga; Bóg chciał, aby te fundacye przyszły do skutku i dla tego wspierał mię, jako wybrane ku temu narzędzie swoje i taką mi łaskę czynił. W tym też jedynie celu o tem mówię, córki moje, abyście tam lepiej zrozumiały, jak wielką Jemu wdzięczność winnyście, i abyście wiedziały, że chociaż tyle tych domów naszych do tego czasu powstało, żadnej przecie założenie ich nie przyniosło nikomu ciężkości ani uszczerbku. Niech będzie błogosławiony On, który wszystko to sprawił i duszom dobrym miłość dał do serca, aby nam w pomoc przyszły. Niech raczy w Boskiej dobroci swojej nigdy nas nie wypuszczać ze swej opieki i łaski swojej nam użycza, abyśmy umiały nie okazać się niewdzięcznemi za tyle dobrodziejstw Jego, amen.

Z poprzedzających opisów widziałyście już po części, jakie trudy mieliśmy do zniesienia z powodu tych fundacyi, chociaż te, które tu wspominałam, były może jeszcze z mniejszych. Gdybym je miała opowiadać wszystkie po szczególe, nie prędko skończyłabym, tyle tam było różnego ciężkiego umęczenia, po drogach najgorszych, przez rzeki wezbrane i głębokie śniegi, tracąc nieraz właściwy kierunek i błądząc po bezdrożach, często jeszcze, co najgorsza, w bardzo złym stanie zdrowia. Raz, — nie pamiętam czy o tem w swojem miejscu mówiłam, — pierwszego dnia podróży naszej z Malagonu do Veas, wyjeżdżałam z taką silną gorączką, przy całym steku różnych cierpień i bolów, że widząc siebie tak słabą, a drogę przed sobą tak daleką, mimo woli wspomniałam na słowa ojca naszego Eliasza, gdy uciekając przed Jezabelą, mówił: — „Panie, skąd wezmę siły, bym zdołał wytrzymać to wszystko? Ty sam racz wejrzeć w to.“ Lecz oto Pan, widząc mię taką słabą, w jednej chwili uwolnił mię i od gorączki, i od wszystkich bolów moich. Tak było nagłe to uzdrowienie,

i wszelkich cierpień moich, wewnętrznych i zewnętrznych, ustanie, że gdym się później nad tem zastanawiała, przyszło mi na myśl, iż stało się to za sprawą jednego świętobliwego sługi Bożego, kapłana, który właśnie w onej chwili był nadszedł i bardzo być może, że się w tem nie mylę. W chwilach lepszego zdrowia, wszelkie trudy fizyczne łatwo i z weselem znosiłam. Fantazye i humory różnych, które przy tych fundacyach w każdej miejscowości przychodziło znosić, nie mało nam przyczyniały utrapienia; a rozstawanie się z siostrami i córkami mojemi, gdy potrzeba mi było jeździć z miejsca na miejsce, dzięki tej wielkiej miłości jaką im niosę, nie było, upewniam was, najlżejszym z krzyżów moich. Zwłaszcza gdy przewidywałam, że ich nigdy już nie obaczę, gdy patrzałam na ciężkie ich zmartwienie i łzy, serce mi się z żalu krajało. Choć zupełne w nich jest oderwanie się od wszystkich rzeczy tego świata, Bóg im nie dał tej łaski, by oderwały się odemnie, na to snać, bym ja tem większą mękę miała, bo i ja nie umiem oderwać się od nich. Starałam się wprawdzie, ile mogłam, nie okazać im wzruszenia mego, owszem i strofowałam je za niepohamowane poddawanie się żalowi swemu; ale nic to nie skutkowało, wobec wielkiej miłości, jaką mają dla mnie, a która, jak jest szczerą i prawdziwą, tego niezliczone miałam od nich dowody.

Wiadomo wam także, że wszystkie te fundacye zostały dokonane, nie tylko za pozwoleniem przewielebnego naszego Ojca generała, ale że i pozwolenie to było potem wydane w formie wyraźnego polecenia albo rozkazu. Co większa, za każdą fundacyą, objawiał mi listownie niezmierną radość swoję z powstania tego nowego klasztoru. Zadowolnienie jego było zaiste największą dla mnie w trudach i ciężkościach moich osłodą; pominąwszy że bardzo go kocham, zdawało mi się, że Pana samego pocieszam, przyczyniając pociechy przełożonemu, na miejscu Jego mną rządzącemu. W końcu jednak, czy to że Pan w Boskiej łaskawości swojej chciał mi użyczyć nieco odpoczynku, czy też że dyabeł nie mógł dłużej znieść widoku mnożących się tylu domów, służbie i chwale Bożej poświęconych, dalsze fundacye nasze nagle zostały wstrzymane. Nie

stało się to, rozumie się z woli naszego Ojca generała; przeciwnie, jeszcze na krótko przedtem, na błagalną prośbę moję, by mnie zwolnił od rozkazu zakładania dalszych domów, O. generał był mi odpowiedział, że tego nigdy nie uczyni, że owszem pragnie, bym tyle fundowała klasztorów, ile mam włosów na głowie. Przed wyjazdem z Sewilli, w skutek świeżo odbytej kapituły generalnej, która zdawałoby się powinna była raczej uznać za przysługę oddaną zakonowi przymnożenie mu tylu nowych klasztorów, otrzymałam rozkaz, wydany przez definitorów, bym nie tylko zaniechała wszelkich dalszych fundacyi, ale nad to jeszcze, bym sama obrawszy sobie na stałe mieszkanie który zechcę klasztor, z niego się pod żadnym pozorem nie wydalała[1]). Równało się to skazaniu mnie na więzienie; bo nie masz zakonnicy, którejby, gdy dobro zakonu tego wymaga, prowincyał nie był mocen posyłać z miejsca na miejsce, to jest z jednego klasztoru do drugiego. Gorsza to, i to jedynie prawdziwem było dla mnie zmartwieniem, że nasz Ojciec generał był zagniewany na mnie, nie z winy mojej, jedno skutkiem fałszywych doniesień ludzi nieżyczliwych. Przytem jeszcze dowiedziałam się o dwu bardzo ciężkich oskarżeniach, które na mnie podniesiono.

Otóż, abyście widziały, jak wielkie jest miłosierdzie Pana, i jako Boska dobroć Jego nigdy nie opuszcza tych, którzy pragną Mu służyć, powiem wam, siostry, i upewniam was, że oszczerstwa te rzucone na mnie, nie tylko żadnej mi nie sprawiły przykrości, ale jeszcze tak wielką i jakby z brzegów występującą napełniły mię radością, iż niepodobna mi było w sobie ją powstrzymać, i już się nie dziwiłam Dawidowi, że wprowadzając na górę Syon arkę Pańską, skakał przed nią i tańczył jakby szalony, raczej sama radabym była czynić podobnież, od tego wielkiego rozradowania, którego ukryć w sobie nie mogłam. Nie wiem sama, skąd ono we mnie się wzięło, bo jak-

[1]) Wspomniana kapituła generalna karmelitów trzewiczkowych odbyła się we Włoszech, w Piacencyi, d. 22 maja 1575 r. rozkaz zaś, o którym mówi Święta, został jej wręczony pod koniec tegoż roku przez O. Anioła Salazar, prowincyała reguły złagodzonej.

kolwiek nieraz miałam do zniesienia dotkliwe szarpania sławy mojej i przeciwieństwa, nigdy z nich nie doznałam takiego uszczęśliwienia jak w tym razie, choć z tych dwu zarzutów mi uczynionych jeden przynajmniej był w rzeczy bardzo ważnej. Co do zakazu fundowania dalszych klasztorów, gdyby nie bolesne mi zagniewanie przewielebnego Ojca generała, przyjęłabym go raczej jako pociechę i ulgę ze wszech miar najpożądańszą, bo od dawna pragnęłam tego, by mi dano było w spokoju życie zakończyć. Zapewne że insza była myśl i zamiar tych, którzy mi oddali tę przysługę; sądzili oni, że wyrządzają mi największą w świecie przykrość i zmartwienie: choć przy tem może mieli też i dobrą jaką intencyę. Nie przeczę, że nieraz i w innych zdarzeniach cieszyłam się z dojmujących sarkań i przeciwieństw, jakich w ciągu tych moich wędrówek fundacyjnych doznałam od wielu, bądź w dobrej intencyi, bądź w innym celu na mnie powstających; ale tak wielkiej radości, jaką to prześladowanie we mnie wzbudziło, nigdy, powtarzam, w żadnem z poprzednich utrapień moich nie miałam; przeciwnie, jedna tylko taka gorycz, jakich tu aż trzy od razu na mnie przyszło, w innym czasie ciężkie, wyznaję, byłaby mi sprawiła zmartwienie. Główną, jak sądzę, przyczyną radości mojej była ta myśl, że kiedy stworzenia w taki sposób mi odpłacają, więc snać kontent ze mnie Stworzyciel. Bo mam to mocne przekonanie, że kto zadowolnienie i szczęście swoje pokłada w rzeczach tej ziemi, albo w pochwałach ludzkich, ten gorzki sam sobie zawód gotuje: choćby te rzeczy mogły przynieść jaką korzyść rzeczywistą, tem samem już zawodzą, że są niestałe; ludzie dziś takie mają zdanie, jutro mają inne; co dzisiaj chwalą, to jutro potępiać będą. Bądź błogosławiony, Boże i Panie mój: Tyś sam niezmienny na wieki wieków, amen. Kto Tobie służy wiernie aż do końca życia swego, ten bez końca będzie żył w wieczności twojej.

Fundacye te, jak powiedziałam na wstępie, zaczęłam pisać z rozkazu Ojca magistra Ripalda, z Towarzystwa Jezusowego, rektora kollegium Salmantyceńskiego, i naonczas spowiednika mojego. W czasie więc pobytu mego w tamecznym klasztorze św. Józefa, w roku 1573, napisałam kilka tych fun-

dacyi [1]); potem, z powodu wielu innych zajęć moich, przerwałam pisanie i nie miałam już zamiaru pisać dalej, raz że skutkiem przeniesienia Ojca Ripalda w inne strony już się u niego nie spowiadałam, a powtóre dla tego, że i to, co byłam do tego czasu napisała, wiele mię kosztowało trudu i dotkliwych cierpień, lubo ich nie żałuję i nie uważam ich za stracone, skoro je ponosiłam przez posłuszeństwo i pisałam dla spełnienia danego mi rozkazu. Miałam więc mocne postanowienie zaniechać zupełnie dalszego pisania; ale poniewolnie zmuszona byłam zmienić postanowienie moje, otrzymawszy od komisarza apostolskiego, Ojca magistra Hieronima Gracian od Matki Bożej, rozkaz dokończenia opisu tych fundacyi. Broniłam się od tego rozkazu jak mogłam, dając przez to dowód, jak bardzo jestem niedoskonałą w posłuszeństwie; wymawiałam się brakiem czasu, i inne, jakie mi tylko na myśl przyszły, racye Ojcu przedstawiałam, bo w rzeczy samej, robota taka, przy tylu innych trudach, jakiemi jestem obarczona, wielkiego mi przyczyniała obciążenia, Ojciec jednak na moje wymówki nie zważał i powtórzył mi rozkaz, bym powoli, jak zdołam, pisała dalej aż do końca. Usłuchałam, i oto skończyłam; zdając się w zupełności na sąd tych, którzy mają rozum i łaskę po temu, aby, jeślim co źle powiedziała, wykreślili; może właśnie złem się okaże to, co mnie się zdaje najlepszem. Skończyłam [2]) dzisiaj, w wigilię św. Eugeniusza, dnia 14-go listopada roku 1576, w klasztorze św. Józefa w Toledzie, gdzie obecnie przebywam z rozkazu O. komisarza apostolskiego, magistra Hieronima Gracain od Matki Bożej, dzisiejszego naszego przełożonego nad klasztorami męskimi zarówno jak i żeńskimi pierwotnej reguły Karmelu, a zarazem i wizytatora

[1]) To jest opis fundacyi pierwszych ośmiu klasztorów, tudzież pierwszego klasztoru męskiego w Durvelo; ob. Objaśnienia wstępne.

[2]) To jest, tę drugą, od rozdziału 21-go do 27-go, część, obejmującą fundacye w Segowii, w Veas, Sewilli i w Karawaka, a która, jak wówczas sądziła Święta, miała być ostatnią, ponieważ w skutek oznajmionego jej zakazu, była przekonaną, że dalszych fundacyi już zakładać nie będzie. Ob. Objaśnienie wstępne.

wnętrznem, jakby mię to nic nie kosztowało. Nikt temu nie chciał dać wiary, sameż nawet osoby bogomyślne, które ze mną przestawały, były przekonane, że muszę być bardzo zawstydzoną i zmartwioną; owszem nawet i spowiednik mój nie mógł tego pojąć. Mnie zaś zdawało się, że skoro uczyniłam wszystko, co było w mojej możności, on rozkaz Pański do niczego więcej mnie nie obowiązuje, i spokojnie pozostawałam na dawnem miejscu, bo było mi tam dobrze i przyjemnie. Nigdy jednak ani na chwilę nie zdołałam rozstać się z tem mocnem przekonaniem, że choć ja żadnego na to nie mam sposobu, przecie to, co Pan kazał, stanie się; nie widziałam kiedy i jak, ale byłam zupełnie pewna, że się stanie.

Inna rzecz za to bardzo głęboko w tym czasie mię dotknęła, mianowicie list, jaki otrzymałam od spowiednika mego, a w którym tenże takie mi czynił wyrzuty, jak gdybym ja w czemkolwiek była się sprzeciwiła woli jego. Taka widać była wola Pańska, by i z tej strony, dla mnie najboleśniejszej, nie ominęło mnie cierpienie; bo wśród tego mnóstwa prześladowań, zdawało mi się, że przynajmniej od spowiednika mogę się spodziewać pociechy. Pisał mi więc, że chyba już musiałam się przekonać, że wszystko to, czego się dobijałam, było tylko mrzonką: niechże więc już teraz się poprawię, i z niczem się nie wyrywam, ani już więcej o tem nie wspominam, boć widzę jakie z tego urosło zgorszenie, i inne rzeczy tym podobne, jakby umyślnie dobierane dla zrobienia przykrości. List ten zmartwił mię więcej, niż wszystkie inne przykrości razem wzięte; lękałam się, czy snać rzeczywiście z mojego powodu i z winy mojej Bóg nie został obrażony; i jesli te widzenia moje były złudzeniem, tedyć, tak myślałam sobie, i wszystka modlitwa moja wewnętrzna jest czczą tylko marą, i ja sama najsrożej oszukaną i najnędzniejszą istotą. Obawy te i trwogi tak mię nękały, iż wszystka byłam wewnątrz zmięszana i w najgłębszym smutku pogrążona. Ale Pan, jako nigdy we wszystkich tych utrapieniach, jak je dotąd opisałam, mnie nie opuścił, i po wiele razy, o czem tu nie ma potrzeby mówić, pocieszał mię i umacniał, tak i w tem zdarzeniu przybył mi na ratunek, i rzekł do mnie „bym się nie dręczyła: że nie tylko nie obraziłam Go

bardzo świętobliwy, choć sam był dał pozwolenie na wszystkie te fundacye, — z wyjątkiem jednej tylko fundacyi św. Józefa w Awili, która była najpierwszą i na którą miałyśmy pozwolenie od samego Papieża, — teraz jednak, ulegając ciągłym podżeganiom niechętnych, całą powagą władzy swojej wystąpił przeciw karmelitom Bosym, chcąc położyć tamę dalszemu ich szerzeniu się; ale dla klasztorów sióstr naszych zawsze pozostawał życzliwym. Do mnie tylko, ponieważ popierałam braci i w zakładaniu klasztorów im pomagałam, umieli go zniechęcić [1]). Było to dla mnie strapienie najdotkliwsze nad wszelkie inne, jakie wycierpiałam w ciągu tych fundacyi, a wycierpiałam ich wiele. Zaniechać dalszego współdziałania w szerzeniu rozpoczętej sprawy, w której jasno widziałam

[1]) Początek tej zawieruchy, która o mało nie zmiotła rodzącej się reformy Karmelu, w krótkich słowach był następujący. Karmelici złagodzonej obserwancyi bardzo za złe wzięli św. Teresie zaprowadzoną jej staraniem reformę w zakonie: poczytywali ją sobie za poniżenie i osobistą obrazę, upatrywali w niej kość niezgody, zarzewie rozdwojenia, swawolnie rzucone między spokojnych dotąd synów Eliaszowych, zaczem uznali, że dla przywrócenia zakłóconej zgody potrzeba rychło stłumić niewczesną reformę, nim by zdołała zakorzenić się i rozszerzyć. W tym celu, nie przebierając w środkach, nie wahali się w zapamiętałości swojej posunąć się do gorszących bezprawi i ohydnych gwałtów, o których Święta tu mimochodem tylko napomyka, a których bardzo smutnej historyi i my nie mamy potrzeby szerzej tu opowiadać. Podstępnemi doniesieniami i podżeganiami swemi zdołali na swoję stronę pociągnąć samegoż generała zakonu, O. Rubeo. Generał wiedział dobrze, kto jest Matka Teresa, ale nie stało mu odwagi do stawienia czoła zaciekłości karmelitów hiszpańskich, i zdradził sprawę prawdy i sprawiedliwości, wydając świętą reformatorkę Karmelu na łup jej nieprzyjaciół. Postanowiwszy więc zdusić powstającą reformę, pozyskał sobie poparcie nowego Nuncyusza, Filipa Sega. Ten, skoro przybył do Hiszpanii, w przekonaniu, że wymaga tego dobro Kościoła, z bezwzględną stanowczością przyłożył się do wykonania zamiarów generała: karmelitki wznowionej reguły pierwotnej poddał pod ścisły i nieprzychylny dozór karmelitów Trzewiczkowych, a nieliczne klasztory braci Bosych rozwiązał, i zakonników wydanych na poniewierkę po klasztorach luźnej obserwancyi porozmieszczał. W końcu jednak prawda wzięła górę; Nuncyusz przekonał się, że był w błąd wprowadzony, i staraniem króla Filipa II, Papież Karmel odnowiony uznał za oddzielną prowincyę, niezależną od karmelitów Trzewiczkowych.

i większą chwałę Bożą, i wzrost naszego zakonu, żadną miarą nie mogłam: nie zgadzali się na to mężowie głęboko uczeni i wielcy teologowie, u których się spowiadałam i których rady zasięgałam; działać zaś w brew woli zwierzchnika mego, było to dla mnie śmiertelną boleścią, nie tylko dla tego że miałam obowiązek go słuchać, ale i dla tego, że kochałam go serdecznie, co i ze wszech miar mu się należało. Z tem wszystkiem jednak, jakkolwiekbym była rada być mu powolną, w tym razie nie mogłam, bo miałyśmy wizytatorów apostolskich, których bezwarunkowo potrzeba mi było słuchać. Umarł w tym czasie Nuncyusz, człowiek święty, wielki zwolennik wszelkiej sprawy dobrej, a zatem i braci Bosych ceniący [1]). Następca jego, snać umyślnie zesłany od Boga, aby nas ćwiczył w cierpliwości, daleki krewny Papieża [2]), okazał im się przeciwnym. Nie wątpię, że jest on godnym sługą Bożym, ale na samym wstępie bardzo stanowczo i silnie stanął po stronie Trzewiczkowych, i zupełną dając wiarę nieprzychylnym ich na nas doniesieniom, najmocniej był przekonany, że dobro Kościoła wymaga stłumienia w samym zarodku wszczętej przez nas sprawy przywrócenia reguły pierwotnej. Począł więc postępować z naszymi z niesłychaną surowością, z góry potępiając i na więzienie, lub na wygnanie skazując każdego, kogo posądzał o chęć sprzeciwiania się zamiarom i rozporządzeniom jego. Najsroższej skutkiem tego ucierpieli O. Antoni od Jezusa,

[1]) Mikołaj Ormaneto, jeden z najgorliwszych biskupów w. XVI. Towarzyszył Kardynałowi Polo do Anglii, potem uczestniczył w Soborze Trydenckim. Został następnie wikaryuszem generalnym św. Karola Boromeusza, w końcu biskupem padewskim. Przybył do Hiszpanii w charakterze Nuncyusza, r. 1572, i tamże umarł w czerwcu r. 1577, w takiem, skutkiem rozrzutnej dobroczynności swojej, ubóstwie, że król musiał wziąć na siebie koszta pogrzebu jego.

[2]) Nowym tym Nuncyuszem był Filip Sega, spokrewniony z kardynałem Buoncompagni, wnukiem po ciotce Papieża Grzegorza XIII. Kardynał ten był protektorem zakonu karmelickiego złagodzonej obserwancyi i przez niego karmelici hiszpańscy umieli trafić do Nuncyusza i oszczerczemi przedstawieniami swemi tak go dla św. Teresy i podjętej przez nią reformy nieprzychylnie usposobić.

ten sam, który był dał początek pierwszemu klasztorowi karmelitów Bosych, O Hieronim Gracian, którego poprzedni Nuncyusz był mianował wizytatorem apostolskim Trzewiczkowych, a któremu ten nowy Nuncyusz szczególną niełaskę i niechęć okazywał, i O. Maryan od św. Benedykta. O tych trzech Ojcach obszernie mówiłam wyżej w tych fundacyach i wykazałam niepospolite ich zalety i wysokie zasługi. Innych jeszcze, z pomiędzy najpoważniejszych, obłożył Nuncyusz pokutami, choć mniej surowemi; tamtym zaś trzem wyżej wymienionym pod zagrożeniem najcięższych kar zabronił wszelkiego bezwarunkowo wdawania się w sprawy zakonu. Wszystko to, któżby o tem wątpił? stało się zrządzeniem Opatrzności; Bóg dopuścił na nas to złe, aby wyszło z niego większe dobro, to jest aby się jawnie okazały cnoty tych Ojców, jak się i w rzeczy samej okazały. Wizytatorem klasztorów naszych, męskich i żeńskich, ustanowił Nuncyusz jednego z Ojców reguły złagodzonej, z czego, gdyby rzeczy tak były u nas stały jak on sobie wyobrażał, ciężkie byłoby dla nas wynikło uciemiężenie; ale mieliśmy je i tak, i nie lekkie, jak to opowie zdolniejszy odemnie i lepiej niżbym ja potrafiła, wszystko to opisze. Ja tu pokrótce tylko o tych przejściach napomykam, aby siostry, które po nas przyjdą, poznały stąd, jak wielki mają obowiązek dążenia do coraz wyższej doskonałości, mając już prostą i równą do niej drogę, której utorowanie tyle te dziś żyjące kosztowało; bo niektóre z nich srogo ucierpiały od rzucanych na nie ciężkich oskarżeń i oszczerstw, i daleko bardziej nad niemi bolałam, niż nad tem, co sama miałam do zniesienia; własne moje cierpienia wielką raczej były dla mnie pociechą. Mówiłam sobie, że ja sama jestem przyczyną całej tej zawieruchy, i że, gdyby mię jak Jonasza wrzucono do morza, ustałaby nawałność. Lecz dzięki niechaj będą i uwielbienie Bogu, iż i tu, jak zawsze, okazał się obrońcą prawdy. Przejścia nasze doszły do wiadomości katolickiego króla naszego Filipa, który znając już rodzaj życia i zakonną ścisłość karmelitów Bosych, wziął w ręce obronę naszę. Nie pozwolił by Nuncyusz sam jeden rozsądzał sprawę naszę, ale dodał mu do boku czterech pomocników, mężów poważnych i znamienitych, z pomiędzy których trzech

było zakonników, aby za wspólnym ich sądem, wyrok na nas wypadł sprawiedliwy. Jednym z tych trzech był O. magister Piotr Fernandez, mąż bardzo świętobliwego życia, głębokiej przytem nauki i niepospolitego rozumu. Był on poprzednio komisarzem apostolskim i wizytatorem karmelitów Trzewiczkowych w Kastylii, i my też podlegaliśmy władzy jego: dobrze mu więc był wiadomym istotny stan rzeczy, jakie życie wiedli tamci, a jakie my; o to też jedynie nam chodziło, i tego jedynie pragnęliśmy, by wiedziano o nas całą i czystą tylko prawdę. Skoro więc dowiedziałam się, że król jego mianował, z góry byłam pewną, że sprawa nasza wygrana, jak nią dziś jest w istocie, co jak się stało z łaski i miłosierdzia Bożego, tak też niechaj będzie na cześć i chwałę Boskiego Majestatu Jego. Bo jakkolwiek wielu było biskupów i panów możnych, którzy usiłowali oświecić Nuncyusza, jak rzeczy istotnie się mają, daremne wszakże byłyby wszystkie ich przedstawienia, gdyby nie było się spodobało Bogu użyć króla za narzędzie do wyświetlenia prawdy.

Święty my wszystkie mamy obowiązek, siostry, ustawicznie w modlitwach naszych polecać Bogu króla jegomości, i tych wszystkich, którzy za przykładem jego poparli sprawę Pańską i sprawę Najświętszej Panny, Pani naszej. Mocno wam ten obowiązek do serca kładę. Same widzicie, jakaby, bez ich pomocy, pozostała dla nas możność dalszych fundacyi. My z naszej strony nic innego uczynić nie mogłyśmy, jedno że wszystkie bezprzestannie w modlitwie i w pokucie błagałyśmy Boga, by dał wzrost rozpoczętemu dziełu, jeśli ono ma być na chwałę Jego.

W pierwszych jeszcze początkach tego srogiego prześladowania, które tak w krótkości opowiedziane może wam się wydać małem, ale w istocie było bardzo ciężkiem i długich dla nas cierpień powodem, — roku 1576, gdy wracając z fundacyi w Sewilli, zatrzymałam się była w Toledzie, zgłosił się do mnie pewien duchowny z Villanueva de la Xara, z listem od miejscowej rady municypalnej, wzywającym mię do założenia u nich klasztoru naszej reguły i przyjęcia do niego dziewięciu panien, które na kilka lat przedtem były się schroniły do pobliskiej pustelni św. Anny, i mieszkały razem w małej

chacie, przyległej do tej pustelni. Wszystka ludność miejscowa, patrząc na życie ich świętobliwe i całkiem w Bogu skupione, pragnęła dopomódz im do tego, co było najgorętszem ich pożądaniem, to jest do zamienienia swej pustelni w klasztor regularny. Pisał do mnie także w tymże przedmiocie Doktór Augustyn de Ervias, proboszcz miejscowy, mąż uczony i wysoko cnotliwy, zaczem i tę świętą sprawę z wszystkich sił swoich popierał. Mnie jednak zgodzenie się na wniesione do mnie żądanie zdawało się rzeczą ze wszech miar niepodobną, mianowicie z następujących czterech powodów. Najprzód, odstraszała mię sama już znaczna liczba aspirantek; obawiałam się, że nawykłym już do swojego sposobu życia, bardzo im trudno będzie nałamać się do naszego. Powtóre, nie posiadały one prawie żadnych środków utrzymania, a jałmużn, z miejscowości liczącej mało co więcej nad tysiąc mieszkańców, niepodobna było spodziewać się obfitych; a lubo rada miejska ofiarowała się z gotowością ponoszenia kosztów utrzymania klasztoru, nie zdawało mi się jednak, by obietnica ta dawała stałą rękojmię na przyszłość. Potrzecie, nie miały żadnego domu na pomieszczenie klasztoru. Poczwarte, miejscowość leżała daleko od wszystkich domów naszych. Przytem, jakkolwiek mię upewniano, że są to osoby bardzo cnotliwe, wszakże nie znając ich z widzenia, nie mogłam nabrać przekonania, czy posiadają one te przymioty, jakich my wymagamy w klasztorach naszych. Z tych wszystkich powodów, gotowa byłam dać stanowczą odmowę. Przedtem jednak, mając niezmienny zwyczaj, nigdy nie przedsiębrać niczego według własnego widzenia mego, nie zasięgnąwszy pierwej zdania ludzi zaufania godnych, chciałam pomówić o tej sprawie ze spowiednikiem moim, którym był w Toledzie doktór Velasquez, kanonik katedralny i profesor teologii na uniwersytecie, mąż bardzo uczony i cnotliwy, obecnie wyniesiony na stolicę biskupią Osma. Ten, przeczytawszy listy i całą sprawę zważywszy, poradził mi nie odmawiać, ale raczej dać odpowiedź przychylną; bo gdy Bóg, mówił, tyle serc połączył we wspólnem dążeniu do jednego celu, jest to znak, że chce mieć z nich chwałę swoję. Uczyniłam więc według rady spowiednika, nie objawiając ostatecznego zgodzenia się, ale i nie odmawiając stano-

wczo. Upłynęło tak lat cztery, aż do roku 1580; ciągle przez ten czas na mnie nalegano i przez różne osoby wpływano, bym już przystąpiła do dzieła; ja zawsze byłam zdania, że nierozsądkiem byłoby podejmować rzecz podobną; nigdy jednak, w odpowiedziach moich na te nalegania, nie mogłam się zdobyć na stanowczą odmowę.

Tymczasem, zrządzeniem Bożem tak się złożyło, że O. Antoni od Jezusa, po rozpędzeniu braci naszych, schronił się był, na czas wygnania swego, do klasztoru Najświętszej Panny Wspomożenia wiernych, odległego tylko o trzy mile od tegoż miasteczka Villanueva, zaczem często tam bywał dla przepowiadania słowa Bożego. Podobnież i przeor tego klasztoru, O. Gabryel od Wniebowzięcia, mąż niepospolicie roztropny i gorliwy sługa Boży, częstym w tem mieście był gościem. Oba, przez doktora Ervias, z którym się przyjaźnili, poznali one świętobliwe siostry i wielce się cnotliwem ich życiem budowali. Podzielając zatem w zupełności życzliwe dla nich usposobienie proboszcza i miejscowej ludności, ujęli się za niemi jakby za sprawą własną, i pisywali do mnie, z wielką usilnością wstawiając się za niemi. Co większa, w chwili gdym przebywała w klasztorze św. Józefa w Malagonie, choć stamtąd do Villanueva jest przeszło dwadzieścia i sześć mil drogi, O. przeor sam przyjechał do mnie, dla ustnego w tej sprawie rozmówienia się ze mną. Przedstawił mi, jako założenie tego klasztoru może się dopełnić bez wielkich trudności, zwłaszcza, że skoro się założy, doktor Ervias wyznaczy mu, uzyskawszy na to pozwolenie z Rzymu, trzysta dukatów rocznego dochodu z probostwa swego. Mnie ta obietnica wydała się rzeczą niepewną; dochód ofiarowany, dodawszy do niego własny choć bardzo szczupły fundusik sióstr, wystarczyłby zapewne na ich utrzymanie; ale to, że miał być ustanowiony nie zaraz, jedno dopiero po założeniu klasztoru, słuszną mogło wzbudzać obawę, że tymczasem obietnica pójdzie w niepamięć, albo przez zaniedbanie pozostanie bez skutku. Te i inne różne racye, w mojem przekonaniu dostateczne, podawałam O. przeorowi, dla przekonania go, że tej fundacyi podjąć się nie powinnam. Powiedziałam mu w końcu, by dobrze się nad tem z O. Anto-

nim zastanowił; że przedstawiwszy im powody, zdaniem mojem przekonywające, dla których zgodzić się nie chcę, zdaję całą sprawę na ich sumienie i odpowiedzialność. Na tem jednak nie poprzestając, zaraz po odejściu przeora, zważywszy że tak usilnie pragnąc tej fundacyi, pewno o zgodzenie się na nią będzie nalegał na obecnego zwierzchnika naszego O. magistra Anioła Salazar, nie tracąc czasu napisałam do tego ostatniego, przedstawiając mu racye moje i błagając go, by pozwolenia swego odmówił, na co on później mi odpisał, że i tak nie byłby go dał, nie dowiedziawszy się pierwej, czy ja na to się zgadzam.

Mniej więcej w półtora miesiąca potem, gdy już sądziłam, że układy ostatecznie zerwane, znowu zgłosił się do mnie posłaniec z listem od rady miejskiej i z formalnem tejże zobowiązaniem się do zaopatrywania wszelkich potrzeb przyszłego klasztoru; był przy tem i list od Doktora Ervias, stwierdzający i ponawiający poprzednią jego obietnicę, i listy od obu onych wielebnych Ojców, mocniej jeszcze niż przedtem nalegające o zgodzenie się moje na tę fundacyę. Ja jednak, nie mogąc się pozbyć obawy mojej, by przyjęcie tylu na raz obcych sióstr nie pociągnęło za sobą jakich niesnasek w zgromadzeniu, albo, jak to nieraz się zdarza, jawnego ze strony nowoprzyjętych oporu przeciw siostrom do nich, dla wdrożenia ich w nasz sposób życia, posłać się mającym; nie widząc przytem w dawanych mi gołosłownych, żadnym aktem urzędowym niepopartych obietnicach, dostatecznej pewności, zabezpieczającej stałe utrzymanie zamierzonej fundacyi, wciąż jeszcze się wahałam. Wielkie potem z tego miałam zawstydzenie, gdy wreszcie poznałam, że to moje wahanie się było sprawą złego ducha, który, choć zwykle z łaski Pana nie brak mi odwagi, taką wówczas na mnie rzucił małoduszność, jak gdybym żadnej już nie miała ufności w Bogu. W końcu przecie modlitwy onych dusz świętych silniejszemi się okazały niż małoduszne wątpliwości moje.

Pewnego dnia, po Komunii, w chwili gdy polecałam tę sprawę Bogu, jak to po wiele razy czyniłam, błagając o oświecenie, — bo wbrew wszelkim racyom przeciwnym, skłaniała

mię do dania raczej odpowiedzi przychylnej obawa, że odmawiając mogę niejednej duszy stanąć na przeszkodzie do wyższego uświęcenia siebie, oraz to pragnienie, które zawsze czuję w sobie, bym mogła w jakiejbądź mierze przyczynić się do rozszerzenia chwały Pańskiej i choć o jednę duszę pomnożyć liczbę sług Jego, — onego więc dnia po Komunii, Pan surowo mię strofując, rzekł do mnie te słowa: — „Jakiemiż to skarbami dokonało się to, czego dotąd dokonałaś? Nie wahaj się już przystać na założenie tego domu: będzie z niego wielkie pomnożenie chwały mojej, i pożytek dusz.“ — Taka jest potęga słowa Bożego, iż nie tylko głosem swoim przenika do duszy, ale i umysł oświeca, aby poznał prawdę, i wolę pobudza do ochotnego spełnienia jej. Tak stało się i ze mną po onem do mnie przemówieniu Pańskiem: z rozkoszą gotową byłam podjąć tę fundacyę; wyrzucając sobie i winną się czując, że tak długo z nią się ociągałam, i tak upornie powodowałam się rozumem i względami ludzkimi, po tylu przewyższających wszelki rozum ludzki cudach, jakie Boska wielmożność Pana w oczach moich zdziałała, na wzbudzenie i wzrost tego świętego zakonu.

Postanowiwszy już podjąć się tej fundacyi, z różnych, jakie mi się nastręczały powodów, uznałam, że sama powinnam odwieść siostry, które miały osiąść w nowym klasztorze, jakkolwiek ciało bardzo na to stękało, bo przyjechałam była do Malagonu w bardzo złym stanie zdrowia i ciągle byłam mocno cierpiącą. Lecz mając na względzie tylko chwałę Bożę, napisałam do przełożonego, prosząc by mi kazał, co uzna za najlepsze, na co on, przy upoważnieniu do tej nowej fundacyi, przysłał mi rozkaz, bym sama zjechała na miejsce, a siostry zabrała z sobą, które zechcę. Wybór tych sióstr nie był łatwy, niemałej mi troski przyczynił, z uwagi, że miały żyć wspólnie z tamtemi, jeszcze obcemi. Po gorącem tej sprawy poleceniu Panu, wybrałam wreszcie dwie z klasztoru św. Józefa w Toledzie, z tych jednę na przeoryszę, i drugie dwie z klasztoru Malagońskiego, z których jednę przeznaczałam na podprzeoryszę. Wybór, dzięki tylu w tej sprawie żarliwym modlitwom, okazał się bardzo szczęśliwym. Uważałam to sobie

za dowód szczególnej nad nami łaskawości Bożej; bo trudność tu była o wiele większa niż w innych fundacyach, gdy siostry nasze same, bez przymięszania obcych żywiołów, zaczynają; wtedy wszystko od razu łatwo i dobrze się składa.

Przyjechali po nas O. Antoni od Jezusa i O. przeor Gabryel od Wniebowzięcia, przywożąc nam wszelkie od miasta zapewnienia i rękojmie. Wyruszyliśmy więc z Malagonu w sobotę przed W. Postem, d. 13 lutego r. 1580. Spodobało się Bogu dać nam na drogę najpiękniejszą pogodę, a mnie zdrowie tak doskonałe, jak gdybym nigdy nie chorowała. Sama się zdumiewałam nad taką nagłą zmianą i nową stąd brałam sobie naukę, jak wiele na tem zależy, byśmy nigdy nie zważali na żadną słabość zdrowia, ani żadnem nie zrażali się przeciwieństwem, gdy chodzi o spełnienie jasno poznanej woli Boga; bo On mocen jest słabych uczynić silnymi i chorych zdrowymi; a gdyby tego nie uczynił i cierpienia nie odjął, znak to, że z samegoż cierpienia widzi większy duszy naszej pożytek. A więc, skoro nam objawi wolę swoję, idźmy za nią, patrząc tylko na cześć i chwałę Jego, a o samych sobie zapominając. Bo i na cóż nam dane jest życie i zdrowie, jedno na to, byśmy je strawić mogli na służbie tak wielkiego Króla i Pana? Tą drogą idąc, wierzajcie siostry, nigdy nie doznacie szkody, nigdy was nic złego nie spotka. Ja za dawnych lat moich, tak będąc niecnotliwą i słabą, nieraz, wyznaję, poddawałam się wątpliwościom i strachom; ale odkąd Pan mię odział w ten habit karmelitki Bosej, i już na kilka lat przedtem, nie pamiętam tego zdarzenia, by mi ten Boski Mistrz nasz, z samego tylko miłosierdzia swego, nie użyczył łaski zwyciężenia tych pokus i rzucenia się całą istnością moją ku temu, w czem uznam większą chwałę Bożą, choćby to była rzecz najtrudniejsza. Wiem ci dobrze i jasno to rozumiem, że własne moje w tych rzeczach działanie było prawie niczem; ale Bóg niczego więcej od nas nie żąda, prócz takiej ochotnej na wolę Jego gotowości, a gdy ją w nas znajdzie, sam potem zdziała wszystko Boską mocą swoją. Niech będzie uwielbiony i błogosławiony na wieki, amen.

Mając po drodze klasztor Najświętszej Panny wspomożenia wiernych, zatrzymaliśmy się w nim dla zawiadomienia o przybyciu naszem tych, którzy czekali nas w Villanueva, o trzy mile tylko, jak mówiłam, od tego klasztoru odległem. Tak było ułożono przez obu ojców, którzy nas przeprowadzili, i słusznie im się należało odemnie zupełne w tem wszystkiem posłuszeństwo. Klasztor ten leży w pustem i rozkosznie samotnem ustroniu. Gdyśmy się zbliżali, zakonnicy w pięknym ordynku wyszli na spotkanie przeora swego. Widok tych pobożnych Braci, postępujących boso, w ubogich, z grubej szerści płaszczach swoich, głębokiem był dla nas wszystkich zbudowaniem; mnie on szczególnie do głębi serca rozrzewnił: czułam siebie jakby przeniesioną w błogosławione czasy pierwszych świętych ojców naszego zakonu. Zdawało mi się, że widzę w nich tyleż białych i wonnych kwiatów, zasadzonych w tem cichem ustroniu i takiemi też, sądzę, są oni w oczach Boga, któremu z takiem prawdziwem oddaniem siebie i z taką żarliwością służą. Wprowadzili nas do kościoła, śpiewając poważnym i stłumionym głosem Te Deum; sam ten śpiew ich świadczył o wewnętrznem ich umartwieniu. Wchodzi się do tego kościoła gankiem podziemnym, jakby do pieczary, co nam przypominało grotę ojca naszego Eliasza. Takiej tam doznałam wewnętrznej radości, że ona jedna wynagrodziłaby mi sowicie wszelkie trudy choćby i dłuższej podróży, lubo z drugiej strony żal głęboki ściskał mi serce, że już nie zastałam przy życiu Świętej, przez którą Pan ten dom założył, a którą gorąco pragnęłam jeszcze ujrzeć, alem tego szczęścia nie była godna.

Nie będzie to, sądzę, od rzeczy, że wspomnę tu nieco obszerniej o życiu jej, i dla uwielbienia dziwnych dróg, jakiemi Pan raczył przywieść ją do założenia tego klasztoru, który, jak mi mówiono, tak wielki bardzo wielu duszom w całej tej okolicy przyniósł pożytek i dla naszej, siostry moje, nauki, abyśmy patrząc na przykład życia jej pokutnego, poznały, jak daleko za nią w tyle pozostajemy, i nową z niego brały sobie pobudkę do coraz usilniejszej w służbie Pana gorliwości. Nie masz zaiste powodu, byśmy się jej dawały wyprzedzić w mężnem zaprzaniu samych siebie, tem bardziej, że nie jesteśmy

z tak wysokiego rodu, ani tak wykwintnie wychowane, jak ona. Katarzyna de Cardona pochodziła z rodu książąt tego nazwiska. Wiem-ci, że wysokie urodzenie nie jest żadną zasługą przed Bogiem, ale wspominam tu o niem dla zaznaczenia, jaki blask światowej okazałości i przepychu otaczał początki jej życia, później tak pokornego i umartwionego. Pisując do mnie dość często, pod pierwszym tylko i drugim listem położyła książęce nazwisko swoje, potem już stale podpisywała się: „Grzesznica". Życie jej i pierwsze jego początki, gdy jeszcze nie była otrzymała tylu nadzwyczajnych łask od Pana i późniejsze sprawy jej, o których jest dużo do powiedzenia, opisze kto inny [1]); gdy jednak opis ten może nie dojść rąk waszych, więc opowiem tu niektóre o niej szczegóły, użyczone mi przez osoby wiarogodne, które ją znały i z nią obcowały.

Już w pierwszej młodości, choć żyła jeszcze wśród wielkich pań i panów dworu książęcego, nieustanną ta Święta miała pieczę o duszy swojej i różne zadawała sobie umartwienia. Czuła w sobie gorącą żądzę, z każdym dniem rosnącą, schronienia się na jakie miejsce samotne, kędyby bez przeszkody mogła cieszyć się rozmową z Bogiem i oddawać się pokucie. Spowiednicy jednak, których się radziła, nie chcieli jej na to pozwolić. Zapewne myśl taka wydawała im się szaleństwem, i nie dziwię się temu: tak dzisiaj świat zrobił się roztropnym, tak poszły w zapomnienie one wielkie łaski, jakie Bóg niegdyś czynił świętym sługom i służebnicom swoim na puszczy. Ale Pan w Boskiej łaskawości swojej nigdy nie odmawia skutecznej pomocy prawdziwemu pragnieniu oddania się Jemu. Tak i Katarzyna, z łaski i zrządzenia Jego, doczekała się wreszcie spowiednika takiego, jakiego jej było potrzeba. Był to O. Franciszek de Torres, franciszkanin; znam go dobrze i mam go za świętego. Od wielu lat, z wielką gorącością ducha żyjąc w ustawicznej pokucie i modlitwie, różne przytem znosząc prześladowania, wie on snać z własnego doświadczenia, jak wielką jest łaska, którą Bóg czyni tym, którzy usiłują stać się jej godny-

[1]) Ob. Dodatek V.

mi. Więc i Katarzynie, gdy ta mu się zwierzyła z myślą swoją, odpowiedział bez wahania, że powołanie jej jest od Boga, że zatem powinna iść za głosem jego, nie dając się odwieść od zamiaru swego. Nie wiem, czy te były słowa, które jej powiedział, ale taka musiała być treść ich, jak się to niebawem okazało w skutku.

Przystępując od razu do wykonania postanowienia swego, Katarzyna zwierzyła się pewnemu pustelnikowi z pod Alkala, prosząc go, by jej służył za przewodnika, a nigdy jej przed nikim nie wydał. Tak przyszli na miejsce, gdzie dzisiaj stoi ten klasztor; Katarzyna upatrzyła sobie tu pieczarę, tak ciasną, że ledwo w niej się mogła zmieścić, i tu opuścił ją pustelnik. Lecz o! jakiż to zapał miłości musiał płonąć w jej sercu, że tak nie troszczyła się zgoła ani o pożywienie, ani o mogące jej tu grozić niebezpieczeństwa, ani o niesławę, która na nią, skutkiem takiego jej zuiknienia, spaść miała! Jakie musiało być upojenie tej duszy, tą jedną tylko myślą i troską zajętej, by nikt jej nie przeszkodził do rozkosznego z Boskim Oblubieńcem swoim obcowania! Jakie męstwo niezłomne, jaka moc postanowienia w tem zerwaniu wszelkiej wspólności ze światem, w tem jej dobrowolnem uchyleniu się od wszystkich przyjemności jego! Zważmy to dobrze, siostry: zważmy zwłaszcza dziwną stanowczość tego zwycięstwa, którem tak od razu, jakby jednym zamachem, wszystko, co jest na świecie, pokonała. Prawda, że i wy nie mniejsze odniosłyście zwycięstwo, gdyście wstąpiły do tego świętego zakonu, czyniąc Bogu ofiarę z woli waszej i poddając się tak ścisłemu, dozgonnemu zamknięciu. Ale, kto wie, czy te pierwsze nasze zapały z czasem w niejednej z nas nie ostygły? czy w tem, lub owem nie wracamy znowu pod stare jarzmo miłości własnej? Daj Boże by tak nie było; daj nam Boże, jako już naśladujemy tę świętą w zewnętrznem, dobrowolnie obranem odłączeniu się od świata, tak bardziej jeszcze wewnętrznie, za jej przykładem, całkiem go z serc naszych wyrugować.

Wiele słyszałam o niesłychanej surowości jej życia, ale co słyszałam, było to pewno małą tylko cząstką tego, co było w istocie; bo tyle lat sama jedna przebywając na tej pustyni

i nikogo nie mając, ktoby ją powściągał, przy tej nieugaszonej żądzy, z jaką pragnęła pokuty, straszliwie musiała się obchodzić z ciałem swojem. Szczegóły, które tu opowiem, mam od osób, które je od niej samej słyszały, między innemi także od sióstr klasztoru św. Józefa w Toledzie, które ona odwiedzała i z któremi otwarcie, jak z siostrami, rozmawiała, co zresztą i z wszystkimi czyniła, bo wielką miała prostotę, a pewno i pokorę nie mniejszą. Dobrze zatem rozumiejąc, że niczem jest i nic nie ma z samej siebie i daleka od wszelkiej pokusy próżnej chwały, ochotnie i radosnem sercem opowiadała łaski, jakie Bóg jej czynił, w tym jedynie celu, aby za nie było chwalone i uwielbione imię Jego. Dla dusz, które nie doszły do tak wysokiego stanu doskonałości, takie objawianie łask od Boga otrzymanych, nie jest rzeczą bezpieczną; co najmniej mają one to uczucie, że, chwaląc Boskiego Dawcę, chwalą same siebie. Lecz Katarzynę, pewna jestem, przedziwna jej szczerość i święta prostota broniły od tego niebezpieczeństwa; nigdy też nie słyszałam, by jej kto zarzucał samochwalstwo.

Opowiadała więc siostrom naszym, że w onej jaskini na puszczy mieszkała ośm lat: że przez długi czas [1]), gdy skończyły się trzy chleby, które jej był pozostawił on pustelnik, żyła samymi tylko ziołami polnemi i korzonkami, aż wreszcie spotkał ją jakiś pasterz, i ten odtąd dostarczał jej chleba i mąki, z której ona piekła sobie na ogniu placuszki, i to było jedyne jej pożywienie, którem jeszcze co trzeci dzień tylko się posilała. Później, gdy już się krzątała około założenia klasztoru, — wiem o tem na pewno ze świadectwa tamtejszych Braci, którzy sami na to patrzali, — tak już była ciągłymi postami wyniszczona, że gdy czasem zmusili ją spożyć sardynkę, albo co podobnego, pokarm ten, miasto posilenia, tylko jej szkodził. Wina, o ile mi wiadomo, nigdy do ust nie wzięła. Biczowanie, które sobie zadawała grubym łańcuchem, trwało nieraz po półtorej i po dwie godziny. Włosienice nosiła niesłychanie ostre i kolczaste; pewna niewiasta, która wracając z pielgrzymki

[1]) Trzy lata, mówią pisarze jej życia.

była się do niej wprosiła na nocleg, opowiadała mi, że w nocy, udając że śpi, podpatrzyła świętą w chwili, gdy zdejmowała włosienicę dla oczyszczenia jej i z przerażeniem, ujrzała tę prawdziwie męczeńską szatę od góry do dołu pełną krwi. Najwięcej jednak, jak mówiła wspomnianym wyżej siostrom naszym, cierpiała od złych duchów, którzy jej się ukazywali bądź w postaci ogromnych psów, rzucających się na nią i szarpiących jej plecy, bądź w postaci wężów; ona wszakże zgoła się ich nie bała. Pieczary swojej i wówczas także, gdy już był powstał klasztor przez nią założony, nie opuszczała ani we dnie ani w nocy; do klasztoru przychodziła tylko na nabożeństwo, póki zaś klasztoru nie było, chodziła na Mszę do odległego o ćwierć mili kościoła Ojców Merzedaryuszów, nieraz całą drogę odbywając na klęczkach. Nosiła ciemnego koloru płaszcz szerściowy, a pod nim takąż z grubego wojłoku suknię, w taki sposób uszytą, że wyglądała w niej na mężczyznę. Po kilku latach takiej zupełnej samotności, spodobało się Panu głośną uczynić sławę jej; od tego czasu lud okoliczny taką począł otaczać ją czcią i tak tłumnie do niej przybiegać, że nie mogła się opędzić natłokowi; mimo to jednak z równą zawsze miłością i dobrocią z każdym rozmawiała. Tłumy cisnących się do niej z każdym dniem się zwiększały; kto mógł się docisnąć i słowo od niej usłyszeć, za szczęśliwego się poczytywał; ale ją te tłumne hołdy tak męczyły, iż nieraz żaliła się, że chcą ją na śmierć zamęczyć. Zwłaszcza, gdy klasztor już stanął i Bracia w nim osiedli, bywały takie dni, że całe pole dokoła klasztoru pokrywało się wozami z blizka i z daleka przybyłych; Bracia wtedy, nie widząc innego sposobu uchronienia jej od natarczywości tłumów, sadzali ją na podwyższeniu i tak, górując nad ciżbą zebranych, błogosławiła na wszystkie strony, a rzesze, otrzymawszy jej błogosławieństwo, rozchodziły się uszczęśliwione. Po ośmiu latach takiego życia w tej jaskini, którą później pielgrzymi do niej się schodzący byli rozszerzyli, zapadła na niemoc tak ciężką, iż śmierć już zdawała się pewną; a jednak i w takiej groźnej potrzebie nie chciała się rozstać ze swą pieczarą i całą w niej chorobę przebyła.

W tymże czasie poczuła w sobie silne natchnienie założenia w tem miejscu klasztoru męskiego; nie wiedząc jednak, jaki zakon wybrać, wstrzymywała się jakiś czas z wykonaniem tej myśli. Aż pewnego dnia, gdy klęczała na modlitwie przed krzyżem, który miała zawsze przy sobie, Pan ukazał jej płaszcz biały, dając jej zarazem do zrozumienia, że ma założyć klasztor karmelitów Bosych. Nigdy przedtem nie była słyszała, by istniał na świecie taki zakon, jakoż w istocie dwa dopiero w onym czasie posiadaliśmy klasztory braci Bosych, jeden w Mancera, a drugi w Pastrana. Poczęła więc zasięgać wiadomości, a dowiedziawszy się o klasztorze w Pastrana, mieście należącem do księżny Eboli, małżonki księcia Ruy Gomez, i dawnej z młodych lat jej przyjaciółki, tam się udała, chcąc przypatrzyć się i obmyśleć na miejscu, w jaki sposób założyć i urządzić tę swoję fundacyę, której tak gorąco pragnęła. Sama nasamprzód, przy tym klasztorze Pastrańskim, w kościele św. Piotra, przywdziała habit Najświętszej Pani naszej z Karmelu, nie w tej myśli jednak, by chciała złożyć śluby i poddać się regule zakonnej; do zakonu nigdy nie miała powołania, bo inszą drogą Pan ją prowadził; od związania się ślubami powściągała ją głównie obawa, że przełożeni mogliby jej w imię posłuszeństwa zabronić ukochanych jej umartwień i życia na samotności.

Obłóczyny odbyły się w obecności wszystkich Braci. Był tam między nimi i O. Marian, o którym mówiłam wyżej w tej księdze Fundacyi. Ojciec ten, jak sam mi opowiadał, miał w czasie tego uroczystego obrzędu zachwycenie, z zupełnem zawieszeniem władz zmysłowych. W tym stanie będąc, widział w duchu rzeszę Braci i Sióstr zabitych, jednych z uciętą głową, drugich z odrąbanemi rękoma i nogami, co widocznie zapowiadało zgotowaną wielu z naszych łaskę męczeństwa. O rzeczywistości tego widzenia wątpić niepodobna; O. Marian nie jest taki człowiek, by mógł za widziane podawać rzeczy, których nie widział; zachwycenia też nie są u niego rzeczą zwyczajną, nie tą drogą Bóg go prowadzi. Prośmyż Boga, siostry, by to widzenie się sprawdziło, byśmy zasłużyły jeszcze za życia ujrzeć

zakon nasz przyozdobiony chwałą męczeństwa i same też w liczbie tych szczęśliwych męczenników znaleźć się mogły.

Od chwili przybycia swego do Pastrana, święta nasza wszczęła starania o założenie swego klasztoru. W tym celu ukazała się znowu na dworze, który z taką radością była porzuciła. Nie małą to dla niej musiało być męką; szemrania też i różnych przykrości na dworze jej nie szczędzono; a przytem, ile razy wyszła z domu, nie mogła się opędzić tłumom do niej się cisnącym, co, zresztą, nie tylko w Pastrana, ale i gdziekolwiekby się udała, było nieodstępnem jej, wszędy za nią idącem utrapieniem: każdy chciał mieć po niej pamiątkę, jedni po kawałku obcinali jej suknie, drudzy płaszcz. Z Pastrana przeniosła się do Toledu i zamieszkała u sióstr naszych. Wszystkie one upewniały mię, że wydawała z siebie słodką woń, jak relikwie Świętych, woń tak mocną i trwałą, że przenikała i suknię jej i pas, które i potem jeszcze, gdy siostry, wymieniwszy je u świętej na inne, ze czcią je u siebie trzymały, tak samo, jak gdy je święta nosiła, woniały. Im bliżej kto do niej przystąpił, tem wyraźniej i silniej czuł tę cudowną woń, choć w przyrodzonym porządku rzeczy, gruby taki habit szerściowy, przy wielkich zwłaszcza, jakie w tej porze panowały upałach, powinienby był raczej wydawać z siebie woń przeciwną. Wszystko to z pobożnem wzruszeniem i dzięki czyniąc Panu za cudowne sprawy Jego, opowiadały mi siostry nasze, i pewna jestem, że wszystko to szczera prawda, bo żadna z nich za nic w świecie nie popełniłaby kłamstwa.

Zebrawszy u dworu i z innych stron środki dostateczne, mając także upoważnienie potrzebne, Katarzyna przystąpiła do budowy klasztoru i rychło jej dokonała. Kościół stanął w miejscu jej pieczary; urządzono jej nieopodal drugą, z wyciosanem w niej wyobrażeniem Grobu Pańskiego. Tam odtąd przebywała noce całe i większą część dnia; nie długo już jednak, bo od założenia klasztoru żyła już tylko półszósta roku, choć, przy niesłychanej surowości jej życia, i to może wydawać się cudem, że żyła jeszcze tak długo. Śmierć jej, jeśli dobrze pamiętam, nastąpiła roku 1567. Pochowano ją z jaknajwiększą czcią i okazałością obrzędów, dzięki, zwłaszcza, szczodrobliwości wiel-

kiego wielbiciela jej, Don Żuana de Leon, który, jako za życia czcił ją jak świętą, tak chciał ją uczcić po śmierci, biorąc na siebie koszta tak wspaniałego pogrzebu. Ciało jej złożone jest tymczasowo w kaplicy Najświętszej Panny, do której zmarła szczególnie gorące miała nabożeństwo, dopóki w miejsce obecnego szczupłego kościołka Bracia nie wzniosą większego i w nim, jak słusznie się należy, umieszczą te błogosławione zwłoki panieńskie. Klasztor, przez pamięć jej, powszechną jest otoczony czcią ludu pobożnego; rzekłbyś, że ona jeszcze żyje w tych murach i we wszystkich dokoła miejscach, pobytem jej poświęconych, szczególnie w tej pustelni i w tej jaskini, w której tak długo mieszkała, nim wykonała swój zamiar założenia klasztoru. Opowiadano mi jeszcze o niej, że znużona i strapiona nieustającym natłokiem rzesz do niej się cisnących, chciała opuścić to miejsce i schronić się gdzieindziej, gdzieby mogła się ukryć, nikomu nieznana; że w tym celu posyłała po onego pustelnika, który ją był przyprowadził, aby przyszedł i zabrał ją stamtąd; ale pustelnik już nie żył. Pan sam tym sposobem powstrzymał ją od zamierzonej ucieczki, aby, wedle woli Jego, stanął ten dom Najświętszej Pani naszej, w której On taką chwałę i taką wierną służbę odbiera. Patrząc na spokój i pogodę, malującą się na twarzy tych pobożnych Braci, łatwo się domyśleć, jaka radość wewnątrz serce ich napełnia i jak się cieszą z tego, że obrali sobie to życie odłączone od świata; mianowicie przeor, którego także Bóg z życia bardzo dostatniego pociągnął do tego twardego habitu, ale któremu hojnie za to odpłacił, uciechy zmysłowe zamieniając mu w rozkosze duchowne. Przyjęli mię najserdeczniej; zaopatrzyli nas z zasobów swoich w naczynia i aparaty kościelne dla przyszłej naszej fundacyi; bo dzięki czci głębokiej, w jakiej pamięć błogosławionej Katarzyny żyje u tylu osób możnych, bogate dary spływają na klasztor i kościół ich; mieli więc czem się z nami podzielić. Pobyt mój w tem świętem ustroniu niewypowiedzianą napełnił mię pociechą, ale i zawstydzeniem wielkiem, które dotąd trwa. Ta, mówiłam i mówię sobie, która całe życie swoje strawiła w takiej surowej pokucie, niewiastą była jak ja, jako dziecko książęcego rodu

wykwintniej chowana i do wygód przywykła więcej niż ja, nie była taką wielką grzesznicą jak ja, nie miała takich łask nadzwyczajnych, jakich Pan tyle i na wszelki sposób mnie użyczył, a z których nie najmniejsza ta, że mnie dotąd jeszcze za wielkie grzechy moje w piekle nie pogrążył: a przecie, jakież moje życie i jaka moja pokuta, w porównaniu z taką jej pokutą? To jedno mnie pociesza, że pragnę się poprawić i wstępować ile zdołam w jej ślady; ale i to pociecha nie wielka, bo na pragnieniach całe życie mi schodzi, a uczynków niema i niema [1]). Niech mi Pan będzie miłościw wedle wielkiego miłosierdzia swego; w niem jednem pokładałam zawsze i pokładam wszystką ufność moję, przez zasługi nieskończone Boskiego Syna Jego i przez przyczynę Najświętszej Panny, Pani naszej, której z łaski i dobroci Jego habit noszę.

Któregoś dnia, po przyjęciu Komunii w tym drogim mi kościele, przyszło na mnie głębokie zebranie wewnętrzne, po którem zaraz nastąpiło wielkie, z zupełnem zawieszeniem zmysłów, zachwycenie. W tym stanie będąc, ujrzałam tę świętą niewiastę, ukazującą mi się w widzeniu duchowem, przyobleczoną jakby w ciało uwielbione, w otoczeniu gromady aniołów i rzekła do mnie: — „Nie ustawaj w pracy twojej; zakładaj dalej ile zdołasz, coraz więcej klasztorów.“ —Zrozumiałam z tych słów, choć wyraźnie tego nie powiedziała, że ona mię wspiera przyczyną swoją do Boga. Powiedziała mi jeszcze drugą rzecz, której tu powtarzać nie widzę potrzeby. Bardzo mię to widzenie pocieszyło, i nowy we mnie wzbudziło zapał i pożądanie dalszych w służbie Pana prac i trudów. Ufam też w dobroci Jego, że wsparta modlitwą tak możnej orędowniczki, zdołam jeszcze przyczynić się w czemkolwiek do pomnożenia chwały Jego.

[1]) Ob. w *Księdze Sprawozdań, Sprawozd.* 3, jaką Święta otrzymała odpowiedź od Pana, gdy kiedyś na modlitwie żaliła się przed Nim, że związana posłuszeństwem, nie może za przykładem tej błogosławionej pokutnicy oddawać się większym surowościom i umartwieniom: — „Więcej, niż wszystka jej pokuta, rzekł jej Pan, waży przedemną posłuszeństwo twoje.“

Patrzcież, siostry, i zważcie, jako cierpienia i trudy tej świętej już wzięły koniec, a chwała, której za nie dostąpiła, będzie bez końca. Usiłujmyż, póki żyjemy, wstępować, dla miłości Pana naszego, w ślady tej siostry naszej: nienawidząc samych siebie tą świętą nienawiścią, jaką ona siebie nienawidziła, róbmy do końca zleconą nam robotę; życie prędko upływa i wszystko się kończy: skończy się i praca nasza, a potem zacznie się zapłata, która się nigdy nie skończy.

Przybyłyśmy do Villanueva de la Xara w pierwszą niedzielę Postu 1580; był to dzień św. Barbacyana i wigilia Katedry św. Piotra [1]). Tegoż dnia jeszcze, w czasie Sumy, odbyło się wprowadzenie Najświętszego Sakramentu do przeznaczonego dla nas kościoła św. Anny. Wszystka Rada miejska, oraz doktor Ervias i inni znaczniejsi obywatele wyszli na spotkanie nasze i wprowadzili nas naprzód do kościoła parafialnego, od którego do św. Anny odległość jest znaczna. Wielka była radość wszystkiego ludu, a stąd i wielka pociecha moja, na widok tak ochotnego przyjęcia zakonu Najświętszej Panny, Pani naszej. Z daleka już dochodził nas świąteczny odgłos dzwonów. Wszedłszy do kościoła, zaintonowano Te Deum, odśpiewane na przemiany w chórze i na organach. Po skończonym śpiewie, ustawiono Najświętszy Sakrament na noszach i posąg Najświętszej Panny na drugich; krzyże i chorągwie niesiono na przedzie i tak z wielką uroczystością wyruszyła procesya. My, w naszych płaszczach białych, z zasłonami spuszczonemi na twarze, szłyśmy w pośrodku, tuż za Najświętszym Sakramentem, a wkoło nas Bracia nasi Bosi, w znacznej liczbie przybyli z klasztoru, oraz franciszkanie z miejscowego konwentu i dominikanin, chwilowo w mieście bawiący: choć on był jeden tylko, zawsze jednak przyjemnie mi było widzieć habit i tego zakonu, występujący w pochodzie naszym. Po drodze, ponieważ, jak mówiłam, odległość była znaczna, gęsto były ustawione ołtarze stacyjne, przy których odśpiewywano wiersze na cześć Najświętszej Panny, używane w naszym za-

[1]) 21-go lutego.

konie. Z pobożnem wzruszeniem i głębokiem zbudowaniem patrzyłyśmy na te rzesze, jednomyślnie wysławiające tego wielkiego Boga, tam w pośrodku nas obecnego i przyjmowałyśmy tę cześć, którą tam dla miłości Jego nas siedm nędznych maluczkich karmelitek Bosych otaczano. Lecz obok tego zbudowania, głębokie także czułam w sobie zawstydzenie na myśl: że i ja idę pospolu z temi wiernemi służebnicami Bożemi, kiedy przeciwnie, gdyby mię znano jaką jestem i chciano postąpić ze mną tak, jak na to zasługuję, wszyscy powinniby powstać na mnie i wyrzucić mię precz. Na to wam, siostry, tak szeroko opisałam to uczczenie, którego w tym dniu doznał habit Najświętszej Panny, abyście chwaliły Pana za tę łaskę Jego i błagały Go, aby opieką swoją otaczał i zachowywał tę nową fundacyę. Co do mnie, przyznaję, że wolę gdy założenie nowego klasztoru kosztuje mię wiele trudów i prześladowań, i ochotniej także o takich fundacyach wam opowiadam.

Prawda, że onym siostrom, które tu na nas z takiem upragnieniem czekały, od czasu, jak się schroniły do tej pustelni św. Anny, to jest od sześciu lat, albo conajmniej od półszósta roku, na trudach i cierpieniach nie zbywało. Żyły tam w największem ubóstwie; tego, co zapracować mogły, ledwo im starczyło na kawałek chleba, a po jałmużnę nigdy ręki wyciągnąć nie chciały, by ich snać nie posądzano, że po to opuściły dom swój i udały się na samotność, by potem cudzym kosztem się żywić z miłosierdzia publicznego. Ciągłe surowości i pokuty, częste posty, skąpe pożywienie, nędzny barłóg miasto posłania, ciasne pomieszczenie, które dzięki ścisłemu na jakie się były skazały zamknięciu, tem dotkliwszem było umartwieniem: takie było ich życie na każdy dzień. Ale niczem jeszcze, mówiły mi, były te umartwienia zewnętrzne, w porównaniu z wewnętrznem, jakie cierpiały udręczeniem, z powodu opóźniającego się tak długo spełnienia gorącej ich żądzy przywdziania habitu naszego. Myśl ta i obawa, że nigdy nie dostąpią tej łaski, dręczyła je we dnie i w nocy, i wszystka ich, często z gorącemi łzami, modlitwa była jednem ciągłem do Boga wołaniem, by się nad niemi zmiłował i dał im tego szczęścia doczekać. Za każdym nowym w swych staraniach zawodem, martwiły

się niepocieszone i zdwajały pokuty. Skąpe zarobki swoje, od ust sobie odejmując, obracały na opłacenie posłańców, których do mnie wyprawiały, albo na wywdzięczenie się, wedle miary ubóstwa swego, tym, którzy im mogli w czemkolwiek okazać się pomocnymi. Teraz, gdy je poznałam i widzę, jak święte to dusze, pewna jestem, że one same modlitwami i łzami swemi wyjednały sobie u Boga przyjęcie do naszego zakonu i mam to przekonanie, że większym bez porównania skarbem te dusze zakon nasz zbogaciły, siebie tylko jemu oddając, niż gdyby były wniosły najbogatsze posagi; dobrą też mam otuchę, że dom ten szczęśliwie będzie się rozwijał ku coraz wyższej doskonałości [1]).

Gdyśmy wchodziły do domu, który miałyśmy po nich objąć, one wszystkie stały zgromadzone przy furcie wewnętrznej na powitanie nasze. Każda była ubrana po swojemu, w tem samem ubraniu, w jakiem były opuściły świat; habitu bowiem tak zwanych Beatek [2]) nie chciały żadną miarą przywdziać, spodziewając się doczekać naszego. Suknie ich, bardzo przyzwoite, świadczyły jeszcze o dawnej wytworności, ale

[1]) Moralną sprawczynią powołania tych świętych dusz była taż sama wielebna Katarzyna de Cardona, o której była mowa wyżej. Naprzód cztery siostry, córki rodu szlacheckiego, słysząc tyle o głośnej na całą okolicę świętości jej, udały się za przykładem wielu innych, na miejsce, dla naocznego przekonania się. Widok samotnego i surowego życia jej tak głębokie na nich sprawił wrażenie, iż natychmiast postanowiły pójść za jej przykładem. Przekonawszy się jednak niebawem, że do takich niesłychanych umartwień siły ich nie wystarczą, idąc za radą świętej, inny sobie obmyśliły rodzaj życia, prawie równie samotny, ale nie tak surowy. Wkrótce przyłączyły się do nich drugie cztery, także siostry rodzone i jedna jeszcze pobożna dusza, którą całe miasto czciło, jak świętą. Zarząd miasta, zbudowany takiem ich mężstwem i zaprzaniem siebie, oddał im za schronienie pustelnię św. Anny i tam świętobliwe te dusze, ufne w obietnicę Wielebnej Katarzyny, iż z tego ich zebrania powstanie klasztor karmelitek Bosych, w modlitwie i w pokucie czekały chwili, kiedy spodoba się Bogu podać im sposób i środki ku temu. W tym też celu, jak widzieliśmy wyżej, przez cztery lata, od r. 1576 do 1580 wciąż nalegały na św. Teresę, aby je przyjęła do zgromadzenia swego. (Ob. *Ann. gen. Carm.*).

[2]) t. j. osób poświęconych Bogu bez reguły zakonnej.

po obecnem zaniedbaniu ich znać było, że te, które je noszą, nie troszczą się o osobę swoję, ani tem bardziej o stroje. Prawie wszystkie były tak blade i wyniszczone, że z samego widoku ich łatwo było się domyśleć, jak surowo pokutne życie wiodły. Powitały nas ze łzami radości, a że radość ta i łzy były szczere, dostatecznie to okazało się w skutku w ochotnem ich, z weselem ducha, dążeniu do doskonałości, i w pokorze ich, i posłuszeństwie dla przełożonej i dla wszystkich sióstr na tę fundacyę przysłanych, i w uprzedzającej skwapliwości ich do spełnienia natychmiast każdego ich życzenia. O to jedno tylko drżały, byśmy snać, ubóstwem ich i ciasnotą pomieszczenia zrażone, nie odjechały napowrót i ich nie porzuciły. Przez cały czas wspólnego ich w tej pustelni pożycia, żadna nie chciała się podjąć przełożeństwa nad drugiemi; wszystkie, w doskonałej zgodzie siostrzanej, pospołu pracowały, każda wedle przemożenia swego. Sprawy zewnętrzne w miarę potrzeby załatwiały dwie starsze wiekiem; drugie nigdy z nikim obcym nie rozmawiały, ani rozmawiać nie chciały. Drzwi domu ich nie zamykały się na klucz, tylko na zasuwę; a żadna nie śmiała do nich się zbliżyć, oprócz najstarszej wiekiem, która z polecenia drugich, za wszystkie odpowiadała. Sypiały krótko, chcąc mieć więcej czasu do pracy na chleb i do modlitwy; na rozmyślanie poświęcały po kilka godzin dziennie, a w święta cały dzień; do duchownego kierunku swego używały pism O. Ludwika z Granady i O. Piotra z Alkantary. Najwięcej czasu kosztowało je odmawianie Godzin kanonicznych, przychodziło im to z niemałą trudnością, bo z wyjątkiem jednej, biegłej w tej sztuce, żadna z nich nie umiała dobrze czytać. Przytem i brewiarze miały niezgodne; jedne modliły się na starych brewiarzach rzymskich, darowanych im przez księży, którzy ich już używać nie mogli [1]; inne miały inne wydania, jakie się której dostało. Skutkiem tej niezgodności i słabej wprawy w czytaniu, całemi godzinami

[1] Były to brewiarze dawnego układu, skutkiem reformy Mszału i Brewiarza, przez Sobór Trydencki postanowionej, przez Papieża ś. Piusa V i następców jego dokonanej, wycofane z użytku kościelnego.

męczyły się nad tem odmawianiem. Szczęściem, że zbierały się na to w odległym kącie domu, gdzie nikt obcy ich nie mógł słyszeć, a Pan Bóg przyjął chyba intencyę i ciężką pracę ich, bo co do słów, pewno rzadko które udało im się wymówić, jak należy. O. Antoni od Jezusa, gdy z niemi się poznał, poradził im, by zaniechawszy tego zbytniego mozołu, poprzestawały na odmawianiu Officyum Najświętszej Panny. Przytem i ubogi dom swój we wzorowym utrzymywały porządku; same sobie we własnym piecu piekły chleb i wszystko w ogóle tak u nich szło zgodnie i składnie, jak gdyby była nad niemi przełożona, któraby tem wszystkiem zarządzała. Ja, patrząc na to, dzięki czyniłam Panu i im bliżej je poznawałam, tem bardziej cieszyłam się z mojego do nich przyjazdu; nigdybym sobie tego nie darowała, gdybym była pozostawiła te dusze bez pomocy i pociechy, której odemnie żądały, chociażbym najdalsze drogi i najcięższe trudy dla nich podjąć miała. Siostry także do tej fundacyi wyznaczone, choć w pierwszej chwili, jak mi się przyznały, z nakazanego im wspólnego pożycia z osobami obcemi niejaką przykrość czuły, skoro jednak bliżej je poznały i przekonały się, jakie to dusze cnotliwe, bardzo cieszyły się z tego, że mogą z niemi żyć i serdecznie je pokochały. Taka to jest moc świętości i cnoty. Prawdziwie były to dusze, które choćby im przyszło najsroższe znosić cierpienia i najcięższe walki, ochotnieby za łaską Boga je podjęły i zwycięzkoby je przetrwały: bo tego tylko pragnęły, by im dano było cierpieć dla miłości Boskiego Pana swego. Tego i my wszystkie pragnąć powinnyśmy i któraby siostra nie czuła w sobie tego pragnienia, ta niechaj się nie łudzi, by była prawdziwą karmelitką Bosą; bo celem pożądań naszych ma być, nie życie spokojne i wygodne, ale umartwienie i cierpienie, abyśmy przez nie choć z daleka wstępowały w ślady Tego, który jest prawdziwym Oblubieńcem naszym. Niechaj On w Boskiej dobroci swojej raczy nam użyczyć łaski ku temu, amen.

Co do tej pustelni św. Anny, w której założyłyśmy nasz klasztor, początek jej był taki. Mieszkał przed laty w Villanueva de la Xara pewien kapłan, rodem z Zamora, który jakiś

czas był należał do zakonu Pani naszej z góry Karmelu. Nazywał się Diego (Jakób) de Guadalaxara. Był to mąż bardzo cnotliwy i życiu wewnętrznemu oddany, a że miał szczególne nabożeństwo do św. Anny, więc pod jej wezwaniem zbudował sobie przy domu swoim tę pustelnię, dla sprawowania w niej Najświętszej Ofiary; chcąc zaś więcej jeszcze zadość uczynić swej pobożności dla świętej Patronki swojej i cześć jej w tem miejscu uświetnić i rozszerzyć, pojechał umyślnie do Rzymu i uzyskał tam dla tej pustelni, czy kaplicy swojej, Bullę z nadaniem hojnych odpustów. Wreszcie, przed śmiercią rozporządził testamentem, że dom ten i wszystkie przyległości jego mają być użyte na założenie klasztoru karmelitek; dopókiby zaś to się spełnić nie mogło, ma być ustanowiony kapelan, z obowiązkiem odprawiania w tej kaplicy Mszy świętej kilka razy na tydzień, który to obowiązek ma ustać, skoro założenie klasztoru przyjdzie do skutku. Tym sposobem zapis ten przez lat przeszło dwadzieścia pozostawał w ręku kapelana, skutkiem czego wartość posesyi znacznie się umniejszyła, bo choć potem zamieszkały tu i one siostry, ale zajmowały sam tylko dom i w ogólnym zarządzie żadnego nie miały udziału. Kapelan mieszkał w drugim domu, do tejże posesyi należącym, z którego teraz ustąpi, i oba domy, z wszystkiem, co do nich należy, przejdą na nas. Bardzo to niewiele; ale miłosierdzie Boga jest wielkie i nie wypuści z opieki swojej tego domu, poświęconego tej chwalebnej Matce, z której się narodziła Najświętsza Matka Jego. Niechajże raczy to sprawić w Boskiej łaskawości swojej, by zawsze w tym domu kwitła chwała Jego i niechaj Go wysławia wszystko stworzenie na wieki wieczne, amen.

ROZDZIAŁ XXIX.

O fundacyi klasztoru św. Józefa u Matki Boskiej Nadrożnej w Palencyi, w dzień św. króla Dawida r. 1580.

Za powrotem z fundacyi w Villanueva de la Xara, otrzymałam od przełożonego rozkaz udania się do Waliadolidu. Stało się to na żądanie biskupa Palencyi, tego samego Don Alvaro de Mendoza, który, będąc przedtem biskupem Awili, tak życzliwą opieką otaczał pierwszy nasz klasztor, to jest klasztor św. Józefa w Awili i odtąd stale takąż życzliwość i łaskę temu zakonowi naszemu okazywał; zaczem też, przeniósłszy się z Awili do Palencyi, powziął był z natchnienia Bożego zamiar ustanowienia klasztoru tegoż zakonu w tej nowej biskupiej stolicy swojej. Ledwo, przybywszy do Waliadolidu, zaniemogłam ciężko, zdawało się śmiertelnie. Ale lubo wyszłam jeszcze z tej choroby, takie mi po niej pozostało zniechęcenie do zamierzonej fundacyi i takie niepokonane uczucie zupełnej do podjęcia jej nieudolności, że mimo nalegań przełożonej waliadolidzkiej, która tej fundacyi pragnęła, na nic się zdobyć nie mogłam, nie widząc nawet sposobu, jakby się wziąć do rzeczy, zwłaszcza, że klasztor miał być bez stałych dochodów, a jałmużn dostatecznych na utrzymanie jego ostrzegano mię bym się nie spodziewała, bo miasto bardzo ubogie.

Myśl tej fundacyi nie była jednak dla mnie rzeczą nową; niespełna na rok przedtem już była o niej mowa, jak i o drugiej fundacyi w Burgos i wówczas zamiarowi temu wcale nie byłam przeciwną; aż teraz dopiero mnóstwo w nim znajdowałam trudności i niedogodności, choć przecie nie po co innego byłam przyjechała do Waliadolidu, jedno dla podjęcia tej fundacyi. Nie wiem, czy był to skutek wielkiego osłabienia mego po chorobie, czy też dyabeł chciał tym sposobem stłumić w samym zarodku szczęśliwe owoce, jakie później ta fundacya wydała. Prawdziwie dziwna to rzecz i żałosna, — jak i nieraz żalę się na to przed Panem, — jak biedna dusza nasza musi dzielić z ciałem niedołęstwa jego, jak gdyby zupełnie po-

dlegała prawom jego i wszelkim potrzebom i przygodom, które jemu sprawują cierpienie. Jest to, zdaniem mojem, jedną z najdotkliwszych nędz tego życia, jeśli duch nie ma w sobie dość żarliwości i męstwa, aby umiał nad tem zapanować. Podlegać ciężkiej niemocy, znosić wielkie boleści, zapewne, że jest to cierpieniem; ale takie cierpienie, jeśli jedno dusza jest swobodna, dla mnie jest niczem: bo choć ciało jęczy, dusza wielbi Boga i dzięki Mu czyni, pomnąc, że to cierpienie jest zrządzeniem i darem z ręki Jego. Ale cierpieć, a przytem mieć duszę bezwładną, to jest rzecz straszliwa, zwłaszcza jeśli to dusza, która przedtem wielkim płonęła zapałem i żądzą, nie szukania dla siebie żadnego, wewnętrznego czy zewnętrznego spoczynku, ale poświęcenia siebie bez podziału na służbę wielkiego Pana i Boga swego. Jedynem w takiej niedoli lekarstwem: cierpliwość i uznanie nędzy swojej i zdanie się na wolę Boga, aby On czynił z nami, co i jak Jemu się spodoba. W takim właśnie stanie byłam ja wówczas: wracałam już do zdrowia, ale takie było zniemożenie moje, że żadną miarą nie mogłam się zdobyć na tę ufność i otuchę, jaką przedtem zawsze miewałam z łaski Boga, podejmując te fundacye; same tylko we wszystkiem widziałam niepodobieństwa. Potrzeba mi było kogo, coby umiał dodać mi ducha; pod jego wpływem otrzęsłabym się z niedołęstwa mego; ale z tych, którzy mię otaczali, jedni tylko większego jeszcze strachu mi napędzali, drudzy, choć dawali mi niejaką nadzieję, nie taka to jednak była nadzieja, by zdołała pokonać małoduszność moję.

Na szczęście moje, łaskawem zrządzeniem Bożem, zjechał w tym czasie do Waliadolidu O. magister Ripalda z Towarzystwa Jezusowego, dawny przed laty spowiednik mój [1]). Udałam się do tego wielkiego sługi Bożego, odkryłam przed nim stan duszy mojej, prosząc, aby mi, jak tego pragnę, zastąpił miejsce Boga i objawił mi wolę Jego. Ojciec, wysłuchawszy wyznania mego, począł mi usilnie dodawać odwagi, twierdząc,

---

[1]) Ten sam, z którego rozkazu, jak powiedziano we wstępie, ś. Teresa napisała tę księgę Fundacyi.

że ta małoduszność moja jest skutkiem podeszłego wieku mego. Ja dobrze wiedziałam, że tak nie jest; dziś jestem jeszcze starsza, a przecie tego upadku na duchu, w jakim wówczas byłam, obecnie w sobie nie czuję: snać i on to rozumiał, a tylko tak mówił strofując mię, abym się ocknęła z niedołęstwa mego i nie sądziła, że ono pochodzi od Boga. Oprócz tej fundacyi w Palencyi, druga jeszcze jednocześnie przygotowywała się w Burgos, a ani na jednę, ani na drugą żadnych nie posiadałam środków; ale nie to mię odstraszało: taki już był mój zwyczaj, wszędzie zaczynać z niczem, a nieraz i mniej niż z niczem. Ostatecznie, wszystko zważywszy, O. Ripalda stanowczo mi oznajmił, że pod żadnym warunkiem nie powinnam zaniechać tych fundacyi. Taką samą odpowiedź miałam na krótko przedtem w Toledzie od O. Baltazara Alvarez, tegoż Towarzystwa Jezusowego naonczas prowincyała. Na słowo jego bez wahania byłam postanowiła podjąć się tych fundacyi; ale wówczas byłam jeszcze zdrowa. Teraz przeciwnie, choć zdanie tego drugiego Ojca, tem bardziej, że zupełnie zgodne z tamtem, największą u mnie miało powagę, nie zdołało ono jednak skłonić mię do stanowczego odrzucenia mych obaw i wątpliwości: dyabeł, jak mówiłam, czy też zniemożenie fizyczne, trzymał mię spętaną, choć zawsze, po tej spowiedzi u Ojca, czułam się już znacznie silniejszą. Przełożona waliadolidzka, która bardzo pragnęła przyjścia do skutku fundacyi w Palencyi, zachęcała mię jak mogła; ale widząc moję dla tej sprawy obojętność, nalegać nie śmiała. Ale czego ani nalegania ludzkie, ani powaga sług Bożych dokazać nie zdołały, to się w jednej chwili stało, gdy Pan raczył mi zesłać prawdziwy zapał z nieba; z czego każdy przekonać się może, że najczęściej nie ja działam to, co się zdziała w tych fundacyach, ale działa Ten, który mocen jest zdziałać wszystko.

Pewnego dnia, po Komunii, pogrążona w tych wątpliwościach i nie mogąc się zdobyć na żadne postanowienie co do tych fundacyi, błagałam Pana, aby mię raczył oświecić, iżbym we wszystkiem tem umiała poznać i spełnić wolę Jego, — bo i w czasach najgłębszego zniemożenia i oschłości, ta żądza spełnienia jedynie woli Bożej nigdy ani na chwilę we mnie nie

ustała. Wtedy Pan, jakby z wyrzutem, rzekł do mnie: — „Czego się boisz! Kiedy cię pomoc moja zawiodła? Jakim zawsze byłem dla ciebie, takim jestem i dzisiaj. Nie ociągaj się z założeniem tych dwu fundacyi." — O Boże wielki! jakże różne są słowa Twoje od słów człowieka! W tejże chwili taką uczułam w sobie odwagę i tak silne postanowienie, że, chociażby świat cały stawał mi w drodze, nie zdołałby mnie powstrzymać. Nie zwlekając ani chwili, przystąpiłam do dzieła i Pan też, jakby tylko czekał gotowości mojej, zaraz mi nastręczył środki rozrzeźne. Wybrałam dwie siostry, których posagu chciałam użyć na kupienie domu, a co do przyszłego utrzymania klasztoru, jakkolwiek mię upewniano, że z jałmużny niepodobna nam będzie wyżyć w Palencyi, ja o tem ani słyszeć nie chciałam: ustanowienie stałego dochodu, widocznie, na razie przynajmniej, było rzeczą niepodobną, a więc, kiedy Bóg sam każe, aby klasztor ten był założony, sam też potrzebom jego zaradzi. Choć nie zupełnie jeszcze byłam przyszła do siebie i choć pora zimowa nie sprzyjała podróży, postanowiłam jednak nie zwlekać wyjazdu i w dzień śś. Młodzianków tegoż roku 1580 z Walladolidu wyruszyłam. Od Nowego roku, aż do św. Jana miałyśmy zapewnione tymczasowe pomieszczenie w domu najmowanym przez jednego pana miejscowego, który go nam był ustąpił. Przed wyjazdem, napisałam była do jednego z kanoników w Palencyi; nie znałam go wcale, ale przyjaciel jego, którego znałam, upewnił mię, że jest to bardzo gorliwy sługa Boży, zaczem i pewna byłam, że wielką z niego będę miała pomoc, licząc na tę najłaskawszą Opatrzność, jaką Pan we wszystkich tych fundacyach nademną okazywał, iż znając mię i wiedząc, jak mało do czego jestem zdolną, wszędzie dawał mi znaleźć kogo, coby mi w wykonaniu dzieła Jego dopomógł. Napisałam więc była do tego kanonika, prosząc go, by nam, bez najmniejszego, o ile będzie podobna rozgłosu, oczyścił dom dla nas przeznaczony, usuwając lokatora, który część jego zajmował, ale nie mówiąc mu, o co chodzi. Co jakkolwiek między znaczniejszymi obywatelami Palencyi miałyśmy kilku bardzo nam przychylnych, a szcze-

gólnie biskupa, zawsze jednak uważałam, że będzie bezpieczniej, nie rozgłaszać rzeczy przed czasem.

Kanonik Reinoso, — tak się nazywał ten zacny kapłan, nie poprzestał na samem spełnieniu prośby mojej; nie tylko nam dom oczyścił, ale i zaopatrzył go w łóżka i we wszelkie wygody; rzeczywiście, były one nam potrzebne, po takiej, jaką miałyśmy podróży: zimno było przejmujące, droga uciążliwa, zwłaszcza, że cały dzień jechałyśmy w mgłę tak gęstą, iż prawie jedna drugiej dojrzeć nie mogłyśmy. Co prawda, odpoczynku miałyśmy nie wiele, bo zaraz po przyjeździe potrzeba było zająć się przygotowaniami do Mszy, aby nazajutrz wcześnie, niuby wieść o naszym przybyciu rozeszła się po mieście, spełnienie Najświętszej Ofiary w tym nowym domu stwierdziło i nieodwołalnem uczyniło nasze w nim usadowienie się. Z wielokrotnego doświadczenia przekonałam się, że ten jest najwłaściwszy sposób postępowania przy zakładaniu fundacyi; bo zwlekając i ociągając się, aż się wszyscy dowiedzą, daje się przez to ludziom powód do różnych sądów i gadań, a dyabeł korzysta z tego i wznieca zamięszanie i trudności, któremi choć nic nie wskóra, zawsze jednak sieje niepokój. Tak więc, nazajutrz rano, prawie o świcie, Don Porras, kapłan bardzo pobożny i towarzysz nasz w drodze do Palencyi, odprawił pierwszą w naszym domu Mszę świętą, a po nim zaraz drugą Don Augustyn de Vitoria, bardzo oddany naszym siostrom walladolidzkim, który też w drodze wielkie nam świadczył przysługi i nawet pieniędzy mi pożyczył na urządzenie nowego domu.

Miałam z sobą cztery siostry i piątą towarzyszkę moję, która już od dawna wszędzie ze mną jeździ; jest ona tylko konwerską, ale tak jest świętobliwa i roztropna, że większą mam z niej pomoc niż z wielu sióstr chórowych [1]). Tej nocy

[1]) Była to Wielebna Anna od św. Bartłomieja, długoletnia sekretarka św. Teresy, choć wstępując do zakonu wcale pisać nie umiała i później dopiero, jakby cudem się nauczyła. Gdy bowiem kiedyś, jak opowiadają jej życiopisarze, Święta wyraziła jej żal swój, że pisać nie umie, że posiadając tę

jak mówiłam, pomimo, że byłyśmy znużone złą drogą i uciążliwemi przeprawami przez wody wezbrane, sen nasz był krótki; ale znużenia nie czułam, wobec pociechy, jaką mię napełniało szczęśliwe rozpoczęcie naszej fundacyi, i z tego też bardzo się cieszyłam, że obrzęd otworzenia jej przypadł w dniu, w którym odmawiamy officyum o królu Dawidzie, do którego wielkie mam nabożeństwo. Tegoż samego dnia, zaraz z rana, posłałam do najprzewielebniejszego biskupa, z doniesieniem o przybyciu naszem, którego on tak rychło się nie spodziewał. Niezwłocznie odwiedził nas, z tą samą zawsze dobrocią, jaką nam od dawna stale okazuje. Obiecał nam zaopatrzyć nas w chleb, ile go będzie potrzeba i różnych innych potrzeb polecił szafarzowi swemu nam dostarczyć. Zakon nasz niezmiernie wiele mu zawdzięcza i każda, gdy czytając tę księgę Fundacyi dowie się o tylu względem nas dobrodziejstwach jego, powinna się poczuwać do obowiązku polecania go Bogu, żywego czy umarłego, o co i na miłość Pana każdą proszę. Radość z naszego przybycia tak była w całem mieście wielka i powszechna, że słów mi nie staje na opisanie jej; rzadko chyba zdarza się między ludźmi taka jednomyślność; wśród tych ogólnych objawów zadowolnienia, nie odezwał się ani jeden głos przeciwny. Zapewne, że w znacznej części przyczynił się do tego przykład biskupa, który wielką tu ma powagę i miłość u ludu; ale i lud sam taki jest dobry i szlachetny, jakiemu nigdzie nie widziałam podobnego; codzień też więcej się cieszę, że mi dano było wśród niego klasztor nasz założyć.

Zatrzymawszy się tymczasowo, jak mówiłam, w mieszkaniu najętem, zajęłyśmy się bezwłocznie kupnem domu własnego. Dom, w którym stałyśmy, był wprawdzie na sprzedaż, ale zrażone niedogodnem jego położeniem, wolałyśmy poszukać innego, a z tem, co posiadały te dwie siostry, które były do no-

---

umiejętność, mogłaby jej być pożyteczną, ona wyprosiła u Świętej kilka wierszy jej ręką pisanych, które wziąwszy do siebie i całą noc straciwszy na wpatrywaniu się w nie i naśladowaniu ich litera za literą, nazajutrz już wprawnie pisała. W zbiorze rękopisów św. Teresy wiele się przechowuje listów, ręką Wielebnej Anny, w zastępstwie Świętej, pisanych.

wego klasztoru wyznaczone, miałyśmy przynajmniej o czem rozpocząć targ i zawierać umowę; była to suma niewielka, ale w takiej małej mieścinie znaczyła dużo. Ostatecznie jednak, z takim fundusikiem nie byłybyśmy doszły do końca, gdyby nie pomoc serdeczna tych dwóch przyjaciół, których Bóg nam zesłał, to jest kanonika Reinoso, o którym już mówiłam i drugiego jemu podobnego, kanonika Salinas, męża wielkiego rozumu i serca. Oba żyli z sobą w najściślejszej przyjaźni; oba też wspólnie zajęli się sprawą naszą jakby własną, gorliwiej nawet, rzecby można, niż gdyby to była sprawa ich własna i takąż pełną poświęcenia przychylność niezmiennie odtąd temu domowi okazują.

Jest w Palencyi bardzo miła kaplica czy pustelnia, pod wezwaniem Matki Boskiej Nadrożnej; wszystko miasto i cała okolica wielkie ma do niej nabożeństwo i mnóstwo ludu tam się schodzi na modlitwę. Jego Pasterska Mość i wszyscy nam życzliwi byli zdania, że najlepiej nam będzie osiedlić się przy tej kaplicy. Zabudowań mieszkalnych kaplica ta nie posiadała, ale były w pobliżu dwa domy, które mogłyśmy kupić, a które połączone w jedno, wystarczyłyby na pomieszczenie nas, wraz z domowem oratoryum. Kościołek ten należał do kapituły i do bractwa przy nim istniejącego; do nich więc naprzód się zwróciłyśmy z prośbą o ustąpienie nam kościołka. Kapituła od razu zgodziła się najłaskawiej na to ustępstwo; ze starszymi bractwa porozumienie się szło nieco trudniej, ale i oni, po niejakiem wahaniu, zrzekli się praw swoich na rzecz naszę, bo jak już mówiłam, w życiu mojem nie widziałam ludu tak poczciwego, jak ten lud w Palencyi. Chodziło teraz o nabycie onych dwu domów: ale właściciele, widząc, że mamy na nie ochotę, podwyższyli ich cenę, czemu się nie dziwię. Gdym jednak poszła sama te domy obejrzeć, wydały mi się one tak niedogodnemi i nie tylko mnie, ale i tym, którzy nam towarzyszyli, że wszelką do nich chęć straciłam. Jasno potem się okazało, że zniechęcenie to niesłuszne w znacznej części pochodziło z poduszczenia złego ducha, któremu nasze osiedlenie się w tem miejscu bardzo się nie podobało. Kanonicy nasi, podzielając moje uprzedzenie, popierali je jeszcze uwagą, że domy te

daleko są od katedry, co było prawdą, ale za to leżą one w części miasta najgęściej zaludnionej. Ostatecznie wszyscy jednozgodnie uznaliśmy, że miejsce to nie jest dla nas przydatne i że trzeba poszukać innego. Zajęli się tem natychmiast oba kanonicy, z taką niestrudzoną pilnością i troskliwością, że z głębi duszy za tę ich dobroć dziękowałam Panu. Wszystkie domy obeszli, nie opuszczając żadnego, o ile tylko mógł się wydawać odpowiednim, aż wreszcie jeden, należący do niejakiego Tomayo, uznali najlepszym. Dom ten po części w dobrym był stanie i można było zająć go od razu, a graniczył z domem jednego pana możnego, Don Suero de Vega, który podobnie, jak wielu innych w sąsiedztwie, szczerze nam sprzyjał i bardzo pragnął naszego osiedlenia się w tej stronie. Rozmiary jednak tego domu były dla nas za szczupłe i nawet w połączeniu z drugim obok, który nam ofiarowano, jeszcze nie starczył na wygodne pomieszczenie nas.

Polegając na opisach i sprawozdaniach, jakie mi o tym domu dawano, pragnęłam już prędzej zawrzeć z właścicielem umowę; ale kanonicy żądali koniecznie, bym go pierwej sama obaczyła. Ufając im zupełnie, a mając wstręt do pokazywania się na mieście, broniłam się od tego żądania jak mogłam, w końcu jednak musiałam ustąpić i poszłam. Po drodze wstąpiłam jeszcze do tamtych dwu domów przy kaplicy Matki Boskiej, nie w zamiarze nabycia ich, ale jedynie dla pokazania właścicielowi tego domu, o który chcieliśmy się umówić, że nie jesteśmy zależni od łaski jego, że mamy w czem wybierać. Domy te, jak już mówiłam i mnie i siostrom mi towarzyszącym wydały się zupełnie nieprzydatnymi; dziś jeszcze nie możemy wyjść z podziwienia, jakim sposobem to się stać mogło, że pomieszczenie to, z którego dzisiaj zupełnie jesteśmy zadowolnione, wówczas nam wszystkim tak się nie podobało. Pod wpływem tego uprzedzenia i w przekonaniu, że nie mamy innego wyboru, poszłyśmy do tamtego domu, z powziętym z góry zamiarem kupienia go bądź co bądź. Dom ten rażące przedstawiał trudności i niedogodności, którym nie byłoby sposobu zaradzić; chcąc, naprzykład, urządzić w nim kaplicę i to jeszcze szczupłą i ciasną, byłoby potrzeba zburzyć całą jednę część

domu, skutkiem czego nie byłoby gdzie mieszkać. Ale na to wszystko wówczas nie zważałyśmy: taka to jest dziwna siła uprzedzenia i raz powziętego postanowienia! Co prawda, błąd ten, choć wówczas nie ja sama jemu uległam, był mi na przyszłość nauką, bym mniej dowierzała samej sobie. Stanęło więc na tem, że ten dom, a nie inny, weźmiemy; zgodziliśmy się i na żądaną cenę, choć bardzo wygórowaną, i właściciela, mieszkającego gdzieś pod miastem, listownie o tem zawiadomiliśmy.

Dziwicie się może, siostry, że tak szeroko się rozwodzę nad rzeczą na pozór tak błahą, jaką jest kupno domu; ale rzecz ta już nie wyda się błahą, gdy z przebiegu jej obaczycie, jakich to sposobów używał i z jaką złością usiłował dyabeł przeszkodzić nam, byśmy nie zamieszkały przy tym kościołku Matki Boskiej: ja dziś jeszcze drżę cała na samo o tem wspomnienie. Nazajutrz po onem postanowieniu naszem, kupienia bądź co bądź tego domu, w czasie Mszy świętej przyszła mi nagle silna wątpliwość, czy też dobrze zrobiliśmy i taki mię na tę myśl ogarnął niepokój, że przez cały czas Mszy świętej rady sobie dać nie mogłam; wciąż mi stał przed oczyma tamten dom Najświętszej Panny. Tak przystąpiłam do Komunii; aż oto w chwili przyjęcia jej, usłyszałam w sobie te słowa: — „Ten jest dom który wziąć powinnaś.“ — Słowa te tak były wyraźne i stanowcze, że pod ich wrażeniem natychmiast uczułam w sobie niezmienne postanowienie, bezwarunkowo nabyć one domy przy pustelni, a zaczętej umowy o tamten zupełnie zaniechać. Przewidywałam wprawdzie, jak trudno będzie wycofać się z umowy już zrobionej i jaka to będzie przykrość dla tych, którzy tyle położyli zachodu około wynalezienia tego domu i naszego w nim osiedlenia się pragnęli: ale Pan odpowiedział mi na to:—„Nie wiedzą oni, ile tam dzieje się złego z ciężką obrazą moją; wasz klasztor skutecznie temu zaradzi.“—Przyszła mi jeszcze myśl, czy nie jest to złudzenie; ale ani na chwilę przypuścić tego nie mogłam, jasno rozumiejąc po skutkach, jakie we mnie sprawiły te słowa, że pochodziły one z ducha Bożego. Pan też, utwierdzając mię w tem przekonaniu, zaraz rzekł do mnie: — „To Ja.“ — Wstałam zupełnie

uspokojona; wątpliwości, które mię przedtem dręczyły, znikły bez śladu, jakkolwiek nie widziałam jeszcze sposobu, jak naprawić to, co się stało i jak wytłómaczyć siostrom tę nagłą zmianę, kiedy tylko co przedtem z takim wstrętem odzywałam się przed niemi o tym domu i utwierdzałam je w ich do niego odrazie, mówiąc im, że za nic w świecie nie życzyłabym sobie, byśmy go były bez widzenia, jak łatwo być mogło, to jest na słowo przyjaciół naszych, kupiły. Chociaż o siostry mniej się w tym razie troszczyłam, wiedząc z góry, że wszystko uznają za dobre, cokolwiek ja uczynię; ale obawiałam się złego wrażenia, jakie to świeże postanowienie moje mogło sprawić na drugich, którzy za tamtem kupnem obstawali. Widząc takie nagłe moje przerzucanie się z jednego zamiaru w drugi, mogli mię posądzać o lekkomyślność i zmienność, a są to wady, któremi właśnie się brzydzę. Wszystkie jednak te względy i obawy nie zdołały ani na chwilę zachwiać mnie w postanowieniu założenia siedziby naszej w domu Najświętszej Panny, wszelkie też niedogodności, jakie w nim byłam spostrzegła, znikły mi z oczu; bo wszelkie niewygody i wszelkie sądy ludzkie niczem były dla mnie w obec tej myśli, że osiedlenie się nasze i zamieszkanie sióstr w tem miejscu zdoła zapobiedz choćby jednemu grzechowi powszedniemu i każda z nich, gdyby były słyszały to, co ja słyszałam od Pana o niegodziwościach, jakie tam do tego czasu się działy, tak samoby, pewna tego jestem, postąpiła.

Chcąc jednak ile możności zapobiedz zgorszeniu, jakie przyjaciele nasi z pozornej zmienności mojej wziąć mogli, takiego ku temu użyłam sposobu. Spowiadałam się u kanonika Reinoso, jednego z tych dwu, którzy mi z takiem poświęceniem siebie w tej fundacyi pomagali. Dotąd nie byłam mu jeszcze mówiła o łaskach nadzwyczajnych, takich jak to ostatnie objawienie, których Pan mi użycza; nigdy do tego czasu nie było sposobności ku temu ani potrzeby. Teraz jednak, ponieważ, pragnąc zawsze iść drogą bezpieczną, niezmienny mam zwyczaj w takich zdarzeniach zasięgać rady spowiednika i postępować według zdania jego, uznałam konieczność powiedzenia kanonikowi, pod sekretem spowiedzi, jaki rozkaz otrzy-

małam od Pana. Przyznaję, że niewypowiedzianą byłabym miała trudność w zastosowaniu się w tym razie do zdania spowiednika, gdyby mi był kazał postąpić przeciwnie temu, co słyszałam od Pana; ostatecznie jednak gotowa byłam uczynić, cokolwiek mi rozkaże, pokładając wszystką ufność moję w Panu, który, jak tego po wiele razy doświadczyłam, umie w danem zdarzeniu odmienić serce spowiednika, iż choćby z razu był innego zdania, w końcu jednak postąpi zgodnie z wolą Jego. Powiedziałam mu więc naprzód, jako Pan zwykł często w taki sposób mię nauczać i jako dotąd zawsze okazało się w skutkach, że słowa, które słyszę, niewątpliwie pochodzą z ducha Bożego. Potem opowiedziałam mu to ostatnie objawienie moje, dodając jednak, że w każdym razie, choćby mi to przyszło z trudnością, postąpię tak, jak on uzna, że postąpić powinnam. Na to kapłan ten, ile świętobliwy, tyle też, mimo młody wiek swój, roztropny i bezpieczny w każdej potrzebie poradnik, odpowiedział mi, że jakkolwiek przewiduje, jak mię za tę nagłą zmianę palcami wytykać będą, wszakże nie chce tego wziąć na siebie, by mi zabraniał postąpić wedle słów, które słyszałam. Zapytałam go jeszcze, czy pozwoli bym się wstrzymała z objawieniem mojego zamiaru, aż do powrotu posłańca, wyprawionego przez nas do właściciela tamtego domu. Zgodził się na to; ja zaś niezachwianą miałam ufność, że Bóg tymczasem w jaki bądź sposób otworzy mi wyjście z tej trudności i nie zawiodłam się. Właściciel, choć zgodziliśmy się na jego cenę i gotowi byliśmy zapłacić tyle, ile sam chciał, teraz nagle z nową występował pretensyą, żądając jeszcze trzysta dukatów dopłaty. Było to żądanie nie tylko nieuczciwe, bo skoro sam był postawił cenę, a my na nią zgadzaliśmy się, nie miał już prawa ją podwyższać, ale i ze względu na własny jego interes bardzo niemądre, bo do sprzedaży nagliła go potrzeba, a suma, którą mu mieliśmy zapłacić i tak o wiele przewyższała wartość domu. Jawne w tem widzieliśmy zrządzenie Boże, podające nam tak łatwy i prosty sposób wycofania się z danej niebacznie obietnicy. Właścicielowi oznajmiliśmy, że uważamy umowę za zerwaną, podając za powód, że postępowaniem swojem przekonał nas, iż z nim nie można dojść do końca, choć

nie był to powód główny, ani nawet w gruncie nie tłómaczył dostatecznie zerwania umowy, bo gdyby chodziło tylko o te trzysta dukatów, rzecz jasna, że nie byłoby racyi dla nich wyrzekać się kupna tego domu, o ile byśmy go skądinąd znajdowały odpowiednim na urządzenie w nim klasztoru. Po takiem szczęśliwem uchyleniu tej głównej trudności, widząc spowiednika mojego zafrasowanego przewidywaniem powszechnego zdziwienia i niekorzystnych sądów, jakie z ujmą dla sławy mojej z tej raptownej zmiany postanowienia wyniknąć mogą, prosiłam go, aby skoro uznaje, że powinnam tak postąpić jak Pan mi powiedział, o mnie i o sławę moję już się nie troszczył. Dodałam tylko prośbę, by towarzyszowi swemu oznajmił, że postanowiłam i koniecznie chcę, bez względu czy drogo, czy tanio, czy cały czy zrujnowany, kupić ten dom Najświętszej Panny. Kanonik Reinoso spełnił prośbę moję, a tamten przyjął to oznajmienie w milczeniu; snać niepospolicie bystrym rozumem swoim odgadł, choć się do tego nie przyznał, jaki powód mię skłonił do takiej nagłej zmiany: nigdy też najmniejszej nie uczynił mi z tego powodu uwagi czy wyrzutu.

Wszyscy później przekonaliśmy się, jak wielki bylibyśmy popełnili błąd, gdybyśmy byli kupili tamten dom. Ten, który z łaski Boga mamy, nad wszelkie spodziewanie nasze okazuje się zupełnie dogodnym i pod każdym względem lepszym od tamtego, nie mówiąc już o tem, co rzecz główna, że Boski nasz Zbawiciel i Najświętsza Matka Jego teraz w nim jak każdy to widzi, cześć i wierną służbę odbierają i że dawne okazye do obrazy Boskiej już w nim miejsca nie mają. Przedtem, póki to miejsce było tylko samotną pustelnią, odbywały się w niej nieraz schadzki nocne, które mogły dawać powód do różnych grzechów; dla tego właśnie dyabeł z taką złością i chytrością zwodził nas i naszemu tu osiedleniu się przeszkadzał, nie chcąc dopuścić tego, by zgorszenia te ustać miały; my zaś tem bardziej cieszymy i radujemy się, że możemy w czemkolwiek przyczynić się do chwały niebieskiej Matki, Pani i Orędowniczki naszej. To tylko wielka szkoda, żeśmy się tak późno opatrzyli; trzeba było wziąć dom ten od razu, nie tracąc czasu na szukaniu innego. Jasno teraz widzę, do jakiego stopnia zły duch w tej sprawie mię zaślepiał, bo mamy

w tym domu takie dogodności, jakichbyśmy daremnie szukały gdzieindziej; lud też wszystek, jak pragnął założenia naszego klasztoru w tem poświęconem ustroniu Matki Boskiej, tak teraz niezmiernie z niego się cieszy; a i ci nawet, którzy pierwej za tamtym domem obstawali, teraz uznają, że w tym jest daleko lepiej. Niech będzie błogosławiony na wieki Ten, który raczył mię w tej potrzebie oświecić, jak i w każdem innem zdarzeniu, jeśli kiedy zdołam uczynić co dobrego, jedynie oświeceniu Jego to zawdzięczam, bo coraz bardziej i z coraz większem przerażeniem widzę, jak zupełnie niezdolna jestem do niczego. Proszę nie sądzić, bym mówiła to tylko przez pokorę, mówię to z prawdziwego, z każdym dniem coraz jaśniejszego przeświadczenia. Taka jest snać wola Pana, bym się przekonała i by przekonali się wszyscy, iż On sam działa i sprawuje wszystkie te rzeczy i jako ślepemu, błotem pomazawszy oczy jego, wzrok przywrócił, tak i takiemu ślepemu jak ja stworzeniu raczy niekiedy oczy otworzyć, abym tego co mi czynić każe, nie czyniła po ślepemu. W tem zdarzeniu, rzecz pewna, wielka była ślepota moja i ile razy na to wspomnę, chciałabym wciąż na nowo dzięki czynić Panu, że mię tak miłościwie oświecił. Ale i dziękować Jemu, tak jak powinnam, nie umiem; nie wiem doprawdy, jak On jeszcze mię znosi. Niech będzie błogosławione miłosierdzie Jego, amen.

Jak tylko stanęło na tem, że kupimy te dwa domy przy pustelni, dwaj oni święci miłośnicy Najświętszej Panny zaraz o nie targ wszczęli i w końcu, zdaniem mojem, tanio je nabyli. Ale kłopotu z tem i zachodu mieli nie mało, bo tak się Panu podoba, że w każdej z tych fundacyi hojną nadarza sposobność do cierpienia i zasługi tym, którzy nam do nich pomagają; ja jedna tylko nic nie robię, jak już mówiłam i chciałabym wciąż to powtarzać, bo tak jest. A po ciężkich zachodach przy targowaniu tych domów, nowe jeszcze i nie mniejsze ponieśli z urządzeniem ich dla nas, które całe sami wzięli na siebie; i potem jeszcze na pierwsze potrzeby pieniędzy mi dali, wiedząc, że ich nie mam i za nas poręczyli, co za szczególną z ich strony dobroć sobie poczytuję, bo w innych miejscach niemały miewam kłopot nim znajdę poręczyciela, choćby na sumę mniej

znaczną. I nie dziw, że ludzie uchylają się od takiej posługi, bo ja zwykle zaczynam bez grosza w kieszeni i jedynem poręczyciela zabezpieczeniem jest ufność w pomoc Pana. Ale Pan zawsze dotąd czynił mi tę łaskę, że żaden z tych, co za nas ręczyli, nie miał na tem straty i zawsze znalazło się z czego spłacić należność do ostatniego szeląga, w czem uznaję szczególny dowód miłościwej nad nami Opatrzności Jego. Właściciele domów naszych na poręczeniu obu kanoników poprzestać nie chcieli; ci więc udali się o pomoc do Officyała; nazywał się, jeśli się nie mylę, Prudencio; wówczas nazywaliśmy go zawsze tylko officyałem, więc właściwego nazwiska jego nie wiedziałam i dziś tak je podaję, jak je słyszę od drugich. Dostojnik ten nadzwyczajną nam dobroć okazał i bardzo wiele jemu zawdzięczałyśmy i zawdzięczamy. Kanonicy spotkali go po drodze, wyjeżdżającego gdzieś na mule; na zapytanie jego, dokąd idą, odpowiedzieli mu, że szli do niego i że proszą go, aby położył podpis swój na ich poręczeniu. Jak to, odrzekł śmiejąc się, o porękę na taką wielką sumę tak mię bez ceremonii napastujecie na ulicy? I natychmiast, nie zsiadając nawet, podpisał się na podanym mu dokumencie: była to zaiste rzadka, jak na te czasy, hojność i wspaniałomyślność. Nie mogę tu pominąć bez należnej jaknajgorętszej pochwały tylu dowodów życzliwości i miłości, jakich w Palencyi doznałam, bądź od pojedyńczych osób, bądź od całej ludności w ogóle. Była to miłość godna pierwszych początków Kościoła, a przynajmniej nie bardzo dzisiaj pospolita na świecie: wiedzieli, że żadnych nie mamy funduszów, że sami będą musieli nas żywić, a przecie nie tylko nie bronili nam osiedlenia się między nimi, ale jeszcze cieszyli się z niego, jakby z łaski największej od Boga. Jakoż, w świetle wiary patrząc na rzeczy, mieli słuszność; bo chociażby z tego klasztoru naszego nie mieli żadnego innego pożytku niż ten, że przybył im jeden więcej kościół, w którym się przechowuje Najświętszy Sakrament, to samo już jest łaską bardzo wielką. Ale, niech za to wieczne będą dzięki Panu, nie jest to jedyna korzyść, jaką z nas miasto odniosło, bo jak to wszyscy coraz jaśniej widzą, ma teraz Bóg w tem miejscu chwałę swoję; ustały różne nie-

właściwości, jakie snać dawniej tu się zdarzały, gdyż wśród mnóstwa ludu, jakie się do tej pustelni na nocne nabożeństwa schodziło, nie wszyscy przychodzili dla nabożeństwa; dziś tu już o takich rzeczach nie słychać [1]). Obraz także Najświętszej Panny w wielkiem przedtem był nieposzanowaniu; teraz umieszczony jest ze czcią należną w osobnej kaplicy, którą biskup Alvaro de Mendoza dla niego postawił i wiele innych tym podobnych ulepszeń powoli się dopełnia, na cześć i chwałę Matki Boskiej i Boskiego Jej Syna, któremu niech będzie dziękczynienie i uwielbienie na wieki, amen, amen.

Gdy już nowy klasztor stanął gotów na przyjęcie nas, biskup postanowił, że przeprowadzenie nasze ma się odbyć jaknajuroczyściej. Wybrał na to dzień Oktawy Bożego Ciała i sam na ten dzień zjechał z Waliadolidu. Kapituła, zakony i wszystka niemal ludność miejscowa uczestniczyły w tej uroczystości z muzyką na czele. Z domu, w którym tymczasowo mieszkałyśmy, przeszłyśmy procesyonalnie, w płaszczach białych i ze spuszczoną na oczy zasłoną, do położonego w pobliżu pustelni kościoła parafialnego, gdzie zastałyśmy nasz obraz Najświętszej Panny, z kaplicy na spotkanie nasze przeniesiony, jak gdyby najłaskawsza Pani nasza sama wyszła na powitanie nas. Biskup wziął w ręce Najświętszy Sakrament, i procesyonalnie w pięknym ordynku, wprowadziwszy go do naszej kaplicy, z wielką uroczystością umieścił go na ołtarzu. Był to widok niezmiernie budujący. My na tej uroczystości byłyśmy w większej liczbie obecne, bo prócz sióstr miejscowych, szły z nami także, z gromnicami w ręku, siostry sprowadzone na fundacyę w Soria. Piękny tego dnia, jak sądzę, Boski Pan nasz odebrał w tem mieście hołd czci i uwielbienia; niech Mu z łaski Jego będzie chwała na wieki od wszystkiego stworzenia, amen [2]).

---

[1]) Nie całkiem jednak, zdaje się, zgorszenia te ustały, albo wkrótce potem się wznowiły, kiedy z powodu ich zakonnice w dziesięć lat po założeniu klasztoru zmuszone były go opuścić. Ob. *Cronica del Carmen Descalzo*, lib. V cap. 7.

[2]) Może do chwili, w której Święta pisała te słowa miłością Bożą płonące, odnosi się zdarzenie, które, jak opowiada Ribera *(Vita, l. III, c. 10)*,

W czasie pobytu mego w Palencyi, nastąpiło stanowcze odłączenie karmelitów Bosych od Trzewiczkowych, skutkiem czego dwie te reguły stanowią odtąd dwie prowincye oddzielne. Było to najgorętszem życzeniem naszem, w interesie zgody zobopólnej i spokojności naszej. Za wstawieniem się naszego króla katolickiego Filipa II, otrzymaliśmy z Rzymu bardzo obszerne Brewe w tym przedmiocie i Najjaśniejszy Pan, jak sam miłościwie tej sprawie dał początek, tak i w dalszem jej przeprowadzeniu królewską łaskę swoję i nadzwyczajną przychylność nam okazywał. Zebrała się w Alkala kapituła, zwołana przez wielebnego Ojca Jana, de las Cuevas [1]), naonczas przeora w Talavera, z zakonu św. Dominika, któremu Rzym, na przedstawienie króla Jego mości, był wykonanie Brewe papieskiego zlecił; był to mąż bardzo świętobliwy i roztropny, taki jakiego do sprawy tak ważnej było potrzeba. Król własnym kosztem swoim całe zgromadzenie podejmował i z rozkazu jego, miejscowy także uniwersytet wszelkie onemuż czynił ułatwienie. Kapituła zasiadała w naszym, jaki tam posiadamy, klasztorze braci Bosych, pod wezwaniem św. Cyryla. Wszystko odbyło się w najpiękniejszej jedności i zgodzie. Prowincyałem został obrany O. Hieronim Gracian od Matki Bożej. Bliższe szczegóły i cały przebieg obrad Ojcowie sami na innem miejscu opiszą, nie mam więc potrzeby dłużej tu nad niemi się rozwodzić. Dla tego tylko pokrótce o tem wspomniałam, że byłam obecną w Palencyi, w chwili, gdy Pan taki szczęśliwy dał koniec tej walnej sprawie, na cześć

---

miało miejsce w czasie pobytu św. Teresy w Palencyi. Któregoś dnia wieczorem, siostra jedna, wszedłszy do celki Świętej fundatorki, zastała ją siedzącą nad pisaniem, a tak przytem pogrążoną czy zachwyconą w Bogu, że choć zbliżyła się do niej i przy niej usiadła, święta jej nie spostrzegła. Co chwila w tem zachwyceniu kładła pióro, głęboko wzdychając, a taki blask jaśniał na jej obliczu i głowę jej jakby aureolą opromieniał, że siostra, siedząc przy niej, nie mogła się oderwać od tego widoku, świętą trwogą i religijną czcią przenikniona.

[1]) Właściwie Velazquez, ale pospolicie znany, imieniem matki, De las Cuevas. Roku 1596 został biskupem Awili, gdzie i w dwa lata później umarł.

i chwałę Najświętszej Matki swojej, boć to własny Jej zakon, i Ona jest Panią i Patronką naszą. Radość, jakiej wówczas doznałam, liczę do największych, jakie w życiu mojem otrzymać mogłam. Więcej niż dwadzieścia i pięć lat znosiłam trudy, i prześladowania, i utrapienia, o których długo byłoby opowiadać; Panu samemu wiadomo, ile ich było i jak ciężkie. Teraz więc, gdy wszystko to przeszło i szczęśliwy koniec wzięło, taka radość zalała serce moje, jaką ten tylko mógłby zrozumieć, ktoby wiedział, ile wycierpiałam. O jak gorąco pragnęłam tego, by wszystek świat połączył się ze mną w jedno wielkie Panu dziękczynienie, by wszyscy ze mną żarliwe do Niego zanosili modlitwy za pobożnym królem naszym Filipem, za którego sprawą łaska Pańska tak szczęśliwie nas ocaliła od grożącej nam zguby, bo w tej wściekłej zawierusze, którą dyabeł był na nas wzniecił, wszystka praca nasza byłaby poszła w niwecz, gdyby nie to, że król nas wziął w swoję opiekę.

Teraz już wszyscy: i Trzewiczkowi, i Bosi, w zgodzie jesteśmy z sobą i pokój mamy; nikt już nam nie przeszkadza służyć Panu. Wszyscy więc, bracia moi i siostry, kwapmy się pracować na chwałę Boskiego Majestatu Jego, kiedy tak łaskawie raczył wysłuchać prośby nasze. My dziś żyjący, świadkowie naoczni tych cudownych spraw Pańskich, pomnijmy na łaski, jakie nam uczynił, na uciski i utrapienia, z których nas wyzwolił. A którzy przyjdą po nas, mając już przed sobą drogę utorowaną i równą, niechaj niczego nie zaniedbają, cokolwiek do doskonałości naszego stanu należy. Niechaj nigdy nie będzie o nich powiedziano to, co niekiedy słychać o niektórych innych zakonach: Tak, kiedyś początki ich były piękne i chwalebne,—ale jak my dziś zaczynamy, tak niechaj oni usiłują zaczynać wciąż na nowo, coraz dalej ku coraz lepszym rzeczom postępując. Niechaj pomną, że korzystając z uchybień naszych w rzeczach małych, dyabeł powoli otwiera sobie wyłomy i podkopy, którymi potem wciskają się rzeczy wielkie i największe. Niechaj nigdy nie mówią sobie: To rzecz małej wagi, albo: To przesadna, niepotrzebna surowość. O córki moje, nie jest rzeczą małej wagi, cokolwiek nas wstrzy-

muje w postępie do wyższej doskonałości. Na miłość Pana naszego proszę was wszystkie, pomnijcie jak prędko wszystko na tym świecie się kończy, jak wielką łaskę uczynił nam Pan, powołując nas do tego zakonu, jak ciężkie karanie spotkałoby każdą, którąby dała początek jakiemu tej świętej reguły naszej zwolnieniu. Miejmy raczej wciąż przed oczyma ten ród święty, z którego pochodzimy; jesteśmy duchownem potomstwem błogosławionych proroków onych i ojców, potomstwem tylu chwalebnych przodków naszych, którzy tu na ziemi nosili ten habit nasz, a dziś chwałą przyobleczeni czekają nas w niebie. Zdobywajmyż się na świętą zuchwałość, postanówmy sobie i usiłujmy za łaską Boga świętymi stać się jak oni. Walka, siostry moje, nie będzie długa, a koniec jej wieczny. Wzgardźmy, porzućmy te rzeczy ziemskie, które są samą nicością, a miłujmy jedynie te rzeczy, które same mają byt i istność prawdziwą, bo trwają wiecznie, abyśmy coraz usilniej dążąc do osiągnięcia ich, coraz wierniej służyły Temu, coraz goręcej kochały Tego, który żyje na wieki wieczne. Amen, amen [1]).

ROZDZIAŁ XXX.

Fundacya klasztoru Trójcy Przenajświętszej w mieście Soria, roku 1581 w dzień świętego Ojca naszego Elizeusza.

JEZUS.

W czasie pobytu mego w Palencyi, dla fundacyi wyżej opowiedzianej, otrzymałam list od biskupa Osmy, tego samego doktora Velazquez, z którym, gdy jeszcze był kanonikiem

[1]) Ustęp ten końcowy tak brzmi, jak gdyby miał być zakończeniem całej księgi. Jakoż w tych ostatnich czterech Fundacyach, opisując każdą zaraz po dokonaniu jej, Święta, wiekiem i chorobą przygnębiona, za każdą sądziła, że to już ostatnia. Ob. *Uwagi wstępne* do tej księgi.

i scholastykiem katedralnym w Toledzie, będąc wówczas jeszcze trapiona wątpliwościami i strachami moimi, a wiedząc o nim, że jest to mąż bardzo uczony i wielki sługa Boży, usilnie się starałam zawiązać znajomość, i bardzo mu się naprzykrzałam, aby mi pozwolił spowiadać się u niego i podjął się pieczy o duszy mojej [1]). Choć bardzo był obarczony różnymi obowiązkami, wszakże widząc potrzebę moję, nie mógł się oprzeć błagalnej na miłość Pana naszego prośbie mojej i tak ochotnie na nią się zgodził, że aż zdziwiona byłam tak wielką łaskawością jego. Spowiadał mię więc i kierował mną przez cały czas pobytu mego w Toledzie, a był to czas dość długi. Z zupełną szczerością, jak zawsze to czynię, otwierałam przed nim duszę moję, a rady i nauki jego tak skuteczny na mnie wpływ wywierały, że od tego czasu zaczęłam się pozbywać onych strachów i obaw moich. Prawda, że do uśmierzenia ich inny jeszcze powód się przyczynił, ale o tem nie mam potrzeby tu mówić. W każdym razie jemu bardzo wiele w tym względzie zawdzięczam: dodawał mi otuchy, przytaczając mi słowa Pisma świętego, a te zawsze mi najłatwiej trafiają do przekonania; skoro mam pewność, jak w tym razie ją miałam, że ten, z ust którego je słyszę, dobrze je rozumie, a przytem życiem świętobliwem je stwierdza.

Otóż w liście tym, pisanym z Soria, gdzie wówczas przebywał, święty ten biskup donosił mi, że pewna pani, penitentka jego, objawiła mu chęć założenia klasztoru sióstr naszych w tem mieście; że, pochwalając ten zamiar, obiecał jej, iż namówi mię do podjęcia się tej fundacyi, niech mu zatem nie robię zawodu, i jeśli jedno uznam to za rzecz dobrą i pożyteczną, niech mu dam znać, a on przyszle po mnie. Niezmiernie się ucieszyłam z tego wezwania: raz, że sama ta fundacya bardzo mi się uśmiechała, a powtóre i dla tego, że, pomnąc ile mi ten dawny spowiednik zrobił dobrego i serdeczną mu za to chowając wdzięczność i przywiązanie, rada byłam bardzo z tej

---

[1]) Ob. *Księgę Sprawozd.* 9-e.

sposobności obaczenia go znowu i zasięgnięcia rady jego w niektórych potrzebach mej duszy.

Hojna ta pani i fundatorka nasza nazywała się Donna Beatrycza de Veamonte y Navarra. Była to pani sławnego i bardzo znakomitego rodu; ojciec jej, Don Franciszek de Veamonte (Beaumont), był potomkiem królów nawarskich. Po śmierci męża, z którym kilka lat tylko żyła, pozostała wdową i bezdzietną na czele wielkiego majątku. Od dawna już nosiła się z myślą założenia klasztoru żeńskiego. Biskup, gdy mu się z tym zamiarem zwierzyła, wskazał jej ten nasz zakon karmelitek Bosych, a szczegóły, jakie jej dał o nas, tak jej się spodobały, że od razu powzięła wielką chęć sprowadzenia nas czemprędzej. Jest to osoba bardzo słodkiego charakteru i wspaniałego serca, przytem bardzo pobożna i oddana życiu pokutnemu. Posiadała w Soria dom duży, mocno zbudowany i w bardzo dobrem położeniu. Dom ten obiecała nam oddać, co i uczyniła, zapewniając nam przytem, na wszelkie potrzeby fundacyi, pięćset dukatów rocznego dochodu. Biskup z swojej strony ofiarował nam bardzo piękny kościół, cały sklepiony, w pobliżu tego domu, z którym łatwo było połączyć go krytym gankiem. Był to właściwie kościół parafialny, ale biskup mógł nim na korzyść naszę rozporządzić, przyłączając tę parafię, bardzo ubogą, do drugiej sąsiedniej, tem bardziej, że kościołów parafialnych w Soria znaczna jest ilość. Wszystkie te szczegóły i objaśnienia zawierały się w onym do mnie liście biskupa. Przedstawiłam całą sprawę O. prowincyałowi [1]), obecnemu naonczas w Palencyi. I jemu, i przyjaciołom naszym bardzo się ten zamiar spodobał; byli więc zdania, bym odpisała biskupowi, że skończywszy już fundacyę w Palencyi, gotowa jestem zaraz przybyć do Soria, jak tylko po mnie przyszlą. Tak i napisałam z wielką, z powodów wyżej wspomnianych, radością.

Zajęłam się zaraz sprowadzeniem sióstr, mających ze mną pojechać na nową fundacyę. Było ich siedm,—bo fundatorka

[1]) Był nim O. Gracian od Matki Bożej.

nasza prosiła, by ich przyjechało raczej więcej niż mniej, — i jedna siostra konwerska, oprócz towarzyszki mojej [1]) i mnie. Biskup bezwłocznie przysłał po nas zaufanego swego, umyślnie wybranego, aby nam był pomocą w drodze. Zabrałam także, jak o tem byłam uprzedziła biskupa, dwóch Ojców naszego zakonu. Jednym z nich był O. Mikołaj od Jezusa i Maryi, rodem z Genui [2]), zakonnik wysokiej doskonałości i roztropności niezrównanej. Do zgromadzenia naszego należał on od niedawnego czasu jeszcze; miał już, zdaje mi się, przeszło czterdzieści lat, gdy przywdział habit Karmelu, tyle przynajmniej ma ich obecnie; ale w tym krótkim czasie tak znakomite uczynił postępy w doskonałości, iż słusznie z tego wnosić można, że był na to wybrany od Pana, aby zakonowi, w tych czasach ciężkiego ucisku i prześladowania, jakie go czekały, stał się podporą i obroną. I w rzeczy samej, on jeden wówczas miał jeszcze możność wspierać go i bronić, bo drudzy Ojcowie, którzyby zdołali popierać skutecznie sprawę naszę, byli wszyscy na wygnaniu, lub w więzieniu; na niego zaś, ponieważ nie piastował żadnego urzędu w zakonie i niedawno jeszcze, jak mówiłam, do niego należał, nie zwracano uwagi i tak miłościwem zrządzeniem Bożem, używał względnej swobody i mógł mi być pomocnym. Dzięki rzadkiej roztropności swojej i oględności w postępowaniu, choć zmuszony był mieszkać w madryckim klasztorze Trzewiczkowych, wśród Braci zapamiętale reformie naszej przeciwnych, tak zręcznie umiał ukrywać kroki swoje, że wszyscy mieli go za nieszkodliwego, fraszkami bawiącego się półgłówka, i nikomu ani na myśl nie przyszło, żeby on mógł utrzymywać stosunki ze mną i w sprawie naszej działać; dla tego dawali mu pokój. Ja wówczas zostawałam w klasztorze św. Józefa w Awili; pisywaliśmy do siebie, omawiając między sobą, co i jak nam czynić należy

---

[1]) Tej samej Wiel. Matki od św. Bartłomieja, o której była mowa wyżej.

[2]) Był to sławny O. Doria, później obrany pierwszym jenerałem Karmelu ścisłego w Hiszpanii.

Listy moje, jak upewniał, pocieszały go i otuchy mu dodawały. Łatwo z tego poznać, jak wielki był naonczas w zakonie naszym brak ludzi, kiedy wedle przysłowia, że na bezrybiu i rak ryba, do mnie się tak ze wszystkiem udawano. W ciągu tych ciężkich prób naszych, ciągłe miałam dowody wysokiej doskonałości i roztropności tego Ojca; mało też jest Ojców zakonu naszego, którychbym tak mocno, jak jego, w Panu miłowała i tak wysoko poważała.

Ten więc Ojciec, wraz z braciszkiem, towarzyszem swoim, zabrał się z nami. Podróż tym razem miałam wcale nie męczącą, bo człowiek, przysłany po nas od biskupa, starał się o to, by nam na niczem nie zbywało i upatrywał nam dobre zajazdy, a przytem, od pierwszego wstępu naszego w granice dyecezyi osmeńskiej, wszyscy, dla miłości swego biskupa, którego kochają bardzo, skoro posłyszeli, że na jego wezwanie i pod jego opieką jedziemy, wszędzie nas przyjmowali jaknajlepiej. Pogoda była piękna, mety jazdy dziennej nie dalekie, słowem, cała ta podróż nie tylko nam się nie przykrzyła, ale owszem przyjemność nam sprawiała, a jeszcze większą przyjemność i pociechę miałam, słysząc wszędzie po drodze jednomyślne pochwały świętości biskupa. Na ostatniej stacyi naszej przed Soria stanęliśmy w środę w Oktawie Bożego Ciała. Nazajutrz, w dzień Oktawy, byłyśmy u Komunii i tamże już resztę dnia pozostałyśmy, bo nie byłoby podobna zdążyć przed nocą do Soria. Nocleg, w braku innego schronienia, miałyśmy w kościele, z czem nie było nam źle. Następnego dnia wysłuchałyśmy tam Mszy świętej, a popołudniu około piątej stanęliśmy u celu naszej podróży. Biskup nasz święty, w chwili gdy przejeżdżałyśmy koło domu jego, stał w oknie i z okna przeżegnał nas; podwójnie tem byłam uszczęśliwiona, raz że otrzymałam błogosławieństwo biskupie, a powtóre, że je otrzymałam z ręki takiego świętego biskupa.

Pani ta, fundatorka nasza, czekała nas w bramie domu przeznaczonego dla nas na klasztor. Nam pilno było wejść, bo mnóstwo ludu szło za nami. Chociaż nie było to już dla nas rzeczą nową, bo dzięki ciekawości ludzkiej, zawsze chciwej nowin, gdziekolwiek przyjedziemy, wszędzie otaczają nas

tłumy i gdyby nie zasłony nasze, któremi sobie twarz zakrywamy, takie wystawienie na widok publiczny wielką byłoby dla nas przykrością; zasłoniwszy oczy, łatwiej to znieść. Z łaski pani naszej, zastałyśmy już przygotowaną, dużą i bardzo pięknie urządzoną salę, w której miała się sprawować Najświętsza Ofiara, do czasu wykończenia ganku, mającego nas połączyć z kościołem, oddanym nam z rozporządzenia biskupa. Zaraz nazajutrz, w dzień świętego ojca naszego Elizeusza, odbyła się w tej sali pierwsza Msza święta. Wszystkie potrzeby nasze jaknajhojniej miałyśmy zaopatrzone przez tę pobożną panią; wyznaczyła nam tymczasowe pomieszczenie w oddzielnej części domu, gdzie byłyśmy zupełnie same i tam przemieszkałyśmy, aż do ukończenia robót około ganku, które trwały aż do Przemienienia Pańskiego. W tym dniu, z wielką uroczystością i konkursem ludu, odbyła się pierwsza Msza święta w kościele naszym. Kazanie miał jeden z Ojców Towarzystwa Jezusowego. Biskup nie uczestniczył w tej uroczystości; był już wyjechał na wizytę dyecezyi, bez wytchnienia, dnia jednego ani jednej godziny nie tracąc, oddany pracy pasterskiej, pomimo, że zdrowie ma podkopane i od ciągłego wytężenia już jedno oko stracił. Gdym się dowiedziała o tem kalectwie jego, niezmiernie się zmartwiłam i żal wielki mię ogarnął, by te oczy, z tak wielkim pożytkiem poświęcone wyłącznie na służbę Pana naszego, miały całkiem ociemnieć. Niezbadane są wyroki i sądy Boże. Ale snać dla tego Pan dopuścił taką próbę na wiernego sługę swego, aby tem większą miał zasługę i aby tem jaśniej okazała się cnota jego; bo z zupełnem poddaniem się woli Bożej przyjął on to kalectwo swoje i dalej pracował z równem, jak przedtem poświęceniem siebie. Utrata oka, mówił mi, nie więcej go obeszła, niż gdyby niedola ta spotkała kogo obcego; i chociażby stracił jeszcze i drugie, nie zmartwiłby się tem zbytecznie; wolny wówczas od wszelkich obowiązków zewnętrznych, udałby się gdzie na samotność i oddałby się bez podziału służbie Bożej. Pociąg ten do życia pustelniczego zawsze on miał, jeszcze i przedtem nim został biskupem; nieraz mi się z tem zwierzał i był nawet czas, kiedy już prawie był postanowił opuścić wszystko

i schronić się gdzieś daleko od ludzi. Ja tego zamiaru nie pochwalałam; pragnęłam raczej dla niego tej wysokiej godności, na którą w końcu został wyniesiony, bo widziałam, jak wielkie on na tem stanowisku oddałby usługi Kościołowi. Z tem wszystkiem jednak, gdy się to życzenie moje spełniło i nastąpiła promocya jego na dostojeństwo biskupie, o czem on zaraz mię zawiadomił, wiadomość ta w pierwszej chwili mocno mię przeraziła; tak mi żywo stanęła w oczach cała ciężkość brzemienia nań włożonego, że spokoju sobie znaleźć nie mogłam; aż dopiero gdy poszłam do chóru i uklękłam na modlitwę, polecając go Panu, Pan raczył mię pocieszyć, oznajmując mi, że będzie miał z niego bardzo gorliwą służbę i wielką chwałę swoję, co też jawnie okazuje się w skutku. Nie zważając na chore oczy swoje, ani na inne cierpienia swoje bardzo dotkliwe, ani na uciążliwą pracę, którą zajęty jest ciągle, jeszcze cztery dni w tygodniu zachowuje ścisły post, żywi się jaknajskromniej i różne inne zadaje sobie umartwienia. Wizyty pasterskie odbywa zawsze piechotą, z czego służba jego bardzo jest nierada i przedemną nawet na to się skarżyła; ale kto chce u niego służyć, ten potrzeba by był człowiekiem wypróbowanej cnoty, innych w domu swoim nie znosi. Rzadko się zdarzy, by którą ważniejszą sprawę poruczył wikaryuszom swoim generalnym; sądzę nawet, że nigdy, i że wszystkie sam osobiście roztrząsa i załatwia. Zaraz na początku biskupstwa swego, przez dwa lata miał do zniesienia ciężkie prześladowania i oszczerstwa takie, że ja, znając nieskazitelną prawość jego i wiedząc z jaką ścisłością przestrzega sprawiedliwości we wszystkich czynnościach urzędu swego, pojąć nie mogłam, skąd i jak na podobnego męża mogły powstać sądy i skargi tak ciężko krzywdzące. Oszczerstwa te w końcu, choć powoli, musiały ustąpić przed jawną czystością charakteru i życia jego; choć nieprzyjaciele jego umieli trafić aż do dworu i na wszelki sposób starali się mu szkodzić, knowania ich, w obec głośnej w całej dyecezyi sławy świętobliwości jego, obróciły się w niwecz. On zaś całe to prześladowanie zniósł z niewzruszonym spokojem i cierpliwością i zawstydził przeciwników swoich, dobrem odpłacając im za złe. W końcu dodam i to jeszcze, że choć

tak obarczony pracą, modlitwy wewnętrznej żadnego dnia nie opuszcza i zawsze umie czas na nią sobie znaleźć [1]).

Może się komu wyda, że zbytnie folguję przyjemności, jaką mi sprawia pisanie pochwał tego świętego, i że zbyt szeroko nad niemi się rozwodzę; ale tego, co tu o nim powiedziałam, mało jest w porównaniu z tem, coby powiedzieć można i należało. Na to zaś uczyniłam tę dłuższą o nim i cnotach jego wzmiankę, aby wiadomo było wszystkim, którzy to czytać będą, kto był ten, który dał początek tej fundacyi Trójcy świętej w Soria, i aby te, które później do tego klasztoru wstąpią, miały pociechę czytając te budujące o nim szczegóły; a i te, które dziś tu żyją i dobrze je znają, nic na tem nie stracą, że znajdą w tem, co piszę, nowe ich przypomnienie i stwierdzenie. On nam dał ten kościół nasz; a i dochody zapewnione temu klasztorowi, jemu naprzód zawdzięczamy, bo choć nie sam je dał, ale do ustanowienia ich skłonił tę pobożną i cnotliwą panią, tak wielką i możną wedle świata, ale większą w obliczu Boga chrześcijańską pokorą i umartwionem życiem swojem [2]).

Zaraz po objęciu kościoła i dopełnieniu urządzeń potrzebnych do klauzury, wypadła mi konieczność udania się do klasztoru św. Józefa w Awili. Wyjechałam więc bezzwłocznie, choć skwary były wielkie i drogi kołowe bardzo złe. Towa-

[1]) W dwa lata po opisanem tu spotkaniu ze św. Teresą, r. 1583 biskup Velazquez został przeniesiony na stolicę Kompostelską, lecz wkrótce potem stanowczo oznajmił królowi Filipowi II, że sumienie mu nie pozwala dłużej piastować władzę, której obowiązków przy zniszczonem zdrowiu swojem wypełniać już nie zdoła. Król zrazu wzbraniał się przyjąć jego rezygnacyę, w końcu zgodził się na nią pod warunkiem, że biskup sam mu wskaże, kto ma być jego następcą. Zapytany przez króla o wysokość pensyi, jaką sobie z dochodów biskupstwa zastrzega, zażądał 1000 dukatów; król wyznaczył mu 12,000, ale mąż Boży ledwo po usilnych naleganiach zgodził się przyjąć połowę tego uposażenia. Zwolniony od obowiązków biskupich, przeniósł się do Palavera, gdzie roku 1587 umarł jak święty. Ciało jego spoczywa w Tudela de Duero, miejscu urodzenia jego.

[2]) W kilka lat po dokonaniu wspaniałej swej fundacyi w Soria, Donna Beatrycza założyła drugi klasztor karmelitek Bosych w Pampelonie i sama do niego wstąpiwszy, tamże r. 1602 pełna lat i zasług zakończyła świętobliwy żywot swój. Ob. Yepes, *Życie św. Teresy*, Ks. III, r. 32.

rzyszył mi niejaki ksiądz Ribera, prebendarz z Palencyi. Mając jakieś interesa w Soria, przyjechał tam był jednocześnie z nami i w nieobecność O. Mikołaja od Jezusa i Maryi, który, będąc bardzo potrzebny gdzieindziej, zaraz po spisaniu dokumentów fundacyjnych był odjechał, niezmiernie był mi pomocnym przy budowie naszego ganku i w wielu innych rzeczach. Tak się do nas przywiązał i taką mu Bóg dał do serca uczynną dla nas życzliwość, że słusznie należy nam polecać go Panu, na równi z drugimi dobroczyńcami naszego zakonu. Mając jego i zwykłą towarzyszkę moję, innego towarzystwa nie chciałam, bo i nie potrzebowałam: tego jednego było dosyć, tak jest troskliwy i przytomny i umie pamiętać o wszystkiem; a przytem, im mniej koło mnie ruchu i wrzawy, gdy jestem w podróży, tem lepiej dla mnie. Dobrze w tej drodze odpokutowałam za przyjemność, jakiej użyłam w poprzedniej, jadąc do Soria. Woźnica nasz znał tylko pieszą drogę do Segowii, a wozowej nie znał, skutkiem czego wjeżdżał z nami na wertepy, gdzie co chwila musiałyśmy wysiadać i iść piechotą, albo znowu jechaliśmy jakby zawieszeni na samej krawędzi głębokich przepaści. Próbowaliśmy brać przewodników, ale ci tyle nas tylko prowadzili, ile starczyło drogi lepszej, skoro zaś spostrzegli że zaczyna się zła, porzucali nas, tłómacząc się, że mają pilną robotę w domu. Nie znając drogi i nie wiedząc gdzie szukać zajazdów, nieraz, nim na który natrafiliśmy, potrzeba nam było długo błąkać się po bardzo dolegliwym skwarze słonecznym; wóz nasz przytem ciągle się przechylał z boku na bok, grożąc co chwila wywróceniem; a nad to wszystko jeszcze, ludzie, pytani o drogę, błędne nam dawali wskazówki, za któremi ujechawszy kawał drogi i spostrzegłszy dopiero że błądzimy, musieliśmy po wiele razy cofać się i wracać skąd wyjechaliśmy. Wszystkie te przygody bardzo mi były przykre, ze względu zwłaszcza na utrudzenie towarzysza mego; ale jest to kapłan tak gruntownej cnoty, że nigdy wśród tych dolegliwości nie okazał najmniejszego znaku uprzykrzenia; podziwiałam jego cierpliwość i dziękowałam za nią Panu, nowy na tym przykładzie mając dowód, jako cnoty prawdziwie gruntownej żadna pokusa ani okazya do grzechu nie zachwieje.

Z tem wszystkiem jednak spodobało się Panu wyprowadzić nas całych z tej drogi, za co niech będą dzięki Boskiej łaskawości Jego.

Przybyliśmy wreszcie do klasztoru św. Józefa w Segowii, w wilię św. Bartłomieja. Siostry czekały mię, zaniepokojone mojem opóźnieniem się, które dzięki takiej drodze było znaczne. Radosne ich powitanie i serdecznie troskliwe ich posługi sowicie mi powetowały wszystkie niewygody podróży; tak to Bóg zawsze, gdy zeszle mi jakie cierpienie, zaraz mi je wynagradza pociechą. Wypoczęłam u nich przeszło tydzień; ale najwięcej mię pokrzepia wspomnienie na tę nową w Soria fundacyę, i wobec dziwnie łatwych i słodkich okoliczności, w jakich ona się dokonała, niczem są wszystkie trudy, które teraz w podróży poniosłam, i ani wspominać o nich nie warto. Wyjechałam z Soria uradowana, bo ufam, że jest to grunt, na którym z miłosierdzia Boga będzie kwitła chwała Jego w tych, które na nim stanęły, jak to już teraz się okazuje. Niechaj będzie Jemu cześć i uwielbienie na wszystkie wieki wieków, amen. Bogu dzięki.

ROZDZIAŁ XXXI.

Fundacya klasztoru św. Józefa u św. Anny w mieście Burgos, dnia 19 kwietnia, w Oktawę Zmartwychwstania Pańskiego roku 1582.

Już na sześć lat przed datą niniejszego pisania mego, niektórzy zakonnicy Towarzystwa Jezusowego, mężowie poważni wiekiem, gruntownie uczeni i wysoko duchowni, przedstawiali mi wielkie dla służby i chwały Bożej pożytki, jakichby się spodziewać można z założenia w Burgos domu tego świętego zakonu naszego. Racye, jakie mi podawali, trafiły mi do przekonania i wzbudziły we mnie pragnienie tej fundacyi; ale wśród zatrudnień moich około innych fundacyi i wśród ucisków, jakie po tem przyszły na nasz zakon, nie miałam

możności przystąpienia wcześniej do wykonania tej myśli. Roku 1580, w czasie pobytu mego w Waliadolidzie, zatrzymał się tam przejazdem nowy arcybiskup Burgoski [1]), który, świeżo z biskupstwa wysp Kanaryjskich przeniesiony na to arcybiskupstwo, właśnie stamtąd jechał na objęcie swej nowej stolicy. Umyśliłam skorzystać z tej dobrej sposobności i w tym celu udałam się do biskupa Palencyi, Don Alvaro de Mendoza, z prośbą o poparcie. Mówiłam już jak bardzo ten biskup przychylnym jest dla naszego zakonu; on pierwszy, będąc wówczas biskupem awilańskim, uznał i przyjął pod opiekę swoję tameczny nasz klasztor św. Józefa i wiele innych od tego czasu łask nam okazał i sprawy zakonu naszego tak bierze do serca jakby swoje własne, gotów wszystko dla nas uczynić, zwłaszcza gdy ja go o co proszę. Otóż udałam się do niego z prośbą, by wyjednał mi u arcybiskupa pozwolenie na fundacyę w Burgos. Najchętniej tego się podjął, bo mając to przekonanie, że Pan w tych domach naszych wierną odbiera służbę, cieszy się bardzo, ile razy nowy taki dom powstaje. Arcybiskup, nie chcąc stawać w mieście, zatrzymał się w klasztorze św. Hieronima, gdzie biskup Palencyi świetnie go podejmował i obiad wielki na cześć jego wydał i wreszcie dopełnił na nim uroczystego obrzędu włożenia opaski [2]), czy nie wiem jak to się nazywa, przez co nowomianowany metropolita otrzymał dopiero władzę arcybiskupią. Przy tej sposobności przedstawił mu także, jak był obiecał, prośbę moję o pozwolenie założenia tego klasztoru. Arcybiskup upewnił go, że bardzo chętnie udzieli tego pozwolenia; że jeszcze będąc na wyspach kanaryjskich, pragnął tam założyć klasztor karmelitek, wiedząc, jak w tych domach kwitnie służba Boża, o czem sam się przekonał naocznie w rodzinnem mieście swojem, gdzie taki klasztor istnieje, a i mnie także dobrze zna. Biskup Mendoza powtórzył mi słowa jego, zapewniając mię, że o pozwolenie mogę być spokojną, że arcybiskup owszem bardzo się ucieszył z zamiaru

---

[1]) Don Cristobal Vela.

[2]) Palliusz arcybiskupi.

mego. Nie miałam wprawdzie pozwolenia tego na piśmie, ale po takiem oświadczeniu arcybiskupa, mogłam je uważać za pewne i prawomocne; bo Sobór Trydencki żąda tylko zgodzenia się miejscowego biskupa, nie przepisując w jaki sposób, ustnie czy na piśmie, ma być wyrażone.

Opisując powyżej fundacyę w Palencyi, mówiłam jak wielkie czułam wówczas zniechęcenie do tego przedsięwzięcia, skutkiem ciężkiej, śmiertelnej jak się zdawało wszystkim, choroby, po której nie byłam jeszcze przyszła do zdrowia. Zwykle jednak nie podlegam takim pokusom małoduszności, jak tylko widzę że chodzi o służbę Bożą; ostatecznie więc dobrze nie rozumiem, skąd mi przyszło to zgnębienie i zniechęcenie, którego wówczas doznawałam. Gdyby mi chodziło tylko o brak środków, i trudności i przeszkody większe mi stawały na drodze przy innych fundacyach, a przecie mi odwagi nie odbierały. Ale widząc teraz, jak łatwo i dobrze rzecz raz zaczęta się powiodła i jak szczęśliwie na chwałę Bożą rozwija się ta fundacya, utwierdzam się w przekonaniu, że mojego wówczas upadania na duchu przyczyną i sprawcą był dyabeł. Dla tego też, ile razy która fundacya ma być połączona z wielkiemi trudnościami, Pan znając wielką nędzę moję, zawsze mi dodaje ducha słowem i okazaniem Boskiej mocy swojej. Przeciwnie, gdy rzeczy mają pójść łatwo, nic mi nie mówi, jak to już w kilku fundacyach uważałam. Tak więc i w tym razie, widząc ciężkie, jakie mię czekały walki i cierpienia, pokwapił się dodać mi odwagi, niech Mu będzie chwała i dziękczynienie za wszystko! Tu właśnie w Waliadolidzie, jak to opowiedziałam opisując fundacyę w Palencyi, o którą wówczas jednocześnie z tą drugą toczyły się układy, powiedział mi jakby z wyrzutem te słowa:—„Czego się lękasz? Czy cię kiedy pomoc moja zawiodła? Ja zawsze jestem ten sam, nie wahaj się podjąć obie te fundacye.“—Nie będę tu powtarzała tego, co tam już mówiłam, jaką odwagą napełniły mię te słowa; w tejże chwili znikła bez śladu małoduszność moja, z czego się jawnie okazuje, że nie była ona skutkiem ani choroby ani starości, i jak mówiłam, bez wahania rozpoczęłam przygotowania do obu tych fundacyi. Uznałam jednak, że będzie właściwiej, naprzód się zająć

Palencyą: było to i bliżej i nie takie tam w porze zimowej mrozy, jak w Burgos; chciałam także tym sposobem dogodzić łaskawemu naszemu biskupowi palencyjskiemu. Gdy zaś w czasie pobytu mego w Palencyi nastręczyła się trzecia fundacya w Soria, zdało mi się, ponieważ wszystko tam było gotowo, że lepiej będzie pierwej skończyć i z tą fundacyą, a potem dopiero udać się do Burgos. Biskup w Palencyi uważał, że należy uprzedzić arcybiskupa o tym stanie rzeczy, co na prośbę moję obiecał sam uczynić. Jakoż po wyjeździe moim do Soria, umyślnie w tym interesie wyprawił do Burgos kanonika Jana Alonso. Arcybiskup, po naradzie z tym kanonikiem, oznajmił mi listownie, że z całego serca pragnie przyjazdu mego; w drugim zaś liście do biskupa, objaśniał temuż, że zdaje się zupełnie na niego co do przeprowadzenia tej sprawy; że jednak, znając usposobienie miasta Burgos, uważa, iż koniecznie będzie potrzebnem zgodzenie się onegoż; wnosi zatem, że powinnam sama przyjechać i wejść nasamprzód w układy z miastem; jeśliby ono swojego zgodzenia się odmówiło, jemu, arcybiskupowi rąk to nie zawiąże, by nie miał dać z swojej strony obiecanego już pozwolenia, tylko że pomnąc, jak sam na to patrzał, co się działo przy założeniu pierwszego klasztoru w Awili, i jakie wówczas powstało przeciw niemu wzburzenie w mieście i jaki opór zaciekły, chciałby tu podobnym zajściom zapobiedz; w końcu ostrzega, że w razie odmowy miasta, nieodzownie będzie potrzeba, by klasztor miał zapewnione stałe dochody.

Biskup na mocy tego listu uważał sprawę za skończoną i słusznie, skoro arcybiskup żądał przybycia mego i wyraźnie mię wzywał. Mnie jednak zdawało się, że list ten poniekąd zdradzał pewien ze strony arcybiskupa brak odwagi i stanowczości. Odpisałam mu, dziękując za łaskę mi okazaną, dodając jednak, że zdaniem mojem gorzej byłoby prosić miasta o pozwolenie, gdyby go miało odmówić, niż zacząć bez pytania go o zgodę, gdyż tamto łatwiej mogło by narazić Jego Przewielebność na możliwe spory. Snać przeczuwałam zawczasu, jak słabe znalazłabym u niego poparcie, skoro by zamiar nasz napotkał na jaki opór, a napotkałby najpewniej, gdybym była

podjęła starania o to pozwolenie, którego uzyskanie z góry widziałam jak byłoby trudnem, dzięki zwykłej w takich razach różności zdań. Jednocześnie napisałam do biskupa palencyjskiego, prosząc go, by zgodził się na zawieszenie do czasu dalszych kroków, ze względu na podkopane zdrowie moje, z którem w tak późnej już porze roku trudno mi narażać się na pobyt w Burgos, gdzie takie silne chłody panują. O wątpliwościach moich co do arcybiskupa nic mu nie wspominałam, nie chcąc go więcej jeszcze martwić, kiedy i tak już był zmartwiony onym listem jego, w którym, po takich zapewnieniach o dobrej woli swojej, jakoby się cofał i wynajdywał trudności; bałam się także, dotykając tej kwestyi, dać im jaki powód do niezgody, kiedy dotąd w najlepszej z sobą żyli przyjaźni. W taki sposób wytłómaczywszy się przed obu biskupami, uważałam siebie za zwolnioną do czasu i ani myśląc o prędkiem wybraniu się do Burgos, z Soria udałam się do naszego domu św. Józefa w Awili, gdzie różne interesa wymagały koniecznie obecności mojej.

Mieszkała wówczas w mieście Burgos pewna wdowa świętobliwa, rodem z Biskai; nazywała się Katarzyna de Tolosa. Nie prędko skończyłabym, gdybym chciała tu opisywać wszystkie jej cnoty, jej życie umartwione i ducha modlitwy, i wielkie jej jałmużny, i uczynki miłosierne, i bystry jej umysł, i wspaniałość serca. Dwie córki swoje, na cztery lata przedtem, o ile pamiętam, była oddała do naszego klasztoru Poczęcia Najświętszej Panny w Waliadolidzie; z oddaniem drugich dwu czekała na otworzenie domu naszego w Palencyi, i zaraz po dokonaniu tej fundacyi, nim jeszcze stamtąd odjechałam, sama mi je przywiozła. Wszystkie cztery okazują się córkami godnemi takiej matki, są to, rzec mogę, dusze anielskie. Dała im posag znaczny i hojną wyprawę, bo hojną ona jest we wszystkiem co robi, i ma z czego, posiadając bardzo duży majątek. W czasie pobytu jej u mnie w Palencyi, będąc zupełnie spokojną co do pozwolenia arcybiskupa, tak mi się ono wydawało rzeczą pewną, prosiłam tej pobożnej pani, by wyszukała nam w Burgos jaki dom do najęcia, w którym byśmy tymczasowo mogły zacząć i objąć fundacyę w posiadanie, i aby urządziła

w nim kratę i koło. Wydatki na to potrzebne prosiłam by zaliczyła na mój rachunek, bo ani myślałam o tem, by ona miała jeszcze obarczać siebie tym kosztem. Gorąco pragnęła tej fundacyi i bardzo się tem martwiła, że skutkiem nieprzewidzianych, o których wyżej wspomniałam, trudności, rzecz ma pójść w odwłokę. Jakoż, gdy ja odjechałam do Awili, ani myśląc, jak mówiłam, o dalszem na teraz traktowaniu tej sprawy, ona jej nie zaniechała i w przekonaniu, że bez pozwolenia miasta nie będzie podobna nic zrobić, nic mi o tem nie mówiąc, wszczęła starania o uzyskanie onegoż. Miała dwie znajome, panie znacznego rodu, a bardzo pobożne, matkę i córkę; obie one również bardzo pragnęły tej fundacyi. Matka nazywała się Donna Marya Manrique; synowi, który należał do zarządu miasta, było na imię Don Alfons od św. Dominika, córce, Donna Katarzyna. Obie więc, i matka i córka, poczęły nalegać na Don Alfonsa, aby wystąpił w zarządzie miejskim z wnioskiem wydania onego pozwolenia. Alfons udał się naprzód do Katarzyny de Tolosa z zapytaniem, jaką ma dać wnioskowi swemu podstawę, to jest jaką przedstawić rękojmię co do utrzymania zamierzonej fundacyi, bo bez takiej rękojmi, rzecz pewna, że pozwolenia odmówią. Na to oświadczyła Donna Katarzyna, że obowiązuje się, — jak tego i dopełniła, — dać nam dom, jeślibyśmy go skądinąd nie miały, i zapewnić nam pożywienie. Ułożono podanie z wymienieniem tych zobowiązań, Donna Katarzyna podpisała je, a Don Alfons z tym dokumentem w ręku tak zręcznie i pomyślnie pokierował sprawą, że wszyscy członkowie zarządu zgodzili się na dopuszczenie naszej fundacyi, po czem udał się do arcybiskupa i otrzymał od niego pozwolenie na piśmie. Donna Katarzyna, zaraz po wszczęciu tych rokowań, uprzedziła mnie listownie o krokach przez nią uczynionych. Ja wzięłam to za żarty: wiedziałam dobrze z własnego doświadczenia, jak trudno jest uzyskać od miast pozwolenie na klasztor utrzymujący się z jałmużny, byłam więc pewna, że i w tym razie rzeczy łatwo nie pójdą, a ani mi w myśli nie było, żeby ona tak prędko załatwiła sprawę, tak wielkie i hojne biorąc na siebie zobowiązania.

Z tem wszystkiem jednak, któregoś dnia — było to w oktawę św. Marcina, — polecając tę sprawę Panu, zastanowiłam się, co poczynę, jeśliby, wbrew oczekiwaniu mojemu, zgodzenie się miasta rychło nastąpiło. Zdawało mi się, że przy tylu różnych i ciężkich cierpieniach moich, któreby wystawianie się na mrozy zimowe, tem bardziej że tak jestem wrażliwa na zimno, bardziej jeszcze pogorszyło, o podróży do Burgos myśleć mi nie podobna; że byłoby to nierozsądnem narażaniem się, gdybym po świeżo przebytej, tak ciężkiej, jak wyżej opowiedziałam, jeździe do Soria, zaraz znowu puszczała się w taką daleką drogę; że i prowincyał pewnoby na to nie pozwolił; że wreszcie, skoro tam nie grożą żadne szczególne trudności, obecność moja nie będzie tam potrzebną i przeorysza bardzo dobrze mię zastąpić może. Wśród takich myśli, gdy już postanawiałam sobie, że nie pojadę, Pan rzekł do mnie te słowa, z których poznałam, że pozwolenie już jest uzyskane: — „Nie bój się tego zimna, Jam jest gorąco prawdziwe. Dyabeł wszystkie siły swoje wytęża, aby przeszkodzić tej fundacyi; ty dla mnie wytężasz twoje, aby przyszła do skutku. Nie wahaj się pojechać tam sama; wielki będzie z tego pożytek.“ — Słowa te zmieniły w jednej chwili moje postanowienie; bo choć natura nieraz się wzdraga wobec grożącego jej cierpienia, nigdy jednak nie ulega zmianie chęć i gotowość do cierpienia dla miłości tak wielkiego Pana i Boga mego. Tak też Jemu mówię w chwilach podobnej pokusy: — „Nie zważaj, Panie, mówię Mu, na te wstręty ułomności mojej, ale każ, co chcesz abym uczyniła dla chwały Twojej, a ja za łaską Twoją bez ociągania się spełnię, co każesz.“ Choć w tej porze padały śniegi, nie tyle przecie to mię odstraszało od jazdy do Burgos, ile raczej wzgląd na złe zdrowie moje; gdybym je była miała dobre, pewnobym na śniegi i mrozy ani na nic nie zważała. Cierpienia moje w czasie tej fundacyi mocno mi dolegały, jak zwykle; ale zimno było tak nieznaczne, czy też ja tak mało je czułam, że prawdziwie powiedzieć mogę, iż nie więcej od niego cierpiałam, niż gdybym była choćby w Toledzie. Wiernie, co do tego, dotrzymał Pan obietnicy, jaką był mi dał w onych słowach swoich.

W kilka dni po tem do mnie przemówieniu Pańskiem, nadesłano mi pozwolenie od miasta, wraz z listami od Katarzyny de Tolosa i od przyjaciółki jej, Donny Manriquez. Obie nalegały na mnie, bym przyśpieszyła mój przyjazd, z obawy, by nie zaszła jaka przeszkoda, bo świeżo byli się tam zjawili Bracia Wiktoryni [1]), z zamiarem założenia klasztoru, a przed nimi jeszcze, od dość dawna już, o takież upoważnienie do fundacyi starali się karmelici Trzewiczkowi; później, w takimże celu, zjawili się jeszcze Bazylianie. Takie jednoczesne zgłoszenie się tylu na raz zakonów mogło rzeczywiście stać się poważną dla nas przeszkodą; tem bardziej więc jest czego dziękować Panu za wielką dobroć i miłość tego miasta, które je chętnie dopuściło wszystkie, choć zamożność jego nie jest dzisiaj tak wielką, jaką była dawniej. Zawsze słyszałam pochwały miasta Burgos za miłosierdzie jego chrześcijańskie, ale przyznaję, że nie spodziewałam się, by ono umiało się zdobyć na taką szerokość i hojność. Mnogość i rozmaitość zakonów była raczej dla pobożnej tej ludności zachętą: jedni wedle pociągu swego wspierali ten zakon, drudzy woleli świadczyć drugiemu. Arcybiskup jednak nie chciał zrazu tych nowoprzybywających dopuścić, przewidując możliwe z ich osiedlenia się niepożądane następstwa, a mianowicie obawiając się, by istniejące już w mieście klasztory żebracze, z sąsiedztwa tych nowych nie miały szkody, to jest umniejszenia jałmużn, bez którychby utrzymać się nie mogły. Może być, że samiż ci zakonnicy taką arcybiskupowi obawę podali, a może też wzniecił ją dyabeł, chcąc przeszkodzić wielkim korzyściom duchownym, jakie sprawuje znaczniejsza liczba klasztorów, w jednemże miejscu istniejących; a czy ich jest mniej czy więcej, Bóg zarówno mocen jest dać im pożywienie.

Zważając na wielką usilność, z jaką te świętobliwe panie nalegały na mnie w listach swoich, abym przyśpieszyła mój przyjazd, radabym była wyjechać natychmiast, tylko że nie-

[1]) Wiktorynami (*Frailes Vitorios*, albo *de la Victoria*) zwali się w Hiszpanii Najmniejsi (*Minimi*) św. Franciszka z Pauli.

które pilne sprawy jeszcze mię w Awili zatrzymywały [1]). Wobec pobożnej skwapliwości tych pań, które, choć obce, tak żywo brały do serca tę sprawę, czułam dobrze, że mnie tem bardziej nie wypada ociągać się, że tem bardziej obowiązana jestem spiesznie korzystać z pomyślnych okoliczności i czasu, póki sprzyja, z własnej winy nie tracić. Słowa, które byłam sły-

---

[1]) Św. Teresa z Soria przybyła do Awili 5 września 1581. Wybrana natychmiast na przełożoną domu św. Józefa, przez cztery miesiące zajęta była duchownemi i materyalnemi potrzebami tego klasztoru. Do Burgos wyjechała 2 stycznia 1582 r., zabierając z sobą, prócz stałej towarzyszki swojej, Matki Anny od św. Bartłomieja, siostrę Teresę od Jezusa, siostrzenicę swoję i dwie siostry sprowadzone z Alby. Podróż od pierwszego dnia była dla świętej bardzo ciężką; deszcz padał bezustannie, a przytem cierpienia jej, mianowicie częściowe sparaliżowanie reumatyczne i silne zapalenie gardła, znacznie się pogorszyły. Z trudnością wielką dojechała 4-go do Medina del Campo, gdzie zmuszona była odpoczywać do 9-go. Przyjazd jej do tego klasztoru, jak o tem świadczą akta kanonizacyjne, zaznaczył się cudownem uzdrowieniem przełożonej, Matki Alberty Baptysty, złożonej silną gorączką z wielkiemi bolami w boku. Przykuta do łoża, chora nie mogła z siostrami zejść do furty na powitanie drogiego gościa, co widząc Święta, poszła do niej natychmiast do infirmeryi i wchodząc zawołała: — „Jezu! jak ty możesz, córko, chorować na przyjazd mój? Wszak jesteś zdrowa, wstawaj zaraz i chodź zemną do refektarza.“—To mówiąc, dotknęła ręką bolącego jej boku, a chora tejże chwili wstała i poszła z drugiemi na wieczerzę. Z Medina, Święta pojechała dalej do Waliadolidu, gdzie znowu cztery dni przeleżała, a byłaby się tam zatrzymała i dłużej, bo cierpienie jej i po czterodniowym odpoczynku nie było się zmniejszyło; ale lekarze ostrzegali, że przez dłuższe pozostawanie na miejscu ono jeszcze bardziej się wzmoże, przyspieszono więc wyjazd, póki jeszcze był możebny. Tak dojechano do Palencyi, gdzie takie tłumy ludu wyszły na spotkanie Świętej i tak wóz jej obległy, że przez długą chwilę niepodobna jej było wysiąść. Wprowadzając ją do klasztoru, siostry odśpiewały Te Deum, jak to było we zwyczaju we wszystkich klasztorach reformy, za każdą wizytą świętej fundatorki. Klasztor cały był przystrojony i ołtarzyki ustawione, na okazanie radości, z jaką siostry witały ukochaną matkę. W Palencyi nowe pogorszenie zatrzymało Świętą cały tydzień; ale i przy lepszem zdrowiu nie byłaby mogła wcześniej wyjechać w tę fatalną drogę do Burgos, skutkiem nieustających deszczów do gruntu rozmokłą, powodziami zalaną i na prawdę niebezpieczną, jak tego Święta, pomimo dłuższego przeczekania, jeszcze w powyżej opisanej podróży swojej sowicie doznała, nim wreszcie, po 24 dniach takich trudów niesłychanych, 26-go stycznia w Burgos stanęła. (Ob. Ribera i Yepes).

szała, zapowiadały wielkie przeciwieństwa, choć nie mogłam odgadnąć, skąd i od kogoby one przyjść miały, skoro w liście Katarzyny de Tolosa miałam zapewnienie, że własny dom jej gotów jest na przyjęcie nasze i na wstępne przez nas objęcie fundacyi, że miasto się zgadza i arcybiskup też; nie mogłam więc żadną miarą dojść, ktoby jeszcze miał być sprawcą tego przeciwieństwa, które nam dyabeł miał wzniecić, lubo, mając na to słowo Pańskie, nie wątpiłam, że tak będzie. Wreszcie, większe w Boskiej mądrości swojej Pan daje światło przełożonym. Napisałam do Ojca prowincyała, zdając mu sprawę i z uprzedniego usposobienia mego i z tego, co potem słyszałam od Pana; on odpowiedział, że jechać mi nie zabrania, tylko zapytuje, czy mam na piśmie pozwolenie od arcybiskupa. Odpisałam mu, że według listów, jakie otrzymałam z Burgos, mówiono z nim w tej sprawie, uprzedzając go, że proszono miasta o pozwolenie i że on ten krok pochwalił; że zatem, wobec tego wszystkiego i wobec poprzednich jego w tej kwestyi oświadczeń, zdaje się, że o pozwoleniu jego niema co wątpić.

Ojciec prowincyał postanowił towarzyszyć nam w podróży na tę fundacyę, po części dla tego, że skończywszy już kazania adwentowe, czas miał swobodny; po części dla odwiedzenia, z małem zboczeniem z drogi, klasztoru naszego w Soria, którego od czasu założenia jego jeszcze nie był wizytował; po części także, widząc mię taką starą i schorzałą, a sądząc, że życie moje jeszcze się na co przydać może, chciał czuwać nad zdrowiem mojem w tej jeździe po drogach niegodziwych i w najsurowszą porę roku. Stało się to rzeczywiście miłościwem zrządzeniem Pańskiem, bo drogi tak były złe i wody tak wezbrane, że nie łatwo byłybyśmy z nich wyszły całe bez pomocy jego i towarzyszów jego; po wiele razy przyszło im wysiadać, dla odszukania drogi, albo dla dobywania wozów z kałuż, w których się raz w raz nurzały; zwłaszcza między Palencyą a Burgos tak było źle, że odważenie się na taką przeprawę istotnie mogło się wydawać zuchwalstwem. Prawda, że na ubezpieczenie się miałam słowo Pana, który rzekł do mnie:— „Jedź dalej, nie bój się; Ja będę z wami.“—Ojcu prowincya-

łowi nic na razie nie mówiłam o tych słowach; ale wielkie z nich miałam uspokojenie i pociechę w tych bardzo poważnych niebezpieczeństwach i cierpieniach, na jakie byliśmy wystawieni. W jednej szczególnie miejscowości pod Burgos, zwanej Mosty (pontones), bardzo było groźnie; wody w tem miejscu tak były wezbrały, że sameż mosty prawie wszędzie pod niemi znikały; drogi zupełnie nie było widać, tylko jak daleko okiem zasięgnąć, wszędzie woda i woda, a po obu stronach mostów i drogi, toń niezgłębiona. Puszczanie się w taką drogę, powtarzam, równało się zuchwalstwu, zwłaszcza jeszcze wozami, które, za najmniejszem zboczeniem, niechybnie musiałyby zsunąć się w przepaść; jakoż z jednym z wozów naszych o mało że tak się nie stało [1]).

Wzięliśmy wprawdzie w austeryi położonej nieopodal przewodnika, znającego dobrze to przejście; ale i z najlepszym przewodnikiem niebezpieczeństwo jest wielkie. A jakie zajazdy miewaliśmy po drodze, o tem lepiej nie mówić. Przy takich złych drogach, nie mogliśmy ani stawać na popas czy nocleg, gdziebyśmy chcieli, ani tyle ujechać, ileby w ciągu dnia należało. Wozy nasze raz w raz grzęzły w błocie i trzeba było nieraz wyprzęgać muły z jednego, aby wyciągnąć drugi. Ojcowie nam towarzyszący wielkie z tem mieli utrudzenie, zwłaszcza że woźnice, jacy się nam byli dostali, byli to ludzie młodzi i niedoświadczeni, a przytem i niedbali. Towarzystwo Ojca prowincyała dużo mi dodawało otuchy; sam się zajmował wszystkiem; z takim niewzruszonym spokojem znosił

---

[1]) W chwili wjeżdżania samą krawędzią góry, stromo się wznoszącą ponad płynącą w dole wezbraną rzeką, jeden z wozów tak się przechylił na bok, że po ludzku nieuniknione już było stoczenie się jego do rzeki, choćby go kilku silnych ludzi zatrzymać usiłowało; aliści, cudem oczywistym, zatrzymał go jeden człowiek, za jedno tylko koło schwyciwszy. Tak opowiada Ribera i dodaje, że odtąd aż do końca podróży św. Teresa swojemu wozowi kazała jechać naprzód, chcąc być pierwszą na spotkanie niebezpieczeństwa. W zajeździe, w którym się po tej przeprawie zatrzymano na noc, nie było nawet łóżka dla świętej, choć gorączka coraz mocniej ją trawiła i ból gardła tak się był wzmógł, że prawie już przełykać nie mogła.

wszystkie te kłopoty, jak gdyby dla niego były niczem, i największe nawet trudności tak spokojnie, jakby od niechcenia, przyjmował i załatwiał, jak gdyby to były bagatele. Raz tylko, w czasie onej przeprawy przez mosty, mimowoli uległ silnemu wrażeniu przestrachu. I ja też, gdy się wówczas znalazłam wśród onej bezbrzeżnej topieli, nie widząc ani śladu drogi, kędyby przejechać, ani łodzi, którąby przepłynąć, mimo całej odwagi, jakiej mi dodawała otrzymana od Pana obietnica, nie zdołałam się oprzeć silnemu przelęknieniu, na myśl, co się stanie z towarzyszkami mojemi [1]). Miałam ich siedm w tej drodze: dwie z nich miały ze mną powrócić, drugie pięć, z których cztery chórowe a jedna konwerska, były wyznaczone na pozostanie w Burgos. Jeszcze, zdaje mi się, nie powiedziałam, kto był ówczesny nasz Ojciec prowincyał: był to O. Hieronim Gracian od Matki Bożej, o którym niejednokrotnie już w innych miejscach mówiłam. Co do mnie, odbywałam tę podróż z bardzo silnym bolem gardła, który mi przyszedł w drodze, jeszcze przed dojechaniem do Waliadolidu; gorączka przytem ani na chwilę mnie nie opuszczała; cierpiałam więc mocno, skutkiem czego i nie byłam zdolną cieszyć się tak, jakby należało, szczęśliwie przebytemi niebezpieczeństwy i słodkością najłaskawszej opieki, jaką nas Pan w tej drodze otaczał. Ból ten dotąd mam, choć to już koniec czerwca; nie jest on już tak gwałtowny, zawsze jednak mocno mi dolega. Siostry po tych przeprawach były uszczęśliwione, i miło to rozmawiać o niebezpieczeństwach przebytych, kiedy już miną; ale milszą je-

---

[1]) Siostry, pisze Ribera (*Życie*, ks. III, r. 13), wobec grożącego niebezpieczeństwa, wszystkie tamże na miejscu odbyły spowiedź, po czem uklękły przed świętą, prosząc o jej błogosławieństwo i poczęły głośno odmawiać Skład Apostolski. Wtedy Święta, dla dodania im ducha, rzekła do nich: — „Odwagi, siostry; jakieżby większe szczęście spotkać was mogło nad to, gdyby wam dano było tutaj życie wasze położyć w ofierze dla Pana Jezusa, jeśliby taka była wola Jego, i stać się męczenniczkami miłości Jego? Puśćcie mię naprzód, niech pierwsza tej drogi sprobuję; a jeśliby mi przyszło utonąć w tej fali, wy, proszę was i błagam, nie postąpcie już naprzód ani kroku ale wróćcie wszystkie do gospody, skąd wyjechałyśmy.“ To rzekłszy, ruszyła naprzód i przykładem męstwa swego wszystkim odwagi dodała.

szcze i większą rzeczą jest, cierpieć z posłuszeństwa, zwłaszcza dla dusz tak tę cnotę kochających i pełniących, jak ją kochają i pełnią te siostry.

Po takiej fatalnej podróży, jeszcze pod samem miastem przebywszy głębokości wód, stanęliśmy wreszcie w Burgos, w piątek nazajutrz po Nawróceniu św. Pawła, dnia 26 stycznia. Stosownie do żądania Ojca prowincyała, zatrzymaliśmy się naprzód u świętego Krzyża [1]), dla polecenia jemu sprawy naszej, a także dla doczekania tam zmroku, bo jeszcze było widno. Mieliśmy zamiar i postanowienie, zaraz bez odkładania przystąpić do fundacyi. Byłam zaopatrzona w listy, od kanonika Salinas,—tego samego, który, jak opowiedziałam w swojem miejscu, tak skutecznie nas wspomagał przy fundacyi w Palencyi i tutaj również najusilniej był nam pomocny,—i od kilku osób znaczniejszych, gorąco nas polecających krewnym i przyjaciołom swoim w Burgos, aby sprawę naszę wpływem swoim poparli. Wszyscy oni uczynili zadość temu wezwaniu i zaraz nazajutrz przyszli mię odwiedzić; podobnież i członkowie zarządu miasta przyszli do mnie z upewnieniem, że słowa nam danego wcale nie żałują, że owszem bardzo się cieszą z przybycia mojego i radzi będą, w czem zechcę, mi usłużyć Oświadczenie to zupełnie nas uspokoiło, bo ponieważ jedyna obawa, jaką miałyśmy, była o to, by nam miasto nie robiło trudności, więc wobec takiej uprzejmości radnych byłyśmy pewne, że żadnej już przeszkody nie będzie.

W chwili przyjazdu naszego, chciałyśmy natychmiast, nimby kto o nas się dowiedział, zawiadomić arcybiskupa i prosić go, aby pierwsza u nas Msza święta mogła być zaraz nazajutrz, jak tego zawsze, we wszystkich prawie fundacyach przestrzegałam; ale z powodu deszczczu ulewnego, w jaki zajechałyśmy do domu kochanej naszej Katarzyny de Tolosa, trzeba było wstrzymać się z tem zawiadomieniem do rana. Noc tę miałyśmy spokojną i doskonały po trudach podróży odpoczynek, dzięki serdecznie gościnnemu przyjęciu, jakie nam

[1]) To jest u słynącego cudami krzyża „el santo Cristo di Burgos,“ w kościele augustyanów.

zgotowała ta pobożna pani. Ja jednak tej nocy dużo ucierpiałam; dla osuszenia przemokłej odzieży mojej, mocno w pokoju napalono, a ogień ten, choć kominkowy, tak mi zaszkodził, że nazajutrz głowy podnieść nie mogłam; przychodzących do mnie zmuszona byłam przyjmować leżąca i przez zakratowane okienko, zasłoną zawieszone, z nimi rozmawiać; bardzo to dla mnie było uciążliwem, ale wobec konieczności traktowania o interesach fundacyi, niepodobna mi było od tych rozmów się uchylić.

Nazajutrz wcześnie O. prowincyał poszedł do arcybiskupa, prosić go o błogosławieństwo, bo niczego już więcej, zdawało nam się, nie było potrzeba. Ale arcybiskup przyjął go bardzo nachmurzony i rozgniewany, objawiając mu wielkie niezadowolenie swoje, że przyjechaliśmy bez pozwolenia jego, jak gdyby nie był sam kazał mi przyjechać i jak gdyby nigdy nie było mowy z nim o naszej fundacyi. Ostremi więc obsypywał O. prowincyała wyrzutami, mocne zwłaszcza na mnie okazując zagniewanie. Wprawdzie musiał przyznać w końcu, że sam mi kazał przyjechać, ale to było tylko w tej myśli, dodawał, abym rozpatrzyła się na miejscu i układy wszczęła, a nie bym od razu tyle mniszek przywoziła; niech wam Bóg nie pamięta, wołał, tej przykrości, jaką mi ona przez to wyrządziła. Na próżno przedstawiał mu O. prowincyał, że układ z miastem, według żądania jego, już stanął, że zatem już nie o układy chodzi, jedno o dopełnienie przyznanej już fundacyi; że przed wyjazdem zapytywałam biskupa palencyjskiego i otrzymałam od niego zapewnienie, że mogę i powinnam zaraz jechać, bez uprzedniego znoszenia się jeszcze z Jego Przewielebnością; że nawet trudzenie księdza arcybiskupa nowem jeszcze z mojej strony uprzedniem zapytaniem, byłoby rzeczą zbyteczną i niewłaściwą, skoro on już oświadczył, że pragnie naszego przybycia: wszystkie te racye nie zdołały przekonać arcybiskupa, ani zmienić nieprzychylnego dla nas usposobienia jego. Widocznie Bóg sam, chcąc tej fundacyi, zrządził ten nagły, bez zapytywania, przyjazd nasz; gdybyśmy były postąpiły inaczej, fundacya z pewnością nie przyszłaby do skutku; bo arcybiskup, jak potem sam to przy-

znał, w razie nowej do niego prośby naszej, byłby dał odpowiedź odmowną i przyjazdu nam zabronił. Ostatecznie oświadczył O. prowincyałowi i z tem go odprawił, że jeśli nie wykażemy się ze stałego na utrzymanie fundacyi naszej dochodu i z posiadania własnego domu, pozwolenia od niego żadną miarą nie otrzymamy i możemy sobie odjechać, skąd przyjechałyśmy. Odjechać! piękne bo były właśnie do odjazdu drogi i czas na podróż prześliczny! O Panie mój, jaka to prawda, że kto Tobie odda jaką usługę, temu Ty zaraz odpłacasz jakiem dotkliwem strapieniem! I jakże drogą byłaby taka zapłata dla duszy prawdziwie Ciebie miłującej, gdybyśmy umieli od razu poznać się na cenie jej! My jednak w onej chwili tego zysku wcale sobie nie życzyliśmy; widzieliśmy tylko to jedno, że warunki stawiane przez arcybiskupa grożą nam zupełną niemożnością wykonania naszego zamiaru; bo nie dość, że wymagał, byśmy miały zapewniony stały dochód i nabyły własny dom, ale nadto jeszcze zabraniał, by fundusz na to potrzebny nie był brany z posagu sióstr: znalezienie zaś innego źródła na sumę tak znaczną, przy najusilniejszem nawet szukaniu i obmyślaniu, przedstawiało się widocznem, jak na te czasy obecne, niepodobieństwem. Ja wszakże mimo to wszystko nie zachwiałam się ani na chwilę w mej ufności; najmocniej byłam pewna tego, że wszystkie te przeciwności zrządzone są dla większego dobra naszego, że jakkolwiek dyabeł kładzie nam w drogę przeszkody, dla udaremnienia fundacyi naszej, Bóg przecie w końcu zwycięży i sprawę swoję do pomyślnego skutku przywiedzie. Snać i O. prowincyał podzielał tę ufność moję; odpowiedzią arcybiskupa zgoła się nie zafrasował i z pogodnym uśmiechem mi ją powtórzył. Bóg łaskawy tak go dobrze usposobił, aby się nie gniewał na mnie i nie robił mi wymówek, żem nie postarała się z samego początku dostać pozwolenie arcybiskupa na piśmie, jak on wówczas radził.

Dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy, przyszło zaraz do mnie kilku z przyjaciół i krewnych kanonika Salinas, do których tenże, jak mówiłam, był nam dał listy. Wszyscy oni byli zdania, że trzeba prosić arcybiskupa o pozwolenie, byśmy

mogły mieć Mszę świętą w domu i nie potrzebowały wychodzić na ulice, w tej porze pełne błota, po którem nie wypadało nam chodzić boso; a była w domu sala bardzo przyzwoita, która Ojcom Towarzystwa Jezusowego, od chwili przybycia ich do Burgos, przez dziesięć lat służyła za kaplicę; nie byłoby więc w tem, zdawało się nam, żadnej trudności, byśmy w tejże kaplicy odbyły tymczasowe objęcie w posiadanie, nimbyśmy zdołały nabyć dom własny i do niego na stałe mieszkanie się przenieść. Ale arcybiskup żadną miarą nie chciał pozwolić na odprawianie Mszy świętej w tej sali, choć dwóch kanoników usilnie go o to prosiło. Tyle tylko zdołali uzyskać, że skoro będziemy miały dochód zapewniony, on zgodzi się na rozpoczęcie fundacyi w tym domu, do czasu nabycia własnego; ale że dom własny koniecznie kupimy i stawimy na to poręczycieli, jako od tego warunku w żadnym razie się nie uchylimy. Szczęściem poręczycieli zaraz znalazłyśmy: przyjaciele kanonika Salinas sami się nam z poręką ofiarowali, a Katarzyna de Tolosa zobowiązała się zapewnić nam dochód, bez którego fundacyi rozpoczynać nam broniono. Na tych wszystkich pertraktacyach i obmyślaniach, jak i skąd zaradzić tylu kłopotom, upłynęły nam ze trzy tygodnie, w ciągu których byłyśmy bez Mszy świętej, z wyjątkiem świąt i to wcześnie z rana, a ja do tego byłam mocno chora i wciąż trawiona gorączką[1]).

---

[1]) Święta, wśród tylu przykrości wciąż się mnożących, nie zachwiała się ani na chwilę w swej cierpliwości, choć i skądinąd dotkliwe w różnych zdarzeniach upokorzenia na twardą wystawiały ją próbę. Razu jednego w tym czasie, idąc do kościoła i stanąwszy nad szerokim i głębokim przez ulicę rynsztokiem, prosiła kobiety jakiejś, zastępującej jej drogę, by zechciała dać jej przejście; lecz ta, biorąc ją za żebraczkę, sfukała ją i nazwała obłudnicą i tak silnie ją pchnęła, że Święta upadła w błoto. Towarzyszki jej oburzone chciały strofować tę kobietę za niegodny jej postępek, ale święta je powstrzymała, mówiąc:—„Dajcie jej pokój; wiedziała ona, do kogo mówi, i prawdę powiedziała.“ Innego razu, gdy modliła się klęcząc w kościele, ludzie jacyś, przechodząc koło niej i gardząc nią dla ubogiego jej ubrania, pchnęli ją nogą, że im nie ustępuje z drogi. Pchnięcie było tak silne, że Święta upadła na ziemię; ale w milczeniu zniosła tę zniewagę i nim Matka

Ale Katarzyna de Tolosa z taką troskliwością pamiętała o wszystkich potrzebach i wygodach moich i, dawszy nam na mieszkanie całą część domu swego, gdzie byłyśmy zupełnie same, przez cały miesiąc, z taką serdecznością nas żywiła, jak gdyby nam wszystkim była matką. O. Prowincyał z towarzyszami swymi stał u przyjaciela i dawnego swego kolegi szkolnego, niejakiego doktora Manso, kanonika i scholastyka katedralnego [1]); bardzo był nierad tym zwłokom, które go tak długo w Burgos zatrzymywały, a nie miał serca opuścić nas przed ostatecznem załatwieniem sprawy naszej.

Arcybiskup, na przedstawienie nasze, że mamy już żądanych poręczycieli i zapewnione utrzymanie klasztoru, odesłał nas do swego wikaryusza generalnego, aby zaraz co należy zarządził. Ale i do niego dyabeł trafić nie zaniechał. Bo oto, gdyśmy sądzili, że już żadnej nie może być przyczepki, że arcybiskup, po całomiesięcznych staraniach naszych, poprzestanie wreszcie na tem, cośmy według żądania jego spełnili, wikaryusz generalny, po długiem zastanowieniu się, przysłał mi reskrypt z oznajmieniem, że pozwolenia dla nas nie będzie, póki nie będziemy miały własnego domu; że na rozpoczęcie fundacyi w tym domu, w którym stałyśmy, arcybiskup już się nie zgadza, bo wielka w nim wilgoć i ciągły hałas z ulicy; przytem i co do

---

Anna od św. Bartłomieja przybiegła, aby ją podnieść, sama się podniosła i z takim na nią spojrzała wyrazem uradowania, jak gdyby ją największe szczęście spotkało.

[1]) Piotr Manso, z rodu Manso y Zuniga, pochodził z Val de Canas, w dyecezyi Calahorra. Słuchał z O. Gracian teologii w Alkala, został kanonikiem w Salmantyce, później w Burgos, w końcu, według przepowiedni św. Teresy, jak to sam zeznał w jej procesie kanonizacyjnym, biskupem dyecezyi Calahorra. Po wyjeździe O. Gracian z Burgos, on spowiadał Świętą. Miał dla niej cześć głęboką; powiadał, że w kwestyach wiary i nauki objawionej woli się radzić jej, niż najsławniejszych teologów. Pewnego razu, jak również sam to zeznał w procesie kanonizacyjnym, Święta, gdy jej się przyznał, że zaniechał rozmyślania, żywo go o to strofowała: „O, jakie to nieszczęście! zawołała; potrzeba ci koniecznie wrócić do rozmyślania, choćby się całe piekło temu sprzeciwiało.“ Między Listami św. Teresy jest jeden do doktora Piotra Manso.

zabezpieczenia stałych dochodów klasztoru podnosił nie wiem już jakie zarzuty i mnóstwo innych robił trudności, jakby sprawa, od miesiąca wlokąca się, teraz dopiero się zaczynała; wreszcie kończąc oświadczał, że o tej sprawie więcej niema co mówić, póki nie będzie domu i takiego, któryby się spodobał arcybiskupowi.

Wielkie było oburzenie O. prowincyała i wszystkich za otrzymaniem tego dziwnego poselstwa. Boć na znalezienie takiego domu, któryby się zdał na klasztor, każdy to widzi, że potrzeba czasu. A przytem O. prowincyał już nie mógł dłużej patrzeć na to, że zmuszone byłyśmy wychodzić na miasto dla słuchania Mszy świętej; i choć kościół był niedaleko i miałyśmy w nim osobną kaplicę, gdzie nikt nas nie widział, zawsze jednak przedłużenie, jakby umyślne ze strony arcybiskupa czy wikaryusza jego, takiego stanu rzeczy bardzo ciężką było i dla Jego Przewielebności, i dla nas przykrością. Na seryo już wówczas myślał, jak sądzę, kazać nam odjechać. Na to jednak ja nie mogłam się zgodzić; pomnąc na słowa, jakie byłam usłyszała od Pana, i na zalecenie Jego, bym za Niego broniła tej sprawy Jego, tak byłam pewna pomyślnego jej skutku, że wszystkich tych przykrości jakby wcale nie czułam. To jedno tylko mię martwiło, że O. prowincyał tyle z naszego powodu cierpi nieprzyjemności; żałowałam, że z nami przyjechał, nie przewidując wówczas, jak wielką i skuteczną przyjaciele jego mieli nam być pomocą, jak się to z dalszego opowiadania mego okaże. Towarzyszki moje także mocno były strapione, ale o nie nie tyle się frasowałam, ile o O. prowincyała. Wśród tego powszechnego strapienia, któregoś dnia, lubo w tej chwili nie byłam na modlitwie, Pan rzekł do mnie te słowa: — „Teraz, Tereso, trzymaj się mocno.“ — Słowa te nowej dodały mi odwagi; nie wahałam się już prosić O. prowincyała,—do czego zapewne i Pan sam wewnętrznie go skłonił,— by, nie czekając dłużej, zostawił nas same i wrócił do domu, tembardziej, że zbliżał, się już czas Wielkiego Postu, a kazania postne w jego kościele klasztornym z obowiązku na niego przypadały.

Przed odjazdem z Burgos, wspólnie z przyjaciołmi swymi, wystarał się nam o pomieszczenie w szpitalu Poczęcia, gdzie przynajmniej miałyśmy Najświętszy Sakrament i codziennie Mszę świętą. Było to dla nas ulgą, a dla niego niejaką pociechą; ale uzyskanie dla nas tego mieszkania niemało go kosztowało. Pewna bowiem wdowa miała w tymże szpitalu wynajęty dla siebie obszerny pokój i nie tylko pożyczyć go nam nie chciała, choć sama miała go zająć dopiero za pół roku, ale nadto jeszcze bardzo się gniewała, że nam dano parę pokojów na górze, pod dachem, z których jeden miał wyjście na jej pokój. Mało jej było zamknąć na klucz to przejście, ale jeszcze je od środka zatarasowała drągami. Z drugiej strony znowu, członkowie bractwa, zawiadującego szpitalem, wyobrazili sobie, że na to do niego się wprowadzamy, aby go zabrać dla siebie; obawa ta nie miała sensu, ale dla większej zasługi naszej Bóg dopuścił na nas i to utrapienie. Kazali nam tedy, O. prowincyałowi i mnie, złożyć przed notaryuszem przyrzeczenie, że na pierwsze ich żądanie natychmiast się wyniesiemy. Warunek ten wydawał mi się szczególnie niebezpiecznym i groźnym, bo wdowa ona była bogata i możnych miała krewnych mogłaby więc każdej chwili, skoroby jej przyszła fantazya, wyrzucić nas na ulicę. Ale O. prowincyał, roztropniejszy odemnie, uznał, że potrzeba nam zgodzić się na wszelkie stawiane nam warunki, aby tylko prędzej zająć to mieszkanie. Dano nam tylko dwa pokoje i kuchnię; ale ochmistrz szpitalny, niejaki Ferdynand de Matanza, wielki sługa Boży, dodał nam drugie dwa, z których jeden nam służył za rozmownicę; nad to i w codziennych potrzebach naszych, dobry ten człowiek, pełen miłości dla bliźnich i wielki jałmużnik, hojnie nas wspierał. Również wiele dobrego nam świadczył pocztmistrz miejscowy, Franciszek de Cuevas, czynny bardzo i gorliwy opiekun tego szpitala; w każdej, ile razy się zdarzyła, potrzebie zawsze gotową u niego znajdowałyśmy pomoc.

Na to wymieniam tu tych dobroczyńców, którzy tak; wspierali nas w pierwszych naszych w Burgos początkach, aby siostry i te, które teraz są, i te, które później nastaną, pamiętały o nich, jako słuszna, w modlitwach swoich. Wszak-

że więcej jeszcze pamięć wdzięczna i modlitwa należy się od nas fundatorom. Nie było zrazu zamiarem moim, ani mi to nawet na myśl nie przyszło, by Katarzyna de Tolosa miała zostać fundatorką tego naszego klasztoru; ale ona życiem swojem świętem zasłużyła sobie na tę łaskę u Pana, który Opatrznością swoją tak wszystko zrządził, iż niepodobna jej tego chwalebnego tytułu zaprzeczyć. To jedno już, że ona dała fundusz na kupienie domu, na co my same nigdy nie byłybyśmy się zdobyły, niewątpliwe jej zapewnia prawo do tytułu fundatorki; ale więcej jeszcze nań zasłużyła tem, że tak ją niewypowiedzianie bolały wszystkie one z arcybiskupem mitręgi, i sama myśl, że zamiar nasz może spełznąć na niczem, dojmującym przejmowała ją smutkiem. Niestrudzoną też była w świadczeniu nam coraz nowych dobrodziejstw. Choć szpital, w którym mieszkałyśmy, w znacznej od domu jej leżał odległości, ona przecie prawie codzień z największą serdecznością nas odwiedzała i przysyłała nam czego nam było potrzeba, nie zważając na wszelkie szemrania i obelgi, jakiemi ją za to ścigano, a wobec których serce mniej, niż ona je miała, odważne byłoby się z pewnością ulękło albo zniechęciło. Przykrości te, które ona z naszego powodu cierpiała, wielkiem były dla mnie zmartwieniem. Najczęściej wprawdzie ukrywała je przedemną, ale bywały chwile, że nie mogła ich zataić, zwłaszcza takie, które dotykały ją w sumieniu; bo sumienie miała tak czyste i prawe, że jakkolwiek nieraz silne jej dawano powody do żalu i urazy, nigdy przecie z ust jej nie słyszałam słowa, któreby było z obrazą Boga i miłości bliźniego. Wymyślano jej na wszelki sposób: że idzie prostą drogą do piekła, że to wstyd i hańba, by niewiasta uczciwa i mająca dzieci takie robiła zbytki jak ona. Niczego jednak nie robiła, w czemby pierwej nie zasięgnęła rady i zgodzenia się światłych i uczonych teologów; i ja też, gdyby ta szczodrobliwość jej nie była w zgodzie z innemi jej obowiązkami, za nic na świecie, jakkolwiekby o to nastawała, nie przyjęłabym daru jej, choćbym za to miała się wyrzec założenia, nie jednego, ale tysiąca klasztorów. Zresztą sprawa ta toczyła się całkiem między nami, i nikt z postronnych nie wiedział, jak rzeczy stoją istotnie;

nie dziw więc, że więcej się domyślano niż było rzeczywiście. Ona na wszystkie te napaści odpowiadała z chrześcijańską, jaką w wysokim stopniu posiada, roztropnością i z cierpliwością nigdy niezachwianą; snać Bóg sam uczył ją umiejętności łagodzenia jednych, znoszenia drugich i darzył ją męstwem wyższem nad wszelkie cierpienia i przeciwności. O jakże wysoko, w tej odwadze do czynienia wielkich rzeczy i znoszenia wielkich cierpień, prawdziwi słudzy Boży przewyższają możnych tego świata, o ile w nich, obok świetności znakomitego rodu, nie masz tej prawdziwej wyższości ducha, którą daje tylko miłość Boga! chociaż Katarzynie de Tolosa ani na jednem ani na drugiem nie zbywało, bo i duszę miała czystą i nielada rodu córką była.

Wracam do przerwanego opowiadania mego. O. Prowincyał, umieściwszy nas w tym szpitalu, gdzie i Mszę świętą miałyśmy i mogłyśmy zachowywać klauzurę, łatwiej już zdobył się na odwagę opuszczenia nas i udania się do Waliadolidu, gdzie miał opowiadać słowo Boże. Odjeżdżał jednak mocno zgryziony tem, że ze strony arcybiskupa żadnego nie było widoku, byśmy mieli otrzymać potrzebne nam pozwolenie. Dodawałam mu otuchy, jak mogłam, ale daremnie; nie dawał wiary słowom moim, i trzeba przyznać, że bardzo poważne miał do smutnych przewidywań swoich powody, nad któremi nie mam potrzeby tutaj się rozwodzić. Dość, że mało miał nadziei, a przyjaciele jego jeszcze mniej, co tem bardziej jeszcze utwierdzało go w zwątpieniu. Odjazd jego wielką mi przyniósł ulgę, bo, jak już mówiłam, największem zmartwieniem mojem było to, że on tak się martwił. Odjeżdżając, zalecał nam, byśmy się na wszelki sposób starały o nabycie domu, abyśmy przynajmniej już były we własnem mieszkaniu. Ale było to zadanie trudne: dotychczas, pomimo usilnego szukania, żaden jeszcze dom nie był się znalazł, którybyśmy kupić mogły. Życzliwi nasi, zwłaszcza przyjaciele O. prowincyała, po odjeździe jego gorliwiej jeszcze niż przedtem zajmowali się sprawą naszą. Wszyscy oni byli zdania, że arcybiskupowi, dopóki nie będziemy miały domu, ani słowem już o nas wspominać nie trzeba. Ten jednak wciąż powtarzał, że więcej niż ktobądź

pragnie tej fundacyi naszej, i chcę wierzyć temu, boć taki dobry chrześcijanin, jak on, nie kłamałby przecie. Ale w czynach to pragnienie jego nie bardzo się okazywało, skoro żądał od nas takich rzeczy, których spełnienie widocznem dla nas było niepodobieństwem. Takie to zdrady knuł na nas dyabeł, aby zamiar nasz nie przyszedł do skutku. Lecz jakże jawnie, o Panie, okazała się i w tem zdarzeniu wszechmocność Twoja, kiedy z tych właśnie podstępów, które nieprzyjaciel wynajdywał na zdławienie tego dzieła Twego, Ty wyprowadziłeś tem świetniejsze onegoż dokonanie. Bądź za to błogosławiony na wieki!

Już blisko miesiąc, od wigilii św. Macieja do wigilii św. Józefa, mieszkałyśmy w tym szpitalu [1]), wciąż szukając domu; ale wszystkie, które nam ofiarowano na sprzedaż, tyle różnych

[1]) Święta cały ten czas, jak widzieliśmy wyżej, mocno była cierpiącą, nieustannie trawiona silną gorączką. Pokój, w którym leżała, zimny był i źle opatrzony, łóżko krótkie i twarde. Cierpiała ciągłe nudności i za każdym kęsem, który spożyła, krew jej się rzucała z rany, którą miała w gardle. Wszystko to znosiła z niezmąconą nigdy pogodą i cierpliwością, a siostrom zafrasowanym o nią mówiła:—„Nie litujcie się tak bardzo nademną; więcej Pan nasz cierpiał, gdy Go octem i żółcią napawano: ja tu mam łóżko roskoszne, a On wisiał rozpięty na krzyżu.“—Pewnego razu objawiła chęć skosztowania pomarańczy, dla pobudzenia apetytu. Siostry podały jej kilka pomarańcz bardzo pięknych, przysłanych przez Katarzynę de Tolosa. Święta schowała je za rękawy habitu, i pod jakimś pozorem wyszedłszy z pokoju, zeszła prosto do sali ogólnej i pomarańcze swoje chorym rozdała, a siostrom wymawiającym jej, że tak nic o sobie nie pamięta, odpowiedziała:—„Nie dla siebie chciałam tych pomarańcz ale dla tych biednych; najlepsza to dla mnie ulga, gdy im mogę przynieść jaką ulgę w ich cierpieniach.“- W sali ogólnej leżał jeden chory, cierpiący gwałtowne boleści, i jękami, i głośnym krzykiem mieszający spokój drugim. Święta przystąpiła do niego i rzekła: — „Czemu tak krzyczysz, moje dziecko? czemu nie starasz się dla miłości Boga cierpliwiej znosić boleści twoje?“—To rzekłszy, poleciła go Bogu, a tejże chwili bole jego uśmierzyły się i krzyki jego ustały. W ciągu niespełna czterytygodniowego pobytu swego w tym szpitalu, święta taką sobie u chorych ufność i miłość zjednała, że ciągle ją do siebie wzywali, twierdząc, że sam widok jej ulgę im przynosi; a gdy po miesiącu szpital opuszczała, żal i płacz ją żegnał powszechny. (Ob. Ribera, Yepes).

przedstawiały niedogodności, że żadnego z nich wybrać nie mogłyśmy. Mówiono mi o domu jakiegoś pana, od dłuższego już czasu wystawionym na sprzedaż; dziwnem zrządzeniem Bożem stało się, że choć tyle na raz zakonów w tymże czasie, jak mówiłam wyżej, szukało domu dla siebie, ten żadnemu z nich się nie spodobał, czemu dzisiaj wszyscy się dziwią, a niektórzy nawet i żałują. Słyszałam była o tym domu od dwóch znajomych, ale wobec niekorzystnego o nim zdania wielu innych, miałam go za całkiem dla nas nieprzydatny i już o nim zgoła nie myślałam. Aż pewnego razu, w ciągu rozmowy z doktorem Aguiar, przyjacielem, jak mówiłam, naszego Ojca, w której tenże,—choć z serdeczną życzliwością, nie szczędząc trudu swego, chodził wszędy szukając domu dla nas,—oznajmiał mi ze smutkiem, że na próżno wiele domów oglądał i w całem mieście nic nie znalazł i prawie już zwątpił, czy będzie podobna co znaleźć: nagle mi się przypomniał on dom, który już byliśmy, jak mówiłam, odrzucili, i przyszła mi myśl, że chociażby ten dom był tak niedogodny, jak go nam przedstawiano, zawsze jednak, z uwagi na naglącą w jakiej jesteśmy potrzebie, możemy w nim znaleźć choć tymczasowe schronienie, a potem go odprzedać. Objawiłam tę myśl moję doktorowi Aguiar, prosząc go, by raczył potrudzić się jeszcze i dom ten obejrzeć. Spodobał mu się mój pomysł, a że domu tego nie znał, więc, nie zważając na przykrą i ostrą tego dnia niepogodę, postanowił zaraz tam pójść i poszedł. Lokator, w tym domu mieszkający i zamierzonej sprzedaży jego przeciwny, nie chciał go wpuścić do środka; ale położenie domu i całe, o ile je mógł zewnątrz osądzić, urządzenie jego bardzo się doktorowi spodobało; zaczem też na słowo jego postanowiliśmy wejść w układy o kupno. Właściciel nie był obecny w mieście, ale pełnomocnictwo do sprzedaży domu był pozostawił pewnemu pobożnemu kapłanowi, który, z łaski Boga najżyczliwszą ożywiony chęcią ułatwienia nam tego kupna, w całym toku układów z wielką postąpił z nami szczerością. Umówiliśmy się, że naprzód sama dom ten obejrzę; pojechałam więc na miejsce i tak go znalazłam dla nas dogodnym, że cho-

ciażby dwakroć tyle zań żądano, za ile nam go ofiarowano, jeszczeby mi się zdawało, że to bardzo tanio. Nie przesadzam bynajmniej, czego najlepszym dowodem to, że dwa lata przedtem rzeczywiście ofiarowano właścicielowi cenę w dwójnasób wyższą, a on jej nie chciał przyjąć. Zaraz nazajutrz przyszedł do mnie ten kapłan razem z doktorem, który również zdziwiony, że właściciel na tak umiarkowanym szacunku poprzestaje, od razu chciał zawrzeć umowę. Zrobiłam mu uwagę, że niektórzy z przyjaciół naszych, których się radziłam, znajdują, że cena żądana jest o pięćset dukatów za wysoka; ale on, obstając przy swojem, upewniał mię, że choć zapłacę co do grosza tyle, ile właściciel żąda, zawsze to będzie tanio; ja też zupełnie podzielałam jego zdanie, owszem zdawało mi się, że to prawie za darmo, i gdyby tylko o mnie chodziło, nie wahałabym się ani chwili z dobiciem targu; ale że szacunek miał być zapłacony z funduszów zakonu, uważałam sobie za obowiązek starać się o uzyskanie ceny jaknajniższej. Było to w wigilię św. Józefa, jeszcze przed Mszą świętą; uprosiłam ich więc, by po Mszy do mnie wrócili, dla ukończenia sprawy. Doktor, człowiek rozumny i bystry, nalegał o pośpiech, dobrze to widząc, że gdyby rzecz się przewlokła i stała się głośną, wypadłoby nam zapłacić dużo drożej, albo może i samoż kupno jużby nie przyszło do skutku; wziął więc od tego kapłana słowo, że niezawodnie zaraz po Mszy znowu do mnie się zgłosi. My tymczasem poszłyśmy na Mszę świętą, polecając sprawę naszę Bogu; a Pan rzekł do mnie: — „Troską o pieniądze dajesz się wstrzymywać?“—dając mi do zrozumienia, że dom ten będzie dla nas odpowiedni i że powinniśmy go nabyć. Siostry już przedtem gorąco prosiły św. Józefa, by na dzień swój święty darował im dom, i święty nasz Ojciec wysłuchał ich prośby, choć gdy ją zanosiły, nie było jeszcze ani widoku, by tak prędko spełnić się mogła. Wszystkie one nalegały na mnie o rychłe zawarcie umowy i stało się zadość ich żądaniu. Doktor, wracając do nas, we drzwiach spotkał notaryusza, jakby Pan umyślnie dla nas go na tę chwilę przysłał; zaraz go zabrał z sobą i do nas wprowadził, oznajmując mi, że trzeba kończyć bez straty czasu; sprowadził świadków, zamknął drzwi

od sali, bojąc się, by nas kto obcy nie podsłuchał: i tak, dzięki niestrudzonej i rozumnej gorliwości tego zacnego przyjaciela, w wigilię św. Józefa, jak mówiłam, akt sprzedaży i kupna naszego domu spisany i podpisany został według wszelkich wymagań prawa.

Na mieście, skoro wieść o tem się rozeszła, wielkie powstało zdziwienie, że dom ten dostał się nam tak tanio; zjawili się ochotnicy do kupienia go: mówiono głośno, że pełnomocnik zmarnował własność swego mocodawcy, że trzeba zerwać kontrakt, że stało się jawne oszukaństwo. Nie mało dobry nasz kapłan miał do zniesienia z tego powodu. Doniesiono zaraz o tem, co zaszło, właścicielom, to jest temu panu możnemu, o którym mówiłam, i żonie jego, również ze znacznego rodu pochodzącej; lecz oboje ci państwo nie tylko nie chcieli podnosić żadnego zarzutu przeciw umowie z nami zawartej, ale raczej ucieszyli się bardzo, że dom ich zamieni się w klasztor, i bez żadnych trudności, które zresztą niby już nie pomogły, zgodzili się na wszystko. Zaraz nazajutrz nastąpiła wymiana kontraktów; złożyliśmy trzecią część szacunku, z niejaką jeszcze nad umowę nadwyżką, czem choć byłyśmy nieco poszkodowane, wszakże dla miłości tego poczciwego kapłana, który nas o to prosił, przystałyśmy na to żądanie jego.

Może to się komu wyda niewłaściwem, że tak szeroko i z takiemi szczegółami się rozwodzę nad kupnem tego domu. Ale wszystkim, prawdziwie rzec mogę, którzy na tę sprawę z bliska patrzali, cały jej przebieg wydawał się jakby cudownym: i ta dziwna niskość ceny, i to dziwniejsze jeszcze zaślepienie tylu różnych osób zakonnych, które wszystkie ten dom oglądały, i żadna go dla zgromadzenia swego wziąć nie chciała, i samychże mieszkańców miasta, którzy nigdy przedtem na ten dom, jak gdyby go nie było, uwagi nie zwracali, aż teraz dopiero ze zdziwieniem spostrzegli, jaki to dobry i wygodny dom, i tym, którzy go łatwo dostać mogli, a nie chcieli, niebaczność ich i nierozum wytykali. Było między niemi jedno zgromadzenie żeńskie, szukające schronienia dla siebie, i drugie dwa, jedno tylko co założone, drugie przybyłe

z dalszych stron, skutkiem pożaru, w którym klasztor jego był spłonął, i jakaś pani bogata, która, chcąc założyć klasztor, na krótko przed nami była ten dom oglądała i nie znalazła go odpowiednim; wszyscy oni teraz bardzo nieuwagi swojej żałują. Wrzawa niesłychana, jaką to kupno nasze sprawiło w całem mieście, pokazała nam jasno, jak wielką miał słuszność zacny nasz doktor Aguiar, że tak nastawał o to, by rzecz się zrobiła potajemnie a prędko; jemu, po Bogu, prawdziwie rzec mogę, dom nasz zawdzięczamy. Umysł dojrzały i poważny wielką jest pomocą do wszystkiego: doktor nasz posiadał go w wysokim stopniu, więc przy serdecznej, jaką mu Bóg dał dla nas życzliwości, szczęśliwie za łaską Jego sprawy tej dokonał. Potem jeszcze przeszło miesiąc trudził się dla nas, pomagając nam w urządzeniu domu i podając myśli i wskazówki, aby wszystko zrobiło się dobrze a tanio. Widocznie Pan zachowywał ten dom dla siebie, abyśmy Go w nim chwaliły, tak przedziwnie położenie i cały rozkład jego, jakby umyślnie dla nas przygotowany, odpowiadał wszelkim potrzebom naszym; gdym go w tak krótkim czasie ujrzała gotowym na przyjęcie nasze, prawdziwie zdawało mi się, że to sen. Zaiste, sowicie Pan wynagrodził nam za to, cośmy przecierpiały, dając nam taki dom, z takim ogrodem i z taką obfitością wody, i takim pięknym widokiem, że prawdziwie roskosz w nim mieszkać. Niech Mu będzie chwała i dziękczynienie na wieki. Amen.

Arcybiskup, niebawem uprzedzony o wszystkiem, ucieszył się bardzo, że nam się tak szczęśliwie powiodło, przypisując pomyślny ten skutek swojemu względem nas uporowi, w czem miał wielką słuszność. Napisałam do niego, wyrażając mu radość moję, iżem zdołała go zadowolnić i zapewniając go, że postaram się jaknajspieszniej doprowadzić dom nasz do porządku, dla otrzymania już wreszcie od niego łaski upragnionej. Ale i bez tego pilno mi było przenieść się, zwłaszcza gdy mię ostrzeżono, że, do czasu spisania jakichś tam dokumentów, chcą nas jeszcze w dawnem mieszkaniu zatrzymać. Lubo więc lokator, zajmujący ten dom, jeszcze nie był ustąpił, i nieco jeszcze czasu upłynęło, nim zdołałyśmy go wyrugować, my jednak nie czekając przeniosłyśmy się, zajmując tymczasowo

jednę część domu, dla nas opróżnioną. Arcybiskup, jak mi zaraz doniesiono, mocno był nierad z tego pośpiechu mego; postarałam się, jak mówiłam, uspokoić go i udobruchał się, bo dobre ma serce i, choć łatwo zagniewa się, gniew jego prędko przemija. Potem znowu gniewał się, gdy mu doniesiono, że urządziłyśmy sobie kratę i koło; zdawało mu się, że to postępek samowolny, jakobym chciała usadowić się, nie czekając upoważnienia od niego; napisałam znowu, tłómacząc mu, że wcale nie miałam tego zamiaru, o który mię posądza; że kratę i koło urządziłam, bo żaden klasztor żeński bez nich być nie może; ale że zresztą krzyża nawet nad domem umieścić nie śmiałam, aby się nie zdawało, że chcę działać własną powagą, bez niego, i tak było istotnie.

Mimo wszelką, jaką nam arcybiskup okazywał, życzliwość, z wydaniem jednak pożądanego od tak dawna pozwolenia wciąż jeszcze się ociągał, i nie było sposobu wydobyć je od niego. Przyjechał zwiedzić dom nasz, który bardzo mu się spodobał; okazał nam wiele łaskawości, ale pozwolenia nie dał; zrobił nam tylko nieco lepszą nadzieję, że je otrzymamy, jak tylko załatwią się nie wiem jakie jeszcze układy z Katarzyną de Tolosa i odpowiednie dokumenty się spiszą. Wielka była obawa, by go w końcu całkiem nie odmówił; ale szczęściem doktor Manso, drugi on, o którym mówiłam wyżej, przyjaciel O. prowincyała, nie wypuszczał nas z swej opieki i, korzystając z swojej z arcybiskupem zażyłości, przy każdej sposobności przypominał mu prośbę naszę i nalegał nań, aby jej wreszcie zadość uczynił. Bardzo go to bolało, że i tu znowu zmuszone byłyśmy szukać Mszy świętej na mieście; bo choć była w domu kaplica, w której dla uprzednich właścicieli sprawowała się Najświętsza Ofiara i która nigdy do innego użytku nie służyła, nam jednak arcybiskup za nic nie chciał pozwolić, byśmy w niej miały Mszę świętą, i tak potrzeba nam było co niedzielę i święto chodzić na nabożeństwo do kościoła; szczęściem, że przynajmniej miałyśmy go blisko, i taki stan rzeczy trwał bez zmiany od dnia naszego przeniesienia się do tego domu, aż do chwili ostatecznego w nim dokonania fundacyi, to jest mniej więcej cały miesiąc. Wszyscy teologowie zga-

[illegible] się na to, że nie mam żadnej racyi, aby Msza święta nie mogła i teraz odprawiać się w tej kaplicy, jak odprawiała się [illegible], i arcybiskup, sam wielki teolog, tak samo to uznawał jak i drudzy; snać więc odmowa jego nie miała innej przyczyny, jedno tę, że Pan chciał, byśmy cierpiały. Co do mnie, dość łatwo znosiłam tę próbę; ale między siostrami była jedna, której ta konieczność wystawiania się na widok publiczny tak głęboko szła do serca, że, wychodząc na ulicę, cała się trzęsła od wzruszenia.

Dopełnienie wymaganych formalności nie mało nas biedy kosztowało; raz zgadzano się przyjąć od nas porękę, drugi raz znowu żądano gotowych pieniędzy i wiele innych robiono nam trudności. Nie tyle temu był winien arcybiskup, ile raczej jego oficyał, ten jawną i zawziętą toczył z nami wojnę, i gdyby go Pan nie był w porę sprowadził z tej drogi i skierował na lepszą, snać sprawa nasza nigdy nie byłaby doszła do końca. O, ileż w tych przejściach wycierpiała Katarzyna de Tolosa! niepodobna tego i wypowiedzieć. Ale wszystko to znosiła z taką cierpliwością, że się nad nią zdumiewałam, a przytem wciąż z niestrudzoną troskliwością pamiętała o nas i potrzebach naszych. Dała nam zupełną wyprawę na urządzenie się w domu, łóżka i sprzęty i wszelkie inne potrzeby; dom jej [illegible] możny sowicie był w to wszystko zaopatrzony, ale hojność, z jaką nam tych rzeczy dostarczała, jawnie świadczyła o jej dla nas poświęceniu, ta wolałaby raczej, by u niej czego zabrakło, niż gdybyśmy miały w czemkolwiek cierpieć niedostatek rzeczy potrzebnych. Niejednę miałyśmy fundatorkę i niejedna na założenie nam klasztoru dużo więcej wydała pieniędzy; ale takiej, ktoraby ponosła choćby dziesiątą część tych przykrości i utrapień, jakie dla nas wycierpiała Katarzyna, nie było żadnej. Gdyby nie to, że miała dzieci, na które musiała się oglądać, cały swój majątek byłaby nam oddała, a tak gorąco pragnęła szczęśliwego dokonania tej naszej fundacyi, że wszelkie jej w tym celu ofiary i trudy wydawały się jej jakby niczem.

Widząc, że temu zwlekaniu nie masz końca, napisałam do biskupa Palencyi, prosząc go, by znowu wstawił się za nami

mi do arcybiskupa. Biskup był mocno zażalony na niego, całe jego postępowanie z nami za osobistą sobie poczytując obrazę, kiedy przeciwnie arcybiskup, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, nigdy najmniejszym znakiem nie okazał, by poczuwał się do tego, że nam czyni krzywdę. Prosiłam więc biskupa by jeszcze raz napisał do niego przedstawiając mu, że kiedy już mamy dom i spełniłyśmy wszystko, czego żądał, jeśli już należałoby już dotrzymać tego, co obiecał. W skutek tej prośby mojej, biskup przysłał mi do niego list otwarty, ale pisany w formie tak stanowczej, że oddanie jego byłoby zepsuło całą sprawę, jakoż i doktor Manso, o którego się spowiadałam i którego zdania we wszystkiem zasięgałam, nie radził mi go oddawać; bo choć w wyrazach, owszem bardzo umiarkowanych, nic nie było ubliżającego, w treści swojej jednak list ten wypowiadał pewne prawdy, któremi arcybiskup, taki już mając charakter, łatwo mógł się obrazić. Już i bez tego [illegible] był na biskupa za niektóre uwagi, jakie mu tenże był przysłał, choć do tego czasu w najlepszej z sobą żyli przyjaźni. Wiarę tego poróżnienia mnie przypisywał i w tej myśli powiedział mi kiedyś, że jak przez mękę Pana naszego przyjaciołmi się stali ci, którzy przedtem byli sobie nieprzyjaciołmi, — to jest Piłat i Herod, — tak przeciwnie przezemnie dawna przyjaźń jego z biskupem zamieniła się w nieprzyjaźń; na co mu odpowiedziałam tylko, że może z tego się przekonać, jaka ja jestem. Zdaje mi się jednak, że wszelkiego z mojej strony dokładałam starania, aby poróżnieniu między nimi zapobiedz. W tym też celu na nowo udałam się do biskupa z błagalną prośbą, popierając ją wszelkiemi, na jakie zdobyć się mogłam, racyami i stawiając mu przed oczy, że chodzi tu o chwałę Bożą, aby drugi, jaknajprzyjaźniejszy list do arcybiskupa napisał. Spełnił prośbę moję, choć nie bez wielkiej trudności; ale mając przedewszystkiem na względzie chwałę Bożą i chcąc mnie dogodzić, jak to niezmiennie przez całe życie swoje czynił, zadał sobie gwałt i napisał tak, jak prosiłam, oznajmiając mi jednak przytem, że wszystko, cokolwiek kiedybądź dla zakonu naszego uczynił, nie tyle go kosztowało, ile napisanie tego listu. Bądź co bądź, list ten trafił wreszcie do serca arcybisku-

powi, a doktor Manso dokonał reszty, popierając go życzliwemi dla nas uwagami i usilnemi przedstawieniami swemi. Tak więc arcybiskup dał nakoniec pozwolenie i posłał z niem do nas zacnego Ferdynanda de Matanza, który je z niemałą radością nam przyniósł. A właśnie tego dnia siostry więcej niż kiedybądź były zgnębione, i kochana nasza Katarzyna de Tolosa tak już upadała na duchu, że nie wiedziałam, jak ją pocieszyć, i ja sama też, choć cały ten czas nie zachwiałam się była w mej ufności, ostatniej nocy zaczynałam tracić nadzieję; tak to snać Pan chciał nas przygotować do radości, którą miał niebawem nam zesłać, dopuszczając na nas na chwilę przedtem cięższe strapienie. Niech będzie pochwalone i błogosławione imię Jego na wieki wieczne, amen.

Doktorowi Manso arcybiskup dał upoważnienie do odprawienia u nas nazajutrz Mszy świętej i wprowadzenia Najświętszego Sakramentu. On więc pierwszy w kaplicy naszej spełnił Najświętszą Ofiarę. Po nim, z wielką uroczystością i z udziałem muzykantów, którzy sami niewzywani byli się zgłosili, odprawił Sumę O. przeor od św. Pawła, z zakonu dominikańskiego, któremu to zakonowi, równie jak i Towarzystwu Jezusowemu, zgromadzenie nasze bardzo wiele zawdzięcza. Wszyscy przyjaciele nasi byli bardzo ucieszeni; cieszyło się z nimi, rzec można, prawie całe miasto, bo powszechnie nas żałowano, widząc nas w takiej poniewierce, i ostro przymawiano arcybiskupowi za jego z nami postępowanie, tak iż nieraz to, co przy mnie na niego wygadywano, więcej mię bolało, niż to, co sama cierpiałam. Radość niezmierna dobrej naszej Katarzyny de Tolosa i wszystkich sióstr, prawdziwem była dla mnie zbudowaniem. — „Panie, wołała, czegoż więcej pragną te służebnice Twoje, jedno tego by mogły Tobie służyć i być i pozostać więźniami dla miłości Twojej w tem świętem zamknięciu, którego już nigdy nie opuszczą?“ — Nikt nie zrozumie, kto sam tego nie doświadczył, jak wielkie jest uszczęśliwienie nasze, gdy, za dokonaniem takiej fundacyi, ujrzymy się wreszcie za klauzurą, za którą nie może mieć wstępu żadna osoba świecka. Jakkolwiek miłujemy wszystkich, którzy żyją w świecie, nigdy jednak towarzystwo ich nie zdoła nam zastąpić tej

wielkiej pociechy, jaką nam daje samotność. Jako ryba pojmana w sieci i wyciągnięta z wody żyć nie może, chyba że puszczą ją na powrót do wody, tak jest, rzec mogę, i z duszą powołaną do tego, by żyła zanurzona w zdrojach Oblubieńca swego: zarzuć na nią sieci, wyciągnij ją z tej toni Bożej i każ jej patrzeć na rzeczy tego świata, a obaczysz, że życie prawdziwie już dla niej nie jest życiem, dopóki jej nie będzie dano wrócić do onego żywiołu swego. O tem się przekonywam na każdy dzień, patrząc na wszystkie te, ile ich jest, siostry nasze; o tem mię przekonywa i własne doświadczenie. Któraby zaś czuła w sobie tęsknotę do wychodzenia między ludzi świeckich, albo do częstych z nimi rozmów, taka słusznie się bać o siebie powinna: snać nie zakosztowała nigdy onej wody żywej, o której Pan mówił w swej Boskiej rozmowie z Samarytanką; snać ukrył się przed nią Oblubieniec, i sprawiedliwie: skoro jej mało tego, że wolno jej się cieszyć towarzystwem Jego. Ja przynajmniej boję się o taką duszę i dwojaki do tego widzę powód: bo albo ona obrała sobie ten stan nie dla czystej jedynie miłości Jego, albo też, obrawszy go sobie, nie rozumie tej wielkiej łaski, jaką Pan jej uczynił, iż raczył ją wybrać dla siebie i uchronił ją od poddaństwa pod władzą męża, pod którą niejednę czeka utrata zdrowia i życia, a dałby Bóg, by nie utrata i duszy. O prawdziwy Człowieku, i prawdziwy Boże, Oblubieńcze mój! czy mała to łaska i czy godzi się lekce ją ważyć? Chwalmy Go, siostry moje, iż nam tę łaskę uczynił; bezustannie wysławiajmy tego wielkiego Pana i Króla, iż za trochę cierpienia i trudu, który nam osładza tysiącem pociech, a który skończy się jutro, zgotował nam królestwo, które się nigdy nie skończy. Niechaj będzie błogosławiony na wieki, amen, amen!

W kilka dni po założeniu naszego domu, naradziwszy się z O. prowincyałem, przyszliśmy, on i ja, do wniosku, że fundusz darowany przez Katarzynę de Tolosa, czyli dochód roczny na utrzymanie tego klasztoru, przedstawia pewne niedogodności, że może dać powód do jakiego procesu i tem samem sprowadzić na nią jakie nieprzyjemności. Uznaliśmy zatem, że lepiej nam zdać się z ufnością na Opatrzność Boską, niżby ona

miała z naszego powodu doznawać przykrości. W tej myśli, nie mówiąc już o innych jeszcze względach, które nas do tego skłaniały, na ogólnem zgromadzeniu wszystkich sióstr i z upoważnienia O. prowincyała, zrzekłyśmy się przed notaryuszem dochodu, przez nią nam darowanego, i wszystkie dokumenta jej zwróciłyśmy. Odbyło się to w największym sekrecie, aby arcybiskup nie dowiedział się o tym kroku naszym i nie wziął go nam za złe, choć w rzeczy samej krok ten dla nas tylko i dla tego domu był uciążliwym. O klasztor, o którym wiadomo, że żadnych nie ma dochodów i utrzymuje się tylko z jałmużny, niema co się obawiać, bo każdy go wspomoże; ale gdy o nim jest powszechne mniemanie, że ma dostateczne uposażenie, choć w istocie go nie ma, jak to było z tym naszym, taki klasztor łatwo może być narażony na głód. Naszemu właśnie, jak mogło się zdawać, groziło to niebezpieczeństwo, na razie przynajmniej, bo na przyszłość Katarzyna de Tolosa była już dla niego obmyśliła sposób, aby po jej śmierci miał zapewnione utrzymanie. Dwie córki jej, które w tym roku miały uczynić profesyę w klasztorze naszym w Palencyi, były się zrzekły majętności swoich na rzecz matki: otóż ona unieważniła to zrzeczenie się na jej imię i dała je przepisać na rzecz tego domu naszego w Burgos. Prócz tego, trzecia jej córka, która postanowiła wstąpić do nas tutaj, zapisała klasztorowi część przypadającą na nią po ojcu i po matce; dwa te zapisy razem stanowiły sumę, równającą się dochodowi, wyznaczonemu nam pierwotnie przez Katarzynę; w tem tylko trudność, że klasztor nie może zaraz wejść w ich używalność [1]). Mimo to jednak miałam zawsze i mam tę ufność, że siostry nie będą

---

[1]) Trudność ta wkrótce potem sama przez się ustała, gdy Katarzyna de Tolosa, oddawszy Karmelowi wszystkie siedmioro dzieci swoich, pięć córek i dwóch synów, i sama za niemi do tegoż zakonu wstąpiwszy, wszystkie dobra swoje klasztorowi w Burgos zapisała. Jeszcze przed założeniem tego klasztoru, dwie córki jej, jak o tem była wzmianka wyżej, Katarzyna od Wniebowzięcia i Kasylda od św. Anioła, wstąpiły do klasztoru w Waliadolidzie; drugie dwie, Maryę od św. Józefa i Izabellę od św. Trójcy, oddała do klasztoru w Palencyi; po założeniu klasztoru w Burgos, oddała mu piątą cór-

tu cierpiały niedostatku; jako innym klasztorom, założonym bez stałych dochodów, Pan zsyła jałmużny potrzebne, tak i tu wzbudzi serca litościwe, które domowi temu przyjdą w pomoc, albo też innym jakim sposobem potrzebom jego zaradzi. Nie przeczę wszakże, że wyjątkowe to położenie jego, bo żadna jeszcze z fundacyi naszych nie była powstała w takich jak ta warunkach, nasuwało mi niekiedy pewne o dalszy byt jego obawy; w takich chwilach uciekałam się do Pana z błagalną modlitwą, aby jako sam chciał założenia tego klasztoru, tak też sam raczył zrządzić co potrzeba, aby dzieło Jego istnieć mogło i nie cierpiało niedostatku rzeczy do utrzymania jego

---

kę swoję, Helenę od Jezusa. Na krótko przed obłóczynami tej ostatniej, syn starszy, Sebastyan, wstąpił do klasztoru w Pastrana; mężna matka sama go odwiozła i ofiarowała Panu. Nakoniec, r. 1587, sama wraz z drugim synem Janem przywdziała w Palencyi święty habit Karmelu. Jan udał się do Waliadolidu, dla odbycia nowicyatu; Katarzyna pozostała w Palencyi, gdzie lud miejscowy, świadek siódmej z rzędu ofiary tej bohaterskiej matki, już wówczas począł czcić ją jak świętą. W rzeczy samej, blaskiem nadzwyczajnych cnót swoich i przykładem świętości swojej, Katarzyna od Jezusa, jak się nazywała w zakonie, stała się ozdobą, światłem i pociechą klasztoru w Palencyi. Sama z sobą obchodząc się z przerażającą surowością i do bohaterskiego stopnia posuwając umartwienia swoje, drugim okazywała pobłażanie i miłość bez granic. Przez kilka lat sprawując rządy klasztoru, prawdziwą była dla wszystkich córek swoich pełną dobroci i poświęcenia matką i zarazem, w każdej z nich czcząc z radością oblubienicę umiłowanego nad wszystko Pana swego, najpokorniejszą wszystkich służebnicą. Nareszcie, po jedenastu latach takich wciąż rosnących cnót i zasług, otrzymała od Pana objawienie o bliskim końcu swoim. Łatwiej odgadnąć niż opisać radość, jaką to objawienie i pewność rychłego wyzwolenia z tego wygnania ziemskiego musiały napełnić taką duszę, Bogu tylko żyjącą. Dnia 2 lutego 1608, w dzień Nawiedzenia N. P. Maryi, zapadła na niemoc, która miała położyć koniec życiu jej śmiertelnemu. Zawiadomieni o groźnym jej stanie, oba synowie, Sebastyan od Jezusa, naonczas przeor klasztoru w Waliadolidzie, i Jan Chryzostom, profesor teologii w Salmantyce, przybiegli do łoża umierającej matki. Było to spotkanie i pożegnanie godne świętych: nie folgowaniem przyrodzonym uczuciom żalu i smutku zasępione, ale jasnością wspólnej wiary i zapałem Ducha Świętego rozpromienione, w którem jedyna między matką, z miłości Boga więcej niż z choroby umierającą, a synami, słowem kapłańskiem żar tej miłości jeszcze podniecającymi, rozmowa była o nieskończonej piękności i dobroci Tego, który za chwilę oblubienicy swojej bramy przybytków swoich otworzy. Gdy po przyjęciu z rąk O. Sebastyana ostatnich Sakramentów dłuż-

niezbędnych. Z tego też powodu zwlekałam z wyjazdem, nie chcąc nowego domu tego opuścić, pókiby się nie nadarzyła jaka aspirantka z posagiem. Aż pewnego dnia, gdy po Komunii znowu byłam zajęta temi myślami, Pan rzekł do mnie:— „Czego się frasujesz? to już rzecz załatwiona; możesz spokojnie odjechać,“ —dając mi do zrozumienia, że siostry będą miały z czego żyć i że nie zabraknie im rzeczy potrzebnych. Słowa te tak mię uspokoiły, że gdybym widziała gotowe dla sióstr i zapewnione najobfitsze dochody, nie opuszczałabym ich z większym o utrzymanie ich spokojem. Zaraz też zabrałam się do odjazdu, bo w tym domu zdawało mi się, że już nie mam

---

szy czas trwała milcząca i nieruchoma w ekstatycznej z Panem w niej obecnym rozmowie, rodzeństwo obecne, to jest dwaj synowie i dwie córki, w tymże z matką klasztorze Bogu poślubione, przerwali to długie jej milczenie i, klękając dokoła jej łoża, prosili jej o błogosławieństwo dla siebie i dla trzech sióstr nieobecnych. — „Mnie to raczej, rzekła na to do synów pokorna służebnica Boża, mnie to raczej błagać was, byście mi pobłogosławili i odpuścili mi wszystkie zgorszenia, jakie wam dałam i żyjąc jeszcze na świecie, i tu w zakonie“. W chwilę potem cicho i pogodnie Bogu ducha oddała. Było to w niedzielę, 13 lipca 1608 r. Żyła lat 70, z których 48 na świecie a 22 w Karmelu. Spodobało się Bogu zaraz po śmierci wsławić przed ludźmi wierną służebnicę swoję. Ciało jej, niepokalany nigdy od chwili Chrztu przybytek Ducha Świętego, za życia wiekiem, umartwieniami, chorobą wyniszczone, w chwili skonania dziwnego nabrało wdzięku, jakby już w wiekuistą młodość chwalebnego zmartwychwstania przyobleczone; oblicze jej, wychudłe za życia i wymizerniałe, przedziwną się krasą rozpromieniło, jakby aureolą nadziemskiego blasku otoczone, a słodka woń z członków jej wynikająca i całą celkę śmiertelną napełniająca, radosnem zdumieniem i rzewną czcią przejmowała obecnych. Do zwłok jej, w ubogim habicie karmelickim wystawionych, tłumy ludu z bliska i z daleka przybiegały, nie mogąc się napatrzeć widoku niebiańskiej pogody i jasności na tem martwem obliczu rozlanej; wszyscy ją wielbili jako świętą, zwali ją drugą św. Symforozą albo Felicytą. I w rzeczy samej, jak one dwie bohaterskie matki siedmiu synów swoich ochotnie dla miłości Chrystusa oddały na straszliwe choć krótkie męki ciała, tak i ta niewiasta mężna siedmioro dzieci swoich i samę siebie z niemi ofiarowała Bogu na trudniejsze może, bo dłuższe, męczeństwo miłości, w nieustającem aż do śmierci zaprzaniu siebie i cierpieniu życia zakonnego, w którem błogosławione ono rodzeństwo, wraz z matką, Pana i Oblubieńca swego wsławiło cnotami prawdziwie bohaterskiemi i ustawiczną, w życiu i w śmierci, z samych siebie na chwałę Boga ofiarą.

co robić, że tylko wczasu i roskoszy używam, bo było mi tam bardzo dobrze, gdy przeciwnie w innych klasztorach, choć mię tam czekało więcej pracy i trudu, obecność moja mogła jeszcze na co się przydać.

Arcybiskup i biskup Palencyi od tego czasu pozostali serdecznymi przyjaciółmi. Dla nas też arcybiskup stale odtąd okazywał się bardzo łaskawym. Sam osobiście dał habit córce Katarzynie de Tolosa i drugiej siostrze, która wraz z nią do tego klasztoru naszego wstąpiła. Znalazło się także kilka osób miłosiernych, które dotąd hojnie ubóstwo nasze wspierają; tak i nadal Pan nie dopuści, by oblubienice Jego głód cierpiały, jeśli jedno one Mu służyć będą, jak to jest ich obowiązkiem. Niechaj On raczy użyczyć im łaski ku temu wedle wielkiego miłosierdzia swego i nieskończonej dobroci swojej [1]).

JEZUS.

Zdaje mi się, że nie będzie od rzeczy, gdy dodam tu jeszcze, w jaki sposób klasztor św. Józefa w Awili, który był pierwszą fundacyą naszą, a którego założenia w tej księdze nie opisuję, bo już je na innem miejscu opisałam [2]), z pod władzy biskupa miejscowego, pod którą został fundowany, przeszedł pod zwierzchność zakonu.

W chwili założenia tego klasztoru, biskupem w Awili był Don Alvaro de Mendoza, ten sam, który obecnie jest biskupem w Palencyi. Przez cały czas rządów jego w Awili, siostry doznawały od niego nad wszelki wyraz łaskawej opieki i kiedy oddawałyśmy się pod posłuszeństwo jego, Pan stwierdził to postanowienie nasze, mówiąc mi, że—„tak potrzeba,“ jak się to i w dalszem następstwie jasno okazało. We wszystkich kolejach i trudnościach, jakie przechodził nasz zakon, najżyczliwsze za-

---

[1]) Na tem św. Teresa zakończyła swą Księgę Fundacyi; potem, z opuszczeniem jednej stronicy próżnej, dopisała jeszcze następujący dodatek.

[2]) W księdze Życia.

wsze miałyśmy od niego poparcie i gorliwą obronę: w niezliczonych zdarzeniach jawnie przekonałyśmy się, jak szczęśliwie to się stało, żeśmy się oddały pod władzę jego. Nigdy tego nie dopuścił, by którybądź duchowny wizytował nas w zastępstwie jego: nic się nie działo w klasztorze, jedno z mojego, za uprzedniem jego na prośbę moję zgodzeniem się, rozporządzenia. Taki stan rzeczy trwał mniej więcej, nie pamiętam dokładnie, siedmnaście lat, i przez cały ten czas ani mi na myśl nie przyszło starać się o zmianę obediencyi. Po przeniesieniu jednak biskupa awilańskiego na biskupstwo w Palencyi, któregoś dnia, w czasie pobytu mego w klasztorze toletańskim, Pan rzekł do mnie: — „Potrzeba, by siostry klasztoru św. Józefa przeszły pod obediencyę zakonu; postaraj się o to, bo gdybyś tego zaniechała, dom ten rychło uległby rozluźnieniu.“ Nie umiejąc pogodzić pozornej sprzeczności między tym rozkazem a poprzedniemi, jakie byłam słyszała słowami, w których Pan upewniał mię, że dobrze i pożyteczno, aby siostry zostawały pod władzą miejscowego biskupa, nie wiedziałam, co począć. Udałam się więc o radę do spowiednika mego, męża bardzo uczonego, który obecnie jest biskupem Osmeńskim. On dopiero mię objaśnił, że nie mam tu czego się frasować; że wówczas potrzeba było tego, a dziś potrzeba czego innego, jak się to już od tego czasu w bardzo wielu zdarzeniach jawnie i dowodnie okazało; że zdaniem jego, lepiej i bezpieczniej będzie temu klasztorowi, gdy się połączy z drugimi, niż gdyby pozostał sam jeden odosobniony. Polecił mi zatem udać się do Awili, dla omówienia sprawy na miejscu. Biskup zrazu wręcz przeciwnego był zdania i żadną miarą nie chciał się zgodzić na taką zmianę; dopiero gdy mu wymieniłam główne powody moje, nalegając zwłaszcza na szkody, jakie obecny stan rzeczy, gdyby pozostał niezmieniony, mógłby sprowadzić na te siostry, które on tak ojcowskiem sercem miłuje, wziął te racye moje pod głębszą rozwagę; a że rozum ma bardzo bystry, więc przy pomocy Bożej znalazł inne jeszcze racye, ważniejsze i mocniejsze od tych, które ja mu przedstawiałam, zaczem i postanowił uczynić według prośby mojej, nie zważając już na zarzuty kilku duchownych, którzy go od tego postanowienia

odwieść chcieli. Potrzebne było jeszcze zgodzenie się sióstr. Niektóre z nich bardzo były tej zmianie przeciwne; ale że wszystkie one bardzo mię kochają, więc uznały słuszność racyi, jakie im podawałam, mianowicie tej, że gdy zabraknie tego biskupa, któremu zakon nasz tyle zawdzięcza i którego ja tak miłuję, i mnie także już nie będą miały w pośród siebie. Ten wzgląd, w ich oczach stanowczy, pokonał wszystkie wstręty, i tak przyszła wreszcie do pomyślnego końca ta sprawa niesłychanie ważna, bo same potem przekonały się, i każdy mógł to widzieć, jaka temu domowi groziła ruina, gdyby się było stało inaczej. O, błogosławiony niechaj będzie Pan, że z taką troskliwą pieczą czuwa nad dobrem służebnic swoich: niech będzie błogosławiony na wieki, amen.

KONIEC KSIĘGI FUNDACYI.

DODATKI.

DODATEK I.

Fundacya klasztoru Karmelitek Bosych w Granadzie, opisana przez Wielebną Matkę Annę od Jezusa.

Każesz mi Wasza Przewielebność [1]) opisać fundacyę tego klasztoru Granadeńskiego. Mając głowę osłabioną i pamięć w skutek tego bardzo krótką, nie wiem, czy wszystko sobie przypomnę; ale co pamiętam, to powiem.

W październiku r. 1585 było cztery lata temu, jak O. Jakób od św. Trójcy (Boże świeć nad jego duszą) z polecenia Waszej przewielebności przybył jako wikaryusz prowincyalski na wizytę klasztoru w Veas. Ja wówczas od trzech czy czterech miesięcy już nie byłam przełożoną tego klasztoru i mocno chorowałam. Nie zważając jednak na zły stan zdrowia mego, O. wizytator począł bardzo na seryo namawiać nas, byśmy przybyły do Granady, dla założenia klasztoru, upewniając nas, że jest tam wiele osób poważnych i panien wielkiego rodu, a bogatych, które go o to prosiły, bojąc na ten cel ofiarując jałmużny. W przekonaniu, że dobry Ojciec w prostocie serca swego zbyt łatwo daje wiarę tym świętym nadziejom, odpowiedziałam mu, że, zdaniem mojem, wszystkie one obietnice są to tylko piękne słowa, że gdy przyjdzie do rzeczy, nic z tego nie będzie, że i arcybiskup z pewnością nie da pozwolenia na otworzenie klasztoru, utrzymującego się z jałmużny, kiedy tyle

---

[1]) O. Heronim Gracian, naówczas prowincyał. — Między listami św. Teresy jest jeden (T. I, n. 65), odnoszący się do tej fundacyi, w którym Święta wyrzuca Wiel. Matce Annie różne błędy, jakie w tej okoliczności popełniła, mianowicie zabranie zbyt wielkiej liczby sióstr, co było jednym z głównych powodów trudności, z któremi ta fundacya miała do walczenia i na które autorka tej relacyi w opowiadaniu swojem się oskarża. Ton tego listu, jak na św. Teresę, jest niezwykle ostry. Pisała go 30 maja 1582, na cztery miesiące przed śmiercią.

już tam jest zakonów i zakonnic, które nie mają z czego żyć, tembardziej, że Granada cała jest w gruzach, a i lata ostatnie bardzo były nieurodzajne. Ojciec, choć zrazu uznawał słuszność uwag moich, zaraz jednak wielka chęć, jaką miał do tej fundacyi, wzięła górę nad niemi i znów ożywiła zachwiane na chwilę nadzieje jego: mówił mi jeszcze, że doktor Laguna, audytor kuryi arcybiskupiej, wszelką mu pomoc obiecał, a O. Salazar z towarzystwa Jezusowego poufnie go upewniał, że pozwolenie od arcybiskupa oni potrafią uzyskać. Wszystko to wydawało mi się bardzo niepewnem, jak i było w istocie. Widząc jednak, że Ojciec tak bardzo o to stoi, usilnie polecałam tę sprawę Bogu, i siostrom także zaleciłam, by błagały Pana o światło, abyśmy poznać mogły, co nam uczynić należy. Wysłuchał Pan w Boskiej swej łaskawości prośby nasze, i raczył mi jasno oznajmić wolę swoję:—„że na teraz w istocie żadnej pomocy ani łaski od ludzi spodziewać się nie mamy; ale jako drugie klasztory założone zostały polegając jedynie na Boskiej Opatrzności Jego, tak i ten mamy założyć, a On ze szczególną troskliwością będzie się nim opiekował i będzie w nim kwitła służba Jego.“ Byłam tylko co po Komunii, gdy to oznajmienie otrzymałam. Wszystkie wątpliwości i zarzuty, jakiemi dotąd odpowiadałam na usilne, już od trzech tygodni, nalegania O. wizytatora, znikły od razu, i w samejże chwili przyjęcia Komunii świętej gotowe już było we mnie postanowienie. Wstawszy od modlitwy, rzekłam do siostry Beatryczy od św. Michała, kołowej: „Wierzaj, siostro, że Bóg chce tej fundacyi naszej w Granadzie; wezwij, proszę, O. Jana od Krzyża, bo chcę mu wyznać na spowiedzi, co Pan mi oznajmił.“ O. Jan od Krzyża, który był moim spowiednikiem, wysłuchawszy wyznania mego, uznał, że potrzeba uprzedzić o tem O. wizytatora, jeszcze przebywającego u nas, aby zaraz napisał do Waszej ojcowskiej Miłości i abyśmy, skoro Wasza Przewielebność dasz pozwolenie, mogły przystąpić do rzeczy. Tegoż dnia jeszcze wszystko ułożyliśmy i wszystkie odezwy potrzebne wysłaliśmy, z wielkiem zadowolnieniem Ojców i z niemniejszem uradowaniem sióstr, skoro się o postanowionej fundacyi dowiedziały. Oprócz listu do Waszej Przewielebności, napisałyśmy drugi do świętej Matki naszej Teresy od Jezusa, prosząc o wyznaczenie na tę fundacyę czterech sióstr z tamtych klasztorów w Kastylii i błagając ją zarazem, by sama przybyła na założenie tego nowego domu, tak byłyśmy pełne otuchy, że przedsięwzięcie nasze przyjdzie do skutku. Uprosiłyśmy O. Jana od Krzyża, by wraz z drugim zakonnikiem pojechał po siostry, zabierając z sobą wszystkie zasoby, jakie im będą potrzebne w podróży. Wyjechał więc Ojciec z Veas i udał się do Awili, do świętej Matki naszej Teresy od Jezusa; stamtąd oboje przez posłańca znieśli się z Waszą ojcowską Miłością, który wówczas znajdowałeś się w Salmantyce. Za przeczytaniem listów naszych, Wasza Przewielebność dałeś nam pozwolenie, o które prosiłyśmy, zdając na świętą Matkę naszę wyznaczenie, według uznania swego, sióstr nam potrzebnych. Wybrała dwie z klasztoru w Awili: Matkę Maryę od Chrystusa, która przez pięć lat była przełożoną tego domu, i siostrę Antoninę od Ducha Świętego, jednę z czterech, które pierwsze przyjęły habit karmelitek Bosych w tymże klasztorze św. Józefa w Awili: z domu zaś toletańskiego, siostrę Beatryczę

wił mi, żebym się nie smuciła; że wie dobrze, iż gotowa jestem na wszystko dla służenia Jemu, że i On uczyni wszystko, o cokolwiekbym Go prosiła; jakoż i w onejże chwili uczynił to, o co Go byłam błagała. Dodał jeszcze: — „Patrz tylko na tę rosnącą w tobie z każdym dniem miłość, jaką mię miłujesz, a po tem samem poznasz, że nie jest to sprawa diabelska. Nie sądź, by Bóg dopuszczał czartowi aż do tego stopnia moc swą wywierać na tych, którzy Jemu służą; aniby on duch ciemności zdołał dawać tobie tę jasność wewnętrzną i ten pokój duszy, któremi się cieszysz.“ Nakoniec ostrzegł mię, że po tylu zapewnieniach, jakie otrzymałam od mężów tak poważnych, iż widzenia moje są od Boga, źle czyniłabym, gdybym jeszcze w to nie wierzyła.

Innego dnia, w chwili gdym odmawiała Skład wiary św. Atanazego: *Quicunque vult salvus etc.*, Pan mi dał zrozumieć, w jaki sposób Bóg jest jeden we trzech Osobach, i to tak jasno, że wielkie z tego miałam i zdumienie i pociechę. Wielce mi to pomogło do lepszego poznania wielmożności, Boga i cudownych spraw Jego; i ile razy teraz myślę o Trójcy Świętej, albo słucham mówiących o Niej, niezmierną mi to radość sprawuje, że rozumiem, zdaje mi się, jak to być może.

Raz znowu, w dzień Wniebowzięcia Królowej Anielskiej i Pani naszej, Pan raczył uczynić mi tę łaskę, że ujrzałam w zachwyceniu Jej wstąpienie do nieba, i radosne i uroczyste przyjęcie Jej, i miejsce, jakie zajęła w królestwie Syna swego. W jaki sposób to wszystko się odbyło, tego opisać nie potrafię; to tylko powiem, że widok tej chwały i moję duszę niewypowiedzianą chwałą i szczęśliwością napełnił. Skutki też bardzo znaczne to widzenie we mnie sprawiło; pozostała mi po niem wielka żądza cierpienia i gorące pragnienie służenia tej Pani niebieskiej, która sobie na taką chwałę zasłużyła.

Będąc w kościele kollegium Towarzystwa Jezusowego, w chwili gdy bracia przystępowali do Komunii, ujrzałam rozciągniętą nad głowami ich bardzo kosztowną oponę. Widzenie to powtórzyło się dwa razy; gdy potem drudzy przystępowali do Komunii, opony tej już nie widziałam.

upewnił, zaraz napisał do nas, byśmy przyjeżdżały, choć bardzo był zmartwiony, że nic więcej dla nas uzyskać nie zdołał.

My tymczasem w Veas byłyśmy w ciągłem oczekiwaniu, gotowe natychmiast puścić się w drogę, za pierwszem od Ojca słowem i zawiadomieniem, że możemy przyjechać: tak też jeszcze 13-go stycznia było umówiono z O. Janem od Krzyża i z siostrami naszego klasztoru. W ciągu tego oczekiwania któregoś dnia udałam się na rozmyślanie, w zwykłej porze wieczornej, u nas na to naznaczonej. Rozmyślałam o tych słowach Ewangelii, gdzie Chrystus Pan, w chwili chrztu swego, mówi do św. Jana: „Godzi się nam wypełnić wszelką sprawiedliwość [1])." Całkiem skupiona i pogrążona w rozważaniu tych Boskich słów, ani myślałam w onej chwili o fundacyi naszej, gdy nagle usłyszałam straszliwy wrzask mnóstwa głosów niesfornie zmięszanych. Zaraz mi przyszło na myśl, że to czarci snać taki zgiełk czynią, bo pewno lada chwila zjawi się posłaniec z listem wzywającym nas w drogę do Granady. W miarę jak utwierdzałam się w tej myśli, wrzaski one coraz głośniej obijały mi się o uszy, z takim wciąż rosnącym hukiem i łoskotem, że w końcu nie mogąc dłużej wytrzymać i czując, że mi się słabo robi, zwisłam na matkę przełożoną, przy mnie klęczącą. Matka, sądząc że to zwyczajne omdlenie, chciała posłać, aby mi przyniesiono czem się posilić. Dałam jej ręką znak, że tego nie potrzeba, ale żeby posłała do furty dowiedzieć się, kto tam dzwoni. Posłano do furty i właśnie okazało się, że to posłaniec z listem wzywającym nas do przyjazdu. W tejże chwili zerwała się burza straszliwa, z taką nawałnością ulewy i z takim gradem kamieni, jak gdyby świat się zapadał. Mnie zrobiło się bardzo źle, zdawało się, że umieram; wiłam się w srogich nad wszelki wyraz boleściach, nadnaturalne wstrząśnienia targały mną; lekarze i domownicy, patrząc na te cierpienia moje, jednogłośnie twierdzili, że niepodobna, bym w takim stanie puszczała się w drogę. Mnie, przeciwnie, te cierpienia większej tylko odwagi dodawały. Nagliłam o pośpiech, aby muły i wszystkie potrzeby podróżne były gotowe na trzeci dzień, do którego potrzeba nam było wstrzymać się z wyjazdem, bo nazajutrz po przybyciu posłańca była niedziela; a ja w tę niedzielę tak cierpiałam, że nawet na Mszy świętej być nie mogłam, pomimo to, że celka moja prawie przytykała do chóru.

Wyruszyłyśmy więc trzeciego dnia, w poniedziałek, o 3-ej rano: siostry, towarzyszące mi, wszystkie były uszczęśliwione z tej podróży, ciesząc się, że Pan będzie z niej miał wielką chwałę swoję. Czas był pogodny; ale ulewa poprzedniego dnia tak była zepsuła drogi, że muły nasze prawie więzły w błocie. Stanęliśmy na noc w Daifuentes. Przed udaniem się na spoczynek, w czasie gdy towarzyszący nam Ojcowie, to jest O. Jan od Krzyża i O. Piotr od Aniołów, naradzili się ze mną, jakichby użyć sposobów na złagodzenie gniewu i uporu arcybiskupa, aby zechciał dopuścić nas i dać nam pozwolenie, nagle usłyszeliśmy z daleka przeraźliwy łoskot gromu. Piorun uderzył w Gra-

[1]) Mat. 3, 15.

nadzie. w sam pałac arcybiskupa. tuż przy sypialni jego: spalił mu część biblioteki jego i w stajni kilka mułów mu zabił. Najstarsi ludzie w Granadzie nie pamiętali, by kiedy u nich w tej porze, w styczniu, zdarzyły się burze i pioruny. Arcybiskupa wypadek ten tak przestraszył, że z przerażenia zaniemógł, ale dla nas, jak nam mówiono, przestrach ten życzliwiej go usposobił.

Tegoż samego dnia, urzędnik on, który był wynajął dom swój O. wikaremu, zrzucił się z danego słowa i cofnął przyrzeczenie, jakie był wystawił na piśmie Don Ludwikowi de Mercado i doktorowi Laguna. Tłomaczył się tem, że nie był uprzedzony, iż dom jego najmuje się na klasztor: teraz dopiero o tem się dowiedział, zatem też na taki cel domu swego nie odda, ani lokatorów, których miał sporo, z niego rugować nie będzie. Daremnie oni dwaj panowie, sekretni popleczniey nasi, starali się skłonić go do ustępstwa: daremną nawet była porękа, którą mu w sumie pięćdziesięciu tysięcy dukatów za nas ofiarowali. Wobec tego uporu, wiedząc, że my jedziemy, że już jesteśmy blisko, że za dwa dni najdalej będziemy na miejscu, nie wiedzieli już co począć. Ale z łaski Boga znalazła się rada. Don Ludwik de Mercado, jakby od niechcenia wspomniał o zamierzonej fundacyi naszej siostrze swojej, Donnie Annie de Penalosa, przed którą O. wikary, z niewiadomych mi powodów, trzymał rzecz w sekrecie i nic jej o nas nie mówił: zaczem, zwierzając jej się z obecnym kłopotem swoim, dodał: „Czy nie byłoby dobrze, siostro, gdybyś się postarała, aby te siostry, skoro już są w drodze, mogły tu zajechać do naszego domu i zająć u nas jaką izbę osobną, gdzie miałyby spokój i samotność, dopóki nie znajdą sobie własnego kąta i stałego schronienia?" Dobra ta pani, która od wielu lat już prawie nie wychodziła ze swej domowej kapliczki, opłakując wdowieństwo swoje i nie mogąc się pocieszyć po stracie córki jedynaczki, na tę myśl, podaną jej przez brata tejże chwili, jak nam to sama opowiada, uczuła ulgę w smutku swoim i pociechę wewnętrzną. Zaraz też z wielką szczupliwością zabrała się do urządzenia domu swego i do przygotowania dla nas kaplicy z całym potrzebnym przyborem, oraz pomieszczenia, bardzo wygodnego, choć ciasnego, bo dom był nie wielki. Stanęłyśmy w Granadzie w dzień św. Fabiana i Sebastyana, o trzeciej rano: umyślnie wybrałyśmy tak wczesną godzinę, aby nikt się przed czasem o przyjeździe naszym nie dowiedział. Zastałyśmy tę świętobliwą panią czekającą nas w bramie od ulicy, gdzie nas powitała z rzewnemi łzami i pobożnem wzruszeniem. My także od łez powstrzymać się nie mogłyśmy i z głębi serca zaśpiewałyśmy „Laudate Dominum." uradowane nad wyraz na widok kaplicy, umieszczonej w bramie wchodowej i pięknego przyozdobienia jej. Ze względu jednak na brak upoważnienia arcybiskupiego, prosiłam, aby ją zamknięto: podobnież i Ojców z nami przybyłych, i O. wikarego prosiłam, by zaniechali dzwonienia i odprawienia Mszy świętej, nie tylko publicznie ale i przy zamkniętych drzwiach, dopóki nie będziemy miały pozwolenia od arcybiskupa, który, ufałam w Bogu, że nam go zaraz użyczy.

Wyprawiłam podanie do niego, z doniesieniem o naszem przybyciu i z pokorną prośbą, aby raczył przybyć do nas i dać nam błogosławieństwo

swoje i wprowadził do nas Najświętszy Sakrament, oraz z nadmienieniem, że lubo to dzień święty, my przecie nie będziemy na Mszy, dopóki Jego arcypasterska Mość nie raczy zarządzić, by wolno było ją u nas odprawić. Odpowiedział mi na to bardzo łaskawie: że z przyjemnością wita nas; że bardzo się cieszy z przyjazdu naszego, że chętnieby wstał i do nas z pierwszą w kaplicy naszej Mszą świętą przyjechał, ale, że będąc chorym, posyła nam oficyała swego, aby ją w zastępstwie jego odprawił i wszystko wedle życzenia mego spełnił. Jakoż tego samego dnia jeszcze, o siódmej rano, przybył do nas oficyał. **Prosiłam go, aby u nas odprawił Mszę świętą i dał nam wszystkim** Komunię i zostawił nam Najświętszy Sakrament, umieściwszy Go własną ręką na ołtarzu, czego też wszystkiego bardzo uroczyście dopełnił. Dwaj nasi panowie audytorowie byli obecni na tych obrzędach, ale i ludu zebrało się dużo, choć pojąć nie mogliśmy, jakim sposobem tak prędko o nas się dowiedzieli. Ledwośmy były przyjechały, a tegoż samego dnia, o 8-ej rano, już miałyśmy wprowadzony do kaplicy naszej Najświętszy Sakrament i Msze święte odprawiały się jedna za drugą. Z całego miasta ludzie do nas przybiegali, jakby na odpust, i jednogłośnie obwoływali nas za święte i dziękowali Bogu, że nawiedził tę krainę, przysyłając nas do nich.

Tegoż samego dnia, Don Ludwik de Mercado i doktór Laguna poszli odwiedzić arcybiskupa, jeszcze chorego skutkiem przestrachu od piorunu, który był dwa dni temu w pałac jego uderzył. Przyjął ich bardzo niełaskawie, z wielką furyą wymyślając na nas, po cośmy przyjechały. A gdy oni, zdziwieni, zapytali go, czemu więc dawał pozwolenie na rzecz tak jemu przeciwną, a teraz się gniewa po czasie, kiedy klasztor już założony? odpowiedział im: że pozwolił, bo nie mógł inaczej, choć dużo go to kosztowało i musiał gwałt sobie zadać, bo nie cierpi mniszek; ale niech się te nie spodziewają, by dostały co od niego, kiedy już i na te, które ma na swojem utrzymaniu, wystarczyć nie może.

Tak więc poczęłyśmy cieszyć się na prawdę skutkami naszego ubóstwa. Wprawdzie gospodyni nasza, Donna Anna, dawała nam jałmużnę, ale bardzo szczupłą; z postronnych zaś nikt nam nie przychodził w pomoc, bo widząc nas umieszczone w tym domu, w którym tylu ubogich znajdowało wsparcie, i z którego wciąż szły hojne jałmużny na wszystkie niemal w całej okolicy klasztory i szpitale, wszyscy sądzili, że jesteśmy sowicie zaopatrzone we wszystko i że żadnego nie cierpimy niedostatku. A my, w rzeczy samej, cierpiałysmy głód i taki, że bardzo często tego, co nam dawała ta pani, nie byłoby starczyło na dzienne pożywienie nasze, gdyby nie to, że Ojcowie nasi Bosi z klasztoru Męczenników ratowali nas, dosyłając nam nieco chleba i ryby; chociaż i u nich była bieda, z powodu wielkiego głodu, jaki w tym roku, skutkiem zupełnego nieurodzaju, cierpiała cała Andaluzya. Brakowało nam i kołder do nakrycia się w nocy; miałyśmy ich tylko tyle, ile byłyśmy zabrały z sobą na drogę; a tego było tak mało, że ledwo po dwie albo trzy, zmieniając się kolejno, mogłysmy spać nakryte, drugie zaś kładły się na matach, rozpostartych w chórze. Wszystka jednak ta nędza takie nam sprawiała uszczęśliwienie, że pragnąc cieszyć się nią jaknajdłużej, starannie ją ukrywa-

bopólnem udzielaniem się. Widzenie to, upewniam, wielką mi korzyść przyniosło, i dotąd przynosi, ile razy na nie wspomnę, zwłaszcza odchodząc od Komunii świętej. Dano mi było poznać, jako zwierciadło to, gdy dusza jest w grzechu śmiertelnym, pokrywa się gęstą mgłą i całe czernieje, zaczem już Pan nie może w niem się odbijać ani widzianym być, chociaż zawsze jest obecny, jako dający byt i życie; herezya zaś jest jakoby stłuczeniem tego zwierciadła, co jest o wiele większem nieszczęściem, niż gdyby było tylko zaćmione. Wielka jest różnica między widzeniem tego, a opowiedzeniem, bo bardzo trudno taką rzecz objaśnić. Mnie, powtarzam, widzenie to wielką korzyść przyniosło, ale też wielki we mnie żal wzbudziło, że tyle razy obrażając Pana, duszę moję zaćmiłam, i widoku Jego siebie pozbawiłam.

Widzenie to, zdaniem mojem, wielki może przynieść pożytek każdemu, w skupieniu ducha żyjącemu, ile że z niego nauczy się upatrywać Pana w najgłębszem ukryciu duszy swojej; a takie zapatrywanie się, jak to w innem miejscu objaśniłam, i przyjemniejsze jest, i o wiele pożyteczniejsze, niż gdy nań patrzymy zewnątrz siebie. Sposób ten zalecają także niektóre księgi duchowne, traktujące o tem, jak mamy szukać Boga. Tak mianowicie wielki św. Augustyn opowiada nam o samym sobie, jako szukając Boga na rynkach, i w roskoszach, i wszędzie, nigdzie Go tak nie znalazł, jak we własnej duszy swojej. I rzecz jasna, że ten jest sposób najlepszy: nie potrzeba tu wznosić się aż do nieba, ani szukać gdzieś daleko, co i umysł męczy zbytniem natężeniem, i duszy sprawuje roztargnienie, a owoc zawsze nie taki; dość wnijść w siebie, a znajdziemy Boga. Dodam tu jeszcze jednę uwagę, która w danym razie może komu się przydać. Zdarza się niekiedy w czasie wielkich zachwyceń, że gdy przeminie pierwsza chwila złączenia duszy z Bogiem, które pochłania w sobie i trzyma w zawieszeniu wszystkie władze, — co, jak mówiłam, trwa krótko, — dusza i potem jeszcze pozostaje w głębokiem zebraniu w sobie, i zewnętrznie nawet nie może przyjść do siebie, a dwie władze, pamięć i rozum, błąkają się nieprzytomne, jakby w gorączce. Zdarza się to zwłaszcza w początkach. Pochodzi to, jak sądzę,

zaradzał: ze Mszą i ze słowem Bożem przychodzili do nas, bez żadnego prawie z naszej strony o to starania, najgłośniejsi w mieście kapłani i kaznodzieje; radzi nas słuchali spowiedzi, starali się bliżej poznać nasz rodzaj życia, budowali się niezachwianą, wśród wszelkich prób, otuchą naszą wewnętrzną, iż na niczem nam zbywać nie będzie. Bóg w dobroci swojej dawał mi tę otuchę, i mocniej jeszcze, zaraz po przyjeździe naszym do Granady, we mnie ją utwierdził, szczególną łaskę, jakiej w tym czasie dostąpiłam od Niego, gdy pewnego razu, na modlitwie, dał mi w głębi duszy usłyszeć najdobitniej i najwyraźniej jakby do mnie powiedziane te słowa Psalmu: — „Plecami swemi okryje cię, a pod skrzydłami Jego nadzieję mieć będziesz [1])“. Zdałam o tem sprawę spowiednikowi mojemu, O. Janowi od Krzyża, i O. magistrowi Janowi Chrzcicielowi de Ribera, z Towarzystwa Jezusowego, przed którym się otwierałam we wszystkich potrzebach duszy mojej, nie tylko na spowiedzi, ale i po za spowiedzią. Oba byli zdania, że jest to zadatek i rękojmia od Pana, na upewnienie mnie o pomyślnem utwierdzeniu się tej fundacyi: jakoż dotąd, po czterech latach istnienia, sprawdza się na niej ta miłościwa obietnica Pańska. Niech będzie imię Jego błogosławione. Siostry, które tu ze mną przyjechały, upewniają mię, że żywiej przez te cztery lata czuły w sobie obecność Pańską i bliższe z Boskim Majestatem Jego obcowanie, niżli tego przez całe życie swoje doznały. Jawnie też to się okazało wielkim ich tu w doskonałości postępem i zbawiennym wpływem, jaki, zdaniem wszystkich, przykładem swoim na tutejszych klasztorach i zakonnicach wywarły. Wiem o tem z ust samegoż prezydenta, Don Piotra de Castro, że w żeńskich klasztorach tutejszych, a jest ich tu w Granadzie mnóstwo wielkie, niemała od przyjazdu naszego zaszła odmiana na lepsze. Prócz tych wszystkich łask, któremi Pan nas tu obsypywał, jedną jeszcze cieszyłyśmy się niezmierną i nadzwyczajną, tą mianowicie, że Pan Jezus jakoby dotykalnie dotrzymywał nam towarzystwa w Najświętszym Sakramencie ołtarza, tak iż czułyśmy jakby widomnie rzeczywistą Jego i wedle ciała z nami obecność. Pociecha ta niewypowiedziana tak wszystkim nam, bez wyjątku, była wspólną, i tak ze zwykłym trybem i z każdą chwilą powszedniego życia naszego związaną, że nieraz w naszych z sobą rozmowach nad nią się zastanawiałyśmy; wszystkie na to zgadzałyśmy się, że nigdzie chyba Najświętszy Sakrament takiego na nas nie robił wrażenia, jakiego tu z obecności Jego doznawałyśmy. Żywe to i dotykalne uczucie Pana z nami mieszkającego zaczęło się w nas od pierwszej chwili wprowadzenia Najświętszego Sakramentu do kaplicy naszej, i dotąd ono jeszcze trwa w niektórych z nas, choć już nie takie silne, jak w ciągu onych pierwszych siedmiu miesięcy.

Po upływie tych siedmiu miesięcy, znalazłyśmy wreszcie dom do najęcia; ustąpił go nam dawny lokator i dla nas uprzątnął bez wiedzy właściciela, więc przeniosłyśmy się w największym sekrecie; Wasza ojcowska Przewielebność sam nas na to nowe mieszkanie przeprowadziłeś, umyślnie wów-

---

[1]) Ps. 90, 4

czas z Baczy przyjechawszy aż do Granady, dla opatrzenia naszej gromadki. Nie miałyśmy narazie innego wyboru, więc trzeba było do czasu na tem poprzestać. Dopiero w dziesięć miesięcy później począł Pan w kilku panienkach, z najznakomitszych rodów miejscowych, wzbudzać prawdziwą chęć oddania się Jemu na służbę. Idąc za radą spowiedników swoich, nie uprzedzając o tem rodziców i krewnych, którzy żadną miarą nie byliby się zgodzili na wstąpienie ich do zakonu tak surowego, zgłosiły się one do nas potajemnie, prosząc o przyjęcie. Przyjęłyśmy ich sześć, i z wielką uroczystością oblekłyśmy je w habit. Wielkie stąd było oburzenie krewnych i wielkie wzruszenie w całem mieście, bo zdawało się wszystkim rzeczą okropną, poświęcić się na taki rodzaj życia. To też odtąd, jak nam mówiono, wielu rodziców pod pilną straż wzięło córki swoje, aby żadnych nie miały z nami stosunków, zwłaszcza, gdy pierwszej, którą przyjęłyśmy, siostry Maryi od Jezusa, ojciec umarł zaraz po jej wstąpieniu do nas, i tuż po nim matka, oboje, jak utrzymywano, ze zmartwienia. Ona jednak bynajmniej nie żałowała tego, że do nas wstąpiła, przeciwnie, wielkie stąd czuła uszczęśliwienie i wdzięczność wielką za tę łaskę, którą Pan jej uczynił, pociągając ją do naszego zakonu; najwierniej też odpowiedziała powołaniu swemu, podobnie jak i drugie, które razem z nią wstąpiły, i wszystkie dalsze, które później przyjęłyśmy. Gdy już one pierwsze wszystkie złożyły profesyę, umyśliłyśmy za posagi ich kupić dom na własność. Nie obeszło się to bez trudności. Niejeden dom się nam nadarzał; kilka razy nawet już, już mieliśmy przystąpić do spisania kontraktu, a za każdym razem układy w ostatniej chwili się rozbijały. Aż w końcu odważyłyśmy się traktować o dom księcia de Sesa; był to rzeczywiście dom z wszystkich najdogodniejszy i w najlepszem na całą Granadę położeniu. Ale takie na pozór niepokonane sprzeciwiały się temu kupnu trudności, że porywać się na nie i nam, i wszystkim, którzy tylko o tej chęci naszej posłyszeli, zdawało się szaleństwem. Mimo to jednak zdobyłam się na odwagę i postanowiłam dom ten nabyć, polegając na zapewnieniu, jakie mi na dwa lata przedtem była dała siostra, naonczas sekretarka, której nie wymieniam, bo Wasza Miłość z tego listu dowie się, jak jej na imię,—mianowicie, że Pan Jezus po trzykroć jej oznajmił, że w tym domu księcia, a nie w innym, ma się osiedlić nasz klasztor, i tak jasne i wyraźne było to oznajmienie, i taką w niej pewność wzbudziło, że wbrew wszelkim pozornym niepodobieństwom ani na chwilę nie wątpi o spełnieniu jego. Jakoż i spełniło się, jak Waszej Przewielebności wiadomo, i w tym domu dziś mieszkamy.

Anna od Jezusa.

DODATEK II.

O. Hieronim Ripalda T. J.

Hieronim Ripalda urodził się w Aragonii, gdzie ojciec jego słynął jako znakomity czasu swego lekarz. Dzieckiem jeszcze posłany na nauki do Alkali, Hieronim, mając zaledwie lat czternaście, nieprzepartym wiedziony pociąg-

giem do życia apostolskiego, wstąpił do Towarzystwa OO. Jezuitów. Tu z równym zapałem oddając się i naukom, jak i pracy nad uświęceniem siebie, wyszedł z nowicyatu i świętobliwym zakonnikiem, i znakomitym teologiem. W zakonie sprawował z kolei urząd mistrza nowicyuszów i rektora domów w Villagarcia, w Salmantyce, w Burgos i w Waliadolidzie. Był to mąż pod każdym względem niepospolity: głęboka nauka teologa szła w nim w parze z porywającą wymową kaznodziei i z niestrudzoną żarliwością apostoła. Szczególną miał od Boga łaskę do nawracania grzeszników i do prowadzenia dusz drogami życia wewnętrznego. Nie tylko w kazaniach i innych z urzędu czynnościach kapłańskich, ale i w potocznej rozmowie i w każdym słowie jego objawiał się z siłą porywającą zapał apostolskiego serca jego. O Bogu i rzeczach duchownych z takim mówił wdziękiem nadprzyrodzonym i namaszczeniem, że każdy, kto go słuchał, mimowoli czuł się poruszonym i pociągniętym do miłości Bożej. Św. Teresa w różnych czasach, w Salmantyce, w Waliadolidzie, w Burgos, jego sobie obierała za spowiednika. Umiał mąż apostolski poznać się na skarbach łaski i świętości, ukrytych w tej duszy wybranej; zrozumiał wysokie posłannictwo dane jej od Boga dla pożytku Kościoła, zaczem i dopomagał jej i popierał ją ile mógł w zakładaniu klasztorów reformy. Ostatnie trzy fundacye Świętej, jego głównie, wraz z O. Baltazarem Alvarez, namowie i skutecznej pomocy początek swój zawdzięczały [1]). Z pod jego kierunku wyszła i do Karmelu wstąpiła głośna, najwyższemi łaskami z nieba obdarzona M. Stefania od Apostołów [2]). On przez długie lata na drodze doskonałości prowadził onę Maryę de Acugna, małżonkę gubernatora Kastylii, i córkę jej Ludwikę de Padilla, której cnót św. Teresa taki wspaniały w tej księdze obraz skreśliła [3]). W życiu swem zakonnem, O. Ripalda był żyjącym wzorem wszelkiej cnoty, mianowicie zamiłowania w ubóstwie, doskonałego posłuszeństwa, żarliwego ducha pokuty i surowego, aż do ostatniej chwili długiego życia swego, umartwienia, a nadewszystko tego ducha modlitwy i wewnętrznego złączenia z Bogiem, i tej płonącej coraz wyższym zapałem miłości Chrystusa Pana, i tego niezgaszonego pragnienia chwały Jego i zbawienia dusz, które po wszystkie czasy były, są i będą znamieniem wielkich sług Bożych, i źródłem nieustającem wielkich dla Kościoła Bożego czynów ich i poświęceń. Umarł, pełen lat i zasług, w Toledzie, d. 21 kwietnia 1618, w 85-ym roku życia swego. W chwili skonania, oblicze jego rozjaśniło się blaskiem nadziemskiego wdzięku i pogody; ciało i członki jego pozostały czerstwe i giętkie, jakby jeszcze żył. Całe miasto zbiegło się na oglądanie tego cudownego widoku i na uczczenie zwłok tego, jak go wszyscy już za życia nazywali, świętego. Duch jego apostolski dotąd jeszcze żyje i działa w pozostałym nam Katechizmie jego, prawdziwem arcydziele, powszechnie podziwianem, i dziś jeszcze, po upływie blisko trzechset lat, w Hiszpanii używanem.

---

[1]) Ob. wyżej, rozdz. 29. — [2]) Ob. wyżej, rozdz. 11. — [3]) Ob. wyżej, rozdz. 10.

DODATEK III.

Antoni de Padilla, syn Maryi de Acuna, i siostry jego.

W r. 1572, mając niespełna 18 lat, Antoni de Padilla, po kilkoletniej zażartej walce pokonawszy opór rodziny, dostąpił wreszcie upragnionego szczęścia oddania się Bogu, i na mocy specyalnego zlecenia generała, św. Franciszka Borgiasza, bawiącego naonczas z legatem św. Piusa V Papieża na dworze hiszpańskim, przez O. Ripalda, rektora domu profesów w Waliadolidzie, przyjęty został do Towarzystwa Jezusowego. Przed opuszczeniem domu rodzicielskiego, bohaterski młodzieniaszek, zrzekłszy się uroczyście, wobec zgromadzonej rodziny, książęcych praw, i tytułów i majętności swoich, upadł na kolana, i wznosząc oczy i ręce do nieba, zawołał: „Dzięki Tobie, Panie Jezu Chryste, iż z łaski Twojej już jestem wolny i Tobie samemu służyć mogę.“ Mężna matka i żyjąca jeszcze babka jego, pobożna Donna Ludwika de Padilla, same go odprowadziły do kościoła profesów, własnemi rękoma ofiarując Bogu Izaaka swego, wobec mnóstwa ludu, głęboko wzruszonego tym wspaniałym aktem wiary, i widokiem tego świetnego młodzieńca, w kwiecie wieku porzucającego splendory i wielmożności światowe, do których z urodzenia miał prawo, a zamieniającego je dobrowolnie na ubóstwo i niskość habitu zakonnego. Po tem pierwszem nad światem i samym sobą zwycięstwie, posłany na nowicyat do Medina del Campo, pod kierunkiem takiego mistrza jakim był O. Baltazar Alvarez, młodzieniaszek w krótkim czasie przemienia się w dojrzałego męża Bożego, w nieustraszonego zapaśnika Chrystusowego: chwyta oburącz sztandar ukrzyżowanego Wodza swego, całem sercem rozmiłowuje się w zelżywościach krzyża Jego. „Widywałem go dawniej, pisze o nim wielebny O. Ludwik De Ponte, przejeżdżającego konno po ulicach Waliadolidu, jaśniejącego blaskiem bogactwa i niewypowiedzianego wdzięku i urody, otoczonego orszakiem wykwintnej pańskiej młodzieży. Widziałem go potem, tego ucznia i miłośnika krzyża, tego towarzysza Jezusowego, jak chodził po ulicach Medina del Campo, postępując jak pachołek i sługa za braciszkiem refektarskim, i nosząc na plecach wór z utargowanymi czy darowanymi dla domu wiktuałami, albo jak u furty nowicyatu z jednej misy z nędzarzami miejskimi spożywał podaną im z miłosierdzia strawę żebraczą.“ Z roskoszą spełniał najniższe usługi, ochotnie czynił siebie podnóżkiem wszystkich i każdego, poczytując siebie niegodnym zaszczytu należenia do grona towarzyszów Jezusowych, pod wodzą Boskiego Króla pracujących i walczących. To zamiłowanie miejsca ostatniego było i pozostało aż do końca wybitną cechą całego w zakonie życia jego i najsilniejszym pociągiem serca jego. Po odbyciu nowicyatu, takim zaznaczonego zdumiewającym postępem w doskonałości zakonnej, posłany do Salmantyki na studya, nie mniej szybkie i znakomite okazał postępy w naukach. Mając z przyrodzenia umysł szeroki i niepospolicie przenikliwy, z zadziwiającą szybkością i gruntownością

cały obszar umiejętności świętych ogarnął i zgłębił, zaczem, jako był znakomitym uczniem, tak po skończeniu studyów powołany do wykładania teologii na uniwersytecie, świetnym był profesorem. Zasłynął również w całej Hiszpanii jako niezrównany kaznodzieja, tem bardziej, czyli raczej dla tego, że przepowiadanie jego, obok daru rzadkiej porywającej wymowy, nosiło na sobie to znamię, które samo stanowi siłę i skuteczność kaznodziejstwa chrześcijańskiego, to jest znamię namaszczenia świętości wewnętrznej i duszy jedynie chwały Bożej i zbawienia ludzkiego pragnącej. „Sam już widok tego człowieka, nim jeszcze usta otworzy, mówił o nim król Filip II, jest wymownem kazaniem.“ Przez czterdzieści lat, w dobrowolnem ubóstwie i poniżeniu, w surowej pokucie, w pracach nieustających i trudach apostolskich, na kazalnicy i w trybunale pokuty, w misyach po całym kraju światło wiary i zapał miłości Bożej niecących, w mądrem, w duchu cichości i mocy kierownictwie domów zakonu swego, rządom jego powierzanych, szczęśliwy ten zbieg ze świata każdą chwilę życia swego na większą chwałę Bożą poświęcał, nim je w końcu, roku 1612, drogą przed Panem śmiercią uwieńczył. Z szczególnego dopuszczenia Bożego, snać mającego na celu ostatecznie jak w ogniu oczyszczenie tej świętej duszy, choć po takiem życiu mógł mówić z Apostołem: *Nihil mihi conscius sum* [1]), choć w chwili przyjęcia Wiatyku mógł się świadczyć wobec zgromadzonych przy łożu jego Braci, że we wszystkich czynnościach przełożeństwa swego nic nigdy nie postanowił i nic uczynił, czegoby nie uznawał w sumieniu zgodnem z większą chwałą Bożą, wszakże w obec nastającej godziny śmierci silnego doznał nagabania trwogi przed bliskim na sądzie Bożym rachunkiem. Ale i w tej bolesnej próbie pięknie się objawiła niepokalana czystość serca jego. Gdy któryś z obecnych Ojców poddawał mu myśl, czy ta trwoga, której doznaje, nie pochodzi może z pamięci na jaki grzech ciężki, którymby kiedy w ciągu czterdziestu lat życia w zakonie sumienie swoje zmazał?—„Co mówisz, Ojcze? zawołał z przerażeniem chory: zakonnik a grzech śmiertelny? czy podobna taką okropność i pomyśleć?“ Gdy znowu bliski krewny jego, Don Diego Sarmiento de Acuna, później poseł przy dworze angielskim, chcąc go uspokoić zapytał, czego się trwoży,—„Drżę o zbawienie moje,“ odpowiedział mu: „Czyż o to, rzekł na to Don Diego, możesz mieć jaką obawę?“ „A o cóż, odparł umierający, miałbym się obawiać, jeśli nie o to?“ Bóg nie opuścił w tej próbie wiernego sługi swego: po dłuższej chwili takiego udręczenia, nie tylko mu spokój przywrócił, ale i wyraźnem objawieniem o zbawieniu duszy jego serce mu rozweselił. Nad ranem, przerywając dwugodzinną w najgłębszem zebraniu wewnętrznem przed krucyfiksem modlitwę, chory rzekł do spowiednika swego: „Tej nocy dusza moja pójdzie śpiewać Jutrznię w niebie,“ i na uwagę spowiednika, że nie zdaje mu się, by koniec jego był tak bliskim, raz jeszcze stanowczym głosem powtórzył toż zapewnienie. Potem zwracając się znowu do Pana ukrzyżowanego, mówił: „Czegoż jeszcze mam się bać, kiedy Ty, najsłodszy

[1]) 1. Kor. 4, 4.

mój Panie, schowałeś mię w sercu swojem? Skoro jestem schowany w sercu Twojem, pódźmyż kędykolwiek zechcesz, niczego już się nie lękam.“ Wieczorem zażądał udzielenia mu Ostatniego Pomazania w obecności całego zgromadzenia, do którego nie mając już siły sam przemówić, prosił jednego z Ojców, aby w imieniu jego przeprosił wszystkich za winy i uchybienia, jakiemi w życiu swojem i w tej ostatniej chorobie mógł im dać zgorszenie. Ojciec, spełniwszy jego żądanie, prosił go nawzajem, by o nich pamiętał w niebie. „Będę, odrzekł z prostotą umierający, bo w niebie nie masz niewdzięcznych.“ Po tem zamknął oczy, i z cicha mówiąc słowa Psalmu: *Laetatus sum in his quae dicta sunt mihi, in domum Domini ibimus* [1]), zasnął w pokoju, o 11-ej w nocy, jak był przepowiedział, a dusza jego błogosławiona poczęła tejże nocy śpiewać w niebie wieczną Jutrznię uwielbienia i dziękczynienia na cześć Boskiego Króla swego, który jej dał moc, w młodzieństwie jeszcze dla miłości Jego potargać więzy świata, i aż do końca życia w mężnem zaprzaniu siebie wstępować w królewskie ślady krzyża, i ubóstwa, i pokory Jego (ob. Lud. de Ponte, *Życie O. Baltazara Alvarez*, rozdz. 20).

Godne takiego brata, trzy córki Maryi de Acuna, siostry Antoniego, podobnie jak i on, życiem swojem stwierdziły wysokie pochwały, jakie św. Teresa oddaje niepospolitej ich od najmłodszych lat pobożności. Starsza, Ludwika, mając lat czternaście uczyniła ślub dozgonnej czystości i wstąpienia do zakonu, z upragnieniem wyglądając możności spełnienia poślubionej Panu ofiary. Tymczasem, nimby nastał ten dzień szczęśliwy, na świecie już wiodła życie jakby w najsurowszym zakonie. Każdej nocy, obyczajem zakonnym, zrywała się z pościeli, i w kaplicy domowej dwie godziny spędzała na modlitwie wewnętrznej. Z nieubłaganą dla siebie surowością, postem, biczowaniem, włosienicą umartwiała młode ciało swoje. W tem wszystkiem była wierną towarzyszką i naśladowczynią świętobliwej matki swojej. „Między św. Paulą i córką jej św. Eustochią, mówił o nich O. Ripalda, ich duchowny przewodnik, a Maryą de Acuna i córką jej, Ludwiką de Padilla, żadnej nie widzę różnicy.“ Niepokonany opór dumnej rodziny, któremu i matka sprzeciwić się nie śmiała, zamykający przed nią, zdawało się na zawsze, utęskniony wstęp do klasztoru, ciężkiem był dla bogomyślnej panienki strapieniem. Bóg jej osłodził to zmartwienie, dając jej za towarzyszkę i przyjaciółkę jednę z najświętszych dusz, które w tym czasie Kościół Boży zdobiły, Annę de Pedruja, późniejszą w Karmelu Matkę Annę od św. Augustyna, która jako córka rządcy dóbr rodu De Acuna, dodana została przez opiekunów do boku młodej dziedziczki. Dwunastoletnie, aż do chwili wstąpienia jej do Karmelu, z tą duszą anielską obcowanie niewypowiedzianą było dla Ludwiki pociechą, przykład jej nieustającą do coraz wyższego postępu duchowego pobudką. Tęsknota jej do zakonu, pod wpływem takiej przyjaciółki, coraz głębiej ją przenikała i trawiła; doszła ona do szczytu za poznaniem św. Teresy, w czasie pobytu świętej fundatorki w Waliadolidzie. Gdyby to było w jej mocy,

[1]) Ps. 121, 1.

natychmiast byłaby Ludwika prosiła o święty habit Karmelu; ale Boski Oblubieniec jeszcze zwlekał z przyjęciem jej ofiary, ażby pierwej spełniła inne posłannictwo, jakie jej na świecie przeznaczał: chciał, by pierwej wśród blasku wielkości ziemskich zajaśniała przed światem jako wzór doskonały wszelkiej cnoty chrześcijańskiej. Gdy skutkiem profesyi najmłodszej siostry, Ludwika pozostała jedyną przedstawicielką swego rodu, i dobra, i tytuły rodowe, których przedtem, gdy przeszły na nią po bracie wstępującym do zakonu, na rzecz tej siostry była się zrzekła, znowu do niej wróciły, opiekunowie, nie pytając, ani uprzedzając jej, wyjednali w Rzymie Breve papieskie, unieważniające jej śluby i zalecające jej poddanie się bez oporu życzeniu i żądaniu familii. Ulegając zatem woli Bożej, tak wyraźnie jej oznajmionej rozkazem Namiestnika Chrystusowego, zgodziła się na oddanie swej ręki Don Marcinowi de Padilla. Bóg hojnie pobłogosławił ten związek, z woli Jego zawarty. Siedmioro dzieci z niego się urodziło, które Ludwika wychowała w takimże duchu wysokiej pobożności, w jakim sama była wychowana przez świętobliwą matkę swoję. Kilkanaście lat żyła z mężem, powszechne świętością życia swego dając dworowi i całemu miastu zbudowanie. Wbrew wszelkim roztargnieniom i służebnościom życia wielkoświatowego, każdy dzień rozpoczynała całogodzinnem u stóp krzyża rozmyślaniem i kończyła podobnież wspólną z domownikami w kaplicy pałacowej modlitwą. Gdy wreszcie r. 1602 mąż jej pięknie i pobożnie życie zakończył, świętobliwa wdowa, wolna już od więzów, które ją na świecie zatrzymywały, u stóp Pana ukrzyżowanego ponawia śluby młodości swojej. Roku 1606, postanowiwszy dzieci swoje i syna, Marcina de Padilla, oddawszy Bogu w zakonie Jezuitów, sama w klasztorze Talavera wstąpiła do Karmelu, dumne swe tytuły rodowe zamieniając na pokorne imię Ludwiki od Krzyża i za jedyny herb swój, jak mówi pięknie św. Teresa, obierając sobie Pięć Ran Jezusowych. Wreszcie, d. 9 stycznia 1614 r. w klasztorze Lermańskim, świętą śmiercią uwieńczyła żywot, cały bez podziału służbie i chwale Bożej poświęcony.

Druga siostra Antoniego de Padilla, najpierwsza z tego błogosławionego rodzeństwa oddawszy się Bogu, w klasztorze dominikanek w Waliadolidzie strawiła i zakończyła cnotliwe życie swoje. Trzecia zaś, Donna Kasylda, której dziwnego powołania św. Teresa w rozdziale 10-ym tej księgi taki wspaniały obraz skreśla, wbrew woli swojej zmuszona była opuścić ten Karmel waliadolidzki, do którego tak mężnie była sobie wstęp wywalczyła. Po kilku latach pobytu w tym klasztorze, surowości reguły podkopały wątłe zdrowie jej, co widząc opiekunowie, bez wiedzy jej, uzyskali w Rzymie Breve papieskie, zniewalające tę, jak ją zowie św. Teresa, Oblubienicę Pańską do zamienienia Karmelu na łagodniejszą regułę franciszkańską i przeniesienia się do klasztoru franciszkanek, którym aż do dnia błogosławionej śmierci swojej, jako opatka rządziła. Tym sposobem, dziwnem zrządzeniem Bożem, czworo świętych założycieli zakonów, św. Franciszek, św. Dominik, św. Ignacy i św. Teresa, jakoby podzieliło się między sobą tą wybraną od Pana rodziną. (Ob. *Ann. gen. Carmel*, T. III, ks. XIII., r. 40, 41).

DODATEK IV.

O. Antoni od Jezusa (Antoni de Heredia), pierwszy, z św. Janem od Krzyża, Karmelita Bosy.

Podobnie jak św. Janowi od Krzyża, którego święta matka, choć nie należała do Karmelu, zasłużyła sobie na szczególną przyjaźń wielkiej Reformatorki jego i [illegible] pozyskała jej [illegible] i wśród nich spędziwszy ostatnie lata życia swego, obok nich w grobach klasztoru Medina del Campo spoczęła — tak i przyjacielowi jego w odnowieniu pierwotnej reguły Karmelitów Bosych towarzyszowi, Antoniemu od Jezusa, dostało się w udziale to szczęście, że miał świątobliwych rodziców, pod których troskliwą opieką i kierunkiem w samem zaraniu życia swego nauczył się kochać Boga nad wszystko. Antoni przyszedł na świat r. 1510, w Requena, w Nowej Kastylii. Ojciec jego pochodził z pirenejskiego rodu Heredia, słynnego z rycerskiego przywiązania swego do Kościoła i wiary katolickiej, matka, rodem z królestwa Walencyi, była ze świętego rodu Ferrer, który zakonowi dominikańskiemu i Kościołowi wydał wielkiego Apostoła, św. Wincentego Ferreriusza. Nauki i przykład takich rodziców od niemowlęctwa prawie skierowały ich syna na drogi bojaźni i miłości Bożej. Obok wdzięku niewinnej, serdecznej pobożności, dziwna się w tem dziecku objawiała i coraz pełniej rozwijała, wcale nie dziecinna, dojrzałość umysłu i rzadka moc woli. Zaledwo dziesięcioletni, już zrozumiał, że lepszego i świętszego z życia swego użytku człowiek uczynić nie może, niż gdy je całe poświęci na służbę Bogu i szerzenie chwały Jego. Tą myślą wiedziony, jakby już dorosły i dojrzały mimo pacholęcy wiek swój, zaciągnął się pod znaki Najświętszej Panny z góry Karmelu, niosąc Jej i przez Nią Panu w ofierze, obok świeżej i wonnej prostoty serca czystego, niezłomne postanowienie dążenia do jaknajwyższej świętości. Szczęśliwi zaprawdę tacy rodzice, którzy, wierni łasce Bożej i wysokiej rodzicielskiej powinności swojej, starają się i zdołają uchronić od zarazy złego niewinne serce dziecka swego, aż je nieskażone i czyste od wszelkiej zmazy doprowadzą do tego kresu, gdzie będąc już panem woli swojej, dobrowolnym i stanowczym serca wyborem, wszystką istność i wszystką miłość swoję zwróci w stronę Boga i rzeczy wiecznych. Takiem szczęściem opływało serce rodziców Antoniego w dniu onym radosnym, gdy ujrzeli młodziutkiego syna swego obleczonego w habit Królowej Karmelu. Duchownem wykształceniem młodego zakonnika Bóg od pierwszej chwili wstąpienia jego w progi klasztorne tak pokierował, iżby było odpowiedniem przygotowaniem do wielkiego dzieła odnowienia pierwotnej reguły zakonu, do którego wspólnie z Janem od Krzyża był przeznaczony. W nowicyacie Antoni zostawał pod ręką przewodnika, który bez względu na młody wiek i wątłe siły jego, a zważając jedynie na zapał i męstwo ducha jego, nie jak z dzieckiem z nim się obchodził, ale jak z mężem dojrzałym i do wszelkich najtrudniejszych pra-

ktyk i surowości zakonnych z nieugiętym rygorem go wdrażał. Pod tym kierunkiem, któremu z bezwarunkową uległością i z niezachwianą wiernością łasce powołania się poddawał, przyszły reformator Karmelu męskiego założył fundament tej niewzruszonej, na duchu pokuty i zupełnem wyrzeczeniu się siebie opartej doskonałości wewnętrznej, którą całe życie jego jaśniało. Po takim w owoce świętości obfitym nowicyacie, z równie świetnym postępem odbył w Salmantyce nauki klasyczne, filozoficzne i teologiczne. Mając lat 22 otrzymał święcenie kapłańskie. W cztery lata po tem obrany przeorem klasztoru w Moralegia, kolejno wszystkie znaczniejsze urzędy w zakonie swoim sprawował, wszędzie odznaczając się głęboką nauką, rzadką roztropnością, gorliwem spełnianiem obowiązków swoich; generał zakonu i samże król Filip II w wysokiem go mieli poważaniu. Będąc przeorem w Awili, w czasie założenia tam pierwszego klasztoru odnowionej pierwotnej reguły Karmelu, poznał św. Teresę. Zbudowany i zdumiony widokiem bohaterskich cnót jej i pierwszych jej w nowym klasztorze towarzyszek i córek, uczuł w sobie pragnienie oddania się wyłącznie pokucie i bogomyślności. W tym celu zamierzał już wstąpić do kartuzów, gdy rozmowa, jaką miała z nim św. Teresa w Medina del Campo [1]), skłoniła go do pozostania w zakonie swoim, przyjmując tylko pierwotną, w całej swej ścisłości regułę Karmelu. W jaki sposób, wspólnie z towarzyszem swoim Janem od Krzyża, tę myśl wykonał, jakie było w pierwszym „klasztorze“ ich, to jest w najnędzniejszej chacie nędznej wioski Durvelo, w surowej pokucie, w zupełnem niemal z rzeczy ziemskich ogołoceniu, a w nieustającem weselu ducha, bogomyślne i apostolskie ich życie, tego nam św. Teresa w tej księdze Fundacyi [2]) wspaniały w swej prostocie obraz skreśliła. Do końca mąż Boży okazał się godnym wysokiego powołania swego: aż do ostatniego dnia długiego życia swego, z najtroskliwszą pilnością zachowywał wszelkie najsurowsze przepisy reguły, najmniejszego, mimo sędziwy wiek swój, nie dozwalając sobie zwolnienia: znakomite też taką nigdy nieustającą gorącością ducha oddał zakonowi swemu usługi, wielkie mu przykładem życia i cnót swoich dając zbudowanie. Bóg mu użyczył tej łaski i pociechy niezrównanej, że i św. Teresę dysponował na śmierć i wiernemu towarzyszowi swemu, św. Janowi od Krzyża, oczy zamknął. Sam dopiero w dwadzieścia lat po nich poszedł do nieba po zasłużoną prac swoich zapłatę. Pod koniec W. Postu r. 1601, przybywszy z Granady do klasztoru w Velez, poczuł pierwsze oznaki zbliżającego się końca. Mimo to jednak jeszcze pierwsze cztery dni W. Tygodnia chodził do chóru i brał udział w przepisanych regułą biczowaniach. W W. Czwartek sam celebrował i Braciom rozdawał Komunię św., a choć już przy tych obrzędach świętych ogarniały go dreszcze przedśmiertne, siłą woli przecie mężny starzec ukrywał w sobie wzmagające się zniemożenie, chcąc aż do końca uczestniczyć w ćwiczeniach zakonnych zgromadzenia i aż do końca wiernym pozostać regule.

[1]) Ob. wyżej, rozd. III.
[2]) Ob. rodz. 13, 14.

ELLICOTT CITY, MARYLAND

W W. Sobotę, po trzykrotnem w Sakramencie Pokuty jednaniu się z Bogiem, prosił o św. Wiatyk, i w chwili tego ostatniego na tej ziemi z Panem swoim złączenia się, rzewnemi słowy przemówił do otaczających go braci, przepraszając ich za winy i uchybienia swoje, i pobudzając ich do niestrudzonego zapału w ścisłem przestrzeganiu reguły. Nazajutrz, wreszcie, w dzień wielkanocny, o 9-ej rano, przyjąwszy ostatnie pomazanie, z obliczem rozjaśnionem blaskiem nadziemskiej pogody i wesela, wydał ciche westchnienie, i dusza jego odeszła do Stwórcy swego; i tak niezwyciężony ten zapaśnik Boży, po niemal całowiekowych bojach pokuty, tego samego dnia zwycięzko wszedł do nieba, którego Boski Mistrz jego zwycięzko powstał z grobu. Było to d. 22 kwietnia 1601 r. O. Antoni od Jezusa umarł mając lat 91, z których 81 przeżył w zakonie; 47 lat w Karmelu reguły złagodzonej, a 34 w regule pierwotnej. (Ob. *Ann. gen. Carm.* T. III, ks. XI, rozd. 7—9).

DODATEK V.

Katarzyna de Cardona.

Dla uzupełnienia wstrząsająco budujących o Katarzynie de Cardona szczegółów, które wyżej [1]) czytaliśmy ręką św. Teresy spisane, przytaczamy tu, z obszernej w „Ogólnych rocznikach Karmelu“ biografii jej, główne zdarzenia życia tej bohatersko męczeńskiej miłośnicy ukrzyżowanego Zbawiciela, aż do chwili onego zdumiewającego jej na puszczy powołania.

Katarzyna urodziła się r. 1519 w Neapolu, z katałońskiego rodu książąt de Cardona. Ojciec jej, Don Rajmund de Cardona, był potomkiem królów aragońskich; matka jej była blizką krewną księżny Salerno. Prawie niemowlęciem jeszcze, Katarzyna już zapowiadała się taką, jaką się później okazała. Od najwcześniejszych lat dziecinnych dziwny się w niej objawiał pociąg do modlitwy, do samotności i umartwienia, obok serdecznej i gorącej i z każdym dniem rosnącej czci i miłości Najświętszej Panny Maryi. Pod Jej macierzyńską opiekę, zaledwo ośmioletnia, jakby już dorosła i dojrzała, oddała, jako skarb swój najdroższy, panieńską czystość swoję. Długo codzień do niej się modliła, z prawdziwie anielską pobożnością, i taką od dzieciństwa wiernością Bogu i łasce Jego zasłużyła sobie na to rzadkie szczęście, że czysta i niezmazana przeszła przez wszystkie zmazy świata, i otrzymaną na Chrzcie szatę niewinności niepokalaną aż do końca życia swego zachowała.

Mając niespełna lat ośm, straciła ojca, skutkiem czego księżna Salerno wzięła ją do siebie na wychowanie. Ale Bóg niebawem inszą, niżby świat i troskliwość krewnych obmyślić zdołały, drogę życia jej ukazał. Pewnego dnia, gdy strapiona jeszcze świeżą śmiercią ojca, klęczała w kaplicy swojej na modlitwie, polecając Bogu duszę jego, nagle ujrzała go przed sobą, od stóp do głowy jakby obleczonego w ogień czyścowy, i usłyszała głos jego, mówiący do niej te słowa: — „Córko, nie pierwej wyjdę z tych płomieni, aż

[1]) Rozdział 28.

gdy ty za mnie pokutę uczynisz“. Głęboko tym widokiem i temi słowami wzruszona i serdeczną nad męką ojca litością przenikniona, dzieweczka przyrzeka mu, iż bierze na siebie i dopełni za niego należne sprawiedliwości Boskiej zadośćuczynienie. Jakoż od tej chwili, dojrzałym umysłem i mężnem sercem zwyciężając słabość dziecinnego wieku swego i lękliwość niewieścią, rozpoczyna on długi, nieprzerwany aż do śmierci szereg niesłychanych umartwień i surowości, które ją uczyniły dziwem i niedościżonym, bez szczególnej łaski Bożej, wzorem pokuty chrześcijańskiej. W braku dyscypliny, zbiera klucze, ile ich miała pod ręką, i w jeden ciężki pęk je związawszy, bez litości biczuje nimi i kaleczy niewinne ciało swoje, z radością krew z ran jej płynącą ofiaruje Bogu za duszę ojca swego. Po niejakim czasie takiej zastępczej pokuty, znowu ukazał jej się ojciec, już jaśniejący chwałą błogosławionych, i rzekł do niej: —„Bóg raczył przyjąć pokutę twoję, córko, i do chwały swojej mię dopuścić. I nie tylko przyjął pokutę twoję, ale tak sobie w niej Pan Jezus upodobał, iż za to wybrał cię sobie za oblubienicę. Nie ustawaj, póki żyjesz, oddawać siebie w ofierze dla zbawienia dusz: taka jest Boska wola Jego.“ Słowa te niewypowiedzianą pociechą napełniły serce Katarzyny. Uszczęśliwiona na myśl, że Boski Oblubieniec dusz czystych raczył ją przyjąć za oblubienicę, w jasnościach ustawicznej bogomyślnej modlitwy, coraz głębiej poznając nieskończoną wielkość i piękność tego Oblubieńca, i niepojętą wielkość tego zaszczytu, że ją maluczką, na równi z takiemi wielkiemi duszami jak Agnieszka, jak Agata, jak Łucya, jak Cecylia, podniósł do niezrównanej godności najbliższego z Nim obcowania, sama też, ledwo dziesięcioletnia, bez podziału Jemu się oddaje, w obliczu wszystkiego dworu niebieskiego ślubując Mu dozgonne panieństwo i wierność aż do śmierci. Wierność poślubioną i miłość swoję chce Mu okazać czynem, wstępując w krwawe ślady ukrzyżowanego Oblubieńca i pewna już tego, że poświęcając siebie na ofiarę dla zbawienia dusz, czyni Jemu rzecz przyjemną, wśród okazałości i zbytku książęcego dworu opiekunki swojej, wiedzie życie pokutne, niesłychaną surowością swoją równające się życiu Ojców na puszczy. Choć zmuszona ubierać się w kosztowne szaty, odpowiednie wysokiemu jej urodzeniu i pańskiemu, w którem żyje, otoczeniu, dla niej przecie jedyną szatą, w której się kocha i z którą się nie rozstaje, włosienica; bicze i dyscypliny, to klejnoty jej, krwawe rany, jakie nimi ciału swemu zadaje, to jej perły i brylanty, choć troskliwie je ukrywa przed oczyma ludzkiemi, aby Ten tylko je widział, któremu samemu podobać się pragnie, a który w zamian za taką mężną wierność i miłość, niewypowiedzianą słodkością nadzwyczajnych łask i pociech niebieskich duszę jej zalewa. Wewnętrzne to, w cierpieniach nieubłaganej pokuty, w rozkoszach najwyższej bogomyślności, z Boskim Oblubieńcem obcowanie, choć ukryte w głębi duszy przed oczyma ludzkiemi, nie mogło przecie ukryć się w skutkach swoich, w rodzących się z niego owocach świętości. Pogodna zawsze w pełnieniu powszednich obowiązków i wszelkiej cnoty, z dziecięcą prostotą i pokorą, wierność jej i stateczność, nadziemski jakiś urok czystości i niewinności, oblicze i całą postawę jej opromieniający, dziwne, w każdem słowie i w każdym postępku, cichości i dobroci najsłodszej

z nieugiętą siłą woli połączenie: wszystko to niezrównanego wdzięku dodawało całemu jej jestestwu, i wszystkich serca do niej pociągało. Niechętni nawet, lub obojętni mimowoli podziwiali żywą i głęboką jej wiarę, czystą i gorącą jej żądzę chwały Bożej we wszystkiem i nadewszystko, zupełne jej oderwanie się od wszelkiego przywiązania do rzeczy stworzonych, niestrudzone jej, z ochotnem poświęceniem siebie, miłosierdzie dla ubogich: a choć nie kryła się z głęboką wzgardą swoją dla świata i od marnych uciech i zabaw jego, ile mogła, stroniła, taką przecie tę odrębność swoję umiała zaprawiać uprzejmością i dobrocią dla wszystkich, że i najbardziej światowi nie mieli serca na nią się gniewać. Ale samaż ta powszechna cześć i uwielbienie, jakie poślubiona Bogu dzieweczka takiemi cnotami swemi dla siebie wzbudzała, stały się dla niej powodem ciężkiej próby i walki. Gdy miała lat trzynaście, pewien szlachetny młodzieniec, potomek jednego z największych rodów neapolitańskich, zachwycony nie tyle jeszcze urodą panienki ile wdziękiem jej duszy, oświadczył się o rękę jej, i stanowcze u opiekunów jej znalazł prośby swojej poparcie. Naprożno powoływała się na swój ślub panieństwa; opiekunowie oznajmili jej, że od ślubu uzyskają dyspensę, i tem mocniej jeszcze prośbą, rozkazem i groźbą na nią nastawali, aby się na ofiarowany związek zgodziła. Zmuszona uledz tak usilnemu naciskowi, Katarzyna, jak to niegdyś uczyniła św. Cecylia, gdy poniewolnie poddać się musiała podobnemuż żądaniu rodziców, poruczyła panieństwo swoje wszechmogącej obronie Boskiego Oblubieńca swego; i nie zawiodła się w swej ufności: narzeczony jej niespodzianie zasłabł i umarł, nie doczekawszy dnia ślubu, a Katarzyna, wybawiona od grożących jej więzów, na nowo w obliczu Aniołów uroczystą się wiąże przysięgą, iż niczyją być nie chce, i nigdy nie będzie, jedno Boskiego Pana i Oblubieńca swego. Opiekunowie i krewni, w nagłej śmierci narzeczonego uznając wyraźny znak woli Bożej, nie śmieli dalej sprzeciwiać się świętym pragnieniom panienki. Pozostawiona woli swojej, i wyzwolona z pęt i służebności światowych, Katarzyna opuszcza pałac opiekunki swojej i obiera sobie mieszkanie w klasztorze kapucynek w Neapolu, gdzie będzie mogła bez przeszkody iść za pociągiem swoim do pokuty i bogomyślności. Zagłębianie się rozmyślaniem w tajemnice niezgłębione miłości ukrzyżowanego Boga swego, rzeźbienie na ciele swojem pokutą i umartwieniem jaknajbliższego z Nim podobieństwa. to było jedyne na tej dobrowolnie obranej samotności zajęcie jej, na którem z rozkoszą dnie i noce trawiła. Jaka była w tem schronieniu klasztornem miara srogości jej uczynków pokutnych, i hojności spływających na nią za to łask i pociech niebieskich, to pozostało tajemnicą między nią a Bogiem; ale z tego co wiemy o późniejszem jej życiu, nie trudny wniosek, że była to miara przeobfita.

Po dwudziestu i pięciu latach spędzonych na samotności w takiem modlitwą i pokutą z Oblubieńcem ukrzyżowanym zjednoczeniu spodobało się Panu bohaterską tę miłośniczkę krzyża wywieść znowu na widownię świata, aby na samymże dworze królewskim, przed wielkimi i możnymi tej ziemi zajaśniała wspaniałym wzorem najwyższych cnót chrześcijańskich. Stało się to w sposób następujący:

Księżna Salerno, skutkiem upadku małżonka swego, który odstąpiwszy sprawy Karola V i przyłączywszy się do stronnictwa francuskiego, doznał za to całej srogości gniewu mszczącego się za zdradę wyrządzoną ojcu króla Filipa II, z rozkazu tegoż króla skazaną została r. 1557 na przymusowe zamieszkanie w Waliadolidzie. Głęboko dotknięta tym ciosem, udała się do Katarzyny z błagalną prośbą, by zechciała towarzyszyć jej na to wygnanie, i być jej podporą i pociechą w nieszczęściu. Nie chcąc i przez miłość bliźniego, i przez wdzięczność dla dawnej opiekunki i dobrodziejki swojej odrzucać jej prośby, Katarzyna, nie bez ciężkiej ofiary z siebie, zgodziła się opuścić ukochaną samotność swoję, i, w towarzystwie księżny, przeniosła się do Hiszpanii. Za przybyciem do Waliadolidu, księżna, pragnąc wobec ciężącej nad nią niełaski monarchy tem dobitniej zaznaczyć książęcą wielmożność swoję, z wielką okazałością i przepychem urządziła dom swój, i świetnym otoczyła się dworem. Ale w czem ona miała tylko na celu zadowolnienie ziemskiej dumy i próżności swojej, tego Bóg użył na większą chwałę swoję i większy dusz ludzkich pożytek. Największą, wśród tego blasku i przepychu, ozdobą dworu książęcego i najdroższym jego klejnotem, była Katarzyna. Będąc zawsze przy boku księżnej na wszystkich zebraniach i przyjęciach, rychło tchnącym z niej urokiem świętości powszechną zwróciła na siebie uwagę wielkiego świata, tłumnie gromadzącego się na pokojach książęcych. Przykład życia jej zdumiewająco cnotliwego, wdzięk uroczej skromności i serdecznej dobroci jaśniejący w całem jej zachowaniu się, nadprzyrodzona mądrość i roztropność, znamionująca każde słowo jej, połączone z tą przenikającą w prostocie swojej głębokością i siłą, która jest sekretem świętych: wszystko to nieprzeparte na każdym, kto do niej się zbliżył, wywierało wrażenie, tak, iż sam widok jej był jakoby żyjącem kazaniem, skuteczny i szczęśliwy szeroko dokoła wpływ wywierającem, ku umocnieniu w wierze wielu dusz, błędami nowatorów, w onym czasie i do Hiszpanii wciskającemi się, zachwianych, ku naprawie wykwintnych, ale nie zawsze budujących obyczajów wielkoświatowego jej otoczenia, ku upamiętaniu i skierowaniu do Boga wielu serc zbłąkanych.

Po śmierci księżny Salerno, która nastąpiła w dwa lata po jej przesiedleniu się do Hiszpanii, król Filip II, znając i wysoko ceniąc niepospolite zalety Katarzyny, powołał ją na dwór swój i mianował ją ochmistrzynią nieletniego syna swego, Don Karlos'a, oraz młodego Don Żuana austryackiego, późniejszego zwycięzcy pod Lepanto. Książę Ruy-Gomez, pierwszy minister króla, za szczęście i zaszczyt poczytywał sobie, że mógł jej ofiarować mieszkanie w pałacu swoim, prosząc jej nadto, by raczyła go wziąć w swe zawiadywanie, na co ona zgodziła się, zastrzegając sobie tylko nieograniczoną swobodę w dawaniu jałmużny ubogim Chrystusowym. Świętobliwa ochmistrzyni prędko pozyskała sobie serce królewskich wychowanków swoich, którzy zwali ją matką i czcili i kochali jak matkę: Don Żuan szczególnie zachował dla niej aż do śmierci uczucia synowskiego przywiązania i, w listach swoich, póki żyła, wymowne jej tego dawał dowody. Nad domem Ruy Gomez'a, dopóki nim zawiadywała Katarzyna, widoczne spoczywało błogosła-

wieństwo nieba: snać, jak sam to z dziękczynieniem uznawał, Bóg w taki sposób chciał mu odpłacać stokrotnie za hojne jałmużny, któremi ta prawdziwa matka ubogich, z oddanych w szafarstwo jej dochodów, wszelką nędzę rozrzutną ręką obsypywała. Wszystek dwór królewski nieustające, w szczęśliwe skutki nawróceń obfite miał z niej zbudowanie; prawdziwie tam, jak „na każdem miejscu, była dobrą wonią Chrystusową [1])“.

Wreszcie, po pięciu latach takiego między wielkimi tego świata apostolstwa, r. 1562, tego samego roku, w którym św. Teresa zakładała w Awili pierwsze naprawy Karmelu fundamenta, Katarzyna usłyszała w sobie taki głos Boskiego Oblubieńca:—„Porzuć już ten pałac; schroń się na puszczę; tam, w samotnej jaskini, swobodniej niż tu będziesz się mogła oddawać modlitwie i umartwieniu.“ Słowa te dziwnym napełniły duszę jej pokojem i niewypowiedzianą radością: uzbroiły ją w siłę i męstwo, żadną przeszkodą, żadną trudnością nieustraszone: był to, jak uczy nas św. Teresa, doświadczona w tych rzeczach mistrzyni, znak niezawodny, że słowa te pochodziły od Boga. Katarzyna chciała bezzwłocznie pójść za wezwaniem Pańskiem: ale spowiednik, powodując się więcej względami ludzkimi, nie puszczał jej. Po niejakim czasie dopiero Bóg przysłał jej na pomoc dwóch gorliwych sług swoich, Franciszka de Terre i św. Piotra z Alkantary: oba upewnili ją, że słowa, które słyszała, były rzeczywiście głosem wezwania Bożego i utwierdzili ją w postanowieniu usłuchania go; św. Piotr z Alkantary obiecał jej nadto, że będzie się modlił za nią, aby mogła jaknajrychlej opuścić dwór królewski i udać się na puszczę. Bóg też niebawem ułatwił jej tę świętą ucieczkę. Korzystając z wyjazdu księcia Ruy Gomez, udającego się do majątku swego pod Alkalą, uprosiła sobie pozwolenie towarzyszenia mu i tam na wsi znalazła sobie onego pustelnika, który, jak wiemy już z opowiadania św. Teresy, dopomógł jej do wykonania zamiaru swego. Opuszczając dom księcia, napisała i w pokoju swoim pozostawiła na wierzchu list do tegoż i do księżny Eboli, w którym oznajmiała im, że stosownie do rozkazu otrzymanego od Boga, idzie na pustynię, i w imię przyjaźni, jaką mają dla niej, błaga ich by jej nie szukali, co i byłoby na próżno, bo nie znajdą jej, a choćby i znaleźli, żadna przyjaźń ani żadna siła ludzka nie zdołałaby jej skłonić do powrotu na dwór królewski; upewniała ich przytem, że nigdy w modlitwach swoich o nich nie zapomni, prosząc zarazem, by toż upewnienie złożyli od niej królowi i dwom młodym książętom, a szczególnie Don Żuanowi, którego kochą sercem, jakby macierzyńskiem. Noc przed wyjściem swojem Katarzyna spędziła na modlitwie, i tu Boski Oblubieniec, który ją wzywał do siebie, sam raczył być pierwszym jej przewodnikiem i dodać jej odwagi okazaniem cudownej mocy swojej: przed świtem, w chwili na wyjście postanowionej, krzyż, który nosiła zawieszony na szyi, podniósł się w górę i zawisł w powietrzu, zaczem usłyszała głos z niego wychodzący: „Chodź za mną.“ Doprowadził ją do niskiego okna, wychodzącego na ulicę,

[1]) 2. Kor. 2, 15.

i tejże chwili, choć okno było zamknięte i grubo zakratowane, Katarzyna, sama nie wiedząc jak, znalazła się poza murami domu. Rozradowana do głębi duszy tym cudownym dowodem miłości i czułej opieki, którym Boski Pan raczył ją zaszczycić, pobiegła co tchu na miejsce umówione, gdzie czekał na nią pustelnik wraz z drugim pobożnym duchownym, aby ją, jak byli przyrzekli, zaprowadzić na miejsce odludne. Z radością powitali bohaterską pokutnicę, winszując jej i wraz z nią wielbiąc Boga, iż potargał jej pęta. Potem, ubrawszy ją w wór pustelniczy i obciąwszy jej włosy, aby jej kto nie poznał, pospiesznie z nią puścili się w drogę, chcąc czemprędzej wyjść z granic posiadłości książąt Eboli. Zatrzymali się w Cuença, gdzie pustelnik udał się do biskupa, prosząc dla Katarzyny o pozwolenie założenia sobie pustelni w jego dyecezyi, na co biskup łaskawie się zgodził, pozostawiając jej do woli wybór miejsca. Udali się więc w dalszą drogę, w kierunku miasta Roda. Na jakie dwie mile przed miastem, Katarzyna zatrzymała się na wzgórzu przy drodze i rzekła do przewodników swoich: „Tu jest miejsce, gdzie Bóg mi każe zamieszkać; nie chodźmy dalej, proszę.“ Oglądając się za jakiem dla niej schronieniem, upatrzyli wśród gęstych zarośli cierniowych rodzaj pieczary, ale z wejściem tak ciasnem i tak nizką, że Katarzyna, choć szczupła i niewysokiego wzrostu, ledwo mogła do niej się wcisnąć i w niej się wyprostować. Nieopodal, o małe ćwierć mili od tej jaskini, był klasztor „Zdrój święty,“ z kościołkiem, na kilka lat przedtem wśród tej pustyni przez OO. Trynitarzy zbudowany. Tu więc Katarzyna założyła mieszkanie swoje. Przewodnicy jej zagrodzili wejście do pieczary, dla ukrycia go od oczu ciekawych, plecionką z jałowca; poczem, zostawiając jej cały przybór narzędzi pokutnych, jaki mieli z sobą i za całą żywność trzy chleby, pożegnali ją i odeszli. I tak córka książąt de Cardona rozpoczęła w roku 1562 ten zdumiewający surowością i świętością swoją żywot pustelniczy, którego nam św. Teresa tak żywy obraz skreśla.

Trzy lata zupełnie samotna i niespostrzeżona przeżyła w pieczarze swojej, nim, jak widzieliśmy wyżej, pasterz jakiś trafem odkrył jej schronienie. Wkrótce potem dowiedziano się także o nazwisku i pochodzeniu jej, gdy niektórzy zakonnicy z sąsiedniego klasztoru Zdrój święty, trafiwszy do pieczary w niebeocność jej, ujrzeli tam list Don Żuana Austryackiego, zowiący ją matką, i książkę do nabożeństwa z napisem: „Księżna Eboli Katarzynie de Cardona.“ Od tej chwili, napływ pobożnych i ciekawych, już na pierwszą o niej wieść, przez onego pasterza rozgłoszoną, bardzo znaczny, coraz więcej się wzmagał: lud okoliczny tłumami się zbiegał do tej dziwnej księżny, w worze pustelniczym ukrytej, i czcił ją jak świętą. Wobec tego nadzwyczajnego konkursu, wobec dziwów, jakie wszędy o niej opowiadano, władza duchowna uznała konieczność zbadania ducha jej. O. Gaspar de Salazar, rektor kolegium jezuickiego w Cuença, ten sam, który przedtem był w Awili spowiednikiem św. Teresy, i o którym Święta w Księdze Życia swego z uwielbieniem mówi, przybywszy do Katarzyny, jako wysłany z urzędu delegowany biskupi, rychło przekonał się z podziwieniem, jakie niezmierzone skarby łaski Bóg w tej duszy wybranej nagromadził, i uroczyste oddał świadectwo świętości

jej życia; później też często ją odwiedzał, i zwał ją „jedną z dusz najwyżej serafickich swego wieku“.

W roku 1571 Katarzyna przystąpiła do wykonania myśli swojej, założenia przy swej pustelni klasztoru karmelitów Bosych, i w tym celu udała się do Pastrana. Dnia 6 maja tegoż roku, w obecności księcia i księżny Eboli, przywdziała habit Karmelu. Był to habit męski; żeńskiego nie chciała, bez wątpienia wskutek szczególnej wskazówki, jaką miała w tym względzie od Boga; jakoż w istocie, przy takim rodzaju życia, w tem zupełnem osamotnieniu i opuszczeniu, na jakie się dobrowolnie była skazała, ubranie na wpół męskie, jakie była od pierwszej chwili wyjścia na puszczę przywdziała, bezpieczniejszą było dla niej obroną i pewniejszą tajemnicy jej osłoną. Gdy dowiedziano się na dworze królewskim o przybyciu jej do Pastrana, księżna Joanna, siostra Filipa II, po śmierci męża swego, księcia Jana portugalskiego, żyjąca w ukryciu u klarysek madryckich, napisała do księcia Eboli, prosząc go, by jej przywiózł tę dawną jej znajomą. Ruy Gomez, czyniąc zadość temu żądaniu, z Katarzyną i towarzyszem jej Ojcem Marianem, przybył niezwłocznie do Madrytu, gdzie księżna powitała świętą z radością, długie godziny trawiąc z nią na duchownych rozmowach i wynurzając przed nią wszystkie strapienia swoje; zawiozła ją do Eskurialu, ani na chwilę prawie nie odstępowała od boku jej. Na dworze królewskim Katarzyna zabawiła tydzień cały, w niczem nie zmieniając pustelniczego trybu życia swego; tak samo, jak w jaskini swojej, pości zachowywała surowe, sypiała godzinę na dobę, wszystek czas, ile go mogła mieć swobodnego, trawiąc na modlitwie. W szerścianym habicie swoim, z kapturem nasuniętym na głowę, z taką prostotą i swobodą zachowywała się wśród przepychu komnat królewskich, i świetnej służby panów i dworzan, jak gdyby była na pustyni; wbrew wszelkim przepisom etykiety i wszelkim formom wytworności dworskiej, jak gdyby przez te osiem lat bezwzględnej samotności swojej zupełnie już zapomniała obyczaju i sposobu rozmowy światowej, nie tylko panów i dostojników dworskich traktowała przez „ty“, ale samemuż królowi mówiła: „synu“ a księżniczkom „córki“. Ale głęboka wiara króla nie obrażała się tą prostotą, z serca Bogu pogrążonego płynącą, i raczej puszczała w niepamięć ziemską wielkość monarchy, w obec tej istoty anielskiej, zstępującej doń jak poseł z nieba; a księżniczka Joanna, gdy święta raz spostrzegłszy się i przepraszając ją za niewłaściwość mowy swojej, rzekła: „albo mi wybaczcie prostactwo moje, albo mię odprawcie skądem przyszła“, rzucając się jej na szyję zawołała: „O matko, zapominaj sobie ile chcesz o książęcych tytułach moich, tylko o mnie pamiętaj przed Panem“. Po ośmiodniowym pobycie w Eskurialu, Katarzyna powróciła do Mardytu. Po drodze, z powozu, którym ją odwoziły panie dworskie, w dobroci serca swego żegnała tłumy ludu, cisnącego się do niej i proszącego o błogosławieństwo. Za to pokora jej została wystawiona na dotkliwą próbę. Nuncyusz wezwał ją do siebie i ostro zgromił, że chodzi w ubraniu męskiem, i że poważa się publicznie jak Biskup dawać błogosławieństwo. Pokorna służebnica Boża w milczeniu, krzyżem leżąc u nóg nuncyusza, wysłuchała tego groźnie ostrego upomnienia; dopiero gdy skończył, na rozkaz jego podniósłszy się z ziemi.

spokojnie i swobodnie, z tą świętą prostotą, która była znamienną jej cechą i głównym wdziękiem jej, wytłómaczyła się, przedstawiając nuncyuszowi powody postępowania swego. Słowa jej przekonały nuncyusza, że Bóg sam prowadzi ją taką nadzwyczajną drogą; pozwolił jej zachować i nadal męskie ubranie swoje i uprzejmie ją pożegnał, błogosławiąc ją i polecając siebie jej modlitwom.

Z Madrytu Katarzyna udała się do Toletu, gdzie czas jakiś przemieszkała w tamecznym klasztorze Karmelitek Bosych. W tej Bożej atmosferze ciszy i samotności, wolna od przeszkód i służebności światowych, mogąc swobodnie oddawać się ukochanym swym ćwiczeniom bogomyślności i pokuty, czuła się między siostrami jakby w gronie rodzinnem. W godzinach rekreacyi, z dziecęcą szczerością i prostotą opowiadała im o łaskach nadzwyczajnych, jakiemi Bóg ją obsypywał, o nadzwyczajnych również umartwieniach i surowościach życia swego, a siostry z zachwyceniem słuchały tych opowiadań, lubując się tchnącą z nich słodką wonią ewangelicznej prostoty i świętości, i nie mniej słodką, cudowną wonią, jaką tchnęła samaż osoba opowiadającej i wszystka odzież jej. Z jakiem nieubłaganem okrucieństwem ta bohaterska pokutnica pastwiła się nad ciałem swojem, ofiarując siebie Bogu na zadośćuczynienie za grzechy ludzkie, o tem w czasie jej między niemi pobytu miały sposobność przekonać się naocznie. Któregoś wieczora słyszały, jak Katarzyna całe trzy godziny biczowała siebie bez przerwy. Jedna z sióstr, wszystek ten czas przestawszy podedrzwiami, w końcu nie mogąc już dłużej, wytrzymać, wpadła do celi świętej; ta zaś na zakończenie krwawej tej operacyi, którą poniewolnie przerwać musiała, najspokojniej, jeden ból zastępując drugim, plecy swoje, w jednę ranę zamienione, włosienicą z krwi obficie płynącej otarła, a gdy siostry poczęły ją namawiać, by choć nieco pofolgowała tym straszliwym umartwieniom swoim, dała im tę pamiętną odpowiedź, w której jest wytłómaczenie całego życia jej: —„Komu dano było, jak mnie, na oczy oglądać piekło i czyściec, ten, dla uchronienia dusz ludzkich od tamtego, dla wyzwolenia ich z tego drugiego, nigdy nie może przebrać miary w pokucie; nie wolno mi oszczędzać siebie, bo oddałam siebie na ofiarę za zbawienie bliźnich".

Za powrotem z Toletu, Katarzyna zatrzymała się w pałacu księcia Ruy Gomez w Madrycie. Było to w czasie, kiedy miały się roztrzygnąć losy chrześcijaństwa, zagrożonego najazdem potęgi otomańskiej. Pod dowództwem Don Żuana austryackiego, który jeszcze przed odpłynięciem z Hiszpanii miał radość ujrzenia w Eskurialu dawnej zawsze mu jakby matka drogiej ochmistrzyni swojej, i ze czcią synowską ukląkłszy, wziął od niej błogosławieństwo na niebezpieczną wyprawę swoję, — flota książąt chrześcijańskich już była wypłynęła na wody morza egejskiego, gdzie niebawem miała się zmierzyć z groźnie przeważającą siłą nieprzyjaciela. Katarzyna w głębokiej samotności ukryta, zdwajała modlitwy i pokuty swoje, łącząc je z nakazanemi przez świętego Papieża Piusa V, powszechnemi po całym świecie modłami o zwycięstwo oręża chrześcijańskiego. W niedzielę, 7 października 1571, wewnętrznem oświeceniem ostrzeżona, że ten miał być dzień stanowczy, sroższe niż kiedybądź zadała sobie biczowanie, i klęcząc u stóp krzyża,

i łzami go oblewając, i bezprzestannie ofiarując siebie na przejednanie gniewu Bożego, błagała Pana, by ratował Kościół swój i nie wydawał w moc pogańską dusz krwią Jego odkupionych. W ciągu tej modlitwy, jakby była obecną na miejscu, widziała w duchu cały przebieg bitwy, zrazu dla wroga szczęśliwie się zapowiadającej, potem, dzięki pomyślnemu w stanowczej chwili obróceniu się wiatru, przeważającej się na stronę szeregów chrześcijańskich, i zakończonej wreszcie zupełnym pogromem floty otomańskiej i świetnym obrońców sprawy Bożej zwycięstwem. Z sercem radością i wdzięcznością ku Bogu wezbranem, Katarzyna opowiedziała widzenie swoje Ojcu Mariano, który bezzwłocznie zawiadomił o niem króla: ten jednak rozważny i ostrożny kazał mu rzecz schować w milczeniu. Ale wkrótce potem, wiadomość o zwycięskiej bitwie pod Lepanto stwierdziła widzenie służebnicy Bożej i dowiodła, że podobnie jak świętego Namiestnika swego Piusa V, Pan rzeczywiście i ją w sposób nadprzyrodzony uczynił świadkiem naocznym wiekopomnego w onym dniu zwycięstwa wodzów chrześcijańskich.

W początku marca r. 1572, spełniwszy wszystko, co miała do spełnienia w Madrycie, Katarzyna wróciła do pustelni swojej. W kwietniu rozpoczęła się budowa klasztoru i kościoła, w którego mury, według jej życzenia, wciągnięto i pieczarę, w której dotąd mieszkała. Urządzono jej nieopodal drugą, połączoną gankiem podziemnym z kościołem. Nowa ta pieczara miała cztery stopy szerokości i dwanaście stóp długości, z których O. Mariano ujął ośm na zbudowanie jej podobizny Grobu Pańskiego. Tam też, we dnie i w nocy mając przed oczyma pobożne to wyobrażenie i pamiątkę pogrzebu i zmartwychwstania Boskiego Oblubieńca, spędziła bohaterska krzyża Jego miłośnica ostatnie pięć lat życia swego na tej ziemi. Dnia 11 maja, w Oktawę Wniebowstąpienia Pańskiego, wśród modłów Braci założonego przez nią klasztoru, z synowską miłością i ze czcią religijną otaczających śmiertelne jej łoże z uśmiechem na ustach, z wyrazem nadziemskiego wesela na twarzy, zakończyła pięćdziesięcioletnie, od ósmego roku życia, dobrowolne swoje, dla miłości ukrzyżowanego Pana swego i dusz krwią Jego odkupionych, męczeństwo, i według słowa Apostoła [1]), poszła wespół królować z Tym, z którym wespół na tej ziemi cierpiała. Zwłoki jej ze czcią pochowano w bocznej kaplicy zbudowanego przez nią kościoła; aż gdy w roku 1603 klasztor Wspomożenia Wiernych został przeniesiony do Villanueve de la Xara, Bracia zakonni zabrali z sobą ciało świętej swej fundatorki i złożyli je w kościele tego nowego klasztoru swego. (Ob. *Ann. gen. Carm.* t. I. ks. IV, i *Decor Carmeli*, pars. II).

---

[1]) 2 Tym. 2. 12.

KONIEC TOMU II.

SPIS RZECZY

TOMU II.

Str.

Księga Sprawozdań duchownych.

Uwagi wstępne 3

Sprawozdanie pierwsze. Do św. Piotra z Alkantary, założyciela Braci Bosych świętego Ojca Franciszka. Przedstawia mu stan swej duszy i sposób swój zachowywania się na modlitwie. Pisane r. 1560, w klasztorze Wcielenia. 7

Sprawozdanie drugie. Pisane w klasztorze Wcielenia, między r. 1561 a 1562, do spowiednika niewiadomego. Święta opisuje w dalszym ciągu stan duszy swojej 18

Sprawozdanie trzecie. O różnych łaskach, jakie otrzymywała od Boga w latach 1568—1571 27

Sprawozdanie czwarte. O łaskach, jakie otrzymała od Pana w Salmantyce, w końcu W. Postu r. 1571 37

Sprawozdanie piąte. Objawienia i nauki o rzeczach duchownych 41

Sprawozdanie szóste. O ślubie posłuszeństwa, który uczyniła Ojcu Gracian, r. 1575 47

Sprawozdanie siódme. Napisane r. 1575 dla O. Rodryka Alvarez T. J.. Wymienia w niem spowiedników, którym w różnych czasach powierzała sumienie i duchowne sprawy swoje i opowiada główne zdarzenia zakonnego życia swego 51

Sprawozdanie ósme. Do tegoż O. Rodryka Alvarez 61

Sprawozdanie dziewiąte. O różnych łaskach duchownych, jakie otrzymała w Toledzie i w Awili, w ciągu lat 1576 i 1577 70

Sprawozdanie dziesiąte. O objawieniu, jakie miała w Awili roku 1579 i oznajmionych jej od Pana czterech przestrogach dla zakonu karmelitów Bosych 80

Księga fundacyi.

Uwagi wstępne 85

Wstęp 89

Rozdział pierwszy. W jaki sposób poczęła się pierwsza myśl tej fundacyi w Medina del Campo i drugich 93

Rozdział drugi. Przyjazd naszego Ojca Generała do Awili i co z przyjazdu jego wynikło 97

Str.

Rozdział trzeci. W jaki sposób i z jakimi środkami przystąpiono do założenia klasztoru św. Józefa w Medina del Campo 101

Rozdział czwarty. O szczególnych łaskach, jakie Pan czyni siostrom w tych klasztorach naszych.—Przestrogi dla przełożonych, jak się w obec nich mają zachowywać 110

Rozdział piąty. O modlitwie bogomyślnej i objawieniach: uwagi i przestrogi przydatne szczególnie duszom powołanym do pracy zewnętrznej . . . 115

Rozdział szósty. O szkodach, jakie może sobie wyrządzić dusza w życiu duchownem, gdy nie wie kiedy i jak sprzeciwiać się duchowi, to jest zapałom wewnętrznym i zachwyceniom.—O pożądaniu Komunii świętej i jakie w niem mogą ukrywać się złudzenia.—Ważne wskazówki i przestrogi dla przełożonych w tych domach naszych 125

Rozdział siódmy. Jak należy postępować z duszami podlegającemi melancholii. Wskazówki przełożonym potrzebne 137

Rozdział ósmy. Kilka uwag o objawieniach i widzeniach 144

Rozdział dziewiąty. Wyjazd z Medina del Campo na fundacyę św. Józefa w Malagonie 149

Rozdział dziesiąty. Fundacya domu w Waliadolidzie, pod wezwaniem Poczęcia Najśw. Panny z Góry Karmelu 151

Rozdział jedenasty. Dalszy ciąg wszczętego w poprzedzającym rozdziale opowiadania. — Jaki zakon obrała sobie Donna Kasylda de Padilla, w wykonaniu świętego zamiaru swego wstąpienia do klasztoru 160

Rozdział dwunasty. O życiu i śmierci Beatryczy od Wcielenia, którą Pan do tego domu naszego powołał: życiu tak cnotliwem i śmierci tak pięknej, iż słusznie należy im się to wspomnienie 166

Rozdział trzynasty. W jaki sposób i za czyją sprawą, powstał pierwszy, według reguły pierwotnej, klasztor karmelitów Bosych, roku 1568 171

Rozdział czternasty. Dalszy ciąg o założeniu pierwszego domu karmelitów Bosych. Jakie życie w nim wiedli pierwsi dwaj Ojcowie i jaki pożytek począł Pan przez nich sprawiać wśród ludności okolicznej, na cześć i chwałę swoję 176

Rozdział piętnasty. O fundacyi domu chwalebnego św. Józefa w mieście Toledzie, roku 1568 182

Rozdział szesnasty. Niektóre, na cześć i chwałę Panu, szczegóły z dziejów wewnętrznych tego klasztoru św. Józefa w Toledzie 192

Rozdział siedmnasty. O fundacyi dwóch klasztorów, męskiego i żeńskiego w Pastrana, tegoż roku 1569 196

Rozdział ośmnasty. O fundacyi klasztoru św. Józefa w Salmantyce, roku 1570. Kilka ważnych uwag dla przełożonych 206

Rozdział dziewiętnasty. O fundacyi domu św. Józefa w Salmantyce, ciąg dalszy 216

Rozdział dwudziesty. O fundacyi klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi w Alba de Tormes, roku 1571 224

Str.

Rozdział dwudziesty i pierwszy. O fundacyi Karmelu chwalebnego św. Józefa w Segowii, w sam dzień św. Józefa roku 1574 233
Rozdział dwudziesty i drugi. O fundacyi klasztoru świętego Józefa od Zbawiciela w mieście Veas, w dzień św. Macieja r. 1575 240
Rozdział dwudziesty i trzeci. O fundacyi Karmelu chwalebnego św. Józefa w mieście Sewilli, w dzień Świętej Trójcy roku 1575 252
Rozdział dwudziesty i czwarty. O fundacyi Karmelu św. Józefa w mieście Sewilli. Ciąg dalszy 259
Rozdział dwudziesty i piąty. O fundacyi klasztoru św. Józefa w Sewilli, ciąg dalszy. Ile trudu kosztowało nabycie własnego domu 268
Rozdział dwudziesty i szósty. O fundacyi klasztoru św. Józefa w mieście Sewilli, dokończenie.—Kilka szczegółów zaznaczenia godnych o pierwszej nowicyuszce do tego klasztoru przyjętej 275
Rozdział dwudziesty i siódmy. O fundacyi klasztoru pod wezwaniem chwalebnego św. Józefa w miasteczku Caravaca, w dzień Nowego Roku 1576 . 283
Rozdział dwudziesty i ósmy. Fundacya klasztoru w Villanueva de la Xara . . 296
Rozdział dwudziesty i dziewiąty. Fundacya klasztoru św. Józefa u Matki Boskiej Nadrożnej w Palencyi, w dzień św. króla Dawida r. 1580 . . 321
Rozdział trzydziesty. Fundacya klasztoru Trójcy Przenajświętszej w mieście Soria, roku 1581, w dzień św. Ojca naszego Elizeusza 338
Rozdział trzydziesty i pierwszy. Fundacya klasztoru św. Józefa u św. Anny w mieście Burgos, dnia 19 kwietnia, w Oktawę Zmartwychwstania Pańskiego r. 1582. 347

DODATKI.

Dodatek I. Fundacya klasztoru Karmelitek Bosych w Granadzie, opisana przez Wiel. Matkę Annę od Jezusa 385
Dodatek II. O. Hieronim Ripalda 393
Dodatek III. Antoni de Padilla, syn Maryi de Acuna i siostry jego 395
Dodatek IV. O. Antoni od Jezusa (Antoni de Heredia), pierwszy, z św. Janem od Krzyża, Karmelita Bosy 397
Dodatek V. Katarzyna de Cardona 401

KONIEC TOMU DRUGIEGO.